

James

Joyce

Ulisses

Przełożył Maciej Słomczyński

•Pomorze* BYDGOSZCZ

STATECZNY, PULCHNY BUCK MULLIGAN WYNURZYŁ SIĘ Z WYLOTU SCHODÓW,

niosąc mydlaną pianę w miseczce, na której leżały skrzyżowane lustro i brzytwa. Żółty, nie przewiązany szlafrok powiewał za nim lekko w łagodnym, porannym powietrzu. Uniósł wysoko miseczkę i zaintonował:

- Introibo ad altare Dei.

Przystanąwszy zajrzał w głąb ciemnych, kręconych schodów i zawołał ochryple:

- Wejdz na górę, Kinch. Wejdz na górę, ty strachliwy jezuito. Dostojnie postąpił ku przodowi i wszedł na okrągłą działobitnię. Rozejrzał się i z powagą po trzykroć pobłogosławił wieżę, okolicę i budzące się góry. Później, dostrzegłszy Stefana Dedalusa, pochylił się ku niemu kreśląc w powietrzu szybkie znaki krzyża, bełkocąc gardłowo i potrząsając głową. Niezadowolony i senny Stefan Dedalus wsparł ręce na krawędzi wylotu schodów i obrzucił zimnym spojrzeniem rozedrganą, bełkocącą, błogosławiącą go długą końską twarz i jasne, nie przycięte włosy, cętkowane i lśniące na podobieństwo jasnego dębu.

Buck Mulligan zerknął pod lustro i zręcznie zakrył miseczkę.

- W tył zwrot do koszar, powiedział ostro. Dodał tonem kaznodziei:

- Bo to, o najmilsi, jest rzeczywista Eucharystynka: ciało i dusza i krew i o rany. Powolną muzykę, proszę. Zamknijcie oczy, panowie. Chwileczkę. Jest mały kłopot z tymi białymi ciałkami. Uciszcie się wszyscy.

Spojrzał z ukosa w górę i wydał długi, nawołujący gwizd; później czekał przez chwilę w ekstatycznym skupieniu, a jego równe białe zęby błyskały tu i ówdzie złotymi punkcikami. Chrysostomos. Dwukrotny silny, przenikliwy gwizd odpowiedział wśród ciszy.

- Dziękuję, staruszkule, zawołał żywo. To zupełnie wystarczy. Wyłącz prąd, dobrze?

Zeskoczył z działobitni i zbierając wokół nóg luźne fałdy szaty spojrzał poważnie na tego, który mu się przyglądał. Pulchna mroczna twarz i posępna owalna szczeka przywodziły na myśl prałata, opiekuna sztuk pięknych w średniowieczu. Przyjemny uśmiech pojawił się cicho na jego wargach.

- A cóż to za szyderstwo, powiedział wesoło. To twoje nedorzeczne nazwisko starożytnego Greka.

Żartobliwym, przyjacielskim gestem uniósł palec i śmiejąc się do siebie, podszedł ku obramowaniu. Stefan Dedalus wszedł po stopniach, ruszył za nim i w pół drogi znużony siadł na skraju działobitni, przyglądając mu się nadal, gdy tamten oparł lusterko na obramowaniu i zanurzywszy pędzel w miseczce namydlał policzki i szyję.

Wesoły głos Bucka Mulligana ciągnął dalej.

- Moje nazwisko też jest nedorzeczne: Malachi Mulligan, dwa daktyły. Ale ma helleńskie brzmienie, prawda? Zwinne i słoneczne jak sam jeleń. Musimy pojechać do Aten. Czy pojedziesz, jeśli uda mi się naciągnąć ciotkę na dwadzieścia funtów?

Odłożył pędzel i zawołał śmiejąc się radośnie:

- Czy pojedzie? Wynędzniały jezuita. Urwał i zaczął golić się uważnie.

- Powiedz mi, Mulligan, powiedział Stefan spokojnie.

- Co, moje kochanie?

- Jak długo pozostanie Haines w tej wieży?

Buck Mulligan ukazał ogolony policzek ponad swym prawym ramieniem.

- Boże, czy nie jest okropny? powiedział szczerze. Tępy Sakson. Sądzi, że nie jesteś gentlemanem. Boże, ci przeklęci Anglicy. Pękający od pieniędzy i niestrawno-ci. Dlatego że przybywa z Oxfordu. Wiesz, Dedalus, to właśnie ty masz naprawdę oxfordzkie maniery. Nie może ciebie rozgryźć. O, to imię, które ci nadałem, jest najlepsze: Kinch, klinga noża.

Ostrożnie ogolił podbródek.

- Przez całą noc bredził we śnie o czarnej panterze, powiedział Stefan. Gdzie jest futerał, w którym trzyma broń?

- Żałosny wariat, powiedział Mulligan. Czy miałeś stracha?

- Miałem, powiedział Stefan dobitnie i z rosnącym lękiem. Na tym odludziu, w ciemności, z nie znanym mi człowiekiem, bredzącym przez sen i mamroczącym do siebie o zastrzeleniu czarnej pantery. Ty ratowałeś tonących. Ale ja nie jestem bohaterem. Jeżeli on ma tu zostać, znikam.

Marszcząc brwi Buck Mulligan obejrzał pianę na ostrzu brzytwy. Zeskoczył z podmurówki i zaczął pospiesznie przeszukiwać kieszenie spodni.

- Kurewstwo, burknął.

Podszedł ku działobitni i wkładając rękę do kieszeni Stefana, powiedział:

- Użycz nam ścierki do nosa dla otarcia brzytwy. Stefan pozwolił mu wyciągnąć i ukazać trzymaną za róg, brudną i pomiętą chustkę. Buck Mulligan dokładnie otarł brzytwę. Później, przyglądając się chustce, powiedział:

- Oto ścierka do nosa barda. Nowy odcień sztuki dla naszych irlandzkich poetów: smarkozielony. Można go prawie posmakować, co?

Ponownie wstąpił na obramowanie i spojrzał w dal ku Dublińskiej Zatoce, a jego włosy o barwie jasnego dębu poruszały się nieznacznie.

- Boże, powiedział cicho. Czy morze nie jest tym, czym nazywa je Ałgy: szarą, słodką matką? Smarkozielone morze, mosznękurczące morze. Epi oinopa ponton. Ach, Dedalusie, Grecy. Muszę cię nauczyć. Musisz ich czytać w oryginale. Thalatta! Thalatta! Jest ono naszą ogromną, słodką matką. Podejdź i spójrz.

Stefan wstał i podszedł ku obramowaniu. Wsparty na nim, spojrzał w dół ku wodzie i ku pocztowemu stateczkowi, wypływającemu z wylotu portu Kingstown.

- Nasza potężna matka, powiedział Buck Mulligan.

Nagle oderwał wielkie, badawcze oczy od morza i zwrócił je ku twarzy Stefana.

- Ciotka sądzi, że zabiłeś swoją matkę, powiedział. Dlatego nie pozwala mi się z tobą zadawać.

- Ktoś ją zabił, powiedział Stefan posępnie.

- Niech to przeklną, mogłeś przecież uklęknąć, K-inch, kiedy twoja umierająca matka poprosiła cię o to, powiedział Buck Mulligan. Jestem tak samo zimnokrwisty jak ty. Ale kiedy

pomyślę o twojej matce, błagającej cię ostatnim tchnieniem, żebyś ukląkł i pomodlił się za nią. A tyś odmówił. Jest w tobie coś złowrogiego...

Urwał i raz jeszcze namydlił lekko drugi policzek. Pobłażliwy uśmiech wykrzywił mu wargi.

- A cóż za piękny błazen, wymamrotał do siebie. Kinch, najpiękniejszy błazen z nich wszystkich.

Golił się gładko i z uwagą, w milczeniu, poważnie.

Stefan wsparł łokieć na poszczerbionym granicie, przyłożył dłoń do czoła i spojrzał na wystrzępiony koniec rękawa swojej czarnej, wyświeconej marynarki. Ból, nie będący jeszcze bólem miłości, zaniepokoił jego serce. Po śmierci przyszła do niego cicho, we śnie, a jej wyniszczone ciało, ubrane w luźną, brunatną suknię, w której złożono ją do grobu, wydzielało woń wosku i różanego drzewa; jej oddech, pochylający się nad nim, był niemy, pełen wyrzutu i lekkiego zapachu wilgotnych popiołów. Ponad wystrzępionym rękawem dostrzegał morze, które dobrze odżywiony głos za jego plecami pozdrawiał jako ogromną, słodką matkę. Pierścień zatoki i widnokregu otaczał matowozieloną masę płynu. Biała, porcelanowa miska stała obok jej śmiertelnego łoża, zawierając w sobie zielonkawą, lepka żółć wydartą z jej gnijącej wątroby paroksyzmami głośnych, stękliwych wymiotów.

Buck Mulligan raz jeszcze wytarł ostrze brzytwy.

- Ach, biedna psia duszo, powiedział dobrotliwie. Muszę ci dać koszulę i parę ścierek do nosa. A jak noszą się te portki z drugiej ręki?

- Pasują nieźle, odpowiedział Stefan.

Buck Mulligan zaatakował zagłębienie pod dolną wargą.

- A cóż to za szyderstwo, powiedział z zadowoleniem, powinny się nazywać:

z drugiej nogi. Bóg jeden wie, jaka francowata pijaczyna je porzuciła. Mam jeszcze piękną parę szarych w prążki. Będiesz w nich wyglądał niesłychanie. Nie żartuję, Kinch. Wyglądasz cholernie dobrze, kiedy jesteś przyzwoicie ubrany.

- Dziękuję, odpowiedział Stefan. Nie mogę ich nosić, jeżeli są szare.

- On nie może ich nosić, powiedział Buck Mulligan do swojej twarzy w lusterku. Etykieta jest etykietą. Zabija swoją matkę, ale nie może nosić szarych spodni.

Zręcznie złożył brzytwę i sprawdził gładkość skóry poduszczkami palców. Stefan odwrócił wzrok od morza ku pulchnej twarzy o dymnoniebieskich ruchliwych oczach.

- Ten facet, z którym byłem zeszłej nocy w Okręcie, powiedział Buck Mulligan, mówi, że masz o.p.s. Jest tam razem z Connoły Normanem, w Bzikogrodzie. Ogólne porażenie szaleństwem.

Zatoczył lusterkiem półkole w powietrzu, aby przesłać tę wieść ku słońcu, które lśniło teraz na powierzchni morza. Łuki jego ogolonych warg uśmiechały się wraz z krawędziami białych, połyskujących zębów. Śmiech ogarnął całą jego mocną, masywną sylwetkę.

- Spójrz na siebie, powiedział, ty przerażający bardziej.

Stefan pochylił się ku przodowi i najeżony zerknął w rozcięte krzywym pęknięciem lusterko, które mu podsunęto. Takim widzi mnie on i widzą inni. Kto wybrał dla mnie tę twarz? Tę psią mordę, wymagającą odwszenia? Ona także mnie zapytuje.

- Buchnąłem je z pokoju kuchty, powiedział Buck Mulligan. Pasuje zresztą do niej. Ciocia zawsze ma brzydkie służące dla Malachiego. Aby nie wodzić go na pokuszenie. A imię jej jest Urszula.

Znowu roześmiał się i usunął lusterko sprzed zerkających w nie oczu Stefana.

- Wściekłość Kalibana nie mogącego zobaczyć swojej twarzy w lustrze, powiedział. Gdyby tylko Wilde żył i mógł cię zobaczyć.

Cofnąwszy się i wskazując palcem, Stefan powiedział z goryczą:

- To symbol irlandzkiej sztuki. Pęknięte lusterko służącej. Buck Mulligan niespodziewanie ujął Stefana pod ramię i zaczął się z nim przechadzać wokół wieży, a brzytwa i lusterko klekotały w kieszeni, do której je wrzucił.

- To nieładnie tak ci dokuczać, prawda? powiedział serdecznie. Bóg widzi, że masz więcej w sobie niż którykolwiek z nich.

Jeszcze jedno odparowanie. Obawia się lancetu mojej sztuki, jak ja obawiam się jego lancetu. Zimne żelazo pióra.

- Pęknięte lusterko służącej. Powiedz to temu wołowi tam na dole i ustrzel go na gwineę. Cuchnie od forsy i sądzi, że nie jesteś gentlemanem. Jego stary nabił sobie kabzę, sprzedając Zulusom jałapę albo też zrobiwszy jakieś inne przekłete oszustwo. Mój Boże, Kinch, ty i ja, gdybyśmy tylko zaczęli pracować razem, moglibyśmy zrobić coś dla tej wyspy. Zhellenizować ją.

Ramię Cranly'ego. Jego ramię.

- I pomyśleć, że musisz zebrać u tych świń. Jestem jedynym, który wie, kim jesteś. Dlaczego mi bardziej nie zaufasz? Co masz w zanadrzu przeciw mnie? Czy chodzi o Hainesa? Jeżeli piśnie tylko, to sprowadzę tu Seymoura i zrobimy mu darcie na szmaty, gorsze nawet niż to, które zrobili Clive Kempthorpe'owi.

Młodzieńcze wrzaski zamożnych głosów w pokojach Clive Kempthorpe'a. Bladetwarze: trzymają się za boki ze śmiechu, jeden klepie drugiego, o, chyba skonom! Przekaż jej ostrożnie te wieści, Aubrey! Och, umrę! Bijąc powietrze strzępami, które pozostały z koszuli, i mając spodnie opuszczone do kostek, podskakuje i potyka się wokół stołu, a Ades z Kolegium Magdaleny ściga go uzbrojony w krawieckie nożyce. Twarz przerażonego cielaka pozłocona pomarańczową marmoladą. Nie chcę, nie zdejmujcie mi spodni, nie próbujcie robić ze mnie frajera!

Wrzaski z otwartego okna płoszą wieczór na kwadratowym dziedzińcu. Głuchy ogrodnik w fartuchu, zamaskowany twarzą Matthew Arnolda, popycha wzdłuż zamglonej łąki maszynkę do strzyżenia trawników, śledząc uważnie tańczące koniuszki żdźbeł.

Dla nas samych... nowi poganie... omphalos.

- Niech zostanie, powiedział Stefan. Pomijając te noce, jest zupełnie w porządku.

- Więc o co chodzi? zapytał niecierpliwie Buck Mulligan. Wykrztuś to z siebie. Jestem z tobą zupełnie szczerzy. Co masz przeciwko mnie?

Przystanęli, patrząc w stronę tępego wierzchołka Bray Head, leżącego na wodzie jak łeb uśpionego wieloryba. Stefan spokojnie uwolnił ramię.

- Czy chcesz, żebym ci powiedział? zapytał.

- Tak, o co chodzi? odpowiedział Buck Mulligan. Nie przypominam sobie niczego.

Mówiąc patrzył w twarz Stefana. Lekki wiatr musnął jego czoło, rozrzucając miękkie, jasne, nie uczesane włosy i budząc w oczach srebrne punkciki niepokoju.

Przygnębiony brzmieniem swego głosu, Stefan powiedział:

- Czy przypominasz sobie, że następnego dnia po śmierci matki przyszedłem do twojego domu?

Buck Mulligan zmarszczył się natychmiast i zapytał:

- Co? Gdzie? Niczego sobie nie przypominam. Pamiętam tylko pomysły i wrażenia. Dlaczego? A co się stało, na miłość boską?

- Przyrządzałeś herbatę, powiedział Stefan, a ja przeszedłem przez hali, żeby przynieść jeszcze trochę gorącej wody. Twoja matka wyszła z salonu razem z jakimś gościem. Zapytała cię, kto jest w twoim pokoju.

- Tak? powiedział Buck Mulligan. Co odpowiedziałem? Nie pamiętam.

- Odpowiedziałeś, powiedział Stefan, O, to tylko Dedalus, którego matka tak ohydnie umarła.

Rumieniec, który uczynił go młodszym i bardziej ujmującym, ukazał się na policzkach Bucka Mulligana.

- Czy powiedziałem tak? No i co? Co w tym złego? Nerwowo otrząsnął się ze skrępowania.

- A czymże jest śmierć, zapytał, twojej matki, twoja albo moja? Tyś widział tylko twoją matkę umierającą. Ja ich widzę co dnia, odwalających kitę w Mater albo w Richmond i krojonych na plasterki w sali sekcyjnej. Jest to ohydna rzecz i nic więcej. To po prostu nie ma znaczenia. Nie chciałeś uklęknąć przy łóżku twojej umierającej matki i pomodlić się za nią, chociaż cię prosiła. Dlaczego? Ponieważ masz w sobie tę przeklętą jezuicką żyłkę, tylko że przebiega ona w przeciwnym kierunku. Dla mnie to wszystko jest niedorzecznością i ohydą. Jej płaty mózgowe przestają funkcjonować. Nazywa lekarza Sir Piotrem Teazie i zrywa jaskry z kołdry. Dogadza jej, póki nie będzie po wszystkim. Sprzeciwiłeś się jej ostatniemu, przedśmiertnemu życzeniu, a jednak dąsas się na mnie, bo nie wykrzywiam się płaczliwie jak niemowa najęty od Lalouette'a. Nonsens! Przypuszczam, że powiedziałem to. Nie chciałem znieważać pamięci twojej matki.

Mówiąc odzyskał pewność siebie. Osłoniwszy otwarte rany, które słowa te pozostawiły w jego sercu, Stefan powiedział lodowato:

- Nie myślę o znieważeniu mojej matki.

- Więc o czym? zapytał Buck Mulligan.

- O znieważeniu mnie, odparł Stefan. Buck Mulligan okręcił się na pięcie.

- Niemożliwa osoba! wykrzyknął.

Odszedł szybko wzdłuż obramowania. Stefan pozostał na miejscu, spoglądając ponad powierzchnią spokojnego morza w stronę przylądka. Morze i przylądek były teraz zamglone. Puls bił mu w oczach, przesłaniając widzenie, a gorączka paliła policzki.

W głębi wieży zabrzmiał donośny głos:

- Mulligan, czy jesteś tam na górze?

- Już idę, odparł Buck Mulligan.

Zwrócił się ku Stefanowi i powiedział:

- Spójrz na morze. Cóż je obchodzą urazy? Odrzuć Loyolę, Kinch, i zejdz na dół. Sassenach żąda swojej porannej wędzonki.

Głowa jego znieruchomiała jeszcze raz na chwilę, na równi z dachem, gdy zniknął w wylocie schodów:

- Nie dręcz się tym przez cały dzień. Jestem niekonsekwentny. Daj spokój smętnym rozmyśleniom.

Głowa jego znikła, ale głęboki pomruk schodzącego głosu zadudnił u wylotu schodów:

Porzuć samotne rozmyślenia O serca gorzkiej tajemnicy, Bo Fergus wozy gna spiżowe.

Pośród porannego spokoju cienie lasów płynęły cicho od strony wylotu schodów ku morzu, na które patrzył. W głębi zatoki i poza nią lustro wody białało, poruszane lekkoobutymi, szybkimi stopami. Biała pierś zamglonego morza. Akcenty połączone parami. Ręka skubiąca struny harfy, zespalająca ich splecione akordy. Białofaliste, zaślubione słowa, drgające na zamglonej powierzchni.

Chmura powoli zakryła słońce, ocinając zatokę głębszą zielenią. Leżała w dole, miska pełna gorzkich wód. Piosenka Fergus: śpiewałem ją sam w domu, przedłużając przeciągłe, posępne akordy. Jej drzwi były otwarte: chciała słyszeć mnie grającego. Oniemiały z litości i zgrozy podszedłem do jej łóżka. Płakała na swoim nędznym posłaniu. Przez te słowa, Stefanie: o serca gorzkiej tajemnicy.

A teraz gdzie?

Jej sekrety: stare wachlarze z piór, frędzelkami ozdobne, piżmem pudrowane karneciki balowe, sznur bursztynowych paciorków w jej zamkniętej szufladzie. Klatka z ptaszkiem, zawieszona w słonecznym oknie domu jej dzieciństwa. Słyszała starego Royce'a śpiewającego w pantomimie o Turko Straszliwym i śmiała się wraz z innymi, gdy śpiewał:

Jestem artysta, Który korzysta Z niewidzialności.

Duch dawnej radości odłożony do szuflady: piżmempachnący. Porzuć samotne rozmyślenia.

Odłożona wraz ze swymi zabawkami do szuflady wspomnień natury. Wspomnienia ogarnęły jego zadumany umysł. Szklanka wody, którą nalewała z kuchennego kranu po przyjęciu komunii. Wydrążone jabłko, pełne brunatnego cukru, przypiekające się dla niej na blasze w ciemny, jesienny wieczór. Jej kształtne paznokcie zaczerwienione krwią rozgniecionych wszy, znalezionych na koszulach dzieci.

We śnie cicho przyszła do niego, a jej wyniszczone ciało, ubrane w luźną suknię, w której złożono ją do grobu, wydzielalo woń wosku i różanego drzewa; jej oddech, pochylający się nad nim i pełen tajemnych, niemych słów: nikła woń wilgotnych popiołów.

Jej szkliste, martwo już spoglądające oczy, aby wstrząsnąć i ugiąć moją duszę. Patrzące tylko na mnie. Upiorna świeca, oświetlająca jej konanie. Upiorny blask na udręczonej twarzy. Jej chrapliwy, głośny oddech, rżący w przerażeniu, podczas gdy wszyscy modlili się na

klęczkach. Jej oczy, wpatrzone we mnie, aby powalić mnie na ziemię. Liliata rutiiantium te confessorum turma circumdet: iubilantium te yirginum chorus excipiat.

Wilkołaku! Trupożerco!

Nie, mamó. Pozwól mi być i pozwól mi żyć.

- Kinch, ahoy!

Głos Bucka Mulligana zabrzmiał śpiwnie w głębi wieży. Potem dobiegł z bliższego punktu schodów, nawołując powtórnie. Stefan, rozdygotany jeszcze płaczem swej duszy, poczuł ciepłe, przelatujące światło słoneczne, a w powietrzu za sobą usłyszał przyjazne słowa.

- Dedalus, zejdz jak dobry prostaczek. Śniadanie gotowe. Haines przeprasza za obudzenie nas tej nocy. Wszystko w porządku.

- Idę, powiedział Stefan, odwracając się.

- Chodź, na miłość boską, zawołał Buck Mulligan, na moją miłość i na miłość nas wszystkich.

Głowa jego zniknęła i pojawiła się znowu.

- Powiedziałem mu o twoim symbolu irlandzkiej sztuki. Mówi, że to bardzo mądre. Ustrzel go na funta, dobrze? To znaczy, na gwineę.

- Płacą mi dzisiaj, powiedział Stefan.

- Forsa ze szkolnego bajzia? Ile? Cztery funty? Pożycz nam jednego.

- Jeżeli jest ci potrzebny.

- Cztery lśniące suwereny, zawołał z uciechą Buck Mulligan. Urządzimy wspaniałe pijaństwo, żeby wprawić w zdumienie tych druidycznych druidów. Cztery wszechmocne suwereny.

Uniósł ręce i z tupotem zbiegł po schodach, śpiewając fałszywie londyńskim, gwarowym akcentem:

Czyż nam nie miło czas upłynie

Przy whisky, piwie i przy winie

W dzień koronacji,

W dzień koronacji!

Czyż nam nie miło czas upłynie

W dzień koronacji!

Ciepły blask słońca, weselący się ponad morzem. Niklowana miseczka do golenia lśniła zapomniana na obramowaniu. Dlaczego mam ją znosić na dół? Albo pozostawić ją tu na cały dzień, wzgardzoną przyjaźń?

Podszedł ku niej i przez chwilę trzymał ją w dłoniach, czując jej chłód i wdychając zapach lepkiej piany, w której tkwił pędzel. Tak samo niosłem trybularz z kadzidłem wtedy, w Clongowes. Jestem inny teraz, a jednak taki sam. Także sługa. Sługa sługi.

W mrocznej, sklepionej, mieszkalnej komnacie wieży owinięta szlafrokiem sylwetka Bucka Mulligana poruszała się żywo wokół paleniska, przestaniając i odsłaniając jego żółty żar. Wpadające z dwóch wysokich strzelnic włącznie łagodnego światła dziennego krzyżowały się na kamiennej posadzce: w miejscu spotkania promieni unosiła się wirująca chmura dymu węglowego i opary smażonego boczk.

- Zadusimy się, powiedział Buck Mulligan. Haines, czy możesz otworzyć te drzwi?

Stefan postawił miseczkę do golenia na skrzyni. Wysoka, siedząca w hamaku postać uniosła się, podeszła do progu i otworzyła wewnętrzne drzwi.

- Czy masz klucz? zapytał głos.

- Dedalus go ma, powiedział Buck Mulligan. Święty Jacku, duszę się! I nie podnosząc głowy znad piecyka, zawył:

- Kinch!

- Jest w zamku, powiedział Stefan podchodząc.

Klucz zgrzytnął chrapliwie dwa razy, a kiedy ciężkie drzwi zostały otwarte na oścież, weszło upragnione światło i czyste powietrze. Haines stał w progu, spoglądając na zewnątrz. Stefan ustawił pionowo swoją walizkę, przyciągnął ją do stołu i usiadł, czekając. Buck Mulligan cisnął to, co usmażył, na stojący pod ręką półmisek. Potem przeniósł półmisek i wielki imbryk na stół, postawił je ciężko i odetchnął z ulgą.

- Topnieję, powiedział, jak zauważyła świeca, gdy... Ale cicho, sza! Ani słowa więcej o tym przedmiocie. Kinch, zbudź się. Chleb, masło, miód. Haines, wejdź. Żarcie gotowe. Pobłogosław nas. Boże, i te dary twoje. Gdzie cukier? O, kurwa, nie ma mleka.

Stefan przyniósł ze skrzyni bochenek, garnek z miodem i maselnickę. Buck Mulligan usiadł, nadąsany nagle.

- A cóż to za burdel? powiedział. Kazałem jej przyjść po ósmej.

- Możemy pić herbatę bez mleka, powiedział Stefan, w skrzyni jest cytryna.

- O, bądź przeklęty razem z twoimi paryskimi pozami. Chcę mleka z Sandycove. Haines zawrócił od progu i powiedział spokojnie:

- Nadchodzi kobieta z mlekiem.

- Błogosławieństwo boże nad tobą, zawołał Buck Mulligan zrywając się z krzesła. Siadaj. Nalej herbaty. Cukier jest w woreczku. Nie mogę się już dłużej grzebać w tych przeklętych jajach.

Pokrajał wędzonkę na półmisku i cisnął ją na trzy talerze, mówiąc:

- In nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti. Haines usiadł, żeby nalać herbatę.

- Daję każdemu z was po dwa kawałki, powiedział. Ale powiem ci, Mulligan, że zaparzasz naprawdę mocną herbatę.

Odcinając grube kromki od bochenka, Buck Mulligan powiedział przypochlebnym głosem starej kobiety:

- Kiedy se leję herbatę, to se leję herbatę, jak powiedziała stara matka Grogan. A kiedy leję co insze, to leję co insze.

- Na Jowisza, to jest herbata, powiedział Haines. Buck Mulligan nie przestawał krajać i przymilać się.

- Tak robię, moja pani Cahill, powiada ona. Nie gniewaj się, paniusiu, powiada pani Cahill, ale niech cię Bóg strzeże, żebyś nie lała jednego i drugiego w ten sam garnek.

Przysunął współbiesiadnikom grube pajdy chleba wbite na koniec noża.

- To folklor dla twojej książki, Haines, powiedział bardzo poważnie. Pięć linijek tekstu i dziesięć stron przypisów o ludku i rybogach Dundrum. Wydrukowane przez siostry Parki w roku wielkiego wichru.

Zwrócił się ku Stefanowi i unosząc brwi, zapytał doskonale zaciekawionym głosem:

- Spróbuj przypomnieć sobie, bracie, czy szczynoherbaciane naczynie matki Grogan wzmiankowane jest w Mabinogionie, czy w upaniszadach?

- Wątpię w to, odpowiedział Stefan poważnie.

- Doprawdy? zapytał Buck Mulligan tym samym tonem. A dlaczego, proszę?

- Zdaje mi się, powiedział Stefan, nie przerywając jedzenia, że nie istniała ona ani w, ani poza Mabinogionem. Można przypuszczać, że matka Grogan była krewną Mary Ann.

Zadowolenie rozjaśniło twarz Bucka Mulligana.

- Czarujące, powiedział przesadnie afektowanym, słodkim głosem, ukazując białe zęby i wesoło mrugając oczami. Więc sądzisz, że nią była? Naprawdę czarujące.

Potem zachmurzył się niespodziewanie i znowu rozpoczął zapalczywie kroić chleb, mrucząc chrapliwym, skrzypiącym głosem:

Bo stara Mary Ann

Gwiżdże na cały kram

I tylko dba, by zadrzeć kieckę swą...

Zatkał sobie usta wędzonką i zaczął gryźć nucąc. Wchodząca postać zaciemniła otwór wejściowy.

- Mleko, proszę pana.

- Niech pani wejdzie, powiedział Mulligan. Kinch, przynieś dzbanek. Stara kobieta podeszła bliżej i stanęła obok Stefana.

- Piękny mamy ranek, proszę pana, powiedziała. Chwała niech będzie Najwyższemu.

- Komu? zapytał Mulligan, zerkając na nią. Ach, oczywiście. Stefan sięgnął za siebie i zdjął ze skrzyni dzbanek do mleka.

- Wyspiarze, powiedział niedbale Mulligan do Hainesa, często wymawiają imię poborcy obrzezek.

- Ile, proszę pana? zapytała stara kobieta.

- Kwartę, powiedział Stefan.

Przyglądał się jej, gdy nalewała do miarki, a potem do dzbanka gęste, białe mleko, nie pochodzące od niej samej. Szare, pomarszczone sutki. Wlała jeszcze jedną miarkę i dokładkę. Stara i tajemnicza przybyła z porannego świata, może jako wysłannik. Nalewając mleko zachwalała jego jakość. O świcie na soczystej łące kuca obok cierplivej krowy jak czarownica na swym muchomorze, a jej pomarszczone palce są szybkie wokół tryskających wymion. Rosistojedwabiste bydło ryczy wokół niej, którą zna. Perła pastwisk i stara, biedna kobieta. Imiona nadawane jej w dawnych czasach. Wędrująca staruszka, niższa forma nieśmiertelności, służąca swemu zdobywcy i beztroskiemu uwodzicielowi, nałożnica ich obu, wysłanniczka tajemnego poranka. Służyć czy złorzeczyć? Nie umiał na to odpowiedzieć, ale gardził poszukiwaniem jej łask.

- Rzeczywiście piękny, proszę pani, powiedział Buck Mulligan, nalewając mleko do filiżanek.

- Niech pan spróbuje, powiedziała. Wypił, posłuszny prośbie.

- Gdybyśmy tylko zawsze mogli odżywiać się tak zdrowo, powiedział do niej trochę za głośno, kraj nie byłby pełen popsutych zębów i popsutych flaków. Żyjemy w bagnistych

moczarach, odżywiamy się marnie, a ulice nasze są pokryte kurzem, końskim nawozem i gruzliczymi plwocinami.

- Czy pan jest studentem medycyny? zapytała staruszka.

- Jestem, proszę pani, odpowiedział Buck Mulligan.

Stefan słuchał w pogardliwym milczeniu. Kłoni swoją starą głowę przed mówiącym do niej donośnym głosem, przed swym stawignatem, przed swym konowalem: mnie lekceważy. Kłoni głowę przed głosem, który wypowiada i namaści do grobu ją całą prócz jej kobiecego, nieczystego łona, nie uczynionego na podobieństwo boże, lecz ludzkie, i będącego łupem węża. Przed donośnym głosem, który teraz każe jej milczeć i mieć rozbiegane, niepewne oczy.

- Czy zrozumiała pani, co on powiedział? zapytał Stefan.

- Czy mówił pan po francusku? zapytała staruszka Hainesa. Haines odezwał się do niej powtórnie; tym razem mówił dłużej i z większą pewnością siebie.

- Irlandzki, powiedział Buck Mulligan. Czy umie pani po gaelicku?

- Słuchając pomyślałam sobie, że to pewnie będzie po irlandzku, powiedziała stara kobieta. Czy pan pochodzi z zachodu?

- Jestem Anglikiem, odparł Haines.

- Jest Anglikiem, powiedział Buck Mulligan, i sądzi, że powinniśmy mówić w Irlandii po irlandzku.

- Pewnie, że powinniśmy, odrzekła stara kobieta, i wstyd mi, że sama nie umiem. Ci, co go znają, powiadają, że to wspaniały język.

- Wspaniały to nie jest dla niego określenie, powiedział Buck Mulligan. Jest po prostu cudowny. Nalej nam jeszcze trochę herbaty, Kinch. Czy wypije pani filiżankę?

- Nie, dziękuję panu, proszę pana, powiedziała, wsuwając na ramię pierścień bańki i przygotowując się do odejścia. Haines zapytał ją:

- Czy ma pani rachunek? Słuchaj, Mulligan, lepiej od razu jej zapłaćmy, prawda?

Stefan jeszcze raz napełnił trzy filiżanki.

- Rachunek, proszę pana, powiedziała zatrzymując się. To będzie siedem razy rano po pół kwarty po dwa pensy to znaczy siedem razy dwa to będzie szyling i dwa pensy i jeszcze trzy razy rano po kwarcie po cztery pensy to będzie trzy kwatery to będzie szyling i szyling i dwa pensy to będzie dwa szylingi i dwa pensy, proszę pana.

Buck Mulligan westchnął i wepchnąwszy sobie w usta przylepkę posmarowaną grubo masłem po obu stronach, wyciągnął przed siebie nogi i zaczął przeszukiwać kieszenie spodni.

- Zapłać i zrób przyjemny wyraz twarzy, powiedział do niego Haines uśmiechając się.

Stefan napełnił trzecią filiżankę; łyżeczka herbaty blado zabarwiła tłuste, gęste mleko. Buck Mulligan wyciągnął florena, obrócił go w palcach i zawołał:

- Cud!

Pchnął go po powierzchni stołu w kierunku starej kobiety, mówiąc:

- O więcej nie prosź mnie, słodka moja. Daję ci wszystko, co mogę dać. Stefan wsunął monetę w jej pełną wahania dłoń.

- Będziemy pani winni dwa pensy, powiedział.

- Nie ma pośpiechu, proszę pana, odparła biorąc pieniądź. Nie ma pośpiechu. Dobrego dnia panu życzę.

Dygnęła i wyszła, ścigana czułymi słowami piosenki Bucka Mulligana:

Duszo mej duszy, gdybym miał więcej, więcej bym złożył u twoich stóp.

Zwrócił się ku Stefanowi i powiedział:

- Serio, Dedalus, jestem splukany. Biegnij do tego twojego szkolnego bajzla i przynieś nam trochę forsy. Dziś bardowie muszą pić i biesiadować. Irlandia oczekuje, że każdy spełni dzisiaj swą powinność.

- To mi przypomina, powiedział Haines wstając, że mam dzisiaj odwiedzić waszą bibliotekę narodową.

- Najpierw popływamy, powiedział Buck Mulligan. Odwrócił się i zapytał łagodnie:

- Czy to dziś przypada ów dzień miesiąca, w którym się myjesz, Kinch? Później powiedział do Hainesa:

- Ów nieczysty bard ma za punkt honoru myć się tylko raz w miesiącu.

- Cała Irlandia jest obmywana Golfsztromem, powiedział Stefan, zezwalając, by miód spłynął po kromce.

Z kąta, w którym luźno przewiązywał szarfą otwarty kołnierz swojej tenisowej koszuli, Haines powiedział:

- Chciałbym sobie zrobić zbiór twoich powiedzonek, jeżeli pozwolisz. Mówi do mnie. Myją się i kąpią, i szorują. Kąsanie przewin. Świadomość. A jednak jest tu plama.

- To o pękniętym lusterku służącej, będącym symbolem sztuki irlandzkiej, jest diabelnie dobre.

Buck Mulligan kopnął pod stołem nogę Stefana i powiedział ciepłym głosem:

- Zaczekaj, aż usłyszysz go mówiącego o Hamlecie, Haines.

- Mam to na myśli, powiedział Haines, zwracając się nadal do Stefana. Właśnie myślałem o tym, kiedy weszło to biedne, stare stworzenie.

- Czy zarobiłbym na tym pieniądze? zapytał Stefan. Haines roześmiał się i zdejmując swój szary, miękki kapelusz z haka, na którym uczepiony był hamak, powiedział:

- Skąd mogę wiedzieć?

Ruszył długimi krokami w stronę progu. Buck Mulligan pochylił się nad stołem ku Stefanowi i powiedział z chrapliwą gwałtownością:

- Po coś kładł kopyta na stół? Po coś to powiedział?

- O co chodzi? zapytał Stefan. Rzecz w tym, żeby zdobyć pieniądze. Od mleczarki albo od niego. Myślę, że to jedyny wybór.

- Opowiadał mi cuda o tobie, powiedział Buck Mulligan, aż tu nagle przybywasz ty, ze swoim zawszonym patrzeniem spoode łba i ze swoimi ponurymi jezuickimi narowami.

- Nie spodziewam się wiele, powiedział Stefan, ani od niego, ani od niej. Buck Mulligan westchnął dramatycznie i położył mu dłoń na ramieniu.

- Ode mnie, Kinch.

I niespodziewanie zmienionym głosem dodał:

- Jak Boga kocham, myślę, że masz słuszość. Niewiele są warci oboje. Dlaczego ich nie wykorzystujesz jak ja? Do diabła z nimi wszystkimi. Musimy się wydostać z tego bajzla.

Wstał, z godnością rozwiązał szlafrok i zdjął go, mówiąc z rezygnacją:

- Zwłóczono z Mulligana szaty jego. Wypróżnił kieszenie na stół.

- Masz tu swoją ścierkę do nosa, powiedział.

Wkładając sztywny kołnierzyk i buntowniczy krawat, przemawiał do nich i strofował je, a wraz z nimi dyndający łańcuszek swego zegarka. Gdy wołał o czystą chustkę, ręce zanurzyły się w kuferku i przetrząsały jego zawartość. Kąsanie przewin. Boże, wystarczy tylko ucharakteryzować postać. Potrzebuję purpurowo-brunatnych rękawic i zielonych butów. Sprzeczność. Czy zaprzeczam sobie? Więc dobrze, zaprzeczam sobie. Płochy Malachi. Z jego rozgadanych rąk wyleciał czarny, miękki pocisk.

- A tu masz swój kapelusz z Dzielnicy Łacińskiej, powiedział.

Stefan podniósł kapelusz i włożył go na głowę. Haines zawołał do nich z progu:

- Wy tam, idziecie już?

- Jestem gotów, odpowiedział Buck Mulligan, idąc ku drzwiom. Wychodź, Kinch. Przypuszczam, że zjadłeś już wszystko, co zostawiliśmy.

Zrezygnowany minął próg przemawiając i krocząc z godnością. Powiedział niemal ze smutkiem:

- I ruszywszy przed siebie, napotkał Butterly'ego.

Stefan wziął swoją, opartą o ścianę, jesionową laskę i ruszył za nimi, a nim zeszli po drabiniastych stopniach, naparł na powolne, żelazne drzwi i zamknął je. Włożył ogromny klucz do wewnętrznej kieszeni.

U stóp stopni Buck Mulligan zapytał:

- Wziąłeś klucz?

- Mam go, powiedział Stefan, wyprzedzając ich obu. Poszedł przodem. Poza sobą słyszał Bucka Mulligana, uderzającego ciężkim, kąpielowym ręcznikiem w najwyższe pędy traw i paproci.

- Pochyl się, mój panie. Jak śmiesz, mój panie? Haines zapytał:

- Czy płacie komorne za tę wieżę?

- Dwanaście funtów, odpowiedział Buck Mulligan.

- Sekretarzowi stanu od spraw wojny, dodał Stefan przez ramię. Przystanęli, gdy Haines dokonywał oględzin wieży. Wreszcie powiedział:

- Przypuszczam, że jest raczej ponura zimą. Nazywacie ją Martello, zdaje się?

- Billy Pitt kazał je wybudować, gdy Francuzi wyszli na morze, powiedział Buck Mulligan. Ale nasza jest omphalos.

- Na czym polega twoja idea Hamleta? zapytał Haines Stefana.

- Nie, nie, zawołał z bólem Buck Mulligan. Nie dorównuję Tomaszowi z Akwinu i pięćdziesięciu pięciu przyczynom, które wymyślił, żeby to podtrzymać. Zaczekaj, aż będę miał w sobie kilka kufli.

Zwrócił się ku Stefanowi i powiedział, obciągając schludnie końce swej pierwszokowej kamizelki:

- Nie mógłbyś się chyba podjąć tego poniżej trzech kufli, Kinch, co?
- Tyle czasu to czekało, powiedział Stefan apatycznie, że może poczekać jeszcze trochę.
- Drażnicie moją ciekawość, powiedział dobrodusznie Haines. Czy to jakiś paradoks?
- Ho, ho, powiedział Buck Mulligan. Wyrośliśmy już z Wilde'a i paradoksów. To jest bardzo proste. Dowodzi przy pomocy algebry, że wnuk Hamleta jest dziadkiem Shakespeare'a, a on sam jest duchem swego ojca.
- Co? powiedział Haines, wskazując Stefana. On sam? Buck Mulligan owinał sobie wokół szyi ręcznik jak stułę i gnąc się od szalonego śmiechu, wyszeptał Stefanowi do ucha:
- O duchu starego Kincha! Jafecie poszukujący ojca!
- Rano bywamy zawsze zmęczeni, powiedział Stefan do Hainesa, a to jest dosyć długie opowiadanie.

Idący znowu na przedzie Buck Mulligan uniósł ręce.

- Tylko przenajświętszy kufel potrafi rozwiązać język Dedalusa, powiedział.
 - Chcę powiedzieć, wyjaśnił Haines Stefanowi, gdy ruszyli za nim, że ta wieża i te urwiska przypominają mi w jakiś sposób Elsynor, który ze skały swej w morze spogląda, prawda?
- Buck Mulligan niespodziewanie odwrócił się na chwilę ku Stefanowi, ale nie odezwał się. W jasnym, nagłym ułamku chwili Stefan ujrzał swój wizerunek w taniej, zakurzonej żalobie między ich jasnymi strojami.

- To cudowna opowieść, powiedział Haines, zmuszając ich raz jeszcze do zatrzymania się.

Oczy blade jak morze, wiatrem ochłodzone, ale bledsze, stanowcze i skromne. Władca mórz spoglądał ku południowi ponad zatoką, opustoszałą, jeśli nie liczyć mglistego pióropusza dymu statku pasażerskiego na jasnym widnokregu i żagla lawirującego w pobliżu Muglins.

- Czytałem gdzieś teologiczne wyjaśnienie tego, powiedział w zadumie. Idea Ojca i Syna. Syn walczący o to, żeby zespolić się z Ojcem.

Buck Mulligan natychmiast ukazał im uradowaną, szeroko uśmiechniętą twarz. Gdy spojrzał na nich, jego pięknokształtne usta były radośnie otwarte, a oczy, z których zniknęła nagle cała bystrość, mrugały w szaleńczej wesołości. Poruszył głową ku przodowi i do tyłu jak lalka, aż zadygotało rondo jego słomkowego kapelusza, i zaczął śpiewać cichym, szczęśliwym, głupkowatym głosem:

Ja jestem najbardziej cudacznym chłopakiem, Mam matkę Żydówkę, a ojciec jest ptakiem. Z tym cieślą Józefem żyć w zgodzie nie mogę, Więc zdrowie Kalwarii i uczniów i - w drogę!

Uniósł wskazujący palec, pełen ostrzeżenia.

Jeżeli ktoś w boskość mą wątpi, to sobie Nie łyknie za darmo, gdy wina narobię, Lecz będzie pil wodę i modlił się o to, Bym wino oddając znów zrobił je wodą.

Na pożegnanie szarpnął zręcznie laskę Stefana i biegnąc w kierunku urwiska, zatrzepotał rękami, jakby to były płetwy albo skrzydła kogoś, kto ma się unieść w powietrze. Zaśpiewał:

Żegnajcie, zegnajcie. Zapiszcie me słowa. Powiedzcie tym czterem, że żyję od nowa. Co boskim jest we mnie, uniesie w dal mnie. Na Górze Oliwnej wiatr wieje... Adieu!

W podskokach zbiegł przed nimi w głąb czterdziestostopowej rozpadliny, trzepocząc podobnymi do skrzydeł rękami i skacząc zwinnie. Rozkołysany kapelusz chwiał się w podmuchach świeżego wiatru, przynoszącego im jego krótkie, ptasie okrzyki.

Śmiejąc się powściągliwie Haines dopędził Stefana i powiedział:

- Przypuszczam, że nie powinniśmy się śmiać. On jest raczej bluźnierczy. Chciałbym dodać, że nie jestem wierzący. Ale jego wesołość unieszkodliwia to jakoś, prawda? Jak on to nazwał: Józef Cieśla?

- Ballada o Drwiącym Jezusie, odpowiedział Stefan.

- O, powiedział Haines, więc słyszałeś to już kiedyś?

- Trzy razy dziennie po posiłkach, odparł Stefan sucho.

- Nie jesteś wierzący, prawda? zapytał Haines. To znaczy, mam na myśli, wierzący w wąskim znaczeniu tego słowa. Stwarzanie z niczego i cuda, i wcielony Bóg.

- Wydaje mi się, że istnieje tylko jedno znaczenie tego słowa, powiedział Stefan.

Haines przystanął, żeby wyciągnąć płaską, srebrną papierośnicę, w której zamigotał zielony kamień. Otworzył ją, naciskając kciukiem, i wysunął zapraszająco.

- Dziękuję, powiedział Stefan biorąc papierosa.

Haines też wziął i zatrzasnął papierośnicę. Włożył ją na powrót do bocznej kieszeni i wyjął z kieszonki kamizelki niklowe pudełko z hubką i krzesiwem, otworzył je także i zapaliwszy swojego papierosa, podał Stefanowi płonącą hubkę w muszli złożonych dłoni.

- Tak, oczywiście, powiedział, gdy ruszyli, albo się wierzy, albo nie, prawda? Osobiście nie mógłbym strawić tej idei wcielonego Boga. Mam nadzieję, że nie jesteś jej zwolennikiem?

- Widzisz we mnie obrzydliwy okaz wolnomyśliciela, powiedział Stefan z ponurym niezadowoleniem.

Czekając, aż tamten się odezwie, poszedł dalej, wlokąc laskę po ziemi. Jej okucie sunęło za nim lekko po ścieżce, skrzypiąc u obcasów. Mój powiernik, wołający za mną: Steeeeeeeeeefan! Zygzakowaty ślad na ścieżce. Będą szli po niej dzisiejszej nocy, powracając

tędy w ciemności. On chciałby wziąć ten klucz. Klucz jest mój. To ja zapłaciłem komorne. A teraz jem jego gorzki chleb. Więc dam mu także ten klucz. Wszystko. Zażąda go. To było w jego wzroku.

- Ale pomimo wszystko, zaczął Haines...

Stefan odwrócił się i zauważył, że zimne spojrzenie, które go mierzyło, nie było wcale nieżyczliwe.

- Ale pomimo wszystko myślę, że możesz się wyzwolić. Jesteś przecież swoim własnym panem, jak mi się wydaje.

- Jestem sługą dwóch panów, powiedział Stefan, Anglika i Włocha.

- Włocha? zapytał Haines.

Szalona królowa, stara i zazdrosna. Uklęknij przede mną.

- I trzeciego, powiedział Stefan, który potrzebuje mnie do dorywczych poleceń.

- Włocha? powtórzył Haines. Co chcesz przez to powiedzieć?

- Imperium Brytyjskiego, powiedział Stefan czerwieniąc się, i świętego, rzymskiego, apostołskiego Kościoła katolickiego.

Przed następnym odezwaniem się Haines oderwał od dolnej wargi kilka włókienek tytoniu.

- Mogę to doskonale zrozumieć, powiedział spokojnie. Mam odwagę twierdzić, że Irlandczyk musi tak rozumować. Czujemy w Anglii, że potraktowaliśmy was trochę nieuczciwie. Zdaje się, że trzeba winić historię.

Dumne, władcze godła rozgrzmiały w pamięci Stefana tryumfem swych spiżowych dzwonów: et unam sanctam catholicam et apostolicam ecclesiam: powolny wzrost, zmiana obrządku i dogmatu, podobne do zmiany jego własnych, niezwykłych myśli, alchemia gwiazd. Symbol apostołów w mszy papieża Marcellusa, zespolone głosy, śpiewające jak jeden w donośnej afirmacji: a ukryty za ich śpiewem czujny anioł wojującego Kościoła rozbija i gromi herezjarchów. Horda herezji uciekających z przekrzywionymi mitrami: Focjusz i plemię szyderców, z których jednym był Mulligan, i Ariusz, wojujący przez całe życie przeciw współistotności Ojca i Syna, i Walentyn, gardzący ziemskim ciałem Chrystusa, i Sabelius, przebiegły herezjarcha afrykański, utrzymujący, że Ojciec jest swym własnym Synem. Słowa, które Mulligan wypowiedział przed chwilą, drwiąc w obecności obcego. Próżna drwina. Nicość oczekuje z pewnością tych wszystkich tkaczy wiatru: groza, obezwładnienie i zniweczenie ze strony gotowych do boju aniołów Kościoła, Michałowych zastępów, które swymi włóczniami i tarczami niezmiennie osłaniają Kościół w godzinie walki.

Słuchajcie, słuchajcie. Przedłużające się oklaski. Zut! Nom de dieu!

- Oczywiście, jestem Brytyjczykiem, zabrzmiał głos Hainesa, i czuję jak Brytyjczyk. Nie chcę także przyglądać się, gdy kraj mój wpada w ręce niemieckich żydów. Obawiam się, że w tej chwili jest to nasz narodowy problem.

Dwaj ludzie stali na krawędzi skały patrząc: człowiek interesu, człowiek morza.

- Płynie do portu Bullock.

Z pewną pogardą człowiek morza wskazał głową północny kraniec zatoki.

- Tam jest pięć sążni, powiedział. Wypłynie w tamtej okolicy, mniej więcej o pierwszej, kiedy nadejdzie przypływ. Dziś mija dziewiąty dzień.

Człowiek, który utonął. Żagiel błędzący po pustej zatoce, oczekujący, by opuchły toból wypłynął na powierzchnię i odwrócił ku słońcu wzdętą twarz, białą jak sól. Oto jestem.

Poszli wzdłuż krętej ścieżki, prowadzącej w dół, ku małej zatoczce. Buck Mulligan stał na kamieniu w samej tylko, koszuli, a odpięty krawat powiewał mu przez ramię. Niedaleko od niego, uczepony skalnej ostrogi, młody człowiek żabio poruszał zielonymi nogami pośród galaretowatej wodnej głębi.

- Czy twój brat jest z tobą, Malachi?

- Jest w Westmeath. Z Bannonami.

- Wciąż jeszcze? Dostałem kartkę od Bannona. Mówi, że znalazł sobie tam jakieś słodkie, młode stworzenie. Nazywa ją foto-dziewczyną.

- Migawka, co? Krótkie wywołanie.

Buck Mulligan usiadł, żeby rozsznurować buty. W pobliżu skalnej ostrogi niespodziewanie wystrzeliła sapiąca, czerwona twarz starego człowieka. Zaczął gramolić się w górę po kamieniach. Woda lśniła na jego czaszce i wieńcu siwiejących włosów, ściekała po piersi i brzuchu strumykami i tryskała z czarnej przepaski na biodrach.

Buck Mulligan usunął się, żeby zrobić mu przejście, i zerkając na Hainesa i Stefana uczynił kciukiem pobożny znak krzyża na czole, wargach i mostku.

- Seymour wrócił do miasta, powiedział młody człowiek, obejmując ponownie skalną ostrogę. Rzucił medycynę i idzie do wojska.

- Och, idź do Boga, powiedział Buck Mulligan.

- W przyszłym tygodniu wyjeżdża, żeby zacząć wkuwać. Znasz tę rudą dziewczynę, Lily Carlisle?

- Tak.
- Gruchała z nim zeszłej nocy na molo. Jej ojciec pęka od forsy.
- A czy przypadkiem jej brzuszek nie pęknie?
- Lepiej zapytaj o to Seymoura.
- Seymour pieprzonym oficerem, powiedział Buck Mulligan. Ściągając spodnie przytaknął sobie i wyprostował się, mówiąc banalnie:
- Rude kobiety podrzucają jak kozy.

Urwał przerażony, macając bok pod trzepoczącą koszulą:

- Moje dwunaste żebro zniknęło, zawołał. Jestem Uebermensch. Bezzębny Kinch i ja, oto nadludzie.

Wyswobodził się z koszuli i cisnął ją za siebie tam, gdzie leżała reszta jego ubrania.

- Wchodzisz tu, Malachi?

- Tak. Zrób miejsce w łóżku.

Młody człowiek odepchnął się i osiągnął środek zatoczki dwoma długimi, gładkimi pociągnięciami. Haines usiadł na kamieniu, paląc.

- Nie wejdiesz? zapytał Buck Mulligan.
- Później, powiedział Haines. Nie zaraz po śniadaniu. Stefan odwrócił się.
- Odchodzę, Mulligan, powiedział.
- Daj nam ten klucz, Kinch, powiedział Buck Mulligan, żeby mi nie zwało koszuli.

Stefan podał mu klucz. Buck Mulligan położył go na swoim ciśniętym bezładnie ubraniu.

- I dwa pensy, powiedział, na kufelek. Rzuć je tam. Stefan rzucił dwa pensy na miękki stos. Ubieranie. Rozbieranie. Buck Mulligan, wyprostowany, z rękami splecionymi przed sobą, powiedział uroczyście:
- Który biedakowi rabuje, Panu użycza. Tako rzecze Zaratustra. Jego pulchne ciało plusnęło.
- Do zobaczenia, powiedział Haines, spoglądając za odchodzącym Stefanem i uśmiechając się do dzikiego Irlandczyka. Róg byka, kopyto konia, uśmiech Saksona.
- Okręt, krzyknął Buck Mulligan. Pół do pierwszej.
- Dobrze, powiedział Stefan.

Poszedł wzdłuż zakręcającej ku górze ścieżki.

Liliata rutiinantium Turma circumdet lubilantium te yirgimim.

Siwa aureola księdza w zagłębieniu, w którym ubierał się dyskretnie. Nie będę tu spał dziś w nocy. Do domu też nie mogę pójść.

Głos słodkobrzmiący i niemilknący wołał go z morza. Znikając za zakrętem kiwnął ręką. Głos zabrzmiał znowu. Lśniaca, brunatna, focza głowa, daleko na wodzie, okrągła.

Uzurpator.

- TY, COCHRANE. JAKIE MIASTO WEZWAŁO GO?

- Tarentum, proszę pana.

- Bardzo dobrze. Co dalej?

- Była tam bitwa, proszę pana.

- Bardzo dobrze. Gdzie?

Pusta twarz chłopca spojrzała pytająco ku pustemu oknu. Zmyślone przez córy pamięci. A jednak w pewien sposób istniało, jak gdyby nie zmyślone przez pamięć. A więc zdanie niecierpliwe, łopot skrzydeł nieumiarkowania Blake'a. Słyszę ruinę całej przestrzeni, brzęk szkła i upadek murów, a czas jest jednym, ostatecznym, sinym płomieniem. Cóż nam więc pozostaje?

- Nie pamiętam miejscowości, proszę pana. 279 przed Chrystusem.

- Asculum, powiedział Stefan, zerkając na nazwę i datę w wystrzępionej książce.

- Tak, proszę pana. I powiedział: Jeszcze jedno takie zwycięstwo, a jesteśmy zgubieni.

To zdanie świat zapamiętał. Posępna ulga dla umysłu. Ze wzgórza nad pokrytą ciałami równiną wsparty na włócznie generał przemawia do swych oficerów. Jakikolwiek generał do jakichkolwiek oficerów. Nadstawiają ucha.

- Ty, Armstrong, powiedział Stefan. Jaki był koniec Pyrrhusa?

- Koniec Pyrrhusa, proszę pana?

- Ja wiem, proszę pana. Niech pan mnie zapyta, powiedział Comyn.

- Zaczekaj. Ty, Armstrong. Czy wiesz coś o Pyrrhusie? Torebka z cukrzonymi figami spoczywała ukryta w tornistrze Armstronga. Od czasu do czasu związał je w zagłębieniu dłoni i połykał ukradkowo. Okruchy przylgnęły do wypukłości warg. Poślodzony chłopięcy

oddech. Zamożni ludzie, dumni z najstarszego syna, który jest w marynarce wojennej. Vico Road, Dalkey.

- O Phallusie, proszę pana? Phallus to taki pał, który się wbija pod molo. Wszyscy się roześmieli. Bezradosnym, wysokim, złośliwym śmiechem. Armstrong odwrócił się profilem i z głupkowatym uśmiechem spojrzał na kolegów. Za chwilę roześmieją się jeszcze głośniejszymi, świadomi mej nieumiejętności utrzymania dyscypliny i wysokości czesnego, które wpłacają ich tatusiowie.

- A teraz powiedz mi, powiedział Stefan, szturchając chłopca książką w ramię, co to jest molo?

- Molo, proszę pana, powiedział Armstrong, to taka rzecz, która sterczy między falami. Rodzaj mostu. Molo w Kingstown, proszę pana.

Niektórzy znów się roześmieli: bezradośnie, ale znacząco. Dwaj w ostatniej ławce zaczęli szeptać. Tak. Oni wiedzieli, nigdy nie musieli się dowiadywać i nigdy nie byli niewinni. Wszyscy. Z zawiścią przyglądał się ich twarzom. Edith, Ethel, Gerty, Lily. Im podobne: ich oddechy, także podobne, posłodzone herbatą i konfiturami, a bransolety ich chichoczą w czasie szamotania.

- Molo w Kingstown, powiedział Stefan. Tak, rozczarowany most. Słowa te wzbudziły niepokój w ich spojrzeniach.

- Jak to, proszę pana? zapytał Comyn. Most jest ponad rzeką. Do zbioru aforyzmów Hainesa. Nie ma tu nikogo, kto mógłby to usłyszeć. Dziś wieczór, zręcznie, pośród dzikiej pijatyki i rozmowy, aby przebić lśniąca zbroję jego umysłu. I co wtedy? Trefniś na dworze pańskim rozzuchwalony i lekceważony, starający się zdobyć poklask pobłażliwego pana. Dlaczego wszyscy wybrali tę rolę? Nie tylko dla uśmierzającej pieszczoty. Im także kraj wydawał się lombardem, a historia jedynie bajką, podobną do wszystkich innych, zbyt często słyszanych.

Gdyby Pyrrhus nie padł z ręki staruchy w Argos albo Cezar nie został zakmty. Nie da się pozbyć myśli o nich. Czas napiętnował ich i spętał, złożeni są w komnacie nieograniczonych możliwości, które odrzucili. Lecz czy to było możliwe, skoro nigdy nie zaistniało? Czy też możliwe było tylko to, co się stało? Tkaj, tkaczu wiatrów.

- Niech pan nam coś opowie, proszę pana.

- Och, tak, proszę pana. Coś o duchach.

- Skąd zaczynamy? spytał Stefan, otwierając inną książkę.

- Nie płacz już, powiedział Comyn.

- No, to jazda, Talbot.

- A historia, proszę pana?

- Później, powiedział Stefan. Jazda, Talbot. Śniady chłopiec otworzył książkę i wsunął ją zmyślnie pod grzbiet swego tornistra. Zaczął recytować urywkami, zerkając na chybił trafił w stronę tekstu:

Nie płacz już, nie płacz, żałosny pasterzu, Bo smutku twego przyczyna, Lycidas, Nie zmarł, choć wodne go skryły głębiny...

Musi to więc być ruch, aktualizacja możliwego jako możliwego. Zdanie Arystotelesa ukształtowało się pośród bełkotanych linijek wiersza i popłynęło w skupioną ciszę biblioteki Saint Genevieve, gdzie czytał co wieczór, ukryty przed grzechem Paryża. U jego boku wątlwy Syjamczyk wkuwał podręcznik strategii. Wypasione i pasące się mózgi wokół mnie: pod rozjarzonymi lampami, przyszpilone, z lekko pulsującymi czułkami: a w ciemności mego umysłu gnuśność podziemnego świata, niechętna, wroga jasności, skręcająca swe smocze, pokryte łuską sploty. Myśl jest myślą myśli. Spokojna jasność. Dusza jest w pewien sposób wszystkim, co istnieje: dusza jest kształtem kształtów. Uspokojenie nagłe, rozległe, rozżarzone: kształtem kształtów.

Talbot powtórzył:

Przez moc najdroższą Tego, co po falach stąpał, Przez moc najdroższą...

- Przewróć, powiedział Stefan cicho. Nic nie widzę.

- Co, proszę pana? zapytał naiwnie Talbot, pochylając się ku przodowi. Jego dłoń przewróciła stronicę. Wyprostował się i ciągnął dalej, właśnie sobie przypomniawszy. Tego, co po falach stąpał. Tu także, na tych tchórzliwych sercach leży jego cień, a także na ich żarliwych twarzach, które ofiarowały mu pieniędzy daniny. Cesarzowi, co cesarskie. Bogu, co boskie. Długie spojrzenie ciemnych oczu, zagadkowe zdanie, które będzie tkane i tkane na krosnach Kościoła. Zaprawdę.

Zgaduj, zgadulo, hop, są, są. Tata mi kazat siać raz, dwa.

Talbot wsunął zamkniętą książkę do swego tornistra.

- Czy usłyszałem wszystko? zapytał Stefan.

- Tak, proszę pana. Hokej o dziesiątej, proszę pana.

- Pół dnia wolne, proszę pana. Czwartek.

- Kto potrafi odgadnąć zagadkę? zapytał Stefan. Ładowali książki grzechocząc ołówkami, szeleszcząc kartkami. Zbiwszy się w gromadę, zapinali paski i sprzączki swych tornistrów, paplając wesoło:

- Zagadka, proszę pana? Niech pan zapyta mnie.

- Och, mnie, proszę pana.

- Trudną, proszę pana.

- Oto zagadka, powiedział Stefan:

Kogut piał jak szalony, W błękitnym niebie dzwony Wybily jedenastą, Więc czas to

Najwyższy, niech ta dusza Biedna do nieba rusza.

- Co to jest?

- Co, proszę pana?

- Jeszcze raz, proszę pana. Nie dosłyszeliśmy.

Oczy ich rozszerzyły się, gdy powtórzył linijki wiersza. Po chwili milczenia Cochrane powiedział:

- Co to jest, proszę pana? Poddajemy się. Czując łaskotanie w gardle, Stefan powiedział:

- Lis, grzebiący swoją babcię pod krzakiem ostrokrzewu. Wstał i wybuchnął nerwowym śmiechem, któremu zawtórowało echo ich rozczarowanych okrzyków.

Kij uderzył w drzwi i głos na korytarzu zawołał:

- Hokej!

Rozpierzchli się, wymykając z ławek i przeskakując je. Szybko zniknęli, z przechowalni dobiegł stuk kijów, hałas butów i gwar głosów.

Sargent, który sam tylko pozostał w tyle, podszedł powoli, pokazując otwarty zeszyt. Jego rozczochrane włosy i cienka szyja świadczyły o ślamazarności, a przez mgliste okulary spoglądały prosząco słabe oczy. Na policzku, matowym i bezkrwistym, miękka plama atramentu leżała daktylokształtna, świeża i wilgotna jak ślad ślimaka.

Wysunął przed siebie zeszyt. Słowo Rachunki wypisane było w nagłówku. Pod nim biegły koślawe cyfry, a na spodzie był krzywy podpis: z nagryzmołonym zawijaszem i kleksem. Cyrii Sargent: jego imię i pieczęć.

- Pan Deasy kazał mi przepisać je wszystkie jeszcze raz i pokazać panu, powiedział Sargent.

Stefan dotknął krawędzi zeszytu. Zbyteczne.

- Czy rozumiesz już teraz, jak to trzeba robić? zapytał.

- Liczby od jedenastu do piętnastu, odpowiedział Sargent. Pan Deasy kazał mi je przepisać z tablicy, proszę pana.

- Czy umiesz to wykonać sam? zapytał Stefan.

- Nie, proszę pana.

Brzydki i zbyteczny: cienka szyja, rozczochrane włosy i plama atramentu, ślad ślimaka. A jednak ona kochała go, nosiła w swych ramionach i w sercu. Gdyby nie ona, pędzący świat rozdeptałby go pod stopą, zgniecionego, bezkostnego ślimaka. To ona ukochała jego słabą, wodnistą krew, wysączoną z jej własnej. Więc czy było to prawdziwe? Jedyna rzeczywista rzecz w życiu? Na powabnym ciele jego matki płomienny Columbanus siadł okrakiem w swej świątobliwej gorliwości. Nie było jej już: drżący szkielet suchej gałązki spłonął w ogniu, woń różanego drzewa i wilgotnych popiołów. Uchroniła go przed rozdeptaniem pod stopą i odeszła, zaledwie zaistniawszy. Biedna dusza, która wyruszyła do nieba: a na wrzosowisku pod mrugającymi gwiazdami lis o bezlitosnych oczach, o futrze lśniącem czerwono oparami grabieży, grzebał w ziemi, nasłuchiwał, odrzucał ziemię, nasłuchiwał, grzebał, grzebał.

Siedząc u jego boku Stefan rozwiązał zadanie. Udowadnia przy pomocy algebry, że duch Shakespeare'a jest dziadkiem Hamleta. Sargent zerkał z ukosa przez swe krzywe szkła. Kije hokejowe grzechotały w przechowalni: głuchy odgłos uderzenia w piłkę i nawoływania z boiska.

W poprzek stronicy symbole poruszały się w poważnym, groteskowym tańcu mauretańskim, maskarada liter, ubranych w dziwaczne czapki czworoboków i sześciątów. Podaj ręce, skrzyżuj, skłoń się partnerowi: o tak: skrzaty zrodzone z fantazji Maurów. Oni także odeszli ze świata, Awerroes i Mojżesz Maimonides, mężowie ciemnych rysów i postawy, odbijający w swych drwiących zwierciadłach przyćmioną duszę świata, ciemność lśniąca pośród jasności, której jasność nie mogła pojąć.

- Czy rozumiesz teraz? Czy możesz następne zrobić sam?

- Tak, proszę pana.

Długimi, drżącymi pociągnięciami Sargent przepisywał dane. Zawsze oczekująca pomocnego słowa dłoń jego wiernie poruszała niepewnymi symbolami, a lekki odcień wstydu zamigotał pod matową skórą. Amor matris: dopełniacz przedmiotowy i podmiotowy. Swą słabą krwią i kwaśnym jak serwatka mlekiem wykarmiła go i ukrywała jego powijaki przed wzrokiem innych.

Byłem taki jak on, te same spadziste ramiona, ten sam brak wdzięku. Moje dzieciństwo pochyla się obok mnie. Za daleko, abym mógł położyć tam dłoń, choćby raz, lekko. Moje jest odległe, a jego tajemnicze jak nasze oczy. Tajemnice ciche, kamienne, zasiadły w ciemnych pałacach obu naszych serc: tajemnice znużone swą tyranią: tyrani pragnący, by pozbawiono ich tronu.

Działanie zostało podsumowane.

- To bardzo proste, powiedział Stefan wstając.

- Tak, proszę pana. Dziękuję, odpowiedział Sargent.

Osuszył stronicę kawałkiem cienkiej bibuły i odniósł zeszyt na swój pulpit.

- Weź kij i idź do tamtych, powiedział Stefan, ruszając ku drzwiom w ślad za pozbawioną wdzięku sylwetką chłopca.

- Tak, proszę pana.

W korytarzu zabrzmiało jego nazwisko wywołane z boiska.

- Sargent!

- Biegnij, powiedział Stefan. Pan Deasy cię woła.

Stojąc we framudze przyglądał się niedołodze, który pośpieszył w kierunku niewielkiego placu, gdzie brzmiały skłócone ostre głosy. Podzieleni byli na drużyny, a pan Deasy zbliżał się przestępując kępki trawy odzianymi w getry stopami. Gdy doszedł do budynku szkolnego, wezwały go ponownie spierające się głosy. Zwrócił ku nim rozgniewany, biały wąs.

- Cóż tam znowu? zawołał kilkakrotnie, nie słuchając.

- Cochrane i Halliday są po tej samej stronie, proszę pana, zawołał Stefan.

- Proszę zaczekać chwilę w moim gabinecie, powiedział pan Deasy, póki nie przywrócę tu porządku.

I gdy zawrócił, idąc z godnością przez boisko, jego starczy głos zawołał surowo:

- O co chodzi? Cóż tam znowu?

Ich ostre głosy rozległy się wokół niego z wszystkich stron: ich liczne sylwetki otoczyły go, a jaskrawy blask słoneczny wybielił miód jego źle ufarbowanych włosów.

Stęchłe, przesycone dymem powietrze unosiło się w gabinecie wraz z zapachem wyblakłej, wytartej skóry stojących w nim krzeseł. Jak pierwszego dnia, gdy targował się tu ze mną. Jako było na początku, teraz. Na komodzie taca z monetami Stuartów, nędzny skarb torfowiska: i na wieki wieków. A w swym wyblakłym pluszowym futerale na łyżki leży przytulnie dwunastu apostołów, wygłosiwszy wszystkim poganom: świat bez kresu.

Pośpieszne kroki na kamiennym ganku i w korytarzu. Dysząc w swój rzadki wąs, pan Deasy zatrzymał się przy stole.

- Najpierw nasze drobne finansowe sprawy, powiedział. Wyciągnął z surduta portfelik ściągnięty skórzanym rzemykiem. Otworzył go, wyjął z niego dwa banknoty, z których jeden składał się ze zlepionych połówek, i położył je ostrożnie na stole.

- Dwa, powiedział okręcając i chowając portfelik.

A teraz jego skarbiec na złoto. Zakłopotana dłoń Stefana przesunęła się ponad muszlami spiętrzonymi w zimnym, kamiennym mózdzierzu: trąbiki sfałdowane i te płaskie jak pieniądze, trąbiki i muszle lamparcie: a ta skrecona jak turban emira, a ta: koncha świętego Jakuba. Zbiór starego pielgrzyma, umarły skarb, puste muszle.

Suweren upadł, lśniący i nowy, na miękką, włochatą serwetę.

- Trzy, powiedział pan Deasy, obracając w dłoni swój mały skarbczyk. Bardzo poręcznie mieć coś takiego. Widzi pan. Tu są suwereny. Tu szylingi, sześciopensówki, półkorony. A tu korony. Widzi pan.

Wytrząsnął z niego dwie korony i dwa szylingi.

- Trzy i dwanaście, powiedział. Myślę, że uzna pan to za słuszne.

- Dziękuję panu, powiedział Stefan, zgarniając pieniądze z wstydliwym pośpiechem i wsuwając je do kieszeni spodni.

- Nie ma za co dziękować, powiedział pan Deasy. Zarobił je pan. Dłoń Stefana, znowu wolna, powróciła do głuchych muszli. To także symbole piękna i siły. Ten ciężar w mojej kieszeni. Symbole zbrukane chciwością i skąpstwem.

- Niech pan tego tak nie nosi, powiedział pan Deasy. Wyciągnie je pan gdzieś i zgubi. Niech pan kupi jeden z tych trzosików. Przekona się pan, że są bardzo poręczne.

Odpowiedz coś.

- Mój byłby często pusty, powiedział Stefan. Ten sam pokój i godzina, ta sama mądrość: i ja taki sam. Już trzeci raz. Trzy pętle otaczają mnie tu. Dobrze. Mogę je rozerwać nawet w tej chwili, jeżeli zechcę.

- Bo pan nie oszczędza, powiedział pan Deasy, wskazując palcem. Nie wie pan jeszcze, czym są pieniądze. Pieniądze są potęgą, gdy się przeżyło tyle lat, ile ja przeżyłem. Ja wiem, wiem. Gdyby tylko młodość wiedziała. Ale co powiada Shakespeare? Odkładaj pieniądz do sakiewki.

- Jago, szepnął Stefan.

Przeniósł wzrok z próżnych muszli na nieruchome spojrzenie starego człowieka.

- On wiedział, czym były pieniądze, powiedział pan Deasy. On robił pieniądze. Poeta, ale równocześnie Anglik. Czy wie pan, co jest dumą Anglików? Czy wie pan, jak brzmi najdumniejsze słowo, które można usłyszeć z ust Anglika?

Władca mórz. Jego oczy, zimne jak morze, spoglądały na pustą zatokę; należy winić historię; na mnie i na moje słowa, beznienawistnie.

- Że nad jego imperium, powiedział Stefan, słońce nigdy nie zachodzi.

- Ba! zawołał pan Deasy. To nieangielskie. To powiedział francuski Celt. Postukał swym skarbczykiem o kciuk.

- Powiem panu, powiedział uroczyście, z czego się najbardziej pyszni. Opłaciłem moją drogę.

Zacny człek. Zacny człek.

- Opłaciłem moją drogę. Nigdy w życiu nie pożyczyłem ani szylinga. Czy może pan to odczuć? Nic nie jestem winien. Czy może pan?

Mulligan, dziewięć funtów, trzy pary skarpetek, jedna para kapci, krawaty. Curran, dziesięć gwinei. McCann, jedna gwinea. Fred Ryan, dwa szylingi. Tempie, dwa obiady. Russell, jedna gwinea, Cousins, dziesięć szylingów, Bob Reynolds, pół gwinei, Kóhler, trzy gwinee, pani McKernan, pięć tygodni komornego. Kupka, którą tu mam, jest bezużyteczna.

- W tej chwili nie, odpowiedział Stefan.

Pan Deasy roześmiał się z soczystym zadowoleniem, chowając swój skarbczyk.

- Wiedziałem, że nie będzie pan mógł, powiedział wesoło. Ale pewnego dnia musi pan to odczuć. Jesteśmy hojnymi ludźmi, ale powinniśmy być także sprawiedliwi.

- Boję się tych wielkich słów, powiedział Stefan, które czynią nas tak nieszczęśliwymi. Pan Deasy spoglądał przez kilka chwil surowo na wiszącą ponad kominkiem kształtną, masywną sylwetę człowieka w kraciastej szkockiej spódnicy: Albert Edward, książę Walii.

- Myśli pan, że jestem starym zacofańcem i starym torysem, powiedział jego zadumany głos. Widziałem trzy pokolenia od czasów O'Connella. Pamiętam głód. Czy wie pan, że loże oranżystów agitowały za zerwaniem unii dwadzieścia lat przed O'Connellem, zanim prałaci pańskiej wiary ogłosili go demagogiem? Wasi fenianie zapominają o niektórych rzeczach.

Chwalebne, świątobliwe i nieśmiertelne wspomnienie. Loża Diamentowa w Armagh Wspaniałym, obwieszona zwłokami papistów. Ochrypli, zamaskowani i uzbrojeni właściciele ziemscy ślubują. Czarna północ i wierna, błękitna Biblia. Padnijcie, ostrzyżeni buntownicy.

Stefan nakreślił krótki gest.

- Ja także mam w sobie buntowniczą krew, powiedział pan Deasy. Po kądzieli. Ale pochodzę od Sir Johna Blackwooda, który głosował za unią. Wszyscy jesteśmy Irlandczykami, wszyscy synami królów.

- Niestety, powiedział Stefan.

- Per vias rectas, było jego zawołaniem, powiedział pan Deasy stanowczo. Głosował za nią i włożył swe buty z cholewami, aby pojechać konno z Ards of Down do Dublinu i uczynić to.

Lal o lal o ra Skalisty trakt do Dublinu.

Burkliwy szlachcic w lśniących butach z cholewami jedzie konno. Piękny dzień, sir Johnie. Piękny dzień, wasza szlachetność... Dzień... Dzień... Dwa buty z cholewami dzyń podzwaniają ku Dublinowi. Lal o lal o ra, lal o lal o raddy.

- To mi przypomina, powiedział pan Deasy, że może mi pan wyświadczyć przysługę, panie Dedalus, u pewnych pańskich pisujących przyjaciół. Mam tu list do prasy. Niech pan usiądzie na chwilę. Muszę jeszcze tylko przepisać zakończenie.

Podszedł do stojącego pod oknem biurka, dwukrotnie przesunął krzesło i odczytał kilka słów z kartki znajdującej się na wałku maszyny do pisania.

- Niech pan siada. Proszę mi wybaczyć, powiedział przez ramię. Nakazy zdrowego rozsądku. Chwileczkę.

Zerknął spod krzaczastych brwi na leżący obok łokcia rękopis i mruczając zaczął stukać powoli w sztywne klawisze, od czasu do czasu dmuchając w wąż, gdy podkręcał wałek, by zmazać błąd.

Stefan usadowił się bezgłośnie na wprost książęcej postaci. Na ścianach dokoła wisały w ramkach, składając hołd, wizerunki minionych koni z potulnymi, uniesionymi głowami:

Repulse lorda Hastingsa, Shotover księcia Westminsteru, Ceylon księcia Beau-foit\i,prix de Paris 1866. Dosiadali ich drobni jeźdźcy, czujni na skinienie. Dostrzegał ich pęd, gdy bronili barw królewskich, i wrzeszczał wraz z wrzeszczącym, przeminionym tłumem.

- Kropka, oznajmił pan Deasy swym klawiszom. Lecz bezzwłoczne rozważenie tej ważkiej kwestii...

Gdzie Craney prowadził mnie, aby wzbogacić się szybko, polując na zwycięzców pomiędzy obryzganymi błotem powozami, wśród pokrzykiwań bookmacherów, stojących na swych platformach, i oparów kantyny unoszących się nad pstrym błotem. Zakład al pari na Fair Rebel: dziesięć do jednego przeciw pozostałym. Mijając graczy i naciągaczy śpieszyliśmy za kopytami, współzawodniczącymi czapeczkami i kurtkami, mijając mięsistogębą kobietę, damulę rzeźnika, ryjącą łapczywie w ćwiartce pomarańczy.

Z boiska dobiegły przenikliwe okrzyki i ochryply gwizdek.

Znowu: gol. Jestem pośród nich, pomiędzy ich zmagającymi się w zamieszaniu ciałami, w potyczce, w walce o życie. Masz na myśli tego koślawego maminsynka, który jest chyba trochę chory na żołądek. Potyczki. Uderzony czas oddaje, cios za cios. Potyczki, poryta ziemia i zgiełk bitew, zakrzepłe wymioty poległych, szczęk grotów włóczy, obwieszonych przynętami krwawych ludzkich trzewi.

- Już, powiedział pan Deasy wstając. Podeszedł do stołu, spinając kartki. Stefan wstał.

- Zamknąłem całą sprawę w łupinie orzecha, powiedział pan Deasy. To o pryszczycy. Niech pan tylko przejrzy. Nie może być dwóch sprzecznych sądów w tej sprawie.

Pozwalam sobie zająć wasze cenne łamy. Doktryna laissez faire, która tak często w naszej historii. Nasz handel bydłem. Los wszystkich naszych dawnych przemysłów. Klika z Liverpoolu, która utraciła podstępnie projekt portu Galway. Pożoga europejska. Dostawy ziarna poprzez wąskie wody Kanału. Odwieczna niewzruszoność departamentu rolnictwa. Wybaczycie klasyczną aluzję. Cassandra. Przez kobietę, która nie była lepsza, niż powinna być. Aby przejść do sedna sprawy.

- Nie owijam niczego w bawełnę, prawda? zapytał pan Deasy, gdy Stefan czytał.

Pryszczyca. Znane jako preparat Kocha. Serum i wirus. Procent szczepionych koni. Pomór bydła. Cesarskie konie w Murzsteg, w dolnej Austrii. Weterynarze chirurdzy. Pan Henry Blackwood Price. Uprzejma prośba o uczciwą ocenę. Nakazy zdrowego rozsądku. Przenajważniejsza kwestia. Trzeba wziąć byka za rogi w każdym sensie. Dziękując za gościnność waszych szpalt.

- Chcę, aby to zostało wydrukowane i przeczytane, powiedział pan Deasy. Zobaczy pan, że przy następnym wybuchu zarazy nałożą embargo na irlandzką trzodę. A może to być leczone. Jest leczone. Mój kuzyn Blackwood Price pisze mi, że jest to stale rozpoznawane i leczone w Austrii przez tamtejszych weterynarzy. Zgłaszają chęć przyjazdu tutaj. Staram się o uzyskanie wpływów w departamencie. Obecnie spróbuję nadać rozgłos. Jestem otoczony trudnościami... intrygami... zakulisowymi wpływami...

Uniósł wskazujący palec i starczo uderzał nim w powietrze, nim głos jego przemówił:

- Niech pan zakarbuje sobie moje słowa, panie Dedalus. Anglia jest w rękach żydów. Na wszystkich najwyższych stanowiskach: w jej finansach, w prasie. A oni są oznaką narodowego upadku. Gdziekolwiek się zjedną, pożerają siły życiowe narodu. Obserwowałem zbliżanie się tego w ciągu ostatnich lat. To tak pewne, jak to, że stoimy tu: żydowscy kupcy przystąpili już do swej niszczycielskiej pracy. Stara Anglia umiera.

Cofnął się szybko, a w oczy jego wstąpiło błękitne życie, gdy musnął je szeroki promień słoneczny. Rozejrzał się wokoło.

- Umiera, powiedział, jeżeli już nie umarła.

Z nawoływań płynących z ulicy w ulicę Całun Twój, stara Anglio, tkają ladacznice.

Jego oczy, szeroko otwarte i przesłonięte wizją, patrzyły surowo przez słoneczny promień, w którym przystanął.

- Kupiec, powiedział Stefan, jest to ktoś, kto kupuje tanio, a sprzedaje drogo, żyd czy poganin, prawda?

- Zgrzeszyli przeciw światłości, powiedział pan Deasy poważnie, i można dostrzec ciemność w ich oczach. I dlatego są tułaczami tego świata po dziś dzień.

Na stopniach Giełdy Paryskiej złotoskórzy mężczyźni wyliczający ceny na swych upierścienionych palcach. Gęganie gęsi. Mrowili się głośno po świątyniach, nieokrzescani, gruboknujące głowy pod krzywo nałożonymi cylindrami. Nie ich: te ubiory, ta mowa, te ruchy. Ich ociężałe, powolne oczy kłamały słowom i żywym, nieszkodliwym gestom, ale znały zagęszczoną wokół nienawiść i wiedziały, że gorliwość ich jest daremna. Daremna cierpliwość usypywania i gromadzenia zasobów. Czas na pewno rozrzuci wszystko. Zasoby zgromadzone przy drodze: plądrowane i przechodzące z rąk do rąk. Ich cierpliwe oczy znały lata tułaczki i hańbę swego ciała.

- Któż nie zgrzeszył? powiedział Stefan.

- Co pan ma na myśli? zapytał pan Deasy.

Zbliżył się o krok i stanął przy stole. Jego dolna szczęka opadła ukośnie, rozwarta niezdecydowanie. Czy taka jest stara mądrość? Czeka, aby usłyszeć ode mnie.

- Historia, powiedział Stefan, jest nocną zmorą, z której staram się przebudzić.

Na boisku chłopcy wzniesli okrzyk. Przenikliwy gwizdek: gol. A co, gdyby ta nocna zmora dała ci kopniaka w tyłek?

- Drogi Stwórcy nie są naszymi drogami, powiedział pan Deasy. Cała historia zmierza ku jednemu wielkiemu celowi, ujawnieniu Boga. Stefan wskazał kciukiem okno, mówiąc:

- To jest Bóg.

- Huurrra! Hej! Huwrhurwraa!

- Co? zapytał pan Deasy.

- Okrzyk na ulicy, odpowiedział Stefan, wzruszając ramionami. Pan Deasy spojrzał w dół i przez chwilę przytrzymał skrzydełka swych nozdrzy, szczypiąc je palcami. Spojrzawszy ponownie w górę, puścił je.

- Jestem szczęśliwszy niż pan, powiedział. Popełniliśmy wiele błędów i wiele grzechów. Kobieta przyniosła grzech na świat. Dla kobiety, która nie była lepsza, niż powinna być, dla Heleny, zbiegłej żony Menelausa, Grecy dziesięć lat walczyli z Troją. Niewierna żona po raz pierwszy przywiodła obcych na nasze brzegi, żona MacMurrougha i jej kochanek D'Rourke, księżę Breffini. Kobieta także spowodowała upadek Parnella. Wiele błędów, wiele niepowodzeń, ale nie grzech pierworodny. Walczę teraz, pod koniec moich dni. Lecz do końca będę walczył o słuszość.

Gdy Uister do walki stanie, Przy Uister słuszość zostanie.

Stefan uniósł kartki w dłoni.

- A więc, proszę pana, zaczął.

- Przewiduję, powiedział pan Deasy, że nie pozostanie pan tu zbyt długo przy tej pracy. Sądzę, że nie urodził się pan, by nauczać. Może się myłę.

- Raczej, by się uczyć, powiedział Stefan. A tu czego się jeszcze nauczysz? Pan Deasy potrząsnął głową.

- Kto wie? powiedział. Aby się uczyć, trzeba być pokornym. Lecz życie jest wielkim nauczycielem.

Stefan ponownie zaszeleścił kartkami.

- A w sprawie tych, zaczął.

- Tak, powiedział pan Deasy. Ma pan tu dwie kopie. Jeżeli będzie pan mógł, proszę je od razu opublikować. Telegraf. Zagroda Irlandzka.

- Spróbuję, powiedział Stefan, i jutro dam panu znać. Znam powierzchownie dwóch redaktorów.

- To wystarczy, powiedział rześko pan Deasy. Napisałem wczoraj wieczorem do pana Fielda, członka parlamentu. Dziś w City Arms Hotel odbędzie się zebranie stowarzyszenia kupców trzody. Prosiłem go, aby przedłożył mój list zgromadzeniu. Niech pan postara się umieścić to w dwóch pismach. Które to?

- Wieczorny Telegraf...

- To wystarczy, powiedział pan Deasy. Nie ma czasu do stracenia. Teraz muszę odpowiedzieć na ten list mego kuzyna.

- Do widzenia panu, powiedział Stefan, wsuwając kartki do kieszeni. Dziękuję panu.

- Nie ma za co, powiedział pan Deasy, poszukując papierów na biurku. Lubię kruszyć z panem kopie, choć jestem już tak stary.

- Do widzenia panu, powtórzył Stefan, kłaniając się jego zgarbionym plecami.

Wyszedł na otwarty ganek i ruszył pod drzewami wysypaną żwirem ścieżką, słysząc dochodzące z boiska okrzyki i trzask kijów. Lwy spoczywały na cokółkach, gdy mijał bramę: bezzębne straszidła. A jednak pomogę mu w jego walce, Mulligan ozdobi mnie nowym imieniem: bykombraterski bard.

- Panie Dedalus!

Biegnie za mną. Żadnych więcej listów, mam nadzieję.

- Jeszcze chwilę.

- Tak, proszę pana, powiedział Stefan, odwracając się w bramie. Pan Deasy przystanął, oddychając ciężko i chwytając powietrze.

- Chciałem tylko powiedzieć, powiedział. Irlandia, powiadają, ma zaszczyt być jedynym krajem, który nigdy nie prześladował żydów. Czy wie pan o tym? Nie. A czy wie pan dlaczego?

Zmarszczył się surowo pośród świetlistego powietrza.

- Dlaczego, proszę pana? zapytał Stefan, zaczynając się uśmiechać.

- Dlatego, że nigdy ich nie wpuściła, powiedział pan Deasy uroczyście. Kulka roześmianego kaszlu wyskoczyła z jego gardła, wlokąc za sobą grzechoczący łańcuszek flegmy. Szybko zawrócił, kaszląc, śmiejąc się, wymachując w powietrzu uniesionymi ramionami.

- Nie wpuściła ich nigdy, zawołał znowu przez śmiech, stąpając obciążniętymi w getry stopami po żwirze ścieżki. To dlatego.

Poprzez szachownicę liści słońce obrzuciło lśniącymi, tańczącymi monetami jego mądre ramiona.

NIEUNIKNIONA MODALNOŚĆ WIDZIALNEGO: CO NAJMNIJ TO, JEŚLI NIE WIĘCEJ,

pomyślane poprzez moje oczy. Godła wszystkich rzeczy, które przybyłem tu przeczytać, morska ikra i morskorosty, nadchodzący przypływ i ten butwiejący but. Smarkozielony, błękitnosrebrny, rdzawy: barwne znaki. Granice przejrzystości. Ale on dodaje: ciała. Więc zdawał sobie sprawę z ich ciał, nim zdał sobie sprawę z ich barw. Jak? Waląc w nie łbem zapewne. Ostrożnie. Był łysy i był milionerem, maestro di color che sanno. Granica przejrzystości w. Dlaczego w. Przejrzystość, nieprzejrzystość. Jeżeli możesz przesunąć przez nią swoich pięć palców, jest to furtka, jeżeli nie, drzwi. Zamknij oczy i zobacz.

Stefan zamknął oczy, by usłyszeć, jak buty miażdżą trzeszczące wodorosty i muszle. Idziesz przez to jako tako. Idę krok, co pewien czas. Bardzo krótka przestrzeń czasu przez bardzo krótki czas przestrzeni. Pięć, sześć: nacheinander. Dokładnie: i to jest nieunikniona

modalność słyszalnego. Otwórz oczy. Nie, Jezu! Gdybym spadł ze skały tej, która w morze spogląda, spadł przez nebeneinander nieuniknienie. Posuwam się ślicznie w ciemności. Mój jesionowy miecz wisi u mego boku. Postukaj nim: oni tak robią. Moje dwie stopy w jego butach, są na końcach jego nóg, nebeneinander. Brzmi solidnie: uczynione drewnianym młotem Los Demiurgos. Wkraczam do wieczności nadbrzeżem Sandymount. Skrzyp, krak, kryk, krik. Monety rozszalałego morza. Dominus Deasy zna je wszystkie.

Czy pragniesz przyjść do Sandymount, O, Magdaleno ma.

Rytm się rozpoczyna, widzisz. Słyszę. Katalektyczny tetrametr maszerujących jambów. Nie, galopujących: daleno ma.

Teraz otwórz oczy. Otworzę. Za chwilę. Czy wszystko znikło w ciągu tego czasu? Jeżeli otworzę i zostanę na zawsze w czarnej nieprzejrzystości. Basta! Zobaczę, czy zobaczę.

Zobacz teraz. Tam przez cały czas bez ciebie: i na wieki wieków, świat bez kresu.

Zeszły skromnie po stopniach Leahy's Terrace, Frauenzimmer: i w dół ku miękko opadającemu brzegowi, a ich płaskie stopy grzęzły w lepkim piasku. Jak ja, jak Ałgy, schodzą ku naszej potężnej matce. Numer pierwszy kołysała ciężko swą torbą akuszerki, parasol drugiej dziobał plażę. Na całodzienny spacer z dzielnicy Liberties. Pani Florencja MacCabe, wdowa po niedawno zmarłym Patk MacCabe, serdecznie oplakiwanym, z ulicy Bride. Jedna z jej siostrzyc wywlokła mnie, piszczącego, na świat. Stworzenie z niczego. Co ma w tej torbie? Poronione dziecko z ciągnącym się sznurem pępowiny, ukryte w rudawej wełnie. Pępowiny wszystkich ludzi łączą się w przeszłości, brzegioplatający kabel wszelakiego ciała. To dlatego mnisi mistycy. Czy pragniecie być jako bogowie? Zajrzyj w swój omphalos. Hallo. Tu Kinch. Proszę mnie połączyć z Rajgrodem. Aleph, alfa: zero, zero, jeden.

Małżonka i towarzyszka Adama Kadmona: Heva, naga Ewa. Nie miała pępka. Spójrz. Brzuch bez skazy, nabrzmiewający, puklerz z napiętego welinu, nie, biały bróg zboża, wschodni i nieśmiertelny, rozprzestrzeniony od wiekuistego po wiekuiste. Łono grzechu.

W łonie grzesznej ciemności byłem także ja, zrobiony, nie poczęty. Przez nich, przez mężczyznę o moim głosie i moich oczach, i przez kobietę-ducha, oddychającą popiołami. Zwarli się w uścisku i rozczepili, uczynili według woli rajfura. Przed wiekami zapragnął mnie On, a teraz nie może zapragnąć, aby mnie nigdy nie było. Lex eterna przebywa przy nim. Czy to więc jest boską istotą, w której ojciec i syn są współlistotni? Gdzie jest biedny, drogi Ariusz, aby popробować wyciągnięcia wniosków? Walczący przez całe życie przeciw kontrtransmagnificandzydobuntantaliz-mowi. Herezjarcha spod nieszczęśliwej gwiazdy. W greckim waterklozecie wydał swe ostatnie tchnienie: eutanazja. W inkrustowanej mitrze i z pastorałem, zasiadłszy na stolcu, wdowiec po owdowiałym biskupstwie, ze sterczącym ku górze omoforionem, z zafajdanym zadkiem.

Podmuchy igrały wokół niego, szczypiące, żywe podmuchy. One nadchodzą, fale. Białogrzywe konie morza, gryzące wędzidla jasnych wiatrów, rumaki Mananaana.

Nie wolno mi zapomnieć o tym jego liście do gazet. A później? O pół do pierwszej w Okręcie. Przy okazji, stracić łatwo te pieniądze, jak dobry, młody głupiec. Tak, muszę.

Zwolnił kroku. Tu. Czy idę do ciotki Sary, czy nie? Głos mego współistotnego ojca. Czy nie widziałeś ostatnio twego brata, artysty Stefana? Nie? Chyba nie jest w Strasburg Terrace u swej ciotki Sally? Czy nie mógłby podfrunąć nieco wyżej, co? liii powiedz nam, Stefanie, jak się czuje wujek Si? O, łkający Boże, rzeczy, w które się wżeniłem. Chłopaki som na stryszku z sianem. Ten zapity, mały kalkulator i jego brat, muzykant na rożku. Wielce szanowni opryszkowie. A ten zezowaty Walter, ni mniej ni więcej, tylko sirruje swemu ojcu. Sir. Tak, sir. Nie, sir. Jezus zatkał: i nic dziwnego, na Chrystusa.

Pociągnę za ochrypy dzwonek ich chałupy o zamkniętych okiennicach: i zaczekam. Wezmą mnie za wierzyciela, wyjrzą przez dziurkę od klucza.

- To Stefan, sir.

- Wpuść go. Wpuść Stefana. Zasuwa cofa się i Walter mnie wita.

- Wzięliśmy cię za kogoś innego.

W swym szerokim łóżu wujo Richie, obłożony poduszkami i pledami, wyciąga ponad wzgórkim swych kolan krzepkie ramię. Czysta pierś. Umył swą górną połowę.

- Serwus, siostrzeńcze.

Odkłada przenośny pulpit, na którym opracowuje kosztorysy, dla pana Gaffa i pana Shapland Tandy, i układa w porządku alfabetycznym umowy, protokoły dochodzeń i zbiór Duces Tecum. Nad jego łysą głową ramka z czarnego dębu: Requiescat Wilde'a. Jego zwodniczy gwizd sprowadza na powrót Waltera.

- Tak, sir?

- Whisky dla Richie'ego i dla Stefana, powiedz matce. Gdzie ona jest?

- Kąpie Crissie, sir.

Maleńki przyjaciel leżącego tatusia. Kochaneczka.

- Nie, wujku Richie...

- Mów mi: Richie. Do diabła z waszą wodą selcerską. Ona poniża. Whusky!

- Wujku Richie, naprawdę...

- Siadaj, bo jak pragnę Boga, grzmotną tobą o ziemię. Walter daremnie zezuje w poszukiwaniu krzesła.

- On nie ma na czym usiąść, sir.

- On nie ma jej gdzie oprzeć, gamoni. Wnieś tu nasze krzesło chippendale. Chciałbyś coś przegryźć? Tylko żadnych waszych cholernych ceregieli tutaj. Kawał słoniny przysmażony ze śledziem? Pewnie? Tym lepiej. Nie mamy w domu nic poza pigułkami przeciw bólowi grzbietu.

All'erta!

Gwiżdże takty aria di sortita Fernanda. Największy numer, Stefanie, z całej opery. Posłuchaj.

Jego melodyjny gwizd znowu rozbrzmiewa, pięknie wycieniowany wciąganiem powietrza, a pięści potężnie bębnią w opatulone kolana.

Ten wiatr jest słodszy.

Domy upadku, mój, jego, wszystkie. Powiedziałeś paniczkom w Clongowes, że masz wujka sędziego i wujka generała. Pozbądź się ich, Stefanie. Nie tam jest piękno. Ani w nieruchomej zatoce biblioteki Marsha, gdzie czytałeś wyblakłe proroctwa Joachima Abbasa. Dla kogo? Dla stugłowego motłochu cisnącego się wokół katedry? Wróg swego gatunku, uciekł od nich do lasu szaleństwa, mając grzywę spienioną księżycem, a gałki oczne jak gwiazdy. Houyhnhnm, koniochrapy. Owalne, końskie twarze. Tempie, Buck Mulligan, Foxy Campbell. Długie wąskie szczęki. Ojciec Abbasie, wściekły dziekanie, jaki występki podpalili ich mózgi? Paff! Descende, calve, ut ne nimium decalveris. Wieniec siwych włosów wokół jego potępionej głowy widzieć jego mnie gramolącego się w dół na najniższy stopień ołtarza (descende), ściskającego monstrancję, bazyliškookiego. Złaź, łysa pało! Chór towarzyszący wokół rogów ołtarza oddaje echo i pogrozkę nosowej łaciny katabasów, poruszających się krzepko w swych albach, wytonsurowanych, namaszczonych i wykastrowanych, tłustych tłustością najlepszej pszenicy.

A w tej samej chwili, być może, ksiądz za rogiem unosi ją. Dzyńdzyń! A o dwie ulice dalej inny zamykają w cyborium. Dzyńdzyń! A w kaplicy Najświętszej Panny inny przywłaszcza sobie całą hostię. Dzyńdzyń! W górę, w dół, w przód, w tył. Dań Occam myślał o tym, niezwykły doktor. W mglisty, angielski poranek skrzący hipostazy połaskotał go w mózg.. Opuszczając swą hostię i klękając, usłyszał po dwakroć, wraz ze swym drugim dzwonieniem, pierwsze dzwonienie w poprzecznej nawie (on unosi swoją) i wstając, usłyszał (teraz ja unoszę) ich dwa dzwonki (teraz on klęka) brzdąkające w dyftongu.

Kuzynie Stefanie, nigdy nie będziesz świętym. Wyspa świętych. Byłeś bardzo świątobliwy, prawda? Modliłeś się do Przenajświętszej Dziewicy o to, byś mógł nie mieć czerwonego nosa. Modliłeś się do diabła na Serpentine Avenue, aby ta pulchna wdówka przed tobą uniosła trochę wyżej suknię ponad mokrym chodnikiem. O si, certol Zaprzędasz swoją duszę

za to, za farbowane szmatki, upięte wokół squaw. Powiedz mi więcej, jeszcze więcej! Na górnej platformie tramwaju do Howth samotny krzyczałeś w deszcz: nagie kobiety! No, cóż o tym powiesz?

Cóż, o czym? A do czego innego zostały wymyślane?

Czytać, co wieczór, po dwie strony z siedmiu różnych książek, co? Byłem młody. Kłaniałeś się sobie w lustrze, występując ku przodowi, aby jak najgodniej przyjąć owacje: uderzające oblicze. Niech żyje przeklęty idiota! Niech żyje! Nikt nie widział: nie mów nikomu. Miałeś napisać książki z literami zamiast tytułów. Czy czytałeś jego F? O, tak, ale wolę Q. Tak, ale W jest cudowne. O tak, W. Przypomnij sobie swoje epifanie, pisane na owalnych zielonych kartkach, głęboko głębokie, których kopie w wypadku twojej śmierci miały być wysłane do wszystkich bibliotek świata, z aleksandryjską włącznie. Ktoś miał je tam przeczytać po paru tysiącach lat, taka mahamanwantara. Jak Pico della Mirandola. W istocie, wielce jak wieloryb. Gdy czyta się owe dziwne stronicie napisane przez kogoś, kto dawno odszedł, czuje się, że stanowi się jedno z kimś, kto kiedyś...

Sypki piasek zniknął spod jego stóp. Buty znowu deptały wilgotną, chrzęszczącą papkę, muszle-brzytwy, skrzypiące kamyki, to wszystko, co wśród kamyków tkwi nieprzeliczonych, drzewo przeżarte przez komiki, zaginioną Armadę. Plugawe ławice lepkich piasków czekały dysząc brudnymi wyziewami, by wessać jego brnące podeszwy. Obszedł je, uważnie stąpając. W piasku lepkim jak ciasto stała zanurzona po pierś pusta butelka po portrze. Wartownik: wyspa straszliwego pragnienia. Pęknięte obręcze na brzegu; na lądzie płatanina ciemnych, przemyślnych sieci, w większej odległości pobazgrane kredą drzwi chałup, a wyżej, na plaży, dwie schnące, ukrzyżowane koszule na sznurze do bielizny. Ringsend: wigwamy brunatnych pilotów i właścicieli kutrów. Muszle człowiecze.

Przystanął. Minąłem ścieżkę do ciotki Sary. Czy nie pójdę tam? Zdaje się, że nie. Nikogo w pobliżu. Skręcił na północny wschód i przeciął twardą powierzchnię piasków w kierunku Gołębnika.

- Qui vous a mis dans cette fichue position?

- C'est le pigeon, Joseph.

Patrice, w domu na urlopie, chleptał ciepłe mleko ze mną w barze MacMahona. Syn dzikiej gęsi, Kevin Egan z Paryża. Mój ojciec jest ptakiem, chleptał słodkie lait chaud różowym, młodym językiem. Pulchna twarzyczka pączka. Chłop, lapin. Ma nadzieję wygrać w gros lots. O naturze kobiet czytał u Micheleta. Ale musi mi przysłać La Vie de Jesus, przez pana Leo Taxil. Pożyczył je przyjacielowi.

- C'est tordant, vous savez... Moi je suis socialiste. Je ne crois pas en l'existence de Dieu. Faut pas le dire a mon pere.

- Il croit?

- Mon pere, oui.

Schluss. Chłepcze.

Mój kapelusz z Dzielnicy Łacińskiej. Boże, wystarczy tylko ucharakteryzować postać. Potrzebuję purpurowobrunatnych rękawic. Byłeś studentem, prawda? Czego, do diabła? Peceen, P.C.N., rozumiesz: physiques, chimiques et naturelles. Aha. Spożywane za miedziaka mou en civet, twe garnce egipskiego mięsiwa, ramię w ramię z czkającymi dorożkarzami. Po prostu powiedz najbardziej zwykłym głosem: gdy byłem w Paryżu, boul' Mich', zwykle. Tak, zwykle nosiłeś przy sobie przedziurkowane bilety, aby udowodnić swe alibi, gdyby cię aresztowano za popełnione gdzieś morderstwo. Sprawiedliwość. W nocy siedemnastego lutego 1904 uwięziony widziany był przez dwóch świadków. To ten inny facet to zrobił: inny ja. Kapelusz, krawat, płaszcz, nos. Lui c'est moi. Zdaje mi się, że bardzo ci się to podobało.

Dumny krok. Staraleś się kroczyć jak kto? Zapomniałeś: jak wywłaszczony. Trzymałeś przekaz pieniężny od matki, osiem szylingów, gdy woźny, zatraskując drzwi urzędu pocztowego, zamknął ci je przed nosem. Głodowy ból zęba. Encore deux minutes. Spójrz, zegar. Muszę odebrać. Fermę. Najemny pies! Rozszarpać go na strzępy wystrzałem z dubeltówki, strzępy człowiek obryzgane ściany same mosiężne guziki. Wszystkie strzępy ho-oop znów na miejsce. Nie uderzył się pan? O, w porządku. Uścisk dłoni. Rozumie pan, o co mi chodziło? O, w porządku. Uścisk dłoni, uścisk dłoni. O, to zupełnie w porządku.

Chciałeś czynić cuda, co? Apostoł Europy, następca płomiennego Columbanu-sa. Fiacre i Scotus rozlewają z kufli, siedząc na swych oślich ławeczkach w niebie, rżącgrzmiać łaciną: Euge! Euge! Udawałeś, że mówisz łamaną angielszczyzną, gdy wlokłeś swą walizę, tragarz trzy pensy, przez błotniste molo w Newhaven. Com-ment? Bogate łupy przywiozłeś do domu. Le Tutu, pięć postrzępionych numerów Pantalón Blanc et Culotte Rouge, niebieski francuski telegram, osobliwość do pokazywania.

- Matka umierająca wracaj do domu ojciec.

Ciotka sądzi, że zabiłeś swoją matkę. Dlatego nie pozwala.

Gdy zdrowie ciotuni Mulligan wznosicie, Wspomnijcie o głównej przyczynie: Bo dbała bez przerwy o dobre współzycie W szanownej Hannigan rodzinie.

Stopy jego pomaszerowały w niespodziewanym, dumnym rytmie po piaszczystych wydmach, wzdłuż głązów południowego wału ochronnego. Spojrzał na nie dumnie. Kopce kamiennych czaszek mamucich. Złote światło na morzu, na piaskach, na głązach. Słońce tu jest, smukłe drzewa, cytrynowe domy.

Paryż budzi się rześko, z ostrym blaskiem słonecznym na cytrynowych ulicach. Wilgotna jędrność rogalików, żabiozielony absynt, kadzidło poranne miasta, pieści powietrze. Belluomo wstaje z łóżka żony kochanka swej żony, gosposia w chustce krząta się ze

spodeczkiem esencji octowej w dłoniach. U Rodota, Yvonne i Madelei-ne odświeżają swą nadwerżoną piękność, miażdżąc złotymi zębami chaussons z lukrem, a usta ich ozAcAa.pus zflan breton. Przechodzą twarze mężczyzn Paryża, ich zadowolonych zadowolaczy, kędzierzawych konkwistadorów.

Południe drzemie. Kevin Egari zwija papierosy z prochu strzelniczego palcami usmarowanymi farbą drukarską, sącząc swój zielony jad jak Patrice swój biały. Wokół nas żarłocy wrzucają widelcami do gardzieli fasolę z sosem. Un demi setier! Strumień oparu kawy tryska z polerowanego perkolatora. Ona obsługuje mnie na jego skinienie. // est irlandais. Hollandais? Non fromage. Deux irlandais, nous, Irlande, vous savez? Ah, oui! Myślała, że chcesz sera hollandais. Twoje postpran-dium, czy znasz to słowo? Postprandium. Znałem kiedyś jednego faceta w Barcelonie, dziwnego faceta, który nazywał to swoim postprandium. Zresztą: Slainte! Wokół stołów o marmurowych powierzchniach zmieszane winne oddechy i pomruk gardzieli. Jego oddech zawisł nad naszymi sosemsplamionymi talerzami, a żądło zielonej czarodziejki wysuwa się spomiędzy jego warg. O Irlandii, o Dalkas-sianach, o nadziejach, spiskach, teraz o Arthurze Griffith. By ujarzmić mnie, jako swego towarzysza w jarzmie, nasze zbrodnie naszą wspólną sprawą. Jesteś synem swego ojca. Znam ten głos. Jego barchanowa krwistokwiecista koszula, potrząsa lekko hiszpańską frędzlą słuchając jego sekretów. Pan Drumont, sławny żurnalista. Wiesz, jak Drumont nazywał królową Wiktorię? Starą wiedźmą o żółtych zębach. Yieille ogresse mającą dents jaunes. Maud Gonne, piękna kobieta. La Patrie, M. Millevoye, Felix Faure, wiesz, jak umarł? Rozwiązli ludzie. Froeken, bonne a toutfaire, która masuje męską nagość w upsalskiej łaźni. Moifaire, powiedziała. Tous les messieurs. Nie tego Monsieur, powiedziałem. Najbardziej rozwiąły obyczaj. Kąpiel to najbardziej osobista rzecz. Nie pozwoliłbym memu bratu, nawet memu rodzonemu bratu, najbardziej rozwiąła rzecz. Zielone oczy, widzę was. Czuję żądło. Rozwiązli ludzie.

Niebieski lont spala się śmiercionośnie i jasno między palcami. Luźne włókienka tytoniu zapalają się: płomień i gryzący dym rozświetlają nasz kąt. Wystające kości policzkowe pod jego czapką spiskowca. O tym, jak naczelnik wydostał się, wersja autentyczna. Przebrany za pannę młodą, człowieku, welon, kwiat pomarańczy, wyjechał drogą do Małahide. Tak zrobił, naprawdę. O straconych przywódcach, o zdradzonych, o szalonych ucieczkach. Przebrania, chwytania, znikania, nie tu.

Odtrącony kochanek. Byłem wtedy fajnym, młodym chłopakiem, powiadam ci. Pokażę ci któregoś dnia moją podobiznę. Byłem, naprawdę. Kochanek dla jej miłości skradał się wraz z pułkownikiem Richardem Burkę, głową swego klanu, pod murami Clerkenwell i kuląc się, ujrzał płomień zemsty, wyrzucający ich wysoko w mgłę. Brzęk szkła i upadek murów. W wesołym Parii ukrywa się Egan z Paryża, nie poszukiwany przez nikogo prócz mnie. Jego codzienne stacje męki, brudna kaszta drukarska, trzy gospody, legowisko na Montmartre, gdzie spędza swoje krótkie noce, przy ulicy de la Goutte d'or, wytapetowane upstrzonymi przez muchy twarzami tych, którzy odeszli. Bez miłości, bez ojczyzny, bez żony. Ona żyje

wygodniutko, spókojniutko, madame, bez swego wygnańca, przy ulicy Git-le--Coeur, z kanarkiem i dwoma niekrępującymi sublokatorami. Brzoskwiniowe policzki, pasiasta spódnica, wesola jak u młodej dziewczyny. Odtrącona i nie rozpaczająca. Powiedz Patowi, żeś mnie widział, dobrze? Chciałem kiedyś znaleźć pracę dla biednego Pata. Mon flis, żołnierz francuski. Nauczyłem go śpiewać. Chłopaki z Kilkenny to zuchy nad zuchy. Znasz tę starą piosenkę? Nauczyłem Patrice'a śpiewać ją. Stare Kilkenny: święty Canice, zamek Strongbowa nad Norę. Brzmi to tak. O, o. Bierze mnie on, Napper Tandy, za rękę.

O, o chłopaki Z Kilkenny...

Słaba, sterana dłoń w mojej. Zapomnieli o Kevinie Eganie, nie on o nich. Wspominając ciebie, o Syonie.

Zbliżył się do brzegu morza i mokry piasek osmagał mu buty. Świeże powietrze pozdrowiło go, przebiegając jak po harfie po jego rozdygotanych nerwach, powiew rozdygotanego powietrza, rozsiewający ziarna światła. Hej, czyżbym przypadkiem odchodził w stronę latarni Kish? Zatrzymał się nagle, a stopy jego zaczęły zapadać się powoli w drgające podłoże. Zawrócić.

Zawracając badał oczyma południowy brzeg, a stopy znowu zaczęły zapadać się powoli w nowe zagłębienia. Zimna, sklepiona komnata wieży oczekuje. Padające ze strzelnic włócznie blasku wędrują nieustannie, powoli nieustannie jak moje tonące stopy, pełznąc w stronę zmierzchu po słonecznym zegarze podłogi. Niebieski zmierzch, zapadanie nocy, głębokoniebieska noc. W mroku sklepienia oczekują ich odsunięte krzesła i obelisk mojej walizy wokół stołu pokrytego porzuconymi talerzami. Kto ma je zmyć? On ma klucz. Nie będę tam spał, gdy ta noc nadejdzie. Zamknięte drzwi cichej wieży jak płyta grobu, kryjąca ich ślepe ciała: panterahiba i jego wyżła. Wołają: nie ma odpowiedzi. Wyswobodził grzęznące stopy i zawrócił przy usypisku głazów. Weźcie wszystko, zatrzymajcie wszystko. Moja dusza idzie za mną, kształt kształtów. Podobnie pośród północnego czuwania pod księżycową pełnią przechadzam się ścieżką ponad srebrno-czarnym urwiskiem, wsłuchany w kuszące fale przyływu Elsynoru.

Przyływ mnie ściga. Mogę stąd dostrzec, że mnie przegania. Zawrócić więc drogą do Poolbeg, ku tamtemu nadbrzeżu. Wdrapał się po turzycy i lepkich wodorostach i usiadł na kamiennym stolcu, osadziwszy jesionową laskę w szczelinie.

Wzdęte psie ścierwo leżało rozpląszone w morskiej trawie. Nie opodał burta łodzi zatopionej w piasku. Un coche ensable nazwał Louis Yeullot prozę Gautiera. Te piaszczyste wydmy są mową, osadzoną tu przez wiatr i przyływ. A tam kamienne usypiska martwych głazów, wylęgarnia szczurów wodnych. Ukryj tam złoto. Spróbuj. Masz trochę. Piaski i głazy. Obciążenie przeszłością. Zabawki Waligóry. Uważaj, żebyś nie dostał w ucho. Jestem krwawy wielkolud i turlam te wszystkie krwawe głazy: pójdę na koniec świata po ludzkich gnatach. Abecede. Krew Chirlandczyka chleptać chcę.

Punkcik, żywy pies, urósł w oczach, biegnąc po piaszczystej ławicy. Boże, czy zaatakuje mnie? Uszanujmy jego swobodę. Nie będziesz panem innych ani ich niewolnikiem. Mam łaskę. Siedzieć spokojnie. W dali, przecinające grzebień przypiły, postacie, dwie. Dwie świątobliwe niewiasty. Ukryły je bezpiecznie w sitowiu. Abece. Widzę cię! Nie, pies. Zawraca ku nim pędem. Kto?

Łodzie Lochlannów przybijały do tej plaży w pogoni za łupem, ich krwistodziobe okręty unosiły się nisko nad wzburzonymi pianami o barwie cyny. Duńscy wikingowie z ostrzami toporów migoczącymi na piersiach, w czasach gdy Malachi nosił łańcuch złoty. Stado wielorybów pozostawionych przez odpływ w gorące południe, sikających, zataczających się w płyciznach. A wówczas z głodującego, otoczonego ostrokołem grodu wypada horda karłów, odzianych w kaftany, uzbrojonych w noże oprawców, moi rodacy, biegną, wdrapując się, zadają ciosy w zielone, tłuste mięso wielorybie. Głód, zaraza i rzezie. Ich krew jest moją krwią, ich żądze falują we mnie. Poruszałem się pośród nich po zamrażającej Liffey, tamten ja, odmieniec, pośród trzasku żywicznych ognisk. Nie odzywałem się do nikogo: nikt do mnie.

Szczekanie psa przybiegło ku niemu, zatrzymało się, pobiegło z powrotem. Pies mego wroga. Po prostu tylko stałem, blady, milczący, osaczony ujadaniem. Terribi-lia meditans. Jakiś pierwsnkowy kaftan, bękart fortuny, uśmiechnął się na widok mego lęku. Czy do tego tęsknisz, by zaszczekali z uznaniem? Pretendenci: niech żyją swoim życiem. Brat Bruce'a, Thomas Fitzgerald, wymuskany rycerz, Perkin Warbeck, bękart Yorka w jedwabnych portkach koloru białoróżanej kości słoniowej, cudo jednodniowe, i Lambert Simnel ze swą świtą chamów i kramarzy, koronowany pomywacz. Wszystko królewscy synowie. Raj pretendentów wówczas i teraz. On ratował ludzi od utonięcia, a ty drżysz słysząc szczekanie kundla. Ale dworacy, którzy sztydzieli z Gwidona w Orsań Michele, znajdowali się u siebie w domu. W domu... Nie chcemy żadnych twoich średniowiecznych zawłości. Czy zrobiłbyś to co on? Łódź byłaby nie opodał, pas ratunkowy, Naturlich, pozostawione tam dla ciebie. Zrobiłbyś czy nie? Ten człowiek, który utonął dziewięć dni temu niedaleko Maiden's Rock. Czekają na niego teraz. Wykrztuś z siebie prawdę. Chciałbym. Próbowalbym. Nie jestem dobrym pływakiem. Woda zimna miękka. Gdy zanurzałem głowę w miednicy w Clongowes. Nie widzę! Kto jest za mną? Wyjąć szybko, szybko! Czy widzisz przypiły, nadchodzący szybko z wszystkich stron, szybko pokrywający niskie piaski o barwie kakaowych łupin? Gdybym miał ziemię pod stopami. Chcę, żeby jego życie było jego życiem, a moje moim. Tonący człowiek. Jego ludzkie oczy krzyczą ku mnie z głębin śmiertelnego przerażenia. Ja... z nim razem w głąb... Nie mogłem jej uratować. Wody: gorzka śmierć: zgubiona.

Kobieta i mężczyzna. Widzę jej spódniczki. Założę się, że podkasane.

Ich pies kłusował po skraju kurczących się piasków, pędząc, węsząc na wszystkie strony. Poszukuje czegoś zgubionego w przeszłym życiu. Niespodziewanie odbiegł zajęczymi susami, z uszami położonymi po sobie, ścigając cień niskomuska-jącej mewy. Wrzaskliwy gwizd mężczyzny uderzył go po sflaczałych uszach. Zawrócił i pędząc susami, zbliżył się,

przebierając migotliwymi łapami. Na pomarańczowym polu jelonek, biegnący, o barwie własnej, bezrogi. Przy rąbku koronki przyływu przystanął prostując przednie kopytka, uszami zwrócony w stronę morza. Uniesiony pysk zaszczekał ku falogiosom, ku stadom morskomorsów. Wężowo sunęły ku jego stopom, splatając się, rozplatając, wspinając, opadając, wielogrzebienne, a co dziewiąta przełamuje się z pluskiem, z dali, z najdalszej dali, za falami fale.

Zbieracze muszelek. Brodząc płytko, wchodzili do wody, pochylali się, zanurzali swe torby, unosili je i brodząc wychodzili na brzeg. Pies podbiegł ku nim ujadając, wspiał się i musnął ich łapami, a potem opadł na cztery nogi i znowu wspiał się ku nim z niemą, niedźwiedzią pieszczotą. Nie zauważony, trzymał się przy nich, gdy ruszyli w kierunku suchszych piasków, a gałganek wilczego języka czerwono dyszał pomiędzy szczękami. Jego cętkowane ciało stąpało lekko przed nimi, a potem wydłużyło się nagle w cielecym galopie. Padlina leżała na jego drodze. Zatrzymał się, obwąchał ją, obszedł na sztywnych nogach, brat, węsząc bliżej, obszedł ją węsząc pośpiesznie wokół martwej psiej, poszarpanej skóry. Psiłeb, psiwęc, oczy przy ziemi, zmierzają ku jednemu wielkiemu celowi. Ach, biedna psiadusza. Tu leży psitrup biednej psiaduszy.

- Gałgan, ty kundlu! Odwal się od tego!

Okrzyk sprowadził go, przypłaszczony, do pana, a silne kopnięcie nie obutej nogi posłało bezboleśnie ponad jęzorem piachu, skulonego w ucieczce. Zatoczywszy łuk powrócił chyłkiem. Nie widzi mnie. Z wolna powłókł się skrajem kamiennego usypiska, obwąchał głaz i obsikał go unosząc tylną nogę. Pobiegł truchtem naprzód i, unosząc tylną nogę, siknął szybko, krótko na nie obwąchany głaz. Proste przyjemności biedaków. Potem odrzucił piasek tylnymi łapami: potem przednie łapy zaczęły kopać i przebierać. Coś, co pogrzebał tam, jego babka. Rył w piasku, kopiąc, przebierając, i przestał, by posłuchać wiatru, znów z furią rozdrapywał piasek, ustał wkrótce, leopard, pantera, zrodzony z nieprawego łoża, rozszarpujący zwłoki.

Kiedy obudził mnie zeszłej nocy, czy nie był to ten sam sen? Zaczekaj. Otwarta sień. Ulica nierządnic. Pamiętam. Harun-al-Raszyd. Już prawiewiem. Ten człowiek prowadził mnie, mówił. Nie bałem się. Trzymał melon i przytknął mi go do twarzy. Uśmiechnął się: śmietankowoowocowa woń. Taka jest zasada, powiedział. Wejdz. Chodź. Rozpostarty czerwony dywan. Zobaczysz kto.

Z torbami na plecach wlekli się czerwoni Egipcjanie. Jego sine stopy, wyglądające spod zakasanych spodni, klapały po lepkiem piasku, a ciemnoceglasty szalik zaciskał się na nie ogolonej szyi. Szła za nim kobiecymi krokami: oprych i jego dziewczka. Przez plecy miała przerzuconą zdobycz. Jej nagie stopy inkrustowane piaskiem i odłamkami muszli. Wokół osmaganej wiatrem twarzy zwisały włosy. Sługa, idąca za swym panem do królewskiej stolicy. Gdy noc skryje skazy jej ciała, będzie nawoływała spod brązowego szala, z jakiejś bramy opaskudzonej przez psy. Jej alfons podejmuje dwu Królewskich Strzelców

Dublińskich u o'Loughlina z Blackpitts. Pocałuj ją, ugłaskaj sprośną łobuzerską gadką, o moje ciasteczko z dziurką. Diabelska białość pod jej zbutwiałymi szmatami. Na Fumbally Lane owej nocy: odór garbarni.

Białe Sapki, sine ryłko I smaczniutkie masz półdupki.

Legnij ze mną, ty, baryłko, Na oblapkę i całuski.

Brzuchaty Tomasz z Akwinu nazywa to ponurą rozkoszą, frate porcospino. Przed swym upadkiem Adam spółkował, ale nie znał chuci. Niech sobie beczy: smaczniutkie masz półdupki. Język ani odrobinę gorszy niż jego. Mnisze słowa, paciorki różańców paplające przy ich pasach: oprysze słowa, grudki złota krzepko gwarzące w ich kieszeniach.

Przechodzą teraz.

Spod oka na mój hamletowski kapelusz. Gdybym nagle siedział tu nagi? Ale nie siedzę. Poprzez piaski całego świata, ku zachodowi, ścigana płomiennym mieczem słońca, wędruje powoli ku krainom wieczoru. Wlecze, schleppuje, trainuje, taszczy, trascinuje swój ciężar. Zachodni, księżycem wleczony przypływ postępuje w ślad za nią. A w niej przypływy o niezliczonych wyspach, nie moja krew, oinopa ponton, morze ciemne jak wino. Spójrz, oto służebnica księżyca. We śnie mokry znak woła, że oto nadeszła jej godzina, każe jej powstać. Ślubne łożo, łożo porodowe, łożo śmierci, oświecone upiornie. Omnis caro ad te veniet. On przybywa, blade wampiry, oczyma przeszywając nawałnice, nietoperzowymi żaglami krwawiąc morze, ustami całując jej usta.

Tu. Przyszpilić to szybko. Moje tabliczki. Ustami całując ją. Nie. Musi być dwoje tych ust. Zlepmy je dobrze. Ustami całując jej usta.

Jego wargi musnęły i ucałowały bezcielesne wargi powietrza: ustami do jej łona. Ona we wszechłonach kona. Jego usta ułożyły się, odetchnąwszy, nie wypowiedzianym ooiihaa: grzmotem spadających planet, kulistych, ognistych, grzmiących daledaledaledaledal. Papier. Banknoty, niech je szlag trafi. List starego Deasy. Tu. Dziękując za waszą gościnność, oderwij czysty dół kartki. Odwrócony plecami ku słońcu, pochylił się nad skalnym stołem i nagryzmolił słowa. Już dwa razy zapomniałem zabrać kartki ze stołu bibliotecznego.

Cień jego leżał na skałach, gdy pochylony kończył. Dlaczego nie bezkresny, aż ku najdalszej z gwiazd? Są przyćmione tym blaskiem, ciemność świecąca pośród jasności, delta Cassiopei, światy. Ja siedzi tu z jego jesionową różdżką wrózbity w pożyczonych sandałach, za dnia nad sinym morzem niewidoczny, pośród fioletowej nocy stąpający pod władzą zdumiewających gwiazd. Odrzucam od siebie ten ograniczony cień, nieunikniony ludzki kształt i przywołuję go na powrót. Nieskończony, czy byłby moim, formą mej formy? Kto mnie tu widzi? Czy ktokolwiek gdziekolwiek będzie czytał te napisane słowa? Znaki na białym polu. Gdzieś do kogoś twym najbardziej flectystym głosem. Dobry biskup z Cloyne wyciągnął zasłonę świątyni ze swego księzęgo kapelusza: zasłona przestrzeni z barwnymi godłami wyrytymi na jej polu.

Trzymaj mocno. Barwnymi na płaskim: tak, w porządku. Widzę płasko, teraz pomyśl odległość, blisko, daleko, płasko widzę wschód, tył. Ach, spójrz teraz. Cofa się nagle, zamiera w stereoskopie. W mig robię ten trick. Znajdujecie moje słowa ciemnymi. Ciemność jest w duszach naszych, czy nie sądzicie tak samo? Flecisciej. Nasze dusze, zranione hańbą naszych występów, tulą się do nas tym mocniej, jak kobieta tuląca się do kochanka, mocniej, mocniej.

Ufa mi, dłoń ma łagodną, długorzęse oczy. I dokąd, u diabła, przenoszę ją poza tę zasłonę? Do nieuniknionej modalności nieuniknionej widzialności. Ona, ona, ona. Jaka ona? Dziewica przed oknem wystawowym Hodges Figgisa, zaglądająca w poniedziałek, w poszukiwaniu jednej z alfabetycznych książek, które miałaś napisać. Rzuciłeś jej przejmujące spojrzenie. Przegub w plecionym uchwycie parasolki. Mieszka w Leeson Park, żywiąc się melancholią i byle czym: literatka. Powiedz to komu innemu, Stefcu: dziwka. Założę się, że nosi te przekłete fiszbinowe gorsety z podwiązkami i żółte pończochy, cerowane grubą wełną. Gadał lepiej o jabłkach w cieście, piuttosto. Gdzie twój rozum?

Dotknij mnie: Łagodne oczy. Łagodna łagodna łagodna dłoń. Samotny tu jestem. O, dotknij mnie zaraz, teraz. Jakie jest to słowo znane wszystkim ludziom? Jestem cichy i samotny tu. I smutny. Dotknij mnie, dotknij.

Wyciągnął się na ostrych głazach, wpychając do kieszeni zabazgraną kartkę i ołówek, kapelusz nasunął na oczy. Zrobiłem ruch Kevina Egana, gdy pochyła głowę, by zadrzeć, wpaść w sabatowy sen. Et vidit Deus. Et erant valde bona. Hallo! Bonjour, bądź pozdrowiona jak kwiaty w maju. Spod skrzydła kapelusza przyglądał się przez pawiodrgające rzęsy południącemu słońcu. Jestem uwięziony pośród tego gorejącego obrazu. Godzina Pana, południe fauna. Pośród ciężkich gumowcowych węzorośli, mlekosączących owoców, gdzie na śniadych wodach szeroko leżą liście. Ból jest daleko.

Porzuć samotne rozmyślanie.

Jego zamyślane spojrzenie spoczęło na szerokoczubych butach odrzuconych przez szynkownego koleżkę nebeneinander: Policzył fałdy pomarszczonej skóry, w której gnieździła się cudza ciepła stopa. Stopa, która wybijała na ziemi rytm tripudium, stopa, której nie lubię. Ale byłeś uradowany, kiedy wszedł na ciebie bucik Esther Osvalt, dziewczyny, którą znałem w Paryżu. Tiens, quel petit pied! Wierny przyjaciel, bratnia dusza: miłość Wilde'a, która nie śmie wymówić swego imienia. Teraz opuści mnie. A wina? Taki jestem. Taki jestem. Wszystko albo wcale.

Z zagłębienia Cock woda napływała długimi pętłami, pokrywając zielonożłociste laguny piasków, wznosząc się, napływając. Moja laska odpłynie. Zaczekam. Nie, one popłyną dalej, przepływając, ocierając się o niskie skały, wirując, przepływając. Lepiej załatwić to jak najprędzej. Słuchaj: czterosłowa mowa fal: siisuuu, hrss, rssiis, uus. Gwałtowny oddech wód pośród morskich węży, stojących dęba koni, skał. W czasach skalnych chlupie ona: chlip,

chlup, chlap: uwieczniona w beczkach. I jej wyczerpana mowa cichnie. Wpływa pluszcząc, szeroko wpływając, szeleszczące, szepczące, pluszczące piany, kwiaty rozkwitające.

Zauważył, że pod powierzchnią nabrzmiewającego przypływu kręte wodorosty powstają ospale, kołyszą niechętnie ramionami i zadzierają kiecki w szepczących wodach, kołyszących i unoszących nieśmiałe, srebrne liście. Dzień po dniu: noc po nocy: unoszone, zatapiane i porzucane. Boże, jakże są znużone: i gdy szepnie się do nich, wzdychają. Święty Ambroży usłyszał to, westchnienia liści i fal czekających, wyczekujących pełni swego czasu, diebus ac noctibus iniurias patiens ingemiscit. Bezcelowo gromadzone: wyzwalane później na próżno, przypływające, odpływające:

krosna księżycy. Także znużonego w oczach kochanków, rozwiązłych mężczyzn, podobnego nagiej kobiecie, lśniącej pośród swego dworu, wlokącej jarzmo wód.

Pięć sążni, o, tam. Na pięć sążni w głąb twego ojca skrył prąd. Powiedział, że o pierwszej. Odnaleziony topielec. Wysoka woda przy dublińskiej zaporze. Pędzi przed sobą luźne odpadki, wachlarzowate ławice ryb, śmieszne muszelki. Słonobia-łe zwłoki wynurzają się z nurtu, podrygują ku brzegowi, za krokiem krok jak morświnów. Tu jest. Na hak go, prędko. Aby nie skryły go wodne głębiny. Mamy go. Teraz już łatwo.

Wór trupich wyziewów: wymoczony w plugawej, słonej brei. Migotliwe węgorze, utuczone gąbczastym przysmakiem, śmigają z jego rozporka. Bóg staje się człowiekiem staje się rybą staje się skorupiakiem staje się gęsią arktyczną staje się górą pierza. Umarłym technieniem ja, żywy, oddycham, depczę umarły kurz, wchłaniam resztki moczu wszystkich umarłych. Wciągnięty szybko na pokład wydycha z siebie w górę smród swego zielonego grobu, trędowata dziura pozostała po nosie chrapie ku słońcu.

To morska odmiana, piwne oczy na słońniebieskie. Śmierć w morzu, najłagodniejsza z wszystkich znanych człowiekowi. Stary Ojciec Ocean. Prix de Paris: strzec się naśladownictw. Osądźcie tylko sami uczciwie. Ogromnie się ubawiliśmy.

Chodź. Mam pragnienie. Chmurzy się. Nigdzie żadnych czarnych chmur, a może są? Burza. Spada najjaśniejszy; pyszny piorun intelektu, Lucifer, dico, qui nescit occasum. Nie. Mój kapelusz pielgrzymi, moja laska pątnicza i moje sandały, ciżmy. Dokąd? Do krain wieczoru. Wieczór sam się odnajdzie.

Ujął rączkę jesionowej laski i zaczął wymachiwać nią miękko, nadal zwlekając. Tak, wieczór odnajdzie się we mnie, beze mnie. Wszystkie dni mają swój koniec. Ale kiedy będzie następny? Wtorek będzie najdłuższym dniem. Z całego tego wesołego nowego roku, matko, ram pam pam ta ta tam. Lawn Tennyson, gentleman-poeta. Gia. Dla starej wiemy o żółtych zębach. A Monsieur Drumont to gentleman--żurnalista. Gia. Moje zęby są w bardzo złym stanie. Ciekawe dlaczego? Dotknij. Ten też już wypada. Muszle. Ciekaw jestem: czy powinienem pójść do dentysty za te pieniądze? I ten. Bezzębny Kinch, nadczłowiek. Ciekaw jestem, dlaczego tak się dzieje, a może to coś oznacza?

Moja chustka. On ją cisnął. Pamiętam. Czy nie podniosłem jej?

Ręka jego zaczęła bezowocnie przeszukiwać kieszenie. Nie, nie podniosłem. Lepiej kupić.

Ostrożnie złożył na krawędzi skały suchy, wydłubany z nosa smark. Reszty niech szuka, kto chce.

Z tyłu. Może tam ktoś jest.

Obejrzał się przez ramię, wstecz spoglądając. W powietrzu sunęły wysokie maszty trójmasztowca, o żaglach wzdętych na krzyżach rei, ku domowi, pod prąd. sunący cicho okręt.

II

PAN LEOPOLD BLOOM JADAŁ Z UPODOBANIEM WEWNĘTRZNE ORGANY BYDŁA

i drobiu. Lubił zawieszistą zupę z podróbek, orzechokształtne żołądki ptasie, nadziewane pieczone serca, płaty wątróbki podsmażane w tartej bułce, smażoną ikrę sztokfisa. A najbardziej lubił przypiekane nerki baranie, które napełniały jego podniebienie wyszukany smakiem delikatnie pachnącego moczu.

Nerki tkwiły w jego myślach, gdy poruszał się po kuchni bezszelestnie, poprawiając na pogiętej tacy przybory śniadaniowe dla niej. Światło i powietrze w kuchni były lodowate, ale wszędzie na zewnątrz łagodny, letni poranek. To czyniło go nieco wygłodniałym.

Węgle czerwieniały.

Jeszcze kawałek chleba z masłem: trzy, cztery: dobrze. Nie lubiła przeładowanego talerza. Dobrze. Odwrócił się od tacy, uniósł imbryk z występu płyty kuchennej i postawił go na krawędzi ognia. Rozsiadł się on tam, tępy i przysadzisty, ze sterczącą szyjką. Filiżanka herbaty zaraz. Dobrze. Sucho w gardle.

Kotka sztywno obeszła nogę stołu, unosząc wysoko ogon.

- Mrkniau!

- O, tu jesteś, powiedział pan Bloom, odwracając się od ognia. Kotka miauknęła w odpowiedzi i znowu sztywno obeszła nogę stołu, miauczając. Tak samo sztywno stąpa po stole, przy którym piszę. Prr. Podrap mnie w głowę. Prr.

Pan Bloom serdecznie i z ciekawością przyglądał się gibkiemu, czarnemu kształtowi. Czyste: połysk jej gładkiej sierści, biały guziczek pod nasadą ogona, zielone lśniąco oczy. Pochylił się ku niej z dłońmi opartymi o kolana.

- Mleko dla kici, powiedział.

- Mrkniau! zawołała kotka.

Mówią, że są głupie. Rozumieją nas lepiej, niż my je rozumiemy. Ona rozumie wszystko, co chce. I mściwe są także. Ciekaw jestem, jak mnie widzi. Wysokiego jak wieża? Nie, bo może na mnie wskoczyć.

- Boi się kurczaków, powiedział drwiąco. Boi się kurczaczków. Nigdy nie widziałem takiej głupiej kici jak kicia.

Okrutna. Jej natura. Ciekawe, że myszy nigdy nie piszczą. Jakby to lubiły.

- Mrkniau! powiedziała kotka głośno.

Zamrugła chciwymi, wstydliwie przymkniętymi oczami, miaucząc żałośnie, przeciągle i ukazując mu mlecznobiałe zęby. Przyglądał się ciemnym szparkom źrenic, które łakomstwo zwęziło tak, że wreszcie oczy stały się zielonymi kamykami. Później podszedł do kredensu, wziął dzbanek napełniony przed chwilą przez mleczarza od Haniona, nalał ciepłego, pokrytego bąbelkami mleka na spodek i postawił go ostrożnie na podłodze.

- Grrr! wrzasnęła pędząc, by chleptać.

Przyglądał się jej wąsom, lśniącym w słabym świetle jak druciki, gdy zanurzywszy trzykrotnie koniuszek języka, zaczęła lekko chleptać. Ciekawe, czy to prawda, że nie mogą łowić myszy, kiedy się im je obetnie. Dlaczego? Może dlatego, że one świecą po ciemku, te koniuszki. A może to taki rodzaj czułów w ciemności.

Przysłuchiwał się chlupchlap chleptaniu. Jajka na szynce, nie. Nic dobrego jajka przy takiej suszy. Trzeba czystej, świeżej wody. Czwartek: też nie najlepszy dzień na nerki baranie u Buckleya. Przysmażone na maśle z odrobiną pieprzu. Lepiej nerkę wieprzową u Diugacza. Zanim imbryk się zagotuje. Chleptała wolniej, potem wylizała spodek do czysta. Dlaczego mają takie szorstkie języki? Żeby lepiej chleptać, same porowate dziurki. Nic, co by mogła zjeść? Rozejrzał się. Nie.

W cichoskrzypiących butach wszedł po schodach do przedpokoju i przystanął przed drzwiami sypialni. Może będzie miała ochotę na jakiś przysmak. Lubi rano cienkie kromki chleba z masłem. Ale może: raz, dla odmiany.

Powiedział półgłosem w pustym przedpokoju:

- Idę na róg. Wrócę za minutę.

A kiedy usłyszał swój głos, wypowiadający to, dodał:

- Nie chcesz czegoś na śniadanie? Senny, miękki pomruk odpowiedział:

- Mn.

Nie. Nie chciała niczego. Potem usłyszał ciepłe, ciężkie westchnienie, miększe, gdy przekręciła się i zabrzęczały luźne, mosiężne pierścienie ramy łóżka. Koniecznie trzeba je umocować. Szkoda. Całą drogę z Gibraltaru. Zapomniała tej odrobiny hiszpańskiego, którą знаła. Ciekawe, ile jej ojciec dał za nie. Staromodne. Ach tak, oczywiście. Kupił je na licytacji gubernatorskiej. Młotek szybko opadł. Twardy jak kamień w interesach stary Tweedy. Tak, panie. To było pod Plewną. Wyrosłem z szeregów, panie, i jestem z tego dumny. Ale miał dosyć rozumu, żeby zająć się znaczkami. To było dalekowzroczne.

Dłoń jego zdjęła kapelusz z kołka, na którym wisiało opatrzone monogramem palto zimowe i płaszcz nieprzemakalny zakupiony w biurze znalezionych przedmiotów. Znaczki: lepkogrzbięte obrazki. Myślę, że wielu oficerów zajmuje się tym. Pewnie, że tak. Przepony napis pośrodku podszewki kapelusza powiedział mu bezgłośnie: Piasto, najwyższej jakości kapelu. Zerknął szybko za skórzaną podkładkę. Biały skrawek papieru. Zupełnie bezpieczny.

Na progu sięgnął do tylnej kieszeni po klucz od zatrasku. Nie tu. W spodniach, które zdjąłem. Muszę go wziąć. Ziemniak mam. Szafa z ubraniami skrzypi. Nie trzeba jej niepokoić. Była senna, kiedy się odwróciła teraz. Bardzo cicho pociągnął ku sobie drzwi wejściowe, jeszcze, póki dolna listwa nie nasunęła się miękko na próg, jak luźne wieko. Wyglądają jak zamknięte. W każdym razie tak będzie dobrze, dopóki nie wrócę.

Przeszedł na słoneczną stronę, omijając obłuzowaną klapę piwnicy numeru siedemdziesiąt pięć. Słońce zbliżało się do wieży kościoła Świętego Jerzego. Zdaje się, że będzie ciepły dzień. W czarnym ubraniu szczególnie się to odczuwa. Czerń przewodzi, zatrzymuje (a może załamuje?) ciepło. Ale nie mógłbym pójść w tym jasnym ubraniu. Robić z tego majówkę. Chwilami powieki jego opadały miękko, gdy szedł tak w błogim cieple. Wóz piekarski Bolanda rozwożący w płytkich koszach nasz powszedni, ale ona woli wczorajsze kromki, przewracane nad ogniem, kruche i gorące od góry. To odmładza. Gdzieś na wschodzie: wczesny ranek: wyruszyć o świcie, podróżować dokoła, wyprzedzając słońce, ukraść mu cały dzień. Robić to w niekończoność i teoretycznie nie starzeć się nigdy ani o dzień. Iść wzdłuż brzegu, nieznana-kraina, podejść do bramy miasta, tam strażnik, też stary wiarus z wielkimi wąsami starego Tweedy'ego, wsparty na czymś w rodzaju długiej włóczni. Wałęsać się po ocienionych płóciennymi daszkami ulicach. Przechodzą oturba-nione twarze. Ciemne pieczary sklepów z dywanami, ogromny mężczyzna, Turko straszliwy, siedzi ze skrzyżowanymi nogami, paląc skręconą w pierścienie fajkę. Nawoływania sprzedawców w ulicach. Woda do picia, pachnąca koprem, sorbetem. Wałęsać się cały dzień. Można spotkać jednego albo dwu zbójców. To cóż, spotkać ich. Zbliża się zachód słońca. Cienie minaretów, wzdłuż kolumn: kapłan ze zwojem pergaminu. Drzenie drzew, sygnał, wieczorny powiew. Przechodzę. Coraz bledsze złote niebo. Matka patrzy z progu. Woła swe dzieci w ich ciemnym języku. Wysoki mur: za nim brzęk strun. Księżyc nocnego nieba, fioletowy, koloru nowych podwiązek Molly. Struny. Posłuchaj. Dziewczyna grająca na jednym z tych instrumentów, jakże się one nazywają: dulcymery. Przechodzę.

Prawdopodobnie ani trochę tak nie jest w rzeczywistości. Coś z tych bzdur, które się czyta: na tropach słońca. Słońce rozświetla okładkę. Uśmiechnął się, zadowolony. To, co Artur Griffith powiedział o winiecie nad artykułem wstępnym Człowieka Wolnego: słońce samorządu wschodzące na północnym zachodzie z zaułka na tyłach Banku Irlandzkiego. Nie przestawał uśmiechać się z zadowoleniem. To się nazywa trafić: słońce samorządu wschodzące na północnym zachodzie.

Zbliżył się do Larry'ego o'Rourke. Ponad kratą piwniczną unosiły się ciężkimi smugami opary porteru. Z otwartych drzwi baru buchała woń imbiru, herbacianego pyłu, pokruszonych herbatników. A jednak dobry lokal: na samym krańcu wielkomiejskiego ruchu. Na przykład, M'Auleya tam dalej: nd. jako punkt. Oczywiście, gdyby puścili linię tramwajową wzdłuż North Circular, z targowiska bydłowego do nadbrzeży, wartość podskoczyłaby jak na sprężynie.

Łysa głowa nad firaneczką. Sprytny, stary dziwak. Nie warto namawiać go na ogłoszenie. Najlepiej zna swój interes. No pewnie, że jest tam, dzielny Larry, opiera się o worek z cukrem, rękawy koszuli ma zawinięte i patrzy na posługacza, który krząta się ze szczotką i wiadrem. Simon Dedalus naśladuje go znakomicie z oczyma uniesionymi w górę. Czy wie pan, co panu powiem? Co, panie o'Rourke? Czy wie pan? Rosjanie byliby tylko poranną przekąseczką dla Japończyków.

Zatrzymaj się i powiedz słowo: może o tym pogrzebie. Smutna sprawa z tym biednym Dignamem, panie O'Rourke.

Skręcając w Dorset Street powiedział ochoczo, pozdrawiając przez próg:

- Dzień dobry, panie O'Rourke.
- Dzień dobry panu.
- Piękna pogoda, proszę pana.
- To prawda.

Skąd biorą pieniądze? Przyjeżdżają jako rudowłosi posługacze z hrabstwa Leitrim, płuczą puste butelki i spijają resztki w piwnicy. A potem, patrzcie i podziwiajcie, rozkwitają jako Adam Findlater albo Dań Tallon. A pomyślcie o konkurencji. Ogólne pragnienie. To byłaby dobra łamigłówka przejść Dublin nie napotykając knajpy. Nie mogliby zaoszczędzić. Może z pijanych. Dać trzy, policzyć za pięć. Cóż to szkodzi, szyling tu, szyling tam, ziarnko do ziarnka. Może z hurtowych zamówień. Prowadząc podwójną grę z przyjezdnymi pośrednikami. Zaokrąglić to u szefa, a zyskiem się podzielimy, co?

Ile to by dało miesięcznie z porteru? Powiedzmy, dziesięć baryłek tego. Powiedzmy, że wziął dziesięć procent. O, więcej. Piętnaście. Minął szkołę powszechną Świętego Józefa. Brzdące hałasują. Otwarte okna. Świeże powietrze wspomaga pamięć. Albo porzekadełko. Abecede

eefgie haijotka elemenope quereste. Czy to chłopcy? Tak. Inishturk. Inishark. Inishboffin. Uczą się swojej śmiechografii. Mojej. Slieve Bloom.

Zatrzymał się przed oknem wystawowym Diugacza, wpatrzony w zwoje kielbas i serdelków, ciemnych i jasnych. Piętnaście pomnożone przez. W jego umyśle cyfry zbladły bez rozwiązania: niezadowolony, dał im się rozplynąć. Lśniące, nadziane mielonym mięsem ogniwa karmiły jego spojrzenie i wdychał spokojnie ciepły opar przegotowanej, ostro przyprawionej świńskiej krwi.

Nerka sączyła krwawe krople na półmisek o chińskim wzorku: ostatnia. Stał przy ladzie obok dziewczyny sąsiadów. Czy ona ją też kupi, odczytawszy ze spisu na kartce, którą trzyma w dłoni. Spékane: soda do prania. I półtora funta serdelków. Jego oczy spoczęły na jej krzepkich biodrach. On się nazywa Woods. Ciekawe, czym się zajmuje. Żona jest starszawa. Świeża krew. Zalotnicy wzbronieni. Para silnych rąk. Łupiących w dywan na trzepaku. Ależ łupie w ten dywan, święty Jacku. I sposób, w jaki jej przekrzywiona spódnica kołysze się przy każdym łupnięciu.

Łasicooki rzeźnik złożył serdelki, które oderwał poplamionymi, serdeloróżowymi palcami. Zdrowe mięso jak u jałówki karmionej w oborze.

Uniósł stronicę ze stosu pociętych gazet. Wzorowa farma w Kinnereth nad brzegiem Jeziora Tyberiadzkiego. Może stać się idealnym zimowym sanatorium. Mojżesz Montefiore. Zdawało mi się, że on. Wiejski dom, otoczony murem, bydło pasące się za mgiełką. Odsunął od siebie gazetę: interesujące: przybliżył ją znów, czytając, bydło pasące się za mgiełką, szeleszcząca strona. Młoda biała jałówka. Owe poranki na targu bydłym, trzody ryczące w zagrodach, znakowane owce, chlap i klap łajna, hodowcy w podkutych butach, ciężko stąpający po podściółce, uderzają dłońmi w nabite mięsem zady, ta jest pierwszorzędną, nie ostrugane kije w ich dłoniach. Cierpliwie trzymał stronę ukosem, poskramiając zmysły i pragnienie, a jego uległe, łagodne spojrzenie było pełne spokoju. Przekrzywiona spódnica kołysząca się, łup i łup i łup.

Rzeźnik pochwycił dwie stronicę ze stosu, zawinął w nie jej pierwszorzędne serdelki i zrobił czerwony grymas.

- Proszę, moja panienko, powiedział.

Uśmiechając się zuchwale, podała monetę w wysuniętej grubej garści.

- Dziękuję pani. Szyling i trzy pensy reszty. Co dla pana, proszę? Pan Bloom wskazał prędko. Dogonić i iść za nią, jeżeli będzie szła powoli, za jej poruszającymi się szynkami. Przyjemnie to widzieć z samego rana. Pospiesz się, do diabła. Kuj żelazo, póki gorące. Stała przed sklepem w blasku słońca, a potem ruszyła leniwie w prawo. Westchnął pod nosem: one nigdy nie rozumieją. Ręce spékane od sody. I zrogowaciałe paznokcie u nóg. Brunatne postrzępione szkapierze, chroniące ją od przodu i tyłu. Ukłucie zlekceważenia

rozżarzyło się w jego piersi, aż do cichego zadowolenia. Dla innego: policjant po służbie obmacywał ją w Eccies Lane. Oni lubią je rozłożyste. Pierwszorzędny serdelek. Och, proszę, Panie Policjancie, zagubiłam się w lesie.

- Trzy pensy, poproszę.

Dłoń jego przyjęła wilgotny, pulchny gruczoł i wsunęła go do bocznej kieszeni. Potem wyciągnęła trzy pensy z kieszeni spodni i położyła je na gumowej podstawce. Leżały, zostały szybko odczytane i szybko wsunięte, krążek po krążku, do szufladki kasy.

- Dziękuję panu. Do następnego razu.

Punkciki skwapliwego ognia w lisich oczach podziękowały mu. Po chwili odwrócił spojrzenie. Nie: lepiej nie: do następnego razu.

- Do widzenia, powiedział odchodząc.

- Do widzenia panu.

Ani śladu. Zniknęła. Co za różnica?

Powracał ulicą Dorset, czytając ze skupieniem. Agendath Netaim: stowarzyszenie osadników. W celu zakupu piaszczystych nieużytków od rządu tureckiego i obsadzenia ich eukaliptusowymi drzewami. Znakomitymi dzięki swej cienistości, wartości opałowej i budulcowi. Gaje pomarańczowe i niezmierzone pola melonów na północ od Jaffy. Po zapłaceniu ośmiu marek zasadzą dla ciebie dunam ziemi oliwkami, pomarańczami, migdałami albo cytrusami. Oliwki tańsze: pomarańcze wymagają sztucznego nawadniania. Co roku otrzymasz przesyłkę plonów. Zostaniesz dożywotnio zapisany jako właściciel w księdze stowarzyszenia. Możesz zapłacić dziesięć teraz, a pozostałość w rocznych ratach. Bleibtreustrasse 34, Berlin, W. 15.

Nie da się zrobić. Ale jednak to pomysł.

Patrzył na bydło za mgiełką w srebrnym upale. Srebrzyste pudrowane drzewa oliwkowe. Spokojne, długie dni: przycinanie, dojrzewanie. Oliwki pakuje się w słoje, co? Zostało mi jeszcze trochę z tych od Andrews. Molly wypływająca je. Teraz zna już ich smak. Pomarańcze w bibułkach, zapakowane do skrzynek. Cytrusy też. Ciekawe, czy biedny Citron z Saint Kevin's Parady żyje jeszcze? I Mastiansky ze swoją starą cytrą. Miłe wieczory spędzaliśmy wtedy. Molly w wyplatany krześle Citrona. Przyjemne w dotyku, chłodne, pachnące owoce, trzymać w dłoni, unieść do nozdrzy i wdychać woń. O tak: ciężka, słodka, dzika woń. Zawsze ta sama, rok po roku. Osiągały wysoką cenę, mówił mi Mojsel. Plac Arbutus: ulica Miła: miłe, dawne czasy. Muszą być bez skazy, powiedział. Przebywając całą tę drogę: Hiszpania, Gibraltar, Morze Śródziemne, Lewant. Skrzynki uszeregowane na nadbrzeżu w Jaffie, jakiś facet odkreśla je w książce, przenoszą je tragarze ubrani w brudne perkaliki. Ten jakże mu tam wychodzi z. Jak się pan? Nie widzi. Facet, którego zna się tylko

tyle, żeby go pozdrowić, trochę nudziarz. Plecy ma podobne do pleców tego norweskiego kapitana. Ciekawe, czy go dzisiaj spotkam. Polewaczka uliczna. Żeby ściągnąć deszcz. Jako w niebie tak i na ziemi.

Chmura zaczęła zakrywać słońce zupełnie powolnie zupełnie. Szara. Daleka.

Nie, nie tak. Jałowy kraj, naga pustynia. Wulkaniczne jezioro, martwe morze:

bez ryb, żadnych wodorostów, zapadłe głęboko w ziemię. Żaden wiatr nie wzburzyłby tych fal, szarego metalu, trujących mglistych wód. Nazywają to siarczanym deszczem: miasta na równinie: Sodoma, Gomorra, Edom. Martwe nazwy. Martwe morze pośród martwej krainy, szarej i starej. Starej teraz. Zrodziła najstarszą, pierwszą rasę. Zgarbiona starucha przeszła od Cassidy'ego, ściskając szyjkę niewielkiej butelki. Najstarszy lud. Tułał się daleko po całej ziemi, z niewoli w niewolę, rozmnażając się, umierając, rodząc wszędzie. Ona leży tam teraz. Nie może już rodzić. Martwa: starej kobiety: szara, zapadnięta pizda świata.

Opuszczenie.

Szare przerażenie przeniknęło jego ciało. Złożywszy stronicę i wsunąwszy ją do kieszeni, skręcił w Eccies Street, spiesząc ku domowi. Zimne oleje pęzły w jego żyłach, mroząc krew: wiek opancerzał go słoną skorupą. No, ale na razie jestem tutaj. Kto rano wstaje, temu się źle zdaje. Wstałem lewą nogą z łóżka. Muszę zacząć te ćwiczenia Sandowa. Opadanie na dłoniach. Brudne brunatne baraki z cegły. Numer osiemdziesiąty ciągle nie wynajęty. Dlaczego? Oceniony tylko na dwadzieścia osiem. Towers, Battersby, North, MacArthur: okna salonu pozaklejane afiszami. Opatrunek na bolące oko. Czuć łagodny zapach herbaty, dym znad patelni, skwierczące masło. Być blisko jej rozłożystego, rozgrzanego łóżkiem ciała. Tak, tak.

Szybkie, ciepłe światło słoneczne nadbiegło z Berkeley Road, śmigłe w smukłych sandałach wzdłuż rozjaśniającego się chodnika. Biegnie, ona biegnie mi na spotkanie, dziewczyna o złotych włosach rozwianych na wietrze.

Dwa listy i kartka pocztowa leżały na podłodze w przedpokoju. Pochylił się i podniósł je. Pani Marion Bloom. Jego szybko bijące serce zwolniło natychmiast. Nakreślone śmiałą ręką. Pani Marion.

- Poldy!

Wchodząc do sypialni zmrużył oczy i ruszył przez ciepły żółty półmrok ku jej skotłowanemu łóżku.

- Do kogo te listy?

Spojrzał na nie. Mullingar. Milly.

- List do mnie od Milly, powiedział ostrożnie, i kartka do ciebie. I list do ciebie.

Położył kartkę i list na tkanej w pasy kapie, blisko zgięcia jej kolan.

- Chcesz, żeby podnieść storę?

Unosząc storę delikatnymi pociągnięciami, tam i na powrót, dostrzegł kątem oka, że zerknęła na list i wsunęła go pod poduszkę.

- Tyle wystarczy? zapytał odwracając się. Czytała kartkę, wsparta na łokciu.

- Dostała rzeczy, powiedziała.

Czekał, póki nie odłożyła kartki na bok i nie zwinęła się ponownie w kłębek z błogimi westchnieniami.

- Pospiesz się z tą herbatą, powiedziała. Usycham.

- Imbryk się gotuje, powiedział.

Ale zatrzymał się jeszcze, aby opróżnić krzesło: jej pasiasta halka, zmięta, poplamiona bielizna: i złożył wszystko razem w nogach łóżka. Gdy schodził kuchennymi schodami, zawołała:

- Poldy!

- Co?

- Wyparz imbryczek.

Gotowała się z pewnością: pióropusz pary z dzióbka. Wyparzył i opłukał imbryczek, wsypał cztery pełne łyżeczki herbaty i pochylił imbryk, aby wlać wodę. Odstawiwszy herbatę, żeby naciągnęła, zdjął imbryk z ognia, postawił patelnię na rozżarzonych węglach i patrzył na kawałek masła, który ślizgał się i rozpuszczał. Gdy odwijał nerkę, kotka zamiauczała wygłodniałe tuż przy nim. Dać jej za wiele mięsa, nie będzie łowić myszy. Mówią, że one nie jedzą wieprzowiny. Koszerne. Masz. Upuścił ku niej pokrwawiony papier i rzucił nerkę na syczące płynne masło. Pieprz. Rozsypał go palcami, kuliście, z wyszczerbionego kieliszka na jajka.

Potem rozciął list, zerkając na obie strony kartki. Dziękuję: nowy берет: pan Coghlan: majówka nad jeziorem Owel: młody student: Bujnego Boylana nadmorskie dziewczęta.

Herbata naciągnęła. Uśmiechając się napelnił swą szeroką filiżankę, fałszywe Crown Derby. Urodzinowy prezent Śmiesznej Milly. Miała wtedy pięć lat. Nie, chwileczkę: cztery. Dałem jej wtedy bursztynowy naszyjnik, który rozerwała. Wkładałem dla niej do skrzynki pocztowej kawałeczki papieru pakunkowego. Uśmiechał się, nalewając.

O, Milly Bloom. w sercu cię noszę, Jak w lustro patrzeć w ciebie mogę. I wolę ciebie ubogą bez grosza Niż Kasię Keogh z ostem i ogrodem.

Biedny stary profesor Goodwin. Okropny przypadek. Ale to był wytworny staruszek. Staroświecki sposób, w jaki kłaniał się Molly przy schodzeniu z estrady. A to malutkie lusterko w jego cylindrze. Ten wieczór, kiedy Milly przyniosła je do salonu. Zobaczcie, co znalazłam w kapeluszu profesora Goodwina! Śmieliśmy się wszyscy. Płeć już wtedy dawała znać o sobie. Była zuchwałym małym stworzonkiem.

Wbił widelec w nerkę i odwrócił ją z kłasnieniem: potem ustawił czajniczek na tacy. Kiedy ją uniósł, wypukłość stuknęła. Czy wszystko jest? Chleb z masłem, cztery, cukier, łyżeczka, jej śmietanka. Tak. Zaniósł tacę na górę, trzymając zagięty kciuk w uchu imbryczka.

Otworzywszy drzwi lekkim trąceniem kolana, wniósł tacę i postawił na krześle przy głowach łóżka.

- Ileż czasu ci to zajęło, powiedziała.

Mosiężne pierścienie zadzwoniły, kiedy uniosła się żywo, opierając łokieć o poduszkę. Spoglądał spokojnie w dół na jej pełne kształty i pomiędzy jej wielkie, miękkie piersi, opadające pod nocną koszulą jak kozie wymiona. Ciepło jej wypoczywającego ciała uniosło się w powietrzu, zmieszane z wonią herbaty, którą zaczęła nalewać.

Skrawek rozdartej koperty wyglądał spod zmiętej poduszki. Odchodząc zatrzymał się, by wyprostować kape.

- Od kogo był ten list? zapytał. Śmiałe pismo. Marion.

- Och, od Boylana. Będzie organizował program.

- Co będziesz śpiewała?

- La ci darem z J. C. Doyle, powiedziała, i Starą Słodką Pieśń Miłosną. Jej pełne wargi, pijąc, uśmiechnęły się. To kadzidło pozostawia na drugi dzień trochę stęchły zapach. Jak nieświeża woda po kwiatach.

- Chcesz, żeby uchylić okna?

Włożyła do ust złamaną we dwoje kromkę chleba, pytając:

- O której pogrzeb?

- Myślę, że o jedenastej, odpowiedział. Nie widziałem gazety. Idąc za jej wskazującym palcem, ujął nogawkę przybrudzonych, leżących na

łóżku majtek. Nie? Potem skręconą, szarą podwiązkę owiniętą wokół pończochy: pomięta, wyświecona stopa.

- Nie: tę książkę.

Druga pończocha. Jej halka.

- Musiała upaść, powiedziała.

Pomacał tu i tam; Voglio e non vorrei. Ciekawe, czy ona dobrze to wymawia: voglio. Nie ma w łóżku. Musiała się zsunąć. Pochylił się i uniósł falbanę kapy. Upuszczona książka leżała otwarta, wspierając się na wypukłości nocnika o pomarańczowej obwódce.

- Daj tu, powiedziała. Zaznaczyłam sobie w niej. Jest tam słowo, o które cię chciałam zapytać.

Przełknęła łyk herbaty z filiżanki trzymanej za ucho i wytarłszy szybko końce palców w kołdrę, zaczęła przesuwac szpilką do włosów po tekście, aż dotarła do tego słowa.

- Mnie tam co? zapytał.

- Tu, powiedziała. Co to znaczy?

Pochylił się i odczytał tuż przy wypolerowanym paznokciu jej kciuka.

- Metempsychoza?

- Tak. Co to za facet? Jak go nazywają ci, co go znają?

- Metempsychoza, powiedział marszcząc brwi. To greckie: pochodzi z greki. Oznacza transmigrację dusz.

- Och, brednie! powiedziała. Powiedz po ludzku.

Uśmiechnął się, zerkając z ukosa w jej drwiące oczy. Te same młode oczy. Ta noc po szaradach. Dolphin's Barn. Przewrócił poplamione kartki. Ruby: Chluba Areny. Och, ilustracja. Ognisty Włoch z batem. A Ruby chluba musi być chyba tam na ziemi naga. Litościwie okręcona prześcieradłem. Potwór Mafei odstąpił i z przekleństwem odrzucił od siebie swą ofiarę. Okrucieństwo w tym wszystkim. Oszołomione narkotykami zwierzęta. Trapez w cyrku Henglera. Musiałem patrzeć w drugą stronę. Tłum gapił się. Skręć kark, a my będziemy skręcać się ze śmiechu. Całe rodziny ich. Wyłuskaj z nich kości za młodu, żeby mogli metempsychodzić. Że żyjemy po śmierci. Nasze dusze. Że dusza człowieka po jego śmierci. Dusza Dignama...

- Przeczytałaś do końca? zapytał.

- Tak, powiedziała. Nie ma w niej nic pieprznego. Czy ona kocha przez cały czas tego pierwszego faceta?

- Nie czytałem jej. Czy chcesz inną?

- Tak. Weź jeszcze jedną Paula de Kocka. Ma ładne nazwisko.

Nalała herbaty do filiżanki, przyglądając się jej z boku. Muszę odnowić abonament w tej bibliotece przy Capel Street, inaczej napiszą do Kearneya, mojego poręczyciela. Reinkarnacja: to jest to słowo.

- Niektórzy ludzie wierzą, powiedział, że po śmierci żyjemy w innym ciele, że żyliśmy przedtem. Nazywają to reinkarnacją. Że wszyscy żyliśmy na ziemi przed tysiącami lat albo na jakiejś innej planecie. Mówią, że zapomnieliśmy o tym. Niektórzy twierdzą, że pamiętają swoje poprzednie życie.

Ciągliwa śmietanka wirowała leniwymi spiralami w jej herbacie. Lepiej przypomnieć jej to słowo: metempsychoza. Przykład byłby lepszy. Przykład?

Kąpiel nimfy nad łóżkiem. Ofiarowana razem z wielkanocnym numerem Foto--Okruchów: Wspaniałe arcydzieło w artystycznych barwach. Herbata, nim wleje się do niej mleko. Podobna do niej, kiedy ma włosy rozrzucone: smuklejsza. Trzy szylingi i sześć pensów dałem za ramkę. Powiedziała, że będzie ładnie wyglądać nad łóżkiem. Nagie nimfy: Grecja: i na przykład wszyscy ludzie, którzy żyli wtedy.

Przekartkował do tyłu.

- Metempsychoza, powiedział, nazywali to starożytni Grecy. Wierzyli, że można być zmienionym w zwierzę albo w drzewo, na przykład. To, co nazywali nimfami, na przykład.

Jej łyżeczka przestała mieszać cukier. Patrzyła przed siebie wciągając powietrze przez rozdęte nozdrza.

- Czuć spaleniznę, powiedziała. Czy zostawiłeś coś na ogniu?

- Nerka! krzyknął.

Wsunął gwałtownie książkę do wewnętrznej kieszeni marynarki i uderzywszy palcami nóg o kulawą komodę, wybiegł w kierunku swądu, zstępując pospiesznie po schodach na swych przerażonych bocianich nogach. Gryzący dym buchał wściekle ze skraja patelni. Wsadziwszy zęby widelca pod nerkę, oderwał ją i przewrócił na grzbiet. Tylko trochę przypalona. Cisnął ją z patelni na talerz i skąpo polał brunatnym sosem.

Teraz filiżanka herbaty. Usiadł, ukroił i posmarował masłem kawałek chleba. Odcinał skrawek przypalonego mięsa i cisnął kotce. Potem wsunął do ust widelcem wielki kęs i żuł ze znanstwem sprężyste, smaczne mięso. W sam raz. Łyk herbaty. Później zaczął odcinać kostki chleba, zamoczył jedną w sosie i włożył do ust. Co to było o tym młodym studencie i majówce? Rozprostował wyjęty z kieszeni list obok na stole i powoli czytał, żując, maczając drugi kawałek chleba w sosie i unosząc go do ust.

Najdroższy Papli

Dziękuję ogromnie za śliczny prezent urodzinowy. Jest mi w nim doskonale. Wszyscy mówią, że jestem ogromnie szykowna w moim nowych szkockim berecie. Dostałam pudełko doskonałych nadziewanek od mamy i piszę do niej. Są doskonałe. Zaczynam wypływać w fachu fotograficznym. Pan Coghlan zrobił mi zdjęcie, a Pani prześle je, kiedy będzie wywołane. Wczoraj mieliśmy wielki ruch. Śliczny dzień i całe to wolonogie bydelko zbiegło się do nas. Jedziemy nad jezioro Owel w poniedziałek z paroma przyjaciółmi na składkową majówkę. Dla mamusi i dla ciebie wielkie całusy i podziękowania. Słyszę ich przy pianinie na dole. W sobotę ma być koncert w Greville Arms. Czasem przychodzi tu wieczorami miody student, nazywa się Bannon, jego kuzyni, czy ktoś taki, są grubymi rybami, śpiewa Boylana (o mało nie napisałam Bujnego Boylana) piosenkę o tych nadmorskich dziewczętach. Powiedz mu, że śmieszna Milly przesyła wyrazy szacunku. Muszę teraz kończyć z najczulszą miłością. Twoja najczulsza córka.

MILLY PS - Wybacz bazgraninę, ale się spieszę. Pa pa.

M.

Skończyła wczoraj piętnaście. Ciekawe, że był to też piętnasty dzień miesiąca. Jej pierwsze urodziny z dala od domu. Rozłąka. Pamiętam ten letni poranek, kiedy się urodziła, biegłem, żeby zbudzić panią Thornton przy Denzille Street. Wesoła stara kobieta. Masę dzieci musiała wyprowadzić na świat. Od razu wiedziała, że biedny mały Rudi nie wyżyje. Cóż, pan Bóg jest dobry, proszę pana. Wiedziała od razu. Miałby teraz jedenaście, gdyby żył.

Jego puste spojrzenie spoczęło z żalem na postscriptum. Wybacz bazgraninę. Spieszę się. Przy pianinie na dole. Wykluwa się ze swej skorupki. Sprzeczka z nią w kawiarni XL o bransoletkę. Nie chciała jeść ciastek ani przemówić, ani spojrzeć. Złościca. Zanurzał kolejnie kostki chleba w sosie i zjadał nerkę, kawałek po kawałku. Dwanaście szylingów i sześć pensów tygodniowo. Niewiele. Ale mogło być gorzej. Statystka w music-hallu. Młody student. Wypił łyk chłodniejszej herbaty, żeby splukać posiłek. Potem znowu odczytał list: dwukrotnie.

No cóż: wie, jak się ma zachowywać. A jeżeli nie? Nie, nic się nie stało. Oczywiście, może się stać. Zaczekać w każdym razie, póki się nie stanie. Dzikuska. Jej smukłe nogi wbiegające na schody. Przeznaczenie. Dojrzewa teraz. Próżna: bardzo.

Uśmiechnął się z zakłopotaną czułością w stronę kuchennego okna. Ten dzień, kiedy przyłapałem ją na ulicy, szczypiącą sobie policzki, żeby je zarumienić. Trochę anemiczna. Za długo dostawała mleko. Na Królu Erynu ten dzień wokół latarni Kish. Przeklęta stara balia kołysała bez przerwy. Nie miała wcale stracha. Jej bladoniebieska szarfa i jej włosy rozwiane na wietrze.

Ich policzki, ich loki, ich oczęta, W głowie szumi jak morze piosenka.

Nadmorskie dziewczęta. Rozdarta koperta. Z rękami w kieszeniach spodni stangret, mający wolny dzień, śpiewa. Przyjaciół domu. Szumi, powiada. Latarnie na molo, letni wieczór, orkiestra.

Dziewczęta, dziewczęta, dziewczęta, Śliczne nadmorskie dziewczęta.

Milly także. Młode pocałunki: pierwsze. Dawno minione teraz. Pani Marion. Czyta teraz, leżąc na wznak, rozdzielając pasma włosów, uśmiechając się, splatając je.

Miękki, żaloszny smutek spłynął mu wzdłuż kręgosłupa, rosnąc. To się stanie, tak. Zapobiec. Bezżyteczne: nie mogę działać. Słodkie, przelotne wargi dziewczęce. To też się stanie. Poczuł, że go zalewa żalosz. Nie warto nic robić. Wargi całowane całujące całowane. Pełne, lepkie wargi kobiece.

Lepiej, że jest tam, gdzie jest: daleko. Ma zajęcie. Chciała mieć psa, żeby wypełnić sobie czas. Można by się tam przejechać. W wolny dzień w sierpniu, powrotny tylko dwa i pół szylinga. Ale to jeszcze sześć tygodni. Mogłbym wykombinować przejazd dziennikarski. Albo przez M'Coya.

Kotka, oczyściwszy sobie futerko, powróciła do poplamionego mięsem papieru, obwąchała go i sztywno podeszła do drzwi. Obejrzała się na niego, miauczając. Chce wyjść. Czeka przed drzwiami, bo kiedyś się otworzą. Niech czeka. Jest niespokojna. Naelektryzowana. Burza w powietrzu. I myślała sobie ucho siedząc tyłem do ognia.

Był ociężały, wypełniony: później uczuł delikatny rozkurcz we wnętrznościach. Wstał, rozpinając pasek. Kotka miauknęła.

- Miau! odpowiedział. Zaczekaj, aż będę gotów.

Ociężałość: nadchodzi gorący dzień. Za wiele fatygi wchodzić po schodach na górę.

Gazeta. Lubił czytać w ustępie. Mam nadzieję, że żadna małpa nie przyjdzie i nie będzie pukała akurat wtedy, kiedy ja.

W szufladzie stołu znalazł stary numer Perełek. Złożył go i wsunął pod ramię, podszedł do drzwi i otworzył je. Kotka pobiegła w górę miękkimi susami. Ach, chciała się znaleźć na górze i zwinąć w kulkę na łóżku.

Nastłuchując, usłyszał jej głos:

- Chodź, chodź, kiciu. Chodź.

Wyszedł tylnymi drzwiami do ogrodu: przystanął, żeby posłuchać, co się dzieje w ogrodzie obok. Żadnego dźwięku. Może rozwiesza bieliznę do suszenia. Służebna była w ogródku. Piękny poranek.

Pochylił się, żeby popatrzeć na cienki rząderek kwiatów mięty ogrodowej, rosnących pod murem. Zrobić tu altanę. Groszek pachnący. Dzikie wino. Trzeba by było wszędzie dać nawóz, parszywa gleba. Pokryta brązową siarczaną skorupą. Każda gleba jest taka, jeżeli się nie da nawozu. Pomyje. Iły, co to jest takiego? Kury w ogrodzie sąsiadów: ich odchody są bardzo dobrym nawozem dla wierzchniej warstwy. Ale najlepszy z wszystkich jest bydlęcy, szczególnie jeśli karmi się bydło makuchami. Obornik. Najlepsza rzecz do czyszczenia damskich kozłowych rękawiczek. Brudne czyści. Popiół także. Użyźnić cały grunt. Zasadzić groch w tamtym kącie. Sałatę. Zawsze miałyby się wtedy świeże warzywa. Ale ogrody mają swoje wady. Ta pszczoła czy też końska mucha tutaj w poniedziałek po Zielonych Świątach.

Poszedł dalej. A swoją drogą, gdzie jest mój kapelusz? Musiałem go znowu powiesić na kołku. Albo na górze. Dziwne, nie pamiętam tego. Wieszak w przedpokoju przepełniony. Cztery parasolki, jej nieprzemakalna peleryna. Kiedy podnosiłem listy. Dzwonek w drzwiach sklepu Drago zadzwieczał. To dziwne, że akurat w tej chwili, kiedy o nim pomyślałem. Brązowe wybrylantynowane włosy nad kołnierzykiem. Właśnie się umył i uczesał. Ciekawe, czy będę miał czas wykąpać się dziś przed południem. Tara Street. Mówią, że ten gość przy kasie pomógł w ucieczce Jamesowi Stephensowi o'Brien.

Głęboki głos ma ten facet Diugacz. Agendath, co to jest? Proszę, moja panienko. Entuzjasta.

Nogą otworzył wypaczone drzwi wychodka. Lepiej uważać, żeby nie zabrudzić tych spodni przed pogrzebem. Wszedł, pochylając głowę pod niską listwą. Nie domykając drzwi, odpiął szelki pośród zaduchu spleśniałego wapna i stęchłych pajęczyn. Zanim usiadł, zerknął przez szparę w okno sąsiadów. Król był w swym skarbczyku, chłopczyku. Nikogo. Rozsiadłszy się na desce rozwinął gazetę, przewracając stronicę na obnażonych kolanach. Coś nowego i łatwego. Nie ma wielkiego pośpiechu. Przetrzymaj to trochę. Nasza nagrodzona perełka. Majstersztyk Matchama. Napisane przez pana Filipa Beaufoy, K-lub Miłośników Teatru, Londyn. Pisarzowi wypłacono honorarium w wysokości jednej gwinei za szpaltę. Trzy i pół. Trzy funty i trzy szylingi. Trzy funty trzynaście szylingów i sześć pensów.

Przeczytał spokojnie, powstrzymując się, pierwszą szaltę i, ustępując, ale stawiając opór, rozpoczął drugą. Pośrodku, gdy ostatni opór ustąpił, pozwolił swym wnętrznościom wypróżnić się spokojnie, czytając nadal, a potem czytał cierpliwie, a owo lekkie wczorajsze zatwardzenie minęło zupełnie. Mam nadzieję, że nie było dostatecznie duże, żeby znowu sprowadzić hemoroidy. Nie, w sam raz. Ach! Przy obstrukcji jedna tabletki cascara sagrada. Życie mogłoby być takie. Nie poruszyło go to i nie wstrząsnęło, ale było szybkie i zgrabne. Drukują teraz cokolwiek bądź. Głupi sezon. Czytał dalej, siedząc spokojnie nad swym własnym wznoszącym się smrodem. Z pewnością zgrabne. Matcham często rozmyśla o owym majstersztyku, dzięki któremu zdobył roześmianą czarodziejkę, która teraz. Rozpoczyna się i kończy moralnie. Dłoń w dłoni. Sprytne. Przejrzał to, co już przeczytał, i wczuwając się w spokojny odpływ moczu, zazdrościł serdecznie panu Beaufoy, który napisał to i otrzymał honorarium trzy funty trzynaście szylingów i sześć pensów.

Można by było zrobić szkic. Napisane przez pana i panią L. M. Bloom. Wymyślić opowiadanie ilustrujące przysłowie, które? Czas, kiedy starałem się notować na mankietach to, co mówiła przy ubieraniu. Nie lubię się ubierać razem. Zaciąłem się przy goleniu. Przygryzając dolną wargę zapinała haftki spódnicy. Zapisywałem czas. 9.15. Czy Roberts ci już zapłacił? 9.20. Co miała na sobie Greta Conroy? 9.23. A cóż mnie urzekło, żeby kupić ten grzebień? 9.24. Wzdęło mnie po tej kapuście. Pyłek na lakierze jej bucika.

Czyściła je zręcznie, kolejno ocierając o pończochy na łydkach. Poranek po tym balu dobroczynności, kiedy orkiestra Maya grała taniec godzin Ponchielli'ego. Wyjaśnić, że poranne godziny, południowe, potem nadchodzą wieczorne, a później godziny nocy. Czyszcząca zęby. To było pierwszego wieczoru. Jej roztańczona głowa. Klekoczące deszczułki jej wachlarza. Czy ten Boylan jest zamożny? Ma pieniądze. Dlaczego? Zauważyłem, że w tańcu ma przyjemny oddech. Nie warto nucić wtedy. Zrobić aluzję do tego. Dziwny rodzaj muzyki tego ostatniego wieczoru. Lustro było w cieniu. Szybko otarła swoje lustro o wełniany przód sukni, kryjący jej pełną rozkołysaną pierś. Zerknęła w nie. Cętki w jej oczach. Nic się nie da wywnioskować.

Wieczne godziny, dziewczęta w szarej gazie. Potem godziny nocy, czarne ze sztyletami i w maskach. Poetycki pomysł, różowe, potem złote, potem szare, potem czarne. W dodatku zgodnie z życiem. Dzień, potem noc.

Ostro oddał połowę nagrodzonego opowiadania i podtarł się nim. Potem uniósł spodnie, zapiał szelki i guziki. Pchnął skrzypiące, drżące drzwi wychodka i wynurzył się z mroku na powietrze.

W jaskrawym świetle, lżejszy i odświeżony, obejrzał uważnie swe czarne spodnie, końce nogawek, kolana, pod kolanami. O której pogrzeb? Lepiej odszukać w gazecie.

Skrzypnięcie i ciemny zgrzyt wysoko w powietrzu. Dzwony kościoła Jerzego. Wydzwaniały godzinę: głośnie posępne żelazo.

Hejho! Hejho! Hejho! Hejho! Hejho! Hejho!

Za piętnaście. J znowu dźwięk harmoniczny, podążający za nimi w powietrzu. Tercja.

Biedny Dignam!

RÓWNYM KROKIEM PAN BLOOM PRZESZEDŁ OBOK WOZÓW CIĘŻAROWYCH,
STOJĄCYCH

wzdłuż nadbrzeża Sir Johna Rogersona, minął Windrill Lane, tłoczną olejną Inianego Leaska, urząd pocztowo-telegraficzny. Można było podać i ten adres. Minął przytułek żeglarza. Porzuciwszy poranny zgiełk nadbrzeża, ruszył wzdłuż Limę Street. W pobliżu domków Brady'ego chłopak od garbarza z przewieszonym przez ramię kubłem bebechów siedział rozparty, ćmiąc wymiętoszony niedopałek papierosa. Mniejsza jeszcze dziewczynka,

ze szramami egzemy na czole, wpatrywała się w niego, bezmyślnie obejmując wyszczerbioną obręcz beczki. Powiedzieć mu, że nie urośnie, jeśli będzie palił. A, niech tam. Życie jego nie jest usłane różami! Czekaj przed knajpami, żeby sprowadzić tatę do domu. Chodź do domu, tato, do mamy. Martwa godzina: niewielu tam będzie. Przeciął Townsend Street, minął odrażającą fasadę Bethelu. El, tak: dom: Alepha, Betha. I minął przedsiębiorstwo pogrzebowe Nicholasa. To nastąpi o jedenastej. Jeszcze czas. Myślę, że Comy Kelieher wystraszył to zamówienie dla o'Neilla. Śpiewa z zamkniętymi oczami. Corny. Spotkał ją w ogrodzie. Po zachodzie. W całej krasie i urodzie. Szpicel policyjny. Swoje nazwisko i adres podała wówczas z moim tralala tralala hej. O, na pewno wystraszył. Pochowaj go tanio w czymkolwiek bądź. Z moim tralala, tralala, tralala, tralala.

Na Westland Rów przystanął przed witryną Belfast and Oriental Tea Company i odczytał napisy na owiniętych srebrnym papierem paczkach: wyborowa mieszanka, najlepszy gatunek, herbata familijna. Jak ciepło. Herbata. Trzeba wziąć trochę od Toma Kernana. Ale nie mogę go przecież poprosić w czasie pogrzebu. Oczy jego nadal czytały płynnie, gdy zdjął kapelusz, wdychając spokojnie zapach brylantyny, i unioś z powolnym wdziękiem prawą dłoń, by przesunąć nią po czole i włosach. Bardzo ciepły poranek. Spod opuszczonych powiek spojrzenie jego odnalazło maleńkie zgrubienie na skórzanej podkładce wysokiej jakości kapelu. Właśnie tam. Jego prawa dłoń opadła w głąb kapelusza. Palce odnalazły szybko kartkę za podkładką i przeniosły ją do kieszonki kamizelki.

Jak ciepło. Jego prawa dłoń raz jeszcze, jeszcze wolniej przesunęła się po czole i włosach: wyborowa mieszanka, przyrządzona z najlepszych cejlońskich odmian. Daleki Wschód. Musi to być piękne miejsce: ogród świata, wielkie, leniwe liście, na których można pływać, kaktusy, ukwiecone łąki, nazywają to węzowymi lianami. Ciekawe, czy tak jest. Ci Syngalezowie wałęsający się leniwie w słońcu, w dolcefar niente. Nie kiwną palcem przez cały dzień. Przesypiają sześć miesięcy z dwunastu. Za gorąco, żeby się kłócić. Wpływ klimatu. Odrętwienie. Kwiaty lenistwa. Powietrze jest najbardziej odżywcze. Azoty. Cieplarnia w ogrodzie botanicznym. Mimozy. Lilie wodne. Płatki zbyt zmęczone, żeby. Śpiączka w powietrzu. Stąpać po płatkach różanych. I pomyśleć, że można jadać flaki i nóżki cielęce. Gdzie był ten facet, którego widziałem gdzieś na obrazku? Aha, w martwym morzu, unosił się na wznak, czytał książkę i miał otwarty parasol. Nie możesz utonąć, choćbyś chciał: tak gęste od soli. Ponieważ ciężar wody, nie, ciężar ciała w wodzie, jest równy ciężarowi. Czy może to objętość jest równa ciężarowi? Jest jakieś takie prawo. Vance w szkole, wyłamujący sobie palce, nauczający. Program studiów. Powyłamywany program. Czym jest ciężar naprawdę, jeżeli mówi się ciężar? Trzydzieści dwie stopy na sekundę, na sekundę. Prawo spadania ciał: na sekundę, na sekundę. Wszystkie spadają na ziemię. Ziemia. To siła przyciągania ziemskiego jest ciężarem.

Odwrócił się i z wolna przeszedł przez ulicę. Jak ona szła z tymi swoimi serdelkami? Trochę w ten sposób. Idąc wyjął z bocznej kieszeni złożony numer Człowieka Wolnego, rozłożył go, zwinął podłużnie w trąbkę i zaczął uderzać nim lekko w nogawkę spodni przy każdym

powolnym kroku. Z niedbałą miną: wpadłem tylko zobaczyć. Na sekundę; na sekundę. Na sekundę to oznacza co sekundę. Z krawężnika rzucił bystre spojrzenie w drzwi urzędu pocztowego. Dodatkowe opróżnianie skrzynki. Poczta. Nikogo. Wejść.

Podał kartkę przez mosiężną kratę.

- Czy są dla mnie jakieś listy? zapytał.

Gdy urzędniczka przeszukiwała przegródkę, spojrzął na plakat rekrutacyjny, na którym paradowali żołnierze wszystkich rodzajów broni: i przytknął koniec zwiniętej gazety do nozdrzy, wdychając zapach świeżo zadrukowanego papieru. Prawdopodobnie nie ma odpowiedzi. Posunąłem się za daleko ostatnim razem.

Urzędniczka zwróciła mu przez kratę jego kartkę wraz z listem. Podziękował i zerknął szybko na kopertę zaadresowaną maszynowym pismem.

Pan Henryk Kwiatek poste restante, Westland Rów. w miejscu

W każdym razie odpowiedziała. Wsunął list i kartkę do bocznej kieszeni, raz jeszcze przyjmując paradę żołnierzy. Gdzie jest pułk starego Tweedy? Zwolniony ze służby. Tam: niedźwiedzia czapa i pióropusz. Nie, to grenadier. Spiczaste wyłogi. Tu jest: Królewscy Strzelcy Dublińscy. Czerwone kurtki. Za bardzo na pokaz. Pewnie dlatego kobiety tak lecą na nich. Mundur. Ułatwia werbowanie i musztrę. List Maud Gonne o tym, żeby zabronić im chodzenia nocą po ulicy O'Connella: hańba dla naszej irlandzkiej stolicy. Gazeta Griffitha też się teraz tego czepia: armia przeżarta wenerycznymi chorobami: zamorskie zapite imperium. Wyglądają jak oglupiali: zahipnotyzowani. Zagapieni. Wybijają takt. Krata: rata. Stół: wół. Królewscy. Nie przebiera się nigdy za strażaka albo policjanta. Za masona, tak.

Wyszedł z urzędu pocztowego i skręcił w prawo. Słowa: jak gdyby to mogło coś naprawić. Dłoń jego wsunęła się do kieszeni, a wskazujący palec, wyczuwszy miejsce zaklejenia koperty, zaczął rozdzierać ją po kawałku. Myślę, że kobiety nie przykładają do tego wielkiej wagi. Jego palce wyciągnęły list z koperty i zgmiotły ją w kieszeni. Coś przypiętego: może fotografia. Włosy? Nie.

M'Coy. Pozbyć się go szybko. Przeszkodzi mi. Nienawidzę towarzystwa, kiedy.

- Hallo, Bloom. Dokąd idziesz?

- Hallo, M'Coy. Właściwie to nigdzie.

- Jak zdrowko?

- Znakomicie. A twoje?

- Ledwie żyję, powiedział M'Coy.

Wpatrzony w czarny krawat i ubranie, zapytał z cichym uszanowaniem:

- Czy coś się... mam nadzieję, że nie jakieś zmartwienie? Widzę, że jesteś...
- Och, nie, powiedział pan Bloom. Biedny Dignam, wiesz chyba. Dziś jest pogrzeb.
- A tak, biedaczek. O której?

Fotografia to nie jest. Może coś do przypięcia.

- Je...jedenastej, odpowiedział pan Bloom.
- Postaram się tam przyjść, powiedział M'Coy. O jedenastej, tak? Usłyszałem o tym dopiero wczoraj wieczorem. Kto mi powiedział? Holohan. Znasz Hoppy'ego?
- Znam.

Pan Bloom spoglądał przez ulicę na odkrytą dwukólkę, która zajechała przed wejście do Grosvenoru. Portier położył walizę na koźle. Stała nieruchomo, czekając gdy mężczyzna, mąż, brat, podobny do niej, szukał drobnych po kieszeniach. Szykowny ten jej płaszcz z wywijanym kołnierzem. Za ciepły na taki dzień, wygląda jak koc. Stoi niedbale z rękami w tych naszytych kieszeniach. Jak tamto dumne stworzenie w czasie meczu polo. Kobiety pełne są ducha kastowości, dopóki nie trafisz w czułe miejsce. Piękna jest i pięknie czyni. Powściągliwa, zanim ulegnie. Czcigodna pani i Brutus jest czcigodnym człowiekiem. Raz zdobyta, traci sztywność.

- Byłem z Bobem Doranem, ma teraz jedno z tych swoich okresowych pijaństw, i z tym, jak mu tam Bantam Lyonsem. Byliśmy, o tam, niedaleko stąd, u Conwaya.

Doran, Lyons u Conwaya. Uniosła ku włosom dłoń w rękawiczce. Wchodzi Hoppy. Wypił jednego. Uniósłszy głowę i spoglądając w dal spod opuszczonych powiek, dostrzegł jasnobrunatną skórę lśniąca w blasku, obszyte guziczki. Wyraźnie dzisiaj widzę. Może to wilgoć w powietrzu daje taką dalekowzroczność. Mówi o tym lub owym. Dłoń damy. Z której strony wsiądzie?

- I powiedział: Smutna sprawa z tym naszym przyjacielem Paddy! Z jakim Paddy? powiedziałem. Biednym małym Paddy Dignamem, powiedział.

Wyjeżdża na wieś: pewnie do Broadstone. Wysokie brązowe buty z dyndającymi sznurowadłami. Pięknie utoczona stopa. Czemu on tak marudzi z tymi drobnymi? Widzi, że się przyglądam. Zawsze wypatrzy innego faceta. Dobrze mieć zapas. Dwie cięciwy w jej łuku.

- Dlaczego? powiedziałem. A co mu się stało? powiedziałem. Dumna: bogata, jedwabne pończochy.
- Tak, powiedział pan Bloom.

Odsunął się nieco w bok od przemawiającej głowy M'Coya. Wsiądzie za chwilę.

- Co mu się stało? powiedział. Umarł, powiedział. I nalał znowu. Czy Paddy Dignam? powiedziałem. Nie mogłem uwierzyć, kiedy to usłyszałem. Byłem z nim, nie dalej niż w piątek, czy może w czwartek. Pod Arkadą. Tak, powiedział. Odszedł. Umarł w poniedziałek, biedaczek.

Patrz! Patrz! Błysk jedwabiu, kosztowne pończochy białe. Patrz!

Ciężki, dzwoniący tramwaj rozdzielił ich.

Straciłem to. Przekleństwo na twój wrzaskliwy tępy ryj. Jakby mnie wypędzili. Peri i raj. Zawsze się tak dzieje. Właśnie w takiej chwili. Dziewczyna w bramie przy Eustace Street, zdaje się w poniedziałek, poprawiała podwiązkę. Jej przyjaciółka zasłaniała widok tych. Esprit de corps. No, i na co się gapisz?

- Tak, tak, powiedział pan Bloom, wydawszy głuche westchnienie. Jeszcze jeden odszedł.

- Jeden z najlepszych, powiedział M'Coy.

Przejechał tramwaj. Odjechali w stronę mostu kolei obwodowej, jej dłoń w kosztownej rękawiczce na stalowym uchwycie. Fru, fru: płomienna wstążka jej kapelusza w słońcu: fru, fru.

- Żona ma się dobrze, mam nadzieję? powiedział zmieniony głos M'Coya.

- O tak, powiedział pan Bloom. Wyśmienicie, dziękuję.

Rozwinął z roztargnieniem rulon gazety i przeczytał z roztargnieniem:

Czym jest dom bez

Morela Marynaty Mięsnej?

Nieszczęsny.

Z nią - szczęścia przybytkiem.

- Moja pani właśnie dostała engagement. W każdym razie jest już prawie załatwione.

Znowu ten chwyt z walizką. Ale nie szkodzi. Dziękuję, nie nabiorę się. Pan Bloom zwrócił na niego swoje powolne, przyjazne oczy o wielkich powiekach.

- Moja żona także, powiedział. Będzie śpiewała na bardzo szykownej imprezie w Uister Hali, w Belfaście, dwudziestego piątego.

- Naprawdę? powiedział M'Coy. Cieszę się, mój stary. Kto to przygotowuje? Pani Marion Bloom. Jeszcze nie gotowa. Królowa w swej sypialni jadła chlebuś i. Bez książki. Przybrudzone figury karciane leżą siódmkami wzdłuż jej uda. Ciemna dama i jasny pan. Kot, czarna futrzana kulka. Skrawek rozerwanej koperty.

Stara

Słodka

Pieśń

Miłosna

Brzmi miłosna, stara...

- Jest to rodzaj objazdu, rozumiesz? powiedział zamyślony pan Bloom. Słodka pieśń. Utworzono komitet. Udziały w wydatkach i dochodach. M'Coy skinął potakująco, szczypiąc swój szczeciniasty wąs.

- No tak, powiedział. To dobra nowina. Poruszył się, chcąc odejść.

- Cóż, cieszę się, że dobrze wyglądasz, powiedział. Do zobaczenia.

- Tak, powiedział pan Bloom.

- Powiem ci coś, powiedział M'Coy. Podaj moje nazwisko podczas pogrzebu, dobrze? Chciałbym pójść, ale może nie będę mógł, wiesz. Zdarzył się wypadek utonięcia w Sandycove, koroner i ja musimy tam pojechać, jeżeli odnajdzie się ciało. Jeżeli mnie tam nie będzie, wpisz tylko moje nazwisko, dobrze?

- Zrobię to, powiedział pan Bloom odchodząc. Wszystko będzie w porządku.

- W porządku, powiedział rześko M'Coy. Dziękuję stary. Poszedłbym, gdybym tylko mógł. No, cześć. Wystarczy tylko C. P. M'Coy.

- Będzie to zrobione, powiedział pan Bloom zdecydowanie.

Nie zaskoczył mnie znenacka. Szybko nabrać. Szuka frajera. Lubiałbym to. Do walizek mam szczególne upodobanie. Skóra. Wzmocnione kanty, okute brzegi, zameczek zatraskiwany na dwa spusty. Bob Cowley pożyczył mu swoją na zeszłoroczny koncert podczas regat w Wicklow i nie usłyszał o niej od tamtego pięknego poranka aż do dzisiaj.

Pan Bloom, krocząc w stronę Brunswick Street, uśmiechnął się. Moja pani właśnie dostała. Przenikliwy piegowaty sopran. Nos sknery. Przyjemny na swój sposób: do krótkiej ballady. Nie ma nośności. Ty i ja, rozumiesz? W tej samej łodzi. Wazeliniarz. Zirytuje cię tak, że. Czy nie słyszy różnicy? Myślę, że ma jakąś skłonność do tego. Ale drażni mnie trochę. Myślałem, że ten Belfast go zadziwi. Mam nadzieję, że nie pogorszyło się tam z tą ospą. Pewnie nie pozwoliłaby się znowu szczepić. Twoja żona i moja żona.

Ciekaw jestem, czy dalej węszy za mną?

Pan Bloom przystanął na rogu, błędząc oczyma po wielobarwnych plakatach. Piwo imbirowe Cantrella i Cochrane'a (Aromatyczne). Letnia wyprzedaż u Cle-ry'ego. Nie, idzie prosto.

Och. Dziś wieczór Lia: pani Bandman Palmer. Chciałbym jeszcze raz ją w tym zobaczyć. Zeszłego wieczoru grała Hamleta. W męskim przebraniu. Może był kobietą. Dlaczego Ofelia popełniła samobójstwo? Biedny papa! Jak opowiadał o Kate Bateman w tej roli! Przed bramą Adelphi w Londynie czekał całe popołudnie, żeby wejść. To było rok przed moim urodzeniem: w sześćdziesiątym piątym. I Ristori w Wiedniu. Jaki był tytuł tego? To Mosenthal napisał. Rachel? Nie. Ta scena, o której zawsze mówił, kiedy stary ślepy Abraham rozpoznaje głos i dotyka palcami jego twarzy.

- Głos Natana! Głos jego syna! Słyszę głos Natana, który porzucił ojca swego, aby umarł z żalu i zgryzoty na rękach moich, który porzucił dom ojca swego i Boga ojca swego.

Każde słowo jest tak głębokie. Leopoldzie.

Biedny papa! Biedny człowiek! Cieszę się, że nie wszedłem do pokoju, żeby spojrzeć na jego twarz. Tamten dzień! O Boże! O Boże! Och! Cóż, może to było dla niego najlepsze.

Pan Bloom obszedł narożnik i minął oklapnięte szkapę na postoiu dorożek. Nie warto o tym więcej myśleć. Czas worków z obrokiem. Szkoda, że spotkałem tego M'Coya.

Zbliżywszy się usłyszał szelest złocistego owsa i delikatne zgrzytanie zębów. Ich krągłe sarnie oczy spoglądały na niego, gdy przechodził pośród słodkawej owsianej woni końskiego moczu. Ich Eldorado. Biedne głupty! Nic nie wiedzą i o nic nie dbają, z tymi długimi nosami wetkniętymi w worki z obrokiem. Za pełno, żeby gadać. A jednak dostają wikt i nocleg. I owałaszone: kikut z czarnej gutaperki dyndający bezwładnie między ich tylnymi nogami. Ale i tak mogą być szczęśliwe. Robią wrażenie dobrych biednych zwierzaków. Ale ich rzenie bywa irytujące.

Wyjął list z kieszeni i włożył go do gazety, którą niósł. Właśnie tutaj mógłbym ją spotkać. Zaulek będzie bezpieczniejszy.

Minął zajazd dorożkarski. Ciekawe żyde powozić dorożkami, w każdą pogodę, w każde miejsce, na czas albo na umowę, bezwolni. Yoglio e non. Lubię im dawać papierosa od czasu do czasu. Towarzyscy. Wykrzykują parę przelotnych sylab mijając. Zanucił:

La ci darem la mono la la lala la la.

Skręcił w Cumberiand Street i przeszedłszy kilka kroków, przystanął pod osłoną dworca kolejowego. Nikogo. Skład drzewa Meade'a. Stosy belek. Ruiny i budynki. Ostrożnie przekroczył plac do gry w klasy wraz z pozostawionym kamieniem. Żywej duszy. Nie opodal składu drewna dziecko przykucnęło, grając w kulki, samotne, uderzając w nie zagiętym kciukiem. Mądra bura kotka, mrużący oczy sfinks, przyglądała się ze swego ciepłego parapetu. Nie trzeba im przeszkadzać. Mahomet odciął kawałek swego płaszcza, żeby jej nie budzić. Otwórzmy. Kiedyś i ja grałem w kulki, kiedy chodziłem do szkoły tej starej pani. Lubiła rezedę. Szkoła pani Ellis. I pana? Otworzył ukryty w gazecie list.

Kwiat. Myślę, że chyba to jest. Żółty kwiat z rozpląszczonymi płatkami. Więc nie zagniewana? Co mówi?

Drogi Henryku,

Otrzymałam twój ostatni list i bardzo ci za niego dziękuję. Przykro mi, że nie podobał ci się mój ostatni list. Dlaczego załączyłeś znaczki? Jestem na ciebie strasznie rozgniewana. Jak bym chciała cię za to ukarać. Nazwałam cię niegrzecznym chłopczykiem, ponieważ nie lubię tego słowa nie z tego świata. Proszę, powiedz mi, jakie jest prawdziwe znaczenie tego słowa. Czy nie jesteś szczęśliwy w twoim domu, ty biedny, niegreczny chłopczyku? Jak bym chciała zrobić coś dla ciebie. Proszę, powiedz, co myślisz o mnie biednej. Często myślę o tym, jakie piękne masz imię. Drogi Henryku, kiedy się spotkamy? Myślę o tobie tak często, że nie masz pojęcia. Nigdy nie czułam, żeby jakiś mężczyzna tak mnie pociągał jak ty. Cała jestem roztrzęsiona. Proszę, napisz mi długi list i powiedz mi więcej. Pamiętaj, że jeżeli tak nie zrobisz, to cię ukarzę. Więc teraz już wiesz, ty niegreczny chłopczyku, co ci zrobię, jeżeli nie napiszesz. O, jak tęsknię do spotkania z tobą. Henryku drogi, nie odrzucaj mojej prośby, zanim nie wyczerpię moich cierpliwości. Wtedy ci wszystko opowiem. A teraz do widzenia, niegreczne kochanie. Tak bardzo mnie dzisiaj głowa boli i napisz odwrotną pocztą do swojej stęsknionej

MARTY.

P.S. Powiedz mi, jakiego rodzaju perfum używa twoja żona. Chcę wiedzieć.

Poważnie oderwał kwiat od szpilki, wciągnął jego prawie bezwonną woń i umieścił go w kieszeni na sercu. Mowa kwiatów. Lubią to, bo nikt nie może usłyszeć. Albo zatruty bukiet, aby go powalić. Później, idąc powoli przed siebie, ponownie przeczytał list, od czasu do czasu mamrocząc jakieś słowo. Rozgniewane tulipany z tobą kochany kwiecie męski ukarzę twój kaktus jeżeli nie spodobaś się biednej niezapominajce jak tęsknią fiołki do drogich róż kiedy się prędko anemony spotkamy niegreczny pręciku żona Marty perfuma. Przeczytał do końca, wyjął go z gazety i włożył z powrotem do bocznej kieszeni.

Lekkie zadowolenie rozchyliło jego wargi. Zmieniła się od pierwszego listu. Ciekawe, czy sama to napisała. Udawała oburzoną: dziewczyna z dobrej rodziny jak ja, przyzwoita. Moglibyśmy się spotkać którejś niedzieli po różańcu. Dziękuję, nie używam. Zwykle miłosne sprzeczki. Potem gonić się po ulicach. Paskudne jak kłótnia z Molly. Cygaro ma ostudzący skutek. Narkotyk. Posunąć się dalej następnym razem. Niegreczny chłopczyk: ukarzę: boi się słów, oczywiście. Brutalnie, czemu nie? Można spróbować. Po trochu za każdym razem.

Nadal mnąc list w kieszeni, wyciągnął z niego szpilkę. Zwykła szpilka, co? Cisnął ją na drogę. Z jej ubrania: spięte. Aż dziwne, ile szpilek mają zawsze. Nie ma róż bez kolców.

Zdarte dublińskie głosy rozwrzeszczały się w jego głowie. Te dwie dziwki tego wieczora w Coombe, przytulone do siebie w deszczu.

O, Mairy zgubiła od majtek szpilkę I nie wie, co zrobić ma, By trzymało się, By trzymało się.

Trzymało? Trzymały. Tak bardzo głowa boli. Prawdopodobnie ma swoją różyczkę. Albo siedziała cały dzień, pisząc na maszynie. Wyteżanie wzroku źle wpływa na żołądek. Jakich perfum używa twoja żona? Czy przyszedłoby komu do głowy coś takiego?

By trzymało się.

Marta, Maria. Widziałem gdzieś ten obraz, nie pamiętam teraz, stary mistrz albo podrobiony dla pieniędzy. On zasiadł w ich domu, przemawia. Tajemniczy. Te dwie dziwki w Coombe też by słuchały.

By trzymało się.

Miłe wieczorne uczucie. Nie włóczyć się już więcej. Tylko spoczywać tam wygodnie: spokojny zmierzch: niech się dzieje, co chce. Zapomnieć. Opowiadać o miejscach, w których się było, o obcych obyczajach. Ta druga, z dzbanem na głowie, przyrządzała kolację: owoce, oliwki, cudownie chłodna woda ze studni kamiennozimnej jak z tej dziury w murze w Ashtown. Następnym razem, kiedy wybiorę się na wyścigi kłusaków, muszę zabrać z sobą papierową szklankę. Słucha, ma wielkie, ciemne, łagodne oczy. Powiedzieć jej: więcej, coraz więcej: wszystko. Potem westchnienie: milczenie. Długi długi długi spoczynek.

Przechodząc pod mostem kolejowym, wyjął kopertę, podarł ją szybko na strzępy i rozrzucił je po ulicy. Strzępy zatrzepotały odlatując, wsiąkając, znikając w wilgotnym powietrzu: białe trzepot i wszystko wsiąkło.

Henryk Kwiatek. Mógłbyś tak samo podrzeć czek na sto funtów. Zwyczajny kawałek papieru. Lord Iveagh podjął raz siedmiocyfrowy czek na milion w Banku Irlandzkim. Z tego widać, ile pieniędzy można zarobić na porterze. Ale powiadają, że drugi brat. Lord Ardiaun, musi zmieniać koszulę cztery razy dziennie. W skórze lęgną się wszy czy inne robactwo. Milion funtów, zaraz, chwileczkę. Dwa pensy pół kwaterki, cztery pensy kwaterka, osiem pensów galon porteru, nie szyling i cztery pensy galon porteru. Dwadzieścia podzielone przez jeden i cztery: mniej więcej piętnaście. Tak, dokładnie. Piętnaście milionów baryłek porteru.

Co mówię, baryłek? Galonów. Tak czy inaczej, około miliona baryłek.

Wjeżdżający pociąg zaszczeakał ciężko nad jego głową, wagon po wagonie. Baryłki dudniły mu w głowie, mętny porter chlupał i pieniał się wewnątrz. Czopy wyskoczyły i ogromny mętny nurt wysączył się, łącząc i wijąc między mieliznami, nad całą równinną krainą, leniwa, pokryta koliskami wirów powódź napoju, niosąca z sobą szerokolistne kwiaty piany.

Dotarł do otwartego tylnego wejścia kościoła Wszystkich Świętych. Wchodząc do kruchty zdjął kapelusz, wyjął kartkę z kieszeni i wsunął ją znowu za skórzaną podkładkę. Niech to diabli. Mogłem spróbować naciągnąć M'Coya na przejazd do Mullingar.

To samo ogłoszenie na drzwiach. Kazanie przewielebnego Johna Conmee S. J. o świętym Piotrze Claver i misjach afrykańskich. Ratujcie miliony Chińczyków. Ciekawe, jak tłumaczą to tym pogańskim Chińczykom. Wolą uncję opium. Niebianie. Dla nich to plugawa herezja. Odprawiali modły za nawrócenie Gladstone'a, kiedy był już prawie nieprzytomny. Protestanci są tacy sami. Nawrócić drą Willia-ma J. Walsha D. D. na prawdziwą wiarę. Budda, ich bóg, leżący na boku w muzeum. Odpoczywa sobie z głową wspartą na ręce. Laseczki kadzidła płoną. Inaczej niż Ecce Homo. Korona cierniowa i krzyż. Sprytny pomysł świętego Patryka ta koniczyna. Pałeczkami? Conmee: Martin Cunningham zna go: wygląda dystygowanie. Szkoda, że to nie jego namówiłem, żeby przyjął Molly do chóru, tylko tego ojca Farleya, który wyglądał jak głupek, ale nim nie był. Uczą ich tego. Nie wyjedzie chyba w tych niebieskich okularach, żeby chrzcić czarnych i pocić się, co? Błyszczące szkła spodobałyby się im. Chciałbym ich zobaczyć, siedzących w krąg z tymi grubymi wargami, oczarowanych, zasłuchanych. Martwa natura. Myślę, że chłepcą to jak mleko.

Zimna woń świętych kamieni przemówiła do niego. Wstąpił po wytartych stopniach, pchnął wahadłowe drzwi, wszedł cicho i stanął w głębi.

Coś się dzieje: jakieś zgromadzenie. Szkoda, że tak pusto. Dobrze, zaciszne miejsce, żeby znaleźć się blisko jakiejś dziewczyny. Kto jest mym bliźnim? Stłoczeni godzinami przy powolnej muzyce. Ta kobieta w czasie pasterki. Siódme niebo. Kobiety z szkarłatnymi pętlami sznurów na szyjach klęczały w ławkach, z pochylonymi głowami. Grupka ich klęczała przy balaskach przed ołtarzem. Ksiądz przesuwiał się przed nimi, mamrocząc, trzymając tę rzecz w rękach. Zatrzymywał się przy każdej, wyjmował hostię, strząsał z niej kropelkę albo dwie (czy są w wodzie?) i wkładał ją zręcznie w jej usta. Kapelusz i głowa kobiety zapadły się. Teraz następna: mała staruszka. Ksiądz pochylił się, żeby włożyć jej to w usta, mamrocząc przez cały czas. Łacina. Następna. Zamknij oczy i otwórz usta. Co? Corpus. Ciało. Korpus. Zwłoki. Dobry pomysł ta łacina. Oszołamia je najpierw. Pociecha dla konających. Zdaje się, że nie żują tego, tylko połykają. Znakomity pomysł: zjadanie kawałków zwłok, pewnie dlatego ludożercy łapią się na to.

Stał z boku, przyglądając się ich ślepym maskom, przechodzącym jedna po drugiej wzdłuż nawy i odnajdującym swe miejsca. Podszedł do ławki i usiadł z brzegu, piastując swój kapelusz i gazetę. Te garnki, które musimy nosić. Powinniśmy mieć na głowach kapelusze robione na miarę. Widział je wokół siebie, tu i tam, głowy miały nadal opuszczone, otoczone tymi szkarłatnymi pętlami, czekały, aż to się rozpuści w ich żołądkach. Trochę przypomina macę: ten sam rodzaj chleba: praśny chleb ofiarny. Popatrz na nie. Założyłbym się, że to je uszczęśliwia. Lizak. Tak, są. Nazywają to chlebem anielskim. Jest w tym ukryta wielka idea, czujesz w sobie coś w rodzaju Królestwa Bożego. Pierwsi komunikanci. Lody w waflach po pensie za sztukę. Potem wszyscy są jak na rodzinnym przyjęciu, to samo w teatrze, wszyscy w jednej łodzi. Tak. Jestem pewien. Nie są tak samotni. W naszym bractwie. Potem wychodzą trochę podchmieleni. Wentyl bezpieczeństwa. Rzecz istnieje, jeżeli się naprawdę w nią wierzy. Uzdrawienia w Lourdes, wody zapomnienia i zjawa z Knock, krwawiące figury.

Jakiś staruszek śpi obok konfesjonału. Stąd to chrapanie. Ślepa wiara. Bezpieczny w ramionach nadchodzącego królestwa. Koi wszystkim ból. Ocknie się w przyszłym roku o tej porze.

Dostrzegł, że ksiądz odstawia kielich w głąb i przyklęka przed nim na chwilę, ukazując wielką, szarą podeszwę buta spod tej koronkowej rzeczy, którą ma na sobie. Przypuśćmy, że zgubiłby szpilkę od. Nie wiedziałaby, co zrobić ma. Okrągła łysinka z tyłu. Ma litery na plecach. I.N.R.I.? Nie: I.H.S. Molly powiedziała mi, kiedy ją zapytałem. Istota hakami skrwawiona, chyba nie: istota harfami sławiona. A to drugie? I nasze ratował istnienie.

Spotkać się którejs niedzieli po różańcu. Nie odrzucaj mojej prośby. Pojawi się w welonie i z czarną torebką. Na tle jasności i zmierzchu. Mogłaby tu być z tą wstążką na szyi i równocześnie robić tamto ukradkiem. Ich charakter. Ten facet, który złożył donos na Niezwyciężonych, przyjmował, nazywał się Carey, komunie co rano. Właśnie w tym kościele. Piotr Carey. Nie, mam na myśli Piotra Claver. Denis Carey. Wyobraźcie to sobie. A w domu żona i sześcioro dzieci. I knuł to morderstwo przez cały czas. Gorliwcy, to dobra nazwa dla nich, zawsze mają coś obłudnego w wyglądzie. I nie są uczciwymi ludźmi interesu. O nie, nie ma jej tu: kwiat: nie, nie. Ale czy podarłem tę kopertę? Tak: pod mostem.

Ksiądz wypłukiwał kielich; potem zręcznie łyknął wypłuczyny. Wino. Bardziej arystokratycznie, niż gdyby pił, na przykład, to, do czego przywykli, porter Guin-nessa albo jakiś niskoalkoholowy napój, jak dublińskie gorzkie chmielowe Wheat-ley'a, albo Cantrella i Cochrane'a piwo imbirowe (aromatyczne). Ale im nie daje nic z tego: z wina ofiarnego: tylko to drugie. Marna pociecha. Pobożne oszustwo, ale całkiem słuszne: inaczej mieliby tu samych starych pijaków, jednego gorszego od drugiego, żebrzących o kieliszek. Dziwny nastrój tego. Zupełnie słuszne. Absolutnie słuszne.

Pan Bloom obejrzał się w stronę chóru. Nie będzie żadnej muzyki. Szkoda. Ciekaw jestem, kto tu gra na organach? Stary Glynn wiedział, jak zmusić ten instrument do mówienia, vibrato: mówią, że brał pięćdziesiąt funtów rocznie przy Gardiner Street. Molly miała znakomity głos tego dnia, Stabat Mater Rossiniego. Najpierw kazanie ojca Bernarda Vaughana. Chrystus czy Piłat? Chrystus, ale nie trzymaj nas przy tym przez całą noc. Chcieli muzyki. Przestali szurać nogami. Słyszałoby się upadającą szpilkę. Kazałem jej skierować głos w tamten narożnik. Wyczuwałem napięcie w powietrzu, pełny głos, ludzie patrzyli w górę.

Quis est homo?

Są wspaniałe kawałki w tej starej kościelnej muzyce. Mercadante: siedem ostatnich słów. Dwunasta msza Mozarta: ta Gloria w niej. Ci dawni papieże byli wrażliwi na muzykę, na sztukę i posągi, i na różne rodzaje obrazów. Palestrina, na przykład, także. Dobrze im się działo, dopóki to trwało. Śpiew także jest zdrowy, mieli uregulowane życie i przyrządzali likiery. Benedyktyn. Zielony Chartreuse. Ale to, że mieli eunuchów w swym chórze, może przekraczało miarkę. Co to za rodzaj głosu? Musiał im brzmieć dziwnie w porównaniu z ich

własnymi mocnymi basami. Znaczący. Myślę, że później nic nie czują. Łagodnieją. Żadnych kłopotów. Nabierają ciała, zdaje się? Żarłoczni, wysocy, długonodzy. Któż wie? Eunuch. Jedna z dróg wyjścia.

Zobaczył, że ksiądz klęka, całuje ołtarz, a potem kolejno błogosławi wszystkich, zwracając ku nim twarz. Wszyscy przeżegnali się i wstali. Pan Bloom rozejrzał się, a potem wstał, spoglądając ponad uniesionymi kapeluszami. Wstaje się na ewangelię, oczywiście. Potem znowu wszyscy opadli na kolana, a on usiadł spokojnie w swojej ławce. Ksiądz odstąpił od ołtarza, trzymając tę rzecz przed sobą, potem wraz z ministrantem przemówili do siebie po łacinie. Potem ksiądz ukląkł i zaczął czytać z kartki:

- O Boże, mocy i ucieczko nasza...

Pan Bloom wyciągnął szyję, aby uchwycić słowa. Po angielsku. Rzuca im kość. Trochę pamiętam. Jak dawno byłś po raz ostatni na mszy? Gloria i niepokalana dziewica. Józef, jej małżonek. Piotr i Paweł. Byłoby bardziej interesujące, gdybym wiedział, co to wszystko znaczy. Na pewno cudownie zorganizowane, idzie jak w zegarku. Spowiedź. Każdy chce. A więc wyznam ci wszystko. Pokuta. Ukarz mnie, proszę. Potężny oręż w ich rękach. Więcej niż doktor albo adwokat. Kobieta koniecznie chce, żeby. I ja szaszszaszsz. A czy ty szaszszaszsz. A dlaczego? Spogląda w dół na swą obrączkę, by znaleźć wymówkę. Rozszepowane ściany mają uszy. Ale mąż zdumiony pozna grzechy żony. Mały żarcik Pana Boga. Potem odchodzi. Powierzchniowa pokuta. Najmilszy wstyd. Modli się przy ołtarzu. Zdrowaś Mario i Święta Mario. Kwiaty, kadzidło i topniejące świece. Ukrywa swe rumieńce. Armia Zbawienia to jaskrawe krzykliwe naśladownictwo. Nawrócona prostytutka przemówi do zebrania. Jak odnalazłam Pana. Tęgie głowy muszą mieć ci faceci w Rzymie: dyrygują całym przedstawieniem. A czy nie zgarniają pieniędzy? Także zapisy: dla ks. prób., aby dysponował według uznania. Msze śpiewane za spokój mojej duszy. Klasztory i zakony. Ksiądz na ławie świadków podczas sprawy spadkowej Fermanagha. Nie dał się zakrzyczeć. Miał na wszystko gotową odpowiedź. Wolność i wywyższenie naszej świętej matki Kościoła. Doktorowie Kościoła: zaplanowali szczegółowo całą tę teologię.

Ksiądz modlił się:

- Święty Michale Archaniele, broń nas w godzinie próby. Przeciw niegodzi-wości i zasadzkom złego ducha bądź nam obroną (niechaj powściągnie go Bóg, pokornie prosimy): a ty, książę wojska niebieskiego, mocą Bożą strąć do piekieł Szatana i inne złe duchy, które na zgubę dusz ludzkich krążą po świecie.

Ksiądz i ministrant wstali i odeszli. Po wszystkim. Kobiety pozostały: dziękczynienie.

Lepiej już iść. Braciszek Naciągacz. Może zacząć obchód z tacą. Spełnij swą powinność wielkanocną.

Wstał. O jej. Te dwa guziki mojej kamizelki były rozpięte przez cały czas. Kobiety to bawi. Złoszczą się, jeżeli im nie. Dlaczego mi przedtem nie powiedziałeś? Tobie nigdy nie powiedzą. Ale my. Przepraszam panienko, trochę się (och!) tylko (och!) odrobinę. Albo ich spódnice z tyłu, odpięta haftka. Księżyc przebłyskuje.

Ale woła u ciebie niedbałość. Dobrze, że to nie było bardziej na południe. Minął nawet zapinając się nieznacznie i przez główne drzwi wyszedł na światło. Przez chwilę stał oślepiony obok chłodnej, czarnej marmurowej misy, a przed nim i za nim dwoje wiernych zanurzyło ukradkiem palce w płytkiej kałuży święconej wody. Tramwaje: wóz z farbiarni Prescottta: wdowa w welonie. Zauważyłem, bo sam jestem w żałobie. Nakrył głowę. Która godzina? Kwadrans po. Jeszcze czas. Trzeba zamówić ten olejek. Gdzie? A tak, ostatnio. Swenny, przy Lincoln Place. Aptekarze rzadko się przenoszą. Za ciężko przesuwają te zielone i złote słoje. Apteka Hamilto-na Longa założona w roku wielkiej powodzi. Obok hugonockiego cmentarza. Trzeba tam zająć któregoś dnia.

Poszedł na południe wzdłuż Westland Rów. Ale przepis mam w tamtych spodniach. Oj, i zapomniałem tego klucza od zatrasku. Nuda ten cały pogrzeb. No cóż, biedny człowiek, to nie jego wina. Kiedy zamawiałem ostatni raz? Zaczekaj, pamiętam, że rozmieniłem suwerena. Musiało to być pierwszego albo drugiego dnia miesiąca. Och, może to sobie sprawdzić w książce zamówień.

Aptekarz odwracał do tyłu kartkę za kartką. Pachnie jak coś zasuszonego i zakurzonego. Zmarszczki na czaszce. Stary. Poszukiwanie kamienia filozoficznego. Alchemicy. Leki działają podniecająco, ale postarzają. Potem odrętwienie. Dlaczego? Reakcja. W jedną noc całe życie. Zmienia ci stopniowo charakter. Cały dzień pośród ziół, maści, środków dezynfekcyjnych. Te wszystkie jego alabastrowe, białe jak lilie słoje. Moździerz i tłuczek. Aq. Dist. Fol. Laur. Te Virid. Sam zapach leczy jak dzwonek w drzwiach dentysty. Znachor. Powinien trochę podleczyć sam siebie. Papką albo roztworem. Miał trochę odwagi ten pierwszy facet, który zerwał roślinę, żeby się leczyć. Zioła. Trzeba być ostrożnym. Jest tu tego dosyć, żeby cię zachloroformować. Sprawdzenie: niebieski papierek lakmusowy czerwienieje. Chloroform. Za wielka dawka laudanum. Środki nasenne. Lubczyki. Syrop z maku uśmierzający kaszel. Zalepia pory, a może hamuje flegmę. Tylko trucizny leczą naprawdę. Lek, skąd się go najmniej spodziewasz. Mądrość natury.

- Mniej więcej dwa tygodnie temu, proszę pana?

- Tak, powiedział pan Bloom.

Czekał przy ladzie, wdychając przenikliwą woń lekarstw i suchy zapach zakurzonych gąbek i luffy. Dużo czasu zabiera opowiadanie o dolegliwościach i bólach.

- Olejek ze słodkich migdałów i żywiczny wyciąg z benzoesu, powiedział pan Bloom, i jeszcze woda z kwiatu pomarańczy...

Z pewnością czyniło to jej skórę tak delikatną i białą jak воск.

- I do tego biały воск, powiedział.

Podkreśla głębię jej oczu. Patrzyła na mnie zakryta prześcieradłem po oczy, Hiszpanka, wdychając swój zapach, kiedy wpinałem sobie spinki do mankietów. Te domowe przepisy są często najlepsze: truskawki na zęby: pokrzywa i deszczówka:

mówią, że płatki owsiane rozmoczone w maślanie. Odżywka dla skóry. Jeden z synów starej królowej, zdaje się książę Albany? miał tylko jedną skórę. Tak, Leopold. Mamy po trzy. Brodawki, czyraki i pryszcze, żeby było jeszcze gorzej. Ale trzeba jeszcze perfum. Jakich perfum używa twoja? Peau d'Espagne. Ten kwiat pomarańczy. Pianka mydlana. Woda jest taka świeża wtedy. Ładnie pachną te mydła. Już czas wykąpać się, tam za rogiem. Hammam. Turecka. Masaż. W pępku brud zwija się w wałeczki. Przyjemniej, gdyby robiła to przyjemna dziewczyna.

I myślę, że. Tak myślę. Zrobić to .- wannie. Dziwne mam pragnienia. Woda do wody. Łączyć przyjemne z pożytecznym. Szkoda, że nie będzie czasu na masaż. Czuję się świeżo później przez cały dzień. Ponury będzie ten pogrzeb.

- Tak, proszę pana, powiedział aptekarz. To było dwa szylingi i dziewięć pensów. Czy przyniósł pan butelkę?

- Nie, powiedział pan Bloom. Proszę to przygotować. Wpadnę później w ciągu dnia. I wezmę jedno z tych mydeł. Po ile one są?

- Po cztery pensy, proszę pana.

Pan Bloom podniósł do nosa kawałek mydła. Słodki cytrynowy воск.

- Wezmę to, powiedział. To będzie razem trzy szylingi i jeden pens.

- Tak, proszę pana, powiedział aptekarz. Może pan zapłacić za wszystko razem, kiedy pan wróci.

- Dobrze, powiedział pan Bloom.

Wyszedł ze sklepu, mając pod pachą zwiniętą gazetę, a w lewej dłoni mydło opakowane w chłodny papier.

U jego boku głos i dłoń Bantam Lyonsa powiedziały:

- Hallo, Bloom, co nowego? Czy to dzisiejsza? Pokaż mi na chwileczkę. Na Jowisza, znowu zgolił wąsy! Długa zimna górna warga. Żeby wyglądać

młódziej. Wygląda idiotycznie. Młodszy niż ja.

Bantam Lyons rozwinął gazetę żółtymi palcami o czarnych paznokciach.

Też powinien się umyć. Żeby chociaż zmyć ten najgorszy brud. Dzień dobry, czy używałeś mydła Pearsa? Ma łupież na ramionach. Powinien natłuszczać głowę.

- Chcę się czegoś dowiedzieć o tym francuskim koniu, który dzisiaj biegnie, powiedział Bantam Lyons. Gdzie to draństwo jest?

Szeleścił zmiętymi stronami, wbijając podbródek w wysoki kołnierzyk. Grzybek na twarzy. Za ciasny kołnier, straci włosy. Lepiej zostawić mu gazetę i pozbyć się go.

- Możesz ją sobie zatrzymać, powiedział pan Bloom.

- Ascot. Złoty Puchar. Zaczekaj, wymamrotał Bantam Lyons. Jeszcze chwili. Najwyżej sekundę.

- Miałem to cisnąć właśnie jak ulotkę, powiedział pan Bloom. Bantam Lyons nagle uniósł oczy i spojrzał lekkim zezem.

- Co takiego? powiedział jego przenikliwy głos.

- Mówię, że możesz ją sobie zatrzymać, powiedział pan Bloom. Miałem właśnie w tej chwili cisnąć ją jak ulotkę.

Bantam Lyons wahał się przez chwilę, zerkając spode łba: potem wcisnął rozłożone strony na powrót w ręce pana Blooma.

- Zaryzykuję, powiedział. Tak, dziękuję. Pospieszył w stronę Conway's Corner. Diabli go ponieśli. Pan Bloom złożył strony gazety równo w kwadrat i umieścił pomiędzy nimi mydło, uśmiechając się. Głupią gębę ma ten facet. Obstawia. Rozpleniło się to ostatnio. Mali posłańcy kradną, żeby postawić sześć pensów. Kup los, a wygrasz wielkiego kruchego indyka. Za trzy pensy będziesz miał wieczerzę wigilijną. Jack Fleming defraudował, żeby grać, a potem nawiał do Ameryki. Prowadzi teraz hotel. Nigdy nie wracają. Garnce egipskiego mięsiwa.

Szedł pogodnie w stronę meczetu łaźni. Przypomina meczet, czerwono wypalone cegły, minarety. Aha, szkolne zawody sportowe dzisiaj. Zerknął na afisz w kształcie podkowy wiszący nad bramą parku szkolnego: rowerzysta zgięty jak sztokfisz w garnku. Okropnie marne ogłoszenie. Gdyby zrobili to okrągłe jak koło. Do tego szprychy: sport, sport, sport: i wielka oś: szkoła. Coś, co by chwyciło oko.

Hornblower stoi przed domkiem portiera. Może się przydać: żeby tam wejść i popatrzeć. Co u pana słyhać, panie Hornblower? A u pana, proszę pana?

Naprawdę cudowna pogoda. Gdyby życie zawsze było takie. Pogoda do gry w cricketa. Siedzą naokół pod parasolami. Podanie za podaniem. Aut. Nie umięją w to grać tutaj. Sześć

do zera. Ale kapitan Buller rozbił szybę w klubie przy ulicy Kildare rzutem skierowanym do obrońcy. Lepiej by im odpowiadało pole targowiska w Donnybrook. Czaszki pękały, kiedy M'Carthy zajął stanowisko. Fala upału. Nie utrzyma się. Ów nieustannie przemijający strumień życia, który odnajdujemy w strumieniu życia, droższy jest nam nad wszystko.

Nacieszyć się teraz wanną: koryto czystej wody, chłodna emalia, łagodny, ciepły strumień. Oto ciało moje.

Wyobraził sobie swe blade ciało, spoczywające i wyciągnięte, nagie w ciepłym łonie wód, namaszczone wonnym, topniejącym mydłem, łagodnie obmywane. Ujrzał swój tułów i swe członki falujące i wypiełgnowane, wypływające lekko ku górze, cytrynowo-żółte: pępek, pęk ciała: i kępkę ciemnych, wijących się kędziorów, pasemek nurtu przepływających, przepływających wokół ojca tysięcy, omdlałego pływającego kwiatu.

MARTIN CUNNINGHAM PIERWSZY WSUNĄŁ GŁOWĘ W CYLINDRZE DO SKRZYPIĄCEGO

powozu i, zwinnie wszedłszy, usadowił się. Pan Power wstąpił za nim, pochyliwszy troskliwie swą wysoką sylwetkę.

- Wchodź, Simonie.

- Po was, powiedział pan Bloom.

Pan Dedalus szybko nakrył głowę i wszedł mówiąc:

- Tak, tak.

- Czy wszyscy już tu jesteśmy? zapytał Martin Cunningham. Wejdz, Bloom. Pan Bloom wszedł i usiadł na wolnym miejscu. Pociągnął za sobą drzwi i zatrzasnął je tak dokładnie, że zamknęły się dokładnie. Wsunął dłoń w uchwyt i spojrzał poważnie z otwartego okna powozu na opuszczone story w alei. Jedna odsunięta:

podglądająca stara kobieta. Nos białorozpłaszczony na szybie. Dziękuje swej dobrej gwieździe, że ktoś ją wyprzedził. Zdumiewające, jak interesują się trupami. Tyle mają kłopotów z naszym przyjściem, że cieszy je nasze odejście. To zajęcie odpowiada im, zdaje się. Szurumburum po kątach. Człapie po domu w nocnych pantoflach ze strachu, żeby się nie ocknął. Potem przygotowują. Ubieranie. Molly i pani Fleming ścielące łóżko. Przesuń trochę w swoją stronę. Nasz całun. Nie wiadomo nigdy kto cię będzie dotykał umarłego. Obmywanie i mycie głowy. Zdaje się, że obcinają paznokcie i włosy. Przechować trochę w kopercie. I tak rosną potem dalej. Wstrętne zajęcie.

Wszyscy czekali. Nikt się nie odezwał. Pewnie układają wieńce. Siedzę na czymś twardym. Ach, to mydło w tylnej kieszeni. Lepiej je przełożyć stamtąd. Zaczekać na okazję.

Wszyscy czekali. Potem dał się słyszeć odgłos kół toczących się w przedzie, potem bliżej, potem kopyta koni. Szarpnięcie. Powóz zaczął się posuwać, skrzypiąc i kołysząc. Inne kopyta i skrzypiące koła ruszyły z tyłu. Minęli opuszczone story przy alei i numer dziewiąty z kołatką owiniętą krepą, z uchylonymi drzwiami. Stępa.

Czekali nadal, zderzając się kolanami, póki nie skręcili i nie ruszyli wzdłuż torów tramwajowych. Tritonville Road. Szybciej. Koła zagrzechotały tocząc się po kocich łbach, a obluzowane szyby rozdygotały się grzechocząc w ramach drzwiczek.

- Którędy nas wiezie? zadał pytanie obu oknom pan Power.

- Irishtown, powiedział Martin Cunningham. Ringsend. Brunswick Street. Pan Dedalus przytaknął, wyglądając na zewnątrz.

- To piękny stary zwyczaj, powiedział. Jestem szczęśliwy, widząc, że nie zaginał.

Wszyscy przez chwilę spoglądali z okien na czapki i kapelusze unoszone przez przechodniów. Szacunek. Powóz zjechał z torów tramwajowych na gładszą drogę przy Watery Lane. Pan Bloom niespodzianie ujrzał smukłego, młodego człowieka w szerokim kapeluszu, odzianego w żałobę.

- Przechodził twój przyjaciel, Dedalusie, powiedział.

- Kto taki?

- Twój syn i dziedzic.

- Gdzie on jest? zapytał pan Dedalus, wychylając się.

Powóz, mijając otwarte ścieki i wzgórki ziemi na rozkopanej drodze przed czynszowymi domami, zakręcił ostro wokół narożnika i wjechał znów na tory tramwajowe, potoczył się dalej hałaśliwie na rozgadanych kołach. Pan Dedalus opadł na siedzenie, mówiąc:

- Czy był z nim ten łobuz Mulligan? Jego fidus Achates?

- Nie, powiedział pan Bloom. Był sam.

- Pewnie był u swojej ciotki Sally, powiedział pan Dedalus, u bandy Gouldin-gów, u tego zapitego małego kosztorysownika i Crissie, malutkiego tatusiowego gówienka, mądrego dziecka, które zna swego ojca.

Pan Bloom uśmiechnął się bezradośnie ku Ringsend Road. Bracia Wallace, fabryka butelek. Most Dodder.

Ritchie Goulding i teczka z aktami. Goulding, Collis i Ward nazywa on tę firmę. Jego żarty stają się nie najlepsze. Był z niego wielki numer. Tańczył walca na Stamer Street z Ignatusem Gailaherem w niedzielny poranek, mając dwa kapelusze gospodyni przyszpilone

do głowy. Całonocne szaleństwa. Zaczyna to teraz wychodzić z niego: obawiam się, że stąd ten jego ból grzbietu. Żona prasuje mu grzbiet żelazkiem. Myśli, że wyleczy to pigułkami. A wszystkie one, to zwykłe gałki z chleba. Mniej więcej sześćset procent zysku.

- Zadaje się z pospółstwem, warknął pan Dedalus. Ten Mulligan to nieczysty, przeklęty farbowany lis i łobuz pod każdym względem. Jego imię cuchnie w całym Dublinie. Ale z pomocą Boga i Jego Najświętszej Rodzicielki zbiorę się któregoś dnia i napiszę list do jego matki czy ciotki, czy kimkolwiek ona jest, który otworzy jej oczy szeroko jak stodołę. Przetrzepię mu tyłek, możecie mi wierzyć.

Zawołał głuszając turkot kół.

- Nie pozwolę, żeby jej bękart czy siostrzeniec rujnował mego syna. Syn subiekta. Sprzedawał wstążki u mojego kuzyna, Peter Paul M'Swineya. Co to, to nie.

Umilkł. Pan Bloom przeniósł wzrok z jego gniewnego wąsa na łagodną twarz pana Powera, na oczy i brodę Martina Cunninghama, kołyszące się poważnie. Hałaśliwy, samowolny człowiek. Pełen swego syna. Ma rację. Coś, czego można się trzymać. Gdyby mały Rudi żył. Widzieć go dorastającego. Słyszeć jego głos w domu. Idący obok Molly w mundurku Eton. Mój syn. Ja w jego oczach. To by było dziwne uczucie. Ze mnie. Tylko przypadek. To musiało być tego poranka w Raymond Terrace, kiedy stała przy oknie patrząc na dwa psy robiące to pod murem Przestań-Czynić-Źle. I policjant szczerzący ku niej zęby. Miała na sobie tę kremową sukienkę z tym szwem, którego nigdy nie zeszyła. Przysuń się Poldy. Na Boga, zrób to, bo konam z ochoty. Tak się zaczyna życie.

Potem napęczniała. Musiała odmówić koncertowania w Greystones. Mój syn w niej. Mógłbym mu pomóc w życiu. Mógłbym. Zrobić go niezależnym. I nauczyć niemieckiego.

- Czy jesteśmy spóźnieni? zapytał pan Power.

- Dziesięć minut, powiedział Martin Cunningham, spoglądając na zegarek. Molly. Milly. Ta sama rzecz rozcieńczona. Jej urwisowskie zakłęcia. O, Zeusku obdartusku! O, święty Jacku z pierogami! A jednak to kochana dziewczyna. Wkrótce będzie kobietą. Mullingar. Najdroższy Tatku. Młody student. Tak, tak: też kobieta. Życie. Życie.

Powóz pochylił się w przód i w tył, zakołysawszy ich czterema korpusami.

- Comy mógłby nam dać wygodniejszy zaprzęg, powiedział pan Power.

- Mógłby, powiedział pan Dedalus, gdyby nie miał tego kłopotu z zezem. Rozumiecie mnie?

Zamknął lewe oko. Martin Cunningham zaczął wymiatać okruchy chleba spod swych ud.

- Na Boga, co to jest? powiedział. Okruchy?

- Ktoś, zdaje się, urządzał tu niedawno majówkę, powiedział pan Power. Wszyscy unieśli uda, popatrzyli z niechęcią na wytartą, pozbawioną guzików skórę siedzeń. Pan Dedalus, kręcąc nosem, spojrzał, marszcząc się, w dół i powiedział:

- O ile się bardzo nie mylę. Co myślisz, Martin?

- Mnie też to uderzyło, powiedział Martin Cunningham. Pan Bloom opuścił udo. Cieszę się, że wzięłem tę kąpiel. Czuję, że mam zupełnie czyste nogi. Ale szkoda, że pani Fleming nie zacerowała lepiej tych skarpetek. Pan Dedalus westchnął z rezygnacją.

- W końcu, powiedział, jest to najzwyklejsza rzecz w świecie.

- Czy Tom Kernan pojawił się? zapytał Martin Cunningham, pokręcając delikatnie koniuszek swej brody.

- Tak, odpowiedział pan Bloom. Jest w tyle z Nedem Lambertem i Hynesem.

- A Corny Kelieher? zapytał pan Power.

- Na cmentarzu, powiedział Martin Cunningham.

- Spotkałem dziś rano M'Coya, powiedział pan Bloom. Powiedział, że będzie się starał przyjść.

Powóz stanął nagle.

- Co się stało?

- Zatrzymali nas.

- Gdzie jesteście?

Pan Bloom wystawił głowę przez okno.

- Główny kanał, powiedział.

Gazownia. Mówią, że to leczy koklusz. Dobrze, że Milly nigdy go nie miała. Biedne dzieci! Skręca to je, czarne i sine od konwulsji. Naprawdę straszne. W porównaniu z innymi gładko jej poszło, jeżeli chodzi o choroby. Tylko odrą. Siemię lniane. Epidemie szkarlatyny i influency. Agentury śmierci. Nie strać tej okazji. Przytułek dla psów, o tam. Biedny stary Athos. Bądź dobry dla Athosa, Leopoldzie, to moje ostatnie życzenie. Bądź wola twoja. Słuchamy ich, gdy są w grobie. Bazgroły umierającego. Wziął to do serca i zmarniał. Spokojne zwierzę. Jak zwykle psy starych ludzi.

Kropla deszczu na kapelusz mu kap, kap. Cofnął się i dostrzegł nagły strumień ulewy rozsypujący się w centki na szarych płytach. Osobno. Ciekawe. Jak przez durszlak. Myślałem, że będzie. Przypominam sobie teraz, że mi buty skrzypiały.

- Pogoda się zmienia, powiedział cicho.
- Szkoda, że ładna się nie utrzymała, powiedział Martin Cunningham.
- Potrzebne dla wsi, powiedział pan Power. Słońce znów wychodzi. Pan Dedalus, zerkający przez swe szkła w stronę zamglonego słońca, cisnął nieme przekleństwo w niebo.
- Jest tak niepewna, jak tyłek dziecka, powiedział.
- Znów ruszamy.

Sztywne koła powozu znowu zaczęły się obracać, a ich korpusy znów zakołysały się lekko. Martin Cunningham szybciej zaczął pokręcać koniuszek brody.

- Tom Keman był kolosalny zeszłego wieczora, powiedział. I Paddy Leonard naśladujący go w żywe oczy.
- Och, opowiedz o tym, Martin, powiedział żywo pan Power. Zaczekaj, Simonie, aż opowie ci o Ben Dollardzie śpiewającym Młodego Buntownika.
- Kolosalny, powiedział Martin Cunningham uroczyście. - Odśpiewanie przez niego tej prostej ballady, Martinie, jest najbardziej drapieżną interpretacją, jaką udało mi się usłyszeć i kiedykolwiek doświadczyć.
- Drapieżną, powiedział pan Power śmiejąc się. To jego bzik. To i działające wstecz zarządzenia.
- Czy czytałeś przemówienie Dana Dawsona? zapytał Martin Cunningham.
- Nie czytałem, powiedział pan Dedalus. Gdzie ono jest?
- W dzisiejszej porannej gazecie.

Pan Bloom wyjął gazetę z wewnętrznej kieszeni. Ta książka, którą muszę dla niej zmienić.

- Nie, nie, powiedział prędko pan Dedalus. Później, proszę. Spojrzenie pana Blooma powędrowało w dół po krawędzi gazety, wertując nekrologi. Callan, Coleman, Dignam, Fawcett, Lowry, Naumann, Peake, który to będzie Peake? czy to ten facet, który był u Crosbi'ego i Alleyne'a? nie, Sexton, Urbright. Czarne czcionki szybko blaknące na postrzępionym, poszarpanym papierze. Dzięki Małemu Kwiatuskowi. Nieodżałowany. Z niewypowiedzianym smutkiem. W wieku lat 88 po długich i ciężkich cierpieniach. Nabożeństwo żałobne w miesiąc po zgonie Ouinlana. Niechaj Słodki Jezus ma litość nad jego duszą.

Już miesiąc, Heniu, od chwili gdy Mieszkanie obrałeś w niebie. W smutku rodzina leje łzy. Czekaając, aż spotka tam ciebie.

Czy podarłem kopertę? Tak. Gdzie położyłem jej list po przeczytaniu w łaźni? Poklepał kieszonkę kamizelki. W porządku, jest. Już miesiąc, Heniu. Zanim nie wyczerpię moich cierpliwości.

Szkoła powszechna. Skład drewna Meade'a. Postój dorożek. Tylko dwie teraz. Pochylają głowy. Opite jak kleszcze. Za grube kości w ich czaszkach. Inny truchtem wiezie klienta. Godzinę temu przechodziłem tędy. Dorożkarze unieśli kapelusze.

Grzbiet zwrotniczego wyprostował się niespodziewanie obok słupa tramwajowego przy oknie pana Blooma. Czy nie mogliby wymyślić czegoś automatycznego, tak, żeby koło samo o wiele wygodniej? Tak, ale czy ten facet straciłby wtedy robotę? Tak, ale czy inny facet nie dostałby wtedy roboty, wykonując ten nowy wynalazek?

Antient Concert Rooms. Nic się tam nie dzieje. Człowiek w jasnobrązowym ubraniu z żałobną opaską. Niewiele w tym smutku. Ćwierćżałoba. Pewnie teściowie.

Przejechali obok ponurej kazalnicy Świętego Marka, pod mostem kolejowym, obok Queen's Theatre: w milczeniu. Afisze. Eugene Stratton. Pani Bandman Palmer. Ciekaw jestem, czy dziś wieczór ja mógłbym pójść i zobaczyć Lię? Ja powiedziałem, że ja. Albo Lilię z Killarney? Zespół operowy Elster Grimes. Nowy wielki program. Mokre jaskrawe plakaty na przyszły tydzień. Wesoło przez Kanał Bristolski. Martin Cunningham mógłby wyrobić mi wejściówkę do Gaiety. Trzeba byłoby postawić jedną albo dwie kolejki. Na jedno by wyszło.

Po południu on przyjdzie. Jej pieśni.

Piasto. Pamiątkowe popiersie i fontanna Sir Philipa Cramptona. Kto to był?

- Jak się pan ma? powiedział Martin Cunningham unosząc dłoń do czoła w pozdrowieniu.

- Nie dostrzegł nas, powiedział pan Power. Tak, dostrzegł. Jak się pan ma?

- Kto? zapytał pan Dedalus.

- Bujny Boylan, powiedział pan Power. Wyszedł się przewietrzyć.

Właśnie w tej chwili myślałem.

Pan Dedalus pochylił się pozdrawiając. Z drzwi Czerwonego Kącika biały krążek słomkowego kapelusza błysnął w odpowiedzi: zniknął.

Pan Bloom obejrzał paznokcie swej lewej dłoni, później paznokcie prawej dłoni. Paznokcie, tak. Czy jest w nim jeszcze coś, co one ona widzi? Urzeczenie. Najgorszy człowiek w Dublinie. Żyje tym. One czasem czują, kim kto jest. Instynkt. Ale typ taki jak on. Moje paznokcie. Patrzą na nie po prostu: dobrze przycięte. A potem: myśli samotna. Ciało staje się trochę miększe. Rozpoznałbym to ze wspomnienia. Myślę, że spowodowane to jest tym, że skóra nie może kurczyć się tak szybko, jak wiotczeje ciało. Ale kształt pozostaje. Kształt

pozostaje nadal. Ramiona. Biodra. Pulchne. Wieczór, kiedy ubierała się na bal. Koszula uwiązała z tyłu, między półdupkarni. Splótłszy ręce, wetknął je pomiędzy kolana i zadowolony przesunął pustym spojrzeniem po ich twarzach. Pan Power zapytał:

- Jak tam z tymi objazdowymi koncertami, Bloom?

- O, bardzo dobrze, powiedział pan Bloom. Jak słyszę, rokują wielkie nadzieje. To dobry pomysł, widzisz...

- A ty też pojedziesz?

- Hm, nie, powiedział pan Bloom. Jeżeli chodzi o ścisłość, muszę pojechać do hrabstwa Ciare w pewnej prywatnej sprawie. Widzisz pomysł polega na objeździe głównych miast. To, co stracisz w jednym, możesz nadrobić w innym.

- Zupełnie słusznie, powiedział Martin Cunningham. W tej chwili robi to Mary Andersen.

- Czy macie dobrych artystów?

- Louis Werner robi jej objazd, powiedział pan Bloom. O tak, będziemy mieli samą śmietankę. J. C. Doyle-i John MacCormack, mam nadzieję, i. W istocie, najlepsi.

- / Madame, powiedział pan Power, uśmiechając się. Na końcu, ale nie ostatnia.

Pan Bloom rozplótł ręce w geście pełnym łagodnej uprzejmości i splótł je. Smith o'Bńen. Ktoś położył wiązanek kwiatów. Kobieta. To chyba rocznica jego śmierci. Sto lat, sto lat niech żyje, żyje nam. Powóz okrążając ten pomnik Farrella połączył bezgłośnie ich nie stawiające oporu kolana.

Sznu: wyblakłe odziany staruszek na krawężniku zachwalał swój towar, miał otwarte usta: sznu.

- Cztery sznurowadła za pensa.

Ciekawe, dlaczego skreślono go z listy. Miał swoje biuro przy Hume Street. W domu tego imiennika Molly. Tweedy, radca królewski dla Waterfordu. Od tego czasu ma ten cylinder. Resztki dawnej godności. Też w żałobie. Strasznie podupadł, nieszczęśnik. Przeganiany z kąta w kąt jak pies. o'Callaghan na ostatnich nogach.

I Madame. Dwadzieścia po jedenastej. Wstała. Pani Fleming przysła sprzątać. Czesze włosy, nucąc: voglio e non vorrei. Nie: Vorrei e non. Patrzy na koniuszki włosów, żeby zobaczyć, czy nie są rozszczipione. Mi trema un poco ii. Śliczny jest przy tym trę jej głos: rzewny ton. Kos. Drozd. Jest takie słowo drozd, które to wyraża.

Jego oczy przesunęły się miękko po dobrodusznej twarzy pana Powera. Siwieje nad uszami. Madame: uśmiechając się. Odpowiedziałem uśmiechem. Uśmiech wędruje daleko. Może tylko uprzejmość. Miły facet. Kto wie, czy to prawda o tej kobiecie, którą utrzymuje?

Nieprzyjemne dla żony. Ale mówią, kto to mi powiedział, że nic cielesnego. Można sobie wyobrazić, że to by się prędko przejadło. Tak, to Crofton spotkał go pewnego wieczora, kiedy niósł jej funt rumsztyku. Czym była? Barmanką u Jury'ego. A może w Moirze?

Przejechali pod pomnikiem ogromnie opatulonego Wyzwoliciele.

Martin Cunningham trącił łokciem pana Powera.

- Z pokolenia Ruben, powiedział.

Wysoka, czarnobroda, wsparta na lasce, kuśtykająca postać, wymijająca właśnie narożny sklep Elvery'ego pod Słoniem, ukazała im na swym grzbiecie zakrzywioną, rozwartą dłoń.

- W całej swej wiośnianej urodzie, powiedział pan Power.

Pan Dedalus spojrzał za kuśtykającą postacią i powiedział łagodnie:

- Niech ci diabeł kark skręci!

Pan Power, pokładając się ze śmiechu, przysłonił twarz od strony okna, gdy powóz mijał pomnik Graya.

- Wszyscy tam byliśmy, powiedział ogólnikowo Martin Cunningham. Jego oczy napotkały oczy pana Blooma. Poglądziwszy brodę dodał:

- No, prawie wszyscy.

Pan Bloom zaczął mówić z nagłą gorliwością, patrząc w oblicza towarzyszy:

- To strasznie dobre, co krąży o Rubenie J. i synu.

- O przewoźniku? zapytał pan Power.

- Tak. Czy to nie strasznie dobre?

- Co takiego? zapytał pan Dedalus. Nie słyszałem tego.

- W tę sprawę była zamieszana dziewczyna, zaczął pan Bloom, i postanowił wysłać go na wyspę Mań, by go ustrzec od zła, ale kiedy obaj...

- Co? zapytał pan Dedalus. Czy chodzi o tego niewydarzonego przekłętą chłystka?

- Tak, powiedział pan Bloom. Szli obaj w stronę statku i próbował się utopić.

- Utopić Barabasza! krzyknął pan Dedalus. Chciałbym, na Boga, żeby to zrobił. Pan Power parsknął przeciągłym śmiechem wzdłuż swych osłoniętych nozdrzy.

- Nie, powiedział pan Bloom, to syn... Martin Cunningham przerwał mu niegrzecznie.

- Ruben J. i syn szli wzdłuż nadbrzeża rzecznej w stronę statku odchodzącego na wyspę Mań i ten dzieciuch nagle wyswobodził się i skoczył przez obmurówkę do Liffey.

- Na miłość Boską! wykrzyknął pan Dedalus. Nie żyje?

- Nie żyje! zawołał Martin Cunningham. Nie on! Przewoźnik złapał bosaka, wyłowił go za portki i wyciągnął na molo, tuż obok ojca. Bardziej umarłego niż żywego. Pół miasta tam było.

- Tak, powiedział pan Bloom. Ale śmieszne jest to, że...

- A Ruben J., powiedział Martin Cunningham, dał przewoźnikowi florena za uratowanie życia synowi.

Stłumione westchnienie wymknęło się spod dłoni pana Powera.

- O tak, dał, potwierdził Martin Cunningham. Jak bohater. Srebrnego florena.

- Czy to nie jest strasznie dobre? powiedział żywo pan Bloom.

- Szylinga i osiem pensów za wiele, powiedział sucho pan Dedalus. Zdławiony śmiech pana Powera rozległ się cicho w powozie. Kolumna Nelsona.

- Osiem moreli za pensa! Osiem za pensa.

- Postarajmy się może wyglądać trochę poważniej, powiedział Martin Cunningham.

Pan Dedalus westchnął.

- Szczerze mówiąc, powiedział, biedny mały Paddy nie miałby do nas żalu o żart. Sam opowiadał niemało dobrych.

- Niechaj mi Bóg przebaczy! powiedział pan Power, ocierając wilgotne oczy palcami. Biedny Paddy! Nie pomyślałem tydzień temu, kiedy widziałem go po raz ostatni i był zdrow jak zwykle, że będę tak jechał za nim. Odszedł od nas.

- Najprzystojniejszy człowieczek z wszystkich, jacy kiedykolwiek chodzili po ziemi, powiedział pan Dedalus. Odszedł bardzo nagle.

- Zapaść, powiedział Martin Cunningham. Serce. Ze smutkiem postukał się w pierś.

Płonąca twarz: rozogniona. Za wiele gorzałeczki. Lekarstwo na czerwony nos. Pić jak szatan, póki nie stanie się fioletowy. Masę pieniędzy wydał na ubarwienie go. Pan Power wpatrywał się w mijane domy z żalosnym zrozumieniem.

- Miał nagłą śmierć biedaczek, powiedział.

- Najlepszą śmierć, powiedział pan Bloom. Ich szeroko otwarte oczy spojrzały na niego.

- Żadnych cierpień, powiedział, chwilka i po wszystkim. Jak śmierć we śnie.

Nikt nie odpowiedział.

Wymarła strona ulicy. Mały ruch w interesie za dnia, pośrednicy nieruchomości, hotel dla abstynentów, kolejowe rozkłady jazdy Falconera, wyższa szkoła administracji, katolicki klub, księgarnia Gilisa, pracownicy niewidomi. Dlaczego? Jakaś przyczyna. Słońce czy wiatr. W nocy też. Kuchty i kominiarze. Pod wezwaniem zmarłego ojca Mathew. Kamień węgielny dla Parnella. Zapaść. Serce.

Białe konie pod białymi pióropuszcami nadjechały galopem zza narożnika Rotundy. Maleńka trumna błysnęła, przelatując. Rach, ciach, galopem w piach. Karawan. Niezamężna. Czarny dla mężatek. Pstry dla kawalerów. Bury dla tonsury.

- Smutne, powiedział Martin Cunningham. Dziecko.

Twarz karzełka, sina i pomarszczona, taka, jaką miał mały Rudi. Ciało karzełka, kruche jak kit w białowyscietanej drewnianej skrzynce. Dobroczynne stowarzyszenie płaci za pogrzeb. Pensa tygodniowo za okrycie darnią. Nasze. Małe. Żebracze. Dziecko. Nie oznaczało nic. Omyłka natury. Jeśli jest zdrowe, to po matce. Jeśli nie, po mężczyźnie. Więcej szczęścia następnym razem.

- Biedne maleństwo, powiedział pan Dedalus. Już ma to za sobą. Powóz zwolnił, wspinając się na wzniesienie. Rutland Square. Stuk puku stuk. Kości o bruk. Tylko biedaczek. Któż go znać mógł?

- Pośród żywota, powiedział Martin Cunningham.

- Ale najgorszy z wszystkich, powiedział pan Power, jest człowiek, który odbiera sobie życie.

Martin Cunningham szybko wyciągnął zegarek, zakasłał i włożył go na powrót.

- Największa hańba mieć to w rodzinie, dodał pan Power.

- Chwilowe zamroczenie, oczywiście, powiedział Martin Cunningham stanowczo. Musimy patrzeć na to z wyrozumiałością.

- Mówią, że człowiek, który to robi, jest tchórzem, powiedział pan Dedalus.

- Nie nam o tym sądzić, powiedział Martin Cunningham. Pan Bloom, który miał przemówić, znowu zamknął usta. Wielkie oczy Martina Cunninghama. Teraz patrzą w bok. Współczujący, ludzki człowiek. Inteligentny. Jak twarz Shakespeare'a. Zawsze znajdzie dobre słowo. Nie mają żadnej litości dla tego i dzieciobójstwa. Odmawiają chrześcijańskiego pogrzebu. Dawniej przebijali mu serce w grobie drewnianym kołkiem. Tak, jakby nie było już pęknięte. Ale czasem żałują za późno. Znajdowani na dnie rzeki, wczepieni w sitowie. Spojrzał na mnie. I ta jego okropna żona pijaczka. Urządzał jej dom, raz po raz, a ona

zastawiała mu meble prawie co sobota. Prowadził z nią życie potępieńca. Nawet w kamieniu serce by pękło. W poniedziałek rano rozpoczynać od nowa. Kark w jarzmo. Boże, ale musiała przedstawiać widok tej nocy. Dedalus mówił mi, że był tam. Pijana i płasająca po domu z parasolem Martina: Z pereł Azji jam najpiękniejsza, Gejsza, . Gejsza.

Odwrócił ode mnie wzrok. Wie. Stuk puku stuk. Kości o bruk. To popołudnie w czasie dochodzenia. Butelka z czerwoną nalepką na stole. Pokój hotelowy z myśliwskimi obrazami. Było duszno. Światło słoneczne przez szczeliny żaluzji. Uszy koronera, duże i włochate. Zeznający pucybut. W pierwszej chwili myślał, że śpi. Potem zobaczył żółte smugi na jego twarzy. Zsunął się w nogi łóżka. Orzeczenie. Za duża dawka. Śmierć z przypadku. List. Do mego syna Leopolda. Nie ma już bólu. Już się nie ocknie. Któż go znać mógł. Powóz zagrzechotał rączo wzdłuż Blessington Street. Kości o bruk.

- Pędzimy, zdaje się, powiedział Martin Cunningham.

- Daj Boże, żeby nas nie wywrócił na jezdnię, powiedział pan Power.

- Mam nadzieję, że nie, powiedział Martin Cunningham. Jutro będzie wielki wyścig w Niemczech. Gordon Bennet.

- Tak, na Jowisza, powiedział pan Dedalus. Szczerze mówiąc, warto byłoby to zobaczyć.

Gdy skręcali w Berkeley Street, katarynka z pobliza Basenu przesłała za nimi roześmianą, rozturkotaną piosenkę jarmarczną. Czy nie widział ktoś z was Kelly? Ka e el el y. Marsz żałobny z Saula. Jest zły jak ów Antonio. Zostawił mnie samonią. Piruet! Mater Misericordiae. Eccies Street. A tam mój dom. Wielki gmach. A tam zakład dla nieuleczalnych. Bardzo pokrzepiające. Przytułek Matki Boskiej dla umierających. Podręczna kostnica w podziemiu. Tam gdzie umarła stara pani Riordan. One strasznie wyglądają, kobiety. Jej miska i pocieranie ust łyżeczką. Potem parawan wokół jej łóżka, żeby mogła umrzeć. Miły był ten młody student, który opatrywał mi wtedy to ukąszenie pszczoły. Mówili mi, że przeniósł się do szpitala położniczego. Z jednej ostateczności w drugą.

Powóz minął galopem narożnik: przystanął.

- Co się znowu stało?

Stado znakowanego bydła przechodziło za oknami, rycząc, powłócząc miękkimi racicami, uderzając powoli ogonami po swych kościstych, zafajdanych zadach. Pośród nich i na zewnątrz biegły bezładnie owce, wybekując swój lęk.

- Emigranci, powiedział pan Power.

- Heeej! rozległ się okrzyk naganiacza, pręt jego zabębnił na ich bokach. Heeej! Z drogi!

Czwartek, oczywiście. Jutro dzień uboju. Byczki. Cuffe sprzedawał je po dwadzieścia siedem funtów sztuka. Pewnie dla Liverpoolu. Roastbeefdla starej Anglii. Wykupują wszystkie

najjędrniejsze. W ten sposób traci się piątą ćwiartkę: wszystkie resztki, skóra, włosie, rogi. Masa się tego uzbiera w ciągu roku. Handel bydlęcymi odpadami. Produkty uboczne rzeźni dla garbarni, na mydło, margarynę. Ciekawe, czy robią jeszcze ten kant ze ściąganiem zepsutego mięsa z pociągu w Clonsilla.

Powóz zaczął przebijać się przez stado.

- Nie mogę zrozumieć, dlaczego magistrat nie poprowadzi linii tramwajowej od bramy parku do nadbrzeży, powiedział pan Bloom. Wszystkie te zwierzęta można by dowozić wagonami do samych statków.

- Zamiast tamować ruch uliczny, powiedział Martin Cunningham. Zupełnie słusznie. Powinni.

- Tak, powiedział pan Bloom i jeszcze jedna rzecz, o której myślałem, to magistrackie tramwaje pogrzebowe takie, wiecie, jakie mają w Mediolanie. Poprowadzić linię aż do bram cementarnych, mieć specjalne tramwaje, karawan i powóz, i wszystko. Rozumiecie, co mam na myśli?

- O, to by była diabelna historia, powiedział pan Dedalus. Wagon sypialny i restauracyjny.

- Marne widoki dla Corny'ego, dodał pan Power.

- Dlaczego? zapytał pan Bloom, zwracając się do pana Dedalusa. Czy nie byłoby to przyzwoitsze niż galopowanie parą koni?

- Tak, w tym coś jest, przyznał pan Dedalus.

- I, powiedział Martin Cunningham, nie mielibyśmy takich scen jak wtedy, kiedy karawan przewrócił się na rogu obok Dunphy'ego i wywalił trumnę na jezdnię.

- To było okropne, powiedział wstrząśnięty pan Power, i zwłoki wypadły na jezdnię. Okropne!

- Pierwsza kolejka u Dunphy'ego, powiedział pan Dedalus potakując. Puchar Gordon Benetta.

- Boże bądź miłościw, powiedział pobożnie Martin Cunningham.

Bum! Wywalona. Trumna wypadła na jezdnię. Rozpękła się. Paddy Dignam wyleciał i toczy się sztywno w pyłe, odziany w brunatny, zbyt obszerny habit. Czerwona twarz: teraz szara. Rozdziawione usta. Pytające, co się stało. Bardzo słusznie, że się je zamyka. Otwarte wyglądają okropnie. Poza tym wnętrzności rozkładają się szybko. Dużo lepiej zatkać wszystkie otwory. Tak, też. Woskiem. Rozluźniony zwieracz. Zapieczętować wszystko.

Dunphy, oznajmił pan Power, gdy powóz skręcał w prawo.

Dunphy na rogu. Karawany stojące, topiące swój smutek. Postój przydrożny. Wyśmienite położenie dla knajpy. Oczekują, że zatrzymamy się tutaj w powrotnej drodze, żeby wypić jego zdrowie. Kolejka pocieszenia. Elik sir życia.

Ale przypuśćmy, że to się wydarzyło. Czy krwawiłby, gdyby, powiedzmy, gwóźdź zadrasnął go podczas tego obijania się? I tak, i nie, przypuszczam. Zależy gdzie. Krążenie ustaje. Ale trochę może wysączyć się z arterii. Lepiej byłoby grzebać ich w czerwieni: w ciemnej czerwieni.

W milczeniu jechali przez Phibsborough Road. Pusty karawan przekłusował obok, powracając z cmentarza: wygląda, jakby mu ulżyło.

Most Crossguns: Kanał Królewski.

Woda pędziła z rykiem przez śluzy. Człowiek stał na opadającej barce pomiędzy stertami torfu. Na drodze holowniczej, obok spustu śluzy, koń na luźnym postronku. Na pokładzie Bugabu.

Oczy ich spoglądały na niego. Powolnym, pokrytym wodorostami szlakiem wodnym unosił się na swej tratwie ku wybrzeżu, poprzez Irlandię, przeciągany linią holowniczą pomiędzy łożami trzciny, ponad mułem, zagrzebanymi w szlamie butelkarni, psim ścierwem. Athlone, Mullingar, Moyvalley, mógłbym odbyć pieszą wycieczkę nad kanałem, żeby zobaczyć Milly. Albo na rowerze. Wynająć jakiś stary gruchot, bezpiecznie. U Wrena był jeden któregoś dnia na licytacji, ale damski. Rozwój szlaków wodnych. Hobby Jamesa M'Canna przeprowianie mnie łódką. Tańszy przejazd. Małymi odcinkami. Pływające domki. Biwakowanie. Także karawany. Wodą do nieba. Może zrobię tak bez pisania. Przyjechać niespodziewanie, Leixlip, Clonsilla. Opadać, śluza po śluzie, do Dublina. Z torfem śródlądowych moczarów. Pozdrowienie. Uniósł swój brunatny słomkowy kapelusz, pozdrawiając Paddy Dignama.

Przejechali obok domu Briana Boroimhe. Już blisko teraz.

- Ciekaw jestem, jak się ma nasz przyjaciel Fogarty, powiedział pan Power.
- Zapytaj lepiej Toma Kernana, powiedział pan Dedalus.
- Jak to? powiedział Martin Cunningham. Pozostawił go we łzach, jak przypuszczam.
- Choć z oczu, powiedział pan Dedalus, lecz nie z serca.

Powóz skierował się w lewo ku Finglas Road.

Zakład kamieniarski na prawo. Ostatni zakręt. Skupione na skrawku ziemi pojawiły się ciche kształty, białe, bolesne, wyciągające spokojne dłonie, klęczące w smutku, wskazujące. Częściowo wyciosane kształty. W białym milczeniu: błagające. Najlepsze, jakie można otrzymać. Thos H. Dennany, budowniczy grobowców i rzeźbiarz.

Minęli.

Na krawężniku, przed domem kościelnego Jima Geary, siedział stary włóczęga, mamrocząc, wysypując piasek i kamyki z wielkiego, brunatnozakurzonego, rozdziawionego buta. Zakończywszy wędrówkę życiową.

Potem przesunęły się posępne ogrody, jeden za drugim: posępne domy.

Pan Power wskazał.

- Tutaj zamordowano Childsa, powiedział. Ostatni dom.
- Tak jest, powiedział pan Dedalus. Okropna sprawa. Seymour Bushe wyciągnął go. Zamordował swego brata. To znaczy, tak mówiono.
- Oskarżyciel nie miał żadnych dowodów, powiedział pan Power.
- Tylko poszlaki, powiedział Martin Cunningham. Taka jest zasada prawa. Lepiej zwolnić dziewięćdziesięciu dziewięciu winnych niż skazać niesłusznie jedną niewinną osobę.

Patrzyli. Ziemia mordercy. Przesunęła się mrocznie. Zamknięte okiennice, nie zamieszкана, zachwaszczony ogród. Wszystko poszło w diabły. Niesłusznie skazany. Morderstwo. Wizerunek mordercy w oku zamordowanego. Uwielbiają czytać o tym. Głowa ludzka znaleziona w ogrodzie. Jej ubiór składał się z. Jak napotkała swą śmierć. Świeży gwałt. Użyta broń. Morderca jest nadal na wolności. Dowody. Sznurówadło. Zwłoki zostaną ekshumowane. Morderstwo wyjdzie na jaw.

Zdrętwiałem w tym powozie. Mogłoby się jej nie podobać, gdybym przyjechał w ten sposób, bez uprzedzenia. Trzeba być ostrożnym z kobietami. Przyłapać je raz ze spuszczonej majtkami. Nigdy ci potem nie przebaczą. Piętnastolatka.

Wysoka balustrada Prospektu zafalowała przed ich spojrzeniem. Ciemne topole, białe sylwetki w dużych odstępach. Sylwetki liczniejsze, białe kształty stłoczone pomiędzy drzewami, białe sylwetki i fragmenty, przepływające niemo, zastygłe w próżnych gestach pośród powietrza.

Obręcz zgrzytnęła o krawężnik: stanęła. Martin Cunningham wysunął ramię i szarpnąwszy klamkę do tyłu, otworzył drzwi pchnięciem kolana. Wyszedł. Pan Power i pan Dedalus za nim.

Przełożyć teraz mydło. Dłoń pana Blooma szybko odpięła guzik tylnej kieszeni i przesunęła zawinięte w papier mydło do wewnętrznej kieszeni marynarki. Wyszedł z powozu, chowając znowu gazetę, którą dotąd trzymał w drugiej dłoni.

Nędzny pogrzeb: karawan i trzy powozy. Ale to wszystko jedno. Karawaniarze, złożona uprzęż, msza żałobna, salwa. Pompa śmierci. Za ostatnim powozem stał wędrowny

sprzedawca ze swym wózkiem ciastek i owoców. Postne ciasteczka, zlepione z sobą: ciastka dla umarłych. Psiprzysmak. Kto je jada? Pograżeni w smutku, wychodząc.

Ruszył za swymi towarzyszami. Za nim ruszyli pan Kernan i Ned Lambert, a Hynes poszedł za nimi. Stojący przy otwartym karawanie Corny Kelieher wyjął dwa wieńce. Jeden z nich podał chłopcu.

Gdzie zniknął pogrzeb tego dziecka?

Zaprzęg konny, który wyjechał z Finglas wlokąc się mozolnie, przeciągnął przez pogrzebową ciszę skrzypiący wóz, na którym leżał granitowy blok. Idący na przedzie woźnica odkrył głowę.

Teraz trumna. Nieboszczyk, a dostał się tu przed nami. Koń ogląda się na to, przekrzywiając pióropusz. Tępooki: ciasne chomąto na szyi, uciska tętnicę czy coś takiego. Czy wiedzą, co wywożą tu co dzień? Musi być ze dwadzieścia albo trzydzieści pogrzebów co dzień. A jeszcze Mount Jerome dla protestantów. Pogrzeby na całym świecie wszędzie każdej minuty. Zwalają ich pod ziemię całymi furami, raz-dwa. Tysiące każdej godziny. Zbyt wielu na świecie.

Kobieta i dziewczynka w żałobie wyszły przed bramę. Wąskoszczęka harpia, drapieżna kobieta w przekrzywionym czepku. Dziewczynka z twarzą umazaną brudem i łzami, trzymająca rękę kobiety, spoglądająca ku niej w oczekiwaniu znaku, żeby zapłakać. Rybia twarz, bezkrwista i sina.

Głuchoniemi wzięli trumnę na ramiona i przenieśli przez bramę. Tyle martwej wagi. Ja sam czułem się cięższy, wychodząc z tej wanny. Najpierw umrzyk: potem przyjacele umrzyka. Corny Kelieher i chłopiec poszli za nimi z wieńcami. Kto to jest ten obok nich? Aha, brat żony.

Wszyscy ruszyli za nimi.

Martin Cunningham szepnął:

- Byłem śmiertelnie zaniepokojony, kiedy mówiliście o samobójstwie przy Bloomie.
- Co? szepnął pan Power. Jak to?
- Jego ojciec otruł się, szepnął Martin Cunningham. Miał Queen's Hotel w Ennis. Słyszałeś, jak mówił, że jedzie do Ciare. Rocznicą.
- O Boże! szepnął pan Power. Pierwszy raz o tym słyszę. Otruł się! Obejrzał się za siebie tam, gdzie twarz o ciemnych, myślących oczach sunęła za nimi w stronę mauzoleum kardynała. Mówiąc.
- Czy był ubezpieczony? zapytał pan Bloom.

- Tak mi się zdaje, powiedział pan Kernan, ale polisa była bardzo obciążona. Martin stara się umieścić chłopca w Artane.

- Ile dzieci pozostawił?

- Pięcioro. Ned Lambert mówi, że spróbuje umieścić jedną z dziewcząt u Todda.

- Smutna sprawa, powiedział łagodnie pan Bloom. Pięcioro małych dzieci.

- Straszny cios dla biednej żony, dodał pan Kernan.

- Tak, istotnie, przyznał pan Bloom.

Ma go już w nosie teraz.

Spojrzał w dół na buty, które sam wypastował i doprowadził do połysku. Przeżyła go, straciła męża. Bardziej umarły dla niej niż dla mnie. Jedno musi przeżyć drugie. Powiadają mądrzy ludzie. Jest więcej kobiet niż mężczyzn na świecie. Współczuj jej. Pani straszliwa strata. Mam nadzieję, że wkrótce podąży pani za nim. Tylko dla hinduskich wdów. Wyszłaby za mąż za innego. Za niego? Nie. Ale kto może potem wiedzieć? Od czasu gdy umarła stara królowa, wdowieństwo nie jest już tym, czym było. Złożona na armatniej lawecie. Wiktorii i Alberta. Doroczne uroczystości żałobne w Frogmore. Ale pod koniec przypięła kilka fiołków do czepka. Próżna na dnie serca. Wszystko dla cienia. Księżę małżonek, nawet nie król. Jej syn był istotny. Nadzieja nowego, coś innego niż przeszłość, którą chciała przywołać z powrotem, wyczekując. Nigdy nie powraca. Trzeba odejść najpierw: samotnie pod ziemię: i nie leżeć już więcej w jej ciepłym łóżku.

- Jak się masz, Simonie? powiedział miękko Ned Lambert, ściskając dłoń. Nie widziałem cię kopę lat.

- Jak nigdy. Jak się żyje w pięknym mieście Cork?

- Byłem tam w Poniedziałek Wielkanocny na wyścigach, powiedział Ned Lambert. Te same stare kauzyperdy. Zatrzymałem się u Dicka Tivy.

- Jak się ma Dick, człowiek niezłomny?

- Nic go nie dzieli od nieba, odpowiedział Ned Lambert.

- Święty Pawle! powiedział pan Dedalus z cichym zdumieniem. Dick Tivy wyłysiał?

- Martin ma zamiar urządzić składkę na dzieciaki, powiedział Ned Lambert, wskazując ku przodowi. Parę szylingów od łebka. Żeby chociaż utrzymać je, póki nie podejmie się ubezpieczenia.

- Tak, tak, powiedział pan Dedalus powątpiewająco. Czy to jest najstarszy chłopak, ten na przedzie?

- Tak, powiedział Ned Lambert. Z bratem żony. John Henry Menton jest z tym. Wpisał się na funta.

- Założę się, że tak, powiedział pan Dedalus. Często mówiłem biednemu Paddy, że powinien dbać o tę posadę. John Henry nie jest najgorszy w świecie.

- Jak ją stracił? zapytał Ned Lambert. Trunek, co?

- Błąd niejednego porządnego człowieka, powiedział pan Dedalus z westchnieniem.

Zatrzymali się przy drzwiach kaplicy cmentarnej. Pan Bloom stanął za trzymającym wieniec chłopcem, spoglądają na jego gładko uczesane włosy i szczupłą, przeciętą bruzdą szyję w nowiuteńkim kołnierzyku. Biedny chłopiec! Czy był tam, kiedy ojciec? Oboje nieprzytomni. Nawrót świadomości w ostatniej chwili i rozpoznanie po raz ostatni. Wszystko, co mógł zrobić. Jestem winien trzy szylingi o'Grady'emu. Czyby zrozumiał? Głuchoniemi wnieśli trumnę do kaplicy. W którym końcu jest głowa?

Po chwili wszedł za innymi, mrużąc oczy w przyćmionym świetle. Trumna leżała na katafalku na wprost prezbiterium, mając po rogach cztery żółte, wysokie świece. Zawsze przed nami. Comy Kelieher, umieściwszy po jednym wieńcu przy każdym z obu przednich rogów, skinął za chłopca, by ukląkł. Obecni poklękali tu i ówdzie w kłęcznikach. Pan Bloom stał z tyłu, blisko chrzcielnicy, a gdy wszyscy uklękli, rozłożył wyjętą z kieszeni gazetę, opuścił ją uważnie i skłonił na nią prawe kolano. Swój czarny kapelusz złożył delikatnie na lewym kolanie i przytrzymując go za rondo, pochylił się nabożnie.

Ministrant ukazał się w drzwiach, niosąc mosiężny kubek z czymś wewnątrz. Biało odziany ksiądz wszedł za nim, prostując stulę jedną dłonią, a drugą przyciskając niewielką książkę do swego ropuszego brzucha. Któż odczyta te strony? My, odrzekły gawrony.

Zatrzymali się przy katafalku i ksiądz zaczął czytać z książki, pokrakując płynnie.

Ojciec Truman. Wiedziałem, że jego nazwisko jest jak trumna. Dominenamine. Bycza morda. Dyryguje przedstawieniem. Muskularny chrześcijanin. Biada temu, kto nań spojrzy krzywo: ksiądz. Tyś jest Piotr. Może pęknąć od wzdęcia jak owca w koniczynie, powiada Dedalus. Ma brzuchojak struty szczeniak. Bardzo śmieszne określenia znajduje ten człowiek. Hmm, pęknąć od wzdęcia.

- Non intres in iudicium cum servo tuo, Domine.

Wydaje im się, że są ważniejsi, kiedy się tak nad nimi modli po łacinie. Msza żałobna. Płaczki w krepie. Czarno obrzeżony papier listowy. Twoje imię wciągnięte do rejestru modłów kościelnych. Przejmujące chłodem miejsce. Trzeba się dobrze odżywiać, siedząc tam przez całe ranki w mroku, zbijając bąki, czekając na następnego, proszę. I oczy ropuchy. Cóż go wzdyma? Molly wzdyma po kapuście. Może tutejsze powietrze. Wygląda jak wypełnione złym gazem. Musi być piekielnie dużo złego gazu wszędzie tutaj. Na przykład

rzeźnicy: robią się podobni do surowych befsztyków. Kto mi opowiadał? Mervyn Brown. Tam w dole w kryptach świętego Werburgha, te piękne stare organy sto pięćdziesiąt lat, muszą borować czasami dziury w trumnach, żeby wypuścić zły gaz i spalić go. Wylatuje: niebieski. Jedno puff i już cię nie ma.

Boli mnie rzepka w kolanie. Au. Tak lepiej.

Ksiądz wyjął zakończony gałką kijek z kubelka chłopca i potrząsnął nim nad trumną. Potem przeszedł w drugi koniec i potrząsnął nim znowu. Potem zawrócił i włożył go na powrót do kubelka. Jako byłeś, nim spocząłeś. Wszystko jest zapisane: musi to wykonać.

- Et ne nos inducas in tentationem.

Ministrant wyśpiewywał dyszkantem piskliwe odpowiedzi. Często myślałem, że lepiej byłoby mieć służących chłopców. Do piętnastu lat, mniej więcej. Potem, oczywiście...

To była święcona woda, przypuszczam. Rozsiewa tym sen. Przejadła mu się chyba ta robota, potrząsanie tą rzeczą nad wszystkimi tymi trupami, które mu tu zwożą. Nieźle byłoby, żeby widział, nad czym tak potrząsa. Każdego bożego dnia nowa porcja: mężczyźni w średnim wieku, stare kobiety, dzieci, kobiety zmarłe przy porodzie, brodaci mężczyźni, łysi przemysłowcy, gruźlicze dziewczęta o wąskiej, wróblej piersi. Przez cały rok w kółko odmawiał nad nimi wszystkimi te same modlitwy i kropił ich wodą: śpijcie. Teraz Dignam.

- In paradisum.

Powiedział, że on idzie do raju albo że jest w raju. Mówi to nad każdym. Nużące zajęcie. Ale musi coś mówić.

Ksiądz zamknął książkę i odszedł, a za nim ministrant. Corny Kelieher otworzył boczne drzwi i weszli grabarze, dźwignęli znowu trumnę, wynieśli ją i złożyli na wózku. Corny Kelieher otworzył boczne drzwi i weszli grabarze, dźwignęli znowu trumnę, wynieśli -ją i złożyli na wózku. Corny Kelieher podał jeden z wieńców chłopcu, a drugi bratu żony. Bocznymi drzwiami wszyscy ruszyli za nimi i wynurzyli się pośród łagodnego, szarego powietrza. Pan Bloom wyszedł ostatni, wsuwając znów do kieszeni swą złożoną gazetę. Patrzył poważnie w ziemię, póki wózek z trumną nie potoczył się w lewo. Metalowe koła ryły żwir z ostrym zgrzytem, a sfera tępych butów ruszyła za wózkiem wzdłuż alei grobowców.

De ri de ra de ri de ra da. Boże, nie mogę tu przecież nucić.

- Krąg O'Connella, powiedział pan Dedalus obok niego.

Łagodny wzrok pana Powera pobiegł ku szczytowi wyniosłego stożka.

- Spoczywa, powiedział, pośród swego ludu, stary Dań O'. Lecz serce jego pochowane jest w Rzymie. Ileż złamanych serc jest tu pochowanych, Simonie!

- Jej grób jest tam, Jack, powiedział pan Dedalus. Niedługo położą mnie obok niej. Niechaj zabierze mnie On, kiedy zechce.

Załamując się, załkał cicho i zaczął potykać się nieco, idąc. Pan Power ujął jego ramię.

- Jest jej lepiej tam, gdzie jest, powiedział serdecznie.

- Tak przypuszczam, powiedział pan Dedalus zachłysnąwszy się lekko. Przypuszczam, że jest w niebie, jeżeli niebo istnieje.

Corny Kelieher opuścił swe miejsce i odstąpił na bok, pozwalając, by orszak żałobny minął go z wolna.

- Smutne okoliczności, rozpoczął uprzejmie pan Kernan.

Pan Bloom przymknął oczy i dwukrotnie skłonił głowę ze smutkiem.

- Inni wkładają kapelusze, powiedział pan Kernan. Przypuszczam, że my też możemy. Jesteśmy ostatni. Ten cmentarz jest zdradliwym miejscem. Nakryli głowy.

- Czcigodna osoba zajęła się obrzędkiem zbyt pośpiesznie, nie sądzi pan? powiedział pan Kernan z naganą.

Pan Bloom przytaknął poważnie, spoglądając w ruchliwe, przekrwione oczy. Tajemnicze oczy, tajemnicze, badawcze oczy. Może mason: nie jestem pewien. Znowu obok niego. Jesteśmy ostatni. W tej samej łodzi. Mam nadzieję, że powie coś innego.

Pan Kernan dodał:

- Obrządek Kościoła irlandzkiego stosowany w Mount Jerome jest prostszy, bardziej podniosły, muszę powiedzieć.

Pan Bloom skromnie wyraził zgodę. Język to była, oczywiście, zupełnie inna sprawa. Pan Kernan dodał uroczyście:

- Jam jest zmartwychwstanie i żywot. To przejmuje człowieka do głębi serca.

- To prawda, powiedział pan Bloom.

Do twego serca, być może, ale co z tego facetowi zamkniętemu w czterech deskach, który wyciągnął kopyta? Nie przejmuje dla niego. Siedziba uczuć.

Pęknięte serce. Po prostu pompa, pompująca co dnia tysiące galonów krwi. Któregoś pięknego dnia zatyka się, i oto jesteś. Cała masa ich tu leży wszędzie: płuca, serca, wątroby. Stare, zardzewiałe pompy: i nic więcej. Zmartwychwstanie i żywot. Gdy raz umarłeś, umarłeś. Ten pomysł z sądem ostatecznym. Wypukiwanie ich wszystkich z grobów. Łazarzu, ja ci mówię, wstań! A on wołał poleżeć i stracił pracę. Wstawaj! Sądnym dzień! A potem każdy z tych facetów myszkuje za swą wątrobą, płucami i całą resztą flaków. Będzie paskudnie

ciężko pozbierać się do kupy tego poranka. Uncja proszku w czaszce. Trzydzieści jeden gramów uncja. System wagowy Troyes.

Corny Kelieher zaczął iść u ich boku.

- Wszystko poszło pierwszorzędnie, powiedział. Co?

Spoglądał na nich sennym okiem. Barki policjanta. Z twym tralala tralala.

- Tak, jak być powinno, powiedział pan Kernan.

- Co? Hę? powiedział Corny Kelieher. Pan Kernan upewnił go.

- Kto to jest ten facet z tyłu, z Tomem Kernanem? zapytał John Henry Menton. Twarz jego jest mi znajoma. Ned Lambert zerknął za siebie.

- Bloom, powiedział, Madam Marion Tweedy, która była, mam na myśli, jest sopranem. To jego żona.

- Ach, tak, zapewne, powiedział John Henry Menton. Nie widuję jej od pewnego czasu. Była to bardzo piękna kobieta. Tańczyłem z nią, chwileczkę, jakieś piętnaście, siedemnaście dobrych lat temu u Mata Diiiona w Roundtown. Było co potrzymać.

Rozejrzał się pośród idących.

- Kim on jest? zapytał. Co robi? Czy on nie pracował w branży papierniczej? Pokłóciłem się z nim któregoś wieczora, pamiętam, przy kręglach. Ned Lambert uśmiechnął się.

- Tak, powiedział, był u Wisdom Hely'ego. Komiwojażer w bibule.

- Na miłość boską, powiedział John Henry Menton, dlaczego wyszła za mąż za takie byle co? Miała wtedy wielkie powodzenie.

- Ma nadal, powiedział Ned Lambert. On jest teraz akwizytorem ogłoszeniowym. Wielkie oczy Johna Henry Mentona spoglądały w dal. Wózek skręcił w boczną alejkę. Okazały mężczyzna, ukryty pośród krzewów, uniósł kapelusz, oddając hołd. Grabarze dotknęli czapek.

- John O'Connell, powiedział pan Power uradowany. Nigdy nie zapomina o przyjacielu.

Pan O'Connell uścisnął im wszystkim ręce w milczeniu. Pan Dedalus powiedział:

- Przyszedłem złożyć ci jeszcze jedną wizytę.

- Mój drogi Simonie, odpowiedział cichym głosem przedsiębiorca pogrzebowy. Wcale nie pragnę, byś był moim klientem.

Pozdrowiwszy Neda Lamberta i Johna Henry Mentona, ruszył u boku Martina Cunninghama, kołyszając za plecami parą kluczy.

- Czy słyszeliście tę historyjkę, zapytał ich, o Mulcahym z Coombe?

- Ja nie, powiedział Martin Cunningham.

Pochylili zgodnie swe cylindry, a Hynes nadstawił ucha. Przedsiębiorca pogrzebowy wsunął kciuki w złoty łańcuszek swego zegarka i zaczął mówić przyciszonym głosem pośród ich niewyraźnych uśmiechów.

- Opowiadają, powiedział, że dwóch pijaków przyszło tu któregoś mglistego wieczora, żeby odnaleźć grób przyjaciela. Zapytali o Mulcahy'ego z Coombe i powiedziano im, gdzie jest pochowany. Powalęsali się trochę we mgle i znaleźli grób, oczywiście; Jeden z pijaków wysylabizował nazwisko: Terence Mulcahy. Drugi pijak zagapił się na posąg Zbawiciela, który wystawiła wdowa.

Przedsiębiorca pogrzebowy zrobił oko w stronę jednego z grobowców, który mijali. Podjął:

- I, zrobiwszy oko do świętej figury: Cholernie niepodobny do niego, powiada. To nie Mulcahy, powiada, partacz to robił.

Nagrodzony uśmiechami, cofnął się i zaczął rozmawiać z Corny Kelieherem, przyjąwszy od niego kwity, przejrzawszy i sprawdziwszy je bez zatrzymywania się.

- On opowiada to wszystko celowo, wyjaśnił Martin Cunningham Hynesowi.

- Wiem, powiedział Hynes, wiem o tym.

- Żeby podnieść człowieka na duchu, powiedział Martin Cunningham. Wyłącznie z dobrego serca, z niczego więcej.

Pan Bloom podziwiał okazałą sylwetkę przedsiębiorcy pogrzebowego. Wszyscy chcą być z nim w dobrych stosunkach. Porządny facet, John O'Connell, naprawdę pierwszej klasy. Klucze: jak ogłoszenie Klaucza: nie ma strachu, że ktoś się wydostanie, żadnych przepustek wyjściowych. Habeat corpus. Po pogrzebie muszę zająć się tym ogłoszeniem. Czy napisałem Balisbridge na tej kopercie, której użyłem do zakrycia tego, co napisałem do Marty, kiedy mi przeszkodziła? Mam nadzieję, że nie utknęła w biurze nie doręczonych listów. Dobrze by mu zrobiło, żeby się ogolił. Kielkujący, szpakowaty zarost. To pierwszy znak, szpakowate włosy i gniewne usposobienie. Srebrne nitki pośród szpakowatych. Co za pomysł być jego żoną. Dziwię się, że miał czelność oświadczyć się jakiegokolwiek dziewczynie. Pójdź i żyj ze mną na cmentarzu. Błysnąć tym przed nią. Mogłoby to ją podniecić w pierwszej chwili. Zaloty śmierci... Nocne opary snują się, a umarli leżą naokół. Cienie grobowców w cmentarnych otchłaniach a Daniel O'Connell musi być potomkiem jak przypuszczam kto to mówił że jest dziwakiem i bardzo płodnym człowiekiem ale mimo to wielkim katolikiem jak ogromny wielkolud w ciemności. Błędny ogień. Gaz z grobów. Musi starać się nie myśleć o tym, żeby w ogóle móc zająć się ciężką. Kobiety są specjalnie wrażliwe. Opowiedz jej w łóżku historyjkę o duchach, żeby ją uspić. Czy widziałaś kiedyś ducha? A ja widziałem. Noc była

ciemna, że oko wykol. Zegar bił po raz dwunasty. Mimo to całowałyby, gdyby je właściwie podkreślić. Kurwy na tureckich cmentarzach. Wyuczą się wszystkiego, jeżeli wcześniej zaczną. Można by tu było poderwać młodą wdowę. Mężczyźni to lubią. Miłość pośród grobowców. Romeo. Ostro przyprawiona rozkosz. Pośród śmierci żywot wiemy. Przeciwności stykają się. Udręka dla biednych umarłych. Zapach smażonych befsztyków, skręcający głodem wewnętrznosci. Pragnienie podniecania ludzi. Molly pragnąca robić to w oknie. W każdym razie on ma ośmioro dzieci.

Od czasu jak tu jest, obejrzał sobie piękną procesję, schodzącą w dół i układającą się wokół niego, półko za półkiem. Poświęcone pole. Więcej miejsca, gdyby grzebali ich na stojąco. Siedząco lub klęczące nie można. Stojąco? Mógłby wystawić któregoś dnia na wierzch głowę i wyciągniętą rękę, gdyby się grunt obsunął. Cały grunt musi tu być jak ul: podłużne komórki. I utrzymuje to też bardzo porządkie, przystrzyżona trawa i krawężniki. Major Gambie nazywa ten swój ogród Mount Jerome. I tak jest. Powinny tu być kwiaty snu. Z ogromnych maków rosnących na chińskich cmentarzach wytwarza się najlepsze opium, mówił mi Mastiansky. Ogród botaniczny też obok. To ta krew, wsiąkająca w ziemię, daje nowe życie. Ten sam pomysł ci żydzi, którzy zabili chrześcijańskiego chłopczyka, powiadają. Każdy człowiek ma swoją cenę. Dobrze utrzymane, tłuste zwłoki gentlemena, smakosza, nieocenione dla twego sadu. Dobry interes. Za ścierwo Willia-ma Wilkinsona, kontrolera i księgowego, ostatnio zmarłego, trzy funty, trzynaście szylingów i sześć pensów. Z podziękowaniem.

Śmiem twierdzić, że gleba byłaby bardzo tłusta od trupiego nawozu, kości, ciało, paznokcie, trupiarnie. Okropne. Zielenieją i sinieją, rozkładając się. Gniją szybko w wilgotnej ziemi. Szczupli starsi są odporniejsi. Potem coś w rodzaju serowatej woskowiny. Potem zaczynają czernieć i sączy się z nich gęsta ciecz. Potem wysychają. Ćmy trupie główki. Oczywiście, komórki, czy jak to się nazywa, żyją dalej. Zmieniają się. Praktycznie żyją w nieskończoność. Nie mając czym się żywić, żywią się same sobą.

Ale musi się z nich lęgnąć diabelnie dużo robaków. W glebie musi aż szumieć od nich. W głowie szumi jak morze piosenka. Te śliczne nadmorskie dziewczęta. Wygląda przy tym wszystkim dosyć wesoło. Daje mu to poczucie siły, że wszyscy inni schodzą przed nim w dół. Ciekawe, jak patrzy na życie. I strzela tymi swoimi żartami: to go rozgrzewa wewnątrz. Ta historyjka o komunikacji. Spurgeon poszedł do nieba dziś o 4 rano. (O 11 wieczór zamykamy.) Nie przybył jeszcze. Piotr. Nawet sami zmarli, a w każdym razie mężczyźni, chcieliby usłyszeć jakiś dobry żart, a kobiety dowiedzieć się, co jest modne. Soczysta gruszka albo poncz dla dam, gorący, silny i słodki. Wypędza wilgoć. Trzeba się czasem pośmiać, więc lepiej to robić w ten sposób. Grabarze w Hamlecie. Wykazuje głęboką znajomość ludzkiego serca. Nie śmia żartować z umarłego co najmniej przez dwa lata. De mortuis nilnisprius. Najpierw zdjąć żałobę. Trudno sobie wyobrazić jego pogrzeb. Byłoby to coś w rodzaju żartu. Mówią, że przeczytanie własnego nekrologu zapewnia dłuższe życie. Daje ci drugi oddech. Nowa pożyczka.

- Ilu masz na jutro? zapytał przedsiębiorca pogrzebowy.
- Dwóch, powiedział Corny Kelieher. Pół do jedenastej i jedenasta.

Przedsiębiorca wsunął papiery do kieszeni. Wózek przestał się toczyć. Idący rozdzielili się i zebrali po obu stronach dołu, obchodząc uważnie groby. Grabarze unieśli trumnę, ustawili ją nad krawędzią grobu i wsunęli pod nią powrozy.

Grzebią go. Przybyliśmy pogrzebać Cezara. Jego idy marcowe albo czerwcowe. Nie wie, kto tu jest, ani dba o to.

A któż to jest ten wysoki dryblas tam w macintoshu? Któż to jest, chciałbym wiedzieć? Dałbym odrobinę, żeby wiedzieć, kto to jest. Zawsze pojawia się ktoś, o kim ci się nigdy nie śniło. Człowiek mógłby żyć samotnie przez całe życie. Tak, mógłby. Ale chociaż sam mógłby wykopać swój własny grób, musi mieć kogoś, kto go pochowa. Wszyscy to robimy. Tylko człowiek grzebie. Nie, mrówki też. Pierwsza rzecz, która uderza każdego. Pogrzebać zmarłych. Powiedzmy, że Robinson Cru-soe żył naprawdę. W takim razie Piątek go pogrzebał. Kiedy się o tym pomyśli, to każdy Piątek grzebie Czwartek.

O, biedny Robinsonie, Jak mi cię żal po zgonie!

Biedny Dignam! Leży na ziemi po raz ostatni, w skrzynce. Kiedy się o nich wszystkich pomyśli, wydaje się to marnotrawieniem drewna. Wszystko przeżarte na wylot. Mogliby wymyślić ładne mary z rodzajem pochylni, po której by się ześlizgiwali. Tak, ale mogliby się sprzeciwiać grzebaniu ich na tych samych, na których przedtem innego faceta. Są tak wybredni. Połóżcie mnie w mojej ziemi ojczystej. Trochę gliny z Ziemi Świętej. Tylko matki i martwo urodzone dzieci chowa się w jednej trumnie. Rozumiem, co to znaczy. Rozumiem. Aby osłaniać je tak długo, jak się da, nawet w ziemi. Dom Irlandczyka jest jego trumną. Balsamowanie w katakumbach, mumie, ten sam pomysł.

Pan Bloom stał daleko z tyłu, z kapeluszem w ręce, licząc obnażone głowy. Dwanaście. Jestem trzynasty. Nie. Ten facet w macintoshu jest trzynasty. Liczba oznaczająca śmierć. Skąd, do diabła, wyskoczył? Nie było go w kaplicy, mogę na to przysiąc. Głupi przesąd z tą trzynastką.

Z ładnego, miękkiego tweedu jest to ubranie Neda Lamberta. Odrobinka fioletu. Miałem podobne, kiedy mieszkaliśmy przy Lombard Street West. Był z niego kiedyś strojniś. Trzy razy dziennie zmieniał ubranie. Muszę dać to moje szare ubranie Mesjaszowi do przenieśowania. Oho. Jest farbowane. Jego żona, zapomniałem, że nie jest żonaty, albo jego gospodyni powinna była powyciągać mu te nitki.

Trumna zniknęła z oczu, opuszczona przez ludzi stojących okrakiem na oszalowaniu grobu. Zeszli z oszalowania. Wyprostowali się i odsunęli: wszyscy odkryli głowy. Dwadzieścia.

Pauza.

Gdyby nagle każdy z nas stał się kim innym.

W oddali zaryczał osioł. Deszcz. Nie taki znowu osioł. Powiadają, że nigdy nie widzi się zdechłego. Wstydzą się śmierci. Kryją się. Biedny papa też wyjechał.

Łagodne, słodkie powietrze owiało ich obnażone głowy, szepcząc. Szepcząc. Chłopiec stojący w głowach grobu trzymał oburącz swój wieniec, wpatrując się spokojnie w czarną, otwartą czelusć. Pan Bloom podszedł i przystanął za okazałymi plecami dobrodusznego przedsiębiorcy pogrzebowego. Dobrze skrojony żakiet. Przegląda ich sobie teraz, żeby zobaczyć, który pójdzie następny. No cóż, jest to długi odpoczynek. Nie odczuwać już więcej. To tę chwilę się odczuwa. Musi być piekielnie nieprzyjemna. Nie wierzy się początkowo. To musi być omyłka: kto inny. Spróbuj w domu naprzeciwko. Czekał, chciałem, żeby. Ja jeszcze nie. Później zaciemniony pokój konającego. Chcą światła. Szepczą wokół ciebie. Czy chciałbyś widzieć księdza? Potem bełkot i zagubienie. W malignie powiesz wszystko, coś ukrywał przez całe życie. Zmaganie ze śmiercią. Jego sen nie jest naturalny. Naciśnij mu dolną powiekę. Patrzą, czy nos mu się zaostrza, czy szczeka opada, czy podeszwy stóp żółkną. Wyciągnąć poduszkę i zakończyć to na podłodze, skoro jest skazany. Diabeł na tym obrazie śmierci grzesznika, ukazujący mu kobietę. Umierający w koszuli, który pragnie ją objąć. Ostatni akt Łucji. Czy nie ujrzę cię już więcej? Bum! oddaje ducha. Odszedł nareszcie. Ludzie mówią trochę o tobie: zapominają cię. Nie zapomnij pomodlić się za niego. Wspomnij o nim w twych modlitwach. Nawet Parnella. Dzień Bluszczu dogasający. A potem pójdą inni: wpadną do dołu jeden po drugim.

Modlimy się teraz za spoczynek jego duszy. Nadzieję mieć wolę, żeś w niebie, nie w smole. Ładna zmiana atmosfery. Z patelni życia w ogień czyśćca.

Czy myśli kiedykolwiek o dole czekającym na niego? Mówią, że wtedy, kiedy cię przejdzie dreszcz w słońcu. Ktoś po nim przeszedł. Inspicjent woła. Zaraz ty. Mój tam, w stronę Finglas, kwatera, którą kupiłem. Mama, biedna mama, i mały Rudi.

Grabarze ujęli łopaty i zaczęli ciskać ciężkie bryły gliny na trumnę. Pan Bloom odwrócił głowę. A gdyby przez cały czas był żywy? Brrr! Ojej, to byłoby straszne! Nie, nie: umarł, oczywiście. Oczywiście, umarł. Umarł w poniedziałek. Powinno być jakieś prawo, żeby dla pewności przebijać serce albo zegar elektryczny albo telefon w trumnie, albo parciany przewód powietrzny. Sygnał rozpaczliwego położenia. Trzy dni. Trochę za długo, żeby ich przetrzymywać w lecie. Równie dobrze można by odgrodzić się od nich, jak tylko upewnisz się, że nie.

Glina padała ciszej. Początek zapomnienia. Co z oczu, to i z serca.

Przedsiębiorca pogrzebowy oddalił się o kilka kroków i włożył kapelusz. Miał już dość tego. Obecni ożywiali się, jeden po drugim, nieostentacyjnie nakrywając głowy. Pan Bloom włożył kapelusz i dostrzegł okazałą postać, kluczącą zręcznie pośród labiryntu grobów. Spokojnie, pewien swych dróg, przecinał posępne pola.

Hynes bazgrzący coś w swoim notatniku. Ach, nazwiska. Przecież zna wszystkie. Nie: podchodzi do mnie.

- Spisuję nazwiska, powiedział Hynes przyciszonym głosem. Jak pan ma na imię? Nie jestem pewien.

- L., powiedział pan Bloom. Leopold. I może pan też wpisać nazwisko M'Coya. Prosił mnie o to.

- Charley, powiedział Hynes, zapisując. Wiem. Był kiedyś w Człowieku Wolnym. Był, zanim otrzymał pracę w kostnicy u Louisa Byrne. Doskonały pomysł robienie sekcji dla lekarzy. Odnajdywać to, co im się wydaje, że wiedzą. Umarł we wtorek. Wywalili go. Ulotnił się z gotówką za parę ogłoszeń. Chariey, jesteś moim słoneczkiem. To dlatego poprosił mnie, żeby. No cóż, nie szkodzi. Przypilnowałem tego, M'Coy. Dziękuję, staruszk: bardzo zobowiązany. Pozostawić go zobowiązanego: nic nie kosztuje.

- I proszę powiedzieć mi, powiedział Hynes, czy zna pan tego faceta ubranego w, faceta, który stał, o tam, ubrany w. Rozejrzał się.

- Macintosh. Tak, widziałem go, powiedział pan Bloom. Gdzie on jest teraz?

- M'Intosh, powiedział Hynes, gryzmołąc. Nie wiem, kto to jest. Czy to jego nazwisko?

Odszedł, rozglądając się.

- Nie, zaczął pan Bloom, odwracając się i urywając. Hej, Hynes! Nie usłyszał. Co? Gdzież on zniknął? Ani śladu. O, na wszystkie. Czy nie widział ktoś z was? Ka e el el. Stał się niewidzialny. Wielki Boże, co się z nim stało?

Siódmy grabarz zbliżył się do pana Blooma, żeby podjąć wolną łopatę.

- O, przepraszam!

Ustąpił zwinnie.

Glina, brunatna, wilgotna, zaczęła ukazywać się w dole. Rosła. Już prawie równo. Wzgórek wilgotnych brył rósł wyżej, rósł i grabarze odłożyli łopaty. Wszyscy znowu na parę chwil odkryli głowy. Chłopiec oparł wieniec o bok wzgórk, brat żony złożył swój na wierzchu. Grabarze włożyli czapki i ponieśli swe zabrudzone ziemią łopaty w stronę wózka. Później otarli nieznacznie ostrza o murawę: czyste. Jeden pochylił się i oderwał od styliska długie źdźbło trawy. Inny, opuściwszy towarzyszy, odszedł powoli, trzymając na ramieniu broń o błękitnolś-niącym ostrzu. Inny związał powróz trumienny bezgłośnie w głowach grobu. Jego pępowina. Brat żony, odwróciwszy się, włożył coś w jego wolną dłoń. Milczące podziękowanie. Przykro mi, panie: kłopot. Skinienie głową. Wiem o tym. A to dla innych.

Obecni rozchodzili się powoli, bez celu, krętymi ścieżkami, zatrzymując się to tu, to tam, aby odczytać nazwisko na grobie.

- Przejdźmy obok grobu wodza, powiedział Hynes. Mamy czas.

- Przejdźmy, powiedział pan Power.

Ruszyli w prawo, towarzysząc swym powolnym myślom. Pan Power powiedział głucho ze zgrozą:

- Niektórzy mówią, że wcale nie leży w tym grobie. Że trumna była wypełniona kamieniami. Że któregoś dnia powróci znowu. Hynes potrząsnął głową.

- Parnell nie powróci nigdy, powiedział. Jest on tam, to znaczy wszystko, co było w nim śmiertelne. Pokój jego popiołom.

Pan Bloom przechodził, osłonięty krzewami, obok smutnych aniołów, krzyży, strzaskanych kolumn, rodzinnych krypt, kamiennych nadziei modlących się z uniesionymi oczyma, serc i rąk starej Irlandii. Sensowniej byłoby wydać pieniądze na coś dobroczyнного dla żywych. Módl się za spoczynek duszy... Czy ktokolwiek naprawdę? Zakopali go i załatwili go. Jak węgiel do piwnicy. Potem pamiętać o nich hurtem dla zaoszczędzenia czasu. Zaduszki. Dwudziestego siódmego będę przy jego grobie. Dziesięć szylingów dla ogrodnika. Oczyszcza go z chwastów. Sam jest starym człowiekiem. Zgięty we dwoje i szczękający sekatorem. Blisko bram śmierci. Który odszedł. Który opuścił ten padół. Jak gdyby to robili z własnej woli. Wepchnięto ich, wszystkich. Kto odwalił kitę. Ciekawsze by było, gdyby mówiły, kim byli. Taki a taki, kołodziej. Sprzedawałem linoleum, komiwojażer. Bankrutując, oddawałem po pięć szylingów z funta. Albo kobieta z patelnią. Dobrze dusiłam baraninę. Eulogia na wiejskim cmentarzu tak powinien być zatytułowany poemat czyj Wordswortha czy Thomasa Campbella. Udał się na spoczynek, piszą protestanci. Starego Drą Murrena. Wielki Lekarz przyjął go w gościnę. Cóż, jest to dla nich poletko Pana Boga. Ładna wiejska posiadłość. Świeżo otynkowana i wymalowana. Idealne miejsce, żeby sobie spokojnie popalić i poczytać Przegląd Kościelny. Obwieszczeń o ślubach nigdy nie próbują upiększać. Zardzewiałe wieńce wisiały na hakach, girlandy listowia z brązu. Lepiej się opłacać za te same pieniądze. Ale kwiaty są bardziej poetyczne. Tamte mogą trochę znużyć, nie więdnąc nigdy. Nie wyrażają nic. Nieśmiertelniki.

Ptak przysiadł potulnie na gałęzi topoli. Jak wypchany. Jak ten prezent ślubny, który dał nam radny Hooper. Ha! Ani piśnie. Wie, że nie ma tu żadnych proc, z których można do niego strzelić. Martwe zwierzęta są jeszcze smutniejsze. Śmieszna Milly chowająca martwego ptaszka w dużym kuchennym pudełku po zapalkach, wianuszek stokrotek i połamane koraliki na grobie.

A to jest Najświętsze Serce: pokazuje je. Serce na dłoni. Powinno być z boku i pomalowane na czerwono jak prawdziwe serce. Irlandia była mu poświęcona czy coś takiego. Nie wydaje

się zadowolony. Skąd ta rana? Czy ptaki przyleciałyby i dziobały jak tego chłopca z koszykiem owoców, ale on powiedział: nie, bo powinny były bać się tego chłopca. Apollo to był.

Iluż ich jest! Wszyscy ci tutaj chodzili kiedyś po Dublinie. Wierni, którzy odeszli. Byliśmy ongi, jako wy dziś jesteście.

Poza tym, jak można wszystkich zapamiętać? Oczy, chód, głos. No tak, głos:

gramofon. Mieć gramofon w każdym grobie albo trzymać go w domu. Po obiedzie w niedzielę. Nastawić biednego starego prapradziadka Krrrhrrrk! Hallohallohallo okrrroponiemimiło krrrk okrrróponiemimiłowaswikrrrdzić hallohallo okrrroponiemimwaswidźkh. Przypomina ci to tak głos, jak fotografia przypomina ci twarz. Inaczej nie mógłbyś zapamiętać twarzy po, powiedzmy, piętnastu latach. Na przykład czyjej? Na przykład jakiegoś faceta, który umarł, gdy pracowałem u Wisdom Hely'ego.

Szrrrrtr! Grzechot kamyków. Zaczekaj. Stój.

Z napięciem spoglądał w głąb kamiennej krypty. Jakies zwierzę. Zaczekaj. Nadchodzi.

Opasły, szary szczur dreptał wzdłuż krawędzi krypty, potrącając kamyki. Stary wyjadacz: prapradziadek: zna wszystkie ścieżki. Szary i żywy, włamał się pod płytę, wkręcił się pod nią. Dobra kryjówka dla skarbu.

Kto tu mieszka? Złożono szczątki Roberta Emery. Robert Emmet został tu pochowany przy świetle pochodni, czy nie? Robi obchód.

Ogon już zniknął.

Każdy z takich gości mógłby się szybko załatwić z facetem. Obgryźć kości do czysta, nie zważając na to, czyje są. Zwykle mięso dla nich. Trup to zepsute mięso. No, a czym jest ser? Trupem mleka. Czytałem w tych Podróżach chińskich, że dla Chińczyków, jak powiadają, biały człowiek cuchnie jak trup. Lepsze krematorium. Księży to śmiertelnie oburza. Diabelnie związani z inną firmą. Hurtowa sprzedaż palników i piekarników. Czas zarazy. Doły z niegaszonym wapnem, aby ich pożreć. Komora śmierci. Popioły popiołom. Albo pochować w morzu. Gdzie jest ta parsyj-ska wieża milczenia? Zjadani przez ptaki. Ziemia, ogień, woda. Powiadają, że utopienie jest najprzyjemniejsze. Widzisz całe swoje życie w mgnieniu oka. Lecz kiedy cię przywrócą do życia, nie. Ale nie można pochować w powietrzu. Z latającej maszyny. Ciekawe, czy wiadomości rozchodzą się za każdym razem, kiedy spuszczają nowego. Podziemna komunikacja. Nauczyliśmy się tego od nich. Nie byłbym zdziwiony. To ich codzienna strawa. Muchy przybywają, zanim ostygnie. Zwęszyły Dignama. Nie obchodziłby ich zapach tego. Słonobiała, rozpadająca się papka trupia: zapach, smak surowej, białej rzepy.

Brama połyskiwała naprzeciw: nadal otwarta. Powrót do świata. Dość tego miejsca. Przybliża cię trochę za każdym razem. Ostatni raz byłem tu na pogrzebie pani Sinico. Biedny papa też. Miłość, która zabija. A nawet rozkopywanie ziemi nocą, przy latarni, jak w tym wypadku, o którym czytałem, żeby zdobyć świeżo pochowane kobiety, a nawet nadgniłe, rozkładające się i rozływające. Ciarki od tego przechodzą. Ukażę ci się po śmierci. Ujrzysz mego ducha po śmierci. Mój duch będzie cię prześladował po śmierci. Jest inny świat po śmierci i zwie się piekło. Nie lubię tego słowa nie z tego świata, napisała. Ani ja. Jest jeszcze tyle do zobaczenia i usłyszenia i odczuwania. Czuć blisko siebie żywe, ciepłe istoty. Niechaj śpią w swych robaczywych łóżkach. Nie dostaną mnie przy tej sposobności. Ciepłe łóżka: ciepłe, pełnokrwiste życie.

Martin Cunningham wynurzył się z bocznej ścieżki, przemawiając poważnie.

Adwokat, zdaje się. Twarz jego jest mi znajoma. Menton. John Henry, адвокат, pełnomocnik dla przysiąg i zeznań. Dignam był kiedyś w jego kancelarii. Dawno temu, u Mata Diiiona. Gościnne wieczory wesołego Mata. Zimny drób, cygara, kufle Tantala. Naprawdę złote serce. Tak, Menton. Wściekł się na mnie tego wieczoru w kręgielni, bo zajechałem mu. Czysty fuks z mojej strony: zboczenie kuli. To stąd ta jego zapiekła niechęć do mnie. Nienawiść od pierwszego wejrzenia. Molly i Floey Diiion trzymające się pod rękę, śmiejące się pod krzakiem bzu. Człowiek zawsze czuje się taki upokorzony, kiedy kobiety są blisko.

Ma wgnieciony bok kapelusza. Pewnie z powozu.

- Przepraszam pana, powiedział pan Bloom zrównując się z nimi. Zatrzymali się.

- Pana kapelusz jest trochę zgnieciony, powiedział pan Bloom, wskazując. John Henry Menton wpatrywał się w niego przez chwilę bez ruchu.

- Tu, pomógł Martin Cunningham, wskazując również. John Henry Menton zdjął kapelusz, wypchnął wklęsnięcie i troskliwie wygładził włosie rękawem marynarki. Ponownie włożył kapelusz na głowę.

- Teraz w porządku, powiedział Martin Cunningham. John Henry Menton skinął głową, przyjmując do wiadomości.

- Dziękuję, powiedział krótko.

Ruszyli w stronę bramy. Pan Bloom, przygnębiony, pozostał kilka kroków w tyle tak, aby nie podsłuchiwać. Martin wykładający prawo. Martin mógłby sobie takiego głupka okręcić, o tak, naokoło małego palca, zanimby się ten obejrzał.

Rybie oczy. Nic nie szkodzi. Może będzie mu przykro potem, kiedy się spostrzeże. Zyskuje się przewagę nad nim w ten sposób.

Dziękuję. Jakże wspaniałomyślni jesteśmy dzisiaj rano.

W SERCU HIBERNIJSKIEJ METROPOLII

PRZED KOLUMNĄ NELSONA TRAMWAJE ZWALNIAŁY, WEKSLOWAŁY, PRZESTAWIAŁY

pałaki, wyruszały w stronę Blackrock, Kingstown i Dalkey, Clonskea, Rathgar i Terenure, parku Palmerstona i górnego Rathmines, Sandymount Green, Rathmi-nes, Ringsend i Sandymount Tower, Harold's Cross. Zachrypiły zawiadowca Dublin United Tramway Company wyrzaskiwał ich odjazd:

- Rathgar i Terenure!

- Jazda, Sandymount Green!

Po lewej i prawej, równolegle dzwoniąc, podzwaniając, piętrowy i zwykły, wyruszyły z krańców swych linii, skręciły na tory wyjazdowe, sunąc równolegle.

- Park Palmerstona, ruszaj!

GOŃCY KRÓLEWSCY

Pod portykiem głównego urzędu pocztowego pucybuci nawoływali i czyścili. Zaparkowane w North Prince Streetjasnoczerwone wozy pocztowe Jego Królewskiej Mości, oznaczone po bokach monarszymi inicjałami E. R., wypełniały się ciskanymi głośno workami pełnymi listów, pocztówek, przesyłek listowych, paczek, poleconych i opłaconych, przeznaczonych dla miasta, wyspy, Anglii i krajów zamorskich.

PANOWIE Z PRASY

Ciężkoobuci wozacy wytaczali głucho dudniące beczki ze składów Prince'a i staczali je na dno barki browaru. Na dno barki browaru staczały się głucho dudniące beczki, które wytaczali ze składów Prince'a ciężkoobuci wozacy.

- Oto jest, powiedział Red Murray. Aleksander Klaucz.

- Proszę wyciąć, dobrze? powiedział pan Bloom, zabiorę to z sobą do redakcji Telegrafu.

Drzwi gabinetu Rutledge'a znowu skrzypnęły. Davy Stephens, drobniuteńki w swej pelerynie i w małym filcowym kapelusiku, kryjącym jego kędziory, wyszedł, niosąc pod peleryną rulon papierów, kurier królewski.

Długie nożyce Reda Murraya wycięły z gazety ogłoszenie czterema równymi ciachnięciami. Nożyce i klej.

- Sam tego dopilnuję w drukarni, powiedział pan Bloom, biorąc kwadratowy wycinek.

- Oczywiście, jeżeli chce wzmianki, powiedział skwapliwie Red Murray z piórem zatknętym za ucho, my możemy mu ją zamieścić.

- Dobrze, powiedział pan Bloom, potakując głową. Wkręcę to. My.

WILLIAM BRAYDEN, ESQUIRE, Z OAKLANDS, SANDYMOUNT

Red Murray dotknął nożycami ramienia Blooma i wyszeptał:

- Brayden.

Pan Bloom odwrócił się i zauważył, że odzwierny w liberii unosi swą ozdobioną napisem czapkę na widok majestatycznej sylwetki, wchodzącej pomiędzy tablice z wiadomościami Tygodnika Człowieka Wolnego i Narodowej Prasy i Dziennika Człowieka Wolnego i Narodowej Prasy. Głucho dudniące beczki Guinnessa. Weszło majestatycznie na schody, poprzedzone przez parasol, uroczyście, brodaobramowane oblicze. Grzbiet okryty gładkim czarnym suknem unosił się przy każdym kroku: grzbiet. Simon Dedalus powiada, że cały jego umysł mieści się w karku. Ma pokłady cielska z tyłu. Tłuste fałdy szyi, tłuszcz, szyja, tłuszcz, szyja.

- Czy nie sądzi pan, że jego oblicze jest podobne do oblicza Zbawiciela? wyszeptał Red Murray.

Drzwi gabinetu Rutledge'a wyszeptały: ii: kiii. Zawsze budują jedne drzwi naprzeciw drugich, żeby wiatr mógł. Wejście. Wyjście.

Zbawiciel: brodaobramowane owalne oblicze: mówiące o zmierzchu Mario, Marto. Holowane przez miecz parasola ku światłom rampy: Mario tenor.

- Albo do oblicza Mario, powiedział pan Bloom.

- Tak, zgodził się Red Murray. Ale mówiono, że Mario jest portretem Zbawiciela.

Jezus Mario z uróżowanymi policzkami, w kaftanie, na wrzecionowatych nogach. Z ręką na sercu. W Marcie.

Przy - ybądź, utracona, Przy - ybądź, ukochana.

PASTORAŁ I PIÓRO

- Jego łaskawość telefonował dwukrotnie dziś rano, powiedział Red Murray z powagą.

Przyglądali się znikającym kolanom, nogom, butom. Szyja. Chłopiec z urzędu telegraficznego wszedł zwinnie, rzucił kopertę na ladę i zawrócił pocztowe pospiesznie ze słowami:

- Człowiek Wolny!

Pan Bloom powiedział powoli:

- Cóż, on także jest jednym z naszych zbawicieli.

Łagodny uśmiech towarzyszył mu, gdy uniósł klapę lady i wyszedł bocznymi drzwiami na ciepłe, ciemne schody i korytarz, po drgających deskach. Ale czy zbawi nakład pisma? Dudnienie, dudnienie.

Pchnął szklane obrotowe drzwi i wszedł, deptając po rozrzuconym papierze pakunkowym. Uliczką pomiędzy turkoczącymi walcami skierował się ku odgrodzonemu biurku Nannettiego.

Z NIEKŁAMANYM ŻALEM DONOSIMY O ZGONIE JEDNEGO Z NAJBARDZIEJ SZANOWANYCH OBYWATELI DUBLINA

Hynes także tu: pewnie sprawozdanie z pogrzebu. Dudnienie. Dud. Dziś rano zwłoki zmarłego pana Patricka Dignama. Maszyny. Zetrą człowieka na atomy, jeżeli go schwycą. Rządzą dziś światem. Jego maszynieria także pracuje zawzięcie. Jak te, gdyby stracono nad nimi panowanie: to fermentuje. Wirują, rozrywają. A ten stary szary szczur rozrywa wszystko, żeby się dostać do środka.

JAK REDAGUJE SIĘ WIELKI DZIENNIK Pan Bloom przystanął za szczupłą sylwetką kierownika, podziwiając lśniące

uczesanie.

To dziwne, że nigdy nie widział swej prawdziwej ojczyzny. Moja ojczyzna Irlandia. Wybrany z College Green. Dmuchał ten pracowity pracuś w swój żagiel, ile tylko miał sił. To te ogłoszenia i wstawki pozwalają na sprzedaż tygodnika, a nie zmurszałe wiadomości dziennika rządowego. Królowa Anna nie żyje. Opublikowano za zezwoleniem zwierzchności w roku tysięcznym i. Posiadłość położona na obszarze Rosenalis, baronii Tinnachinch. Wszystkim zainteresowanym: spis inwentarza zgodny z ustawą i podający wykaz mułów i dzianetów wyeksportowanych z Balliny. Wzmianki przyrodnicze. Humorystyczne rysunki. Cotygodniowa opowieść Phila Blake'a Pat i Byk. Stronica Wujcia Tobiasza dla najmłodszych. Zapytania wiejskich prostaczków. Drogi Panie Redaktorze, jakie jest najlepsze lekarstwo przeciw wzdęciu? Lubiłbym pracować w tym. Nauczysz się wiele, ucząc innych. Kolumna towarzyska. P.S.O. Prawie Same Obrazki. Zgrabni plażowicze na złotym wybrzeżu. Największy balon świata. Uroczystość podwójnych zaślubin sióstr. Dwaj panowie młodzi uśmiechają się serdecznie ku sobie. Także Cuprani, drukarz. Bardziej irlandzki niż Irlandczycy.

Maszyny szczękały na trzy czwarte. Stuk, stuk, stuk. A gdyby został sparaliżowany i nikt nie wiedział, jak je zatrzymać, szczękałyby dalej tak samo, zadrukowując wciąż od nowa, od przodu i tyłu. Ładny bałagan. Potrzebna jest spokojna głowa.

- Więc niech pan to wsadzi do wieczornego wydania, radco, powiedział Hynes.

Wkrótce zaczniesz go tytułować burmistrzem. Powiadają, że popiera go Długi John.

Kierownik, nie odpowiadając, nabazgrał: złożyć, w rogu stronicy i dał znak zecerowi. W milczeniu podał stronę ponad brudną szklaną ścianką.

- W porządku, dziękuję, powiedział Hynes, odchodząc. Pan Bloom stał na jego drodze.

- Jeżeli chce pan podjąć pieniądze, kasjer właśnie idzie na lunch, powiedział, wskazując za siebie palcem.

- A pan podjął? zapytał Hynes.

- Uhm, powiedział pan Blomm. Niech się pan rozejrzy, to go pan jeszcze złapie.

- Dziękuję, mój stary, powiedział Hynes. Naciągnę go i ja. Pospieszył skwapliwie w stronę Dziennika Człowieka Wolnego. Trzy szylingi pożyczyłem mu u Meaghera. Trzy tygodnie. Trzecie przypomnienie.

WIDZIMY AKWIZYTORA PRZY PRACY

Pan Bloom położył swój wycinek na biurku pana Nannettiego.

- Proszę mi wybaczyć, radco, powiedział. To ogłoszenie, widzi pan. Klucz, przypomina pan sobie.

Pan Nannetti przyglądał się przez pewien czas wycinkowi i przytaknął.

- On to chce mieć w lipcu, powiedział pan Bloom.

Nie słyszy tego. Nannan. Stalowe nerwy.

Kierownik drukarni poruszył ołówkiem w stronę wycinka.

- Niech pan zaczeka, powiedział pan Bloom. On chce, żeby to zmieniono. Klucz, widzi pan. On chce mieć dwa klucze ponad tym.

Piekielny harmider robią. Może on rozumie, co ja.

Kierownik odwrócił się, aby wysłuchać cierpliwie, i uniósłszy łokieć zaczął się drapać powoli w zagłębienie pod pachą swej alpakowej marynarki.

- O, tak, powiedział pan Bloom, krzyżując swe wskazujące palce ponad wycinkiem.

Niech zrozumie najpierw to.

Pan Bloom, zerkając w bok znad krzyża, który uczynił, zobaczył ziemistą twarz kierownika, myślę, że ma odrobinę żółtaczki, a poza nim posłuszne szpule, pożerające ogromne taśmy papieru. Szczęk. Szczęk. Całe mile tego nie nawinięte. Co się z tym stanie później? O, owinie się tym mięso, paczki: rozmaicie użyte, tysiąc i jedna rzecz.

Wciskając zręcznie swe słowa w pauzy pośród szczęku, szybko zaczął rysować na podrapanej powierzchni biurka.

DOM KL(A)UCZY

- O, tak, widzi pan. Dwa skrzyżowane klucze tu. Kółko. A tu nazwisko Aleksander Klauz, handel herbatą, winami i spirytualiami. I tak dalej. Lepiej nie uczyć go jego zawodu.

- Sam pan wie, panie radny, dokładnie, czego on chce. A u góry naokoło wielkimi literami: dom kluczy. Widzi pan? Czy myśli pan, że to dobry pomysł?

Kierownik przeniósł swą drapiącą dłoń ku dolnym żebrom i zaczął tam drapać spokojnie.

- Ten pomysł, powiedział pan Bloom, to Dom Kluczy. Wie pan, panie radco, parlament na wyspie Mań. Złośliwa aluzja do samorządu. Turyści, wie pan, z wyspy Mań. Przyciąga oko, widzi pan. Czy może pan to zrobić?

Mógłbym go może zapytać, jak się wymawia to voglio. Ale gdyby nie wiedział, byłoby mu niezręcznie. Lepiej nie.

- Możemy to zrobić, powiedział kierownik. Czy ma pan rysunek?

- Mogę go otrzymać, powiedział pan Bloom. Był zamieszczony w gazecie, w Kilkenny. Tam też ma sklep. Wybiegnę tylko i zapytam go. No więc, może pan to dać, a do tego jeszcze tylko małą wzmiankę, zwracającą uwagę. Wie pan, jak zwykle. Koncesjonowane przedsiębiorstwo najwyższej kategorii. Od dawna odczuwano potrzebę. I tak dalej.

Kierownik zastanawiał się przez chwilę.

- Możemy to zrobić, powiedział. Niech wznawia przez trzy miesiące. Zecer przyniósł mu wiotką szpalnę korekty. Zaczął ją sprawdzać w milczeniu.

Pan Bloom stał obok, słysząc głośne pulsowanie walców, przyglądając się cichym zecerom, stojącym przy kasztach.

ORTOGRAFICZNE

Chcę być pewien, jak to przeliteruje. Gorączka korektorska. Martin Cuning-ham zapomniał dziś rano dać nam swój rebus literowy. To zabawne widzieć, że chwila ma jedno el, a willa dwa el, zdaje się? a smętek leży jak rozcięta gruszka pod murem cmentarza. Cmentarz wsadzony oczywiście z powodu smętku.

Mogłem powiedzieć, kiedy wkładał cylinder. Dziękuję panu. Powinienem być powiedzieć coś o starym kapeluszu albo coś podobnego. Nie, mogłem powiedzieć. Wygląda teraz zupełnie jak nowy. A potem przyjrzeć się jego minie.

Sllt. Najniższy walec najbliższej maszyny wypchnął do przodu swą ruchomą platformę z pierwszą partią złożonego we czworo papieru. Sllt. Prawie ludzkie było to sllt, którym nawoływała, aby zwrócić uwagę. Robi wszystko, co może, aby przemówić. Te drzwi także sllt zaskrzypiały, prosząc, aby je zamknięto. Wszystko przemawia na swój sposób. Sllt.

ZNANY DOSTOJNIK. KOŚCIOŁA OKOLICZNOŚCIOWYM WSPÓŁPRACOWNIKIEM

Kierownik oddał nagłym ruchem szpaltę korekty, mówiąc:

- Zaczekaj. Gdzie jest list arcybiskupa? Ma być przedrukowany w Telegrafie. Gdzie jest jakmutam?

Rozejrzał się wokół pośród swych głośnych, nie odpowiadających maszyn.

- Czy Monks, proszę pana? zapytał głos od strony kaszty zecerskiej.

- Tak. Gdzie jest Monks?

- Monks!

Pan Bloom wziął swój wycinek. Czas się wynieść.

- Pójdę po rysunek, panie Nannetti, powiedział, i wiem, że da mu pan dobre miejsce.

- Monks!

- Tak, proszę pana.

Wznawiać przez trzy miesiące. Trzeba to najpierw rozważyć na zimno. Wszystko jedno, spróbować. Wlepić to na sierpień: dobry pomysł: miesiąc pokazu koni. Balisbridge. Turyści przyjadą na pokaz.

OJCIEC AKTUALNOŚCI

Przeszedł zecernię. Minąwszy starego człowieka, pochylonego, w okularach, w fartuchu. Stary Monks, ojciec aktualności. Masę dziwnych rzeczy musiało przejść przez jego ręce w ciągu tego całego czasu: wzmianki o zgonach, ogłoszenia knajp, przemówienia, skargi rozwodowe, znaleziono topielca. A teraz dożywa ostatnich dni. Rozważny, poważny człowiek, mający trochę grosza odłożonego w kasie oszczędności, powiedziałbym. Żona dobrze gotuje i pierze. Córka szyje na maszynie w saloniku, Joasia prostasia, żadnych przeklętych fochów.

A BYŁO TO ŚWIĘTO PASCHY

Przystanął, aby przyjrzeć się zecerowi, zręcznie segregującemu czcionki. Czyta to najpierw wspak. Szybko to robi. Trzeba mieć trochę wprawy. mangiD kcirtaP. Biedny papa, nad swą księgą Hagady, czytający mi, przesuwający palcem wstecz. Pessah. Na przyszły rok w Jeruzalem. Boże, Boże! Cała ta długa historia o wyprowadzeniu nas z ziemi egipskiej do

domu niewoli alleluia. Shema Israel Adonai Elohenu. Nie, to tamto drugie. A tych dwunastu braci, synów Jakubowych. A to jagnię i kot i pies i kij i woda i rzeźnik a potem anioł śmierci zabija rzeźnika a on zabija wołu a pies zabija kota. Brzmi to trochę niemądrze, póki nie wejrzysz w to głębiej. Oznacza to sprawiedliwość, ale wszyscy zjadają wszystkich. Tym w końcu jest życie. Jak szybko to robi. Wprawa prowadzi do doskonałości. Jakby widział palcami.

Pan Bloom wysunął się spomiędzy szczęśliwych odgłosów przez galeryjkę na podest schodów. Czy teraz pojedę całą drogę tramwajem, ale go może nie zastanę? Lepiej najpierw zadzwonić do niego. Numer? Taki sam jak domu Citrona. Dwadzieścia osiem. Dwadzieścia osiem dwie czwórki.

JESZCZE TYLKO RAZ TO MYDŁO

Zszedł główną klatką schodową budynku. Kto u diabła pobazgrał te wszystkie ściany zapalkami? Wygląda, jakby to robili o zakład. Ciężki oleisty zapach zawsze przy takich urządzeniach. Ciepławy kłajster w sąsiedztwie u Thoma, gdy byłem tam.

Wyjął chusteczkę, żeby wytrzeć nos. Cytrusowocytrynowy? Ach, to mydło, które tam wsunąłem. Jeszcze mi wypadnie z tej kieszeni. Wsunął na powrót chustkę, wyjął mydło i ukrył je, zapiawszy na guzik, w tylnej kieszeni spodni.

Jakich perfum używa twoja żona? Mógłbym jeszcze wrócić do domu tramwajem: po coś, czego zapomniałem. Zobaczyć tylko, nim się ubierze. Nie. Tu. Nie.

Niespodziewany skrzekliwy śmiech dobiegł z redakcji Wieczornego Telegrafu. Wiem, kto to jest. Co się dzieje? Wpadnę na chwilę, żeby zadzwonić. To Ned Lambert.

Wszedł cicho.

ERYN, ZIELONY KLEJNOT SREBRZYSTEGO MORZA

- Duch nadchodzi, wymamrotał miękko, herbatnikowo profesor MacHugh w stronę zakurzonej szyby w oknie.

Pan Dedalus przeniósł spojrzenie z pustego kominka na kpiącą twarz Neda Lamberta i zapytał go kwaśno:

- Bolejący Chryste, czyż nie zapiekłaby cię zazdrość w dupę? Ned Lambert, siedząc na stole, czytał dalej:

- A jeszcze, spójrzcie na meandry pluszczącego strumienia, gdy szemrze w swym łożysku, wachlowany najłżejszymi zefirkami, i płynie, przekomarzając się z kamiennymi przeszkodami, w stronę grzmiących wód błękitnego królestwa Neptuna, pomiędzy omszałymi brzegami, a igra na nim wspaniała blask słońca lub cień rzucany na jego

zadumane tonem przez nawisy konarów olbrzymów leśnych. Co myślisz o tym, Simonie? zapytał ponad krawędzią trzymanej gazety. No co, dobrze powiedziane?

- Miesza napoje, powiedział pan Dedalus.

Ned Lambert śmiejąc się uderzył w leżącą na kolanach gazetę i powtórzył:

- Zadumane tonem i penisy konarów olbrzymów leśnych. Oj, chłopaki! Chłopaki!

- A Ksenofont spoglądał ku Maratonowi, powiedział pan Dedalus, spoglądając ponownie na kominek i okno, a Maraton spoglądał ku morzu.

- To wystarczy, zawołał profesor MacHugh od okna, nie chcę już słyszeć więcej tego.

Połknął półksiężyc herbatnika, który skubał do tej pory, zgłodniały, i zabrał się do herbatnika trzymanego w drugiej ręce.

Dętologia. Tromtadracja. Widzę, że Ned Lambert ofiarował sobie dzień urlopu. Pogrzeb rozwała dzień człowiekowi. Mówią, że ma wpływy. Stary Chatterton, wicekanclerz, jest jego stryjczym dziadkiem czy stryjczym prapradziadkiem. Powiadają, że ma prawie dziewięćdziesiątkę. Wstępniak o jego śmierci jest już pewnie od dawna napisany. Żyje im na złość. Mógłby pierwszy się przejechać. Johnny, ustąp miejsca wujkowi. Czcigodny Hedges Eyre Chatterton. Myślę, że wypisuje mu drżącą ręką parę czeków w dni terminów płatności. Manna z nieba, gdy odwali kitę. Alleluia.

- Jeszcze jeden spazm, powiedział Ned Lambert.

- Co to jest? zapytał pan Bloom.

- Odnaleziony ostatnio fragment Cycerona, odpowiedział profesor Mac-Hugh uroczystym głosem. Nasz ukochany kraj.

KRÓTKO, LECZ TRAFNIE

- Czyj kraj? zapytał prostodusznie pan Bloom.

- Bardzo właściwe zapytanie, powiedział profesor przerywając żucie. Z akcentem na czyj.

- Kraj Dana Dawsona, powiedział pan Dedalus.

- Czy to jest przemówienie, które wygłosił wczoraj wieczorem? zapytał pan Bloom.

Ned Lambert przytaknął.

- Ale proszę posłuchać tego, powiedział.

Klamka uderzyła pana Blooma w krzyż, gdy ktoś pchnął drzwi do środka.

- Proszę o wybaczenie, powiedział J. J. O'Molloy wchodząc. Pan Bloom usunął się zwinnie na bok.
- To ja proszę o pańskie, powiedział.
- Dzień dobry, Jack.
- Wejdz. Wejdz.
- Dzień dobry.
- Jak się masz, Dedalus?
- Dobrze. A ty?

J. J. O'Molloy potrząsnął głową.

SMUTNE

Był najzdolniejszy wśród młodzieży adwokackiej. Stoczył się, biedaczyna. Te gorączkowe wypieki oznaczają koniec człowieka. Byle co go wykończy. Ciekaw jestem, co za wiatr dmie mu w oczy. Kłopoty pieniądze.

- A jeszcze, gdybyśmy się wspięli na zwarte łańcuchy górskich szczytów.
- Świetnie wyglądasz.
- Czy można zobaczyć naczelnego? zapytał J. J. O'Molloy, patrząc w kierunku drzwi w głębi.
- Oczywiście, powiedział profesor MacHugh, zobaczyć i usłyszeć. Jest w swym sanktuarium z Lenehanem.

J. J. O'Molloy podszedł do pochylego pulpitu i zaczął przerzucać stos różowych kartek.

Podupadająca praktyka. Zmarnowany. Stracił serce. Hazard. Długi honorowe. Siał wiatr, zebrał burzę. Kiedyś otrzymywał duże prowizje od D. i T. Fitzgerralda. Peruki na znak, że mają szare komórki. Mózgi na pokaz, jak serce tej figury w Glasnevin. Zdaje mi się, że robi trochę literackiej roboty dla Ekspresu, razem z Gabrielem Conroy. Oczytany facet. Myśleć Crawford rozpoczął w Niezależnym. Śmieszne, jak ci ludzie z prasy wiedzą, skąd wiatr wieje, i zmieniają kierunek, kiedy zwęszą zmianę. Kurki na kościele. Gorąco i zimno jednym tchem. Nie wiadomo nawet, w co uwierzyć. Jedna historyjka prawdziwa, póki nie usłyszysz następnej. Uderzają na siebie z pochylonymi głowami w tych gazetach, a potem wszystko się rozwiewa. Za pan brat już w następnej chwili.

- Ach, posłuchajcie tego, na miłość boską, zaczął błagać Ned Lambert. A jeszcze, gdybyśmy się wspięli na zwarte łańcuchy górskich szczytów...
- Bombastyczne, wtrącił profesor opryskliwie. Dosyć tej rozdmuchanej wiat-rologii.

- Szczytów, ciągnął dalej Ned Lambert, wznoszących się coraz wyżej, abyśmy mogli wykapać nasze dusze, jak gdyby...

- Wykapać jego wargi, powiedział pan Dedalus. Błogosławiony i wiekuisty Boże! Tak? Czy on dostaje coś za to?

- Jak gdyby w nieporównywalnej panoramie albumu widoków Irlandii, niezrównanej, pomimo tak opiewanych jej pierwowzorów w innych chełpliwie wychwalanych krainach, dla prawdziwego piękna gęstych gajów, falujących równin i bujnych pastwisk o wiosennej zieleni, zanurzonych w nadzmysiowej, przeźroczystej jasności naszego łagodnego, tajemniczego irlandzkiego zmierzchu...

JEGO RODZIMY DIALEKT

- Księżyc, powiedział profesor MacHugh. Zapomniał o Hamlecie.

- Przesłaniającego wizję daleką i rozległą w oczekiwaniu lśniącej tarczy księżyca, która rozjarzy się, by opromienić go swą srebrzystą poświatą.

- Och, zawołał pan Dedalus, dając ujście beznadziejnemu westchnieniu, gówno i cebule! Ned, to wystarczy. Życie jest za krótkie.

Zdjął cylinder i, dmuchając niecierpliwie w swój krzaczasty wąs, przeczesał włosy rozczapierzonymi palcami.

Ned Lambert odrzucił na bok gazetę, chichocząc z zadowoleniem. Po chwili ochrypty szczekliwy śmiech wydarł się z nie ogolonego, ukrytego za czarnymi okularami oblicza profesora MacHugh'a.

- Kawka Placuszek! zawołał.

CO POWIEDZIAŁ WETHERUP

Łatwo kpić z tego na zimno, teraz gdy jest wydrukowane, ale połyka się to jak świeży gorący placek. Pracował także w piekarnictwie, prawda? Dlatego nazywają go Kawka Placuszek. W każdym razie wymościł sobie nieźle swoje gniazdko. Córka zaręczona z tym mającym samochód facetem z głównego urzędu podatkowego.

Ładnie to załatwił. Przyjęcia, don. otwarty. Taakie żarcie! Wetherup zawsze to mówił. Droga do nich przez żołądek.

Wewnętrzne drzwi otworzyły się gwałtownie i pojawiło się w nich szkarłatne ptasie oblicze, uwieńczone grzebieniem puszystych włosów. Zuchwałe niebieskie oczy rzuciły im spojrzenie, a ochrypty głos zapytał:

- O co chodzi?

- A oto nadchodzi w swej własnej osobie sam samozwańczy jaśnie pan, powiedział z dostojeństwem profesor MacHugh.
- Odwał się, ty pieprzony pedagogu! powiedział naczelny redaktor na powitanie.
- Chodź, Ned, powiedział pan Dedalus, wkładając kapelusz. Muszę się po tym czegoś napić.
- Napić! zawołał naczelny. Żadnych napojów nie podaje się przed mszą.
- Bardzo słusznie, powiedział pan Dedalus, wychodząc. Chodź, Ned. Ned Lambert ześliznął się ze stołu. Niebieskie oczy naczelnego przesunęły się po twarzy Blooma ocienionej uśmiechem.
- Czy pójdziesz z nami, -Myłeś? zapytał Ned Lambert.

WSPOMINA SIĘ PAMIĘTNE BITWY

- Milicja Północnego Corku! zawołał naczelny, podchodząc do kominka. Zwyciężaliśmy za każdym razem! Północny Cork i hiszpańscy oficerowie!
- Gdzie to było. Myłeś? zapytał Ned Lambert, rzucając pełne namysłu spojrzenie na czubki swoich butów.
- W Ohio! ryknął naczelny.
- Tak było, na Boga, zgodził się Ned Lambert. Wychodząc szepnął do J. J. O'Molloya:
- Początek delirium tremens. Smutny wypadek.
- Ohio! zapiał naczelny wysokim dyszkantem, wybiegającym z jego uniesionej szkarłatnej twarzy. Moje Ohio!
- Doskonały kretyk! powiedział profesor. Długa, krótka i długa.

O, HARFO EOLSKA

Z kieszonki kamizelki wyjął wiązkę włókien do czyszczenia zębów, oderwał kawałek, wsunął zręcznie pomiędzy dwa i dwa swe nie myte zęby i wprawił w drżenie.

- Bingbang, bangbang.

Pan Bloom, widząc, że droga wolna, ruszył ku drzwiom w głębi.

- Tylko na chwileczkę, panie Crawford, powiedział. Chcę tylko zatelefonować w sprawie ogłoszenia. Wszedł.
- Co z tym wstępniakiem na dziś wieczór? zapytał naczelnego profesor MacHugh, kładąc mu silną dłoń na ramieniu.

- W porządku, odpowiedział spokojnie Myłeś Crawford. Nie martw się o nic. Hallo, Jack. W porządku.

- Dzień dobry. Myłeś, powiedział J. J. O'Molloy, upuszczając trzymane w ręce kartki na stos innych. Ten kant kanadyjski idzie dzisiaj? Wewnątrz zaterkotał telefon.

- Dwadzieścia osiem... Nie, dwadzieścia... Dwie czwórki... Tak.

WSKAŹ ZWYCIĘZCĘ

Lenehan wyszedł z gabinetu w głębi, trzymając odbitki Sportu.

- Kto chce pewniaka na Złoty Puchar? zapytał. Sceptre dosiadana przez O. Maddena.

Rzucił odbitki na stół. Wrzaski bosych gazeciarzy w sieni nadbiegły i drzwi otworzyły się gwałtownie.

- Cicho, powiedział Lenehan. Słyszę odstosy głup.

Profesor MacHugh przeszedł pokój i pochwycił za kołnierz wijącego się urwisa, gdy pozostali wypadli z sieni i zbiegli po schodach. Odbitki zaszeleściły w przeciągu i uniosły się miękko w powietrzu błękitnymi skrawkami, a potem opadły na ziemię pod stołem.

- To nie ja, proszę pana. To ten duży chłopak popchnął mnie, proszę pana.

- Wyrzuć go i zamknij drzwi, powiedział naczelny redaktor. Huragan tu wieje. Lenehan zaczął zbierać wycinki z podłogi, sieknąwszy, gdy schylił się po raz drugi.

- Czekamy na dodatek wyścigowy, proszę pana, powiedział chłopiec. To Pat Farrell mnie popchnął, proszę pana.

Wskazał dwie twarze, zaglądające spoza framugi drzwi.

- On, proszę pana.

- Jazda stąd, burknął profesor MacHugh.

Wypchnął szybko chłopca za drzwi i zatrzęsął je.

J. J. O'Molloy przewracał szeleszczące zszywki, pomrukując, poszukując:

- Dalszy ciąg na stronie szóstej, czwarta szpalta.

- Tak... Tu Wieczorny Telegraf, telefonował pan Bloom z gabinetu w głębi. Czy jest szef...? Tak, Telegraf... Dokąd? Aha! Które sale licytacyjne?... Aha! Rozumiem... Dobrze. Złapię go tam.

NASTĘPUJE ZDERZENIE

Gdy odwieszał słuchawkę, dzwonek znowu zaterkotał. Wszedł szybko i zderzył się z Lenehanem, mocującym się z drugim plikiem odbitek.

- Pardon, monsieur, powiedział Lenehan, przytrzymując go przez chwilę i krzywiąc się.
- Moja wina, powiedział Bloom, znosząc jego uścisk. Czy uderzył się pan? Spieszę się.
- Kolano, powiedział Lenehan.

Wykrzywił się komicznie i zaskomlił pocierając kolano.

- Zbyt wiele nagromadzonych anno Domini.
- Przepraszam, powiedział pan Bloom.

Podszedł do drzwi i trzymając je uchylone, zatrzymał się. J. J. O'Molloy przydusił ciężkie stronice. Odgłos dwóch piskliwych głosów i ustnej harmonijki przykucniętych na stopniach gazeciarzy odbił się echem w pustej sieni:

Jesteśmy chłopcy z Wexford, W bój nieśliśmy serce i dłoń.

EXIT BLOOM

- Skoczę tylko na Bachelor's Walk, powiedział pan Bloom, w sprawie tego ogłoszenia Klaucza. Chcę to załatwić. Powiedzieli mi, że jest tam u Diiiona.

Patrzył przez chwilę niezdecydowanie w ich twarze. Naczelny, który, oparłszy się o obramowanie kominka, położył głowę na dłoni, wyciągnął nagle ramię szerokim ruchem.

- Zniknij! powiedział. Świat stoi przed tobą otworem.
- Zaraz wracam, powiedział pan Bloom, wybiegając pospiesznie. J. J. O'Molloy wyjął odbitki z ręki Lenehana i odczytał, rozdzielając je lekkimi dmuchnięciami, nie robiąc uwag.
- Zdobędzie to ogłoszenie, powiedział profesor, spoglądając przez swe ciemne szkła ponad firaneczką. Spójrzcie na tych małych gałganów za nim.
- Pokaż! Gdzie? zawołał Lenehan, podbiegając do okna.

POCHÓD ULICZNY

Obaj uśmiechnęli się ponad firaneczką na widok idących gęsiego gazeciarzy, rozhasanych w ślad za Bloomem; ostatni ciągnął rozkołysany zygzakiem na wietrze drwiący latawiec z ogonem białych kokardek.

- Przyjrzyj się tym małym ulicznikom i ich nagonce na niego, powiedział Lenehan, a zaczniesz wierzyć. O, boki zerwę ze śmiechu! Udaje ten jego chód na platfusach. Małe dziewiątki. Skrada się na palcach.

Karykaturalnym szybkim mazurkiem przeciął pokój posuwicie aż ku kominkowi, gdzie J. J. O'Molloy wsunął odbitki w jego wyczekujące dłonie.

- O co chodzi? zapytał Myłeś Crawford wstrząsnąwszy się. Gdzie poszli tamci dwaj?

- Kto? zapytał profesor, odwracając się. Poszli do Ovalu wypić coś. Paddy Hooper jest tam razem z Jackiem Hallem. Przyjechali wczoraj w nocy.

- No, to chodźmy, powiedział Myłeś Crawford. Gdzie mój kapelusz? Podrygując wszedł do gabinetu w głębi i odrzuciwszy połę marynarki, brzęknął

kluczami w tylnej kieszeni. Potem brzęknęły one w powietrzu i o drzewo, gdy zamykał szufladę biurka.

- Posunął się bardzo, powiedział profesor MacHugh przyciszonym głosem.

- Tak by się wydawało, powiedział J. J. O'Molloy, wyjmując papierośnicę i mrucząc w zamyśleniu, ale nie zawsze jest tak, jak się wydaje. Kto ma nawijęcej zapalek?

FAJKA POKOJU

Podsunał papierosa profesorowi i sam wziął jednego. Lenehan natychmiast potarł zapalną i zapalił im kolejno papierosy. J. J. O'Molloy ponownie otworzył papierośnicę i podsunał ją.

- Dzięki vous, powiedział Lenehan biorąc. Naczelnny wyszedł z gabinetu w słomkowym kapeluszu, nasuniętym krzywo na czoło. Zadeklamował śpiewnie, wskazując surowo profesora MacHugh'a:

Dostojeństwo i chwała skusiły cię, Cesarstwo omamiło twe serce.

Profesor uśmiechnął się, zaciskając długie wargi.

- Ech! Ty pieprzone stare Imperium Rzymskie! powiedział Myłeś Crawford. Wziął papierosa z otwartej papierośnicy. Lenehan, zapalając mu go szybko i z wdziękiem, powiedział:

- Uciszcie się, posłuchajcie mojej najnowszej zagadki!

- Imperium romanum, powiedział łagodnie J. J. O'Molloy. Brzmi szlachetniej niż brytyjskie albo brikstońskie. Słowo to przypomina w jakiś sposób tłuszcz skwierczący w ogniu.

Myłeś Crawford wydmuchnął gwałtownie pierwszy kłębek dymu ku sufitowi.

- Właśnie, powiedział. My jesteśmy tym tłuszczem. Ty i ja jesteśmy tłuszczem w ogniu. Nie mamy nawet szansy, jaką ma kula śnieżna w piekle.

WIELKOŚĆ DAWNEGO RZYMU

- Zaczekaj chwilę, powiedział profesor MacHugh unosząc dwa spokojne szpony. Nie wolno nam się dać zwodzić słowom, brzmieniu słów. Myślmy o Rzymie, imperium, imperialny, imperatywny.

Wysunął wymowne dłonie z postrzępionych, poplamionych mankietów koszuli, przerwał:

- Jakaż była ich cywilizacja? Rozległa, zgadzam się: ale nędzna. Cloacae:

ścieki. Żydzi na pustkowiu i na szczycie góry powiedzieli: Dobrze nam tu. Wybudujmy ołtarz Jehowie. Rzymianin, tak jak Anglik, który postępuje jego śladami, wyładowywał z sobą na każdym nowym brzegu, na jakim udało mu się postawić stopę (na naszym nigdy mu się jej nie udało postawić), wyłącznie swoją kloaczną obsesję. Rozglądał się wokół, ubrany w swą togę, i powiadał: Dobrze nam tu. Wybudujmy watercioset.

- Co zgodnie z tym czynili, powiedział Lenehan. Nasi dawni starożytni przodkowie, jak to czytamy w pierwszym rozdziale Guinnessa, mieli słabość do rwących strumieni.

- Byli oni gentlemenami przyrody, mruknął J. J. O'Molloy. Ale mamy także prawo rzymskie.

- A Poncjusz Piłat jest jego prorokiem, odpowiedział profesor MacHugh.

- Czy znacie tę opowieść o prezesie rachuby Pallesie? zapytał J. J. O'Molloy. Działo się to w czasie przyjęcia w uniwersytecie królewskim. Wszystko szło pięknie...

- Najpierw moja zagadka, powiedział Lenehan. Czy jesteście gotowi? Pan o'Madden Burkę, wysoki w luźnym szarym ubraniu z donegalskiego tweedu, wszedł z sieni. Idący za nim Stefan Dedalus odkrył głowę wchodząc.

- Entrez, mes enfants! zawołał Lenehan.

- Sprowadzam błagalnika, powiedział melodyjnie pan o'Madden Burkę. Młodość prowadzona przez Doświadczenie odwiedza Rozgłos.

- Jak się macie? powiedział naczelny wyciągając rękę. Pana rodzic właśnie odszedł.

??? Lenehan powiedział do wszystkich:

- Cisza! Jaka opera najbardziej przypomina eunucha? Zastanowić się, przemyśleć, myśleć, odpowiedzieć.

Stefan podał kartki maszynopisu, wskazując tytuł i podpis.

- Kto? zapytał naczelny. Kawalek oddarty.

- Pan Garrett Deasy, powiedział Stefan.

- Ten stary narwaniec, powiedział naczelny. Kto to oderwał? Czy przy-piliło go?

Gnany rączy, płomiennym Żaglem, z południa i burzy Wyłania się blady wampir I usta w mych ustach zanurzy.

- Dzień dobry, Stefanie, powiedział profesor podchodząc, by zerknąć im przez ramię. Pryszczycza? Czy zmieniłeś się w... Bykombraterskiego barda.

BURDA W UCZĘSZCZANEJ RESTAURACJI

- Dzień dobry panu, odpowiedział Stefan rumieniąc się. To nie mój list. Pan Garrett Deasy prosił mnie, abym...

- Och, znam go, powiedział Myłeś Crawford, i znałem także jego żonę. Najcholerniejsza stara piekielnica, jaką Bóg kiedykolwiek stworzył. Na Jezusa, miała ona bez wątpienia pryszczycę! Ten wieczór, kiedy cisnęła talerzem zupy w twarz kelnerowi w Gwieździe i Podwiązce. Oho!

Kobieta przyniosła grzech na świat. Dla Heleny, zbiegłej żony Menelaosa, dziesięć lat Grecy. o'Rourke, książę Breffini.

- Czy on jest wdowcem? zapytał Stefan.

- Tak, słomianym, odparł Myłeś Crawford, przebiegając oczyma maszynopis. Konie cesarskie. Habsburg. Irlandczyk uratował mu życie na przedpolach Wiednia. Nie zapominajcie! Maksymilian Kari o'Donnell, graf von Tirconnel w Irlandii. Przysłał teraz swego spadkobiercę, który przywiózł królowi insygnia austriackiego marszałka polnego. Wyniknie tam z tego kiedyś jakiś kłopot. Dzikie gęsi. O tak, za każdym razem. Nie zapominajcie o tym!

- Pytanie, czy on o tym zapomniał? powiedział spokojnie J. J. O'Molloy, bawiąc się przyciskiem w kształcie podkowy. Ratowanie książąt jest niewdzięcznym zajęciem.

Profesor MacHugh zwrócił się ku niemu.

- A jeżeli nie? zapytał.

- Opowiem wam! Jak to było, zaczął Myłeś Crawford. Pewnego dnia żył sobie pewien Węgier...

PRZEGRANE SPRAWY WSPOMINA SIĘ SZLACHETNEGO MARKIZA

- Zawsze byliśmy wierni przegranym sprawom, powiedział profesor. Zwycięstwo równe jest dla nas śmierci intelektu i wyobraźni. Nigdy nie byliśmy wierni zwycięzcom. Służymy im. Nauczam krzykliwego języka łacińskiego. Mówię językiem narodu, dla którego szczytem osiągnięć umysłowych jest maksyma: czas to pieniądz. Dominacja spraw materialnych. Dominus! Pan! A gdzież uduchowanie? Panie Jezu! Lord Salisbury. Otomana w klubie na West End. Ale greka!

KYRIEELEISON!

Świetlany uśmiech rozjaśnił jego czarnookolone oczy i wydłużył długie wargi.

- Greka! powtórzył. Kyrios! Lśniące słowo! Samogłoski, których nie znają Semici ani Saksonowie. Kyrie! Promieniowanie intelektu. Powinienem głosić grekę, język umysłu. Kyrie eleison! Klozetmacherzy i kloakamacherzy nigdy nie staną się panami naszego ducha. Jesteśmy lennymi potomkami katolickiego rycerstwa Europy, które zatонуło pod Trafalgarem, podległymi nie imperium, ale cesarstwu ducha, które poszło na dno wraz z flotą ateńską pod Aegospotamos. Tak, tak. Poszli na dno. Pyrrhus, zwiedziony wyrocznią, uczynił ostatni wysiłek, aby odmienić losy Grecji. Wierny przegranej sprawie.

Odszedł od nich ku oknu.

- Zawsze szli do bitwy, powiedział pan o'Madden Burke bezbarwnym głosem, ale zawsze ginęli.

- Buuhuuu! zatkał cicho Lenehan. Zawdzięczając to cegle, którą dostał pod koniec przedstawienia. Biedny, biedny, biedny Pyrrhus! Później wyszeptał Stefanowi do ucha:

LIMERYK LENEHANA

MacHugh, stawny mąż z Hindustanu,

Nosi szkła o odcieniu hebanu,

Lecz cóż z nich, mili moi,

Gdy mu w oczach się dwoi

Z pewnych przyczyn, mnie znanych i panu.

W żałobie po Salustiuszu, powiada Mulligan. Którego matka ohydnie umarła. Myśleć Crawford wcisnął kartki do bocznej kieszeni.

- Nada się, powiedział. Potem przeczytam resztę. Nada się. Lenehan wyciągnął ręce, protestując.

- A moja zagadka! powiedział. Jaka opera przypomina eunucha?

- Opera? Na podobnej do oblicza sfinksa twarzy pana o'Madden Burke zagadka odbiła się zagadkowo. Lenehan obwieścił wesoło:

- Róża Kast (r) ylii. Rozumiecie? Kastr-ylii. Ha! Łagodnie szturchnął pana o'Maddena Burke'a w śledzionę. Pan o'Madden Burke cofnął się z wdziękiem, opierając się na parasolu i udając, że łapie powietrze.

- Ratunku! westchnął. Czuję silną słabość.

Lenehan, unosząc się na palcach, zaczął szybko wachlować mu twarz szeleszczącymi odbitkami.

Profesor, zawróciwszy obok kartotek, przeciągnął dłonią po luźno zwisających krawatach Stefana i pana o'Maddena Burke'a.

- Paryż, dawniejszy i dzisiejszy, powiedział. Wyglądacie jak komunardzi.

- Jak ci faceci, którzy wysadzili Bastylię, powiedział J. J. O'Molloy z cichą drwiną. A może to wy obaj zastrzeliliście generałgubernatora Finlandii? Wyglądacie, jakbyście dokonali tego czynu. Generał Bobrykow.

OMNIUM PO TROCHUM

- Myśleliśmy tylko o tym, powiedział Stefan.

- Spotkanie wszystkich talentów, powiedział Myeś Crawford. Prawo, klasycy...

- Wyścigi, wtrącił Lenehan.

- Literatura, prasa.

- Gdyby Bloom tu był, powiedział profesor, mielibyśmy także szlachetną sztukę reklamy.

- I Madame Bloom, dodał o'Madden Burke. Muza śpiewu. Ulubienica Dublina.

Lenehan zakasłał głośno. -

- A hmmm! powiedział bardzo miękko. Och, świeczę trochę powietrza! Zaziębłem się w parku. Furtka była otwarta.

PAN TO POTRAFI ZROBIĆ

Naczelný położył nerwową dłoń na ramieniu Stefana.

- Chcę, żeby pan napisał coś dla mnie, powiedział. Coś z zębem. Pan to potrafi zrobić. Widzę to w pańskiej twarzy. W księdze młodości...

Widzę to w pańskiej twarzy. Widzę to w pańskim oku. Leniwy ospały mały kombinator.

- Pryszczyca! wykrzyknął naczelný wzgardliwie i obelżywie. Wielkie narodowe zebranie w Borris-in-Ossory. Wszystko brednie! Straszenie publiczności! Dać im coś z zębem. Wciągnąć w to nas wszystkich i niech będzie przeklęty ten, komu się o nie spodoba. Ojciec Syn i Duch Święty i Kłocuś M'Carthy.

- Wszyscy możemy dostarczyć stawy duchowej, powiedział o'Madden Burke. Stefan uniósł oczy ku zuchwałemu niedbałemu spojrzeniu.

- On chce ciebie wciągnąć do szajki dziennikarskiej, powiedział J. J. O'Molloy.

WIELKI GALLAHER

- Pan to potrafi zrobić, powtórzył Myłeś Crawford, zaciskając dłoń z emfazą. Zaczekajcie chwilkę. Sparalizujemy Europę, jak powiadał Ignatius Gałlaher, kiedy wałęsał się, pracując jako marker przy bilardzie w hotelu Ciarence. Gałlaher to wzór dziennikarza dla was. To było pióro. Wiecie, jak sobie wyrobił markę? Powiem wam. Była to najzręczniejsza ze znanych robót dziennikarskich. Było to w osiemdziesiątym pierwszym, szóstego maja, w okresie niezwykłych, morderstwa w Phoenix parku, przed pańskim urodzeniem, jak sądzę. Pokażę wam.

Przepchał się pomiędzy nimi ku kartotekom.

- Spójrzcie tu, powiedział, odwracając się. New York Worid zadepeszował, prosząc o specjalny artykuł. Przypominacie sobie te czasy? Profesor MacHugh przytaknął.

- New York Worid, powiedział naczelny, zsuwając w podnieceniu swój słomkowy kapelusz na tył głowy. Gdzie się to zdarzyło. Tim Kelly, chcę powiedzieć Kavanagh, Joe Brady i wszyscy pozostali. Gdzie Kozia Skórka powoził. Całą drogę, rozumiecie?

- Kozia Skórka, powiedział o'Madden Burkę. Fitzharris. Powiadają, że ma zajazd dorożkarski, tam, obok mostu Butt. Holohan mi powiedział. Znacie Holohana?

- Hop i wypij pan, tak? powiedział Myłeś Crawford.

- A biedny Gumley też tam jest, tak mi powiedział, pilnuje kamieni brukowych dla miasta. Nocny strażnik. Stefan odwrócił się ze zdumieniem.

- Gumley? powiedział. Co pan mówi? To przyjaciel mojego ojca, prawda?

- Mniejsza o Gumleya, zawołał Myłeś Crawford ze złością. Niech Gumley pilnuje kamieni, dogląda, żeby mu nie uciekły. Spójrzcie tu. Co zrobił Ignatius Gałlaher. Powiem wam. Genialne natchnienie. Natychmiast zadepeszował. Czy macie Tygodnik Człowieka Wolnego z 17 marca? Dobrze. Czy macie?

Zaczął przewracać do tyłu stronicę rocznika i uderzył palcem w pewien punkt.

- Weźcie stronę czwartą, ogłoszenie kawy Bransome'a, na przykład. Czy macie? Dobrze.

Telefon zaterkotał.

GŁOS Z DALEKA

- Ja odpowiem, powiedział profesor, podchodząc.

- B jest bramą parkową. Dobrze.

Jego palec poderwał się i uderzał w punkt po punkcie, dygocząc.

- T jest rezydencją wicekróla, C miejscem, gdzie popełniono morderstwo. K bramą Knockmaroon.

Obwiśła skóra jego szyi trzęsła się jak kogucie korale. Żle nakrochmalony gors koszuli wysunął się. Szorstkim ruchem wepchnął go pod kamizelkę.

- Hallo? Tu Wieczorny Telegraf... Hallo?... Kto mówi? Tak... Tak... Tak...

- Od F do P prowadzi droga, którą Kozia Skórka powoził, aby uzyskać alibi. Inchicore, Roundtown, Windy Arbour, Palmerston Park, Ranelagh. F.A.B.P. Zrozumieliście? X oznacza gospodę Davy'ego na początku Upper Leeson Street.

Profesor podszedł do drzwi w głębi.

- Bloom przy telefonie, powiedział.

- Powiedz mu, niech idzie do diabła, powiedział naczelny bez wahania. X oznacza gospodę Burke'a, widzicie?

SPRYTNE, BARDZO

- Sprytne, powiedział Lenehan. Bardzo.

- Podał im to wszystko jak na talerzu, powiedział Myłeś Crawford, całą tę krwawą historię.

Nocna zmora, z której nigdy się nie przebudzisz.

- Widziałem to, powiedział naczelny z dumą. Byłem przy tym obecny. Dick Adams, najbardziej gołębiosercy pieprzony mieszkaniec Corku z wszystkich, w których kiedykolwiek Bóg tchnął życie, i ja.

Lenehan skłonił się niewidzialnej powietrznej postaci, obwieszczając:

- Kobyła ma mały bok. Anna pana panna.

- Historia! zawołał Myłeś Crawford. Stara kobieta z Prince's Street była tam pierwsza. Było z tego wiele płaczu i zgrzytania zębami. Z ogłoszenia. Gregor Grey zrobił do tego rysunek. To go dźwignęło na nogi. A Paddy Ho-oper obrobił wtedy Tay Paya, który wziął go do Gwiazdy. Teraz pokumał się z Blumenfeldem. Oto prasa. Oto talent. Pyatt! On był tatą ich wszystkich.

- Ojcem dech zapierającej żurnalistyki, potwierdził Lenehan, i szwagrem Chrisa Callinana.

- Hallo?... Czy jest pan tam?... Tak, jest tu nadal. Niech pan tu przyjdzie.

- Gdzie znajdziecie teraz takiego dziennikarza, co? zawołał naczelny. Cisnął strony.

- Chardzo bytre, powiedział Lenehan do pana o'Maddena Burke'a.

- Bardzo zmyślne, powiedział pan o'Madden Burkę. Profesor MacHugh wyszedł z gabinetu w głębi.

- Mówiąc o niezwykłych, powiedział, czy zauważyliście, że pewni domokrażcy zostali postawieni przed sędzią okręgowym...

- O tak, powiedział skwapliwie J. J. O'Molloy. Lady Dudley powracała do domu przez park, chcąc obejrzeć drzewa przewrócone przez zeszłoroczny cyklon, i przyszło jej do głowy, że powinna nabyć widoczek Dublina. Okazał się on pamiątkową pocztówką na cześć Joe Brady'ego czy Numeru Pierwszego, czy też Koziej Skórki. Tuż przed rezydencją wicekróla, wyobraźcie sobie!

- Dziś nadają się już tylko do działu drobiazgów, powiedział Myleś Crawford.

Co tam! Prasa i palestra! Gdzież macie teraz na ławie obrońców takich facetów jak

Whiteside, jak Isaac Butt, jak srebrnousty o'Hagan? Co? Ach, pieprzona bzdura!

Wszystkich do sracza publicznego!

Jego usta poruszały się niemo nerwowymi skurczami pogardy. Czy którakolwiek chciałaby być całowaną przez te usta? Skąd wiesz? Dlaczego

więc to napisałeś?

RYMY I ROZUMY

Usta, chusta. Czy usta są chustą w jakiś sposób? Albo chusta ustami? Muszą być. Chusta, pusta, tłusta, chlusta. Rymy: dwaj ludzie ubrani podobnie, wyglądający podobnie, para za parą.

..... la tua pace

..... che parlar ti piace

.mentre che il vento, come fa, si tace.

Zobaczył je, idące trójkami, dziewczęta nadchodzące w zieleni, w różowym, w rdzawym, okręcające się per l'aer perso w fiolecie, w purpurze, quella pacifica oriafiama, w złocie złocistych płomieni, di rimirar f e piu ardenti. Ale ja starcy, pokutnicy, ołowianostopi, przyciemnieni nocą: usta chusta: grób ślub.

- Mów tylko w swoim imieniu, powiedział pan O'Madden Burkę.

NA DZIŚ WYSTARCZY

J. J. O'Molloy, uśmiechając się blado, podjął wyzwanie.

- Mój drogi Mylesie, powiedział, odrzucając papierosa, nadałeś fałszywe znaczenie moim słowom. Nie bronię, jak mi w tej chwili doradzono, tego trzeciego zawodu, qua zawodu, ale twoje nogi z Cork poniosły cię. Dlaczego nie przytoczyć także Henry Grattana, Flooda, Demostenesa i Edmunda Burke? Ignatiusa Galla-hera wszyscy znamy, a także jego szefa z Chapelizod, Harmswortha z groszowej prasy i jego amerykańskiego kuzyna z rynsztokowej szmaty Bowery, żeby już nie wymieniać Gazetki Paddy Kelly'ego, Zdarzeń Puego i naszego czujnego przyjaciela Orla Skibereenu. Dlaczego cytować mistrza sądowej wymowy, takiego jak Whiteside? Na co dzień wystarczy nam ta oto gazeta.

ŁĄCZY Z DAWNO PRZEMINIONYMI DNIAМИ

- Grattan i Flood pisywali do tego właśnie dziennika, wrzasnął mu w twarz naczelny. Irlandzcy ochotnicy. I gdzież jesteś teraz? Założony w roku 1763. Dr Lucas. Kogo masz teraz podobnego do Johna Philpota Currana? Ha!

- No, powiedział J. J. O'Molloy, na przykład, radca koronny Bushe.

- Bushe? powiedział naczelny. No, tak. Bushe, tak. Ma domieszkę tego we krwi. Kendal Bushe, to znaczy, mam na myśli Seymoura Bushe.

- Już dawno byłby sędzią, powiedział profesor, gdyby nie... Ale mniejsza o to.

J. J. O'Molloy zwrócił się ku Stefanowi, mówiąc spokojnie i powoli:

- Sądzę, że jeden z najdoskonalej wygładzonych okresów, jaki kiedykolwiek udało mi się w życiu usłyszeć, padł z ust Seymoura Bushe. Było to podczas tej sprawy o bratobójstwo, sprawy morderstwa Chiłdsa. Bushe bronił go.

/ do przedsionka mego ucha wsączył.

A, nawiasem mówiąc, jakże on to odkrył? Umarł we śnie. Albo ta druga historia o bydlęciu o dwu grzbietach?

- Cóż to było? zapytał profesor.

ITALIA, MAGISTRA ARTIUM

- Mówił o prawie konieczności posiadania dowodów, powiedział J. J. O'Molloy, o rzymskiej sprawiedliwości, przeciwstawnej wcześniejszemu kodeksowi Mojżeszowemu, lex talionis. I powołał się na Mojżesza Michała Anioła w Watykanie.

- Ach.

- Kilka dobrze dobranych słów, obwieścił Lenehan. Cisza!

Pauza. J. J. O'Molloy wyjął papierośnicę.

Niepotrzebna przerwa. Coś zupełnie zwykłego.

Wysłannik wyjął, zastanawiając się, pudełko zapalek i zapalił cygaro.

Od owego czasu często myślałem o tej dziwnej chwili, o tym, że owo niewielkie wydarzenie, samo w sobie nic nie znaczące, to zapalenie zapalniczki, zadecydowało o przebiegu całego dalszego życia nas obojga.

107

WYGŁADZONY OKRES

J. J. O'Molloy podjął, nadając kształt poszczególnym wyrazom:

- Powiedział o tym: Ów kamienny wizerunek zastygłej pieśni, rogaty i straszliwy boski kształt człowieczy, ów wiekuisty symbol mądrości i proroctwa, który, jeśli wyobraźnia i dłań rzeźbiarza wyryły w marmurze to, co przekształcało duszę lub duszę przekształca i zasługuje, by żyć, zasługuje, by żyć.

Jego szczupła dłoń podkreśliła wdzięcznym gestem echo i spadek.

- Świetne! powiedział natychmiast Myles Cawford.

- Boskie natchnienie, powiedział pan o'Madden Burke.

- Podobało ci się? zapytał J. J. O'Molloy Stefana.

Stefan, z krwią rozgrzaną urodą mowy i gestu, zarumienił się. Wziął papierosa z papierosnicy. J. J. O'Molloy podsunął papierosnicę Mylesowi Cawfordowi. Jak poprzednio, Lenehan zapalił im 'papierosy i wziął swój łup mówiąc:

- Dziękibus bardzobus. .

CZŁOWIEK O NAJWYŻSZYCH WARTOŚCIACH MORALNYCH

- Profesor Magennis mówił mi o panu, powiedział J. J. O'Molloy do Stefana. Co pan naprawdę sądzi o tej hermetycznej bandzie poetów Opalu i Milczenia: o A. E., mistrzowskim mistyku? Ta kobieta Blavatsky rozpoczęła to. Była to nielecha stara cwaniara. A. E., powiedział jakiemuś jankeskiemu reportażyście, że przyszedł pan do niego wcześniej nad ranem, aby wypytywać go o pokłady świadomości. Magennis sądzi, że chciał pan sobie zakpić z A. E. Magennis jest człowiekiem o najwyższych wartościach moralnych.

Mówił o mnie. Co powiedział? Co powiedział? Co powiedział o mnie? Nie pytaj.

- Nie, dziękuję, powiedział profesor MacHugh, odsuwając papierosnicę. Zaczekajcie chwilę. Dajcie mi coś powiedzieć. Największym popisem oratorskim, jaki udało mi się kiedykolwiek usłyszeć, było przemówienie Johna F. Taylora na posiedzeniu uniwersyteckiego towarzystwa historycznego. Pan sędzia Fitzgibbon, obecny przewodniczący sądu apelacyjnego,

przemawiał na temat rozprawy (nowatorskiej wówczas), zalecającej wskrzeszenie języka irlandzkiego.

Zwrócił się ku Mylesowi Crawfordowi i powiedział:

- Znasz Geralda Fitzgibbona. Możesz więc sobie wyobrazić styl jego wypowiedzi.
- Chodzą pogłoski, powiedział J. J. O'Molloy, że zasiada on u boku Tima Healy'ego w komisji administracyjnej Trinity College.
- Zasiada u boku słodkiego stworzenia w dziecinnej sukieneczce, powiedział Myles Crawford. Wal dalej. Więc?
- Zważcie, że było to przemówienie skończonego oratora, powiedział profesor, pełne uprzejmej wyniosłości i wylewające w nieskazitelnej wymowie nie wściekłość, lecz wzgardę pysznego człowieka na nowy ruch. Był to wówczas nowy ruch. Byliśmy słabi i dlatego bezwartościowi.

Zacisnął na chwilę swe długie, wąskie wargi, lecz pragnąc ciągnąć dalej, uniósł szerokim łukiem rękę ku okularom i, lekko dotknąwszy drżącym kciukiem i czwartym palcem czarnej oprawy, nastawił je na inną ostrość.

IMPROMPTU

Zwykłym głosem zwrócił się do J. J. O'Molloya:

- Taylor przybył tam, jak pan zapewne wie, z łoża boleści. Nie wierzę, aby przygotował sobie uprzednio przemówienie, bo na sali nie było nawet stenografa. Jego ciemną, wychudzoną twarz otaczała zmierzwiona broda. Szyję miał luźno okręconą szalikiem i wyglądał (choć nie był nim) jak człowiek umierający.

Jego spojrzenie przesunęło się natychmiast, choć powoli, od twarzy J. J. O'Molloya ku twarzy Stefana, a potem opadło ku ziemi, poszukując. Nie nakrochmalony miękki kołnierzyk koszuli ukazał się spoza pochylonej głowy, przybrudzony rzadkimi włosami. Nadal poszukując, powiedział:

- Gdy Fitzgibbon zakończył przemówienie, John F. Taylor wstał, by odpowiedzieć. Jeśli sobie dobrze przypominam, słowa jego brzmiały w skrócie następująco.

Zdecydowanie uniósł głowę. Oczy raz jeszcze zapatrzyły się w głąb. Bezmyślne skorupiaki zaczęły pływać tam i na powrót w wielkich soczewkach, poszukując wyjścia.

Rozpoczął:

- Panie przewodniczący, panie i panowie: Z wielkim podziwem wysłuchałem uwag, skierowanych przed chwilą przez mego uczonego przyjaciela do młodzieży Irlandii. Wydawało mi się, że zostałem przeniesiony do kraju odległego od tego kraju i do wieku

odległego od tego wieku; że jestem w starożytnym Egipcie i słucham przemówienia, które jeden z arcykapłanów tej krainy skierował do młodocianego Mojżesza.

Słuchacze, by lepiej słyszeć, trzymali nieruchomo papierosy, których dym unosił się delikatnymi gałązkami, rozkwitającymi wraz z jego słowami. / niechaj nasze dymy kręte. Szlachetne słowa nadchodzą. Uważaj. Czy i ty mógłbyś tego spróbować?

- / wydało mi się, że słyszę głos owego egipskiego arcykapłana, brzmiący z wysoka podobną do tej wyniosłością i podobną pychą. Usłyszałem jego słowa i znaczenie ich zostało mi objawione.

Z OJCÓW KOŚCIOŁA

Zostało mi objawione że bywają dobre te rzeczy które skażone bywają bo tylko rzeczy najlepsze lub takie które nie są dobre nie ulegają skażeniu. A, niech cię! To święty Augustyn.

- Czemuż wy, żydzi, nie przyjmujecie naszej kultury, naszej wiary i naszej mowy? Jesteście plemieniem koczujących pasterzy, my jesteśmy potężnym narodem. Nie macie miast ni bogactw: nasze miasta są ulami rodzaju człowieczego, a nasze galery, triremy i quadriremy, wyposażone dobrami wszelakiego rodzaju, prują wody całego poznanego świata. Wynurzyliście się dopiero niedawno z pierwotnych warunków: my mamy literaturę, stan kapłański, odwieczną historię i państwowość.

Nil.

Dziecko, mężczyzna, wizerunek.

Nad brzegiem Nilu klękają matkimarie: koszyk z sitowia: mąż zręczny w boju:

kamiennorogi, kamiennobrody, serce z kamienia.

- Zanosicie modły do podrzędnego, ciemnego bóstwa: nasze świątynie, majesta-i rczne i tajemnicze, są siedzibami Izydy i Ozyrysa, Horsa i Ammona Ra. Waszą jest niewola, zgroza i pokora: naszymi gromy i morza. Izrael słaby jest i nieliczne jest jego potomstwo. Egipt ma nieprzeliczone zastępy i straszliwe są jego ramiona. Włóczęgami i najmitami was zwa: świat drży na dźwięk naszego imienia.

Bezgłówna czkawka, wywołana głodem, przerwała jego przemówienie. Odważnie zwalczył ją, unosząc głos:

- Lecz, panie i panowie, gdyby młodociany Mojżesz usłuchał i przyjął ów pogląd na życie, gdyby skłonił swą głowę, skłonił swą wolę i skłonił swego ducha przed tym zuchwałym ostrzeżeniem, nie wyprowadziłby nigdy narodu wybranego z domu niewoli ani nie poszedłby wiedziony za dnia słupem obłoku. Nie rozmawiałby nigdy z Wiekuistym pośród błyskawic na szczycie Synaju ani nie zszedłby stamtąd z blaskiem natchnienia na obliczu, trzymając w ramionach tablice praw, wyrytych w języku wygnańców w .

Urwał i spojrzał na nich, radując się milczeniem.

ZŁOWIESZCZE - DLA NIEGO

J. J. O'Molloy powiedział nie bez żalu:

- A jednak zmarł nie wszedłszy do ziemi obiecanej.
- Nagły-choć-pochodzący-z-przewlekłej-choroby-przedtem-wykrztuszony--zgon, powiedział Lenehan. I mając wielką przyszłość za sobą.

Usłyszeli gromadę bosych stóp, biegnących wzdłuż sieni i tupiących na schodach.

- To jest krasomówstwo, powiedział profesor, niezaprzeczalne. Przemięło z wiatrem. Zastępy Mullaghmastu i Tary królów. Całe mile uszu przedsionków. Słowa trybuna zagłuszone wyciem i rozpędzone na cztery wiatry. Lud znajdował schronienie w obrębie jego głosu. Martwy hałas. Akazyjskie kroniki wszystkiego, co kiedykolwiek gdziekolwiek jakkolwiek się działo. Kochajcie go i wysławiajcie: ja już nie. Mam pieniądze.

- Panowie, powiedział Stefan. Jako następny punkt porządku dziennego chciałbym zaproponować, aby izba odroczyła dalszy ciąg posiedzenia.

- Wprawiasz mnie w osłupienie. Czy nie jest to przypadkiem francuski komplement? powiedział pan o'Madden Burkę. Jest to pora, jako mi się zda, gdy dzban wina, by rzecz metaforycznie, najbardziej bywa wdzięczny w onej starożytnej gospodzie.

- Aby tak się stało, niniejszym zostaje mocno postanowione. Każdy, kto skłania się ku temu, niechaj wyrzeczy tak, obwieścił Lenehan. Kto przeciw, nie. Oznajmuję, że wniosek przeszedł. Do której, ściśle biorąc, pijackiej budy?... Głosuję za Mooneyem!

Poprowadził, upominając:

- Twardo odmówimy picia mocnych napojów, czyż nie tak? Tak, nie tak. W żaden sposób.

Pan o'Madden Burkę, idąc tuż za nim, powiedział, łącząc słowa z pchnięciem parasola:

- Naprzód, Macduffie!

- Niedaleko pada jabłko od jabłoni! zawołał naczelnny, uderzając Stefana po ramieniu. Idźmy. Gdzie są te przeklęte klucze?

Zaczął grzebać w kieszeni, wyciągając pogniecione kartki maszynopisu.

- Pyszczyca. Wiem. To się nada. To pójdzie. Gdzież one są? Nada się. Wcisnął kartki na powrót i wszedł do gabinetu w głębi.

MIEJMY NADZIEJĘ

J. J. O'Molloy, nim wszedł tam za nim, powiedział cicho do Stefana:

- Mam nadzieję, że dożyjesz chwili, gdy zobaczysz to wydrukowane. Chwileczkę, Myśleś.

Wszedł do gabinetu w głębi, zamykając za sobą drzwi.

- Chodź, Stefanie, powiedział profesor. To doskonałe, prawda? mieści w sobie proroczą wizję. Fuit Ilium! Zburzenie wietrznej Troi. Królestwa tego świata. Władcy Śródziemnego Morza są dziś fellachami.

Pierwszy gazeciarz zbiegł tupiąc ze schodów tuż za ich plecami i wypadł na ulicę, wrzeszcząc:

- Nadzwyczajny wyścigowy! Dublin. Muszę się wiele, wiele nauczyć. Skręcili w lewo, wzdłuż Abbey Strett.

- Ja też mam wizję, powiedział Stefan.

- Tak, powiedział profesor, podskoczywszy, by iść w nogę. Crawford nas dopędzi.

Inny gazeciarz śmignął obok nich i wrzasnął biegnąc:

- Nadzwyczajny wyścigowy!

DROGI DRĘTWY DUBLIN

Dublińczycy.

- Dwie dublińskie dziewice, powiedział Stefan, podstarzałe i pobożne, przeżyły pięćdziesiąt i pięćdziesiąt trzy lata na Fumbally's Lane.

- Gdzie to jest? zapytał profesor.

- Niedaleko Blackpitts.

Wilgotna noc w lepkich oparach głodu. Oparta o mur. Twarz połyskująca blado spod barchanowej chustki. Gwałtowne serca. Akazyjskie kroniki. Prędzej, kocha-siu!

Dalej. Zdobądźmy się na to. Niech stanie się życie.

- Chcą one zobaczyć panoramę Dublina z wysokości kolumny Nelsona. Zaoszczędziły trzy szylingi i dziesięć pensów w skarbonce kształtu blaszanej czerwonej skrzynki do listów. Wytrząsają stamtąd trzypensówki, sześć-pensówkę i wyluskują pensy po ostrzu noża. Dwa szylingi i trzy pensy w srebrze i jeden szyling i siedem pensów w miedziakach. Wkładają czepki i najlepsze suknie i zabierają z sobą parasolki, obawiając się, że zaczną padać deszcz.

- Panny mądre, powiedział profesor MacHugh.

ŻYCIE BEZ OSŁONEK

Za szylinga i cztery pensy kupują salceson i cztery naleśniki z serem w restauracji w North City przy Mariborough Street, od panny Kate Collins, właścicielki... Zakupują dwadzieścia cztery dojrzałe morele od dziewczynki u podnóża kolumny Nelsona, aby ugasić pragnienie, wywołane salcesonem. Dają dwie trzypensówki panu przy kołowrocie u drzwi i zaczynają wspinać się powoli po kręconych schodach, chrząkając, dodając sobie nawzajem odwagi, lękając się mroku, dysząc, pytając jedna drugą, czy niesie salceson, chwając Boga i Najświętszą Pannę, grożąc, że zejda, zerkając przez szczeliny. Chwała niechaj będzie Panu. Nie miały pojęcia, że to tak wysoko.

Ich nazwiska brzmią: Annę Kearns i Florence MacCabe. Annę Kearns ma lumbago i naciera się przeciw niemu wodą z Lourdes, ofiarowaną jej przez pewną damę, która otrzymała pełną butelkę od jednego z braci zakonu Męki Pańskiej. Florence MacCabe raczy się nóżką wieprzową i butelką dubeltowego piwa podczas każdej sobotniej kolacji.

- Antyteza, powiedział profesor, potaknąwszy dwukrotnie. Przeczyste dziewice. Widzę je. Cóż zatrzymuje naszego przyjaciela?

Odwrócił się.

Stado biegnących gazeciarzy zbiegło pędem po schodach, rozbiegając się we wszystkich kierunkach, wrzeszcząc, trzepocząc białymi gazetami. Za nimi ukazał się na stopniach Myleś Crawford, w kapeluszu okalającym jak aureola jego szkarłatną twarz, rozmawiając z J. J. O'Molloyem.

- Chodźcie, zawołał profesor, machnąwszy ręką. Ruszył ponownie u boku Stefana.

POWRÓT BLOOMA

- Tak, powiedział. Widzę je.

Pan Bloom, bez tchu, schwytany w wir szalejących gazeciarzy niedaleko redakcji Irlandzkiego Katolika i Dublińskiego Pensowego Dziennika, zawołał:

- Panie Crawford! Chwileczkę!

- Telegraf. Dodatek wyścigowy!

- O co chodzi? zapytał Myleś Crawford, cofając się o krok. Gazeciarz wrzasnął panu Bloomowi w twarz:

- Straszna tragedia w Rathmines! Dziecko nadęte miechem!

SPOTKANIE Z NACZELNYM REDAKTOREM

- Chodzi tylko o to ogłoszenie, powiedział pan Bloom, przepychając się ku stopniom, sapiąc i wyciągając z kieszeni wycinek. Rozmawiałem przed chwilą z panem Klauczem. Mówi, że da dwumiesięczne wznowienie. Potem zobaczy. Ale chce wzmianki zwracającej uwagę także w

Telegrafie, do sobotniego różowego wydania. I chce, jeżeli nie jest jeszcze za późno, żeby była taka, jak powiedziałem radcy Nannettiemu, że jest w Ludzie Kilkenny. Mogę to otrzymać w bibliotece narodowej. Dom kluczy, rozumie pan? Jego nazwisko jest Klauetz. To gra słów z nazwiska. Ale właściwie przyrzekł już, że da wznowienie. Ale chce choć trochę to rozdmuchać. Co mam mu powiedzieć, panie Crawford?

P. M. D.

- Czy powie mu pan, żeby mnie pocałował w dupę? rzekł Myles Crawford, wznosząc ramiona z emfazą. Niech mu pan to powie prosto z mostu.

Trochę nerwowo. Uwaga na szkwały. Wszyscy idą się napić. Ramię w ramię. Marynarska czapka Lenehana pochylona po jałmużnę. Przypodchlebia się, jak zwykle. Ciekaw jestem, czy ten młody Dedalus jest duszą tego? Ma dzisiaj na nogach dobrą parę butów. Ostatnim razem, kiedy go widziałem, było mu widać pięty. Musiał iść gdzieś przez błoto. Nieuważny facet. Cóż on robił w Irishtown?

- No, powiedział pan Bloom, spoglądając znowu na naczelnego, jeżeli uda mi się dostać rysunek, myślę, że będzie to warte małej wzmianki. On da to ogłoszenie, myślę. Powiem mu...

P. M. K. I. D.

- Może pocałować moją królewską irlandzką dupę, zawołał głośno Myles Crawford przez ramię. W każdej chwili, kiedy zechce, niech mu pan powie.

Podczas gdy bliski uśmiechu pan Bloom stał, ważąc ten problem, Crawford odszedł podrygując.

SZUKANIE WIATRU W POLU

- Nulla bona, Jack, powiedział unosząc dłoń do podbródka. Jestem zarżnięty potąd. Sam jestem przyciśnięty. Nie dalej jak w zeszłym tygodniu szukałem faceta, który by za mnie poręczył. Musisz przyjąć dobrą wolę za uczynek. Przykro mi, Jack. Całym sercem, jeżeli mi wiatr coś przywieje.

J. J. O'Molloyowi wydłużyła się twarz i ruszył dalej w milczeniu. Dopędzili innych i poszli ramię w ramię z nimi.

- A kiedy zjadły salceson i chleb i otarły swych dwadzieścia palców w papier, w który owinięty był chleb, zbliżyły się do balustrady.

- Coś dla ciebie, wyjaśnił profesor Mylesowi Crawfordowi. Dwie stare kobiety z Dublina na szczycie kolumny Nelsona.

- TO JEST KOLUMNA! - OTO CO POWIEDZIAŁA PIERWSZA Z GRAMOLĄCYCH SIĘ

- To nowe, powiedział Myłeś Crawford. To materiał. Wyszły uczcić świętego Dupcentego. Dwie stare obłudnice, co?

- Ale boją się, że kolumna runie, ciągnął dalej Stefan. Przyglądają się dachom i spierają o to, gdzie stoją rozmaite kościoły: błękitna kopuła Rathmines, Adama i Ewy, świętego Laurentego o'Toole. Ale kręci im się w głowach od tego patrzenia, więc unoszą spódnice...

TE NIECO NIESFORNE NIEWIASTY

- Uwaga, wszyscy, powiedział Myłeś Crawford. Żadnej licencji poetyckiej. Jesteśmy na terenie archidiecezji.

- I siadają na swych pasiastych halkach, zerkając w górę ku posągowi jednorękiego cudzołożnika.

- Jednorękiego cudzołożnika! zawołał profesor. Podoba mi się to. Rozumiem ten pomysł. Rozumiem, co chcesz powiedzieć.

DAM DARY DLA DUBLINA OBYWATELI KAŻĄ WIERZYĆ W PĘDZĄCE PIGUŁKI I W CHYŻE AEROLITY

- Bola je szyje od tego, powiedział Stefan, i są zbyt zmęczone, aby patrzeć w górę lub w dół, lub mówić. Stawiają pomiędzy sobą torbę z morelami, wyjadają z niej morele, jedną po drugiej, ocierając chusteczkami sok, który sączy się im z ust, i wypluwają pestki powoli przez balustradę.

Na zakończenie roześmiał się niespodziewanie młodym, głośnym śmiechem. Lenehan i pan o'Madden Burke, słysząc to, odwrócili się, kiwnęli na nich i poprowadzili przez ulicę w stronę Mooneya.

- Skończone? zapytał Myłeś Crawford. O ile nie zrobią nic gorszego.

SOFISTA GRZMOCI DUMNĄ HELENĘ W KINOL, SPARTANIE ZGRZYTAJĄ TRZONOWYMI ZĘBAMI, ITAKOWIE RĘCZĄ, ŻE PEŃCIA JEST SUPER

- Przypominasz mi Antystenesa, powiedział profesor, ucznia Gorgiasa, sofisty. Powiedziano o nim, że nikt nie umiał orzec, czy więcej w nim goryczy wobec innych, czy wobec siebie. Był to syn ojca wysokiego rodu i niewolnicy. Napisał książkę, w której odebrał palmę piękności argińskiej Helenie i wręczył ją biednej Penelopie.

Biedna Penelopa. Penelopa Rich.

Przechodzili na drugą stronę O'Connell Street.

HALLO, CENTRALA!

W różnych punktach wzdłuż ośmiu linii stały na swych torach tramwaje o nieruchomych pałakach, skierowane ku lub z Rathmines, Rathfarnham, Blackrock, Kingstown i Dalkey, Sandymount Green, Ringsend i Sandymount Tower, Donny-brook, parku Palmerstona i Upper Rathmines, wszystkie nieruchome, uspokojone krótkim spięciem. Dorożki, powozy, furgony ciężarowe, karetki pocztowe, prywatne bryczki, platformy z grzechoczącymi skrzyniami wody mineralnej grzechotały, toczyły się, konnozaprzężne, szybko.

JAK? - A TAKŻE - SKĄD?

- Ale jak to nazwiesz? zapytał Myłeś Crawford. Skąd wzięły te morele?

WERGILIAŃSKIE, POWIADA PEDAGOG. STUDENCI DRUGIEGO ROKU GŁOSUJĄ
WSZYSCY NA STARUSZKA MOJŻESZA

- Nazwie to, zaczekajcie, powiedział profesor, rozwierając swe długie wargi, by się zastanowić. Nazwie to, dajcie mi się namyślić. Nazwie to: deus nobis haec otia fecit.

- Nie, powiedział Stefan. Ja to nazywam Widok Palestyny z góry Nebo, czyli Przypowieść o morelach.

- Rozumiem, powiedział profesor. Roześmiał się szeroko.

- Rozumiem, powtórzył z nową przyjemnością. Mojżesz i ziemia obiecana. Myśmy dali mu ten pomysł, dodał zwracając się do J. J. O'Molloya.

HORACY OŚRODKIEM ZACIEKAWIENIA W TEN PIĘKNY CZERWCOWY DZIEŃ

J. J. O'Molloy rzucił skośne, zmęczone spojrzenie w stronę posągu i nie odezwał się.

- Rozumiem, powiedział profesor.

Zatrzymał się na otoczonej krawężnikiem wysepce sir Johna Graya i zerknął ku górze na Nelsona, poprzez sieć zmarszczek swego krzywego uśmiechu.

PRZYCIĘTE PALUSZKI NAZBYT ŁASKOCĄ PODOCHOCONE PANIUSIE, ANIA WIERCI
SIĘ, FLORCIA KRĘCI SIĘ - ALE CZY MOŻNA JE WINIĆ?

- Jednoręczny cudzołożnik, powiedział ponuro. Muszę powiedzieć, że to mnie połaskotało.

- Połaskotało i te dwie staruchy, powiedział Myłeś Crawford, jak Bóg na niebie.

ANANASOWE SKAŁKI, CUKRZONE CYTRYNKI, SZKOCKIE CIĄGUTKI. LEPKOSŁODKA

dziewczyna nakłada całe szufelki nadziewanych czekoladek chrześcijańskiemu braciszкови. Jakaś szkolna zabawa. Szkodliwe dla ich brzuszków. Dostawca cukrów i słodczy dla Jego Królewskiej Mości. Boże. Zachowaj. Nam. Siedzącego na tronie, wysysającego czerwone jujuby do białości.

Posepny młodzieniec z YMCA., czuwający pośród ciepłych słodkich oparów sklepu Graham LEMONA, wsunął ulotkę w dłoń pana BLOOMA.

Serdeczne serc rozmowy.

Bl... Ja? Nie.

Bliźni, oto krew Baranka.

Jego powolne stopy poprowadziły go, czytającego, ku rzece. Czy jesteś zbawiony? Wszyscy obmyci są krwią Baranka. Bóg chce krwawej ofiary. Narodziny, hymen, męczennik, wojna, założenie zrębów budowli, ofiara, całopalenie nerek, ołtarze druidów. Eliasza nadchodzi. Dr John Alexander Dowie, odnowiciel Kościoła w Syjonie, nadchodzi.

Nadchodzi! Nadchodzi!! Nadchodzi!!! Wszyscy serdecznie witani.

Popłatne zajęcie. Zeszłego roku Torry i Alexander. Poligamia. Jego żona ukróci to. Gdzie było to ogłoszenie birminghamskiej firmy, ten świetlisty krucyfiks?

Zbawiciel. Obudzić się pośród nocy i zobaczyć go na ścianie, wiszącego. Jak duch wymyślony przez magika. I nasze ratował istnienie.

Robią to chyba przy pomocy fosforu. Na przykład, jeżeli się zostawi kawałek sztokfisz. Widziałem to niebieskawosrebrne wokół niego. Tej nocy, kiedy zszedłem do spiżarni w kuchni. Nie lubię tych wszystkich zapachów, które się stamtąd ulatniają. Czego chciała? Rodzinków z Malagi. Rozmyślała o Hiszpanii. Przed urodzeniem Rudiego. Fosforescencja, to niebieskawozielonkawe. Bardzo dobrze działa na mózg.

Z narożnika przed Butlerem, naprzeciw pomnika, zerknął wzdłuż Bachelor's Walk. Córka Dedalusa ciągle jeszcze przed salą licytacyjną Diiiona. Pewnie sprzedaje jakiś stary mebel. Poznałem ją od razu po tych oczach ojca. Wałęsa się, czekając na niego. Dom zawsze rozpada się, kiedy matka odchodzi. Miał piętnaścioro dzieci. Prawie co roku narodziny. To jest w ich teologii, inaczej ksiądz nie da tej biednej kobiecie spowiedzi, rozgrzeszenia. Rośnijcie i rozmnażajcie się. Czy słyszał kto kiedy coś podobnego? Wygryźliby cię z domu i gospodarstwa. Sami nie mają żadnych rodzin do żywienia. Spożywają tłustości ziemskie. Ich spichrze i piwnice. Chciałbym ich widzieć poszczących zupełnie w Jom Kippur. Postne ciasteczka. Jeden posiłek i lekka przekąska ze strachu, żeby nie zasłabł przed ołtarzem. Gospodyni któregoś z tych facetów, gdyby się dało to z niej wyciągnąć. Nigdy się tego z niej nie wyciągnie. Równie łatwo byłoby go nabrać na forsz. Dogadza sobie. Żadnych gości. Wszystko dla jednego. Czuwa nad swoim moczem. Odwiedzaj go z własnym chlebem i masłem. Jego wielebność Milczek.

Dobry Boże, sukienka tego biednego dziecka jest w strzępach. Wygląda na niedożywioną. Ziemniaki i margaryna, margaryna i ziemniaki. Dopiero później to się na nich odbija. Po owocach ich. Podkopuje organizm.

Gdy postawił stopę na moście O'Connella, skłębiony pióropusz dymu wystrzelił w górę spoza bariery. Barka z browaru wiezie eksportowe pełne. Do Anglii. Słyszałem, że morskie powietrze kwasi je. Byłoby ciekawe dostać któregoś dnia przepustkę od Hancocka i zobaczyć browar. Zupełnie osobny świat. Rury i kadzie porteru, cudowne. Ale szczury wpadają do nich. Wzdymają się z opicia do wielkości owczarków i pływają. Spite portierem. I piją, póki się nie wyrzygają jak chrześcijanie. Wyobraź sobie picie czegoś takiego! Szczury: rury. No, ale gdybyśmy wiedzieli o wszystkich rzeczach.

Spoglądając w dół, zobaczył trzepocące silnie, kołujące pomiędzy ponurymi murami nadbrzeży mewy. Brzydka pogoda na morzu. Gdybym rzucił się w dół? Syn Rubena J. musiał się zdrowo nałykać tego paskudztwa. Szyling i osiem pensów za wiele. Hmhm. To ten zabawny sposób, w jaki wypowiada rzeczy. I umie opowiadać kawały.

Kołowały niżej. Wypatrują żeru. Czekaście.

Cisnął pomiędzy nie zmiętą kulkę papieru. Eliasza trzydzieści dwie stopy na sęk. nadch. Ani trochę. Nie tknięta kulka przepłynęła pod filarami mostu, unosząc się na falach. Nie takie głupie. Jak tamtego dnia, kiedy cisnąłem im stęchłe ciastko z Króla Erynu, porwały je z bruzdy pięćdziesiąt jardów za rufą. Żyją ze swego sprytu. Kołowały trzepocąc.

Mewa wychudła i głodna Trzepoce, gdzie pustka wodna.

Tak piszą poeci, zbliżone dźwięki. Ale Shakespeare nie ma rymów: biały wiersz. Jest to strumień mowy. Myśli. Poważne.

Hamlecie, jestem twego ojca duchem, Skazanym, aby wędrować po ziemi.

- Dwa jabłka za pensa! Dwa za pensa!

Spojrzenie jego przesunęło się po lśniących jabłkach, ułożonych w stożki na straganie. O tej porze roku to chyba australijki. Błyszczące skórki: pucuje je szmatką albo chusteczką.

Czekaj. Te biedne ptaki.

Zatrzymał się znowu, kupił od starej straganiarki dwa nadziewane rodzynekami paszteciki z Banbury za pensa, rozłamał kruche ciasto i cisnął kawałeczki w dół do Liffey. Czy zauważyły? Mewy spłynęły cicho, dwie, potem wszystkie, ze swych wysokości, rzucając się na zdobycz. Zniknęło. Każdy kawałek.

Świadom ich zachłanności i sprytu, strząsnął okruchy z dłoni. Nie spodziewały się tego. Manna. Muszą żywić się rybem mięsem, wszystkie morskie ptaki, mewy, nury. Łabędzie z Anny Liffey przyplwają tu czasem, żeby oczyścić pióra. Każdy lubi co innego. Ciekawe, jakie jest mięso łabędzie. Robinson Crusoe musiał żywić się nimi.

Kołowały trzepocąc słabo. Nie rzucę już nic więcej. Pens to zupełnie dosyć. Dużo mam za to podziękowań. Nawet nie zakraczą. I roznoszą pryszczycę. Jeśli, powiedzmy, utuczy się

indyka mączką kasztanową, to nabierze jej smaku. Jedząc świninę stajesz się świnią. Ale w takim razie, dlaczego słonowodne ryby nie są słone? Jak to jest?

Oczy jego poszukały odpowiedzi w rzece i ujrzały przystań dla łodzi, zakotwiconą, leniwie kołyszącą oblepionym afiszami pokładem na oleistych falach.

Kino 's

11 szylingów

Spodnie.

To dobry pomysł. Ciekawe, czy płaci miastu dzierżawę. Jak można naprawdę posiadać wodę? Zawsze płynie strumieniem, wiecznie zmiennym, który odnajdujemy w strumieniu życia. Ponieważ życie jest strumieniem. Różne rodzaje miejsc są dobre dla ogłoszeń. Ten szarlatan, który leczył trypra, ogłaszał się we wszystkich ustępach. Teraz już nie widuję. Ściśle poufne. Dr Hy Franks. Nic go to nie kosztowało, jak tego nauczyciela tańców, Maginniego, który sam się ogłaszał. Znajdował facetów, którzy je nalepiali, albo nalepiał je sam, wpadając do ustronnych zakątków, aby odpiąć guzik. Nocny ptaszek. Akurat odpowiednie miejsce, żeby. WYLEPIANIE WZBRONIONE WYCIEKANIE LECZONE. Jakiś gość, którego dobrze przypiliło.

A jeżeli on...

Och!

Ech?

Nie... Nie.

Nie, nie. Nie wierzę w to. Na pewno by wtedy nie?

Nie, nie.

Pan Bloom poszedł dalej, uniósłszy zafrasowane oczy. Nie myśleć o tym więcej. Po pierwszej. Opuścili kulę czasomierza przed kapitanatem. Czas Dunsink. Urzekająca jest ta książeczka Sir Roberta Balia. Paralaksa. Nigdy dokładnie nie zrozumiałem. Tam idzie ksiądz. Mógłbym go zapytać. Par jest greckie: paralela, para-laksa. Nazwała to mnie tam psy chodzą, zanim nie powiedziałem jej o wędrówce dusz. Och, brednie!

Pan Bloom uśmiechnął się Och brednie ku dwóm oknom kapitanatu. Zresztą ma słuszość. To tylko wielkie słowa, którymi oznacza się zwykłe rzeczy, bo brzmią dobrze. Nie jest, ściśle mówiąc, dowcipna. Umie też być niegrzeczna. Mówi prosto z mostu to, co ja myślę. Chociaż nie wiem. Mawiała, że Ben Dollard ma basbaryłto-nowy głos. On ma nogi jak baryły i sprawia wrażenie, jakby śpiewał do wnętrza baryłki. No, i czy to nie jest dowcipne. Nazywali go Big Ben. Ani w połowie tak dowcipne jak nazwanie go basbaryłtonem. Apetyt jak u

albatrosa. Potrafił załatwić ćwiartkę polędwicy. Potężnie wlewał w siebie litrowy kufel Bassa. Baryłka Bassa. Widzisz? Wszystko się układa.

Rząd białoodzianych ludzi' szedł z wolna w jego kierunku wzdłuż rynsztoka;

tablice mieli przytwierdzone skrzyżowanymi szkarłatnymi szarfami. Wyprzedaż. Są jak ten ksiądz dziś rano: istoty hakami skrwawione: istoty harfami sławione. Odczytał szkarłatne litery na ich pięciu wysokich, białych kapeluszach: H.E.L.Y.'S. Wisdom Hely's. Y, wlokąc się z tyłu, wydobyło kromkę chleba spod swej przedniej tablicy, wcisnęło ją w usta i zaczęło żuć idąc. Nasze podstawowe pożywienie. Trzy szylingi dziennie, chodzenie wzdłuż rynsztoków, ulica po ulicy. Tyle, żeby utrzymać razem skórę i kości, chleb i wodnista zupka. To nie są Boyl: nie: ludzie M'Glade'a. Ale to nie pomaga w interesie. Podsunąłem mu pomysł z przezroczystym powozem, w którym byłyby dwie ładne dziewczyny, piszące listy, zeszyty, koperty, bibuła. Założyłbym się, że to by chwyciło. Ładne, piszące coś dziewczyny od razu przyciągają oko. Każdy umiera z ciekawości, żeby dowiedzieć się, co ona pisze. Dwudziestu cię otoczy, jeżeli zaczniesz gapić się na nic. Wetknąć nos w. Kobiety też. Ciekawość. Słup soli. Nie chciał, oczywiście, bo sam tego nie wymyślił. Albo ta butelka atramentu, którą zaproponowałem, z fałszywą plamą czarnego celuloidu. Jego pomysły ogłoszeń, jak Morela marynaty pod nekrologami, departament zimnych mięs. Nie można nawet liznąć. Czego? Naszych kopert. Hallo, Jones, dokąd idziesz? Nie mogę się zatrzymać. Robinsonie, bo spieszę nabyć jedyny pewny wywabiacz atramentu Kansell, sprzedaż: sp. akc. Hely, 85 Damę Street. No, ale zerwałem z tą hołotą. To była diabelna praca, odbieranie należności w tych klasztorach. Klasztor Tranquilla. Miła była ta zakonnica, naprawdę słodka twarzyczka. Kwef pasował do jej małej główki. Siostra? Siostra? Po oczach poznałem, że przeszła nieszczęśliwą miłość. Bardzo trudno targować się z taką kobietą. Zakłóciłem jej modlitwy tego ranka. Ale była zadowolona z zetknięcia ze światem zewnętrznym. Nasz wielki dzień, powiedziała. Święto Matki Boskiej z góry Karmel. I słodkie imię: karmel. Wiedziała, myślę, że wiedziała po sposobie, w jaki. Gdyby wyszła za mąż, zmieniłaby się. Przypuszczam, że naprawdę miały mało pieniędzy. Ale mimo to smażyły wszystko na najlepszym maśle. Nie używały smalcu. Serce mi pęka, jem, a tłuszcz kapie. Lubią być namaszczone masłem od zewnątrz i od wewnątrz. Molly próbująca, z uniesioną woalką. Siostra? Pat Claffey, córka właściciela lombardu. Mówią, że to zakonnica wymyśliła drut kolczasty.

Przeciął Westmoreland Street w chwili, gdy przeczłapało obok niego S z apostrofem. Rovera sklep z rowerami. Te wyścigi są dzisiaj. Jak dawno temu? Tego roku, kiedy umarł Phii Gilligan. Mieszkaliśmy przy Lombard Street West. Zaraz, byłem wtedy u Thoma. Dostałem pracę u Wisdom Hely'ego tego roku, kiedy wzięliśmy ślub. Sześć lat. Dziesięć lat temu: umarł w dziewięćdziesiątym czwartym, tak, słusznie, wielki pożar u Arnotta. Val Diiion był burmistrzem. Obiad Glencree. Radny Robert o'Reilly wlewający porto do zupy, zanim dano sygnał, chlupchlup chłęczący je w imieniu swego wewnętrznego radnego. Nie można było usłyszeć orkiestry. Za to wszystko, cośmy otrzymali, niechaj Pan uczyni nas. Milly była jeszcze wtedy malutka. Molly miała na sobie szarą suknię o odcieniu kości słoniowej

lamowaną sutaszem. Wciętą, z guzikami obciągniętymi tym samym materiałem. Nie lubiła jej, bo zwichnąłem kostkę pierwszego dnia, kiedy miała ją na sobie w czasie majówki chóru na Sugarloaf. Jak gdyby to. Cylinder starego Goodwina umazany czymś lepkiem. Majówka dla much także. Nigdy już nie miała takiej sukni. Pasowała jak rękawiczka, od stóp do głów. Właśnie zaczęła wtedy tyć. Jedliśmy tego dnia pasztet z królika. Ludzie oglądali się za nią.

Szczęśliwy. Szczęśliwszy wtedy. Był to przytulny pokój z czerwoną tapetą od Dockrella po szylingu i dziewięć pensów za tuzin. Wieczorna kąpiel Milly. Kupiłem amerykańskie mydło: czarny bez. Przyjemny zapach wody w jej kąpeli. Śmiesznie wyglądała cała namydłona. I kształtna. Teraz fotografuje. Biednego papy atelier dagerotypowe, o którym mi opowiadał. Dziedziczne upodobanie.

Szedł wzdłuż krawężnika.

Strumień życia. Jak się nazywał ten księżowyglądający facet, który zezował zawsze w naszym kierunku przechodząc? Słaby wzrok, kobieta. Mieszkał u Citro-na, przy Saint Kevin's Parade. Pen jakośtam. Pendennis? Moja pamięć staje się. Pen?... oczywiście, tyle lat temu. Pewnie hałas tramwajów. No, ale jeżeli nie mógł zapamiętać nazwiska redaktora aktualności, którego spotyka co dnia.

Bartell d'Arcy wybijał się właśnie wtedy jako tenor. Odprowadzał ją do domu po próbach. Zarozumiały facet z nawoskowanym wąsikiem. Dał jej tę pieśń Wiatry wiejące z południa.

To była wietrzna noc, kiedy poszedłem po nią po tym zebraniu łoży w sprawie biletów loteryjnych po koncercie Goodwina w sali bankietowej czy może w sali przyjęć na ratuszu. On i ja z tyłu. Wiatr wyrwał mi kartkę jej nut i cisnął ją na ogrodzenie gimnazjum. Na szczęście nie. Takie zdarzenie psuje jej cały wieczór. Profesor Goodwin idący z nią pod rękę w przedzie. Ledwie trzymał się na nogach, stary pijaczyna. Jego pożegnalne koncerty. Nieodwołalnie ostatnie pojawienie się na jakiegokolwiek scenie. Może na miesiące, a może na zawsze. Pamiętam, że śmiała się na wietrze, ten wysoki kołnierz miała podniesiony. A pamiętasz ten podmuch na rogu Harcourt Road? Brrfuu! Poderwał jej spódnice, a jej boa o mało nie zadusiło starego Goodwina. Ależ była zarumieniona wiatrem. Pamiętam, jak po przyjeździe do domu rozpaliliśmy ogień i smażyliśmy te kawałki baraniego combra na jej kolację z sosem Chutney, który lubiła. I gorący rum. Stojąc przy kominku widziałem ją w sypialni rozpinającą haftki gorsetu. Białe.

Świst i miękki szelest, z jakim jej gorset upadł na łóżko. Zawsze ciepły po niej. Zawsze lubiła wyswobadzać się z niego. Siedziała potem prawie do drugiej, wyjmując szpilki z włosów. Milly opatulona w swoim domeczkułóżeczku. Szczęśliwy. Szczęśliwy. Tej nocy, kiedy...

- O, pan Bloom, co u pana słychać?

- O, co u pani słychać, pani Breen?

- Nie warto się skarżyć. Jak się czuje Molly? Nie widziałam jej od wieków.

- Doskonale, powiedział pan Bloom wesoło, a wie pani, Milly ma posadę w Mullingar.

- Coś podobnego! Czy to nie wspaniałe?

- Tak, jest tam u fotografa. Ogień, nie dziewczyna. A jak się ma pani gromadka?

- Jedzą chleba, ile trzeba, powiedziała pani Breen.

Ile ich ma? Nie wygląda, jakby się spodziewała następnego.

- Widzę, że jest pan czarno ubrany. Nie ma pan chyba...

- Nie, powiedział pan Bloom. Właśnie wracam z pogrzebu. Czuję, że będzie to wracało przez cały dzień. Kto umarł, kiedy i na co umarł? Ciągle, jak zły szeląg.

- O mój Boże, powiedziała pani Breen, mam nadzieję, że to żaden bliski krewny. Równie dobrze mogę wywołać jej współczucie.

- Dignam, powiedział pan Bloom. Mój stary przyjaciel. Umarł zupełnie niespodziewanie, biedaczek. Wada serca, jak sędzę. Pogrzeb był dziś rano.

Jutro w pogrzebie cię poniosą, Choć dzisiaj idziesz przez to proso. Hej hop trą la, hej hop trą la, Hop la la...

- To smutne tracić starych przyjaciół, powiedziały melancholijnie niewieście-oczy pani Breen.

Dosyć na teraz o tym. Wystarczy spokojnie: mąż.

- A pani pan i władca?

Pan Breen uniosła swe wielkie oczy. Pomimo wszystko nie straciła ich.

- O, nie ma o czym mówić, powiedziała. Żmija by przed nim uciekła. Jest tam teraz w środku ze swoimi książkami prawniczymi i bada prawo o zniesławieniu. Złamał mi życie. Niech pan zaczeka, to pan zobaczy.

Zapach rosołu na głowiznie cielőcej i opary świeżo upieczonej rolady z dżemem kłębiąc się wypływały od Harrisona. Ciężka obiadowa woń połąskotała szczyt podniebienia pana Blooma. Żeby zrobić dobre ciasto, trzeba masła, najlepszej mąki, cukru z Demerara, a próbować tego z gorącą herbatą. A może to od niej? Bosonogi ulicznik pochylał się nad kratą, wdychając wyziewy. Zabija głód w ten sposób. Czy to przyjemność, czy ból? Obiad za pensa. Nóż i widelec przytwierdzone łańcuszkami do stołu.

Otwiera torebkę, przetarta skóra, szpilka do kapelusza: powinno się pilnować tych rzeczy. Wbijają je facetowi w oko w tramwaju. Gmera. Otwiera. Pieniądze. Proszę wziąć. Diabeł w nie wstępuje, jeżeli zgubią sześciopensówkę. Robią piekło. Mąż utyskuje. Gdzie jest dziesięć

szylingów, które ci dałem w poniedziałek? Czy utrzymujesz rodzinę młodszego brata? Brudna chusteczka: butelka lekarstwa. Pastylka upadła. Czy ona?...

- Musi być chyba nów księżyc, powiedziała. Zawsze się wtedy źle czuje. Czy wie pan, co zrobił zeszłej nocy?

Jej dłoń przestała gmerać. Utkwiła w nim oczy, szeroko otwarte z niepokoju, a jednak uśmiechnięte.

- Co? zapytał pan Bloom.

Niech mówi. Patrzeć jej prosto w oczy. Wierzę ci. Zaufaj mi.

- Obudził mnie w nocy, powiedziała. Miał sen, zmorę. Niestrawn.

- Powiedział, że as pikowy wchodzi na schody.

- As pikowy! powiedział pan Bloom.

Wyjęła z torebki złożoną na pół kartkę pocztową.

- Niech pan to przeczyta, powiedziała. Otrzymał to dziś rano.

- Co to jest? powiedział pan Bloom biorąc kartkę. Kła. Pa.?

- Kła. Pa.: kłapa, powiedziała. Ktoś chce go rozwścieczyć. To wielki wstyd, ktokolwiek by to był.

- Rzeczywiście tak, powiedział pan Bloom. Wzięła na powrót kartkę, wzdychając.

- A teraz idzie do kancelarii pana Mentona. Powiada, że wniesie pozew na dziesięć tysięcy funtów.

Wsunęła złożoną kartkę do swej nieporządnej torebki i zatrasnęła zapinkę.

Ta sama niebieska, wyblakła na karczku sukienka, którą miała dwa lata temu. Minęły już jej najlepsze czasy. Kosmyki włosów opadające na uszy. I ten niegustowny toczek z trzema starymi winogronami, żeby lepiej wyglądał. Poślaczana nędza. Kiedyś ubierała się sztywnie. Bruzdy wokół ust. Chyba tylko o rok starsza od Molly.

Spójrz, jakim okiem obrzuciła ją ta przechodząca kobieta. Okrutne. Niepiękna płęć.

Patrzył na nią nadal, ukrywając niezadowolenie. Pieprzny rosół z głowizny na ogonach wołowych i przyprawiony korzeniami. Ja też jestem głodny. Okruchy ciasta wokół wycięcia jej sukni: plama z lukru na jej policzku. Ciasto rabarbarowe nadziewane owocami. To była Josie Powell. U Lukę Doyle'a dawno temu, Do-lphin's Barn, szarady. Kła. Pa.: kłapa.

Zmienić temat.

- Czy pani nie widuje pani Beaufoy? zapytał pan Bloom.

- Miny Purefoy? zapytała.

Myślałem o Filipie Beaufoy. Klub Miłośników Teatru. Matcham często rozmyśla o swym majstersztyku. Czy pociągnąłem za sznur? Tak. Ostatni akt.

- Tak.

- Właśnie wpadłam po drodze, żeby się dowiedzieć, czy jest już po wszystkim. Leży w klinice położniczej przy Holles Street. Dr Horne ją tam przyjął. Już od trzech dni ma bóle.

- Och, powiedział pan Bloom. Przykro mi o tym słyszeć.

- Tak, powiedziała pani Breen. I pełen dom dzieciaków. Pielęgniarka powiedziała mi, że to bardzo trudny poród.

- Och, powiedział pan Bloom.

Jego ciężkie, pełne litości spojrzenie przyjęło nowinę. Język cmoknął współczująco. Ct! Ct!

- Przykro mi o tym słyszeć. Biedne stworzenie! Trzy dni! To okropne dla niej.

Pani Breen przytaknęła.

- Chwyciło ją we wtorek...

Pan Bloom lekko dotknął jej łokcia, ostrzegając:

- Uwaga! Proszę przepuścić tego człowieka.

Kościsty kształt nadchodził wielkimi krokami wzdłuż krawężnika od strony rzeki, wpatrując się urzeczonym spojrzeniem w słońce przez monoki umocowany na grubej tasiemce. Głowę okalała maleńka czapka, obcisła jak jarmułka. W takt jego kroków kołysały się: zwisający z ramienia prochowiec, laska i parasol.

- Niech pani spojrzy na niego, powiedział pan Bloom. Zawsze obchodzi latarnie od zewnątrz. Niech pani spojrzy!

- Kto to jest, jeżeli wolno zapytać, zapytała pani Breen. Czy jest stuknięty?

- Nazywa się Cashel Boyle o'Connor Fitzmaurice Tisdall Farrell, powiedział pan Bloom uśmiechając się. Niech pani spojrzy!

- Ma dosyć imion, powiedziała. Któregoś dnia Denis będzie taki jak on. Urwała nagle.

- Oto jest, powiedziała. Muszę iść za nim. Do widzenia. Pozdrowi pan Molly ode mnie, dobrze?

- Pozdrowię, powiedział pan Bloom.

Patrzył za nią, gdy kluczyła pomiędzy przechodniami w stronę wystaw sklepowych. Denis Breen, w przyciasnym surducie i niebieskich płóciennych pantoflach, wyszedł od Harrisona, człapiąc i tuląc do żeber dwie ciężkie księgi. Spadł z księżycy. Jak za dawnych czasów. Nie okazał zdumienia, kiedy dopędziła go. Wysunął ku niej swą tępą, siwą brodę, kłapiąc opuszczoną szczęką, gdy mówił z ożywieniem.

Myszuge. Brak klepki.

Pan Bloom poszedł dalej swobodnie, widząc w słonecznym blasku przed sobą obcisłą jarmułkę, dyndającą laskę, parasol, prochowiec. Strojniś. Przypatrz mu się! Znowu obchodzi. Jeden ze sposobów posuwania się przez świat. I ten drugi stary, szurający nogami wariat w łachmanach. Ciężkie życie musi ona z nim mieć.

Kła. Pa.: kłapa. Przysiągłbym, że to AlfBergen albo Richie Goulding. Napisał to dla kawału w Szkockiej Piwiarni, założę się o nie wiem co. Potem do kancelarii Mentona. Jego rybie oczy wpatrujące się w pocztówkę. Uczta bogów.

Minął redakcję Irlandzkiego Timesa. Mogą tam leżeć jeszcze inne odpowiedzi. Chciałbym odpowiedzieć na wszystkie. Dobry system dla przestępców. Szyfr. Są na lunchu teraz. Ten urzędnik w okularach nie zna mnie. O, zostawić je tam, niech dojrzeją. Dosyć było kłopotu z przebrnięciem przez czterdzieści cztery. Gentleman poszukuje biegłej maszynistki do pomocy w pracach literackich. Nazwałam cię niegrzecznym chłopczykiem, ponieważ nie lubię tego słowa nie z tego świata. Proszę, powiedz mi, jakie jest znaczenie. Proszę, powiedz mi, jakich perfum twoja żona. Powiedz mi, kto stworzył świat. Sposób, w jaki ciskają w ciebie tymi pytaniami. I ta druga, Lizzie Twigg. Moje prace literackie miały szczęście spotkać się z aprobatą wybitnego poety A. E. (Pana Geo Russella). Nie ma czasu uczesać się, popijając mętną herbatę nad tomem poezji.

Najlepsza bezapelacyjnie gazeta do małych ogłoszeń. Opanowali prowincję. Kucharka i służąca do wszystkiego, dosk. gotuje, pokojówka na miejscu. Potrzebny ruchliwy sprzedawca spirytualiów. Odp. dziewczyna (rzym.-kat.) poszukuje miejsca w owocarni lub masarni. James Carlisle dokonał tego. Sześć i pół procent dywidendy. Zrobił wielki interes na akcjach Coatesa. Ostrożnie. Przebiegły stary szkocki kutwa. I wszystkie te lizusowskie wiadomości. Nasza łaskawa i popularna yice-królowa. Kupił teraz Irlandzkie Pole. Lady Mountcashel powróciła już zupełnie do zdrowia i po odbyciu połogu wzięła wczoraj udział w polowaniu na jelenie z nagonką, urządzonym przez Ward Union w Rathoath. Niejadalny lis. Chcą także upolować coś do garnka. Strach tworzy soki, które nadają mięsu odpowiednią kruchość. Jedzie okrakiem. Dosiada konia po męsku. Znamienita łowczyni. Damskie siodło albo poduszczyk nie dla Kasi. Pierwsza na punkcie zbornym i naprzód uśmiercać. Niektóre z tych amazonek są silne jak rozplodowe klacze. Włóczą się po stajniach. Potrafią łyknąć szklankę brandy, zanim zdążysz powiedzieć hop. Ta przy Grosvenorze dziś rano. Raaz, do powozu: fru fr. Przeskakuje konno mury i pięcio-sztachetowe przeszkody. Myślę, że ten

perkatonosy motorniczy zrobił to na złość. Do kogo ona była podobna? O tak! Do pani Miriam Dandrade, która sprzedała mi swoje stare narzutki i czarną bieliznę w hotelu Shelboume. Rozwódka z Ameryki Łacińskiej. Nie mrugnęła nawet okiem, kiedy się nimi zająłem. Jak gdybym był jej garderobianym. Zobaczyłem ją na przyjęciu u vice-króla, kiedy dozorca parkowy Stubbs wpuścił mnie razem z Whelanem z Ekspresu. By sprzątnąć resztki, które pozostawiło towarzystwo. Herbatka. Połałem morele majonezem, bo myślałem, że to krem. Uszy powinny ją były piec jeszcze przez parę tygodni. Takiej potrzebny jest buhaj. Urodzona kurtyzana. Żadnego niańczenia, nie, dziękuję.

Biedna pani Purefoy! Mąż metodysta. Jest metoda w jego szaleństwie. Lunch z ciastek drożdżowych, mleka i wody sodowej w rodzinnej mleczarni. Jedzą ze stoperem, trzydzieści dwa ruchy szczęk na minutę. Ale bokobrody mu rosną. Pewnie ma dobre koneksje. Kuzyn Teodora jest na Zamku Dublińskim. Jeden reprezentacyjny krewny w każdej rodzinie. Co roku sprawia jej proroka. Widziałem go przed Trzema Wesołymi Pijakami, idącego z gołą głową, a najstarszy chłopiec niośł jedno maleństwo w siatce na zakupy. Krzykacz. Biedne stworzenie! I dawanie piersi, rok po roku, co noc, o każdej godzinie. Samolubni są ci niepijący. Pies ogrodnika. Daj mi tylko jeden kawałek cukru do herbaty, jeżeli wolno prosić.

Stał na skrzyżowaniu z Fleet Street. Lunch w przerwie obiadowej, za sześć pensów u Rowe'a? Muszę sprawdzić to ogłoszenie w Bibliotece Narodowej. Za osiem pensów u Burtona. Lepiej. Po drodze.

Minął Westmoreland House Boltona. Herbata. Herbata. Herbata. Zapomniałem zagadnąć Toma Kernana.

Sss. Ct, et, et! Wyobraź sobie, trzy dni takiego jęczenia w łóżku z namoczoną w occie chustką na czole i z tak wzdętym brzuchem! Ho, ho! Po prostu okropność! Głowa dziecka za duża: kleszcze. Skulone wewnątrz niej, bodące na oślep, poszukujące wyjścia. Zabiłoby mnie to. Na szczęście, Molly przeszła lekko swoje. Powinni wymyślić coś, żeby zrobić z tym koniec. Życie dzięki ciężkim robotom. Ten pomysł z półusypianiem: królowej Wiktorii dali to. Miała dziewięcioro. Dobrze się niosła. Stara kobieta, co mieszkała w bucie, a miała tyle dzieci. Przypuszczam, że był suchotnikiem. Czas, żeby ktoś pomyślał o tym, zamiast bredzić w kółko, o czym to, o zadumany łonie srebrzystej światłości. Brednie, którymi karmią głupców. Łatwo mogliby mieć duże zakłady. Cała rzecz byłaby zupełnie bezbolesna, a z wszystkich podatków dawać każdemu nowo narodzonemu dziecku pięć funtów na składany procent, aż do dwudziestego pierwszego roku życia; pięć procent to jest sto szylingów plus tych pięć powtarzających się funtów, pomnożone przez dwadzieścia systemem dziesiętnym, skłoniłoby ludzi do odkładania pieniędzy, zaoszczędziliby sto dziesięć i jeszcze trochę; dwadzieścia jeden lat; trzeba to opracować, na papierze wyszłaby okrągła sumka, więcej, niż ci się zdaje.

Nie martwo narodzone, oczywiście. Tych się nawet nie rejestruje. Zbyteczny kłopot.

Zabawnie widzieć dwie takie razem, z wzdętymi brzuchami. Molly i pani Moisel. Zebranie matek. Gruźlica cofa się na ten czas, potem wraca. Jak niespodziewanie płasko później wyglądają! Spokojne oczy. Kłopot z głowy. Stara pani Thornton, wesół staruszka. Wszystko to moje dzieci, powiedziała. Przed karmieniem ich brała do ust łyżkę kleiku. Och, mniamniam. Syn starego Toma Walia zmiażdżył jej rękę. Jego pierwszy ukłon w stronę publiczności. Głowa jak konkursowa dynia. Gderliwy dr Murren. Ludzie pukają do nich o każdej porze. Na miłość boską, doktorze. Żona ma bóle. A potem każą im czekać miesiącami na należność. Za opiekę nad pańską żoną. Żadnej wdzięczności w ludziach. Ludzcy ci lekarze, większość z nich.

Przed wielką, wysoką bramą Irlandzkiego Parlamentu przefrunęło stadko gołębi. Ich małe igraszki po posiłkach. Na kogo to zrobimy? Wybieram faceta w czerni. Oto leci. Na szczęście. Musi być podniecające, tak z powietrza, Apjohn, ja i Owen Goldberg na drzewach niedaleko Goose Green bawiliśmy się w małpy. Nazywali mnie Makrelą.

Idący sznurem oddział policji wyłonił się z College Street. Gęsiego. Twarze zarumienione od posiłku, hełmy przepocone, poklepują swoje pałki. Po obiedzie z porządnym ładunkiem tłustej zupy pod pasami. Wesół jest los policjanta. Rozpadli się na grupki i salutując rozeszli na obchód. Wypuszczeni na pastwisko. Najlepsza chwila, żeby zaatakować ich, gdy trawia pudding. Cios w obiad. Inny oddział, idąc bezładnie, obszedł ogrodzenie Trinity w stronę komisariatu. Ciągną do koryta. Gotowi do odparcia kawalerii. Gotowi do pożarcia zupy.

Przeszedł na drugą stronę pod łobuzerskim palcem Tommy Moore'a. Dobrze zrobili stawiając go nad ustępem: spotkanie wód. Powinny być takie miejsca dla kobiet. Wbiegają do ciastkarni. Chciałabym sobie poprawić kapelusz. Na całym szerokim świecie nie znajdziesz takiej doliny. Wspaniała pieśń Julii Morkan. Zachowała głos do samego końca. Uczennica Michaela Balfe, zdaje się.

Zerknął za ostatnią rozłożystą bluzą. Nieprzyjemni, kiedy się ma z nimi do czynienia. Jack Power mógłby dużo o tym opowiedzieć: ojciec był tajniakiem. Jeżeli facet stawia im opór przy zatrzymaniu, potrafią z niego zrobić pasztet na gorąco w areszcie. Mimo wszystko nie można ich winić, kiedy się pomyśli, ile mają roboty, a specjalnie z tymi młodymi szaleńcami. Ten konny policjant w dniu, kiedy Joe Chamberlain otrzymał godność w Trinity. Uczciwie wygalopował swoją pensję. Daję słowo, że tak! Tętent kopyt jego konia za nami w dół Abbey Street. Na szczęście, miałem dość przytomności umysłu, żeby dać nurka do Manninga, inaczej zostałbym przyskrzyniony. Ależ galopował, mój Boże. Musiał sobie chyba roztrzaskać czaszkę o bruk. Nie powinienem był się wmieszać w tłum tych medyków. Te gęby z Trinity w tych swoich biretach. Szukali guza. Ale poznałem tego młodego Dixona, który opatrzył mi to ukłucie w Mater, a teraz jest przy Holles Street, tam gdzie pani Purefoy. Wszystko się zazębia. Ten gwizdek policyjny mam ciągle w uszach. Wszyscy się rozbiegli. Dlaczego się zawział na mnie. Zatrzymać mnie. Właśnie tu się zaczęło.

- Niech żyją Boerowie!

- Trzy hurra dla De Weta!

- Powiesimy Joe Chamberlaina na suchej gałęzi!

Głuptasy: tłum szczeniaków, zdzierających sobie gardła. Yinegar Hill. Kapela oportunistów. Po paru latach połowa z nich zostaje sędziami i urzędnikami. Nadchodzi wojna: na łeb na szyję do armii: ci sami, którzy, nawet gdyby na szafot wstąpić.

Nigdy nie wiadomo, do kogo mówisz. Corny Kelieher wygląda mi na szpicla. Jak ten Peter czy Denis czy James Carey, który wyśpiewał wszystko o niezwyciężonych. Był członkiem stowarzyszenia. Podbechtywał nieopierzonych młodzików, żeby się wkręcić. A przez cały czas brał z Zamku pieniądze za tajne usługi. Wypluty później jak gorący ziemniak. Dlaczego ci tajniacy zawsze zalecają się do służących. Łatwy kasek dla człowieka przyzwyczajonego do munduru. Przycisnąć ją trochę do drzwi kuchennych. Potar mosiężną trochę. A potem z innej beczki. A kim jest ten gentleman, który składa tu wizyty? Czy panicz mówił coś? Z okiem przy dziurce od klucza. Przynęta. Krewki młody student obmacujący jej tłuste ramiona, gdy prasuje.

- Czy to twoje. Mary?

- Nie noszę takich rzeczy... Proszę przestać, bo powiem pani. A wrócił po północy.

- Wielkie czasy nadchodzą, Mary. Zaczekaj, to zobaczysz.

- A, niech się odczepi ze swoimi wielkimi nadchodzącymi czasami.

Barmanki także. Dziewczęta w trafikach.

Najlepszy był pomysł Jamesa Stephensa. Znał ich. Kółka po dziesięciu, tak że facet nie może sięgnąć poza swój krąg. Sinn Fein. Chcesz się wycofać, dostaniesz nożem. Skrytobójcza dłoń. Pozostaniesz, pluton egzekucyjny. Córka klucznika wyciągnęła go z Richmond, w drodze do Lusk. Ukrył się w hotelu Buckingham Palace, pod samym ich nosem. Garibaldi.

Trzeba posiadać pewien urok: Parnell. Arthur Griffith jest pocziwcem, ale nie ma podejścia do tłumu. Trzeba ich trącić o naszej kochanej krainie. Bujda z chrzanem. Herbaciarnia Związku Piekarzy Dublińskich. Dyskusyjne stowarzyszenia. Że republikanizm jest najlepszą formą rządzenia. Że kwestia językowa powinna uzyskać pierwszeństwo przed kwestiami ekonomicznymi. Niechaj twe córki zwabiają ich do twego domu. Napchaj ich mięsiwem i napitkiem. Gąska na święty Michał. Ładny kawałek nadzienia dochodzi pod fartuszką dla pana. Proszę jeszcze kwaterek tłuszczu gęsiego, zanim wystygnie. Niedożywieni entuzjaści. Bułka za pensa i marsz z orkiestrą. Żadnej łaski dla kroczy. Świadomość, że ten drugi facet płaci najlepszą przyprawą w świecie. Czują się zupełnie jak w domu. Podaj nam te morele, a mają na myśli brzoskwinie. Niedaleki dzień. Słońce samorządu wschodzące na północnym zachodzie.

Uśmiech jego rozpląnął się, gdy szedł, a ciężka chmura zakryła powoli słońce, rzucając cień na ponurą fasadę Trinity. Tramwaje mijają się, przyjeżdżając, odjeżdżając, podzwaniając. Zbyteczne słowa. Wszystko dzieje się tak samo, dzień po dniu: oddziały policji wymaszerowują, wracają: tramwaje wjeżdżają, wyjeżdżają. Ci dwaj pomyłenci wałęsają się. Dignama wywieziono. Mina Purefoy na łóżku, brzuch wzdęty, jęczy, żeby wywlec z niej dziecko. Co sekunda ktoś się gdzieś rodzi. Co sekunda ktoś umiera. Pięć minut temu karmiłem ptaki. Trzystu odważyło kitę. Trzystu innych urodziło się, obmyto ich z krwi, wszyscy obmyci są krwią Baranka, beczą beeee.

Całe miasto odchodzi, inne całe miasto przychodzi, też odchodzi: następne przychodzi, odchodzi. Domy, rzędy domów, ulice, całe mile chodników, spiętrzone cegły, kamienie. Z ręki do ręki. Ten właścicielem, tamten. Mówią, że kamienicznik nigdy nie umiera. Inny wskakuje w jego buty, kiedy on otrzymuje wymówienie. Kupują to za złoto i wciąż mają całe złoto. Gdzieś w tym jest oszustwo. Spiętrzone w miastach, wietrzejące, wiek po wieku. Piramidy w piaskach. Zbudowane na chlebie i cebuli. Niewolnicy, chiński mur. Babilon. Przetrwały wielkie kamienie. Okrągłe wieże. Pozostaje rumowisko, rozrzucone przedmieścia tandetnie zbudowane, domy jednakowe jak grzyby, wiatrem podszyte. Nocne schronienie.

Każdy jest niczym.

To najgorsza godzina dnia. Żywotność. Ciemna, ponura: nienawidzę tej godziny. Czuję się, jak gdyby mnie zjedzono i wypluto.

Plebania. Wielebny dr Łosoś: łosoś w puszcze. Dobrą ma tam puszkę. Nie mieszkałbym w niej, nawet gdyby mi płacili. Mam nadzieję, że dzisiaj będzie wędzonka i wątróbka. Natura nie znosi próżni.

Słońce wyzwoliło się powoli i zapaliło iskry blasku na srebrach w wystawowym oknie Waltera Sextona, obok którego John Howard Pamell przeszedł, nie dostrzegając.

Oto jest: brat. Jego wizerunek. Twarz, która prześladowuje. A to zbieg okoliczności. Bo setki razy myśli się o jakiejś osobie i nie spotka jej. Jak człowiek chodzący we śnie. Nikt go nie poznaje. Pewnie dziś jest posiedzenie rady miejskiej. Powiadają, że nie włożył munduru Strażnika Miejskiego ani razu, odkąd dostał tę posadę. Charley Boulger wyjeżdżał zwykle na swym wielkim koniu, w trój graniastym kapeluszu, nadęty, wypudrowany i wygolony. Popatrz, jak żałośnie stąpa. Zjadł nieświeże jajko. Sadzone oczy na duchu. Boli mnie. Brat wielkiego człowieka: brat swego brata. Ładnie by wyglądał na miejskim rumaku. Wpadł do ZPD, pewnie na kawę, grywa tam w szachy. Jego brat przesuwiał ludzi jak pionki. Pozwolił im się wszystkim stoczyć. Boją się o nim wspomnieć. Mrozi ich tymi swoimi oczami. To jest właśnie urok: nazwisko. Wszyscy trochę trąceni. Szalona Fanny i druga jego siostra, pani Dickinson, powożąca końmi w szkarłatnej uprzęży. Nieugięty jak chirurg M'Ardle. A jednak Dawid Sheehy zwyciężył go w Południowym Meath. Zrezygnował z parlamentu i wycofał się do życia publicznego. Bankiet patrioty. Zjadał skórki pomarańczowe w parku. Kiedy

wprowadzono go do parlamentu. Simon Dedalus powiedział, że Parnell wróci z grobu i wyprowadzi go za ramię z Izby Gmin.

- O dwugłowej ośmiornicy; a jedna z głów jest głową, na której zapomniały się zetknąć krańce świata, podczas gdy druga przemawia ze szkockim akcentem. Macki...

Minęli pana Blooma, nadchodząc z tyłu wzdłuż krawężnika. Broda i rower. Młoda kobieta.

A oto i on także. To naprawdę jest zbieg okoliczności: drugi raz. Nadchodzące wypadki rzucają cień przed sobą. Z aprobatą wybitnego poety pana Geo Russella. Może to Lizzie Twigg przy nim. A. E.: co to znaczy? Może inicjały. Albert Edward, Artur Edmund, Alfons Eb Ed El Esquire. Co on powiedział? Krańce świata ze szkockim akcentem. Macki: ośmiornica. Coś okultystycznego: symbolizm. Wykłada. Ona wchłania to wszystko. Nie mówi ani słowa. By wspomóc gentlemana w pracach literackich.

Oczy jego odprowadziły wysoką postać ubraną w samodział, brodatą, z rowerem, z zasłuchaną kobietą u boku. Wraca z jarskiej restauracji. Tylko warzywka i owoce. Nie jedz befsztyka. Jeżeli zjesz, wzrok tej krowy będzie cię ścigał przez całą wieczność. Mówią, że to zdrowsze. Tylko wiatry i woda. Próbowałem. Biega się później cały dzień. Marne jak marynowany śledź. Sny przez całą noc. Jak oni nazwali to, co mi podali, cebulsztyk? Cebulianie. Owocarianie. Żeby ci się wydawało, że jesz rumsztyk. Absurd. I słone. Gotują z sodą. Siedzisz potem przy kranie przez całą noc.

Pończochy ma sflaczałe na kostkach. Nie znoszę tego: niegustowne. Ci eteryczni literaci wszyscy są. Senni, łagodni, symboliści. To esteci. Nie byłbym zdziwiony, gdyby ten rodzaj pożywienia tworzył podobne fale w mózgu, poetyczne. Na przykład, jeden z tych policjantów, wypacających potrawkę baranią w koszule; nie mógłbyś wycisnąć z niego ani linijki poezji. Nawet nie wie, co to jest poezja. Trzeba być w pewnego rodzaju nastroju.

Mewa senna i łagodna Trzepoce, gdzie pustka wodna.

Przeszedł na drugą stronę, na rogu Nassau Street; przystanął przed wystawą Yeatesa i Syna, oceniając lornetki. A może wpadnę do starego Harrisa na pogawędkę z młodym Sinclairem? Dobrze wychowany facet. Pewnie je lunch. Muszę dać do naprawy moją starą lornetkę. Soczewki Goerza, sześć gwinei. Niemcy wszędzie torują sobie drogę. Sprzedają na dogodnych warunkach, żeby przechwycić handel. Podcinają. Można spróbować kupić w kolejowym biurze zagubionych przedmiotów. Zdumiewające, jakie rzeczy ludzie pozostawiają w pociągach i szatniach. O czym myślą? Kobiety także. Nieprawdopodobne. Zeszłego roku, jadąc do Ennis, musiałem wziąć koszyk tej córki farmera i oddać go jej przy przesiadce do Limerick. Także nie odebrane pieniądze. Jest tam nieduży zegar na dachu banku, na którym sprawdza się te lornetki.

Powieki jego opadły na dolne krawędzie tęczówek. Nie mogę go zobaczyć. Jeżeli sobie wyobrazisz, że jest tam, możesz go prawie zobaczyć. Nie mogę go zobaczyć.

Odwrócił się i stojąc między dwoma markizami sklepowymi, wyciągnął prawą dłoń na całą długość ramienia w kierunku słońca. Często chciałem to wypróbować. Tak: zupełnie. Koniec jego małego palca zakrył tarczę słoneczną. Ognisko musi być tam, gdzie promienie się przecinają. Gdybym miał czarne okulary. Ciekawe. Dużo mówiło się o tych plamach słonecznych, kiedy mieszkaliśmy przy Eombard Street West. To straszliwe eksplozje. W tym roku będzie całkowite zaćmienie: gdzieś w jesieni.

Kiedy tak myślę o tym, to ta kula opada o czasie Greenwich. To zegar jest napędzany przewodem elektrycznym z Dunsink. Muszę tam pojechać, którejś pierwszej soboty miesiąca. Gdyby ktoś mnie polecił profesorowi Joly, albo gdybym dowiedział się czegoś o jego rodzinie. To by się przydało: człowiekowi zawsze jest przyjemnie. Pochlebstwo z najmniej oczekiwanego źródła. Szlachcic szczyli się pochodzeniem od kochanki jakiegoś króla. Jego pramatka. Dać mu to jak na patelni. Kto ma czapkę w dłoni, tego nikt nie dogoni. A nie, wchodzić i od razu wyrzucić z siebie to, czego nie należy: co to jest paralaksa? Wskaż temu gentlemanowi drzwi.

Ach.

Dłoń jego opadła ponownie do boku.

Nigdy nic o tym nie wiem. Szkoda czasu. Wirujące kule gazowe, przenikające się, wymijające. Ciągłe to samo stare hokus-pokus. Gaz, potem ciało stałe, potem świat, potem zimne, potem martwa skorupa krążąca bezwładnie, lodowata skała jak te skałki ananasowe. Księżyc. Musi być chyba nów księżyca, powiedziała. Myślę, że jest.

Poszedł dalej, obok la Maison Claire.

Zaraz. Pełnia księżyca była tej nocy, kiedy byliśmy w niedzielę, dokładnie w dwa tygodnie jest nów. Szliśmy wzdłuż Tolki. Nieźle, jak na piękną noc księżycową. Nucila: Młody księżyc majowy jaśnieje, o ukochany. On u jej drugiego boku. Łokieć, ramię. On. Świetlika la-ampka lśni, o ukochany. Dotkniecie. Palców. Pytają. Odpowiedź; Tak.

Dość. Dość. Jeżeli tak było, tak było. Musiało.

Pan Bloom, oddychając szybciej, idąc wolniej, minął Adam Court.

Z ukrytą cichą ulgą oczy jego zanotowały: to jest ulica południe spadziste plecy Boba Dorana. Jedno z tych jego dorocznych pijaństw, powiedział M'Coy. Piją, żeby powiedzieć coś albo zrobić, albo cherchez la femme. Tam w Coombe, z koleżkami i ulicznikami, a potem przez resztę roku trzeźwy jak sędzia.

Tak. Tak myślałem. Gramoli się do Empire'u. Zniknął. Zwyczajna woda sodowa dobrze by mu zrobiła. Pat Kinsella miał tam swój teatr Harfa, zanim Whitbred nie zaczął prowadzić Queen's. Znakomity chłopak. Na podobieństwo Diona Bou-cicaulta, z tą twarzą jak księżyc w pełni, w obcisłej czapeczce. Trzy Panienki Wprost ze Szkoły. Jak czas leci, co? Ukazywał

spod spódnicy długie czerwone pantalony. Pijący piją, parszają śmiechem, dyszą pijaństwem. Twoje zdrowie. Pat. Grubiańsko zarumieniony: zabawa dla pijaków: rżą ze śmiechu i palą. Zdejm ten biały kapelusz. Jego galaretowate oczy. Gdzie może być teraz? Pewnie gdzieś żebrze. Ta harfa, która raz głodziła wszystkich nas.

Byłem szczęśliwszy wtedy. Ale czy to byłem ja? Ale czy ja teraz jestem ja? Miałem dwadzieścia osiem lat. A ona dwadzieścia trzy, kiedy opuściliśmy Lombard Street West, coś się zmieniło. Nigdy już tego nie lubiła po Rudim. Nie można cofnąć czasu. Jakbyś trzymał wodę w dłoni. Czy cofnąłbyś się do tamtych czasów? By rozpoczynać od nowa. Czy cofnąłbyś się? Czy nie jesteś szczęśliwy w twoim domu, ty biedny, niegrzeczny chłopczyku? Chce mi przyszywać guziki. Muszę odpowiedzieć. Napiszę to w bibliotece.

Grafton Street znęcała jego zmysły wesołymi płóciennymi markizami. Zadrutowane wzorami muśliny, jedwabie, damy i matrony, podzwanianie upręży, łoskot kopyt głuchobrzmiących na spieczonej jezdni. Grube nogi ma ta kobieta w białych pończochach. Mam nadzieję, że deszcz zabrudzi je od góry do dołu. Wiejskie babsko. Całe to wolonogie bydełko zbiegło się do nas. Kobieta ma w nich zawsze niezgrabne nogi. Molly wygląda jak niezdara.

Minął, zwalniając, okna wystawowe Brown Thomasa, sprzedawcy jedwabów. Kaskady wstążek. Powiewne chińskie jedwabie. Z otworu pochylonej urny wypływała rzeka krwistoczerwonej popeliny: migotliwa krew. Hugonoci sprowadzili to tu. La causa e santa! Tara tara. To wielki chór. Tara. Trzeba je prac w wodzie deszczowej. Meyerbeer. Tara: bum bum bum.

Poduszcзки do szpilek. Od dłuższego czasu grozę, że kupię jedną. Wtyka je wszędzie po całym domu. Igły w storach okiennych.

Obnażył nieznacznie lewe przedramię. Zadrapanie: prawie znikło. Nie dzisiaj w każdym razie. Muszę wrócić po ten olejek. Może na jej urodziny. Czerwiec-lipiec-sierpień-wrzesień- październik. Jeszcze prawie trzy miesiące. I mogłaby się jej nie podobać. Kobiety nie chcą podnosić szpilek. Mówią, że to kończy mił.

Lśniące jedwabie, halki na smukłych mosiężnych wieszakach, jedwabne pończochy rozłożone promieniście.

Nie warto się cofać. Musiało tak być. Powiedz mi wszystko.

Wysokie głosy. Słońcemrozgrzany jedwab. Podzwaniające upręże. Wszystko dla kobiety, ognisko rodzinne i domy, jedwabne tkaniny, srebro, wonne owoce, korzenie z Jaffy. Agendath Netaim. Skarby świata.

Uczuł, że ciepła człowiecza pulchność zaczyna osiadać w jego umyśle. Umysł poddał się. Uścisków woń otoczyła go. Zgłodniałym ciałem, potajemnie, w milczącym uwielbieniu pożądał.

Duke Street. Tu. Trzeba coś zjeść. U Burtona. Poczuję się lepiej.

Nadal ścigany, skręcił na rogu Combridge. Podzwaniający łoskot kopyt. Wype-rfumowane ciała, ciepłe, pełne. Wszystkie całowane, uległe: na wysokich łąkach latem, w splątanej, stratowanej trawie, w wilgotnych sieniach domów czynszowych, na sofach, na skrzypiących łózkach.

- Jack, kochanie!

- Najdroższa!

- Całuj mnie, Reggy!

- Mój chłopcze!

- Kochanie!

Z sercem rozkołysanym pchnął drzwi restauracji Burtona. Zaduch stłumił jego rozedrgany oddech: ostry sos mięsny, jarzynowa lura. Zwierzęta żrą.

Ludzie, ludzie, ludzie.

Przysiedli na wysokich stołkach przy barze, kapelusze zsunięte do tyłu, przy stołach, wołają o więcej chleba bezpłatnego, żłopią, wilczołapią ochłapy żarcia, oczy im wyłażą, ocierają mokre wąsy. Błady młodzieniec o nalanej twarzy czyści serwetką swój kubek, nóż, widelec i łyżkę. Nowa porcja mikrobów. Człowiek z poplamioną sosem serwetką, owiązaną wokół szyi jak śliniak, wlewa sobie gulgoczącą zupę w gardziel. Człowiek wypluwający z powrotem na talerz: na pół przeżutą chrząstkę: brak zębów, żeby gryźćgryźćgryźć ją. Płat baraniego udźca z rusztu. Łyka, żeby już z tym skończyć. Smutne oczy pijaka. Odgryzł więcej, niż może połknąć. Czy wyglądam tak samo? Widzieć siebie tak, jak inni nas widzą. Głodny człowiek to niegodny człowiek. Zęby i szczęki pracują. Uwaga! Och! Kość! Ten ostatni pogański król Irlandii, Cormac, w tym wierszyku szkolnym, zadławił się w Sletty, na południe od Boyne. Ciekaw jestem, co jadł. Coś wyśmienitego. Święty Patryk nawrócił go na chrześcijaństwo. Nie mógł tego przełknąć, jak się okazuje.

- Rostbef z kapustą.

- Duszona baranina raz.

Męski odór. Ogarnęły go mdłości. Trociny w spluwaczce, słodkawy ciepławy dym z papierosów, woń prymki, rozlane piwo, męskie piwne szczyny, stęchły ferment.

Nie mógłbym tu zjeść ani kęsa. Facet ostrzący nóż i widelec, zanim zje to, co ma przed sobą, staruszek dłubiący w pienkach zębów. Lekki spazm, pełno, przeżuwanie tego, co się wróciło. Przedtem i potem. Modlitwy dziękczynne po posiłkach. Spójrz na ten obraz, a potem na

tamten. Sos z duszonej baraniny pożerają, maczają okruchy chleba. Zliż to z talerza, człowieku! Wydostać się stąd.

Zaciskając nozdrza, obrzucił spojrzeniem siedzących na stołkach i przy stołach.

- Dwa ciemne tutaj.

- Raz wołowa z kapustą.

Ten facet wtłaczający sobie kapustę nożem, tak jakby jego życie od tego zależało. Celny strzał. Skręca mnie, kiedy patrzę na to. Bezpieczniej jest jeść trzema rękami. Oddziera członek od członka. To jego druga natura. Urodził się ze srebrnym nożem w ustach. Myślę, że to dowcipne. Albo nie. Srebro oznacza, że urodził się bogaty. Urodzony z nożem. Tak, ale wtedy aluzja się gubi.

Niedbale opasany kelner zbierał lepkie klekoczące talerze. Stojący przy barze komornik Rock zdmuchnął pienistą koronę ze swego kufla. Dobrze spienione:

chlapnęło mu żółto przy bucie. Gość, z uniesionym nożem i widelcem, z łokciami na stole, czekający na drugie danie, gapił się ponad poplamionym prostokątem gazety w kierunku windy kuchennej. Inny facet opowiada mu coś pełnymi ustami. Przychylny słuchacz. Rozmowa przy stole. Chła chłopkałem chłego w Chłepster Chłan-ku w chłepniedziałek. Hę? Tak zrobiłeś, naprawdę?

Pan Bloom uniósł z powątpiewaniem dwa palce ku wargom. Oczy jego powiedziały.

- Nie tu. Nie widzę go. Wyjść. Nienawidzę niechłujnych żarłoków.

Wycofał się ku drzwiom. Przekąsić coś u Davy Byrne'a. Oszukać głód. To mnie podtrzyma. Zjadłem dobre śniadanie.

- Befszytk i puree tutaj.

- Małe ciemne.

Każdy szarpie swoje, zębami i pazurami. Mlasczą. Mamią. Mlasczą. Mordy.

Wyszedł na świeże powietrze i zawrócił w stronę Grafion Street. Jeść lub być zjedzonym. Zabijać! Zabijać!

Przypuśćmy, że kiedyś po latach kuchnia będzie społeczna. Wszyscy truchtem ustawiają się, żeby napełnić miski i blaszanki. Pożerają zawartość na ulicy. John Howard Parnell na przykład, rektor Trinity, wszyscy, nie wspominając już o profesorach, kobiety i dzieci rektora Trinity, dorożkarze, księża, pastory, feldmarszałkowie, arcybiskupi. Z Ailesbury Road, Clyde Road, z osiedli robotniczych, z Północno-Dublińskiego schroniska, lord major w swojej karecie z piernika, stara królowa w swoim fotelu na kółkach. Mój talerz jest pusty. Po panu wezmę nasz związkowy kubek. Jak przy fontannie sir Philipa Cramptona. Zetrzyj

mikroby chustką do nosa. Następny facet wciera nową ich porcję swoją. Ojciec o'Flynn ośmieszyłby ich wszystkich. Ale klóciłiby się tak samo. Wszystko tylko dla numeru pierwszego. Dzieci bijące się o wyskrobki z dna garnka. Potrzebna byłaby waza na zupełna wielka jak Phoenix Park. Harpunami wyławialiby z niej kawałki boczku i wieprzowiny. Można znienawidzić wszystkich ludzi wokół siebie. Nazwała to labie d'hôte hotelu City Arms. Zupa, pieczone i deser. Nigdy nie wiesz, czyje myśli przeżuwasz. Ale kto by wtedy zmywał te wszystkie talerze i widelce? Może do tego czasu wszyscy będą się żywić pigułkami. Zęby będą coraz gorsze i gorsze.

Mimo wszystko jest wiele dobrego w tej wegetariańskiej myśli o doskonałym smaku rzeczy wyrastających z ziemi, na przykład czosnek śmierdzi włoskimi katarzyniarzami chrupiącymi cebule, trufle. I bolesne dla zwierząt. Oskubywanie i patroszenie drobiu. Nieszczęsne bydlęta na targu zwierzęcym czekające na topór rzeźnic-ki, który rozłupie im czaszki. Muu. Biedne drzące cielęta. Mee. Chwiejący się cielak. Tupot i kwik. Kołyszają się kubły rzeźników. Poproszę o ten mostek z haka. Płask. Głowizna i krwawe kości. Odarte ze skóry szklanookie owce zawieszone za udźce, owcze pyski owinięte krwawym papierem, wysmarkujące krwawą żelatynę na trociny. Wiązania i ścięgna usuwa się. Nie niszczy tych kawałków, chłopcze.

Gorącą świeżą krew zapisują na suchoty. Krew jest zawsze potrzebna. Zdradliwa. Chłepczą ją, gorącodymiącą, gęstą jak syrop. Zagłodzone zjawy.

Ach, jestem głodny.

Wszedł do Davy Byrne'a. Przyzwoity lokal. On nie plotkuje. Stawia kolejkę od czasu do czasu. Ale przestępną, raz na cztery lata. Wymienił kiedyś mój czek na gotówkę.

Co zamówić o tej porze? Wyciągnął zegarek. Pomyślmy. Piwo z imbirem?

- Hallo, Bloom! powiedział Nosey Flynn ze swego kąta.

- Hallo, Flynn.

- Co słychać?

- Znakomicie... Pomyślmy. Wezmę szklankę burgunda i... pomyślmy. Sardynki na półkach. Można je prawie posmakować patrząc. Kanapkę? Szyńka i jej rodzinka z musztardą. Marynaty mięsne. Czym jest dom bez Morela marynaty mięsnej? Nieszczęsny. Jakie głupie ogłoszenie! Umieścili je pod nekrologami. Wszyscy na morelowym pniu. Marynata mięsna z Dignama. Ludożercy jedliby go z cytryną i z ryżem. Biały misjonarz za słony. Jak peklowana wieprzowina. Pewnie wódz zjada najszlachetniejszą część. Powinien być łykowaty od umartwiania. Jego żony stoją szeregiem, aby obejrzeć skutki. Król murzyński raz w dowód swej chwały Wielebnego MacTriggera zjadł hm... cały. Z nią szczęścia przybytkiem. Bóg wie, co za mieszanina. Łożyska płodowe, skliste flaki, gardziele skręcone i posiekane. Zagadka, jak znaleźć mięso. Koszerne. Nigdy mleka i mięsa razem. Teraz nazywają to higieną. Post w Jom

Kippur wiosennymi porządkami we wnętrznościach. Pokój i wojna zależą od trawienia jakiegoś faceta. Religie. Indyki i gęsi na Boże Narodzenie. Rzeź niewiniątek. Jedzcie, pijcie i weselcie się. Później przepelnienie w izbach wytrzeźwień. Obandażowane głowy. Ser pomaga w trawieniu wszystkiego poza nim samym. Mocarny ser.

- Czy są kanapki z serem?

- Tak, proszę pana.

Chciałbym i parę oliwek, gdyby je mieli. Wolę włoskie. Szklanka dobrego burgunda; usuwa to. Naoliwia. Przyjemna sałatka, chłodna jak ogórek. Tom Kernan umie przyrządzać. Robi to ze smakiem. Czysta oliwa z oliwek. Milly podała mi ten kotlet przybrany pietruszką. Dodać jedną hiszpańską cebulę. Pan Bóg stworzył jedzenie, a diabeł kucharzy. Krab diablopikantny.

- Żona zdrowa?

- Zdrowa, dziękuję... Kanapka z serem, wobec tego. Macie gorgonzolę?

- Tak, proszę pana.

Nosey Flynn pociągnął grogu.

- Śpiewa ostatnio?

Popatrz na jego usta. Mógłby sobie zagwizdać w ucho. Kłapouchy na dodatek. Muzyka. Tyle o niej wie co mój stangret. Ale lepiej mu powiedzieć. Nie zaszkodzi. Darmowa reklama.

- Zaangażowała się na duży objazd pod koniec tego miesiąca. Może słyszałeś.

- Nie. O, to sztywne. Kto to przygotowuje? Bufetowy podał.

- Ile to kosztuje?

- Siedem pensów, proszę pana... Dziękuję panu.

Pan Bloom pokroił swoją kanapkę na wąskie skrawki. Wielebnego MacTrigge-ra. Łatwiejsze niż te wodne głodne rzeczy. Dla pięciuset żon jego. Był to wstrząs na całego.

- Musztardę, proszę pana?

- Dziękuję. Tak.

Unosząc kolejno wszystkie kawałki, rozsiał na nich żółte krople. Na całego. Mam już. Gdy im pęczniał i pęczniał wspaniały.

- Kto przygotowuje? powiedział. Widzisz, jest to pomyślane jako rodzaj spółki. Udziały w wydatkach i dochodach.

- Tak, teraz sobie przypominam, powiedział Nosey Flynn, wsuwając rękę do kieszeni, żeby podrapać się w pachwinę. Kto to mi o tym opowiadał? Czy Bujny Boylan nie jest w to zamieszany?

Ciepłe tchnienie piekącej musztardy osiadło na sercu pana Blooma. Uniósł oczy i napotkał spojrzenie zgrzytliwego zegara. Druga. Zegar restauracyjny spieszy się pięć minut. Czas leci. Wskazówki posuwają się. Druga. Jeszcze nie.

Jego przepona brzuszna uniosła się tęsknie, opadła, uniosła się tęsknie, tęskniące.

Wino.

Smakuszczył kordiał i zmusiwszy przełyk, by przełknął, ostrożnie odstawił szklankę.

- Tak, powiedział. Rzeczywiście, on to organizuje.

Bez obawy. Bez mózgu.

Nosey Flynn pociągał nosem i drapał się. Pchła ma uczciwy posiłek.

- Mówił mi Jack Mooney, że poszczęściło mu się przy tym meczu boksterskim, kiedy Myler Keogh wygrał znowu z tym żołnierzem w koszarach Portobello. Bóg świadkiem, że trzymał tego chłopaka w hrabstwie Carlow, opowiadał mi...

Mam nadzieję, że ta kapka z nosa nie wpadnie mu do szklanki. Nie, wciągnął ją.

- Prawie przez miesiąc, człowieku, aż do dnia spotkania. Bóg mi świadkiem, że kazał mu pić kacze jaja, póki nie otrzyma nowych poleceń. Tak go uchował od picia, rozumiesz? O, Bóg mi świadkiem, Boylan to kawał zucha.

Z pokoiku za barem, w koszuli o zawiniętych rękawach, wynurzył się Davy Byrne, otarł wargi dwoma pociągnięciami serwetki. Rumiany jak śledź. Którego uśmiech na licach igra czymś tam i czymś tam przesycony. Za dużo masła na pasternaku.

- A oto on sam i w pełni chwały, powiedział Nosey Flynn. Czy może nam pan wytypować coś dobrego na Złoty Puchar?

- Porzuciłem to, panie Flynn, odpowiedział Davy Byrne. Nigdy nie stawiam nic na konia.

- Ma pan rację, powiedział Nosey Flynn.

Pan Bloom jadł skrawki kanapki, świeży, czysty chleb, z przyjemnym obrzydzeniem: piekącą musztardę, brudnostopy smak zielonego sera. Łyki wina głaskały jego podniebienie. Nie barwione kampezem. Ma lepszy smak o tej porze, kiedy jest mniej chłodne.

Ładny cichy bar. Z ładnego drzewa jest ta lada. Ładnie wygładzona. Podoba mi się to zakrzywienie tutaj.

- Nie tknąłbym niczego z tej branży, powiedział Davy Byrne. Niejednego człowieka zrujnowały już te konie.

Totalizator winiarzy. Posiada koncesję na sprzedaż piwa, wina i spirytualiów dla konsumpcji na terenie lokalu. Orzeł, ja wygrywam, reszka, ty przegrywasz.

- Prawda, powiedział Nosey Flynn. Chyba że jest pan wtajemniczony. Nie ma teraz uczciwego sportu. Lenehan dostaje czasem dobre. Obstawia dzisiaj Sceptre. Faworytem jest Zinfandel lorda Howarda de Walden, wygrał w Epsom. Dosiada go Morny Cannon. Dwa tygodnie temu mogłem dostać siedem do jednego za Saint Amant.

- Czyżby? powiedział Davy Byrne...

Podszedł do okna i uniósłszy podręczną książkę kasową, zaczął przeglądać jej kartki.

- Daję słowo, że mogłem, powiedział Nosey Frynn pociągając nosem. To był rzadki kawał konia. Saint Frusquin był jej ojcem. Wygrała w czasie burzy, ta klacz Rothschilda, uszy miała zatłkane watą. Niebieska kurtka i żółta czapeczka. Niech lichy weźmie Bena Dollarda i jego Johna o'Gaunta. Odmówił mnie od niej. Tak.

Zrezygnowany, pociągnął ze swego kufla, przesuwając palcami wzdłuż wyżłobień.

- Tak, powiedział wzdychając.

Pan Bloom, jedzący stojący, spojrzał na jego westchnienie. Nosey tępak. Czy powiem mu o tym koniu, którego Lenehan? Wie już. Lepiej dać mu zapomnieć. Pójdzie i przegra więcej. Głupiec i jego pieniądze. Kapka znowu zwisa. Miałby zimny nos, całując kobietę. Ale mogłyby to lubić. Lubią kłujące brody. Zimne psie nosy. Stara pani Riordan w hotelu City Arms z tym swoim skye-terrierem, któremu burczało w brzuchu. Molly pieściła go na kolanach. O, jakie wielkie psisko hauhau-hausisko!

Wino przesyciło i zmiękczyło ugnieciony miąższ chleba musztardę odrobinę mdłego sera. Przyjemne jest to wino. Smakuje mi lepiej, bo nie mam pragnienia. Kąpiel tak działa, oczywiście. Tylko jeden albo dwa kąski. Później o szóstej będę mógł. Szósta, szósta. O tej porze będzie po wszystkim. Ona...

Łagodny płomień wina rozgrzał mu żyły. Potrzebne mi to było bardzo. Czułem się nijako. Jego niegłodne oczy ujrzały półki puszek, sardynek, krzykliwych homa-rzych szczypiec. Wszystkie te dziwne rzeczy, które ludzie wybierają jako pożywienie. Z muszli, z małży biorą szpilkę, z drzew, z ziemi Francuzi jedzą ślimaki, z morza przynętą na haku. Głupie ryby niczego się nie uczą przez tysiąc lat. Gdyby się nie wiedziało, wkładanie czegośkolwiek do ust byłoby ryzykowne. Trujące jagody. Johnny Magories. Myślisz, że okrągłość jest smaczna. Krzykliwa barwa odstrasza cię. Jeden facet powiedział drugiemu i tak dalej. Wypróbować najpierw na psie. Wiedziony zapachem albo wyglądem. Kuszący owoc. Lody w waflach. Krem. Instynkt. Gaje pomarańczowe, na przykład. Wymagają sztucznego nawadniania.

Bleibtreustrasse. Tak, ale co z ostrygami? Odrażające jak kulka plwociny. Obrzydliwe muszle. I diabelnie trudno je otworzyć. Kto je odkrył? Żywią się odpadkami i nieczystościami. Szampan i ostrygi z Czerwonego Wybrzeża. Seksualnie skuteczne. Afrodyz. Dziś rano była jeszcze na Czerwonym Wybrzeżu. Była ostryga grubą rybą przy stole. Może będzie młodym ciałem w łóżku. Nie. W czerwcu nie ma ani o, ani ostryg. Ale są ludzie, którzy lubią skruszałą dziczyznę. Potrawka z zająca. Najpierw nasyp mu soli na ogon. Chińczycy jedzą pięćdziesięcioletnie jajka, niebie-skozielone. Obiad z trzydziestu dań. Każda nieszkodliwa potrawa może się z czymś mieszać wewnątrz. Pomysł na tajemnicze otrucie. Czy to arcyksiążę Leopold. Nie. Tak, a może to był Otto, jeden z tych Habsburgów? Kto to zjadał łupież ze swojej własnej głowy? Najtańszy obiad w mieście. Oczywiście, arystokraci. Potem inni naśladują, bo to modne. Milly też naftę i mąkę. Ja sam lubię surowe ciasto. Połowę połowu ostryg wrzucają na powrót do morza, żeby utrzymać cenę. Tanie. Nikt by nie kupił. Kawior. Bardzo pomaga. Reńskie w zielonych kieliszkach. Dobrze pęcznieje. Pani ta. Piersi pudrowane, perły. Elitę. Cremede la creme. Wymagają specjalnych dań, żeby udawać, że są. Pustelnik garścią grochu gasi podniety cielesne. Znasz mnie, przyjdź, jedz ze mną. Jesiotr po królewsku. Strażnik Miejski, Truman, rzeźnik, mają prawo do zwierzyny z lasów Jego Eks. Odeślij mu pół samki. Widziałem rozłożone w kuchniach archiwariusza królewskiego. Chef w białej czapce jak rabin. Kaczka w płonącym araku. Fryzowana kapusta a la duchesse de Parme. Równie dobrze można by to napisać w jadłospisie, tak żebyś mógł wiedzieć, co zjadłeś, gdzie przypraw sześć, tam nie ma co jeść. Sam wiem o tym. Sfałszować to zupą w kostkach Edwardsa. Dla nich gęsi tuczone aż do oglupienia. Homary gotowane żywcem. Pardzo proszę poczęstować się pardwą. Mógłbym być kelnerem w eleganckim hotelu. Napiwki, wieczorowy strój, półnagie damy. Czy nie skusi się pani na solę w filetach, z cytryną, panno Dubedat? Tak, dube daj. I dube dała. Hugonockie nazwisko, jak mi się wydaje. Pamiętam, że panna Dubedat mieszkała w Killiney. Du, de la, francuskie. Ale to ciągle ta sama ryba, może stary Micky Hanion z ulicy Moore wypatroszył z niej kiszki, robiąc pieniądze, zębami i pazurami, z paluchami w rybich skrzelach, nie umie nawet podpisać się na czeku, można by przypuszczać, że maluje obrazek, tak ma głowę przy tym wykrzywioną. Miiichaaał Ha an. Głupi jak but, wart pięćdziesiąt tysięcy funtów.

Sczepione na szybie dwie muchy bzykały, sczepione.

Płomienne wino na jego podniebieniu rozplýwało się, przełykane. Winogrona gniecione w winnych prasach Burgundii. To ciepło słoneczne. Przywołuje wspomnienia jak utajone dotknięcie. Tknięte, zwilżone jego zmysły przypominały sobie. Ukryci w dzikich paprociach na Howth. Pod nami zatoka, uśpione niebo. Żadnego dźwięku. Niebo. Zatoka purpurowa naokół Lwiej Głowy. Zielona przy Drumleck. Żółtozielona w stronę Sutton. Podmorskie łąki, nikłe brunatne linie w wodorostach, zatopione miasta. Płaszcz mój był poduszką dla jej włosów, skórki we wrzosach, moja dłoń podłożona pod jej plecy, pognieciesz mi wszystko. O cudzie! Chłodnomiękka od pachnideł jej dłoń dotykała mnie, pieściła: nie odwróciła wpatrzonych we mnie oczu. W uniesieniu leżałem na niej, usta pełne, w pełni otwarte, całe,

całowałem jej usta. Llup. Miętko podała mi w usta ciepłe, przeżute ciastko anyżkowe. Mdła papka w jej ustach była słodka i kwaśna od śliny. Radość: jadłem to: radość. Młode życie, jej wargi nabrzmiące przylgnęły do mnie. Miękkie, ciepłe, lepkie sprężystekleiste wargi. Jej oczy były jak kwiaty, weź mnie, pragnące oczy. Kamyki potoczyły się. Leżała nieruchomo. Koza. Nikogo. Wysoko na Ben Howth, między rododendronami koza szła, pewnie stąpając, gubiąc bobki. Ukryta w paprociach, zaśmiała się, gorąco objęta. Leżałem na niej, całowałem ją dziko; oczy, jej wargi, jej prostą szyję, tętniącą, jej pełne kobiece piersi w bluzce z muslinu, tłuste sterczące sutki. Mój język był gorący. Całowała mnie. Byłem całowany. Poddając się zupełnie, mierzwiła moje włosy. Całowała, całowała mnie.

Mnie. A ja teraz.

Sczepione, muchy bzykały.

Jego opuszczone oczy podążyły za cichym słojem dębowej powierzchni. Piękno: zaokrągliła się: okrągłości są pięknem. Kształtne boginie, Venus, Junona: świat podziwia okrągłości. Można je zobaczyć w bibliotece muzeum, stojące w okrągłym hallu, nagie boginie. Wspomagają trawienie. Nie dbają o to, kto na nie patrzy. Wszystko do obojętności. Nigdy nie przemawiają, chcę powiedzieć, do takich facetów jak Flynn. Przypuśćmy, że zrobiłaby to, co Galatea Pygmalionowi, co by powiedziała najpierw? Śmiertelniku! Ustawiłaby cię od razu na właściwym miejscu. Przy posiłku spijać nektar z bogami, złote naczynia, wszystko ambrozyjskie. Nie jak te marne posiłki, które my jemy, gotowana baranina, marchewka i rzepa, butelka cienkusz. Nektar, wyobraź sobie, że pijesz elektryczność: pożywienie bogów. Piękne kształty mają te posągi kobiece wyrzeźbione na podobieństwo Junony. Nieśmiertelne piękno. A my wypychamy jedzenie dziurą z jednej strony i wypuszczamy tyłem: pożywienie, soki trawienne, krew, kał, ziemia, pożywienie: trzeba to odżywiać jak kocioł lokomotywy. A one nie mają wcale. Nigdy nie zajrzałem. Zajrzę dzisiaj. Woźny nie zauważy. Pochylę się upuszczę coś zobaczę czy ona.

Z jego pęcherza spłynęła cicha wieść aby iść aby nie robić aby zrobić tam aby zrobić. Będąc mężczyzną i gotowym, osuszył swoją szklankę do dna i odszedł, ale mężczyznom także oddawały się, świadome męskości, pokładały się z mężczyznami kochankami, pewien młodzieniec posiadał ją, na podwórzu.

Gdy odgłos jego butów ucichł, Davy Byrne powiedział znad swej książki:

- Czym on jest? Czy nie pracuje w ubezpieczeniach?
- Rozstał się z tym już dawno, powiedział Nosey Flynn. Zajmuje się akwizycją ogłoszeń dla Człowieka Wolnego.
- Znam go dobrze z widzenia, powiedział Davy Byrne. Czy ma jakieś zmartwienie?
- Zmartwienie? powiedział Nosey Flynn. Nie słyszałem. Dlaczego?

- Zauważyłem, że był w żałobie.

- Był? powiedział Nosey Flynn. Był, daję słowo. Zapytałem go, co słyhać w domu. Bóg świadkiem, że ma pan rację. Był.

- Nigdy nie zagaduję na taki temat, powiedział Davy Byrne współczująco, kiedy widzę, że jakiś gentleman ma tego rodzaju kłopot. To tylko każe im od nowa o tym myśleć.

- W każdym razie to nie żona, powiedział Nosey Flynn. Spotkałem go przedwczoraj, kiedy wychodził z tej Irlandzkiej Mleczarni Wiejskiej, którą żona Johna Wyse Nolana ma przy Henry Street, z dzbankiem śmietany w ręce, niósł go do domu dla swej lepszej połowy. Jest dobrze odżywiona, powiadam panu. Ptasiego mleka jej nie brakuje.

- I pracuje w Człowieku Wolnym? powiedział Davy Byrne. Nosey Flynn ściągnął wargi.

- Nie kupuje śmietany za te ogłoszenia, które złowi. To wystarczy tylko na wędzonkę.

- Jak to? zapytał Davy Byrne, odchodząc od swej książki.

Nosey Flynn uczynił zonglującymi palcami kilka znaków w powietrzu. Mrugnął.

- Jest w loży, powiedział.

- Co pan powiada? powiedział Davy Byrne.

- Na pewno, powiedział Nosey Flynn. Starożytne wolne i uznawane bractwo. Światłość, życie, miłość. Bóg mi świadkiem. Pomagają mu. Mówił mi o tym, hm, nie powiem kto.

- Czy rzeczywiście?

- O, to znakomite bractwo, powiedział Nosey Flynn. Nie opuszczą cię, kiedy jesteś pod wozem. Znam faceta, który starał się do nich dostać, ale są zakonspirowani jak diabli. Bóg świadkiem, że mieli rację wykluczając z tego kobiety.

Davy Byrne jednocześnie uśmiechnął się ziewnął przytaknął:

- liiiiiiaaaaaach!

- Była jedna kobieta, powiedział Nosey Flynn, która schowała się w zegarze, żeby dowiedzieć się, co robią. Ale niech będę przeklęty, jeżeli nie wywęszyli jej i nie zaprzysięgli na miejscu jako mistrza masońskiego. Była to jedna z Saint Legerów z Doneraile.

Davy Byrne, nasycony swym ziewnięciem, powiedział z zażawionymi oczami:

- Czy rzeczywiście? To przyzwoity, spokojny człowiek. Często go tu widziałem i ani razu nie zauważyłem, żeby przekroczył, wie pan, granicę.

- Pan Bóg Wszechmogący nie mógłby go upić, powiedział Nosey Flynn stanowczo. Wymyka się, kiedy robi się za gorąco. Czy nie zauważył pan, jak patrzył na zegarek? Ach, nie było

pana tu wtedy. Jeżeli zaprosi go pan na kolejkę, to najpierw wyciągnie zegarek, żeby zobaczyć, co powinien wypić. Bóg mi świadkiem, że tak robi.

- Niektórzy bywają tacy, powiedział Davy Byrne. Powiedziałbym, że można mu zaufać.

- Nie jest najgorszy, powiedział Nosey Flynn, wciągając ją. Wiadomo, że potrafi podać pomocną rękę człowiekowi. Oddaje diabłu, co diabelskie. O, Bloom ma swoje dobre strony. Ale jest jedna rzecz, której nie zrobi nigdy.

Udał, że nakreśla dłonią podpis piórem obok swego grogu.

- Wiem, powiedział Davy Byrne.

- Nic czarno na białym, powiedział Nosey Flynn. Weszli Paddy Leonard i Bantam Lyons. Tom Rochford wszedł za nimi, wygładzając dłonią swą wiśniową kamizelkę.

- Dobry, panie Byrne.

- Dobry panom.

Zatrzymali się przy ladzie.

- Kto postawi? zapytał Paddy Leonard.

- Ja posiedzę, powiedział Nosey Flynn.

- No, co będziemy pili? zapytał Paddy Leonard.

- Ja imbirową lemoniadę, powiedział Bantam Lyons.

- Ile? zawołał Paddy Leonard. Odkąd, na miłość boską? A ty co. Tomie?

- Jak tam główny przewód? zapytał Nosey Flynn, pociągając. W odpowiedzi Tom Rochford przycisnął dłoń do piersi i czknął.

- Czy mógłbym poprosić pana o szklankę czystej wody, panie Byrne? powiedział.

- Oczywiście, proszę pana.

Paddy Leonard zerknął na swych piwkompanów.

- Niech mnie Bóg zmieni w kaczkę, powiedział, spójrzcie, co za trunki im stawiam! Zimna woda i imbirowa lemoniada! Dwóm facetom, którzy potrafiliby wysać whisky z serdelka. Ma w rękawie jakiegoś przekłętego konia na Złoty Puchar. Murowany.

- Czy Zinfandel? zapytał Nosey Flynn.

Tom Rochford wysypał do postawionej przed nim wody proszek ze złożonego papierka.

- Ta przekłeta niestrawność, powiedział, zanim wypił.

- Gorzka sól jest bardzo dobra, powiedział Davy Byrne. Tom Rochford przytaknął i wypił.
 - Czy to Zinfandel?
 - Nic nie mów, Bantam Lyons mrugnął. Mam zamiar postawić pięć szylingów na własną rękę.
 - Bądź człowiekiem, powiedz i idź do diabła, powiedział Paddy Leonard. Kto ci go dał?
- Pan Bloom, kierując się ku wyjściu, uniósł trzy palce w pozdrowieniu.
- Serwus, powiedział Nosey Flynn. Pozostali odwrócili się.
 - To jest człowiek, który mi go dał, szepnął Bantam Lyons.
 - Ech! powiedział Paddy Leonard z pogardą. Panie Byrne, wypijemy pańskie dwie małe whisky Jamesona...
 - Imbirową lemoniadę, dodał uprzejmie Davy Byrne.

- Tak, powiedział Paddy Leonard. Butelkę ze smoczkiem dla dziecka. Pan Bloom ruszył w kierunku Dawson Street, głaszcząc zęby językiem. Musiałaby to być jakaś zielenizna: powiedzmy szpinak. Wtedy tymi promieniami Röntge-na mógłbyś.

Na Duke Lany żarłoczny terier zwymiotował obrzydliwą, kostropatą przeżutą papkę na kamienie bruku i chleptał ją z nowym zapalem. Przesyt. Oddajemy z podziękowaniem przetrawiwszy dokładnie zawartość. Najpierw deser, potem zakąska. Pan Bloom obszedł ostrożnie. Przeżuwacze. Jego drugie danie. Poruszają górną szczęką. Ciekawe, czy Tom Rochford robi coś z tym swoim wynalazkiem. Traci czas wyjaśniając to tej gębie Flynn. Chudzi ludzie, szerokie usta. Powinien być gmach albo miejsce, gdzie wynalazcy mogliby przychodzić i wynajdywać bez przeszkód. Oczywiście wtedy wszyscy wariaci przeszkadzaliby.

Zanucił, przedłużając poważnym echem zakończenia taktów:

Don Giovanni, a cenar teco M'invitasti.

Czuję się lepiej. Burgund. Pokrzepił mnie bardzo. Kto pierwszy destylował? Jakiś facet w smutnym nastroju. Pijacka odwaga. Ten Lud Kilkenny w Bibliotece Narodowej muszę teraz.

Nagie, czyste muszle klozetowe, oczekujące w oknie wystawowym Williama Millera, instalatora, zawróciły jego myśli. Mogliby: i obserwować przez całą drogę w dół, połknięta szpilka czasami wychodzi z żeber po latach, objechać całe ciało, przestawić przewód żółciowy, śledziona tryskająca do wątroby, soki żołądkowe, zwoje jelit jak rury. Ale biedny staruszek musiałby stać przez cały ten czas z wnętrznościami na pokaz. Nauka.

- A cenar teco.

Co znaczy to teco! Może dziś wieczór.

Don Giovanni, tyś mnie zaprosił Dziś na wieczerzę Ta tam ta tamtam.

Nie składa się odpowiednio.

Klaucz: dwa miesiące, jeżeli uda mi się Nannettiego. To by było dwa funty dziesięć szylingów, mniej więcej dwa funty osiem szylingów. Hynes jest mi winien trzy. Dwa funty jedenaście. Ogłoszenie Presscotta. Dwa funty piętnaście. Około pięciu gwinei. Dobry interes.

Mógłbym kupić jedną z tych jedwabnych halek dla Molly, koloru jej nowych podwiązek.

Dzisiaj. Dzisiaj. Nie myśleć.

A potem objechać Południe. A może by angielskie uzdrowiska nadmorskie? Brighton, Margate. Moło w blasku księżycy. Jej głos falujący w dal. Te śliczne nadmorskie dziewczęta. Przed barem Johna Longa drzemający włóczęga wyciągnął się pogrążony w głębokim rozmyślaniu, obgryzając zrogowaciałe palce. Człowiek do wszystkiego poszukuje pracy. Małe wynagrodzenie. Jada wszystko.

Pan Bloom skręcił przy nie zakupionych ciastkach w oknie wystawowym cukiernika Graya i minął księgarnię wielebnego Thomasa Connellana. Dlaczego porzuciłem Kościół rzymski? Ptasie Gniazdo. Kobiety tam rządzą. Powiadają, że w czasie zarazy ziemniaczanej dawały biednym dzieciom zupę, żeby je nawrócić na protestantyzm. Stowarzyszenie naprzeciwnie dla nawracania biednych żydów, do którego uczęszczał tatuś. Ta sama przynęta. Dlaczego porzuciliśmy Kościół rzymski?

Ślepy wyrostek stał, postukując w krawężnik cienką laską. Nie widać żadnego tramwaju. Chce przejść na drugą stronę.

- Czy chce pan przejść na drugą stronę? zapytał pan Bloom. Ślepy wyrostek nie odpowiedział. Ściana jego twarzy drgnęła słabo. Niezdecydowanie poruszył głowę.

- Jest pan na Dawson Street, powiedział pan Bloom. Molesworth Street jest naprzeciw. Czy chce pan przejść na drugą stronę? Nie ma nic na drodze.

Drżąca laska skierowała się w lewo. Oko pana Blooma podążyło za nią i ponownie ujrzało wóz ciężarowy farbiarza stojący przed sklepem Drago. To tam zobaczyłem jego wybrylantynowane włosy właśnie wtedy kiedy. Koń z opuszczonym łbem. Woźnica u Johna Longa. Gasi pragnienie.

- Jest tam wóz ciężarowy, powiedział pan Bloom, ale stoi. Przeprowadzę pana. Czy chce pan dojść do Molesworth Street?

- Tak, odpowiedział wyrostek. Ulica South Frederick.

- Chodźmy, powiedział pan Bloom.

Delikatnie dotknął chudego łokcia: potem ujął bezwładną, widzącą dłoń, żeby poprowadzić ją naprzód.

Powiedz coś do niego. Lepiej nie okazywać współczucia. Nie ufają wtedy temu, co im powiesz. Powiedz coś ogólnikowego.

- Obeszło się bez deszczu.

Żadnej odpowiedzi.

Ma poplamioną marynarkę. Chyba upuszcza jedzenie. Zupełnie inaczej mu smakuje. Początkowo musi być karmiony łyżką. Ma dłoń jak dłoń dziecka. Milly taką miała. Wrażliwa. Zdaje się, że ocenia mnie na podstawie mojej dłoni. Ciekawe, czy ma nazwisko. Wóz ciężarowy. Nie dać mu dotknąć laską nóg konia, zmęczona szkapą drzemie. W porządku. Wolna droga. Z tyłu byk: z przodu koń.

- Dziękuję panu.

Wie, że jestem mężczyzną. Głos.

- Już w porządku? Pierwszy skręt w lewo.

Ślepy wyrostek postukał w krawężnik i poszedł swoją drogą, cofając laskę, wyczuwając ponownie.

Pan Bloom ruszył z tyłu za bezokimi stopami i luźno skrojonym ubraniem z tweedu w jodełkę. Biedny chłopak! Jakim cudem wiedział, że ten wóz ciężarowy tam stał? Musiał go wyczuć. Może dostrzegają rzeczy czołem. Rodzaj zmysłu objętości. Ciężaru. Poczulby, gdyby coś zostało usunięte. Uczucie luki. Dziwny obraz Dublina musi mieć wystukując drogę wkoło po bruku. Czy umiałby iść prosto, gdyby nie miał tej laski? Bezkrwista, świątobliwa twarz jak u faceta, który ma zostać księdzem.

Penrose! Tak się nazywał ten gość.

Ale iluż rzeczy oni mogą się nauczyć. Czytać palcami. Stroić fortepiany. A nas zaskakuje, że myślą. Dlaczego sądzimy, że kaleka albo garbus jest mądry, jeżeli powie coś, co sami możemy powiedzieć. Oczywiście inne zmysły znaczą więcej. Wyszywają. Plotą koszyki. Ludzie powinni pomagać. Koszyk do robótek mógłbym kupić Molly na urodziny. Nienawidzi szycia. Może jej się nie spodobać. Nazywają ich ociemniałymi.

Muszą mieć też silniejszy zmysł powonienia. Zapachy z wszystkich stron stłoczone razem. Każda osoba też. No i wiosna, lato: zapachy. Smaki. Mówią, że nie można próbować win z zamkniętymi oczyma albo mając katar. Mówią też, że palenie po ciemku nie sprawia przyjemności.

I z kobietą, na przykład. Bardziej bezwstydne, kiedy nie widzą. Ta dziewczyna mijająca z zadartą głową Instytut Stewarta. Spójrz na mnie. Jestem w pełnym rynsztunku. Musi być dziwne nie widzieć jej. Rodzaj kształtu w oku jego duszy. Temperatura głosu, gdy dotyka jej palcami, musi prawie widzieć linie, wypukłości. Trzyma ręce na jej włosach, na przykład. Powiedzmy, że są czarne, na przykład. Dobrze. Nazywamy je czarnymi. Potem przesuwają po jej białej skórze. Może to się inaczej wyczuwa. Wyczuwanie białego.

Urząd pocztowy. Muszę odpowiedzieć. Zapracowany jestem dzisiaj. Wysłać jej przekaz pocztowy dwa szylingi pół korony. Przyjmij mój mały podarunek. Sklep z przyborami piśmiennymi też tu jest. Zaczekaj. Przemyśl.

Łagodnym palcem przesunął wolniuteńko po włosach zaczesanych do tyłu ponad uszami. Jeszcze raz. Włókna cieniuteńkiej cieniuteńkiej słomy. Potem palec jego dotknął łagodnie skóry na prawym policzku. Tam także miękkie włosy. Niedostatecznie gładka. Brzuch jest najgładszy. Nikogo dokoła. Wchodzi w Frederick Street. Może do pianina szkoły tańców Levenstona. Mogę poprawiać sobie szelki.

Przechodząc przed kawiarnią Dorana, wsunął dłoń między kamizelkę i spodnie, i, odsunawszy delikatnie na bok koszulę, dotknął obwisłej fałdy swego brzucha. Ale wiem, że jest białozółty. Trzeba spróbować po ciemku, żeby zobaczyć.

Usunął dłoń i poprawił ubranie.

Biedny facet! Prawie chłopiec. Okropne. Naprawdę okropne. Jakże sny może miewać nie widząc? Dla niego życie jest snem. Co to za sprawiedliwość, urodzić się takim? Te wszystkie kobiety i dzieci na wycieczce, które spaliły się i utonęły w Nowym Jorku. Całopalenie. Karmą nazywają oni tę wędrówkę dusz za grzechy popełnione w przeszłym życiu reinkarnacją mnie tam psy chodzą. Boże, Boże, Boże. Żal, oczywiście: ale w jakiś sposób nie można zbliżyć się do nich.

Sir Frederick Falkiner wchodzi do zboru wolnomularzy. Nadęty jak dynia. Po dobrym obiedzie w Earlsfort Terrace. Starzy przyjaciele prawnicy wysuszyli bukłak. Opowiadania z ławy przysięgłych, z posiedzeń sądu, ze sprawozdań z przytułków dla sierot. Skazałem go na dziesięć lat. Myślę, że kręciłby nosem na to, co ja piję. Wyśmienite wino dla nich, z rokiem zaznaczonym na omszałej butelce. Ma swój własny pogląd na wymiar sprawiedliwości w sądach okręgowych. Dobroduszny staruszek. Rejestry policyjne zapchane sprawami, a oni dostają procent za fabrykowanie przestępstw. Odsyła ich do diabła. Kat na lichwiarzy. Dał dobrą szkołę Rubenowi J. Ale on jest naprawdę tym, kogo nazywa się paskudnym żydem. Potężni są ci sędziowie. Stare zapite zrzędy w perukach. Niedźwiedzie samotniki. I niechaj Bóg zlituje się nad twą duszą.

Oho, plakat. Kiermasz dobroczynny Mirrus. Jego ekscelencja lord namiestnik. Szesnastego to dzisiaj. Aby zasilić fundusze szpitala Mercera. Mesjasza po raz pierwszy wystawiono na ten cel. Tak. Haendel. Może by tam pójść. Balisbridge. Wstąpić do Klauca. Nie warto

przypinać się do niego jak pijawka. Stracę jego przychylność. Na pewno znam kogoś przy wejściu.

Pan Bloom doszedł do ulicy Kildare. Najpierw muszę. Biblioteka.

Słomkowy kapelusz w słońcu. Żółte buty. Spodnie z mankietami. To jest. To jest.

Jego serce załopotало miękko. Na prawo. Muzeum. Boginie. Skręcił w prawo.

- Czy to? Prawie na pewno. Nie spojrzę. Wino zarumieniło mi twarz.

Dlaczego ja? Poszło zanadto w głowę. Tak, to jest. Chód. Nie widzieć. Nie widzieć. Naprzód.

Zbliżając się do bramy muzeum wielkimi niepewnym krokami, uniósł oczy. Ładny budynek. Projekt sir Thomasa Deane'a. Czy nie idzie za mną?

Może mnie nie zauważył. Miał słońce w oczy.

Jego roztrzepotany oddech wydobywał się krótkimi westchnieniami. Prędko. Zimne posągi: zacisznie tam. Bezpieczny za chwilę.

Nie, nie zauważył mnie. Po drugiej. Akurat w bramie.

Moje serce!

Jego rozdygotane oczy spoglądały nieruchomo na kremowe kamienne wypukłości. Sir Thomas Deane to styl grecki.

Szukać czegoś ja.

Jego spieszna dłoń wsunęła się prędko do kieszeni, wyjęła, odczytała rozwiniętą Agendath Netaim. Gdzież ja?

Gorliwie poszukując.

Szybko wsunął na powrót Agendath.

Powiedziała po południu.

Szukam tego. Tak, tego. Próbuj po wszystkich kieszeniach. Chust. Człowiek Wolny. Gdzież ja? Ach, tak. Spodnie. Portmonetka. Ziemniak. Gdzież ja?

Pospiesz się. Idź spokojnie. Jeszcze chwilę. Moje serce.

Jego ręka poszukująca gdzież ja to znalazła w tylnej kieszeni mydło muszę wpaść po olejek rozgrzany papier przykleił się. Ach, mydło tu! Tak. Brama.

Ocalony!

DWORNIE, ABY IM SPRAWIĆ PRZYJEMNOŚĆ, KWAKIERSKI BIBLIOTEKARZ
ZAMRUCZAŁ:

- I mamy, nieprawdaż, owe bezcenne stronice Wilhelma Meistra? Wielki poeta o wielkim
bratnim poecie. Dusza pełna wahań, występująca do boju przeciw morzu trosk, rozdarta
zwalczającymi się wątpliwościami, jak to można dostrzec w prawdziwym życiu.

Postąpił krok z cinque-pas naprzód na skrzypiącej skórze bydlęcej i krok z cinque-pas
wstecz na czcigodnej podłodze.

Bezszelestny asystent, uchyliwszy drzwi tylko troszeczkę, przywołał go bezszelestnym
skinieniem.

- Natychmiast, powiedział, skrzypiąc, by odejść, lecz zwlekając. Piękny, bezsilny marzyciel,
którego ranią twarde fakty. Człowiek zawsze odczuwa, że sądy Goethego są tak prawdziwe.
Prawdziwe przy głębszej analizie.

Dwuposkrzypując analizie odszedł kurantowym krokiem. Łysy najgorliwiej w drzwiach
skłonił swe wielkie ucho ku słowom asystenta: wysłuchał: zniknął.

Dwóch pozostało.

- Monsieur de la Palisse, powiedział Stefan szyderczo, żył na piętnaście minut przed swą
śmiercią.

- Czy znalazł pan już tych sześciu dzielnych medyków, zapytał John Egiinton ze starczą
goryczą, aby napisali Raj utracony pod pana dyktando? Nazywa je Smutkami Szatana.

Uśmiech. Uśmiechnij się uśmiechem Cranly'ego.

Najpierw dręczył dziewczuszkę,

Potem męczył dziewczuszkę,

Potem wepchnął jej ową do podmywania gruszkę,

Gdyż był z niego medyk,

Wesoły med...

- Wydaje mi się, że potrzeba panu jeszcze jednego dla Hamleta. Siódemka jest droga dla
mistycznego umysłu. W. B. nazywa je lśniąca siódemką.

Migotliwooki, o rdzawej czaszce, tuż przy zielonoprzyćmionej lampie na biurku,
objawiającej brodatą twarz pośród ciemnozielonego cienia, ollav, światobliwo-oki. Zaśmiał
się nisko: śmiechem stypendysty z Trinity: bez echa.

Szatan-artysta, oplakujący

Krucyfiksy anielskimi Izami.

Ed egii avea del culfatto trombetta.

Ma w zastaw moje szaleństwa.

Cranly'ego jedenastu prawych ludzi z Wicklow, którzy oswobodzą swą ojczyznę. Szczerbatozęba Kathleen Jej cztery piękne zielone pola, obcy jest w jej domu. Jeszcze jeden, pozdrawiający go: ave, rabbi. Dwunastka Tina heły. W cienistej dolinie nawołuje ich. Młodość mej duszy oddawałem mu, noc po nocy. Boże prowadź. Szczęśliwych łowów.

Mulligan ma mój telegram.

Szaleństwo. Wytrzymajmy.

- Nasi młodzi irlandzcy bardowie, powiedział John Egiinton z przyganą, muszą jeszcze stworzyć postać, którą świat postawi obok Hamleta Saksona Shakes-peare'a, choć podziwiam go, jak to czynił stary Ben, ale bez bałwochwalstwa.

- Wszystkie te kwestie są czysto akademickie, zawyrokował Russell ze swego cienia. Mam na myśli, czy Hamlet jest Shakespeare'em, Jakubem I czy Essexem. Dyskusje duchownych o historyczności Jezusa. Sztuka winna objawiać nam idee, bezkształtne esencje duchowe. Najważniejszą kwestią dotyczącą dzieła sztuki jest, z jakich głębin życia ono wytryska. Malarstwo Gusta ve'a Moreau jest malarstwem idei. Najgłębsza poezja Shelleya, słowa Hamleta pozwalają naszemu umysłowi obcować z wiekiustą mądrością, z platońskim światem idei. Wszystko pozostałe jest rozważaniem uczniów dla uczniów.

A. E. powiedział to jakiemuś jankeskiemu reporterowi. Niech mnie piekło spali!

- Uчени byli najpierw uczniami, powiedział Stefan superuprzejmie. Arystoteles był kiedyś uczniem Platona.

- I należy mieć nadzieję, że pozostał nim, powiedział John Egiinton statecznie. Można go sobie wyobrazić jako wzorowego ucznia ze świadectwem pod pachą.

Roześmiał się znowu ku uśmiechającej się teraz brodatej twarzy.

Bezkształtny duchowy. Ojciec, Słowo i Dech Święty. Wszechojciec, niebiański człowiek. Hiesos Kristos, czarodziej piękna, Logos, które cierpi w nas nieustannie. Prawdziwie jest tak. Jam jest ogniem na ołtarzu. Jam jest tłuszczem ofiarnym.

Duniop, sędzia, najszlachetniejszy Rzymianin z nich wszystkich, A. E., Arval. Imię Niewypowiedziane, na niebios wysokościach. K.. H., ich mistrz, którego tożsamość nie jest tajemnicą dla adeptów. Bracia z wielkiej białej łoży nieustannie czuwający, aby spieszyć z pomocą. Chrystus z siostrą oblubienicą, nasienie światłości, narodzony z uduchowionej dziewicy, mądrość żałująca, która odeszła na równinę buddyzmu. Życie ezoteryczne nie jest

dla zwykłych osób. O. P. musi najpierw strząsnąć złą karmę. Pani Cooper Oakley podpatrzyła pewnego razu elementałę naszej wielce czcigodnej siostry H. P. B.

O, fe! Precz z tym! Pfuiteufel! Nie trza patrzeć, paniusiu, nie trza, kiedy dama pokazuje swoją elementałę.

Pan Naj wszedł wysoki, młody, łagodny, lekki. Niósł w dłoni z wdziękiem notatnik, nowy, wielki, czysty, lśniący.

- Ów wzorowy uczeń, powiedział Stefan, uważałby rozmyślania Hamleta o przyszłym życiu jego książęcej duszy za nieprawdopodobny, nieistotny i niedra-matyczny monolog, płytki jak u Platona.

John Egiinton spochmurniał, mówiąc z wzrastającym gniewem:

- Przysięgam, że krew się we mnie gotuje, gdy słyszę kogokolwiek porównującego Arystotelesa z Platonem.

- Który z nich dwóch, zapytał Stefan, wygnałby mnie ze swej republiki? Obnaż sztylety twoich definicji. Końskość jest cością wszechkonია. Czcza oni strumienie dążeń i eony. Bóg: hałas w ulicy: bardzo perypatetyczne. Przestrzeń: to, co tak przekłęcie wyraźnie musisz widzieć. Przez przestrzenie mniejsze niż czerwone ciała krwi ludzkiej pełznąc czołgają się w ślad za półdupkami Blake'a ku wieczności, której ten roślinny świat jest tylko cieniem. Trzymaj się teraźniejszości, tego tu, przez które cała przyszłość wpada do przeszłości. Pan Naj podszedł, przyjazny, ku swemu koledze.

- Haines poszedł już, powiedział.

- Czyżby?

- Pokazywałem mu książkę Jubainville'a. Jest pełnym entuzjastą, wie pan, Pieśni miłosnych Connacht Hyde'a. Nie mogłem go tu ściągnąć, żeby posłuchał dyskusji. Poszedł do Gilla, żeby ją kupić.

Książeczko ma, ulecieć chciej Ku publiczności chłodnej. Pisana, choć wbrew woli mej, W angielszczyźnie niegodnej.

- Dymy torfowisk uderzają mu do głowy, zaopiniował John Egiinton. Czujemy w Anglii. Żałujący złodziej. Odszedł. Palilem jego tytoń. Zielony, lśniący kamień. Ów szmaragd, który tkwi w pierścieniu morza.

- Ludzie nie wiedzą, jak niebezpiecznymi mogą być pieśni miłosne, ostrzegło okultystycznie pozłocone jajo Russella. Ruchy, które powodują rewolucje w świecie, rodzą się ze snów i wizji skrytych w sercu wieśniaczym na zboczach wzgórz. Dla nich ziemia nie jest polem uprawnym, lecz żywą matką. Stęchłe powietrze akademii i zebrzań publicznych tworzy sześcioszylingową powieść i piosenkę kabaretową, Francja zrodziła najdoskonalszy kwiat

zepsucia w Mallarmem, ale życie, którego należałoby pragnąć, objawione jest tylko ubogiemu duchem. Życie Feaków Homera.

Przy tych słowach pan Naj zwrócił niewinne oblicze ku Stefanowi.

- Mallarme, wie pan, powiedział, napisał te cudowne poematy prozą, które Stefan MacKenna czytywał mi w Paryżu. Ten o Hamlecie. Powiada: ii se promem', li.wnt au livre de lui-meme, wie pan, czytając książkę o sobie. Opisuje Hamleta wystawionego we francuskim mieście, wie pan, w prowincjonalnym mieście. Ogłaszali to.

Wolną dłonią nakreślił z wdziękiem maleńkie znaki w powietrzu.

HAMLET ou LE DISTRAIT

Piece de Shakespeare

Powtórzył ponownie zachmurzonemu Johnowi Egiintonowi:

- Piece de Shakespeare, wie pan. To takie francuskie, francuski punkt widzenia. Hamlet ou...

- Roztargniony włóczęga, dokończył Stefan. John Egiinton roześmiał się.

- Tak, przypuszczam, że mogło tak być, powiedział. Wspaniali ludzie, bez wątplenia, ale beznadziejnie krótkowzroczni w niektórych sprawach. Pełne przepychu i nieruchome wyolbrzymienie mordy.

- Robert Greene nazywał go zabójcą duszy, powiedział Stefan. Nie na darmo był synem rzeźnika dzierżącego śliski topór i spluwającego w garść. Dziewięć istnień bierze za jedno istnienie swego ojca. Ojca Naszego, który jest w czyśćcu. Hamletowie w khaki strzelają bez wahania. Zbryzgana krwią jatka w akcie piątym jest zapowiedzią obozu koncentracyjnego, opiewanego przez pana Swinburne'a.

Craniy, ja, jego niemy ordynans, towarzyszący bitwom z dala.

Szczenięta i suki morderczych wrogów, Których nikt nie oszczędzi! prócz nas...

Pomiędzy uśmiechem Saksona i jankeskim ujadaniem. Diabeł i morskie głębiny.

- Przyjmijmy, że Hamlet jest powiastką o duchach, powiedział John Egiinton na rzecz pana Naj. Pragnie, jak ów gruby chłopiec u Pickwicka, zmrozić nam krew w żyłach.

Słuchaj! Słuchaj! O, słuchaj! Moja krew słyszy go: zmrożona, słyszy. Jeśli kiedykolwiek...

- Czym jest duch? powiedział Stefan dygocząc z napięcia. Ktoś, kto rozplątał się nieuchwytnie poprzez śmierć, poprzez nieobecność, poprzez zmianę obyczajów. Elżbietański Londyn leżał tak daleko od Stratfordu jak zepsuty Paryż od dziewiczego Dublina. Któż jest tym dzieckiem z limbo patrum, powracającym do świata, który o nim zapomniał? Kim jest król Hamlet?

John Egiinton przesunął swe szczupłe ciało, odchylając się do tyłu, by osądzić.

Uniósł.

- Jest właśnie ta godzina owego dnia w połowie czerwca, powiedział Stefan, prosząc szybkim spojrzeniem o ich uwagę. Wywieszono flagę na teatrze nad brzegiem rzeki. Niedźwiedź Sackerson mruczy w pobliskiej jamie, w Ogrodzie Paryskim. Wilki morskie, które żeglowały z Drake'm, żują kielbaski na parterze.

Koloryt lokalny. Wprowadź wszystko, co wiesz. Uczyń ich współwinnymi.

- Shakespeare wyszedł z domu hugonockiego przy Silver Street i przechodzi obok domków dla łabędzi na brzegiem rzeki. Ale nie przystaje, aby nakarmić łabędzicę prowadzącą swoje stadko łabędiątek w stronę sitowia. Łabędź znad Avonu myśli o czym innym.

Scena skomponowana. Ignacy Loyolo, spiesz mi na pomoc!

- Sztuka się rozpoczyna. Aktor pojawia się w cieniu, obleczonego w porzuconą zbroję dworskiego fircyka, człowiek barczysty, mówiący basem. Jest to duch, król, król i nie król, aktorem jest Shakespeare, który studiował Hamleta przez wszystkie nie będące marnościami lata swego życia, aby móc zagrać rolę zjawy. Przemawia do Burbage'a, młodego aktora, który stoi przed nim, odgradzony płócienną zasłoną, wzywa go po imieniu:

Hamlecie, jestem twego ojca duchem,

błagając go, by słuchał. Przemawia do syna, do syna swej duszy, młodego księcia Hamleta, i do syna swego ciała, Hamneta Shakespeare'a, który umarł w Stratfordzie po to, aby imiennik jego mógł żyć wiekuiście.

Czy jest możliwe, by ów aktor Shakespeare, będąc duchem poprzez nieobecność i odziany w zbroję pogrzebanej Danii, będąc duchem poprzez śmierć, przemawiając swymi własnymi słowami do imienia swego własnego syna (gdyby Hamnet Shakespeare żył, byłby bliźniakiem księcia Hamleta), czy jest możliwe, chcę wiedzieć, lub prawdopodobne, że nie wyciągnął lub nie przewidział wniosków z tych przesłanek:

jesteś wydziedziczonym synem: ja jestem zamordowanym ojcem: twoja matka jest królową winowajczynią, Anną Shakespeare, urodzoną Hathaway?

- Ale to jest wtrącanie się do rodzinnego życia wielkiego człowieka, zaczął niecierpliwie Russell.

Więc jesteś tu, pocziwcze?

- Interesujące tylko dla skryby parafialnego. Chcę powiedzieć, my mamy sztuki. Chcę powiedzieć, kiedy czytamy poezję Króla Leara, cóż. nas obchodzi, jak żył poeta? Jeśli chodzi o życie, może to za nas zrobić służba, powiedział Villiers de l'Isle. Podglądanie i

podsluchiwanie codziennych plotek zakulisowych, pijaństwo poety, długi poety. Mamy Króla Leara: i jest on nieśmiertelny.

Oblicze pana Naj, do którego zaapelował, zgodziło się.

Przepłyn nad nimi swymi falami i wodami swymi, Mananaanie Mananaanie, MacLir...

Jakże, łotrzyku, a ów funt, którego ci użyczył, gdyś był głodny? Zaprawdę, potrzebowałem go. Bierz tego dukata.

A niech cię! Przetrwonileś go prawie całego w łóżu Georginy Johnson, córki duchownego. Kąsanie przewin. Czy zamierzasz go oddać?

O, tak.

Kiedy? Teraz?

No... nie.

Więc, kiedy?

Opłaciłem moją drogę. Opłaciłem moją drogę.

Naprzód spokojnie. On pochodzi z drugiego brzegu Boyne. Z północno-wscho-dniego zakątka. Jesteś mu winien.

Czekaj. Pięć miesięcy. Wszystkie molekuły zmieniły się. Ja jestem innym ja teraz. Inny ja dostał funta.

Bzz. Bzz.

Lecz ja, entelechia, kształt kształtów, jestem ja dzięki pamięci, ponieważ pod wiekuiście zmiennymi kształtami.

Ja, który grzeszyłem, modliłem się i pościłem.

Dziecko, które Conmee uratował od chłosty.

Ja, ja i ja. Ja.

A. E. J. C. W. Jam ci winien.

- Czy chce pan skakać do oczu tradycji liczącej trzy stulecia? zapytał zrzędny głos Johna Egiintona. Jej duch przynajmniej został złożony na wieki. Umarła, dla literatury przynajmniej, nim została zrodzona.

- Umarła, odparł Stefan, sześćdziesiąt siedem lat po urodzeniu. Wprowadziła go w świat i odprowadziła ze świata. Przyjęła jego pierwsze uściski. Urodziła mu dzieci i położyła

pensowe monety na jego oczach, aby mu zamknąć powieki, gdy leżał na swym śmiertelnym łożu.

Śmiertelne łoże matki. Świeca. Osłonięte prześcieradłem lustro. Ta, która wydała mnie na świat, spoczywa tam, powieki ma z brązu, pod kilkoma marnymi kwiatami. Liliata rutiianium.

Łkałem samotnie.

John Egiinton patrzył w wężyk światełka swej lampy.

- Świat wierzy, że Shakespeare popełnił omyłkę, powiedział, i wydobył się z tego tak szybko i tak dobrze, jak umiał.

- Bzdura! powiedział Stefan niegrzecznie. Człowiek genialny nie popełnia żadnych omyłek. Jego błędy są dobrowolne i stają się wrotami odkryć.

Wrota odkryć otworzyły się, aby wpuścić kwakerskiego bibliotekarza, miękko-skrzypostopego, łysiego, wielkouchego i gorliwego.

- Nie można sobie wyobrazić, powiedział John Egiinton złośliwie, aby złośnica była użytecznymi wrotami odkryć. Czegóż użytecznego nauczył się Sokrates od Ksantypy?

-Dialektyki, odpowiedział Stefan: a od matki umiejętności wydawania na świat myśli. Czego nauczył się od swej drugiej żony, Myrto (absit nomen!), Epipsy-chidion Sokratididiona, żaden mężczyzna ani żadna kobieta nigdy się nie dowiedzą. Ale ani ludowa mądrość położnej, ani rozwlekłe utyskiwania nie uchroniły go od archontów z Sinn Fein i od kubka cykuty.

- Lecz Anna Hathaway? powiedział zapominające cichy głos pana Naj. Tak, zdajemy się zapominać o niej tak, jak Shakespeare sam o niej zapomniął.

Spojrzenie jego przebiegło od brody myśliciela do czaszki uszczypliwca, aby przypomnieć, aby zganić ich pocziwie, a potem ku łysoróżowej pale lollarda. niewinnego, choć oczernionego.

- Miał piękny skarbczyk rozumu, powiedział Stefan, i nieleniwą pamięć. Niósł w sakwie wspomnienie wlokąc się do królewskiej stolicy i pogwizdując Dziewczę, które porzuciłem. Nawet gdyby trzęsienie ziemi nie przekazało nam daty, wiedzielibyśmy, gdzie uplasować biednego, stojącego słupka zająca, ujadanie psów, nabijaną uzdę i błękitne okna jej oczu. To wspomnienie, Venus i Adonis, spoczywało w sypialni wszystkich londyńskich ladacznic. Czyż Katarzyna złośnica jest nieurodziwa? Hortensjo nazywa ją młodą i piękną. Czy sądzicie, że autor Antoniusza i Kleopatry, zakochany pielgrzym, miał oczy w tyle głowy i wybrał sobie najbrzydszą dziewczkę w Warwickshire, aby z nią le-giwać? Dobrze: porzucił ją i podbił świat mężczyzn. Ale jego chłopcy-kobiety są kobietami chłopca. Ich życie, myśli, mowa są użyczone im przez samców. Czy wybrał źle? Został wybrany, jak mi się wydaje. Jeśli inni

mają swego Willa, Anna ma swoje sposoby. Do licha, należy ją winić. Oczarowała go, słodka i dwudziestosześcioletnia. Szarooka bogini, która pochyla się nad chłopcem Adoniszem, zniżając się, by zwyciężyć w prologu do aktu nabrzmiewania, jest to zuchwała stratfordzka dziewczucha, która przewraca w łan pszenicy młodszego niż ona kochanka.

A moja kolej? Kiedy?

Jazda!

- W łan żyta, powiedział pan Naj radośnie, wesoło, unosząc swą nową książkę wesoło, radośnie.

Potem wymamrotał z blond uciechą dla wszystkich:

A gdzie się żyto tanem ścieli, Wieśniacy piękni tam leżeli.

Parys: zadowolony zadowolacz.

Wysoka postać w samodzielnym włochatym powstała z cienia i odsłoniła swój usługowy zegarek.

- Obawiam się, że oczekują mnie w Zagrodzie. Dokąd odchodzisz? Pole uprawne.

- Czy odchodzi pan? zapytały ruchliwe brwi Johna Egiintona. Czy zobaczymy pana wieczorem u Moore'a? Przyjdzie Piper.

- Piper! pipnął pan Naj. Czy Piper wrócił?

Nie pieprz Piper wieprza pieprzem, bo przepieprzysz wieprza pieprzem.

- Nie wiem, czy będę mógł. Czwartek. Mamy zebranie. Jeżeli uda mi się zwolnić na czas.

Jogibogibujdy w salach Dawsona. Izis odsioniona. Ich księga Pali, którą próbowaliśmy zastawić. Siedząc na skrzyżowanych nogach pod parasolistnym drzewem zasiada, królując, azteckie logos, celebrując na astralnych wyżynach, ich naddusza, mahamahatma. Wierni hermetryści oczekują światłości, dojrzewają do chela, obtań-cowują go. Louis H. Victory. T. Caufield Irwin. Damy Lotosu patrzą im usługnie w oczy, a szyszynki ich płoną. Wypełniony bogiem swym, króluje on, Budda, pod platanem. Dusze pogrąża, okrąża. Męskie dusze, żeńskie dusze, dusz chmary poruszę. Łkania je okrążają, kołują, wirują, łkają.

Od lat w kwintesencjonalnej trywialności Pod powłoką dała gości żeńska dusza.

- Powiadają, że będziemy mieli niespodziankę literacką, powiedział kwakerski bibliotekarz przyjaźnie i skwapliwie. Krążą pogłoski, że pan Russell chce złożyć zbiór wierszy naszych młodych poetów. Wszyscy tego wyczekujemy niecierpliwie.

Niecierpliwie zerknął w stożek blasku lampy, gdzie lśniły trzy oświetlone twarze.

Przypatrz się temu. Zapamiętaj.

Stefan spojrział w dół na swój szeroki bezgłowy kapelusz, zwisający ponad kolanem z rączki jesionowej laski. Mój hełm i miecz. Dotknij lekko dwoma wskazującymi palcami. Eksperyment Arystotelesa. Jeden czy dwa? Konieczność jest to coś, dzięki czemu niemożliwe jest, aby coś było czym innym. Ergo, jeden kapelusz jest jednym kapeluszem.

Posłuchajmy.

Młody Colum i Starkey. George Roberts zajmuje się stroną handlową. Long-worth rozdmucha to w Expressie. O, czy na pewno? Podobał mi się Strzegący stada Columa. Tak, myślę, że posiada on tę dziwną rzecz, geniusz. Czy naprawdę sądzi pan, że go posiada? Yeats podziwiał jego wers: Jak grecka waza w pustkowiu ziemi. Czy rzeczywiście podziwiał? Mam nadzieję, że będzie mógł pan przyjść dziś wieczorem. Malachi Mulligan także przyjdzie. Moore prosił go, żeby przyprowadził Hainesa. Czy słyszał pan żart panny Mitchel na temat Moore'a i Martyna? Że Moore jest rajfujarką Martyna? Strasznie zręczne, prawda? Przypominają Don Kichota i Sancho Panśę. Dr Sigerson powiada, że nasz narodowy epos musi zostać dopiero napisany. Moore nadaje się do tego. Rycerz Smętnego Oblicza w Dublinie. W szafranowej spódnicy? o'Neill Russell? O tak, musi mówić wspaniałym dawnym językiem. A jego Dulcynea? James Stephens zrobił kilka zręcznych szkiców. Zdaje się, że zyskujemy znaczenie.

Kordelia. Cordoglio. Najsamotniejsza z córek Leara.

Ślepy zaulek. A teraz twoja najlepsza francuska ogłada.

- Bardzo panu dziękuje, panie Russell, powiedział Stefan wstając. Gdyby był pan tak uprzejmy, żeby oddać ten list panu Normanowi...

- O, tak. Jeśli uzna to za ważne, zamieści. Otrzymujemy tyle korespondencji.

- Rozumiem, powiedział Stefan. Dziękuję.

Niech cię Bóg prowadzi. Dziennik dla świń. Bykombraterski.

- Synge obiecał mi także artykuł dla Dany. Czy będziemy czytani? Czuję, że jesteśmy. Liga gaelicka chce czegoś po irlandzku. Mam nadzieję, że pojawi się pan wieczorem. Niech pan przyprowadzi Starkeya.

Stefan usiadł.

Kwakierski bibliotekarz zawrócił od odchodzących. Z zarumienioną maską powiedział:

- Panie Dedalus, pańskie poglądy są jak najbardziej pouczające. Zaskrzypiał tam i na powrót, wspinając się na palce ku niebu na wysokość koturnu, i pod osłoną rozgwaru wychodzących powiedział cicho:

- A zatem, żywi pan pogląd, że była niewierna poecie?

Poruszona twarz zapytuje mnie. Dlaczego podszedł? Kurtuazja czy wewnętrzne objawienie?

- Tam gdzie jest pojednanie, powiedział Stefan, musiało być najpierw zerwanie.

- Tak.

Chrystolis w skórzanych portkach, kryjący się, uciekający pośród uschniętych, rozwidlonych drzew przed nagonką. Nie znający lisicy, uchodzący samotnie przed pościgiem. Skłaniał ku sobie kobiety, czułe osoby, ładacznice babilońską, małżonki sędziów, żony gburowatych oberżystów. Lis i gęsi. A w New Place rozlazłe, zbezczeszczone ciało, które kiedyś było urodziwe, kiedyś było tak słodkie, tak świeże jak cynamon, a teraz straciło wszystkie liście, jest nagie, przerażone ciasnym grobem i nie ma dlań przebaczenia.

- Tak. Więc pan sądzi...

Drzwi zamknęły się za wychodzącym.

Spokój owładnął nagle cichą, sklepioną celą, spokój ciepłego, zadumanego powietrza.

Lampa westalki.

Tu rozważa on rzeczy, których nie było: czego dokonałby Cezar, gdyby uwierzył wróżbie: to, co mogło się stać: rzeczy nieznane: możliwe możliwości możliwego: jakie imię nosił Achilles, gdy mieszkał pośród kobiet.

Wokół mnie myśli w trumnach, w skrzyniach mumii, zabalsamowane w wonnościach słów. Tot, bóg bibliotek, ptak-bóg, ukoronowany księżycem. I usłyszałem głos owego egipskiego arcykapłana. W malowanych komnatach wypełnionych księgami z cegiełek.

Są nieruchome. Kiedyś żyły w umysłach ludzi. Nieruchome: lecz jest w nich niepokój śmierci i sącą mi do uszu rzewną opowieść, nalegając na mnie, żebym złamał ich wolę.

- Na pewno, John Egiinton zamyślił się, z wszystkich wielkich ludzi on był najbardziej enigmatyczny. Nie wiemy o nim niczego; jedynie to, że żył i cierpiał. Nawet tyle nie. Inni odpowiadają na nasze pytania. Cień spowija wszystko pozostałe.

- Ale Hamlet jest tak osobisty, nieprawdaż? powiedział broniąc pan Naj. Chcę powiedzieć, jest to rodzaj osobistych zapisków, wie pan, z jego życia osobistego. Chcę powiedzieć, guzik mnie obchodzi, wie pan, kto jest zabity, a kto jest winien...

Położył niewinną książkę na brzegu biurka, uśmiechając się wyzywająco. Jego osobiste zapiski w oryginale. Ta an bad ar an tir. Tim imo shagart. Napisz to po angielsku, mały Jasiu Głuptasiu.

Rzekł mały Jaś Głuptas Egiinton:

- Byłem przygotowany na paradoksy po tym, co powiedział nam Malachi Mulligan, ale muszę pana ostrzec, że jeśli chce pan wstrząsać moją wiarą w to, że Shakespeare jest Hamletem, ma pan ciężkie zadanie przed sobą.

Bądź wyrozumiały dla mnie.

Stefan wytrzymał jadowite spojrzenie niedowierzających oczu, lśniących twardo pod zmarszczonymi brwiami. Bazyliszek. E quando vede l'uomo l'attosca. Mistrzu Brunetto, dzięki ci za słowo.

- Jak my lub Dana matka motamy i rozmotujemy nasze ciała, powiedział Stefan, z dnia na dzień, a ich molekuly przelatują tam i na powrót po krosnach, tak artysta mota i rozmotuje swój wizerunek. A jak pieprzyk na mojej prawej piersi jest tam, gdzie był, gdy się urodziłem, choć całe moje ciało z czasem zostało utkane z nowego materiału, tak poprzez ducha niespokojnego ojca spogląda wizerunek nieżyjącego syna. W chwili skupienia wyobraźni, gdy umysł, jak powiada Shelley, jest jak dogasająca głównia, to, czym byłem, staje się tym, czym jestem, i tym, czym mam możliwość stać się. Tak samo w przyszłości, siostrze przeszłości, mogę ujrzeć siebie siedzącego tutaj teraz, lecz jako odbicie tego, czym będę wówczas. Drummond z Hawthornden pomógł ci przejść tę kładkę.

- Tak, powiedział pan Naj młodzieńczo, czuję, że Hamlet jest zupełnie młody. Gorycz może pochodzić od ojca, ale fragmenty z Ofelią na pewno pochodzą od syna.

Trafił kulą w płot. On jest w mym ojcu. Ja jestem w jego synu.

- Ten pieprzyk zniknie ostatni, powiedział Stefan śmiejąc się. John Egiinton zrobił nic nie znaczący uprzejmy grymas.

- Gdyby to miało być oznaką narodzin geniusza, powiedział, geniusz sprzedawano by na rynku. Sztuki ostatnich lat Shakespeare'a, które Renan tak bardzo podziwiał, tchną innym duchem.

- Duchem pojednania, tchnął kwakerski bibliotekarz.

- Nie może być pojednania, powiedział Stefan, jeżeli nie było zerwania. Było już powiedziane.

- Jeśli chce pan wiedzieć, jakie wypadki rzuciły cię na piekielny okres Króla Leara, Otella, Hamleta i Troilusa i Kresydy, proszę przypatrywać się uważnie, by móc dostrzec, kiedy i jak rozwiewa się cień. Co zmiękcza serce człowieka, będącego rozbitkiem pośród straszliwych burz wiru, doświadczanego jak drugi Ulisses, Pery-kles książę Tyru?

Twarz pod spiczastą czerwoną czapką, obita, oślepia od łez.

- Dziecko, dziewczynka rzucona w jego ramiona. Marina.

- Skłonność sofistów ku odgałęzieniom apokryfu jest wartością stałą, odkrył John Egiinton. Gościńce są monotonne, lecz prowadzą do miasta.

Dobry Bacon: spleśniał. Shakespeare rajfujarką Bacona. Po gościńcach idą żonglerzy dwuznacznością. Poszukiwacze wielkich zagadnień. Cóż to za miasto, dobrzy ludzie? Zamaskowani imionami: A. E. eon: Magee, John Egiinton. Na wschód od słońca, na zachód od miesiąca: Tir na n-og. Obaj obuci i o kijach pielgrzymich.

Ile stąd mil do Dublina? Siedem dziesiątków, mój panie. Czy zajdę tam przy blasku świec?

- Pan Brandes, powiedział Stefan, przyjmuje, że to pierwsza sztuka końcowego okresu.

- Czy tak? A co pan Sidney Lee, czy też pan Simon Lazarus, gdyż niektórzy utrzymują, że tak brzmi jego nazwisko, mówi o tym?

- Marina, powiedział Stefan, dziecię burzy, Miranda, cud, Perdita, ta, która zaginęła. To, co zaginęło, jest mu zwrócone: dziecko jego córki. Najdroższa żona moja, powiada Perykles, była jak to dziewczę. Czy jakkolwiek człowiek będzie kochał córkę, jeśli nie kochał matki?

- Sztuka bycia dziadkiem, zaczął szeptem pan Naj. L'art d'etre grand...

- Dla człowieka, który posiada tę dziwną rzecz, geniusz, jego własny wizerunek jest miernikiem wszelkiego doświadczenia, materialnego i moralnego. Tego rodzaju wezwanie poruszy go. Wizerunki innych samców jego krwi będą dlań odstręczające. Będzie widział w nich groteskowe wysiłki natury, aby przepowiedzieć go lub powtórzyć.

Łagodne czołb kwakerskiego bibliotekarza zaróżowiło się płomieniem nadziei.

- Mam nadzieję, że pan Dedalus opracuje swoją teorię dla oświecenia publiczności. I powinniśmy wspomnieć innego irlandzkiego komentatora, pana George'a Bernarda Shawa. Nie powinniśmy także zapominać o panu Franku Harrisie. Jego artykuły dotyczące Shakespeare'a w Saturday Review były z całą pewnością znakomite. Dziwnym zbiegiem okoliczności, on także przedstawia nam nieszczęśliwy związek z ciemną damą z sonetów. Zwycięskim rywalem jest William Herbert, hrabia Pembroke. Sądzę, że jeśli poeta musi być odtrącony, odtrącenie to winno harmonizować bardziej z -jak by to powiedzieć? - naszym odczuciem tego, co się stać nie było powinno.

Wesoło urwał w stosownym miejscu, wsunawszy potulną głowę pomiędzy nich, jakby alki, nagrodę ich sporu.

Ty, jej rzeczy, wy, jej rzeczy, poważnymi panamężowymi słowy. Czyli miłujesz, Miriam? Czyli miłujesz męża twego?

- I to jest możliwe, powiedział Stefan. Istnieje powiedzenie Goethego, które pan Magee lubi cytować. Strzeż się tego, czego pragniesz w młodości, gdyż otrzymasz to w wieku dojrzałym. Czemuż posyła on tej, która jest buona-roha, klaczą ujeżdżaną przez wszystkich mężczyzn,

dworak o skandalicznym panieństwie, to lordziatko, aby zalecało się w jego imieniu? On sam był lordem języka i uczynił siebie koniuszym szlachcicem, i napisał Romea i Julię. Dlaczego? Wiara w siebie została w nim zbyt wcześnie zabita. Po raz pierwszy został zwyciężony w łanie pszenicy (powinienem powiedzieć, w łanie żyta) i nigdy później już nie będzie zwycięzcą w swych własnych oczach ani nie rozegra zwycięsko owej zabawy śmiechu i pokładzin. Przybrany dongiovannizm nie zbawi go. Żadne późniejsze przekreślenie nie przekreśli pierwszego przekreślenia. Kieł dzika zranił go tam, gdzie miłość krwawiąca spoczywa. Choć złośnica będzie pokonana, pozostanie jej jednak niewidzialny oręż kobiecy. Jest, wyczuwam to w słowach, jakiś bodziec cielesny, który popycha go ku nowej namiętności, ciemniejszemu cieniowi pierwszej, zaciemniającemu nawet jego rozumienie samego siebie. Podobny los znów go spotyka i z obu furii tworzy się jeden wir.

Słuchają. A w uszu ich przedsionki sączą.

- Już przedtem dusza została zraniona śmiertelnie, truciznę wsączono w przedsionek uspiętego ucha. Lecz ci, którzy zostali uśmierceni we śnie, nie mogą poznać sposobu, w jaki ich zabito, jeśli Stwórca nie wyposaży ich dusz w wiedzę o tym w przyszłym życiu. Otrucie i owo zwierzę o dwu grzbietach, które je spowodowało, nie mogłyby być znane duchowi króla Hamleta, gdyby go Stwórca nie wyposażył w wiedzę o tym. Dlatego przemówienie jego (w wątpliwej, niepięknej angielszczyźnie) jest ciągle kierowane gdzie indziej, wstecz. Gwałciciel i zgwałcona, chciałby, lecz nie chce, odejść z nim od Lukrecji półkul z kości słoniowej okrążonych błękitem ku nagiej piersi Imogeny, naznaczonej pięcioma cętkami. Powraca, znużony twórczością, którą spiętrzył, aby ukryć się przed sobą samym, stary pies liżący starą ranę. Lecz ponieważ strata jest dlań zyskiem, odchodzi ku wieczności z nie pomniejszoną osobowością, nie nauczony mądrością, którą spisał, ani prawami, które objawił. Uniósł przyłbicę. Jest duchem teraz, cieniem, wiatrem nad skałami Elsynoru lub czymkolwiek zechcecie, głosem morza, głosem słyszonym jedynie w sercu tego, który jest ciałem jego cienia, synem współistniejącym z ojcem.

- Amen! odpowiedziano z progu.

A jużes mnie znalazł, nieprzyjacielu mój?

Entr 'acte.

Ze sprośnym obliczem, posępnym jako dziekańskie, Buck Mulligan zbliżył się tedy wesołości pełen, w szacie trefnisia, ku ich powitalnym uśmiechom. Mój telegram.

- Mówiłeś o lotnym kręgowcu, jeśli się nie mylę? zapytał Stefana. Ubrany w pierwsiosnkową kamizelkę, wesoło pozdrowił ich zdjętą panamą jak kaduceuszem.

Serdecznie go witają. Was Du verlachst wirst Du noch dienen. Plemię szyderców: Focjusz, pseudomalachi, Johann Most. Który się począł Sam z Siebie, pośrodku Duch Święty, i Sam zesłał Siebie, Odkupiciel, między Sobą a innymi, umęczon przez Swych nieprzyjaciół,

obnażony i ubiczowany, przybity jak nietoperz do wrót stodoły, zagłodzony na drzewie krzyża. Pogrzebion, zmartwychwstał, spustoszył piekło, wstąpił na niebiosy i od dziewiętnastu stuleci siedzi na prawicy Siebie Samego, lecz powróci jeszcze ostatniego dnia i będzie sądził żywych i umarłych, gdy wszyscy żywi będą już umarli.

Glo- -a in ex--cel--sis De - o

Unosi dłonie. Zasłony opadają. U. kwiaty! D/wony /. d/wonami z dzwonami gwarzą.

- Tak, rzeczywiście, powiedział kwakerski bibliotekarz. Niezwykle pouczająca dyskusja. Pan Mulligan, gotów jestem za to ręczyć, także ma swoją teorię na temat sztuki i Shakespeare'a. Wszystkie kierunki poglądów na życie powinny być reprezentowane.

Uśmiechnął się sprawiedliwie we wszystkich kierunkach.

Buck Mulligan zastanawiał się, zaciekawiony.

- Shakespeare? powiedział. Zdaje się, że znam to nazwisko. Ulotny słoneczny uśmiech rozpromienił jego obwisłe rysy.

- Oczywiście, powiedział przypominając sobie radośnie. Facet, który pisuje jak Synge.

Pan Naj zwrócił się ku niemu:

- Haines rozminął się z panem, powiedział. Czy spotkał go pan? Zobaczy się z panem później w ZPD. Poszedł do Gilla kupić Pieśni miłosne Connacht Hyde'a.

- Wszedłem przez muzeum, powiedział Buck Mulligan. Czy był tutaj?

- Rodacy barda, odpowiedział John Egiinton, są może trochę znużeni naszym błyskotliwym teoretyzowaniem. Słyszałem, że wczoraj w Dublinie pewna aktorka zagrała Hamleta po raz czterysta ósmy. Yining sądził, że książkę był kobietą. Czy nikt nie próbował uczynić z niego Irlandczyka? Zdaje mi się, że sędzia Barton poszukuje jakichś dowodów. Klnie się (Jego Wysokość, nie Jego Sędziowska Mość) na świętego Patryka.

- Najbardziej błyskotliwa z wszystkich jest ta opowieść Wilde'a, powiedział pan Naj, unosząc swój błyskotliwy notatnik. Ten Portret pana W. H., gdzie udowadnia, że sonety zostały napisane przez pewnego Willie Hughesa, człowieka wszystkich przekonań.

- Chyba dla Willie Hughesa? zapytał kwakerski bibliotekarz. Albo Hughie Willsa. Pana Williama Hrabiego. W. H.: wymyśl herb.

- Chcę powiedzieć, dla Willie Hughesa, powiedział pan Naj, naprawiając z łatwością swój przypis. Oczywiście, to wszystko jest paradoksem, wie pan, Hug-hes i hasła, i herbów barwy, ale ów sposób obrazowania jest dla niego typowy. To właśnie jest prawdziwa esencja Wilde'a, wie pan. Lekkie muśnięcie.

Spojrzenie jego musnęło lekko ich twarze, gdy uśmiechał się, blond efeb. Rozcieńczona esencja Wilde'a.

Piekielnieś dowcipny. Trzy łyki whisky wypieś za dukaty Dana Deasy.

Ile wydałem? Och, kilka szylingów.

Dla paru dziennikarzy. Humor oschły i płynny.

Dowcip. Oddałbyś cały swój dowcip za dumny strój młodości, który go zdobi. Oznaki zaspokojonych pragnień.

Może ich być o wiele więcej. Weź ją dla mnie. W okresie godowym. Jowiszu, ześlij im chłodny czas rui. Tak, gruchaj z nią.

Ewa. Nagi, pszenicznobrzuchy grzech. Sploty węża otaczają ją, wbija żądło całując.

- Czy pan sądzi, że to tylko paradoks, zapytał kwakerski bibliotekarz. Szydercy nigdy nie bierze się poważnie, nawet gdy jest najpoważniejszy.

Rozmawiali poważnie o powadze szydercy.

Ponownie posępna twarz Bucka Mulligana spoglądała przez chwilę na Stefana. Później, potrząsając głową, zbliżył się i wyciągnął z kieszeni złożony telegram. Jego ruchliwe wargi odczytały, uśmiechając się z ponowną uciechą.

- Telegram! powiedział. Cudowne natchnienie! Telegram! Bulla papieska. Usiadł na skraju nie oświetlonego biurka, odczytując wesoło na głos:

- Sentymentalistą jest ten, kto chciałby cieszyć się czymś bez narażania się na olbrzymie zadłużenie za rzecz dokonaną. Podpisano: Dedalus. Skąd to wystrzeliłeś? Z bajzia? Nie. Z College Green. Czyś przepił już te cztery funta-sy? Ciotka chce odwiedzić twego niewspółistotnego ojca. Telegram! Malachi Mulligan, Okręt, Lower Abbey Street. O, niezrównany błazenku! O, kardynałny kardynale!

Z uciechą wcisnął blankiet i kopertę do kieszeni, lecz począł utyskiwać z łobuzerskim akcentem:

- To ci powiadam, słodczy moja, żeśmy osłabli i schorowani byli, Hainesija. w ów czas, gdy umyślny nam to przyniósł. Szemrać poczęliśmy, bo nadobny kufelek wskrzesiłby nawet mnicha, jako mi się zda, a to nawet ochwaconego z rozpusty. A tu my godzinę, dwie godziny, trzy godziny u Connery'ego siedzimy grzecznie czekając każdy na swoją kwatereczkę.

Wyjęczał:

- My tam siedzimy, ty gawronie, a ty, żeby się nie dać poznać, posyłasz nam swoje wypociny, żeby się nam języki na trzy stopy wywiesiły jak spragnionym klerykom, mdlejącym za pełną szklenicą.

Stefan roześmiał się.

Szybko, ostrzegawczo Buck Mulligan pochylił się:

- Ten łajza Synge poszukuje ciebie, żeby cię zamordować jak mówi. Powiedziano mu, że naszczałeś na jego drzwi wejściowe w Glashule. Wybiegł w skórzeniach, żeby cię zamordować.

- Mnie! wykrzyknął Stefan. To był twój wkład w literaturę. Buck Mulligan radośnie odchylił się w tył, śmiejąc się ku ciemnemu, podsłuchującemu sufitowi.

- Zamordować ciebie! zaśmiał się.

Odrażające oblicze maszkarona, które kłóciło się ze mną nad naszą papką z siekanych płuczek przy rue Saint-Andre-des-Arts. Słowa przeciw słowom dla słów, palabras. Oisín z Patrykiem. Spotkał fauna w lesie Ciamart, piastującego butelkę. C'est yendredi saint! Morderca irlandzkiej mowy. Napotkał, błakając się, swój wizerunek. Ja napotkałem mój. Spotkałem błazna w borze.

- Panie Lyster, powiedział asystent w uchylonych drzwiach.

- ...w którym każdy może odnaleźć, czego pragnie. I tak pan sędzia Madden w Dzienniku Mistrza Williama Silence odnalazł terminy łowieckie... Tak? O co chodzi?

- Pewien pan czeka, proszę pana, powiedział asystent zbliżając się i podając wizytówkę. Z Człowieka Wolnego. Chce przeglądnąć numery Ludu Kilkenny z ostatniego roku.

- Oczywiście, oczywiście, oczywiście. Czy ten pan?... Wziął skwapliwą kartę, spojrzał, nie dostrzegł, położył, nie spojrzawszy, zerknął, zapytał, skrzypnął, zapytał:

- Czy jest?... O, tam!

Żwawy w galiardzie, odszedł i zniknął. Na dniem oświetlonym korytarzu przemówił z gładką gorliwością, wypełniając obowiązek, najchętniej, najzyczliwiej, najuczciwiej po kwakiersku:

- Ten pan? Dziennik Człowieka Wolnego i Lud Kilkenny'] Na pewno. Dzień dobry panu. Kilkenny... Na pewno mamy... Cierpliwa sylwetka czekała słuchając.

- Wszystkie czołowe prowincjonalne... Libera! Pólnocy, Trybuna Corku, Strażnik Enniscorthy, 1903... Niech pan pozwoli... Evans, zaprowadź tego gentlemana... Proszę jedynie udać się za asyst... Albo proszę mnie pozwolić... Tędy... Proszę pana...

Gorliwy, obowiązkowy, poprowadził ku wszystkim prowincjonalnym dziennikom, a kłaniająca się ciemna postać ruszyła za jego pospiesznymi obcasami.

Drzwi zamknęły się.

- Parch! zawołał Buck Mulligan. Podskoczył i porwał wizytówkę.

- Jak on się nazywa? Mojsiek? Bloom. Terkotał dalej.

- Nie masz już Jehowy, poborcy obrzezek. Spotkałem go w muzeum, kiedy poszedłem pozdrowić z piany zrodzoną Afrodytę. Greckie usta, których nigdy nie wykrzywiła modlitwa. Co dnia winniśmy składać jej hołd. O, życie życia, w wargach twoich płomień.

Niespodziewanie zwrócił się ku Stefanowi:

- Zna cię. Zna twojego starego. Och, obawiam się, że jest bardziej grecki niż Grecy. Swe blade galilejskie oczy zwrócił ku rozcięciu jej pośladków. Venus Kalli-pygos. O, nawałnico bioder! Bóg ścigający dziewczę skryte.

- Chcemy usłyszeć więcej, zdecydował John Egiinton z aprobatą pana Naj. Zaczynamy interesować się panią S. Aż do tej chwili myśleliśmy o niej, jeśli w ogóle o niej myśleliśmy, jako o cierpliwej Gryzeldzie, Penelopie domowego ogniska.

- Antystenes, uczeń Gorgiasza, powiedział Stefan, odebrał palmę piękności rozplodowej samicy Kyriosa Menelausa, argiowskiej Helenie, drewnianej klaczy trojańskiej, w której przespały się tuziny bohaterów, i wręczył ją biednej Penelopie. Dwadzieścia lat mieszkał w Londynie i przez część tego okresu miał dochody równe dochodom lorda kanclerza Irlandii. Życie jego było bogate. Sztuka jego, bardziej niż sztuka feudalna, jak ją nazwał Walt Whitman, była sztuką przesyty. Zapiekanie śledzie, zielone puchary xeresu, sosy miodne, konfitury z róż, marcepany, gołąbki z agrestem, cukry z imbirem. Sir Walter Raieigh, gdy go arestowano, miał na sobie pół miliona franków, nie licząc modnego gorsetu. Owa lichwiarka Eliza Tudor miała dość bielizny, aby współzawodniczyć z królową Sabą. Przez dwadzieścia lat wahał się tam pomiędzy miłością małżeńską i jej cnotliwymi radościami a wszetecz-ną miłością i jej uciechami plugawymi. Czy znacie opowiadanie Manninghama o żonie rajcy, która gdy ujrzała Dicka Burbage'a w Ryszardzie III, zaprosiła go do swego łóża, i o tym jak Shakespeare podsłuchawszy to, nie czyniąc wiele hałasu o nic, wziął krowę za rogi i, gdy Burbage zapukał do bramy, odpowiedział z pościeli rogacza: William Zdobywca przybył przed Ryszardem III. A wesółka dzierlatka, panna Fitton, wskocz na mnie i wio, i jego delikatny ptaszek, lady Penelopa Rich, czysta dystygnowana kobieta nadaje się dla aktora, i owe dziewczki z nadbrzeża, po pensie od jednego razu.

Cours-la-Reine. Encore vingtsous. Nousferonsdepetitescochonneries. Minette? Tu veux?

- Elita najlepszego towarzystwa. I matka sir Wiliama Davenanta z Oxfordu, która pucharem kanaryjskiego wina obdarzy każdego koguta, jaki się nadarzy. Buck Mulligan, uniósłszy pobożnie oczy, modlił się:

- Błogosławiona Małgorzato Mario Bylekur!

- A córka Henryka od sześciu żon i inne damy przyjaciółki zasiadające w jej pobliżu, jak to opiewa Lawn Tennyson, gentleman poeta. Lecz cóż, jak sądzicie, w ciągu tych dwudziestu lat czyniła za osadzonymi w ołowiu szybkami biedna Penelopa w Stratfordzie?

Działaj, działaj. Uczyni tak. W ogrodzie różanym zielarza Gerarda przy Fetter Lane przechadza się szarooki i kasztanowłosy. Żyły jej mają barwę błękitnych dzwonków. Powieki oczu Junony, fiołki. Przechadza się. Jedno życie jest wszystkim. Jedno ciało. Działaj. Lecz działaj. W oddali, pośród wyziewów żądź i ubóstwa, spoczywają dłonie na białościach.

Buck Mulligan ostro zastukał w powierzchnię biurka Johna Egiintona.

- Kogo podejrzewasz? zapytał wyzywająco.

- Powiedzmy, że jest on wzgardzonym kochankiem z sonetów. Kto raz był wzgardzony, znów będzie wzgardzony. Ale rozpustnica dworska wzgardziła nim dla lorda, jego ukochanego kochanka.

Miłość, która nie śmie wymówić swego imienia.

- Chce pan powiedzieć, że jako Anglik kochał lorda, wtrącił John krzepki Egiinton.

Stary mur, na którym błyskają niespodziewane jaszczurki. W Charenton przyglądałem się im.

- Tak się wydaje, powiedział Stefan, gdy chce on wykonać dla niego oraz dla każdego z osobna i wszystkich razem niewykłoszonych lędźwi ową najświętszą posługę, którą stajenny wykonuje dla ogiera. Być może, jak Sokrates, miał on matkę akuszerkę, tak jak miał złośnicę za żonę. Lecz owa próżna trzpiotka nie złamała przysięgi łoża. Dwa czyny mają znaczenie dla umysłu tego ducha: złamana przysięga i tępogłowy gbur, na którego spłynęły jej łaski, ów brat zmarłego męża. Przyjmuję, że słodka Anna była gorąco krwista. Kto raz był zalotny, znów będzie zalotny.

Stefan odwrócił się zdecydowanie w krzesło.

- Jarzmo dowodów spoczywa na was, nie na mnie, powiedział marszcząc się. Jeśli zaprzeczycie, że w piątej scenie Hamleta nie napiętnował jej niesławą, powiedzcie mi, dlaczego nie ma o niej wzmianki w ciągu trzydziestu czterech lat pomiędzy dniem, gdy go poślubiła, a dniem, gdy go pogrzebała. Wszystkie te kobiety widziały swych mężczyzn spuszcanych w dół, pod ziemię: Mary swego dobrego Johna, Annę swego biednego drogiego Wilusia, gdy przybył, aby umrzeć u niej, wściekły, że musi odejść pierwszy, Joan swych

czterech braci, Judith męża i wszystkich synów, Susan także męża, a Elizabeth, córka Susan, żeby użyć słów dziadziusia, poślubiła swego drugiego, zabijając pierwszego.

O tak, jest wzmianka. W latach gdy on żył zamożnie w królewskim Londynie, ona pożyczyła czterdzieści szylingów od pastucha swego ojca, żeby zapłacić dług. Wyjaśnijcie więc. Wyjaśnijcie także łabędzią pieśń, w której polecał ją potomności.

Spojrzał w twarz ich milczeniu.

Na to Egiinton:

Masz na myśli wolę Jego ostatnią. Sądzę, że juryści To wyjaśnili. Prawo przyznawało Jej zapis wdowi. Posiadał on wielką Wiedzę prawniczą. A o tym donoszą Sędziowie.

Z niego natrzęsa się Szatan, Szyderca:

Oto czemu nie zamieścił Imienia żony w pierwszym testamencie, Dla cór i wnuczki dary zostawiając, • Także dla siostry, przyjaciół w Stratfordzie I tych w Londynie. Gdy go przynaglono, Jak sądzę, aby ją także wymienić, Wówczas zapisał jej Drugie

Nie najlepsze Łoże.

Punkt Zapis jej Drugie Łóżko

Hej!

- Piękni wieśniacy w owych czasach mieli niewiele dobytku, zauważył John Egiinton, tak jak i teraz, jeśli wierzyć naszym sztukom o wsi.

- Był bogatym ziemianinem, powiedział Stefan, z herbem, posiadłością w Stratfordzie i domem w Ireland Yard, kapitalistycznym udziałowcem, promotorem ustaw, właścicielem dzierżaw. Czemu nie pozostawił jej swego najlepszego łóża, jeśli pragnął, aby przechrapała w spokoju pozostałe jej jeszcze noce?

- Jest jasne, że tam były dwa łóża, najlepsze i nie najlepsze, stwierdził finezyjnie pan Nienajlepszy Naj.

- Separatio a mensa et a thalamo, ulepszył Buck Mulligan, wywołując uśmiechy.

- Starożytność wspomina sławetne łóża. Drugi Egiinton odął się w łożuśmichu. Niech sobie przypomnę.

- Starożytność wspomina tego uczzonego urwisa i łyszego pogańskiego mędrca ze Stagiry, powiedział Stefan, który, umierając na wygnaniu, wyzwala i uposaża swych niewolników, składa hołd swym przodkom, pragnie być złożony w ziemi w pobliżu kości swojej zmarłej żony i prosi swych przyjaciół, aby byli dobrzy dla jego starej kochanki (nie zapominajcie o Nell Gwynn Herpyllis) i pozwolili jej mieszkać w jego willi.

- Czy pan sądzi, że tak umarł? zapytał pan Naj z lekkim zainteresowaniem. Chcę powiedzieć...

- Umarł kompletnie pijany, uciął Buck Mulligan. Piwa kwarta króla warta. Och, muszę wam opowiedzieć, co powiedział Dowden!

- Co? zapytał Najeglington.

William Shakespeare i spółka, z ograniczoną odpowiedzialnością. William dla każdego. Bliższe dane podają: E. Dowden, Highfield House...

- Cudowne! westchnął miłośnię Buck Mulligan. Zapytałem go, co sądzi o zarzucie pederastii wytoczonym przeciw bardowi. Uniósł ręce i odpowiedział: Możemy powiedzieć jedynie, że życie było bardzo bujne za owych dni. Cudowne!

Homokochaneczek.

- Poczucie piękna prowadzi nas na manowce, powiedział pięknosmutny Naj do Brzydeglintona.

John niewzruszony surowo odrzekł:

- Doktor może nam wyjaśnić, co owe słowa oznaczają. Nie można zjeść dwa razy jednego ciastka.

Tak powiadasz? Czy wyrwą nam, mnie palmę piękności?

- I poczucie własności, powiedział Stefan. Wyciągnął Shylocka ze swej własnej głębokiej kieszeni. Syn handlarza słodem i lichwiarza, sam był handlarzem zbożem i lichwiarzem, z dziesięcioma korcami zboża ukrytymi na czas głodowych rozruchów. Jego dłużnicy byli bez wątpienia ludźmi różnych wyznań, wymienionymi przez Chettie Falstaffa, który donosi o uczciwości jego postępowania. Ścigał sądownie kolegę aktora dla kilku worków słodu i uzyskiwał swój funt ciała w procentach za każdą pożyczoną sumę pieniędzy. Jakże inaczej mógłby stajenny i chłopak na posyłki Aubreya stać się w krótkim czasie bogaczem? Wszystkie wydarzenia były wodą na jego młyn. Shylock jest echem prześladowania żydów, które nastąpiło po powieszeniu i poćwiartowaniu lekarza królowej Lopeza, którego żydowskie serce zostało wydarte, gdy parch był jeszcze żywy: Hamlet i Makbet są echem wstąpienia na tron szkockiego filomędrka, który miał skłonność do pieczenia czarownic. Drwi z rozbitej armady w Straconych zachodach miłosnych. Jego kroniki, jego historie żeglują pełną piersią na fali entuzjazmu a la Mafeking. Jezuici z Warwickshire zostają osądzeni i stąd mamy teorię ekwiwokacji Odźwiernego. Sea Yenture powraca z Bermudów i sztuka, którą Renan podziwiał, ukazuje nam Patsy Kalibana, naszego amerykańskiego kuzyna. Pełne słodczy sonety naśladują Sidneya. Jeśli chodzi o czarodziejkę Elizabeth, inaczej: rudą jak marchew Bess, rubaszną dziewczę, która była natchnieniem Wesołych

kumoszek z Windsoru, niechże sobie jakiś meinherr z Alemanii grzebie w niej przez całe życie po omacku w poszukiwaniu znaczeń ukrytych na dnie kosza z brudną bielizną.

Zdaje się, że posuwasz się bardzo pięknie naprzód. Jeszcze tylko wymieszaj mieszaninę teologikofilologiczną. Mingo, mmxi, mictum, mingere.

- Niech pan udowodni, że był żydem, odważył się John Egiinton wyczekująco. Dziekan pańskiego wydziału utrzymuje, że był rzymskim katolikiem. Sufflaminandus sum.

- Uczyniono z niego w Niemczech, odpowiedział Stefan, naczelnego francuskiego szlifierza włoskich skandali.

- Przewielomysłny człowiek, przypomniał pan Naj. Coleridge nazwał go prze-wielomysłnym.

Amplius. In societate humana hoc est maxime necessarium ut sit amicitia inter multos.

- Święty Tomasz, zaczął Stefan...

- Ora pro nobis, jęknął Mnich Mulligan, tonąc w krześle. Począł zawodzić zaklęcia żałobne.

- Pogue mahone! Acushia machree! Oto unicestwieni jesteśmy od dnia tego! Zaiste, unicestwieni!

Każdy uśmiechnął się swym uśmiechem.

- Święty Tomasz, powiedział Stefan uśmiechając się, którego pękate dzieła radują mnie, gdy czytam je w oryginale, pisząc o kazirodstwie z innego punktu widzenia niż punkt widzenia nowej wiedeńskiej szkoły, o której mówił pan Magee, przyrównuje je na swój mądry i ciekawy sposób do skąpstwa uczuć. Chce on powiedzieć, że miłość ofiarowana tak bliskiemu krewnemu zostaje zazdrośnie odjęta komuś obcemu, kto, być może, łaknie jej. Żydzi, których chrześcijanie obwiniają o skąpstwo, są z wszystkich ras najbardziej podatni do małżeństw w rodzinie. Oskarżenia czynione są w gniewie. Chrześcijańskie prawa, dzięki którym nagromadziły się skarby żydów (dla których, jak dla lollardów, burza była schronieniem), ścisnęły także ich uczucia stalowymi obręczami. Czy są to grzechy, czy cnoty, powie nam stary Niczyjtata w sądny dzień. Lecz człowiek, który trzyma się tak kurczowo tego, co nazywa swymi prawami, i przekłada je ponad to, co nazywa swymi długami, będzie się także trzymał kurczowo tego, co nazywa swymi prawami wobec tej, którą nazywa swą żoną. Żaden proszę pana uśmiechnięty sąsiad nie będzie pożądał jego wołu ani jego żony ani jego służącego ani jego służebnej ani jego ośła.

- Ani jego oślicy, zaantyfonował Buck Mulligan.

- Łagodna wola Willa jest brutalnie traktowana, powiedział łagodnie łagodny pan Naj.

- Wola którego Willa? zażartował słodko Buck Mulligan. Popadamy w sprzeczności.

- Wola Willa biednej Anny wdowy, powiedział filozofujące John Egiinton, Willa wola życia to dla niej wola Willa śmierci.

- Requiescat! modlił się Stefan.

/ cóż z całej woli czynu? Przeminęła już od dawna...

- Twardo i sztywno jest tej rozczochranej królowej w owym nie najlepszym łożu, nawet gdybyście udowodnili, że łoże było w owych czasach taką rzadkością jak dziś samochód i że płaskorzeźby jego były cudem siedmiu parafii. Na starość zaczęła Ignąć do kaznodziei (jeden z nich przebywał w New Place i wypijał kwartę białego wina na koszt miasta, ale nie godzi się pytać, w którym łożu sypiał) i dowiedziała się, że ma duszę. Przeczytała lub dała sobie przeczytać jego nabożne powiastki, przekładając je nad Wesole kumoszki, a dając upust swym nocnym wodom w nocnik, rozmyślała nad Zapinkami i dziurkami portek wierzącego i Najbardziej uduchowioną tabakierą ku kichaniu świątobliwych dusz uczynioną. Modlitwa wykrzywiła wargi Venus. Kąsanie przewin:

wyrzuty sumienia. Jest to wiek utrudzonego kurewstwa po omacku szukającego swego boga.

- Historia wykazuje, że jest to prawdą, inquit Egiintonus Chronolologos. Wieki następują po sobie. Lecz wysokie autorytety mówią nam, że najgorsi nieprzyjaciele człowieka są w jego domu i w rodzinie. Czuję, że Russell ma słuszość. Cóż nas obchodzą jego żona i ojciec? Powiedziałbym, że tylko rodziński poeci mają życie rodzinne. Falstaff nie miał rodziny. Mam wrażenie, że ów gruby rycerz jest jego najdoskonalszym tworem.

Szczupły, opadł w tył. Wstydliwie zaprzyj się twych bliskich, odejdz ku obcym. Wstydliwie wieczerając z bezbożnymi, chyłkiem ściąga kielich. Jeden z ojców w uisterskim Antrim kazał mu to zrobić. Odwiedza go tam w dni przerw semestralnych. Panie Magee, jakiś gentleman chce widzieć pana. Mnie? Powiada, że jest pańskim ojcem, proszę pana. Daj mi mego Wordswortha. Wchodzi Magee Mor Matthew, obdarty odrażający opuchłogłowy kmieć, w barwnych portkach z przypiętym jajoworem, z pończochami umazanymi próchnem dziesięciu borów, a trzyma w dłoni gałąź dzikiej jabłoni.

A twój własny? Zna on twego starego. Wdowca.

Spiesząc z wesołego Paryża ku jej nędznemu śmiertelnemu barłogowi, dotknąłem jego dłoni na nadbrzeżu. Głos przemówił, pełen nowego ciepła. Dr Bob Kenny opiekuje się nią. Oczy, które pragną mego dobra. Ale mnie nie znają.

- Ojciec, powiedział Stefan, walcząc z beznadziejnością, jest złem koniecznym. Napisał tę sztukę w miesiącach, które nastąpiły po śmierci ojca. Jeśli sądzicie, że ów siwiejący człowiek z dwoma córkami na wydaniu, mający trzydzieści pięć lat życia, nel mezzo del camin di nostra vita, a pięćdziesiąt lat doświadczenia, jest owym bezbrodym studentem z Wittenbergii, musicie wówczas sądzić, że jego siedemdziesięcioletnia matka jest ową lubieżną królową. Nie. Zwłoki Johna Shakespeare'a nie przechadzają się pośród nocy. Gniją i

gniją z godziny na godzinę. Spoczywa, rozbrojony z ojcostwa, przekazawszy owo mistyczne dziedzictwo swemu synowi. Calandrino Boccaccia był pierwszym i ostatnim mężczyzną, który poczuł, że spodziewa się dziecka. Ojcostwo w sensie świadomego poczęcia jest nie znane mężczyźnie. Jest to mistyczne dziedzictwo, spadek apostolski jedyne płodzącego dla jedyne spłodzonego. Na tej tajemnicy, a nie na madonnie, którą przebiegły intelekt włoski cisnął motłochowi Europy, zbudowany jest Kościół, a zbudowany niewzruszenie, gdyż zbudowany, jak świat makro- i mikrokosmosu, na pustce. Na niepewności, na nieprawdopodobieństwie. Amor matris, dopełniacz podmiotowy i przedmiotowy, jest, być może, jedyną prawdziwą rzeczą w życiu. Ojcostwo może być fikcją prawną. Kimże jest ojciec jakiegokolwiek syna, by jakikolwiek syn kochał go lub on jakiegokolwiek syna?

Ku czemu, do diabła, zmierzasz?

Wiem. Zamknij się. Odwal się! Mam powody.

Amplius. Adhuc. Iterum. Postea.

Czy jesteś skazany, byś to czynił?

- Są oni rozdzieleni wstydem cielesnym tak trwałym, że roczniki kryminalne świata, splamione wszystkimi innymi rodzajami kazirodztwa i zezwierzęcenia, prawie nigdy nie notują tego przypadku. Synowie z matkami, ojcowie z córkami, siostry lesbijki, miłości, które nie odważą się wymówić swego imienia, bratankowie z babkami, więźniowie z dziurkami od kluczy, królowe z rozplodowymi buhajami. Syn nie narodzony kala piękno: narodzony przynosi ból, rozdziela uczucie, powiększa troski. Jest samcem: jego wzrost jest upadkiem ojca, jego młodość jest ojca zawiścią, jego przyjaciel wrogiem jego ojca.

Wymyśliłem to na rue Monsieur-le-Prince.

- Cóż ich łączy w przyrodzie? Chwila ślepej rui. Czy jestem ojcem? Gdybym był? Wychudła niepewna dłoń.

- Sabellius, Afrykanin, najprzemysłniejszy herezjarcha spośród wszelakiego polnego zwierza, utrzymywał, że Ojciec był Sam Swym Własnym Synem. Buldog z Akwinu, który nie cofnie się przed żadnym słowem, zwalcza go. Dobrze: lecz jeśli ojciec, który nie ma syna, nie jest ojcem, to czy syn, który nie ma ojca, może być synem? Gdy Rutlandbaconsouthamptonshakespeare czy też inny poeta tego samego nazwiska w owej komedii omyłek napisał Hamleta, nie był on jedynie ojcem swego syna, lecz nie będąc już więcej synem, był i czuł, że jest ojcem całej swojej rasy, ojcem swego własnego dziadka, ojcem swego nie narodzonego wnuka, który, dla tej samej przyczyny, nigdy nie był zrodzony, gdyż natura, taka jak ją rozumie pan Magee, nie znosi doskonałości.

Eglintonoczy, żywe z uciechy, uniosły się wstydlivojasne. Radośnie zerkał, wesoły purytanin, poprzez splątane głogi.

Pochlebiać. Rzadko. Lecz pochlebiać.

- Sam sobie swym własnym ojcem, Synmulligan powiedział sobie. Czekaście. Wzrasta we mnie dziecię. Mam nie narodzone dziecię w mym umyśle. Pallas Ateno! Sztukę! Sztuki trzeba! Pozwólcie mi urodzić!

Ścisnął swe brzuchoczoło obiema przy porodzie pomocnymi dłońmi.

- Jeśli chodzi o jego rodzinę, powiedział Stefan, nazwisko jego matki żyje w Lesie Ardeńskim. Śmierć jej dała mu ową scenę z Yolumnią w Kor wlanie. Śmierć synka jest w scenie śmierci młodego Artura w Królu Janie. Czarny książę Hamlet jest Hamnetem Shakespeare. Wiemy, kim są dziewczęta w Burzy, w Peryklesie, w Opowieści zimowej. Możemy zgadnąć, kim jest Kleopatra, ów garniec egipskiego mięsiwa, i Kresyda, i Venus. Lecz jeszcze jeden członek jego rodziny został zanotowany.

- Intryga się zagęszcza, powiedział John Egiinton. Kwakerski bibliotekarz wszedł, kwik kwak, na palcach, kwak, maska, kwak, z pośpiechem, kwik kwak.

Drzwi zamknięto. Cella. Dzień. Oni słuchają. Trzej. Oni. Ja ty on oni. Naprzód, panowie.

STEFAN: Miał on trzech braci, Gilberta, Edmunda, Richarda. Gilbert, będąc już starcem, opowiedział pewnym kawalerom, jak to dał mu wniść bez nijakiej opłaty Pan Odźwierny Teatru jako żywo dał i obaczył brata swego pana Wulla co pisarzem dramów jest w Lundynie w sztuce jednej co się w niej mocowali, a jeden człek siedział mu na grzbiecie. Kiełbaski sprzedawane w teatrze przepełniły duszę Gilberta. Nie ma go nigdzie: lecz Edmund i Richard są zapisani w dziełach słodkiego Williama.

MAGEEGLINJOHN: Imiona! Czymże jest imię?

NAJ: To moje imię, Richard, wie pan. Mam nadzieję, że zechce pan powiedzieć dobre słówko o Richardzie, wie pan, ze względu na mnie.

(Śmiech.)

BUCK MULLIGAN: (Piano, diminuendo.)

Wówczas rzeki ów medyk Dick Do kolegi medyka Davy...

STEFAN: W jego trójcy czarnych Willów, zdziczałych trzęsiworków, Jagona, Ryszarda Garbusa, Edmunda w Królu Learze, dwaj noszą imiona złych wujów. Nie, ta ostatnia sztuka została napisana, gdy jego brat Edmund leżał umierający w South-wark.

NAJ: Mam nadzieję, że to spadnie na Edmunda. Nie chciałbym, aby Richard, mój imiennik...

(Śmiech.) QUAKERLYSTER: (A tempo.) Lecz ten, kto kradnie moje dobre imię... STEFAN: (Stringendo.) Ukrył swe własne imię, piękne imię William, w sztukach, tu jest statystą, tam błaznom, jak malarz dawnej Italii umieszczający własne oblicze w ciemnym narożniku

plót na. Objawił je w sonetach, gdzie Will istnieje w nadmiarze. Na wzór Johna o'Gaunta, ceni swe imię nie mniej niż ów herb, o który tak zabiegał, na skośnym czarnym pasie złota włócznia o srebrzystym grocie, honorificabilitudinitatibus, a bardziej niż swą sławę największego shakescene, trzęsisceny, w kraju. Czymże jest imię? Pytamy Siebie o to w dzieciństwie wypisując imię, o którym powiedziano nam, że do nas należy. Gwiazda, gwiazda zaranna, meteor ognisty uniósł się w chwili jego narodzin. Lśnił za dnia samotnie w niebiosach, jaśniejszy niż Venus pośród nocy, a nocą lśnił ponad deltą Cassiopei, rozległej konstelacji, która jest jego inicjałem wypisanym wśród gwiazd. Oczy jego przypatrywały się jej, nisko leżącej nad widnokregiem na wschód od Niedźwiedzicy, gdy o pomocy szedł pośród sennych letnich pól, powracając z Shottery i uścisku jej ramion.

Obaj zadowoleni. Ja także.

Nie mów im, że miał dziewięć lat, kiedy zgasła.

I uścisku jej ramion.

Czekasz, by cię zdobywano i zdobyto. Tak, niewieśdachu. Któż cię będzie zdobywał?

Czytaj w niebiosach. Autontimerumenos. Bous Stephanoumenos. Gdzież twoja konfiguracja? Stefanie, Stefanie, dziel chleb równo, mój panie. S. D.: sua donna. Gid: di lui. Gelindo resolve di non amar S. D.

- Cóż to było, panie Dedalus? zapytał kwakerski bibliotekarz. Czy było to niezwykle zjawisko niebieskie?

- Gwiazda nocą, powiedział Stefan, a słup obłoku za dnia. Cóż więcej można powiedzieć? Stefan spojrzał na swój kapelusz, swą laskę, swe buty. Stephanos, moja korona. Mój miecz. Jego buty zniekształcają mi stopy. Kupić parę. Dziury w skarpetkach. I chustkę.

- Robi pan dobry użytek z nazwiska, przyznał John Egiinton. Pańskie własne jest dostatecznie dziwne. Przypuszczam, że wyjaśnia pańskie ekscentryczne usposobienie.

Moje, Magee i Mulligana.

Legendarny wynalazco, człowieczy jastrzębiu. Pofrunąłeś. Dokąd? Newhaven - Dieppe, na tylnym pokładzie. Do Paryża i z powrotem. Czajka, łkar. Pater, ait. Morzemociekający, upadły, nurzający się w głębiach. Jesteś czajką. On jest czajką. Pan Naj cichopilnie uniósł swą książkę, by powiedzieć:

- To bardzo interesujące, ponieważ ten motyw brata, wie pan, znajdujemy także w starych irlandzkich mitach. Właśnie to, co pan mówi. Trzej bracia Shakes-peare. U Grimma także, wie pan, w bajkach. Ten trzeci brat, który żeni się ze śpiącą królewną i zdobywa to, co najlepsze.

Naj z braci Naj. Dobry, lepszy, naj.

Kwakierski bibliotekarz wspiął się stanął w pobliżu.

- Chciałbym wiedzieć, którego brata pan... Zrozumiałem, że pan sugeruje, jakoby zaistniał występki z którymś z braci... Ale może rozumiem przedwcześnie? Urwał: spojrzał na wszystkich: powstrzymał się. Asystent zawołał od progu:

- Panie Lyster! Ojciec Dineen chce...

- Och! Ojciec Dineen! Natychmiast.

Zręcznie chmiast skrzypiąc chmiast chmiast zniknął chmiast.

John Egiinton porwał za broń.

- Naprzód, powiedział. Niechaj usłyszemy, co ma pan do powiedzenia o Ryszardzie i Edmundzie. Zachował ich pan na koniec, prawda?

- Prosząc was, abyście zapamiętali tych dwóch szlachetnych krewniaków, wuja Richie i wuja Edmunda, odpowiedział Stefan, odczuwam, że, być może, prosiłem was o zbyt wiele. O bracie zapomina się tak łatwo jak o parasolu.

Czajka.

Gdzież jest twój brat? U aptekarza. Moja osełka. On, potem Craniy, Mulligan:

teraz oni. Przemawiaj, przemawiaj. Lecz działaj. Działaj przemawiając. Drwią, chcąc cię wypróbować. Działaj. Niech oddziaływają na ciebie.

Czajka.

Jestem znużony własnym głosem, głosem Ezawa. Me królestwo za kieliszek.

Naprzód.

- Powiecie, że te imiona znajdowały się już w kronikach, z których wziął treść swoich sztuk. Dlaczego wziął raczej te, a nie inne? Ryszard, skurwysyn garbus, bękart, wyznaje miłość owdowiałej Annie (czymże jest imię?), zaleca się do niej i zdobywa ją, kurewską wesołą wdówkę. Ryszard zwycięzca, trzeci brat, przybył po Williamie zwyciężonym. Cztery pozostałe akty sztuki zwisają luźno z tego pierwszego. Z wszystkich jego królów Ryszard jest jedynym królem nie osłoniętym przez szacunek Shakespeare'a, owego anioła stróża świata. Dlaczego uboczny wątek Króla Leara, w którym firuguje Edmund, zostaje wyrwany z Arkadii Sidneya i przyfastrygowany do celtyckiej legendy starszej niż historia?

- Takie były obyczaje Willa, wstawił się John Egiinton. Obecnie nie należy łączyć skandynawskiej sagi z fragmentem powieści George'a Meredith'a. Que vou-lez-vous? powiedziałby Moore. Umieszcza on Czechy nad brzegiem morza i każe Ulissesowi cytować Arystotelesa.

- Dlaczego? odpowiedział sobie Stefan. Ponieważ temat fałszywego lub rozpustnego lub cudzołożnego brata lub wszystkich trzech w jednym jest dla Shakespe-are'a tym, czym biedak nie jest dla niego, zawsze bliski. Nuta wygnania, wygnania z serca, wygnania z domu, brzmi nieprzerwanie, poczynawszy od Dwóch szlachciców z Werony przez cały czas aż do chwili, gdy Prospero łamie swą laskę, grzebie ją na kilka sążni w ziemi i topi swą księgę. Podwaja się ona pod koniec pierwszej połowy jego życia, znajduje odbicie w drugiej, powtarza się, protaza, epitaza, katastaza, katastrofa. Powtarza się raz jeszcze, gdy jest bliski grobu, gdy jego zameżna córka Susan, jego nieodrodne dziecię, jest oskarżona o cudzołóstwo. Ale to grzech pierworodny tak zaćmił jego pojmowanie, osłabił jego wolę i zaszczepił w nim tak silną skłonność do złego. Słowa te są słowami panów biskupów z Maynooth: jest to grzech pierworodny, a jako grzech pierworodny został popełniony przez innego, którego grzechem on także zgrzeszył. Znajduje się to pomiędzy wierszami ostatnich słów, które napisał, jest wyryte na jego nagrobku, pod którym jej kości nie będą złożone. Czas tego nie zmazał. Piękno i pokój nie starły. Odnajduje się w nieskończonej różnorodności świata, który stworzył, w Wiele hałasu o nic, • dwukrotnie w Jak wam się podoba, w Burzy, w Hamlecie, w Miarce za miarkę i we wszystkich innych sztukach, których nie przeczytałem.

Roześmiał się, aby uwolnić swój umysł z więzów swego umysłu.

Sędzia Egiinton podsumował.

- Prawda leży pośrodku, stwierdził. Jest on duchem i księciem. Jest on wszystkim we wszystkim.

- Jest, powiedział Stefan. Chłopiec z aktu pierwszego jest dorosłym mężczyzną z aktu piątego. Wszystkim we wszystkim. W Cymbelinie, w Otellu, jest on rajfurem i rogaczem. Działa i działają na niego. Zakochany w ideale lub w perwer-sji, jak Jose zabija prawdziwą Carmen. Jego niestrudzony intelekt jest jak rogatoro-zjuszony Jago, nieustannie pragnący, aby Maur w nim cierpiał.

- Rogi! Rogi! zarozył lubieżnie Róg Mulligan. O, słowo straszliwe! Ciemny strop przyjął, oddał.

- A jakimż charakterem jest Jago! wykrzyknął nieustraszony John Egiinton. Gdy wszystko już tu zostało powiedziane, Dumasfils (a może Dumas pereT) ma słuszność. Po Bogu Shakespeare stworzył najwięcej.

- Człowiek nie raduje go, mężczyzna, ani kobieta, powiedział Stefan. Powraca po życiu spędzonym z dala do tego skrawka ziemi, gdzie się urodził, gdzie zawsze przebywał, jako mężczyzna i chłopiec, milczący świadek, i tam, zakończywszy swą wędrówkę życiową, zasadza w ziemi swe drzewo morwowe. Później umiera. Widowisko skończone. Grabarze grzebią Hamleta pere i Hamleta fils. Króla i księcia, którymi wreszcie stał się po śmierci, przy dźwiękach okolicznościowej muzyki. I choć zamordowany i zdradzony, opłakiwany jest

przez wszystkie czułe, kruche serca Danii czy Dublina, dla których żal po zmarłych jest jedynym małżonkiem, z którym nie pragną rozvodu. Jeśli podoba wam się epilog, patrzcie nań długo:

prosperujący Prospero, dobry człowiek nagrodzony, Lizzie, słoneczko dziadziusia, i wujo Richie, zły człowiek porwany przez poetycką sprawiedliwość do miejsca, gdzie odchodzą źli Murzyni. Ostateczna kurtyna. Odnalazł w świecie zewnętrznym jako rzeczywiste to, co w jego świecie wewnętrznym było możliwe. Maeterlinck powiada: Jeśli Sokrates opuści rankiem swój dom, znajdzie mędrca siedzącego na swym progu. Jeśli Judasz wyjdzie po zmroku, ku Judaszowi zwróci kroki swoje. Każde życie liczy wiele dni, dzień po dniu. Przechadzamy się wewnątrz siebie, spotykając zbójców, duchy, olbrzymów, starców, młodzieńców, żony, wdowy, szwagrobaci. Ale zawsze spotykając samych siebie. Dramatopisarz, który napisał folio tego świata i napisał je mamie (dał nam światłość najpierw, a słońce w dwa dni później), pan rzeczy istniejących, którego najbardziej rzymscy z katolików nazywają dio boia, bogiem katem, jest bez wątpienia wszystkim we wszystkim we wszystkich nas, stajennym i rzeźnikiem, i byłby rajfurem i rogaczem, gdyby nie to, że dzięki oszczędności niebios, przepowiedzianej przez Hamleta, nie ma tam już więcej małżeństw, a zbawiony człowiek, obojnacki anioł, jest żoną sam sobie.

- Eureka! zawołał Buck Mulligan. Eureka! Nagle, uszczęśliwiony, poderwał się i jednym susem osiągnął biurko Johna Egiintona.

- Czy mogę? powiedział. Pan przemówił do Malachiego. Zaczął bazgrać na kawałku papieru. Weź parę kawałków z biurka wychodząc.

- Ci, którzy są żonaci, powiedział pan Naj zwiastun słodki, będą żyli wszyscy, prócz jednego. Inni pozostaną jacy są.

Roześmiał się, bezzenny, ku Egiintonowi Johannesowi, sztuk bakałarzowi. Nie zaślubieni, nie zakochani, wystrzegający się podstępów, co noc wertując kart-

kują każdy swe krytyczne wydanie Poskromienia złośnicy.

- Zwodzi nas pan, powiedział bez ogródek John Egiinton do Stefana. Zaprowadził nas pan tak daleko, żeby nam pokazać francuski trójkąt. Czy wierzy pan w swoją teorię?

- Nie, odpowiedział Stefan zdecydowanie.

- Czy chce pan to napisać? zapytał pan Naj. Powinien pan z tego zrobić dialog, wie pan, taki jak dialogi platońskie, które pisał Wilde. John Egiinton uśmiechnął się po dwakroć.

- No, w takim razie, powiedział, nie widzę, dlaczego miałby pan oczekiwać zapłaty, jeśli pan sam w to nie wierzy. Dowden wierzy, że jest jakaś tajemnica w Hamlecie, ale więcej nie chce powiedzieć. Herr Bleibtreu, człowiek, którego Piper spotkał w Berlinie, opracowujący tę teorię Rutlanda, wierzy, że tajemnica jest ukryta w stratfordzkim grobowcu. Chce on

odwiedzić obecnego księcia, powiada Piper, i udowodnić mu, że jego przodek napisał te sztuki. Będzie to niespodzianką dla jego wysokości. Ale wierzy on w swoją teorię.

Wierzę, o Boże, wspomóż mą niewiarę. Czy to znaczy, pomóż mi wierzyć czy nie wierzyć? Kto pomaga wierzyć? Egomen. Kto nie wierzyć? Inny facet.

- Jest pan jedynym współpracownikiem Dany, który żąda srebrników. Poza tym, nie wiem nic o następnym numerze. Fred Ryan żąda miejsca dla artykułu o ekonomii.

Fraidrine. Pożyczył mi dwa srebrniki. Żebyś mógł przetrzymać. Ekonomia.

- Za gwineę, powiedział Stefan, może pan opublikować ten wywiad. Buck Mulligan wstał od swych roześmianych bazgrołów, roześmiany: potem rzekł poważnie, osładzając złośliwość:

- Złożyłem wizytę u barda Kincha w jego letniej rezydencji przy Upper Meckleburgh Street i znalazłem go pogrążonego głęboko w studiowaniu Summa contra Gentiiles w towarzystwie dwu tryperialnych dam. Świeżej Nelly i Rozalki, kurwy z nadbrzeża węglowego.

Nie wytrzymał.

- Chodź, Kinch. Chodź, błędzący Aengusie Okolony Ptakami. Chodź, Kinch, zjadłeś już wszystko, co zostawiliśmy. Tak. Podam ci twe resztki i odpadki.

Stefan wstał. Życie liczy wiele dni. Ten się zakończy.

- Spotkamy się dziś wieczór, powiedział John Egiinton. Notre ami Moore powiada, że Malachi Mulligan musi tam być.

Buck Mulligan powiał swym kawałkiem papieru i panamą.

- Monsieur Moore, powiedział, wykładowca literatury francuskiej dla młodzieży irlandzkiej. Będę tam. Chodź, Kinch, bardowie muszą wypić. Czy możesz iść prosto?

Śmieje się on...

Chlać do jedenastej. Opowieści z tysiąca i jednej nocy irlandzkich.

Osilek...

Stefan podążył za osiłkiem.'..

Pewnego dnia mieliśmy dyskusję w bibliotece narodowej. Shakes. Podążyłem za jego osiłkowatymi plecami. Nadeptuję mu na odciski.

Stefan, pozdrowiwszy, podążył bez zapału za osiłkowatym błaznem, za wypiełgnowaną głową, świeżo ostrzyżoną, z głębi sklepionej celi w oślepiające bezmyślne światło dzienne.

Czego się nauczyłem? O nich? O sobie?

Iść teraz jak Haines.

Sala stałych czytelników. W księdze czytelników Cashel Boyle o'Connor Fitz-maurice Tisdall Farrell skraca inicjałami swych wiele sylab. Przedmiot: Czy Hamlet był szalony? Kwakierska pała bogobojnie rozprawia z sutanną.

- Och, proszę bardzo, sir... Będę zaszczycony... Przemyślny Buck Mulligan rozmyślał umyślnie przyjemnym szeptem, mówiąc z sobą, potakując:

- Zaszczycony zadek. Kołowrót.

Czy to?... Kapelusz z niebieską wstążką... Pisce powoli... Co? Spojrzał?... Zakręcająca balustrada; gładkosunący Mincius.

Puk Mulligan, w swym panamahelmie, szedł krok za krokiem, nucąc jam-bami:

John Egiinton, mój jo, John. Czemu ci żony brak?

Zabełkotał w przestwór:

- O, Czin Czon Eg Lin Ton, bez brody syn z Chin. Poszliśmy do ich teatrzyku, Haines i ja, w sali blacharzy. Nasi aktorzy tworzą nową sztukę dla Europy jak Grecy albo pan M. Maeterlinck. Abbey Theatre! Węszę pot mniszej widowni.

Splunął na ślepo.

Zapomniałem: nie bardziej, niż on zapomniał o batkach, które dostał od wszawego Lucy. I pozostawił femme de trenie ans. Dlaczego więcej dzieci się nie urodziło? I dlaczego jego pierwsze dziecko było dziewczynką?

Spóźniona myśl. Cofnąć się.

Ponury samotnik jest tam jeszcze (ma swoje ciastko) i słodki młodzieniaszek, dziecię rozkoszy, o jasnych włosach Fedona, z którymi można poigrać. Hm... ja właśnie hm... chciałem... zapomniałem... on...

- Longworth i M'Curdy Atkinson byli tam... Puk Mulligan drobił zręcznie, nucąc trelami:

Niech któraś mnie zaczepi ludnie Albo niech alfons mnie zagadnie, A już cwałuje myśl spieniona W stronę M'Curdy Atkinsona, Tego, co ma drewnianą nóżkę;

Także o innym myśleć muszę, Który nie pije nic prócz wody, A zowią go Magee bez brody. Obaj, nie widząc w ślubie racji, Oddali siły masturbacji.

Błądź dalej. Poznaj siebie. Przystanąwszy pode mną, drwiąco spogląda na mnie. Przystaje.

- Żałobny błazenku, jęknął Buck Mulligan. Synge przestał ubierać się na czarno, żeby być podobnym do natury. Tylko wrony, księża i angielski węgiel są czarne.

Śmiech przeleciał po jego wargach.

- Longworth rozchorował się okropnie, powiedział, po tym, co napisałeś o tej starej flądrze Gregory. O, ty inkwizytorski zapity żydojezuito! Wynalazła ci ona posadę w gazecie, a ty za to zrąbałeś te jej bzdury, że Jezzu odpuść! Czy nie mógłbyś przejąć maniery Yeatsa?

Ruszył przed siebie w dół, wykrzywiając się, podśpiewując, wymachując wdzięcznie ramionami:

- Najpiękniejsza książka, jaka ukazała się w naszym kraju za moich czasów. Przywodzi na myśl Homera.

Zatrzymał się u podnóża schodów.

- Wykoncypowałem sztukę dla błazenków, powiedział uroczyście. Sala o mauretańskich kolumnach, splecionych cieniach. Zakończył się mauretański taniec dziewięciu mężów w czapkach swych wykładników.

Słodko mieniącymi się głosami Buck Mulligan odczytał swe tabliczki:

Każdy Swą Wiosną Żoną czyli Miodowy Miesiąc w Dłoni (narodowy niemoralitet w trzech orgazmach) przez Ja/oka Mulligana

Zwrócił się z uszczęśliwionym błazeńskim uśmieszkiem do Stefana, mówiąc:

- Obawiam się, że zawoalowana zbyt przejrzyście. Ale posłuchaj. Odczytał marcato:

- Osoby:

TOBIASZ TRZEPAKOFF (zrujnowany Polak)

MENDA (zbójca) MEDYK DICK 1

i '• (dwie pieczenie przy jednym ogniu)

MEDYK DA VY J

MATKA GROGAN (woziwodzicha)

ŚWIEŻA NELLY

i ROZALKA (kurwa z nadbrzeża węglowego)

Roześmiał się kołysząc głową, poszedł naprzód, za nim Stefan: i wesoło przemówił do cieni, do dusz ludzkich:

- O, nocy w Camden Hali, gdy córki Erynu musiały unosić swe spódnice, by móc przestąpić ciebie, kiedy leżałeś we własnych morwobarwnych, wielobarwnych, przewielobarwnych rzygowinach!

- Był to najniewinniejszy z synów Erynu, powiedział Stefan, dla którego
kiedykolwiek je uniosły.

Nim minął próg, ustąpił w bok, wyczuwając kogoś za sobą. Rozstać się. Nadeszła chwila. A
potem gdzie? Jeśli Sokrates opuści rankiem

swój dom, jeśli Judasz wyjdzie po zmroku. Dlaczego? Leży to w przestrzeni,
w której z czasem muszę się znaleźć, nieuniknienie.

Moja wola: jego wola przeciwna mojej. Pomiędzy nimi oceany. Człowiek przeszedł pomiędzy
nimi, kłaniając się, pozdrawiając.

- Dzień dobry po raz drugi, powiedział Buck Mulligan.

Portyk.

Stąd patrzyłem na ptaki szukając wróżby. Aengus Okolony Ptakami. Odlatują, przybywają.
Zeszłej nocy latałem. Latałem z łatwością. Ludzie zdumiewali się. Później ulica nierządnic.
Wyciągnął ku mnie śmietankowy owoc, melon. Wejdz. Ujrysz.

- Żyd wieczny tułacz, szepnął Buck Mulligan z błazeńskim przerażeniem. Czy widziałeś jego
oczy? Spojrzał na ciebie pożądliwie. Lękam się ciebie, odwieczny żeglarzu. Och, K-inch,
jesteś w niebezpieczeństwie. Wzmocnij sobie portki.

Maniera Bykfordzka.

Dzień. Taczki słońca nad łukiem mostu.

Ciemne plecy posuwały się przed nimi. Krokiem leoparda w dół, przez bramę, pod ostrzami
żelaznych sztachet.

Szli za nim.

Obrażaj mnie jeszcze. Gadaj dalej.

Łagodne powietrze podkreślało narożniki domów przy Kildare Street. Nie ma ptaków. Ponad
szczytami domów dwa wątle pióropusze dymu urosły, pierzaste, i rozwiały się miękko w
miękkim podmuchu.

Przestań walczyć. Pokój druidów Cymbelina, hierofantyczny: ołtarz uczyniony z ziemi
rozległej.

Wychwalajmy bogów I niech wspinają się nasze pochyle dymy ku nozdrzom ich z
błogosławionych Naszych ołtarzy.

NAJPRZEWIELEBNIEJSZY PREFEKT JOHN CONMEE S. J. WSUNĄŁ NA POWRÓT SWÓJ

gładki zegarek do wewnętrznej kieszeni, schodząc po stopniach probostwa. Za pięć trzecia. Akurat dość czasu, żeby dojść pieszo do Artane. Jakże się nazywał ten chłopiec? Dignam, tak. Vere dignum et iustum est. Brat Swan był osobą, z którą należało się spotkać. List pana Cunninghama. Tak. Wyświadczyć mu grzeczność, jeśli to możliwe. Dobry praktykujący katolik: użyteczny w czasie misyjnym.

Jednonogi marynarz, posuwający się o kulach powolnymi podskokami, wyburczał kilka tonów. Opadł w pół podrygu przed klasztorem sióstr szarytek i wyciągnął spiczastą czapkę po jałmużnę w kierunku najprzewielebniejszego Johna Conmee S. J. Pośród słonecznego blasku ojciec Conmee pobłogosławił go, gdyż sakiewka jego zawierała, jak wiedział, jedną srebrną koronę.

Ojciec Conmee przeciął Mountjoy Square. Myślał, lecz niezbyt długo, o żołnierzach i marynarzach, którym kule armatnie oderwały nogi, kończących życie w jakimś nędznym przytułku, pomyślał także o słowach kardynała Wol-seya: Gdybym służył memu Bogu tak, jak służyłem memu królowi, nie opuściłby mnie On w mej starości. Szedł w cieniu drzew pod słońcem mrugającym przez liście, a naprzeciw niego pojawiła się nadchodząca żona pana Davida Sheehy, członka Parlamentu.

- Naprawdę znakomicie, ojcie. A ojciec?

Ojciec Conmee miał się cudownie. Pojedzie prawdopodobnie do Buxton, do wód. A jak postępy jej chłopców w Belvedere? Czy rzeczywiście? Ojciec Conmee był naprawdę bardzo zadowolony, mogąc to usłyszeć. A sam pan Sheehy? Nadal w Londynie. Izba nadal obradowała, tak, zapewne. Piękna pogoda, naprawdę urocza. Tak, było bardzo prawdopodobne, że ojciec Bernard Vaughan ponownie będzie miał kazania. O tak: bardzo wielkie powodzenie. Z pewnością, wspaniały człowiek.

Ojciec Conmee był bardzo rad mogąc ujrzeć żonę pana Davida Sheehy, członka Parlamentu, w tak dobrym zdrowiu i prosił, aby pozdrowiła od niego pana Davida Sheehy, członka Parlamentu. Tak, z pewnością zajrzy.

- Do widzenia, pani Sheehy.

Ojciec Conmee, odchodząc, uchylił swego lśniącego kapelusza przed dżetami jej mantyli, lśnącymi atramentowe w słońcu. I nadal uśmiechał się idąc. Wiedział, że ma zęby wyczyszczone pastą arekową.

Ojciec Conmee szedł i idąc uśmiechał się, gdyż pomyślał o figlarnych oczach i gwarowej wymowie ojca Bernarda Yaughana.

- Piłacie! Czemu nie celniesz tego rycącego tłumu?

Mimo to był człowiekiem pełnym gorliwości. Tak, na pewno był. I zaiste, na swój sposób czynił bardzo wiele dobra. Bez wątpienia. Powiedział, że kocha Irlandię i Irlandczyków. I z dobrej rodziny, kto by to przypuszczał. Walijczycy, zdaje się?

O, byłby zapomniał. Ten list do ojca prowincjała.

Ojciec Conmee zatrzymał trzech małych uczniów na rogu Mountjoy Square. Tak, byli z Belvedere. Z Mniejszego Domu. Aha. A czy w szkole zachowywali się jak grzeczni chłopcy? O. To bardzo dobrze. A jak on się nazywa? Jack Sohan. A on? Ger. Gailaher. A tamten młody człowiek? Nazywał się Brunny Lynam. O, to bardzo ładne nazwisko.

Ojciec Conmee wyjął ukryty na piersi list, podał go kawalerowi Brunny Lyna-mowi i wskazał mu czerwoną skrzynkę pocztową, stojącą na rogu Fitzgibbon Street.

- Ale uważaj, żebyś nie wrzucił siebie do skrzynki, młody człowieku, powiedział.

Chłopcy zerknęli sześciooko na ojca Conmee i parsknęli śmiechem.

- Och, proszę księdza.

- No, niech zobaczę, czy umiesz wysłać list, powiedział ojciec Conmee.

Kawaler Brunny Lynam przebiegł przez ulicę i wsunął w usta jasnoczerwonej skrzynki pocztowej list ojca Conmee do ojca prowincjała, ojciec Conmee uśmiechnął się i skinął głową, i uśmiechnął się, i odszedł wzdłuż Mountjoy Square East.

Pan Denis J. Maginni, profesor tańców etc., posuwający się z godnością w cylindrze, ciemnoszarym fraku z jedwabnymi kłapami, w białym fularze, obcisłych lawendowych spodniach, kanarkowych rękawiczkach i spiczastych lakierkach, usunął się z najwyższym szacunkiem na krawężnik mijając lady Maxwell na rogu Dignam's Court.

Czy to nie pani M'Guinness?

Pani M'Guinness, majestatyczna, srebrnowłosa, ukłoniła się ojcu Conmee z przeciwległego chodnika, po którym żeglowała. A ojciec Conmee uśmiechnął się i pozdrowił ją. Jakże się miewa?

Miała piękny powóz. Trochę jak Maria, królowa szkocka. I pomyśleć, że jest właścicielką lombardu. Też coś! Taka... jakby to powiedzieć?... taka królewska postawa.

Ojciec Conmee ruszył w dół Great Charles Street i zerknął w lewo ku zamkniętemu kościołowi protestanckiemu. Wielebny T. R. Greene B. A. będzie (D. V.) przemawiał. Nazywają go beneficjentem. Czuje, że za swe beneficjum powinien powiedzieć kilka słów. Ale trzeba być miłosiernym. Niezwyciężona ignorancja. Czynili według oświecenia swego.

Ojciec Conmee skręcił na rogu i poszedł wzdłuż North Circular Road. To zdumiewające, że na takiej ważnej arterii nie znajdowała się linia tramwajowa. Z pewnością winna była się znajdować.

Grupka chłopców z tornistrami przecięła drogę wychodząc z Richmond Street. Wszyscy unieśli pomięte czapki. Ojciec Conmee pozdrowił ich dobrotliwie, kilkakrotnie. Chłopcy ze szkoły braci chrześcijańskich.

Idąc dalej, ojciec Conmee poczuł zapach kadzidła po prawej ręce. Kościół Świętego Józefa, Portland Rów. Dla sędziwych i cnotliwych niewiast. Ojciec Conmee uchylił kapelusza przed Najświętszym Sakramentem. Cnotliwe: lecz od czasu do czasu bywały także w złym usposobieniu.

W pobliżu pałacu Aldborough ojciec Conmee pomyślał o owym rozrzutnym magnacie. A teraz jest tu urząd czy coś takiego.

Ojciec Conmee ruszył wzdłuż North Strand Road i został pozdrowiony przez pana Williama Gallaghera, który stał na progu swego sklepu. Ojciec Conmee pozdrowił pana Williama Gallaghera i wchłonął wonie, ulatniające się z połci boczku i osełek solonego masła. Minął trafikę Grogana; wsparta o nią tablica z ostatnimi wiadomościami donosiła o strasznej katastrofie w Nowym Jorku. W Ameryce takie rzeczy ciągle się zdarzały. Niestety ludzie, którzy tak umierają, nie przygotowani. Mimo to akt doskonałego żalu za grzechy.

Ojciec Conmee minął szynk Daniela Bergina, przed którego oknem stali oparci dwaj bezrobotni. Pozdrowili go i zostali pozdrowieni.

Ojciec Conmee minął przedsiębiorstwo pogrzebowe H. J. o'Neilla, gdzie Corny Kelieher podliczał cyfry w księdze dziennego utargu, żując przy tym żdźbło wyschłej trawy. Znajdujący się w obchodzie policjant pozdrowił ojca Conmee, a ojciec Conmee pozdrowił policjanta. U rzeźnika Youkstettera ojciec Conmee dostrzegł kiszki wieprzowe, białe, czarne i czerwone, ułożone w schludne zwoje.

Pod drzewami Charleville Mali ojciec Conmee zauważył zakotwiconą barkę z torfem, obok stał z opuszczoną głową holujący koń, a barkarz w brudnym słomkowym kapeluszu siedział pośrodku barki, palił i spoglądał na gałąź topoli w górze. Było to idylliczne: ojciec Conmee pomyślał o łaskawości Stwórcy, który uczynił torf w torfowiskach, aby ludzie mogli wykopywać go stamtąd i dostarczać do miast i wiosek dla rozniecenia ognia w domostwach biedaków.

Na moście Newcomen przewielebny John Conmee S. J. z kościoła Świętego Franciszka Ksawerego przy Upper Gardiner Street wsiadł do tramwaju jadącego w kierunku przedmieścia.

Z tramwaju jadącego w kierunku śródmieścia wysiadł na moście Newcomen wielebny Nicholas Dudley C. C. z kościoła Świętej Agaty przy North William Street.

Na moście Newcomen ojciec Conmee wsiadł do jadącego w kierunku przedmieścia tramwaju, gdyż nie lubił przemierzać pieszo brudnej drogi wzdłuż Mud Island.

Ojciec Conmee usiadł w kącie wozu tramwajowego, wetknąwszy uważnie niebieski bilet w dziurkę jednej ze swych pulchnych kozłowych rękawiczek, podczas gdy cztery szylingi, sześciopensówka i pięć pensów spłynęły do sakiewki z wgłębienia drugiej jego rękawiczki. Mijając okryty bluszczem kościół pomyślał, że kontroler biletów zwykle pojawia się, gdy ktoś nierozsądnie wyrzuci swój bilet. Uroczysta powaga osób znajdujących się w wozie wydała się ojcu Conmee nadmierna, jak na tak krótką i tanią podróż. Ojciec Conmee lubił pogodne otoczenie.

Dzień był spokojny. Siedzący naprzeciw ojca Conmee pan w okularach przestał wyjaśniać i opuścił wzrok. To jego żona, przypuścił ojciec Conmee. Małeńkie ziewnięcie rozwarło usta żony pana w okularach. Uniosła małą urękawiczoną dłoń, ziewnęła ach jak delikatnie, musnęła otwierające się usta palcami małej urękawiczonej dłoni i uśmiechnęła się tyciuteńko, słodko.

Ojciec Conmee poczuł woń jej perfum rozchodzącą się wewnątrz wozu. Zauważył także, że niezgrabny mężczyzna po jej drugiej stronie siedział na samym skraju ławki.

Ojciec Conmee, stojąc przy blaskach ołtarza, z trudem wkładał hostię w usta niezgrabnego staruszka o trzęsącej się głowie.

Przy moście Annesley tramwaj zatrzymał się, a gdy miał już ruszać, jakaś staruszka wstała niespodzianie z miejsca, chcąc wyjść. Konduktor pociągnął za ramię dzwonka, aby zatrzymać dla niej wóz. Wyszła ze swym koszykiem i siatką na zakupy: i ojciec Conmee dostrzegł, że konduktor sprowadził ją, jej siatkę i jej koszyk na ziemię: i ojciec Conmee pomyślał, że niemal przekroczyła strefę przejazdu za pensa i że jest ona jedną z owych dobrych duszyczek, którym zawsze trzeba powtarzać dwa razy odejdz w pokoju, moje dziecko, jako że zostały rozgrzeszone, módl się za mnie. Ale miały one tyle kłopotów w życiu, tyle trosk, biedne stworzenia.

Z plakatów pan Eugene Stratton uśmiechał się grubymi murzyńskimi wargami do ojca Conmee.

Ojciec Conmee pomyślał o duszach czarnych, brunatnych i żółtych ludzi i o swym kazaniu o świętym Piotrze Claverym S. J. i o afrykańskich misjach i szerzeniu wiary i o milionach .czarnych, brunatnych i żółtych dusz, które nie otrzymały chrztu z wody, gdy ich ostatnia godzina nadeszła jako złodziej pośród nocy. Wywód w książce napisanej przez tego belgijskiego jezuitę, Le Nombre des Elus, wydawał się ojcu Conmee rozumny. Były to miliony dusz ludzkich, stworzonych przez Boga na Jego własne podobieństwo, którym nie przyniesiono (D. V.) wiary. Ale były to dusze boże, stworzone przez Boga. Wydawało się ojcu Conmee żalnym, że wszystkie będą zgubione, marnotrawstwem, jeśli tak wolno powiedzieć.

Na przystanku Howth Road ojciec Conmee wysiadł, został pozdrowiony przez konduktora i pozdrowił go.

Na drodze do Małahide było cicho. Podobały się ojcu Conmee, droga i nazwa. Radosne dzwony były w wesołym Małahide. Lord Talbot de Małahide, bezpośredni dziedziczny lord admirał Małahide i przyległych mórz. A potem przyszło wezwanie do broni i stało się, że była panną, żoną i wdową w dzień jeden. Były to starodawne dni, uczciwe czasy wesołych grodów, czasy dawnej baronii.

Idąc, ojciec Conmee pomyślał o swej książeczce Czasy dawnej baronii i o książce, którą można byłoby napisać o domach jezuickich, i o Mary Rochfort, córce lorda Molesworth, pierwszej hrabinie Belvedere.

Apatyczna, niemłoda już dama przechadzała się samotnie nad brzegiem jeziora Ennel, Mary, pierwsza hrabina Belvedere, apatycznie przechadzająca się wieczorem, nie zatrwożona pluskiem nurkującej wydry. Któż znał prawdę? Nie znał jej zazdrosny lord Belvedere i nie znał jej także spowiednik, jeśli nie popełniła cudzołóstwa w pełni, *eiaculatio seminis inter vas naturale mulieris*, z bratem męża swego? Jak to czynią kobiety, wypowiadałaby się tylko w polowie, gdyby nie zgrzeszyła całkowicie. Bóg jeden wiedział i ona, i on, brat jej męża.

Ojciec Conmee pomyślał o owej przemożnej niepowściągliwości, koniecznej jednak dla rodzaju ludzkiego na ziemi, i o drogach bożych, które nie są naszymi drogami.

Przełożony John Conmee szedł, poruszając się w czasie minionym. Był wówczas łagodny i szanowany. Przechowywał w umyśle tajemnice spowiedzi i uśmiechał się ku uśmiechniętym szlachetnym obliczom w wywoskowanym salonie o suficie ozdobionym gronami dojrzałych owoców. A dłonie panny młodej i pana młodego, szlachetna ze szlachetną, połączone zostały przez przełożonego Johna Conmee.

Był to uroczy dzień.

Sklepiona brama prowadząca ku polom ukazała ojcu Conmee rozległe zagony kapusty, dygającej ku niemu szerokimi spodnimi liśćmi. Niebo ukazało mu trzodę małych białych obłoczków sunących powoli z wiatrem. Moutonner, mówili na to Francuzi. Takie swojskie i właściwe słowo.

Ojciec Conmee, odczytując modlitwy, przyglądał się trzodzie wełnistych obłoczków nad Rathcoffey. Kostki okryte cienkimi skarpetkami łaskotało ściernisko łąk w Clongowes. Przechadzał się tam, czytając wieczorami, i słyszał okrzyki grających drużyn chłopięcych, młode okrzyki pośród spokojnego wieczoru. Był ich rektorem: rządy jego były łagodne.

Ojciec Conmee ściągnął rękawiczki i wyjął swój czerwono obrzeżony brewiarz. Zakładka z kości słoniowej wskazała mu stronę.

Nona. Powinien był to odczytać przed lunchem. Ale przyszła Lady Maxwell.

Ojciec Conmee odczytał po cichu Pater i Ave i przeżegnał się. Deus in adiuto-rium.

Szedł spokojnie i czytał bezgłośnie nonę, idąc i czytając, póki nie doszedł do Res w Beati immaculati: Principium yerborun tuorum veritas: in aeternum omnia iudicia iustitiae tuae.

Zarumieniony młody człowiek wynurzył się z wyrwy w żywopłocie, a za nim wynurzyła się młoda kobieta trzymająca w dłoni kołyszące się dzikie stokrotki. Młody człowiek gwałtownie uchylił czapki: młoda kobieta gwałtownie pochyliła się i z powolną troskliwością oderwała od swej powiewnej spódnicy uczeptioną do niej gałązkę.

Ojciec Conmee pobłogosławił oboje poważnie i przewrócił cienką kartkę swego brewiarza. Sin: Principes persecuti sunt me gratis: et a verbis tuis formidavit cor meum.

Comy Kelleher zamknął podłużną księgę dziennego utargu i spod obwisłej powieki zerknął w róg pokoju, gdzie stało na baczność sosnowe wieko trumny. Wyprostował się, podszedł do wieka i okręcając je na osi, obejrzał jego wykonanie i mosiężne okucia. Żując żdźbło wyschniętej trawy, odstawił wieko i podszedł ku drzwiom. Nasunął rondo kapelusza, żeby osłonić oczy, i wsparty o framugę, wyjrzał leniwie na zewnątrz.

Ojciec Conmee wsiadł na moście Newcomen do tramwaju w kierunku Dolly-mount.

Corny Kelleher skrzyżował swe wielkostope buty i spod opuszczonego runda kapelusza spoglądał żując nadal żdźbło wyschniętej trawy.

Znajdujący się w obchodzie policjant 57C zatrzymał się, żeby zamienić parę słów.

- Piękny dzień, panie Kelleher.

- Tak, powiedział Corny Kelleher.

- Jest bardzo duszno, powiedział policjant. Corny Kelleher wypuł łukiem cichy strumyczek śliny z przeżutą trawą w tej samej chwili, gdy z okna przy Eccies Street szczodre białe ramię cisnęło monetę.

- Co słychać? zapytał.

- Widziałem wiadomą osobę wczoraj wieczorem, powiedział policjant ledwie dosłyszalnie.

Jednonogi marynarz przekuśtykał wokół narożnika MacConnella, okrążając wózek lodziarza Rabaiottiego i nagłymi podrzutami skierował się w Eccies Street. Warknął nieprzyjaźnie ku Larry'emu o'Rourke, stojącemu w koszuli na proggu.

- Za Anglię...

Rzucił się gwałtownie ku przodowi, mijając Katey i Boody Dedalus, stanął i warknął:

- ojczyznę i piękno.

Błada, wynędniała od trosk twarz J. J. O'Molloya została poinformowana, że pan Lambert jest w magazynie z klientem.

Tęga dama przystanęła, wyjęła miedziaka z portmonetki i opuściła go w wysuniętą czapkę. Marynarz warknął dziękczynnie i zerknąwszy niechętnie w obojętne okna, opuścił głowę i przekuśtykał cztery kroki ku przodowi.

Przystanął i warknął wściekle:

- Za Anglię...

Dwu bosonogich urwisów, ssących długie korzonki lukrecji, przystanęło przy nim, rozdziawiwszy na widok jego kikuta żółto umazane usta.

Posunął się ku przodowi energicznymi podrzutami, zatrzymał, uniósł głowę ku niebu i zawył głęboko:

- ojczyznę i piękno.

Wesoły świergotliwy gwizd wewnątrz trwał jeszcze przez jeden lub dwa takty, ustał. Odciągnięto storę w oknie. Kartka Pokoje nie umeblowane wysliznęła się spod futryny i spadła. Ukazało się pulchne, nagie, szczodre ramię, wynurzające się z białej halki i napiętych ramiączek. Dłoń kobieca cisnęła ponad sztachetami ogrodzenia monetę, która upadła na chodnik.

Jeden z urwisów podbiegł, podniósł ją i upuścił do czapki minstrela, mówiąc:

- Tu, proszę pana.

Katey i Boody Dedalus przepchnęły się przed drzwi zatęchłej, parującej kuchni.

- Czy zastawiłaś książki? zapytała Boody. Stojąca przy blasze Maggy dwukrotnie zanurzyła warząchwiał szarą masę pod pianistymi mydlinami i otarła czoło.

- Nic nie chcieli za nie dać, powiedziała.

Ojciec Conmee szedł przez łąki w Clongowes, a ściernisko łaskotało jego kostki, okryte cienkimi skarpetkami.

- Gdzie próbowałaś? zapytała Boody.

- U tej M'Guinness.

Boody tupnęła nogą i cisnęła tornister na stół.

- Żeby jej mordę pokręciło! zawołała. Katey podeszła do blachy i zajrzała zezując.

- Co w garnku? zapytała.

- Koszule, powiedziała Maggy. Boody zawołała ze złością:

- O rany, czy nie ma dla nas nic do jedzenia?

Katey, unosząc pokrywę garnka przez skraj poplamionej spódniczki, zapytała:

- A w tym co jest?

Ciężki kłęb pary wzniósł się w odpowiedzi.

- Grochówka, powiedziała Maggy.

- Skąd ją masz? zapytała Katey.

- Od siostry Mary Patrick, powiedziała Maggy. Woźny potrząsnął dzwonkiem.

- Barang!

Boody usiadła przy stole i powiedziała zgłodniałe:

- Dawaj to tu!

Maggy przelała żółtą, zawiesistą zupę z kociołka do miski. Katey, usiadłszy naprzeciw Boody, powiedziała spokojnie, unosząc do ust koniuszkiem palca rozrzucone okruszki.

- Dobrze, że mamy chociaż tyle. Gdzie Diiiy?

- Poszła spotkać się z ojcem, powiedziała Maggy.

Boody, wkruszając duże kawałki chleba do żółtej zupy, dodała:

- Z ojcem naszym, który nie jest w niebie.

Maggy, wlewając żółtą zupę do miski Katey, zawołała:

- Boody! Wstydź się!

Czółenko, zmięta ulotka, Eliasza nadchodzi, płynęło lekko w dół Liffey, pod mostem kolei obwodowej, przyspieszając w nurcie, tam gdzie spieniona woda okrążała filary mostu, żeglując na wschód, pośród kadłubów okrętowych i łańcuchów kotwicznych, pomiędzy starym dokiem Urzędu Celnego i George's Quay.

Jasnowłosa dziewczyna u Thorntona wyścielała wiklinowy koszyk szeleszczącą wyściółką. Bujny Boylan podał jej zawiniętą w różową bibułę butelkę i mały słoik.

- Włoży to pani najpierw, dobrze? powiedział.

- Tak, proszę pana, powiedziała jasnowłosa dziewczyna, a owoce na wierzch.

- Świetnie, ślicznotko, powiedział Bujny Boylan.

Ułożyła porządnie pękate gruszki, na przemian główkami do ogonków, a pomiędzy nimi dojrzałe zapłonione brzoskwinie.

Bujny Boylan przechadzał się tam i na powrót w nowych brązowych butach po pachnącym owocami sklepie, unosząc owoce, młode soczyste krągłe pyzate czerwone pomidory, wdychając zapachy.

H. E. L. Y. 'S. przedefilowali przed nim w wysokich białych kapeluszach wzdłuż Tangier Lane, wlokąc się ku swemu celowi.

Odwrócił się gwałtownie od koszyczka truskawek, wyciągnął złoty zegarek z kieszonki spodni i odsunął go na odległość łańcuszka.

- Czy może je pani wysłać tramwajem? Zaraz? Postać o ciemnym grzbiecie przeglądała w Bramie Kupców książki na wózku domokrążcy.

- Oczywiście, proszę pana. Czy to w śródmieściu?

- O tak, powiedział Bujny Boylan. Dziesięć minut stąd. Jasnowłosa dziewczyna podała mu bloczek i ołówek.

- Czy będzie pan łaskaw wypisać adres, proszę pana? Bujny Boylan napisał przy ladzie i przesunął ku niej bloczek.

- Proszę wysłać od razu, dobrze? powiedział. To dla chorego.

- Tak, proszę pana. Wyślę, proszę pana.

Bujny Boylan wesoło zagrzechotał pieniędzmi w kieszeni spodni.

- Ile tracę? zapytał.

Smukłe palce jasnowłosej dziewczyny przeliczyły owoce. Bujny Boylan zajrzał w wycięcie jej bluzki. Młoda gąska. Wyjął czerwony goździk z wysokiego szklanego wazonu.

- To dla mnie? zapytał dwornie.

Jasnowłosa dziewczyna zerknęła nań spod oka, był ubrany jak z igły, krawat miał trochę przekrzywiony, zarumieniła się.

- Tak, proszę pana, powiedziała.

Pochylona zalotnie, przeliczyła raz jeszcze pękate gruszki i zarumienione brzoskwinie.

Bujny Boylan, trzymając pomiędzy uśmiechniętymi zębami łodygę czerwonego kwiatu, łaskawiej zajrzał w wycięcie bluzki.

- Czy mogę powiedzieć słówko do twojej słuchawki, panienczko? zapytał łobuzersko.

- Ma! powiedział Almidano Artifoni. Spojrzał ponad ramieniem Stefana na guzowatą czaszkę Goidsmitha. Dwa powozy pełne turystów przejechały wolno, kobiety siedziały w przedzie, otwarcie ściskając poręcze. Błede twarze. Ramiona mężczyzn opasywały otwarcie ich półkształty. Oczy ich wędrowały od Trinity do ślepej kolumnady portyku Banku Irlandii, gdzie grugrugruchały gołębie.

- Anch'io ho avuto di queste idee, powiedział Almidano Artifoni, quand'ero giovine come Lei. Eppoi mi sono convinto che U mondo e una bestia. E peccato. Perche la sua voce... sarebbe un cespite di rendita, via. Invece, Lei si sacrifica.

- Sacrificio memento, powiedział Stefan, uśmiechając się i kołysząc lekko swą jesionową laską, którą balansował wahadłowo.

- Speriamo, powiedziała uprzejmie okrągła wąsata twarz. Ma, dia retta a me. Ci rifletta.

Przed surową kamienną dłonią Grattana, nakazującą zatrzymanie, szkocka orkiestra wojskowa wyładowała się w nieładzie z tramwaju z Inchicore.

- Ci rifletteró, powiedział Stefan przesuwając spojrzeniem w dół po krzepkiej nogawce spodni.

- Ma, sul serio, eh? powiedział Almidano Artifoni. Jego ciężka dłoń ujęła mocno dłoń Stefana. Ludzkie oczy. Spoglądały przez chwilę ciekawie i zwróciły się szybko ku tramwajowi do Dalkey.

- Eccolo, powiedział Almidano Artifoni z przyjaznym pośpiechem. Yenga a trovarmi e ci pensi. Addio, caro.

- Arrivederla, maestro, powiedział Stefan unosząc kapelusz, gdy uwolnił dłoń. E grozie.

- Di che? powiedział Almidano Artifoni. Scusi, eh? Tante belle cose! Almidano Artifoni, sygnalizując uniesioną batutą zwiniętych nut, pokhisował za tramwajem do Dalkey, ile sił w krzepkich spodniach. Nadaremnie kłusował, sygnalizując nadaremnie pośród tłumu rycerzyków w spódnickach do kolan, wnoszących instrumenty muzyczne w bramy Trinity.

Panna Dunne ukryła głęboko w szufladzie egzemplarz Kobiety w bieli z biblioteki przy Capel Street i wkręciła w maszynę do pisania kartkę jaskrawego papieru.

Za dużo tajemniczości w tym wszystkim. Czy on kocha się w tej Marion? Trzeba wymienić i wziąć inną napisaną przez Mary Cecii Haye.

Krążek ześliznął się po wyżłobieniu, kołysał przez chwilę, znieruchomiał i puścił ku nim oko: sześć.

Panna Dunne wystukała na klawiaturze:

- 16 czerwca 1904.

Pomiędzy narożnikiem Monypeny'ego a płytą, gdzie nie stał pomnik Wolfe Tone'a, pięciu ludzi-reklam w wysokich białych kapeluszach zawróciło węzłem odwracając swoje H. E. L. Y. 'S i poczłapało w kierunku, z którego nadeszli.

Potem wpatrzyła się w wielki plakat przedstawiający Marie Kendall, czarującą subretkę, i, rozparta apatycznie, nagryzmoła w notesie szesnastki i duże esy. Musztardowe włosy i umalowane policzki. Nie jest chyba przystojna, prawda? I sposób, w jaki unosi tę sukienczynę. Ciekawe, czy ten facet będzie na tańcach dziś wieczór. Żeby mi ta krawcowa uszyła taką suknię plisowaną w harmonijkę, jak ma Susy Nagle. Wyglądają fantastycznie. Shannon i ci wszyscy gogusie z yacht--ciubu nie spuszczali z niej oka. W Bogu nadzieja, że nie przetrzyma mnie tu do siódmej.

Telefon zadzwonił niegrzecznie tuż przy jej uchu.

- Hallo. Tak, proszę pana. Nie, proszę pana. Tak, proszę pana. Zadzwonię do nich po piątej. Tylko te dwa, proszę pana, do Belfastu i Liverpoolu. Dobrze, proszę pana. W takim razie pójdę po szóstą, jeżeli pan nie wróci. Kwadrans po. Tak, proszę pana. Dwadzieścia siedem i sześć. Powiem mu. Tak: jeden, siedem, sześć.

Nagryzmoła trzy cyfry na kopercie.

- Hallo! Panie Boylan! Ten pan ze Sportu był tu i szukał pana. Tak, pan Lenehan. Powiedział, że będzie o czwartej w Ormondzie. Nie, proszę pana. Tak, proszę pana. Zadzwonię do nich po piątej.

Dwie zaróżowione twarze odwróciły się w blasku maleńkiej pochodni.

- Kto to? zapytał Ned Lambert. Czy to Crotty?

- Ringabella i Crosshaven, odpowiedział głos stąpającego niepewnie w poszukiwaniu oparcia.

- Hallo, Jack, czy to ty? powiedział Ned Lambert, unosząc w pozdrowieniu giętką deseczkę pod migotliwym sklepieniem. Chodź tu. Uważaj, jak idziesz.

Zapałka w uniesionej dłoni duchownego wypaliła się w długim łagodnym płomieniu i została upuszczona. Jej czerwony ognik skonał u ich stóp i otoczyło ich stęchłe powietrze.

- Jakże interesujące! powiedział pośród mroku dystyngowany głos.

- Tak, sir, powiedział Ned Lambert serdecznie. Znajdujemy się w historycznej komnacie opactwa świętej Marii, gdzie Jedwabny Thomas ogłosił się buntownikiem w 1534 roku. Jest to najbardziej historyczne miejsce w Dublinie. o'Madden Burke ma zamiar napisać coś o nim w najbliższych dniach. Dawny Bank Irlandii znajdował się po drugiej stronie ulicy aż do czasu unii, a świątynia żydowska też była tu pierwotnie, zanim nie wybudowali sobie synagogi przy Adelaide Road. Nie byłeś tu nigdy przedtem, Jack, prawda?

- Nie, Ned.

- Przejechał konno wzdłuż Damę Walk, powiedział dystyngowany głos, jeśli mnie pamięć nie myli. Pałac Rildare'ów był w Thomas Court.

- Słusznie, powiedział Ned Lambert. Zupełnie słusznie, sir.

- Wobec tego, jeżeli będzie pan tak uprzejmy, powiedział duchowny, aby następnym razem zezwolić mi...

- Oczywiście, powiedział Ned Lambert. Proszę przyjść z aparatem fotograficznym o każdej porze. Każę usunąć te worki z okien. Można będzie robić zdjęcia stąd albo stąd.

Poruszał się w nieruchomym, słabym świetle, uderzając swą deseczką w spiętrzone worki ziarna i w dogodne miejsca na podłodze.

Broda i wejrzenie pociągłej twarzy zawisły nad szachownicą.

- Jestem głęboko zobowiązany, panie Lambert, powiedział duchowny. Nie będę nadużywał pańskiego cennego czasu...

- Prosimy serdecznie, powiedział Ned Lambert. Proszę zająć o każdej porze. Powiedzmy, w przyszłym tygodniu. Czy dobrze tu widać?

- Tak, tak. Do widzenia, panie Lambert. Miło mi było pana poznać.

- Przyjemność jest po mojej stronie, odpowiedział Ned Lambert. Odprowadził gościa do wyjścia, a potem odrzucił swą deseczkę pomiędzy kolumny. Przeszedł powoli z J. J. O'Molloyem do opactwa Marii, gdzie wozacy ładowali na platformy wory chleba świętojańskiego i mączki palmowej, o'Connor, Wexford.

Przystanął, żeby odczytać trzymaną w dłoni wizytówkę.

- Wielebny Hugh C. Love, Rathcoffey. Obecny adres: Saint Michael's, Sal-lins. Sympatyczny młody facet. Powiedział mi, że pisze książkę o Fitzgeraldach. Zna się na historii, daje słowo.

Młoda kobieta z powolną troskliwością oderwała od swej powiewnej spódnicy uczeptioną do niej gałązkę.

- Myślałem, że planujecie nowy spiszek prochowy, powiedziała J. J. O'Molloy. Ned Lambert strzelił palcami w powietrzu.

- Boże, zawołał. Zapomniałem mu opowiedzieć o tym, co powiedział hrabia Kildare po podpaleniu katedry w Cashel. Znasz to? Diabelnie mi przykro, powiada on, lecz klę się na Boga, myślałem, że arcybiskup jest w środku. Ale mogłoby mu się to nie spodobać. Co? Boże, opowiem mu mimo to. To był wielki pan, ten Fitzgerald Mor. Oni wszyscy byli w gorącej wodzie kąpani, ci Geraldinowie.

Przeszedł obok koni, które poderwały się nerwowo w rozluźnionej uprzęży. Klepnął srokaty, dygoczący tuż przy nim zad i zawołał:

- Hej, synku!

Zwrócił się do J. J. O'Molloya i zapytał:

- No, Jack, o co chodzi? Co się stało? Chwileczkę. Poczekaj. Stał nieruchomo z rozdziawionymi ustami i odrzuconą do tyłu głową i po chwili kichnął głośno.

- Psik! powiedział. Niech to diabli!

- To kurz z tych worków, powiedział J. J. O'Molloy uprzejmie.

- Nie, wydyszał Ned Lambert, zaziębłem się przedwczoraj wie... niech diabli porwą... przedwczoraj wieczorem... był tam piekielny przeciąg... Uniósł chusteczkę w oczekiwaniu tego, co miało nastąpić...

- Byłem... dziś rano... tego biednego małego... jakże mu tam... Psik!... Matko Mojżesza!

Tom Rochford zdjął górny krążek ze stosu, który tulił do swej wiśniowej kamizelki.

- Widzicie? powiedział. Powiedzmy, że chodzi o występ szósty. Tu wkładam, widzicie. Występ Odbływający Się Teraz.

Wsunął, dla nich, do lewego otworu krążek, który ześliznął się po wyżłobieniu, kołysał przez chwilę, znieruchomiał i puścił ku nim oko: sześć.

Prawnicy starej szkoły, wyniośle stojący w obronie, przyglądali się przechodzącemu do sądu Nisi Prius ze zbiorczego urzędu podatkowego Richie Gouldingowi, który niósł tekę z aktami Gouldinga, Collisa i Warda, i słyszeli podstarzałą niewiastę o fałszywych, niedowierzająco uśmiechniętych zębach i czarnej jedwabnej, wielce obfitej spódnicy, gdy, szeleszcząc, udawała się z wydziału morskiego sądu ławy królewskiej do sądu apelacyjnego.

- Widzicie? powiedział. Teraz ten ostatni, który włożyłem, jest tam. Występy Zakończone. Pchnięcie. Działanie dźwigni, widzicie?

Wskazał im kolumnę krążków spiętrzonych po prawej stronie.

- Świetny pomysł, powiedział Nosey Flynn pociągając nosem. Więc spóźniony facet zobaczy, który występ się odbywa i co już się odbyło.

- Widzicie, powiedział Tom Rochford.

Wsunął krążek dla siebie i patrzył, gdy ześlizgiwał się, kołysał, puścił oko, stanął: cztery. Występ Odbływający Się Teraz.

- Zobacze się z nim teraz w Ormondzie, powiedział Lenehan, i wybadam go. Jeden dobry uczynek wart jest drugiego.

- Zrób tak, powiedział Tom Rochford. Powiedz mu, jak Bujna jest moja niecierpliwość.

- Dobranoc, przeciął M'Coy, kiedy wy dwaj zaczynacie...

Nosey Flynn pochylił się ku dźwigni, pociągając nosem w jej kierunku.

- Ale jak to pracuje, Tommy? zapytał.

- Tralala, powiedział Lenehan, do zobaczenia.

Wyszedł za M'Coyem i przeciął maleńki placzyk Crampton Court.

- To bohater, powiedział po prostu.

- Wiem, powiedział M'Coy. Myślisz o kanale.

- Kanale? powiedział Lenehan. To się stało w głębi wjazdu. Minęli music-hall Dana Lowry, gdzie Marie Kendall, czarująca subretka, uśmiechnęła się ku nim z plakatu malowanym uśmiechem.

Gdy przechodzili obok music-hallu Empire chodnikiem w dół Sycamore Street, Lenehan opowiedział M'Coyowi, jak się to stało. Jeden z tych wjazdów podobny do tych przeklętych rur gazowych i tam ten biedaczyna utknął, na pół uduszony wyziewami ze ścieków. Mimo to Tom Rochford, ubrany w kamizelkę bookmache-ra i wystrojony, spuścił się tam, opasany liną. I niech zginę, ale udało mu się okręcić liną tego biedaczynę i wyciągnięto ich obu razem.

- Bohaterski czyn, powiedział.

Dochodząc do Dolphin przystanęli, aby przepuścić karetkę pogotowia, która przegalopowała obok nich ku Jervis Street.

- Tędy, powiedział, skręcając w prawo. Chcę zajrzeć do Lynama, żeby zobaczyć, jakie są początkowe zakłady na Sceptre. Która godzina na twoim złotym zegarku z łańcuszkiem?

M'Coy zerknął do posępnego kantoru Marcusa Tertiusa Mosesa, a potem na zegar o'Neilla.

- Po trzeciej, powiedział. Kto jej dosiada?

- O. Madden, powiedział Lenehan. Ognista klacz.

Czekając przed barem Tempie, M'Coy zepchnął delikatnymi dotknięciami czubka bucika skórki banana z chodnika do rynsztoka. Człowiek może przeklecie łatwo upaść paskudnie, pośliznąwszy się na tym, kiedy będzie wracał zalany po ciemku.

Brama wjazdowa otworzyła się, aby przepuścić vice-królewską kawalkadę.

- Jeden do jednego, powiedział Lenehan wróciwszy. Natknąłem się na Ban-tam Lyonsa, przyszedł obstawić jakiegoś przekłętego konia, którego ktoś mu polecił, chociaż nie ma najmniejszych szans. Tędy.

Przeszli po stopniach i pod Arkadą Kupców. Postać o ciemnym grzbiecie przeglądała książki na wózku domokrażcy.

- Oto jest, powiedział Lenehan.

- Ciekaw jestem, co kupuje, powiedział M'Coy zerkając za siebie.

- Leopoldo, czyli uciekł mi Bloom w proso, powiedział Lenehan.

- Ma kręćka na punkcie okazijnego kupna, powiedział M'Coy. Byłem z nim któregoś dnia i kupił za dwa szylingi książkę od pewnego staruszka przy Liffey Street. Były tam śliczne sztychy warte dwa razy tyle pieniędzy, gwiazdy i księżyc, i komety z długimi ogonami. Rzecz była o astronomii.

Lenehan roześmiał się.

- Opowiem ci cholernie dobrą historyjkę o ogonach komet, powiedział. Przejdźmy na słońce.

Skręcili ku Metalowemu Mostowi i ruszyli przez Wellington Quay wzdłuż kamiennego obramowania rzeki.

Kawaler Patrick Aloysius Dignam wyszedł od Mangana, dawniej Fehrenbacha, niosąc półtora funta kotletów wieprzowych.

- Odbывała się wtedy wielka pompa w domu poprawczym w Glencree, powiedział Lenehan w podnieceniu. Takie doroczne przyjęcie, wiesz. Sztywne gorsy. Przyszedł burmistrz, był nim wtedy Val Diiion, sir Charies Cameron i Dań Dawson przemawiali i była muzyka. Bartell d'Arcy śpiewał i Benjamin Dollard...

- Wiem, wtrącił M'Coy. Moja pani śpiewała tam raz.

- Naprawdę? powiedział Lenehan.

Kartka Pokoje nie umeblowane pojawiła się ponownie we framudze okna pod numerem siódmym przy Eccles Street.

Przerwał na chwilę opowiadanie, ale wybuchnął urywanym śmiechem.

- Zaczekaj, aż ci opowiem, powiedział. Delahunt z Camden Street był dostawcą żywności, a twój szczerze oddany był wielkim podczaszym. Bloom z żoną też tam byli. Podaliśmy wszystkiego w nadmiarze: portwein i sherry, i curacao, które potraktowaliśmy wielce sprawiedliwie. Szybkie i szalone to było. Po cieczech podano ciała stałe. Zimne mięsiwa w obfitości i pasztety...

- Wiem, powiedział M'Coy. Tego roku, kiedy moja pani tam była... Lenehan serdecznie ujął go pod ramię.

- Zaczekaj, aż ci opowiem, powiedział. Przekąsiliśmy o północy, już po zabawie, a kiedy wyruszyliśmy, była szara godzina przedświt i noc kończyła się. Była cudowna zimowa noc na Featherbed Mountain, kiedy powracaliśmy. Bloom i Chris Callinan siedzieli po jednej stronie powozu, a ja z jego żoną po drugiej. Zaczęliśmy wyśpiewywać tercety i duety: Hej, promyku wczesny ranka. Była porządnie podchmielona solidną porcją portweinu od Delahunta, którą zdążyła wlać w siebie. Za każdym podskokiem cholernego powozu zderzała się ze mną. Diabelnie przyjemnie! Ma ona ich piękną parę, niech jej Bóg da zdrowie. O, takich.

Wysunął przed siebie zaokrąglone dłonie, marszcząc brwi.

- Przez cały czas poprawiałem jej koc i układałem boa. Wiesz, co chcę powiedzieć?

Jego dłonie przesunęły się w powietrzu po pełnych okrągłościach. Z zadowoleniem zacisnął powieki, skulił się i z warg jego wydobył się słodki, świergotliwy gwizd.

- Mój mały stanął mi na baczność, powiedział z westchnieniem. To ognista klacz, ani słowa. Bloom wskazywał Chrisowi Callinanowi i woźnicy wszystkie gwiazdy i komety na niebie: Wielką Niedźwiedzicę i Herkulesa, i Smoka, i całą resztę tego tałatajstwa. Ale klęę się na Boga, że ja przynajmniej byłem, że się tak wyrażę, zagubiony na drodze mlecznej. Zna on je wszystkie, daję słowo. W końcu zauważyła jakieś małe maciupeństwo daleko jak diabli. A co to za gwiazda, Poldy? powiada. Klęę się na Boga, wpędziła Blooma w ślepy zaułek. Czy ta? powiada Chris Callinan, przecież to nie większe niż główka szpilki. Na Boga, nie wiedział, jak utrafił.

Lenehan zatrzymał się i przechylił nad kamiennym obramowaniem nadbrzeża, sapiąc i śmiejąc się cicho.

- Osłabłem, wydyszał.

Błada twarz M'Coya, która uśmiechała się od czasu do czasu, spoważniała.

Lenehan znowu ruszył. Uniósł swą żeglarską czapkę i podrapał się gwałtownie w tył głowy. Spojrzał z ukosa pod słońce na M'Coya.

- To naprawdę wszechstronny człowiek ten Bloom, powiedział poważnie. To nie jeden z tych pospolitych albo byle jakich... wiesz... Jest coś z artysty w naszym starym Bloomie.

Pan Bloom przewracał leniwie karty Straszliwych odkryć Marii Monk, później Arcydzieła Arystotelesa. Krzywy, niechlujny druk. Ilustracje: dzieci zwinięte w kłębuszek w krwistoczerwonych łonach, wyglądających jak wątroby zabitych krów. Mnóstwo takich samych jak te wszędzie teraz na świecie. Wszystkie bodą głowami, żeby się wydostać. Co minuta rodzi się gdzieś dziecko. Pani Purefoy.

Odłożył obie książki na bok i zerknął na trzecią: Opowiadania z ghetta przez Leopolda von Sacher Masoch. '

- To już miałem, powiedział odsuwając ją. Księgarz położył na ladzie dwa tomy.

- Te dwie są dobre, powiedział.

Cuchnący cebulą oddech wybiegł ponad ladę spoza jego zrujnowanych zębów. Pochylił się, aby poskładać pozostałe książki, przytulił je do rozpiętej kamizelki i wyniósł za brudną zasłonę.

Na moście O'Connella wiele osób dostrzegło dostojną postać i wesoły ubiór pana Denisa J. Maginni, profesora tańców etc.

Pan Bloom, sam, spojrział na tytuły. Piękne tyranki przez Jamesa Lovebirch. Wiem, co to może być. Miała to? Tak.

Otworzył książkę. Tak jak myślałem.

Głos kobiety za brudną zasłoną. Posłuchajmy: mężczyzna.

Nie: to nie bardzo by się jej podobało. Wziąłem to dla niej już raz.

Odczytał drugi tytuł: Słodczy grzechu. Bardziej w jej guście. Zobaczymy.

Przeczytał tam, gdzie otworzył palcem.

- Wszystkie dolarowe banknoty, otrzymywane od męża, wydawała w magazynach na przepiękne suknie i najdroższe fatalaszki. Dla niego! Dla Raoula! Tak. To. Tu. Spróbować.

- Jej wargi stopiły się z jego wargami w słodkim całunku rozkoszy, podczas gdy dłonie jego prześlizgiwać się jeły po wypukłych krągłościach wewnątrz jej dezabilu.

Tak. Wziąć to. Zakończenie.

- Spóźniłaś się, powiedział ochryple, wpijając w nią wzrok z podejrzliwym błyskiem. Piękna kobieta odrzuciła swój przybrany sobolami płaszcz, ukazując królewskie ramiona i falujące wdzięki. Niedostrzegalny uśmiech błąkał się po jej najdoskonalszych wargach, gdy zwróciła się ku niemu spokojnie.

Pan Bloom odczytał raz jeszcze: Piękna kobieta.

Objęło go łagodne ciepło, usztywniając ciało. Ciało poddało się pośród pomiętych szat. Białka oczu uniosły się omdlałe. Nozdrza rozdęły się w poszukiwaniu łupu. Na piersiach topniejące pachnidła (dla niego! Dla Raoula\). Pod pachami pot woniejący cebulą. Galaretowata lepkość (jej falujące wdzięki^. Dotykać! Gniesć! Miażdżyć! Lwi kał siarką woniejący!

Być młodym! Młodym!

Podstarzała niewiasta, niemłoda już, opuściła gmach sądu kanclerskiego, ławy królewskiej, akczyzy i sądu cywilnego, wysłuchawszy w sądzie kanclerskim sprawy o ubezwłasnowolnienie umysłowo chorego Potttertona, a w wydziale morskim pozwu, na wniosek jednostronny, właścicieli Lady Cairns przeciw właścicielom barki Mona, a w sądzie apelacyjnym zawieszenia wyroku w sprawie Harveya przeciw Towarzystwu Ubezpieczeń od Wypadków na Oceanach.

Powietrze w księgarni drżało od flegmistego kaszlu, wzdymając brudne zasłony. Nie uczesana siwa głowa księgarza i jego nie ogolona, zarumieniona twarz wynurzyły się spoza nich, kaszląc. Charknął nieokrzese i wypluł flegmę na podłogę. Postawił but na swej płwocinie, roztarł ją podeszwą i pochylił się ukazując nagie ciemie, pokryte rzadkimi włoskami.

Pan Bloom zauważył to.

Opanowując zakłopotanie w głosie, powiedział:

- Tę wezmę.

Księgarz uniósł oczy, wypłowiałe od zastarzałego reumatyzmu.

- Słodczy grzechu, powiedział, uderzając w nią palcem. To dobre.

Woźny w drzwiach sali licytacyjnej Diiiona znowu potrząsnął dwukrotnie swym ręcznym dzwonkiem i przejrzał się w zabazgranym kredą lustrze sekretery.

Diiiy Dedalus, słuchająca na krawężniku, usłyszała głos dzwonka i nawoływanie licytatora wewnątrz. Cztery szylingi i dziewięć pensów. Te przepiękne firanki. Pięć szylingów. Urocze firanki. Nowe kosztują dwie gwinee. Czy ktoś daje więcej niż pięć szylingów? Idą za pięć szylingów.

Woźny uniósł dzwonek i potrząsnął:

- Barang!

Bang oznajmił dzwonek ostatnie okrążenie i poderwał do sprintu ścigających się na pół mili cyklistów. J. A. Jackson, W. E. Wylie, A. Munro i H. T. Gahan, kołysząc wyciągniętymi szyjami, wzięli zakręt przy Bibliotece Uniwersyteckiej.

Pan Dedalus, pokręcając długiego wasa, wyszedł spoza narożnika William's Rów. Zatrzymał się obok swej córki.

- Długo czekałam na ciebie, powiedziała.

- Wyprostuj się, na miłość Jezusa Chrystusa, Pana naszego, powiedział pan Dedalus. Starasz się naśladować swego wuja Johna, kornecistę, z głową w ramionach? Jezu frasobliwy!

Diii wzruszyła ramionami. Pan Dedalus położył na nich dłonie i odgiął je ku tyłowi.

- Wyprostuj się, dziewczyno, powiedział. Dostaniesz skrzywienia kręgosłupa. Czy wiesz, jak wyglądasz?

Zwiesił głowę ku przodowi, zgarbił ramiona i opuścił dolną szczękę.

- Daj spokój, ojcze, powiedziała Diii. Wszyscy na ciebie patrzą. Pan Dedalus wyprostował się i znowu pokręcił węża.

- Czy dostałeś jakieś pieniądze? zapytała Diii.

- Skąd miałbym dostać pieniądze? powiedział pan Dedalus. Nie ma nikogo w Dublinie, kto pożyczyłby mi choć cztery pensy.

- Masz trochę, powiedziała Diii patrząc mu w oczy.

- Skąd wiesz? zapytał pan Dedalus przymrużając oko. Pan Kernan, zadowolony z zamówienia, które otrzymał, szedł rażno wzdłuż James's Street.

- Wiem, że dostałeś, odpowiedziała Diii. Czy nie byłeś teraz w Scotch House?

- Nie byłem, odpowiedział pan Dedalus uśmiechając się. Czy to te zakonniczki nauczyły cię takiej bezczelności? Masz. Wręczył jej szylinga.

- Spróbuj z tym coś zrobić, powiedział.

- Przypuszczam, że masz pięć, powiedziała Diii. Daj mi więcej.

- Zaczekaj no, powiedział pan Dedalus groźnie. Jesteś jak cała reszta, prawda? Zuchwała banda małych szczeniąt, od czasu jak wasza biedna matka umarła. Ale zaczekaj no. Dostaniecie jeszcze wszyscy łupnia ode mnie. Nikczemne łajdactwo! Postaram się was pozbyć. Nie obesłoby was, gdybym wyciągnął nogi. Umarł. Ten człowiek na piętze nie żyje.

Zostawił ją i poszedł dalej. Diii poszła za nim szybko i pociągnęła za marynarkę.

- No, o co chodzi? powiedział zatrzymując się. Woźny zadzwonił dzwonkiem za ich plecami.

- Barang!

- Niech Bóg skarzę twoją przekłętą wrzaskliwą duszę, zawołał pan Dedalus, odwracając się ku niemu.

Woźny, świadom komentarza, potrząsnął dyndającym sercem swego dzwonka, lecz słabo:

- Bang!

Pan Dedalus wpatrzył się w niego.

- Przyjrzyj mu się, powiedział. To pouczające. Ciekaw jestem, czy da nam mówić.

- Masz więcej niż tyle, ojciec, powiedziała Diiiy.

- Mam zamiar pokazać wam małą sztuczkę, powiedział pan Dedalus. Pozostawię was wszystkich tam, gdzie Jezus pozostawił żydów. Zobacz, to wszystko, co mam. Dostałem dwa szylingi od Jacka Powera i wydałem dwa pensy na golenie przed pogrzebem.

Wyciągnął nerwowo garść miedziaków.

- Czy nie możesz poszukać gdzieś jakichś pieniędzy, powiedziała Diiiy. Pan Dedalus pomyślał i skinął głową.

- Tak uczynię, powiedział poważnie. Szukałem na całej długości rynsztoka O'Connell Street. Teraz spróbuję tu.

- Jesteś bardzo śmieszny, powiedziała Diiiy uśmiechając się.

- Masz, powiedział pan Dedalus, wręczając jej dwa pensy. Kup sobie szklankę

mleka i bułkę albo coś. Wkrótce wrócę do domu.

Wsunął pozostałe monety do kieszeni i ruszył przed siebie. Yice-królewska kawalkada wynurzyła się z bramy parku, witana przez służbi-

stych policjantów.

- Jestem pewna, że masz jeszcze jednego szylinga, powiedziała Diiiy. Woźny zadzwonił głośno.

Pan Dedalus odszedł pośród ogłuszającego hałasu, mamrocząc do siebie przez zaciśnięte wargi:

- Zakonniczki! Piękne stworzonka! O, zapewne nie zrobiłyby nic złego! O, zapewne nigdy nie zrobiłyby nic naprawdę złego! To siostrzyczka Monika!

Zadowolony z zamówienia, które otrzymał od Pułbrook Robertsona, pan Kernan nadchodził od strony zegara słonecznego w kierunku James's Gate, zamasyście wzdłuż James's Street, obok biur Shackletona. Nieźle go urobiłem. Jak się pan miewa, panie Crimmins? Znakomicie, proszę pana. Obawiałem się, że może być pan teraz w swoim drugim zakładzie w Pimiico. Jak tam sprawy? Ledwie zipią. Piękną mamy pogodę. Tak, rzeczywiście. Potrzebne dla wsi. Ci rolnicy ciągle narzekają. Łyknę tylko napaścerek pańskiego najlepszego ginu, panie Crimmins. Mały gin, proszę pana. Tak, proszę pana. Okropny wypadek ta eksplozja na Generale Slocum. Okropny, okropny! Tysiąc ofiar. I rozdzierające sceny. Mężczyźni tratujący kobiety i dzieci. Straszliwa brutalność. Mówią, że jaka była

przyczyna? Samozapalenie: ujawniono skandaliczne okoliczności. Ani jedna z łodzi ratunkowych nie mogła utrzymać się na wodzie, a wąż przeciwpożarowy był cały spękany. Nie mogę zrozumieć, jak inspektorzy mogli pozwolić kiedykolwiek, żeby taki statek... Teraz pan mówi rozsądnie, panie Crimmins. Wie pan dlaczego? Łapówki. Czy to możliwe? Bez wątplenia. No, no, popatrzcie. I powiadają, że Ameryka jest wolnym krajem. A myślałem, że u nas jest źle.

Uśmiechnąłem się do niego. Ameryka, powiedziałem spokojnie jakby nigdy nic. Cóż to jest? Odpadki z każdego kraju, nie wytaczając naszego. Czy nie prawda? To fakt.

Przekupstwo, drogi panie. No, oczywiście, tam gdzie przepływają pieniądze, zawsze znajdzie się ktoś, kto je wyłowi.

Zauważyłem, że patrzy na mój surdut. To ubiór tak działa. Nic jak szykowny wygląd. Zwała ich z nóg.

- Hallo, Simonie, powiedział ojciec Cowley. Co słychać?

- Hallo, Bob, staruszk, odpowiedział pan Dedalus zatrzymując się.

Pan Kernan przystanął i zaczął krygować się przed pochyłym lustrem Petera Kennedy, fryzjera. Szykowny surdut, bez wątplenia. Scott z Dawson Street. Wart pół suverena, które zapłaciłem Neary'emu. Nie mógł kosztować mniej niż trzy gwinee. Pasuje jak ulał. Nosił go pewnie któryś z tych klubowych elegantów z Kildare Street. John Mulligan, dyrektor Banku Hibernijskiego, przyjrzał mi się wczoraj bacznie na moście Carlisle, jak gdyby mnie sobie przypominał.

Aha! Trzeba ucharakteryzować postać dla tych facetów. Rozbójnik. Gentleman. A więc, panie Crimmins, czy będziemy mieli zaszczyt otrzymać ponownie pańskie zamówienie. Puchar, który rozwesela, lecz nie upija, jak powiada stare przysłowie.

North Wali i sir John Rogerson's Quai, kadłuby okrętów i łańcuchy kotwiczne, płynąc na zachód, niesiony w czółenku pomiętej ulotki, kołysząc się na wodzie przy burcie promu, Elias nadchodzi.

Pan Kernan zerknął pożegnalnie na swój wizerunek. Rumieniec, oczywiście. Szpakowaty wąs. Oficer, który powrócił ze służby w Indiach. Wyprostował plecy, a jego okryte getrami stopy dzielnie poniosły naprzód przysadziste ciało. Czy to brat Lamberta, po drugiej stronie ulicy. Sam? Co? Tak. Diabelnie podobny do niego. Nie. To ta przednia szyba samochodu w słońcu. To tylko taki blask. Diabelnie podobny.

Aha! Gorące tchnienie jałowcówki rozgrzało mu wnętrzności i oddech. Dobry to był łycek ginu. Poły jego surduta błyskały w słońcu w takt opasłego kroku.

O tam powiesili, wypatroszyli i poćwiartowali Emmeta. Natłuszczony czarny sznur. Psy zlizywały krew z ulicy, gdy żona vice-króla przejeżdżała obok w swym powozie.

Zaraz, zaraz. Czy jest pochowany u Świętego Michana? Ależ nie, pogrzeb był o północy w Glasnevin. Zwłoki wniesiono przez ukryte przejście w murze. Dignam tam teraz leży. Zgasł jak zdmuchnięty. No, no. Może lepiej skrócić tu. Obejść z daleka.

Pan Kernan skręcił i poszedł wzdłuż pochyłości Watling Street, wymijając narożnik, gdzie znajdowała się poczekalnia Guinnessa. Przed składami Stowarzyszenia Dublińskich Gorzelników stał dwukołowy wózek bez woźnicy i pasażera, z lejcami uwiązany do koła. Diabelnie niebezpieczna rzecz. Jakiś kmiotek z Tip-perary zagrażający życiu obywateli. Koń może ponieść.

Niosący księgi Denis Breen, znużony godzinnym oczekiwaniem w kancelarii Johna Henry Mentona, prowadził żonę przez most O'Connella, kierując się ku kancelarii panów Collisa i Warda.

Pan Kernan zbliżał się do Island Street.

Niespokojne czasy. Muszę poprosić Neda Lamberta, żeby mi pożyczył te wspomnienia sir Jonaha Barringtona. Kiedy spogląda się dziś wstecz na to wszystko w pewien uporządkowany sposób. Szulernia u Daly'ego. Nie udawało się szachrować wtedy. Jednemu z tych facetów przybito do stołu dłoń sztyletem. Gdzieś niedaleko stąd lord Edward Fitzgerald uciekł majorowi Sirrowi. Przez stajnie za Moira House.

To był diabelnie dobry gin.

Wspaniały, odważny młody magnat. Dobre pochodzenie, oczywiście. Ten łotr, ten rzekomy szlachcic w fiołkowych rękawiczkach, wydał go. Oczywiście, byli po niewłaściwej stronie. Ale wzrosli w dniach zła i ciemnoty. To piękny poemat:

Ingram. Byli prawdziwymi gentlemanami. Wzruszająco Ben Dollard śpiewa tę balladę. Mistrzowskie wykonanie.

Gdy obiegli Ross, mój ojciec padł.

Lekkim klusem wzdłuż Pembroke Quay przejechała kawalkada, a forysie pod-ska podskakiwali w siodłach, w siodłach, w siodłach. Surduty. Kremowe parasolki.

Pan Kernan przyspieszył z rosnącą zadyszką.

Jego Ekscelencja! Fatalnie! Rozminąłem się o włos. Niech to diabli! Co za szkoda!

Stefan Dedalus patrzył przez pokrytą pajęczyną szybę na palce złotnika badającego zaśniedziały łańcuch. Pył opajał okno i wystawowe tace. Pył przyciemnił pracujące palce o sępich paznokciach. Pył drzemał na matowych zwojach brązu i srebra, rombów cynobru, rubinach, cętkowanych i ciemnych jak wino kamieniach.

Wszystkie zrodzone w ciemnej, pełnej robaków ziemi, iskry zimnego ognia, niedobre światła lśniące w ciemności. Tam upadli archaniołowie strącali gwiazdy z czoł swoich. Ubłocone świńskie ryje, dłonie, ryją i ryją, chwytają i wyrrywają je.

Tańczy ona w plugawym półmroku, gdzie płonie żywica i czosnek. Rdzawobro-dy żeglarz pociąga rum z kielicha i wbija w nią wzrok. Długa, wykarmiona morzem, milcząca żądza. Tańczy ona, przegina się kołysząc maciorzymi kłębami i biodrami, a na jej wszetecznym brzuchu podryguje jajo rubinowe.

Stary Russell kawałkiem brudnej irchy raz jeszcze przetarł klejnot i odwrócił go, trzymając u koniuszka swej mojęszowej brody. Pradziadek goryl sycący wzrok ukradzionym skarbem.

A ty, który wyrwasz stare wizerunki z ziemi cmentarnej! Szalone słowa sofistów: Antystenes. Wiedza o lekach. Wschodnia i nieśmiertelna pszenica, rozprzestrzeniona od wiekuistego po wiekuiste.

Dwie stare kobiety, odświeżone powiewem bryzy, wlokły się przez Irishtown wzdłuż London Bridge Road, jedna z zapiaszczoną parasolką, druga z torbą akuszerki, w której klekotało jedenaście muszelek.

Furkot trzepoczący skórzanych pasów transmisyjnych i dynama szumiące w siłowni kazały Stefanowi pójść dalej. Nie istniejące istoty. Stój! Pulsują nieustannie na zewnątrz i pulsują nieustannie w tobie. Śpiewasz o własnym sercu. Pomiędzy nimi ja. Gdzie? Pomiędzy dwoma ryczącymi światami, gdzie wirują, ja. Zniszczyć je, jeden i obydwu. I oszołomić się ciosem. Zniszcz mnie ty, który możesz. Rajfur i rzeźnik, takie słowa padły. Ależ tak! Jeszcze nie. Rozejrzeć się.

Tak, to prawda. Bardzo wielki i cudowny i nigdy się nie spóźnia. Ma pan słuszość, proszę pana. W poniedziałek rano, istotnie, tak było.

Stefan poszedł w dół Bedford Rów, postukując się w łopatkę rączką jesionowej laski. W oknie wystawowym Clohissey'a oko jego przyciągnął wyblakły sztych z 1860, Heenan walczący na pięści z Sayersem. Wokół ogrodzonego sznurem pola walki stali w wysokich kapeluszach zapatrzeni ci, którzy poczynili zakłady. Zawodnicy ciężkiej wagi, w skąpych opaskach na biodrach, wysuwali ku sobie łagodnie swe bulwiaste pięści. One także pulsują: serca bohaterów.

Zawrócił i zatrzymał się przy stojącym ukośnie wózku z książkami.

- Dwa pensy sztuka, powiedział sprzedawca. Cztery za sześć pensów.

Postrzępione stronice. Pszczelarz irlandzki. Żywot i cuda proboszcza z Ars. Kieszonkowy przewodnik po Killarney.

Mógłbym tu odnaleźć jedną z moich zastawionych nagród szkolnych. Stephano Dedalo, alumno optima, palmom ferenti.

Ojciec Conmee, odczytawszy godzinki, szedł przez wioskę Donnycarney, mamrocząc nieszpory.

Chyba za dobra okładka, co to jest? Ósma i dziewiąta Księga Mojżeszowa. Tajemnica wszystkich tajemnic. Pieczęć króla Dawida. Poślinione stronicie: czytane i odczytywane od nowa. Kto przeszedł tędy przede mną? Jak zmiękczyć spękane dłonie. Przepis na ocet winny. Jak zdobyć miłość kobiety. To dla mnie. Splótszy dłonie, wypowiedz po trzykroć następujące zaklęcie:

- Se el yilo nebrakada femininum! Amor me solo! Sanktus! Amen. Kto to napisał? Czary i zaklęcia błogosławionego opata Piotra Salanki, wszystkim prawdziwie wierzącym objawione. Tak samo dobre jak czary każdego innego opata, jak te mamroczącego Joachima. Precz, łysa pało, bo wyrwiemy ci resztę kłaków.

- Co tu robisz, Stefanie?

Uniesione ramiona i znoszona sukienka Diiiy.

Zamknij książkę, szybko. Nie daj zajrzeć.

- Co robisz? zapytał Stefan.

Stuartowskie oblicze niezrównanego Charlesa, okolone prosto opadającymi lokami. Lśniły, gdy przykucała, podsycając ogień podartymi butami. Opowiadałem jej o Paryżu. Lubi-długo wylegiwać się, okryta starymi paltotami, wodząc palcami po tandetnej bransoletce, prezencie od Dana Kelly. Nebrakada femininum.

- Co tam masz? zapytał Stefan.

- Kupiłam to na innym wózku za pensa, powiedziała Diiiy śmiejąc się nerwowo. Czy to coś warte?

Powiadają, że ma moje oczy. Czy inni widzą mnie takim? Żywa, śmiała, odległa. Cień mego umysłu.

Wyjął z jej dłoni pozbawioną okładki książkę. Elementarz francuski Char-denala.

- Po coś to kupiła? zapytał. Żeby się uczyć francuskiego? Przytaknęła, rumieniąc się i mocno zaciskając wargi. Nie okazuj zdziwienia. Zupełnie zwykła rzecz.

- Masz, powiedział Stefan. Jest dobry. Uważaj, żeby ci go Maggy nie zastawiła. Przypuszczam, że wszystkie moje książki zniknęły.

- Niektóre, powiedziała Diiiy. Musieliśmy.

Ona tonie. Kąsanie. Ratu ję. Kąsanie. Wszystko przeciw nam. Zatopi mnie z sobą, oczy i włosy. Proste włosy wodorostów wokół mnie, wokół mego serca, mej duszy. Słona zielona śmierć.

My.

Kąsanie przewin. Przewin kąsanie.

Nędza! Nędza!

- Hallo, Sinienie, powiedział ojciec Cowley. Co słysać?

- Hallo, Bob, staruszk, odpowiedział pan Dedalus zatrzymując się. Z głośnym klaśnięciem podali sobie dłonie przed sklepem Reddy'ego i Córki.

Ojciec Cowley często gładził wąsy przyczesując je ku dołowi zgiętą jak czerpak dłonią.

- Co dobrego? powiedział pan Dedalus.

- Niewiele, powiedział ojciec Cowley. Zabarykadowałem się, Simonie, a dwaj ludzie krążą wokół domu i próbują wejść.

- Wesoło, powiedział pan Dedalus. Kto taki?

- Och, powiedział ojciec Cowley. Pewien znajomy nam lichwiarz.

- Z przetrąconym grzbietem, co? zapytał pan Dedalus.

- Ten sam, Simonie, odpowiedział ojciec Cowley.

Ruben z owego plemienia. Właśnie czekam na Bena Dollarda. Ma powiedzieć słówko Dłугоmu Johnowi, żeby zmusił go do zabrania tych dwóch ludzi. Potrzeba mi tylko trochę czasu.

Spojrzał z mglistą nadzieją w górę i w dół nadbrzeża, a wielkie jabłko wzdęło się na jego szyi.

- Wiem, powiedział pan Dedalus potakując. Biedny stary Buklak Ben! Zawsze oddaje komuś usługę. Zaczekaj!

Włożył okulary i przez chwilę patrzył w stronę metalowego mostu.

- Oto jest, na Boga, powiedział, z kieszeniami na dupie. Unoszący się ponad szerokimi portkami luźny błękitny żakiet i wysoki kapelusz Bena Dollarda minęły wielkimi krokami nadbrzeże od strony metalowego mostu. Zbliżył się ku nim, drobiąc i drapiąc się zawzięcie pod połami. Gdy podszedł, pan Dedalus pozdrowił go:

- Trzymajcie tego faceta w za dużych portkach.

- Sam go potrzymaj, powiedział Ben Dollard.

Pan Dedalus z chłodną, pełną zdziwienia pogardą przewędrował oczyma po różnych punktach sylwetki Bena Dollarda. Później skinął głową i zwracając się do ojca Cowleya wymamrotał szyderczo:

- Piękna to szata, nieprawdaż, w letni dzień?

- Niechże Bóg przeklnie na wieki twoją duszę, burknął wściekle Ben Dollard, więcej w życiu wyrzuciłem ubrań, niż ty kiedykolwiek widziałeś.

Stanął przy nich i rozpromienił się, najpierw ku nim, a później patrząc na swe przestronne ubranie, z którego pan Dedalus strzepnął pyłek ze słowami:

- W każdym razie, Benie, uszyto je dla zażywnego człowieka.

- Mamy los tego żydowina, który je uszył, powiedział Ben Dollard. Dzięki Bogu, jeszcze nie zapłacone.

- A jak tam basso profundo, Beniaminie? zapytał ojciec Cowley. Cashel Boyle o'Connor Fitzmaurice Tisdall Farrell, pomrukujący, szklisko,

minął wielkimi krokami klub przy Kildare Street.

Ben Dollard zmarszczył brwi i złożywszy niespodzianie usta do śpiewu, wydał

z siebie głęboki ton.

- Oo! powiedział.

- Oto jak trzeba, powiedział pan Dedalus, przytakując z uznaniem dudnieniu.

- Cóż wy na to? powiedział Ben Dollard. Nie najgorzej, co? Zwrócił się ku nim obu.

- Ujdzie, powiedział ojciec Cowley, także przytakując.

Wielebny Hugh C. Love opuścił stary kapitułarz opactwa świętej Marii i minawszy zakład rektyfikacyjny Jamesa i Charlesa Kennedy ruszył, otoczony roślami i okazałymi Geraldinami, w kierunku Tholsel leżącego za Ford of Hurdles.

Ben Dollard, ciężko przechylony ku wystawom sklepowym, poprowadził ich, przebijając wesoło palcami w powietrzu.

- Chodźcie ze mną do urzędu zastępcy szeryfa, powiedział. Chcę wam pokazać piękniś, którego Rock przyjął jako nowego komornika. Jest skrzyżowaniem Lobenguli z Lynchehaunem. Przekonacie się, że jest wart obejrzenia. Chodźcie. Przed chwilą spotkałem przypadkiem w Bodedze Johna Henry Mentona i padnę, jeśli nie... Zaczekajcie chwileczkę... Jesteśmy na dobrej drodze. Bobie, możesz mi wierzyć.

- Powiedz mu, że na parę dni, powiedział ojciec Cowley błagalnie. Ben Dollard przystanął i spojrzał, rozdziawiwszy tubalną gębę; zwisający guzik

surduta dyndał, błyskając odwrotną stroną, na nitce, gdy przetarł zaropiałe oczy, aby lepiej usłyszeć.

- Jakich parę dni? zahuczał. Czy twój kamienicznik nie zajął ci rzeczy za komorne?

- Zajął, powiedział ojciec Cowley.

- W takim razie nakaz naszego przyjaciela nie jest wart nawet papieru, na którym go wydrukowano, powiedział Ben Dollard. Gospodarz ma pierwszeństwo. Podałem mu wszystkie dane. 29, Windsor Avenue. Nazwisko brzmi Love?

- Słusznie, powiedział ojciec Cowley. Wielebny Love. Jest duchownym gdzieś na prowincji. Ale czy jesteś tego pewien?

- Możesz powiedzieć ode mnie Barabaszowi, powiedział Ben Dollard, żeby sobie wetknął swój nakaz tam, gdzie małpa wetknęła sobie orzech.

Śmiało poprowadził ojca Cowleya, przygarnawszy go do swego cielska.

- Zdaje się, że to były orzeszki laskowe, powiedział pan Dedalus, opuściwszy binokle na surduta i ruszając za nimi.

- Malcowi będzie dobrze, powiedział Martin Cunningham, gdy wychodzili z bramy dziedzińca zamkowego. Policjant dotknął daszka.

- Niech cię Bóg błogosławi, powiedział wesoło Martin Cunningham. Skinął na oczekującego dorożkarza, który szarpnął lejce i ruszył w kierunku

Lord Edward Street.

Brząz przy złocie, głowa panny Kennedy przy głowie panny Douce, ukazały się ponad firaneczkami w hotelu Ormond.

- Tak, powiedział Martin Cunningham, skubiąc brodę. Napisałem do ojca Conmee i wyłożyłem mu całą sprawę.

- Mógłbyś spróbować u naszego przyjaciela, zaproponował nieśmiało pan Power.

- Boyda? powiedział krótko Martin Cunningham. Nie wspominaj mi nawet.

John Wyse Nolan, który pozostał z tyłu, odczytując listę, zaczął schodzić za nimi szybko w dół Cork Hill.

Na stopniach ratusza zstępujący radny Nannetti pozdrowił wstępującego starszego radnego Cowleya i radnego Abrahama Lyona.

Pusta karetę pałacowa skręciła w Upper Exchange Street.

- Spójrz tu, Martinie, powiedział John Wyse Nolan, dopędzając ich przy redakcji Kuriera. Widzę, że Bloom wpisał się na pięć szylingów.

- Słusznie, powiedział Martin Cunningham biorąc listę. I dał tych pięć szylingów.

- I bez słowa, powiedział pan Power.

- Dziwne, ale prawdziwe, dodał Martin Cunningham. John Wyse Nolan otworzył szeroko oczy.

- Rzekłbym, że żyd to pełen serdeczności, zacytował wytwornie. Zaczęli schodzić wzdłuż Parliament Street.

- Oto Jimmy Henry, powiedział pan Power, właśnie podąża do Kavanagha.

- Słusznie, powiedział Martin Cunningham. Oto idzie.

Przed la Maison Claire Bujny Boylan zagadywał szwagra Jacka Mooneya, przysadzystego, wstawionego, idącego ku przedmieściu Liberties.

John Wyse Nolan wraz z panem Powerem cofnęli się, gdy Martin Cunningham ujął pod ramię schludnego człowieczka w ciemnym białą przetykanym ubraniu, który przechodził niepewnym, pospiesznym krokiem przed zegarkami Micky Andersona.

- Zastępca burmistrza ma trochę kłopotów z odciskami, powiedział John Wyse Nolan do pana Powera.

Skręcili za nimi na rogu w stronę winiarni Jamesa Kavanagha. W bramie Essex napotkali stojącą pustą karetkę pałacową. Martin Cunningham, mówiąc bez przerwy, pokazywał co chwila listę, na którą Jimmy Henry nawet nie zerknął.

- Długi John Fanning też tu jest, powiedział John Wyse Nolan, w całej swej okazałości.

Wysoka postać Długiego Johna Fanninga wypełniała drzwi, w których się zatrzymał.

- Dzień dobry, panie zastępczo szeryfa, powiedział Martin Cunningham, gdy wszyscy przystanęli i ukłonili mu się.

Długi John Fanning nie usunął się, żeby ich przepuścić. Zdjął zdecydowanym ruchem wielki kapelusz Henry Ciay, a jego wielkie, gniewne, inteligentne oczy przesunęły się po ich twarzach.

- Czypatres conscripti obradują w spokoju? zwrócił się zjadliwie i donośnie do zastępcy burmistrza.

- Mają tam chrześcijańskie piekło na ziemi, powiedział opryskliwie Jimmy Henry, z tym swoim przeklętym językiem irlandzkim. Chciał dowiedzieć się, gdzie jest naczelnik straży, który by zaprowadził porządek na sali obrad. Stary Barlow, czuwający nad buławą, złożony astmą, żadnej buławy na stole, żadnego porządku, nawet quorum brak, a burmistrz Hutchinson jest w Liandudno, mały Lorcan Sherlock sprawuje locum tenens za niego. Przeklęta irlandzka mowa naszych przodków.

Długi John Fanning wydmuchnął pióropusz dymu z ust. Martin Cunningham przemawiał pokręcając koniuszek brody, kolejno do vice--burmistrza i zastępcy szeryfa, podczas gdy John Wyse Nolan milczał.

- Który to był Dignam? zapytał Długi John Fanning. Jimmy Henry skrzywił się i uniósł lewą stopę.

- O, moje odciski! powiedział żałośnie. Wejdźmy na górę, na miłość boską, żebyśmy mogli gdzieś usiąść. Uf! Och! Uwaga!

Zrzędcząc przepchał się pod boki Długiego Johna Fanninga, minął go i wszedł na schody.

- Wejdźmy, powiedział Martin Cunningham do zastępcy szeryfa. Nie sądzę, żeby pan go znał, chociaż może jednak.

Pan Power ruszył za nimi z Johnem Wyse Nolanem.

- Była to pocziwa duszyczka, powiedział pan Power do krzepkich pleców Długiego Johna Fanninga wstępujących ku Dłугоmu Johnowi Fanningowi w lustrze.

- Raczej małego wzrostu, to był ten Dignam z kancelarii Mentona, powiedział Martin Cunningham.

Długi John Fanning nie mógł go sobie przypomnieć. W powietrzu rozległ się stukot końskich kopyt.

- Cóż to jest? zapytał Martin Cunningham.

Wszyscy odwrócili się, jak stali; John Wyse Nolan zszedł ponownie. Stojąc w chłodnym cieniu przedsionka ujrzał konie nadjeżdżające wzdłuż Parliament Street; uprzęż i połyskliwe pęciny migotały w słońcu. Wesoło, niezbyt szybko przesunęły się przed jego chłodnym, nieprzyjaznym spojrzeniem. Na siodłach prowadzących koni, kłusujących koni, siedzieli forysie.

- Co to było? zapytał Martin Cunningham, gdy znowu ruszyli w górę po schodach.

- Lord generał-namiestnik i generalny gubernator Irlandii, odpowiedział John Wyse Nolan z podnóża schodów.

Gdy kroczyli po grubym dywanie, Buck Mulligan szepnął do Hainesa, zakrywając usta panamą.

- Brat Parnella. Tam w kącie.

Zajęli mały stolik przy oknie, naprzeciw człowieka o pociągłej twarzy, którego broda i spojrzenie zawisły w skupieniu nad szachownicą.

- Czy to on? zapytał Haines, obracając się w krześle.

- Tak, powiedział Mulligan. To John Howard, jego brat, nasz Strażnik Miejski.

John Howard Parnell cicho przesunął białego laufra; jego szara szponiasta dłoń uniosła się znowu do czoła, aby tam spocząć.

Po chwili ukryte za nią oczy spojrzały szybko na przeciwnika, jaśniejac jak oczy zjawy, i opadły ponownie na pole rozgrywki.

- Dla mnie melange, powiedział Haines do kelnerki.

- Dwa melanges, powiedział Buck Mulligan. I proszę nam przynieść parę grzanek, masło i ciastka.

Kiedy odeszła, powiedział śmiejąc się:

- Nazywamy to Z.P.D., bo złe pieczywo dają. Och, przegapiłeś Dedalusa mówiącego o Hamlecie.

Haines otworzył swą świeżo zakupioną książkę.

- Szkoda, powiedział. Shakespeare jest terenem szczęśliwych łowów dla wszystkich umysłów, które utraciły równowagę.

Jednonogi marynarz wyburczał przy ogrodzeniu numeru 14 Nelson Street.

- Anglia oczekuje...

Pierwiosnkowa kamizelka Bucka Mulligana zatrzęsała się wesoło w takt jego śmiechu.

- Powinieneś go zobaczyć, powiedział, kiedy jego ciało traci równowagę. Nazywam go Aengusem tułaczem.

- Jestem pewien, że ma on ideefixe, powiedział Haines, szczypiąc w zamyśleniu podbródek kciukiem i palcem wskazującym. Zastanawiam się teraz, cóż by to mogło być. Tego rodzaju osoby zawsze ją mają.

Buck Mulligan pochylił się z powagą nad stołem.

- Obląkali mu zmysły, powiedział, wizjami piekieł. Nigdy nie uchwyci on nuty attyckiej. Nuty Swinburne'a, nuty wszystkich poetów, bladej śmierci i rumianych narodzin. To jego tragedia. Nigdy nie będzie poetą. Radość tworzenia...

- Kara wiekuista, powiedział Haines, skinąwszy nieznacznie głową. Rozumiem. Zagadnąłem go dziś rano na temat wiary. Zauważyłem, że coś dręczy jego umysł. To interesujące, ponieważ profesor Pokorny z Wiednia wyciąga z tego interesujące wnioski.

Czuje oczy Bucka Mulligana dostrzegły nadchodzącą kelnerkę. Pomógł jej rozładować tacę.

- Nie odnajdzie ani śladu piekieł w starodawnych irlandzkich mitach, powiedział Haines, otoczony wesołymi filiżankami. Wydaje się, że brak tam idei moralnej, poczucia przeznaczenia, zadośćuczynienia. To raczej dziwne, że jest opętany tego rodzaju ideą. Czy pisuje dla waszego ruchu?

Zręcznie zatopił dwa kawałki cukru podłużnie w bitej śmietance. Buck Mulligan przeciął na pół parującą grzankę i rozsmarował masło na jej dymiącej powierzchni. Łapczywie odgryzł miękki kawałek.

- Dziesięć lat, powiedział przeżuując i śmiejąc się. Ma coś napisać za dziesięć lat.

- Wydaje się to bardzo odległe, powiedział Haines, unosząc w zamyśleniu łyżeczkę. Ale nie dziwiłbym się, gdyby tak w końcu uczynił.

Spróbował pełną łyżeczkę śmietanki spiętrzonej ponad filiżanką.

- Przyjmuję, że jest to prawdziwa irlandzka śmietanka, powiedział pobłaźliwie. Nie chciałbym być wprowadzony w błąd.

Eliasz, czółenko, lekka zmięta ulotka, żeglował na wschód, wymijając burty okrętów i kutrów rybackich, pośród archipelagu korków, poza New Wapping Street, obok promu Bensona i trzymasztowego szkunera Rosevean, przybyłego z Bridgwater z ładunkiem cegły.

Almidano Artifoni minął Holles Street, minął Sewell's Yard. Idący za nim Cashel Boyle o'Connor Fitzmaurice Tisdall Farrell z dyndającymi laskąparasolem-prochowcem, obszedł latarnię przed domem pana Law Smitha i ruszył w poprzek Merrion Square. Za nim, z dala, ślepy wyrostek wystukiwał drogę przy murze Parku Uniwersyteckiego.

Cashel Boyle o'Connor Fitzmaurice Tisdall Farrell doszedł aż do wesołych witryn pana Lewis Wernera, po czym zawrócił i podążył z powrotem przez Merrion Square, z dyndającymi laskąparasolemprochowcem.

Przystanął na rogu przed Wilde'em, nasrożył się ku Metropolitan Hali, obwieszczającemu imię Eliasza, nasrożył się ku odległym zaroślom Duke's Lawn. Jego nasrożony monoki zabłysnął w słońcu. Obnażywszy szczurze zęby wymamrotał:

- Coactus volui.

Ruszył ku Ciare Street, mieląc wściekle słowa.

Gdy mijał witryny z przyborami dentystycznymi pana BloomaJego rozhuśtany prochowiec brutalnie zmiotł postukującą cienką laskę i dalej parł naprzód, odtrąciwszy bezsilne ciało. Ślepy wyrostek skierował chorowitą twarz za odchodzącym kształtem.

- Niech cię Bóg przeklnie, powiedział cierpko, kimkolwiek jesteś! Jesteś bardziej ślepy niż ja, ty skurwysynu!

Minąwszy Ruggy'ego o'Donohoe, kawaler Patrick Aloysius Dignam szedł z ociąganiem po rozgrzanej Wicklow Street, ściskając w dłoni półtora funta kotletów wieprzowych od Mangana, dawniej Fehrenbacha, po które go posłano. Cholernie nudno było siedzieć w salonie przy opuszczonych zasłonach z panią Stoer i z panią Ouigley, i z panią MacDowell, kiedy tak wszystkie pociągały nosami i ciągnęły małymi łydkami wyborowe sherry, które wujek Barney przyniósł od Tunneya. W dodatku przez cały przeklęty czas zjadały okruszki placka z owocami, żując i wzdychając.

Kiedy minął Wicklow Lane, zatrzymało go okno wystawowe Madame Doyle, modystki dworskiej. Staął, przyglądając się dwu bokserom, obnażonym do pasa i wysuwającym ku sobie pięści. Z dwu bocznych luster dwu kawalerów Dignamów w żałobie gapiło się w milczeniu. Myler Keogh, ulubieniec Dublina, spotka się ze starszym sierżantem Bennettem, pięściarzem z koszar Portobello, o nagrodę pięćdziesięciu suwerenów. Boże, fajno byłoby zobaczyć taki mecz bokszerski. Myler Keogh to ten facet, który naciera na tego z zieloną szarfą. Wejście dwa szylingi, żołnierze płacą połowę. Mógłbym łatwo nawiać mamie. Kawaler Dignam po jego lewej stronie odwrócił się wraz z nim. To ja w żałobie. Kiedy to będzie? Dwudziestego drugiego maja. No pewnie, już się, a niech to, odbyło. Odwrócił się w prawo, a kawaler Dignam po jego prawej stronie także się odwrócił, w czapce na bakier, z odstającym kołnierzykiem. Uniósłszy podbródek, aby zapiąć spinkę, zobaczył wizerunek Marie Kendall, czarującej subretki, obok dwu bokserów. Jedna z tych dziwek, które są w paczkach ćmoków, które Stoer pali, tych co to jego stary raz znalazł i piekielnie wlał mu za to.

Kawaler Dignam poprawił kołnierzyk i powlókł się dalej. Najsilniejszy z tych pięściarzy był Fitzsimons. Raz dostać pięścią w dołek od takiego faceta, a uśpiłoby cię, człowieku, na tydzień. Ale najmądrzejszy z nich był Jem Corbet, zanim Fitzsimons nie wypruł z niego flaków mimo tych uników i wszystkiego.

Na Grafton Street kawaler Dignam zobaczył czerwony kwiat w zębach gogusia, który miał piękną parę lakierów, słuchał tego, co mu opowiadał jakiś pijaczyna i śmiał się przez cały czas.

Nie ma tramwaju do Sandymount.

Idąc wzdłuż Nassau Street kawaler Dignam przełożył kotlety wieprzowe do drugiej ręki. Kłnierzyk znowu wyskoczył w górę, więc ściągnął go w dół. Ta przeklęta spinka była za mała dla dziurki w koszuli, niech ją przeklną przekłętą. Spotkał chłopców ze szkoły z tornistrami. Jutro też nie pójde, aż do poniedziałku. Spotkał innych chłopców ze szkoły. Czy zauważyli, że jestem w żałobie? Wujek Barney powiedział, że umieści to w gazecie dziś wieczór. Wtedy wszyscy zobaczą w gazecie i przeczytają moje nazwisko wydrukowane i taty nazwisko.

Twarz mu się zrobiła cała szara, a nie taka czerwona jak zawsze i mucha doszła po niej aż do oka. Jaki to był zgrzyt, kiedy wkręcali śruby do trumny: a jak dudniło, kiedy znosili ją po schodach.

Tata był w środku, a mama płakała w salonie, a wujek Barney tłumaczył tym ludziom, jak mają ją przenieść przez zakręt schodów. To była duża trumna i wysoka i wyglądała na ciężką. Jak to jest? Ostatniego wieczora tata był zalany i stał w progu wrzeszcząc o buty żeby pójść do Tunneya żeby się zalać jeszcze więcej i wyglądał taki gruby i krótki w koszuli. Nigdy go już nie zobaczę. To właśnie jest śmierć. Tata umarł. Mój ojciec umarł. Powiedział mi, żebym był dobrym synem dla mamy. Nie mogłem dosłyszeć innych rzeczy, które mówił, ale widziałem jego język i zęby, kiedy starał się mówić wyraźniej. Biedny tata. To był pan Dignam, mój ojciec. Mam nadzieję, że jest teraz w czyśćcu, bo w sobotę wieczorem poszedł spowiadać się do ojca Conroya.

William Humble, hrabia Dudley, oraz lady Dudley, w towarzystwie podpułkownika Hesseltine wyjechali po lunchu karetą z letniej vice-królewskiej rezydencji. W drugiej karecie znajdowali się czcigodna pani Paget, panna de Courcy i czcigodny Gerald Ward, adiutant na służbie.

Orszak minął boczną bramę Phoenix Parku i salutujących służbiście policjantów, a później, przejechawszy Kingsbridge, zaczął posuwać się wzdłuż północnego nadbrzeża. Podczas jazdy przez stolicę vice-król witany był nadzwyczaj serdecznie. Przy moście Bloody znajdujący się za rzeką pan Tomasz Kernan pozdrowił go bezowocnie z dala. Pomiędzy mostem Queen's i mostem Whitworth vice-królewskie karety lorda Dudleya przejechały nie pozdrowione przez pana Dudleya Whi-te'a, magistra praw i filozofii, który stał przed lombardem pani M. E. White, na Arran Quay przy rogu Arran Street West i pocierając nos wskazującym palcem nie mógł się zdecydować, czy dotrze prędzej do Phibsborough zmieniając trzykrotnie tramwaj, czy też wynajawszy dorożkę, czy może pieszo przez Smithfield, Constitu-tion Hill i pętlę w Broadstone. Spod portyku Gmachu Sądów spojrzał nań ze zdumieniem Richie Goulding niosący teczkę z aktami Gouldinga, Collisa i Warda. Za

mostem Richmond w progu biura Rubena J. Dodda, radcy prawnego, agenta Patriotycznego Towarzystwa Ubezpieczeń, pewna podstarzała dama, która właśnie chciała wejść, zmieniła zamiar i zawróciwszy wzdłuż okien Sądu Ławy Królewskiej, uśmiechnęła się ufnie do przedstawiciela Jego Królewskiej Mości. Z otworu w murze Wood Quay, pod biurem Toma Devana, rzeka Poddle wywiesiła w hołdzie jęzor płynnych nieczystości. Nad firaneczkami hotelu Ormond, złoto przy brązie, głowa panny Kennedy przy głowie panny Douce, patrzyły i podziwiały. Na Ormond Quay pan Simon Dedalus, udający się z ustępu publicznego do urzędu zastępcy szeryfa, znieruchomiał pośrodku ulicy i skłonił się nisko kapeluszem. Jego ekscelencja odpowiedział łaskawie na ukłon pana Dedalusa. Przy CahilFs Corner wielebny Hugh C. Love, M. A., pamiętając o tych lordach-namiestnikach, którzy dzierżyli z dawna w łaskawych dłoniach bogate prebendy, złożył głęboki, nie zauważony pokłon. Na moście Grattana Lenehan i M'Coy, rozstając się, spojrzeli na przejeżdżające karety. Mijając biuro Rogera Greene'a i wielką, czerwoną drukarnię Dollarda, Gerty MacDowell, która w zastępstwie chorego ojca niosła korespondencję Catesby'ego Korki Linoleum, poznała po karecie, że to był lord namiestnik i jego małżonka, ale nie mogła dostrzec, co Jej Ekscelencja miała na sobie, ponieważ tramwaj i wielki żółty wóz meblowy Springa musiały zatrzymać się przed nią ze względu na lorda namiestnika. Za Lundy Foofs z ocienionych drzwi winiarni Kavanagha John Wyse Nolan uśmiechnął się z nie dostrzeżonym chłodem w kierunku lorda generała-namiestnika i generalnego gubernatora Irlandii. Najczcigodniejszy William Humble, hrabia Dudley, kawaler Wielkiego Krzyża Orderu Wiktorii, minął tykające przez cały czas zegarki Micky Andersena oraz woskowe, wytwornie ubrane, rumianolice manekiny Henry'ego i Jamesa, gentlemana Henry'ego, dernier en Jamesa. Naprzeciw Dame Gate nadjeżdżającemu orszakowi przyglądali się Tom Rochford i Nosey Flynn. Tom Rochford dostrzegłszy, że wzrok lady Dudley spoczywa na nim, wysunął szybko kciuki z kieszonek wiśniowej kamizelki i uchylił czapki. Czarująca soubrette, wielka Marie K-endall, o wypacykowanych policzkach i uniesionej spódnicy, uśmiechnęła się wypacykowanym uśmiechem ze swego plakatu ku Williamowi Humble, hrabiemu Dudley, i ku podpułkownikowi H. G. Hesseltine, a także ku czcigodnemu Geraldowi Ward, adiutantowi na służbie. Z okna ZPD Buck Mulligan wesoło i Haines poważnie spojrzeli na vice-królewski ekwipaż ponad plecami stłoczonych gości pochylonych ciekawie nad szachownicą, na którą John Howard Parnell patrzył w skupieniu. Na Fowne's Street Diiiy Dedalus, unosząc wzrok znad francuskiego elementarza Chardenala, dostrzegła podpięte firanki i szprychy wirujące w blasku. John Henry Menton, wypełniający sobą wejście do Izby Handlowej, gapił się rybimi, rozszerzonymi winem oczyma, trzymając w grubej lewej dłoni, choć nie czuł tego, gruby złoty zegarek o sprężynowej kopercie, na który nie spoglądał. Tam gdzie zawisała w powietrzu przednia noga konia Króla Wilusia, pani Breen wyrwała swego spieszącego się męża spod kopyt prowadzących koni. Wyjaśniła mu, krzycząc mu do ucha. Zrozumiawszy, przycisnęła księgi do lewej piersi i pozdrowił drugi powóz. Czycigodny Gerald Ward, adiutant na służbie, mile zdumiony, odpowiedział pospiesznie. Na rogu obok Ponsonby'ego udręczona biała flaszka H przystanęła, a cztery białe flaszki w wysokich białych kapeluszach przystanęły za nią, E.L.Y.'S., podczas gdy prowadzące konie i pojazdy przejechały

korowodem. Przy składzie instrumentów muzycznych Pigotta pan Denis J. Maginni, profesor tańca etc., kroczący poważnie w wesołym stroju, został wyminięty przez vice-króla i nie zauważony. Wzdłuż rektorskiego muru nadchodził tanecznie Bujny Boylan, a jego brązowy bucik i skarpetka w błękitny rzucik stąpały w takt piosenki Moja mila jest dziewczyną z Yorkshire.

Bujny Boylan zaprezentował przednim nogom koni i błękitnym liberiom fory-siów błękitny krawat, szerokoskrzydły słomkowy kapelusz przekrzywiony łobuzersko na bakier oraz jasnogranatowy garnitur. Jego dłonie w kieszeniach żakietu zapomniały o pozdrowieniu, lecz ofiarował trzem damom bezczelny podziw swych oczu i kwiat czerwony, który trzymał w ustach. Gdy jechali wzdłuż Nassau Street, Jego Ekscelencja zwrócił uwagę odkłaniającej się małżonki na program muzyczny, który wykonywano w Parku Uniwersyteckim. Mosiężne grzmienie i łoskot niewidocznych chłopców z pułku szkockiego biegły za orszakiem.

Choć jest to dziewczyna z fabryki

I nie chadza w szykownych strojach,

Baraabum.

Lecz mnie odurza

Ta z Yorkshire róża,

Mała róża z Yorkshire moja.

Baraabum.

Po drugiej stronie muru uczestniczący w ćwierćmilowym biegu z przeszkodami M. C. Green, H. Thrift, T. M. Patey, C. Scaife, J. B. Jeffs, G. N. Morphy, F. Stevenson, C. Adderly i W. C. Huggard wystartowali kolejno. Krocząc obok hotelu Finn's Cashel Boyle o'Connor Fitzmaurice Tisdall Farrell wpatrywał się ponad karetami przez swój groźny monokl w głowę pana E. M. Solomonsa w oknie austro-węgierskiego vice-konsulatu. Głęboko w Leinster Street, przy tylnym wejściu do Trinity, lojalny sługa królewski Hornblower dotknął swej myśliwskiej czapeczki. Gdy lśniące konie kłusowały przez Merrion Square, wyczekujący kawaler Patrick Aloysius Dignam zobaczył, że pozdrawiają pana w cylindrze, więc także uniósł nową czarną czapkę palcami zatłuszczonymi papierem od kotletów wieprzowych. Kołnierzyk znowu wyskoczył. Udający się na inaugurację dobroczynnego kiermaszu Mirrus na rzecz szpitala Mercera vice-król jechał wraz ze świtą w kierunku Lower Mount Street. Naprzeciw Broadbent minął ślepego wyrostka. Na Lower Mount Street pieszy przechodzień w brązowym macintoshu, jedząc suchy chleb, przeciął szybko i bez szwanku drogę vice-króla. Na moście ponad Kanałem Królewskim pan Eugene Stratton, uśmiechając się pełnymi wargami z plakatu, zapraszał wszystkich przyjezdnych do dzielnicy Pembroke. Na rogu Haddington Road dwie zapiaszczone kobiety z parasolką i torbą, w której klekotało jedenaście muszelek, znieruchomiały, aby spojrzeć z zadziwieniem na pana burmistrza z

panią burmi-strzową, ale bez złotego łańcucha. W alei Northumberland i w alei Landsdowne Jego Ekscelencja oddał skrupulatnie pozdrowienia nielicznym spacerującym mężczyznom, oddał pozdrowienia dwóm małym chłopcom w furtce ogrodu domu, o którym mówiono, że podziwiała go zmarła królowa, gdy odwiedziła stolicę Irlandii ze swym księciem małżonkiem w roku 1849, i pozdrowienie krzepkim spodniom Almidano Artifoniego, nim połknęły je zamykające się drzwi.

BRAŻ PRZY ZŁOCIE SŁYSZĄ PODKOWY, STALĄDŹWIĘCZĄCE.

Impertyntyn tyntyntyn.

Skrawki, odrywając skrawki zrogowaciałego paznokcia na kciuku, skrawki.

Obrzydliwe! I oto złoto rumieni się.

Oschły pisku bluzg.

Bluzg. Błady Bloom w

Złote włosów pinakle.

Róża igra na atłasie piersi z atłasu, róża Kastylii.

Trele, trele: Idolores.

A kto to! Kto tam jest w... złotoktoto?

Litości brązu zawtórował dong.

I głos czysty, długi, rozedrgany. Wolno kona głos.

Sidła. Miękkie słowo. Lecz spójrz! Jasne gwiazdy gasną. O różo! Odpowiedź nut swiergotliwych. Kastylii. Wstaje świt.

Brzęk brzdęk powozu brzęk.

Moneta bęc. Zegar tyk.

Wyznanie. Sonnez. Mógłbym. Płask podwiązki. Nie opuszczę cię. Mlask. La cloche! Udo płask. Wyznanie. Rozgrzane. Żegnaj, kochanie.

Brzękbrzdęk. Bloo.

Huk grzmiących akordów. Gdy rozplomienia miłość. Bój! Bój! Bębenek.

Żagiel. Szal faluje żegluje wśród fal.

Stracone. Drozda gwizd. Wszystko już stracone.

Róg. Roguryk.

Gdy ujrzał raz. Ach!

Tętni tak. Tętna grzmot.

Nuci. Ach, wabi! Przywabia.

Marto! Przybądź!

Klipkiop. Klipklap. Klapuklap.

Dobryboże onnig dyniesły, szatwcał.

Głuchy łysy Pat uniósł nóż, gdy padł.

Księżycem oświecone nocne wołanie: dał: dał.

Jestem tak smutny. P. S. Tak samotnie rozkwitam.

Posłuchaj!

Kolczasta, zimna, skręcona muszla. Stał ci? Jedna dla drugiej plusk i bezgłośny ryk.

Perły: gdy ona. Rapsodie Liszta. Iszszsz.

Czy ty nie?

O nie: nie, nie: wierzyć: Lidłyd. Kukuryku pif paw.

Czarne.

Niskobrzmiące. Tak, Benie, tak.

Zaczekam, aż poczekasz. Hę hę. Zaczekam aż hę.

Lecz zaczekaj!

W ciemnych głębinach ziemi. Złóża rudy.

Naminedamine. Minęło. Runęło.

Maleńkie, drżące sploty jej panieńskich włosów.

Amen! Zgrzytał z wściekłością.

W tył. W przód, w tył. Chłodna, stercząca pałeczka.

Brząłydia przy Złotaminie.

Przy brązie, przy złocie, w morskozielonym cieniu. Bloom. Stary Bloom.

Ktoś tam stuk, ktoś tam puk, kukuryku pif paw.

Módlcie się zań! Módlcie się, dobrzy ludzie! Jego reumatycznych palców trzask. Wielki Benaben. Wielki Benben.

Ostatnia róża lata Kastylia przekwitła tak mi smutno samotnie. Wuiii! Wietrzyk zaświstał uiiii.

Prawi mężowie. Lid Ker Cow De i Doli. Tak, tak. Jako i wy. Wzniosą twe brzdęk swym brzdąk. Fff! Oo!

Gdzież brząz z bliska? Gdzież złoto z dala? Gdzież kopyta? Rrrpr. Dzyń. Dzyyyńńń.

Wówczas, nie wcześniej. Moje eppitapffium. Zostanie nappffis. Skończyłem. Rozpoczynaj!

Brząz przy złocie, głowa panny Douce przy głowie panny Kennedy, ponad firaneczkami baru w Ormond, usłyszały przejeżdżające vice-królewskie kopyta, podzwaniającą stal.

- Czy to ona? zapytała panna Kennedy.

Panna Douce powiedziała tak, siedzi przy jego eks, perłowszara i eau de Nil.

- Wyśmienity kontrast, powiedziała panna Kennedy. Gdy przejęta panna Douce powiedziała żywo:

- Spójrz na tego faceta w cylindrze.

- Na kogo? Gdzie? zapytało złoto jeszcze żywiej.

- W drugim powozie, powiedziały wilgotne wargi panny Douce, roześmiane w słońcu. Patrzy. Przypilnuj, póki nie zobaczę.

Pomknęła, brązowa, ku najdalszemu zakątkowi sali, rozplaszczając twarz na szybie w aureoli przyspieszonego oddechu.

Jej wilgotne wargi zachichotały:

- Chyba kark skręci, tak się ogląda. Roześmiała się.

- O rany! Czy mężczyźni to nie straszni idioci?

Ze smutkiem.

Panna Kennedy smutno i ociężale wysunęła się z jaskrawego blasku, zakładając niesforny włos za ucho. Smutno i ociężale, już nie złota, zaplotła założyła włos. Smutno ułożyła ociężale złoty włos za zaokrągleniem ucha.

- Całą przyjemność to oni mają, powiedziała potem smutno.

Mężczyzna.

Blookto przeszedł obok fajek Moulanga, niosąc na piersi słodczy grzechu, obok antyków Wine'a, niosąc w pamięci słodkie grzeszne słowa, obok zakurzonych, wyszczerbionych naczyń Carrola, dla Raoula.

Posługacz ich, tych w barze, tych barmanek, nadszedł. Dla nich, nie dostrzegających go, uderzył o ladę tacą z klekocącą porcelaną. I

- Wasze herbaty, powiedział.

Panna Kennedy dystyngowanie przeniosła tacę w dół, na przewróconą skrzynkę po wodzie sodowej, z dala od oczu, nisko.

- O co chodzi? głośno zapytał nieokrzesany posługacz.

- Zgadnij, odparła panna Douce, opuszczając swój punkt obserwacyjny.

- Pani beau, co? Wyniosły brąz odpowiedział:

- Poskarżę się na ciebie pani de Massey, jeżeli usłyszę jeszcze raz jakąś twoją bezczelną impertynencję.

Impertyntyn tyntyntyn, ordynarnie prychnęła posługęba, wycofując się przed jej groźbą tam, skąd przysła.

Bloom.

Marszcząc się ku swemu kwiatowi panna Douce powiedziała:

- Nieznośny jest ten wyrostek. Jeżeli nie będzie się zachowywał, wytargam go tak za uszy, że będzie miał na yard długie. Wyśmienity kontrast jak u damy.

- Nie zwracaj uwagi, zauważyła panna Kennedy.

Wlała herbatę do filiżanki i na powrót herbatę z filiżanki do imbryka. Skryły się za rafą lady, czekając na swych'taboretach, przewróconych skrzynkach, czekając, aby herbaty naciągnęły. Wyglądały bluzki, obie z czarnej satyny, po dwa szylingi dziewięć pensów za yard, czekając, aby herbaty naciągnęły, i po dwa szylingi i siedem.

Tak, brąz z bliska, przy złocie z dala, usłyszały stal z bliska, kopyta dzwoniące z dala i usłyszały stalkopyt brzękkopyt brzękstali.

- Czy jestem strasznie opalona? Panna brąz odsłoniła szyję.

- Nie, powiedziała panna Kennedy. Później to zbrązowieje. Czy próbowałaś boraksu z wodą laurową?

Panna Douce na pół powstała, by ujrzeć z ukosa swą skórę w barowym lustrze pokrytym pozłocistymi literami, pośród których migotały kielichy białego i czerwonego wina, a pomiędzy nimi muszla.

- A popatrz na moje ręce, powiedziała.

- Popróbuj gliceryną, powiedziała panna Kennedy. Żegnając się ze swą szyją i swymi dłońmi panna Douce.

- Z tych rzeczy robi się tylko wysypka, odpowiedziała, siadając ponownie. Poprosiłam tego starego dziada u Boyda o coś na skórę.

Panna Kennedy, nalewając zaparzoną już herbatę, skrzywiła się błagalnie:

- O, na miłość boską, nie przypominaj mi o nim!

- Ale zaczekaj, aż ci powiem, poprosiła panna Douce. Słodką herbatę panna Kennedy gdy z mlekiem nalała, zatkała uszu dwoje oboje drobnymi paluszkami.

- Nie, przestań, zawołała.

- Nie będę słuchać, zawołała.

Lecz Bloom?

Panna Douce burknęła głosem zatabaczonego staruszka:

- Dla pani co? pyta on.

Panna Kennedy odetkała uszy, aby usłyszeć, aby przemówić, lecz powiedziała, lecz błagała dalej:

- Nie każ mi o nim myśleć, bo zginę. Ohydny stary ramol! Ten wieczór w Antient Concert Rooms.

Łyknęła niechętnie napój, gorącą herbatę, łyk, łyknęła słodką herbatę.

- Tak wyglądał, powiedziała panna Douce przekrzywiając głęboko swą brązową głowę, rozdymając nozdrza. Hufa! Hufa!

Ostry śmiechu pisk wydarł się z gardła panny Kennedy. Panna Douce hufnęła i chrząknęła nozdrzami, które zatrzepotały impertyntyn jak wrzask nagonki.

- O rany, zawołała panna Kennedy. Czy zapomnisz kiedy to jego wylupiaste oko?

Panna Douce współzabrzmiała głębokim brązowym śmiechem, wołając:

- I twoje inne oko!

Blooczyje ciemne oko odczytało nazwisko Aarona Figzbera. Dlaczego zawsze myślę Figizbier? Myślę, że od zbierania fig. I hugonockie nazwisko Prospera Lorę. Po najświętszych panienkach Bassiego przesunęły się ciemne oczy Blooma. Błękit-noodziane, biały spód, przybliżcie się ku mnie. Wierzą, że jest bogiem; albo boginią. Te dzisiaj. Nie mogłem dojrzeć. Ten facet mówił. Student. Później z synem Dedalu-sa. To mógł być Mulligan. Urodziwe wszystkie, te dziewice. To ściąga tych świntuchów: jej białosc.

Oczy jego przesunęły się. Słodczy grzechu. Słodkie są słodczy.

Grzechu.

W kaskadach chichotu młode złotobrazowe głosy połączone Douce i Kennedy twoje inne oko. Odrzuciły młode głowy do tyłu, brązchichozłoto, by wyswobodzić śmiech, piszcząc, twoje inne, dając sobie znaki, wysokie przenikliwe tony.

Ach, dyszą, wzdychają. Wzdychają, ach, ich uciecha wyczerpawszy się zamarła.

Panna Kennedy znowu uniosła filiżankę ku wargom, wypila łyk i chizachicho-tala. Panna Douce, pochylając się ponownie nad tacą, znów zmarszczyła nos i zaczęła przewracać zaokrąglonymi śmiesznie oczyma. Znów Kennychichocze, pochylając swe jasne włosów pinakle, ukazując szylkretowy grzebień nad karkiem, wyprychnęła z ust herbatę, dławiąc się herbatą i śmiechem, kaszląc i dławiąc się, wołając:

- O tłuste oczy! Pomyśl, być żoną takiego człowieka, zawołała. Z tą odrobiną brody!

Douce dała upust wspaniałemu wrzaskowi, dojrzałemu wrzaskowi dojrzałej kobiecości, radości, uciechy, oburzenia.

- Poślubić ten tłusty nos! wrzasnęła.

Wysoko, nisko, śmiejąc, się, brąz i złoto, zmuszały jedna drugą do kaskady po kaskadzie, dzwoniąc kolejno, złotobraz brązłoto, wysokonisko, śmiech i znów śmiech. I znów śmiech. Tłusty nos. Wyczerpane, bez tchu, drżące głowy oparły, tę w pinaklach wysokich obok lśniącogrzebiennej, na krawędzi lady. Zarumienione (Och!), dyszące, spocone (Och!), bez tchu.

Zaślubione Bloomowi, tłoustobloomowi.

- O święci pańscy! powiedziała panna Douce, westchnawszy nad swą igrającą różą. Po co się tyle śmiałam? Jestem cała mokra.

- Och, panno Douce! zaprotestowała panna Kennedy. Ty obrzydliwe stworzenie!

I oto rumieni się bardziej (ty obrzydliwe!), bardziej złościście.

Obok biur Cantwella tłoustystbloom przeszedł powoli, obok dziewic Ceppiego, lśniących olejnymi farbami. Ojciec Nannettiego roznosił te rzeczy targując się w drzwiach jak ja.

Religia popłaca. Muszę się z nim zobaczyć w sprawie tego ogłoszenia Klaucza. Najpierw zjeść coś. Chciałbym. Jeszcze nie. O czwartej, powiedziała. Czas ciągle upływa. Wskazówki obracają się. Naprzód. Gdzie zjeść? W Ciaren-ce, w Delfinie. Naprzód. Dla Raoula. Zjeść. Jeżeli wyciągnę pięć gwinei z tych ogłoszeń. Fioletowa jedwabna halka. Jeszcze nie. Słodczy grzechu.

Mniej zarumieniona, coraz mniej, przybladła złociście.

Do ich baru wszedł pan Dedalus. Skrawki, odrywając skrawki zrogowaciałego paznokcia na kciuku. Skrawki. Wszedł.

- O, witamy po powrocie, panno Douce. Ujął jej dłoń. Jak się udał urlop?

- Tiptop.

Miał nadzieję, że miała piękną pogodę w Rostrevor.

- Wspaniała, powiedziała. Niech pan spojrzy, jakie widowisko z siebie zrobiłam. Leżąc całymi dniami na plaży. Brązowa białość:

- Było to bardzo niegrzecznie z pani strony, powiedział pan Dedalus ściskając tkliwie jej dłoń. Kuszenie biednych prostodusznych mężczyzn. Satynowa panna Douce dousunęła ramię.

- Ach, proszę dać spokój, powiedziała. Nie taki pan znowu prostoduszny. Był prostoduszny.

- Ale cóż, jestem, powiedział po namyśle. Wyglądałem tak prostodusznie w kołysce, że dano mi na chrzcie Szymek Prostaczek.

- Musiało być z pana dobre ziółko, odpowiedziała panna Douce. A co doktor zapisał na dziś?

- Cóż, powiedział po namyśle, cokolwiek pani rozkaże. Myślę, że poproszę panią o trochę świeżej wody i pół szklaneczki whisky. Brzęk.

- Z największą ochotą, zgodziła się panna Douce.

Z wdziękiem i ochotą odwróciła się w stronę zwierciadła pozłoczonego Cantrel-lem i Cochrane'em. Z wdziękiem odlała miarkę złotej whisky z kryształowej baryłki -czki. Spod poły surduta pan Dedalus wyciągnął kapciuch i fajkę. Ochoczo podała. Przez nos wydał dwugłos oschły pisku bluzg.

- Na Jowisza, powiedział rozmarzony. Zawsze chciałem zobaczyć Góry Posępne. Powietrze musi tam być ogromnie ożywcze. Lecz gdy kto długo marzy, w końcu mu się przydarzy, jak powiadają. Tak, tak.

Tak. Wepchnął palcami pasemka włosów, jej włosów panieńskich, jej syrenich, do cybucha. Skrawki. Pasemka. Rozmarzony. Niemy.

Nikt nie rzekł nic. Tak.

Panna Douce wesoło przetarła szklanę, nucąc:

- O, Idolores, królowo wschodnich mórz!

- Czy pan Lidwell zachodził tu dziś?

Wszedł Lenehan. Rozejrzał się Lenehan. Pan Bloom dotarł do mostu Essex. Tak, pan Bloom przeszedł po moście Takssex. Do Marty muszę napisać. Kupić papier. U Daly'ego. Uprzejma panienka. Bloom. Stary Bloom. Bloom biedny w proso.

- Był w czasie lunchu, powiedziała panna Douce. Lenehan podszedł.

- Czy szukał mnie pan Boylan? Zapytał. Odpowiedziała:

- Panno Kennedy, czy pan Boylan był, kiedy byłem na górze? Zapytała. Panny głos Kennedy odpowiedział, unosząc drugą filiżankę herbaty, ze spojrzeniem utkwionym w stronicy.

- Nie. Nie było go.

Panny spojrzenie Kennedy, słyszane nie widziane, czytało dalej. Wokół klosza okrywającego kanapki Lenehan okrągiło zaokrąglił swe okrągłe ciało.

- A kto to! Kto tam jest w kąciuku?

Choć Kennedy nie nagrodziła go ani jednym spojrzeniem, zaczepiał dalej. Żeby uważała na kropki. Żeby czytała tylko te czarne: okrągłe o i krzywe esy.

Brzęk brzdęk powozu brzęk.

Dziewczęcozłota czytała i nie spojrzała. Nie zwracał uwagi. Nie zwracała uwagi, gdy wygłaszał do niej z pamięci bezbarwnym głosem swą monotonną bajeczkę:

- Phewien lis sphotkał phewnego bhociana. Phowiedział lis do bhociana: Czy chcesz wshadzić shwój dzhób do mojegho ghardła i wyciągnąć khość?

Tokował nadaremnie. Panna Douce zwróciła się ku swej herbacie na stronie. Złożył dłonie na stronie.

- Ach, biada mi! Biada!

Pozdrowił pana Dedalusa i uzyskał skinienie.

- Pozdrowienia od sławetnego syna dla sławetnego ojca.

- Kto to może być? zapytał pan Dedalus. Lenehan rozpostarł jowialne ramiona. Kto?

- Kto to może być? zapytał. Jakże pan może pytać? Stefan, młodociany bard.

Sucho.

Pan Dedalus, sławetny ojciec, odłożył głucho swą suchą pełną fajkę.

- Rozumiem, powiedział. Nie poznałem go w pierwszej chwili. Słyszę, że przebywa w niezwykle doborowym towarzystwie. Czy widział go pan ostatniog Widział.

- Nie dalej jak dziś wychyliłem z nim czarę nektaru, powiedział Lenehan. U Mooneya en ville i u Mooneya sur mer. Otrzymał forszę za trudy swej Muzy.

Uśmiechnął się ku brązwargom, skąpanym w herbacie, ku nadsluchującym wargom i oczom.

- Elitę Erynu zawisła na jego wargach. Nadęty mędrzec Hugh MacHugh, najdoskonalszy pisarz i wydawca Dublina, i ten młodociany minstrel z zapadłego, zamokłego Zachodu, znany pod eufonicznym imieniem o'Maddena Burkę.

Po pauzie pan Dedalus uniósł swój grog i

- Musiało to być wysoce ucieszne, powiedział. Rozumiem. On rozumiem. Wypił. Odległe posępne górskie oczy. Postawił szklankę. Spojrzał w stronę sali bankietowej.

- Widzę, że przesunęliście fortepian.

- Stroiciel przyszedł dzisiaj, odpowiedziała panna Douce, żeby go nastroić na koncert symfoniczny, i nigdy nie słyszałam tak wyśmienitego pianisty.

- Czy rzeczywiście?

- Czy nieprawda, panno Kennedy? Grał naprawdę klasycznie, wie pan. I ślepy, biedaczek. Jestem pewna, że nie miał nawet dwudziestki.

- Czy rzeczywiście? powiedział pan Dedalus. Wypił i odszedł.

- Tak smutno było patrzeć na jego twarz, uzaliła się panna Douce.

Niech Bóg przeklnie tego skurwysyna.

Dong zawtórował jej litości dzwonek gościa. Do drzwi sali restauracyjnej podszedł łysy Pat, podszedł zatroskany Pat, podszedł Pat, kelner w Ormondzie. Jasne dla gościa. Jasne podała nieochoczo.

Cierpliwie czekał Lenehan na Boylana niecierpliwie, na brzęk brzdęk powozu bujnego chłopca.

Uniósłszy wieko on (kto?) spojrział w głąb trumny (trumny?) na skośne potrójne (fortepian!) struny. Nacisnął (ten-sam, który uściśnął tkliwie jej dłoń) miękko na pedał i trzy klawisze, aby ujrzeć opadającą grubą pilśń, aby usłyszeć przytłumiony upadek młoteczków.

Dwie kartki kremowego welinowego papieru jedna zapasowa dwie koperty gdy byłem u Wisdom Hely'ego mądry Bloom u Daly'ego Henryk Kwiatek kupił. Czy nie jesteś szczęśliwy w twoim domu? Kwiatek, aby mnie pocieszyć, a szpilka przebija mit. Oznacza coś, mowa kwia. Czy to była stokrotka? To niewinność. Przyzwoitą dziewczynę spotkać po mszy. Mękuje bardzo. Mądry Bloom dostrzegł na drzwiach plakat, rozkołysaną syrenę palącą pośród ładnych fal. Palcie syreny, najbardziej orzeźwiający dym. Rozpuszczone włosy: nieszczęśliwa w miłości. Dla jakiegoś mężczyzny. Dla Raoula. Spojrzał i zobaczył z dala na moście Essex jasny kapelusz jadący dwukołowym powozikiem. Jest. Trzeci raz. Zbieg okoliczności.

Pobrzękując na sprężystych gumach zjechał z brzękiem z mostu na nadbrzeże Ormond. Za nim. Zaryzykować. Prędko. O czwartej. Blisko już. Wyjść.

- Dwa pensy, proszę pana, odważyła się powiedzieć ekspedientka.

- Aha... zapomniałem... Przepraszam...

I cztery.

O czwartej ona. Ujmująco uśmiechnęła się do Blooniegokogo. Bloo uśmie przed wyjść. Dzenia. Wydaje ci się, że jesteś jedynym ziarnkiem w korcu maku? Z wszystkimi to robi. Dla mężczyzn.

Pośród sennej ciszy złota pochyliła się nad swą stronicą.

Z sali bankietowej nadbiegł głos i skonał wolno. Był to kamerton, stroiciel miał go zapomniał go teraz on tknął go. Znowu głos. Teraz postawił go, żeby mógł drgać. Słyszysz? Drgały czysto, czyściej, cicho, coraz ciszej, brzęczące widelki. Wolno kona głos.

Pat za butelkę gościa dał, gdyż kropelkę chce mieć ktoś, pewien gość, więc zabiera i płacąc nad tacą, łysy, zatroskany, cichym głosem szepcze do panny Douce.

- Jasne gwiazdy gasną...

Bezgłówna pieśń rozśpiewała się w głębi, śpiewając:

- wstaje świt.

Odpowiedź promienna, dyszkantowa dwunastu ptasich nut świergotliwych pod wrażliwymi dłońmi. Promienne klawisze, rozmigotane, połączone, współbrzmiące, nawoływały głos, aby zaśpiewał pieśń o rosistym poranku, o młodości, o rozstaniu kochanków, o życia, o miłości poranku.

- Krople rosy perliste...

Lenehana wargi zaświstały nad kontuarem wabiącym gwizdem.

- Lecz spójrz w tę stronę, powiedział, różo Kastylii. Powóz brzęk brzdęk przy krawężniku i stanął. Ona rusza zamknawszy książkę. Róża Kastylii. Strapiona, porzucona, sennie rusza róża.

- Upadła czy ją popchnięto? zapytał. Odpowiedziała wzgardliwie:

- Nie pytaj, nie usłyszysz kłamstwa.

Wielka dama. Dama wielka.

Zgrabne trzewiki Bujnego Boylana zaskrzypiały na podłodze baru, gdy wszedł. Tak, złoto z bliska przy brązie z dala. Lenehan usłyszał i poznał i pozdrowił go:

- Oto nadchodzi zwycięski bohater.

Pomiędzy oknem a powozem, czujnie krocząc, przeszedł Bloom, bohater niezwykły. Może mnie zauważyć. Siedzenie, na którym siedział: ciepłe. Czarny czujny kocur podszedł do teczki z aktami Richie Gouldinga, uniesionej w pozdrowieniu.

- A ja od ciebie...

- Słyszałem, że pani już wróciła, powiedział Bujny Boylan. Na cześć jasnej panny Kennedy dotknął słomkowego ronda. Uśmiechnęła się

do niego. Lecz jej brązowa siostra prześcignęła ją w uśmiechu, prezentując mu

bujniejsze włosy, piersi i różę. Boylan zamówił napoje.

- Czego chcesz? Kufel gorzkiego? Kufel gorzkiego, proszę, a dla mnie tarnió-wkę. Nie ma jeszcze wyników?

Jeszcze nie. O czwartej on. Wszyscy powiedzieli o czwartej.

Czerwone uszy i adamowe jabłko Cowleya w drzwiach urzędu szeryfa. Uniknąć. Skorzystać z Gouldinga. Co on robi w Ormondzie? Powóz czeka. Zaczekać.

Hallo. Dokąd to? Zjeść coś? Ja też właśnie. Tutaj. Co, w Ormondzie? Najlepsze w całym Dublinie. Czy naprawdę? Sala restauracyjna. Zasiść tam. Widzieć, nie być widzianym. Myślę, że się przysiadę do pana. Wejdźmy. Richie poprowadził. Bloom poszedł za teczką. Obiad godny księcia.

Panna Douce sięgnęła wysoko, aby wziąć flaszkę, prężąc satynowe ramię, a jej pierś piękna omal nie pękła, tak wysoko.

- Och! Och! podrygiwał Lenehan, zachłystując się, gdy przeżyła się. Och! Lecz z łatwością pochwyciła zdobycz i zdjęła ją tryumfalnie.

- Czemu pani nie urośnie? zapytał Bujny Boylan. Brązowa, lejąc z dzbanka gęsty, syropiasty likwor, przeznaczony dla jego warg, przyglądała się, gdy spływał (ma kwiat w klapie: kto mu dał?), i słodko powiedziała:

- W małej paczuszce najlepszy towar.

Chcąc przez to powiedzieć, że ona. Tarniówkę lepką miękką nalała zręczną ręką.

- Oto fortuna, powiedział Bujny.

Cisnął dużą monetę. Moneta bęc.

- Zaczekaj, powiedział Lenehan, póki ja...

- Na cześć fortuny, uniósł swe pieniste piwo.

- Sceptre zwycięży w cuglach, powiedział.

- Utopiłem w tym trochę, powiedział Boylan, mrugając i popijając. Ale nie na swoje konto, wiecie. Kaprys jednego z moich przyjaciół.

Lenehan pił dalej, uśmiechając się ku nachylonej szklance z piwem i wargom panny Douce, które nuciły niemal, rozchylone, pieśń oceanów jej wargi nuciły. Idolores. Wschodnich mórz.

Zegara zgrzyt. Panna Kennedy przeszła przed nimi (kwiat, ciekawe, od kogo) z herbacianą tacą. Zegar tyk tyk.

Panna Douce wzięła monetę Boylana i nacisnęła zamasyście rejestrator kasowy. Kasy zgrzyt. Zegara tyk tyk. Piękna Egipczaneczka przebierała w szufladce i nucąc podała resztę. Ku zachodowi spójrz. Tyk. Dla mnie.

- Która godzina? zapytał Bujny Boylan. Czwarta? Godzina.

Lenehan, wpatrzony małymi, głodnymi oczyma w jej nucenie, w pierś pełną treli, pociągnął Bujnego Boylana za rękaw.

- Posłuchajmy bicia zegara, powiedział.

Teczka Gouldinga, Collisa i Warda poprowadziła Blooma w proso między ukwiecone stoliki. Bez zastanowienia wybrał, zastanawiając się w podnieceniu, w asyście łyszego Pata, stolik przy drzwiach. Być blisko. O czwartej. Czy zapomniał? Może to podstęp. Nie przyjąć: zaostrzyć apetyt. Nie mógłbym tak. Zaczekać, czekać. Pat czekał wyczekująco.

Brąz glazuro lazurooki ze wzrokiem Bujnego i jego niebieskiego krawata się brata.

- Jazda, nalegał Lenehan. Nie ma nikogo. On nigdy nie słyszał.

- ... ku Flory wargom niósł się, niósł. Wzniosły wzniosł się ton, rozmigotany w sopranie, czysty. Brązdouce i jej róża, która to nieruchomieje, to się rusza, biegły za kwiatem i oczyma Bujnego Boylana.

- Proszę, proszę.

Błagał pośród echa słów wyznania.

- Nie mogłem cię porzucić...

- Niewinnym razem, przyrzekła wstydliwie panna Douce.

- Nie, teraz, nalegał Lenehan. Sonnez la cloche! Och, proszę! Nie ma nikogo. Rozejrzała się. Szybko. Panna Kenn poza zasięgiem uszu. Pochyliła się nagle. Dwie rozpalone twarze patrzyły, gdy się pochylała.

Rozedrgane akordy porzuciły motyw, odnalazły go, zagubiły brzmienie i utraciwszy je odzyskały niepewnie.

- Jazda! Szybko! Sonnez!

Pochylając się, uniosła rąbek spódnicy ponad kolano. Zwlekała. Drażniąc ich nadal, pochylona, odwołająca, swawolnooka.

- Sonnez!

Płask. Niespodziewanie puściła napiętą elastyczną płask rozgrzaną podwiązkę na rozgrzane pod pończoszką płaskudo kobiece.

- La cloche! zawołał Lenehan radośnie. Wyszkolona przez właściciela. Nie znajdziesz tu trocin.

Głupusmiejchnęła się wyniośle (o rany! czy mężczyźni?), lecz prześlizgując się ku światłu, uśmiechnęła się potulnie do Boylana.

- Jest pan samą esencją wulgarności, powiedziała prześlizgując się. Boylan patrzył, patrzył. Przytknął do tłustych warg kieliszek, wychylił swój mały kieliszek, wysysając ostatnie tłuste fioletowe kleiste krople. Jego oczarowane oczy poszły za jej prześlizgującą się głową, gdy sunęła wzdłuż baru obok luster, gdzie pod złocistym łukiem migotały szklanki do piwa, kieliszki do win białych i czerwonych i olczasta muszla, odbita w lustrze, której brąz współgrał z jej bardziej słonecznym brązem. Tak, brąz z bliska.

- ...Kochanie, żegnaj mi!

- Idę, powiedział niecierpliwie Boylan. Gwałtownie odsunął kieliszek, pochwycił resztę.

- Zaczekaj chwilkę poprosił Lenehan, dopijając szybko. Chciałem powiedzieć ci. Tom Rochford...

- Będziesz bujał innych, powiedział Bujny Boylan odchodząc. Lenehan łknął, by ruszyć.
- Róg ci stanął czy co? powiedział. Zaczekaj. Idę. Ruszył za spieszącymi się skrzypiącymi trzewikami, lecz usunął się zrećcznie w progę, pozdrawiając postacie, brzuchatą i smukłą.
- Dzień dobry, panie Dollard!

- Ech? Dobry! Dobry! odpowiedział roztargniony bas Ben Dollarda, odwracając się na chwilę od niedoli ojca Cowleya. Nie będziesz miał przez niego żadnych kłopotów. Bobie. AlfBergan pogada z tym długim facetem. Tym razem wsadzimy żdźbło jęczmienia w ucho tego Judasza Iskarioty.

Wzdychając pan Dedalus przeszedł przez salę bankietową, pocierając palcem powiekę.

- Hoho, na pewno, zajodlował radośnie Ben Dollard. Jazda, Simonie, zaśpiewaj nam piosenkę. Słyszeliśmy fortepian.

Łysy Pat, zatroskany Pat, czeka, co wypić chce ów, kto zjadł. Richie chce Powera. A Bloom? Trzeba się zastanowić. Żeby nie musiał dwa razy chodzić. Jego odciski. Już czwarta. Jak gorąco w tym czarnym. Oczywiście, nerwy też trochę. Refrakcja (czy tak?) ciepła. Trzeba się zastanowić. Jabłecznik. Tak, butelkę jabłecznika.

- Co takiego? powiedział pan Dedalus. Improvizowałem tylko, człowieku.

- Jazda, jazda, zawołał Ben Dollard. Precz, nędzne smutki. Chodź, Bobie.

On, Dollard, z wolna wkroczył w bufiastych portkach, wyprzedzając ich (trzymajcie tego faceta w: spróbuj go sam potrzymać), do sali bankietowej. Opadł on, Dollard, opasie na stołek. Reumatycznymi paluchami uderzył opasie akordy. Urwał opasie.

Łysy Pat spotkał w drzwiach złotą powracającą bez herbaty. Zatroskany poprosił o Powera i jabłecznik. Brązowa spoglądała spod okna, brązowa z dala.

Brzdęk dzyń powozu brząk.

Bloom usłyszał brząk, nikły dźwięk. Nie ma go już. Zachłysnąwszy się lekko oddechem, Bloom westchnął ku cichym, błękitnobarwnym kwiatom. Pobrzękiwanie. Odjechał. Brząk. Słyszę.

- Miłość i bój, Benie, powiedział pan Dedalus. Błogosławione dawne czasy.

Dzielne oczy panny Douce odwróciły się, nie dostrzeżone, od firaneczki, ugodzone słonecznym blaskiem. Odjechał. Zamyślona (kto wie?), ugodzona (ugodzona blaskiem), opuściła zasłonę, pociągając za prześlizgujący się sznur. Opuściła zamyślona (dlaczego odjechał tak szybko, gdy ja?) na swój brąz i na bar, gdzie łysa pała przy siostrze złotej stała, niewyśmienity kontrast, kontrast niewyśmienity, wcale niewyśmienity kontrast, chłodną zamgloną morskozieloną powolnie ześlizgującą się głębinę cienia, eau de Nil.

- Biedny stary Goodwin akompaniował tego wieczora, przypomniał im ojciec Cowley. Nastąpiła mała różnica zdań pomiędzy nim a fortepianem. Nastąpiła.

- Sam z sobą dyskutował, powiedzą! pan Dedalus. Sam diabeł by go nie zatrzymał. Dziwaczny był to staruszek, kiedy sobie podpił.

- Mój Boże, czy pamiętacie? powiedział Ben brzuchaty Dollard, odwracając się od storturowanej klawiatury. I nie miałem, do pioruna, weselnego stroju.

Roześmieli się wszyscy trzej. Nie miał wes. Całe trio roześmiało się. Nie miał weselnego stroju.

- Nasz przyjaciel Bloom znalazł się pod ręką tego wieczora, powiedział pan Dedalus. Ale, ale, gdzie jest moja fajka?

Zawrócił do baru po swą zagubioną doremifajkę. Łysy Pat niósł napoje dwóch gości, Richie'ego i Poldy'ego. A ojciec Cowley roześmiał się ponownie.

- Zdaje się, Benie, że uratowałem sytuację.

- Uratowałeś, upewnił go Ben Dollard. Pamiętam też te obcisłe spodnie. Był to wspaniały pomysł. Bobie.

Ojciec Cowley zarumienił się aż po wspaniałe purpurowe uszy. Uratował sytu. Obcisłe spo. Wspaniały po.

- Wiedziałem, że jest bez forsy, powiedział. Jego żona grywała w soboty na fortepianie w Coffee Palace za niewielkim wynagrodzeniem, a kto to doniósł mi, że zajmuje się ona jeszcze czym innym? Przypominacie sobie? Musieliśmy przeszukać całą Holles Street, żeby ich odnaleźć, aż wreszcie ten chłopak od Keogha podał nam numer. Przypominacie sobie?

Ben przypomniał sobie, jego okrągłe oblicze było pełne zadumy.

- Na Boga, miała ona tam masę zbytkownych strojów operowych i innych rzeczy.

Pan Dedalus powrócił z fajką w dłoni.

- W stylu Merrion Square. Suknie balowe, na Boga, i stroje od wielkiego dzwonu. Nie chciał wziąć żadnych pieniędzy. Co? Na Boga, niezliczone ilości trójgraniastych kapeluszy, opończy i pludrów. Co?

- Tak, tak, przytaknął pan Dedalus. Pani Marion Bloom zdejmowała z siebie szaty wszelkiego rodzaju.

Brzęk brzdęk powóz wzdłuż nadbrzeży. Bujny rozparty na sprężystych gumach.

Wątróbka z wędzonką. Befsztyk i pasztet z nerek. W porządku, proszę pana. W porządku. Pat.

Pani Marion mnie tam psy chodzą. Zapach spalenizny Pauł de Kocka. Ładne imię on.

- Jakie było jej nazwisko? Dorodna dziewczucha. Marion...

- Tweedy.

- Tak. Czy żyje?

- I wierzga.

- Była córką...

- Córką pułku.

- Tak, na Boga. Przypominam sobie starego tamburmajora. Pan Dedalus zapalił zapałkę, pociągnął, przytknął, po czym wypuścił apetyczny kłęb dymu.

- Irlandka? Naprawdę, nie wiem. Czy tak, Simonie? Kłęb, pauza, kłęb, mocny, apetyczny, syczący.

- Mięsień w policzku... Co?... Zardzewiał trochę... O, tak, jest... Moja Irlandzka Molly, och.

Wydmuchnął cierpki, pierzasty pióropusz.

- Ze skały Gibraltaru wprost...

Tęskniły w głębinach oceanicznego cienia, złota przy pompie do piwa, brązowa czy maraskinie, obydwie zamyślane, Mina Kennedy, Lismore Terrace 4, Drumcon-dra, z Idolores, królową, Dolores, milczącą.

Pat, podając, odkrył potrawy, Leopold ciął wątróbkę na plasterki. Jak już powiedziano, jadał z upodobaniem wewnętrzne organy, orzechokształtne żołądki ptasie, smażoną ikrę sztokfisza, podczas gdy Richie Goulding, Collis, Ward jadł befsztyk i nerki, befsztyk, potem nerki, kęs po kęsie pasztetu jadł Bloom jadł oni jedli.

Bloom i Goulding, zaślubieni w ciszy, jedli. Obiad godny książąt.

Przez Bachelor's Walk brzęk brzdęk powozem Bujny Boylan, kawaler, gdzie słońca żar, kołysze klaczy zadem lśniącym kłus i błyska bat, na gumach sprężystych:

rozparł się na siedzeniu rozgrzanym, rozbuchany, niecierpliwy, rozplómoniony. Róg. Stanął ci? Róg. Stanął ci? Róg roguryk.

Dollarda bas zagłuszył ich głos, brzmiać ponad grzmiące akordy:

- Gdy rozplómonienia miłość duszę mą...

Pod strop mknie miłością tchnie grzmot Benduszybeniamina.

- Bój! Bój! zawołał ojciec Cowley. Jesteś bojownikiem.

- Jestem, roześmiał się Ben Bojownik. Myślałem o twoim kamieniczniku. Miłość lub mamona.

Urwał. Zakołysał ogromną brodą i ogromnym obliczem nad swą ogromną omyłką.

- Pewnie, rozwaliłbyś bębni jej uszu, powiedział pan Dedalus, spowity aromatem dymu, takim organem jak twój.

Brodaty, bogaty śmiech Dollarda zatrzęsł klawiaturą. Rozwaliłby.

- Nie mówiąc już o innej błonie, dodał ojciec Cowley. Wolniej, Benie. Amoro-so ma non troppo. Dopuść mnie tam.

Panna Kennedy podsunęła dwóm gentlemanom kufle chłodnego porteru. Rzuciła uwagę. Rzeczywiście, powiedział pierwszy gentleman, piękna pogoda. Popijali chłodny porter. Czy nie wie, dokąd udaje się lord namiestnik? Gdyż słyszeli podków staładźwięczących dźwięk. Nie, nie umiała powiedzieć. Ale na pewno w gazecie. Och, niech się nie fatyguje. Żadnej fatygi. Powiała wokół siebie rozpostartą Niepodległą, poszukując lorda namiestnika, powoli włosów pinaklami poruszając, lorda namie. Tyle fatygi, powiedział pierwszy z gentlemanów. Och, nie, najmniejszej. Sposób, w jaki się trzymał. Lord namiestnik. Złoto przy brązie usłyszały stal żelazo.

- duszę mą,

Nie dba-am, co ześle dzień.

W sosie z wątróbki Bloom gniótł gniecione ziemniaki. Ktoś tam miłość i bój. Ben Dollarda sławny. Ów wieczór, kiedy przybiegł do nas, żeby pożyczyć frak na występ. Portki napięły się na nim jak na bębnie. Muzykalne tuczniaki. Ależ się Molly śmiała, kiedy wszedł. Rzuciła się na łóżko, piszcząc, wierzgając. Wszystko miał na wierzchu. O święci pańscy, posiusiałam się! Och, te kobiety w pierwszym rzędzie! Och, nigdy się tak nie uśmiałam! Cóż, oczywiście, dzięki temu ma ten bas baryłton. Weźmy na przykład eunuchów. Kto to gra? Przyjemne uderzenie. Pewnie Cowley. Muzykalny. Zawsze wie, jaką nutę zagrałeś. Brzydki oddech ma, biedaczek. Urwał.

Panna Douce, ujmująco, Lydia Douce, skłoniła się uprzejmemu adwokatowi George'owi Lidwellowi, gentlemanowi, wchodzącemu. Dzień dobry. Powierzyła swą wilgotną dłoń damy jego silnemu uściskowi. Dobry. Tak, już wróciła. Znowu na starych śmieciach.

- Są tutaj pańscy przyjaciele, panie Lidwell.

George Lidwell, uprzejmy adwokat, trzymał jej łydłoń.

Jak już powiedziano, Bloom jadł wąt. Przynajmniej czysto tu jest. Ten facet u Burtona, lepki, gryzący chrząstkę. Pusto tu: Goulding i ja. Czyste stoły, kwiaty, serwetki jak mitry. Pat, w tył, w przód, łysy Pat. Nic do roboty. Najlepsze w Dub.

Znowu fortepian. To Cowley. Sposób, w jaki zasiada do tego, tworzą jedną całość, pełne porozumienie. Ci dręczący szlifierze, którzy rzną skrzypce z okiem na końcu smyczka albo piłują wiolonczelę, są jak ból zęba. Jej wysokie, długie chrapanie. Tego wieczora, kiedy byliśmy w łoży. Puzon w dole dął jak wieloryb, jakiś inny facet odkręcał blachę pomiędzy aktami, usuwał ślinę. I nogi dyrygenta, bufiaste portki, hopsa hopsa. Dobrze by zrobił kryjąc je.

Hopsa hopsa powóz brzęk brzdęk.

Tylko harfa. Piękny złocisty świetlisty blask. Dziewczyna grała na niej. Rufa pięknego. Sos jest raczej dobry, godny... Złocistego statku. Eryn. Harfa, która raz czy dwa razy. Chłodne dłonie. Ben Howth, rododendrony. Jesteśmy ich harfami. Ja. On. Starzy. Młodzi.

- Ach, człowieku, nie umiałbym, powiedział pan Dedalus, zawstydzony, bezradny. Mocno.

- A niech cię, jazda, warknął Ben Dollard. Wyduś to z siebie po trochu.

- M'appari, Simonie, powiedział ojciec Cowley.

Przeszedł kilka kroków w dół sceny, poważny, wyniosły w swym strapieniu, rozpostarłszy długie ramiona. Ochryple jabłko adamowe w jego gardzieli zachrypiało miękko. Miękko zaśpiewał zwracając się ku zakurzonemu pejzażowi morskemu: Ostatnie pożegnanie. Przylądek, okręt, żagiel ponad bałwanami. Pożegnanie. Piękna dziewczyna, jej szal żegluję faluje wśród fal na wietrze ponad przylądkiem, a wiatr ją otacza. Cowley śpiewał.

- M'appari tutt amor:

Il mio sguardo l'incontr...

Powiewała, nie słysząc Cowleya, szalem ponad fale ku odpływającemu, miłemu, na wietrze, kocham, spiesz, żaglu, wróć.

- Jazda, Simonie.

- Ach, Benie, przeminęły dni młodości mojej... Ale jeżeli... Pan Dedalus położył fajkę obok kamertonu, zasiadł i dotknął posłusznych klawiszy.

- Nie, Simonie, ojciec Cowley odwrócił się. Zagraj to jak trzeba. W F-dur. Posłuszne klawisze zabrzmiały wyżej, przemawiając, potykając się, spowiadając, łącząc.

Ojciec Cowley ruszył w głąb sceny.

- Zaczekaj, Simonie, będę ci akompaniował, powiedział. Wstań.

Przed skałkami ananasowymi Graham Lemony, przed Słoniem Elvery'ego powóz brzęk brzdęk. Przy befsztyku, nerce, wątróbce, posiekanym mięsiwie godnym książąt, siedzieli książęta Bloom i Goulding. Jako książęta przy mięsiwie wznosili i popijali Powera i jabłecznik.

Najpiękniejsza aria dla tenora, jaką kiedykolwiek napisano, powiedział Richie:

Sonnambula. Słyszał Joe Maasa śpiewającego to któregoś wieczora. Ach, ten M'Guckin! Tak. W swoim rodzaju. Jak chłopak z chóru. Maas, to był chłopak. Maas do mszy. Tenor liryczny, jeśli chcecie. Nigdy tego nie zapomnę. Nigdy.

Sponad swej wędzonki bez wątróbki Bloom spoglądał łagodnie na ściągnięte nagle rysy. Mięwa bóle grzbietu. Oczy błyszczą jak przy chorobie nerek. Następny punkt programu. Żeby kózka nie skakała. Pigułki, sproszkowany chleb, pudełko za gwineę. Odwlekają na trochę. Śpiewa także. Tam pośród umarłych. Stosowne. Pasztet z nerek. Słodczy dla. Niewiele pożytku. Najlepsze w. Charakterystyczne dla niego. Power. Wybredny, jeśli chodzi o napoje. Szklanka jest nadpęknięta, proszę o świeżą wodę. Podwędza zapałki z lady dla oszczędności. Potem roztrwania suwerena na głupstwa. A kiedy mu jest potrzebny, nie ma ani szeląga. Zalany nie chciał raz zapłacić za przejazd. Dziwne typy.

Tego wieczoru Richie nigdy nie zapomni. Jak długo będzie żył, nigdy. Na jaskółce starego Royalu, z małym Peakim. A gdy pierwszy ton.

Słowa zamarły na wagach Richie'ego.

Teraz będzie blagował. Rapsodie o byle czym. Wierzy we własne kłamstwa. Naprawdę wierzy. Cudowny kłamca. Ale trzeba mieć dobrą pamięć.

- Co to za aria? zapytał Leopold Bloom.

- Wszystko już stracone.

Richie wyduł usta. W niskiej początkowej pełnej słodczy nucie upiór wymamrotał wszystko. Drozd. Kos. Oddech jego, ptasiosłodki, i piękne zęby, z których jest dumny, zaświstały żałośnie, boleśnie. Stracona. Bogactwo dźwięku. Dwie nuty zawarte w jednej. Kos, którego słyszałem w Dolinie Głogów. Podchwytyjąc moje tony zmieniał je i przekręcał. Wszystko wszędzie jako tako stare nowe już stracone wszystko. Echo. Jaka słodka odpowiedź. Jak to się dzieje? Wszystko stracone. Żałobnie gwizdał. Minęło, runęło, stracone.

Bloom pochylił Leopolda ucho, kręcąc frędzlą serwetki leżącej pod wazą. Porządnie. Tak, przypominam sobie. Cudowna aria. We śnie poszła ku niemu. Niewinność w blasku księżyca. Mimo to powstrzymał ją. Dzielni, nie widzą niebezpieczeństwa. Wywołać imię. Dotknąć wody. Brzęk brzdęk powozu. Za późno. Pragnęła odejść. To dlatego. Kobieta. Równie łatwo mógłbyś powstrzymać morze. Tak: wszystko stracone.

- Prześliczna aria, powiedział Bloom stracony Leopold. Znam ją dobrze.

Richie Goulding nigdy nie słyszał w całym swoim życiu.

Też zna to dobrze. Albo czuje. Ciągłe giedzi o swojej córce. Mądre dziecko, które zna swego ojca, powiedział Dedalus. Ja?

Bloom zerknął z ukosa ponad, swym pozbawionym wątróbki. Oblicze wszystkiego już straconego. Niegdyś hulaszczy Richie. Dawne żarty dziś zwietrzałe. Merda uszami. Pierścień serwety wkładał w oko jak monokl. Żebrzące listy, z którymi posyła swego syna. Zezowaty Walter, sir, tak, sir. Nie chciałbym kłopotać, ale oczekuję pewnej sumy pieniędzy. Proszę mi wybaczyć.

Znowu fortepian. Brzmi lepiej niż ostatnim razem. Pewnie nastrojony. Znowu ucichł.

Dollard i Cowley nadal nalegali na ociągającego się śpiewaka, zacznij już.

- Zacznij już, Simonie.

- Już, Simonie.

- Panie i panowie, jestem wam głęboko zobowiązany za wasze uprzejme naleganie.

- Już, Simonie.

- Nie mam pieniędzy, lecz jeśli użyczycie mi waszej uwagi, spróbuję zaśpiewać wam o złamanym sercu.

Obok klosza z kanapkami, ukryta w cieniu, Lydia dawała i odbierała z gracją wielkiej damy swój brąz i swą różę: tak jak w chłodnej modrej eau de Nil Mina dwóm kuflom swe złote pinakle.

Ucichły żałosne akordy preludium. Długo przetrzymywany, wyczekujący a-kord pociągnął za sobą głos.

- Gdym ujrzał postać jej najśłodsza. Richie odwrócił się.

- To głos Si Dedalusa, powiedział.

Połaskotani w mózgi, z płonącymi policzkami, słuchali czując ów przyptyw, ów najśłodszy przyptyw na skórze w członkach sercu człowieczym duszy kręgosłupie. Bloom skinął na Pata, Pat łysy jest kelnerem, który nie dosłyszysz, ach, otwórz mi do baru drzwi. Do baru drzwi. O, tyle. Wystarczy. Pat u drzwi tkwi, wyczekuje, nadśluchuje w ciszy, gdyż nie dosłyszysz.

- Smutki me wnet uszły w dal.

W nieruchomym powietrzu głos śpiewał im, niski, nie jako deszcz ani jako liści szelest, ani podobny do głosu smyczków, obojów i klarnetów czy też jakimś dulcymerów, muskał ich uciszone uszy słowami, a uciszone serce każdego dumало nad życiem jego. Dobrze, dobrze

było słuchać: wnet smutki ich obu uszły w dal, gdy tylko słuchać zaczęli, gdy raz ujrzeni, stracony Richie i Poldy, łaskę piękności, wysłuchawszy od najbardziej niespodziewanej osoby jej pierwszego łaskawego miękkościowego częstomówianego słowa.

Oto miłość śpiewa: stara słodka pieśń miłosna. Bloom odwinął powoli gumową tasiemkę ze swej paczuszki. Stara słodka miłosna sonnez la złota. Bloom omotał gumką cztery palce jak widelec, naciągnął ją, popuścił i omotał nią swe kłopoty dwukrotnie, czterokrotnie, ośmiokrotnie, spętawszy je pospiesznie.

- Radość przy szła wraz z nadzieją...

Tenorzy mają kobiet na tuziny. To wzmacnia im głos. Rzuci mu kwiat do nóg, aby ją spotkać mógł. W głowie szumi mi jak. Brzęk brzdęk radość przyszła wraz. Nie może śpiewać dla ludzi z towarzystwa. W głowie szumi ci jak morze. Wyperfu-mowana dla niego. Jakich perfum twoja żona? Chcę wiedzieć. Brzdęk. Stop. Stuk puk. Zawsze spogląda w lustro, nim podejdzie otworzyć drzwi. Przedpokój. Tam? Dzień dobry. W dzień dobrze. Tam? Co? Czy też? W jej torebce fiolka eliksiru, cukierki do odświeżania oddechu. Tak? Dłonie prześlizgiwać się jeły po krągłość-ciach...

Niestety! Głos urósł, pełen westchnień, zmienił się: donośny, pełny, lśniący, dumny.

- Lecz był to tylko sen, niestety...

Nadał ma cudowne brzmienie. Powietrze w Cork jest miększe tak jak i akcent. Głupiec! Mógł zarobić morze pieniędzy. Myli słowa. Zamęczył żonę: teraz śpiewa. Ale kto wie? Tylko oni dwoje. Jeśli się nie załamie. Truchcikiem na cmentarz. Jego ręce i nogi też śpiewają. Pije. Nerwy nadmiernie napięte. Musiałby być abstynten-tem, żeby śpiewać. Zupa a la Jenny Lind: bulion, szalwia, surowe jajka, kwaterka śmietany. Dla baśniowej śmietankowej.

Uczucie wzbiera: powolne, nabrzmiewające. Napęczałe tętnem. Tak to jest. Ha, dawać! Brać! Tętni, tętni, pulsuje, dumnie wyprostowany.

Słowa? Muzyka? Nie: to, co jest poza nimi.

Bloom splatał, rozplatał, zawęźlał, rozwęźlał.

Bloom. Wezbrana, ciepłalepka powódź, sekret do polizania, popłynęła, by wypłynąć z muzyką, z pożądaniem, ciemna do zlizania fala, napastliwa. Przechylić ją pomacać ją poklepać ją pokryć ją. Tak. Tkanki nabrzmiewają, nabrzmiał. Tak. Radość i wyczuwanie i ciepło i. Tak. Strumieniami wytrysnąć ponad śluzy. Powódź, wytrysk, zalew, wytrysk radości, tak tętni. Już! Język miłości.

- promień nadziei...

Jaśniej. Muza Lydia Lidwellowi pisk niedosłyszalny jak dama Muza odpisknęła odebrała promień nadziei.

To Marta. Zbieg okoliczności. Właśnie miałem pisać. Pieśń Lionela. Śliczne masz imię. Nie mogę pisać. Przyjmij mój mały pręż. Zagrać na strunach jej serca i sakiewki. Ona jest. Nazwałam cię niegrzecznym chłopczykiem. Jednak to imię:

Marta. Jak dziwnie! Dziś.

Głos Lionela powrócił, słabszy, lecz nie znużony. Zaśpiewał znowu dla Richie'ego Poldy'ego Lydii Lidwella, a także dla otwartych ust ucha czekającego Pata, aby zaczekali. Jak ujrzał jej najśłodszą postać, jak smutek znikł, choć był w rozterce, jak wzrok, kształt, słowa oczarowały Gould Lidwella, zdobyły Pata Blooma serce.

Chciałbym jednak widzieć jego twarz. Wyjaśniłaby więcej. Dlaczego golarz u Drago zawsze patrzył mi w twarz, kiedy mówiłem do jego twarzy w lustrze. Ale tu lepiej słyszeć niż w barze, chociaż jest dalej.

- Każde spojrzenie wdzięczne...

Pierwszy wieczór, gdy ujrzał ją u Mata Diiiona w Terenure. Miała żółtą suknię z czarną koronką. Zabawa w krzesła. My dwoje ostatni. Los. Za nią. Los. W koło i w koło powoli. Szybko w koło. My dwoje. Wszyscy patrzyli. Stop. Usiadła. Wszyscy wykluczeni z gry patrzyli. Roześmiane wargi. Żółte kolana.

- Oczy me czarowało...

Rozśpiewana. Śpiewała Oczekiwanie. Przewracałem jej nuty. Głos jak perfumy jakich perfum twoja kwiat bzu. Gdy piersi ujrzał dwie, pełne, szyję nucącą. Gdy ujrzał raz. Podziękowała mi. Czemu ona mi? Los. Hiszpańskie oczy. Pod gruszą sami patio o tej porze w starym Madrycie w półcieniu Dolores tadolores. Mnie. Wabi. Ach, przywabia.

- Marto! Ach, Marto!

Porzuciwszy omdłałość Lionel wołał z boleścią, nawoływał krzykiem wszechwładnej namiętności, aby miła powróciła, coraz głębszymi, lecz wnoszącymi się i współbrzmiącymi akordami. Ów krzyk samotności Lionela Marta odczuć musi, aby dowiedzieć się. Gdyż jej jedynie oczekuje on. Gdzie? Tu tam szukaj tam tu wszyscy szukajcie gdzie. Gdzieś..

- Przy-ybądź, o utracona!

Przy-ybądź, o ukochana!

Sam jeden. Jedyna miłość. Jedyna nadzieja. Jedyna moja pociecha, Marto, dźwięk w rejestrze piersiowym, wróć.

- Przybądź!

Wzleciał ptak, szybował, szybki czysty głos, wzleciawszy na srebrzystą orbitę falował spokojnie, przyspieszając, zwalniając, aby przybyła, nie ciągnij tego za długo długi oddech

ma długi oddech długie życie, wzlatując wysoko, wysoko lśniący, płomienny, ukoronowany, wysoko w symbolicznym blasku, wysoko, z niebiańskiej piersi, wysoko, w wysokiej, rozległej jasności, a wszystko wszędzie wzleciało wszystko naokół wszystkiego w bezkreskreskres...

- Do mnie!

Siopold!

Spełnione.

Przybądź. Dobrze zaśpiewane. Wszyscy klaskali. Powinna. Przybądź. Do mnie, do niego, do niej, do ciebie także, do mnie, do nas.

Brawo! Klapkiap. Udał nam się Simon. Klapuklapkiap. Bis! Klapkiopkiap. Brzmi jak dzwon. Brawo, Simonie! Klapkiipkiap. Bis, brawklap, mówili, wołali, klaskali wszyscy, Ben Dollard, Lydia Douce, George Lidwell, Pat, Mina, dwaj gentlemen z kuflami, Cowley, pierwszy gent z kuf i brązowa panna Douce i złota panna Mina.

Powiedziano już, że zgrabne brązowe trzewiki Bujnego Boylana skrzypiały na podłodze baru. Brzdęk obok pomników sir Johna Graya, Horacego jednorękiego Nelsona, wielbego ojca Theobalda Matthewa, brzęk brzdęk powóz, jak już powiedziano przed chwilą. Klusem, wśród upału, na rozgrzanym siedzeniu. Cloche. Sonnez la. Cloche. Sonnez la. Wolniej zaczęła wspinać się klacz obok Rotundy, Rutland Square. Zbyt wolno dla Boylana, Bujnego Boylana, niecierpliwego Boylana, kołysała się klacz.

Końcowe akordy Cowleya ucichły, uczyniwszy powietrze piękniejszym.

A Richie Goulding popijał swego Powera, a Leopold Bloom swój jabłecznik popijał, Lidwell swego Guinnessa, drugi gentleman powiedział, że wychyliliby jeszcze dwa kufle, gdyby nie miała nic przeciw temu. Panna Kennedy, nie podając, wykrzywiła w uśmiechu koralowe wargi ku pierwszemu, ku drugiemu. Nie miała nic przeciw temu.

- Siedem dni w kryminale, powiedział Ben Dollard, o chlebie i wodzie. Wtedy byś śpiewał, Simonie, jak ogrodowy drozd.

Lionel Simon, śpiewak, zaśmiał się. Ojciec Bob Cowley zagrał. Mina Kennedy podała. Drugi gentleman zapłacił. Tom Kernan wkroczył majestatycznie. Lydia, podziwiana, podziwiała. Lecz Bloom śpiewał niemo.

Podziwiając.

Richie, podziwiając, rozpyływał się nad cudownym głosem tego człowieka. Przypomniawszy sobie pewien bardzo odległy wieczór. Nigdy nie zapomni tego wieczoru. Si śpiewał: Oto duma i chwałę: było to u Neda Lamberta. Dobry Boże, on nigdy nie słyszał w całym swoim życiu takiego tonu jak ów nigdy nie przewrotna rozstać nam się czas tak czysto Boże on nigdy nie słyszał gdy miłość zmarła już tak dźwięcznego głosu spytaj Lamberta on ci też to powie.

Goulding, z rumieńcem na bladej, opowiedział panu Bloomowi, twarzy, o owym wieczorze, gdy Si, u Neda Lamberta, Dedalus, w domu, śpiewał Oto duma i chwała.

On, pan Bloom, słuchał, podczas gdy on, Richie Goulding, opowiadał mu, panu Bloomowi, o owej nocy, gdy on, Richie, słuchał go, Si Dedalusa, śpiewającego Oto duma i chwała w jego, Neda Lamberta, domu.

Szwagrowie: powinowaci. Nigdy nie rozmawiamy z sobą mijając się. Przepaść ich dzieli, jak sędzę. Traktuje go pogardliwie. I popatrzcie. Podziwia go tym bardziej. Ów wieczór, gdy Si śpiewał. Głos ludzki, dwie maleńkie jedwabiste struny. Cudowne, bardziej niż wszystko inne.

Ten głos był zawodzeniem. Spokojniej teraz. To właśnie w ciszy czujesz, że słyszysz. Wibracje. Powietrze ucichło teraz.

Bloom wyswobodził omotane dłonie z pęt i omdlałymi palcami szczypał cienką gumkę. Ciągnął i szczypał. Bzykała, brzęczała. Tymczasem Goulding mówił o emisji głosu Barraciougha, tymczasem Tom Kernan, powracając myślą w przeszłość, mówił do słuchającego ojca Cowleya, który grał improwizując i potakiwał grając. Tymczasem wielki Ben Dollard mówił do zapalającego Simona Dedalusa, który potakiwał paląc, gdy palił.

O utracona. Wszystkie pieśni na ten temat. Bloom bardziej naciągnął swą gumkę. Chyba to okrucieństwo. Pozwolić ludziom, aby się polubili: przywabić jedno ku drugiemu. Potem oderwać ich od siebie. Śmierć. Eksploz. Uderzenie w głowę. Preczdopieklapreczstąd. Życie ludzkie. Dignam. Och, wijący się ogon tego szczura! Dałem pięć szylingów. Corpus paradisum. Kraczący kruk: brzuch jak u strutego szczeniaka. Odszedł. Śpiewają. Zapomniani. Ja także. Pewnego dnia ona z. Opuści ją: znuży się nią. Później będzie cierpiała. Będzie szlochała. Wielkie hiszpańskie oczy wytrzeszczone w nicość. Jej falująceąceopadająceąceące włosy, nie uczesane.

Ale nadmiar szczęścia nuży. Naciągał mocniej, mocniej. Czy nie jesteś szczęśliwy w twoim? Pstry ng. Pękła.

Brzęk brzdęk w Dorset Street.

Panna Douce cofnęła satynowe ramię, z naganą, z zadowoleniem.

- Proszę tak sobie nie pozwalać, powiedziała, dopóki się lepiej nie poznamy.

George Lidwell zapewnił ją szczerze i uczciwie, ale nie uwierzyła. Pierwszy gentleman powiedział Minie, że tak było. Zapytała go, czy tak było. Drugi kufel powiedział jej, że tak, tak było.

Panna Douce, panna Lydia, nie uwierzyła: panna Kennedy, Mina, nie uwierzyła: George Lidwell, nie: panna Dou nie uwie: pierwszemu, pierwszemu: gent z kuf:

uwierzyła, nie nie: nie uwie, panna Kenn: Lidlydiawell: kuf.

Lepiej napisać tu. Pióra w urzędzie pocztowym pogryzione i połamane. Łysy Pat wszedł na znak. Pióro i at. Bibuła. Susz. Już znikł. Usłyszał Pat, znikł Pat.

- Tak, powiedział pan Bloom, mnąc zwiniętą gumkę. Z pewnością tak jest. Parę linijek wystarczy. Mój podarunek. Cała ta ozdobna muzyka włoska jest. Kto to skomponował? Znając nazwisko wie się lepiej. Wyjąć kartkę papieru, kopertę:

obojętnie. Jest tak charakterystyczna.

- To największy numer z całej opery, powiedział Goulding.

- Na pewno, powiedział Bloom.

Właśnie numery, liczby. Kiedy się nad tym zastanowić, to cała muzyka. Dwa pomnożone przez dwa podzielone przez pół równa się dwa razy jeden. Wibracje: to właśnie akordy. Jeden plus dwa plus sześć równa się siedem. Można zrobić, co się zechce, żonglując cyframi. Zawsze stwierdzisz, że to równa się tamtemu. Symetria pod cmentarnym murem. Nie zauważył mojej żałoby. Niewrażliwy. Tylko własny kałdun go obchodzi. Muzykomatematyka. A sądzisz, że słuchasz sfer niebiańskich. Ale przypuśćmy, że powiedziałbyś to tak: Marta, siedem razy dziewięć minus x równa się trzydzieści pięć tysięcy. Nic nie da. Dźwięki mają znaczenie.

Na przykład to, co gra teraz. Improwizuje. Może być czymkolwiek, póki nie usłyszysz słów. Trzeba wsłuchiwać się uważnie. Trudne. Zaczął zupełnie dobrze:

później akordy trochę zbłądziły: zagubił się trochę. W workach przez beczki, przez druty kolczaste, bieg z przeszkodami. Rytm tworzy melodię. Problem nastroju, w którym się znajdujesz. Ale zawsze przyjemnie posłuchać. Z wyjątkiem gam w górę i w dół, których się uczą dziewczęta. Dwie naraz u sąsiadów z przeciwka. Powinni wynaleźć do tego nieme pianina. Blumenlied, którą kupiłem dla niej. Nazwa. Grała to powoli, dziewczyna, tego wieczoru, kiedy wracałem do domu, dziewczyna. Wrota stajni przy Cecilia Street. Milly żadnych skłonności. Dziwne, ponieważ my oboje.

Łysy, głuchy Pat wniósł bib, at i pióro. Pat atrament, pióro kładł i bibułę. Pat talerz nóż widelec już wziął. I znikł Pat.

Jest to jedyny język, powiedział pan Dedalus do Bena. Słyszał ich jako chłopiec w Ringabella, Crosshaven, Ringabella, śpiewających swe barkarole. Port w Queenstown pełen włoskich statków. Spacerowali, Benie, w blasku księżyca w tych zawadiackich kapeluszach. Śpiewali na głosy. Boże, co za muzyka, Benie. Słyszał jako chłopiec. Cross Ringabella haven księżyrole.

Wyjął gorzką fajkę i osłonił dłonią wargi, które wydały miękkie księżycem oświecone nocne-wołanie, czyste z bliska, wołanie z dala, w odpowiedzi.

Wzdłuż krawędzi zwiniętego Człowieka Wolnego wędrowało Blooma two inne oko, poszukujące, a gdzie ja to widziałem. Callan, Coleman. Dignam Patrick. Hejho! Hejho! Fawcett. Aha. Wtedy kiedy patrzyłem...

Mam nadzieję, że nie patrzy. Sprytny jak szczur. Rozwinął Człowieka Wolnego. Teraz nie zobaczy. Pamiętać, żeby pisać greckie e. Bloom umoczył, Bloom wyszep:

drogi panie. Drogi Henryk napisał: droga Mady. Otrzymałem twój li i kwia. Do diabła, gdzie go mam? W jednej kiesz, może w dru. Jest zupeł niemoż. Podkreślić niemoż. Dziś pisać.

Nuda. Znudzony Bloom zabębnił delikatnie właśnie się zastanawiam palcami po bib którą wniósł Pat.

Dalej. Wiesz, co mam na myśli. Nie, zmienić to e. Przyjmij ode mnie ten mały skromny załącz pręż. Poprosić ją, żeby nie odpow. Zaczekaj. Pięć Dig. Mniej więcej dwa tu. Pens dla mew. Elias nadch. Siedem u Davy Byrne'a. Razem mniej więcej osiem. Powiedzmy, pół korony. Mój mały skromny pręż: przekaz pocztowy na dwa szylingi i sześć pensów. Napisz mi długi. Czy gardzisz? Czy masz brzęk brzdęk? Taka podniecona. Dlaczego nazywasz mnie niegrzecz? Czy także jesteś niegrzeczna? O, Mairy zgubiła szpilkę od. Do widzenia na dziś. Tak, tak, powiem ci. Chcę. By trzymały się. Nazywaj mnie tym tamtym. Nie z tego świata, napisała. Wyczerpią się moje cierpliwości. By trzymały się. Musisz mi wierzyć. Wierzyć. Kuf. Że. To. Prawda.

Czy to szaleństwo, że piszę? Mężowie tak nie pi. Małżeństwo tak działa, ich żony. Ponieważ jestem z dala od. Przypuśćmy. Ale jak? Ona musi. Zachować młodość. Gdyby to odkryła. Kartka w moim wysokiej jakości kapelu. Nie, nie mówić wszystkiego. Zbyteczny ból. Jeśli nie dostrzegają. Kobieta. Dla każdego coś miłego.

Dorożka dwukółka, numer trzysta dwadzieścia cztery, powożona przez Jamesa Bartona spod numeru pierwszego Harmony Avenue, Donnybrook, którą zajmował pasażer, młody pan, wytwornie odziany w garnitur z jasnobłękitnego sukna, uszyty przez George'a Roberta Mesjasza, krawca i krojczego, zamieszkałego pod numerem piątym przy Eden Ouay, i w bardzo szykownym słomkowym kapeluszu. zakupionym u Johna Piasto, zamieszkałego pod numerem pierwszym przy Great Brunswick Street, kapelusznika. Co, ech? Oto jest powóz, który brząkał i brzdąkał. Przed lśniącymi zwojami Agendath w jatce Diugacza przekłusowała pięknokłęba klacz.

- Odpowiedź na ogłoszenie? zapytały Blooma bystre oczy Richie'ego.

- Tak, powiedział pan Bloom. Domokrążny sprzedawca w mieście. Wydaje mi się, że nic z tego nie wyjdzie.

Bloom wyszep: najlepsze referencje. Lecz Henryk napisał: to mnie podnieci.

Teraz już wiesz. Pospiesznie. Henryk. Greckie e. Lepiej dodać postscriptum. Co on teraz gra? Improvizuje intermezzo. P.S. Ram tam tam. Jak mnie uka? Ukarzesz mnie? Przekrzywiona spódnica kołysze się, łup łup. Powiedz mi, chcę. Wiedzieć. Och. Oczywiście, gdybym nie chciał, nie pytałbym. La la la re. Kończy smutno w minorze. Dlaczego minor jest smutny? Podpisać H. One lubią smutne zakończenia. P.P.S. La la la re. Jestem tak smutny dziś. La re. Tak samotny. Do.

List Pata bib osuszyła wnet. Kopę. Adres. Po prostu przepisać z gazety. Wyszepiał: panowie Callan, Coleman i spółka z ograniczoną odpowiedzialnością. Henryk napisał:

Panna Marta Clifford

Poste restante Dolphin's Barn Lane Dublin.

Osuszyć na tamtej, żeby nie mógł odczytać. W porządku. Pomysł na nagrodę za perełkę. Coś, co detektyw odczytał z suszki. Płatne gwineę za kolum. Matcham często rozmyśla o roześmianej czarodziejce. Biedna pani Purefoy. Kła. pa.: klapa.

Zbyt poetyczne to o smut. Muzyka tak działa. W muzyce są czary, powiada Shakespeare. Cytaty na każdy dzień roku. Być albo nie być. Nie mów hop, póki nie przeskoczysz.

W ogrodzie różanym Gerarda przy Fetter Lane przechadza się, szarooki kaszta-nowłoso. Jedno życie jest wszystkim. Jedno ciało. Działaj. Lecz działaj.

W każdym razie to zdziałałem. Znaczek na przekaz pocztowy. Poczta tam niżej. Pójść teraz. Dosyć. Przysięgam, że spotkam się z nimi u Barney Kiernana. Nie lubię tego. Dom żałoby. Odejść. Pat! Nie słyszy. Głuchy jak pień.

Powóz już tam się zbliża. Mówić. Mówić. Pat! Nie sły. Układa serwetki. Kawał drogi musi przedreptać w ciągu dnia. Gdyby wymalować mu z tyłu twarz, byłoby ich dwóch. Chciałbym, żeby jeszcze zaśpiewali. Odwraca myśl od.

Łysy, udręczony Pat zwija serwetki w mitry. Pat jest to kelner, który źle słyszy. Pat jest to kelner, który czeka, aż poczekasz. Hę hę hę hę. Czeka, aż poczekasz. Hę hę. Kelner to jest. Hę hę hę hę. Czeka aż poczekasz. Zaczeka, aż poczekasz, jeśli doczeka się, że poczekasz. Hę hę hę hę. Ho. Zaczeka, aż poczekasz.

Douce teraz. Douce Lydia. Brąz i róża.

Spędziła wspaniale, po prostu wspaniale czas. A spójrzcie na piękną muszlę, którą przywiozła.

Na kraniec baru lekko przyniosła mu kolczasty, skręcony róg morski, aby on, George Lidwell, adwokat, mógł usłyszeć.

- Niech pan posłucha! poprosiła.

Pośród ginem płonących słów Toma Kernana akompaniator prządl powolną muzykę. Fakt autentyczny. Jak to Walter Bapty stracił głos. Tak, proszę pana, mąż chwycił go za gardło. Łajdaku, powiedział. Nie będziesz śpiewał już pieśni miłosnych. Tak uczynił on, sir Tom. Bob Cowley prządl. Tenorzy mają kobie. Cowley odchylił się do tyłu.

Ach, teraz usłyszał, gdy trzymała ją przy jego uchu. Słysz pan! Usłyszał. Cudowne. Przytknęła ją do swego i w rozproszonym świetle blade złoto załśniło kontrastem. By usłyszeć.

Stuk.

Bloom dostrzegł spoza drzwi baru muszlę unoszoną do ich uszu. Słyszał o wiele słabiej to, czego one słuchały, każda sama dla siebie, potem jedna dla drugiej, słysząc donośny plusk fal i bezgłośny ryk.

Brzą przy wyblakłym złocie, z bliska, z dala, słuchały.

Jej ucho także jest muszlą, odstającą konchą. Była nad morzem. Śliczne nadmorskie dziewczęta. Przypieczona skóra. Powinna była najpierw nałożyć cold kremu, żeby zbrązowiła. Grzanka posmarowana masłem. Och, żebym nie zapomniał o tym płynie odżywczym. Ma wyprysk przy ustach. W głowie szumi ci jak. Włosy ma całe w puklach: wodorosty na muszli. Czemuż kryją swe uszy pod włosów wodorostami? A Turczynki usta, dlaczego? Jej oczy nad chustą, jaszmak. Odnaleźć drogę do. Jaskini. Wstęp tylko dla interesantów.

Zdaje mi się, że słyszą morze. Śpiewające. Ryk. A to krew. Słona woda czasem wchodzi do uszu. Cóż, to także morze. Wysepki molekuł.

Naprawdę cudowne. Tak wyraźnie. Jeszcze raz. George Lidwell uniósł jej szmer, słuchając: potem odłożył ją, delikatnie.

- Cóż powiadają spienione fale? zapytał i uśmiechnął się.

Urocza, morskouśmiechnięta, nie odpowiadając, Lydia uśmiechnęła się do Lidwella.

Stuk.

Obok Larry'ego o'Rourke, obok Larry'ego, dzielnego Larry'ego O', Boylan zakołysał się, Boylan zakręcił.

Od porzuconej muszli panna Mina przesunęła się ku oczekującemu kuflowi. Nie, nie była zupełnie samotna, dało do zrozumienia Lidwellowi figlarne oblicze panny Douce. Spacerowała przy księżycu nad morzem. Nie, nie samotnie. Z kim? Odparła z godnością: z pewnym znajomym gentlemanem.

Migotliwe palce Boba Cowleya znowu zaczęły grać w wysokiej tonacji. Kamie-nicznik ma pierwszeń. Trochę czasu. Długi John. Wielki Ben. Leciuteńko grał, w lekkim, pogodnym, podzwaniającym rytmie dla roztańczonych dam, figlarnych i uśmiechniętych, i dla ich kawalerów, znajomych gentlemenów. Raz: raz, raz, raz:

dwa, raz, trzy, czte.

Morze, wiatr, liść, grzmot, wody, krów ryk, targ bydlęcy, koguty, kury nie pieją, węże sssssyczą. Muzyka jest wszędzie. Drzwi Ruttledge'a: iiii skrzypiące. Nie, to hałas. Gra teraz menueta z Don Giovanniego. Przeróżne stroje dworskie tańczące w zamkowych komnatach. Nędza. Chłopi na zewnątrz. Zzieleniałe zgłodniałe twarze zajądające liście szczawiu. Jakie to ładne. Patrzcie: patrzcie, patrzcie, patrzcie, patrzcie, patrzcie: patrzcie wy na nas.

Mogę wyczuć, że to wesołe. Ale nigdy nie mógłbym tego napisać. Dlaczego? Moja radość jest inną radością. Ale obie są radością. Tak, to musi być radość. Wystarczy muzyka, abyś był. Często myślałem, że jest przygnębiona, póki nie zaczęła podśpiewywać wesoło. Wtedy wiedziałem, że nie.

Walizka M'Coya. Moja żona i twoja żona. Miauczy jak kot. Jakby darli jedwab. A gada jak grzechotka. Nie umieją sobie dawać rady z takimi interwałami jak mężczyźni. Mają też luki w głosie. Wypełnij mnie. Jestem ciepła, ciemna, rozwarta. Molly w quis est homo: Mercadante. Słuchałem z uchem przyłożonym do ściany. Do przekazania tych rzeczy konieczna jest kobieta.

Brzdęk brzdęk hop powóz stop. Strojnego Bujnego w trzewiku strojnym skarpetka błękitnoblada o lekkim rzuciku z powoziku wysiada lekko.

Och, spójrzcie, jesteście tacy! Muzyka kameralna. Można by grę słów ułożyć. Często myślałem o tym, gdy ona. Akustyka. Podzwania. Puste garnki dźwięczą najgłośniej. Ze względu na akustykę rezonans zmienia się w stosunku do wagi wody i wprost proporcjonalnie do prawa o spadaniu wody. Jak te rapsodie Liszta, węgierskie, cyganookie. Perły. Krople. Deszcz. Klip, klap, klop, klop, kap, kap. Syk. Teraz. Może teraz. Zanim.

Ktoś w drzwi stuk, ktoś w drzwi puk, czy do kwok Paul de Kock, donośnie, rozgłośnie, kukuryku pif paw pawiapawia krzykrzyk. Kukurykukuk.

Stuk.

- Qui sdegno, Benie, powiedział ojciec Cowley.

- Nie, Benie, wtrącił się Tom Kernan, Młodego Buntownika, w naszej rodzimej mowie.

- Tak, Benie, tak, powiedział pan Dedalus. Mężowie dzielni i prawi.

- Tak, tak, błagali jak jeden.

Pójdę. Hej, Pat, wróć tu. Przyszedł, przyszedł, nie pozostał. Tu, do mnie. Ile?

- W jakiej tonacji? Sześć krzyżyków?

- Fis-dur, powiedział Ben Dollard.

Wysunięte szpony Boba Cowleya porwały czarne niskobrzmiące akordy.

Muszę iść, powiedział książę Bloom do księcia Richie. Nie, powiedział Ri-chie. Tak, muszę. Zdobył gdzieś pieniądze. Chce pohulać z tym bólem w grzbiecie. Ile? On widziśłyśzy ruch warg. Szyling i dziewięć. Pens dla ciebie. Proszę. Dać mu dwa pensy napiwku. Głuchy zatroskany. Ale być może ma żonę i rodzinę czekającą, aż wyczekujący Patty wróci do domu. Hę hę hę hę. Głuchy poczeka, aż zaczekają.

Lecz zaczekaj. Lecz posłuchaj. Ciemne akordy. Ponununure. Głębokie. Pieczara w mrocznych głębinach ziemi. Złoża rudy. Surowa muzyka.

Głos czasów mrocznych, głos niemiłowania, głos umęczonej ziemi przybliżył się dostojnie, pełen boleści, przybywając z dala, z wierzchołków gór sędziwych, wzywając mężów dzielnych i prawych. Ksiądz poszukiwał, z nim chciał zamienić słowo.

Stuk.

Baryłton Ben Dollarda. Czyni wszystko, aby to wyrazić. Rechot rozległych trzęsawisk, ni męża, ni księżycy, ni niewiasty. Jeszcze jeden upadek. Robił niegdyś duże interesy na dostawach okrętowych. Pamiętam: liny nasycane żywicą, okrętowe latarnie. Zabrakło dziesięciu tysięcy funtów. Teraz jest w przytułku Iveagh. Pokój numer ten a ten. Piwo Bass numer jeden załatwiło go tak.

Ksiądz jest w domu. Sługa fałszywego księdza powitał go. Niechaj wejdzie. Ojciec wielbny. Girlandy akordów.

Rujnują ich. Niszczą im życie. Potem budują im pokoiki, aby mieli gdzie dożyć końca swoich dni. Luli luli luli, kołysanka z łezką. Zdechnij sobie, zdechnij, mój malutki piesku.

Głos ostrzegający, dostojnie ostrzegający, powiedział im, że młodzieniec wszedł do pustej sieni, powiedział im, jak dostojnie zabrzmiały jego kroki, powiedział im o mrocznej komnacie, o księdzu odzianym w komżę spowiednika.

Pocziwa duszyczka. Trochę już zdarta. Myśli, że wygra rebus poetycki w Odpowiedziach. Przesyłamy panu szeleszczący piecioletowy banknot. Ptak wysiadujący pisklęta w gnieździe. Wydawało mu się, że to była Pieśń ostatniego minstrela. Ka przerwa te, co to za zwierzę domowe? En cztery kreski en dzielny marynarz. Ciągłe jeszcze ma dobry głos. Nieprędko będzie eunuchem, mając takie przedsięwzięcie.

Posłuchaj. Bloom słuchał. Richie Goulding słuchał. A przy drzwiach głuchy Pat, łysy Pat, obdarzony napiwkami Pat, słuchał.

Akordy zadźwięczały powolniej w arpedżiach.

Głos pokuty i żalu płynął z wolna, mieniać się, piękniejąc. Broda Bena wyznawała ze skruchą: in nomine Domini, w imię Boże. Ukląkł. Bił się w piersi wyznając:

mea culpa.

Znowu łacina. To ich trzyma jak lep muchy. Ksiądz z hostiami dla tych kobiet. Ten facet w kaplicy cmentarnej, truman czy trumna, corpusnomine. Ciekaw jestem, gdzie jest teraz ten szczur. Drap.

Stuk.

Słuchali: kufle i panna Kennedy, George Lidwell o wyrazistych powiekach, pełnopięsna satyna. Kernan, Si.

Wśród westchnień śpiew swe smutki snuł. Swe winy. Od Wielkiejnocy zaklął trzy razy. Ty skurwysy. I raz bawił się, miast na mszę iść. Raz minął cmentarz i nie wznosił modłów za duszę matki swej. Młody. Młody buntownik.

Brązowa, słuchająca przy pompie do piwa, patrzyła w dal. Z głębi duszy. Nie wie, że na nią pa. Molly zawsze wie, kiedy ktoś na nią patrzy.

Brązowa patrzyła w dal w bok. Ma tam lustro. Czy z tej strony jej twarz jest najładniejsza? Zawsze wiedzą. Pukanie do drzwi. Ostatnia chwila, żeby poprawić wygląd.

Kukurykurykuryku.

Co myślą, słysząc muzykę? Sposób na chwytywanie grzechotników. Ten wieczór, kiedy Michael Gunn dał nam łożę. Strojenie. Szach perski najbardziej to lubił. Przypominało mu to, że wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej. Wycierał nos w zasłonę. Może takie obyczaje w jego ojczyźnie. To też muzyka. Nie taka zła, jak się wydaje. Tutturutu. Głos blach wyniosły, ryczące osły. Bezradne kontrabasy z bliznami po bokach. Drzewo muczące krowy. Fortepian otwarta paszcza krokodyla muzyka szczękami szczeka. Drzewo dudni jak Goodwin.

Wyglądała ślicznie. Miała szafranową suknię, głęboko wyciętą, wszystko na wierzchu. Oddech jej pachniał goździkami, kiedy pochylała się w teatrze, żeby zadać pytanie. Powiedziałem, co Spinoza mówi w tej książce biednego papy. Słuchała jak zahipnotyzowana. Ta-akie oczy. Pochylona. Facet na balkonie wpatrywał się w nią przez lornetkę jak zakłęty. Dwukrotnie trzeba słuchać muzyki, żeby pojąć jej piękno. Dla natury kobiety wystarczy pół spojrzenia. Bóg stworzył świat, a człowiek pieśni. Mnie tam psy chodzą. Filozofia. Och, brednie!

Minęło. Runęło. Gdy obiegli RossJego ojciec padł, pod Gorey padli bracia. Do Wexford, jesteście chłopcy z Wexford, chce podążyć. Ostatni swego rodu i imienia.

Ja także ostatni z mego rodu. Milly z młodym studentem. Cóż, może moja wina. Żadnego syna. Rudi. Teraz za późno. A jeżeli nie? Jeżeli nie? Jeżeli jeszcze?

Nie żywił nienawiści.

Nienawiść. Miłość. Nazwy tylko. Rudi. Wkrótce będę stary.

Wielki Ben zaśpiewał pełnym głosem. Potężny głos, powiedział Richie Goul-ding z rumieńcem na bladej twarzy do Blooma, wkrótce będzie stary, lecz gdy był młody.

Teraz będzie o Irlandii. Ojczyznę mą nad króla. Ona słucha. Któż lęka się mówić o dziewięćset czwartym? Czas odbijać. Dosyć się napatrzyłem.

- Pobłogosław mnie, ojczy, wołał Dollard buntownik. Pobłogosław i odejść daj.

Stuk.

Bloom, nie pobłogosławiony, chciał odejść. Zabójczo wystrojona: za osiemnaście szylingów tygodniowo. Znajduje ludzi, którzy bulą forse. Trzeba się mieć na baczności. Te dziewczęta, te śliczne. Nad morza smętnego falami. Romans chórzys-ki. Odczytywanie na głos listów, by udowodnić złamanie obietnicy małżeństwa. Od Kurczaczka do jego Kiciusia. Śmiech na sali sądowej. Henryk. Nie podpisałem go. Śliczne masz imię.

Przycichła muzyka, pieśń i słowa. Potem wzmożyły się. Z sutanny fałszywego księdza wyskakuje żołnierz. Kapitan straży. Znają to wszystko na pamięć. Przejmujący dreszcz, na który czekają. Kapitan jak kruk.

Stuk. Stuk.

Słuchała, przejęta, pochylona współczująco, by lepiej słyszeć.

Twarz bez wyrazu. Może dziewczica: a może tylko palcem. Pusta kartka: zapisać ją. Jeśli nie, co je czeka? Powolny upadek, rozpacz. To przedłuży im młodość. Nawet podziwiają się za to. Przejrzyj się. Zagraj na niej. Z wargami na instrumencie. Białe ciało kobiece, żywy flet. Dmij łagodnie. Donośnie. Wszystkie kobiety mają po trzy otwory. U tej bogini nie zauważyłem. Pragnę tego: nie trzeba być zbyt uprzejmym. Dlatego on je zdobywa. Miej złoto w kieszeni, a miedź na czole. Oko w oko: pieśń bez słów. Molly i ten młody kataryniarz. Zrozumiała, że mówi o chorobie małpki. A może dlatego, że to takie hiszpańskie. Zwierzęta rozumie też w ten sposób. Salomon także rozumiał. Dar natury.

Rodzaj brzuchomówstwa. Wargi mam zaciśnięte. Myślę żołąd. Co?

Czy pragniesz? Ja? Pragnę. Abyś. Ty.

Strażnik zaklął z ochrypłą, brutalną wściekłością. Nabrzmiwa apoplektycznym skurwysynem. Dobry pomysł, chłopcze, żeś tu przybył. Godzina życia ci została, ostat.

Stuk. Stuk.

Dreszcz ich przejmuje teraz. Odczuwają litość. Aby uronić łzę za męczenników. Za wszystko, co umiera, pragnie, umiera aby, umiera. Za wszystko, co się rodzi. Biedna pani Purefoy. Mam nadzieję, że już po wszystkim. Gdyż łona ich.

Wilgotne łono żrenicy niewieściej patrzyło spod osłony brwi spokojnie, słuchając. Patrz, jakie naprawdę piękne jest oko, kiedy ona nie gada. Nad rzeką ową. A gdy powolnie porusza się jej satynowa pierś (jej falujące wdzięki), powoli porusza się róża czerwona, róża czerwona opada. Serce jej bije równo z tchnieniem: tchnieniem, które jest życiem. I drżą wszystkie maleńkie maleńkie sploty kielki paproci jej panięskich włosów.

Lecz spójrz. Jasne gwiazdy gasną. O różo! Kastylija. Świt. Ha. Lidwell. A więc dla niego nie dla. Zaslepiony. Czy jestem taki sam? Ale stąd i tak można ją widzieć. Wystrzelone korki, bryzgi piwnej piany, puste butelki.

Na gładkiej, sterczącej dźwigni pompy Lydia położyła dłoń leciutko, pulchniutko, pozostaw to moim dłoniom. Całą ją litość przenika dla młodego buntownika. W przód, w tył: w tył, w przód: po polerowanej gałce (ona wie że jego oczy że moje oczy że jej oczy) jej kciuk i palec wskazujący sunęły z litością: sunęły, powracały, dotykając delikatnie i ześlizgiwały się jakże gładko, jakże powoli, w dół, a chłodna twarda biała emaliowana pałeczka sterczała w ich prześlizgującym się pierścieniu.

Kukuryku pif paw.

Stuk. Stuk. Stuk.

Dom ten jest mój. Amen. Zgrzytał z wściekłością. Zdrajcy zawisną.

Akordy wyraziły zgodę. Bardzo smutna historia. Ale musiało się tak stać.

Wyjść przed końcem. Dziękuję, to było boskie. Gdzie mój kapelusz. Przejść obok niej. Mogę zostawić tego Człowieka Wolnego. List mam. A gdyby to ona była tą? Nie. Iść, iść, iść. Jak Cashel Boylo Connor Coylo Tisdall Maurice Gwizdali Farrell. liiiiiiiść.

Cóż, muszę chyba. Idzie pan już? Tkmszdzenia. Bimwstł. Z prosa boso biedny. Bloom wstał. Och. Czuję, że to mydło zaczyna się kleić tam z tyłu. Musiałem się spocić: muzyka. Nie zapomnieć o tym płynie odżywczym. No, to do zobaczenia. Najwyższej jakości. Wewnątrz kartka, tak.

Obok Pata, nadstawiającego ucha w progu, przeszedł Bloom.

W koszarach Geneva zginął ów młodzieniec. W Passage złożono jego zwłoki. Dolor! Och, on dolores! Głos pieśni żałobnej wzywał do modlitwy dolorosa.

Obok róży, obok satynowych piersi, obok pieszczącej dłoni, obok popłuczyn, obok pustych butelek, obok wystrzelonych korków, pozdrawiając i odchodząc, obok oczu i włosów panińskich, brązowych i bladozłotych w morskogłębokim cieniu, przeszedł Bloom, łagodny Bloom, jestem tak samotny Bloom.

Stuk. Stuk. Stuk.

Módlcie się zań, modlił się bas Dollarda. Wy, którzy słuchacie w pokoju. Zmówcie modlitwę, urońcie łzę, prawi mężowie, dobrzy ludzie. Był młodym buntownikiem.

Spłoszywszy podsłuchującego posługacza, młodego buntownika posługacza w hallu Ormondu, Bloom usłyszał okrzyki i grzmot oklasków, tłuste w plecy poklepywania, ich butów, nie buntów, odgłosy. Chóralne nawoływanie o łyk, aby to splukać. Cieszę się, że unikałem.

- Chodź, Benie, powiedział Simon Dedalus. Na Boga, jesteś nie gorszy, niż byłeś.

- Lepszy, powiedział Tomdżyn Kernan. Jest to najbardziej przejmująca interpretacja tej ballady, jaką znam, klnę się na mą cześć i duszę.

- Lablache, powiedział ojciec Cowley.

Ben Dollard odtańczył otyłą cachuczę w kierunku baru, potężnie pochwałami przesycony i wielce zaróżowiony, na ciężkostopach stopach, trzaskając w powietrzu kastanietami reumatycznych palców.

Wielki Benaben Dollard. Wielki Benben. Wielki Benben.

Rrr.

A poruszeni głęboko, z Simonem wygrywającym rozczulenie swe na nosie jako na rogu donośnym, rozweseleni wszyscy, powiedli go, Ben Dollarda, pośród chwały mu należnej.

- Jest pani rozpromieniona, powiedział George Lidwell. Panna Douce poprawiła swą różę, nim podała.

- Ben machree, powiedział pan Dedalus, poklepując tłustą łopatkę Bena. Zdrowsz jak ryba, tylko ma na sobie za wiele tkanki tłuszczowej. Rrrrrrrsss.

- Śmiertelna tłustość, Simonie, zaryczał Ben Dollard. Richie przepaść pomiędzy nimi siedział sam: Goulding, Collins, Ward. Czekał niepewnie. Nie opłacony Pat także. Stuk. Stuk. Stuk. Stuk. Panna Mina Kennedy zbliżyła wargi do ucha pierwszego z kufli.

- Pan Dollard, wyszeptały cicho.

- Dollard, wyszeptał kufel.

Kuf pierwszy uwierzył: pannie Kenne gdy: że to doli: ona doli: kuf.

Wyszeptał, że zna to nazwisko. To znaczy, że nazwisko to było mu nieobce. To znaczy, że słyszał już gdzieś nazwisko Dollard, czy tak? Dollard, tak.

Tak, wypowiedziały głośnie jej wargi, pan Dollard. Ślicznie śpiewał tę pieśń, wyszeptala Mina. A Ostatnia róża lata to śliczna pieśń. Mina kochała tę pieśń. Kufel kochał pieśń, którą Mina.

To ostatnia róża lata Dollard opuścił Bloom poczuł, że we wnętrzu wiatr wokół wyje.

Dużo gazu ma ten jabłecznik: zatwardzenie. Urząd pocztowy obok Rubena J. o szylinga i osiem pensów za wiele. Uwolnić się od tego. Okrążyć przez Greek Street. Szkoda, że obiecałem spotkać się z. Na powietrzu swobodniej. Muzyka. Działa ci na nerwy. Pompa do piwa. Jej ręka, która porusza kołyską, rządzi. Ben Howth. Która rządzi światem.

Dal. Dal. Dal. Dal.

Stuk. Stuk. Stuk. Stuk.

Wzdłuż nadbrzeża poszedł Lionelleopold, niegrzeczny Henryk z listem do Mady, z grzechu słodyczami z fatalaszkami dla Raoula z mnie tam psy chodzą szedł Poldy przed siebie.

Stuk szedł ślepiec, stukstukając przy stuk krawężniku stukstukając, stuk, stuk.

Cowley oszalał się tym: rodzaj pijaństwa. Lepiej posunąć się tylko do połowy drogi jak mężczyzna z dziewczą. Weźmy na przykład entuzjastów. Cały zamieniony w słuch. Aby nie utracić ani pół połówki trylu. Oczy przymknięte. Głowa potakuje do taktu. Ogłupiały. Nie śmiesz drgnąć. Myślenie surowo wzbronione. Ciągłe gada o tym samym. Baniałuki o nutach.

Wszystko to jest próbą nawiązania rozmowy. Nieprzyjemnie, kiedy się urywa, bo nigdy nie wiadomo dokł. Organy przy Gardiner Street. Stary Glynn pięćdziesiąt funtów rocznie. Niesamowicie musi być tam na chórze, samemu z tymi rejestrami, guzikami i klawiszami. Siedział cały dzień przy organach. Bredził godzinami, mówiąc do siebie albo do tego drugiego faceta, który dmie w miechy. Warczał gniewnie, potem kłął z wrzaskiem (powinien mieć watę albo coś innego w tym swoim ach nie chcę, krzyknęła, organie), a potem nagle miękko ni stąd ni zowąd uii drobniutki uii drobniutki powiew wietrzyka.

Wuiii! Wietrzyk powiał iii. A to Blooma malutkie kiskiiii.

- Był tu? powiedział pan Dedalus powracając z fajką. Byłem z nim dziś rano na pogrzebie biednego małego Paddy Dignama...

- Tak, niechaj Bóg się nad nim ulituje.

- Ale, ale, jest tam kamerton na... Stuk. Stuk. Stuk. Stuk.

- Jego żona ma doskonały głos. Albo miała. Co? zapytał Lidwell.

- O, to musi być stroiciela, powiedziała Lydia do Simonaliona, od razu to zauważyłam, zapomniał zabrać, kiedy stąd wychodził.

Ślepy jest, powiedziała do George'a Lidwella, raz dwa to zauważyłam. I grał tak wyśmienicie, była to uczta dla uszu. Wyśmienity kontrast: brąz i złota-mina.

- Wołaj, czy dość! zawołał Ben Dollard nalewając. Śpiewaj!

- Tyle! krzyknął ojciec Cowley.

Rrrrrr.

Czuję, że chcę...

Stuk. Stuk. Stuk. Stuk. Stuk.

- Bardzo, powiedział pan Dedalus, wpatrując się uporczywie w bezgłową sardynkę.

Pod szklanym dzwonem leżała na chlebowym katafalku ostatnia, samotna, ostatnia sardynka lata. Bloom samotny.

- Bardzo, nadal wpatrywał się. W dolnym rejestrze zwłaszcza.

Stuk. Stuk. Stuk. Stuk. Stuk. Stuk. Stuk. Stuk.

Bloom przeszedł obok Barry'ego. Chciałbym móc. Zaczekaj. Gdybym miał ten cudowny środek. Dwudziestu czterech adwokatów w tym jednym domu. Prawowa-nie się. Kochają jeden drugiego. Stosy pergaminu. Panowie Złoty i Rączka, uprawnieni pełnomocnicy sądowi. Goulding, Collis, Ward.

Ale na przykład facet, który wali w ten wielki bęben. Zatrudniony: w orkiestrze Micky Rooneya. Ciekawe, jak doszedł do tego. Siadywał w domu, zjadłszy wieprzowinę z kapustą, i piastował go na fotelu. Powtarzał swą partię orkiestrową. Bum. Bumbubum. Wesołe dla żony. Ośła skóra. Biją je w życiu, a potem walą w nie po śmierci. Bum. Wali. Pewnie to jest jak to się nazywa jaszmak chcę powiedzieć kismet. Los.

Stuk. Stuk. Wyrostek, ślepy, postukujący laską, przeszedł stukstukstukając obok szyby wystawowej Daly'ego, gdzie syrena z włosiem rozwianym (lecz nie mógł jej widzieć) wydmuchiwała kłęby syreniego (lecz ślepiec nie mógł), syreniego najbardziej orzeźwiającego dymu.

Instrumenty. Żdźbło trawy, koncha jej dłoni, później dąć. Nawet z grzebienia i bibułki możesz wydobyć melodię. Molly w koszulce przy Lombard Street West, z rozpuszczonymi włosami. Myślę, że każdy zawód miał swoją własną muzykę, rozumiesz? Myśliwy z rogiem.

Ró. Stanął ci? Cloche. Sonnez la! Pasterz ma fujarkę. Policjant gwizdek. Zamki i klucze! Miotła! Już czwarta, wszystko w porządku, woła warta. Śpijcie! Wszystko stracone. Bęben? Bumbubum. Zaczekaj, wiem. Obwoły-wacz miejski, bumbamcham. Długi John. Wskrzeszanie zmarłych. Bam. Dignam.

Biedny mały nominedomine. Bum. To muzyka, chcę powiedzieć oczywiście, że to wszystko jest bum bum bum podobne bardzo do tego, co nazywają da capo. Ale da się słuchać. Maszerujemy rażno tam, rażno tam. Bam.

Naprawdę muszę. Fff. Gdybym tak zrobił na bankiecie. To tylko kwestia obyczaju. Szach perski. Zmów modlitwę, uroń łzę. Ale mimo wszystko musiał być trochę tępy, żeby nie zauważyć, że to był straży kap. Przebrany. Ciekaw jestem, kto to był ten facet przy grobie w brązowym mackint. Och, ta kurwa z zaułka!

Niechlujna kurwa w czarnym płaskodennym słomianym kapeluszu na bakier szła wyzywająco szklistooka pośród białego dnia po nadbrzeżu w kierunku pana Blooma. Gdy ujrzał postać jej najśłodsza. Tak, to ona. Jestem tak samotny. Wilgotny wieczór w zaułku. Ró. Kto ma ró? Rógon. Widzigona. Zeszła z rejonu. Cóż ona? Mam nadzieję, że ona nie. Psst! Nie ma pan co do uprania. Widziała Molly. Dała mi szkołę. Zażywna-jest ta pani w brązowym kostiumie, która idzie z panem. Zbiła mnie z tropu. Umówiliśmy się. Wiedząc, że nigdy, no, prawie nigdy. Za drogo, za blisko domu, słodkiego domu. Czy mnie zauważyła? Okropnie wygląda za dnia. Twarz jak z wosku. A niech ją! No cóż, musi żyć jak wszyscy inni. Patrzeć w tę stronę.

W oknie wystawowym antykwariatu Lionela Marksa wyniosły Henryk Lionel Leopold drogi Henryk Kwiatek gorliwie wpatrzony pan Leopold Bloom ujrzał świecznik i akordeon o przeżartych przez robaki miechach. Okazja: sześć szylingów. Można by się nauczyć grać. Tanio. Dać jej przejść. Oczywiście, wszystko, czego się nie chce, jest drogie. Na tym polega dobry sprzedawca. Zmusza cię, żebyś kupił, co ci chce sprzedać. Facet sprzedał mi szwedzką brzytwę, którą mnie ogolił. Chciał mi policzyć za to, że ją naostrzył. Przechodzi teraz. Sześć szylingów.

To chyba musi być jabłecznik, może burgund.

W pobliżu brązu z bliska, w pobliżu złota z dala brzdąkali wszyscy szklankami, płomiennoocy i wytworni, przed brązowej Lydii kuszącą ostatnią różą lata, różą Kastylii. Prima Lid, De, Cow, Ker, Doli, kwinta: Lidwell, Si Dedalus, Bob Cowley, Kernan i wielki Ben Dollard.

Stuk. Młodzieniec wszedł do opustoszałego hallu Ormondu.

Bloom przyglądał się wizerunkowi wytwornego bohatera w oknie wystawowym Lionela Marksa. Ostatnie słowa Roberta Emmeta. Siedem ostatnich słów. To Meyerbeera.

- Mężowie prawi jako wy, mężowie.

- Tak, tak, Benie.

- Wzniosą szklanice z nami.

Wznieśli.

Brzdęk. Brzdęk.

Stuk. Niewidzący wyrostek stał w drzwiach. Nie widział brązu. Nie widział złota. Ni Bena ni Boba ni Toma ni Si ni George'a ni kuf ni Richie'ego ni Pata. Hę hę hę hę. Nie widział ich, ach nie.

Morskoustybloom, morskotłustybloom odczytał ostatnie słowa. Miętko. Gdy ojczyzna moja zajmie swe miejsce pomiędzy.

Prrgprrg.

To chyba burg.

Fff. Oo. Rrpr.

Narodami ziemi. Nikogo z tym. Przeszła. Wówczas nie wcześniej. Tramwaj. Dzyń dzyń dzyń. Dobra okaz. Nadchodzi. Dzyńdzyńdzyńdzyń. Pewien jestem, że to burgund. Tak. Raz, dwa. Niechaj epitafium moje będzie. Dzyyyyyyyń. Napisane. Skon.

Ppprrffrrppff.

C żyłem.

BYŁEM WŁAŚNIE O TEJ PORZE ZE STARYM TROYEM, POSTERUNKOWYM D. M. P. NA

rogu Arbour Hill, kiedy nagle, a niech to, jakiś przeklęty kominiarz o mało nie wsadził mi szczotki w oko. Odwróciłem się, żeby mu przygadać jak należy, i kogóż to widzę wlokącego się wzdłuż Stony Batter jak nie Joe Hynesa.

- Cześć, Joe, powiadam. Jak ci leci? Widziałeś tego przeklętego kominiarza? O mało nie wyjął mi oka tą miotłą.

- Sadza to szczęście, powiada Joe. Kto to, ten stary buc, z którym gadałeś?

- Stary Troy, powiadam, był w policji. Biję się z myślami, czy nie oskarżyć tego faceta o zakłócenie ruchu ulicznego tymi szczotkami i drabinami.

- Co porabiasz w tych stronach? powiada Joe.

- Diabli wiedzą, powiadam. Tam za kościołem garnizonowym przy rogu Chicken Lane mieszka wielki, cholernie cwany złodziej - stary Troy dał mi właśnie cynk o nim - który, mówiąc, że ma farmę gdzieś w hrabstwie Down, poderwał Bóg wie ile herbaty i cukru na

spłaty po trzy szylingi tygodniowo od malutkiego człowieczka nazwiskiem Moses Herzog z okolic Heytesbury Street.

- Obrzezany! powiada Joe.

- Tak, powiadam. Trochę, stuknięty. Stary hydraulik nazwiskiem Ge-raghty. Depczę mu po piętach od dwóch tygodni i nie mogę wyciągnąć z niego ani pensa.

- To tym się teraz zajmujesz? powiada Joe.

- Tak, powiadam. Jakże upadają mocarze! Poborca marnych i wątpliwych długów. To najcholerniejszy, najtwardszy łotr, jakiego ze świecą nie znajdziesz, gębę ma całą w dziobach po ospie, ulewa by w nią wsiąkła jak w gąbkę. Powiedz mu, powiada on, że ostrzegam go, powiada on, i po dwakroć go ostrzegam, żeby cię tu nie przysyłał więcej, a jeżeli to zrobi, powiada on, postawię go przed sądem, tak właśnie zrobię, za handel bez zezwolenia. I to po tym, kiedy się tak opchał, że o mało nie pękł! Jezu, musiałem się roześmiać, kiedy ten mały żydek zaczął rwać szmaty na sobie. On moje herbaty pije. On moje cukry zjada. Cemu on mi nie płaci moje pieniądze?

Za nadające się do składowania towary, zakupione u Mosesa Herzoga, zamieszkałego przy 13 Saint Kevin's Parade, w dzielnicy Wood Quay, kupca, tu i poniżej zwanego sprzedawcą, a odstąpione i przekazane Michaelowi E. Geraghty, Esquire, zamieszkałemu przy 29 Arbour Hill w mieście Dublinie, w dzielnicy Arran Quay, gentlemanowi, zwanemu tu i poniżej nabywcą, a mianowicie, pięć funtów avoirdupois herbaty pierwszego gatunku, po trzy szylingi za funt avoirdupois, i czterdzieści dwa funty cukru, kryształu, avoirdupois, po trzy pensy za funt avoirdupois, rzeczony nabywca stał się dłużnikiem rzeczonoego sprzedawcy na sumę jednego funta szterlinga pięciu szylingów i sześciu pensów za towary otrzymane, która to suma zapłacona będzie przez rzeczonoego nabywcę rzeczonemu sprzedawcy w tygodniowych ratach po trzy szylingi zero pensów, co siedem kalendarzowych dni: a rzeczono, nadające się do składowania towary nie zostaną zastawione, złożone jako rękojnia, sprzedane ani też rzeczony nabywca nie pozbędzie się ich w inny sposób, lecz pozostaną one jedyną i wyłączną własnością rzeczonoego sprzedawcy, aby dysponował nimi według swej woli i życzenia, póki rzeczona suma nie zostanie całkowicie spłacona przez rzeczonoego nabywcę rzeczonemu sprzedawcy w sposób ustalony powyżej dnia dzisiejszego i uzgodniony pomiędzy rzeczonym sprzedawcą, jego dziedzicami, spadkobiercami, pełnomocnikami i zastępcami z jednej strony, a rzeczonym nabywcą, jego dziedzicami, spadkobiercami, pełnomocnikami i zastępcami z drugiej strony.

- Czy jesteś zupełnym abstynentem? powiada Joe.

- Nie pijam nic pomiędzy jednym kieliszkiem a drugim, powiadam.

- Co byś powiedział, gdybyśmy złożyli uszanowanie naszemu przyjacielowi? powiada Joe.

- Komu? powiadam. Pewnie w głowie mu się pokręciło i jest u Jana Bożego, biedak.

- Od picia własnych napojów? powiada Joe.
- Tak, powiadam. Wodo- i whiskogłowie.
- Zajdźmy do Barney Kiernana, powiada Joe. Chcę się zobaczyć z Obywatелеm.
- Niech będzie stary druh Barney, powiadam. Słyszałeś co ciekawego albo nadzwyczajnego, Joe?
- Ani słowa, powiada Joe. Byłem na zebraniu w City Arms.
- A cóż to było takiego, Joe? powiadam.
- Handlarze bydła, powiada Joe, o pryszczycy. Chcę o tym powiedzieć parę słów Obywatelowi.

Więc obeszlśmy koszary Linenhall i tyły sądów, rozmawiając o tym i owym. Joe to porządny chłop, kiedy ma forszę, ale można głowę dać, że nigdy jej nie ma. Jezus, nie mogłem przeboleć tego pieprzonego cwaniaka Geraghty, rabującego tak w biały dzień. Za handel bez zezwolenia, powiada on.

W Inisfail nadobnym leży owa kraina, kraina Michana Świętego. A wznosi się pośród niej wieżyca, którą człek z dala ujrzyć może. Leżą tam umarli mocarze we śnie pogrążeni, jako za żywota spali, wojownicy a książęta sławy niezwykłej. Zaiste, miłą jest kraina owa wód szemrzających i potoków rybnych, gdzie igra ostroplęwiec, płastuga, płoć, halibut, łupacz ostrołuski, łosoś młody, zimnica, skarp, flądra, a wokół nich pospółstwo rybnie przemieszane z inszymi mieszkańcami królestwa wodnego, co nazbyt liczni są, by ich wymieniać. W powiewie łagodnym od wschodu i zachodu napływającym drzewa wyniosłe kołyszą na wsie strony przewybornym listowiem, a to jawor wybujały, cedr libański, platan strzelisty, eukaliptus eugeniczny i insze ozdoby świata leśnego, którego w okolicy owej wielki jest dostatek. Dzieweczki nadobne siadają u korzeni owych drzew nadobnych, pieśni najnadobniejsze śpiewając, a zabawiając się przy tym wszelakiego rodzaju nadobnymi przedmiotami, jako to sztabami złota, rybami srebrzystymi, baryłkami śledzi, sieciami pełnymi węgorzy, młodych wątluszków, kobiałkami rybiąt małych, purpurowymi klejnotami morza i robactwem ruchliwym. A bohaterowie przybywają z dala, by zalecać się ku nim, od Elbany a także od Slievemargy, niezrównani książęta nieujarzmionego Munster i Connacht sprawiedliwego, a równinnego gładkiego Leinster i z krainy Cruachana, i z Armagh znamienitego, a także ze szlachetnej okolicy Boyle, książęta, królów synowie.

A wznosi się tam lśniący pałac o kryształowym migotliwym dachu, co widny jest żeglarzom przecinającym rozległe morza w barkach zmyślnie ku temu uczynionych, a przybywają tu trzody wszelakie i zwierzęta spaśne, i najpierwszy owoc krainy, jako że O'Connell Fitzsimon wybiera z nich dziesięcinę, wódz i wodzów potomek. Tu także wozy wielce obszerne zwożą obfitość plonów z pól, kosze kalafiora, szpinaku fury, ananas w plastrach, fasolę z Rangoonu, pomidorów góry, fig beczułki, brukwi zagony, ziemniaki krągłe, tęczowej kapusty kopce z

Yorku i Savoy, cebule na wiklinie, co są perłami ziemi, grzybów kobiałki, a i dynie i wykę tłustą i jęczmień i rzepę i czerwone zielone żółte brunatne różowe słodkie wielkie kwaśne dojrzałe jabłkowite jabłka, truskawek kobiałki, agrestu przetaki, soczystego i przezroczystego, truskawki godne książąt i owoc maliny wprost z krzewu.

Ostrzegam go, powiada on, i po dwakroć go ostrzegam. Wynijdź tu, Geraghty, co rozbojem krwawym trudnisz się na wzgórzach i w dolinie!

Tędy także kierują się tryków stada nieprzeliczone, owiec gęstowłosych i baranów wystrzyżonych i jagniąt i gęsi na rżysku wykarmionych, wołów młodych i rżących klaczy i cieląt znaczonych i owiec na strzyże i owiec tucznych i najlepszych krów cielných od Cuffe'a i sztuk rzeźnych i macior i wieprzy ku wędzeniu, a także wszelakie rodzaje najprzedniejszych świń i jałówek z Angus, byczków bezrogich o nieposzlakowanym pochodzeniu, a z nimi najwyborniejsze nagrodzone krowy mleczne i woły: i nieustannie rozbrzmiewa tam racic stąpanie gęganie porykiwanie muczenie beczenie postękiwanie dudnienie chrząkanie chrupanie przeżuwanie o-wiec i świń i trzody o ciężkich racicach z pastwisk Lush, Rush i Carrickmines, ze zroszonych potokami dolin Thomond, z niedostępnych mokradeł M'Gillicuddy i z dumnego niezmierzonego Shannon i z łagodnych zboczy siedliska rasy Kiar o wymionach nabrzmiątych przeobfitością mleka, a wreszcie nadciągają faski masła i podpuszczki serowe; beczki serwatki i ćwierci jagniąt i korce zbóż i jaja wrzecionowate secinami nieprzeliczonymi wielkości najrozmaitszej, barwy agatu i ambry.

Więc skręciliśmy do Barney Kiernana i jasne, że był tam Obywatel, siedział w kącie i gawędził sam z sobą i z tym pieprzonym parszywym kundlem Garryowe-nem, czekając, jaki trunek mu niebo ześle.

- Oto jest, powiadam, zatrzaśnięty w dziupli z dzbanem i papierami i działający dla sprawy.

Pieprzony kundel zawarczał tak, że ciarki by cię przeszły. Byłby to wielce miłosierny uczynek, gdyby ktoś odebrał życie temu pieprzonemu psu. Opowiadali mi, że w Santry zeżał prawie całe portki policjantowi, który przyszedł raz z niebieskim papierkiem zakazującym wyszynku.

- Stój, hasło, powiada on.

- W porządku, Obywatelu, powiada Joe. Przyjaciele.

- Przejdźcie, przyjaciele, powiada on. Później przetarł ręką oko i powiada:

- Cóż sądzisz o obecnych czasach?

Jako rozbójnik albo Rory z Gór. Ale, na Boga, Joe sprostął sytuacji.

- Myślę, że ceny na rynku rosną, powiada, przesuwając dłonią w dół po rozporku.

Na to Obywatel klepie się łapą po kolanie i powiada:

- Cudze wojny są przyczyną tego.

I powiada Joe, wsadzając paluch do kieszeni:

- To przez Rosjan, którzy pragną tyranii.

- Arrah! Skończ z tym pieprzeniem od rzeczy, Joe, powiadam, mam pragnienie, którego bym nie sprzedał za pół korony.

- Nazwij je. Obywatelu, powiada Joe.

- Wino ojcyste, powiada on.

- A ty, powiada Joe.

- Ditto, żeby cię zabitto, powiadam.

- Trzy kwaterki, Terry, powiada Joe. A jak tam stare serduszko. Obywatelu?

- Nigdy nie było zdrowsze, a chara, powiada on. Co, Garry? Czy zwyciężymy?

Hę?

I mówiąc to chwycił pieprzonego starego brytana za skórę na karku i, na Jezusa, o mało go nie zadusił.

Owa postać spoczywająca na ogromnym głazie u stóp krągłej wieżycy był to rozłożystoramienny szerokopierśny krzepkoczłony szczerooki czerwonołosy gęs-topiegi rozwianobrody szerokousty wielkonosy długogłowy niskogłosy gołoudy mocarnoręki włochatonogi rumianolicy węźlastociosany bohater. Od ramienia do ramienia mierzył wiele łokci, a podobne kamiennym pagórom kolana okryte były, jako i insze widne oku członki ciała jego, włosiem szczeciniastym, podobnym barwą i twardością janowcowi górskiemu (*Ulex Europeus*). Szerokoskrzydłe nozdrza, z których wyrastała szczecina tejże brunatnej barwy, tak były przestronne, iż w ich piwnicznym mroku skowronek mógłby z łatwością uwić gniazdo. Oczy, w których łza i uśmiech walczyły wiekuiście o królowanie, wielkie były jako wyrośnięte kalafiory. Potężny prąd ciepłego tchnienia buchał w miarowych odstępach czasu z pieczary ust jego, podczas gdy powtarzające się echo niosło rozgłośne silne zdrowe uderzenia potężnego serca, które dudnieniem grzmiącym wprawiało ziemię, szczyt wyniosłej wieżycy i wynioslejsze jeszcze niżli ona ściany jaskini w drżenie i kołysanie.

Odziany był w długą pozbawioną rękawów szatę ze skóry świeżo ubitego wołu, sięgającą mu kolan niby suknia nieobcisła, opasana pośrodku słomą przeplecioną z sitowiem. Pod nią miał portki ze skóry jeleniej, grubo żyłą baranią zszyte. Dolne kończyny kryły się w wysokich nogawicach balbriggańskich, zabarwionych purpurą z wodorostów, a stopy obciskały ciżmy z solonej krowiej skóry wyprawionej, zesnurowane żyłą z tchawicy onegoż bydłęcia. U pasa

zwisał mu kamieni morskich sznur, kołysały się one przy poruszeniu najmniejszym okazałej jego postaci, a były na nich wyryte z nieokrzesaną, wszelako uderzającą zmyślnością wizerunki plemienne mnogich dawnych bohaterów irlandzkich i bohaterek, Cuchulina, Conna od stu bitew, Nialla od dziewięciu zakładników, Briana z Kincory, Ardriego Malachi, Arta MacMurrigha, Shane'a o'Neilla, ojca Johna Murphy, Owena Roe, Patricka Sarsfielda, Czerwonego Hugh'a o'Donnella, Czerwonego Jima MacDer-motta, Soggartha Eighana o'Growneya, Michaela Dwiera, Francy Higginsa, Henry Joy M'Crackena, Goliata, Horace Wheatleya, Thomasa Conneffa, Peg Woffington, Kowala Wiejskiego, Kapitana Księżycowego, Kapitana Boycotta, Dantego Alighieri, Krzysztofa Kolumba, św. Fursy, św. Brendana, marszałka Mac Mahona, Karola Wielkiego, Theobalda Wolfe Tone'a, Matki Machabeuszów, Ostatniego Mohikanina, Róży Kastyliei, Pośła z Galway, Człowieka, Który Rozbił Bank w Monte Carlo, Człowieka w Pułapce, Kobiety, Która Nie, Beniamina Franklina, Napoleona Bonaparte, Johna L. Sullivana, Kleopatry, Savourneen Deelish, Juliusza Cezara, Paracelsusa, sir Thomasa Liptona, Wilhelma Tella, Michała Anioła, Hayesa, Mahometa, Narzeczonej z Lammermooru, Piotra Eremity, Czarnego Piotrusia, Ciemnej Rozalindy. Patricka W. Shakespeare'a, Briana Konfucjusza, Murtagha Gutenberga, Patricio Velasqueza, kapitana Nemo, Tristana i Izoldy, pierwszego księcia Walii, Thomasa Cooka i Syna, Dzielnego Żołnierzyka, Arrah Na Pogue, Dicka Turpina, Ludwiga Beethovena, Dziewczyny o Lnianych Włosach, Waddlera Heały, Angusa Culdee, Doiły Mount, Sidney Paradę, Ben Howth, Valentine Greatrakes, Adama i Ewy, Arthura Wellesleya, Bossa Crokera, Herodota, Czarnego Luda, Gautamy Buddy, Lady Godivy, Lili z Killarney, Balora o Złym Oku, królowej Saby, Acky Nagle'a, Joe Nagle'a, Alessandra Volty, Jeremiaha o'Donovana Rossa, Don Philipa o'Sullivana Beare. Włócznia z ciosanego granitu spoczywała przy nim, a u stóp leżała dzika bestia z rodzaju psiego wywodząca się, której chrapliwe tchnienie wieściło, że jest w śnie niespokojnym pogrążona, a przypuszczenie to potwierdzał warkot ochrypty i poruszenia wielce gwałtowne, uciszane od czasu do czasu uspokajającymi razami mocarnej maczugi pana, wyciosanej surowo z paleolitycznego głazu.

Więc Terry podał trzy kwaterki, które Joe postawił i na Boga, małym nie ośleptł, kiedym zobaczył, że wyciąga funta. Naprawdę, jak tu do was mówię. Prześlicznego suwerena.

- Więcej jest tego tam, skąd to nadeszło, powiada on.
- Czyś obrabował puszkę na biednych, Joe? powiadam.
- Zarobione w pocie czoła, powiada Joe. To ten roztropny gość dał mi cynk.
- Widziałem go, zanim ciebie spotkałem, powiadam, wałęsał się po Pili Lane i Greek Street, przesuając tym swoim rybem oczkiem, jakby chciał wszystko naraz zrachować.

Któż to podąża przez krainę Michana, okryty zbroicą czarną? o'Bloom, syn Rory'ego: on ci to jest. I nie zna trwogi ów syn Rory'ego: gdyż duszę ma roztrobną.

- Dla tej starej baby z Prince's Street, powiada Obywatel, dla tego subsydiowanego organu. Irlandzka frakcja w Izbie. A spójrzcie na tę przekłętą szmatę, powiada on. Spójrzcie na to, powiada. Niepodległy Irlandczyk, proszę was, założony przez Parnella, aby był przyjacielem człowieka pracy. Posłuchaj o narodzinach i zgonach w Irlandczyku Każdym Dla Irlandii Niepodległej, i o wyrażamy wdzięczność, i o małżeństwach.

I zaczyna je odczytywać:

- Gordon, Barnfield Crescent, Exeter; Redmayne w Iffley, w Saint Anne's on the Sea, żona Williama T. Remayne'a, powiła syna. Cóż wy na to, hę? Wright i Flint, Vincent i Gillett z Rothą Marion, córką Rosy i zmarłego George'a Alfreda Gilletta, 179 Ciapham Road, Stockwell, Playwood i Ridsdale, u świętego Judy w Kensington, przez przewielebnego drą Forresta, dziekana Worcester, hę? Zgony. Bristow, w Whitehall Lane, Londyn: Carr, Stoke Newington, na nieżyty żołądka i chorobę serca: Cockburn, w Moat House, Chepstow...

- Znam tego faceta, powiada Joe, z gorzkich doświadczeń.

- Cockburn. Dimsey, żona Davida Dimsey, byłego urzędnika admiralicji:

Miller, Tottenham, w wieku lat osiemdziesięciu pięciu: Welsh, 12 czerwca, 35 Canning Street, Liverpool, Isabella Helen. No, i co to ma wspólnego z narodową prasą, mój synaczkuciemniaczku? Co ma wspólnego z Martinem Murphy, sezonowym robotnikiem z Bantry?

- Ach, cóż tam, powiada Joe, podsuwając trunek. Bogu niech będą dzięki, że nas wyprzedzili. Wypij, Obywatelu.

- Uczynię to, powiada on, czcigodna osobo.

- Zdrowie, Joe, powiadam. Jednym łykiem.

Ach! Och! Nie gadajcie! Byłem pijany z tęsknoty za kwaterką. Świadcę się Bogiem, że słyszałem, jak chlupnęła o dno mojego żołądka.

Wszelako zważcie, że gdy spełniali ową czarę uciechy, wbiegł chyżo posłaniec bogompodobny, promienny jako oko niebios, za nim przeszedł starzec o postawie i kroku szlachetnym, niosący święte praw zwoje, a przy nim dama, małżonka jego, niewiasta nieporównanego rodu, najnadobniejsza pośród ludu swego.

Mały Alf Bergan wpadł w drzwi i ukrył się za przepierzeniem Barneya, skulony ze śmiechu. A któż to siedział w kącie, kogo nie zauważyłem, pijany, pochrapujący, nie widzący świata, jak nie sam Bob Doran. Nie wiedziałem, co się stało, bo Alf ciągle wskazywał drzwi. I na Boga, któż by to mógł być, jak nie ten pieprzony stary błazen Denis Breen, w kąpielowych pantoflach, z dwoma pieprzonymi ogromnymi księgami pod pachą i żoną spieszącą za nim co żywo, biedną, nieszczęsną kobieciną, drepczącą za nim jak pudel. Myślałem, że Alf się rozpęknie.

- Popatrzcie na niego, powiada. Breen. Łazi po całym Dublinie z pocztówką, na której ktoś mu wypisał kła. pa.: kłapa, chce wytoczyć spra... I zwinął się ze śmiechu.

- Wytoczyć co? powiadam.

- Sprawę o zniesławienie, powiada on, na dziesięć tysięcy funtów.

- O, do diabła! powiadam.

Pieprzony kundel zaczął tak warczeć, że ciarki by cię przeszły, pomyślał pewnie, że coś się zaczyna dziać, ale Obywatel dał mu kopniaka między żebra.

- Bi i dho husht, powiada on.

- Kto? powiada Joe.

- Breen, powiada Alf. Był u Johna Henry Mentona, potem poszedł do Collisa i Warda, a potem spotkał go Tom Rochford i posłał dla kawału do zastępcy szeryfa. O Boże, rozboleło mnie ze śmiechu. Kła. pa.: kłapa. Długi facet spojrzał na niego, jakby chciał go wsadzić do paki, a teraz ten pieprzony stary wariat idzie na Green Street, żeby dać znać policji.

- Kiedy Długi John powiesi tego faceta w Mountjoy? powiada Joe.

- Bergan, powiada Bob Doran budząc się. Czy to Alf Bergan?

- Tak, powiada Alf. Powiesi? Zaczekajcie, coś wam pokażę. Hej, Terry, daj nam po kufelku. Ten przekłęty stary dureń! Dziesięć tysięcy funtów. Trzeba było widzieć wzrok Długiego Johna. Kła. pa. ...

I zaczął się śmiać.

- Z kogo się śmiesz? powiada Bob Doran. Czy to Bergan?

- Pospiesz się, Terry, mój chłopcze.

Usłyszał go Terencjusz o'Ryan i, nie zwlekając, podał mu puchar kryształowy, wypełniony po brzegi piwem pianistym, ciemnym jako heban, które szlachetni bracia bliźni Bungiveagh i Bungardiiiaun warzą wiekuiście w swych boskich kadziach, przemysłni jako synowie nieśmiertelnej Ledy. A gromadzą oni soczyste jagody chmielu i ugniatają je i przesiewają i tłuką i warzą je a mieszają z kwaśnymi sokami, za czym zawieszają moszcz nad ogniem świętym i nie ustają dniem ni nocą w trudzie swym, owi przemysłni bracia, kadzią władający.

A wówczas ty, Terencjuszu, dworny jako ci twe urodzenie nakazywało, uniosłeś ów nektar i podałeś puchar kryształowy owemu, który pragnął, o kwiecie rycerstwa urodą nieśmiertelnym podobny.

Wszelako młody o'Berganów naczelnik, ścierpieć nie mogąc, by go prześcignięto w szczodrości, ruchem wdzięcznym ofiarował monetę z brązu najkosztowniejszego. Wryty na

niej przemyślną sztuką snycerską wizerunek królowej w szatach monarszych, latorośli domu Brunswick, a imię jej Wiktoria, z łaski bożej najłaskawsza Monarchini Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii i Irlandii i dominiów brytyjskich poza morzem, obrończyni wiary, cesarzowa Indii, jej to berło zwycięskie włada ponad mnogimi ludami, uwielbiona przez nie, gdyż czci ją i miłuje jednak, od miejsca onego, gdzie słońce wschodzi, aż do onego, gdzie słońce zachodzi, biały, ciemny, czerwonoskóry i Etiopczyk.

- Czemu ten przeklęty mason, powiada Obywatel, łązi tam i z powrotem na zewnątrz?

- Co takiego? powiada Joe.

- Masz, powiada Alf, podając forszę. Jeśli mowa o wieszaniu, pokażę wam coś, czegoście jeszcze nie widzieli. Listy kata. Popatrzcie na to. I wyciąga z kieszeni paczkę listów i kopert.

- Nabierasz nas? powiadam.

- Najświętsze słowo, powiada Alf. Przeczytaj je. Więc Joe wziął listy.

- Z kogo się śmiejecie? powiada Bob Doran. Zrozumiałem, że może być draka. Bob to dziwny facet, kiedy wleje w siebie za wiele porteru; więc powiadam, żeby ich zagadać:

- Nie wiesz, Alf, jak się miewa Willy Murray?

- Nie wiem, powiada Alf. Widziałem go przed chwilą na Capel Street z Paddy Dignamem. Ale biegłem za tym...

- Tyś, co? powiada Joe, upuszczając listy. Z kim?

- Z Dignamem, powiada Alf.

- Z Paddym? powiada Joe.

- Tak, powiada Alf. A co?

- Nie wiesz, że umarł? powiada Joe.

- Paddy Dignam umarł? powiada Alf.

- Tak, powiada Joe.

- Ale na pewno widziałem go pięć minut temu, powiada Alf, tak jak was widzę.

- Kto umarł? powiada Bob Doran.

- Musiałeś widzieć jego ducha, powiada Joe. Niech nas Bóg zachowa od złego.

- Co? powiada Alf. Dobry Jezu, niecałe pięć... Co?... a Willy Murray był z nim, stali przed jaksiętonazywa... Co? Dignam umarł?

- Co o Dignamie? powiada Bob Doran. Kto mówi o?...
- Umarł! powiada Alf. Nie bardziej umarł niż ty.
- Możliwe, powiada Joe. Ale mimo to pozwolili sobie pochować go dziś rano.
- Paddy'ego? powiada Alf.
- Tak, powiada Joe. Spłacił dług naturze, niech Bóg się nad nim ulituje.
- Dobry Jezu! powiada Alf.

Na Boga, można powiedzieć, że go oszołomiło.

W ciemności dał się uczuć trzepot dłoni ducha, a gdy skierowano modlitwę tantras ku właściwym sferom, nikły, lecz wzmagający się blask rubinowej światłości jał pojawiać się stopniowo, była to zjawy eterycznego dwoistego istnienia, podobna żywej istocie dzięki życionośnym promieniom, które były z twarzy i szczytu głowy. Nawiązano łączność przez przysadkę mózgową, a także z pomocą płomiennopo-marańczowych i szkarłatnych promieni emanujących z okolicy sakralnej i splotu słonecznego. Zapytany o swe ziemskie imię i miejsce pobytu w niebiosach, duch oświadczył, że znajduje się teraz na ścieżce pralayi, czyli powrotu, lecz nadal jeszcze przebywa w niższych rejonach astralnych, w rękach pewnych krwiożerczych istot, które poddają go próbom. W odpowiedzi na pytanie dotyczące pierwszych wrażeń za największą z granic, oświadczył, że początkowo dostrzegał wszystko przyćmione jak w lustrze, lecz że przed tymi, którzy odeszli dalej, otwierają się najszersze możliwości rozwoju atmicznego. Wypytywany, czy życie tam przypomina nasz byt ziemski, oświadczył, że słyszał od istot o wyżej rozwiniętym duchu o siedzibach ich wyposażonych we wszystkie najnowocześniejsze wygody domowe, jak telefana, windana, zimciepwada, wataklazat, oraz że najwyżsi adepci pławiają się w falach najczystszej rozkoszy. Gdy poprosił o kwaterek maślanki, wręczono mu ją i najwyraźniej przyniosła ulgę. Zapytany, czy nie ma żadnego zlecenia dla żyjących, wezwał wszystkich, którzy znajdują się jeszcze po gorszej stronie Maya, aby uznali prawdziwą drogę, gdyż stwierdzono w dewanicznych kręgach, że Mars i Jupiter wylegli dla czynienia zła na wschodnim krańcu, gdzie władza Baran. Zadano wówczas pytanie, czy zmarły nie posiada żadnych specjalnych pragnień, a odpowiedź brzmiała:

Pozdrawiamy was, przyjaciele ziemscy, którzy nadal zamieszkujecie w dalach. Uważajcie, żeby K. C. nie usypał tego za wysoko. Upewniono się, że wzmianka ta dotyczyła pana Corneliusa Keliehera, kierownika znanego przedsiębiorstwa pogrzebowego panów H. J. o'Neill, osobistego przyjaciela zmarłego, który był odpowiedzialny za przeprowadzenie uroczystości pogrzebowych. Przed odejściem poprosił, aby powiedziano jego drogiemu synowi Patsy, że ten drugi but, którego poszukuje, znajduje się pod komodą w alkwie i że para tych butów winna być oddana Cullenowi, tylko do podzelowania, ponieważ obcasy są jeszcze dobre.

Stwierdził, że zakłócało to wielce spokój jego umysłu w innych regionach, i usilnie nalegał, aby oznajmiono tę jego prośbę.

Zapewniono, że sprawa zostanie dopilnowana, i przyjęto do wiadomości, że go to zadowala.

Opuścił legowiska śmiertelnych: o'Dignam, słońce naszych poranków. Śmigło-stopy mknął po paprociach: Patrick promiennego czoła. Zawodź, Banbo, wiatrem twym: o, zawodź, oceanie, twą wichurą.

- Znowu jest, powiada Obywatel, wyglądając.

- Kto? powiadam.

- Bloom, powiada on. Chodzi na warcie, tam i z powrotem, przez ostatnie dziesięć minut.

I, na Boga, zobaczyłem jego fizjog zerkającą do środka, a potem znów znikła.

Mały Alf jakby dostał w ciemię. Naprawdę.

- Dobry Jezu! powiada. Mógłbym przysiąc, że to on. I powiada Bob Doran, z czapką zsuniętą na tył łepetyny, najgorszy bandzior w Dublinie, kiedy sobie podpije:

- Kto powiedział, że Jezus jest dobry?

- Przestraszam bardzo, powiada Alf.

- Czy Jezus jest dobry, powiada Bob Doran, jeżeli zabrał biednego małego Willy Dignama?

- Ach, cóż, powiada Alf, starając się to jakoś przeskoczyć. Pozbył się już wszystkich kłopotów.

Ale Bob Doran wrzeszczy na niego.

- Jest pieprzonym łobuzem, powiadam, jeżeli zabrał biednego małego Willy Dignama.

Terry podszedł i mrugnął na niego, żeby był cicho, że nie chcą mieć takiego gadania w porządnym zakładzie. A Bob Doran zaczyna chlipać za Paddym Digna-mem, mówię wam prawdę, jak tu jesteście.

- Najlepszy człowiek, powiada pociągając nosem, najlepszy, najczystszy charakter.

Mało brakuje, żeby ci łzę wycisnął z oka. Pieprząc od rzeczy. Lepiej by dla niego było, żeby poszedł do domu, do tej małej lunatycznej kurewki Mooney, z którą się ożenił, córki podpolicjanta. Matka trzymała burdel przy Hardwicke Street i włóczyła się po piętach, jak mi opowiadał Bantam Lyons, stawiała tam o drugiej nad ranem bez szmatki na ciele, wystawiając na widok swą osobę każdemu wchodzącemu, wstęp wolny i bez kolejki.

- Najszlachetniejszy, najuczciwszy, powiada on. I odszedł, biedny mały Willy, biedny mały Paddy Dignam.

A w żalobie pogrążony i z sercem ciężkim oplakiwał unicestwienie owego promyka niebios.

Stary Garryowen znowu zaczął warczeć na Blooma, który kręcił się przed drzwiami wejściowymi.

- Wejdz pan, wlaż pan, nie zje pana, powiada Obywatel. Więc Bloom wślizguje się, zerkając tym swoim rybim oczkiem na psa, i pyta Terry'ego, czy był Martin Cunningham.

- O, Chryste M'Keown, powiada Joe, odczytując jeden z listów. Posłuchajcie tego, dobrze?

I zaczyna czytać:

7, Hunter Street, Liverpool. Do Wysokiego Szeryfa Dublina

w Dublinie.

Najczcigodniejszy panie pokornie polecam moje usługi we wyżej wzmiankowanym bolesnem przypadku powiesiłem Joe Ganna w więzieniu Bootle 12 lutego 1900 i powiesiłem...

- Pokaż nam to, Joe, powiadam.

- ...żołnierza Arthura Chace za niczemne zabójstwo Jessie Tilsit w więzieniu Pentonville i byłem pomocnikiem gdy...

- Jezu, powiadam.

- ...Billington przeprowadzał egzekucję paskutnego mordercy Toada Smitha...

Obywatel chciał chwycić list.

- Wolnego, powiada Joe, znam specjalny sposób jak założyć pętlę żeby nie mógł mieć nadziei na ulaskawienie i kreślę się najczcigodniejszy panie moje warunki wynoszą pięć gwinei.

H. Rumbold, Mistrz Balwierski.

- A to barbarzyński pieprzony barbarzyńca, powiada Obywatel.

- I brudna nikczemna szmata, powiada Joe. Alf, weź to precz sprzed moich oczu, do diabła. Hej, Bloom, powiada, czego się napijesz?

Więc zaczęli spierać się. Bloom mówił, że nie może i mój Boże, i przepraszał, żeby bez urazy, i tak dalej, a potem powiedział, że przyjmie tylko cygarko. Na Boga, jest z niego roztropny gość, szkoda gadać.

- Terry, podaj nam jeden z tych twoich prima śmierzuchów, powiada Joe. A Alf właśnie opowiadał nam, że jeden z tych facetów wysyłał żałobne kartki z czarną obwódką.

- Wszyscy oni są balwierzami, powiada on, z czarnego kraju i powiesiliby własnych ojców za pięć funtów i zwrot kosztów podróży na rękę.

I opowiedział nam, że dwóch facetów czeka na dole, żeby go pociągnąć za nogi, kiedy zawiśnie, i zadławić uczciwie, a później tną sznur i sprzedają kawałki po parę szylingów od łebka.

Mroczną krainę zamieszkują mściwi rycerze brzytwy. Swe śmiercionośne zwoje dzierżą: o tak, i sprowadzają do Erebu wszelakiego człeka, który czyn krwawy spełnił, gdyż nie ścierpię ja tego nijak, jako rzecz Pan.

Więc zaczęli gadać o karze najwyższej i oczywiście, Bloom wyskakuje z dlaczego i z ponieważ i z całą rybologią tej sprawy, a stare psisko obwąchuje go przez cały czas, powiadają, że ci żydkowie wydają dziwną woń, a psy to czują, nie wiem, czy to taki zapach odstraszaający, i tak dalej i tak dalej.

- Na jedno nie działają te odstraszaające skutki, powiada Alf.

- Na co? powiada Joe.

- Na narząd tego biedaczyny, którego wieszają, powiada Alf.

- Naprawdę? powiada Joe.

- Bóg mi świadkiem, powiada Alf. Słyszałem to od naczelnika straży więziennej, który był w Kilmainham, kiedy wieszali Joe Brady'ego z Niezwycięzonych. Mówił mi, że kiedy go odcięli po wszystkim, sterczało im to przed oczyma jak pogrzebacz.

- Najsilniejsze z uczuć, które zwycięża śmierć, powiada Joe, jak to ktoś powiedział.

- To się da wytłumaczyć naukowo, powiada Bloom. To tylko naturalny fenomen, rozumiecie, ze względu na...

I zaczyna mleć ozorem o fenomenach i nauce, o tym fenomenie i tamtym fenomenie.

Znakomity uczony Herr Professor Luitpold Blumenduft przedłożył świadectwa medyczne na dowód, że gwałtowne pęknięcie kręgów szyjnych i następujące jako skutek przerwanie rdzenia wytwarzają u osobnika ludzkiego zgodnie z przyjętymi zasadami wiedzy medycznej gwałtowny bodziec zwojowy w ośrodkach nerwowych, powodując nagłe nabrzmiewanie ciałek w corpora cavernosa w sposób, który ułatwia natychmiastowy dopływ krwi do części ludzkiego ciała znanej pod nazwą penis, czyli organ męski, i daje w rezultacie fenomen, który określono naukowo jako chorobliwą pionowo-poziomo filorozrodczą erekcję in articulo mortis per diminutionem capitis.

Więc oczywiście Obywatel czekał tylko na to słówko i zaczyna głądzić o Niezwycięzonych, o starej gwardii, o ludziach sześćdziesiątego siódmego roku i kto się lęka mówić o dziewięćdziesiątym ósmym, a Joe z nim o tych wszystkich facetach, których z wyroku sądu wojennego powieszono, poćwiartowano albo wywieziono dla sprawy, i o nowej Irlandii i o nowym tym, tamtym i owym. Jeżeli już mowa o nowej Irlandii, to szczerze mówiąc, mógłby

sobie sprawić nowego psa. Parszywa żarłoczna bestia węszy i charczy dookoła i drapiąc się po swoich parchach podłazi do Boba Dorana, który postawił Alfowi połówkę, podlizując się, żeby byle co załapać. Więc oczywiście Bob Doran zaczyna odstawiać pieprzonego durnia:

- Daj łapkę! Daj łapkę, piesku! Dobry stary piesku. Daj tu łapkę! Daj łapkę!

Arrah! Pieprzony kres by załapał od tej łapy, ale Alf podtrzymał go, żeby nie spadł z pieprzonego stołka na tego pieprzonego psa, kiedy zaczął wygadywać bzdury o wychowaniu dobroci i rasowym psie i inteligentnym psie: mógł człowieka od tego szlag trafić. Potem zaczyna wyskrobywać okruchy starych herbatników z dna puszek sucharków Jacoba, którą kazał Terry'emu przynieść. Boże, łyknął je jak muchę i wywiesił jęzor na stopę z pyska. Zeżarłby nawet puszkę, pieprzony, wygłodniały kundel.

A Obywatel i Bloom spierali się o braci Sheares, o Wolfe Tone'a na Arbour Hill, o Roberta Emmeta i poległ za ojczyznę, o wzruszający wiersz Tommy Moore'a o Sarze Curran, a jest ona z dala od kraju. A Bloom, oczywiście, z tym cwaniackim cygarem, jakby chciał zadawać szyku tą swoją opasłą gębą. Fenomen! Ta góra tłuszczu, z którą się ożenił, to też ładny stary fenomen z dupskiem jak kręgielnia. Szczyl Burkę opowiadał mi o czasach, kiedy mieszkali w City Arms, była tam jedna starucha z na pół sfiksowanym siostrzeńcem, a Bloom starał się dotrzeć do jej serduszka, nadskakując i grając z nią w bezika, żeby mu zapisała trochę forsy w testamencie, i nie jadał mięsa w piątek, bo starucha ciągle chorowała na żołądek, i zabierał tego jej głupka na spacer. I pewnego dnia poszedł z nim w Dublin na obchód pasterski i nie ustał, póki nie przyprowadził go do domu pijanego jak bela, i powiedział, że uczynił to, aby nauczyć go szkodliwości alkoholu, niech mnie gęś kopnie, jeśli te trzy baby omal go nie rozdarły, dziwne, co, ta stara, żona Blooma i pani o'Dowd, właścicielka hotelu. Jezu, alem się uśmieł, kiedy Szczyl Burkę zaczął naśladować ich wyrzekania i Blooma z jego ale czy nie rozumiecie? i ale z drugiej strony. Chociaż mogę ręczyć, że to prawda, co mi opowiadali, że ten głupek pracował potem u Powera, fabrykanta spirytualiów przy Cope Street, i wracał pięć razy w tygodniu dorożką, nie mogąc utrzymać się na nogach po skosztowaniu wszystkich próbek w tym pieprzonym zakładzie. Fenomen!

- Pamięć o zmarłych, powiada Obywatel, unosząc swą kwaterkę i wpatrując się w Blooma.

- Tak, tak, powiada Joe.

- Nie chwyta pan mego punktu widzenia, powiada Bloom. Chcę powiedzieć,

- Sinn Fein! powiada Obywatel. Sinn fein amhain! Przyjaciół mych u boku mam, a wróg mój jest przede mną.

Ostatnie pożegnanie było nadzwyczaj wzruszające. Z pobliskich i dalekich dzwonnicy dzwony pogrzebowe biły nieustannie, gdy wokół posępnego szafotu przetaczał się złowroźny warkot stu okrytych krepą bębnow, przerywany głębokim dudnieniem dział. Ogłuszające uderzenia gromów i oślepiający blask błyskawic, które oświeślały przerażającą

scenerię, świadczyły, że artyleria niebios użyczyła nadprzyrodzonego splendoru i tak już przeraźliwemu widowisku. Ulewny deszcz lał się z otwartych śluz gniewnego nieba na obnażone głowy zebranych tłumów, liczących według najskromniejszego obrachunku około pięciuset tysięcy osób. Oddział Dublińskiej Miejskiej Policji dowodzony osobiście przez Naczelnego Komisarza utrzymywał porządek wśród szerokich rzesz, którym dęta orkiestra z York Street skracala czas, zachwycająco wykonując na swych czernią okrytych instrumentach nieporównaną melodię, umiłowaną przez nas od kołyski, dzieło żalosnej muzy Speranzy. Sprowadzono specjalne pospieszne pociągi wycieczkowe i wyścietane omnibusy dla wygody naszych krewnych z prowincji, którzy przybyli nader licznie. Wielką uciechę spowodowali ulubieni śpiewacy uliczni Dublina L-n-h-n i M-ll-g-n, którzy odśpiewali W tę noc, nim Larry zawisnął na swój zwykły, wywołujący wesołość sposób. Nasi nieporównani dwaj żartownisie uzyskali olbrzymi popyt na swe ulotne pisemka pośród miłośników rodzaju komediowego i nikt z tych, którzy piastują w sercu sympatię dla prawdziwego, wyzutego z wulgarności, irlandzkiego żartu, nie będzie im miał za złe ich ciężko zarobionych pensów. Działwa z Przytułku dla Dziewcząt i Chłopców, która wypełniła okna wychodzące na plac, uszczęśliwiona była tą nieoczekiwaną dodatkową rozrywką, a słowa uznania należą się Siostron Mniejszym od Biedaków za ich wyśmienity pomysł udostępnienia biednej, pozbawionej rodziców działwie naprawdę pouczającej zabawy. Goście vice-królewscy, pośród których znajdowało się wiele znamienitych dam, zostali uplasowani przez Ich Ekscelencje na najlepszych miejscach wielkiej trybuny, podczas gdy malownicza zagraniczna delegacja, znana pod nazwą Przyjaciół Szmaragdowej Wyspy, została umieszczona na trybunie przeciwległej. Delegacja, obecna w pełnym składzie, złożona była z Commendatore Bacibaci Beninobe-none (na pół sparaliżowanego doyen grupy, którego musiano ulokować na miejscu przy pomocy potężnego parowego dźwigu), Monsieur Pierrepaul Petitepatant, Arcyprącia Vladyszmira Chustkadonosowa, Parchiksięcia Leopolda Rudolpha von Schwanzenbad-Hodenthaler, hrabiny Marhy Viraga Kiaszony Putrapesthi, Hiram Y. Bomboosta, hrabiego Athanatosa K-aramelopulosa, Ali Baby Bakszysz Rahat Łukum Effendiego, Senor Hidalgo Caballero Don Pecadiiio y Palabras y Paternoster de la Malora de la Malaria, Hokopoko Harakiri, Hi Hung Chang, Olafa Squirvissina, Mynheera Tryka van Traka, pana Poleaxe'a Pederasky'ego, Gęśęstrzęś Prhkistr Kratchinabritchisitcha, Herr Hurhausdirektorprasidenta Hansa Chuechli-Steuerli, Nationalgymnasiummuseumsanatoriumundsuspensoriumsordinaryprivatdocentgeneralhist orischspecialprofessordoctora Kriegfrieda Ueberallgemeina. Wszyscy bez wyjątku delegaci określili najmocniejszymi z możliwych heterogenicznych zwrotów barbarzyństwo nie do opisanie, którego mieli stać się świadkami. Gwałtowna sprzeczka (w której wzięli udział wszyscy) wybuchła pośród P. S. W., czy dzień ósmy, czy też dziewiąty marca jest dniem narodzin świętego patrona Irlandii. Podczas argumentacji uciekano się do kuł armatnich, krzywych szabel, bumerangów, garłaczy, garnków z cuchnącą zawartością, tasaków, parasoli, proc, kastetów, worków z piaskiem i łomów żelaznych, a ciosy padały gęsto. Dziecko-policjant, posterunkowy MacFadden, wezwany umyślnym kurierem z Booterstown, szybko przywrócił porządek i wykazując błyskawiczną orientację, zaproponował siedemasty

dzień miesiąca jako rozwiązanie jednak honorowe dla obu współzawodniczących grup. Bystra propozycja dziewięciostopowego olbrzyma natychmiast trafiła do wszystkich i została jednogłośnie przyjęta. Posterunkowy MacFadden otrzymał serdeczne gratulacje od wszystkich P. S. W., z których wielu krwawiło obficie. Gdy wyciągnięto Commendatore Beninobenone spod prezydialnego fotela, jego radca prawny Awocato Pagamimi wyjaśnił, że różnorakie przedmioty ukryte w jego trzydziestu dwu kieszeniach zostały usunięte przezeń podczas bójki z kieszeni młodszych kolegów w nadziei doprowadzenia ich na powrót do zdrowych zmysłów. Przedmioty (pośród których znajdowało się kilkaset damskich i męskich złotych i srebrnych zegarków) zostały natychmiast zwrócone prawowitym właścicielom i zapanowała ogólna harmonia.

Cicho, nieznacznie, Rumbold wstąpił na szafot w niepokalanym porannym stroju, ozdobionym jego ulubionym kwiatem *Gladiolus Cruentus*. Oznajmił swą obecność owym łagodnym rumboldiańskim odkaszlnięciem, które tak wielu próbowało (bez powodzenia) naśladować - krótkim, bolesnym, a jednak tak charakterystycznym dla tego człowieka. Przybycie sławnego na cały świat kata powitane zostało życzliwym rykiem olbrzymiego zgromadzenia, damy z vice-królewskiego orszaku zaczęły powiewać w podnieceniu chusteczkami, podczas gdy bardziej może nawet podnieceni zagraniczni delegaci wiwatowali hałaśliwie, wznosząc pomieszane okrzyki, hoch, banzai, eijenn, zivio, chinchin, polla kronia, hiphip, vive, Allah, pośród których dźwięczne evviva delegata krainy pieśni (wysokie podwójne F, przywodzące na myśl owe przeszywające urocze tony, którymi eunuch Catalani oczarował nasze praprababki) łatwo dawało się odróżnić. Była dokładnie godzina siedemnasta. Przez megafon dano niezwłocznie hasło do modlitwy i w jednej chwili wszystkie głowy obnażyły się, patriarchalne sombrero comendatore'a, które znajduje się w posiadaniu jego rodziny od czasu rewolucji Rienziego, zostało zdjęte przez jego przybocznego doradcę medycznego, drą Pippi. Uczony prałat, który udzielał ostatniej pociechy bohaterskiemu męczennikowi, mającemu ponieść karę śmierci, okazując wielce chrześcijańskiego ducha ukląkł w kałuży wody deszczowej, okrywszy siwą głowę sutanną, i wzniosł do stóp Tronu Łaski gorące modły błagalne. Obok kłody tkwiła nieruchoma, posępna postać kata z obliczem ukrytym w dziesięciogalonowym garnku przedziurawionym w dwóch miejscach otworami, spoza których wściekle lśniły jego oczy. W oczekiwaniu na złowrogi znak wypróbowywał ostrze straszliwej broni, pociągając nim po swym wężlastym przedramieniu lub odcinając szybko łby owcom, których stado przywiedli wielbiciele jego przerażającego, lecz niezbędnego urzędu. W pobliżu, na foremnym mahoniowym stole leżały w pięknym porządku: nóż do ćwiartowania i różne doskonałe wyostrzone narzędzia do patroszenia (specjalnie dostarczone ze znanej na cały świat firmy panów Johna Rounda i Synów w Sheffield, fabrykującej sztucce), terakotowa patelnia do pomieszczenia dwunastnicy, grubego jelita, ślepej kiszki, wyrostka robaczkowego etc., gdy zostaną szczęśliwie wyrwane, a także dwa podręczne dzbany mleczne, przeznaczone do zebrania najdrogocenniejszej krwi najdrogocen-niejszej ofiary. Administrator połączonego przytułku dla psów i kotów oczekiwał napełnienia tych dzbanów, aby przewieźć je do owej dobroczynej instytucji. Doskonały posiłek, składający się z płatów wędzonki i jajek,

mistrzowsko przyrządzonego smażonego befsztyka z cebulką, smakowitych ciepłych śniadaniowych bułeczek i pokrzepiającej herbaty, został troskliwie przygotowany przez władze, aby mógł go spożyć główny aktor tragedii, który, przygotowawszy się na śmierć, znajdował się w doskonałym nastroju i od pierwszej do ostatniej chwili okazywał najżywsze zainteresowanie dla przygotowań, a dając wyraz samozaparcia tak rzadkiemu w naszych czasach, sprostował okolicznościom i wyraził przedśmiertne życzenie (na które natychmiast wyrażono zgodę), aby posiłek ów został podzielony w równych częściach pomiędzy członków Stowarzyszenia Ubogich i Chorych Przykutych do Łoża, w postaci daru na dowód jego szacunku i poważania dla nich. Wzruszenie osiągnęło nęć i non plus ultra, gdy spłoniona oblubienica utorowała sobie drogę przez gęste szeregi patrzących i upadła na muskularną pierś tego, który dla niej miał odejść do wieczności. Bohater otoczył jej wiotki kształt kochającym uściskiem, szepcząc czule Sheilo, ma jedyna. Ośmielona nazwaniem jej po imieniu, jęła namiętnie całować wszystkie dostępne miejsca na jego osobie, których skromność więziennego stroju nie odgradzała od jej zapału. Przysięgła mu, gdy zmieszali słone potoki łez, że będzie czciła jego pamięć, że nigdy nie zapomni swego bohaterskiego chłopca, który poszedł na śmierć z pieśnią na wargach, jak gdyby udając się na zawody hurleyowe na trawie w Clonturk Park. Przywiodła mu znowu na myśl wspomnienia owych szczęśliwych dni radosnego wspólnego dzieciństwa nad brzegami Anny Liffey, które spędzali na niewinnych igraszkach młodości, więc zapominając o strasznym dniu dzisiejszym, wybuchnęli oboje serdecznym śmiechem, a pośród widzów, nie wyłączając wielebnego pasterza, zapanowała ogólna wesołość. Monstrualne audytorium trzęsło się po prostu z uciechy. Lecz natychmiast ogarnął ich smutek i połączyli dłonie po raz ostatni. Świeża ulewa łez lunęła z ich kanalików łzowych, a niezmierzone zbiorowisko ludzkie, poruszone do głębi duszy, wybuchnęło rozziewającym łkaniem, nie najmniej przejęty był sam sędziwy proboszcz. Rośli, silni mężowie, strażnicy pokoju i dobrodusznicy wielkoludowie z Królewskiej Irlandzkiej Policji czynili otwarty użytek ze swych chusteczek i można z pewnością stwierdzić, że żadne oko nie pozostało suche w tym rekordowo wielkim zgromadzeniu. Najbardziej romantyczne wydarzenie nastąpiło, gdy przystojny młody absolwent Oxfordu, znany z rycerskości wobec płci pięknej, wystąpił ku przodowi i okazawszy swą kartę wizytową, książeczkę bankową i drzewo genealogiczne, oświadczył się o rękę nieszczęsnej młodej damy, prosząc, aby wyznaczyła dzień zaślubin, i został natychmiast przyjęty. Wszystkie damy na widowni zostały obdarzone gustownymi okolicznościowymi upominkami w postaci broszek w kształcie trupiej czaszki, ze skrzyżowanymi piszczelami, który to stosowny i szczodry uczynek wywołał nową falę wzruszenia: a gdy dzielny młody Oxfordczyk (noszący, nawiasem mówiąc, jedno z najbardziej czcigodnych nazwisk w historii Albionu) wsunął na palec spłonionej fiancée kosztowny pierścionek zaręczynowy ze szmaragdami ułożonymi w formie czterolistnej koniczyny, podniecenie przekroczyło wszelkie granice. Tak, nawet srogi dowódca żandarmerii, podpułkownik Tompkin-Maxwell ffrenchmullan Tomlinson, który miał nadzór nad przebiegiem tego smutnego wydarzenia, on, który bez zmużenia oka rozerwał na wylotach luf armatnich pokaźną liczbę sepoyów, nawet on nie mógł opanować teraz

wzruszenia. Żelazną rękawicą otarł ukradkową łzę, a uprzywilejowani obywatele, którzy znaleźli się w jego bezpośrednim entourage usłyszeli, jak wyszeptał drżącym półgłosem:

- Niech mnie Bóg skarzę, ta kurewska zdzira to fajna sztuka. A niech mnie. Płakać mi się chce, kiedy patrzę na nią i myślę o mojej starej dzieży, tam w Lime-house.

Więc Obywatel zaczyna gadać o języku irlandzkim i zebraniu stowarzyszenia i o tych półpankach, którzy nie znają mowy ojczystej, a Joe wtrąca się, bo naciął kogoś na funta, a Bloom też kłapie pyskiem, w którym tkwi dwupensowy niedopałek, na który naciągnął Joego, i paple o lidze gaelickiej i o lidze nie stawiających napitków i o pijaństwie, pładze Irlandii. Niestawianie to właśnie to, o co mu chodzi. Boże, pozwoliłby, żebyś lał mu w gardziel, jaki zechcesz, trunek, póki go Pan nie powoła do chwały swojej, ale nie zobaczysz nigdy piany na kufelku, który on ci postawi. Pewnego wieczora poszedłem z koleżką na jeden z ich muzycznych wieczorków, z piosenkami i tańcem moja dziewczyna dziewczyna prościutka jak trzcina jak trzcina i był tam jeden facet z rzucającą się w oczy błękitną wstęgą ligi abstynentów, zdzierający sobie gardło po irlandzku, i kupa jasnowłosych dziewczeczek, roznoszących bezalkoholowe napoje, sprzedających medale, pomarańcze i lemoniadę, i zwietrzałe kruche ciasteczka, na Boga, nie wspominajcie mi więcej o tym sztywnia-ckim przyjęciu. Trzeźwa Irlandia to wolna Irlandia. Potem jakiś staruszek zaczyna dąć w kobzę, a ci wszyscy karawaniarze zaczynają przebierać nogami w takt muzyczki, od której kot by zapłakał. A paru katabasów rzuca oczkiem dookoła pilnując, żeby nikt się nie dobierał do dziewczyn. Cios poniżej pasa, powiadam wam.

Więc jak powiedziałem, to stare psisko, widząc, że w puszcze nic już nie ma, zaczyna myszkować wokół Joego i mnie. O tak, wychowałbym go dobrocią, gdyby był moim psem. Kopałbym go zdrowo, od czasu do czasu, byle nie po oczach.

- Boisz się, że cię ugryzie? powiada drwiąco Obywatel.

- Nie, powiadam. Ale może wziąć moją nogę za latarnię. Więc przywołał psa do siebie.

- Co ci jest, Garry? powiada.

Potem zaczyna go tarmosić i miętosić, i gadać do niego po irlandzku, a stary brytan warczy w odpowiedzi, zupełnie jak duet w operze. W życiu całym nie słyszałeś takiego warkotu, jaki się z nich wydobywał. Ktoś, kto nie ma nic lepszego do roboty, powinien pro bono publice napisać list do gazet o obowiązku noszenia kagańców przez psy. Warczał i charczał z okiem przekrwionym pragnieniem, a z mordy kapą mu wścieklizna.

Wszyscy ci, którzy zainteresowani są szerzeniem ludzkiej kultury pośród niższych zwierząt (a imię ich legion), nie powinni przeoczyć naprawdę wspaniałego pokazu kynantropii danego przez sławnego starego irlandzkiego czerwonołosego wilczura selera, znanego uprzednio pod sobriquet Garryowen, a ostatnio przechrzczonego przez liczny zastęp przyjaciół i znajomych na Owena Garry. Pokaz ów, będący rezultatem lat tresowania

dobrocią i dokładnie przemyślanej systematycznej diety, zawiera pośród innych osiągnięć recytację wierszy. Największy spośród naszych żyjących ekspertów fonetycznych (końmi nie wywleką z nas jego imienia!) poruszył niebo i ziemię w swych wysiłkach dla zaciemnienia i porównania recytowanych wierszy i odkrył, że jest w nich uderzające podobieństwo (nasze podkreślenie kursywą) do runicznej poezji dawnych celtyckich bardów. Mamy na myśli nie tyle owe uroczne pieśni miłosne, z którymi pisarz ukrywający się pod wdzięcznym pseudonimem Kruchej Słodkiej Gałązki zaznajomił świat miłośników książek, lecz raczej (jak wskazuje współpracownik D. O. C. w interesującym artykule opublikowanym przez jeden z wieczornych dzienników) ową surowszą i bardziej osobistą nutę, którą odnajdujemy w satyrycznych płodach sławnego Raftery i Donalda MacConsidine'a, żeby nie wspomnieć o bardziej współczesnym liryku, znajdującym się obecnie w centrum zainteresowania publiczności. Załączamy próbkę, przełożoną na angielski przez wybitnego uczonego, którego nazwiska chwilowo nie wolno nam wyjawiać, choć wierzymy, że czytelnicy nasi uznają pewne wzmianki w tekście za więcej niż wskazówkę. Metryczna budowa psiego oryginału, która przypomina aliteracyjne, izosylabiczne prawa walijskiego englynu, jest nieskończenie bardziej złożona, lecz czytelnicy nasi zgodzą się zapewne, że ducha tej poezji dobrze uchwycono. Może należałoby dodać, że efekt zostanie ogromnie wzmocniony, jeśli wiersz Owena wypowie się powoli i niewyraźnie, tonem sugerującym tłumioną wściekłość.

Niechaj klątwa za klątwa Dzień po dniu, przez dni siedem, Z nienawiścią mą spadnie Na cię, o Barney Kiernan, Wody kropla nie chłodzi Mej żarłocznej odwagi, Płoną kiszki me groźne Krwawym blaskiem Lowry'ego.

Więc kazał Terry'emu przynieść psu trochę wody i klnę się, że chleptanie było słychać na milę dookoła. Joe zapytał go, czy wypije jeszcze jednego.

- Tak, powiada on, a chara, na dowód, że nie żywi urazy. Na Boga, nie jest taki głupi, na jakiego wygląda. Bierze dupę w troki i przenosi ją z baru do baru, z psem starego Giltrapa, pozostawia wszystko twojej godności, pozwalając się żywić i poić płatnikom podatków i spółdzielcom. Poczęstunek dla człowieka i bestii. I powiada Joe:

- Czy mógłbyś tyknąć jeszcze kufelek?

- Czy kaczka umie pływać? powiadam.

- Jeszcze raz to samo, Terry, powiada Joe. Czy na pewno nie wypije pan żadnego orzeźwiającego napoju? powiada.

- Dziękuję, nie, powiada Bloom. Jeśli chodzi o ściśłość, to chciałem tylko spotkać Martina Cunninghama, rozumie pan, w sprawie ubezpieczenia biednego Dignama. Martin prosił mnie, żebym poszedł do niego do domu. Widzicie, on, to znaczy Dignam, zapomniał zawiadomić towarzystwo hipoteczne i wierzyciel hipoteczny nie posiada prawa do odebrania długu z jego polisy.

- Wielkie nieba, powiada Joe śmiejąc się, dobrze byłoby, gdyby usadził starego Shylocka. Więc żona będzie górą, co?

- Cóż, powiada Bloom, to sprawa żony wielbicieli.

- Czyich wielbicieli? powiada Joe.

- Chciałem powiedzieć, żony wierzycieli, powiada Bloom. Potem zmieszał się i zaczyna bredzić o prawie przeciw dłużnikom hipotecznym, jakby był lordem kanclerzem orzekającym w trybunale, o korzyściach płynących dla żony, o tym, że utworzono radę opiekuńczą, ale z drugiej strony, że Dignam winien był Bridgemanowi pieniądze i że jeżeli żona, czyli wdowa, zakwestionuje prawo wierzyciela hipotecznego, aż mi zupełnie pomieszał w głowie tym swoim prawem przeciw dłużnikom hipotecznym. Swego czasu sam miał pieprzone szczęście, że nie dopadło go prawo jako łotrzyka i kanciarza, ale miał przyjaciela w sądzie. Sprzedawał kiermaszowe bilety, czy jak się to nazywa, na Królewsko-Węgierską Uprzywilejowaną Loterię. Szczera prawda, jak was widzę. Och, zaufajcie tylko izraelicie! Królewsko-Węgierską Uprzywilejowaną Szulериа.

Więc Bob Doran podszedł, zataczając się i błagając Blooma, żeby powiedział pani Dignam, że smuci go jej cierpienie i że bardzo zasmucił go pogrzeb, i żeby powiedział jej, że on powiedział i wszyscy, którzy go znali, powiedzieli, że nigdy nie było uczciwszego i lepszego niż biedny mały zmarły Willy, żeby jej to powiedział. Zachłystywał się tym swoim pieprzonym błazeństwem i potrzasał dłonią Blooma, udając tragika, żeby jej powiedział. Daj mi twoją dłoń, braciszku. Ty i ja to dwóch opryszków.

- Zezwól mi pan, rzekł, abym ośmielił się wykorzystać naszą znajomość, która, choć sądzona zwykłą miarą czasu, wydawać by się mogła nikła, lecz że oparta jest, jak ufam i wierzę, na uczuciu wzajemnego szacunku, przeto pozwala mi prosić o wyświadczenie tej przysługi. Jeśli przekroczyłem granice powściągliwości, niechaj szczerść mych uczuć usprawiedliwi mą śmiałość.

- Nie, odrzekł tamten, oceniam w pełni przyczyny rządzące takim postępowaniem i wywiążę się z zadania, które mi pan powierzyłeś, pokrzepiony myślą, że choć smutny to obowiązek, wszelako zaufanie twe osłodzi w pewnej mierze gorycz tego kielicha.

- A więc daj mi twą dłoń, rzekł. Pewien jestem, że dobroć twego serca podyktuje ci, lepiej niż moje niedoskonałe słowa, wyrazy najstosowniejsze, by przekazać wzruszenie, którego ogrom, gdybym dał upust moim uczuciom, pozbawiłby mnie mowy.

I odszedł próbując iść prosto. Zalany o piątej. Któregoś wieczora omal go nie wsadzili, ale Paddy Leonard znał policjanta numer 14 A. Spity na trupa w melinie przy Bride Street po godzinie zamknięcia, barłoczył z dwiema kurew-kami i ich alfonsem, pijąc porter z filiżanek. Udawał Francuza przed kurew-kami, Josepha Manuo, i wygadywał przeciw wierze katolickiej, on, który za młodu służył z opuszczonym oczyma do mszy u Adama i Ewy: kto

napisał Nowy Testament i Stary Testament; pieszcząc i bezczeszcząc. Obie kurewki konały ze śmiechu, przetrząsając" kieszenie temu przekłętemu durniowi, a on rozlewał porter po całym łóżku, a obie kurewki śmiały się, wrzeszczały jedna po drugiej. Jak tam twój testament? Gdzie masz stary testament? Ale akurat Paddy Leonard przechodził tamtędy, powiadam. A później widzi się go w niedzielę z tą żoneczką rozpustnicą, wiercącą kuprem i sunącą w stronę ołtarza środkiem nawy w kościele, w lakierkach, z fiołkami, wymuskana i udająca wielką damę. Siostra Jacka Mooneya. A ta stara prostytutka, jej matka, wynajmowała pokoje parom z ulicy. Boże, jak Jack go wyprostował! Powiedział mu, że jak się nie poprawi, to klnie się na Jezusa, że mu nogi z dupy powyrywa.

Więc Terry przyniósł trzy kwaterki.

- Proszę, powiada Joe, czyniąc honory. Proszę, Obywatelu.
- Slan leat, powiada on.
- Powodzenia, Joe, powiadam. Zdrowie, Obywatelu. Boże, miał już pół gęby w kuflu. Dobrze by się musiało powodzić temu, który by go poił.
- Alf, kto to jest ten długi facet, który kandyduje na burmistrza? powiada Joe.
- Twój przyjaciel, powiada Alf.
- Nannan? powiada Joe. Posełek?
- Nie wymienię żadnych nazwisk, powiada Alf.
- Tak myślałem, powiada Joe. Widziałem go teraz z Williamem Fieldem, członkiem parlamentu, na zebraniu handlarzy bydła.
- Kosmaty lopas, powiada Obywatel, wybuchający wulkan, pieszczoszek wszystkich krajów i bożyszcze swej ojczyzny.

Więc Joe zaczyna opowiadać Obywatelowi o pryszczycy i hodowcach bydła i rozpoczęciu akcji w tej sprawie, a Obywatel posyła ich wszystkich, gdzie trzeba, a Bloom wyłazi z kąpielą chroniącą owce przed świerzbem i z lekarstwem przeciw kaszlowi u cieląt, i z gwarantowanym środkiem na opuchliznę języka. Bo pracował swego czasu w rzeźni końskiej. Pętał się tam z książką i ołówkiem, węsząc łbem i powłócząc nogami, aż mu Joe Cuffe dał kopniaka za to, że otworzył gębę na któregoś z hodowców. Pan Wiemwszystko. Uczyłby prababkę, jak się kury doi. Szczyl Burkę opowiadał mi, że tam w hotelu żona wypłakiwała sobie oczy, a pani o'Dowd spływały strumienie łez po fałdach tłuszczu, którym była dookoła okryta na osiem cali grubo. Nie mogła pierdnąć, bo nie umiała rozsnuować gorsetu, a to rybie oko tańczyło wkoło niej, pokazując, jak to się robi. Cóż masz dla nas na dzisiaj? Ach, tak. Humanitarne metody. Ponieważ biedne zwierzęta cierpią i eksperci powiadają, i najlepszym znanym sposobem, który nie sprawia bólu zwierzęciu, i przyłożyć delikatnie na zranione miejsce. Boże, miałby lekką rączkę do macania kur.

Ga Ga Gara. Kok Kok Kok. Czarna Liza to nasza kura. Znosi ona dla nas jajka. Jakże się cieszy, gdy zniesie jajko. Gara. Kok Kok Kok. Wtedy przychodzi dobry wujcio Leo. Wkłada rękę pod Czarną Lizę i wyjmuje świeże jajko. Ga ga ga Gara. Kok Kok Kok.

- W każdym razie, powiada Joe. Fieid i Nannetti odpływają dziś wieczór do Londynu, żeby postawić tę kwestię w Izbie Gmin.

- Czy jest pan pewien, powiada Bloom, że radny odpływa? Tak się składa, że chciałem się z nim zobaczyć.

- A no, odpływa statkiem pocztowym, powiada Joe, dziś wieczór.

- To bardzo niedobrze, powiada Bloom. Ogromnie chciałem. Może tylko pan Fieid odpływa. Nie mógłbym zatelefonować. Nie. Jest pan pewien?

- Nannan też odpływa, powiada Joe. Liga poleciła mu interpelować w sprawie tego komisarza policji, który zabronił irlandzkich gier w parku. Co myślisz o tym, Obywatelu? Oto Sluagh na h-Eireann.

Pan Dzierżybyk Pastuszko (z Multifarnham. Nacjonalista): Nawiązując do interpelacji czcigodnego gentlemana, posła z Shillelagh, pragnąłbym zapytać mego czcigodnego kolegę, czy rząd wydał polecenie uboju tych zwierząt, choć nie dostarczono żadnych lekarskich świadectw stwierdzających, że stan ich jest patologiczny?

Pan Czworonóżko (z Tamoshant. Konserwatysta): Czcigodni posłowie znajdują się już w posiadaniu świadectw okazanych komisji Izby. Sądzę, że nie będę w stanie dodać tu nic istotnego. Odpowiedź na pytanie czcigodnego posła jest twierdząca.

Pan Orelli (z Montenotte. Nacjonalista): Czy wydano takie same polecenia dotyczące uboju zwierząt rodzaju ludzkiego, które ośmielają się uprawiać irlandzkie gry .w Phoenix Parku?

Pan Czworonóżko: Odpowiedź jest przecząca.

Pan Dzierżybyk Pastuszko: Czy słynny telegram, wysłany przez czcigodnego kolegę z Mitchelstown, nie stał się inspiracją dla działań gentlemenów z ławy rządowej? (Och! Och!)

Pan Czworonóżko: Muszę sobie zanotować to pytanie.

Pan Tępuszko (z Buncombe. Niezależny): Nie wahajcie się strzelać.

(Ironiczne wiwaty opozycji.)

Przewodniczący: Spokój! Spokój!

(Izba powstaje z miejsc. Wiwaty.)

- Oto człowiek, powiada Joe, który wskrzesił gaelickie sporty. Tu siedzi. Człowiek, który wykradł Jamesa Stephensa. Mistrz Irlandii w rzucie szesnastofuntowym młotem. Jaki był twój najlepszy rzut. Obywatelu?

- Na bacie, powiada Obywatel udając skromnisia. Był czas, że byłem tak dobry jak inni.

- Daj spokój. Obywatelu, powiada Joe. Byłeś, i to o całe pieprzone niebo lepszy.

- Czy naprawdę? powiada Alf.

- Tak, powiada Bloom. To znana rzecz. Nie wiedział pan o tym?

Więc zaczęli od nowa o irlandzkim sporcie i o tych pseudowytwornych grach takich jak tenis i o hurley i o podnoszeniu kamienia i o glebie uprawnej tej krainy, i o stworzeniu narodu od nowa i o całej reszcie. I oczywiście Bloom też musiał wtrącić swoje o tym, że jeżeli facet ma nadwerżone serce, to intensywne ćwiczenia są szkodliwe. Klnę się na moje gacie, że gdybyś podniósł słomkę z tej cholernej podłogi i gdybyś powiedział do Blooma: Popatrz na to, Bloom. Widzisz tę słomkę? To słomka. Klnę się na moją ciotkę, że gadałby o niej przez godzinę, tak, i to bez przerwy.

Wielce interesująca dyskusja miała miejsce w starożytnej sali Brian o'Ciarniana w Sraid na Bretaine Bheagh, pod patronatem Sluagh na h-Eireann, o odrodzeniu starożytnych sportów irlandzkich i o doniosłości kultury fizycznej takiej, jak ją rozumiano w starożytnej Grecji, starożytnym Rzymie i starożytnej Irlandii, dla rozwoju rasy. Czcigodny przewodniczący tego szlachetnego stowarzyszenia zasiadł, by prezydować nader licznemu zgromadzeniu. W następstwie pouczającego przemówienia przewodniczącego, wspaniałej oracji, wymownej i przekonywającej, wywiązała się wielce interesująca i pouczająca dyskusja, jak zwykle na najwyższym poziomie, na temat celowości odrodzenia starożytnych gier i sportów naszych starożytnych panceltyckich praojców. Dobrze znany i wysoce ceniony pracownik na niwie naszego dawnego języka, pan Joseph M'Carthy Hynes, wymownie zaapelował, by wskrzeszono starożytne gaelic-kie sporty i rozrywki, każdego ranka i wieczora uprawiane przez Finna Mac-Coola i obliczone na to, by odnowić najlepsze tradycje męskich sił i mocy, przekazane nam przez dawne wieki. Gdy L. Bloom, podtrzymujący tezę przeciwną, spotkał się z mieszanym przyjęciem owacji i gwizdów, obdarzony pięknym głosem przewodniczący zamknął dyskusję i w odpowiedzi na nieustanne nalegania i serdeczne oklaski, dobiegające z wszystkich krańców zatłoczonej sali, wykonał w sposób najbardziej godny uwagi wiekuiście młode, nieśmiertelne strofy Thomasa Osborne'a Davisa (na szczęście zbyt bliskie nam, aby trzeba je tu było przytaczać) Stań się narodem raz jeszcze, i można stwierdzić bez obawy spotkania się z zaprzeczeniem, że w ich interpretacji mistrz weteran patriota przeszedł sam siebie. Irlandzki Caruso-Garibaldi znajdował się w doskonałej formie, a jego stentorowy głos dodawał jeszcze blasku uświęconemu wiekami hymnowi, odśpiewanemu tak, jak tylko nasi obywatele to potrafią. Jego doskonały najwyższej klasy śpiew, który przez swą superjakość wielce wzmocnił jego i tak już międzynarodową reputację, powitany został zgiełkowym aplauzem wielkiego audytorium, w którym dostrzeżono wielu wybitnych przedstawicieli

kleru, a także reprezentantów prasy, palestry oraz innych światłych zawodów. Na tym posiedzenie zakończono.

Wśród przedstawicieli kleru obecni byli: przewiel. William Delany S. J., dr praw; najprzewiel. Gerald Molloy, dr teologii; wiel. P. J. Kavanagh ze Zgrom. Św. Ducha; wiel. ks. wikary T. Waters; wiel. ks. proboszcz John M. Ivers; wiel. P. J. Cleary z żak. oo. franciszkanów; wiel. L. J. Hickey z żak. oo. dominikanów; przewiel. Fr. Nicholas z żak. oo. franciszkanów; przewiel. B. Gorman z żak. oo. karmelitów bosych; wiel. T. Maher S. J.; przewiel. James Murphy S. J.; wiel. John Lavery z żak. Św. Wincentego; przewiel. William Doherty, dr teologii; wiel. Peter Fagan z żak. oo.- marianów; wiel. T. Brangan z żak. oo. augustianów; wiel. ks. wikary J. Flavin; wiel. ks. wikary M. A. Hackett; wiel. ks. wikary W. Hurley; najprzewiel. Monsign. M'Manus, Wikariusz Generalny; wiel. B. R. Slattery ze Zgrom. Niepokalanego Poczęcia; przewiel. ks. proboszcz M. D. Scally; wiel. F. T. Purcell z żak. oo. dominikanów; najprzewiel. ks. kanonik Timothy Gorman; wiel. ks. wikary J. Flanagan. Pośród osób świeckich znajdowali się P. Fay, T. Ouirke etc., etc.

- Wracając do intensywnych ćwiczeń, powiada Alf, czy byliście na spotkaniu Keogh-Bennett?

- Nie, powiada Joe.

- Słyszałem, że Ktoś zarobił na tym lekką rączką sto funtów, powiada Alf.

- Kto? Bujny? powiada Joe. I powiada Bloom:

- Mówiąc, na przykład, o tenisie, miałem na myśli ruchliwość i wyszkolenie oka.

- Tak, Bujny, powiada Alf. Dla wyrównania szans puścił farbę, że Myler się rozpił, choć trenował ile wlezie.

- Znamy go, powiada Obywatel. Syna zdrajcy. Wiemy, co napędziło angielskie złoto do jego kieszeni.

- Masz rację, powiada Joe.

A Bloom znowu zagaduje o tenisie i o cyrkulacji krwi i pyta Alfa:

- Jak sądzisz, Bergan?

- Myler wytarzał go w prochu i pyle, powiada Alf. W porównaniu z tym Heenan z Sayersem byli dziecinną igraszką. Wsolił mu do wiwatu. Trzeba było widzieć tego gówniarza, który nie sięgał do pępka tamtemu drągalowi młóćącemu w próżnię. Boże, ależ go wykończył tym ostatnim w żołądek. Z zachowaniem przepisów Queensberry'ego i wszystkimi szykanami, dał mu wyrzygać to, czego nigdy nie zjadł.

Była to historyczna i pamiętna walka, gdy Myler i Percy stanęli naprzeciw siebie, by skrzyżować rękawice o nagrodę pięćdziesięciu suwerenów. O wiele lżejszy ulubieniec Dublina nadrobił handicap doskonałą umiejętnością walki w ringu. Ostatnia runda zażartego pojedynku była męczarnią dla obu zawodników. Uderzenia cięższego sierżanta upuściły nieco czerwonej farby Keoghowi, będącemu w poprzednim starciu celem prawych i lewych prostych, które artylerzysta precyzyjnie lokował na nosie naszego ulubieńca tak, że Myler powstał z narożnika oszołomiony. Żołnierz rozpoczął potężnym lewym sierpem, na który irlandzki gladiator odpowiedział szybkim prostym na szczękę Bennetta. Pod czerwoną bluzą ugięły się nogi, lecz Dublińczyk wyprostował go lewym hakiem, zadając doskonałe uderzenie w korpus. Zawodnicy weszli w zwarcie. Myler szybko uzyskał przewagę nad przeciwnikiem i starcie zakończyło się w chwili, gdy okazalszy z walczących znalazł się na linach, srodze poturbowany przez Mylera. Anglik udał się do swego narożnika mając prawe oko niemal zamknięte, został obficie zlany wodą, a gdy zabrzmiał gong, ruszył żwawo i odważnie, ufny, że w mgnieniu oka znokautuje walecznego Eblanitę. Było to zmaganie do ostatka, gdzie zwyciężyć musiał lepszy. Obaj walczyli jak tygrysy, gorączkowe podniecenie wzrastało. Sędzia dwukrotnie upomniał Potężnego Percy za przetrzymywanie, ale nasz ulubieniec był zwinny, a jego praca nóg prawdziwą ucztą dla oka. Po błyskawicznej wymianie uprzejmości, podczas której szybki cios żołnierza spowodował obfite krwawienie z warg jego przeciwnika, nasz ulubieniec rozpoczął niespodziewane natarcie i ułokował straszliwą lewą na żołądka Bojowego Bennetta, rzucając go na deski. Był to czysty i bystry knockout. Gdy pośród wypełnionego napięciem oczekiwania wyliczano pięściarza z Portobello, Ole Pfotts Wettstein, sekundant Bennetta, rzucił ręcznik i chłopca z Santry ogłoszono zwycięzcą przy akompaniamencie frenetycznych wiwatów publiczności, która przedarła się przez liny ringu i niemal stratowała go z uciechy.

- Wie, po której stronie chlebuś mu smarują, powiada Alf. Słyszałem, że prowadzi teraz na północy tournée koncertowe.

- Tak, prowadzi, powiada Joe. Prawda?

- Kto? powiada Bloom. Ach, tak. Prawda. Tak, coś w rodzaju letniego objazdu, widzicie. Tylko tak, wypoczynkowo.

- A pani B. jest najjaśniejszą z gwiazd, prawda? powiada Joe.

- Moja żona? powiada Bloom. Śpiewa tam, tak. Myślę, że to będzie miało powodzenie. To znakomity organizator, znakomity.

Ho, ho, dobry Boże, powiadam ja sobie w duchu, oj, powiadam. To wyjaśnia, na czym robi takie kokosy i czemu kózka skacze. Już Bujny im zagra na flecie! Koncerty objazdowe. Syn tego cwaniaka Brudnego Dana z Island Bridge, który sprzedał dwa razy te same konie rządowi na wojnę z Boerami. Stary Coco. Przychodzę po podatek na biednych i opłatę za wodę, panie Boylan. Pan, co? Opłatę za wodę, panie Boylan. Pan, coco? Już ją ten kanciarz zorganizuje, możecie mi wierzyć. Mówiąc między nami, kurczaczku.

Duma skalistej góry Kalpe, kruczowłosa córka Tweedy'ego. A wybudowała tam owa piękność nieporównana, gdzie niespliku i migdału woń przepętnia powietrze. Ogrody Alamedy poznały jej stopy; a poznając kłoniły się gaje oliwne. Cnotliwą małżonką Leopolda jest ona: Marion o piersiach wyniosłych.

Ale spójrz, oto wszedł tam jeden z klanu O'Molloyów, urodziwy bohater o białym obliczu, lecz zarumieniony przy tym nieco, jest ci on Majestatu doradcą, uczonym w prawie, a z nim wszedł także książę i dziedzic szlacheckiego rodu Lambert.

- Hallo, Ned.

- Hallo, Alf.

- Hallo, Jack.

- Hallo, Joe.

- Niechaj was Bóg zachowa, powiada Obywatel.

- I ciebie w zdrowiu, powiada J. J. Co weźmiesz, Nedzie?

- Połówkę, powiada Ned.

Więc J. J. zamówił trunki.

- Czy byłeś w sądzie? powiada Joe.

- Tak, powiada J. J. On to załatwi, Nedzie, powiada.

- Mam nadzieję, powiada Ned.

I o co chodziło im obu? J. J. stara się skreślić jego nazwisko z sądu przysięgłych, a ten mu za to podaje usługną rączkę. Wywieszony na obwieszczeniach licytacyjnych. Gra w karty, zadaje się z grubymi rybami, co to mają szykowne szkieleto w oku, pija szampana, a przecież jest na pół zadławiony nakazami płatności i zajęciami. Zastawiał swój złoty zegarek u Cumminsa przy Francis Street; myślał, że nikt go tam nie pozna w tym kantorku z tyłu, ale ja tam byłem ze Szczylem, wykupując buty z zastawu. Jak brzmi pana nazwisko, proszę pana? Hops, powiada on. Hops i klops, powiadam ja. Na Boga, zdaje się, że któregoś z najbliższych dni wstąpi, w drodze do domu, za kratki i zapłacze.

- Widziałeś tam tego pieprzonego wariata Brena? powiada Alf. Kła. Pa. Kłapa.

- Tak, powiada J. J. Rozglądał się za prywatnym detektywem.

- Tak, powiada Ned, chciał przebojem dostać się przed oblicze trybunału i wygłosić mowę, ale Corny Kelieher podszedł go, mówiąc mu, żeby najpierw dał do zbadania charakter pisma.

- Dziesięć tysięcy funtów, powiada Alf, śmiejąc się, Boże, nie wiem, co bym oddał, żeby móc go usłyszeć przed sędzią i ławą przysięgłych.
- Czyś ty to zrobił. Alfie? powiada Joe. Mów prawdę, całą prawdę i tylko prawdę, tak ci dopomóż Jimmy Johnson.
- Ja? powiada Alf. Nie ciskaj swoich wieprzów przed perlę mojego charakteru.
- Jakiegolwiek zeznanie złożysz, powiada Joe, zostanie ono użyte przeciwko tobie.
- Oczywiście, oskarżenie można byłoby złożyć, powiada J. J. To implikuje, że nie jest on compos mentis. Kła. Pa. Kłapa.
- Compos ci w oko! powiada Alf śmiejąc się. Czy nie wiesz, że jest stuknięty? Spójrz na jego głowę. Wiesz, że czasem musi wkładać kapelusz tyżką do butów?
- Tak, powiada J. J., ale prawdziwość oszczerstwa nie chroni w oczach prawa przed oskarżeniem o rozpowszechnianie go.
- Ach, ach, Alfie! powiada Joe.
- W dodatku, powiada Bloom, chodzi o tę biedną kobietę, mam na myśli jego żonę.
- Szkoda jej, powiada Obywatel. I każdej innej kobiety, która wyjdzie za takie ni to, ni owo.
- Ni to, ni owo? powiada Bloom. Ma pan na myśli, że on...
- Mówiąc ni to, ni owo, powiada Obywatel, mam na myśli faceta takiego, ni pies, ni wydra.
- Coś na kształt świdra, powiada Joe.
- To właśnie mam na myśli, powiada Obywatel. Pęta, jeżeli wie pan, co to takiego.

Na Boga, zobaczyłem, że nadchodzi awantura. A Bloom wyjaśnił, że miał na myśli, że to okrutne, że ta żona musi pętać się za tym starym, jękającym się błaznem. To okrucieństwo wobec zwierząt pozwalać temu pieprzonemu wynędzniałemu Breenowi iść na trawkę z tą jego sterczącą brodą, o którą się potyka, prowadząc deszcz. A zadzierać nosa, kiedy wyszła za niego, bo kuzyn jego starego otwierał papieżowi stalle w kościele. Jego portret na ścianie z tym wymuskany, zadartym wąsikiem. Signor Brini z Summerhill, makaroniarz, żuaw ojca świętego, który wyprowadził się z nadbrzeża i przeniósł na Moss Street. A powiedzcie, kimże on był? Nikim, z dwoma pokojkami od podwórka i wejściem z oficyny za siedem szylingów tygodniowo, ale pierś miał pokrytą rozmaitymi blachami, żeby zadziwić świat.

- A poza tym, powiada J. J., kartka pocztowa jest publikacją. Orzeczono, że jest dostatecznym dowodem złej woli w precedensowej sprawie Sadgrove przeciw Hole. W moim przekonaniu oskarżenie utrzymałoby się.

Sześć szylingów i osiem pensów, poproszę. Komu potrzebne jest twoje przekonanie? Wychylmy nasze kufelki w spokoju. Boże, nawet na to nam nie chcą pozwolić.

- Cóż, na zdrowie, Jack, powiada Ned.

- Na zdrowie, Ned, powiada J. J.

- Znowu tu jest, powiada Joe.

- Gdzie? powiada Alf.

I, na Boga, właśnie przechodził przed wejściem z książkami pod pachą, żona przy nim, a Corny Kelleher zajrzał do środka tym swoim bielmookiem, kiedy przechodzili, przemawiając do niego po ojcowsku i próbując mu sprzedać używaną trumnę.

- Jak się skończyła sprawa tego kanadyjskiego kantu? powiada Joe.

- Do powtórnego rozpatrzenia, powiada J. J.

To jeden z bractwa garbatonosych, występujący pod nazwiskiem James Wo-ught alias Szapiro alias Spark alias Spiro, dał ogłoszenie do gazet, że załatwia przejazdy do Kanady po dwadzieścia szylingów. Co? Zajrzyj mi w oko, ale głęboko. Oczywiście był to pieprzony kant. Co? Wykiwał ich wszystkich, posługaczki i parobków z hrabstwa Meath. Tak. I swoje własne plemię też. J. J. opowiadał nam, że był tam stary Hebrajczyk Zaretsky, czy jak mu tam, łkający w ławie dla świadków z kapeluszem na głowie i przysięgający na świętego Mojżesza, że ustrzelono go na dwa funty.

- Kto sądził w tej sprawie? powiada Joe.

- Prezes sądu, powiada Ned.

- Biedny stary sir Frederick, powiada Alf, można go obuć po dziurki w nosie.

- Złote serce, powiada Ned. Opowiedz mu smutną bajeczkę o zaległym komornym, o chorej żonie i gromadce dzieci, a klnę się, że rozplynie się we łzach na fotelu.

- Tak, powiada Alf. Ruben J. miał cholerne szczęście, że nie wsadził go do paki któregoś dnia za ściganie biednego małego Gumleya, tego, który pilnuje miejskich kamieni brukowych pod mostem Butt.

I zaczyna małpować starego sędziego, udając, że płacze:

- To naprawdę skandaliczna historia! Taki ubogi, ciężko pracujący człowiek! Ile dzieci? Powiadacie, że dziesięcioro?

- Tak, wysoki sędzie. A moja żona ma tyfus!

- A żona ma tyfus! Skandaliczne! Proszę natychmiast opuścić salę sądu, mój panie! Nie, mój panie, nie wydam nakazu płatności. Jak pan śmie, mój panie, stawać przede mną i prosić mnie o wydanie nakazu! Taki ubogi, ciężko pracujący, zapobiegliwy człowiek! Umarzam sprawę.

A zważywszy, że był szesnasty dzień miesiąca wolookiej bogini trzeciego tygodnia po dniu świątecznym Przenajświętszej i Niepodzielnej Trójcy, a córa niebios, dziewicza Luna, znajdowała się w pierwszej kwadrze, stało się, że owi uczeni sędziowie udali się do Pałacu Prawa. Tam mistrz Courtenay, zasiadłszy w swej komnacie, rady udzielał, a czcigodny sędzia Andrews, zasiadając bez sądu przysięgłych w sądzie spadkowym, ważył pełen słuszności i badał pilnie uprawnienia pierwszego z roszczących sobie prawo do własności w sprawie przedłożonej sądowi woli ostatniej i orzeczenia testamentarnego in re nieruchomości i ruchomości nieodżałowanego Jacoba Halliday, handlarza win, zmarłego, przeciw Livingstone'owi, dziecku niespełna rozumu, i jeszcze jednej osobie. A do pełnego powagi sądu przy Green Street przybył sir Frederick Falconer. I zasiadł tam o godzinie piątej, aby sprawować prawo Brehonów w komisji dla całego tego obszaru, a także dla okolic, które wchodzą w skład hrabstwa i grodu Dublina. A zasiadał tam z nim wysoki sanhedryn dwunastu pokoleń laru, z każdego pokolenia człowiek jeden, z pokolenia Patrick i z pokolenia Hugh i z pokolenia Owen i z pokolenia Conn i z pokolenia Oscar i z pokolenia Fergus i z pokolenia Finn i z pokolenia Dermot i z pokolenia Cormac i z pokolenia Kevin i z pokolenia Caolte i z pokolenia Ossian, a razem było ich tam mężów dwunastu pocziwych i bez zmaży. A zaklął on ich na Tego, który umarł na drzewie świętym, aby według swej najlepszej woli i sumienia osądzili sprawę pomiędzy ich panem i królem a obecnym tu oskarżonym i wydali wyrok prawdziwy, zgodny z dowodami, tak im dopomóż Bóg i niechaj ucałują Pismo. A powstałi oni z miejsc swoich, owych dwunastu z lar, i poprzysięgli na imię Tego, który trwa wiekuiście, że wymierzą Jego sprawiedliwość. I niezwłocznie pacholkiwie prawa wywlekli z lochu człeka owego, którego gończe psy prawa pochwyciły na skutek otrzymanych informacji. I skuli mu ręce i nogi, a nie chcieli wziąć od niego ni kaucji, ni poręki, ale wygotowali przeciw niemu oskarżenie, albowiem był on złoczyńcą.

- To piękne z ich strony, powiada Obywatel, że przybywają tu do Irlandii, aby zapluskwiać kraj.

Więc Bloom udaje, że nic nie usłyszał, i zaczyna mówić do Joego, że do pierwszego nie potrzebuje się przejmować tą drobnostką, ale żeby tylko powiedział słówko panu Crawfordowi. A Joe poprzysiągł uroczyście na to i tamto, i na wszystko, że poruszy niebo i ziemię.

- Bo widzisz, powiada Bloom, ogłoszenie musi być powtórzone. To cały sekret.

- Możesz na mnie polegać, powiada Joe.

- Oszukują chłopów, powiada Obywatel, i biedaków irlandzkich. Nie chcemy już więcej obcych w naszym domu.

- O, jestem pewien, że będzie w porządku, Hynes, powiada Bloom. Chodzi tylko o tego Klaucza, widzisz.

- Uważaj to za załatwione, powiada Joe.

- Bardzo to uprzejme z twojej strony, powiada Bloom.

- Obcy, powiada Obywatel. Nasza własna wina. Pozwalamy im przyjeżdżać. Sprowadziliśmy ich. Cudzołożnica i jej kochanek sprowadzili tu saksońskich opry-szków.

- Wyrok tymczasowy, powiada J. J.

A Bloom udaje, że jest ogromnie zainteresowany niczym, pajęczyną w kącie za beczką, a Obywatel piorunuje go oczami, a stare psisko u jego nóg patrzy w górę, żeby dowiedzieć się, kogo zagryźć i kiedy.

- Wszeteczna żona, powiada Obywatel, oto przyczyna wszystkich naszych nieszczęść.

- Tu jest, powiada Alf, który chichotał z Terrym nad Policyjną Gazetą leżącą na ladzie, na ścieżce wojennej.

- Daj nam zerknąć na nią, powiadam.

Ale to był tylko jeden z tych sprośnych jankeskich obrazków, które Terry pożycza od Corny Keliehera. Sekreciki do powiększania waszych ukrytych członków. Złe prowadzenie się pięknotki z towarzystwa. Norman W. Tupper, zamożny chicagowski przedsiębiorca, znajduje swą przystojną, ale niewierną żonę w objęciach oficera Taylora. Pięknotka w majtkach źle się prowadzi, jej zalotnik szuka gdzie ma największe łaskotki, a Norman W. Tupper wpada ze swoją pukawką akurat na czas, żeby się spóźnić, bo już zdążyła wykonać szpagat z oficerem Taylorem.

- O, Joasiu, powiada Joe, jakże krótką masz koszulkę!

- Owłosiona, Joe, powiadam. Dałoby się wyciąć ładny kawał peklowizny z tej krowy, co?

Ale właśnie wszedł John Wyse Nolan, a z nim Lenehan, z głębą wyciągniętą jak na pogrzebie.

- No, powiada Obywatel, jakie ostatnie wiadomości z placu boju? Co uradzili o irlandzkim języku ci partacze z ratusza na zebraniu swojej sitwy?

o'Nolan, okryty lśniąca zbroją, skłoniwszy się nisko, oddał hołd potężnemu, najwyższemu i mocarnemu wodzowi całego Erynu, a rzekł mu o tym, co się wydarzyło i jak to dostojni rajcowie najwierniejszego grodu, drugiego w królestwie, napotkali ich na ratuszu, a tam po należnych modłach, wzniesionych ku bogom przebywającym w eterze niebiańskim, odbyli uroczystą naradę, czy wolno im, gdyby się tak przydarzyć mogło, raz jeszcze powołać do chwały wśród śmiertelnych uskrzydloną mowę przedzielonych morzem Gaelów.

- To nadchodzi już, powiada Obywatel. Do diabła z przeklętymi brutalnymi Saksonami i ich patois.

Więc J. J. dorzucił słówko odstawiając eleganta i mówiąc, że jedna bajka jest dobra, póki się nie usłyszy następnej, i o mydleniu oczu, i o polityce Nelsona, polegającej na przykładaniu ślepego oka do teleskopu, i o ustanowieniu aktu o utracie praw obywatelskich, aby pociągnąć do odpowiedzialności naród, a Bloom starał się go poprzeć z moderacją i udręczając i ich koloniami i cywilizacją.

- Ich syfilizacją, chce pan powiedzieć, powiada Obywatel. Do diabła z nimi!

Niech przekleństwo pieprzonego Boga trzaśnie na odlew w ten plugawy, drew-nianouchy pomiot kurwich synów! Ani muzyki, ani sztuki, ani literatury, które by warte były swej nazwy. Całą cywilizację, jaką mają, ukradli nam. Bełkoczący synowie bękartich duchów.

- Rodzina Europejczyków, powiada J. J. ...

- Nie są Europejczykami, powiada Obywatel. Byłem w Europie z Kevinem Eganem z Paryża. Nie spotkasz śladu ani po nich, ani po ich języku nigdzie w Europie, poza cabinet d'aisance.

I powiada John Wyse:

- Wiele kwiatów kielkuje i kwitnie w ukryciu. I powiada Lenehan, który trochę zna żargon:

- Conspuez les Anglais! Perfide Albion!

Rzekł, uniósł w swych szorstkich, krzepkich, mocarnych dłoniach róg wypełniony ciemnym, wielce pienistym piwem i rzuciwszy rodowe zawołanie Lamh Dearg Abu, wypił na zgubę swych wrogów, rasy potężnych, walecznych bohaterów, władców mórz, którzy zasiadają na tronach alabastrowych, cisi jak nieśmiertelni bogowie.

- Co ci się stało? powiadam do Lenehana. Wyglądasz jak facet, który zgubił szylinga i znalazł sześć pensów.

- Złoty puchar, powiada on.

- Kto wygrał, panie Lenehan? powiada Terry.

- Ulotka, powiada, dwadzieścia do jednego. Zupełny outsider. Innych nie było widać.

- A klacz Bassa? powiada Terry.

- Jeszcze biegnie, powiada. Wszyscy jedziemy na jednym wózku. Boylan postawił dwa funty za siebie i za pewną znajomą damę, bo mu wytypowałem S cep trę.

- Sam postawiłem pół korony, powiada Terry, na Zinfandela, którego mi poradził pan Flynn. Lorda Howarda de Waldena.

- Dwadzieścia do jednego, powiada Lenehan. Takie jest życie w wygodce. Ulotka powiada. Zgarnia wszystko i koniec. Słabości, na imię ci Sceptre.

Podszedł do pozostawionego przez Boba Dorana pudła po herbatnikach, żeby zobaczyć, czy nie znajdzie czegoś na ząb, co mógłby poderwać na kredyt, a stary kundel za nim, szukając szczęścia uniesionym parszywym pyskiem. Babcia Hub-bard trzęsie garnkami w kredensie.

- Nic nie ma, dziecko, powiada.

- Trzymaj się, powiada Joe. Wygrałaby tę forszę, żeby nie ta druga. A J. J. i Obywatel spierali się o prawo i historię, a Bloom wtrącał słówko od czasu do czasu.

- Niektórzy ludzie, powiada Bloom, potrafią dostrzec żdźbło w oku bliźniego, ale nie potrafią zobaczyć belki we własnym.

- Raimeis, powiada Obywatel. Nikt nie jest tak ślepy jak facet, który nie chce widzieć, jeżeli wie pan, co mam na myśli. Gdzież jest dwadzieścia brakujących milionów Irlandczyków, którzy powinni się znajdować tu dziś zamiast czterech milionów? Gdzież nasze utracone szczepy? I nasze garncarstwo, i włókiennictwo, najlepsze w całym świecie! I nasza wełna, którą sprzedawano w Rzymie za czasów Juvenala, i nasz len, i nasz adamaszek z krosien Antrim, i nasze koronki z Limerick, nasze garbarnie i nasze białe szkło ołowiowe z dolin Bałybough, i nasza hugonocka popelina, którą posiadamy od czasów Jacquarda de Lyon, i nasze tkaniny jedwabne, i nasze tweedy z Foxford, i kremowa koronka gipiurowa z klasztoru karmelitów w New Ross, jakich nie masz podobnych w całym świecie! Gdzież są greccy kupcy, którzy przybywali przez Słupy Herku-lesa, przez Gibraltar, zagrabiony teraz przez wroga ludzkości, ze złotem i tyryjską purpurą, aby sprzedawać je w Wexford na targowisku Carmen? Czytaj Tacyta i Ptolemeusza, nawet Giraldusa Kambryjczyka. Wino, futra, marmur z Connemary, srebro z Tipperary, nie ustępujące żadnym, nasze konie, sławione szeroko nawet dziś, nasze irlandzkie konie pociągowe, a król Filip hiszpański chciał opłacać cło za prawo łowienia ryb w naszych wodach. Ileż nam są te angielskie zarazy morowe dłużne za nasz zrujnowany handel i zrujnowane ogniska domowe? A owe łożyska Barrow i Shannon, których nie pogłębiają, bo chcą dzięki milionom akrów bagien i moczarów zmusić nas wszystkich, abyśmy zmarli na suchoty.

- Będziemy wkrótce bezdrzewni jak Portugalia, powiada John Wyse, albo Helgoland ze swoim jednym drzewem, jeżeli nie uczyni się czegoś, żeby ponownie zalesić kraj. Modrzew, jodły, wszystkie drzewa z rodziny iglastych giną szybko. Czytałem sprawozdanie lorda Castletowna...

- Ratujcie je, powiada Obywatel, ów jesion, olbrzym z Galway, i królewski wiąz z Kildare, o pniu mającym czterdzieści stóp w obwodzie i konarach rozpościerających się na akr. Ratujcie drzewa Irlandii dla przyszłych ludzi Irlandii na pięknych wzgórzach Eire, O.

- Europa patrzy na ciebie, powiada Lenehan.

Modny, międzynarodowy świątek uczestniczył tego popołudnia en masse w weselu kawalera Jean Wyse de Neaulan, Wielkiego, Głównego, Pierwszego Naczelnika Irlandzkich Narodowych Leśników, z panną Jodełką Iglastą z Sosnowej Doliny. Lady Sylwestra Wiążemocieniona, pani Barbara Miłobrzózka, pani Korona Jesio-na, pani Ostrokrzew Orzeszek, panna Dafne Laur, panna Dorota Bambus, pani Clyde Polanka, pani Jarzębina Zielona, pani Helena Winorośl, panna Yirginia Pnące, panna Gladys Buk, panna Oliwią Gaik, panna Blanche Klon Srebrzysty, pani Maud Mahoń, panna Myra Mirt, panna Priscilla Czarny Bez, panna Pszczółka Wiciokrzew, panna Gracja Topola, panna o'Mimoza San, panna Rachela Cedr, panny Lilia i Róża Bez, panna Osika Drżąca, pani Kitty Mech, panna Wiosenka Głóg, pani Gloriana Palma, pani Liana Bór, pani Arabella Koraczarna, i pani Norma Świętydąb z Dębowa Królewskiego uświetniły ceremonię swą obecnością. Panna młoda, którą prowadził do ołtarza jej ojciec, MTglasty z Żołędzi, wyglądała niezwykle czarująco w kreacji wykonanej z zielonego, merceryzowanego jedwabiu, upiętej na spodzie o szarym odcieniu zmierzchu, przepasanej szeroką szmaragdową szarfą i zakończonej potrójną falbanką o nieco ciemniejszej barwie. Dobór kolorów został urozmaicony pasami od ramion do talii i wstawkami na biodrach, o barwie żółedziego brązu. Drużki: panna Sosenka Iglasta i panna Limba Iglasta, siostry panny młodej, miały na sobie wielce stosowne stroje w podobnej tonacji, z wykwinnym motywem płomiennej róży wszytym w plisy prążkowanej tkaniny i powtórzonym kapryśnie w toczkach o zieleni nefrytu na podobieństwo czaplich piór ubarwionych bladokoralowym odcieniem. Senhor Enrique Flor zasiadł przy organach i posługując się swą szeroko znaną umiejętnością zagrał prócz przepisanej muzyki przy mszy weselnej nowy i interesujący układ Leśniku, oszczędź drzewo to, na koniec uroczystości. Opuszczając kościół Świętego Fiacre in Horto po uzyskaniu papieskiego błogosławieństwa, szczęśliwi nowożeńcy wpadli w wesoły krzyżowy ogień laskowych orzechów, bukowych żółędzi, liści laurowych, bazi wierzbowych, kępek bluszczu, jagód ostrokrzewu, gałązek jemioły i pędów jarzębiny. Pan i pani Wyse Iglasta Neaulan spędzą cichy miodowy miesiąc w Czarnym Lesie.

- A nasze oczy wpatrują się w Europę, powiada Obywatel. Handlowaliśmy z Hiszpanią, z Francuzami i z Flamandami, zanim te kundle zostały szczeniakami, hiszpańskie piwo w Galway, barki z winem na barkach wód ciemnych jak wino.

- I znowu bądźziemy, powiada Joe.

- Iz pomocą Najświętszej Matki Bożej, znowu bądźziemy, powiada Obywatel, waląc się w udo. Nasze puste porty znowu się wypełnią, Oueenstown, Kinsale, Galway, Blacksod Bay, Ventry w królestwie Kerry, Kiłtybegs, trzeci co do wielkości port świata z lasem masztów Lynchów z Galway i o'Reilly'ów z Cavan i o'Ken-nedych z Dublina, gdy hrabia Desmond mógł zawierać traktaty z samym cesarzem Karolem Piątym. I będą znowu, powiada, gdy zobaczymy pierwszy irlandzki okręt wojenny, prujący fale, z naszą banderą na dziobie, a nie żadną waszą harfą Tudo-rów, nie, z najstarszą banderą pływającą, banderą prowincji Desmonda i Thomon-da: trzy korony na błękitnym polu, trzech synowie Milesiusa.

I łyknął potężnie po raz ostatni z kufła: na szczęście. Bździny i szczynyjak kocie gównu. Krowy w Connacht mają długie rogi. Żeby jeszcze spróbował z narażeniem życia pojechać tam i wygłosić mowę do tłumów zgromadzonych w Shanagolden, gdzie nie odważy się pokazać nosa, bo Molly Maguires poszukuje go i przepuści przez niego na wylot promyk słońca za zagrabienie dobytku wypędzonego dzierżawcy.

- Posłuchajcie, posłuchajcie tego, powiada John Wyse. Czego pragniecie?

- Cesarskiej kawalerii ochotniczej, powiada Lenehan, dla uczczenia tej okazji.

- Połówkę, Terry, powiada John Wyse, i kufel. Terry! Śpisz?

- Tak, proszę pana, powiada Terry. Małą whisky i butelkę allsopu. Dobrze, proszę pana.

Wgapiony w tę przekłętą gazetę i poszukujący z Alfem sprośnych kawałków, zamiast obsługiwać gości. Obrazek z zawodów w biciu łbami, starają się rozbić sobie nazwajem te swoje przekłete czaszki, jeden facet pędzi ku drugiemu z głową pochyloną jak byk na przeszkodę. A drugi: Czarna Bestia Spalona w Omaha, Ga. Banda łobuzów z prerii, w szerokich, filcowych kapeluszach, strzela w czarnucha wiszącego na drzewie z wywalonym ozorem, a pod nim pali się stos. Na Boga, powinni go jeszcze utopić w morzu, posadzić na fotelu elektrycznym i ukrzyżować, żeby mieć pewność, że dobrze wykonali robotę.

- Ale co powiesz o naszej walecznej marynarce wojennej, powiada Ned, która utrzymuje naszych wrogów z dala?

- Powiem ci, co o niej myślę, powiada Obywatel. Jest to piekło na ziemi. Przeczytaj rewelacje w prasie o chłóście na okrętach ćwiczebnych w Portsmouth. Facet, który pisze o tym, podpisuje się Pełen wstrętu.

Więc zaczyna nam opowiadać o karze cielesnej i o załodze złożonej z majtków, oficerów i kontradmirałów, stojących w dwuszeregu w trójgraniastych kapeluszach, i o pastorze z protestancką Biblią, który ma być świadkiem kary, i o młodym chłopcu, którego przyprowadzają skomlącego za mamusią i przywiązują do wylotu lufy armatniej.

- Krwawy befsztyk i tuzin w tyłek, tak to nazwał ten stary łotr sir John Beresford, ale współczesny, bogobojny Anglik nazywa to batożeniem portek. I powiada John Wyse:

- Znacznie by lepiej uczczono ów zwyczaj nie ulegając mu, ale go łamiąc.

Potem opowiedział nam, że podoficer żandarmerii podchodzi z długą laską, nabiera rozmachu i smaga nią pokrwawiony tyłek tego biedaka, póki tamten nie zacznie wrzeszczeć, żeby go zabito.

- Taka jest twoja sławetna brytyjska marynarka wojenna, powiada Obywatel, która rządzi światem. Faceci, którzy nigdy nie będą niewolnikami, mają jedyny dziedziczny parlament na bożym świecie, a kraj w rękach tuzina bawelnianych baronów i świń polujących z psami

gończymi. Takie jest to wielkie imperium, którym się pysznią, imperium niewolników i chłostanych parobków.

- Nad którym nigdy słońce nie wschodzi, powiada Joe.

- A cała tragedia polega na tym, powiada Obywatel, że oni w to wierzą. Te nieszczęsne jahusy w to wierzą.

Wierzą w różgę, we wszechmocnego biczownika, stwórcy piekła na ziemi, i w Jacka Tara, syna kurwiego, który się począł z ducha nadętego, narodzeń z marynarki wojennej, umęczon pod krwawym befsztykiem, był krojony, obłupio-ny i wyprawiony, wrzeszczał jak jasna cholera, trzeciego dnia wstał z łóżka, posterował ku przystani, siedzi na swej jajecznicy czekając na dalsze rozkazy, stamtąd będzie harował na życie i będzie mu zapłacone.

- Ale, powiada Bloom, czy dyscyplina nie jest wszędzie taka sama? Chcę powiedzieć, czy nie byłoby tu tak samo, gdyby siłę przeciwstawić siłę?

Czy nie mówiłem wam? Prawda jak to, że piją ten porter: gdyby wydawał ostatnie tchnienie, spróbowaliby cię przekonać, że śmierć jest życiem.

- Przecistawimy siłę siłę, powiada Obywatel. Posiadamy naszą większą Irlandię za morzem. Zostali wygnani z domu w czarnym roku czterdziestym siódmym. Ich lepianki i przydrożne pasterskie szalasy zostały obalone taranami, a Times zatarł ręce i doniósł zajęczosercym Saksonom, że wkrótce będzie tak mało Irlandczyków w Irlandii jak czerwonoskórych w Ameryce. Nawet wielki Turek przysłał nam swoje piastry. Ale Sassenachowie starali się wygłodzić naród w domostwach, podczas gdy kraj był pełen plonów, które brytyjskie hieny skupowały i sprzedawały w Rio de Janeiro. Tak, wypędzali chłopów całymi stadami. Dwadzieścia tysięcy zmarło w pływających trumnach. Ale ci, którzy przybyli do krainy wolnych, pamiętają o domu niewoli. Powrócą tu znowu i pomszczą się, to nie tchórze, ci synowie Granuaile, obrońcy Kathleen ni Houlihan.

- Absolutnie słuszne, powiada Bloom. Ale mój punkt widzenia...

- Od dawna już czekamy na ten dzień. Obywatelu, powiada Ned. Od czasu gdy ta biedna stara kobieta powiedziała nam, że Francuzi są na morzu i wylądowali w Killala.

Tak, powiada John Wyse. Walczyliśmy za Stuartów, którzy wyparli się nas dla zwolenników Wilhelma, którzy z kolei nas zdradzili. Pamiętaj o Limerick i o rozbitym kamieniu traktatu. Oddaliśmy naszą najlepszą krew Francji i Hiszpanii, dzikie gęsi. Fontenoy, co? I Sarsfield, i o'Donnell, książę Tetuanu w Hiszpanii, i Ulysses Browne z Camus, który był marszałkiem polnym Marii Teresy. Ale co dano nam kiedykolwiek za to?

- Francuzi! powiada Obywatel. Banda nauczycieli tańca! Wiesz, co to znaczy? Nigdy nie byli warci złamanego pierdnięcia dla Irlandii! Czy nie próbują teraz uczynić Entente cordiale z

perfidnym Albionem na proszonym obiedzie u T. P.? Podżegacze całej Europy, zawsze nimi byli.

- Conspuez les Francais, powiada Lenehan, wychylając swoje piwo.

- A jeśli chodzi o Prusaków i Hanowerczyków, powiada Joe, czy nie mieliśmy już dość tych serdelożerczych bękartów na tronie, od elektora Jerzego, aż po tego niemieckiego młodzika i tę nadętą starą sukę, która zdechła?

Jezu, musiałem się roześmiać, kiedy zaczął bajać o tej starej w tych jej wielkich okularach, pijanej jak bela w królewskim pałacu każdego bożego wieczora, stara Vic, z pucharem wody życia, a stangret musiał wlec jej cielsko i gnaty, żeby ją położyć do łóżka, a ona ciągnęła go za wąsy i wyśpiewywała mu stare kawałki pieśni o Ehren nad Renem i przybywaj, gdzie trunek jest tani tak.

- No! powiada J. J. Mamy teraz Edwarda pokójczyniącego.

- Powiedz to głupiemu, powiada Obywatel. Więcej jest gnoju niż pokoju w tym chłopaczku. Edward Gwelf-Wettin!

- A co myślisz, powiada Joe, o tych świątobliwych chłopaczkach, księżach i biskupach Irlandi, ozdabiających jego pokój w Maynooth barwami wyścigowymi Jego Szatańskiego Majestatu i zawieszających tam wizerunki wszystkich koni, które ujeżdżali jego dżokeje. Hrabia Dublina, nie mniej niż inni.

- Powinni byli zawiesić tam wszystkie kobiety, które ujeżdżał, powiada mały Alf.

I powiada J. J.:

- Wzgląd na niewielką powierzchnię wpłynął na decyzję ich wysokości.

- Spróbujesz jeszcze jednego. Obywatelu? powiada Joe.

- Tak, panie, powiada on. Spróbuję.

- A ty? powiada Joe.

- Jestem ci zobowiązany, Joe, powiadam. Oby cień twój nigdy nie zeszczipał.

- Powtórzmy tamtą dawkę, powiada Joe.

Bloom gadał i gadał z Johnem Wyse, bardzo podniecony w tym swoim błotnis-tocielistym melonie na głowie, i przewracał tymi swoimi starymi śliwiastymi ślepiami.

- Prześladowania, powiada, cała historia świata jest ich pełna. Utrwalają nienawiść pomiędzy narodami.

- Ale, czy pan wie, co to jest naród? powiada John Wyse.

- Tak, powiada Bloom.
- Co to jest? powiada John Wyse.
- Naród? powiada Bloom. Naród to tacy sami ludzie mieszkający w jednym miejscu.
- Na Boga, powiada Ned śmiejąc się, jeżeli tak jest, to jestem narodem, bo mieszkam w tym samym miejscu od pięciu lat.

Więc, oczywiście, wszyscy wyśmiali Blooma i powiada on, starając się z tego wykaraskać:

- Albo mieszkający w różnych miejscach.
- To pasuje do mnie, powiada Joe.
- A który jest pański naród, jeśli wolno zapytać, powiada Obywatel.
- Irlandia, powiada Bloom. Urodziłem się tu. Irlandia. Obywatel nic nie odpowiedział, tylko przeczyścił gardziel jednym plunięciem i, na Boga, wypuł ostrygę z Czerwonego Wybrzeża prosto w kąt.
- Pchaj się dalej, Joe, powiada, wyjmując chustkę, żeby się wytrzeć do sucha.
- Proszę, Obywatelu, powiada Joe. Ujmij to w prawą dłoń i powtarzaj za mną następujące słowa.

Wielce ceniona i wzorzyście wyszywana starożytna irlandzka chusta do oblicza, przypisywana Salomonowi z Dromy i Manusowi Tomaltach og MacDonogh, autorom Księgi Ballyrnote, została wówczas okazana i wywołała niezmierny podziw. Nie ma potrzeby zatrzymywać się przy legendarnej urodzie jej narożników, będących szczytem sztuki, na których każdy może odróżnić wyraźnie czterech ewangelistów ofiarowujących czterem mistrzom swe ewangeliczne symbole, berło z kopalnego dębu, północnoamerykańską pumę (o wiele bardziej szlachetnego króla zwierząt niż ów produkt brytyjski, wtrącimy tu mimochodem), cielaka z Ker-ry i złotego orła z Carrantuohill. Sceny wyobrażone na polu służącym do pochłaniania wydzielin, ukazujące nasze starożytne grody i twierdze, kamienie nagrobne i dworzyszczka, siedliska nauki i złowieszcze głązy, nadal są równie cudownie piękne i ubarwione tak samo delikatnie jak wówczas, gdy iluminatorzy ze Sligo popuszczali wodzów swej artystycznej wyobraźni dawno, dawno temu w czasach Barme-cydów. Glendalough, przepiękne jeziora Killarney, ruiny Clonmacnois, opactwo Cong, dolina Inagh i Dwanaście Sosen, Oko Irlandii, Zielone Wzgórza Tallaght, Croagh Patrick, browary panów Arthura Guinnessa, Syna i Spółki (z ograniczoną odpowiedzialnością), brzegi jeziora Neagh, dolina Ovoca, wieża Izoldy, obelisk Mapasa, szpital sir Patricka Duna, Przylądek Clear, dolina Aherlow, zamek Lyn-cha. Dom Szkocki, związkowy przytułek dla pracujących w Loughlinstown, więzienie Tullamore, wodospady Castleconnel, Kiballyrnacshonakill, krzyż w Monaster-boice, hotel Jury'ego, czyściec Świętego Patryka, Skok Łososia, refektarz Maynooth College, dziura Curleya, trzy miejsca narodzin pierwszego księcia Wellingtonu, skała w

Cashel, torfowisko Alleyna, dom towarowy przy Henry Street, grota Fingala - wszystkie te wzruszające miejsca istnieją tam jeszcze dziś dla nas, piękniejsze dzięki wodom smutku, które przepłynęły po nich, i dzięki bogatym inkrustacjom uczynionym przez czas.

- Pchnij no do nas trunek, powiadam. Który jest czyj?

- Ten jest mój, powiada Joe, jak powiedział diabeł do umarłego policjanta.

- I ja także należę do rasy, powiada Bloom, która jest znienawidzona i prześladowana. Teraz także. Nawet dziś. Nawet w tej chwili.

Na Boga, mało sobie nie przypalił końców palców niedopałkiem tego swojego cygara.

- Ograbiani, powiada. Łupieni. Znieważani. Prześladowani. Odbierają nam to, co się nam słuszenie należy. Nawet w tej chwili, powiada, unosząc pięść, sprzedawani na licytacjach w Maroku jak niewolnicy albo bydło.

- Czy mówi pan o Nowym Jeruzalem? powiada Obywatel.

- Mówię o niesprawiedliwości, powiada Bloom.

- Słusznie, powiada John Wyse. Przeciwstawcie się jej więc siłą, jak mężczyznom przystało.

Oto obrazek z kalendarza dla was. Cel dla kuli dum-dum. Ta stara tłusta gęba stojąca naprzeciw paszczy armatniej. Na Boga, dałbym mu do ręki miotłę, gdyby tylko miał na sobie fartuch jak niańka. A potem nagle jakby się zapadł i odmienił w coś całkiem innego, sflaczały jak mokra ścierka.

- To nic nie daje, powiada. Przemoc, nienawiść, historia, to wszystko. To nie jest życie dla mężczyzn i kobiet, zniewagi i nienawiść. I wszyscy wiedzą przecież, że jest to czymś wręcz przeciwnym do tego, czym życie jest naprawdę.

- Czym? powiada Alf.

- Miłością, powiada Bloom. Mam na myśli przeciwność nienawiści. Muszę teraz odejść, powiada do Johna Wyse. Tylko za róg do sądu na chwilkę, żeby zobaczyć, czy jest tam Martin. Jeżeli nadejdzie, powiedz mu tylko, że za minutkę wracam. Na chwilkę.

Któż cię zatrzymuje? I zniknął jak natłuszczona błyskawica.

- Nowy apostoł pogan, powiada Obywatel. Miłość powszechna.

- Cóż, powiada John Wyse, czy nie tego nas uczą? Miłuj bliźniego twego.

- Ten facet? powiada Obywatel. Oskub bliźniego, oto jego motto. Miłość, Moya! Piękny to wzór Romea i Julii.

Kochanie kocha kochać kochanie. Pielęgniarka kocha nowego aptekarza. Policjant 14 A kocha Mary Kelly. Gerty MacDowell kocha chłopca, który ma rower. M. B. kocha przystojnego gentlemana. Li Chi Hań kochać całocału Cha Pu Chów. Słoń Jumbo kocha słonice Alice. Stary pan Verschoyle z trąbką przy uchu kocha zezowatą starą panią Verschoyle. Człowiek w brunatnym macintoshu kocha panią, która umarła. Jego Królewska Mość Król kocha Jej Królewską Mość Królową. Pani Norman W. Tupper kocha oficera Taylora. Ty kochasz pewną osobę. A ta osoba kocha inną osobę, ponieważ każdy kogoś kocha, ale Bóg kocha wszystkich.

- No, Joe, powiadam, za twoje najlepsze zdróweczko i pieśń. Krzepko, obywatelu.

- Hurra, powiada Joe.

- Błogosławieństwo Boga, Marii i Patryka z wami, powiada Obywatel. I unosi kufel, żeby zamoczyć gwizdawę.

- Znamy tych obłudników, powiada, wygłaszają kazania i wypróżniają ci kieszenie. I cóż powiecie o Cromwelluijego żelaznych szeregach, gdy oddawali pod miecz kobiety i dzieci w Drogheda, mając wryte Bóg jest miłością na wylotach luf armatnich? Biblia! Czy czytaliście ten satyryczny kawałek w dzisiejszym Zjednoczonym Irlandczyku, o wodzu Zulusów, który odwiedził Anglię?

- Cóż to takiego? powiada Joe.

Więc Obywatel wyciąga jedną ze swych nieodstępnych gazet i zaczyna odczytywać:

- Delegacja złożona z największych bawełnianych magnatów Manchesteru została przedstawiona wczoraj Jego Królewskiej Mości Alaki z Abeaku-ty, przez Marszałka Dworu Lorda Kundelbury, aby przekazać Jego Królewskiej Mości serdeczne podziękowania brytyjskich kupców za ułatwienia przyznane im w jego włościach. Delegacja wzięła udział w lunchu, na zakończenie którego ogorzały monarcha podczas wesołego przemówienia, przekazanego w wolnym przekładzie przez brytyjskiego kapłana, wielbnego Ananiasza Boguchwałę Gołognata, wyraził swe podziękowania dla Massy Marszałka i podkreślił serdeczne stosunki istniejące pomiędzy Abeakutą i Imperium Brytyjskim, stwierdzając, że za jeden z największych swych skarbów uważa iluminowaną Biblię, księgę słowa Bożego i tajemnicę potęgi Anglii, łaskawie ofiarowaną mu przez białą kobietę wodza, wielką squaw Yictorię, z osobistą dedykacją nakreśloną dostojną dłonią Królewskiej Ofiarodawczyni. Następnie Alaki wzniósł najlepszą whisky irlandzką toast na cześć Black and White, pijąc z czaszki swego poprzednika z dynastii Kakachakachak, zwanego Czterdzieści Brodawek, po czym zwiedził największy zakład w Bawełnopolis i nakreślił swój znak w księdze gości, a na zakończenie odtńczył stary abeakutań-ski taniec wojenny, podczas którego połknął wiele noży i widelców, pośród radosnego aplauzu pracujących w fabryce dziewcząt.

- Na tej wdowie, powiada Ned, można polegać. Ciekaw jestem, czy zrobił z tej Biblii taki sam użytek, jaki ja bym zrobił?
- Taki sam, jeno bardziej, powiada Lenehan. A później w owej żyznej krainie szerokolistne drzewo mango rozkwitało niezwykle.
- Czy to Griffith napisał? powiada John Wyse.
- Nie, powiada Obywatel. Nie jest podpisane Shanganagh. Jest tylko inicjał: P.
- Bardzo dobry inicjał, powiada Joe.
- Tak właśnie do tego doszło, powiada Obywatel. Handel podąży za banderą.
- No, powiada J. J., jeżeli są gorsi niż ci Belgowie w Wolnym Państwie Kongo, to muszą być bardzo źli. Czy czytaliście sprawozdanie napisane przez tego człowieka, jak mu tam?
- Casement, powiada Obywatel. To Irlandczyk.
- Tak, to ten, powiada J. J. Gwałcą kobiety i dziewczęta i chłuszczą tubylców po brzuchu, żeby tylko wycisnąć z nich jak najwięcej czerwonego kauczuku.
- Wiem, dokąd on poszedł, powiada Lenehan, strzelając palcami.
- Kto? powiadam.
- Bloom, powiada. Sąd to wymówka. Postawił parę szylingów na Ulotkę i poszedł zgarnąć szekele.
- Ten Bładooki Beduin? powiada Obywatel, który przez całe życie nie postawił złamanego pensa na konia.
- Tam właśnie poszedł, powiada Lenehan. Spotkałem Bantama Lyonsa, który właśnie szedł postawić na tego konia, ale odwiodłem go od tego. I powiedział mi, że Bloom mu tak poradził. Mogę się założyć z wami, o co chcecie, że ma z tego sto szylingów za pięć. Jest jedynym człowiekiem w Dublinie, który je ma. Fuks.
- On sam jest pieprzonym fuksem, powiada Joe.
- Chwileczkę, Joe, powiadam. Pokaż nam wejście do wyjścia.
- Tędy, powiada Terry.

Żegnaj, Irlandio, odjeżdżam do Gort. Poszedłem więc w kąt podwórka, żeby wypompować z siebie to i na Boga (sto szylingów za pięć), gdy pozbywałem się mego (Ulotka dwadzieścia za), pozbywałem się mego balastu na Boga powiadam do siebie zauważyłem, że był (te dwa kufle od Joego i jeden u Slattery'ego spływają) że był nieswój żeby się urwać (sto szylingów to pięć funtów) a kiedy mieszkali w (fuks) Szczyl Burkę opowiadał mi kiedy była partyjka

kart mówił że dziecko jest chore (na Boga to musiał być chyba cały galon) a ta obwisłodupa żona mówiła do słuchawki że ona się czuje lepiej albo ona (och!) a wszystko to uplanowane żeby mógł zwać z pulą jeżeli był wygrany albo (Jezu ależ byłem pełny) handel bez zezwolenia (och!) Irlandia to mój naród powiada (Prr! Pff!) nigdy nie dorównasz tym pieprzonym (to już chyba ostatnia kropla) jerozolimskim (ach!) rogaczom.

Bądź co bądź, kiedy wróciłem, skakali już sobie do oczu. John Wyse mówił, że to Bloom podał w imieniu Sinn Fein pomysł Griffithowi, żeby ogłaszał w swoim piśmie wszelkie machinacje przedwyborcze, dobieranie sądów przysięgłych i kanty podatkowe rządu i żeby mianować na całym świecie konsulów, którzy obchodziliby wszystkich, sprzedając irlandzkie towary. Okradając Piotra, żeby dać Pawłowi. Na Boga, to wszystko pójdzie w diabły, jeżeli te obwisłopowiekie oczy zaświnia cały kram. Dajcie nam jakaś pieprzoną szansę. Niech Bóg strzeże Irlandię przed takimi pieprzeńcami myszkującymi jak ten tu. Pan Bloom i jego przelewanie z pustego w próżne. A jego stary już przed nim popełniał oszustwa, stary Matuzalem Bloom, komiwojażer, oszust, który otrul się kwasem pruskim potem, jak zalał cały kraj swymi błyskotkami i diamentami po pensie. Pożyczki przez pocztę na przystępnych warunkach. Każda suma pieniędzy zostanie przesłana za odręcznym pokwitowaniem. Odległość nie gra roli. Żadnego zabezpieczenia. Na Boga, jest on jak ta koza Lanty MacHale'a, która mogła przejść z każdym kawałek drogi.

- No, ale to fakt, powiada John Wyse. A oto człowiek, który wam to potwierdzi, Martin Cunningham.

I rzeczywiście, kareta dworska zajechała, a w niej Martin i Jack Power, a z nimi facet o nazwisku Crofter czy Crofton, emerytowany urzędnik urzędu podatkowego, oranżysta, którego mają na liście w Blackburn i dostaje pensję, a może to Crawford, wałęsający się po kraju na koszt króla.

Podróżni zatrzymali się przed wiejską karczmą i zeskoczyli ze swych wierzchowców.

- Hej, hultaju! zakrzyknął ów, którego postawa zdradzała, iż przewodzi onej drużynie. Łotrzyku zuchwały! Sam tu!

Wyrzekłszy to, głowicą miecza w otwartą okiennicę donośnie uderzył. Gospodarz wyszedł ku nim otulając się opończą.

- Dobrego wieczora życzę wam, panowie, rzekł z usługnym pokłonem.

- Zakrzątnij się, łotrzyku! zawołał ów, który pukał uprzednio. Zajmij się rumakami naszymi. A gdy o nas mowa, daj nam, co masz najlepszego, gdyż klnę się, że wielce nam tego trzeba.

- Niestety, dobrzy panowie, rzekł gospodarz, dom mój ubogi, a spiżarnia pusta. Nie wiem, co bym mógł ofiarować waszym lordowskim gościom.

- Jakże to, mój człeku? zakrzyknął drugi z drużyny, mąż nadobnego oblicza, tak to usługujesz wysłannikom królewskim, panie Odbijbeczko? Przemiana natychmiastowa ogarnęła oblicze gospodarza.

- Wołam o przebaczenie, panowie, rzekł pokornie. Jeśli wysłannikami królewskimi jesteście (niechaj Bóg osłania Jego Królewską Mość!), niczego wam nie zbraknie. Przyjaciele króla (niechaj Bóg błogosławi Jego Królewskiej Mości!) nie będą pościli w domu moim, rękę ja za to.

- Pospieszaj tedy! zawołał ów podróżny, który jeszcze nie rzekł dotąd słowa, a był on krzepkim żarłokiem, sądząc z postawy. Cóż masz, abyś nam podał?

Gospodarz pokłonił się znowu, odpowiadając:

- Cóż powiecie, moi panowie, na pasztet z młodych gołąbków, parę płatów dziczyzny, comber cielęcy, kaczkę dziką z kruchym boczkiem wieprzowym, głowę dzika z orzeszkami pistacjowymi, misę kremu zacnego, przyprawy korzenne i flaszkę starego reńskiego?

- Na Boga! zawołał ów, który przemówił ostatni. To mi przypadło do smaku. Pistacjowe orzeszki!

- Ha! zawołał ów, który lico miał nadobne. Ubogie domostwo i pusta spiżarnia, zaiste! Oto ucieszny łotrzyk.

Więc wchodzi Martin i pyta, gdzie jest Bloom.

- Gdzie jest? powiada Lenehan. Grabi wdowy i sieroty.

- Czy to nie fakt, powiada John Wyse, to, co mówiłem o Bloomie i Sinn Feinie?

- Tak jest, powiada Martin. Albo też tak twierdzą.

- Kto wysunął to twierdzenie? powiada Alf.

- Ja, powiada Joe. Ja jestem twierdza.

- A pomimo wszystko, powiada John Wyse, dlaczego żyd nie miałby kochać swego kraju jak każdy inny facet?

- Dlaczego nie? powiada J. J., kiedy uzyska zupełną pewność, o jaki kraj chodzi.

- Czy on jest żydem, czy poganinem, czy katolikiem, czy metodystą, czy czym, u diabła? powiada Ned. Albo kim on jest? Bez obrazy, Crofton. * - Nie chcemy go, powiada Crofter oranżysta czy też prezbiterianin.

- Kim jest Junius? powiada J. J.

- Jest on nawróconym żydem, powiada Martin, z jakiejś miejscowości na Węgrzech, i to on właśnie zaplanował cały system węgierski. Wiemy o tym na Zamku.
- Czy nie jest on kuzynem tego Blooma dentysty? powiada Jack Power.
- Wcale nie, powiada Martin. To tylko podobieństwo nazwisk. Jego nazwisko brzmiało Virag. To znaczy, nazwisko jego ojca, który się otruł. Zmienił je na mocy aktu prawnego, to znaczy ojciec zmienił.
- Oto nowy Mesjasz dla Irlandii! powiada Obywatel. Wyspy mędrców i świętych.
- Cóż, oni nadal czekają na swego odkupiciela, powiada Martin. Jeśli o to chodzi, my także.
- Tak, powiada J. J., i o każdym chłopcu, który się urodzi, myślą, że to może być właśnie ich Mesjasz. I każdy żyd jest nieprzytomny z podniecenia, jak słyszałem, póki nie dowie się, czy został ojcem, czy matką.
- Oczekując, że każda nadchodząca chwila będzie następną, powiada Lenehan.
- O, na Boga, powiada Ned, trzeba wam było widzieć Blooma, zanim ten jego syn, który umarł, urodził się. Spotkałem go któregoś dnia na południowym targu miejskim kupującego puszkę odżywki Neave'a, na sześć tygodni przed położeniem żony.
- En ventre są merę, powiada J. J.
- Czy nazywacie coś takiego mężczyzną? powiada Obywatel.
- Ciekaw jestem, czy kiedykolwiek zauważył, gdzie to się wsadza, powiada Joe.
- No, bądź co bądź, urodziło się dwoje dzieci, powiada Jack Power.
- A kogo podejrzewa? powiada Obywatel.

Na Boga, wiele prawdy mówi się żartem. Jest on jednym z tych obojników. Szczyl opowiadał mi, że raz w miesiącu leżał w hotelu z bólem głowy jak kurewka, która ma ten swój okres. Rozumiecie, co mówię? Byłoby to dziełem bożej łaski, gdyby wziąć takiego faceta za portki i wpieprzyć do morza. Usprawiedliwione zabójstwo, tak by to można nazwać. I urywa się z tymi pięcioma funtami, zamiast postawić kufelek czegoś jak mężczyzną. Boże nam błogosław. Ani tyle co kot napłakał.

- Bądźmy wyrozumiali wobec bliźnich, powiada Martin. Ale gdzie on jest? Nie możemy czekać.
- Wilk w owczej skórze, powiada Obywatel. Oto czym jest. Virag z Węgier! Ja go nazywam Ahaswer. Przeklęty przez Boga.
- Czy masz czas na krótką libację, Martinie? powiada Ned.

- Tylko jednego, powiada Martin. Musimy się spieszyć. J. J. i S.
- Ty, Jack? Crofton? Trzy połówki, Terry.
- Święty Patryk pragnąłby pewnie wylądować powtórnie w Bałtykinlar, by nawrócić nas, powiada Obywatel, skoro pozwoliliśmy, aby coś takiego mogło skalać nasze brzegi.
- Cóż, powiada Martin, stukając w ladę w oczekiwaniu kieliszka. Niechaj Bóg nas wszystkich błogosławi, o to się modłę.
- Amen, powiada Obywatel.
- Pewien jestem, że tak uczyni, powiada Joe.

A na dźwięk dzwonka zwiastującego podniesienie, poprzedzona przez chłopca niosącego krucyfiks, przez akolitów, ministrantów, niosących kadzielnice, niosących łódki, lektorów, ostiariuszy, diakonów i subdiakonów, nadciągnęła świątobliwa procesja opatów w mitrach i przeorów i przełożonych i mnichów i braciszków:

mnichów od świętego Benedykta ze Spoleto, kartuzów i kamedułów, cystersów i oliwetanów, oratorianów i wallombrozjanów i braci augustynów, brygittanów, premonstratensów, serwitów, trynitariuszy i dzieci świętego Piotra Nolasco: a także przybyły z góry Karmel dzieci Eliasza proroka prowadzone przez Alberta biskupa i świętą Teresę z Avila, trzewiczkowe i bosc: braciszczowie szarzy i brunatni, synowie ubogiego Franciszka, kapucyni, kordelierzy, minimici, obserwanci i córki Klary: i synowie Dominika, bracia kaznodzieje, i synowie Wincentego: i mnisi od świętego Wolstana: i Ignatiusa z Loydy: i bractwo braci chrześcijańskich, prowadzone przez wielbnego brata Edmunda Ingatiusa Rice. Za nimi szli wszyscy święci i męczennicy, dziewice i wyznawcy: święty Cyr i święty Izydor Oracz i święty Jakub Mniejszy i święty Fokas z Synope i święty Julian Hospitator i święty Feliks z Kantalicji i święty Szymon Słupnik i święty Stefan Pierwszy Męczennik i święty Jan Boży i święty Ferreol i święta Leugarda i święty Theodotus i święty Vulmar i święty Ryszard i święty Wincenty z Paulo i święty Marcin z Todi i święty Marcin z Tours i święty Alfred i święty Józef i święty Dionizy i święty Korneliusz i święty Leopold i święty Bernard i święty Terencjusz i święty Edward i święty Owen Caniculus i święty Anonim i święty Eponim i święty Pseudonim i święty Homonim i święty Paronim i święty Synonim i święty Laurenty o'Toole i święty Jakub z Dingle i z Compostelli i święty Columcill i święty Colomba i święty Celestyn i święty Colman i święty Kevin i święty Brendan i święty Frygidian i święty Senan i święty Fachtna i święty Columbanus i święty Gali i święty Fursey i święty Fintan i święty Fiacre i święty Jan Nepomucen i święty Tomasz z Akwinu i święty Iwo z Bretanii i święty Michan i święty Herman-Józef i trzech patronowie świątobliwej młodości: święty Alojzy Gonzaga i święty Stanisław Kostka i święty Jan Berchmans i święci Gerwazy Serwacy i Bonifacy i święty Brida i święty Kieran i święty Canice z Kilkenny i święty Jarlath z Tuam i święty Finbarr i święty Pappin z Ballyrnnun i brat Aloysius Pacificus i brat Louis Bellicosus i święte: Róża z Limy i z Viterbo i święta Maria z Betanii i święta Maria Egipcjanka

i święta Łucja i święta Brygida i święta Attracta i święta Dympna i święta Ita i święta Marion Calpensis i Błogosławiona Siostra Teresa od Dzieciątka Jezus i święta Barbara i święta Scholastyka i święta Urszula wraz z jedenastoma tysiącami dziewic. A wszyscy oni przybyli w nimbach, aureolach i gloriach, niosąc palmy i harfy i miecze i wieńce oliwne, w szatach, na których utkano symbole święte ich skutecznej pomocy, rożki na inkaust, strzały, bochenki, dzbany, więzy, topory, drzewa, mosty, dzieciątka w kąpieli, muszle, sakwy, nożyce, klucze, smoki, lilie, strzelby, brody, wieprze, lampy, miechy, ule, chochle, gwiazdy, węże, kowadła, pudełka wazeliny, dzwony, kule, szczypce, rogi jelenie, buty nieprzemakalne, jastrzębie, kamienie młyńskie, oczy na półmisku, świece woskowe, kropidła, jednorożce. A gdy wyminąwszy kolumnę Nelsona skierowali swe kroki przez Henry Street, Mary Street, Capel Street, Little Britain Street, śpiewając introit z Epiphania Domini, które rozpoczyna się od Surge, illuminare, a później najśłodziej gradual Omnes, który powiada de Saba yenient, a czynili cuda rozliczne, jak wypędzanie diabłów, przywracanie umarłych do życia, rozmnażanie ryb, udawanie chorych i ślepych, odnajdywanie mnogich przedmiotów, zagubionych uprzednio, wyjaśnianie i wypełnianie Pisma, błogosławieństwa i proroctwa. Wreszcie pod baldachimem ze złotogłowia nadszedł wielbny ojciec o'Flynn w asyście Malachiego i Patryka. A gdy dobrzy ojcowie osiągnęli naznaczone miejsce, domostwo Bernarda Kiernana i Spółki z ograniczoną odpowiedzialnością, pod numerem 8,9 i 10 przy Little Britain Street, hurtowników towarów kolonialnych, handlarzy win i spirytualiów, koncesjonowanych sprzedawców piwa, wina i spirytualiów w celu spożycia na miejscu, celebrant pobłogosławił to domostwo i okadził wsporniki okien i zwieńczenia sklepień i zagłębienia ich i krawędzie i kapitele i pedimenty i gzymsy i łuki zębate i wieże i kopuły i pokropił progi jego wodą święconą modląc się, aby Bóg pobłogosławił temu domowi, jako błogosławił domom Abrahama i Izaaka i Jakuba, i aby zesłał tu na mieszkanie Swe anioły świetliste. A wchodząc pobłogosławił jadło i napoje, a całe owo święte zgromadzenie towarzyszyło mu w modłach jego.

- Adiutorium nostrum in nomine Domini.

- Quifecit welum et terram.

- Dominus yobiscum.

- Et cum spiritu tuo.

A położył dłonie swoje na tych, których błogosławił, dziękując i modląc się, a wszyscy oni modlili się wraz z nim:

- Deus, cuius verbo sanctificantur omnia, benedictionem tuam effunde super creaturas istas: et praesta ut quisquis eis secundum legem et voluntatem Tuam cum gratiarum actione usus fuerit per invocationem sanctissimi nominis Tui corporis sanitatem et animae tutelam Te auctore precipiat per Christum Dominum nostrum.

- Wszyscy tak myślimy, powiada Jack.

- Tysiąc funtów rocznie, Lambert, powiada Crofton czy Crawford.

- Słusznie, powiada Ned, unosząc swoją John Jameson. I maselka na chlebuś. Właśnie rozglądałem się, żeby zobaczyć, czy komu nie wpadła szczęśliwa myśl

do głowy, kiedy, niech mnie przeklną, a znów wbiega on, udając, że mu się piekielnie spieszy.

- Byłem właśnie za rogiem w sądzie, powiada, i szukałem ciebie. Mam nadzieję, że się nie...

- Nie, powiada Martin. Jesteśmy gotowi.

Sąd mi w oko, a kieszenie obrywa ci srebro i złoto. Parszywy obrzynek. Postaw nam kielicha. Boi się jak diabeł! Oto macie żyda! Wszystko dla numeru pierwszego. Cwany jak szczur w sraczu. Sto za pięć.

- Nie mów nikomu, powiada Obywatel.

- Przepraszam pana bardzo, powiada on.

- Chodźcie, chłopcy, powiada Martin widząc, że na coś się zanoszą. No, chodźcie.

- Nie mów nikomu, powiada Obywatel, ale już wrzeszczy. To tajemnica. A przeklęty pies wstał i zawarczał.

- Do widzenia wszystkim, powiada Martin.

I wyprowadził ich tak prędko, jak umiał, do tej pieprzonej dwukółki, Jacka Powera i Croftona czy jak mu tam, z nim pośrodku, udającym, że nie wie, o co chodzi.

- Jazda, powiada Martin do woźnicy.

Mlecznobiały delfin potrząsnął grzywą, a sternik powstawszy na złocistej rufie rozpostarł wzdęty żagiel na wietrze, żagle wszystkie rozwinęły się i spinaker skierował ku bakburcie. Wiele nadobnych nimf przybliżyło się ku sterburcie i ku bakburcie, a uczepiwszy się z obu stron dostojnej barki połączyły w łańcuch swe lśniące kształty, podobnie jak to czyni przemyślny kołodziej, gdy formuje wokół osi swego koła równoodległe od niego siostrzane promienie i łączy je kręgiem zewnętrznym, aby wzmocnić prędkość stóp mężów, gdy podążają w gościnę lub współzawodniczą o uśmiech pięknych dam. Tak właśnie uczyniły przybywszy nimfy owe uczynne, siostry nieśmiertelne. I śmiały się, igrając w kręgu pian: a barka pruć fale.

Ale, na Boga, właśnie dopijałem kufelek do dna, kiedy zobaczyłem, że Obywatel idzie zataczając się ku drzwiom, dysząc od puchliny i prychając i miotając nań po irlandzku klątwę Cromwella na księgę, dzwon i świecę, plując i parszając, a Joe i mały Alf czepiają się go jak krasnoludki, starając się go uspokoić.

- Odczepcie się ode mnie, powiada.

I, na Boga, doszedł aż do drzwi, a oni nie puszczają go. I wrzeszczy:

- Trzykrotne hurra na cześć Izraela!

Arrah, weź dupę w troki, na Jezusa, i nie rób z siebie publicznego widowiska. Chryste Jezu, zawsze znajdzie się jakiś pieprzony błazen, który zacznie wierzgać i rwać się do pieprzonego mordowania o pieprzone nic. Na Boga, porter może ci w kichach skwaśnieć od tego.

A wszystkie oberwańce i ulicznice z całego kraju już stoją przy wejściu, a Martin woła do woźnicy, żeby jechał przed siebie, a Obywatel wrzeszczy, a Alf i Joe przy nim, żeby, no już cicho, a on zaszuwa ogniste przemówienie o żydach, a oberwańcy żądają mowy, a Jack Power stara się go usadzić w dorożce i przytrzymać mu tę pieprzoną głowę, a obdartus z opaską na oku zaczyna podśpiewywać Gdyby człowiek na księżycu żydem byt, był, był, a jakaś dziwka woła:

- Ej, panie! Rozporek ci się rozpiął! A on powiada:

- Mendelssohn był żydem i Karol Marx, i Mercadante, i Spinoza. I Zbawiciel był żydem, i jego ojciec był żydem. Wasz Bóg.

- Nie miał ojca, powiada Martin. Dosyć na teraz. Jazda.

- Czyj Bóg? powiada Obywatel.

- No, to jego wujek był żydem, powiada on. Wasz Bóg był żydem. Chrystus był żydem jak ja.

Na Boga, Obywatel skoczył do sklepu.

- Na Jezusa, powiada, mózg wybije temu pieprzonemu żydłakowi za użycie najświętszego imienia. Na Jezusa, ukrzyżuję go, tak właśnie zrobię. Dawaj mi to pudło po herbatnikach.

- Stój! Stój! woła Joe.

Liczne i dostojne zebranie przyjaciół i znajomych z metropolii i okolic Wielkiego Dublina, których tysiące zgromadziły się, aby pożegnać Nagyasagosa urama Lipóti Yiraga, byłego współpracownika PP. Aleksandra Thoma, drukarza nadwornego Jego Królewskiej Mości, z okazji jego odjazdu do odległej krainy Szazhar-minczbrojugułyas-Dugulas (Łąka Wód Szemrzących). Ceremonię, która odbyła się z wielkim egiptem, cechowała jak najserdeczniejsza kordialność. Iluminowany zwój starożytnego irlandzkiego pergaminu, dzieło irlandzkich artystów, został wręczony w darze znakomitemu fenomenologowi w imieniu wielkiego odłamu społeczeństwa, a towarzyszył temu dar w formie srebrnej szkatułki, gustownie pokrytej ornamentem o starym celtyckim wzorze. Dzieło to wystawia doskonałe świadectwo swym twórcom, panom Jacob agus Jacob. Odjeżdżający gość stał się ośrodkiem serdecznej owacji, a wielu z obecnych ogarnęło nie ukrywane wzruszenie, gdy orkiestra wybranych

irlandzkich kobziarzy zaintonowała dobrze znane tony Wróc do Erynu, po których niezwłocznie nastąpił Marsz Rakoczego. Beczki smoły i stosy drewna zapalano wzdłuż wybrzeży czterech mórz na szczytach Hill of Howth, Three Rock-Mountain, Sugarloaf, Bray Head, gór Mourne, Galtees, na wierzchołkach Ox, Donegal i Sperrin, na Nagles i Bograghs, na wzgórzach Connemary, na moczarach M'Gillicuddy, Slieve Aughty, Slieve Bernagh i Slieve Bloom. Pośród wstrząsających sklepieniem niebios okrzyków, którym zawtórowały okrzyki wielkich rzesz sympatyków na odległych wzgórzach Kambrii i Kaledonii, gigantyczny statek wycieczkowy odbił z wolna, pożenany ostatnim kwietnym hołdem reprezentantek płci pięknej, które stawiały się w wielkiej liczbie, a gdy płynął w dół rzeki, eskortowany przez flotyllę galarów, bandery na Kapitanacie Portu i Urzędzie Celnym opuszczono w pozdrowieniu, jak też i bandery na elektrowni w Gołębniku. Visszontlatdsra, kedves bardtom! Visszontldtdsra! Choć odległy, lecz niezapomniany.

Na Boga, sam diabeł by go nie powstrzymał, póki nie pochwycił tego pieprzonego pudła i nie wyskoczył z nim i z małym Alfem uczepionym u ramienia, a wrzeszczał przy tym jak zarzynana świnia; śliczne to było jak te pieprzone sztuki w Queen's Royal teatrze.

- Gdzie on jest? Zabiję go! A Neda i J. G. sparaliżowało ze śmiechu.

- Pieprzony bój, powiadam do siebie, zdążę na ostatnią ewangelię. Ale szczęście chciało, że woźnica zawrócił szkapę w przeciwnym kierunku i uwiózł go.

- Czekaj, Obywatelu, powiada Joe. Stój!

Na Boga, odwinął się, zamachnął i wypuścił to. Bogu dzięki, że miał słońce w oczy, boby go trupem położył. Na Boga, cisnął to prawie do hrabstwa Longford. Pieprzona szkapę przestraszyła się, a stary kundel pognął za pojazdem jak sam pieprzony diabeł, a wszyscy gapie wrzeszczą i śmieją się, a to blaszane stare pudło klekocze po ulicy.

Była to straszliwa katastrofa i natychmiastowe przyniosła skutki. Obserwatorium w Dunsink zarejestrowało w sumie jedenaście wstrząsów, wszystkie piątego stopnia skali Mercallego, a nie posiadamy relacji o podobnym wstrząsie sejsmicznym na naszej wyspie od czasu trzęsienia ziemi w roku 1534, roku rebelii Jedwabnego Thomasa. Wydaje się, że epicentrum mieściło się na terenie naszej metropolii, w okolicach dzielnicy Inn's Ouay i parafii świętego Michana, obejmując powierzchnię czterdziestu jeden i pół akrów i jednego pręta kwadratowego. Wszystkie wielko-pańskie rezydencje w sąsiedztwie pałacu sprawiedliwości zostały zniszczone, a sam ów dostojny budynek, w którym w chwili katastrofy prowadzono wielkiej wagi debaty prawnicze, zamienił się dosłownie w masę rumowisk, pod którymi, jak można się obawiać, pogrzebani zostali żywcem wszyscy znajdujący się w nim ludzie. Z relacji naocznych świadków wynika, że falam sejsmicznym towarzyszyły gwałtowne zaburzenia atmosferyczne cyklonicznego charakteru. Nakrycie głowy, w którym rozpoznano już własność wielce szanowanego koronnego urzędnika sądowego pana George'a Fottrella, i jedwabny parasol ze złotą rączką o wyrytych na niej inicjałach, tarczy herbowej i numerze domu znanego uczonego i czcigodnego przewodniczącego kwartalnych sesji sądowych sir

Fredericka Falkinera, prezesa trybunału dublińskiego, zostały odnalezione w odległych okolicach wyspy przez grupy poszukiwaczy, pierwsze na trzecim bazaltowym tarasie Gianfs Causeway, drugie - zaryte na głębokość stopy i trzech cali w piaszczystą plażę zatoki Holeopen w pobliżu pradawnego przylądka Kinsale. Inni naoczni świadkowie zeznają, że zaobserwowali ogromnych rozmiarów rozżarzony obiekt lecący z niezwykłą prędkością w atmosferze po trajektorii z kierunku zachód-południowy-zachód. Listy wypełnione kondolencjami i wyrazami współczucia napływają o każdej godzinie z wszystkich części wielu kontynentów, a ojciec święty zechciał łaskawie nakazać specjalną missapro defunctis, która zostanie odprawiona równocześnie przez ordynariuszy wszystkich katedralnych kościołów podległych władzy duchownej Stolicy Apostolskiej za dusze zmarłych wiernych, odwołanych tak niespodzianie spośród naszego grona. Prace ratunkowe, usuwanie rumowisk, szczątków ludzkich etc. zostały powierzone panom Michaelowi Meade i Synowi, 159, Great Brunswick Street, i panom T. i C. Martin, 77, 78, 79 i 80 przy North Wali, wspomagany przez szeregowych i oficerów pułku lekkozbrojnej piechoty Księcia Kornwalii, pod ogólnym nadzorem J. K. Wys. vice-admirała, czcigodnego sir Herkulesa Hannibala Habeas Corpus Andersena, Kawalera Orderu Podwiązki, Kawalera Orderu Świętego Patryka, Kawalera Orderu Ostu, Członka Rady, Komandora Orderu Łaźni, Członka Parlamentu, Sędziego Pokoju, Doktora Medycyny, Kawalera Orderu Zasłużonych, Orderu Zasłużonych Kawalera, Wielkiego Łowczego, Członka Królewskiej Irlandzkiej Akademii, Magistra Praw, Doktora Nauk Muzycznych, Administratora Stowarzyszenia Dobroczyńnego, Członka Trinity College w Dublinie, Członka Królewsko-Irlandzkiego Uniwersytetu, Członka Królewsko-Irlandzkiego Fakultetu Medycznego, Członka Królewsko-Irlandzkiego Instytutu Chirurgii.

Niczego takiego nie widzieliście nigdy w całym swoim zakichanym życiu. Na Boga, jeśli by dostał przypadkiem w łeb tym bilecikiem loteryjnym, popamiętałby na całe życie ten złoty puchar, oj, popamiętałby, ale na Boga, Obywatela przymknęliby za czynne znieważenie i uszkodzenie ciała, a Joego za pomoc i podjudzanie. Ten woźnica, gnając tak na łeb na szyję, uratował mu życie, to pewne jak to, że Bóg stworzył Mojżesza. Co? O Jezu, uratował. A tamten puścił za nim wiązaną przekleństw.

- Zabiłem go, powiada, czy nie? I wrzeszczy na tego pieprzonego psa:

- Bierz go, Garry! Bierz go, chłopcze!

I ostatnie, cośmy widzieli, to ten pieprzony pojazd zakręcający na rogu, z tą starą owczą głową gestykulującą w środku, i tego pieprzonego kundla, który położył słuchy po sobie i gnał za nimi ile pieprzonych sił w nogach, żeby go rozedrzeć na sztuki. Sto za pięć! Jezu, odebrał mu ich wartość, mogę wam zaręczyć.

A obaczcie, jako wonczas ogarnęła ich wszystkich jasność wielka i ujrzeli rydwan, na którym stał On, wznoszący się ku niebu. I ujrzeli Go na rydwanie owym, okrytego chwałą jasności, odzianego w szaty jakoby słoneczne, pięknego jako miesiąc, a tak straszliwego, iż z obawy

wejrzeć Nań nie śmieli. I dał się słyszeć głos z nieba wołający: Eliaszu! Eliaszu! A odpowiedział On głosem wielkim: Abba! Adonai! I ujrzeni Go, a tak. Jego samego, ben Blooma Eliasza, pośród obłoków anielskich wstępującego ku chwale światłości pod kątem czterdziestu pięciu stopni ponad szynkiem Donohoego przy Little Green Street, jakby go kto na łopacie podrzucił.

LETNI WIECZÓR JĄŁ OGARNIAĆ ŚWIAT SWYM TAJEMNYM UŚCIŚNIENIEM. HEN NA

zachodzie słońko układało się już do snu i ostatni promień jakże przelotnego dnia zawisł miłośnie na morzu, na piaszczystym wybrzeżu, na dumnej wyniosłości drogiego, starego Howth, strzegącego wiekuiście wód zatoki, na zieleniejących wodorostami skałach, co biegły wzdłuż wybrzeża Sandymount, a wreszcie, lecz nie najmniej przecie, na cichym kościele, z którego chwilami nadpływały, niby strumyk szemrzący pośród ciszy, modły wznoszone ku Tej, której przeczysta jasność jest jako promień przewodnik miotanemu burzami sercu człowieczemu, ku Maryi, gwieździe morza.

Trójka przyjaciółek przysiadła na skałach radując się widokiem wieczoru i powiewem, co choć orzeźwiał, wszakże nie był zbyt przejmujący. Często przychodziły do owego ulubionego zakątka na miłą pogawędkę w pobliżu fal migotliwych, aby rozstrząsać tu swe sprawy dziewczęce, Cissy Caffrey i Edy Boardman z dzieciątkiem w wózek, a wraz z nimi Tomek i Jacky Caffrey, dwaj mali chłopcy o kędzierzawych główkach, odziani w marynarskie ubranka i także czapeczki z nazwą H.M.S. Belleisle wypisaną na obu. Tomek i Jacky Caffrey były to bliźnięta, lat cztery zaledwie sobie liczące, bliźnięta czasem hałaśliwe wielce i nad miarę rozpieszczone, lecz mimo to kochani to byli mali ludkowie o jasnych, radosnych twarzyczkach i ujmującym zachowaniu. Baraszkowali w piasku swymi łopatkami i kubeczkami, budując zamki dziecięcym obyczajem lub igrając wielką, różnobarwną piłką, radosne jak dzionek długi. Edy Boardman kołysała pyzate maleństwo w wózku, co sprawiało, że młody ów gentleman chichotał wręcz z ukontentowania. Liczył on sobie miesiące dopiero jedenaście i dni dziewięć, lecz choć był jeszcze tak maleńkim berbeciem, poczynił właśnie szczebiotać swe pierwsze dziecięce słówka. Cissy Caffrey pochyliła się nad nim, by połaskotać tłusciuteńki brzusek i milusieńki dołeczek w bródce.

- A teraz, dzieciąteczko, powiedziała Cissy Caffrey. Powiedz, głośno, głośno. Chcę łyczek wody.

A dzieciąteczko wypaplało za nią:

- Ycek ycek jody.

Cissy Caffrey uściskała pieszczoszka, gdyż bardzo lubiła dziatwę, a ileż cierpliwości umiała okazywać, gdy malcy chorowali! Tomek Caffrey nie zażył nigdy swego oleju rycynowego, jeśli Cissy Caffrey nie ścisnęła mu nosa i nie obiecała w zamian przylepki chleba żytniego polanej melasą. Jakąż moc przekonywania posiadało to dziewczę! Lecz możecie być pewni, że maleństwo było czystym złotkiem, malusieńkim cudnym pieszczoszkiem w nowym

ozdobnym śliniaczku. A nie była Cissy Cafrey żadną z owych zepsutych ślicznotek w rodzaju Florci Frywolci. I nigdy życiodajne tchnienie nie ożywiało dziewczęcia o sercu szczerzym, śmiech zawsze gościł w jej oczach cygańskich i żartobliwe słówko ma wargach czerwonych jak wiśnie; słowem, była dziewczką jak najbardziej uroczą. A Edy Boardman także roześmiała się słysząc osobliwą mowę swego małego braciszka.

Lecz właśnie wówczas wybuchła niewielka sprzeczka pomiędzy kawalerem Tomkiem i kawalerem Jacky. Chłopcy zawsze będą chłopcami, a nasza para bliźniąt nie była wyjątkiem od tej złotej reguły. Jabłkiem niezgody stał się pewien zamek z piasku, który Jacky wybudował, a Tomek (jako że lepsze jest wrogiem dobrego) pragnął ulepszyć architektonicznie przy pomocy frontowego wejścia, takiego, jakie posiadała wieża Martello. Lecz jeśli Tomek był uparty, to Jacky także okazał się nieprzejednany, a wierny przysłowiu, że dom każdego małego Irlandczyka jest jego zamkiem, runął na znienawidzonego rywala, i to z takim skutkiem, że niedoszły napastnik pożałował tego, a (przykro o tym opowiadać!) oblężony zamek także. Nie trzeba wspominać, że krzyk pokonanego Tomka zwrócił uwagę naszych przyjaciółek.

- Chodź tu, Tomku, zawołała rozkazująco jego siostra, natychmiast! A ty, Jacky, wstydz się, że przewróciłeś Tomka na brudny piasek. Zaczekaj, niech cię tylko złapię, pożałujesz tego.

Z oczyma zamglonymi od nie przelanych łez Tomek zbliżył się na jej zawołanie, gdyż słowo dużej siostrzyczki było prawem dla bliźniąt. W żalonym stanie znajdował się po wypadku. Jego maleńka czapeczka marynarska i majteczki pełne były piasku, ale Cissy była nieprześcignioną mistrzynią w sztuce usuwania maleńkich kłopotów życiowych i po krótkim czasie ani jednego ziarnka piasku nie można było dostrzec na jego ślicznym, małym ubranku. Lecz błękitne oczęta nadal pełne były wezbranych, lśniących, gorących łez, więc scałowała z nich krzywdczkę, pogroziła ręką winowajcy Jacky'emu i powiedziała, że gdy się znajdzie w pobliżu, to popamięta, a w oczach jej zalśniła nagana.

- Paskudny, bezwstydnny Jacky! zawołała. Otoczyła ramieniem maleńkiego żeglarza i żeby go udobruchać, powiedziała przymilnie:

- Jak ci na imię, kochanie? Czy truskaweczka w śmietanie?

- Powiedz nam, która jest twoją kochaneczką, rzekła Edy Boardman. Czy Cissy jest twoją kochaneczką?

- Neeee, powiedział Tomek przez łzy.

- Czy Edy Boardman jest twą kochaneczką? zapytała Cissy.

- Neeee, powiedział Tomek.

- A ja wiem, powiedziała Edy Boardman niezbyt przyjaźnie, spoglądając filuternie swymi krótkowzrocznymi oczyma. Wiem, kto jest Tomka kochaneczką. Gerty jest Tomka kochaneczką.

- Neeee, powiedział Tomek, bliski łez.

Zmysł macierzyński Cissy szybko odgadł, co tu szwankowało, i szepnęła do Edy Boardman, żeby zaprowadziła go tam, za wózek, gdzie panowie nie mogliby tego zauważyć, i żeby uważała, żeby nie zamoczył sobie nowych brązowych bucików.

Lecz kim była Gerty?

Gerty MacDowell, która przysiadła nie opodal swych towarzyszek i zagubiona w myślach spoglądała w dal, była w rzeczy samej tak nadobnym przykładem uroczego irlandzkiego dziewczęcia, jaki tylko można sobie wymarzyć. Wszyscy, którzy ją znali, zwali ją pięknnością, choć ludzie często mawiali, że dziedziczyła więcej po rodzie Giltrap niż MacDowell. Postać miała drobną i wdzięczną, nieco nawet, być może, kruchą, lecz owe pastylki z żelazem, które zażywała ostatnio, zrobiły jej masę dobrego, o wiele więcej niż kobiece pigułki Wdowy Welch; bardzo dobrze wpłynęły na te upławy, które miewała uprzednio, i na to uczucie zmęczenia. Woskowa bladość jej oblicza zdawała się niemal uduchowiona i posiadało ono czysty odcień kości słoniowej, choć usta niby pęk różany były prawdziwym łukiem Kupida w swej greckiej doskonałości. Dłonie miała z finezyjnie pożyczowanego alabastru, o wysmukłym palcach, tak białych, jak tylko sprawić to mogą sok cytrynowy i królewski krem, lecz nieprawdą było, że sypiała w kozłowych rękawiczkach lub że kąpała stopy w mleku. Bertha Supple powiedziała tak raz do Edy Boardman, kłamiąc rozmyślnie, gdy była na noże z Gerty (także i zaprzyjaźnione dziewczęta miewają oczywiście od czasu do czasu swe małe sprzeczki jak pozostali śmiertelnicy), i powiedziała jej, żeby się nie wygadała, cokolwiek by się wydarzyło, że to ona jej powiedziała, bo nigdy by się już do niej nie odezwała. Nie. Trzeba oddać każdemu, co mu należy. Gerty posiadała wrodzoną dystynkcję, pewną omdlewającą nieco, królewską hauteur, którą można było nieomylnie dostrzec w jej delikatnych dłoniach i wysokim podbiciu stóp. Gdyby dobry los pozwolił jej urodzić się damą wysokiego rodu, posiadającą własny tytuł, i gdyby tylko otrzymała dobrodziejstwo wykształcenia, Gerty MacDowell mogłaby z łatwością iść w zawody z każdą damą w kraju i ujrzałaby się w wytwornym stroju, z klejnotami nad czołem i patrycjuszowskimi zalotnikami u stóp, ubiegającymi się jeden przez drugiego, aby móc złożyć jej swe hołdy. Być może, właśnie to, owa miłość, która mogła zrodzić się, oblekała chwilami ową łagodną twarzyczkę wyrazem napięcia pochodzącego jakby od nie wypowiedzianych myśli, co sprawiało, że piękne te oczy spoglądały zadziwiająco tęsknie, a tak czarownic, że niewielu tylko mogło się im oprzeć. Czemuż to kobiety posiadają tak czarnoksiężskie oczy? W oczach Gerty jaśniał ów najbłękitniej szy irlandzki błętkit, obramowany lśniącymi rzęsami i ciemnymi, wyrazistymi brwiami. Był czas, gdy rzęsy te nie były tak jedwabście uwodzące. To madame Vera Verity, redaktorka kolumny Piękna Kobieta w Nowościach z Wyższych Sfer, pierwsza poradziła jej spróbować do brwi henny, która nadała oczom ów pełen niepokoju wyraz, tak gustownie

przedstawiany w wytwornych magazynach: nigdy tego nie pożałowała. Poza tym, było tam rumienienie się jest naukowo uleczalne i jak być wysoką powiększ swój wzrost i masz piękną twarz lecz twój nos? To by pasowało do pani Dignam, bo miała taki kartoflasty. Lecz koronną zaletą Gerty było bogactwo cudownych włosów. Były one ciemnobrązowe i falowały naturalnie. Przycięła je tego ranka ze względu na nów księżycy i otaczały jej śliczną główkę przepychem bujnych pukli, a paznokcie obcięła także. Kto w czwartek obetnie, ten się ma świetnie. A oto teraz, gdy po słowach Edy zdradziecki rumieniec, delikatny jak najbledszy pąk róży, pojawił się na jej policzkach, wyglądała tak urodziwie w swym pełnym słodczy dziewczęcym zawstydzaniu, że piękna, boska kraina irlandzka z pewnością nie posiadała ni jednej, która mogłaby jej dorównać.

Przez chwilę milczała, spuściwszy zasmucone oczy. Chciała odpowiedzieć, lecz coś powstrzymało słowa na końcu języka. Chęć skłaniała, by odpowiedzieć, godność nakazywała milczenie. Śliczne wargi wydęły się na krótką chwilę, lecz gdy uniosła oczy, zaśmiała się cicho i radośnie, a w śmiechu jej była cała świeżość majowego poranka. Wiedziała, co kazało powiedzieć zezowatej Edy, że ostygł on w swych zapalach, podczas gdy była to tylko sprzeczka zakochanych. Jak zwykle, dało to komuś po nosie, że ten chłopak bez przerwy jeździ tam i na powrót na rowerze przed jej oknem. Tylko że teraz ojciec trzymał go wieczorami w domu i musiał się uczyć, żeby dostać stypendium, a potem, kiedy ukończy szkołę średnią, pójdzie do Trinity College, żeby wyuczyć się na doktora jak jego brat W. E. Wylie, który brał udział w wyścigach rowerowych uniwersytetu Trinity College. Być może, niewiele dbał on o to, co czuła, o ową bolesną, głuchą pustkę, która chwilami do głębi przeszywała jej serce. Lecz był młody i być może nauczy się kiedyś kochać ją. Rodzinę miał protestancką, a Gerty wiedziała oczywiście. Kto idzie pierwszy, a po Nim najświętsza Panna i wreszcie święty Józef. Lecz był bezspornie przystojny, nos miał arystokratyczny i był tym, na kogo wyglądał, gentlemanem w każdym calu, kształt głowy też miał taki; patrząc z tyłu, kiedy był bez czapki, wszędzie by go poznała, było w nim coś tak niepospolitego, a i sposób, w jaki skręcał na rowerze pod latarnią, zdjawszy ręce z kierownicy, i ten miły zapach dobrych papierosów, poza tym, oboje byli tego samego wzrostu i właśnie dlatego Edy Boardman myślała, że jest taka okropnie sprytna, bo nie przejeżdżał tam i na powrót przed tym jej kawałkiem ogródka.

Gerty ubrana była z prostotą, lecz z owym instyntywnym dobrym smakiem wiernej poddanej Pani Mody, gdyż przeczuwała, że może będzie on mógł wyjść. Gładka jasnobłękitna bluzka, którą sama pofarbowała barwnikiem w kuleczkach (ponieważ Zwierciadło Damy wyraziło przypuszczenie, że jasny błękit będzie się nosiło), ze zgrabnym trójkątnym wycięciem, sięgającym ku granicy piersi, i z kieszonką dla chusteczki (w której trzymała zawsze kłębuszek waty nasycony ulubioną perfumą, ponieważ chusteczka psułaby linię) oraz trzyćwierciowa granatowa spódnica, rozcięta z boku i podkreślająca smukłość jej wdzięcznej kibici. Nosila kokieteryjny, maleńki kapelusik cudo z szerokolistnej trawy murzyńskiej, obramowany od spodu kontrastującym żółtym kordonkiem z kokardką w tym samym odcieniu. We wtorek polowała przez całe popołudnie na coś, co pasowałoby do tego

kordonka, i w końcu znalazła to, czego szukała, na letniej wyprzedaży u Clery'ego, dokładnie to, choć trochę przybrudzone w sklepie, ale nigdy byście tego nie zauważyli, po dwa szylingi i pens za łokieć. Wykonała wszystko sama i jakaż była jej radość, gdy przymierzyła go uśmiechając się do uroczego odbicia, które ofiarowało jej zwierciadło! A gdy włożyła go na dzbanek, żeby nie stracił fasonu, wiedziała już, że odbierze on wiele blasku paru znanym jej osobom. Jej pantofelki należały do ostatnich nowości w tej dziedzinie (Edy Boardman szczyciła się, że posiada nóżkę bardzo petite, ale nigdy nie miała stopy jak Gerty MacDowell, piątki, i nigdy nie będzie miała, prędzej jej włosy na dłoni wyrosną), z lakierowanymi szpicami i tylko jedną elegancką sprzączką z boku, przy wysokim podbiciu. Jej piękne utoczone kostki uwydatniały swe doskonałe proporcje pod spódnicą, odsłaniającą jedynie tyle, ile wypadało, ani odrobinę więcej, jej kształtne nogi obciążone pięknie utkanymi pończochami o wysoko wszytych piętach i szeroką zakładką u góry dla podwiązek. Jeśli mowa o spodniej bieliźnie, stanowiła ona główną troskę Gerty, a ten, kto zna roztrzepotane nadzieje i lęki słodkiej siedemnastej wiosny (choć Gerty nigdy już nie miała ujrzeć siedemnastej wiosny), jakże znajdzie w sercu swym przyganę dla niej? Posiadała cztery rozkoszne komplecikiienne, trzyczęściowe, bardzo pięknie wyszywane, a poza tym dodatkowo nocne koszulki, każda ściągnięta wstążką innego koloru, różową, bładoniebieską, lila i barwy młodego groszku, przewietrzała je i płukała w farbce, gdy powracały do domu z pralni, prasowała je i miała cegłę, na której stawiała żelazko, ponieważ nie mogła zawierzyć praczkom, widząc, jak potrafią każdą rzecz przypalić. Dziś, piastując beznadziejną nadzieję, włożyła niebieskie majteczki na szczęście; był to jej kolor, a poza tym kolor szczęśliwy, na przykład dla panny młodej, jeżeli miała na sobie coś niebieskiego, ponieważ te zielone, które miała na sobie przed tygodniem, przyniosły smutek, bo jego ojciec kazał mu siedzieć w domu i przygotowywać się do tego egzaminu stypendialnego, i ponieważ pomyślała, że może on jednak wyjdzie, ponieważ włożyła te swoje stare na lewą stronę, ubierając się dziś rano, a to oznaczało szczęście i spotkanie zakochanych, o ile oczywiście nie przydarzało się w piątek.

A jednak, a jednak! Ów wyraz napięcia w jej rysach! Ból nękający kryje się w nich przez cały czas. Dusza jej cała widoczna jest w oczach i dałaby światy, by móc znaleźć się w odosobnieniu swego przytulnego pokoju, gdzie, dając upust łzom, mogłaby się wypłakać i ulżyć trzymanym na wodzy uczuciom. Ale nie nazbyt, gdyż wiedziała, jak należy płakać ładnie przed lustrem. Jesteś piękną, Gerty, mówiło ono. Nikły blask wieczoru pada na twarzyczkę nieskończenie smutną i rzewną. Gerty Mac Dowell wzdycha nadaremnie. Tak, od początku wie ona, że ów sen na jawie o małżeństwie, o weselnych dzwonach bijących dla pani Reggy Wylie T.C.D. (ponieważ ta, która wyjdzie za starszego brata, będzie panią Wylie) i o notatce w dziale towarzyskim, że pani Gertruda Wylie miała na sobie kosztowną szarą toaletę obramowaną przepyszny niebieskim lisem, nie nastąpi. Był zbyt młody, by zrozumieć. Nie zawierzyłby miłości, która jest dziedzicznym prawem kobiety. Owej nocy na zabawie u Stoera (nosił jeszcze wówczas krótkie spodenki), gdy znaleźli się sami i otoczył ramieniem jej kibić, nawet wargi jej pobladły. Dziwnie ochrypłym głosem nazwał ją maleńką i skradł pół pocałunku (pierwszego!), ale było to tylko w czubek nosa, a później wyszedł

pospiesznie z pokoju, rzucając uwagę o jakimś odświeżającym napoju. Popędliwiec! Siła charakteru nigdy nie była mocną stroną Reggy Wylie'ego, a ów, który pragnie zalecać się do Gerty MacDowell i zdobyć ją, musi być mężem ponad męża. Lecz wyczekiwać, wciąż wyczekiwać, że ktoś się oświadczy, a to był przecież rok przestępny i wkrótce minie. Żaden królewicz z bajki nie jest owym ideałem, który ma złożyć swą rzadką i cudowną miłość u jej stóp, lecz jest nim raczej mężczyzna męski, o obliczu pełnym siły i spokoju, który nie znalazł dotąd swego ideału; włosy jego będą, być może, lekko przyprószone siwizną, potrafi ją zrozumieć, ukryje w swych ramionach, przytuli do siebie całą mocą swej głębokiej, namiętnej natury i pocieszy długim, długim pocałunkiem. Byłoby to niebiańskie. Za takim jak on tęskni w ów balsamiczny letni wieczór. Całym sercem pragnie być jego jedynie, jego zaślubioną żoną w biedzie i bogactwie, w zdrowiu i chorobie, nim śmierć nas rozłączy, i niechaj się tak stanie.

Podczas gdy Edy Boardman była z małym Tomkiem za wózkiem, ona rozmyślała o tym, czy kiedykolwiek nadejdzie dzień, gdy będzie mogła nazwać się jego maleńką przyszłą żoneczką. Później mogą sobie o niej gadać do sęka, aż im gęba popęka, Bertha Supple i ta wiedźma Edy, ponieważ w listopadzie skończy dwadzieścia dwa lata. Zadbałaby też o jego wygody, bo Gerty posiadała przemyślność kobiecą i wiedziała, że mężczyzna lubi to uczucie zadomowienia. Jej przyrumienione na złotobrazowy odcień placuszki i pudding królowej Anny, posiadający tak doskonałą miękkość, zyskały jej jak najlepszą opinię u wszystkich, ponieważ miała także szczęśliwą rękę w rozniecaniu ognia, wyrabianiu dobrego, samorosnącego ciasta i zawsze kręć w tym samym kierunku potem śmietana mleko i cukier i ubij dobrze białka, chociaż nie lubiła jedzenia w obecności ludzi, którzy ją żenowali, i często zastanawiała się, dlaczego nie można by jeść czegoś poetyckiego, jak fiołki albo róże, i mieliby pięknie urządzony salon z obrazami i sztychami, i fotografią psa dziadka Giltrapa, tego prześlicznego Garryowena, który niemal mówił, tak był ludzki, i perkalowe pokrowce na krzesłach, i tę srebrną kratę na grzanki z letniej wyprzedaży rozmaitości u Clery'ego, taką jaką mają w bogatych domach. Byłby wysoki i miałby szerokie ramiona (zawsze marzyła o wysokim mężu) i lśniące białe zęby pod równiuteńko przyciętym gładkim wąsikiem i pojechaliby do Europy na miodowy miesiąc (trzy cudowne tygodnie!), a później, kiedy osiedliby już na stałe w miłym, przytulnym i zacisznym domku, każdego ranka zjadaliby wspólnie śniadanko, proste, lecz znakomicie przyrządzone, tylko dla nich dwojga, a zanim on wyszedłby do swoich interesów, obdarzyłby maleńką, drogą żoneczkę serdecznym uściskiem i zajrzałby na chwilę głęboko w jej oczy.

Edy Boardman zapytała Tomka Caffreya, czy już skończył, a on powiedział, że tak, więc zapięła guziczki jego małych spodenek i powiedziała, żeby teraz pobiegł bawić się z Jackym i żeby byli grzeczni i nie bili się. Ale Tomek powiedział, że chce piłkę, a Edy powiedziała mu, że nie, że maleństwo bawi się piłką i jeżeli mu ją zabierze, to drzazgi z niego polecą, ale Tomek powiedział, że to jego piłka, i zaczął wierzgać, rzuciwszy się na ziemię, wyobrażcie sobie! Ależ ma usposobienie! O! był to już mężczyzna, ten maleńki Tomek Caffrey, gdy tylko

wylazł z pieluszek. Edy powiedziała mu, że nie, nie i niech zjeżdża stąd, i powiedziała Cissy Caffrey, żeby mu nie ustępowała.

- Nie jesteś moją siostrzyczką, powiedział niegrzeczny Tomek. To moja piłka.

A Cissy Caffrey powiedziała do maleństwa Boardman, żeby spojrzało w górę na jej palec, i szybko porwała piłkę, i cisnęła ją na piasek, a Tomek pognął za nią galopem jako tryumfator.

- Wszystko za spokojne życie, roześmiała się Ciss.

I połaskotała malucha w oba policzki, żeby zapomniał, i pokazała mu sroka wrona kaszkę gotowała temu dała temu dała temu dała a temu nic nie dała i frrrrrr poleciała. Ale Edy stała się nagle zła jak osa przez to, że postawił na swoim dlatego, że zawsze wszyscy mu ustępowali i rozpieszczali go.

- Dałabym mu, powiedziała, oj dałabym, nie powiem w co.

- W deupeę, zaśmiała się Cissy wesoło.

Gerty MacDowell pochyliła głowę i pokryła się szkarłatem na myśl o tym, że Cissy powiedziała głośno coś tak nie przystojącego damie, czego ona za nic w świecie nie powiedziałaby głośno; zarumieniała się jak piwonia, a Edy Boardman powiedziała, że na pewno ten pan, który siedzi nie opodal, usłyszał, co powiedziała. Ale Ciss nie obeszło to ani tyle.

- Niech tam! powiedziała potrząsnawszy zuchwale głową i zadzierając nosa. Dałabym i jemu w to samo miejsce, ani by się spostrzegł.

Zwariowana Ciss z tymi swoimi lokami jak u stracha na wróble. Nie można było się nie śmiać z niej czasem. Na przykład, kiedy cię pytała, czy nie zechciałabyś jeszcze trochę chińskiej herbaty i kalinowych monfityr, albo kiedy malowała dzbanki i ludzkie twarze na paznokciach czerwonym atramentem, można było wtedy boki zrywać, albo kiedy chciała pójść, wiadomo gdzie, i mówiła, muszę złożyć wizytę Białej Damie. Taka już ona była, ta Cissunia. Och, a czy zapomnicie kiedykolwiek ów wieczór, kiedy ubrała się w garnitur i kapelusz swego ojca, zrobiła sobie wąsy palonym korkiem, a potem przeszła przez Tritonville Road, paląc papierosa? Nikt nie mógł się równać z nią, gdy chodziło o żarty. Ale była chodzącą pocziwością, jednym z najdzielniejszych i najwierniejszych serduszek, jakie Niebo kiedykolwiek stworzyło, nie było w niej nic z tych waszych dwulicowych stworzeń, zbyt słodkich, aby były szczere.

Powietrzem nadbiegi odgłos pieśni i grzmot organów. Były to rekolekcje wstrzemięźliwości dla mężczyzn prowadzone przez misjonarza, wielbnego Johna Hughe-sa S. J., różaniec, kazanie i błogosławieństwo wiernych Najświętszym Sakramentem. Zebrali się nie zważając na różnice klas społecznych (a był to dla oczu najbardziej budujący widok) w owej skromnej świątyni nie opodal fal morskich, znużeni burzami tego marnego świata, aby ukłknąć u

stóp Niepokalanej, odmawiając litanie do Naszej Pani Loretańskiej, błagając ją, aby była im orędowniczką, starymi, znajomymi słowami, święta Mario, święta Panno nad pannami. Jakże smutnie to brzmiało w uszach biednej Gerty! Gdyby tylko jej ojciec ustrzegł się szponów demona pijaństwa, składając ślubowanie albo biorąc te proszki z ogłoszeń w Pearson's Weekly, które leczyły pijaństwo, mogłaby teraz jeździć własnym powozem, nie ustępując nikomu. Wciąż na nowo powtarzała to sobie, rozmarzona przy dogasających węglach, pogrążona w głębokiej zadumie, przy nie zapalanej lampie, gdyż nienawidziła dwu światel równocześnie, lub często spoglądając sennie godzinami na deszcz padający w zardzewiałe wiadro, zamyślona. Lecz ów wściekły wywar, który zrujnował tak wiele rodzin i ognisk domowych, rzucił cień na dni jej dzieciństwa. Tak, była nawet w kręgu domowym świadkiem czynów gwałtownych, wywołanych niepowściągliwością, i widziała swego własnego ojca, ofiarę oparów intoksykacji, gdy zapominał się zupełnie, a jeśli Gerty była czegoś pewna, to tego, że mężczyzna podnoszący na kobietę rękę, która miała jej nieść jedynie serdeczność, winien być napiętnowany jako najnikczemniejszy z nikczemnych.

I nadal głosy wyśpiewywały suplikację do Panny Moźnej, Panny Łaskawej. A Gerty, spowita myślami, nie dostrzegała niemal i nie słyszała swych towarzyszek ni bliźniąt w ich chłopięcych igraszkach, ni tego gentlemana, który nadszedł od strony Sandymount Green, a którego Cissy Caffrey nazwała człowiekiem podobnym do ojca, kiedy idzie na przechadzkę wzdłuż brzegu. Nigdy nie widywało się go podchmielonym, ale pomimo to nie chciałyby go mieć za ojca, może dlatego że był za stary, albo może ze względu na jego twarz (każdy kocha kogo może, drogi panie doktorze), albo ze względu na purpurowy nos pokryty brodawkami i lniany wąs, siwiejący pod tym nosem. Biedny ojciec! Pomimo wszystkich jego błędów kochała go nadal, gdy śpiewał Mary, rzeknij, jak cię zdobyć, albo Mila moja i domek opodał Rochelle, a na kolację jedli duszone ślimaki i sałatę z majonezem konserwowym Lazenby'ego, albo śpiewał Księżyc już wzeszedł razem z panem Dignamem, który umarł tak nagle i jest pochowany. Boże ulituj się nad nim, na atak serca. Były wtedy urodziny matki i Charley był w domu na wakacjach i Tom i pan Dignam i pani Dignam i Patsy i Freddy Dignam i mieli sobie zrobić fotografię grupową. Nikt by nie przypuszczał, że koniec jest tak bliski. Teraz złożyli go na spoczynek. A matka powiedziała do ojca, że niech to będzie dla niego ostrzeżeniem aż do końca dni jego, a on nie mógł nawet pójść na pogrzeb przez tę podagrę i musiała pójść do miasta, żeby mu przynieść z biura listy i próbki korkowego linoleum Catesby'ego, artystyczne znormalizowane desenie, godne pałaców, nie do zużycia, rozweselają i rozjaśniają dom.

Dobrą jak najczystsze złoto córką była Gerty, zupełnie jak gdyby w domu była drugą matką, aniołem opiekuńczym z serduszkem na wagę czystego złota. A kiedy matka miewała te wściekle, rozdzierające bóle głowy, któż jak nie Gerty nacierał jej czoło mentolową pałeczką, choć Gerty bardzo nie lubiła, gdy matka zażywała tabakę, i były to jedyne sprzeczki pomiędzy nimi o to zażywanie tabaki. Wszyscy wychwalali ją pod niebiosa za tę jej delikatność. To Gerty zamykała co wieczór główny przewód gazowy i to Gerty także przybiła w tym przybytku, w który nigdy nie zapominała co dwa tygodnie wrzucić chloranu wapnia,

otrzymany na Boże Narodzenie ze sklepu spożywczego pana Tunneya kalendarz, przedstawiający dni halcyońskie, na którym młody gentleman w stroju noszonym wówczas i w trojgra-niastym kapeluszu ofiarowywał przez drewnianą kratę w oknie bukiet kwiatów swej ukochanej damie, pełen staroświeckiej rycerskości. Można było dostrzec, że wiąże się to z jakąś historią. Barwy były wykonane cudownie. Ona ubrana w obcisłą biel stała w wystudiowanej pozie, a gentleman był w czekoladowym ubiorze i wyglądał jak prawdziwy arystokrata. Często spoglądała na nich marząco, gdy znajdowała się tam dla wiadomej przyczyny i głaskała swe ramiona, które były równie białe i miękkie jak u tamtej, z rękawami odrzuconymi do tyłu, i rozmyślała o owych czasach, ponieważ w słowniku wymowy Walkera, należącym do dziadka Giltrapa, znalazła te halcyońskie dni i co one oznaczają.

Bliźnięta bawiły się teraz w najbardziej braterski i godny uznania sposób, aż wreszcie mały Jacky, który w rzeczywistości był piekielnie bezczelny, tego się nie da ukryć, naumyślnie kopnął piłkę tak mocno, jak tylko mógł, w dół ku pokrytym wodorostami skałom. Nie trzeba dodawać, że biedny Tomek nie ociągał się z wyrażeniem swego zaskoczenia, ale na szczęście ten gentleman w czerni, który siedział tam samotnie, ruszył rycersko na ratunek i pochwycił piłkę. Nasi dwaj współzawodnicy zażądali wielkim głosem swej zabawki i żeby uniknąć zatargów, Cissy Caffrey zawołała do tego gentlemana, czy nie mógłby cisnąć jej piłki, bardzo go o to prosi. Ten gentleman zamierzył się piłką raz i drugi, a potem rzucił nią w górę wzdłuż plaży ku Cissy Caffrey, ale stoczyła się po pochyłości i zatrzymała akurat pod spódnicą Gerty, obok małej sadzawki przy skale. Bliźnięta znowu podniosły wrzawę, Cissy powiedziała jej, żeby kopnęła, i niech sobie walczą o nią, więc Gerty cofnęła stopę, ale pragnęła, żeby ta głupia piłka nie stoczyła się ku niej, kopnęła, ale nie trafiła, a Edy i Cissy roześmiały się.

- Gdy ci się raz nie uda, cierpliwość robi cuda, powiedziała Edy Board-man.

Gerty uśmiechnęła się na znak zgody i przygryzła wargi. Delikatny rumieniec wpelzł na jej śliczne policzki, ale postanowiła, że im pokaże, więc uniosła tylko troszkę spódniczkę, troszkę, ale akurat dosyć, wycelowwała dobrze i kopnęła piłkę porządnie, i poleciała ona daleko, daleko, a bliźnięta za nią w stronę nadmorskich głazów. To była czysta zazdrość i nic więcej, oczywiście, żeby ściągnąć uwagę tego gentlemana, który siedział naprzeciw i przyglądał się. Uczuła, że oblewa ją fala gorąca, a był to zawsze sygnał niebezpieczeństwa dla Gerty MacDowell, wzbierająca i rozplamienająca się na policzkach. Aż do tej chwili wymienili tylko najbardziej zdawkowe spojrzenia, ale teraz spod rąbka swego nowego kapelusza odważyła się spojrzeć na niego, a oblicze, które napotkało jej wzrok w świetle zmierzchu, o pobladłych i dziwnie ściągniętych rysach, wydało jej się najsmutniejszym z wszystkich, jakie kiedykolwiek widziała.

Przez otwarte okna kościoła wypływała woń kadzideł, a z nią wonne imiona tej, która została bez zmayı pierwotnej poczęta, naczynie duchowne, módl się za nami, naczynie poważne, módl się za nami, naczynie osobliwego nabożeństwa, módl się za nami, różo duchowna. A były tam serca udręczone i ci, którzy trudzą się w pocie czoła dla chleba swego

powszedniego, i wielu, którzy zgrzeszyli i pobłądzili, z oczyma zwilżonymi skrucą, lecz mimo to rozjaśnionymi nadzieją, gdyż wielebny ojciec Hughes opowiedział im, co wielki święty Bernard wyrzekł w swej sławnej modlitwie maryjnej o orędowniczej pomocy Najświętszej Panny, że nigdy nie zanotowano faktu, aby ci, którzy błagali o jej wszechmocne wstawiennictwo, byli kiedykolwiek przez nią opuszczeni.

Bliźnięta ponownie baraszkowały teraz wesoło, gdyż troski dzieciństwa są jak ów przelotny deszczyk letni. Cissy rozbawiła maleństwo Boardman, aż piszczało ono z uciechy, klaszcząc dziecięcymi rączkami w powietrzu. Hop, hop, zawołała spoza budki wózka, a Edy zapytała, gdzie zniknęła Cissy, a wtedy Cissy wystawiła głowę i zawołała, hej! i daję wam słowo, jakże ten maleńki człowieczek ucieszył się tym! A później kazała mu powiedzieć tata.

- Powiedz tata, maleństwo. Powiedz ta ta ta ta ta ta.

A maleństwo robiło wszystko, co w jego mocy, żeby powiedzieć, bo było bardzo inteligentne, wszyscy tak twierdzili, jak na swoich jedenaście miesięcy i duże jak na swój wiek i było prawdziwym okazem zdrowia, istny kochaneczek, i na pewno wyrośnie z niego ktoś bardzo wielki, tak mówili.

- Hajta, tajta, hajta.

Cissy wytarła mu zaślinione usteczka śliniaczkiem i chciała, żeby usiadł porządnie i żeby powiedział ta ta ta ta, ale kiedy odpięła rzemyki, zawołała. Boże święty, że jest przemoczony do nitki i żeby przewrócić koc na drugą stronę, złożyć na pół i podsunąć pod niego. Oczywiście, jego niemowlęca mość opierał się, jak mógł, tego rodzaju toaletowym zabiegom i rozgłosił to wszystkim.

- Habaa baaaahabaaa baaaa.

I dwie ogromne, urocze łzy spłynęły po jego policzkach. Nic nie pomogło uspokajanie przy pomocy luli luli, nie, nie, nie, maleństwo, i opowiadanie mu o pupu i frufru, i gdzie może być tututu, ale Ciss, jak zawsze pomysło- • wa, wsunęła mu w usta smoczek z butelki i maleńki poganin dał się szybko udobruchać.

Gerty błagała Opatrzność, żeby zabrały to piszczące dziecko do domu i przestały ją denerwować, zresztą to nie była już pora dla niego, żeby się znajdowało na powietrzu, i żeby wzięły tych dwóch bachorów bliźniaków. Musnęła spojrzeniem dalekie morze. Było ono jak owe obrazki, które ten człowiek namalował na chodniku kolorowymi kredkami, i jaka szkoda, że trzeba je było tam pozostawić, żeby je zdeptano, ten wieczór i te nadchodzące chmury, i latarnia Bailey na Howth,

a jeszcze móc słyszeć taką muzykę i woń tych kadzideł płonących w kościele jak tchnienie. A gdy tak patrzyła, serce jej zatrzepotało. Tak, to w nią się wpatrywał, a we wzroku jego było ukryte znaczenie. Jego płonące oczy wpiły się w nią, jak gdyby chciały przesyć na wskroś, odczytać całą jej duszę. Cudowne były to oczy, pełne wyrazu, lecz czy można było im zaufać?

Ludzie byli tak dziwni. Patrząc na jego ciemne oczy i blade, myślące oblicze, od razu zrozumiała, że był cudzoziemcem, dokładnym odbiciem fotografii Martina Haryeya, którą miała, bożyszczą popołudniowych przedstawień, gdyby nie wąsik, który wołała, bo nie oszalała na punkcie sceny jak Winny Ripplingham, która chciała, żeby się obie ubierały zawsze jednakowo, bo tak było w pewnej sztuce, ale z miejsca, gdzie siedział, nie mogła zauważyć, czy miał nos orli czy też trochę retrousse. Ubrany był w głęboką żałobę, to mogła zauważyć, a opowieść o dręczącym go smutku wypisana była na jego twarzy. Oddałaby świat cały za to, żeby wiedzieć, co to było. Spoglądał ku górze w takim napięciu i tak nieruchomo, że, być może, zauważył, jak kopnęła piłkę, i mógłby dostrzec lśniąca stalowe klamry jej bucików, gdyby zakotłowała nimi w zamyśleniu, opuściwszy palce. Ucieszyła ją myśl, że coś jej kazało włożyć przeźroczyste pończochy, kiedy pomyślała sobie, że może Reggy Wylie będzie mógł wyjść, ale to odbiegło już bardzo daleko. Tu oto znajdował się ów, o którym tak często śniła. Tylko on miał znaczenie i radość pojawiła się na jej twarzyczce, gdyż pragnęła go, gdyż czuła instynktownie, że był on jak nikt inny. Jej dziewczęco-kobiece serce pobiegło ku niemu, małżonkowi ze snów, ponieważ w jednej chwili pojęła, że to on nim był. Jeśli cierpiał, a bardziej zgrzeszono przeciw niemu, niżli zgrzeszył, a nawet, nawet jeśli on sam był grzesznikiem, człowiekiem złym, nie dbała o to. Nawet jeśli jest protestantem lub metodystą, mogłaby nawrócić go łatwo, gdyby tylko pokochał ją szczerze. Istniały rany, które tylko balsam serca mógł zagoić. Była najbardziej kobiecą z kobiet, nie jak inne dziewczęta trzpiotki, niekobiece, te, które znał dotąd, te cyklistki ukazujące to, czego nie miały, a przecież tylko pragnęła dowiedzieć się wszystkiego, przebaczyć wszystko, gdyby tylko umiała rozkochać go w sobie, sprawić, aby zniknęły wspomnienia przeszłości. Wówczas, być może, objąłby ją delikatnie jak prawdziwy mężczyzna, tuląc jej miękkie ciało ku sobie, i pokochałby ją, swą jedyną dziewczętkę, dla niej samej.

Ucieczko grzesznych. Pocieszycielko strapionych. Ora pro nobis. Słusznie powiedziano, że jeśli ktokolwiek wznosi ku niej modły z wiarą wytrwałą, przenigdy nie zginie i nie zostanie odrzucony: i słusznie zwą ją ucieczką strapionych ze względu na siedem mieczy boleści, które przeszły jej serce. Gerty mogła sobie wyobrazić całe wnętrze kościoła, witraże jaśniejące w oknach, świece, kwiaty i błękitne chorągwie Sodalicji Mariańskiej, a ojciec Conroy pomagał kanonikowi o'Hanlonowi przy ołtarzu, wnosząc i wynosząc rzeczy, z oczyma spuszczoneymi w dół. Wyglądał niemal jak święty, a jego konfesjonał był tak cichy i czysty, i ciemny, a dłonie jego były zupełnie jak biały воск i gdyby kiedykolwiek miała zostać siostrą dominikan-ką w białym habicie, być może, przychodziłby do klasztoru na nowennę do świętego Dominika. Powiedział jej wtedy, kiedy powiedziała mu o tym podczas spowiedzi i zaczerwieniła się po korzonki włosów ze strachu, że mógłby zauważyć, żeby nie frasowała się tym, bo to tylko głos natury i wszyscy jesteśmy poddani prawom natury, tak powiedział, na tym świecie, i że nie był to żaden grzech, bo pochodziło to z przyrodzenia kobiecego, które Bóg ustanowił, tak powiedział, i że nasza Najświętsza Panienka sama powiedziała to do archaniola Gabriela, niechaj mi się stanie według Słowa Twego. Był tak dobry i świątobliwy i jakże często myślała i myślała nad tym, czy nie mogłaby zrobić mu pikowanej nakrywki na imbryczek, z wyszywanym kwietnym wzorkiem, jako prezent dla

niego, albo zegar, ale zauważyła, że mieli zegar na kominku, biało-złoty z kanarkiem, który wyskakiwał ze swego malutkiego domku, żeby obwieścić godzinę, to było wtedy, kiedy poszła tam dowiedzieć się o te kwiaty na czterdziestogodzinną adorację, ponieważ niełatwo było dowiedzieć się, jaki rodzaj prezentu dać, a może album kolorowych widoków Dublina albo innego miasta.

Te dwa działające na nerwy bachory, bliźnięta, zaczęły kłócić się znowu, Jacky cisnął piłkę w kierunku morza i obaj pobiegli za nią. Małe małpy, ordynarne jak woda w rynsztoku. Ktoś powinien wziąć się za nich i dać im porządne lanie, żeby utrzymać ich w karbach, obu im. A Cissy i Edy zawołały za nimi, żeby się wrócili, bo się zlekły, że przyływ może nadejść i się utopią.

- Jacky! Tomku!

Nie oni! Ani im to w głowie! Więc Cissy powiedziała, że ostatni raz ich bierze z sobą. Zerwała się, zawołała na nich i zbiegła po zboczu obok niego, odrzuciwszy do tyłu włosy, które miałyby dostatecznie ładny kolor, gdyby ich było trochę więcej, ale pomimo tego, jak się to nazywa, co ciągle w nie wcierała, nie mogła sprawić, żeby urosły długie, ponieważ to nie był naturalny sposób, więc mogła tylko machnąć na nie ręką albo się powiesić. Biegła długimi, strusimi susami, aż dziw, że nie rozerwała spódnicy z tego boku, gdzie była zbyt obcisła, bo przecież Cissy Caffrey to kawał urwisa i była z niej zuchwała sztuka, kiedy tylko wydawało się jej, że ma dobrą okazję, żeby się popisać, i tylko dlatego, że umiała dobrze biegać, biegła tak, żeby mógł dostrzec rąbek jej halki, gdy tak biegła, i jej kościste kulasy tak wysoko, jak się tylko dało. Należałoby się jej sprawiedliwie, gdyby potknęła się o coś przypadkowo naumyślnie na tych jej krzywych, wysokich francuskich obcasach, które nosiła, żeby się podwyższyć, i żeby się porządnie wykopyrtnęła. Tableau! To byłby bardzo piękny pokaz, a ten gentleman byłby świadkiem tego.

Królowo aniołów, królowo patriarchów, królowo proroków, wszystkich świętych, modlili się, królowo różańca świętego, a potem ojciec Conroy podał trybularz kanonikowi o'Hanlonowi, a ów włożył weń kadzidło i okadził Przenajświętszy Sakrament, a Cissy Caffrey pochwyciła bliźnięta i aż swędziło ją, żeby obu im dobrze przylać w ucho, ale nie zrobiła tego, bo pomyślała, że może on się przygląda, ale nigdy w życiu bardziej się nie omyliła, bo nie patrząc Gerty widziała, że ani na chwilę nie spuścił z niej oczu, a potem kanonik o'Hanlon oddał trybularz ojcu Conroy i ukląkł, spoglądając na Przenajświętszy Sakrament, a chór zaczął śpiewać Tantum ergo, a ona tylko kołysała nogą tam i na powrót do taktu, gdy muzyka rosła i opadała do Tantum ergo cramen tum. Trzy szylingi i jedenaście pensów zapłaciła za te pończochy u Sparrowa przy George Street we wtorek, nie, w poniedziałek przed Wielkanocą. I nie było na nich najmniejszej skazy i właśnie na nie on patrzył, na te przezroczyste, a nie na te nic nie znaczące tamtej (ale bezczelna!), które nie miały ani kształtu, ani wyglądu, ponieważ miał oczy w głowie i sam mógł dostrzec różnicę.

Cissy zawróciła wzdłuż plaży z bliźniętami i piłką, w kapeluszu przekrzywionym po biegu i wyglądała jak czarownica, gdy tak wlokła tych dwoje dzieci, w lichej bluzeczce, którą kupiła przed dwoma tygodniami, zwisającej jak gałgan z grzbietu, i z rąbkiem halki dyndającym jak na karykaturze. Gerty zdjęła tylko na chwileczkę kapelusz, żeby poprawić włosy, i nigdy piękniejszej główki okolonej kasztanowymi puklami nie oglądano na żadnych dziewczęcych ramionach, stanowiła, wiercie mi, świetlisty, uroczy obrazek, niemal oszałamiający w swej słodczy. Musiałbyś wiele mil przemierzyć, nim znalazłbyś główkę okoloną włosami mogącymi tym dorównać. Mogła niemal dostrzec szybki błysk podziwu, który ukazał się w odpowiedzi w jego oczach i wywołał drżenie każdego jej nerwu. Nałożyła kapelusz tak, aby móc patrzeć spod ronda, i szybciej zaczęła kołysać swym bucikiem z klamerką, gdyż oddech jej zatrzymał się, gdy zatrzymała spojrzenie na jego oczach i dostrzegła ich wyraz. Patrzył na nią, jak wąż patrzy na swą zdobycz. Instynkt kobiecy powiedział jej, że obudziła w nim diabła, i na myśl o tym płomienny szkarłat rozprzestrzenił się od szyi po czoło, aż wreszcie piękna barwa jej lica przemieniła się w cudowną różę.

Edy Boardman też to zauważyła, bo zezowała w kierunku Gerty, na pół uśmiechnięta przez swe okulary jak stara panna i udając, że niańczy maleństwo. Był z niej złośliwy mały owad i zawsze taka będzie, i dlatego właśnie nikt nie mógł się z nią zaprzyjaźnić, wtykała nos we wszystko, co nie powinno być jej obchodzić. I powiedziała do Gerty:

- Dałabym pensa za to, co myślisz.

- Co? powiedziała Gerty z uśmiechem rozjaśnionym bielą zębów. Zastanawiałam się tylko, czy już późno.

Bo błagała Boga, żeby zabrały już te zasmarkane bliźnięta i to swoje maleństwo do domu, do wszystkich diabłów stąd, i dlatego właśnie rzuciła tak delikatnie, że już późno. Ale kiedy Cissy nadeszła i Edy zapytała ją, która godzina, panna Cissy, potoczyście jak zwykle, powiedziała, że pół do komina i pękła sprężyna. Ale Edy chciała wiedzieć, bo powiedziano im, żeby wróciły wcześniej.

- Zaczekaj, powiedziała Cissy, zapytam mojego wuja zbója, która godzina na jego cyferblacie.

Więc podeszła, a kiedy zobaczył ją nadchodzącą, zauważyła, że wyjął rękę z kieszeni, stał się nerwowo i zaczął bawić się łańcuszkiem od zegarka, spoglądając na kościół. Choć Gerty wiedziała, że miał on namiętą naturę, jednak spostrzegła, że posiadał wielką sztukę panowania nad sobą. W jednej chwili siedział tam, zafascynowany pięknnością, a już w następnej zmienił się w spokojnego gentlemiana o poważnej twarzy, a każdy szczegół jego wytwornej postaci wyrażał opanowanie.

Cissy powiedziała, że niech on będzie łaskaw jej wybaczyć, ale czy mógłby powiedzieć, która jest dokładnie godzina, i Gerty zobaczyła, że wyjął zegarek, przez chwilę trzymał go przy uchu, a potem uniósł głowę i powiedział, że przykro mu, bo zegarek mu stanął, ale sądzi że musi już być po ósmej, ponieważ słońce zaszło. Głos jego miał kulturalne brzmienie, lecz

choć mówił umiarkowanym tonem, drżał leciutko przy miękkich dźwiękach. Cissy powiedziała dziękuję i zawróciła, pokazując język, i powiedziała, że wujo powiedział, że mu wodociąg przestał kapać.

Potem zaśpiewali drugi werset Tantum ergo i kanonik o'Hanlon powstał ponownie, i okadził Przenajświętszy Sakrament i ukląkł i powiedział ojcu Conroy, że kwiaty zajmą się za chwilę od jednej ze świec i ojciec Conroy powstał i ustawił ja prosto i dostrzegła, że ten pan nakręca zegarek i nasłuchuje, czy tyka, i zaczęła znowu poruszać nogą tam i na powrót do taktu. Robiło się coraz ciemniej, ale nadal mógł widzieć i patrzył przez cały czas, gdy nakręcał zegarek czy co tam z nim robił, a potem włożył go na powrót i wsunął ręce do kieszeni. Odczuła dziwne podrażnienie przebiegające przez całe jej ciało i to uczucie u nasady włosów, łaskotanie pod stanikiem, powiedziały one jej, że ta rzecz znowu nadchodzi, bo ostatnim razem też tak było, kiedy przycięła sobie włosy z okazji księżyca. Jego ciemne oczy utonęły w niej znowu, wpijając się w każdą linię jej ciała, dosłownie wielbiąc jej świątynię. Jeśli kiedykolwiek zaistniało niczym nie osłonięte uwielbienie w namiętym spojrzeniu mężczyzny, można je było wyraźnie dostrzec w twarzy tego człowieka. To dla ciebie, Gertrudo MacDowell, a ty wiesz o tym.

Edy zaczęła zbierać się do odejścia i był już najwyższy czas na nią, a Gerty spostrzegła, że jej uwaga odniosła upragniony skutek, ponieważ trzeba było iść długi kawał drogi plażą do miejsca, gdzie można było wypchać wózek na górę, a Cissy zdjęła bliźniętom czapeczki i przyglądała im włosy, żeby się przypodobać, oczywiście, a kanonik o'Hanlon powstał i kapa zagięła mu się naokoło szyi, a ojciec Conroy podał mu kartę, aby z niej czytał, i odczytał z niej Panem de coelo proestitisti eis, a Edy i Cissy przez cały czas gadały, czy już czas, i pytały ją, ale Gerty umiała im odpłacić ich własną monetą i odparła tylko ze zjadliwą uprzejmością, gdy Edy zapytała ją, czy serce jej pęka od tego, że ukochany chłopak ją porzucił. Gerty drgnęła gwałtownie. Przelotny zimny płomień załśnił w jej oczach i powiedział całe tomy o jej niezmierzonej wzdargdzie. Bolało to. O tak, uwięzło głęboko, ponieważ Edy posiadała ten spokojny sposób mówienia rzeczy, o których wiedziała, że będą raniły, gdyż była przekłętą małą kocicą. Wargi Gerty rozwarły się szybko, by wymówić słowo, lecz powstrzymała łkanie, które urosło w jej piersi, tak gładkiej, tak nieskazitelnej, tak pięknie uformowanej, że wydawała się marzeniem artysty. Kochała go bardziej, niż mógł przypuszczać. Będąc uwodzicielem tak zmiennym i tak bez serca jak cała jego pleć, nigdy nie pojmie, co znaczył dla niej, i przez chwilę w błękitnych oczach uczuła piekące łzy. Oczy ich badały ją niemiłosiernie, lecz bohaterskim wysiłkiem zwróciła pełne sympatii spojrzenie ku swej nowej zdobyczy, aby mogły to dostrzec.

- Och, odpowiedziała Gerty, szybka jak błyskawica, uśmiechnięta, unosząc dumną główkę, mogą cisnąć wianuszek, komu chcę, mamy przecież rok przestępny.

Jej słowa zadzwoniły jak kryształ, bardziej muzykalne niżli gruchanie synogarlicy, lecz jak lód przecięły ciszę. W jej młodzieńczym głosie było coś, co ostrzegało, że nie należała do tych, z których można sobie kpić. Jeśli chodziło o pana Reggy z całym jego szykiem i tą

odrobiną majątku, mogła go po prostu odrzucić, jak gdyby był tylko śmieciem, i nigdy więcej nie pomyśli już o nim, i podrze jego głupią pocztówkę na tuzin kawałków. A jeżeli kiedykolwiek będzie sobie pozwalał na zbyt wiele, potrafi go zmierzyć spojrzeniem tak pełnym wzdąry, że osadzi go ono od razu na miejscu. Oblicze małej panny Edy zasępiło się bardzo i po jego ponurym jak gradowa chmura wyrazie Gerty poznała, że wpadła w dziką wściekłość, choć starała się ją ukryć, ta mała żmija, bo strzała wymierzona w jej nędzną zawiść dotarła do celu, a obie wiedziały, że jest nieco wyniosła i odległa, przebywa w innej sferze, że nie jest jedną z nich i że jest jeszcze ktoś prócz niej, kto wie o tym i dostrzega to tak, że mogą się tym zadławić, jeżeli chcą.

Edy ułożyła maleństwo Boardman, żeby móc już odjechać, a Cissy wsadziła do wózka piłkę, łopatkę i kubelki, a był najwyższy czas, bo dziadzio sen ogarniał już maleństwo Boardman, a Cissy też mu powiedziała, że Śpioszek Pieszczoszek nadchodzi i że maleństwo musi iść luli luli, a maleństwo spojrzało, aż za rozkosznie, śmiejąc się swymi wesółymi oczkami, i Cissy dla zabawy dała mu maleńkiego szturchańcawego milusieńki brzuszka, a maleństwo, nie pytając nawet o pozwolenie, przesłało uprzejmą odpowiedź prosto na śliniaczek.

- O, święty Jacku placku! zaprotestowała Cissy. Zniszczył sobie cały śliniaczek.

To niewielkie contretemps zajęło jej uwagę, ale w mgnieniu oka naprawiła wszystko.

Gerty stłumiła zduszony okrzyk i zakasłała nerwowo, a gdy Edy zapytała, co się stało, chciała jej odpowiedzieć, że cielę oknem wyleciało, ale że zachowywała się jak dama, więc po prostu wyminęła z nieskończonym taktem to pytanie, mówiąc, że to chyba będzie już błogosławieństwo, bo właśnie dzwon zabrzmiał z dzwonnicy ponad spokojnym morzem, ponieważ kanonik o'Hanlon był przy ołtarzu w welonie, którym ojciec Conroy otoczył jego i jego ramiona, błogosławiąc Przenajświętszym Sakramentem trzymanym w dłoniach.

Jakże przejmujący był ów obraz pośród narastającego zmierzchu, ostatni rzut oka na Erin, wzruszający odgłos tych wieczornych dzwonów, a w tejże chwili nietoperz wyfrunął z porosłej bluszczem dzwonnicy i pomknął przez zmierzch, to tu, to tam, wydając ciche tęskne kwilenie. Mogła dostrzec z oddali światła morskich latarni tak malownicze, że byłaby szczęśliwa, mając z sobą pudełko farb, bo to było łatwiejsze niż namalować człowieka, a wkrótce zapalacz latarni ulicznych rozpocznie swój obchód idąc wzdłuż ogrodu przy prezbiteriańskim kościele i cieniej Tritonville Avenue, gdzie pary przechadzały się, i zapali latarnię w pobliżu jej okna, gdzie Reggy Wylie zwykł był zawracać na wolnym kole, jak to czytała w Zapalaczu latarni napisanym przez pannę Cummins, autorkę Mabel Vaughan i innych opowiadań. Gdyż Gerty miewała sny, o których nie wiedział nikt. Kochała poezję i kiedy dostała w upominku od Berthy Supple ten śliczny album do wpisywania zwierzeń, o koraloworóżowej okładce, żeby mogła tam wpisywać swoje myśli, wsunęła go do szuflady toaletki, która choć nie grzeszyła wykwinem, to przecież była skrupulatnie czyszczona i utrzymywana w porządku. Tam właśnie przechowywała w ukryciu swe dziewczęce skarby, grzebień z szylkretu, medalik Sodalicji Mariańskiej, per-fumę z białej róży, czernidło do

brwi, alabastrowe pudełeczko na pachnące maści, wstążki na zmianę, kiedy jej bielizna powracała do domu z prania, a były w nim przesłiczne myśli, zapisane fioletowym atramentem, który kupiła u Hely'ego przy Damę Street, ponieważ czuła, że także mogłaby pisać wiersze, gdyby tylko umiała wyrażać się tak jak w owym poemacie, który przemówił do niej tak głęboko, że przepisała go z gazety, znalezionej pewnego wieczora pod warzywami. Czyś jest, mój ty ideale, czy też nie ma ciebie wcale? tak się nazywał, a napisał go Louis J. Walsh, Magherafelt, a jeszcze było tam coś o zmierzchu, czy ty kiedykolwiek? i często piękno poezji, tak smutne w swej przemijającej urodzie, rosiło jej oczy cichymi łzami, gdyż lata przebiegały obok niej, jedno po drugim, a przecież wiedzia-

ła, że żadna nie mogła się z nią równać, jeśli nie liczyć tej małej skazy, nabytej przypadkowo, kiedy schodziła z Dalkey Hill, i zawsze starała się ją ukryć. Ale czuła, że kres tego musi nadejść. Gdyby ujrzała w jego wzroku ową czarodziejską przynętę, nic nie byłoby jej w stanie powstrzymać. Kochanie kpi z krat. Uczyniłaby największą ofiarę. Nie szczędziłaby żadnych wysiłków, by dzielić każdą jego myśl. Byłaby mu droższa niż cały świat i ozłociłaby szczęściem dni jego. Ale pozostawało najważniejsze pytanie i umierała z ciekawości, aby dowiedzieć się, czy jest on człowiekiem żonatym, czy też wdowcem, który stracił żonę, czy też inna spotkała go tragedia, jak tego arystokratę o zagranicznym nazwisku z krainy pieśni, który musiał umieścić ją w domu obłąkanych, okrutny, lecz tylko po to, by być dobrym. Ale jeśli nawet - to co? Czy stanowiłoby to aż tak wielką różnicę? Od wszystkiego, co w najmniejszym stopniu mogłoby być niedelikatnością, jej subtelna natura odżegnywała się instynktownie. Nienawidziła tego rodzaju osób, upadłych kobiet, które przechadzały się naprzeciw Doddera i odchodziły z żołnierzami i ordynarnymi mężczyznami, nie mając szacunku dla swej czci dziewczęcej, poniżając swą płęć i trafiając w końcu na posterunek policji. Nie, nie: nie to. Byliby tylko dobrymi przyjaciółmi jak duży brat i siostrzyczka, bez tych wszystkich pozostałości, na przekór wszystkim konwenansom Towarzystwa przez duże te. Być może, opłakiwał on dawny płomień i nosił żałobę od czasów niepamiętnych. Sądziła, że może to zrozumieć. Będzie starała się zrozumieć go, gdyż mężczyźni byli tak inni. Dawna miłość czekała, czekała wyciągając białe, drobne dłonie, patrząc błękitnymi, błagalnymi oczyma. O, serce moje! Podąży za swym snem o miłości, za nakazem serca, które mówiło jej, że jest on dla niej wszystkim, jedynym mężczyzną w całym świecie, bo miłość jest najlepszym drogowskazem. Nic innego nie miało znaczenia. Niech się dzieje, co chce, będzie dzika, nieokiełznana, wolna.

Kanonik o'Hanlon włożył Przenajświętszy Sakrament na powrót do tabernakulum, a chór odśpiewał Laudate Dominum omnes gentes, później zamknął drzwiczki tabernakulum, gdyż było już po błogosławieństwie, a ojciec Conroy podał mu kapelusz, a ta kocica Edy zapytała, czy nie idzie z nimi, ale Jacky Caffrey zawołał:

- O, popatrz, Cissy!

I wszyscy spojrzeli, myśląc, że to tylko błyskawica, ale Tomek też to zauważył nad drzewami przy kościele, niebieskie, a potem zielone i purpurowe.

- To sztuczne ognie, powiedziała Cissy Caffrey.

I pobiegli wszyscy wzdłuż plaży, żeby zobaczyć za domami i za kościołem, na łeb na szyję, Edy z wózkiem i z bobo Boardmanem w wózku, a Cissy trzymając Tomka i Jacky za ręce, żeby nie przewrócili się biegnąc.

- Chodź, Gerty, zawołała Cissy. To sztuczne ognie z kiermaszu dobroczynnego.

Ale Gerty była nieugięta. Nie miała najmniejszej chęci być na ich skinienie i zawołanie. Jeśli mogły pędzić jak postrzelone, ona mogła posiedzieć sobie, tak powiedziała, bo widzi stąd, gdzie siedzi. Oczy wpatrzone w nią sprawiły, że krew zaczęła pulsować w jej skroniach. Przez chwilę patrzyła na niego, napotykać jego spojrzenie i nagle spłynęło na nią światło. Rozpalona do białości namiętność była w tej twarzy, namiętność niema jak grób. I ona to uczyniła, że stała się jego. Pozostali wreszcie sami, bez tamtych, którzy mogli podglądać ich i rzucać uwagi, i wiedziała, że może mu zaufać do śmierci, temu rzetelnemu, mocnemu człowiekowi, człowiekowi o niezachwianym honorze, od stóp do głów. Jego twarz i ręce drgały i dreszcz przebiegł ją. Odchyliła się głęboko do tyłu, spoglądając na fajerwerki, i ujęła kolano w dłoń, aby nie przewrócić się do tyłu, gdy tak spoglądała w górę, i nie było naokół nikogo, kto mógłby widzieć, tylko on i ona, gdy ukazała całe swe pięknie ukształtowane nogi, miękko i delikatnie zaokrąglone, i wydało się jej, że słyszy gwałtowne bicie jego serca i przyspieszony oddech, ponieważ wiedziała o takiej namiętności mężczyzn, gorąco krwistych, bo Bertha Supple powiedziała jej raz w największej tajemnicy i kazała przysiąc, że nigdy, o tym sublokatorze z Wydziału dla Przeludnionych Dzielnic, który miał wycięte z pism obrazki tych baletnic w krótkich spódniczkach i unoszących wysoko nogi, i powiedziała, że robił on coś nie bardzo ładnego, jak się można było domyślać, w łóżku. Ale to było zupełnie coś innego niż tamto, bo czuła niemal, jak przyciąga on jej twarz ku swojej, i pierwsze szybkie dotknięcie jego pięknych warg. Poza tym miało się rozgrzeszenie, jeżeli się nie robiło tamtej rzeczy przed ślubem i powinny być kobiety księża, które rozumiałyby bez tłumaczenia im, a Cissy Caffrey też miała czasem ten senny wyraz oczu, a więc ona też, moje kochanie, i Winny Ripplingham, tak zwariowana na punkcie fotografii aktorów, a poza tym, to było też przez tę drugą rzecz, która też nadchodziła.

A Jacky Caffrey krzyknął, żeby patrzyli, ukazała się nowa, i odchyliła się do tyłu, a podwiązki były niebieskie, żeby pasowały do tych przezroczystych, i wszyscy ją zobaczyli i krzyczeli, żeby patrzeć, patrz, tam jest, i odchyliła się jeszcze bardziej do tyłu, żeby widzieć fajerwerki, a coś dziwnego fruwało w powietrzu, coś miękiego, to tu, to tam, ciemnego. I zobaczyła długą rzymską świecę wznoszącą się ponad drzewa, wysoko, wysoko, i w napiętej ciszy wszyscy wstrzymali oddech z podniecenia i szła wyżej, i wyżej i musiała odchylić się jeszcze i jeszcze, żeby patrzeć w górę za nią, wysoko, wysoko, niemal zniknęła z oczu, a twarz jej oblał boski, zachwycający rumieniec napięcia przy tym odchyleniu i mógł zobaczyć inne jej rzeczy też, nansukowe majtki, materiał, który pieści skórę, lepsze niż te drugie, wąskie, zielone, za cztery szylingi i jedenaście pensów, ponieważ były białe, i pozwoliła mu, i zobaczyła, że zobaczył, a potem poleciała tak wysoko, że na chwilę znikła z oczu, i drżały

wszystkie jej członki od tego przegięcia się tak głęboko w tył, że miał pełny widok wysoko ponad jej kolanem, gdzie nikt nigdy, nawet na huśtawce albo przy brodzeniu przez wodę, i nie wstydziła się, i on także nie, żeby patrzeć w tak nieskromny sposób, ponieważ nie mógł oprzeć się widokowi objawiającemu mu się cudownie, na pół dobrowolnie, jak te tancerki w spódniczkach, zachowujące się tak nieskromnie przed patrzącymi panami, i nadal patrzył, patrzył. Posłałaby mu zdławiony okrzyk, wyciągnęłaby ku niemu swe smukłe, śnieżne ramiona, by zbliżył się, by uczuć jego wargi na swym białym czole, okrzyk miłosny młodej dziewczyny, cichy, zdławiony okrzyk, wydarty z niej, okrzyk, który brzmi przez wieki. A wówczas rakietą śmignęła w górę i z hukiem wystrzeliła i Och! A później wybuchła rzymska świeca i było to jak westchnienie Och!, i wszyscy zawołali Och! Och! w zachwycie, i wytrysnął z niej potokami deszcz złotych włosów, i rozwiały się, i Ach! przemieniły się wszystkie w zielone, rosiste gwiazdy, spadające złościście. Och, jak pięknie! Och, jak miękko, słodko, miękko!

A potem wszystko wsiąkło jak rosa w szare powietrze: wszystko umilkło. Ach!

Spojrzała na niego, pochylając się szybko ku przodowi, wzruszającym, krótkim spojrzeniem, pełnym żalosego protestu, wstydlivej przygany, pod którym zaczerwienił się jak dziewczyna. Opierał się o skałę, korą miał za plecami. Leopold Bloom (gdyż on to jest) stoi w milczeniu, pochyliwszy głowę przed spojrzeniem tych młodych, niewinnych oczu. Jaką bestią stał się! Znowu to? Piękna, niepokalana dusza zawołała ku niemu i jakże on, nędznik, jej odpowiedział? Zachował - się jak ostatni nikczemnik. On, spośród wszystkich ludzi! Ale w oczach tych było nieskończone miłosierdzie, dla niego nawet miały słowo wybaczenia, choć zbłądził, zgrzeszył i był występny. Czy dziewczyna powie? Nie, po tysiącokroć nie. To była ich tajemnica, ich jedynie, samotnych, ukrytych w mroku, i nie było nikogo, kto wiedziałby i powiedział, tylko mały ów nietoperzyk, tak miękko fruwający pośród wieczoru, to tu, to tam, ale małe nietoperzyki nie opowiadają.

Cissy Caffrey gwizdnęła, udając chłopaka na boisku piłkarskim, żeby pokazać, jaką ważną jest osobistością: a później zawołała:

- Gerty! Gerty! Idziemy. Chodź. Będziemy widzieli lepiej z góry.

Gerty przyszedł pomysł, jeden z owych maleńkich forteli miłosnych. Wsunęła dłoń do kieszonki, wyjęła kłębuszek waty i zamachała w odpowiedzi, oczywiście nie pozwalając mu, a później wsunęła ją na powrót. Ciekawe, czy jest za daleko, żeby. Wstała. Czy było to pożegnanie? Nie. Musiała odejść, ale spotkają się znowu, tam, i będzie o tym śniła do tej chwili, do jutra, o swym śnie poprzedniego wieczoru. Uniosła się na całą swą wysokość. Dusze ich spotkały się na jedną przedłużającą się chwilę, a oczy, które sięgnęły do jej serca, pełne dziwnego blasku, zawisły zachwycone na jej słodkiej, pięknej jak kwiat twarzy. Posłała ku niemu błądy półuśmiech, słodki, przebaczący uśmiech, uśmiech, który graniczył z łzami, i oto rozstali się.

Z wolna, nie oglądając się, zeszła po nierównościach plaży ku Cissy, ku Edy, ku Jacky i Tomkowi Caffrey, ku małemu bobo Boardman. Było już ciemniej, a na plaży leżały kamienie i kawałki drzewa, i śliskie wodorosty. Szła z pewnym dostojeństwem, charakterystycznym dla niej, ale ostrożnie i bardzo powoli, ponieważ, ponieważ Gerty MacDowell była...

Ciasne buciki? Nie. Jest ułomna! Och!

Pan Bloom patrzył za nią, gdy odchodziła kulejąc. Biedna dziewczyna! Dlatego została w tyle, kiedy inni pobiegli. Jej wygląd dawał mi do myślenia, że coś jest nie w porządku. Zwiedziona piękność. Ułomność jest dziesięć razy gorsza w kobiecie. Ale czyni je uprzejmymi. Cieszę się, że nie wiedziałem o tym, kiedy ją było widać. Ognista mała diablica pomimo to. Nie przeszkadzałoby mi to. Ciekawość jak z zakonnicą albo z murzynką albo z dziewczyną w okularach. Ta zezowata jest delikatna. Blisko miesiączki, jak mi się wydaje, są łaskotliwsze. Mam dzisiaj taki ciężki ból głowy. Gdzie wsadziłem ten list? Tak, w porządku. Najrozmaitsze zwariowane tęsknotki. Liż pensy. Dziewczyna w klasztorze Tranquilla, o której opowiadała mi ta zakonnica, lubiła wachać naftę. Myślę, że dziewice w końcu dostają obłądu. Siostra? Ile kobiet w Dublinie ma ją dzisiaj? Marta, ona. Coś w powietrzu. To księżyc. Ale w takim razie, dlaczego wszystkie kobiety nie mają menstruacji jednocześnie, to znaczy, w tej samej kwadrze księżyca? Myślę, że to zależy od dnia, w którym się urodziły. A może wszystkie rozpoczynają równocześnie, a później wypadają z rytmu. Czasami Molly i Milly jednocześnie. Tak czy inaczej, dostałem to, co najlepsze. Cieszę się, że nie zrobiłem tego w łaźni nad tym jej głupim ukarzę cię listem. Odrobiłem za tego motorniczego tramwaju z dzisiejszego ranka. Ten dureń M'Coy zatrzymujący mnie, żeby gadać o niczym. I to zaangażowanie jego żony na prowincję waliza, głos jak kilof. Być wdzięcznym też za drobne ich łaski. Tanio to kosztuje. Twoja na żądanie. Bo same tego chcą. Przyrodzona potrzeba. Całe ich ławice wypływają z biur każdego wieczora. Rezerwa jest lepsza. Jeśli nie zechcesz, wpychają się same: Łapią się jak muchy. Szkoda, że nie mogą siebie widzieć. Sen o dobrze wypełnionej pończoszce. Gdzież to było? Ach, tak. Mutoskopowe obrazy przy Capel Street:

tylko dla panów. Tomcio Podglądałek. Kapelusz Willy'ego i co zrobiły z nim dziewczęta. Czy fotografują te dziewczyny na migawkę, czy też to wszystko jest blaga? Lingerie to robi. Sięgnął ku wypukłościom w głębi jej deshabelle. Podnieca je także, gdy są. Jestem cała czysta, przyjdź i zabrudź mnie. I lubią ubierać jedna drugą na ofiarę. Milly ucieszona nową bluzką Molly. Początkowo. Wkładają to wszystko na siebie, żeby wszystko zdjąć. Molly. Dlatego kupiłem jej te fioletowe podwiązki. Nas także: krawat, który nosił, jego prześliczne skarpetki i spodnie z wysokimi mankietami. Nosił getry tego wieczora, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy. Jego piękna koszula lśniła spod jego, czego? Spod klap czarnych jak węgiel. Mówią, że kobieta traci urok z każdą szpilką, którą wyjmuje. Pospinane szpilkami. O, Mairy zgubiła szpilkę od. Wystrojone na ostatni guzik. Moda jest częścią ich uroku. Zmienia się właśnie wtedy, kiedy zaczynasz docierać do sedna tajemnicy. Z wyjątkiem Wschodu: Maria, Marta:

teraz jak ongi. Żadna rozsądna oferta nie zostanie odrzucona. I nie spieszyło się jej. Zawsze szukają faceta, kiedy się. Nigdy nie zapominają o spotkaniu. Wyszła pewnie na zwiady. Wierzą w przypadek, bo jest podobny do nich. A tamte były skłonne dociąć jej od czasu do czasu. Przyjaciółki w szkołach, obejmują się za szyję ramionami albo dziesięć paluszków splecionych, całują się i szepczą sobie sekrety o niczym w ogrodach pensji klasztornych. Zakonnice z mleczno-białymi twarzami, chłodne kornety, a różańce wędrują w górę i w dół, mściwe także za to wszystko, czego nie mogą otrzymać. Drut kolczasty. Ale teraz na pewno do mnie napisz. A ja napiszę do ciebie. Napiszesz, prawda? Molly i Josie Powell. Póki nie pojawi się Pan Właściwy, odtąd spotykają się raz koło Wielkiej-nocy. Tableau! Och, spójrzcie, kto to nadchodzi, mój Boże! Jak się masz, kochanie? Co się z tobą działo? Całuję i cieszę się, całuję, całuję, że cię spotkałam. Wyłuskują nawzajem skazy swojej powierzchowności. Świetnie wyglądasz. Siostrzane dusze szczerzą ku sobie zęby. Ile ci ich zostało? Nie pożyczylaby jedna drugiej szczypty soli.

Ach!

Są jak diablance, kiedy to nadchodzi. Mroczny, diabelski wygląd. Molly często mi opowiadała, że czuje się, jakby ważyła tonę. Podrap mnie w podeszwę. O, tam! O, tak, cudownie! Sam to też odczuwam. Dobrze jest czasem odpocząć. Ciekawe, czy to źle mieć wtedy z nimi do czynienia. Bezpieczniej w pewien sposób. Mleko się kwasi od tego, pękają struny skrzypiec. Czytałem coś o jakichś kwiatach więdących w ogrodzie. Mówią poza tym, że jeśli kwiat, który nosi, zwiędnie, to jest flirciarą. Wszystkie są. Przypuszczam, że wyczuła, że ja. Kiedy masz na to ochotę, często spotykasz to, na co masz ochotę. Spodobałem się jej czy co? Przyglądają się ubiorowi. Zawsze poznają faceta, który się zaleca: po kołnierzyku i mankietach. No cóż, koguty i lwy robią to samo, i jelenie. Innym razem wolą rozwiązany krawat albo coś podobnego. Spodnie? Przypuśćmy, że ja, gdy robiłem. Nie. Trzeba tylko łagodnie. Nie lubią szorstkości i brutalności. Całować w ciemności i nie rozróżniać ich. Musiała dostrzec we mnie coś. Ciekawe co. Wolałaby mnie niż jakiegoś wybrylantynowanego poetę z wypomadowanym loczkiem nad prawym oczkiem. Żeby wspomóc gentlemana w literackich. Powinienem dbać o wygląd w moim wieku. Nie pozwoliłem, żeby zobaczyła mnie z profilu. Ale nigdy nie wiadomo. Piękne dziewczyny wychodzą za brzydkich mężczyzn. Piękna i bestia. Poza tym nie mogę być przecież taki, jeżeli Molly. Zdjęła kapelusz, żeby pokazać włosy. Szerokie rondo kupione po to, żeby ukryć jej twarz, gdyby spotkała kogoś, kto ją zna, pochylają się albo mają bukiet kwiatów do wachania. Włosy wzmacniają się w okresie rui. Dziesięć szylingów dostałem za wyczesane włosy Molly, kiedy byliśmy na mieliźnie przy Holles Street. Czemu nie? Przypuśćmy, że dał jej pieniądze. Czemu nie? Wszystko to przesąd. Warta jest dziesięć, piętnaście, więcej, funta. Co? Tak sądzę. Wszystko to za nic. Śmiała ręka. Pani Marion. Czy nie zapomniałem napisać adresu na tym liście, jak na tej kartce, którą wysłałem do Flynna. A ten dzień, kiedy poszedłem do Drimmie'ego bez krawata. Kłótnia z Molly zbiła mnie z tropu. Nie, pamiętam. Richie Goulding. On też jest. Gnębi go to. Śmieszne, że mój zegarek stanął o pół do piętej.

Kurz. Do czyszczenia używają oleju z wątroby rekina, mógłbym to zrobić sam. Zaoszczędzić. Czy to było właśnie wtedy kiedy on, ona?

O, zrobił to. W nią. Ona to zrobiła. Zrobione.

Ach!

Pan Bloom ostrożną dłonią poprawił swą mokrą koszulę. O Boże, ta mała, utykająca diablica. Zaczyna być zimno i lepko. Skutki są niemiłe. Ale trzeba się tego jakoś pozbyć. Nie obchodzi ich to. Może im pochlebia. Wracają do domu, do chlebusia i mleczka, i odmawiają wieczorne modlitwy z dziećmi. I co, czy nie są to. Zobaczyć ją taką, jaka jest, niweczy wszystko. Muszą mieć oprawę sceniczną, barwiczkę, kostium, pozycję, muzykę. Także nazwisko. Amours aktorek. Nell Gwynn, pani Bracegirdle, Maud Branscombe. Kurtyna w górę. Księżycowa srebrzysta poświata. Dziewica daje się ujrzeć z zadumany łonem. Pójdź, moje maleńkie kochanie, i pocałuj mnie. Jeszcze czuję. Jaką to siłę daje mężczyźnie. W tym cały sekret tego. Dobrze, że sobie ulżyłem, wychodząc od Dignama. To był pewnie ten jabłecznik. Inaczej nie mógłbym. Chce się śpiewać po tym. Lacaus esant taratara. Przypuśćmy, że zacząłbym mówić do niej. O czym? Zły pomysł, jeżeli się nie wie, jak zakończy rozmowę. Zadać im pytanie, one zadadzą ci następne. Dobry chwyt, jeżeli jesteś w kłopotliwej sytuacji. Cudownie jest, oczywiście, jeżeli powiesz: dobry wieczór, i widzisz, że ona na to idzie: dobry wieczór. Och, ale ten ciemny wieczór na Appian Way, kiedy omal nie zagadałem do pani Clinch, och, myśląc, że jest. Hoho! I ta dziewczyna na Meath Street, tej nocy. Wszystkie plugastwa, które kazałem jej mówić, i oczywiście przekreślała je. Moja dłupa mówiła na nią. Tak trudno znaleźć choćby jedną, która. Oho! Jeśli nie odpowiadasz na ich nagabywania, musi to być dla nich okropne, dopóki się nie zahartują. I pocałowała mnie w rękę, kiedy dałem jej dodatkowo dwa szylingi. Papugi. Naciśnij guzik i ptak zaskrzeczy. Chciałbym, żeby nie mówiła do mnie: sir. Och, jej usta w ciemności! A pan, żonaty mężczyzna, za samotną panienką! To im się podoba. Odebrać mężczyznę innej kobiecie! A nawet usłyszeć o tym. Ze mną jest inaczej. Cieszę się, mogąc uciec od żony innego faceta. Jeść resztki z jego talerza. Ten facet dzisiaj u Burtona, wypływający tę obślinioną przeżutą chrząstkę. Prezerwatywę mam ciągle jeszcze w notesie. Przyczyna połowy tych kłopotów. Ale kiedyś może się przydarzyć, chociaż nie przypuszczam. Wejdz. Wszystko jest przygotowane. Śniłam. Co? Najgorszy jest początek. A jak potrafią nagle zmieniać temat rozmowy, jeśli staje się dla nich niewygodny. Pytają cię, czy lubisz grzyby, bo znały kiedyś jednego gentlemana, który. Albo pytają cię, co ktoś chciał powiedzieć, kiedy się rozmyślił i urwał. Ale gdybym chciał pójść na całego i powiedziałbym: chcę, czy coś w tym rodzaju. Ponieważ zrobiłem to. Ona także. Obrazić ją. Potem naprawić to. Udać, że się czegoś ogromnie chce, a potem wycofać się dla jej dobra. To im pochlebia. Przez cały czas musiała pewnie myśleć o kim innym. Cóż to szkodzi? Musi to robić, odkąd zaczęła używać rozumu, on, on i on. Pierwszy pocałunek puszcza to wszystko w ruch. Odpowiedni moment. Coś w ich wnętrzu eksploduje. Stają się lepkie, można to poznać po ich oczach, i skryte. Pierwsze myśli są najlepsze. Pamiętają to aż po dzień zgonu. Molly, porucznik Mulvey, który całował

ją pod mauretańskim murem ogrodów. Miała wtedy piętnaście lat, tak mi powiedziała. Ale piersi miała rozwinięte. Potem usnęła. Było to po obiedzie w Glencree, gdy jechaliśmy do domu obok Featherbed Mountain. Zgrzytała zębami przez sen. Lord Major też miał na nią oko. Val Diilion. Apoplek-tyczny.

Schodzi tam do nich, żeby zobaczyć fajerwerki. Moje fajerwerki. W górę jak rakietę, w dół jak patyk. I te dzieci, chyba bliźnięta, czekają, żeby się coś wydarzyło. Chcą być dorosłe. Ubierają się w suknie matek. Mają dość czasu, żeby zrozumieć wszystkie sprawy tego świata. I ta ciemna z kudłatą głową i murzyńskimi ustami. Wiedziałem, że potrafi gwizdać. Usta ma jakby stworzone do tego. Jak Molly. Dlaczego ta kurwa pierwszej kategorii u Jammeta nosiła woalkę tylko do połowy twarzy. Czy mógłby pan łaskawie powiedzieć mi, która jest godzina? Powiedziałbym ci, która godzina, w ciemnym zaułku. Wymawianie próba i pryzma, czterdzieści razy każdego ranka, lecz nadmierną wypukłość warg. Pieściła tego malca. Widzowie mogą dostrzec, o co chodzi. Oczywiście znają się one na ptakach, zwierzętach, dzieciach. To ich resort.

Nie obejrzała się, idąc po plaży. Nie chciała zrobić mi tej przyjemności. Te dziewczęta, te dziewczęta, te śliczne nadmorskie dziewczęta. Miała ładne oczy, czyste. Białka oczu wydobywają to więcej niż źrenice. Czy wiedziała, co ja? Oczywiście. Jak kot, który siedzi za zasięgiem skoku psa. Kobiety nigdy nie napotykają takich jak ten Wilkins w gimnazjum, który rysował Venus mając wszystko na wierzchu. Nazywać to niewinnością? Biedny idiota! Jego żona się nie wstydzi tego, co widzi. Nigdy nie zobaczysz żeby usiadły na ławce z napisem Uwaga, świeżo malowane! Mają oczy z wszystkich stron. Zaglądają pod łóżko, żeby znaleźć to, czego tam nie ma. Tęsknią za tym, żeby ktoś je tak okropnie przestraszył. Ostre jak igły. Kiedy powiedziałem Molly, że ten człowiek na rogu Cuffe Street jest przystojny, a wydawało mi się, że jej się spodoba, połapała się od razu, że ma sztuczną rękę. I miał. Skąd się to u nich bierze? Stenotypistka wbiegająca po dwa stopnie na schodach u Rogera Greene'a, żeby pokazać wiadomo co. Przekazane z ojca na matkę, na córkę, chcę powiedzieć. We krwi to mają. Na przykład Milly susząca chusteczkę na lustrze, żeby sobie zaoszczędzić prasowania. Lustro to najlepsze miejsce dla ogłoszeń, żeby wpadły w oko kobiecie. A kiedy wysłałem ją po szkocki szal Molly do Presscotta, przy okazji, muszę to ogłoszenie,niosła resztę do domu w pończosze. Cwana mała łasica! Nigdy jej nie kazałem. Sprawunki też nosi tak zręcznie. Taka mała rzecz, a zwraca uwagę mężczyzn. Unosi dłonie, potrząsa nimi, żeby krew odpłynęła z powrotem, kiedy poczerwienieją. Od kogo się tego nauczyłaś? Od nikogo. Coś, czego niania mnie nauczyła. Och, czy nie wiedzą? Miała trzy latka wtedy, przed toaletką Molly, zanim wyprowadziliśmy się z Lombard Street West. Ja mam ślicznom buzie. Mullingar. Kto wie? Kolej tego świata. Młody student. W każdym razie stoi na nogach prosto, nie tak jak tamta. Ale tamta to też dobra sztuka. Boże, ależ jestem mokry. Ty diabolicco. Krągłości jej łydki. Przezroczyste pończochy, naciągnięte, że mało nie pękły. Nie tak jak to czupiradło dzisiaj. A. E. Pończochy w obwarzanki. Albo ta z Grafton Street. Białe. Och! Wolonogie bydeł-ko.

Rozgałęziona jak drzewo rakietą wyekspłodowała, rozlatując się w rozedrgane okruchy. Trzask i błysk, i blask, prysk. A Cissy i Tomek wybiegli pierwsi, żeby widzieć, a dalej Edy z wózkiem i wreszcie Gerty, za skalnym zakrętem. Czy ona? Patrz! Patrz! Uważaj! Obejrzała się. Zwiertrzyła całą sprawę. Kochanie, widziałam twego. Widziałam wszystko.

Boże!

Mimo wszystko dobrze mi to zrobiło. Oklapnąłem po Kiernanie, Dignamie. Wdzięczny ci jestem. W Hamlecie to jest. To wszystko było pomieszane. Podniecenie. Kiedy się tak odchyliła do tyłu, poczułem ból na końcu języka. W głowie szumi jak morze. On ma rację. Co prawda mogłem zrobić z siebie gorszego błazna. Zamiast gadać o niczym. A więc opowiem ci wszystko. A przecież był to jakiś rodzaj rozmowy pomiędzy nami. Czy przypadkiem nie? Nie, nazywały ją: Gerty. Mimo to może mieć fałszywe nazwisko jak moje, a adres w Dolphin's Barn może być nieprawdziwy.

Jej panińskie nazwisko brzmiało Jemima Brown i mieszkała z matką w Irishtown.

Myślę, że to miejsce kazało mi o tym pomyśleć. Wszystkie na jedno kopyto. Wycierają pióra o pończochy. Ale piłka potoczyła się w dół ku niej, jakby zrozumiała. Każda kula szuka króla. Oczywiście nigdy nie umiałem niczego cisnąć prosto w szkole. Koślawy jak baranie rogi. Ale to smutne, bo wszystko trwa tylko kilka lat, zanim się nie ustatkują i zaczną dreptać, a spodnie taty niedługo już będą pasowały na Willy'ego i zasypka dla maleństwa, kiedy wysadzi się je, żeby zrobiło a, a. Niełatwa robota. To je ratuje. Trzyma z dala od zła. Natura. Myją dzieci, myją zwłoki. Dignam. Ręce dzieci ciągle je obejmują. Czaszki jak orzechy kokosowe, małpy, nawet nie zasklepione początkowo, kwaśne mleko w ich powijkach i skisły twaróg. Nie trzeba było dawać dziecku pusty piersi do ssania. Napelni je wiatrami. Pani Beaufoy, Purefoy. Muszę zajrzeć do szpitala. Ciekaw jestem, czy siostra Callan jest tam jeszcze. Przychodziła doglądać wieczorami, kiedy Molly grywała w Coffee Palace. A ten młody doktor o'Hare, widziałem, jak czyściła szczotką jego marynarkę. A pani Breen i pani Dignam też kiedyś były takie, gotowe do zamążpójścia. Najgorsze są noce, opowiadała mi pani Duggan w City Arms. Mąż wtacza się pijany, cuchnie karczmą jak śmierdziel. Wciągać to nosem w ciemności, zapach stęchłej gorzały. Potem pyta rano: czy byłem pijany zeszłego wieczora? Ale to zła polityka zrzucać winę na męża. Kurczęta wracają do domu, na grzędę. Trzymają się siebie jak sklejeni klajstrem. Może to też wina kobiet. Kiedy o to chodzi, Molly bije je na głowę. To ta południowa krew. Mauretańska. Także kształt, sylwetka. Dłonie prześlizgiwać się jęły po krągłościach. Porównać ją, na przykład, z tymi innymi. Żona zamknięta na klucz, w domu, szkielet w szafie. Pozwól, że przedstawię moją. Potem przyprowadza ci coś nieokreślonego, nie wiadomo, jak to nazwać. Zawsze zobaczysz wady faceta odbite w jego żonie. Ale jednak jest w tym przeznaczenie, w zakochaniu się. Mają swoje własne wspólne tajemnice. Faceci, którzy zeszliby na psy, gdyby jakaś kobieta nie wzięła ich w ręce. A te dziewczynki odrobinki, wzrostu konika polnego, ze swymi małymi mężusiami. Jakimi ich Bóg stworzył, takimi ich złączył. Ale dzieci czasami są zupełnie znośne. Zero plus zero równa się jeden. Albo stary, bogaty facet, siedemdziesięciolatek, i

zapłoniona panna młoda. Żenią się w maju, pokutują w grudniu. Ta wilgotność jest bardzo niemiła. Klei się. Dobrze, że napletek nie wrócił do góry. Łatwiej oderwać.

Och!

Z drugiej strony taki facet na sześć stóp wysoki, z żoną, która sięga mu do kieszonki od zegarka. Długi, krótka, lecz w sam raz. On wielki, ona mała. Bardzo dziwne z tym moim zegarkiem. Zegarki na rękę zawsze źle chodzą. Ciekawe, czy jest jakiś magnetyczny wpływ osoby, bo to było mniej więcej wtedy, kiedy on. Tak, przypuszczam, że od razu. Myszy tańczą, gdy kota nie czują. Przypominam sobie, jak zaglądnąłem przy Pili Lane. To teraz to też magnetyzm. Na dnie wszystkiego magnetyzm. Ziemia, na przykład, przyciąga i jest przyciągana. To powoduje ruch. A czas? No, to jest właśnie czas, który potrzebny jest dla ruchu. I gdyby jedna rzecz zatrzymała się, cały kram zatrzymałby się kolejno, po kawałku. Bo tak to jest urządzone. Igła magnetyczna mówi ci, co się dzieje ze słońcem, z gwiazdami. Mały kawałeczek stali. Kiedy uniesiesz przed siebie strzałkę magnesu. Ejże. Ejże. Hop. To kobieta i mężczyzna. Strzałka magnesu i stal. Molly, on. Stroją się, puszczają oko, proponują i pozwalają ci zobaczyć coraz więcej i więcej, i wyzywają cię, żebyś spojrzał na to, jeśli jesteś mężczyzną, i jest to jak nadchodzące kichnięcie, nogi, patrz, patrz, i jeśli masz odrobinę krzepy w sobie, to. Hop. Musisz to wypuścić.

Ciekawe, co ona odczuwa w tamtym miejscu. Wstyd tylko wtedy, kiedy robi się to przed kimś trzecim. Więcej zirykowałaby ją dziura w pończosze. Molly na pokazie u hodowców koni, dolna szczeka wysunięta, głowa odrzucona do tyłu, z powodu tego farmera w butach z ostrogami do konnej jazdy. I kiedy ci malarze byli przy Lombard Street West. Piękny głos miał ten facet. Giuglini też tak zaczynał. Mogłem to wachać jak kwiaty. I tak było właśnie. Fiołki. Pewnie z terpentyny od tych farb. One z wszystkiego mają swój własny pożytek. W tym czasie, kiedy to robiła, szurała pantoflem po podłodze, żeby nie usłyszeli. Ale wydaje mi się, że wiele z nich nie potrafi dojść do skutku. Ciągną tę sprawę całymi godzinami. Tak w ogóle, to czują to wszędzie i odrobinę w krzyżach.

Zaczekaj. Hm. Hm. Tak. To jej perfumy. Dlatego machnęła ręką. Pozostawiam ci to, żebyś myślał o mnie, kiedy będę daleko w łóżeczku. Co to jest? Heliotrop? Nie. Hiacynt? Hm. Róże, wydaje mi się. Lubiałaby tego rodzaju zapach. Słodki i tani: wkrótce kwaśny. Dlatego Molly lubi opoponaks. Odpowiada jej zmieszany z odrobiną jaśminu. Jej wysokie i niskie nuty. Wieczorem podczas tańca poznała go, podczas tańca godzin. Gorąco ujawniło to. Była w czerni, która posiadała woń minionych czasów. Czy to dobry przewodnik? Czy zły? Światło także. Przypuśćmy, że istnieje jakiś związek. Na przykład, jeśli pójdziesz do piwnicy, gdzie jest ciemno. To także tajemnicza sprawa. Dlaczego dopiero teraz doszedł mnie ten zapach? Przybycie zabrało mu pewien czas, jak jej, powolny ale pewny. Przypuszczam, że to miliony maleńkich drobinek, przywiane stamtąd. Tak, tak jest. Ponieważ te wyspy korzenne, ten Syngalez dziś rano, można je zwęszyć z odległości całych mil. Powiem ci, co to jest. To tak, jakby miały delikatny welon albo pajęczynę na całej skórze, delikatną jak, jak to się nazywa, babie lato, i nieustannie przędą to z siebie, delikatne jak nic innego, o tęczowych

barwach, i nie wiedzą o tym. Chwyta się to wszystkiego, co ona zdejmie z siebie. Piętki jej pończoch. Ciepłe buciki. Gorset. Majtki: małe kopnięcie, gdy zdejmuje je. Do widzenia, do następnego razu. Kotka też lubi wachać jej koszulę na łóżku. Rozpoznałbym jej zapach pośród tysięcy. I woda po kąpieli. Przypomina mi truskawki ze śmietaną. Ciekawe, gdzie to się naprawdę znajduje. Tam, pod pachami, czy pod szyją. Napływa do ciebie z wszystkich otworów i zakamarków. Perfumy hiacyntowe, wykonane z olejku czy eteru, czy czegoś innego. Szczur piżmowy. Jedna szczypta z woreczków pod ich ogonami wydziela woń przez całe lata. Psy, jeden drugiego z tyłu. Dobry wieczór. Wieczór. Jak ci się wacha? Hm. Hm. Bardzo dobrze, dziękuję. Zwierzęta kierują się tym. A jeżeli się temu przyjrzeć, my jesteśmy tacy sami. Niektóre kobiety, na przykład, ostrzegają cię, kiedy mają period. Podchodzisz bliżej. I trafiasz na fetor, w którym mógłbyś siekierę zawiesić. Jak co? Jak śledzie marynowane, które stęchły. Brrr! Proszę nie deptać trawników.

Może i one czują nasz męski zapach. Ale jaki? Pachące cygarami rękawiczki, które Długi John miał na biurku, kiedy. Oddech? Masz go z tego, co zjesz i wypijesz. Nie. Myślę o męskowoni. Musi być z tym związana, bo księża, którzy podobno są, są inni. Kobiety brzęczą wokół niej jak muchy wokół melasy. Odgródzone balaska-mi od ołtarza, chcą się tam wdrzeć za wszelką cenę. Owoc księdza zakazanego. Och, ojcie, czy chcesz? I pozwól mi być pierwszą. To się rozprzestrzenia po całym ciebie, przesiąka. Źródło życia, a ma tak bardzo dziwny zapach. Jak sos z selerów. Powąchajmy.

Pan Bloom wsunął nos. Hm. W. Hm. Rozcięcie swej kamizelki. Migdały albo. Nie. To cytryny. Ach, nie, to mydło.

Och, przy okazji, ten płyn odżywczy. Wiedziałem, że mam coś na myśli. Nie wróciłem tam i mydło jest nie zapłacone. Nie lubię tak nosić butelek, jak ta wiedźma dziś rano. Hynes mógł mi oddać te trzy szylingi. Mógłbym wspomnieć o Meaghe-rze, tylko po to, żeby mu przypomnieć. Ale jeżeli wykombinuje to ogłoszenie. Dwa szylingi i dziewięć pensów. Będzie miał o mnie złą opinię. Zajrzę jutro. Ile jestem panu winien? Trzy szylingi i dziewięć? Dwa i dziewięć, proszę pana. Ach. Może następnym razem odmówić kredytu. Traci się w ten sposób nabywców. Knajpy tracą. Facetowi narośnie rachunek na tablicy, a potem przemyka się bocznymi ulicami do innego.

Oto ów szlachcic, którego minąłem przedtem, przywiało go z zatoki. Poszedł sobie tylko tam i z powrotem. Zawsze bywa w domu, gdy nadchodzi pora kolacji. Wygląda jak nakrochmalony: musiał dobrze się napchać. Teraz rozkoszuje się naturą. Modlitwa po posiłkach. Po kolacji przejdź się miłą. Na pewno ma gdzieś piękną małą sumkę w banku, rządowa posadka. Pójść teraz za nim, zakłopotać go, jak ci gazeciarze mnie dzisiaj. A przecież czegoś się człowiek uczy. Widzieć siebie tak, jak inni nas widzą. Dopóki kobiety nie drwią, cóż za różnica? W ten sposób można się dowiedzieć. Zapytaj siebie, kim on jest. Tajemniczy Człowiek na Plaży, nagrodzona perełka, napisana przez pana Leopolda Blooma. Płatna gwineę za szpaltę. A ten facet dzisiaj przy grobie w brązowym mackintoschu. Ma zapisane nagniotki w kismecie. Może to zdrowe wchłaniać te wszystkie. Gwizdanie

sprowadza deszcz, jak powiadają. Nadejdzie chyba. W Ormondzie sól była wilgotna. Ciało odczuwa zmiany w atmosferze. Stawy starej Betty cierpią męki. Przepowiednie matki Shipton o okrętach, które w mgnieniu oka odpływają. Nie. To oznaki deszczu. Czytanki dla młodzieży. A dalekie wzgórza zdają się przybliżać.

Howth. Latarnia Bailey. Dwa, cztery, sześć, osiem, dziewięć. Widać. Musi się zmieniać, bo inaczej mogliby pomyśleć, że to dom. Rozbitkowie. Grace Darling. Ludzie boją się ciemności. Tak samo robaczki świętojańskie, rowerzyści: czas zapalania świateł. Klejnoty diamenty lśnią pięknie. Światło jest pewnego rodzaju otuchą. Nie chcę cię skrzywdzić. Lepiej jest teraz, oczywiście, niż dawniej. Polne drogi. Wypruwali ci flaki za nic. Ale nadal są dwa typy, na które wpadasz. Ponury i roześmiany. Przepraszam! Nic nie szkodzi. A także najlepszy czas podlewania roślin w cieniu po zachodzie słońca. Jest jeszcze trochę światła. Czerwone promienie są najdłuższe. Apcznif uczył nas Vance: amarant, pomarańczowy, cytrynowy, zielony, niebieski, indygo, fioletowy. Widzę gwiazdę. Venus? Nie można jeszcze stwierdzić. Dwie, gdy trzy, to już noc. Czy te nocne chmury były tam przez cały czas? Wygląda to jak statek widmo. Nie. Czekaj. Czy to nie drzewa? Złudzenie optyczne. Miraż. To kraina zachodzącego słońca. Słońce samorządu zachodzące na południowym wschodzie. Dobranoc, kraju mój ojczysty.

Rosa opada. To niezdrowo dla ciebie, kochanie, siedzieć tak na tym kamieniu. Sprowadza białe upławy. I wtedy nigdy nie będziesz miała małego bobaska, chyba że będzie tak silny i duży, że wywalczy sobie drogę na zewnątrz. Sam mogę od tego dostać hemoroidów. Trzyma się jak letni katar albo liszaj na ustach. Rozcięcie trawą albo papierem jest najgorsze. Podcieranie siedzenia. Chciałbym być tym głazem, na którym siedziała. O, słodkie maleństwo, nie wiesz, jak ładnie wyglądałaś. Zaczynam je lubić w tym wieku. Zielone jabłuszka. Chwytają wszystko, co im wpadnie w ręce. Myślę, że to jedyny wiek, kiedy krzyżujemy nogi siedząc. Także ta biblioteka dzisiaj: te dziewczyny przed maturą. Szczęśliwe te krzeselka pod nimi. Ale to wpływ wieczoru. One czują to wszystko. Otwierają się jak kwiaty, znają swoją godzinę, słoneczniki, karczochy jerozolimskie, w salach balowych, kandelabry, aleje pod latarniami. Wieczerniki damskie w ogrodzie Mata Diiiona, gdzie pocałowałem ją w ramię. Żałuję, że nie mam jej olejnego portretu naturalnej wielkości z tego okresu. Wtedy też był czerwiec, kiedy się do niej zalecałem. Rok powraca. Historia się powtarza. O góry, o wierzchołki, znów jestem z wami. Życie, miłość, podróż dokoła własnego, małego światka. A teraz? Oczywiście, to smutne, że jest kulawa, ale trzeba się wystrzegać nadmiernej litości. Wykorzystują to.

Wszystko ucichło teraz na Howth. Dalekie wzgórza wydają się. Gdzie my. Rododendrony. Może jestem głupcem. On otrzymuje morele, a ja pestki. Taki mój los. Czego ta stara góra już nie widziała. Imiona zmieniają się: to wszystko. Kochankowie: cmok, cmok.

Czuję się zmęczony. Wstanę? Och, zaczekaj. Całą męskość we mnie wysuszyła ta mała nędznica. Całowała mnie. Moją młodość. Nigdy już. To się zdarza tylko raz. Jej młodość także. Pojadę tam jutro pociągami. Nie. Powracanie to nie to samo. To tak, jakby się

odwiedziło jeszcze raz dom, gdzie było się dzieckiem. Potrzeba mi nowego. Nic nowego pod słońcem. Poste restante Dolphin's Barn. Czy nie jesteś szczęśliwy w twoim? Niegrzeczny chłopczyku. W Dolphin's Barn szarady w domu Luke Doyle'a. Mat Diiion i stadko jego córek: Tiny, Atty, Floey, Maimy, Louy, Hetty. Molly też. To było w osiemdziesiątym siódmym. Na rok, nim my. I ten stary major, tak łaknący swojej kropelki trunku. Dziwne, ona jest jedynaczką, ja jestem jedynakiem. Więc to się powtarza. Myślisz, że uciekasz, i wpadasz na siebie samego. Najdłuższa okólna droga jest najkrótszą drogą do domu. I akurat wtedy, kiedy ona i on. Koń cyrkowy chodzący wkoło areny. Bawiliśmy się w Rip van Winkle'a. Rip: rozdarcie w płaszczu Henny Doyle. Van: wanna u nich. Winkle: butelka wina i bocian: kle, kle. A potem ja przedstawiałem Rip van Winkle'a, który powraca. Ona stała oparta o kredens, patrząc. Mauretańskie oczy. Od dwudziestu lat uśpiony w Sennej Dolinie. Wszystko odmienione. Zapomniane. Młodzi są starzy. Strzelba jego zardzewiała od rosy.

Ba. Ale cóż to tak fruwa tu i tam? Jaskółka? Na pewno nietoperz. Tak ślepy, że uważa mnie za drzewo. Czy ptaki nie mają węchu? Metempsychoza. Wierzyli, że boleść może cię przemienić w drzewo. Wierzbza płacząca. Ba. Tam jest. Śmieszny mały włóczęga. Ciekawe, gdzie mieszka? Tam w dzwonnicy. Bardzo możliwe. Wisi głową w dół pośród woni świętości. Dzwon musiał go wystraszyć, przypuszczam. Zdaje się, że msza już się skończyła. Słyszałem ich wszystkich, gdy. Módl się za nami. I módl się za nami. I módl się za nami. Dobry pomysł to powtarzanie. To samo co z ogłoszeniami. Kupuj u nas. I kupuj u nas. Tak, to światło w domu księdza. Ich skromne posiłki. Przypomina mi się ta pomyłka w wycenie, kiedy byłem u Thoma. Dwadzieścia osiem. Mają dwa domy. Brat Gabriela Conroya jest wikarym. Ba. Znowu. Ciekawe, dlaczego pojawiają się nocą jak myszy. Są mieszańcami. Ptaki to są jak skaczące myszy. Co je płoszy, światło czy hałas? Lepiej siedzieć nieruchomo. Wszystko to instynkt, jak ten ptak w czasie suszy, który dostał się do wody w dzbanie wrzucając kamyczki do środka. Jest jak człowieczek w opończy z malusieńkimi rączkami. Tycie kosteczki. Niemal widzę, jak migoczą, jakby białoniebiesko. Barwy zależą od światła, w którym widzisz. Spójrz na słońce, na przykład, jakbyś był orłem, a później na but i zobaczysz żółtawą, kulistą plamkę. Chce odbić na wszystkim swój znak firmowy. Na przykład ten kot dzisiaj na schodach. Koloru brunatnego torfu. Mówią, że nigdy nie widuje się ich trójbarwnych. Nieprawda. Ta na pół białoburo-żółtawą w City Arms z literą M na czole. Ciało ma pięćdziesiąt rozmaitych kolorów. Howth przed chwilą był ametystowy. Szkło błyska. Właśnie tak, ten mądry człowiek, jakże on się nazywał, z tą swoją soczewką zapalającą. A potem wrzosowisko zapala się. Nie mogą to być zapalniczki turystów. Co? A może patyki ocierają się o siebie podczas wiatru i zapalają. Albo pęknięta butelka w janowcu działa w słońcu jak zapalająca soczewka. Archimedes. Mam! Moja pamięć jest nie najgorsza.

Ba. Kto wie, dlaczego tak latają bez przerwy? Za owadami? Ta pszczoła w zeszłym tygodniu wpadła do pokoju i bawiła się swoim cieniem na suficie. Może to ta, która mnie ugryzła, powróciła, żeby się przypatrzeć. Ptaki także, nigdy się nie zrozumie co mówią. Jak nasze rozmówki o niczym. I powiada ona i powiada on. Ależ mają nerwy, żeby tak przelatywać ocean w tę i z powrotem. Dużo ich na pewno ginie podczas burz i na drutach

telegraficznych. Marynarze też mają przerażające życie. Te oceaniczne parowce jak wielkie bydlęta brnące ciężko w ciemności, muczające jak krowy morskie. Faugh a ballagh. Dość tego i niech cię wszyscy diabli. Inni na statkach, żagiel jak chusteczka do nosa, miotam jak listki na wodzie, gdy dmą burzliwe wichry. I żonaci. Przez całe lata czasem gdzieś na krańcach świata. W rzeczywistości nie na krańcach, bo jest okrągły. Powiadają, że w każdym porcie żona. Ma ona doskonale zajęcie, jeśli potrafi o nie zadbać, póki Jaś nie przymaszeruje znowu do domu. Jeśli w ogóle przymaszeruje kiedykolwiek. Węszą w zaułkach portowych. Jak mogą lubić morze? A jednak lubią. Podniesiono kotwicę. I odpływa on sobie ze szkaplerzem albo medalikiem na szczęście. I co? I z tefilim, nie, jak się nazywało to, co ojciec biednego tatusia miał na drzwiach, żeby dotykać. To wyprowadziło nas z Egiptu i wprowadziło do domu niewoli. Jest coś w tych wszystkich zabobonach, bo kiedy wychodzisz, nie wiesz, jakie niebezpieczeństwa. Trzyma się deski albo siedzi okrakiem na belce, walcząc o swe ponure życie, ma na sobie pas ratunkowy, łyka słoną wodę i to jest kres Jego Dostojności, aż wreszcie rekiny go przytrzasną. Czy ryby dostają kiedykolwiek choroby morskiej?

Albo masz piękną ciszę bez chmurki, spokojne morze, gładkie, a załoga i towary w drobnych kawałkach wędrują na dno do świętego Piotra. Księżyc spogląda z góry. Nie moja wina, mój mały ważniaczku.

Samotna strzelista świeca wspięła się na niebo z kiermaszu Mirus, poszukując funduszków dla szpitala Mercera, pękła opadając i rozsiała rój fioletowych gwiazd i jedną białą. Płynęły, opadły: poblady. Godzina pasterska: godzina uścisków:

godzina schadzek. Od domu do domu, rozdając swe zawsze mile przyjmowane podwójne pukanie, przechodził listonosz w obchodzie o dziewiątej, robaczek świętojański latarki migotał mu u pasa, błyskając to tu, to tam między wawrzynowymi żywoplotami. A pośród pięciu młodych drzew uniesiony stoczek zapalił latarnię na Leahy's Terrace. Wzdłuż oświetlonych ekranów okien, wzdłuż jednakowych ogródków przenikliwy głos przesuwiał się, wołając, zawodząc: Wieczorny Telegraf! Dodatek nadzwyczajny! Wyniki gonitwy o Złoty Puchar!, a z drzwi domu Dignama wybiegł chłopiec i zawołał. Kwilący nietoperz przelatywał to tu, to tam. W dali pełznął po piaskach nadchodzący przypływ, szary. Howth ułożył się do drzemki, znużony długimi dniami, znużony cmokcmok rododendronami (był stary) i z przyjemnością wyczuwał wieczorny wietrzyk, który tarosił mu czuprynę z paproci. Leżał, lecz otworzył niesenne czerwone oko, oddychając głęboko i powoli, senny, lecz nie uśpiony. A dalej jeszcze, na mieliźnie Kish, stojący na kotwicy latarniowiec mrugał puszczając oko do pana Blooma.

Ależ muszą mieć życie ci faceci tam, uwięzieni ciągle w jednym i tym samym miejscu. Dyrekcja Latarni Irlandzkich. Pokutują za grzechy. Służba nadbrzeżna też. Rakiety, pas bezpieczeństwa z nogawicami i łódź ratunkowa. Tego dnia, kiedy pojechaliśmy na wycieczkę Królem Erynu, rzuciliśmy im worek starych gazet. Jak niedźwiedzim w ogrodzie zoologicznym. Paskudna wycieczka. Pijacy na świeżym powietrzu, żeby przetrząsnąć sobie wątroby. Rzygali za burtę, żeby nakarmić śledzie. Mdłości. A na twarzach kobiet widać było

piekielną trwogę. Milly ani śladu strachu. Rozpuściła swoją niebieską szarfę, śmiejąc się. W tym wieku nie wie się co to śmierć. Poza tym mają czyste żołądki. Ale boją się zgubić. Kiedy schowaliśmy się za drzewem w Crumlin. Nie chciałem. Mamo! Mamo! Dzieci w lesie. Można je też przestraszyć maskami. I rzucając je w górę, żeby złapać znowu. Zamorduję cię. Czy to rzeczywiście tylko dla żartu? Albo dzieci bawiące się w bitwę. Z całą żarliwością. Jak ludzie mogą wymierzać karabiny przeciwko sobie? Czasem przecież strzelają. Biedne dzieci. Jedyne kłopoty to róża i pokrzywka. Dałem jej przeciw temu kalomel na przeczyszczenie. Potem, kiedy było jej już lepiej, sypiała z Molly. Ma zupełnie takie same zęby. Co one kochają? Inną siebie? Ale tego ranka goniła ją z parasolką. Może tak, żeby nie zrobić krzywdy. Dotknąłem jej pulsu. Tykał. Była to mała rączka: teraz duża. Najdroższy Tatku. Wszystko, co może powiedzieć ręka, której dotykasz. Lubiła liczyć guziki mojej kamizelki. Pamiętam jej pierwszy gorset. Śmiałem się patrząc. Małe sutki świeżo wyklute. Lewa jest bardziej wrażliwa, zdaje mi się. Moja też. Bliżej serca. Watują je, jeżeli jest moda na duże. Jej bóle miesiączkowe w nocy, wołała, obudziła mnie. Była przerażona. Natura odezwała się w niej po raz pierwszy.

Biedne dziecko! Dla matki to też dziwna chwila. Przywraca ją dziewczęcym czasom. Gibraltar. Widok z Buena Vista. Wieża o'Hary. Wrzask ptaków morskich. Stara małpa z Berberii, która pożarła całą swą rodzinę. Zachód słońca, wystrzał armatni dla ludzi, żeby przekraczali linię graniczną. Wyglądając na morze, powiedziała mi. Był wieczór jak ten, ale pogodny, żadnych chmur. Zawsze myślałam, że wyjdę za lorda albo za gentlemana z własnym jachtem. Buenas noches, seniorita. El hombre ama la muchacha hermosa. Dlaczego za mnie? Bo byłeś tak cudzoziemski w porównaniu z innymi.

Lepiej nie siedzieć tu przez całą noc jak skałoczep. Ta pogoda otępia. Sądząc po świetle, musi dochodzić już dziewiąta. Trzeba odejść. Za późno na Lię, Lilię z Killarney. Nie. Może się jeszcze nie położyła. Zajrzę do szpitala, żeby sprawdzić. Mam nadzieję, że już po wszystkim. Długi dzień miałem. Marta, kąpiel, pogrzeb, dom Klauczy, muzeum z tymi boginiami, piosenka Dedalusa. Potem ten awanturnik u Barney Kiernana. Nie dałem się tam. Pijani pyskacze. Aż skrzyknęło go po tym, co powiedziałem o jego Bogu. To błąd oddawać ciosy. Albo? Nie. Powinni później iść do domu i drwić z samych siebie. Zawsze chcą chlać całą bandę. Boją się samotności jak dwuletnie dzieci. Ale gdyby mnie uderzył. Spójrzmy na to z jego punktu widzenia. Wówczas nie wygląda to tak źle. Może nie chciał mi zrobić krzywdy. Trzykrotne hurra na cześć Izraela. Trzykrotne hurra dla szwagierki, którą zachwalał, a która ma trzy kły w gębie. Ten sam rodzaj urody. Wyjątkowo urocze towarzystwo do wychylenia filiżanki herbaty. Siostra żony dzikusa z Borneo właśnie przybyła do miasta. Wyobraź to sobie wczesnym rankiem z bliska. Każdy według swego gustu, jak powiedział Moryc, całując krowę. Ale Dignam mi dał radę. Domy żałoby są tak przygnębiające, ponieważ nigdy nie wiesz, kiedy. Bądź co bądź, ona potrzebuje pieniędzy. Muszę zajść do tych Szkockich Wdów, jak obiecałem. Dziwna nazwa. Zakłada jako pewnik, że my odwalimy kitę pierwsii. Ta wdowa w poniedziałek przed Cramerem, która spojrzała na mnie. Pochowała biednego małżonka, ale żyje całkiem dobrze z ubezpieczenia. Jej wdowi grosz. Cóż? A czego się spodziewasz po

niej? Musi iść swoją drogą dalej, przypochlebiając się. Nie znoszę widoku wdowców. Wyglądają tak opuszczeni. Ten biedny człowiek o'Connor, którego żona i pięcioro dzieci zatruli się małżami tutaj. Wodorosty. Beznadziejne. Jakaś porządna matrona w filcowym kapeluszu z podwiniętym rondem matkowała mu. Wzięła go na hol, twarz jak talerz i wielki fartuch. Barchanowe majtki po trzy szylingi za parę, zdumiewająca okazja. Pospolita i ukochana, ukochana na zawsze, jak powiadają. Brzydka: żadna kobieta tak o sobie nie myśli. Kochajmy, oszukujmy i bądźmy ładne, bo jutro umrzemy. Widuję go czasami, jak wałęsa się i próbuje zrozumieć, kto zrobił mu ten kawał. Kła. Pa.: kłapa. To los. On, nie ja. Ze sklepami też tak jest często, zauważyłem. Przekleństwo zdaje się je sprowadzać na psy. Śniłem zeszłej nocy? Zaczekaj. Coś pomieszanego. Miała na sobie czerwone pantofelki. Tureckie. Nosila spodnie. Przypuszczam, że nosi. Czy podobałaby mi się w pyjampie? Piekielnie ciężko odpowiedzieć. Nannetti odjechał. Parowiec pocztowy. W tej chwili zbliża się już do Hołyhead. Koniecznie muszę załatwić to ogłoszenie Klauca. Urobić Hynesa i Crawforda. Haleczki dla Molly. Ma ona co w nie wsunąć. Co to? Może pieniądze.

Pan Bloom pochylił się i przewrócił kawałek leżącego na plaży papieru. Przysunął go do oczu i zerknął. List? Nie. Nie mogę odczytać. Lepiej już odejść. Lepiej. Jestem zbyt zmęczony, żeby się ruszyć. Kartka ze starego zeszytu. Wszystkie te dziury i kamyki. Któż by je przeliczył? Nigdy nie wiadomo, co można znaleźć. Butelka zawierająca historię skarbu wyrzucona z wraku. Urząd przesyłek pocztowych. Dzieci zawsze chcą wrzucać coś do morza. Zaufanie? Chleb rzucony na wody. Co to jest? Kawałek kija.

Och! Wyczerpała mnie ta kobieta. Nie jestem już taki młody. Czy przyjdzie tu jutro? Czekać na nią gdzieś przez wieczność. Musi powrócić. Mordercy powracają. A ja?

Pan Bloom ostrożnie poruszył patykiem głęboki piach u swych stóp. Napisać do niej. Może pozostanie. Co?

JA.

Jakiś włóczęga rozdepcze to rano swoimi platfusami. Bezużyteczne. Zostanie zmyte. Przyływ dociera tutaj, przy jej stopach była sadzawka. Pochylić się, zobaczyć tam moją twarz, ciemne zwierciadło, tchnąć na nie, wzburzy się. Wszystkie te skały z krechami, szramami, literami. Och, te przezroczyście! Poza tym one nie wiedzą. Jakie jest znaczenie tego słowa nie z tego świata. Nazwałam cię niegrzecznym chłopczykiem, ponieważ nie lubię.

JESTEM.

Nie ma miejsca. Dajmy temu pokój.

Pan Bloom startł litery powolnym butem. Beznadziejna rzecz piasek. Nic z niego nie wyrasta. Wszystko ginie. Nie ma obawy, że jakiś wielki statek może tu dopłynąć.

Tylko barki Guinnessa. W osiemdziesiąt dni dokoła Kish. Jest w tym przeznaczenie.

Odrzucił swe drewniane pióro. Patyk upadł w mulisty piach, utkwiał. No, a gdybyś próbował to robić przez tydzień bez przerwy, nie udałooby ci się. Przypadek. Nie spotkamy się już nigdy. Ale to było cudowne. Do widzenia, kochanie. Dziękuję. Poczułem się taki młody.

Gdybym sobie teraz uciął krótką drzemkę. Musi już chyba być niemal dziewiąta. Statek do Liverpoolu już dawno zniknął. Nawet dymu nie widać. Przecież ona może zrobić jeszcze tamto. Robiła już. I do Belfast. Nie pojedę. Pędem tam, pędem na powrót do Ennis. Niechże on sobie. Zamknę oczy, tylko na chwilkę. Ale nie będę spał. Pólsen. Nigdy nie powraca taki sam. Znowu nietoperz. Nie jest niebezpieczny. Tylko kilka.

O słodka całe twe małe dziewczęcobiałe nad widziałem brudnycudny pasek do pończoch musiałem pokochać lekko my dwoje niegrzeczny Grace Darling ona go na pół przez łóżko mnie tam psy chodzą fatałaszki dla Raoula żeby perfumować twej żony czarne włosy falujące wdzięki seniorita młode oczy Mulvey pulchne lata sny powracają zaułkami Agendath omdłałości miłości pokazała mi swe ona w przyszłym roku w majtkach powróci ona w swym przyszłym ona w przyszłym.

Nietoperz przelatywał. Tu. Tam. Tu. W szarym oddaleniu zabrzmiał dzwon. Pan Bloom, z otwartymi ustami, z lewym butem wsuniętym w piasek na lewo, pochylał się, oddychał. Tylko kilka.

Kukuu. Kukuu. Kukuu.

Zegar na kominku w domu księdza kukał tam, gdzie kanonik o'Hanlon i ojciec Conroy i wielebny John Hughes S. J. pili herbatę i jedli herbatniki z masłem i smażone kotlety baranie z keczupem i rozmawiali o Kukuu. Kukuu. Kukuu.

Ponieważ był to mały kanarek, który wysuwał się ze swego domku, aby ogłaszać godzinę, Gerty MacDowell zapamiętała godzinę, kiedy tam była; ponieważ była szybka jak żywe srebro w takich sprawach, taka była Gerty MacDowell, i zauważyła od razu, że w domowym gniazdku tego cudzoziemskiego gentlemana, który siedział na skałach patrząc, znajdowała się teraz

Kukuu. Kukuu. Kukuu.

Łka.

DESHIL HOLLES EAMUS. DESHIL HOLLES EAMUS. DESHIL HOLLES EAMUS.

Ześlij nam, czysty, świetlisty Horhornie, pomoc i żywota owoc. Ześlij nam, czysty, świetlisty Horhornie, pomoc i żywota owoc. Ześlij nam, czysty, świetlisty Horhornie, pomoc i żywota owoc.

Hopsa, chłopiec, hej, hopsa! Hopsa, chłopiec, hej, hopsa! Hopsa, chłopiec, hej, hopsa!

Sądzi się ogólnie że rozum onego człowieka niewiele pojmuje ze spraw które jak utrzymują owi śmiertelni największą mądrością obdarzeni są najowocniej-sze ku nauce gdy jest on nieświadom tego co najbardziej z doktryną obznaj-mieni i zapewne dzięki temu ozdobił wysokim umysłem na cześć zasługującym nieustannie utrzymują gdy zgodnie potwierdzają że przez żadną zewnętrzną wspaniałość dobrobyt narodu skuteczniej się nie ujawnia niżli przy pomocy odmierzenia jak dalece posunęła się jego troska o trwałe rozmnożenie które jeśli od zła pierwotnego jest wolne gdy pojawiło się szczęśliwie najpewniejszą oznakę nieskażonego dobrodziejstwa wszechzapy łającej natury stanowi. Bo któż kto cokolwiek o znaczeniu jakimkolwiek pojął nie jest świadom że owa zewnętrzna wspaniałość- może być powłoką kryjącą głębie mrocznej rzeczywistości lub przeciwnie któż jest tak nieoświecony by nie mógł pojąć że skoro żaden z darów natury nie może kierować się przeciw wybujałości rozmnożenia przeto godzi się by każdy sprawiedliwy obywatel był ekshortatorem bliźnich napominającym i by drżał że to co w przeszłości tak doskonale przez naród poczętym zostało może w przyszłości być z nie tak wielką doskonałością wykonywane jeśli bezwstydnym nałóg stopniowo odmieni szacowne przez przodków przekazane obyczaje sprowadzając je ku takiemu pohańbieniu że niezwykle śmiałym będzie ów kto zdobędzie się na zuchwałość by powstać stwierdzając że nie ma bardziej przebrzydłego występku niżli skazywać na wzgardę i zapomnienie ową ewangelię a wraz przykazanie i obietnicę która wszystkim śmiertelnym wróży rozmnożenie lub grozi ubytkiem potęgi płynącej z ponawianej powinności płodzenia wiekuiście i nieodwołalnie nakazanej?

Nie będzie nas więc zdumiewało, że jak nam przekazują najznamienitsi pośród Celtów historycy, którzy nie podziwiali niczego, co dzięki naturze swej nie było godnym podziwu, sztuka medyczna była tak wysoce cenioną. Nie mówiąc o przytułkach, leprozoriach, łaźniach parowych, grobach zbiorowych czasu zarazy, ich najwięksi lekarze, o'Shielowie, o'Hickeyowie, o'Lee'owie, skrzętnie opracowali najrozmaitsze metody, dzięki którym chorzy i nawrotom choroby podlegli odzyskiwali zdrowie, nie bacząc na to, czy chorobą był taniec świętego Wita, suchoty czy też biegunka czerwona. Zapewne każda praca społeczna, posiadająca pewną wagę, winna być przygotowana z odpowiednią dokładnością i dla tej przyczyny ułożyli oni plan (czy był on ustalony z góry, czy też był wynikiem wzrostu doświadczenia, trudno dociec, a sprzeczne opinie późniejszych badaczy nie zostały do tej pory tak uzgodnione, aby można było to wyraźnie stwierdzić), aby macierzyństwo było tak dalece zabezpieczone przed jakimi-kolwiek możliwymi przypadkami, żeby pacjentka w tej najcięższej godzinie życia niewieściego pozostawała pod pełną opieką, i to nie wyłącznie ta, która opływa w dostatki, ale również i ta, która nie posiadając dostatecznej ilości pieniędzy rzadko, a często nawet i nierzadko, mogła dzielnie przetrwać.

Nic już teraz ani w przyszłości nie mogło jej zagrozić, gdyż to głównie odczuwali wszyscy obywatele, że dobrobyt istnieć nie może, jeśli wykluczy się matki płodne.

Więc jak przyjmowali bogów wiekuiстых, śmiertelnicy, chcąc widzieć, by miała godne rozwiązanie, gdy czas sprawy owej nadchodził, wehikuł do rodzącej kierowali i wszyscy z

gorliwością największą, jeden przez drugiego, nakłaniali ją, by udała się do tego domostwa. O, czynie narodu roztropnego, nie tylko dzięki świadectwu oczu, lecz nawet gdy słyszymy o nim, czci godny, oto oni ją w przewidywaniu swym matką ujrzeni i uczuli, że niespodzianie troską ją otoczyli!

Nim narodzeń, wielce wesół był. W żywocie żyw barzo był błogosławion. A co w sprawie onej uczyniono, prawie uczyniono. Niewiasty położne łoża, gdzie zlec ma, otoczyły, a także jadło krzepiące tam złożyły i powijaki czyste, jakoby porodziła już, roztropnie rzecz tę przewidując: a kromie tego leki, także instrumenta chirurgiczne, co są sprawie jej przynależne, a nie pominęły także przeróżnych obrazów z rozmaitej dziedziny ziemi naszej pochodzących, ofiarowanych tu wraz z wizerunkami bogów i ludzi, których rozpamiętywanie przez niewiastę niemocą złożoną nabrzmiewaniu sprzyja i letkość w powiciu niesie w owym jasnym jako słońce, pięknie wzniesionym, nadobnym domie matek, gdy widomie owoc z żywota swego uronić ma, a naszło na nią, iż tu zlegnie, jako że czas jej naszedł na nią.

Człek jakowyś, który wędrowcem był, u drzwi domu onego, gdy noc naszła, stanął. Z ludu izraelskiego był on, co, po świecie tułając się, daleko zawędrował. A wielka litość człowiecza ku drzwiom domu onego go przywiodła.

W domu onym A. Horne włada. Łóżek dziesiątków siedm ma on tam, a w nich matki owoc uronić pragnące spoczywają wedle obyczaju, by w boleści porodzić dzieciątka swe krzepkie, jako Anioł Pański zwiastował Maryi Pannie. A pieczę sprawują tam siostry dwie białe, pośród czuwania snu nie zaznające. Boleść łagodzą a chorobę uciszają: w miesiący dwanaście po trzykroć sto razy. Prawymi włodarzami łóżek owych są one, w imię Horne'a czujnie czuwające.

Czujnie czuwająca straż słyszy nadejście onego człeka o sercu miłosiernym, powstawa tedy z obliczem osłoniętym, a bramę szeroko mu rozwarła. Patrz, błyska blask burzy i w oka mgnieniu na niebios Irlandii zachodzie wschodzi! Lęk ją zmógł, iż Bóg mściciel życie ludzkości za grzechów sprośności wodami zatopi. Krystuso-wego krzyża znak uczyniła na piersi swej, a w pośpiechu wielkim wniść mu nakazała pod strzechę swą. Człek ów, powolny jej woli wielmożnej, wchodzi w dom Horne'a.

Zawadą nie chcąc być w Horne'a komnacie, człek ów, czapkę trzymając, czeka. W zagrodzie strażniczki onej żył z miłą żoną swą i córą umiłowaną, on, co po ziemi i wodach przez roków dziewięć tułał się. Raz napotkali się, gdzie przystań wodna, i pokłoniła mu się ona, a ów czapki nie zdjął. Wybaczenia dziś prosi, a przyczynę dobrą k'temu ma, jako że lico jej na mgnienie jeno widne mu w on czas było, a nadto młodym być się zdało. Oczy jej światłością prędką zapłonęły na to, a rumieńca róże od słów jego na nich zakwitły.

Oczy jej na sukniach jego żałobnych spoczęły, a jęła lękać się, iż boleść go jaka napotkała. Wszelako uciechę miała wnet równą trwodze owej wprzódy. Pytał ją, czyli Doktor o'Hare wieści jakoweś śle z brzegu dalekiego, a ona rzekła żałośliwie, iż o'Hare Doktor w

niebiesiech się najduje. Smutek okazał człek ów, słowa one słysząc, żałością trzewia napelniające. Rzec całą mu opowiedziała, śmierci przyjaciela tak młodego uzalając się, chocia w boleści swej mądrości bożych wyroków przeczyć nie śmiała. Rzekła, iż śmierć napotkał piękną a słodką dzięki dobroci bożej, kapłan wypowiadał go, eucharystyją przenajświętszą dał, a także namaszczeń był na członkach swych olejmi świętymi ostatnimi. Tedy człek ów z gorliwością prawą pytał mniszki, jaką śmiercią umarł ów umarły, a mniszka odrzekła mówiąc, iż umarł on na wyspie Mona, a przyczyną rak brzucha był, lat trzy minie na Świętych Młodzianków, a także, iż modły wznosi ku Najmiłosierniejszemu Bogu, by duszyczkę dobrą jego przyjął do swej chwały wiekuistej. Słów jej boleści-wych słuchał, czapkę w rękach dzierżąc a poglądając markotnie. I stali tak oboje we frasunku wielkim, jedno drugiemu uzalając się.

Dla przyczyny onej, wszelkiczłeku, wejrzyj na kres ów ostateczny, którym śmierć jest twoja, a także na ów proch, który ogarnie wszelkiego człeka z niewiasty zrodzonego, gdyż jako nagi wyszedł z żywota matki swej, tak nagi wróci się na końcu, by odszedł, jako przyszedł.

Człek ów, który do domu tego przybył, przemówił tedy do niewiasty czuwającej, a pytał ją, jakoż miewa się niewiasta leżąca tam w połogu. A niewiasta owa czuwająca odrzekła mu, mówiąc, iż niewiasta owa w bólach jest od dni trzech i że połów trudny będzie a niełatwy do ścierpienia, wszelako mało wiele, a porodzi. Rzekła także, iż widziała wiele połów niewieścich, aleć ni jeden tak trudnym nie był jako połów owej niewiasty. Za czym opowiedziała onemu rzecz całą, onemu, który ongi w pobliżu domu tego żył. Człek ów słów słuchał jej, a myślał w podziwieniu o niedolach cierpiętnych połogu niewieściego, które macierzyństwo im niesie, i w podziwieniu na lico jej poglądał, co każdemu mężowi patrzącemu młodym się zdało, a przecie po latach wielu służebną ona pozostaje. Dziewięćkroć dwanaście upływów krwi miesięcznej z przezdziatności jej się prześmiewa.

A gdy mówili, bramy zamczyska otwarły się i zgiełk wielki posłyszeli, jakoby wielu ówdzie za stołem zasiadających. A do miejsca onego, gdzie stali, przybliżył się rycerz młody a uczony Dixonem zwany. A wędrowiec ów, Leopold, znał go przody, jako że przydarzyło się, iż mieli sprawę z sobą w przybytku miłosierdzia, gdzie rycerz ów uczony popasał, a wędrowiec Leopold przybył zagoić ranę okrutną w pierś mu zadaną włócznią smoka przebrzydłego i strasznego, na którą przyłożył mu on balsam z soli lotnej i krzyżma uczyniony, aby go ozdrowił. A rzekł on ninie, iż winien ów wniknąć do zamku onego, aby weselił się z nimi, którzy tam są. A wędrowiec Leopold, człekiem pełnym przebiegłości i zmyślnym będąc, rzekł mu, iż w insze miejsce się udaje. Także i dama mniemała jako on, a przygarnia rycerzowi uczonemu, choć wiedziała, iż wędrowiec rzekł rzecz kłamliwą w przebiegłości swojej. Aleć rycerz uczony słyszeć nie chciał o przeciwie ni damy słuchać, ni przeszkody zaznać w uporze swoim, a rzekł, iż jest to zamek cudowny. A wędrowiec Leopold wszedł do zamku onego, aby spoczął nieco, jako że członki miał utrudzone wędrowkami wielu po krainach rozlicznych i służbą Wenerze.

A w zamku owym stół postawiono z drzewa brzoźowego z Finlandyi, a podtrzymywało go karłów czworo, wszelako ni jeden z nich nie poruszy się więcy, jako że czar na nich rzucono. A na stole owym straszliwe miecze i noże, wykowane z mozołem w pieczarze wielkiej przez demony, z płomienia białego, a osadzone są w rogi bawołów i jeleni, rozmnożonych tam ponad wszelkie podziwienie. A były tam naczynia magią Mahounda czarami uformowane z piasku morskiego i powietrza, w które dmie on, aby się zapieniły. A jadłem i napitkiem stół ów dostatnio a pięknie był zastawiony, iże nikto obmyśleć barzej dostatniego i piękniejszego by nie mógł. A było w miejscu onym puzdro srebrne, sztuką otworzyć się dające, a w nim ryby przedziwne spoczywały, głów nie mające, chocia niedowiarkowie rzeką, iże rzecz ta być nie może, póki nie ujrzą, iże prawdziwie jest im na przekór. A ryby owe w wodzie oleistej spoczywają, którą z portugalskiej krainy przywieziono, dla przyczyny jej tłustości, podobnej do soków onych z prasy oliwnej spływających. A cudownością także było widzieć w zamku zaczyn jaki mocą czarnoksięską tam sporządzają z urodzajnych ziaren pszenicz-nych chaldejskich, z pomocą gniewnych duchów, które są weń zaklęte, wzrastający, póki nie spęcznieje jako góra rozległa. A wyuczyli oni węże tam, aby wychodziły z ziemi nawijając się na tyki wysokie, i z łuski węzów onych wywar warzą jako miód.

A rycerz ów uczony nalał szlachetnie urodzonemu Leopoldowi łyk napoju, a także obdzielił wszystkich, którzy byli tam, a każdy z nich pił. A szlachetnie urodzony Leopold uniósł przyłbicę, by mu zadość uczynić i otwarcie wychylił mało, aby dogodzić mu, jako że nigdy miodu nie pijał, tedy odstawił puchar i sekretnie wypróżnił część jego największą do szklenicy sąsiada swego, podstępnie podejrzewającego. I zasiadł z nimi w zamku owym, aby odpoczął nieco. Dzięki niechaj będą Wszechmocnemu Bogu.

W tymże czasie dobra siostra owa we drzwiach stojąc zaklinała ich na chwałę Jezusa Pana Naszego, aby porzucili ucztę swą, jako że ponad nimi znajdowała się osoba jedna dziecięcia wnet spodziewająca się, dama szlachetna, której czas nadejść miał niebawem. Sir Leopold okrzyk na wysokościach komnaty ponad nimi usłyszał i ciekawości był pełen, cóż to za okrzyk mógł być, czyli dziecięcia, czyli też niewiasty. I dziwno mi, rzekł, iże końca temu nie było i nie masz. Zda mi się, iże trwa to nazbyt, I czujnym stał się wraz, gdyż ujrzał kmiecia wolnego, którego wołali Lenehan, po swej stronie stołu, co starszym był niżli pozostali, a jako że obaj byli rycerzami cnotliwymi i czyny jednako waleczne łączyły ich, a także dla przyczyny, iże starszym ów był, przemówił ku niemu z łagodnością wielką. Zaiste, rzecze on, niewiele czasu przeminie, a porodzi ona dzięki łasce bożej i uweseli się dziecięciem swoim, jako że czekała długo nad podziw. A kmieć wolny, który wypił za to, rzekł, Czekaj ona, iże chwila każda, co nadejść ma, nadejdzie. A chycił wraz za puchar, co stał przed nim, jako że przenigdy nie kazał, by do picia go upraszano, i rzekł. Wypij, a wesel się, rzekł tak i wychylił do dna za zdrowie ich obu, jako że był on prawym człkiem w uciechach swoich. A sir Leopold, który był najbardziej prawym gościem, jaki w komnatach scholarów siadywał, a także serca najbardziej łagodnego i najlepszego z tych, którzy dłoń gospodarną pod kurę kładą, a także będąc najbardziej prawym z rycerzy świata tego, z onych, co usługi ulubione

damie świadczą, wraz z nim dwornie puchar ów wychylił. Niewiasty nieszczęściem smucąc się szczerze.

Rzec nam trzeba ninie o kompaniji owej, która była tam, zawziętej wielce, aby spić się do cna. Po stołu stronach obu scholarze rzędem siedli, a to ów Dixonem zwany, młodszym u Świętej Maryi Miłosiernej będący, a z nim towarzysze jego Lynch i Madden, medykusy oba, a także ów kmieć wolny, którego wołają Le-nehán, a także jeden z Alba Longa, o imieniu Crotthers, a także młody Stefan, co braciszka zakonnego postawę miał, a w głowach stołu siedział, a także Costello, co go ludzie wołali Pięść Costello dla męstwa jego z dawna opiewanego (a pośród wszystkich ów Stefan powściągliwy pijany był najbardziej, a miodu jeszcze wołał), a wpodłe nich uprzejmy sir Leopold. Wszelako czekali oni na Malachiego młodego, jako że poprzysiął im, iż przybędzie, a ci, co nic dobrego nie knowali, mówili, iż przysięgę swą złamał. A sir Leopold zasiadł tam z nimi, jako że przyjaźń miał wielką dla sir Simona i onego syna jego, młodego Stefana, a także dla przyczyny znużenia, od którego omdlewał po wędrówkach swych długich, a także dla przyczyny, iż gościli go tam oni w najchwalebniejszym sposobie. Litością trzymany, miłością gnany, rozum radzi, by wędrował, wszelako wyniść nie pragnie.

A byli oni prawymi a rozumnymi scholarami. I słyszał, gdy myśli swe kładli jeden przeciw drugiemu, a to w rzeczy narodzenia i poczciwości, Madden młody trzymał, iż w sprawie takowej nie godzi się umrzeć niewieście (jako się to przydarzyło łońskiego roku białce pewnej z Eblany, w domostwie Horne'a, która ze świata tego zeszła już, a nocy owej, nim zmarło się jej, medykusy wszyscy i pigularze consilium uczzone nad nią odbywali). I rzekli jeszcze, iż żyć była winna, jako że powiedziano na początku, tak rzekli, iż niewiasta w bólach rodzić winna i dla onej to przyczyny ci, którzy mniemali tak, przytwierdzili, iż młody Madden prawdę rzekł, jako że w sumieniu swoim przeciwny był śmierci jej. A niemało ich, a z nimi i Lynch młody, wątpiło, czyli świat dziś pod złym rządem nie zostawa, choć inszy nigdy nie bywał, mimo że prostaczkowie wierzyli w sprawiedliwość, aleć prawo ni sędziowie remedium nijakiego nie naleźli. Niechajże Bóg krzywd odpłatę ześle. Gdy jeno rzekł to, wszyscy zgodnie zakrzyknęli, nie, na Matkę Najświętszą, niewiasta żyć winna, a dziecię umrzeć. Pobledli przy tym z zapalczywości sporu owego, a także od napitku, wszelako kmieć wolny Lenehan z gorącością wielką piwo każdemu z nich lał, aby wesela im nie brakło. W on czas Madden młody ukazał im rzecz całą, a gdy rzekł, jako była już martwa i jako mąż jej pocziwy Wiarę Świętą na pieczy mając, a za radą jałmużnika i pątnika idąc, a także dla przysięgi, którą świętemu Ultanowi z Arbraccanu złożył, ducha jej wyzionąć nie dawał, wielką w nich żalność posiał. Któremu młody Stefan odrzekł słowy tymi. Sarkanie, panowie, rzeczą zwyczajną jest pośród ludzi świeckich. Macierz i dziecię jej pospolnie dziś chwałą Stwórcę swego, jedna w otchłani mrocznej, drugie w ogniu czyścowym. Wszelako miejcie litość, cóż rzec o owych przez Boga umożliwionych duszach, które nocy każdej uniemożliwiamy, co grzechem jest przeciw Duchowi Świętemu, Bogu Samemu, Panu i Życia Dawcy? Gdyż, panowie, rzekł, rozkosz nasza krótka. Przyczyną jesteśmy dla owych stworzeń maluchnych, co w nas są, a natura insze ma cele, niżli my je mamy. Rzekł tedy Dixon młody

do Pięści Costello, czyli nie wie, jakież to cele. Wszelako ów wypił zbyt wiele i tyle jeno mógł rzec, iż zbezczeszciliby każdą niewiastę, zaślubioną, dziewicę czy nałożnicę, jeśliby mu się przytrafiło, że musiałby dać upust swej żądzy. Na to Crotthers z Alba Longa zaśpiewał przez młodego Malachiego ułożoną pochwałę bestii owej jednorożca, który raz w millennium przybywa, a rogiem swym plugastwo wszelakie czyni, choć tamto insze sterczy mu takż w on czas, co sprawiają ich szyderstwa, którymi go złośliwie obrzucają, biorąc na świadków wszystkich spolem i każdego z osobna i klnąc się na zmyślność św. Fiutinusa, iż rzecz każdą czynić on może, którą człek uczynić może. Na to roześmieli się wszyscy wesoło, wszelako nie Stefan młody i nie sir Leopold, który nie ważył się przenigdy w głos śmiać dla humoru pewnego, którego nie chciał zdradzić, a takż dla litości wielkiej, co ją żywił dla owej, której żywot miał owoc dać, kimkolwiek byłaby i gdziekolwiek. Tedy prawić ją Stefan młody o Kościele Matce, która odepchnie go od swego łona, o prawie kanonicznym, o Lilith, patronce poronień, o wzdęciu brzucha, co pochodzi z wiatru nasion jasności lub z potencji ust wampirów na ustach, lub jako rzecz Wergiliusz, za przyczyną zachodu, lub za przyczyną woni stokroci, lub gdy położysz ją z niewiastą, co z małżonkiem swym niedawno legła, effectu secuto, lub przypadkiem w kąpieli jej zgodnie z opinią Awerroesa i Mojżesza Majmonidesa. Rzekł takż, jako u kresu miesiąca wtó-rego dusza człowiecza wprowadzoną zostaje i jako nasza Matka Najświętsza dusze wszystkie w sobie mieści na większą chwałę bożą, gdy owa macierz ziemską, co była jeno samką jako zwierzę rodzącą, winna ohydnie zemrzeć zgodnie z prawem Kościoła, jako orzeka ów, co pieczęć rybaka dzierży. Piotr święty, opoka, na której Kościół Święty po wszystkie wieki wzniesiono. W on czas wszyscy bakałarze owi sir Leopolda zapytali, czy w przypadku takowym dałby na szwank osobę jej, życie narażając, by życie zbawić. W roztropności umysłu swego odparł im on, by wszystkim dogodzić, a dłoń na brodzie położywszy, rzekł, zmilczając, jako miał we zwyczaju, iż sądzi on, który sztukę lekarską umiłował człekiem świeckim będąc, a takż doświadczenie jego w przypadku tak rzadko się przytrafiającym rzecz mu, iż dobrze się dzieje, gdy Matka Kościół za jednym zamachem daninę za narodzenie i śmierć bierze, a tym sposobem przemyślnie pytaniu ich umknął. Prawda to zaiste, rzekł Dixon, a takż, jeśli nie zbłądziłem, słowo to brzemiennie. Co usłyszawszy, Stefan młody wielce się rozradował i jął upewniać, iż ów, co biedakowi odbiera. Bogu daje, jako że dzikim stawał się, gdy był pijany, co okazało się wrychle.

Aleć sir Leopold posępnym był mimo słów tych, a to dla przyczyny, iż nadal litował się nad owym trwożę budzącym wrzaskiem niewiast zawodzących w położu, a wspominał przy tym małżonkę swą zacną Marion, która mu dziecię jedyne męskie powiła, a zmarło ono w dniu jedenastym życia swego, a żaden człek owego rzemiosła uchronić go nie umiał, tak mroczne bywają losu koleje. A serce jej boleścią wielką było przeszyte po owym przypadku tak złym i gdy go grzebać miała, giezłeczko mu piękne uprzedła z wełny jagnięcia, kwiatu trzody swojej, aby nie przemarzł do szczytu, nago tam leżąc (jako że działa się rzecz owa około środka zimy), a oto sir Leopold, który z lędźwi swych potomka męskiego nie miał, wejrzał nań, na syna przyjaciela swego, i zaparł się w bólu swym, radość swą minioną wspominając, a jako smucił się, że zbrakło mu syna o tak wielkich cnotach (jako że wszyscy mu znaczne

przymioty przyznawali), w nie mniejszej mierze troską był o młodego Stefana zdjęty, który żył rozwiązle w kompaniji owych nicponi, a przymioty swe z kurwami przetrącał.

W tejże chwili młody Stefan napełnił wszystkie szklenice, co puste stały, tak iż niewiele by pozostało, gdyby roztropniejsi nie osłonili swych przed nim, wszelako namawiał gorliwie, modląc się na intencję Najwyższego Kapłana, a każąc im spełnić zdrowie wikariusza Chrystusowego, który, jako prawil, jest takż wikariuszem Bray. Wychylmy, rzekł on, czarę ową i wypijmy ów miód, który nie jest, jako żywo, częścią ciała mego, wszelako jest wcieleniem duszy mojej. Pozostawcie chleba okruch tym, co chlebem jeno żyją. Nie trwóźcie się, iż zbraknie wam czego, jako że to pocieszy was bardziej, niżli tamto zasmuci. Tu spójrzcie. I ukazał im lśniące pieniądze daniny, a takż złotników rewersy wartości funtów dwojga i szylingów dziewiętnastu, a dano mu je, rzekł, za pieśń, którą ułożył. W podziwie patrzyli na bogactwa owe widome w miejscu, gdzie niedostatek tak wielki przody się penił. A słowa jego były w on czas takie: Wiedźcie, ludzie wszyscy, rzekł, że z ruin czasu wzniesione są wieczności dworzyszczka. Cóż znaczy to? Wicher pożądania łamie krzew ciernisty, wszelako później przemienia się on z ciernia w różę, która wyrasta z drzewa krzyża czasu. Słuchajcie mnie. W żywocie niewiasty słowo staje się ciałem, ale w duchu Stwórcy wszystko, co cielesne i przemijające, przemienia się w słowo, które nie przeminie. I to jest postkreacja. Omnis caro ad te veniet. Bez wapienia potężne jest imię tej, która nosiła w łonie drogie ciało naszego Odkupiciela, Uzdrawiciela i Pasterza, naszej potężnej matki, matki najświętszej, a Bernardus trafnie powiada, że ma ona omnipotentiam deiparae supplicem, co się tłumaczy wszechmoc wstawienictwa, ponieważ jest ona drugą Ewą i uratowała nas, jak powiada takż i święty Augustyn, podczas gdy tamta, nasza prababka, z którą połączeni jesteśmy kolejną anastomozą pępownin, sprzedała nas wszystkich, nasienie, pokolenie i dziedziczenie nasze, za jabłuszko warte miedziaka. Ale powstaje pytanie. Albo znała go, mówię o tamtej, ale była tylko stworzeniem stworzonym przez to, co stworzyła, vergine mądre figlia di tuo figlio, albo go nie znała, a wówczas stoi ona w zaprzeczeniu swym i ignoracji obok Piotra Piscatora, kiedy mieszka w domku, który Jaś zbudował, lub obok Józefa Cieśli, patrona szczęśliwego unieważnienia wszystkich nieszczęśliwych małżeństw parce que M. Leo Taxil nous a dit que qui l'avait misé dans cette fichue position c'était le sacre pigeon, ventre de Dieu! Entweder transsubstancjonalność oder konssubstancjonalność, ale w żadnym wypadku nie subsubstancjonalność. A wszyscy zakrzyknęli, iż jest to słowo wielce podłe. Brzemienność bez radości, rzekł, poród bez bólu, ciało bez skazy, brzuch bez wzdęcia. Niechaj lubieżnik z wiarą i wigorem wierzy. Wara wam, wolę wyrzec, wierzajcie.

Na to Pięść Costello kułakiem w stół uderzył, zapragnąwszy zaśpiewać piosnkę sprośną Stabuu Stabella o dziewczecze, której brzuch jak strąk fasoli wzdęło się za przyczyną pewnego wesołego rębajły z Alemanii, a rozpoczął tymi słowy: Pierwsze miesiączki trzy źle przeminęły jej, Stabuu, gdy siostra Quigley ode drzwi z gniewem jęła ich upraszać uciszyć się czyli też wstydu nie macie przecie to nie przystoi jako że powinnością jej było ładu wszelakiego strzec aż do nadejścia lorda Andrew a zawistną była o to by żaden zgiełk wielki czci jej stróżowania nie uwłaczał. Była to wiekowa i smutku pełna matrona o wejrzeniu

statecznym, krocząca świętobliwie, w habit bury odziana, przystojny jej markotności i licu pomarszczonemu, a napomnienie jej skutek odniosło, gdyż Pięść Costella wnet jęli strofować i gburą tego krzesać grubiaństwa uprzejmymi jedni, a pochlebstwem drudzy, za czym wszyscy łąć go poczęli, niechajże plaga głupka tego pochłonie, cóż u diabła czyni, ty kapłonie, karle, grochowiny masz we łbie, nicponiu, świński flaku, nasienie buntownicze, wypędku, porończe, by zawarł swą pijaną gębę, małpierz przez Boga przeklęty. Dobry sir Leopold, który w godle swym kwiat łagodności miał, stokroć uprzejmą, osądził, iż godzina ta świętsza jest niżli inne, a najgodniejsza, by najświętszą zwać się. W domostwie Horne'a niechaj pokój panuje.

By krótko rzec, zaledwie to przeminęło, gdy mistrz Dixon od Maryi w Eccies, dobrotliwie uśmiechnięty, pytał młodego Stefana, jakaż była przyczyna, że nie zechciał ślubów zakonnych złożyć, a ów odparł, że posłuszeństwo w łonie, cnota po zgonie, lecz nieochotne ubóstwo przez wszystkie dni żywota. Mistrz Lenehan odparł na to, że słyszał o owych czynach niegodziwych i o tym, jak to słyszał w sąsiedztwie, że zbrukał on liliję cnoty pewnej niewiasty, która mu zawierzyła, co jest gorszeniem maluczkich, a wszyscy oni wdali się w to także z weselem coraz większym i pili za jego ojcostwo. Lecz rzekł im wielce stanowczo, że prawda przeczy całkiem przypuszczeniu ich, gdyż jest on wiekuistym synem i dziewicą pozostanie. Na to wesele ich wzrosło jeszcze i powtórzyli to, co im opowiadał o obyczajach cudacznym zaślubin i obnażania, a także rozprawiczania oblubienicy, który kapłani na wyspie Madagaskar zalecają, by ona była odziana w biel i szafran, a oblubieniec jej w biel i szkarłat, a kadzidło i świece płoną wokół łóżnicy, a klerykowie wyśpiewują kyrie i hymn *Ut novetur sexus omnis corporis mysterium*, póki panieństwa ona nie utraci. Wspomniał im na to wielce chwalebny pieśń weselną owych miłych poetów Mistrza Johna Fletchera i Mistrza Francisa Beaumonta z ich Tragedyi Dziewiczej, ułożoną dla podobnego kochanków połączenia: *Do łoża, do łoża*, powtarzało się w niej z muzyki towarzyszeniem na wirginałach. Wyborne, pełne słodczy epitalamium o najbardziej łagodnym brzmieniu dla miłującej młodzieży, którą wonne pochodnie druzbów odprowadziły ku wspartej na nogach czterech scenie złączenia małżonków. Nadobna to para, rzekł mistrz Dixon, radując się, lecz posłuchaj mnie, mój młody panie, lepiej byłoby, gdyby nazwano ich Bałamut i Francier, gdyż z takiego połączenia wiele mogłoby się przydarzyć. Rzekł młody Stefan, że jeśli pamięć go nie zwodzi, to w rzeczy samej, mieli oni we dwóch tylko jedną wspólną kochanicę, a to z bordelu, aby związać koniec z końcem dzięki owym uciechom miłosnym, gdyż życie płynęło bardzo burzliwie w owych dniach, a było to zgodne z obyczajami kraju. Większej miłości, powiedział, nie ma w człowieku niżli ta, która każe mu oddać żonę swą przyjacielowi do łoża. Idźcie, a czyńcie podobnie. Tako albo rzecz wielce podobną rzecze Zaratustra, ongi profesor literatury francuskiej na katedrze królewskiej fundacji uniwersytetu w o-xmordzie, a przenigdy nie znano tam człeka, któremu ludzkość większą wdzięczność jest winna. Wprowadź obcego do swego zamku, pójdzie to trudno, lecz otrzymasz mniejsze łożo. *Orate, fratres, pro memetipso*. A lud cały wyrzeknie Amen. Wspomnij, Erynie, na owe pokolenia i na dni dawne twoje, iż się wzgardził mną i słowem mojem, a wprowadziłeś obcego w bramy moje, aby nierząd czynił przed oczyma moimi, aby tłuszczem obrastał i wierzgał

jako Jeshurum. Przeto zgrzeszyłeś przeciw światłości i przemieniłeś mnie, pana twego, w sług niewolnika. Wróć, wróć, klanie Milly: nie zapominaj mnie, o Milezyjczyku. Czemuż uczyniłeś ową obrzydliwość przede mną, odtrącając mnie dla kupczącego jałapą, a zaparłeś się mnie przed Rzymianinem i Indianinem o mowie mrocznej, z którymi córki twe pokładały się w zbytku? Spójrz przed się, ludu mój, na ową ziemię obiecaną z Horeb i z Nebo i z Pisgah i z Rogów Hatten, na ową krainę mlekiem i złotem płynącą. Lecz napoiłeś mnie mlekiem goryczy: i zagasileś na wieki miesiąc mój i słońce moje. I pozostawiłeś mnie na wieki na mrocznych drogach mej goryczy: a pocałunkiem popiołów usta moje ucałowałeś. Owa posępność wewnętrzna, mówił dalej, nie została rozjaśniona mądrością Septuaginty ani nawet wzmiankowana, gdyż Wschód ów, który nadszedł z wysokości, rozbiwszy bramy piekieł, napotkał mroki wprzód ustanowione. Przyzwyczajenie pomniejsza okrucieństwo (jak powiada Tuliusz o swych umiłowanych stoikach), a Hamlet ojciec nie ukazuje swemu synowi żadnego oparzenia. Nieprzejrzystość w południe życia jest plagą egipską, która podczas nocy przednarodzenia i pośmiertnych jest ich najbardziej właściwym ubi i *quomodo*. A podobie jak kres i cel ostateczny wszechrzeczy jest zgodny w pewien sposób i w pewnej mierze z ich poczęciem i początkiem, ta sama wieloraka zgodność, która wiedzie wzrastanie od narodzin, wywołuje dzięki retrogresywnej metamorfozie owo zmniejszanie i odrywanie się ku końcowi, miłe naturze, podobnie dzieje się z naszą ziemską istotą. Wiekowe siostry zmuszają nas do życia: zawodzimy, tuczemy się, bawimy, obłapiamy, ściskamy, rozłączamy, kurczymy, umieramy: nad nami umarłymi pochylają się. Pierwsze, ocalone z wód starego Nilu, pośród sitowia, łóżeczko z wiklinowej plecionki: w końcu pieczara górską, tajemny grobowiec pośród głosów żbika i ptaka drapieżnego. A że żaden człowiek nie zna miejsca swej mogiły ani jakich procesów będziemy ofiarami, ani czy pójdzie do Tophet, czy do Rajgrodu, tak też będzie ukryte, gdy zapagniemy spojrzeć, z jakich oddalonych obszarów coś naszej ktości przyniosła jego skądość.

Na to Pięść Costello zagrział pełnym głosem Etienne chanson, lecz tamten wielkim głosem jął błagać ich, spójrzcie, oto mądrość wzniosła sobie domostwo, rozległą majestatyczną sklepioną odwieczną kryptę, kryształowy pałac Stwórcy, uformowany składnie jak tort, pensa dać temu, kto znajdzie ziarnko maku.

Spójrz na zamczysko Jasia tak bardzo skrzętnego, Patrz, ile worów chmielu tam złożył złotego, Na arenie, gdzie biwak błazna cyrkowego.

Ciemny, tajemny trzask hałas w ulicy, echo gromu odbite od domu. Po lewej potężnie Thor grzmotnął: w gniewie mocarny, młotem miotający. Naszła na nich nawałnica, nadeszła i serce jego zatrwożyło się. A mistrz Lynch błagać go począł, aby dawał baczenie na szyderstwa i bluźnierstwa, gdyż boga samego rozgniewał swym piekielnym bajaniem i pogaństwem. Zaś ów, co pierwszy wyzywał swą dzielnością, pobladł, jak to wszyscy ujrzeni, i skulił się, a głos jego, co przody tak górował, przycichł z nagłą i opadł, a serce zadrżało w klatce piersi, gdy skosztować mu przyszło łoskotu owej burzy. I jęli się jedni prześmiewać, a drwić inni, a Pięść Costello pochylił się znów nad swym piwskim, a mistrz Lenehan

przysięgł, że uczyni to samo, i w rzeczy samej, biada temu, kto by mu kłam zadał. Lecz ów pyszałkowaty samochwał zawołał, że za jedno mu jest, czy stary Niczyjtata upił się, czy nie, i że dla tej przyczyny nie pozwoli się przegonić. Lecz było to dla ukrycia desperacji, gdyż kułił się zatrwożony, w dworzy-szczu Horne'a. W rzeczy samej, wypił duszkiem, aby pokrzepić serce swe, gdyż po całych niebiosach grzmienie niosło się długie i dudniące tak, że mistrz Ma-d-den, który w pewnych chwilach bywał bogobojnym, dał mu kułaka w żebra. Słyszając ów łoskot przeznaczenia, a mistrz Bloom, siedzący u boku pyszałka, wyrzekł doń słowa uspokajające, aby ukoić jego wielką trwogę, objaśniając, że to, co słyszy, nie jest niczym innym jak tylko łomotem, wystrzeleniem fluidu z czoła burzy, jako widzisz, które właśnie miało miejsce, a wszystko to za sprawą naturalnego fenomenu.

Lecz. czy słowa Ukoiciela pokonały trwogę młodego Pyszałka? Nie, gdyż tkwił w jego piersi ćwiek zwany Goryczą, którego słowa wyrwać nie zdołają. A czy nie był on spokojny jak jeden z nich ni bogobojny jak drugi? Nie był ni tym, ni drugim, choć bardzo pragnąłby być oboma. Lecz czy nie usiłował odnaleźć, jako w dniach swej młodości, butli Świętości, którą miał ongi z sobą? Z pewnością nie, gdyż zabrakło Łaski, aby z jej pomocą mógł odnaleźć butlę ową. Lecz czy usłyszał w owym gromie głos boga Pójdźkumnie, czy też, jak rzekł Ukoiciel, łomot Fenomenu? Usłyszał? Jakże to? Musiał przecie usłyszeć, jeśli nie zatkał rury Zrozumienia (czego nie uczynił). Ponieważ przez rurę ową ujrzał, że znajduje się w krainie Fenomenu, gdzie z pewnością musi pewnego dnia umrzeć, gdyż był jako pozostali przemijającym widowiskiem. A czy nie pragnął pogodzić się z tym, że jako pozostali zemrze i przeminie? W żadnym wypadku nie pragnął; pragnął czynić dalsze widowiska takie, jakie mężowie czynią z żonami i jakie nakazywał im czynić Fenomen w zgodzie z księgą Prawo. Czyżby nie wiedział o owej innej krainie, którą nazywają Wierz-we-Mnie, która jest ziemią obiecaną, a władą nią król Rozkoszny i będzie trwała po wiek wieków, a nie masz w niej ni śmierci, ni narodzin, ni żeniaczki, ni macierzyństwa, a wejdą do niej ci wszyscy, którzy w nią uwierzą? Tak, Świętobliwość opowiadała mu o owej krainie, a Cnota wskazywała drogę, lecz idąc popadł w sidła pewnej kurwy miłej oku, której imię, jak mu rzekła, było Wróbel-w-Garści, i zwiódła go ona, sprowadzając z ścieżki prawdy swymi pochlebstwy, które mówiła mu, a to. Hola, piękny mężu, jeśli zboczysz, ukazę ci prześliczne miejsce, a tak go podeszła pochlebstwy, że miała go w swej grocie nazywanej Dwoje-w-Krzakach lub, przez bardziej uczonych. Chucią Cieleśną.

Tego właśnie cała ta kompanija siedząca pospólnie w owym Dworze Matek pożądała najbardziej, a jeśliby napotkali kurwę ową Wróbel-w-Garści (która kryła w sobie wszelakie plagi, potworności i diabelstwa), wytężyliby sił ostatek, byle jeno przybliżyć się ku niej i posiąść ją. Gdyż, jeśli w grę wchodził Wierz-we-Mnie, był on niczym więcej, jeno wyobrażeniem, a nie umieli zrozumieć go, gdyż, po pierwsze, Dwoje-w-Krzakach, gdzie wabiła ich, była najprzedniejszą z grot, a najdowało się w niej poduszek czworo, a na nich bileciki, na których wypisano takie oto słowa: Na Jeżdźca i Po Francusku, Język w Futerku i Buzia w Buzię, a po wtóre, jeśli rzecz tyczy owej plagi Wszechfrancy i inszych smoków, nie dbają o nie, gdyż Prezerwatywa dała im puklerz mocarny z jelita wołowego uczyniony, a po

trzecie, nie mogli także szkody nijakiej ponieść ze strony Potomstwa, które było owym diabelstwem jej, a to dzięki cnotom onegoż puklerza, co go zwą Dzieciobój. I tak grzęźli w zaślepieniu swoim pan Krętacz i pan Niegdyś Bogobojny, pan Małpiwożłop, pan Kłamiwy Kmieć, Dworny Dixon, Młody Pyszałek i pan Roztropny Ukoiciel. W czym, o nieszczęsna kompani-jo, wszyscyście byli oszukani, gdyż był to głos boga ogarniętego tak wszechpotężną wściekłością, że wzniesie on ramię swe i zetrze ich dusze za bluźnierstwa ich i upuszczanie nasienia, przeciwko słowu jego, które płodzić pilnie przykazuje.

Więc w czwartek szesnastego czerwca Patk. Dignam, który padł na apopleksję, złożony został w glinie, a po wielkiej suszy, dzięki niechaj będą Bogu, deszcz spadł i sternik barki, który przybył z torfem wodą, z odległości około pięćdziesięciu mil, rzekł, że nasiona nie chcą wschodzić, pola usychają z pragnienia, wielce smutnie są ubarwione i cuchną potężnie, a trzęsawiska i obejścia także. Ciężko oddychać, a wszelkie młode pędy zupełnie zniszczały, nie zroszone przez czas tak długi, jak żaden człowiek pamięcią nie sięga. Pąki różane wszystkie stały się brunatne i pokryły pęcherzami, a na wzgórzach nic, jeno suche żdźbła i nagie łodygi, które zapłoną od pierwszej iskry. Cały świat powiada, że jako wieść niesie, wielka wichura z lutego przeszłego roku, co tak bezlitośnie kraj spustoszyła, fraszka była przy owej suszy. Wszelako niebawem, jako już powiedziano, tegoż wieczora po zniknięciu słońca, gdy wiatr nadszedł z zachodu, ujrzano wielkie, brzemienne chmury z nadejściem nocy, a przewidujący pogodę wskazywali na nie, i najpierw kilka poziomych błyskawic, a później, po dziesiątej godzinie, jedno potężne uderzenie rozległego gromu, za czym w jednym mgnieniu, kto mógł, rzucił się na łeb na szyję ku domostwom pod skłębioną nawałnicą, mężowie osłaniali swe słomkowe kapelusze kawałkami materii lub chustkami, a niewiasty uniosły w ucieczce spódnice, gdy tylko nadeszła ulewa. Z Ely Place, Baggot Street, Duke's Lawn, i dalej, poprzez Merrion Green aż ku Holles Street, płynął wartki potok wody w miejscu, co uprzednio było na proch wyschnięte, a dokoła ni jednej lektyki, pojazdu lub fiakra widać nie było, lecz po pierwszym grzmocie drugi już się słyszeć nie dał. Przed drzwiami Czcigodnego Pana Sędziego Fitzgibbona (który wraz z panem Heały, obrońcą, nad sprawą gruntów uniwersyteckich zasiadać będzie) Mai. Mulligan, z wytwornych najwytworniejszy, który właśnie wyszedł od pana Moore'a, skryby (był on papistą, lecz dziś ludzie powiadają, że dobrym jest Williamitą), napotkał trafunkiem Aleca Bannona, ufryzowanego jak paż (co jest teraz w modzie wraz z wieczorowymi pelerynami z zielonego tweedu), który powrócił świeżo do miasta dyliżansem pocztowym z Mullingar, gdzie kuzyn jego i brat Mai. M. pozostaną jeszcze miesiąc, do świętego Swithina, i zapytuje go, co, na Boga, robi tutaj, gdyż jeden z nich powraca do domu, a drugi idzie do Andrew Horne'a, gdzie nań czekają, aby z nimi wychylił puchar wina, tak rzekł, lecz tamten opowiedział mu o narowistej jałoweczce, roślej na swój wiek i pięknie wypasionej, a przez cały czas lał deszcz, więc obaj udali się do Horne'a. Tam Leop. Bloom z dziennika Crawforda zasiadł wypoczywając z gronem wesołków, zawadiaków, Dixonem jun., studentem od Najświętszej Pani Miłosiernej, Vin. Lynchem, młodzieńcem ze Szkocji, Will. Maddenem, T. Le-nehaniem, wielce smutnym z przyczyny konia wyścigowego, którego sobie upodobał, i Stefanem D. Leop. Bloom znajdował się tam dzięki ociężałości, która go ogarnęła, lecz teraz miał się

lepiej, a śniła mu się tej nocy w przedziwnej postaci dama jego, pani Moll, w czerwonych pantofelkach i w tureckich

pantalonach, co ci, którzy wiedzą, mają za oznakę przemiany, a pani Purefoy znalazła się tam w odpowiedzi na wołanie swego brzucha, a teraz leżała na boleści łożu, biedactwo, dwa dni ponad czas jej przeznaczony, a położne, choć rozpaczliwie przykładają się, nie mogą jej wspomóc w rozwiązaniu, odczuwa ona mdłości po misce lury ryżowej, która jest doskonałym suszycielem wnętrzości, a oddech jej ciężki jest bardzo, bardziej, niż byłoby wskazane, i sądząc z kołatania, będzie to chłopię jak byk, powiadają, ale Boże daj jej prędko połów. To jej dziewiąte żywe kurczątko, jak słyszę, a w dzień Zwiastowania Najświętszej Panny odgryzła paznokcie swemu najmłodszemu kurczęciu, które miało wtedy dwanaście miesięcy i - jak troje innych, wszystkich wykarmonych piersią - zmarło i zostało pięknym pismem odpisane w biblii rodzinnej. Jej mężuś przekroczył już pięćdziesiątkę i jest metodystą, lecz przyjmuje Sakrament i można go ujrzyć w każdy pogodny sabbath z dwoma synami w pobliżu Bullock Harbour, łowiącego w cieśninie na wędkę z kołowrotkiem lub w płaskiej łodzi chwytającego w sieci flądry i wątlusze, których piękny wór potrafi złowić, jak słyszę. W sumie, nieskończenie wielki upadek dżdżu i wszystko odświeżyło się, a żniwa będą o wiele obfitsze, lecz ci, którzy wiedzą, powiadają, że po wichrze i wodzie ogień przyjdzie, według przepowiedni almanachu Mala-chiego (a słyszę, że pan Russel przełożył prorocze zaklęcia tejże samej treści z hin-dustańskiego dla swej gazety farmera), który twierdzi, że zawsze te trzy rzeczy razem występują, ale to czyste przypuszczenie tylko, nie oparte na rozumowaniu, godne starych babek i dziatwy nieletniej, choć czasem, nie wiadomo czemu, te ich dziwaczne przypuszczenia okazują się słuszne.

Na to Lenehan przesunął się do krańca stołu, by opowiedzieć, jaki to list zamieszczono w wieczornej gazecie, i uczynił z siebie widowisko poszukując jej (gdyż poprzysiągł uroczyscie, że wielce sobie to wziął do serca), lecz na prośbę Stefana zaprzestał poszukiwań i został poproszony, by usiadł nie opodal, co czym prędzej uczynił. Był to wesoły szlachcic, uchodzący za błazna lub pocziwego gałgana, a wszystkim, co miało związek z kobietami, końmi albo też jawnym skandalem, sypał jak z rękawa. By powiedzieć prawdę, fortuna odwróciła się od niego i przez większą część czasu włóczył się po kawiarniach i nędznych tawernach z werbownikami, stajennymi, bookmacherami, nagabywaczami, gońcami, czeladnikami, ulicznikami, damami z bordeli i innymi szubienicznikami albo z przypadkowo napotkanym egzekutorem, lub z policjantem, często całymi nocami, aż do dnia białego, z których umiał wyciągnąć, między jednym a drugim łykiem gorącego wina z mlekiem i korzeniami, wiele sprośnych plotek. Jadał stale w pasztelni, a jeśli wrzucił w siebie porcję byle jakich ochłapów albo miskę flaków, umiał, mając jedne sześć pensów w portmonetce, dawać sobie radę dzięki swemu językowi, jakiemuś jurnemu słówku, zasłyszanemu od dziwki lub od kogoś podobnego, tak że wszyscy boki sobie zrywali. Ów drugi, to znaczy Costello, usłyszawszy tę przemowę zapytał, czy to poezja, czy też bajka. Nie, na mą wiarę, powiada on. Franku (bo takie było jego imię), wszystko to jest o krowach z Kerry, które mają zostać zarżnięte z powodu zarazy. Ale mogą się obwiesić, powiada z oka przymrużeniem,

jeśli chodzi o mnie, z tą swoją peklowaną wołowiną, niech ją franca pochłonie. W tej puszcze jest rybka, najlepsza z rybek, jakie kiedykolwiek z puszek wyrzały, to mówiąc po przyjacielsku sięgnął po solone szproty, stojące nie opodal, na które zerkał pożądliwie od pewnego czasu, aż trafił, gdzie chciał, mając je za główny cel swego przybycia tu, gdyż był wygłodniały. Mort aux vaches, powiada w mowie francuskiej Frank, który był na praktyce u pewnego kupca przewożącego trunki okrętami i posiadającego skład w Bordeaux, i mówił po francusku jak prawdziwy gentleman. Od dziecka Frank ów był próżniakiem, którego ojciec, sołtysem będący, z ledwością nagnał do szkoły, aby się wyuczył liter i obchodzenia z globusem, a potem zapisał go na uniwersytet dla studiowania mechaniki, lecz ów, gryząc wędzidło jak dziki żrebak, bliższą zawarł znajomość z sądowymi i parafialnymi woźnymi niż ze swymi woluminami. Raz chciał być aktorem, to znowu dostawcą wojskowym albo oszustem wyścigowym, to znowu nic go nie mogło odegnać od podwórców, gdzie odbywały się walki kogutów, i od jam niedźwiedzi, później pragnął oceanów i mórz lub włóczęgi po drogach z Cyganami, by porywać dziedziców fortun szlacheckich przy sprzyjającym braku blasku księżycowego lub kraść bieliznę rozwieszoną przez dziewczęta, lub dusić kurczęta w krzakach. Znikał już więcej razy, niżli miał włosów na głowie, i za każdym razem powracał z pustymi kieszeniami do swego ojca sołtysa, który przelewał garniec łez, gdy tylko go ujrzął. Co, powiada pan Leopold, skrzyżowawszy ręce, który bardzo chciał wiedzieć, ku czemu to zmierza, czy chcą zarżnąć wszystkie? Zapewniam, że widziałem je jeszcze dzisiejszego ranka, pędzone ku statkom odpływającym do Liverpoolu, powiada. Nie mogę uwierzyć, żeby było aż tak źle, powiada. A znał się przecież na rasowym bydle, na cielnym krowach, tłustych jagniętach i wełnistych skopach, będąc przed niewielu laty pracownikiem pana Josepha Cuffe, zamożnego kupca, handlującego żywą trzodą i kupczącego pastwiskami tuż obok podwórza pana Ga-vina Łów przy Prussia Street. Nie zgadzam się z panem w tej kwestii, powiada. Wygląda mi to bardziej na robaczącą płuc albo trądzik języka. Pan Stefan, mało poruszony, lecz wielce uprzejmie odpowiedział mu, że nic podobnego i że przybył do niego kurier od głównego cesarskiego podogonometryka, wioząc podziękowanie za gościnność i wiadomość, że wysła tu doktora Księgo-susza, najgłośniejszego krowohycła w całej moskiewskiej krainie, z paroma pigułkami lekarstwa, dzięki któremu będzie można wziąć byka za rogi. Ejże, ejże, powiada pan Vincent z całą otwartością. Znajdzie się on na rogach dylematu, jeśli wda się z bykiem irlandzkim, powiada. Irlandzkim z imienia i irlandzkim z natury, powiada pan Stefan, rozlewając przy tym swe piwo. Irlandzki byk w angielskim składzie porcelany. Pojmuję cię, powiada pan Dixon. To ten sam byk, którego wysłał na naszą wyspę farmer Mikołaj, najdzielniejszy hodowca bydła z nich wszystkich, ze szmaragdowym pierścieniem w nosie. Prawdę mówisz, powiada pan Vincent przez stół, i byczo ci się to udało, powiada, a pulchniejszy i potężniejszy byk, powiada, nigdy nie nasrał na koniczynę. Rogi miał okazałe, sierść złocistą, a tak słodkim tchnieniem dymiły jego nozdrza, że kobiety naszej wyspy, porzuciwszy kule niewyrobionego ciasta i wałki, poszły za nim, wieńcząc jego byczą mość girlandami stokrotek. Jeśli o to chodzi, powiada pan Dixon, to przed wysłaniem go tu farmer Mikołaj, który sam był eunuchem, kazał go dokładnie wykastrować całemu kolegium doktorów, nie mających się lepiej niż on sam. A teraz odejdz,

powiada, i rób wszystko, co mój niemiecki kuzyn lord Harry ci przykaże, a przyjmij błogosławieństwo od farmera, i klepnął go przy tym rozgłośnie po zadzie. To klepięcie i błogosławieństwo przysłużyły mu się, powiada pan Vincent, bo żeby nadrobić jego braki, wyuczył go sztuczki wartej obu brakujących jaj, tak że dziewica, mężatka, przeorysza i wdowa do dziś dnia potwierdzają, że wołałyby każdego dnia w miesiącu szeptać mu do ucha w ciemnym zakątku stodoły albo być lizanymi po karczku jego długim, świątobliwym językiem, niż pokładać się z najgładszym, najbardziej krzepkim młodym gwałcicielem na którymkolwiek z pól czterech prowincji Irlandii. Na to jeszcze ktoś wtrącił słówko: A ubrali go, powiada, w koronkową koszulkę i haleczkę i w futrem obszywaną pelerynkę i opasali go i dali koronkowe mankiety na pęciny i przycięli mu loczek nad czołem i natarli go całego spermatycznymi olejkami i wybudowali mu stajnie na wszystkich skrzyżowaniach dróg, a w każdej był złoty żłób pełen najlepszego siana, jakie jest na rynku, aby mógł spać i srać, ile dusza zapagnie. W ciągu tego czasu ów Ojciec Wiernych (gdyż tak go nazwali) stał się tak ociążały, że z ledwością umiał dojść do pastwiska. Aby temu zaradzić, nasze przemysłne panie i panienki przynosiły mu paszę w fartuszkach, a gdy tylko nappełnił brzuch, stawał dęba, aby ukazać damom swą tajemnicę, i ryczał i muczał w swym byczym języku, a wszystkie biegły za nim. Tak, powiada inny, a tak był rozpieszczony, że nie zezwalał, aby w całym kraju rośło co innego jak tylko zielona trawka dla niego (gdyż była to jedyna barwa, w jakiej sobie upodobał), więc na pewnym wzgórzu pośrodku kraju ustawiono tablicę, a na niej były wydrukowane słowa mówiące: W imieniu lorda Harry niechaj żyją ziemi żdźbła zielone. I, powiada pan Dixon, jeśli zwęszył kiedy złodzieja bydła w Roscommon albo w odludziu Connemara, albo rolnika w Sligo, który chciał zasiać choćby odrobinę gorczycy albo woreczek nasion rzepy, natychmiast wpadał w amok i przebiegał pół krainy wypruwając rogami z ziemi, co tylko zasiano, a wszystko z rozkazu lorda Harry. Zła krew ich zalewała początkowo, powiada pan Vincent, a lord Harry kłął farmera Mikołaja od wszystkich diabłów i nazywał go starym kurwipankiem, który trzyma siedem zdzir w domu i, zamieszam mu ja w jego sprawach, powiada. Pomogę temu bydlęciu zaznać piekła, powiada, przy pomocy tego znakomitego bykowca, który ojciec mi pozostawił. Ale pewnego wieczora, powiada pan Dixon, gdy lord Harry czyścił swe królewskie futerko przed udaniem się na przyjęcie po zwycięstwie w zawodach wioślarskich (miał on wiosła jak łopaty, lecz pierwszym punktem regulaminu tych zawodów było, aby inni wiosłowali widłami), odkrył w sobie cudowne podobieństwo do byka, a otworzywszy wytłuszczoną od częstego czytania ulubioną książkę z opowieściami, którą przechowywał w kredensie, znalazł niewątpliwą wiadomość, że jest potomkiem z lewego łoża owego sławnego premiowanego byka Rzymian, Boś Bovum, co w kuchennej łacinie oznacza byczy dyrektor. Potem, powiada pan Vincent, lord Harry wsadził głowę do koryta dla krów w obecności wszystkich swych dworzan, a wyjąwszy ją stamtąd obwieścił im wszystkim swe nowe imię. Później, spływając wodą, ubrał się w starą bluzkę i spódnice, które należały do jego babki, i kupił sobie gramatykę byczego języka, aby ją przestudiować, lecz nigdy nie umiał się nauczyć ani jednego słowa z niej, poza pierwszym zaimkiem osobowym, który odpisał wielkimi literami i nauczył się go na pamięć, a gdy kiedykolwiek udawał się na przechadzkę, napychał sobie kieszenie kredą, aby

wypisywać go na wszystkim, co mu wpadło w oko, na skale albo na stole w herbaciarni, albo na beli bawełny, albo na pływaku u wędki. Krótko mówiąc, on i byk irlandzki szybko zżyli się z sobą jak dupa z koszulą. Tak, powiada pan Stefan, a koniec był taki, że mężczyźni tej wyspy, widząc, że znikąd nie ma ratunku, gdyż niewdzięczne kobiety były jednomyślne, zbudowali rozległą tratwę, załadowali się na jej pokład z dobytkiem w tobołkach, postawili maszty, obsadzili ludźmi reje, rozwinęli żagiel przedni, zadryfowali, rozpostarli trzy żagle na wietrze, ustawili jej dziób z wiatrem, unieśli kotwicę, położyli ster na bak-burtę, wyciągnęli banderę z trupią czaszką, wznieśli po trzykroć trzykrotny okrzyk, wypuścili linę garującą, odepchnęli swą krypę i wyruszyli na morze, by ponownie odkryć ląd Ameryki. Co stało się okazją, powiada pan Vincent, dla bosmana do skomponowania' owej swawolnej piosenki:

Piotr papież 'szczy pod siebie wszędzie, Chłop dzielny dzielnym chłopem będzie.

Nasz czcigodny znajomy, pan Malachi Mulligan, ukazał się w drzwiach, wówczas gdy studenci kończyli swą przypowieść, a towarzyszył mu przyjaciel, którego właśnie napotkał, młody gentleman o nazwisku Alec Bannon, niedawno przybyły do miasta, ożywiony pragnieniem nabycia szarży chorążego lub kometa w pułkach obrony kraju, gdyż pragnął zaciągnąć się na wojnę. Pan Mulligan był na tyle uprzejmym, aby pochwalić opowieść, tym bardziej że była ona zgodna z pewnymi jego projektami, mającymi na celu zniszczenie zła, o którym była mowa. Rozdał więc pomiędzy wszystkich obecnych plik wizytówek z twardego kartonu, które polecił wytłoczyć tegoż dnia u pana Ouinnel-la, a zaopatrzonych w napis wydrukowany piękną kursywą: Pan Malachi Mulligan, Zapładniacz i Inkubator, Lambay Island. Zamyślał, jak to wyjaśnił niebawem, wycofanie się z kręgu czczych rozrywek, będących głównym zajęciem pana Fircyka Fanfarońskiego i pana Maminsynka Plotkarskiego w tym mieście, i poświęcenie się najszlachetniejszemu z zadań, do jakich został uformowany nasz organizm. Cóż, posłuchajmy, co masz na myśli, mój dobry przyjacielu, powiedział pan Dixon. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że pachnie to spódniczkami. Pójdźcie, zasiądźcie tu obaj. Tyleż kosztuje siedzenie co stanie. Pan Mulligan przyjął zaproszenie i rozwodząc się nad swym zamiarem, opowiedział słuchaczom, że przywiodły go ku tej myśli rozważania nad przyczynami jałowości, zarówno inhibicyjnej, jak i prohibicyjnej, bez względu na to, że inhibicja ze swej strony spowodowana jest małżeńskimi sprzeczkami i skąpstwem w rozliczeniach, a prohibicja wynika z defektów kongenitalnych lub z przyswojonych skłonności. Draży go troska, powiedział, gdy musi pa-rzeć na łoża małżeńskie obrabowane z jego najtkliwszych ślubowań: i gdy zastanawia się nad tak wielu uroczymi niewiastami o sutych dożywociach, które stają się łupem najdzikszych klechów, ukrywając swe pochodnie pod osłoną tajemnicy w niewdzięcznych klasztorach, lub tracą kwiat swej kobiecości w ramionach jakiegoś dziwaka niedojdy, trwoniąc nieoszacowany klejnot swej płci, a przecież mogłyby pomnażać źródła swego szczęścia, gdyż pod ręką jest stu przystojnych facetów, którzy daliby się upieścić, to właśnie, zapewnił ich, każe sercu jego łązy ronić. Chcąc przemóc tę niedogodność (która, jak zakon-kludował, była spowodowana tłumieniem utajonych ogni), zasięgnął porady najwartościowszych doradców i zbadawszy tę sprawę, postanowił zakupić na zawsze i bez ograniczeń dziedziczny majątek, jakim była

wyspa Lambay, od właściciela jej, lorda Talbot de Malahide, czcigodnego torysa, niezbyt dobrze widzianego przez naszą partię rządzącą. Pragnie założyć tam narodową farmę rozplodową, którą nazwie Omphalos, z obeliskiem wyciosanym i wzniesionym na wzór egipski, i zaofiaruje swą wierną pomoc w razie potrzeby dla zapłodnienia każdej niewiasty, bez względu na jej pozycję społeczną, jeśli skieruje się ona tam do niego, pragnąc wypełnić swe naturalne potrzeby. Pieniądze nie są tu celem, powiedział, a nie weźmie nawet pensa za swe trudy. Najbiedniejsza pomocnica kuchenna, zarówno jak i najzamożniejsza światowa dama, jeśli tylko ich budowa i temperament będą umiały ciepło wstawić się za nimi, odnajdą w nim swego mężczyznę. Jeśli chodzi o pokarm, stwierdził, że będzie odżywiać się stosując wyłącznie dietę złożoną z smakowitych bulw, ryb i królików, które tam się znajdują, gdyż mięso tych ostatnich płodnych gryzoni jest wielce zalecane w związku z jego zadaniem, zarówno pieczone na ruszcie, jak i duszone z listkiem gałki muszkatołowej, strączkiem lub dwoma suszonej papryki. Po owej homilii, którą wygłosił z rzadką gorącością, pan Mulligan w mgnieniu oka zdjął ze swego kapelusza chustkę, którą go osłaniał. Obaj, wydawało się, zostali zaskoczeni przez deszcz i choć przyspieszali kroku, jak mogli, byli przemoczeni, co można było dostrzec po wykonanych z szarego sukna obcisłych krótkich spodniach pana Mulligana, które stały się nieco pstrokate. W tymże czasie projekt jego został bardzo przychylnie powitany przez słuchaczy i uzyskał płynące z głębi serca pochwały każdego z nich, choć pan Dixon od Marii zgłosił zastrzeżenia, zapytując z przesadną troską, czy ma zamiar także wozić wodę do fontanny. Lecz pan Mulligan złożył w tym miejscu pokłon nauce, dzięki stosownemu cytatowi z klasyków, który, tkwiąc w jego pamięci, wydał mu się rozsądną i stosowną podporą jego argumentacji: *Talis ac tanta depravatio hujus seculi. O quiritēs, ut matres familia-rum nostrae lascivas cūjusiibet semiviri libidini titillationes testibus ponderosis atque excelsis erectionibus centurionum Romanorum magnopere antepōnunt*, podczas gdy dla tych, którzy posiadali bardziej prostacki umysł, podał jako dowód analogie z królestwa zwierzęcego, bardziej odpowiadające ich podniebieniu: jelenia i łanię z leśnej polany, kaczora i kaczkę z chłopskiego obejścia.

Ceniąc niemało swą elegancję i będąc w rzeczy samej człowiekiem pięknej postawy, ów mąż wymowny zajął się teraz swym strojem, mówiąc z gorącą przy-ganą o nagłych kapryсах atmosfery, podczas gdy towarzystwo całe obsypywało go pochwałami za ów projekt, który przedstawił. Młody gentleman, jego przyjaciel, uszczęśliwony przygodą, która go spotkała, nie mógł powstrzymać się, aby nie opowiedzieć jej swemu najbliższemu sąsiadowi. Pan Mulligan, spojrzawszy teraz na stół, zapytał, dla kogo są te wszystkie ryby i bochny, a widząc nieznanajomego, skłonił mu się uprzejmie i powiedział, proszę wybaczyć, panie, czy życzy pan sobie jakiegokolwiek porady profesjonalnej, której moglibyśmy udzielić? Który, usłyszawszy tę propozycję, podziękował mu serdecznie, choć zachowując odpowiedni dystans, i odpowiedział, że przybył tu w związku z pewną damą, obecnie leżącą w domu Horne'a w odmiennym stanie, a jest owa dama w biedzie dzięki onej niedoli niewieściej (tu westchnął głęboko), chce on dowiedzieć się, czy radosna dla niej chwila już nastąpiła. Pan Dixon, aby zmienić temat rozmowy, zapytał pana Mulligana, czy jego rosnący brzuch, z którego zadrwił sobie teraz, świadczy o tym, że nosi on zapłodnione jajo w woreczku krokowym lub w łonie

męskim, czy też przyczyną tego jest, jak to miało miejsce w wypadku znanego lekarza pana Austina Meldona, wilczy głód jego żołądka. W odpowiedzi pan Mulligan, który wybuchnął śmiechem patrząc na swe krótkie obcisłe spodnie, uderzył się dziarsko pod przepoń, wołając z godną podziwu błazeńską mimiką Matki Grogan (najznakomitszej przedstawicielki swej płci, choć szkoda, że jest ona kurwą): Oto brzuch, który nigdy nie wydał bękarta. Był to tak wesoły dowcip, że na nowo buchnął burzliwy śmiech i cały pokój stał się sceną najgwałtowniej szych objawów uciechy. Ożywiona pogwarka popłynęła dalej tym korytem udanych żartów, lecz oto w przedpokoju wybuchł alarm.

Tu słuchacz, którym był nikt inny jak szkocki student, młody zapaleniec, o włosach jasnych jak len, pogratulował w najżywszym sposobie młodemu gentlemanowi i przerywając opowiadanie w kulminacyjnym punkcie, poprosił swe visavis grzecznym skinieniem o łaskawe przysunięcie karafki z płynnym kordialem, a równocześnie przechyliwszy pytająco głowę (całe stulecie dobrego wychowania nie osiągnęłoby takiego gestu), z czym połączony był równoczesny, ale przeciwnie skierowany ruch głowy, zapytał opowiadającego tak prosto, jak tylko można to wypowiedzieć słowami, czy może poczęstować go szklaneczką tego. Mais bien sur, o szlachetny nieznajomy, od powiedział ów wesoło, et mille compliments. Możesz tak uczynić i będzie to bardzo na czasie. Nie brakło tu niczego prócz owej szklanki dla ukoronowania mej radości. Lecz, łaskawe nieba, gdybym pozostał jedynie z kromką chleba suchego w mej sakwie i kubkiem wody w studni. Boże mój, przyjąłbym je i ukląkłbym, aby z serca całego podziękować mocom tam na wysokościach za radość udzieloną mi łaskawie przez Rozdawcę rzeczy pięknych. Przy tych słowach przybliżył puchar do ust, wychylił łyk błogiego kordiału, przygładził włosy i rozpiąwszy koszulę na piersi, ukazał medalion zwisający na jedwabnej wstążce, miniaturę, którą cenił tak od chwili, gdy nakreśliła na odwrocie słów kilka. Spoglądając na rysy jej z sercem przepelnionym morzem tkliwości. Ach, Monsieur, powiedział, gdyby ujrzał ją pan, jak ja ją ujrzałem tymi oczyma w owej chwili wzruszającej, z uroczą chusteczką i w nowym zalotnym bereciku (jest to podarunek, który otrzymała w dzień swych urodzin, jak mi powiedziała), w nieładzie tak pozbawionym sztuczności, a tak rozplywającą się w czułościach, na mój honor, nawet pan, Monsieur, byłby zmuszony przez swą szczodłą naturę oddać się całkowicie w ręce takiemu nieprzyjacielowi lub uciec na zawsze z pola walki. Oświadczam, że nigdy nie byłem tak wzruszony podczas całego mego życia. Boże, dziękuję ci, gdyż jesteś Autorem mych dni! Po trzykroć szczęśliwym będzie ten, którego tak przemiłe stworzenie pobłogosławi swymi względami. Westchnienie pełne afektu nadało jego słowom głęboką wymowę, a umieściwszy medalion na powrót na swym sercu, otarł oczy i westchnął ponownie. Dobroczynny Siewco błogosławieństw dla wszystkich Twych stworzeń. Jakże wielka i wszechmocna musi być ta najśłodsza z Twoich przemocy, która trzyma w jarzmie wolnych i niewolników, prostego pastuszka i lwa salonów, kochanka w dniach rozkwitu namiętności szalonych i męża lat dojrzałych. Lecz zapewne, panie, odbiegłem od rzeczy. Jakże skłócone i niedoskonałe są wszystkie nasze ziemskie uciechy! Przekleństwo! Chciałbym, na Boga, aby przewidywanie skłoniło mnie do zabrania opończy! Mógłbym łązy ronić na myśl o tym. Wówczas choćby siedemkroć razy bardziej lało, nikt z nas nie miałby się gorzej dzięki temu. Lecz bodaj to!

zawołał, uderzając się dłonią w czoło, jutro będzie nowy dzień i tysiąc piorunów, znam marchand de capotes Monsieur Poynta, od którego mogę za livre otrzymać najwytworniejszą opończę we francuskim guście, tak dobrą jak inne, którymi kiedykolwiek ochraniały damy od przemoczenia. Ho, ho, woła Le Fecondateur, wtrącając się, mój przyjaciel Monsieur Moore, ów najbardziej doświadczony podróżnik (właśnie wychyliłem pół butelki avec lui w towarzystwie najwybitniejszych umysłów tego miasta), który jest dla mnie autorytetem, mówi, że w okolicach przylądka Horn, ventre biche, bywają deszcze, które przenikają przez każdą, nawet najmocniejszą opończę. Przemoczenie o takiej gwałtowności, opowiadał mi, sans blague, wysłało więcej niż jednego nieszczęśnika na tamten świat. Ha! Livre! woła pan Lynch. Te paskudztwa niewarte są nawet jednego sou. Jeden parasol, choćby nie większy niż grzyb elfów, więcej wart jest niż dziesięć tych okryjdzur. Żadna kobieta mająca choć odrobinę rozumu nie nosiłaby czegoś podobnego. Moja droga Kitty powiedziała mi dziś, że wołałaby wirować pośród potopu, niż ginąć z głodu w takiej arce zbawienia, bo, jak mi przypomniała (rumieniąc się pikantnie i szepcząc mi w ucho, choć nie było w pobliżu, poza płochliwymi motylkami, nikogo, kto mógłby podchwycić jej słowa). Pani Natura, dzięki boskiemu błogosławieństwu, wyryła to w sercach naszych i stało się to dla nas chlebem codziennym, że U y a deux choses, podczas których pierwotny strój naszej niewinności, będący w innych okolicznościach naruszeniem zasad przyzwoitości, jest najstosowniejszym, nie, jedynym ubiorem. Pierwszą, powiedziała (i tu mój piękny filozof, gdy pomagałem jej wsiąść do jej powoziku, delikatnie, aby zwrócić mi uwagę, dotknął koniuszkiem języka wnętrza mego ucha), pierwszą z nich jest wanna... lecz w tejże chwili dzwonek, który rozległ się w hallu, przeciął rozmowę, która była tak obiecująca dla wzbogacenia zasobów naszej wiedzy.

Pośród ogólnego rozbawienia zebranych dzwonek zadzwonił, a gdy wszyscy zaczęli zastanawiać się, jaka może być tego przyczyna, panna Callan weszła i wypowiedziawszy zniżonym głosem kilka słów do młodego pana Dixona, cofnęła się z głębokim ukłonem w kierunku zebranych. Obecność, nawet chwilowa, pośród tego zgromadzenia rozpustników kobiety obdarzonej wszelkimi przymiotami skromności i nie mniej pięknej jak surowej powstrzymała tłuste żarty nawet najbardziej frywolnych, lecz odejście jej stało się sygnałem dla wybuchu sprośności. A niech mnie, powiedział Costello, nędzny człeczyna, który podpił już sobie. Co za potwornie fajny ochłap krowiego cielska! Przysięgłbym, że umówiła się z tobą. Co, ty psie? Masz swoje sposoby na nie? Boży sługo. Jak najpewniej, powiedział pan Lynch. W szpitalu Mater lekarze znają się na postępowaniu z chorymi. A niech to diabli, czy doktor o'Gargle nie bierze tam zakonnic pod brodę? Jak pragnę zbawienia, wiem to od mojej K-itty, która jest tam salową od siedmiu miesięcy. Niechaj Bóg się ulituje, doktorze, wykrzyknął młody zapaleniec w pierwsiosnkowej kamizelce, udając niewieście mizdrzenie i nieskromnie kołysząc przy tym swym ciałem, jakże pan umie udręczyć dziewczynę! A bodaj go! Na me zbawienie, cała drzę. Ależ jest pan prawie tak niedobry jak drogi malutki ojczulek Ilecierazy! Niechaj zadławię się tym kuflem, zawołał Costello, jeśli nie jest ona w błogosławionym stanie. Poznam damę o napęczniałym brzuchu białym, gdy tylko rzucę na nią okiem. Młody chirurg mimo to powstał i prosił towarzyszy, aby zechcieli wybaczyć, że

ich opuści, gdyż pielęgniarka właśnie powiadomiła go, że jest potrzebny na sali porodowej. Litościwa opatrność zechciała postawić kropkę nad cierpieniami damy, która, będąc enceinte, zniosła to z chwalebną mocą i dała właśnie życie krzepkiemu chłopcu. Brak mi cierpliwości, powiedział, wobec tych, którzy nie mając rozumu, by ożywiać, ani uczoności, by pouczać, urągają szlachetnej profesji, która wyłączwszy cześć, jaką oddajemy Bóstwu, jest największą z potęg rozdzielających radość na tej ziemi. Mówiąc to, jestem przekonany, że gdyby zaszła konieczność, mógłbym przedstawić chmarę świadków na dowód doskonałości jej szlachetnych prac, które winny być nie urągówiskiem, lecz stanowić chwalebną podnietę dla serc ludzkich. Nie mogę się zgodzić z nimi. Co? Szkalować taką osobę, przemiliłą pannę Callan, która jest klejnotem swej płci i budzi podziw w naszej, i to w chwili najbardziej doniosłej w życiu kruchego dzieciątka, powstałego z prochu? Niechaj szczerze ta myśl! Drzę, zastanawiając się nad przyszłością rasy, w której zostały zasiane nasiona takiej złości i gdzie najmniejszego powinnego szacunku nie oddaje się ani matce, ani dziewicy w domu Horne'a. Wygłosiwszy tę naganę, pozdrowił, odchodząc, skinieniem obecnych i ruszył ku drzwiom. Szmer aprobaty uniósł się zewsząd, a niektórzy byli za wypędzeniem marnego pijaczyny bez dalszych ceregieli, pomysł ten wprowadzono by w życie i nie otrzymałby on mniej, niż sobie zasłużył, gdyby nie pomniejszył swego występkę stwierdzając z ohydnyim przekleństwem (gdyż kłął jak najęty), że jest tak dobrym synem bożej owczarni jak którykolwiek z żyjących. Niech ja skonom, powiedział, taka była zawsze uczciwa wiara Franka Costello, w której się wychowałem jak najgodniej, by móc uczcić waszego ojca i matkę waszą o najlżejszej ręce do przyrządzania naleśników z konfiturami i puddingu na poczekaniu, jaką tylko kiedykolwiek napotkaliście, a wspominam ją kochającym sercem.

Lecz powróćmy do pana Blooma, który zaraz po wejściu odczuł głęboko kilka nieskromnych prześmiewek, jednak zniósł je jako owoc lat, o których ogólnie wiadomo, że nie znają litości. Młodzi wesołkowie, to prawda, byli tak samo skłonni do wybryków jak wyrosnięte nad wiek dzieci: słowa ich burzliwych dyskusji dawały się z trudem pojąć i często były tak niemiłe: ich drażliwe i bezwstydné mots, że działały odpychająco na jego intelekt: nie byli bardzo wrażliwi na dobre obyczaje, choć nadmiar ich zwierzęcych sił przemawiał na ich korzyść. Lecz słowa pana Costello brzmiały mu nieprzyjemnie w uszach, ponieważ brzydził się tym nędznikiem, który wydawał mu się stworzeniem o przyciętych uszach i niekształtnej postawie, zrodzonym z nieprawego łoża i jak zębata garbus, wyrzuconym nogami naprzód na świat, czemu ślad po szczypcach chirurga na jego czaszce nadawał barwę prawdopodobieństwa, każąc myśleć o owym brakującym w łańcuchu stworzenia ogniwie, przedmiocie westchnień niedawno zmarłego, pomysłowego pana Darwina. Minęła mu już więcej niż połowa przepisanych nam lat; którą spędził pośród tysiąca zmiennych kolei istnienia; pochodząc z rasy roztropnej, a będąc przy tym człowiekiem o rzadkiej umiejętności przewidywania, zmusił serce swe do stłumienia wszelkich odruchów rosnącego gniewu i zapobiegając im z natychmiastową przezornością, pielęgnował w swej piersi ową obfitość uległości, wyszydzaną przez umysły podłe, wzgardzoną przez pochopnych sędziów i którą wszyscy znajdują znośną, lecz tylko znośną. Tym, budującym swój dowcip kosztem

kobiecego wstydu (rodzaj usposobienia, którego nigdy nie pochwalał), tym nie przyznawał prawa nazywania się ludźmi dobrze wychowanymi ani tego, że dziedziczą tradycje dobrego wychowania: lecz owemu, który utracił wszelką powściągliwość, a nie może już utracić jej więcej, przeciwstawić należało ostre antidotum doświadczenia, mówiącego, że należy zmusić jego zuchwalstwo do pospiesznego i niesławnego odwrotu. Nie, aby nie mógł sympatyzować z zapalczywą młodzieżą, która nie dbając o sarkanie zgrzybiałych starców albo zrzęczenie surowych krytyków, jest zawsze (jak to wyraża cnotliwa wyobraźnia Świętego Pisarza) za spożywaniem z zakazanego drzewa, lecz nie do tego stopnia, by zaniechać swego człowieczeństwa w jakichkolwiek okolicznościach w stosunku do damy, gdy znajduje się ona w stanie, do którego posiada takie uprawnienia. By podsumować, podczas gdy ze słów siostry wywnioskował o nadchodzącym szybkim rozwiązaniu, doznał jednak, trzeba przyznać, niemałej ulgi na wieść, że owo rozwiązanie, tak przepowiedziane po ciężkich, długo trwających zmaganiach, raz jeszcze zaświadczyło teraz o łasce jak również o szczodrości Najwyższej Istoty.

Zwierzył się z tego swemu sąsiadowi, mówiąc, że aby wyrazić jego uczucia w związku z tym wydarzeniem, w jego opinii (której, być może, nie powinien wyrazić) trzeba mieć zimne usposobienie i lodowatego ducha, aby nie radować się tymi najnowszymi nowinami o owocnym połogu tej, tak długo cierpiącej bez najmniejszej swej winy. Strojnny młody junak odparł, że mąż wpędził ją w to oczekiwanie, a w każdym razie powinien to być mąż, chyba że jest ona jeszcze jedną z owych matron z Efezu. Muszę was zawiadomić, powiedział pan Crot-thers, uderzając w stół, żeby uzyskać dźwięczne i dobitne echo, że ten stary Alleluj był tu dziś znowu, starszawy człowiek z bokobrodami, składając nosowym głosem prośbę o zamienienie słówka ze swą Wilhelminą, moim życiem, jak ją nazywa. Poprosiłem go, żeby był w gotowości, bo wydarzenie to może wybuchnąć lada chwila. Na Boga, powiem wam szczerą prawdę. Nie mogę nie podziwiać męskich sił tego starego zawadiaki, który mógł z niej wykołatać jeszcze jedno dziecko. Wszyscy zaczęli to chwalać, każdy na swój sposób, choć ów młody junak nadal podtrzymywał swój poprzedni pogląd, że kto inny niż jej ślubny małżonek wśliznął się w tę szczelinę, wyświęcony duchowny, chłopak dźwigający pochodnie (cnotliwy) lub wędrowny sprzedawca towarów potrzebnych w każdym gospodarstwie domowym. Osobliwy, mówił do siebie w duchu gość, jest ten cudowny, niezrównany dar metempsychozy, posiadany przez nich, dzięki któremu dormitorium położnic i amfiteatr prosektorium mogą być wylęgarniami takiej frywolności, a zwykłe uzyskanie tytułów akademickich wystarczy, aby przemienić w mgnieniu czasu tych czcicieli pło-chości w lekarzy przykładnie praktykujących sztukę, którą większość ludzi ze wszech miar najznakomitszych uznała za najszlachetniejszą. Lecz, dodał jeszcze, być może dzieje się tak dlatego, że chcą w ten sposób dać upust powstrzymywanym uczuciom, które wszystkich ich przytłaczają, gdyż nieraz już zauważyłem, że jednakie ptaki mają śmiech jednaki.

Lecz dzięki jakim to zaletom, niech wolno będzie zapytać szlachetnego lorda, będącego jego orędownikiem, ten cudzoziemiec, któremu przywilej łaskawego księcia przyznał prawa obywatelskie, uznał się najwyższym zwierzchnikiem naszych spraw wewnętrznych? Gdzież

jest teraz owa wdzięczność, którą lojalność powinna była mu doradzić? Podczas minionej wojny, gdy tylko nieprzyjaciół uzyskiwał chwilową przewagę swymi granados, czyż ów zdrajca własnego ludu nie wykorzystywał takich chwil, by wymierzać broń w imperium, w którym jest jedynie dzierżawcą z łask, drżącym przy tym o bezpieczeństwo swych czterech procent? Czyżby zapomniał o tym tak, jak zapomina o wszystkich dobrodziejstwach nań spływających? Czy też może płynie to z faktu, że oszukując innych, dał się w końcu sam sobie wystrychnąć na dudka i jeśli wieści o nim nie szkalują go, stał się jedynym dostawcą swych rozkoszy? Dalekie jest to od uczciwości, pogwałcić komnatę sypialną czcigodnej damy, córki dzielnego majora, lub rzucać choćby najlżejszy cień na jej cnotę, lecz jeśli przyciągnął uwagę innych ku temu miejscu (choć w rzeczywistości winno być jego najgłębszym pragnieniem, aby tak się nie stało), niechaj się tak stanie. Zbyt długo była nieszczęśliwa ta kobieta i nazbyt uparcie odmawiano jej słusznego prawa do wysłuchiwania jego łań z uczuciem innym niż szydercza rozpacz. Przemawia on tak, ów cenzor moralności, prawdziwy pelikan w swej świątobliwości, on, który bez skrupułów, niepomny więzów naturalnych, próbował wejść w niedozwolony stosunek z pomocnicą domową, pochodzącą z najniższych sfer społecznych. Nie, gdyby szczotka do szorowania tej dziewczyny nie stała się jej aniołem stróżem, los jej byłby równie nędzny jak owej Hagar Egipcjanki! Gdy w grę wchodzi obszary pastwisk, znaną jest jego cierpka zgryź-liwość, a pan Cuffe usłyszał, jak przyniosła mu ona od oburzonego rolnika ciętą odpowiedź sformułowaną w określeniach równie szczerych jak bukolicz-nych. Nie przystoi mu głosić tej ewangelii. Czyż nie ma on w swym obejściu pola uprawnego, które leży odłogiem dla braku pługa? Nałóg karygodny w wieku dojrzewania staje się drugą naturą i sromotą lat dojrzałych. Jeśli musi rozdzielać swój balsam z Judei w formie recept i maksym o wątpliwym smaku, aby przywrócić do zdrowia pokolenie nieopierzonych rozpustników, lepiej się stanie, gdy praktyka jego składać się będzie z doktryn, które go obecnie pochłaniają. Jego pierś małżonka jest skrytką tajemnic, których przyzwoitość nie pozwala odsłonić. Lubieżne propozycje jakiejś przywiedłej piękności mogą go pocieszyć po małżonce zaniedbanej i rozwiązłej, lecz ten nowy nauczyciel moralności i naprawiacz zła jest w najlepszym wypadku egzotycznym drzewem, które, gdy korzenie jego zagłębione były w glebie rodzimego Wschodu, rozwijało się, rozkwitało i obfitowało w balsam, lecz gdy przeniesiono je w klimat bardziej umiarkowany, korzenie jego straciły dawny wigor, a ciecz, która spływa zeń, jest skisła, kwaśna i nieskuteczna.

Wieści zostały przekazane z oględnością przypominającą ceremonialne obyczaje Wysokiej Porty przez drugą pielęgniarkę młodszemu dyżurnemu lekarzowi, który z kolei obwieścił delegacji o narodzinach następcy. Gdy udał się do niewieścich pomieszczeń, aby asystować przy przepisanej ceremonii odejścia łożyska, w obecności sekretarza stanu do spraw wewnętrznych i członków rady przybocznej, delegaci milczący w jednomyślnym wyczerpaniu i aprobachie, znużeni przewlekłością i uroczystym nastrojem czuwania, mając nadzieję, że owo szczęśliwe wydarzenie usprawiedliwi rozpamiętanie, które ułatwia równoczesna nieobecność służebnej i dyżurnego, natychmiast rozpuścili języki. Nadaremnie głos pana Akwizytora Blooma dał się słyszeć, gdy usiłował nakłaniać, łagodzić, powściągać.

Chwila była zbyt sposobna dla rozigrania się owej wielo-mówności, która zdawała się jedynym ogniwem łączącym tak bardzo różne usposobienia. Każda faza sytuacji była kolejno patroszona: przednarodzeniowa odraza braci bliźniąt, cesarskie cięcie, pogrobowość w przypadku ojcostwa i owa rzadsza odmiana - w przypadku macierzyństwa, bratobójczy wypadek znany jako morderstwo Chiidsa i upamiętniony namiętym przemówieniem pana adwokata Bushe, który uzyskał zwolnienie niesłusznie oskarżonego, prawo pierworództwa i łaska królewska, gdy w grę wchodziły bliźnięta i trojaczki, poronienia i dzieciobójstwa, symulowane i skryte, pozbawione serca foetus in foetu, aprosopia wynikała z przekrwienia, agnacja u pewnych bez-brodych Chińczyków (zacytowana przez pana Kandydata Mulligana) na skutek wadliwego połączenia guzów szczękowych wzdłuż linii medialnej, tak że (jak powiedział) jedno ucho mogło usłyszeć, co drugie powiedziało, dobrodziejstwa anestezji, czyli snu w zamroczeniu, przedłużanie bólów porodowych w zaawansowanej ciąży dzięki naciskowi na żyłę, przedwczesne odejście wód płodowych (na przykładzie obecnego wypadku), a w następstwie niebezpieczeństwo zakażenia macicy, sztuczne zapłodnienie przy pomocy strzykawki, kurczenie się macicy w następstwie menopauzy, problem utrwalania gatunku w przypadku kobiet, które zaszły w ciążę na skutek zbrodniczego zgwałcenia, okropny rodzaj porodu zwany przez Brandenburczyków Sturzgeburt, zanotowane wypadki wielobliźniaczych, dwupłodowych urodzin potworków, poczętych w okresie menstruacji lub przez spokrewnionych rodziców - jednym słowem, wszystkie rodzaje ludzkich narodzin, które Arystoteles sklasyfikował w swym arcydziele z chromolitograficznymi ilustracjami. Najzawilsze zagadnienia położnictwa i medycyny sądowej zostały zbadane z tym samym zapałem co najbardziej potoczne wierzenia na temat ciąży, takie jak zakazywanie kobiecie w odmiennym stanie przestępowania wiejskich opłotków, gdyż poruszenia jej mogą spowodować, że pępowina zadusi płód, oraz zabranianie jej w wypadku, gdyby żywiła tęsknotę gorącą i niezaspokojoną, aby kładła rękę na owej okolicy swej osoby, którą długotrwałe używanie uświęciło jako miejsce otrzymywania kar cielesnych. Nienormalności zajęcej wargi, znamiona na piersi, nadliczbowe palce, sinica, narośl truskawkowa i plama winna zostały przytoczone przez jedną z osób jako prima facie i naturalne hipotetyczne wyjaśnienie świniogłowych (przypadek Madame Grissel Steevens nie został pominięty) lub psiogłowych noworodków, które rodzą się od czasu do czasu. Hipoteza o pamięci protoplazmatycznej, wysunięta przez pośła kaledońskiego, godna metafizycznych tradycji krainy, którą reprezentował, wskazywała w takich przypadkach na zatrzymanie się embrionalnego rozwoju w stadium protoczłowieczym. Delegat z dalekich krain przeciwstawił obu tym poglądom z takim zapałem, że niemal przekonał obecnych, teorię kopulacji kobiet z samcami zwierzęcymi, opierając się na własnych doświadczeniach, wspartych podaniami takimi jak to o Minotaurze, które geniusz wytwornego poety łacińskiego przekazał nam na kartach Przemian. Wrażenie wywołane jego słowami było natychmiastowe, lecz krótkotrwałe. Zostało wymazane tak łatwo, jak zostało wywołane, dzięki przemówieniu pana Kandydata Mulligana, które popłynęło wielce zabawnym nurtem, a nikt lepiej niż on nie umiałby tego tak poprowadzić, gdy proponował jako najwyższy przedmiot pożądania miłego,

schludnego staruszka. Równocześnie gorąca wymiana zdań miała miejsce pomiędzy panem Delegatem Maddenem i panem Kandydatem Lynchem w przedmiocie prawnego i teologicznego dylematu w przypadku, gdy jedno z syjamskich bliźniąt umrze pierwsze, spór ów za ogólną zgodą zreferowano panu Akwizytorowi Bloomowi do natychmiastowego przekazania panu Subdiakonowi Dedalusowi. Milczący dotychczas, czy to dlatego, aby lepiej ukazać dzięki nadprzyrodzonej powadze ową zdumiewającą dostojność szaty, którą był obleczony, czy też posłuszny wewnętrznemu głosowi, wygłosił krótko, a jak niektórzy osądzili, powierchownie, eklezjastyczny nakaz zabraniający człowiekowi rozłączania tego, co Bóg złączył.

Lecz opowieść Malachiasza poczęła mrozić ich przerażeniem. Wyczarował tę scenę ich oczom. Ruchoma, ukryta płyta przy kominku cofnęła się i w szczelinie ukazał się... Haines! Któż z nas nie poczułby, że krew ścina mu się w żyłach? W jednej ręce trzymał teczkę wypełnioną celtycką literaturą, w drugiej flakon z napisem Trucizna. Zaskoczenie, przerażenie, obrzydzenie ujawniły się na wszystkich twarzach, gdy spoglądał tak na nich z upiornym uśmiechem. Przewidywałem tego rodzaju przyjęcie, rozpoczął z niesamowitym śmiechem, za które, jak się wydaje, trzeba winić historię. Tak, to prawda. Jam jest mordercą Samuela Chiidsa. I jak oto zostałem ukarany! Interno nie trwoży mnie. Możecie to wyczytać z moich rysów. Wiekuiste rozdarcie, bo jakże wreszcie zaznam nieco spoczynku, wymamrotał niewyraźnie, skoro, gdy niedawno przemierzałem Dublin z moim zbiorem pieśni, ruszył on za mną krok w krok jak sukkub albo wilkołak? Moim piekłem i piekłem Irlandii jest życie tutaj. Oto co u-czyniłem, aby wymazać mą zbrodnię. Rozrywki, strzelanie do gawronów, język Erse (zacytował go trochę) laudanum (uniósł flakon ku wargom), obozowanie na świeżym powietrzu. Nadaremnie! Widmo jego ściga mnie! Nadzieja jedyna to kokaina... Ach! Ruina! Czarna pantera! Z okrzykiem zniknął nagle, a płyta wślizgnęła się na miejsce. W chwilę później głowa jego ukazała się w przeciwległych drzwiach i powiedziała: Spotkajcie się ze mną na dworcu Westland Rów dziesięć po jedenastej. Zniknął! Łzy rzuciły się z oczu rozpustnego zgromadzenia. Prorok uniósł dłoń ku niebu, szpcząc: vendetta Mananaana! Mędrzec powtórzył Lex talionis. Sentymentalistą jest ten, kto pragnie korzystać bez narażenia się na olbrzymie zadłużenie za rzecz dokonaną. Malachiasz, ogarnięty wzruszeniem, zamilkł. Zdarta została zasłona z tajemnicy. Haines był trzecim bratem. Prawdziwe jego nazwisko brzmiało Chiids. Czarną panterą był on sam, duchem swego własnego ojca. Łykał narkotyki, by zmazać. Wdzięczny ci jestem. Samotny dom nie opodal cmentarza jest niezamieszkały. Żywa dusza nie chce tam zamieszkać. Pająk przedzie w odosobnieniu swą pajęczynę. Nocny szczur wygląda ze swej dziury. Przekleństwo na nim spoczywa. Straszy w nim. Ziemia mordercy.

Jakiż jest wiek duszy ludzkiej? Jak posiada ona umiejętność kameleonową, by zmieniać swój odcień za każdym nowym nawrotem, być radosną z wesołymi, a żalosną z przygnębionymi, tak wiek jej zmienia się stosownie do nastroju. Leopold, który zasiada tu, przeżywając, przeżuwając raz jeszcze swe wspomnienia, nie jest już statecznym agentem ogłoszeniowym i posiadaczem skromnego majątku w akcjach. Jest on młodym Leopoldem, gdy tak w

retrospektywnym układzie, jak gdyby zwierciadło w zwierciadle (hej, presto!), dostrzega siebie. Owa młodzieńcza postać z tamtych dni jest widoczna, przedwcześnie zmęczona, podążająca w mroźny poranek ze starego domu przy Ciambressil Street do gimnazjum, na szerokim pasku przewieszonym przez ramię ma torbę z książkami, a w niej porządną pajdę pszennego chleba, o której nie zapomniała matka. Ale czy jest to ta sama postać, gdy rok już mniej więcej minął, w swym pierwszym meloniku (ach, to był dzień!), już rozpoczął wędrówkę, jest w pełni upierzonym komiwojażerem firmy ojca, wyekwipowanym w książkę zamówień, wyperfu-mowaną chusteczkę (nie tylko na pokaz), ma walizkę pełną lśniących świecidełek (niestety, rzeczy te wyszły już dziś z użycia!) i kołczan pełen przymilnych uśmiechów dla tej i owej na pół przekonanej pani domu, obliczającej to na palcach, lub dla rozkwitającej dziewczicy, wstydliwie przyjmującej (lecz serduszko? powiedz mi!) jego wystudiowane ucałowania rączek. Perfumy, uśmiech, lecz - bardziej niż one - ciemne oczy i przymilne obejście sprowadzały do domu, gdy mrok zapadł, wiele zamówień dla głowy firmy, która po podobnych mozolach zasiada oto przy domowym ognisku z fajką Jacoba (możecie być pewni, że posiłek składający się z makaronu już się odgrzewa) i przez rogowe okulary czyta niektóre europejskie dzienniki sprzed miesiąca. Lecz hej, presto, chuchnięto na zwierciadło i młody błędny rycerz cofa się, kurczy do rozmiarów maleńkiej plamki pośród mgły. Teraz on sam stał się ojcowski, a ci, którzy go otaczają, mogliby być jego synami. Któż to może orzec? Mądry ojciec pozna swe własne dziecko. Myśli o deszczowej nocy na Hatch Street, tam przy składach celnych, ta pierwsza. Razem (ona jest ubogą przybłądą, dziecięciem hańby, twoja, moja, wszystkich za szylinga i pensa na szczęście), razem słyszą ciężkie kroki nocnego patrolu, gdy dwa zakapturzone cienie przechodzą przed nowym uniwersytetem królewskim. Bridie! Bridie Kelly! Nigdy nie zapomni tego imienia, zawsze będzie pamiętał tę noc, pierwszą noc, noc poślubną. Są spleceni z sobą w najgłębszej ciemności, pragnący z upragnioną a po chwili (fiat!) świat zatonię w światłości. Czy serca były zgodnie? Nie, piękna czytelniczko. W jednym tchnieniu dokonało się to, lecz - wstrzymaj się! Cofnij! Tego nie wolno! W przerażeniu biedna dziewczyna ucieka w mrok. Jest oblubienicą ciemności, córą nocy. Nie odważy się urodzić słonecznożłotego dziecięcia dnia. Nie, Leopoldzie! Imię

321

i wspomnienie niechaj cię nie koją. Owo młodzieńcze złudzenie twej siły zostało ci odebrane i było daremne. Nie masz syna z lędźwi twoich. Nie ma już nikogo, kto byłby dla Leopolda tym, kim Leopold był dla Rudolfa.

Głosy mieszają się i stapiają z sobą w chmurnej ciszy: ciszy, która jest nieskończonością przestrzeni: i szybko, bezgłośnie dusza zostaje uniesiona ponad obszarami cyklów cyklów pokoleń, które żyły już. Do obszaru, na który nieustannie opada szary zmierzch, nigdy nie spływający na rozległe, szafwiozie-lone pastwiska, lecz rozsiewający pośród półmroku wiekuiście wilgotną rosę gwiazd. Idzie za matką niezgrabnie, oto klacz wiedzie swą

źrebiczkę. Obie są zjawami mającymi w półcieniu, lecz z proroczym wdziękiem, smukłe, kształtne kłęby, gibkie, jędrne, umięśnione szyje, potulne, płochliwe głowy. Rozpływają się, smutne zjawy: wszystko zniknęło. Agendathjest ziemią jałową, domem sów skrzeczących i na pół ośleplej upupy. I nie masz już Netaimu złocistego. A gościńcem obłoków przybywają, pomrukując gromami buntu, duchy zwierząt. Huu! Haaa! Huuu!

Bocianonoga paralaksa postępuje za nimi i popędza je, a włóczyniami błyskawic, które miota jej czoło, są skorpiony. Łoś i yak, byki Baszanu i Babilonu, mamut i mastodont schodzą się do zatopionego morza, Lacus Mortis. Złowieszcze, mściwe zastępy zodiaku! Zawodzą przemijające na obłokach, rogate i jednorożne, te z trąbami i te kły mające, lwioгрыwe, olbrzymiorogie, ryjące i pełzające, gryzoń, przeżuwacz i gruboskóry, maszerujący, muczący motłoch, mordercy słońca.

W stronę morza martwego stąpają ciężko, by pić z nienasyceniem i ohydny chleptaniem słoń, senną, niewyczerpaną masę płynu. I znak konia wyrasta znowu, wyolbrzymiony na pustych niebiosach, nie, dorównujący niebu ogromem, póki nie zamajaczy, rozpościerając się ponad domem Panny. I spójrz, oto cud metempsy-chozy, oto ona, wiekuista oblubienica, zwiastunka poranka, oblubienica wiekuista dziewica. Oto ona, Marta, o ty utracona, Millicent, młoda, droga, promienna. Jak spokojnie wschodzi, królowa pośród Pleiad, w przedostatniej, przedświecanej godzinie, obuta w sandały z lśniącego złota, zakryta welonem z tego, jakże to nazywacie, babiego lata! Powiewa on, unosi się wokół jej z gwiazd narodzonego ciała i luźno faluje, szmaragdowy, szafirowy, liliowy i heliotropowy, unoszony prądem zimnego międzygwiezdnego wichru, falując, wijąc się, szumiąc jak morze, wypisując zwojami na niebiosach tajemne pismo, które po nieskończonych przemianach symbolu wybucha nagle bujnie, oto Alpha, rubinowy i trójkątny znak na czole Byka.

Francis przypomniał Stefanowi minione lata, kiedy to byli razem w szkole za czasów Conmee'ego. Wypytywał o Glaukona, Alcybiadesa, Pizystrata. Gdzie się teraz podziewają? Żaden z nich nie wiedział. Mówiłeś o przeszłości i jej widmach, powiedział Stefan. Po cóż myśleć o nich? Jeśli przywołam je na powrót do życia spoza wód Lety, czyż te biedne duchy nie przyczłapią gromadnie na moje wezwanie? Któż tak przypuszcza? Ja, Bous Stephanoumenos, bykombraterski bard, jestem panem i dawcą ich życia. Otoczył swe rozwichrzone włosy wieńcem liści winnych, uśmiechając się do Yincenta. Ta odpowiedź i te liście, powiedział do niego Yincen, uwieńczą cię bardziej stosownie, gdy coś większego, o wiele większego niżli garstka ulotnych wierszy, będzie mogło nazwać cię swym ojcem. Wszyscy, którzy

życzą ci dobrze, mają nadzieję, że to nastąpi. Wszyscy pragną ujrzeć, jak wydajesz na świat dzieło, które rozważasz. Serdecznie ci życzę, abyś ich nie zawiódł. O, nie, Vincencie, powiedział Lenehan, kładąc dłoń na ramieniu sąsiada, nie lękaj się. Nie pozostawi on swej

matki sierotą. Oblicze młodego człowieka zasępiło się. Wszyscy dostrzegli, jak trudnym do zniesienia było dla niego przypomnienie o niedawnej obietnicy i o stracie, którą poniósł ostatnio. Porzuciłby tę ucztę, gdyby zgiełk głosów nie kołł jego bólu. Madden stracił pięć drachm postawionych na Sceptre dla kaprysu wywołanego nazwiskiem dżokeja: Lenehan dwakroć więcej. Opowiedział im o wyścigu. Chorągiewka opadła i, hoop, pędem, klacz wyszła czysto z O. Maddenem na siodle. Prowadziła na dystansie: wszystkie serca biły gorączkowo. Nawet Phyllis nie mogła opanować się. Zaczęła powiewać szarfą i zawołała: Hurhhha! Sceptre wygrywa! Ale na ostatniej prostej, gdy wszystkie konie biegły w małych odstępach, fuks Ulotka zbliżył się, zrównał, minął ją. Wszystko było już utracone. Phyllis umilkła: oczy jej przemieniły się w dwa smutne anemony. Juno, zawołała, jestem zgubiona. Lecz kochanek pocieszył ją, przynosząc lśniąca złotą szkatułkę, wypełnioną owalnymi morełami w cukrze, których skosztowała. Łza upadła: tylko jedna. W. Lane jest dżokejem nad dżokeje, powiedział Lenehan. Cztery zwycięstwa wczoraj i trzy dziś. Któryż jeździec mu dorówna? Wsadź go na wielbłąda albo na niesfornego bawołu, a też zwycięży, i to spacerkiem. Lecz znieśmy cios, jak umieli to robić starożytni. Litości dla pechowców! Biedna Sceptre! powiedział z lekkim westchnieniem. Nie jest ona już tą klaczą, którą była niegdyś. Nigdy, klnę się na tę dłoń, nie ujrzymy już podobnej. Na Boga, panie, była ona królową pośród nich wszystkich. Czy pamiętasz ją, Vincencie? Chciałbym, żebyś mógł ujrzeć moją królową dziś, powiedział Yincen, jak piękną była i promienną (Lalage wydałaby się zaledwie ładna przy niej) w żółtych pantofelkach i sukience z muslinu, nie znam właściwej nazwy tego. Ocieniające nas kasztany rozkwiatały właśnie: powietrze przepełnione było ich zawrotną wonią i pyłem kwietnym przepływającym wokół nas. W miejscach nasłonecznionych mógłbyś z łatwością upiec na kamieniu półmisek owych słodkich bułeczek wypełnionych korynckim owocem, które Periplepomenos sprzedaje w swym kramiku nie opodal mostu. Lecz nie miała niczego w ząbkach prócz ramienia, którym ją obejmowałem, a kasała je psotnie, gdy przyciągałem ją zbyt blisko. Przed tygodniem leżała, złożona niemocą, cztery dni na łożu, lecz dziś była wolna, swawolna, drwiła z niebezpieczeństwa. Jest wówczas najbardziej ujmująca. A jej bukiety! W szalonej psocie zrywała kwiaty, gdyśmy osunęli się razem na ziemię. A mówiąc na ucho, nie zgadniesz, mój przyjacielu, kogo spotkaliśmy, schodząc z pola. Conmee'ego we własnej osobie! Szedł wzdłuż żywopłotu, czytając brewiarz, jak mi się wydaje, a w nim, nie wątpię, miał dowcipny liścik od Głycery lub Chloe dla założenia strony. Słodkie stworzenie zarumieniło się po uszy z pomieszania, udając, że doprowadza do ładu jakąś małą niedokładność w swym stroju: jakaś szpileczka z poszycia lasu uczepiła się jej spódnicy, gdyż nawet drzewa uwielbiają ją. Gdy Conmee przeszedł, zerknęła na swe piękne echo w maleńkim zwierciadélku, które nosi z sobą. Ale był uprzejmy. Przechodząc pobłogosławił nas. Także i bogowie są zawsze uprzejmi, powiedział Lenehan. Gdyby mi się poszczęściło

z klaczą Bassa, być może miałbym więcej skłonności do jego napitków. Położył dłoń na dzbanie z winem: Malachi dostrzegł to i powstrzymał jego ruch, wskazując obcego i szkarłatną nalepkę. Pełen czujności, Malachi jął szeptać, zachowaj druidyczne milczenie. Dusza jego jest daleko. Być może, przebudzenie z wizji jest równie bolesne jak narodziny. Każdy przedmiot, jeśli wpatrzeć się weń w skupieniu, może stać się bramą prowadzącą do niezniszczalnego eonu bogów. Czy nie sądzisz, że tak jest, Stefanie? Theosophos mówił mi to, odpowiedział Stefan, któremu w poprzednim wcieleniu kapłani egipscy odsłoniли tajemnice prawa karmy. Panowie księżycy, powiedział mi Theosophos, płomiennopomarańczowa załoga statku z planety Alpha, należącej do łańcucha księżycowego, nie chcieli zgodzić się na eteryczne sobowtóry i zostały one wcielone w rubinobarwne ego z drugiej konstelacji.

Mimo wszystko, prawdę powiedziawszy, przecież niedorzeczne przypuszczenie, dotyczące go i określające jego stan jako jakąkolwiek odmianę przygnębienia lub hipnozy, należy przypisać błędnemu wyobrażeniu o najbardziej powierzchownym charakterze, nie ma ono zgoła miejsca. Osobnik, którego organy wzrokowe, podczas gdy wyżej wzmiankowane procesy odbywały się, zaczęły w tych okolicznościach objawiać symptomy ożywienia, był tak przenikliwy, jeśli nie przenikliwszy, jak każdy inny człowiek, a ktokolwiek czyniłby przeciwne przypuszczenia, znalazłby się bardzo szybko w błędzie. Podczas minionych czterech minut lub w czasie bardzo zbliżonym wpatrywał się on nieruchomo w pewną ilość piwa Bass numer jeden, butelkowanego przez firmę Bass and Co z Burton-on-Trent; butelka ta została umieszczona pośród wielu innych, dokładnie naprzeciw miejsca, w którym się znajdował, i oczywiście wygląd jej był obliczony tak, aby przyciągała uwagę każdego, dzięki swej szkarłatnej powierzchni. Po prostu i wyłącznie wspominał on, jak to się w konsekwencji okazało, z przyczyn znanych najlepiej jemu samemu, a które rzuciły całkowicie nowe światło na całe jego postępowanie w chwilę po chwili poprzedzającej obserwację dotyczące dni dzieciństwa i toru wyścigowego, dwie lub trzy własne prywatne transakcje, których dwaj pozostali byli nieświadomi jak nie narodzone jeszcze dziecięta. Wreszcie jednak oczy ich spotkały się i gdy tylko olśniła go myśl, że tamten usiłuje sam przywłaszczyć sobie tę rzecz, postanowił niechętnie sam go wspomóc i w konsekwencji ujął szklany średniej wielkości pojemnik, zawierający poszukiwany płyn, i opróżnił go w znacznej części, wylewając z niego wiele zawartości, lecz pomimo to w tym samym czasie baczył niezwykle pilnie, by nie wylać zawartego w nim piwa na ziemię.

Dyskusja, która teraz nastąpiła, stanowiła, dzięki swej skali i kolejności tematów, przebieg całego życia w skrócie. Ani miejscu, ani zgromadzeniu nie zbywało na dostojności. Obradujący byli najbardziej bystrzymi ludźmi tej krainy, temat, który poruszali, najszlachetniejszy i najbardziej doniosły. Sklepiona sala domu Horne'a nigdy nie gościła zgromadzenia tak reprezentatywnego i tak różnorodnego, prastare belki tej budowli nigdy nie słyszały jeszcze tak encyklopedycznego języka. Zaprawdę był to wspaniały widok. Crotthers był tam, u końca stołu, ubrany w swój malowniczy strój z Highlandu, z obliczem

ogorzałym od wichrów Muli ofGalloway. Tam także, naprzeciw niego, znajdował się Lynch, którego oblicze nosiło już

324

znamiona wczesnej deprawacji i przedwczesnej mądrości. W sąsiedztwie Szkota znajdowało się miejsce przeznaczone dla Costello, owego ekscentryka, podczas gdy u jego boku rozsiadł się flegmatyczny krępy Madden. To prawda, że krzesło pana domu stało nie zajęte przed kominkiem, lecz z obu jego stron:

postać Bannona w rynsztunku odkrywcy, składającym się z tweedowych szortów i butów z niewyprawionej skóry wołowej, ostro kontrastowała z pierwiosnkową elegancją i-miejskimi manierami Malachiego Rolanda St. Johna Mulli-gana. Wreszcie, w głowach stołu, zasiadał młody poeta, który szukając uciezki od swych prac pedagogicznych i metafizycznych dociekań, znalazł ją w biesiadnej atmosferze sokratycznej dyskusji, podczas gdy po jego prawej i lewej ręce rozkwaterowali się: swawolny przepowiadacz, który właśnie nadszedł z hippodromu, i ów bacznym wędrowiec, pokryty pyłem swych wędrówek i bitew, splamiony błotem niezatartej hańby, lecz o sercu stałym i niewzruszonym, z którego żadna pokusa, niebezpieczeństwo ni groźba nie zdołały nigdy zetrzeć wizerunku owej rozkosznej piękności, którą natchniony ołówek Lafayette'a nakreślił dla wieków jeszcze nie nadeszłych.

Lepiej stanie się, jeśli stwierdzimy tu na samym wstępie, że przewrotny transcendentalizm, którego pan S. Dedalus (Teol. Scep.), jak zdają się dowodzić jego argumenty, stał się ofiarą, idzie w kierunku zupełnie przeciwnym do przyjętych metod naukowych. Nauka, należy to nieustannie powtarzać, ma do czynienia z namacalnymi fenomenami. Człowiek nauki na równi z człowiekiem ulicy musi stawiać czoło oczywistym faktom, których nie można pomijać, i stara się wyjaśniać je najlepiej, jak potrafi. Mogą wyłonić się, to prawda, pewne pytania, na które nauka nie umie odpowiedzieć - na razie - takie jak pierwszy problem przedstawiony przez pana L. Blooma (Akw. Ogł.), dotyczący ustalenia płci z góry. Czy winniśmy przyjąć pogląd Empedoklesa z Trinakrii, że prawy jajnik (podczas okresu postmenstruacyjnegoJak twierdzą inni) jest odpowiedzialny za narodziny samców, czy też zbyt długo przeoczane spermatozoa lub nemasperma są owym czynnikiem tworzącym różnicę, czy też, ku czemu skłania się opinia większości embriologów takich, jak Culpepper, Spallanzani, Blumenbach, Lusk, Hertwig, Leopold i Valen-ti, jest wynikiem obu tych czynników razem wziętych? Byłoby to równoznaczne z współpracą (jednym z najbardziej ulubionych pomysłów natury) pomiędzy nissus formativus nemaspermy z jednej strony, a z drugiej, szczęśliwie wybraną pozycją, succubitusfelix, pasywnego elementu. Inne zagadnienie poruszane przez tego samego badacza jest niemal równie ważne: śmiertelność niemowląt. Jest ono interesujące, ponieważ jak stwierdza on trafnie, rodzimy się wszyscy w ten sam sposób, ale umieramy naj rozmaiciej. Pan M. Mulligan (Hyg. et Eug. Doc.) wini za to warunki sanitarne, w których nasi obywatele o poszarzałych płucach podatni są na choroby

migdałków, dolegliwości układu oddechowego etc. dzięki wchłanianiu bakterii, które czyhają w kurzu. Te czynniki, twierdzi on, i odrażający obraz, jaki przedstawiają nasze ulice, ohydne plakaty publiczne, duchowni wszelkich wyznań, okaleczeni żołnierze i żeglarze, wystawieni na widok publiczny skorbutyczni dorożkarze, wiszące ścierwo nieżywych zwierząt, paranoiczni starzy kawalerowie i nie zapłodnione przyzwoitki - ci właśnie, powiedział on, odpowiedzialni są za wszystkie razem i każdy z osobna objawy skarlenia rasy. Kalipedia, wróży on, zostanie

325

wkrótce ogólnie uznana, a wszystkie uroki życia, naprawdę dobra muzyka, przyjemna literatura, lekka filozofia, pouczające obrazy, gipsowe odlewy klasycznych posągów, takich jak Venus i Apollo, artystyczne wielobarwne fotografie nagrodzonych najpiękniejszych niemowląt, wszystkie te drobne dowody pamięci umożliwią damom znajdującym się w odmiennym stanie, aby przebyły owe miesiące w najbardziej radosnej atmosferze. Pan J. Crotthers (niedoszł. Mag.) przypisuje niektóre z tych zgonów urazom brzuszny w przypadkach kobiet robotnic, pracujących ciężko w warsztatach, a także dyscyplinie małżeńskiej w ich domach, lecz najczęściej przypadkom niedbalstwa, spowodowanego prywatnie bądź też publicznie, którego szczytem jest porzucenie nowo narodzonych dzieci, praktyki występnego przerywania ciąży lub okrutna zbrodnia dzieciobójstwa. Choć to pierwsze (myślimy o niedbalstwie) jest bez wątpienia aż nazbyt prawdziwe w zacytowanym przez niego przypadku, gdy pielęgniarki nie pamiętają o przeliczeniu gąbek w jamie otrzewnej, lecz jest to jednak zbyt odosobnione, aby mogło stanowić normatyw. W rzeczywistości, jeśli wglądnąć się w tę sprawę, można popaść w zdumienie, że tak wiele ciąży i porodów przebiega tak dobrze, jak to się dzieje w rzeczywistości, biorąc pod uwagę wszystkie czynniki i niedoskonałości ludzkie, które tak często stają na drodze intencji natury. Pomysłowy pogląd wyraził pan V. Lynch (Mag. Mat.), że zarówno narodzenie, jak śmierć, a także wszystkie inne fenomeny ewolucji, przypływy i odpływy, fazy księżyca, temperatury krwi, choroby w ogóle, jednym słowem, wszystko wreszcie w rozległym warsztacie natury, od wygaśnięcia jakiegoś odległego słońca do rozkwitania jednego z niezliczonych kwiatów, które upiększają nasze parki publiczne, podlega prawu liczbowemu, jeszcze jak dotąd nie określone. Lecz nadal proste, zwykłe pytanie, dlaczego dziecko normalnie zdrowych rodziców, będące na pozór zdrowym dzieckiem i pozostające pod dobrą opieką, ginie w niewytłumaczony sposób we wczesnym okresie dzieciństwa (choć inne dzieci z tego samego małżeństwa nie giną), musi z pewnością, mówiąc słowami poety, budzić w nas wahanie. Natura, możemy pozostać przekonani, ma swe własne rozsądne i nieodparte przyczyny dla wszystkiego, co czyni, i z całym prawdopodobieństwem takie zgony podlegają jakiemuś prawu przewidywania, dzięki czemu organizmy, w których zamieszkały chorobotwórcze bakterie (nowoczesna nauka stwierdziła z ostateczną pewnością, że tylko substancja plazmowa może być nazwana nieśmiertelną), mają tendencję

do zniku w o wiele wcześniejszym stadium rozwoju; taki układ, choć bólotwórczy dla niektórych naszych uczuć (szczególnie macierzyńskich), jest pomimo to, niejedni z nas tak sądzą, na dłuższą metę błogosławieństwem dla rasy jako całości, zabezpieczając w ten sposób możliwość przeżycia najlepiej przystosowanym. Uwaga pana S. Dedalusa (Teol. Scep.) (lub może winno się ją nazwać wtrętem?), że wszystkożerna istota, która może przeżuwać, łykać, trawić i najwyraźniej przepuszcza przez swój zwykły przewód z najdoskonalszą niewzruszalnością takie różnorakie pokarmy, jak chore na raka niewiasty wycieńczone porodami, korpulentnych gentlemanów uprawiających wolne zawody, żeby już nie wspominać o chorych na żółtaczkę politykach i anemicznych mniszkach, mogłaby prawdopodobnie znaleźć ulgę gastryczną w niewinnym posiłku złożonym z cielaka, co mu jeszcze nogi drżą, ukazuje lepiej, niżby to mogło uczynić cokolwiek innego, i w bardzo niesmaczny sposób wyżej wzmiankowane skłonności. Dla oświecenia tych, którzy nie są tak dokładnie zaznajomieni ze

326

szczegółami miejskiej rzeźni jak ten właśnie chorobliwy esteta i niewykluty filozof, pyszniący się ich znajomością, choć mimo całej swej aroganckiej zarozumiałości w sprawach nauki zaledwie odróżnia kwas od zasady, powinno się, być może, stwierdzić, że w języku kramarzy-masarzy, sprzedających niższym warstwom społecznym, cielak, co mu jeszcze nogi drżą, oznacza zdatne do ugotowania i jadalne mięso cielęcia, które dopiero co opuściło łono swej matki. Podczas ostatniego publicznego sporu z panem L. Bloomem (Akwiz. Ogł.), mającego miejsce w wielkiej sali zebrań Narodowego Szpitala Położniczego, 29, 30 i 31 Holles Street, którego, jak ogólnie wiadomo, dyrektorem jest zdolny i popularny Dr A. Horne (Dokt. w Pół. Czł. Kr. Irl. Izb. Lek.), jak donoszą naoczni świadkowie, stwierdził on, że gdy raz kobieta wpuści kota do worka (jest to, jak można przypuszczać, estetyczna aluzja dotycząca jednego z najbardziej zadziwiających i skomplikowanych procesów natury, aktu złączenia seksualnego), musi go ona wypuścić, czyli dać mu życie, jak się wyraził, żeby uratować swe własne. Ryzykując własnym życiem, tak brzmiała dobitna replika jego interlokutora, nie tracąca nic ze swej skuteczności, mimo skromnego i pełnego umiaru tonu, którym została udzielona.

Tymczasem umiejętności i cierpliwość lekarza spowodowały szczęśliwe accou-chement. Były to wyczerpujące, wielce wyczerpujące chwile zarówno dla pacjentki, jak i dla doktora. Uczyniono wszystko, co leżało w mocy chirurgii, a dzielna niewiasta wspomogła ich mężnie. O, tak. Stoczyła piękną walkę, a teraz była bardzo, bardzo szczęśliwa. Ci, którzy odeszli już, którzy zmarli już dawno, także są szczęśliwi, spoglądają z góry i uśmiechają się na widok tej wzruszającej sceny. Przyjrzyjcie się jej z czcią, gdy tak spoczywa tam z oczyma rozjaśnionymi macierzyńską światłością, z owym tęsknym pragnieniem dotyku dziecięcych paluszków (ach, cóż to za prześliczny obrazek), we wczesnym rozkwicie swego macierzyństwa, bezgłośnym tchnieniem śląc dziękczynne modły ku Niemu na

Wysokościach, ku Powszechnemu Małżonkowi. A gdy dostrzega rozmiłowanymi oczyma swe dzieciątko, pragnie jeszcze tylko jednej łaski: aby najdroższy Tatuś był tu z nią i mógł dzielić jej radość, wzięwszy w ramiona ów okruch bożej gliny, owoc ich prawowitych uścisków. Postarzał się on już nieco (ty i ja możemy to sobie szepnąć na ucho) i ramiona jego pochyliły się trochę, lecz korowód przemijających lat obdarzył dostojną godnością tego sumiennego pomocnika buchaltera Uister Banku, Oddział w College Green. O, Tatusiu, ongi ukochany, a dziś wierny towarzysz życia, nigdy już nie powtórzy się ów odległy czas róż rozkwitających! Potrząsając po dawnemu swą ładną główką, wspomina ona owe dni. Boże, jakże piękne zdają się dziś, zamglone latami! Lecz w wyobraźni dzieci jej schodzą się wokół łóżka, dzieci jej i jego, Chariey, Mary Alice, Frederick Albert (gdyby dożył). Mamy, Budgy (Victo-ria Frances), Tom, Violet Constance Louisa, ukochany mały Bobsy (noszący imię po naszym sławnym bohaterze wojny południowoafrykańskiej, lordzie Bobs of Waterford and Candahar), a teraz oto ostatnia rękojmia ich związku, Purefoy nad Purefoye, z prawdziwie purefoyskim nosem. Najmłodsza nadzieja zostanie ochrzczona imionami Mortimer Edward, tak jak wpływowy trzeci kuzyn pana Purefoy, pracujący w Urzędzie Skarbowym Zamku Dublińskiego. I tak wlece się czas: lecz ojciec Kronos postąpił tu łagodnie. Nie, niechaj najmniejsze wstchnienie nie wymknie się z twojej piersi, droga, słodka Mino. A ty, Tatusiu, wytrząśnij popiół z twojej fajki, z twojej wysuszonej wrzosowej fajki, którą będziesz lubił nawet wtedy,

327

gdy dzwon wieczorny zadzwoni dla ciebie (niechaj dzień ów będzie jak najodleglejszy!), i zdmuchnij kaganek, przy którym czytasz Pismo święte, gdyż oliwa także już wyczerpała się, tak więc z sercem spokojnym udaj się do łóżka, wypoczywaj. On wie i zawoła, gdy nadejdzie czas przez Niego naznaczony. Ty także stoczyłeś piękną walkę i odegrałeś wiernie swą męską rolę. Panie, niechaj uściskę twą dłoń. Dobrześ uczynił, pocziwy i wierny sługo!

Istnieją grzechy lub (nazwijmy je tak, jak je świat nazywa) złe wspomnienia, które człowiek ukrywa w najciemniejszych zakątkach swego serca, lecz żyją one tam i czekają. Pamięć o nich może zostać w nim przymglona, może on doprowadzić je do stanu niemal nieistnienia, niemal wmówić w siebie, że ich nie było, lub co najmniej, że wszystko odbyło się inaczej. Lecz przypadkowe słowo przywoła je niespodzianie i powstaną, i ujrzy je przed sobą w najrozmaitszych okolicznościach, w widzeniu lub we śnie, lub wówczas gdy bębenek i harfa koić będą jego zmysły, lub pośród chłodnej, srebrzystej ciszy wieczornej, lub w czasie uczty, o północy, gdy wino sprowadzi nań ocieężałość. Nie aby lżyć go, przybędzie to widzenie, nie jak do owego, który jest przedmiotem jego gniewu, nie dla zemsty, aby oderwać go od żyjących, lecz spowite w żalną szatę przeszłości, ciche, oddalone, pełne wyrzutu.

Nieznajomy nadal dostrzegał na widnym przed nim obliczu powolne zanikanie udanego spokoju, narzuconego, jak się wydawało, nawykiem lub dzięki wystudiowanej pozie, podczas

gdy słowa jego były tak pełne goryczy, że mogły oskarżać mówiącego o chorobliwą flair wobec brutalniej szych stron istnienia. Obraz odrywa się z pamięci patrzącego, wywołany, mogłoby się wydawać, dzięki słowu tak swojskiemu, jak gdyby owe dni były tu nadal (jak sądzą niektórzy) wraz z natychmiastową radością, którą mogą przynieść. Przyszytych przestrzeń trawnika, pewnego łagodnego majowego wieczoru, dobrze zapamiętana kępa bzów w Roundtown, fioletowych i białych, wonnych wiotkich widzów tej gry, przyglądających się z prawdziwym zainteresowaniem kulom, toczącym się z wolna po murawie lub zderzającym się i zatrzymującym obok siebie z nagłym, krótkim stukiem. A tam gdzie szary zadumany wodotrysk zrasza ziemię, mogłeś dojrzeć rozkoszne trzy siostrzyce, Floey, Atty, Tiny i bardziej ciemnowłosą niżli one przyjaciółkę ich, mającą sam nie wiem co tak bardzo uderzającego w postawie. Madonnę Czereśni, których wdzięczna parka zwisała u jej ucha, wydobywając cudzoziemskie ciepło odcienia skóry tak delikatnie skonstruowanej z chłodnymi, płomienistymi owocami. Chłopczyk cztero-, a może pięcioletni w sukiennym ubranku (jest to czas kwitnienia drzew, lecz ogień zapłonie w miłym kominku, gdy wkrótce kule zostaną zebrane i złożone do skrzynki) stoi na obramowaniu wodotrysku ubezpieczony koliskiem kochających dziewczęcych dłoni. Zmarszczył się właśnie jak ten młody człowiek teraz, mając może nazbyt wyraźną radosną świadomość niebezpieczeństwa, lecz od czasu do czasu musi zerknąć ku miejscu, gdzie matka jego obserwuje go z piazzetty wychodzącej na kwietnik, z lekkim odcieniem roztargnienia czy też wymówki (alles Vergdngliche) w swym zadowolonym spojrzeniu.

Zanotuj to sobie na później i zapamiętaj. Koniec nadchodzi niespodzianie. Wejdz do tego przedsionka narodzin, gdzie zebrali się uczeni, i zapamiętaj sobie ich

328

twarze. Mogło się wydawać, że nie znajdzie się tam niczego pochopnego i gwałtownego. Raczej czujny spokój, stosowny ich stanowiskom w tym domu, baczne czuwanie pasterzy i aniołów ongi wokół żłóbka w Betlejem Judzkim. Lecz jak przed pojawieniem się błyskawicy skłębione chmury burzowe, ciężkie od przytłaczającego nadmiaru wilgoci, nabrzmiałymi masami rozpościerają się i piętrzą, okrywając ziemię i niebo rozległą nieruchomością, zawieszone nad wyschniętymi polami, ospałymi wołami i przywiedłymi pędami krzewów i traw, aż nagle błysk rozszczepi je pośrodku i wraz z łoskotem gromu runie ulewa, taką a nie inną była przemiana, gwałtowna i natychmiastowa, gdy padło Słowo.

Do Burke'a! Na zewnątrz wypada milord Stefan, wydając ów okrzyk, a cała owa hałastrza za nim, zarozumialec, zuchwalec, oszust, pigularz, punktualny Bloom tuż za innymi, z ogólnym chwytnością nakryć głowy, lasek jesionowych, szpad, słomkowych kapeluszy i pochew mieczy, ciupag alpejskich z Zermatt i czego tam jeszcze. Rwie potok jurnej młodzieży, a szlachetnym był każdy z owych studentów. Siostra Callan, zaskoczona w przedsionku, nie może powstrzymać ich ani uśmiechnięty chirurg, schodzący właśnie po

schodach z wieścią o zakończeniu usuwania łożyska, ważącego cały funt, co do miligrama. Ani go chcą słuchać. Do drzwi! Czy są otwarte? Ha! Wybiegają bezładnie, rozpoczynając krótki wyścig, każdy wyciąga nogi, jak umie, a Burkę na rogu Denzille i Holles jest ich celem ostatecznym. Dixon biegnie za nimi napominając ich ostro, lecz wreszcie rzuca przekleństwo, on także, i pędzi przed siebie. Bloom pozostaje z siostrą, pomyślawszy, że trzeba przesłać serdeczne słowa szczęśliwej matce i niemowlęciu tam na górze. Doktor Wielce Dobrego Posiłku i Doktor Unikać Wyśiłku. Czy ona także nie wygląda teraz zupełnie inaczej? Historia wielu nocy czuwania w domu Horne'a wypisana jest na niej kredową bladością. Wszyscy odeszli już, więc wspomagany wrodzonym dowcipem, szepcze jej wprost w ucho, oochodząc: Madame, kiedyż bocian zawita i do pani?

Powietrze na zewnątrz przesiąknięte było wilgotnym, pozostałym po deszczu oparem, niebiańską życiodajną esencją, lśniąca na dublińskim bruku pod jaśniejącymi gwiazdami coelum. Powietrze boże, powietrze Wszechojca, roziskrzzone, zewsząd otaczające, łagodne powietrze. Wciągnij je głęboko. Na Boga, Teodorze Purefoy, dzielnie sobie poczynaleś, bez żadnej fuszerki! Jesteś, mogę przysiąc, najwybitniejszym rozplodowcem, bez konkurencji w tej swawolnej, wszechobejmu-jącej, najbeładniejszej kronice. Zdumiewające! W niej spoczywały przez Boga ułożone, przez Boga dane do wykonania możliwości, któreś ty przemienił w owoc dzięki odrobinie męskiej roboty. Uczep się jej! Służ! Trudź się, pracuj jak pies podwórzowy i niechaj nauka i wszyscy ci maltuzjaniści dadzą się obwiesić. Tyś jest tatusiami ich wszystkich, Teodorze. Czyż nie upadasz pod jarzmem, przytłoczony rachunkami rzeźnika w domu i sztabami złota (nie twojego!) w kantorze? Głowa do góry! Za każdego nowo poczętego otrzymasz swój korzec dojrzałej pszenicy. Widzisz, runo twe przemokło. Czy zazdrościsz Jasiowi Głuptasiowi i jego Joasi? Obludna sójka i reumatyczny kundel są całym ich potomstwem. Co tam, powiadam ci! Jest on mułem, zdechłym mięczakiem brzuchonogim, pozbawionym krzepy i odporności, niewartym złamanego krajcara. Kopulacja bez populacji! Nie, powiadam! Prawdziwszą nazwą byłaby rzeź niewiniątek Heroda. Warzywa, zaiste, i sterylne współżycie! Dawaj jej befsztyki, czerwone, surowe, krwawe! Jest ona sędzi-

329

wym siedliskiem wszelkiego diabelstwa i zła, powiększonych migdałków, świnki, ropni okołomigdałkowych, guzów artretycznych na wielkich palcach nóg, gorączki siennej, odleżyn, liszajów, latającej nerki, wola, brodawek, ataków woreczka żółciowego, kamieni żółciowych, zimnicy, żyłaków. Daj pokój mszom żałobnym, trenom, jeremiadom i całej tej pradażnej żałobnej muzyce. Nie żałuj owych dwudziestu lat tego. Z tobą nie było jak z owymi wieloma, którzy chcieli i pragnęli, i czekali, i nie dokonali. Tyś ujrzał swą Amerykę, swe zadanie życiowe i szarżowałeś, by pokrywać, jak zamorski bizon. Jako rzeczce Zaratustra? Deine Kuh Triibsal melkest Du. Nun trinkst Du die siisse Milch des Euters. Widzisz! Tryska ono dla ciebie w obfitości. Pij, człowiecze, wymię jest pełne! Mleko matki, Purefoyu, mleko

rodzaju ludzkiego, także mleko owych gwiazd rozkwitających nad głową, jaśniejących w deszczowym oparze, ponczowe mleko, takie, jakie ci rozpustnicy będą żłopali w swej jaskini pijackiej, mleko szaleństwa, miodne mleko ziemi K-anaan. Twarda była brodawka wymienia owej krowy, co? Tak, lecz mleko jej jest gorące, słodkie i tuczące. To nie żadne byle co, ale pełna, odżywcza maślanka. Ruszaj ku niej, stary patriarcho! Cycek! Per deam Partulam et Pertundam nunc est bibendum!

Wszyscy ruszyli na popijawę, pod ręce, wydzierając się na całą ulicę. Szczere chłopaki. Gdzieś spał zeszłej nocy? U Tymka, co mu szkapa puszcza dymka. Pędząc jak diabli. Nie dostałeś w spadku parasola albo gumiaków? Gdzie ten piłognat Henry Nevila i ten stary łach? Żałuję, się nie orientuję. Hej tam, Dix! Podaj gin! Gdzie Pięść? Wszystko klawo. Jezus, spojrzysz na tego pijanego księżula, który wychodzi ze szpitala położniczego! Benedicat ws omnipotens Deus, Pater et Filius. Pan da pół pensa, proszę pana. Chłopaki z Denzille Lane. O, do diabła, a niech cię. Pryskaj stąd. Izaaku, natychmiast spędź ich z tej pieprzonej sceny. Pan się przyłączy, panie kochany? Nie wtrącaj się, gdzie nie twój jenteres. Lou to sama dobroć, człowieku. Wszystko to mi wisi. En mant, mes enfants! Działo numer jeden, ognia! Do Burke'a! I posunęli się pięć parasangów ku przodowi. Konna piechota Slat-tery'ego, gdzie macie tego pieprzonego oficera? Pastorze Stefanie, credo apostatów! Nie, nie, Mulligan. Tam, na rufie tam. Zasuway do przodu. Uważaj i patrz na zegar. Pora wykidajłów. Mulli! Co cię naszło? Ma merę m'a mariee. Brytyjskie Błogosławieństwa! Ratamplan Digidi Bum Bum. Haies-Jajes niech to weźmie. Aby zostało wydrukowane i oprawione w Druiddrum Press przez dwie przemyślnie baby. Okładki ze skóry cielejącej szczynozielonej. Ostatni krzyk mody, jeśli chodzi o artystyczne odcienie. Najpiękniejsza książka, jaka ukazała się w Irlandii za moich czasów. Silentium! Sprintem. Baczność. Udacie się do najbliższej kantyny i zarekwirujecie tam zapasy trunków. Marsz! Raz, dwa, trzy, cztery, chłopcy chcą pić (trzymać się prosto!), do cholery! Butla, byk, byznes, biblia, buldog, bitwa, burdel, biskup. Czy też na szafocie wysoko. Piwobyk tratuje biblię. Gdy dla Irlandii drogiej mej. Tratuje tratujących. O, do diablery! Gównaj w prawo! Padamy. Chałupa biskupa. Stój! Zarzuć cumy. Rugby. Kotłowanina. Nie kopać. Ach, moje nóżęta! Stało ci się co? Nieopisanie mi przykro!

Ciekaw jestem. Kto będzie to stawiał? Dumny posiadacz niczego. Ogłaszam bankructwo. Jestem na linach. I nie mam ani pensa. Od tygodnia nie trafiłbyś przy mnie moniaków. Co dla ciebie? Miód naszych ojców dla Uermenscha. Ditto. Pięć Bassów numer jeden. A dla pana, proszę pana? Kordiał imbirowy. Zabij mnie, to

polewka winna dla dorożkarzy. Podnosi kaloryczność. Nakręca swój cykacz. Lecz stanął raz i stał po wieczny czas, gdy ów starzec. Absynt dla mnie, wiesz? Caramba! Wypij grzane z jajkiem albo cocktail z jajkiem. Wróg? Moje cyferblaty są u mego taty. Za dziesięć. Zobowiązany jestem okropnie. Nie ma o czym mówić. Ma uraz piersiowy, co, Dix?

Murowany. Pszczoła go kolnęła, gdy se w ogródku chrapał pomalutku. Ma melinę niedaleko Mater. Żonaty. Znasz jego donnę? Tak, wiadomo, znam. Przy kości. Widziałem ją w dyzabilu. Do rozbiórki. Miła jak kobyła. Nie taka jak to wasze chude bydełko, o, nie. Spuść roletę, kochanie. Dwa piwka. To samo tutaj. Ślisko. Jeśli upadniesz, nie czekaj, aż wstaniesz. Pięć, siedem, dziewięć. Fajna! Ma piękne gały, bez lipy. Padłem z nią na posłanie przy rumu pełnym dzbanie. Trzeba zobaczyć, żeby uwierzyć. Może twe głodne oczy lub alba na szyi może? Skradły mi serce moje, o mój miły pastorze. Proszę pana? Ziemniak przeciw reumatyzmowi? Wszystko to bzdura, proszę mi wybaczyć. Dla hoi polloi. Noszę wełna najlepsza jaka mogą dostać. Co, doktorze? Wrócił pan z Laponii? Jak tam przewód gównienny? Jak się czują skwaws i ich małe? Było jakieś ciało na słomie? Stój, hasło. Odezew. W tym jest włos. Naszymi są biała śmierć i rumiane narodziny. Hi! Nasraj se w gacie, szefie. Telegram od błazna. Odpisany z Mereditha. Jezuskowaty, storczy-kowaty, wszechzapchlony jezuita! Moja cioteczka pisze do tatusia Kincha. Brzydkibe Stefan sprowadził na manowce doobregocacy Malachiego.

Hurrrua! Masz kopniaka, szczeniaku. Ganiaj z tym piwkiem. Tu, Jock, nalej temu pętlemanowi twej szubrówki. W twoje ręce, niech w kominie drzewa kupa, a w garnku gorąca zupa! Ja stawiam. Merci. Nasze zdrowie. Jak to? Noga za płotem? Nie plam mi nowiuteńkich portek. Ej, ty tam, daj trochę pieprzu. Trzymaj. Dobry kminek dla dziewczynek. Kapujesz? Wrzask milczenia. Każdy frajer do swej zdziury. Venus Pandemos. Les petites femmes. Zuchwała, zła dziewczyna z miasta Mullingar. Powiedz tej siostrze, że sobie na nią ostrzę. Macając Sarę po podbrzu-szu. Na drodze do Małahide. Ja? Gdyby ta, która uwiodła mnie, pozostawiła choć imię. Czegóż wymagasz za dziewięć pensów. Machree, Macruiskeen. Uświniona Molly do półeczki na materacu. I popłyniemy razem. Ex!

Czeka pan, szefie? Bez wątpienia. Mógłbyś dać buty w zastaw. Jest tak ogłuszony, bo widzi, że żadne forsiaki nie wpływają. Kapujesz? Ma brzeczyków adiib. Na własne ślepie widziałem trzy funciaki przy nim teraz i gadał, że jego. Przyszliśmy, boś nas zaprosił, kapujesz? Twoja kolejka, brachu. Wyjmuj flotę. Dwa całe i pół ćwierci. Nauczyli cię tych podrywek ci francuscy cwaniacy? Tu nie przejdą za skarby. Chłopczyk mały baldzo smutny. To najcwańszy czarnuch w naszych stronach. Święta prawda, Harolku. Nas nie nabiorą. Nas to nie nabiorą. Au reservoir, mosjemojsie. Mękujemy bardzo.

To pewne. Co ci powiedzieć? W melinie. Zalany. Co u słana płyhać? Bantam, przez dwa dni był całkowitym abstynentem. Nie chlał nic, tylko bordeaux. Nie wygłupiaj się! Pomyśl tylko, no! O rany, alem zaprawiony. I był u fryzjera. Zbyt pijany, żeby gadać. Z jakimś kolejarzem. Jakżeś się tak zachlał? Jaką operę by lubił? Róża Kastylii. Rusza Kastr. Policja! Trochę H^O dla omdlałego gentlemana. Spójrz na te kwiaty Bantama. O kurwa, będzie wrzeszczał. Dzieweczko jasnowłosa, o ma dziewczeczko jasnowłosa. Och, zamknij się! Daj mu w tę zapaćkaną jadaczkę. Miał wytypowanego zwycięzcę na dziś, ale dałem mu pewny cynk. Tu nicpoń

pochwycił główkę laski Stefana, że niby poratuj mnie po tej klaczy. Uderzył roznosiciela telegramów, idącego z depeszą od grubych ryb Bassa do gospodarza zakładu. Rzuć mu cztery pensy i niech zmiata stąd. Klacz w świetnej formie. Armata przeciw pierdnięciu. To bujda. Prawdziwe jak ewangelia. Kryminalna podrywka? Tak myślę, tak. Na pewno. Wyląduje w pierdłu, jeżeli glina coś zwąchał. Maddena Madden nie poprze żaden. O, lubieżności, ucieczko nasza i mocy nasza. Wybywam. Musisz iść? Do mamusi. Zaczekaj. Niechaj ktoś skryje mój rumieniec. Wszystko przepadło, jeżeli zauważy mnie. Do domciu, mój Banta-mie. Orewar mą wie. Nie zapomniałeś pierwsosnków dla pani? Powiedz. Kto ci zmachał twoje małe. Kumpel do kumpla. Wierny. Johna Thomasa, jej małżonka. Nie bujasz, Leo, staruszk. Tak mi dopomóż, jak pragnę. Niech mnie diabli, jeślim zełgał. Oto wielki, ogromny świątobliwy braciszek. Czemu mi nie powiesz? Cóż, powiadam, jeżeli to nie jest Mosiek, kupię se misze miszynah. Przez boga pana naszego. Amen.

Stawiasz wnioszek? Steve, chłopcze, rozrzutnie żyjesz. Więcej tych cholernych trunków? Czy tak niezwykle wspaniały stawiający pozwoli jednemu z podejmowanych, który jest w najbardziej skrajnym ubóstwie i ma jedno wielkie, bezkresne pragnienie, aby zakończył tak wystawnie rozpoczętą libację? Daj nam wytchnąć. Gospodarzu, gospodarzu, czy masz dobre wino, stabuu? Jazda, tato, dla każdego kroplę tego. Rozlej i wracaj. Dobra, Bonifacy! Absynt dla wszystkich. Nos omnes biberimus viridum toxicum diabolus capiat posteriora nostra. Zamykamy, panowie. Hę? Rzymską gorzałkę dla tego strojnisia Blooma. Słyszę, że gadasz od rzeczy? Bloo? Poławiacz ogłoszeń? Papli małej Foto, na wszystko, co rozkoszne, przymknij się troszkę, towarzyszu. Spłyn. Bonsoir la compaignie. A zasadzki wrogiej francy. Gdzie ten fircyk i ten lalusz? Urwali się? Dali nogę. Dobrze, idźcie w swoją drogę. Szachmat. Król do wieży. Dobrego Krześcijanina, czy wspomóżesz, młody człowieku, kturęgo pszyjacieli wziął kłócz od bungalowu, żeby znaleźć miejsce, gdzie będzie mógł tej nocy zmać koronę. Okur, trochę się ubzdryngoliłem dziś wieczór. Niech mnie pies je, bies je, jeżeli to nie była najdobrzejsza, najwybuchowsza zbiórka do tej pory. Item, posługaczu, dwa ciasteczka dla tego dzieczka. Koci zadek na obiadek, nie ma nic! Nawet kawałka sera nie ma tera? Ciśnijcie syfilis do piekła, a z nim inne pitne spirytualia. Czas już. Za tych, którzy błakają się po świecie. Zdrowia wszystkim. A la vótre!

Boziu, cóż to u licha za kaznodzieja uliczny, ten w macintoshu? Czyścioszek. Spójrzcie na jego ubranie. Na wszechmocnego! Cóż on tam ma? Flaczki z łechtaczki. Bowrii, na świętego Jacka! Naprawdę bardzo go potrzebuje. Widzieliście kiedy onuce? A obszarpańców w Richmond? Od tego jedzie, że jest pedziem! Myślałem, że ma ładunek ołowiu w penisie. Tandetny obłęd. Ojcem Obierkiem nazywaliśmy go. To, panie, był niegdyś zamożny obywat. Oto mężczyzna w łachmanach i szmatach, poślubił pannę nie z tego świata. Opuściła go, no pewnie. Tu widzisz utraconą miłość. Macintosh idący opustoszałym wąwozem. Otul się i do domu. Planowy odjazd. Uwaga na gliny. Przepraszam? Czy widziałem go dziś na grzepobie? To twój koleżka zamknął rachunki z życiem? Boże zmiłuj się! Biedni malcy! Nie będziesz mi

tego gadał, Pold, precz! Jaka imię my płakać, wielka płaczlza, że przyjaciel Padney wynieśli w czarna skrzynia? Ze wszystkich czarnuchów massa Pat był najlepsza. Nie spotkałem podobnego mu, odkąd żyję. Tiens, tiens, ale to bardzo

332

smutne, na mą wiarę, ach tak. Och, cofnij się, cała wstecz. Ruchome osie napędowe są naoliwione. Postawcie jeden do dwóch, że Jenatzy da mu diabelną szkołę. Japońcy? Pod wysokim kątem, ognia! Zatopiony przez nadzwyczajne dodatki wojenne. Tym gorzej dla niego, powiada on, a nie dla Rosjan. Już czas na wszystkich. Jedenaście już ich minęło. Jazda stąd. Naprzód, chwiejne moczymordy! Noc. Noc. Niechaj Allah Najdoskonalszy duszę twą tej nocy najpotężniej ochrania.

Ostrożnie, panowie! Nie jesteśmy pijani. Policja w Lueth przepuści nas. Polucja w Leith. Ostrzegające okrzyki do faceta, który zaczyna rzygać. Ciśnie go w pierdoł-ku, Yyyk. Noc. Mona, moja jedyna miłości. Yyyk. Mona, miła moja. Ooooyyk.

Cicho. Zamknijcie jadaczki. Dzyń! Dzyń! Tam łuna. Tam jadą. Strażacy! Zmienić kurs okrętu. W kierunku Mount Street. Rozdzielić się. Dzyń! Naprzód! Nie idziesz? Biec, potykać się, ścigać. Dzyń!

Lynch! co? Właż na mój pokład. Denzille Lane, tędy. Tam przesiadka na Burdelowe. My dwoje, rzekła, poszukamy bajzii, gdzie Mroczna Maria przebywa. Pewnie, każdej chwili. Laetabuntur in cubilibus suis. Idziesz? Szepnij, kim do diabła jest ten dyzio w czarnych łachach? Cicho! Zgrzeszył przeciw światłości i nawet teraz dzień ów jest bliski, gdy przyjdzie sądzić świat ogniem. Dzyń! Ut implerentur scripturae. Uderzmy w balladę. Więc rzekł ów medyk Dick do kamrata, medyka Davy. Franco boża, kim jest ten gówiennożółty kaznodzieja na Merion Hali? Elias nadchodzi. Obmyty Krwią Baranka. Pójdźcie, wy, winożłope, dzynochłepce, gorza-łochlejne istoty! Pójdźcie, wy, spsiałe, byczoszyje, lwiobrewe, świnoryje, orzeszko-mózgie, łasiczookie szulery, fałszywe alarmy i zbyteczne bagaże! Pójdź i ty, potrójny ekstrakcie hańby! Alexander J. Christ Dowie, który podźwignął ku chwale większą połowę tej planety, od Frisco po Władywostok. Bóg nie jest żadnym sobie widowiskiem za miedziaka. Mówię wam, że przedstawia on uczciwą i bajecznie doskonałą okazję zrobienia interesu. Jest on największą z dotychczasowych rzeczy i nie zapominajcie o tym. Krzyczcie: zbawienie jest w Jezusie królu. Będziesz musiał wstać bardzo wcześnie, grzeszniku ty, o tam, jeśli zechcesz okpić Wszechmocnego Boga. Dzyń! Ma on dla ciebie miksturę na kaszel, w tylnej kieszeni, która popchnie cię, jakbyś kopniaka dostał. Spróbuj jej tylko.

(WEJŚCIE Z MABBOT STREET DO NOCNEGO MIASTECZKA, PRZED KTÓRYM ROZCIĄGA

się na gołej ziemi zajezdnia tramwajowa, błyskająca żebrami szyn, błędzącymi zielonymi i czerwonymi światełkami i znakami ostrzegawczymi. Szeregi nędznych domków o otwartych drzwiach. Rzadkie latarnie o nikłych, tęczowych wachlarzykach blasku. Wokół unieruchomionej gondoli łodiarza Rabaiottiego sprzeczą się karłowaci mężczyźni i kobiety. Chwytają wafle, w których tkwią czarne i rudozłote bryłki waty śniegowej. Ssąc, rozpraszają się powoli. Dzieci. Łabędzi, wysoko uniesiony grzebień gondoli rozcina mrok, biały i błękitny u podnóża latarni. Gwizdy nawołują i odpowiadają).

NAWOŁYWANIA: Zaczekaj, kochanie, już idę do ciebie. ODPOWIEDZI: Z tyłu, za stajenką.

(Głuchoniemy idiota o wyłupiastych oczach toczy ślinę z bezkształtnych ust, przechodząc w podrygach, wstrząsany tańcem świętego Wita. Zamyka go łańcuch dziecięcych rąk.) DZIECI: Niezdaro! Serwus!

333

IDIOTA: (Unosi bezwładną lewą rękę i bełkocze.) Grhelwus! DZIECI: Gdzie jest wielkie światło? IDIOTA: (Bełkocząc.) Grinagriogchodzie.

(Puszczają go. Odchodzi podrygując. Na sznurze, rozwieszonym pomiędzy sztachetami, karlica huśta się i liczy. Rozciągnięta obok śmietnika, zamaskowana ramieniem i kapeluszem postać gramoli się, warczy gardłowo, zgrzyta zębami, potem chrapie znowu. Grzebiący w śmieciach gnom kuca na schodku, aby zarzucić sobie na ramię wór ze szmatami i kośćmi. Starucha, która stoi obok z kopnącą lampą oliwną, wciska ostatnią butelkę w gardziel wora. Gnom unosi zdobycz, krzywo naciąga spiczastą czapkę i odchodzi bezgłośnie, utykając. Starucha wraca do swego legowiska, kołyszac lampą. Krzywonogie dziecko, które z papierowym gołąbkim w ręce przykucnęło na schodku pod drzwiami, czołga się za nią krótkimi zrywami, chwyta się jej spódnicy i gramoli w górę. Pijany robociarz trzyma się oburącz sztachet i kołysze niebezpiecznie. Na rogu dwie wysokie, zakapturzone sylwetki nocnego patrolu majaczą niewyraźnie w oddaleniu, trzymając dłonie na futerałach pałek. Rozbija się talerz;

kobieta krzyczy; dziecko zawodzi. Przekleństwa mężczyzny grzmia, mamrocą, cichną. Postacie błędzą, czają się, wyglądają z nor. W pokoju, oświetlonym świecą wetkniętą w szyjkę butelki, żdzira wyczesuje łupież z głowy skrofulicznego dziecka. Wciąż jeszcze świeży głos Cissy Caffrey wyśpiewuje przenikliwie w zaufku.)

CISSY CAFFREY:

Więc dałam ją Molly, Niech z nią poswawoli, Z tą nogą kaczą, Z tą nogą kaczą.

(Żołnierz Carr i żołnierz Compton idą chwiejnie, oglądając się i ściskając mocno pod pachami swe trzcinki, wydają równocześnie ustami odgłos podobny do pierdzenia.

Śmiech mężczyzn w zaułku. Odpowiada im ochrypla wiedźma.)

WIEDŹMA: Niech was franca poznać, dupy włochate. Zdrowie dziewczyny z Cavan.

CISSY CAFFREY: I moje szczęście. Cavan, Cootehill i Belturbet. (Śpiewa.)

Więc dałam ją Nelly, Niech pcha do gardzieli Tę nogę kaczą, Tę nogę kaczą.

(Żołnierz Carr i żołnierz Compton odwracają się i odpowiadają, w blasku latarni bluzy ich mundurów są krwawoczerwone, na jasnorudych, ostrzyżonych głowach tkwią czarne pokrowce czapek. Stefan Dedalus i Lynch przechodzą w tłumie niedaleko czerwonych bluz.)

ŻOŁNIERZ COMPTON: (Unosi palec.) Przejdźcie dla proboszcza. ŻOŁNIERZ CARR: (Odwraca się i woła.) Hej, proboszczu! CISSY CAFFREY: (Głosem, który wzbija się coraz wyżej.)

Więc ma ją, trzyma ją I gdzie chce wsadza ją, Tę nogę kaczą.

334

(Wymachując jesionową laską, trzymaną w lewej ręce, Stefan śpiewa radośnie introit wielkanocne. Lynch idzie za nim, nasunawszy nisko na oczy swą dżokejską czapeczkę. Twarz ma ściągniętą grymasem niezadowolenia.) STEFAN: Vidi aquam egredientem de templo a latere dextro. Alleluia. (Wyglądzone, wyszczerbione kły starej raj fury wynurzają się z framugi drzwi.) RAJFURA: (Ochryplym szeptem.) Psst! Podejdz tu, to ci coś powiem. Mam tam w środku dziewczę. Psst.

STEFAN: (Altius aliquid.) Et omnes ad quos pervenit aqua ista. RAJFURA: (Wypluwa za nimi strumień jadu). Medycy z Trinity. Jajowody. Pchaliby tylko, bez grosza.

(Edy Boardman, pociągając nosem, skulona obok Berthy Supple, ostania nozdrza szalem.)

EDY BOARDMAN: (Zrzędnie.) I powiada ona: widziałam cię na placu Faithful z tym twoim kochaneczkiem, z tym smarowaczem kolejowym, ubranym w ten swój wskocz-mi-do-lóżka kapelusz. Czyżby, powiadam ja. Nie tobie tak gadać, powiadam ja. Nigdy mnie jeszcze nie widziałas w jednej klatce z żonatym Szkotem, powiadam ja. I jak ci się ona podoba! Bydlę rogate. Uparta jak muł! A sama włóczy się z dwoma mężczyznami naraz: z maszynistą Kildbride'em i starszym żołnierzem Oliphantem.

STEFAN: (Triumphaliter.) Sahifacti i sunt.

(Unosi jesionową laskę i trąca latarnię rozpryskując blask po świecie. Poszukujący łupu spaniel w białe i brązowe łaty zaczyna skradać się za nim, warcząc. Lynch odstrasza go kopniakiem.) LYNCH: Więc?

STEFAN: (Oglądając się.) Więc ten gest, nie muzyka i nie zapachy, byłby powszechnym językiem, darem mowy, wyobrażającym nie sens potoczny, ale pierwszą entelechię, fundamentalny rytm.

LYNCH: Filoteologia pornozoficzna. Metafizyka z ulicy Meklemburskiej! STEFAN: Złością poskromiliśmy Shakespeare'a i jęzorem więdźmy zakłuliśmy Sokratesa. Nawet najmędrszy Stagiryta został spętany, okiełznany i ujeżdżony przez ładacznice. LYNCH: Ba!

STEFAN: Tak czy owak, któż potrzebuje dwóch gestów, aby wyrazić nimi bochen i dzban? Ten ruch wyobraża bochen i dzban chleba i wina w Omar. Potrzyмай mi laskę.

LYNCH: Niech cholera weźmie twoją żółtą laskę. Dokąd idziemy? STEFAN: Rozpustny żbiku, do la belle damę sans merci, Georginy Johnson, addeam aquí laetificat juventutem meam.

(Stefan ciska mu swoją jesionową laskę i z wolna wyciąga przed siebie obie dłonie, odchylając równocześnie głowę do tyłu, póki ręce nie wyciągną się na całą długość. Zwrócone ku dołowi dłonie zachodzą na siebie poziomo; palce lekko rozchylone, lewa dłoń znajduje się nieco wyżej.)

LYNCH: Która jest dzbanem chleba? To na nic. Co ma piernik do wiatraka? Zobrazuj to. Bierz ten swój kulawy patyk i chodź. (Odchodzi. Tomek Caffrey czworaczkuje ku latarni gazowej i obejmuje ją, a potem wspina się spazmatycznymi podrzutami. Zsuwa się w dół osiągnąwszy szczytowy

335

uchwyt. Jacky Caffrey rozpoczyna wspinanie. Robociarz opiera się o latarnię. Bliźnięta umykają w ciemność. Robociarz, zataczając się, przyciska wskazującym palcem jedną dziurkę od nosa i wypuszcza drugą dziurką długą wodnistą strugę smarków. Odbija się ramieniem od latarni i chwiejnie znika w tłumie, migocząc swym kagankiem.

Węże nadrzecznej mgły pełzną powoli. Z rynsztoków, szczelin, rozpadlin, dołów kloacznych i śmietników wstają naokół leniwe opary. Łuna wybucha na południu ponad ujściem rzeki do morza. Robociarz chwiejnie przeciska się przez tłum i kieruje ku bocznicy. Pod widocznym z dala mostem kolejowym ukazuje się zarumieniony, zdyszany Bloom, wpychając chleb i czekoladę do bocznej kieszeni. Mozaikowy portret w oknie wystawowym zakładu fryzjerskiego Gillena ukazuje mu oblicze mężnego Nelsona. Ze stojącego z boku wklęsłego lustra spogląda nań zazdrosny, żałobny, żalosny Booloohoom. Poważny Gladstone

patrzy nań oko w oko, Bloom za Bloom. Przechodzi, smagnięty spojrzeniem srogiego Wellingtona, ale z wypukłego lustra uśmiechają się, nie smagnięte, hulaszczce oczy i grubelube hopsyklopsy pana Hopleo-polda hopsiupolda.

W drzwiach Antonio Rabaiottiego Bloom przystaje lśnić potem w blasku jasnych lamp łukowych. Znika. Po chwili pojawia się znowu i spieszy dalej.) BLOOM: Ryba i ziemniaki. D. n. Ach!

(Znika w sklepie rzeźnika Olhousena, pod opadającą żelazną roletą. Po chwili wynurza się spod rolety dyszący Poldy, sapiący Bloohoom. W obu rękach ma zawiniątka, z których jedno zawiera ciepłą nóżkę wieprzową, a drugie zimną ratkę baranią, posypaną ziarnistym pieprzem. Prostując się, chwyta gwałtownie oddech. Później przechylając się w bok przyciska do żeber jedno z zawiniątek i jęczy.) BLOOM: Kolka w boku. Dlaczego biegłem?

(Oddycha ostrożnie i powoli zbliża się ku upstrzonej światłami zajezdni. Łuna znowu wybucha.)

BLOOM: Co to jest? Sygnał z morza? Reflektor? (Przystaje na rogu Cormack, przyglądając się.) BLOOM: Aurora borealis czy odlewnia stali? Ach, straż ogniowa, oczywiście. W każdym razie gdzieś w południowej stronie. Bujny płomień. Niechby to był jego dom. Przedmieście biedoty. Jesteśmy bezpieczni. (Nuci wesoło.) Londyn płonie, Londyn płonie! Cały w ogniu, cały w ogniu! (Dostrzega robociarza, zataczającego się w tłumie na krańcu Talbot Street.) Rozminę się z nim. Biegiem. Prędko. Lepiej przejść tu.

(Podrywa się, by przebiec jezdnię. Ulicznicy wrzeszczą.) ULICZNICZY: Uważaj pan!

(Dwóch rowerzystów przepływa obok Blooma, ocierając się o niego i kołysząc zapalonymi papierowymi latarkami. Ich dzwonki dzwonią.) DZWONKI: Stańpanstańpanstań.

BLOOM: (Staje wyprężony, przeszyty nagłym bólem.) Och! (Rozgląda się i niespodziewanie znowu podrywa biegiem, pędząc przed siebie. Z gęstniejącej mgły wylania się, jadąca dzwoniąca, potworna tramwajowa piaskownica, która sunie na niego całą swoją ogromną masą, mrugając wielką czerwoną przednią latarnią i sycząc kabląkiem na drucie. Motorniczy uderza w nożny sygnał.) SYGNAŁ: Bang Bang Bak Błąd Bag. Bloo.

336

f Hamulec zgrzyta gwałtownie. Bloom unosi swą białourękawiczną dłoń policjanta i na zeszywniałych nogach zbiega po omacku z szyn. Rzucony ku przodowi, perkato-nosy, oparty na kole kierownicy motorniczy mija go przekrzykując zgrzyt łańcuchów i osi.)

MOTORNICZY: Hej, czyś nasrał w gacie, czy próbujesz do trzech razy sztuka? BLOOM: (Bloom wskakuje na krawężnik i zatrzymuje się. Ociera z policzka grudkę błota dłonią, w której trzyma zawiniątko.) Nie można przejść. O mały włos, ale kolka minęła. Trzeba chyba

znowu wziąć się do ćwiczeń Sandowa. Opadanie na dłonie. I ubezpieczyć się, także przeciwko wypadkom na jezdni. Opatrzność. (Dotyka kieszeni spodni.) Panaceum mojej biednej mamy. Obcas łatwo więźnie w szynach albo sznurowadło w szprychach. Ów dzień, kiedy koło karetki więziennej ściągnęło mi but przy narożniku Leonarda. Trzeci raz jest feralny. Do trzech butów sztuka. Bezczelny motorniczy. Powinienem zrobić zażalenie na niego. Napięcie rozstraja im nerwy. Może to on zasłonił mi dziś rano tę kobietę o wyglądzie amazonki. Ten sam typ urody. Ale mimo to szybko zahamował. Sztywno chodzę. Prawda powiedziana żartem. Ten okropny skurcz w Lad Lane. Strułem się czymś. Oznacza szczęście. Dlaczego? Pewnie zagubiona trzoda. Zwierzę pozostawia ślad. (Przymyka oczy na chwilę.) Kręci mi się w głowie. Miesięczna dolegliwość czy efekt tamtego. Zaćmienie mózgu. I to uczucie zmęczenia. Za wiele na raz. Och! (Złowroga postać opiera się, założywszy nogę na nogę, o mur o'Beirne'a. Twarz nieznajoma, powleczone ciemną rtęcią. Spod szerokoskrzydłego sombrera postać spogląda na Blooma złowieszczym okiem.) BLOOM: Buenos noches, senorita Blanco, que calle es esta? POSTAĆ: (Niewzruszona, unosi ramię, dając znak.) Hasło. Sraid Mabbot. BLOOM: Haha. Merci. Esperanto. Slan leath. (Mruczy.) Szpieg Ligi Celtyckiej, nasłany przez tego zabijakę.

(Posuwa się krok ku przodowi. Szmaciarz z workiem na ramieniu zagradza mu drogę. Bloom odsuwa się w lewo, szmaciarz także w lewo.) BLOOM: Przepra.

(Schodzi, zbacza, ustępuje, prześlizguje się bokiem i idzie dalej.) BLOOM: Trzymaj się strony prawej, prawej, prawej. Jeżeli istnieje znak kierunkowy, ustawiony w Stepside przez Touring Ciub, to kto wykołatał tę ofiarę od społeczeństwa? Ja, który zbłądziłem tam i wzbogaciłem szpalty Irlandzkiego Cyklisty listem o nagłówku: W ciemnościach Stepside. Trzymaj się, trzymaj się, trzymaj się strony prawej. Szmaty i kości o północy. Raczej paser. Tam najpierw pójdzie morderca. Aby zmyć z siebie grzechy tego świata.

(Jacky Caffrey, ścigany przez Tomka Caffreya, wpada na Blooma pełnym biegiem z pochyloną głową.)

BLOOM: O.

(Zaskoczony, z drżący mi po stadkami, zatrzymuje się. Tomek i Jacky znikają tu i tam.

Dłońmi, w których trzyma swe zawiniątka, Bloom poklepuje zegarek, kieszonkę kamizelki, kieszeń z notesem, kieszeń z portmonetką, słodczy grzechu, ziemniak, mydło.)

BLOOM: Strzeż się kieszonkowców. Stara sztuczka złodziejska. Zderzenie. Wtedy porywa twoją sakiewkę.

f Wy żel zbliża się, węsząc z nosem przy ziemi. Rozciągnięty kształt kicha. Pojawia się

zgarbiona, brodata postać, odziana w długi kaftan starszego w Syjonie i w haftowaną jarmulkę z purpurowymi kutasami. Okulary w rogowej oprawie opadają na czubek nosa. Wychudłą twarz przecinają żółte smugi pozostawione przez truciznę.)

RUDOLF: Już drugą półkoronówkę przetrwonileś dzisiaj. Mówilem ci, abyś nigdy nie przestawał z pijanym gojem. Tak! Więc nie dorobisz się. BLOOM: (Chowa nóżkę i ratkę za plecami i z przygnębieniem wyczuwa dotyk ciepłego i zimnego kęsa mięsa.) Ja, ich weiss, papachi.

RUDOLF: Co tu robisz? Czy nie masz duszy? (Bezsilnymi sępimi szponami dotyka milczącej twarzy Blooma.) Czyż nie jesteś moim synem, Leopoldom, wnukiem Leopolda? Czyż nie jesteś moim droгим synem Leopoldom, który porzucił dom ojca swego i porzucił boga ojców swoich Abrahama i Jakuba? BLOOM: (Przezornie.) Przypuszczam, że tak, ojcze. Mosenthal. Oto wszystko, co z niego pozostało.

RUDOLF: (Surowo.) Pewnej nocy przynoszą ciebie do domu pijanego jak pies, a przedtem ty wydajesz swoje doskonałe pieniądze. Jak nazywasz tych biegających ludzi?

BLOOM: (Ubrany w elegancki, młodzieńczy strój o błękitnej barwie Oxfordu i białą lamowaną kamizelkę, wąski w ramionach, w brązowym, pilśniowym kapeluszu; ma srebrny beznakrętkowy zegarek Waterbury o podwójnym łańcuszku, z którego zwisa brelok, polowe jego osoby pokrywa zaschnięte błoto.) Biegacze na przełaj, ojcze. Tylko ten jeden raz.

RUDOLF: Raz! W błocie od stóp do głów. Rozciąłeś sobie rękę. Tężec. Oni cię zrobią kaput, Leopoldleben. Strzeż się tych ludzi. BLOOM: (Słabo.) Wyzwali mnie do biegu. Było błoto. Poślizgnąłem się. RUDOLF: (Z pogardą.) Goim nachez. Piękne widowisko dla twojej biednej matki!

BLOOM: Mamma!

ELLEN BLOOM: (Ubrana w karbowany, ozdobiony wstążkami czepek damy z pantomimy, w krynolinę z tiurniurą, bluzkę a la Wdowa Twankey, z bufiastymi rękawami, zapinanymi z tyłu na guziczki; ma szare rękawiczki włóczkowe i broszkę z kameą. Włosy splecione i ujęte siatką, trzyma krzywo lichtarz, ukazuje się nad poręczą schodów i woła z piskliwym przestrachem.) O, święty Zbawicielu, co oni mu zrobili? Moje sole trzeźwiące! (Unosi kraj sukni i zaczyna grzebać w kieszeni swojej jedwabnej, prążkowanej halki. Wypadają stamtąd: flakonik, woskowy Agnus Dei, wyschnięty ziemniak i celuloidowa lalka.) Najświętsze Serce Marii, gdzie ty byłeś, gdzie ty byłeś w ogóle?

(Z oczyma opuszczonymi ku ziemi, Bloom porusza bezgłośnie wargami i zaczyna rozmieszczać swe zawiniątka w wypchanych kieszeniach, ale odstępuje od tego zamiaru, mamrocze.) GŁOS: (Ostro.) Poldy!

BLOOM: Kto? (Kuli się i niezdarnie ostania przed uderzeniem.) Do twych usług. (Unosi wzrok. Obok swego mirażu palm daktylowych stoi przed nim przystojna kobieta w tureckim stroju. Jej szkarłatne spodnie i obsypany złotem kaftan wypełnione są bogatymi krągłosciami. Szeroka żółta szarfa opasuje ją. Biały jaszmak, fioletowy pośród nocy, zakrywa jej twarz, odsłaniając tylko ciemne, wielkie oczy i krucze włosy.)

338

BLOOM: Molly!

MARION: Colly? Pani Marion, od tej chwili, mój dobry człowieku, gdy zwracasz się do mnie. (Sarkastycznie.) Czy biednemu maleństwu zziębły nóżki od długiego czekania?

BLOOM: (Przestępuje z nogi na nogę.) Nie, nie. Wcale, ani troszeczkę. (Oddycha z wielkim podnieceniem, łykając hausty powietrza, pytania, nadzieje, nóżki na jej kolację, rzeczy, które ma jej powiedzieć, wykręty, pożądanie, oczarowany. Moneta błyszczy na jej czole. Klejnoty lśnią na palcach nóg. Kostki jej skuwa cienki łańcuszek. Obok niej stoi wielbłąd w spiętrzonej turbanie na łbie. Jedwabna drabinka, o niezliczonych szczecblach, opada z jego falującej howdah. Podchodzi powolnym krokiem, kolysząc niecierpliwie zadem. Ona uderza go okrutnie w udo, a zlotolite bransolety na jej przegubach podzwaniają wściekle, gdy laje go po mauretańsku.)

MARION: Nebrakada! Feminimum.

(Wielbłąd, unosząc przednią nogę, odrywa z drzewa wielki owoc mango, mrugając podaje go swej pani w rozszczepieniu kopyta, potem pochyla łeb, chrząka i z uniesioną szyją klęka niezgrabnie. Bloom pochyla się usłużnie do skoku przez kozła.)

BLOOM: Mogę ci dać... Mam na myśli, jako zarządzający pani interesami... pani Marion... jeżeli pani...

MARION: Więc dostrzegasz jakąś zmianę? (Jej dłonie błędzą leniwie po okrytym świecidlami staniku. W jej wzroku jest leniwa, przyjacielska, drwina.) Och, Poldy, Poldy, jesteś biednym, starym niedorajdą. Idź w życie. Idź w szeroki świat. BLOOM: Właśnie zawracałem, żeby kupić płyn odżywczy z kwiatu pomarańczowego i wosku, do kąpieli. Sklep zamykają wcześniej we czwartki. Ale jutro rano, od razu. (Uderza się po różnych kieszeniach.) Ta latająca nerka. Ach! (Wskazuje na południe, potem na wschód. Okrągłe świeże, czyste mydło cytrynowe wschodzi, rozsiewając blask i aromat.)

MYDŁO:

Bloom i ja kapitalnie pasujemy do siebie, On rozjaśnia świat cały, a ja błyszczę na niebie.

(Piegowate oblicze mydlarza Sweny'ego ukazuje się na tarczy mydłaślonca.)

SWENY: Poproszę o trzy szylingi i jednego pensa.

BLOOM: Tak. Dla mojej żony, pani Marion. Specjalny przepis.

MARION: (Miętko.) Poldy!

BLOOM: Tak, psze pani?

MARION: Ti trema un poco U cuore?

(Ze wzgardą odchodzi powłóczystym krokiem, grubiutka jak gołąb grochem garnirowany, nucąc duet z opery Don Giovanni.)

BLOOM: Czy jesteś pewna tego Yoglio? Mam na myśli wymo...

(Idzie za nią, a za nim idzie wężąc terier. Stara rajfura chwytą go za rękaw, błyskając szczecina brodawki na podbródku.)

RAJFURA: Dziewica za dziesięć szylingów. Świeża sztuka nigdy jeszcze nie tknięta.

Piętnastolatka. Nie ma tam nikogo prócz jej starego ojca, który schlał się na trupa.

339

(Wskazuje. W ciemnym otworze nory stoi zlaną deszczem, przemoknięta, przyczajona Bridie Kelly.)

BRIDIE: Hatch Street. Chcesz czegoś dobrego? (Z piskiem unosi skrzydła swego nietoperzego szala i zaczyna biec. Zwalisty drab rusza za nią w pościg, grzmiąc buciorami. Potyka się na schodkach, tąpnie równowagę, wpada w mrok. Słysząc słaby, piskliwy śmiech, coraz słabszy.) RAJFURA: (Z wilczookim błyskiem.) Ma swoją przyjemność. Nie znajdziesz dziewczicy w tych wielkich burdelach. Dziesięć szylingów. Nie minie noc, a już nas tajniaki wywęszą. Ten numer sześćdziesiąt siedem to skurwysyn. (Zerkając chytrze, zbliża się Gerty MacDowell, utyka. Strzelając zalotnie oczyma, wyciąga spoza pleców pokrwawioną szmatę i ukazuje ją nieśmiało.) GERTY: Dałam ci wszystko, co miałam najdroższego w świecie, a ty. (Mruczy.) Tyś to zrobił. Nienawidzę cię.

BLOOM: Ja? Kiedy? Śni ci się. Nigdy cię nie widziałem. RAJFURA: Zostaw tego gentlemana w spokoju, ty kanciaro. Pisałaś kłamliwe listy do tego gentlemana. Włóczyłaś się po ulicach i zaczepiałaś. Twoja matka dobrze by zrobiła, gdyby cię uwiązała do poręczy łóżka i nakładła ci rzemieniem, ty

zdziro.

GERTY: (Do Blooma.) Ty, który znasz wszystkie sekrety mojej dolnej szufladki. (Gładzi jego rękaw, pochlipując.) Żonaty brudasie! Kocham cię za to, coś mi zrobił. (Odchodzi, utykając. Pani Breen, we włochatym, męskim palcie o wielkich jak miechy kieszeniach, stoi na jezdni, jej łobuzerskie oczy są szeroko otwarte i ukazują w uśmiechu wszystkie swe trawożerne, kozie zęby.) PANI BREEN: Panie...

BLOOM: (Pokostuje z powagą.) Pani, gdy listem, datowanym szesnastego, mieliśmy ostatnio zaszczyt donieść pani...

PANI BREEN: Pan Bloom! Pan tutaj, w tym przybytku grzechu! Ślicznie pana przytapałam! Gałgan!

BLOOM: (Pospiesznie.) Nie tak głośno moje nazwisko. Co pani ma o mnie za wyobrażenie? Proszę mnie nie wydawać. Ciany mają słuszy. Jak się pani powodzi? Wieki od czasu, kiedy. Wygląda pani znakomicie. Zupełnie właśnie. Stosowną pogodę mamy o tej porze roku. Czarny kolor powoduje refrakcję ciepła. Tędy chodzę do domu na skrót. Ciekawa dzielnica. Przytułek Magdaleny ratuje upadłe kobiety. Jestem sekretarzem...

PANI BREEN: (Unosi palec.) Niech pan tak okropnie nie łże. Znam kogoś, komu się to nie spodoba. Niech pan tylko zaczeka, póki nie spotkam Molly! (Chytrze.) Proszę zdać w tej chwili sprawę z wszystkiego, albo biada ci! BLOOM: (Ogląda się za siebie.) Często mawiała, że chciałaby to obejrzeć. Zwiedzanie slumsów. Egzotyka, rozumie pani. Także murzyńska służba w liberii, gdyby ją było stać na to. Czarny brutal Otello. Eugene Stratton. Nawet kastaniety i bębenek murzyńskiego zespołu Livermore. Bracia Bohee. Szaleje za tym.

(Wyskakują Tom i Sam Bohee, dwaj czarni śpiewacy w białych płóciennych ubraniach, szkarłatnych skarpetkach i nakrochmalonych wysokich kołnierzykach, w butonierkach mają wielkie, szkarłatne astry. Każdy z nich ma banjo przewieszone przez pierś. Ich nieco bledsze, nieco mniejsze, murzyńskie dłonie uderzają bzdryng-bzdrang

340

w struny. Błyskając zębami i białkami kąfirskich oczu, rozpoczynają taniec, a w pauzach muzyki wybijają rytm niezgrabnymi chodakami, młóćąc, nucąc, plecy przy plecach, palce, obcasy, a cmoksmokpiaskmiask ich murzyńskie wargi.)

TOM I SAM:

W pokoiku tym jest ktoś z Diną, W pokoiku tym jest ktoś, kogo znam. W pokoiku tym jest ktoś z Diną I na banjo gra z nią, sam na sam.

(Zrywają czarne maski ze swych świeżych, tłustych twarzyczek, a potem, parskając, płając, chichocząc, grzechocząc, fikają, znikają hop top tup tąp ze sceny.) BLOOM: (Z kwaśnosłodkawym uśmiechem.) Możemy zabawić się nieco frywolniej, jeżeli pani ma ochotę? Może pragnęłaby pani, żebym panią objął chociaż na ułamek sekundy?

PANI BREEN: (Wola wesolo.) O, ty łotrze! Powinien pan spojrzeć na siebie! BLOOM: Przez pamięć dobrych, dawnych czasów. Miałem na myśli tylko zabawę w kwadracik, wymienienie wszystkich czworga małżonków. Wie pani przecież, że miałem w sercu ciepły kącik dla pani. (Posępnie.) To ja przysłałem pani ten list miłosny, do drogiej gazeli.

PANI BREEN: Święty Jacku, ależ pan wygląda! Zabójczo po prostu. (Ciekawie wyciąga rękę.) Co pan tam chowa za plecami? Proszę być grzecznym i wyjawić nam.

BLOOM: (Chwytają wolną ręką za przegub.) Oto dawna Josie Powell, najładniejsza dziewczuszka Dublina! Jak ten czas leci! Czy, spoglądając w przeszłość w retrospektywnym układzie, przypomina pani sobie tę dawno minioną noc Bożego Narodzenia i oblewanie nowego mieszkania Georginii Simpson, gdy bawiliśmy się w grę Irwin-ga Bishopa, poszukując z zawiązanymi oczami szpilki i odgadując myśli? Pytanie:

co znajduje się w tej tabakierce?

PANI BREEN: Był pan bohaterem wieczoru, deklamował pan tragikomicznie i wyglądał pan zupełnie jak postać, którą pan przedstawiał. Zawsze miał pan powodzenie u dam.

BLOOM: (Bawidamek, ubrany w smoking z lśnącymi jedwabnymi kłapami, ma błękitną odznakę masońską w butonierce. Czarna muszka i spinki z macicy perłowej. W dłoni kielich tęczowego szampana.) Panie i panowie, proponuję toast za Irlandię, za ojczyznę i piękno.

PANI BREEN: Drogie, dawne dni, minione bezpowrotnie. Stara słodka pieśń miłosna.

BLOOM: (Znacząco zniżając głos.) Wyznaję, że czajniczek z ciekawości, żeby dowiedzieć się, czy w pewnym zakątku pewnej osoby nadal czajniczek. PANI BREEN: (Z wylaniem.) Straszliwie czajniczek! Cały Londyn czajniczek i ja cała czajniczek po prostu. (Ociera się biodrem o jego biodro.) Po grach i zagadkach w salonie i niespodziankach z drzewka usiedliśmy na sofie u stóp schodów. Pod jemiolą. Nareszcie sami.

BLOOM: (Ma na głowie purpurowy napoleoński kapelusz z bursztynowym półksiężycem, przesuwa powoli palcami po mięsistym, wilgotnym wgłębieniu dłoni, którą mu łagod-

nie podsunęła.) Czarodziejska godzina nocy. Wyciągnąłem z tej dłoni drzazgę, ostrożnie, powoli. (Mówi z czułością, wsuwając jej na palec pierścionek z rubinem.) La ci darem la mano.

PANI BREEN: (W sukni wieczorowej z jednej sztuki materiału o barwie księżycowego błękitu, ma nad czołem diadem sylfidy, a jej karnecik balowy leży na ziemi obok błękitnego, atłasowego pantofelka. Zamyka miękko dłoń, oddychając szybko.) Vog-lio e non. Pan jest rozpalony! Pan płonie! Lewa dłoń, najbliższa sercu. BLOOM: Gdy uczyniła pani swój obecny wybór, mówiono, że piękno ujarzmiło bestię. Nigdy ci tego nie wybaczę. (Przyciska do czoła zaciśniętą pięść.) Pomyśl, co to znaczy. Czym byłaś wówczas dla mnie (Chrapliwie.) Kobieto, to mnie zabija! (Denis Breen, w wysokim, białym kapeluszu, człowiek-reklama, niosący tablice Wis-dom Hely 'ego, przeczlapuje obok nich w nocnych pantoflach, wysuwając ku przodowi swą ciemną brodę, mamrocząc na prawo i lewo. Maty Alf Bergan, zawinięty w opończę pikowego asa, zabiega mu dro'gę z lewej i prawej, zginając się wpoi ze śmiechu.) ALF BERGAN: (Szyderczo wskazuje tablice reklamowe.) Kła. Pa.: Kłapa. PANI BREEN: (Do Blooma.) Wielki jubel pod schodami. (Robi do niego perskie oko.) Dlaczego nie pocałowałeś tego miejsca, żeby je uzdrowić? Chciałeś przecież. BLOOM: (Wstrząśnięty.) Najlepsza przyjaciółka Molly! Czy mogłabyś? PANI BREEN: (Wysuwa spomiędzy warg mięsisty język. Pochyla się do pocałunku turkawki.) Uhm. Zgaduj zgadula. Czy masz tam dla mnie jakiś mały podarunek?

BLOOM: (Bez namysłu.) Koszerne. Kąsek na kolację. Dom bez marynaty mięsnej jest nieszczesny. Byłem na przedstawieniu Lii. Pani Bandman Palmer. Drapieżna interpretatorka Shakespeare'a. Niestety, wyrzuciłem gdzieś program. Szczerze mówiąc, jest tu w okolicy miejsce, gdzie można kupić znakomite nóżki wieprzowe. Dotknij.

(Pojawia się Richie Goulding z trzema damskimi kapeluszami przyszpilonymi do głowy, przechylony na bok pod ciężarem czarnej teczki z aktami panów Collis i Ward, na której wapnem wymalowano czaszkę i skrzyżowane piszczele. Otwierają i pokazuje, że jest ona pełna kiełbas, wędzonych śledzi, lupaczy z Findon i pigulek w pudełeczkach.)

RICHIE: Najlepsza jakość w Dub.

(Łysy Pat, żałosny żuk, stoi na krawężniku, mnąc swą serwetę, czekając na oczekiwanego.)

PAT: (Podchodzi trzymając krzywo talerz, z którego pokapukapkapuje sos.) Befsztyk i nerka. Butelka jasnego. Hi hi hi. Zaczekam, aż poczekasz. RICHIE: Mójboże. Janig dy niezja dłemw ca łym... (Z opuszczoną głową podąża uparcie przed siebie. Robociarz zatacza się w jego stronę i kłuje go rozpalonymi końcami widełek kaganka.) RICHIE: (Z okrzykiem bólu osłania dłońią plecy.) Ach! Wnętrzości! Litości! BLOOM: (Wskazując robociarza.) To szpicel. Lepiej nie zwracać uwagi. Nie znoszę głupich zbiegowisk. Nie będę bawił się i śmiał, ach. W poważnych jestem dziś opałach.

PANI BREEN: Oszukując i bałamucąc jak zwykle swoimi bzdurnymi bajeczkami. BLOOM: Chcę ci wyjawić małą tajemnicę: jak to się stało, że jestem tutaj. Ale nie

wolno ci nigdy o tym mówić. Nawet Molly. Mam najbardziej osobliwy powód.

PANI BREEN: (Przejęta.) O, za nic na świecie. BLOOM: Odejdźmy stąd, dobrze? PANI BREEN: Odejdźmy.

(Rajfura daje nie dostrzeżony znak. Bloom idzie dalej z panią Breen. Terier sunie za nimi, skomląc żałośnie i wymachując ogonem.) RAJFURA: Żydowski obrzynek!

BLOOM: (W kremowym, flanelowym ubraniu z listkiem wiciokrzewu w klapie, w modnej płowej koszuli, w krawacie szkockim w kratę świętego Andrzeja, w białych getrach, z cielistym pr ochotnikiem na ramieniu, w brązowoczerwonych butach, z lornetką na rapciach i w szarym meloniku.) Czy pamiętasz te dawne, dawne lata, ów dzień, zaraz potem, kiedy Milly, nazywaliśmy ją wtedy Marionette, została odłączona od piersi i pojechaliśmy wszyscy razem na wycieczkę do Fairyhouse, zdaje się?

PANI BREEN: (Ubrana w zgrabnie uszyty kostium, o odcieniu saxe i prostym kroju, i w biały aksamitny kapelusz z pajęczym welonem.) Do Leopardstown. BLOOM: Mam na myśli Leopardstown. Molly wygrała siedem szylingów na trzylatka imieniem Nevertell, a potem wracaliśmy do domu i mijaliśmy Foxrock tą samą rozklekotaną, pięcioosobową dryndą, a ty byłaś wtedy w pełnym rozkwicie i miałaś na głowie ten nowy, obszywany krecim futerkiem kapelusz z białego weluru, którego kupno poradziła ci pani Hayes, gdyż obniżono jego cenę do dziewiętnastu szylingów i jedenastu pensów. Kawałek drutu i szmata ze starej welwetyny. I mogę się z tobą założyć, o co zechcesz, że zrobiła to naumyślnie... PANI BREEN: No, chyba że naumyślnie, kocica! Nie musisz mi tego mówić! Dobra doradczyni!

BLOOM: Ponieważ nawet w połowie nie było ci w nim tak do twarzy, jak w tym drugim, malutkim toczku z piórkiem rajskiego ptaka, który podziwiałem na tobie, bo naprawdę wyglądałaś w nim aż nazbyt urzekająco, chociaż szkoda było zabijać tego ptaszka, to maleństwo o sercu nie większym niż kropka, ty okrutne stworzenie. PANI BREEN: (Ściska jego ramię, mizdrzy się.) Byłam niegrzeczną okrutniczką. BLOOM: (Cicho, poufnie, coraz prędzej i prędzej.) A Molly wyjadała kanapki wołowe z koszyka obiadowego pani Joe Gailaher. Szczerze mówiąc, choć miewała swoich doradców i wielbicieli, nigdy nie miałem wysokiego mniemania ojej guście. Była...

PANI BREEN: Zbyt...

BLOOM: Tak. I Molly śmiała się, bo Rogers i Maggot o'Reilly zaczęli przedrzeźniać koguta, gdy mijaliśmy zagrodę wiejską, a Marcus Tertius Moses, handlarz herbatą, przejechał obok nas w swojej otwartej dwukółce, a z nim jego córka, która miała na imię Dancer Moses, a pudełek na jej kolanach szarpnął się i zaczął ujadać, a wtedy zapytałaś mnie, czy kiedykolwiek słyszałem, czytałem, znałem albo spotkałem...

PANI BREEN: (Gorliwie.) Tak, tak, tak, tak, tak, tak, tak. (Rozwiewa się u jego boku. Mając za sobą nieodstępного, skomlącego psa, Bloom zbliża się ku bramom piekielnym. W sklepionym przejściu stoi na rozkraczonych nogach pochylona ku przodowi kobieta i szczyjak krowa. Przed szynkiem o zamkniętych

343

okiennicach grupa próżniaków słucha opowiadania, które ich prowadyr o złamanym nosie wykrzykuje chrapliwie ze zgryźliwym humorem. Dwóch bezrękich opojów szarpie się, zmagając i charcząc wśród kalekiej, pijackiej niby bitki.) PROWODYR: (Przykucnąwszy, mówi głosem zniekształconym, przez nos.) A kiedy Cairns zszedł z tego rusztowania na Beaver Street, to co miał lepszego do roboty, jak wlać to do wiadra z piwem, które na kupie trocin czekało na tych sztukatorów od Derwana.

PRÓŻNIACY: (Parskają śmiechem przez zęby.) O rany! (Pochłapane farbą czapki kołyszają się. Obryzgani wapnem i kłajstrem swych lepianek podrygują, bezkształtni, wokół niego.)

BLOOM: To też zbieg okoliczności. Myślą, że to śmieszne. Wszystko, tylko nie to. Przy świetle dziennym. Próbuje iść. Na szczęście, nie było kobiet. PRÓŻNIACY: O rany, a to dobre. Gorzką sól. O rany, ludziom do piwa. (Bloom przechodzi. Taniutkiekurewki, pojedynczo, parami, owinięte w szale, rozczochrane, nawołują z zaułków, drzwi, narożników.)

KURWY:

Dokąd chcesz zająć, ty frajerze? Jak służy nóżka środkowa? Czy masz przy sobie zapalną? Podejdz, to ci ją usztywnię.

(Przepycha się przez to bagienko w stronę widocznej z oddali oświetlonej ulicy. Spomiędzy wybrzuszonych firanek otwartego okna gramofon wysuwa swą poobijaną, mosiężną tubę. W mroku właściciel pijackiej meliny targuje się z robociarzem i dwoma czerwonymi bluzami.)

RÓBOCIARZ: (Czkając.) Gdzie ten pieprzony dom? STRĘCZYCIEL: Purdon Street. Butelka portera za szylinga. Przyzwoita kobieta.

RÓBOCIARZ: (Chwytając obie czerwone bluzy i zataczając się, rusza wraz z nimi.) Naprzód, armio brytyjska!

ŻOŁNIERZ CARR: (Za jego plecami.) Ale się zalał! ŻOŁNIERZ COMPTON: (Śmieje się.) O, ho, ho! ŻOŁNIERZ CARR: (Do robociarza.) Kantyna w koszarach Portobello. Zapytaj o Carra. Wystarczy o Carra. RÓBOCIARZ: (Wrzeszczy.)

Jesteśmy chłopcy z Wexford.

ŻOŁNIERZ COMPTON: Ty, powiedz, co sobie robisz z szefa kompanii? ŻOŁNIERZ CARR: Z Benneta? To mój kumpel. Kocham starego Benneta. RÓBOCIARZ: (Wrzeszczy.)

Nikczemne pęta. I wyzwolimy nasz ojczysty kraj.

(Zataczając się, idzie naprzód i ciągnie ich z sobą. Bloom zatrzymuje się niepewnie.

Pies podchodzi z wywieszonym językiem, ziejąc.)

BLOOM: To szukanie wiatru w polu. Domy rozpusty. Bóg tylko jeden wie, dokąd

344

poszli. Pijacy poruszają się dwa razy szybciej. Śliczne zamieszanie. Ta scena w Westland Rów. Potem wskoczyłem do pierwszej klasy z biletem trzeciej. Potem za daleko. Pociąg miał lokomotywę z tyłu. Mógł mnie zawieźć do Małahide albo odstawić na noc na bocznice, albo mieć zderzenie. Drugi kieliszek jest wszystkiemu winien. Jeden to dość. Dlaczego go szukam? W końcu jest najlepszy z nich wszystkich. Gdybym nie usłyszał o pani Beaufoy Purefoy, nie poszedłbym i nie spotkałbym. Kismet. Straci tę gotówkę. Tu cię z niej oswabadzają. Dobry interes dla domokrażców i kataryniarzy. Czego wam brakuje? Łatwo przyszło, łatwo poszło. Mogłem nawet życie stracić pod tym onbrzękołoszy-ndrutublasksmokiem, gdyby nie przytomność umysłu. Ale przecież ona nie zawsze ratuje. Gdybym owego dnia przeszedł o dwie minuty później pod oknem Trueloc-ka, zostałbym zastrzelony. Roztargnienie. Roztargnienie ciała. Ale gdyby kula przeszła tylko przez palto, dostałbym odszkodowanie za wstrząs, pięćset funtów. Kim on był? Klubowym elegancikiem z Kildare Street. Strzeżonego Pan Bóg strzeże.

(Unosi głowę i odczytuje na murze nagryzmołone kredą zdanie Wilgotny Sen, a obok dostrzega wyobrażenie fallusa.)

Dziwne! Molly, rysująca na zamarzniętej szybie dorożki w Kingstown. Co to przypomina? (Jaskrawe, malowane lale stoją oparte niedbale w oświetlonych drzwiach i framugach okien, paląc papierosy z poprzecznie ciętego tytoniu. Woń słodkoduszących ziół płynie ku niemu powolnymi, kolistymi girlandami.) GIRLANDY: Słodkie są słodyczne. Słodyczne grzechu. BLOOM: Kręgosłup mi trochę zwiotczał. Iść czy zawrócić? A to jedzenie? Zjeść je i zaświnić się? Jestem nedorzeczny. Szkoda pieniędzy. O szylinga i osiem pensów za wiele. (Wyżel dotyka jego dłoni zimnym, wężącym nosem i macha ogonem.) Dziwne, jak ciągną do mnie. Nawet to bydlę dzisiaj. Najlepiej zagadać do niego najpierw. One lubią rencontres jak kobiety. Śmierdzi jak tchórz. Chacun son gout. Może być wściekły. Fido. Porusza się niepewnie. Dobry piesek! Garryowen! (Wilczur kładzie się na wznak, wije się oblesnie i przebiera prosząco łapami, wywiesiwszy długi, czarny jęzor.) Wpływ otoczenia. Lepiej dać i skończyć z tym. Pod warunkiem że nikt. (Dodając sobie odwagi słowami, wycofuje się niezgrabnie, ukradkowym krokiem przemytnika, zapędzany przez nieustępliwego setera w

ciemny, cuchnący stęchlizną zakątek. Rozwija jedno zawiniątko i chce miękko upuścić nóżkę wieprzową, ale wstrzymuje się i dotyka ratki baraniej.) Duża, jak na trzy pensy. Ale trzeba pamiętać, że trzymam ją lewą ręką. Wymaga większego wysiłku. Dlaczego? Mniejsza, bo mniej używana. O, niech leci. Dwa szylingi i sześć pensów. (Z żalem pozwala, aby odwinięta nóżka upadła wraz z ratką baranią. Brytan niezgrabnie rozszarpuje zawiniątko i dławi się z warkotliwą żarłocznością, miażdżąc kości. Podchodzą dwaj zakaptur żeni policjanci, cisi, czujni. Szepczą.) POLICJANCI: Bloom. Blooma. Bloomowi. Bloom. (Obaj kładą dłonie na ramionach Blooma.)

PIERWSZY POLICJANT: Złapany na gorącym uczynku. Nie próbuj stawiać oporu.

BLOOM: (Jąkając się.) Wyrządzam dobro innym. (Stado mew i petreli wzbija się żarłocznie z mielizny Liffey. W dziobach mają paszteciki z Banbury.)

345

MEWY: Kron krdał krakszkecik z krankury. BLOOM: Przyjaciół człowieka. Oswojony dobrocią. (Wskazuje. Bob Doran, waląc się z wysokiego stoika barowego, zawisa nad przeżuającym spanielem.)

BOB DORAN: Azorek. Daj nam łapkę. Daj łapkę. (Buldog warczy, zjeżywszy grzbiet, trzymając w szczękach gnat wieprzowy, z którego ścieka wściekła ślina. Bob Doran znika bezgłośnie w przestrzeni.) DRUGI POLICJANT: Zapobieganie okrucieństwu wobec zwierząt. BLOOM: (Entuzjastycznie.) Szlachetne zajęcie! Na moście Harolda zwymyślałem tego woźnicę tramwajowego, który maltretował swego konia, mającego grzbiet obtarty chomątem. Poczęstował mnie za to piękną francuszczyzną. Oczywiście, było mroźno, a to był ostatni tramwaj. Wszystkie opowiadania o życiu cyrkowym są wysoce demoralizujące.

(Signor Majfei, błądy z wściekłości, w kostiumie pogromcy lwów, z diamentowymi spinkami w gorsie koszuli, występuje ku przodowi, trzymając papierową obręcz cyrkową, falujący bat i rewolwer, którym mierzy w jedzącego doga.) SIGNOR MAFFEI: (Ze złowróżbnym uśmiechem.) Panie i panowie, oto mój tresowany chart. To ja, przy pomocy mego patentowanego, nabijanego gwoździami siodła dla drapieżników, poskromiłem oszalałego ogiera Ajaxa. Smaganie podbrzusza węzła-stym rzemieniem. Podciąganie na bloku i zaciskająca się na gardle pętla każą lwu lizać wasze stopy, choćby był tak krnąbrny jak ten oto Leoferox, libijski ludożerca. Rozpalony do czerwoności pręt i nieco maści wcieranej w oparzone miejsca stworzyły Fritza z Amsterdamu, myślącą hienę. (Spogląda płomiennymi oczyma.) Posiadam hinduskie znamię. Czyni to blask moich oczu i lśnienie tych diamentów na mej piersi. (Z czarującym uśmiechem). Przedstawiam wam teraz mademoiselle Ruby, chlubę areny.

PIERWSZY POLICJANT: Jazda. Nazwisko i adres. BLOOM: Zapomniałem w tej chwili. Ach, tak. (Zdejmuje swój najwyższej jakości kapelusz i pozdrawia ich.) Dr Bloom, Leopold, chirurg jamy ustnej. Słyszeliście zapewne o von Bloom Paszy. Naście milionów. Donnerwetter! Posiada połowę Austrii. Egiptu. Kuzyn.

PIERWSZY POLICJANT: Dowody.

(Kartka wypada spod skórzaney podkładki kapelusza Blooma.) BLOOM: (W czerwonym fezie i ceremonialnym stroju kaciego, z szeroką, zieloną szarfą, ma fałszywą rozetkę Legii Honorowej, podnosi pospiesznie kartkę i podaje im.) Proszę pozwolić. Jestem członkiem Klubu Młodszych Oficerów Armii i Floty. Moimi przedstawicielami prawnymi są panowie John Henry Menton, 27 Bache-lor's Walk.

PIERWSZY POLICJANT: (Czyta.) Henryk Kwiatek. Bez stałego miejsca zamieszkania. Bezprawnie podgląda i zaczepia. DRUGI POLICJANT: Alibi. Ostrzega się pana.

BLOOM: (Z kieszeni na piersi wyciąga pomiętą, żółtą kwiat.) Oto kwiatek, o który chodzi. Dostałem go od człowieka o nie znanym mi nazwisku. (Przymilnie.) Zna pan ten stary dowcip. Róża Kastylii. Kastylii. Bloom. Zmiana nazwiska Virag. (Szepcze poufnie i na osobności.) Bo, widzi pan, sierżancie, jesteśmy zaręczeni. Jest w to wmieszana pewna dama. Powikłania miłosne. (Ramieniem

346

trąca lekko drugiego policjanta.) A, niech tam. Tacy już jesteśmy, my chwaccy marynarze. Nasz mundur tak działa. (Zwraca się poważnie do pierwszego policjanta.) Oczywiście natrafia się od czasu do czasu na swoje Waterloo. Niech pan zajdzie któregoś wieczoru na szklaneczkę starego burgunda. (Do drugiego policjanta, wesoło.) Przedstawię pana, inspektorze. Lubi ona tę robotę. Zrobi to panu w mgnieniu oka.

(Pojawia się ciemne, powleczone rtęcią oblicze, prowadząc za sobą zawoalowaną postać.)

CIEMNE OBLICZE: Poszukuje go Zamek. Został wyrzucony z armii. MARTA: (Gęsto zawoalowaną, ma szkarłatną wstążkę wokół szyi, a w ręce egzemplarz Irlandzkiego Timesa. Wskazuje Blooma i mówi tonem pełnym wyrzutu.) Henryku! Leopoldzie! Leopoldzie! Lionel, o utracony! Oczyść moje imię. PIERWSZY POLICJANT: (Surowo.) Pójdziemy na posterunek. BLOOM: (Przerażony, wkłada kapelusz, cofa się o krok, a potem chwyta za serce i unosi pod prostym kątem prawe przedramię w pozdrowieniu masońskiego bractwa.) Nie, nie, czcigodny mistrzu, to ładacznic. Pomyłka w tożsamości. Poczta z Lyonu. Lesurques i Dubosc. Przypomina pan sobie sprawę bratobójstwa Chiłdsa. My lekarze. Zabił go ciosem siekiery. Jestem niesłusznie oskarżony. Lepiej, aby jeden winien wymknął się, niż gdyby miano skazać dziewięćdziesięciu dziewięciu niewinnych.

MARTA: (Łka, osłonięta welonem.) Złamanie obietnicy. Moje prawdziwe nazwisko brzmi Peggy Griffin. Pisał do mnie, że jest nieszczęśliwy. Naskarżę na ciebie mojemu bratu, który jest obrońcą w drużynie Bective, ty uwodzicielu bez serca.

BLOOM: (Zasłaniając usta dłonią.) Ona jest pijana. Ta kobieta upiła się. (Ledwie dostyszalnie wymawia dawne hasło Efraimitów.) Srybolet. DRUGI POLICJANT: (Ze łzami w oczach, do Blooma.) Powinien się pan głęboko wstydzić.

BLOOM: Panowie sędziowie przysięgli, pozwólcie mi wyjaśnić. To czyste nieporozumienie. Jestem człowiekiem nie zrozumianym. Zrobiono ze mnie kozła ofiarnego. Jestem poważanym, żonatym obywatelem, bez skazy na charakterze. Mieszkam przy Eccies Street. Moja żona, jestem córką znanego wodza, dzielnego, czcigodnego gentlemena, jakże on się nazywa, Generał-majora Briana Tweedy, jednego z najwaleczniejszych mężów Wielkiej Brytanii, który przyczynił się do naszych zwycięstw w wielu bitwach. Stopień majora otrzymał za bohaterską obronę Rorke's Drift.

PIERWSZY POLICJANT: Pułk.

BLOOM: (Zwraca się ku galerii.) Królewscy Strzelcy Dublińscy, chłopcy, sól ziemi, znani jak świat długi i szeroki. Zdaje mi się, że widzę pomiędzy wami dawnych towarzyszy broni. Chłopców z KSD. Obok naszych stołecznych policjantów, opiekunów naszych domostw, są oni najmężniejszymi młodzieńcami i najpiękniejszym pod względem warunków zewnętrznych oddziałem w służbie naszego monarchy. GŁOS: Zdrajca! Niech żyją Boerowie! Kto wygwizdał Joe Chamberlaina?

BLOOM: (Z ręką na ramieniu pierwszego policjanta.) Mój staruszek także był sędzią pokoju. Jestem tak lojalnym Brytyjczykiem jak i pan. Walczyłem pod naszymi sztandarami za króla i ojczyznę podczas tej niewydarzonej wojny, byłem pod

347

rozkazami generała Gough, który stoi w parku, zostałem ranny pod Spion Kop i Bloemfontein, wymieniony zaszczytnie w rozkazach. Zrobiłem wszystko, co leży w mocy białego człowieka. (Z cichym wzruszeniem.) Jim Bludso. Trzymaj jej dziób pod prąd.

PIERWSZY POLICJANT: Zawód albo zajęcie.

BLOOM: Więc, zajmuję się literaturą. Autor-żurnalista. Mówiąc ściślej, właśnie wydajemy zbiór nagrodzonych opowiadań, których pomysły są moim dziełem. Coś zupełnie nowego. Współpracuję z prasą brytyjską i irlandzką. Jeżeli zadzwoni pan do...

(Myles Crawford nadchodzi, podrygując gwałtownie, z gęsim piórem w zębach. Jego czerwony nochal lśni jaskrawo pod aureolą słomkowego kapelusza. W jednej ręce kołysze pęczkiem cebul hiszpańskich, a drugą przyciska do ucha słuchawkę telefoniczną.)

MYŁEŚ CRAWFORD: (Potrząsając Swym kogucim podgardlem.) Hallo, siedemdziesiątsiedem osiemcztery. Hallo. Tu Urynal Wolności i Dupodcieracz Tygodnia. Europa skamienieje. Wy, co? Bluzg? Kto pisze? Bloom? (Pan Filip Beaufoy staje z bladą twarzą w ławie świadków; ubrany jest w staranny poranny strój, róg chusteczki wygląda z kieszonki na piersi, ma zaprasowae szaronie-bieskie spodnie i lakierki. Trzyma wielką, płaską tekę, opatrzoną napisem Majstersztyki Matchama.)

BEAUFOY: (Cedząc słowa.) Nie, nie jest pan nim, daleko panu do tego, jeśli ja wiem coś na ten temat. Po prostu nie dostrzegam tego. Żaden urodzony gentleman, nikt mający choćby jedynie najbardziej elementarne skłonności gentlemana, nie mógłby się poniżyć do tak zdecydowanie obrzydliwego postępowania. Jest on jednym z nich, wysoki sędzie. Plagiatorem. Obłeśny mydłek, udający literata. Jest zupełnie oczywiste, że z wrodzoną sobie nikczemnością przepisał z niektórych moich najpo-czytniejszych książek, naprawdę znakomitych, po prostu klejnotów, fragmenty miłosne, które są poniżej wszelkich podejrzeń. Książki Beaufoya, o miłości i wielkich namiętnościach, znane niewątpliwie także wysokiemu sądowi, są chlebem codziennym rodzin naszego królestwa.

BLOOM: (Mruczy z wisielczą potulnością.) Jeżeli mi wolno będzie, chciałbym uczynić małe zastrzeżenie co do tego fragmentu o śmiejącej się czarodziejce, trzymającej dłoń w jego dłoni...

BEAUFOY: (Wargę ma uniesioną, uśmiecha się dumnie w kierunku sędziów.) Ty śmieszny ośle! Jesteś zbyt obrzydliwie, zbyt ohydnie wstrętny, abym umiał to wyrazić słowami! Ale nie sędzę, aby sprawiało ci to wiele przykrości. Mój wydawca, pan J. B. Pinker, jest tu wraz ze mną. Przypuszczam, wysoki sędzie, że otrzymamy obaj zapłatę przewidzianą dla świadków, prawda? Jesteśmy splukani z powodu tego plugawego dziennikarzyny, tej kawki z Reims, która nie wie nawet, co to uniwersytet.

BLOOM: (Niewyraźnie.) Uniwersytet życia. Zła literatura. BEAUFOY: (Wrzeszczy.) Jest to nikczemne kłamstwo, ukazujące moralną zgniliznę tego człowieka! (Otwiera swą tekę.) Mamy tu potępiające go dowody, corpus delicti, wysoki sędzie, egzemplarz jednej z mych dojrzałych prac, zniekształcony odciskiem racicy bydlęcia.

348

GŁOS Z GALERII:

Mojżesz, Mojżesz, żydowski generał, Gazetą codzienną dupę swą podcierał.

BLOOM: (Mężnie.) Przesada.

BEAUFOY: Ty nikczemny nędzniku! Należałoby utopić cię w gnojówce, ty zgniłku! (W stronę sądu.) A spójrzcie na prywatne życie tego człowieka! Prowadzi poczwórną

egzystencję! Anioł dla świata, diabeł w swym domu. Nie godzien, aby go wymienić w mieszanym towarzystwie. Arcycypiskowiec epoki. BLOOM: (W stronę sądu.) A on jest kawalerem, a więc jak... PIERWSZY POLICJANT: Król przeciw Bloomowi. Przywołać kobietę Driscoll. WOŹNY: Mary Driscoll, pomywaczka!

(Mary Driscoll, dziewczyna służebna, zbliża się w przydeptanych chodakach. Przez ramię przewieszony ma kubek, w ręce trzyma zmywak.) DRUGI POLICJANT: Jeszcze jedna! Czy ty także należysz do owego nieszczęsnego rodzaju?

MARY DRISCOLL: (Z oburzeniem.) Nie jestem z tych złych. Mam dobrą opinię i byłam u moich ostatnich państwa przez cztery miesiące. Miałam piękne miejsce:

sześć funtów rocznie, koszykowe i wychodne w piątki. Ale musiałam odejść z powodu jego zachowania.

PIERWSZY POLICJANT: O co go oskarżasz?

MARY DRISCOLL: Uczynił mi pewną propozycję, ale ceniłam się wyżej, choć jestem tak uboga.

BLOOM: (W wytłaczanej bonzurce, flanelowych spodniach, rannych pantoflach, nie ogolony, włosy lekko rozczochrane.) Traktowałem cię przyzwoicie. Dawałem ci upominki, eleganckie podwiązki szmaragdowego koloru, sięgające o wiele wyżej niż twoje stanowisko. Nierozważnie stanąłem po twojej stronie, gdy oskarżono cię o jakąś małą kradzież. Trzeba we wszystkim zachowywać umiar. Graj w otwarte karty.

MARY DRISCOLL: (Z podnieceniem.) Jak Bóg na niebie, ani tego wieczora, ani nigdy nie tknęłam nawet tych ostryg!

PIERWSZY POLICJANT: A jaka krzywda ci się stała? Czy coś się wydarzyło? MARY DRISCOLL: Dopadł mnie niespodziewanie na tyłach ogrodu, wysoki sędzie, kiedy pani wyszła robić zakupy pewnego ranka. Poprosił o agrażkę. Chwycił mnie i porobił mi siniaki w czterech miejscach. I dwa razy szarpał na mnie bieliznę.

BLOOM: A ona przypuściła kontratak.

MARY DRISCOLL: (Pogardliwie.) Miałam więcej szacunku dla mojego zmywaka, jakby się kto pytał. Zwymyślałam go, wysoki sędzie, a on powiedział: Ani słowa nikomu!

(Powszechny śmiech.)

GEORGES FOTTRELL: (Urzędnik korony i sądu, donośnie.) Zachować spokój w sądzie! Oskarżony złoży teraz fałszywe zeznanie. (Bloom stwierdza, że jest niewinny, i trzymając w dłoni rozkwitłą lilię wodną, rozpoczyna niezrozumiałe przemówienie. Usłyszą za chwilę wzruszającą mowę jego obrońcy, skierowaną do przysięgłych. Jest człowiekiem upadłym, zniszczonym, ale choć

naznaczono go jako czarną owcę, jeżeli wolno mu użyć tego porównania, pragnie poprawić się, zatrzeć wspomnienie przeszłości w czysty, siostrzany sposób i powrócić na łano natury jako czyste, oswojone stworzenie. Będąc dzieckiem urodzonym w siódmym miesiącu, został troskliwie wykarmiony i wychowany przez sędziwego, przykutego do łóża boleści rodzica. Być może, zdarzały mu się ojcowskie omyłki, ale teraz, gdy stanął wreszcie w cieniu pręgierza, pragnie otworzyć nową kartę, by spędzić wieczór swego życia w zaciszu domowym, otoczony serdecznym falowaniem rodzinnego tona. Będąc naturalizowanym Brytyjczykiem, spoglądał spod daszka lokomotywy Towarzystwa Okrężnych Kolei Żelaznych w ów letni wieczór, gdy deszcz nie pozwala! zapuścić żurawia, w owe pełne miłości i wesela wnętrza domów miasta Dublina i pejzaże podmiejskie pełne prawdziwie wieśniaczej radości najlepszej z krain, z tapetami Dockerella po szylingu i dziewięć pensów za tuzin, z niewinnymi, urodzonymi na brytyjskiej ziemi pacholętami, sepleniącymi paciorki do Najświętszego Dzieciątka, z dziatwą szkolną, trudniącą się swymi zadaniami, z wzorowymi miodymi damami, grającymi na fortepianie lub powtarzającymi nieustannie z zapalem różaniec rodzinny wokół bierwiona płonącego na kominku w Wigilię, gdy tymczasem w wąwozach i na łączkach zielonych dziewczęta i ich chłopcy przechadzają się w takt akordeonu Britannia, mającego ton organowy, żelazne okucia, cztery rejestry, dwanaście miechów, po prostu darmo, najlepszy interes, jaki kiedykolwiek mogłeś...)

(Znowu wybucha śmiech. Bloom mamrocze niezrozumiale. Reporterzy skarżą się, że nie mogą nic usłyszeć.)

KALIGRAFKA I STENOGRAFKA: (Nie odrywając oczu od swych notatników.) Rozsznurujcie mu buty.

PROFESOR MACHUGH: (Siedząc przy stoliku dla prasy, krztusi się i wota.) Wykrztuś to z siebie, człowiecze. Wydal to po kawałku.

(Przesłuchanie postępuje dalej w przedmiocie: Bloom i kubeł. Wielki kubeł. Sam Bloom. Kłopot z kiszka. Na Beaver Street. Tak, kurcze. Bardzo nieprzyjemne. Kubeł sztukatora. Zmuszony do chodzenia na sztywnych nogach. Cierpiał niewymowne męczarnie. Śmiertelna udręka. Około południa. Miłość albo burgund. Tak, trochę szpinaku. Chwila przesilenia. Nie zajrzał do kubła. Nikogo. Raczej paskudnie. Nie wszystko. Ostatnią stroną Okruchów Dnia./)

(Zgiełk i kocia muzyka. Bloom w podartym, poplamionym wapnem fraku, w brudnym, nasuniętym krzywo cylindrze, z kawałkiem plastra angielskiego na nosie, mówi niedosły szatnie.)

J. J. O'Molloy: (W siwej peruce i wełnianej todze adwokackiej, przemawia głosem pełnym bolesnego protestu). Nie tu jest miejsce dla nieprzystojnej płochości, przejawianej kosztem zbłąkanego śmiertelnika, przeistoczonego nadmiarem napojów wysokowych. Nie jesteśmy na niedźwiedzim jarmarku ani na zabawie studenckiej w Oxfordzie, ani nie jest to także parodia sprawiedliwości. Mój klient jest dziecięciem, biednym cudzoziemcem imigrantem, który rozpoczął karierę jako pasażer na gapę, a teraz stara się zostać rzetelnym człowiekiem. To roztrąbione tak szeroko jego wykroczenie należy złożyć na karb chwilowego, dziedzicznego zboczenia, spowodowanego halucynacją, choć takie poufałości jak owa domniemana okoliczność winy są w pełni dozwolone w ojczyźnie mego klienta, ziemi Faraonów. Prima facie, chcę wam wykazać, że nie było żadnej próby obcowania cielesnego. Zbliżenie nie nastąpiło, a przestępstwo podane przez Driscoll, która oświadczyła, że cnota jej

350

została zagrożona, nie ponowiło się. Pragnąłbym, przede wszystkim, zająć się tu dziedzicznością. W rodzinie mego klienta zdarzały się wypadki rozbicia okrętów i somnambulizm. Gdyby oskarżony mógł mówić, rozwinąłby nam tu opowieść, jedną z najbardziej zdumiewających, jakie trafiły kiedykolwiek pomiędzy okładki książek. Jest on, wysoki sędzie, psychicznym rozbitkiem, a zawdzięcza to chorobie biedaków, gruźlicy. Stwierdza on pokornie, że jest mongolskiego pochodzenia, a więc nie odpowiada za swe czyny. W rzeczywistości brak mu piątej klepki.

BLOOM: (Bosy, z wąską, zapadniętą piersią, w bluzie i spodniach laskara, ma wielkie palce u nóg przepraszająco skierowane do wewnątrz. Otwiera swe maleńkie, oślepienie blaskiem krecie oczka, rozgląda się i z wolna przesuwając dłoń po czole. Później podciąga pasek obyczajem marynarskim i ze wschodnią pokorą pozdrawia pokłonem sąd, unosząc przy tym jeden kciuk ku niebu.) On złobił bardzo ładną noc. (Zaczyna nucić tępo.)

Lillipolli, dobły, mały, Nóżki plosiąt co noc znosi. Płaci dwa szylingi cały...

(Zostaje zakrzyczany.)

J. J. O'Molloy: (Gwałtownie, do publiczności.) To walka jednego przeciw wszystkim. Klnę się na Hades, że nie pozwolę, aby którykolwiek z moich klientów był w ten sposób kneblowany i dręczony przez bandę kundli i chichoczących hien. Przykazania Mojżeszowe wyparły prawo dżungli. Mówię i powtarzam raz jeszcze z całym naciskiem, nie pragnąc przy tym ani na chwilę gmatwać ścieżek sprawiedliwości: oskarżony nie był współwinien świadomie chęci dokonania tego czynu, a oskarżycielka nie była napastowana. Ta młoda osoba traktowana była przez pozwanego jak rodzona córka. (Bloom ujmuje dłoń J. J. O'Molloya {przyciskają do warg.}) Przedstawię dowody absolutnie odpierające oskarżenie i okażę najdobitniej, że ukryte sprężyny znów rozpoczęły odwieczną grę. Gdy masz wątpliwości, prześladuj Blooma. Mój klient, człowiek o wrodzonej nieśmiałości, byłby ostatnim z ludzi mogących uczynić coś, co

byłoby niegodnym gentlemiana i uraziłoby skromność, a także ostatnim z ludzi mogących cisnąć kamieniem w dziewczynę, która zeszła z dobrej z drogi, gdy jakiś nikczemnik, odpowiedzialny za jej obecne położenie, dokonał na niej owego lubieżnego czynu. Chce on postępować uczciwie. Uważam go za najbielszego ze znanych mi ludzi. Szczęście odwróciło się od niego ostatnio w związku z zastawieniem jego rozległych włości Agendath Netaim, położonych w dalekiej Azji Mniejszej, których fragmenty zostaną za chwilę ukazane. (Do Blooma.) Proponuję, aby okazał pan swą hojność. BLOOM: Jeden pens z każdego funta.

(Na ścianie dokonuje się projekcja mirażu jeziora Kinnereth wraz z zamglonymi stadami bydła, pasącymi się w srebrzystej poświacie. Mojżesz Diugacz, lasicooki albinos ubrany w niebieskie perkalowe spodnie, podnosi się z miejsca na galerii, trzymając w dłoniach owoc cedratu i nerkę wieprzową.) DLUGACZ: (Ochryple.) Bleibtreustrasse, Berlin, W 13. (J. J. O'Molloy wstępuje na niskie podwyższenie i z powagą ujmuje dłońmi klapy swego surduta. Twarz wydłuża mu się, staje się blada i brodata, o zapadniętych oczach

351

/ gruźliczych gorączkowych wypiekach na policzkach Johna F. Taylora. Przykłada chusteczkę do ust i przygląda się badawczo różoworóżanej fali buchającej krwi.) J. J. O'MOLLOY: (Prawie niedosłyszalnie.) Proszę mi wybaczyć, cierpię na poważne przeziębienie i przybywam tu prosto z łoża boleści. Kilka dobrze dobranych słów. (Przybiera ptasią głowę, lisi wąsik i proboszczowską wymowę Seymoura Bushe.) Gdy otworzona zostanie księga, w której anioł zapisuje uczynki człowiecze, i okaże się, że cokolwiek z tego, co poczęło to zadumane łono, przekształcało duszę lub duszę przekształca i zasługuje, by żyć, wówczas, powiadam, użycie stojącemu przed wami więźniowi najświętszego przywileju niepewności. (Sądowi podają jakiś papier, na którym jest coś napisane.)

BLOOM: (W stroju dworskim.) Mogę podać najlepsze referencje. Panowie Callan i Coleman. Pan Wisdom Hely J. P. Mój dawny szef Joe Cuffe. Pan V. B. Diiion, były lord-major Dublina. Poruszałem się w zaczarowanym kręgu najwyższych... Królowe Dublińskiego Towarzystwa. (-Niedbale.) Właśnie dziś po południu gwarzyłem w rezydencji vice-króla z moimi starymi przyjaciółmi, astronomem królewskim sir Robertem i jego żoną lady Bali, na porannym przyjęciu dworskim. Sir Bobie, powiedziałem...

PANI YELYERTON BARRY: (W opalowej, głęboko wyciętej sukni balowej, w sięgających do łokci kremowych rękawiczkach, ceglastej, przybranej sobolami, czarno wyszywanej zarzutce; we włosach ma brylantowy grzebień i egretę.) Aresztuj go, panie policjancie. Napisał do mnie anonimowy list źle podrobionym charakterem pisma, gdy mój mąż bawił w Okręgu Północnego Tipperary, dokąd udał się na sesję sądową obszaru Munster. A podpisał się James Miłością Smagany. Napisał, że siedząc na jaskółce podczas galowego przedstawienia La Cigale w Royal Theatre, przyjrzał się obu niezrównanym półkulom moich piersi. Napisał, że rozpałał go do głębi. Poczynił mi nieskromne propozycje, proponując, abym

poprowadziła się źle w następny czwartek o godzinie pół do piątej czasu Dunsink. Zaofiarował się, że wyśle mi pocztą powieść pana Paula de Kock, pod tytułem Dziewczyna o Trzech Gorsetach.

PANI BELLINGHAM: (W kapelusiku i płaszczu z króliczej imitacji fok, zawinięta po uszy, schodzi ze stopnia swego jednokonnego powozu i wpatruje się badawczo przez oprawne w szylkret lorgnon, które wyjęła z olbrzymiej oposowej mufki.) Do mnie także. Tak. Mam wrażenie, że to ta sama, godna potępienia osoba. Gdyż przed domem sir Thornieya Stokera zamknął drzwiczki mojej karety pewnego słotnego dnia, podczas owych mrozów w lutym dziewięćdziesiątego trzeciego roku, gdy zamarzła nawet krata w moim zlewie i zawór rezerwuaru nad wanną. Potem przysłał mi nie rozkwitłą szarotkę, zerwaną, jak napisał, na szczytach, by mnie uczcić. Kazałam ją zbadać ekspertowi botanicznemu i otrzymałam informację, że jest to kwiat ziemniaka, wykradziony z inspektów jakiegoś wzorowego gospodarstwa.

PANI YELYERTON BARRY: Hańba mu!

(Zbliża się tłum brudasów i obszarpańców.)

BRUDASY I OBSZARPAŃCY: (Wrzeszczą.) Trzymaj złodzieja! Hurra! To sinobrody!

Trzykrotne wiwat dla Mośka!

DRUGI POLICJANT: (Wyciąga kajdanki.) Oto bransoletki.

PANI BELLINGHAM: Używając różnych charakterów pisma, obsypywał mnie wyszu-

352

kanymi komplementami, nazywając mnie Venus w Futra Spowitą i stwierdzał, że głęboko żałuje mego wystawionego na mróz stangreta Balmera, choć jednym tchem zazdrościł mu jego futrzanej czapy z nausznikami, derki z kędzierzawych skór owczych i szczęścia, jakie staje się jego udziałem, gdy stoi w pobliżu mnie, tuż za moim krzesłem, mając na sobie moją liberię z godłem herbowym Bellingham, składającym się z pozłocistej głowy jelenia na czarnej tarczy. Prawie do niedorzeczności wychwalał moje dolne kończyny, moje krągłe łydki w jedwabnych pończochach, naciągniętych do granic wytrzymałości, i wychwalał także z zapalem inne moje ukryte w bezcennych koronkach skarby, o których mówił, że potrafi je sobie wyczarować w wyobraźni. Twierdząc, że przynaglanie mnie uważa za swoje życiowe posłannictwo, przynaglał mnie, abym skalała małżeńskie łóżko i popełniła cudzołóstwo przy najbliższej okazji.

CZCIGODNA PANI MERVYN TALBOYS: (W kostiumie amazonki, meloniku, wysokich butach z ostrogami, karmazynowej kamizelce, {osiowych, obszywanych rękawicach muszkieterskich: unosi diugi tren sukni, nieustannie uderzając szpicrutą w cholewę buta.)

Mnie także. Bo ujrzał mnie na boisku polo w Phoenix Parku, na meczu Całej Irlandii przeciwko Pozostalej Irlandii. Wiem, że oczy moje lśniły bosko, gdy przypatrywałam się kapitanowi Sloggerowi Dennehy z dragonów Innis, zwyciężającemu w ostatniej chwili na swym ulubionym kucu Centaurze. Ten plebejski Don Juan przypatrywał mi się, ukryty za wynajętą dorożką, a później przysłał mi w podwójnej kopercie nieskromną fotografię, jedną z tych, które sprzedaje się po zmroku na paryskich bulwarach, obelżywą dla każdej damy. Mam ją do tej pory. Przedstawia ona wiotką i śliczną, na wpół nagą señoritę (zapewnił mnie uroczyście, że jest to migawkowe zdjęcie jego żony) w trakcie zakazanego stosunku z muskularnym torero, będącym najwyraźniej łajdakiem. Naglił mnie, abym uczyniła to samo, źle się prowadziła, grzeszyła z oficerami garnizonu. Błagał mnie, abym zbrukała jego list w sposób, którego nie mogę wypowiedzieć, abym wychłostała go samego, jak na to w pełni zasługuje, abym usiadła na nim okrakiem i jeździła na nim, abym najokrutniej wysmagała go szpicrutą. PANI BELLINGHAM: I mnie o to prosił. PANI YELYERTON BARRY: I mnie także.

(Kilka wysoce poważnych dam Dublina unosi nad głowami i ukazuje nieprzyzwoite listy, otrzymane od Blooma.)

CZCIGODNA PANI MERVYN TALBOYS: (Tupie, podzwaniając ostrogami w nagłym paroksyzmie nagiej wściekłości.) Zrobię to, jak Bóg na niebie. Będę smagała tego tchórzliwego kundla, póki mi sił starczy. Ubiczuję go żywcem. BLOOM: (Przemyka oczy z dreszczykiem oczekiwania.) Tu? (Wije się.) Znowu! (Drżąc, kuli się.) Kocham niebezpieczeństwo. CZCIGODNA PANI MERVYN TALBOYS: Na pewno! Już ja cię rozgrzeję. Zatańczysz mi tu półteczkę.

PANI BELLINGHAM: Wygarbuj porządnie portki temu prostakowi! Wypisz mu na nich gwiazdy i paski!

PANI YELYERTON BARRY: Haniebne! Nie ma dla niego żadnej wymówki! Żonaty człowiek! BLOOM: Przy tych wszystkich ludziach. Miałem na myśli tylko kilka klapsów. Ciepłe, szczypiące dotknięcia, bez rozlewu krwi. Subtelne smagnięcia, pobudzające krążenie.

353

CZCIGODNA PANI MERVYN TALBOYS: (Śmieje się szyderczo.) O, tak myślałeś. mój piękny panie? No, na Boga żywego, możesz mi wierzyć, że spotka cię teraz największa niespodzianka twego życia. Najbardziej bezlitosna chłosta, na jaką człowiek kiedykolwiek zasłużył. Pobudziłeś do furii tygrysić, drzemącą w mej naturze.

PANI BELLINGHAM: (Mściwie potrząsa swym lorgnon i mufką.) Spraw mu ból, kochana Hanno. Daj mu łupnia. Smagaj tego kundla, póki nie znajdzie się o włos od śmierci. Ubiczuj go. Wykastruj go. Zwiwisz go. BLOOM: (Drży, cofa się, składa ręce z miną skazańca.)

Och, zimno! Och, drzę! To two piękno ambrozyjskie. Zapomnij, przebac. Kismet. Przepuść mi, tylko ten jeden raz. (Nadstawia drugi policzek.)

PANI YELYERTON BARRY: Niech pani w żadnym wypadku tego nie robi, pani Talboys! Powinien być zdrowo wychłostany!

CZCIGODNA PANI MERVYN TALBOYS: (Gwałtownie odpina guzik rękawicy.) Nie zrobię nic podobnego. Ten pies już jako szczeniak był świnią! Ośmielił się zwrócić do mnie! Będę go smagała na naj ludniej szych ulicach, aż szernieje i zsinieje. Wbiję w niego ostrogi aż po kółka. Jest to znany rogacz. (Z okrutnym świstem przecina powietrze swą szpicrutą.) Spuście mu spodnie, bezzwłocznie. Podejdź tu, mój panie! Szybko! Gotów?

BLOOM: (Drżąc, zaczyna wypełniać jej rozkazy.) Pogoda była tak piękna. (Kędzierzawy Davy Stephens przechodzi ze stadem bosonogich gazeciarzy.) DAVY STEPHENS: Wysłannik Najświętszego Serca i Wieczorny Telegraf T. Dodatkiem na dzień świętego Patryka. Zawiera nowe adresy wszystkich mężów rogaczy w Dublinie, do których gniazda zawitała kukułka.

(Okryty pozłocistą kapą przewielebny kanonik O 'Hanion unosi i ukazuje marmurowy zegar z wahadłem. Ojciec Conroy i wielebny John Hughes S. J. pochylają się przed nim nisko.) ZEGAR z WAHADŁEM: (Rozwierając drzwiczki.)

Kuku. Kuku. Kuku.

(Słysząc podzwanianie miedzianych nakrętek łóżka.) NAKRĘTKI: Dzygdżag. Dzygadżyga. Dzygdżag. (Ściana mgły cofa się gwałtownie, odsłaniając gwałtownie ławę przysięgłych i siedzących w niej: Martina Cunninghama, który przewodniczy w cylindrze, Jacka Powera, Simona Dedalusa, Toma Kernana, Neda Lamberta, Johna Henry Mentona, Mylesa Crawforda, Lenehana, Paddy Leonarda, Nosey Flynna, M'Coya i pozbawionego rysów pewnego Bezimiennego.)

PEWIEN BEZIMIENNY: Jazda na oklep. Waga stosowna do wieku. O rany, ależ ją urządził.

PRZYSIĘGLI: (Zwracając głowy w kierunku jego głosu.) Naprawdę? PEWIEN BEZIMIENNY: (Burkliwie.) Dupa na szpicu. Stawiam sto szylingów przeciw pięciu.

PRZYSIĘGLI: (Wszystkie głowy pochylają się, potwierdzając.) Większość z nas tak myślała.

354

PIERWSZY POLICJANT: To człowiek napiętnowany. Jeszcze jednej dziewczynie zabrał wianek. Poszukiwany: Kuba Rozpruwacz. Tysiąc funtów nagrody. DRUGI POLICJANT: (Szeptem, ze zgrozą.) I w czerni. Mormon. Anarchista. WOŹNY SĄDOWY: (Donośnie.) Zważywszy, że nie posiadający stałego miejsca zamieszkania Leopold Bloom jest znanym powszechnie dynamitardem, fałszerzem, bigamistą, rajfurem, rogaczem i osobnikiem

wszechstronnie szkodliwym dla obywateli miasta Dublina i zważywszy, że na tym posiedzeniu sądu wielce czcigodny...

(Jego Czcigodność sir Fryderyk Falkiner, sędzia najwyższy grodu Dublina, odziany w toge sądową z szarego granitu, powstaje kamiennobrody z lawy swej. Trzyma w ramionach parasol berło. Ponad czołem jego wyrastają mocarne mojęszowe baranie rogi.)

SĘDZIA NAJWYŻSZY GRODU: Kres położę owemu kupczeniu białymi niewolnicami i uwolnię Dublin od tej plagi wszetecznej. Skandaliczne! (Wkłada czarną czapkę.) Mości Zastępczo Szeryfa, niechaj wywiodą go z ławy oskarżonych, w której oto stoi, i osadzą w więzieniu Mountjoy na czas tak długi, jak się to spodoba Jego Królewskiej Mości, za czym niechaj go powieszą za szyję, aby wisiał, póki nie umrze, co pod grozą gardła wykonasz lub niechaj Bóg ulituje się nad twoją duszą. Zabieraj go. (Czarna jarmulka opada na jego głowę.)

(Zastępca Szeryfa Długi John Fanning pojawia się, paląc gryzące cygaro Henry Clay.)

DŁUGI JOHN FANNING: (Rzuca posępne spojrzenie, a później wola donośnie, dobitnie i dźwięcznie.) Kto powiesi Judasza Iskariotę? (H. Rumbold, mistrz balwierski w krwistoczerwonym kaftanie i w garbarskim fartuchu, wchodzi na rusztowanie niosąc na ramieniu zwój sznura. Za pas zatknął ma trzcinę napełnioną ołowiem i maczugę nabijaną gwoźdźmi. Zawzięcie zaciera dłonie upięścienione kastetami.)

RUMBOLD: (Mówi do sędziego z złowrobną poufałością.) Jestem Huśtający Harry, Wasza Wysokość, postrach Mersey. Pięć gwinei od szyjki. Najpierw hyc, a potem nic.

(Dzwony kościoła Jerzego biją z wolna, głośnie, posępne żelazo.) DZWONY: Hejho! Hejho!

BLOOM: (Rozpaczliwie.) Stój. Czekaj. Mewy. Dobre serce. Widziałem. Niewinność. Dziewczyna przed klatką z małpami. Zoo. Sprośne szympany. (Bez tchu.) Ich miednice. Jej niewinny rumieniec odebrał mi męskie siły. (Ogarnięty wzruszeniem.) Odszedłem stamtąd. (Zwraca się ku stojącej w tłumie postaci i przyzywa ją błagalnie.) Hynes, czy mogę porozmawiać z tobą? Znasz mnie. Te trzy szylingi możesz sobie zatrzymać. Jeżeli chcesz jeszcze parę... HYNES: (Zimno.) Nie znam pana zupełnie. DRUGI POLICJANT: (Wskazuje róg sali.) Tam jest bomba. PIERWSZY POLICJANT: Maszyna piekielna z mechanizmem zegarowym. BLOOM: Nie, nie. To nóżka wieprzowa. Byłem na pogrzebie. PIERWSZY POLICJANT: (Wydobywa pałkę.) Kłamco! (Pies gończy unosi mordę, ukazując szarą naznaczoną szkorbutem twarz Paddy Dignama. Pożarł już wszystko. Oddech jego cuchnie gnijącymi zwłokami. Urasta do wysokości i kształtu człowieka. Jego jamnicza sierść zmienia się w brunatny habit

żałobny. Przekrwione zielone oko rzuca błyski. Połowa jednego ucha, cały nos i oba kciuki pożarte zostały przez wilkołaka.)

PADDY DIGNAM: (Głuchym głosem.) To prawda. To był mój pogrzeb. Doktor Finucane oświadczył, kiedy umarłem, że brak śladów życia spowodowany jest śmiercią z przyczyn naturalnych.

(Unosi okaleczoną, popielatą twarz ku księżycowi i zaczyna wycić żałobnie.) BLOOM: (Tryumfalnie.) Słyszycie?

PADDY DIGNAM: Bloomie, jestem duchem Paddy Dignama. Słuchaj, słuchaj. O, słuchaj!

BLOOM: Ten głos jest głosem Ezawa. DRUGI POLICJANT: (Robi znak krzyża.) Jak to jest możliwe? PIERWSZY POLICJANT: W małym katechizmie tego nie ma. PADDY DIGNAM: Dzięki metempsychozie. Zjawy. GŁOS: Brednie.

PADDY DIGNAM: (Gorliwie.) Byłem ongi pracownikiem pana J. H. Mentona, notariusza i pełnomocnika do przysięg i zeznań, 27 Bachelor's Walk. Teraz jestem nieboszczykiem na skutek hipertrofii przegrody sercowej. Miałem pecha. Moją biedną żonę bardzo to podcięło. Jak ona to znosi? Trzymajcie ją z dala od tej butelki sherry. (Rozgląda się wokół siebie.) Lampę. Muszę zadość uczynić zwierzęcej potrzebie. Ta maślanka nie posłużyła mi.

(Okazała postać Johna O'Connella, przedsiębiorcy pogrzebowego, wysuwa się ku przodowi, trzymając pęk związanych krepą kluczy. Obok niego stoi Ojciec Truman, kapelan ropuszo brzuchy, z przekrzywioną szyją, ubrany w komżę i kolorową szlafmy-cę. W dłoniach trzyma sennie pastorał ze splecionych maków.) OJCIEC TRUMAN: (Ziewa, a potem intonuje, skrzeczając ochryple.) Namine. Jacobs Yobiscuits. Amen.

JOHN O'CONNELL: (Wola grzmiąco przez megafon.) Zmarły Dignam, Pat-ryk, T.

PADDY DIGNAM: (Nastawia uszu, mruży oczy.) Ahkwoty. (Wijąc się, postępuje naprzód i przykładając ucho do ziemi.) Głos mego pana! JOHN O'Connell: Wyciągu z księgi umarłych znak literowy Kła. Pa. Osiemdziesiąt pięć tysięcy. Alejka siedemnasta. Dom Kluczy. Kwatera sto jeden. (Paddy Dignam słucha z wyraźnym wysiłkiem; jest skupiony, uniósł ogon i nastawił uszu.)

PADDY DIGNAM: Módlcie się za spokój jego duszy. (Wczołguje się w głąb lochu i znika, wlokąc za sobą po grzechoczących kamyczkach kraj swego brunatnego habitu. Za nim idzie niepewnie otyły stary szczur na zgrzybiałych, żółtych, okrytych szarą łuską nóżkach. Przytłumiony głos Dignama daje się słyszeć spod ziemi: Dignam zmarł i mieszka w dole. Tom Rochford, ubrany w jaskrawoczerwony surdut, czapkę i portki, odskakuje od swej dwukolumnowej maszyny.)

TOM ROCHFORD: (Kłania się, przyłożywszy dłoń do piersi.) Ruben J. Zakład o florena, że go znajdę. (Kieruje śmiało spojrzenie w głąb czeluści grobowej.) Teraz moja kolej. Idźcie za mną, aż do Carlow.

(Jak łosoś wyskakuje szaleńczo w górę i zostaje pochłonięty przez otwór lochu. Na kolumnach ukazują się dwa krążki i przewracają pustymi zeroczodolami. Wszystko

356

znika. Bloom znowu zaczyna wlec się przed siebie. Przystaje przed oświetlonym domem i nasłuchuje. Skrzydlate pocałunki wylatują z kryjówek i fruwią dokoła niego, świergocząc, ćwierkając, gruchając.)

POCAŁUNKI: (Ćwierkają.) Leo! (Świergoczą.) Gładko lekko wiotko słodko dla Leo. (Gruchają.) Gruugriugruuu! Buuzii! Zaacauu! (Świergoczą.) Rośnie niechu-rośnie! Piruet! Leopopold! (Ćwierkają.) Leeolee! (Świergoczą.) O Leo! (Szeleszczą, trzepoczą na jego ubraniu, zwiewne, lśniące, ruchome cętki, srebrne cekiny.)

BLOOM: Męskie uderzenie. Smutna muzyka. Kościelna muzyka. Może tutaj. (Zoe Higgins, młoda kurwa z czarną aksamitką wokół szyi, ubrana w obcisłą suknię szafirową, spiętą trzema sprzączkami z brązu, kiwa znacząco głową, schodzi drobnym kroczeniem i zaczyna go.)

ZOE: Czy pan kogoś szuka? Jest w środku z przyjacielem. BLOOM: Czy to dom pani Mack?

ZOE: Nie, osiemdziesiąty pierwszy. Pani Cohen. Może pan pójść dalej i trafić gorzej. Mama Człapuchłapu. (Poufale.) Dziś wieczór ona też pracuje ze swoim weterynarzem, doradcą w sprawach wyścigów, tym, co to daje jej imiona wszystkich koni, które muszą wygrać, i płaci za jej syna w Oxfordzie. Pracuje nadliczbowe, ale szczęście jej dzisiaj nie dopisało. (Podejrzliwie.) Nie jest pan chyba jego ojcem, co? BLOOM: Och, nie. Nie ja!

ZOE: Obaj jesteście czarno ubrani. A czy mały kotek nie ma dzisiaj łaskotek? (Jego podrażniony naskórek wyczuwa zbliżanie się koniuszków jej palców. Dłoń prześlizguje się po jego lewym udzie.) ZOE: Jak tam orzeszki?

BLOOM: Oba po jednej stronie. Ciekawe, że po prawej. Myślę, że prawe jest cięższe. Mój krawiec Mesjasz mówi, że to jeden wypadek na milion. ZOE: (Z nagłym niepokojem.) Masz twardego szankra. BLOOM: Nie sądzę. ZOE: Czuję go.

(Jej ręka wślizguje się do lewej kieszeni jego spodni i wyciąga z niej twarde, pomarszczony, czarny ziemniak. Patrzy nań, a później na Blooma, oniemiała, z otwartymi, wilgotnymi ustami.) BLOOM: Talizman. Odziedziczony. ZOE: Dla Zoe? Na zawsze? Za to, że taka miłusia, co? (Łapczywie wsuwa ziemniak do kieszeni, potem ujmuje Blooma pod ramię, tuląc się do niego gorąco i ulegle. Bloom uśmiecha się niepewnie. Powoli, nuta po nucie,

brzmi wschodnia muzyka. Bloom spogląda w jej orzechowe, przezroczyste, podmalowane kohołem oczy. Uśmiech jego łagodnieje.) ZOE: Następnym razem będzie mnie pan już znał. BLOOM: (Ze smutkiem.) Nigdy nie pokochałem słodkiej gazeli, ale na pewno... (Gazetę pędzą skokami, pasą się wśród gór. W pobliżu są jeziora. Cedrowe zagajniki rzucają czarny cień na ich koliste brzegi. Wonie unoszą się, rosną warkocze żywicznego dymu. Wschód płonie, lot orłów z brązu spina szafirowe niebo. Pod niebem leży niewiastmiasto, nagie, białe, nieruchome, chłodne, zanurzone w rozkoszy. Fontanna szepcze pośród damasceńskich róż. Róże olbrzymy szepczą o szkarłatnych winnych gronach. Krwawe wino wstydu i żądz sący się z wolna, szepcząc tajemniczo.)

357

żałobny. Przekrwione zielone oko rzuca błyski. Połowa jednego ucha, cały nos i oba kciuki pożarte zostały przez wilkołaka.)

PADDY DIGNAM: (Głuchym głosem.) To prawda. To był mój pogrzeb. Doktor Finucane oświadczył, kiedy umarłem, że brak śladów życia spowodowany jest śmiercią z przyczyn naturalnych.

(Unosi okaleczoną, popielatą twarz ku księżycowi i zaczyna wyć żałobnie.) BLOOM: (Tryumfalnie.) Słyszycie?

PADDY DIGNAM: Bloomie, jestem duchem Paddy Dignama. Słuchaj, słuchaj. O, słuchaj!

BLOOM: Ten głos jest głosem Ezawa. DRUGI POLICJANT: (Robi znak krzyża.) Jak to jest możliwe? PIERWSZY POLICJANT: W małym katechizmie tego nie ma. PADDY DIGNAM: Dzięki metempsychozie. Zjawy. GŁOS: Brednie.

PADDY DIGNAM: (Gorliwie.) Byłem ongi pracownikiem pana J. H. Mentona, notariusza i pełnomocnika do przysięg i zeznań, 27 Bachelor's Walk. Teraz jestem nieboszczykiem na skutek hipertrofii przegrody sercowej. Miałem pecha. Moją biedną żonę bardzo to podcięło. Jak ona to znosi? Trzymajcie ją z dala od tej butelki sherry. (Rozgląda się wokół siebie.) Lampę. Muszę zadość uczynić zwierzęcej potrzebie. Ta maślanka nie posłużyła mi.

(Okazała postać Johna O'Connella, przedsiębiorcy pogrzebowego, wysuwa się ku przodowi, trzymając pęk związanych krepą kluczy. Obok niego stoi Ojciec Truman, kapelan ropuszo brzuchy, z przekrzywioną szyją, ubrany w komżę i kolorową szlafmy-cę. W dłoniach trzyma sennie pastorał ze splecionych maków.) OJCIEC TRUMAN: (Ziewa, a potem intonuje, skrzeczając ochryple.) Namine. Jacobs Vobiscuits. Amen.

JOHN O'Connell: (Wola grzmiąco przez megafon.) Zmarły Dignam, Pat-ryk, T.

PADDY DIGNAM: (Nastawia uszu, mruży oczy.) Alikwoty. (Wijąc się, postępuje naprzód i przykładą ucho do ziemi.) Głos mego pana! JOHN O'Connell: Wyciągu z księgi umarłych

znak literowy Kła. Pa. Osiemdziesiąt pięć tysięcy. Alejka siedemnasta. Dom Kluczy. Kwatera sto jeden. (Paddy Dignam słucha z wyraźnym wysiłkiem; jest skupiony, uniósł ogon i nastawił uszu.)

PADDY DIGNAM: Módlcie się za spokój jego duszy. (Wczolguje się w głąb lochu i znika, wlokąc za sobą po grzechoczących kamyczkach kraj swego brunatnego habitu. Za nim idzie niepewnie otyły stary szczur na zgrzybiałych, żółtych, okrytych szarą łuską nóżkach. Przytłumiony głos Dignama daje się słyszeć spod ziemi: Dignam zmarł i mieszka w dole. Tom Rochford, ubrany w jaskrawoczerwony surdut, czapkę i portki, odskakuje od swej dwukolumnowej maszyny.)

TOM ROCHFORD: (Kłania się, przyłożył wszy dłoń do piersi.) Ruben J. Zakład o florena, że go znajdę. (Kieruje śmiało spojrzenie w głąb czeluści grobowej.) Teraz moja kolej. Idźcie za mną, aż do Carlow.

(Jak łośsoś wyskakuje szaleńczo w górę i zostaje pochłonięty przez otwór lochu. Na kolumnach ukazują się dwa krążki i przewracają pustymi zeroczodolami. Wszystko

356

znika. Bloom znowu zaczyna wlec się przed siebie. Przystaje przed oświetlonym domem i nasłuchuje. Skrzydlate pocałunki wylatują z kryjówek i fruwią dokola niego, świergocząc, ćwierkając, gruchając.)

POCAŁUNKI: (Ćwierkają.) Leo! (Świergoczą.) Gładko lekko wiotko słodko dla Leo. (Gruchają.) Gruugriugruuu! Buuzii! Zaaca! (Świergoczą.) Rośnie niechu-rośnie! Piruet! Leopold! (Ćwierkają.) Leelee! (Świergoczą.) O Leo! (Szeleszczą, trzepoczą na jego ubraniu, zwiewne, lśniące, ruchome cętki, srebrne cekiny.)

BLOOM: Męskie uderzenie. Smutna muzyka. Kościelna muzyka. Może tutaj. (Zoe Higgins, młoda kurwa z czarną aksamitką wokół szyi, ubrana w obcisłą suknię szafirową, spiętą trzema sprzączkami z brązu, kiwa znacząco głową, schodzi drobnym kroczeniem i zaczepia go.)

ZOE: Czy pan kogoś szuka? Jest w środku z przyjacielem. BLOOM: Czy to dom pani Mack?

ZOE: Nie, osiemdziesiąty pierwszy. Pani Cohen. Może pan pójść dalej i trafić gorzej. Mama Człapuchlapu. (Poufale.) Dziś wieczór ona też pracuje ze swoim weterynarzem, doradcą w sprawach wyścigów, tym, co to daje jej imiona wszystkich koni, które muszą wygrać, i płaci za jej syna w Oxfordzie. Pracuje nadliczbowe, ale szczęście jej dzisiaj nie dopisało. (Podejrzliwie.) Nie jest pan chyba jego ojcem, co? BLOOM: Och, nie. Nie ja!

ZOE: Obaj jesteście czarno ubrani. A czy mały kotek nie ma dzisiaj łaskotek? (Jego podrażniony naskórek wyczuwa zbliżanie się koniuszków jej palców. Dłoń prześlizguje się po jego lewym udzie.) ZOE: Jak tam orzeszki?

BLOOM: Oba po jednej stronie. Ciekawe, że po prawej. Myślę, że prawe jest cięższe. Mój krawiec Mesjasz mówi, że to jeden wypadek na milion. ZOE: (Z nagłym niepokojem.) Masz twardego szankra. BLOOM: Nie sądzę. ZOE: Czuję go.

(Jej ręka wślizguje się do lewej kieszeni jego spodni i wyciąga z niej twardy, pomarszczony, czarny ziemniak. Patrzy nań, a później na Blooma, oniemiała, z otwartymi, wilgotnymi ustami.) BLOOM: Talizman. Odziedziczony. ZOE: Dla Zoe? Na zawsze? Za to, że taka milusia, co? (Łapczywie wsuwa ziemniak do kieszeni, potem ujmuje Blooma pod ramię, tuląc się do niego gorąco i ulegle. Bloom uśmiecha się niepewnie. Powoli, nuta po nucie, brzmi wschodnia muzyka. Bloom spogląda w jej orzechowe, przezroczyste, podmalowane kohołem oczy. Uśmiech jego łagodnieje.) ZOE: Następnym razem będzie mnie pan już znał. BLOOM: (Ze smutkiem.) Nigdy nie pokochałem słodkiej gazeli, ale na pewno... (Gazetę pędzą skokami, pasą się wśród gór. W pobliżu są jeziora. Cedrowe zagajniki rzucają czarny cień na ich koliste brzegi. Wonie unoszą się, rosną warkocze żywicznego dymu. Wschód płonie, lot orłów z brązu spina szafirowe niebo. Pod niebem leży niewiastmiasto, nagie, białe, nieruchome, chłodne, zanurzone w rozkoszy. Fontanna szepcze pośród damasceńskich róż. Róże olbrzymy szepczą o szkarłatnych winnych gronach. Krwawe wino wstydu i żądzы sączy się z wolna, szepcząc tajemniczo.)

357

ZOE: (Szepcze śpiwnie, towarzysząc muzyce, a jej wargi odaliski namaszczone są lubieżnie balsamem uczynionym z wody różanej i świńskiego tłuszczu.) Szorah ani wenowach, benoit Hierushaloim.

BLOOM: (Urzeczony.) Usłyszawszy twoją wymowę, pomyślałem, że pochodzisz z dobrej rodziny.

ZOE: A wiesz, że indyk myślał o niedzieli?

(Drobnymi, złotemplombowanymi ząbkami gryzie go lekko w ucho, owiewając ciężkim oddechem o woni stęchłego czosnku. Róże rozchylają się, odsłaniając zioła grobowce i butwiejące kości królów.)

BLOOM: (Cofa się, pieszcząc odruchowo jej prawą pierś otwartą niezgrabną dłonią.) Czy pochodzisz z Dublina, dziewczynko?

ZOE: (Zgrabnie chwyta niesforny włos i układa go na powrót w loku.) Nie, kurwa mać. Jestem Angielką. Czy masz się czym sztachnąć? BLOOM: (Robiąc to co poprzednio.) Rzadko

palę, kochanie. Cygarko, od czasu do czasu. Dziecinna zabawa. (Lubieżnie.) Można zatkać sobie usta czymś lepszym niż pałeczką cuchnącego zielska. ZOE: Odwal się. Palnij o tym mówkę na wiecu. BLOOM: (W sztruksowych, robociarskich spodniach, czarnej bluzie z czerwonym, powiewającym krawatem i apaszowskiej czapce.) Ludzkość jest niepoprawna. Sir Walter Raieigh przywiózł z Nowego Świata ten ziemniak i to ziele. Jedno z nich, strawione, zwalcza zarazki, drugie jest trucicielem ucha, oka, serca, pamięci, woli, rozumu, wszystkiego. To znaczy, przywiózł on truciznę o sto lat wcześniej, nim inna osoba, której nazwiska zapomniałem, przywiozła ziemniaki. Samobójstwa. Kłamstwa. Wszystkie nasze narowy. A spójrzcie na nasze życie publiczne! (Sygnaturki wybijają północ na odległych wieżach.) SYGNATURKI: Wróć, ach wróć, Leopoldzie! Grodu Dublina lordzie! BLOOM: (W płaszczu i łańcuchu rajcy.) Wyborcy z Arran Ouay, Inns Ouay, Rotundy, Mountjoy i North Dock, powiadam, że lepiej przeprowadzić linię tramwajową od targu bydłęcego do rzeki. Oto muzyka przyszłości. Oto mój program. Cui bono? Ale nasi piracy Vanderdeckenowie na swym okręciewidmie finansów...

WYBORCA: Trzykrotny okrzyk na cześć naszej przyszłej najwyższej władzy! (Wznosi się aurora borealis marszu z pochodniami.) NIOSĄCY POCHODNIE: Hurra!

(Liczni powszechnie szanowani mieszczanie, dostojnicy miejscy i obywatele ściskają dłonie Blooma i winszują mu. Timothy Harrington, byty trzykrotny lord major Dublina, okazały w swych burmistrzowskich szkarłatach, złotym łańcuchu i białym, jedwabnym krawacie, naradza się z radcą Lorcanem Sherlockiem, locum tenens. Gorliwie i zgodnie kiwają obaj głowami.)

BYŁY LORD MAJOR HARRINGTON: (W szkarłatnym płaszczu, z buławą w dłoni, w złotym, burmistrzowskim łańcuchu na szyi, przepasany wielką, białą jedwabną szarfą.) Aby przemówienie rajcy, sir Leo Blooma, było wydrukowane na koszt podatników. Aby dom, w którym się urodził, został uwieczniony pamiątkową tablicą, ulica przelotowa, znana dotąd pod nazwą Krowi Salon, boczna Cork Street, była od tej chwili nazywana Bulwarem Blooma. RADCA LORCAN SHERLOCK: Przyjęto jednogłośnie.

358

BLOOM: (Namiętnie.) Ci latający Holendrzy, a raczej łżący Holendrzy, o cóż troszczą się, gdy leżąc na wyściełanej kobiercami rufie zabawiają się grą w kości? O maszyny. Są one ich hasłem, ich chimera, ich panaceum. Coraz wydajniejsze przyrządy, przywłaszczyciele, straszdyła, potwory produkowane, by wymordować spóółstwo, haniebne dziwadła spłodzone przez hordę kapitalistycznych grabieżców i żywiące się sprostytuowaną pracą naszych rąk. Biedak głoduje, gdy oni hodują w górach swe królewskie jelenie lub uwodzą pisklęta i wybierają z gniazd dziewczęta w przepychu pieniądza pełnym pustej pompy i pychy. Ale ich rodzina wybiła, gadzina robiła nieuchronnie, on nie, on nie...

(Przedłużająca się owacja. Wznoszą się weneckie maszty, słupy odpustowe i łuki tryumfalne. Nad ulicą rozwieszony jest transparent z napisami Cead Mile Failte / Mah Ttob Melek Israel. Wszystkie okna zatłoczone są widzami, głównie damami. Wzdłuż drogi stoją na baczność i powstrzymują napór tłumów pułki Królewskich Strzelców Dublińskich, Królewskich Szkockich Wojsk Pogranicza, Górali z Cameron i Strzelców Walijskich. Uczniowie szkół średnich uczepili się latarni, słupów telegraficznych, parapetów, gzymsów, rynien i kominów, gwiżdżąc i wiwatując. Pojawia się siup obłoku. W dali słychać orkiestrę, grającą Koi Nidre na bębnach i piszczałkach. N odchodzą for poczty pochodu, wznosząc wysoko orły cesarskie, powiewając proporcami i liśćmi wschodnich palm. Chryzelefantyńska chorągiew papieska wznosi się wysoko, otoczona sztandarami miejskimi. Ukazuje się czoło pochodu, prowadzone przez Strażnika Miejskiego Johna Howarda Parnella, okrytego płaszczem w szachownicę, oraz przez Pierwszego Herolda Althony i Króla Tarcz Uisteru. Za nimi idą lord major Dublina Wielce Czcigodny Joseph Hutchinson, lord major Corku, ich wysokości lordowie majorowie Limericku, Galway, Sligo i Waterfordu, dwudziestu ośmiu parów reprezentujących Irlandię, sirdarowie, grandowie i maharadżowie niosą baldachim z bogatej tkaniny, Dublińska Miejska Straż Ogniowa, kapituła świętych kapitału w plutokratycznym ordynku i kolejności, biskup Down i Connoru, Jego Eminencja Michał kardynał Logue, arcybiskup Armagh, prymas Irlandii, Jego Łaskawość naj-przewielebniejszy Dr William Alexander arcybiskup Armagh, prymas Irlandii, nadra-hin, moderator kościoła prezbiteriańskiego, głowy zborów baptystów, anabaptystów, metodystów i braci morawskich, a także honorowy sekretarz Stowarzyszenia Przyjaciół. Za nimi idą cechy, korporacje kupieckie i poczty sztandarowe z rozwiniętymi chorągwiami: bednarze, ptasznicy, budowniczowie młynów, agenci ogłoszeniowi, notariusze, masażyści, winiarze, wyrabiający pasy przepuklinowe, kominiarze, wytapia-cze tłuszczów, tkacze jedwabiu ipopeliny, kowale, włoscy skladownicy, dekoratorzy kościołów, fabrykanci zzuwaków do butów, przedsiębiorcy pogrzebowi, blawatnicy, szlifierze klejnotów, licytatorzy, wyrabiacze korków, taksatorzy ubezpieczeń od o-gnia, farbiarze i wywabiacze plam, eksporterzy piwa w butelkach, kuśnierze, wypisy-wacze etykiet, grawerzy pieczęci herbowych, masztalerze, handlarze drogimi kruszcami, dostawcy luków i kijów do cricketa, siciarze, pośrednicy w sprzedaży jaj i ziemniaków, pończosznicy i rękawicznicy, instalatorzy. Za nimi idą panowie szambelanowie, Czarna Trzcina, Herold Orderu Podwiązki, Złota Łaska, wielki masztalerz dworu, lord wielki szambelan, przewodniczący kolegium heraldycznego, strażnik koronny niosący miecz królestwa, żelazną koronę Świętego Stefana, kielich i biblię. Czterej piesi trębacze grają uroczy sta fanfarę. Straż zamkowa odpowiada, dmąc w powitalne rogi. Pod sklepieniem łuku tryumfalnego ukazują się z odkrytą głową Bloom

w purpurowym aksamitnym płaszczu obszywanym gronostajami, trzymając w dioni łaskę Świętego Edwarda, jabłko, berto z gołębicą, miecz koronacyjny. Dosiada mlecz-nobialego

konia o długim, rozwianym, purpurowym ogonie, ubranego w bogatą kapę i pozłocisty czaprak. Dzikie podniecenie. Damy sypią z balkonów płatkami róż. Powietrze przesycą woń olejków. Mężczyźni wiwatują. Paziowie Blooma przebiegają pomiędzy patrzącymi, trzymając gałęzie głogu i kolcokrzewu.) PAZIEWIE BLOOMA:

Oto król jest, mysikról, Mysikrólik, król ptaków, W dniu Stefana świętego Mamy go, pojmanego.

KOWAL: (Mruczy.) Na Boga żywego! Więc to jest Bloom? Wygląda najwyżej na trzydzieści jeden lat.

BRUKARZ i KAMIENIARZ: Oto sławetny Bloom, największy reformator świata. Czapki z głów!

(Wszyscy obnażają głowy. Kobiety szepczą z ożywieniem.) MILIONERKA: (Bogato.) Czy on nie jest po prostu cudowny? SZLACHCIANKA: (Szlachetnie.) Ileż ten człowiek widział! FEMINISTKA: (Męsko.) I dokonał!

ZAWIESZACZ DZWONÓW: Cóż za klasyczne oblicze! Ma czoło myśliciela! (Pogoda Bloomealna. Promień słońca wytryska na północnym zachodzie.) BISKUP DOWN I CONNORU: Oto przedstawiam wam najbardziej niewątpliwego cesarza, prezydenta i króla prezesa, najjaśniejszego, najpotężniejszego, wielce możnego władcę tego królestwa. Niechaj Bóg zachowa Leopolda Pierwszego! WSZYSCY: Niechaj Bóg zachowa Leopolda Pierwszego! BLOOM: (W dalmatyce i purpurowym płaszczu, z dostojnością, do biskupa Down i Connoru.) Dzięki, wasza eminencjo.

WILLIAM ARCYBISKUP ARMAGH: (Przepasany szkarłatną szarfą, na głowie ma kardynalski kapelusz.) Czy przyrzekasz obrócić całą swą moc i wolę, aby poszanowanie prawa i miłosierdzie rządziły na obszarze Irlandii i w krainach do niej przyległych?

BLOOM: (Kładąc prawą dłoń na swych jądrach, przysięga.) W obliczu Stwórcy przyrzekam tak uczynić.

MICHAŁ ARCYBISKUP ARMAGH: (Wylewa dzban brylantyny na głowę Blooma.) Gaudium magnum annuntio vobis. Habemus carneficem. Leopoldzie, Patryku, Andrzej, Dawidzie, Jerzy, bądź namaszczone!

(Bloom otrzymuje płaszcz ze złotogłowiu i wkłada na palec pierścion z rubinem. Wchodzi po stopniach i staje na Kamieniu Przeznaczenia. Równocześnie parowie reprezentujący Irlandię wkładają na głowy swych dwadzieścia osiem koron. Radosne dzwony biją w kościołach: Chrystusa Pana, Świętego Patryka, Jerzego i w wesołym Malahide. Wznoszą się z wszystkich stron ognie sztuczne kiermaszu Mirus, w formie symbolicznych fallopirotechnicznych obrazów. Parowie składają kolejno hold, podchodząc i przyklękając na jedno kolano.)

PAROWIE: Staję się twym lennikiem w mym żywocie i członkach, które niechaj czczą cię na tym padole.

360

(Bloom unosi prawą dłoń, na której lśni brylant Koh-i-Noor. Jego wierzchołek rży. Natychmiastowa cisza. Międzykontynentalne i międzyplanetarne przekaźniki radiowe zostają ustawione, aby odebrać słowa orędzia.) BLOOM: Poddani moi! Mianujemy niniejszym naszego wiernego rumaka Feliksa Kopułę dziedzicznym Wielkim Wezyrem i obwieszczamy, że w dniu dzisiejszym porzuciliśmy naszą dotychczasową małżonkę i ofiarowaliśmy naszą królewską rękę księżniczce Selene, klejnotowi nocy.

(Była morganatyczna małżonka Blooma zostaje pospiesznie usunięta karetką więzienną. Księżniczka Selene, odziana w szaty o barwie miesięcznego blasku, ma srebrny półksiężyc nad czołem, zstępuje z lektyki, niesionej przez dwóch olbrzymów. Wybuch owacji.)

JOHN HOWARD PARNELL: (Unosi chorągiew królewską.) Przeświatny Bloomie, następco mego sławnego brata!

BLOOM: (Obejmuje Johna Howarda Parnella.) Z całego serca dziękujemy wam, Johnie, za to naprawdę królewskie przyjęcie w zielonym Erynie, ziemi obiecanej naszych wspólnych przodków.

(Przywileje miejskie zostają złożone mu w darze, pod postacią karty. Klucze Dublina, skrzyżowane na purpurowej poduszce, zostają mu wręczone. Ukazuje on wszystkim swe zielone skarpetki.)

TOM KERNAN: Wasza Wysokość zasługuje na nie. BLOOM: Tego właśnie dnia, przed dwudziestu laty, pokonaliśmy pod Ladysmith naszego odwiecznego wroga. Nasze haubice i niesione przez wielbłądy działka obrotowe czyniły wyraźne spustoszenie w jego szeregach. Posuwamy się pół mili! Oni szarżują. Wszystko stracone! Czy cofamy się? Nie! Pędzimy ich na złamanie karku! Ha! Szarżujemy! Rozwinięta na lewym skrzydle nasza lekka jazda przelatuje przez wzgórza Plewny i z okrzykiem wojennym Bonafide Sabaoth wycina w pień artylerzystów saraceńskich.

STOWARZYSZENIE ZECERÓW CZŁOWIEKA WOLNEGO: Słuchajcie! Słuchajcie! JOHN WYSE NOLAN: To człowiek, który dopomógł Jamesowi Stephensowi w ucieczce.

UCZEŃ SIEROTA Z PRZYTUŁKU: Brawo!

STARY OBYWATEL: Jest pan chlubą swojej ojczyzny, sir, oto czym pan jest. STRAGANIARKA SPRZEDAJĄCA JABŁKA: Takiego to Irlandia potrzebuje. BLOOM: Najmilsi moi poddani, zbliża się brzask nowej ery. Ja, Bloom, powiadam wam, że kołacz już ona do

naszych wrót. A gdy Bloom wyrzeczy słowo, w on czas wnijdziecie do owego miasta złotego, do nowego Bloomusalem, położonego w Nowej Hibernii przyszłości.

(Trzydziestu dwóch robotników, ozdobionych kokardkami o barwach wszystkich hrabstw Irlandii, buduje pod przewodem Dorwana Budowniczego nowe Bloomusalem. Jest to kolosalny gmach o kryształowym dachu, wybudowany w kształcie ogromnej nerki wieprzowej, zawierający czterdzieści tysięcy pokoi. W czasie jego budowy burzy się pewną liczbę domów i pomników. Urzędy państwowe zostają czasowo przeniesione do składów kolejowych. Wiele domów zostaje zrównanych z ziemią. Mieszkańców przeprowadza się do beczek i pudel, z których każde oznaczone jest wymalowanymi czerwoną farbą literami: L. B. Pewna ilość nędzarzy spada z drabiny. Zawala się część murów Dublina, na których tłoczą się wierni widzowie.)

361

WIDZOWIE: (Umierając.) Morituri te salutant. (Umierają.)

(Człowiek w brązowym macintoshu wyskakuje z ukrytych drzwiczek. Wyciągniętym palcem wskazuje Blooma.)

CZŁOWIEK w MACINTOSHU: Nie wiercie ani jednemu jego słowu. Ten człowiek to Leopold M'Intosh, notoryczny podpalacz. Jego prawdziwe nazwisko brzmi Hig-gins.

BLOOM: Zastrzelić go! Psa chrześcijańskiego! Tyle jeśli chodzi o M'Intosha! (Wystrzał armatni. Człowiek w macintoshu znika. Bloom ścina maki berłem. Następują doniesienia o nagłych zgonach wielu możnych nieprzyjaciół, hodowców bydła, członków parlamentu, członków stałych komitetów. Straż przyboczna Blooma rozdaje królewską jałmużnę, medale pamiątkowe, bochny i ryby, odznaki towarzystwa trzeźwości, drogie cygara Henry Ciay, gratisowe kości wołowe na zupe, gumowe prezerwatywy w zalakowanych, przewiązanych złotą nicią kopertach, szkockie cichutki, skałki ananasowe, billets doux w kształcie trójgraniastych kapeluszy, gotowe ubrania, miseczki z gorącą kielbasą w lanym cieście, butelki dezynfekującego płynu Jeyesa, znaczki stemplowe, czterdziestodniowe odpusty, fałszywe monety, kielbaski z prosiąt tuczonych mlekiem, darmowe wejściówki do teatrów, bilety okresowe na wszystkie linie tramwajowe, losy Uprzywilejowanej Królewskiej Loterii Węgierskiej, kupony obiadowe do stalówek, tanie wznowienia Dwunastu Najgorszych Książek Świata: Francuzik i Fritz (polityczna), Opieka nad Dzieckiem (infantylna), 50 posiłków za 7 szylingów i 6 pensów (kulinarna), Czy Jezus był Mitem Słonecznym? (historyczna), Usuń ten Ból (lekarska), Wszechświat w Skrócie dla Dzieci (kosmiczna), Zachichoczymy Wszyscy Razem (humorystyczna), Vade Mecum Agenta Ogłoszeniowego (dziennikarska). Listy Miłosne Yice-Matki Przełożonej (erotyczna), Kto Jest Kim w Przestrzeni (gwiazdza), Pieśni Które Nosimy w Sercu (melodyczna), Najtańszy Sposób

Zdobycia Dobrobytu (oszczędnościowa). Powszechny ścisk i rozchwytywanie. Kobiety tłoczą się, chcąc dotknąć rąbka szaty Blooma. Lady Gwendo-len Dubedat przeciska się przez ciżbę, wskakuje na jego rumaka i wśród ogromnych owacji całuje Blooma w oba policzki. Błyska magnezja aparatów fotograficznych. Dzieci i niemowlęta unoszone są ponad głowami.)
KOBIECY: Ojczulku! Ojczulku!

DZIECI I NIEMOWLĘTA:

Klaskajmy, klaskajmy, bo Poldy w potrzebie Ma pyszne ciasteczka, lecz tylko dla siebie.

(Bloom pochyla się i daje lekkiego szturchańca w brzuszek Bobo Boardmanowi.) BOBO BOARDMAN: (Dostaje czkawki, z buzi bluzga mu twarożek.) Ajajajaja. BLOOM: (Ściska dłoń ślepego wyrostka.) Jesteś mi więcej niż Bratem! (Otacza ramionami parę staruszków.) Drodzy, starzy przyjaciele! (Gra w klasy z obdartymi chłopcami i dziewczynkami.) Ele mele dudki! (Popycha wózek z bliźniętami.) Mówił dziadek stary lulajludopary. (Wykonuje sztuczki żonglerskie, wyciąga sobie z ust chustki: amarantową, pomarańczową, cytrynową, zieloną, niebieską, indygo, fioletową.) Apcznif. 32 stopy na sekundę. (Pociesza wdowę.) Rozłłka odmładza serce. (Tańczy ludowy taniec szkocki, wykonując groteskowe łamańce.) Dorównajta mi, diabły! (Całuje odleżyny sparaliżowanego weterana.) Zaszczytne rany! (Daje sółkę w bok grubemu policjantowi.) Kła. Pa.: Kłapa, Kła. Pa.: Kłapa. (Szepcze do uszka

362

zarumienionej kelnerki i śmieje się dobrodusznie.) Ach, mała figlarko, mała figlar-ko! (Zjada surową rzepę, ofiarowaną mu przez rolnika Maurycego Butterfly.) Świetna! Doskonała! (Odmawia przyjęcia trzech szylingów, zaoferowanych przez dziennikarza Josepha Hynesa.) Za nic w świecie, mój przyjacielu! (Daje swój płaszcz żebrakowi.) Proszę przyjąć. (Bierze udział w konkursie czołgania się, urządzonym przez ułomnych staruszków płci obojga.) Naprzód, chłopcy! Czołgajcie się, dziewczęta!

OBYWATEL: (Dławiąc się wzruszeniem, ociera łzę szmaragdowym szalikiem.) Niechaj mu dobry Bóg błogosławi!

(Baranie rogi rozbrzmiewają, nakazując ciszę. Na maszt zostaje wciągnięty sztandar Syjonu.)

BLOOM: (Zdejmuje płaszcz, objawiając swą otyłość, rozwija pergamin i odczytuje uroczystie.) Alef Bet Gimel Dalet Hagada Tefilim Koszer Jom Kippur Hanuka Rozszaszana Beni Brith Bar Mitzwa Mazzot Aszkenazim Meszuga Talit. (Zastępca pisarza miejskiego, Jimmy Henry, odczytuje urzędowe tłumaczenie.) JIMMY HENRY: Rozpoczyna się Sąd Sumień. Jego Arcykatolicki Majestat będzie wymierzał sprawiedliwość na świeżym powietrzu. Gratisowe porady lekarskie i prawne, rozwiązywanie szarad i innych problemów. Wszystkich się serdecznie zaprasza. Dań w naszym wiernym grodzie Dublinie, roku I Rajskiej Ery.

PADDY LEONARD: Co mam zrobić z moimi daninami i podatkami? BLOOM: Zapłać je, mój przyjacielu. PADDY LEONARD: Dziękuję.

NOSEY FLYNN: Czy wolno mi zastawić moje ubezpieczenie od ognia? BLOOM: (Niewzruszenie.) Panowie, przyjmijcie do wiadomości, że prawo o wykroczeniach skazuje was na pięć funtów grzywny, które mają zostać uiszczone w przeciągu sześciu miesięcy.

J. J. O'MOLLOY: Czy mówiłem kiedyś, że to Daniel? Nie! To Peter o'Brien! NOSEY FLYNN: A skąd mam wziąć pięć funtów? SZCZYL BURKĘ: A jak wyleczyć chory pęcherz?

BLOOM:

Acid. nit. hydrochlor dii., 20 minims. Tinct. mix. vom., 4 minims. Extr. tarexel, lig., 30 minims. Aq. dis. ter in die.

CHRIS CALLINAN: Jaka jest paralaksa ekliptyki słonecznej Aldebarana? BLOOM: Ucieszyłem się, usłyszawszy od ciebie. Chris. K. II. JOE HYNES: Dlaczego nie jesteś w mundurze?

BLOOM: Gdy mój świętej pamięci przodek znajdował się w wilgotnym lochu więziennym, ubrany w mundur austriackiego despoty, gdzież byli wówczas twoi przodkowie?

BEN DOLLARD: Bratki?

BLOOM: Ozdabiają (upiększają) podmiejskie ogrody. BEN DOLLARD: Gdy rodzą się bliźnięta? BLOOM: Ojciec (pater, tata) zaczyna myśleć.

363

LARRY o'ROURKE: Proszę o zezwolenie na ośmiodniową licencję otwarcia mojej knajpki. Pamięta mnie pan, sir Leo, z czasów gdy mieszkał pan pod numerem siódmym. Przesyłam tuzin flaszek porteru dla małżonki. BLOOM: (Zimno.) Nie mam zaszczytu znać pana. Lady Bloom nie przyjmuje podarunków.

CROFTON: To jest naprawdę wielka uciecha.

BLOOM: (Uroczyście.) Ty to nazywasz uciechą. Ja to nazywam sakramentem. ALEKSANDER KLAUCZ: Kiedy będziemy mieli własny Dom Kluczy? BLOOM: Zalecam społeczeństwu reformę obyczajów i zwykłych dziesięć przykazań. Nowe światy dla starców. Zjednoczenie wszystkich: żydów, muzułmanów i pogan. Trzy akry ziemi i krowa dla każdego dziecka natury. Motorowe luksusowe karawany. Przymusowa praca fizyczna dla wszystkich. Wszystkie parki otwarte dzień i noc dla publiczności. Elektryczne zmywaki naczyń. Gruźlica, obłąkanie, wojna i żebranina muszą od dziś ustać. Ogólna amnestia, cotygodniowy karnawał ze swawolą w maskach, premie dla wszystkich, esperanto zapewni powszechne

braterstwo. Żadnego więcej patriotyzmu knajpianych szlifostołków i oszustów chorych na puchlinę wodną. Pieniądze dla wszystkich, wolna miłość i wolny, bezwyznaniowy kościół w wolnym bezwyznaniowym państwie. O'MADDEN BURKĘ: Wolny lis w wolnym kurniku. DAVY BYRNE: (Ziewa.) liiiiiiaaaaaaa! BLOOM: Wymieszanie ras i mieszane małżeństwa. LENEHAN: A co z mieszanymi kąpielami w łaźniach? (Bloom wyjaśnia najbliżej stojącym zarysy swych planów odnowy społeczeństwa. Wszyscy się z nim zgadzają. Kustosz muzeum przy Kildare Street pojawia się, ciągnąc platformę, na której trzęsą się posągi kilku nagich bogiń, Ve-nus Kallipygos, Venus Pandemos, Venus Metempsychosis, i gipsowe figury, także nagie, przedstawiające dziewięć nowych Muz: Handel, Muzykę Operową, Miłość, Reklamę, Przemysł, Wolność Słowa, Głosowanie Powszechne, Gastronomię, Higienę Osobistą, Letnie Nadmorskie Festiwale Muzyczne, Bezbolesne Porody i Astronomię dla Ludu.)

OJCIEC FARLEY: Jest to episkopijczyk, agnostyk, bylecostyk, pragnący obalić naszą wiarę.

PANI RIORDAN: (Drze swój testament.) Zawiodłam się na panu! Ty niedobry człowieku!

MATKA GROGAN: (Zdejmuje but i zamierza się nim na Blooma.) Ty bydlaku! Ty ohydna osobo!

NOSEY FLYNN: Zaśpiewaj nam, Bloomie. Jedną z tych starych, słodkich pieśni. BLOOM: (Z nieodpartą wesołością.)

Przyrzekłam, że nie rzucę cię, miła. Lecz tyś mnie okrutnie zdradziła. Z moim tralala, tralala tralala tralala.

HOPSIUP HOLOHAN: Dobry, stary Bloom. Mimo wszystko nie ma drugiego takiego jak on.

PADDY LEONARD: Operetkowy Irlandczyk!

364

BLOOM: Jaka opera przypomina eunuchów w Gibraltarze? Róża Kastyliei. Róża Kastylii. (Śmiech.)

LENEHAN: Plagiator! Precz z Bloomem!

ZAWOALOWANA SYBILLA: (Entuzjastycznie.) Jestem bloomitką i chlubię się tym. Wierzę mu pomimo wszystko. Oddałabym życie za niego, za tego najśmieszniejszego człowieka na świecie.

BLOOM: (Mruga ku najbliżej stojącym.) Założyłbym się, że to musi być ładna dziewczuszka.

THEODORE PUREFOY: (W rybackiej czapce i nieprzemakalnej kurtce.) Ten człowiek posługuje się mechanicznymi sposobami dla obejścia świętych praw natury. ZAWOALOWANA SYBILLA: (Przebija się.) Mój boski bohaterze! (Umiera.) (Wiele najbardziej atrakcyjnych i entuzjastycznych kobiet także popełnia samobójstwo, przebijając się, topiąc, połykając kwas pruski, akonit, arszenik, otwierając sobie żyły, odmawiając pożywienia, rzucając się pod walce parowe, rzucając się z wierzchołka Kolumny Nelsona lub w wielką kadź browaru Guinnessa, dusząc się po włożeniu głów do piekarników gazowych, wieszając w modnych podwiązках, wyskakując z okien różnych pięter.)

ALEXANDERJ. DOWIE: (Gwałtownie.) Współchrześcijanie i antybloomici, człowiek mieniący się Bloomem pochodzi z dna piekieł i jest zniewagą dla każdego chrześcijanina. Będąc od najmłodszych lat demonem rozwiązłości, ten cuchnący cap z Men-des już od zarania zdradzał oznaki dziecięcego rozpasania, uprawiając z wyuzdaną staruszką rozpustę, przywodzącą na myśl miasta na równinie. Ten nikczemny obłudnik o miedzianym, zhańbionym czole jest białym buhajem wzmiankowanym w Apokalipsie. Czciiciel to Szkarłatnej Niewiasty, a nozdrza jego pełne są podstępów. Zasłużył na stos i kocioł wrzącego oleju. Kaliban! TŁUM: Zlinczować go! Upiec go! Jest tak zły jak był Parnell. Pan Lis! (Matka Grogan ciska butem w Blooma. Liczni sklepikarze z obu krańców Dor-set Street ciskają w niego przedmiotami o nikłej albo żadnej wartości handlowej, kośćmi po szynce, puszkami po skondensowanym mleku, nie nadającymi się do sprzedania głowami kapusty, spleśniałym chlebem, owczymi ogonami, okrawkami słoniny.)

BLOOM: (Wzburzony.) To szal nocy letniej. Znowu jakiś potworny żart. Na Boga, jestem niewinny jak świeży śnieg! To zrobił mój brat, Henryk. Jest moim sobowtórem. Mieszka pod numerem 2, Dolphin's Barn. Oszczerca, żmija, niesłusznie mnie oskarżył. Rodacy, sgenł inn bań bata coisde gan capall. Wzywam mego starego przyjaciela. Drą Malachi Mulligana, specjalistę chorób płciowych, aby złożył oświadczenie w mej obronie.

DR MULLIGAN: (W kurtce motocyklowej i w zielonych motogoglach nasuniętych na czoło.) Dr Bloom jest biseksualnie anormalny. Niedawno uciekł z prowadzonej przez drą Eustace prywatnej kliniki dla dementywnych gentlemenów. Zrodzony z pozamałżeńskiego łoża, obciążony jest dziedziczną epilepsją, będącą wynikiem niepowściągniętej rozpusty. Wśród jego przodków doszukano się śladów elephan-tiasis. Istnieją wyraźne symptomy chronicznego ekshibicjonizmu. Istnieje także ukryta obureczność. Wyłysiał przedwcześnie na skutek uprawianego samogwałtu, w wyniku czego stał się perwersyjnym idealistą. Jest nawróconym hulaką i posiada metalowe zęby. W wyniku kompleksów rodzinnych stracił chwilowo pamięć, przy

czym przypuszczam, że bardziej nagrzeszono przeciw niemu, niż on nagrzeszył. Dokonałem oględzin poprzez otwór pochwy i po zastosowaniu próby kwasu wobec 5427 włosów, pochodzących z odbytnicy, pach, piersi i łona, stwierdzam, że jest on virgo intacta.

(Bloom zakrywa genitalia swym wysokiej jakości kapeluszem.) DR MADDEN: Zaznacza się także hypsospadia. W interesie przyszłych pokoleń proponuję, aby dotknięte nią członki zostały zakonserwowane w spirytusie winnym i złożone w narodowym muzeum teratologicznym. DR CROTHERS: Zbadałem mocz tego pacjenta. Jest on białkowy. Ślinotok niedostateczny. Odruch kolanowy przerywany. DR PUNCH COSTELLO: Niezwykle ostry fetor judaicus. DR DIXON: (Odczytuje orzeczenie o stanie zdrowia.) Profesor Bloom jest dojrzałym osobnikiem nowo powstałego kobiecego mężczyzny. Ma proste i serdeczne usposobienie. Wielu widzi- w nim drogiego im człowieka, drogą osobę. W sumie jest osobnikiem interesującym, nieśmiałym, choć nie o chwiejnym umyśle w lekarskim znaczeniu tego słowa. Napisał do Stowarzyszenia Opieki nad Nawróconymi Księżmi naprawdę piękny list, będący po prostu poematem, w którym wszystko wyjaśnia. Jest, praktycznie biorąc, całkowitym abstynentem i mogę zapewnić, że sypia na barłogu ze słomy i odżywia się w najbardziej spartański sposób zimnym suszonym grochem. Nosi włosiennicę zimą i latem i biczuje się co sobota. Jeśli się nie mylę, zaliczał się niegdyś do najgorszych pensjonariuszy domu poprawczego Glencree. Inne doniesienia wskazują na to, że był bardzo pogrobowym dzieckiem. Odwołuję się do waszego miłosierdzia w imię najświętszego słowa, jakie wydały z siebie kiedykolwiek ludzkie organy głosowe. Ma on zostać matką.

(Ogólne poruszenie i współczucie. Kobiety mdleją. Bogaty Amerykanin rozpoczyna zbiórkę uliczną na rzecz Blooma. Złote i srebrne monety, czekiny blanco, banknoty, klejnoty, obligacje skarbowe, akcje, zaprotestowano weksle, obrączki, łańcuszki do zegarków, medaliony, kolie i bransolety zostają błyskawicznie zebrane.) BLOOM: Och, jak bardzo pragnę zostać matką. PANI THORNTON: (W stroju pielęgniarki.) Obejmij mnie mocno, kochanie. Już wkrótce będzie po wszystkim. Mocno, kochanie. (Bloom obejmuje ją mocno i rodzi ośmioro białych i żółtych dzieci pici męskiej. Pojawiają się one na schodach, ozdobionych wyszukаныmi krzewami i wyłożonych czerwonym dywanem. Wszystkie są ładne, posiadają drogocenne, metalowe twarze, są doskonale wykonane, przyzwoicie ubrane i dobrze wychowane, mówią płynnie pięcioma współczesnymi językami i posiadają zainteresowania w rozmaitych gałęziach sztuk i nauk. Imię każdego z nich wydrukowane jest wyraźnie na jego koszuli:

Nasodoro, Goldfinger, Chryzostomos, Maindoree, Srebrnyśmiej, Silberselber, Vi-fargent, Panargyros. Zostają natychmiast osadzone na wysokich społecznych stanowiskach w kilku rozmaitych krajach, jako dyrektorzy banków, kierownicy ruchu na kolejach, prezesi spółek z ograniczoną odpowiedzialnością i vice-prezesi towarzystw hotelowych.)

GŁOS: Bloomie, czy jesteś Mesjaszem ben Józef, czy ben Dawid? BLOOM: (Posępnie.) Tyś powiedział. BRACISZEK TRZMIEL: Więc uczynć cud.

BANTAM LYONS: Wyprorokuj, który koń wygra wyścig Saint Leger. (Bloom chodzi po linie, zakrywa lewe oko lewym uchem, przenika przez liczne ścian v, wspina się na Kolumnę Nelsona, zwisa z jej wieńczącego gzymsu uczepiony na rzęsach, zjada dwanaście tuzinów ostryg (łącznie z muszlami), leczy wielu cierpiących na skrofuły, zmienia rysy twarzy tak, że przypominają one rysy wielu historycznych osobistości: Lorda Beaconsfielda, Lorda Byrona, Wata Tylera, Mojżesza z Egiptu, Mojżesza Majmonidesa, Mojżesza Mendelssohna, Henry Irynga, Ripa van Winkle, Kossutha, Jana Jakuba Rousseau, Barona Leopolda Rothschilda, Robinsona Crusoe, Sherlocka Holmesa, Pasteura, porusza stopami równocześnie w różnych kierunkach, zmusza przyływ do cofnięcia się, uniesieniem małego palca powoduje zaćmienie słońca.)

BRINI, NUNCJUSZ PAPIESKI; (W uniformie żuawów papieskich, w stalowym półpancerzu na piersi, w stalowych naramiennikach, nagolennikach, nakolannikach. Ma wielkie, świeckie wąsy i brązową, papierową mitrę.) Leopoldi autem generalia. Mojżesz spłodził Noego a Noe spłodził Eunucha a Eunuch spłodził o'Hallora-na a o'Halloran spłodził Guggenheima a Guggenheim spłodził Agendath a Agendath spłodził Netaima a Netaim spłodził Le Hirscha a Le Hirsch spłodził Jesuruma a Jesurum spłodził Mackaya a Mackay spłodził Ostrolopsy'ego a Ostrolopsy spłodził Smerdoza a Smerdoz spłodził Weissa a Weiss spłodził Schwarza a Schwarz spłodził Adrianopolego a Adrianopoli spłodził Aran-jueza a Aranjuez spłodził Lewy Lawsona a Lewy Lawson spłodził Ichabudo-nosora a Ichabudonosor spłodził o'Donnella Magnusa a o'Donnel Magnus spłodził Christbauma a Christbaum spłodził Ben Maimuna a Ben Maimun spłodził Dusty Rhodesa a Dusty Rhodes spłodził Benamora a Benamor spłodził Jones--Smitha a Jones-Smith spłodził Savorgnanovicha a Savorgnanovich spłodził Jasperstone'a a Jasperstone spłodził Vingtetunieme'a a Vingtetunieme spłodził Szombathely'ego a Szombathely spłodził Viraga a Virag spłodził Blooma et vocabitur nomen eius Emmanuel.

MARTWA DŁOŃ: (Wypisuje na ścianie.) Bloom jest frajerem. KAPUŚ: (Przebrany za leśnego rozbójnika.) Cos robił w dziurze żywopłotu pod Kiłbarrack?

DZIECIĘ PŁCI ŻEŃSKIEJ: (Potrzasa grzechotką.) A pod mostem Bałlybough? KRZAK OSTROKRZEWU: A w diabelskim wąwozie? BLOOM: (Od czoła po zadek rumieni się z wściekłości, z lewego oka spływają mu trzy Izy.) Uszanujcie moją przeszłość.

WYWŁASZCZENI DZIERŻAWCY IRLANDZCY: (Ubrani w kaftany i bryczesy, w rękach zaciskają dębowe pałki z jarmarku w Donnybrook.) Bić go! (Bloom, po nałożeniu oślich uszu, zasiada w dybach, z których wy stają jego stopy, ręce ma założone na piersi. Gwiżdże Don Giovanni a cenar teco. Sieroty z przytułku Artane biorą się za ręce i zaczynają płasć wokół niego. Dziewczeta z Misji Opiekuńczej Bramy Więziennej biorą się za ręce i zaczynają płasć w przeciwnym kierunku.) SIEROTY Z ARTANE:

Ty kpie, ty gzie, ty brudny psie! Myślisz, że panny chcą cię!

367

DZIEWCZĘTA Z MISJI BRAMY WIĘZIENNEJ:

Gdy zobaczysz cha, Powiedz, niech pcha Do mojej pe, Jeżeli chce.

DMĄCY W RÓG: (Ubrany w epod i kapelusz myśliwski, obwieszcza.) I poniesie on występki ludu do Azazela, ducha zamieszkującego pustkowię, a także do Lilith, która czaruje nocą. I ukamienują go, i pokalają go, tak, wszyscy, którzy są z Agen-dath Netaim i z Mizraim w krainie Chama.

(Wszyscy obecni ciskają miękkimi teatralnymi kamieniami w Blooma. Wielu bonafide podróżnych i wiele bezpańskich psów zbliża się do niego i kala go. Mastia-nsky i Citron podchodzą w chałatach i z długimi pejsami. Kiwają brodami nad Bloomem.)

MASTIANSKY I CITRON: Belial! Laemlein z Istni! Fałszywy Mesjasz! Abulafia! (George S. Mesjasz, krawiec Blooma, pojawia się z krawieckim żelazkiem pod pachą i podaje rachunek.)

MESJASZ: Za przeróbkę jednej pary spodni jedenaście szylingów. BLOOM: (Radośnie zaciera ręce.) Zupełnie jak w dawnych, dobrych czasach. Biedny Bloom.

(Ruben J. Dodd, czarnobrody Iskariota, zły pasterz, zbliża się ku dybom, niosąc na ramionach ciało swego utopionego syna.)

RUBEN J.: (Szepcze ochryple.) Wszystko zakapowano. Kapuś poszedł po gliny. Urywajmy się pierwszym pociągiem. STRAŻ POŻARNA: Flaaap!

BRACISZEK TRZMIEL: (Ubiera Blooma w wysoką, spiczastą czapkę i żółty habit, obrębiony wymalowany mi płomieniami. Wiesza mu na szyi worek z prochem strzelniczym i oddaje go w ręce władz świeckich, mówiąc.) Opuśćcie mu jego winy. (Porucznik Myers z Dublińskiej Brygady Straży Pożarnej podpala Blooma na ogólne żądanie. Lament.)

OBYWATEL: Dzięki niechaj będą niebiosom!

BLOOM: (W worze pokutnym, naznaczonym literami I.H.S., stoi wyprostowany pośród feniksowych płamieni.) Nie płaczcie nade mną, O córky Erynu. (Ukazuje dublińskim reporterom siady oparzeń. Córky Erynu, odziane w czarne szaty, trzymając w dłoniach wielkie modlitewniki i długie, zapalone świece, klękają i modlą się.) CÓRY ERYNU:

Nerko Blooma, módl się za nami. Kwiecie Łaźni, módl się za nami. Mentorze z Mentony, módl się za nami. Akwizytorze Człowieka Wolnego, módl się za nami. Dobroczynny Masonie, módl się za nami. Tułające się Mydło, módl się za nami. Słodczy Grzechu, módl się za nami. Pieśni bez Słów, módl się za nami.

Pogromco Obywatela, módl się za nami. Bałwochwalco Babskiej Bielizny, módl się za nami. Pani Położna, Pomoc Pełniąca, módl się za nami. Ziemniaczana Zaporo przeciw Zarazom i Zarazkom, módl się za nami.

(Chór złożony z sześciuset głosów odśpiewuje Alleluia Chorus, pod przewodnictwem pana Yincient o'Briena i przy organowym akompaniamencie Josepha Glynna. Bloom cichnie, kurczy się, zwęgla.) ZOE: Gadaj do sęka, aż ci gęba popęka.

BLOOM: (W czapce z nausznikami, z glinianą fajką, wystającą zza wstążki kapelusza, w zakurzonych kierpcach, z emigranckim węzełkiem związanym czerwoną chustką, prowadzi na słomianym powrośle czarną jak dąb kopalny świnię, w oczach ma uśmiech.) Pozwól mi teraz odejść, gosposiu, bo klnę się na wszystkie kozy w Connemara, że mało brakuje mi, abym zaczął kłąć okrutnie. (Ze Izą w oku.) Szaleństwem jest wszystko. Patriotyzm, opłakiwanie umarłych, muzyka, przyszłość rasy. Być albo nie być. Przeminął sen życia. Zakończyć je w spokoju. A oni niechaj sobie żyją dalej. (Ze smutkiem spogląda w dal.) Jestem zrujnowany. Kilka pastylek akonitu. Opuszczone zasłony w oknach. List. A potem położyć się, by odpocząć. (Wzdycha łagodnie.) Nigdy więcej. Przeżyłem swoje życie. Dobra. Dobranoc.

ZOE: (Sztywno, wodząc palcem po swej aksamitce.) Naprawdę? Do następnego razu. (Drwiąco.) Na pewno wstał pan rano lewą nogą albo za prędko doszedł pan do końca ze swoją przyjaciółką. Och, czytam w pana myślach. BLOOM: (Gorzko.) Czymże jest miłość mężczyzny i kobiety? Korkiem i butelką.

ZOE: (Nadąsana nagle.) Nienawidzę nieszczerých zgniłków. Zachowuj się po ludzku, nawet wobec pieprzonej kurwy.

BLOOM: (Ze skrucą.) Jestem bardzo niemiły. A ty jesteś złem koniecznym. Skąd pochodzisz? Z Londynu?

ZOE: (Z gotowością.) Z wioski Wieprzowe Mordy, gdzie świnię grają na organach. Jestem z Yorkshire. (Powstrzymuje jego rękę, sięgającą do jej sutki.) Słuchaj, Tomciu Paluszk, skończ z tym i zacznij coś gorszego. Czy masz płynną gotówkę? Dziesięć szylingów?

BLOOM: (Uśmiecha się. Z wolna potakuje głową.) Więcej, hurysy, więcej. ZOE: Im więcej, tym goręcej. (Zaczyna głaskać go bezceremonialnie aksamitnymi łapkami.) Czy wejdiesz do salonu, żeby obejrzeć naszą nową pianolę? Wejdz, to się rozbiore.

BLOOM: (Gładzisiępo ciemieniu i taksuje symetrię jej odsioniętych piersi z niezrównanym zakłopotaniem zastanawiającego się kupca.) Ktoś byłby ogromnie zazdrosny, gdyby się

dowiedział. Zielonooki potwór. (Szczерze.) Wiesz, jakie to jest trudne. Nie muszę ci chyba tłumaczyć.

ZOE: (Której to pochlebiło.) Czego oko nie widzi, tego sercu nie żal. (Uderza go lekko.) Chodź.

BLOOM: Roześmiana czarodziejko! Ręko, która poruszasz kołyską. ZOE: Dzieciaku!

369

BLOOM: (W dzieciennym ubranku i w futerku, wielkogłowy, w czapeczce z czarnego włosia, wlepia swe duże oczy w jej mieniącą się, falującą sukienkę i tiusty m paluszkiem liczy zapinki z brązu, wywiesiwszy wilgotny język i sepleniąc.) Las dwa tsy: tsy dwa las.

ZAPINKI: Kocha. Lubi. Szanuje.

ZOE: Milczenie oznacza zgodę. (Małymi, rozczapierzonymi pazurkami chwyta go za rękę, a jej wskazujący palec przekazuje zagłębieniu jego dłoni umowny tajemny, przynaglający znak, wiodący go na pokuszenie.) Gorące ręce, zimne serce.

(On waha się pośród zapachów, muzyki, pokus. Ona prowadzi go ku schodkom, pociągając wonią swych pach, grzechem malowanych powiek, szelestem występnych fałdów sukni i czającą się w nich lwią wonią wszystkich samców, którzy ją posiadali.)

SAMCY: (Wydzielając siarczoną woń rui i nawozu, wspinają się z cichym rykiem na tylne łapy w swych przegrodach i kołyszą oszołomionymi łbami.) Dobra! (Zoe i Bloom podchodzą ku drzwiom, w których siedzą dwie inne siostry-kurwy. Obmacują go ciekawymi spojrzeniami, rzucanymi spod malowanych brwi, i uśmiechają się w odpowiedzi na jego pospieszny ukłon. Bloom potyka się.) ZOE: (Jej zręczna dłoń natychmiast ratuje go.) Hopsa! Nie upadnij w górę. BLOOM: Człowiek sprawiedliwy pada siedem razy. (Odsuwa się w progu i przepuszczają.) Po pani, tak chce dobre wychowanie. ZOE: Damy przodem, panowie z tyłu.

(Przekracza próg. On waha się. Ona odwraca się i wyciągnąwszy ku niemu ręce, przeciąga go. On podskakuje. Na zrobionym z jelenich rogów wieszaku w przedpokoju wisi męski kapelusz i płaszcz nieprzemakalny. Bloom także zdejmuje kapelusz, ale dostrzegając wiszące przedmioty, marszczy brwi, a potem uśmiecha się z przejęciem. Drzwi na półpiętrze otwierają się. Jakiś mężczyzna, ubrany w czerwoną koszulę, szare spodnie i brązowe

skarpetki, przechodzi małpim krokiem, unosząc łysą głowę i kozią bródkę. Niesie dzban pełen wody, a czarne szelki zwisają mu aż do kostek. Unikając jego spojrzenia, Bloom szybko pochyla się nad stołem w przedpokoju i wpatruje w psie oczy uciekającego lisa: później, wężąc z uniesioną głową, wchodzi w siad za Zoe do salonu. Abażur z liliowej bibułki przyćmiewa blask świecznika. Wokół krąży, krąży ćma, uderzając, unikając. Podłogę pokrywa mozaikowe linoleum w zielonkawe, lazuruowe i cynobrowe romby. Pokryte jest ono w najrozmaitszy sposób siadami stóp, obcas obok obcasa, obcas obok czubka, palce obok palców, splecione stopy, taniec szurających, pozbawionych data nóg, splątanych w trzymajgo puścinnie zmaganiu. Ściany pokrywa tapeta w cisowe gałązki na przemian z gładką powierzchnią. W otworze kominka rozstawiony jest parawanik z pawich piór. Lynch siedzi po turecku przed kominkiem na dywaniku ze zbitego włosia; czapkę ma nasuniętą przodem do tyłu. Wolno wybija rytm prętem. Kitty Ricketts, blada, koścista kurwa w marynarskim mundurku i w irchowych rękawiczkach, odwiniętych, by ukazać na przegubie bransoletkę z koralu, siedzi na brzegu stołu, trzyma torebkę zrobioną z plecionego łańcuszka, wymachuje nogą i przygląda się swemu odbiciu w złoconym lustrze, które wisi nad kominkiem. Spod jej zakietu wystaje kawałek wstążki gorsetowej. Lynch wskazuje z szyderczą miną parę przy fortepianie.)

370

KITTY: (Kaszele, zasłaniając usta dłonią.) Ona jest trochę niedorozwinięta. (Wskazuje drżącym palcem.) Bzik. (Lynch końcem pręta unosi kraj jej spódnicy i białą halkę. Kitty poprawia je prędko.) Szanuj się. (Odbija się jej. Szybko pochyla swą marynarską czapkę, pod którą płoną jej zaczerwienione henną włosy.) Och, przepraszam!

ZOE: Więcej światła na scenę, mój chłopcze. (Podchodzi do świecznika i zwiększa dopływ gazu.)

KITTY: (Rzuca okiem na płomyk.) Co mu dzisiaj dolega? LYNCH: (Grobowym głosem.) Oto wchodzi duch, a z nim małe gnomy. ZOE: Brawo dla Zoe.

(Pręt w ręce Lyncha błyska: miedziany pogrzebacz. Stefan stoi przy pianoli, na której leży jego kapelusz i jesionowa laska. Dwoma palcami raz jeszcze powtarza serię pustych kwint. Flora Talbot, jasnowłosa, rozlazła, tłusta kurwa w obszarpanej sukni koloru spleśniałych truskawek, siedzi rozwalona w kącie otomany, z rozrzuconymi nogami i rękami, i przysłuchuje się, przewiesiwszy bezwładne ramię przez wałek. Ciężki jęczmień zamyka jedną z jej sennych powiek.) KITTY: (Znowu się jej odbija, a równocześnie podrywa to jej nogę.) O, przepraszam!

ZOE: (Natychmiast.) Twój chłopak cię wspomina. Zrób sobie supełek na koszuli. (Kitty Ricketts opuszcza głowę. Jej boa rozwija się, spływa, ześlizguje z ramienia po plecach, ręce, krzesło na podłogę. Lynch unosi zwiniętą gąsienicę na swym pręcie. Kitty okręca swym boa

szyję i układa w nim głowę jak w gnieździe. Stefan spogląda przez ramię na siedzącą po turecku postać w czapce nasuniętej przodem do tyłu.)

STEFAN: W rzeczywistości nie ma żadnego znaczenia, czy Benedetto Marcello odnalazł to, czy wynalazł. Rytuał jest wypoczynkiem poety. Może to być dawny hymn na cześć Demeter, a równocześnie służyć jako akompaniament dla Coela enarrant gloriom Domini. Jest jednak podatny na skale i interwale tak od siebie odległe, jak hyperfrygijska i mixolidyjska, a także na teksty tak różniące się jak zawodzenie kapłanów wokół ołtarza Dawida, to znaczy Circe, co ja mówię, Ceres, i informacje o swej wszechmocy, jakie Dawid dawał, siedząc w stajni, swemu pierwszemu fagociście. Mais, nom de nom, to jest inna para kaloszy. Jetez la gourme. Faut que jeunesse se passe. (Urywa, wskazuje czapkę Lyncha, uśmiecha się, śmieje się.) Po której stronie jest twój guz mądrości? CZAPKA: (Z ponurym uśmiechem.) Ba! Jest bo jest. Kobiece rozumowanie. Greko-żyd jest żydogrekiem. Krańcowości spotykają się. Śmierć jest najwyższą formą życia. Ba!

STEFAN: Pamiętasz bardzo dokładnie wszystkie moje błędy, przechwałki, omyłki. Jak długo będę przymykał oczy na nielojalność? Osełko! CZAPKA: Ba!

STEFAN: To jeszcze coś dla ciebie. (Zastanawia się.) Wynika to z tego, że nuta podstawowa oddzielona jest od dominanty możliwie najdłuższym interwałem, który...

CZAPKA: Który? Skończ. Nie możesz.

STEFAN: (Z wysiłkiem.) Interwałem, który. Jest to elipsa, najdłuższa z możliwych. Zgodna z. Ostateczny powrót. Oktawa. Która.

37¹

CZAPKA: Która?

(Na zewnątrz gramofon zaczyna grzmieć: Najświętsze Miasto.) STEFAN: (Szorstko.) Co podążyło aż na krańce świata, aby nie przeciąć własnej drogi. Bóg, słońce, Shakespeare, komiwojażer, przeciąwszy w rzeczywistości własną drogę, staje się sobą. Zaczekaj chwilę. Zaczekaj sekundę. Ten przekłety facet hałasuje na ulicy. Sobą, czyli tym, czym musiało się nieuchronnie stać, gdyż tak było uwarunkowane. Ecco!

LYNCH: (Rzy drwiącym śmiechem i wykrzywia się ku Bloomowi i Zoe Higgins.) Prawda, jaka uczona mowa, co?

ZOE: (Żywo.) Niech się Bóg ulituje nad twoją głową, on wie więcej, niż tyś zdążył zapomnieć.

(Flora Talbot przypatruje się z opasłą tępotą Stefanowi.) FLORA: Mówią, że w lecie będzie koniec świata. KITTY: Niemożliwe!

ZOE: (Wybucha śmiechem.) Wielki, niesprawiedliwy Boże! FLORA: (Urażona.) Nawet w gazetach pisali o Antychryście. O jej, noga mi usnęła.

(Mali, bosonodzy gazeciarze przebiegają tupiąc, wrzeszcząc i ciągnąc ogoniasty latawiec.)

GAZECIARZE: Dodatek nadzwyczajny! Wyniki wyścigów koni na biegunach. Wąż morski w kanale królewskim. Pomyślne przybycie Antychrysta. (Stefan odwraca się i dostrzega Blooma.) STEFAN: Czas, czasy i pół czasu.

(Ruben J. Antychryst, żyd wieczny tułacz, występuje ku przodowi kulejąc z przyłożoną do grzbietu szponiastą dłonią. U bioder zwisa mu torba pielgrzyma, z której wystają weksle i nie zapłacone rachunki. Przez ramię przerzuconą ma długą, zakończoną hakiem tykę, z której zwisa uczone pasy. Na jego ciele, przesiąknięte wodą, widoczne jest jedno dziecko, ocalone z wód Liffey. Gnom w postaci Puncta Costello, krzywobiodry, garbaty, hydrocefaliczny, o wystających szczękach, cofniętym czole i nosie Ally Stopera, wpada wywracając koziółki w gęstniejącej ciemności.)

WSZYSCY: Co?

GNOM: (Poruszając szczękami, płasza tu i tam, przewraca oczyma, piszczy, skacze jak kangur, ma rozwarłe zagięte ramiona, a później niespodziewanie wsuwa swą bezustą twarz pomiędzy uda.) Il y a! C'est moi! L'homme qui rit! L'homme primigène! (Kręci się w kółko, wyjąc jak derwisz.) Sieurs et dames, faites vos jeux! (Przykuca, żonglując. Z rąk jego wylatują maleńkie wirujące planety.) Les jeux sont faits! (Planety zbiegają się i zderzają z cichym trzaskiem.) Rien n'a plus. (Planety, pęczniejące balony, odpływają w górę i w dal. Gnom skacze w próżnię.) FLORA: (Żegna się ukradkowo i zapada w odrętwienie.) Koniec świata! (Płyną od niej ciepłe, samcze wyziewy. Przestrzeń wypełnia się mgławicowym mrokiem. Wśród unoszącego się na zewnątrz oparu gramofon zagłusza pokaszływanie i szuranie nóg.) GRAMOFON: Jerusalem! Rozewrzyj bramy i zaśpiewaj Hosanna...

372

(Rakieta pnie się w górę po niebie i pęka. Wypada z niej biała gwiazda, obwieszcza kres wszechrzeczy {powtórne nadejście Eliasza. Wzdłuż nieskończonej, niewidzialnej liny, rozpiętej pomiędzy ziemią i nadirem, opuszcza się koziółkując pośród mroku Koniec Świata, dwugłowa ośmiornica, ubrana w króciutką szkocką spódniczkę, futrzaną czapę, kraciastą plisowaną spódnicę i przypominająca kształtem Trzy Nogi wyspy Mań.)

KONIEC ŚWIATA: (Ze szkockim akcentem.) Kto zatańczy z góralami, z góralami, z góralami?

(Wysoko, ponad odgłosem stóp i pokaszływaniem, rozlega się skrzekliwy, ostry jak u derkacza głos Eliasza. Spocony, w luźnej batystowej komeżce o szerokich rękawach, objawia

swe oblicze kościelnego, stając na mównicy, ponad którą rozwieszony jest gwiazdzisty sztandar. Uderza pięścią w pulpit.)

ELIASZ: Tylko żadnego odszczekiwania się w tej budzie, jeżeli wolno prosić. Jake Crane, Creole Sue, Dave Campbell, Abe Kirschner, macie kasłać z zamkniętymi ustami. To ja obsługuję ten cały telefon międzymiastowy. Chłopcy, zróbcie to raz, dwa. Czas boży nastanie o 12.25. Powiedźcie mamusi, że przyjdziecie na spotkanie. Zamówić prędko to tak jak zagrać asa. Zapisujcie się od razu! Wykupujcie bilety na ekspres do stacji węzłowej Wieczność. Jeszcze tylko jedno słówko. Czy jesteś bóstwem, czy umysłowym ubóstwem? A gdy zstąpi po raz wtóry na ziemię w Coney Island, to czy jesteśmy gotowi? Floro Chrystusie, Stefanie Chrystusie, Zoe Chrystusie, Bloomie Chrystusie, Kitty Chrystusie, Lynchu Chrystusie, tylko od was zależy wyczucie tej siły kosmicznej. Czyż boimy się kosmosu? Nie! Stańcie po stronie aniołów! Bądźcie jako pryzmat tęczy. Macie przecie w sobie to coś, to wyższe ja. Możecie trącać się łokciami z Jezusem, Gautamą czy Ingersollem. Czy wszyscy znajdujecie się w obrębie tej wibracji? Powiadam, że tak. Jeżeli tylko przystąpicie do tego zrzeszenia, wesółka przejażdżka do niebios stanie się dla was dziecinną igraszką. Rozumiecie? To rozjaśni wam życie, jak amen w pacierzu. Nikt dotąd nic lepszego nie wymyślił. Po prostu pączek na maśle. Najsprytniejsze, najcwańsze wyjście. To niesłychane, to superiuksusowe. To odświeża. To wibruje. Jestem pewien, bo sam jestem niezgorszym wibratorem. Ale żarty na bok - trzeba dojść do sedna, A. J. Chrystus Dowie i harmonialna filozofia, czy zapamiętaliście? O. K. Numer siedemdziesiąty siódmy, przy zachodniej, sześćdziesiątej dziewiątej ulicy. Zrozumieliście mnie? W porządku. Kiedy tylko wam przyjdzie ochota, zadzwoncie do mnie przez słońcofon. Moczy mordy, oszczędzajcie na znaczkach pocztowych. (Wrzeszczy.) A^teraz nasza pieśń sławiąca. Wszyscy serdecznie włączają się do chóru. Bisujemy! (Śpiewa.) Jeru...

GRAMOFON: (Zagłuszając jego głos.) Zdzirusalemwtwychwysokichichhhhhh... figła zgrzyta chrapliwie na płycie.) TRZY KURWY: (Zatykając uszy, piszcza.) Achchch! ELIASZ: (W koszuli o zawiniętych rękawach, z poczerwiałą twarzą, wrzeszczy na cały głos, wznosząc ramiona.) Wielki Bracie, który jesteś tam w górze. Panie Prezydencie, słyszałeś, co powiedziałem do ciebie przed chwilą. Na pewno wierzę chyba głęboko w ciebie, Panie Prezydencie. I na pewno myślę, że panna Higgins i panna Ricketts mają wiarę w swych duszyczkach. Na pewno wydaje mi się, że nie widziałem nigdy tak przestraszonej kobiety jak przed chwilą panna Flora. Panie Prezydencie, niech pan przyjdzie i pomoże mi w ratowaniu naszych drogich

3 73

sióstr. (Mruga ku widowni.) Ten nasz Pan Prezydent to wszystko widzi i nic nie mówi.

KITTY - KASIA: Zapomniałam się. W chwili słabości zbłądziłam i zrobiłam to na Wzgórzu Konstytucji. Byłam bierzmowana przez biskupa. Siostra mojej matki wyszła za Montmorency'ego. To blacharz stał się przyczyną mojej zguby, gdy byłam niewinna.

ZOE - FANNY: Pozwoliłam mu wbić to we mnie, żeby sprawdzić, czy to zabawne. FLORA - TERESA: Stało się to w wyniku mieszania portweinu z trzygwiazdkowym hennessy. Zgrzeszyłam z Whelanem, gdy wśliznął się do mego łóżka. STEFAN: Na początku było słowo, a na końcu świat bez kresu. Niechaj będzie pochwalone osiem błogosławieństw.

(Błogosławieństwa: Dixon, Madden, Crotthers, Costello, Lenehan, Bannon, Mulligan i Lynch, w białych studenckich fartuchach medycznych, przechodzą hałaśliwie czwórkami, pruskim krokiem defiladowym.)

BŁOGOSŁAWIEŃSTWA: (Bezładnie.) Butla, byk, bitwa, biblia, businum, barnum, buzerum, biskup.

LYSTER: (W krótkich kwakerskoszarych spodniach i szerokoskrzydłym kapeluszu, mówi poufnie.) To nasz przyjaciel. Nie muszę chyba wymieniać nazwisk. Poszukujcie światłości wiekuistej.

(Odbiega na palcach. Wchodzi Naj w nakrochmalonym kitlu fizyjskim, włosy ma zawinięte w papierowe papiloty. Prowadzi Johna Egiintona, ubranego w żółto-brązowe, pokryte jaszczurczymi literami kimono mandaryna i wysoką czapkę w kształcie pogody.)

NAJ: (Uśmiechając się, unosi czapkę i odsłania wygoloną pałę, z której wyrasta szczeciniasty przyprawiony warkocz, przewiązany pomarańczową kokardą.) A wiecie, że właśnie go upiększałem. Piękna rzecz, wiecie, powiada Yeats, to znaczy, chciałem powiedzieć, powiada Keats.

JOHN EGLINTON: (Ukazuje ślepą latarkę z zielonym daszkiem i błyska nią w kąt. Mówi uszczypliwym tonem.) Estetyka i kosmetyka dobre są w buduarze. Ja poszukuję prawdy. Zwykłej prawdy dla zwykłego człowieka. Prostaczek żąda faktów i zamierza do nich dotrzeć.

(W stożku światła latarki widać na pot ukrytą za wiadrzem z węglem, siedzącą z podbródkiem wspartym na kolanach, zamyśloną, brodatą postać Mananaana Mac-Lira, mędrca o natchnionych oczach. Wstaje z wolna. Zimny, morski wiatr wieje z fałdów jego druidycznej szaty. Nad głową jego wirują węgorze i ich larwy. Pokryty jest cały muszlami i wodorostami. W prawej dioni trzyma pompkę rowerową. W lewej ściska olbrzymią langustę za szczypcę.) MANANAAN MACLIR: (Głosem fal.) Aum! Hek! Wal! Ak! Lub! Mor! Ma! Biała yogini bogów. Okultystyczny pimander Hermesa Trismegistosa. (Głosem świszczącego wichru morskiego.) Punarjanam patsypunjaub! Nie dam ze siebie robić frajera. Powiedział ktoś, lękajcie się lewicy, kultu Śakti. (Z okrzykiem ptaków morskich.) Śakti, Siwa! Ciemny, ukryty ojciec! (Pompką rowerową bije trzymaną w lewej dłoni langustę. Na jej usługowej tarczy

ukazuje się dwanaście lśniących znaków zodiaku. Zawodzi z gwałtownością oceanu.) Aum! Baum! Pyjaum. Jam jest światłością domostw, jam jest sennopustym, pełnotłustym masłem.

374

f Kościotrupia judaszowa dłoń dusi światło. Zielony blask wędnie i staje się fioletowy. Płomyk gazowy zaczyna zawodzić ze świstem.) PŁOMYK GAZOWY: Pooooa! Fuiiiiiih!

(Zoe podbiega do świecznika i podkurczywszy nogę, poprawia oprawkę.) ZOE: Kto ma cmoka dla mnie? LYNCH: (Ciskając papierosa na stół.) Masz.

ZOE: (Przechyliła głowę z udaną dumą.) Czy w ten sposób należy podawać nocnik damie? (Staje na palcach, by zapalić papierosa nad płomykiem i obraca go z wolna, ukazując brązowe kępki włosów pod pachami. Lynch wysoko unosi pogrzebaczem kraj jej sukienki. Ciało Zoe, nagie od podwiązek wzwyż, wydaje się rusalczano-zielone, pod szafirową suknią. Zoe zaciąga się spokojnie papierosem.) Czy widzisz znamię piękności na moim zadku? LYNCH: Nie przyglądam się.

ZOE: (Wstydliwie spuszcza oczy.) Nie. Wiem, że nie zrobiłbyś nawet mniejszej rzeczy. Czy possałbyś cytrynkę?

(Zezując z udanym zawstydzeniem, patrzy z ukosa znacząco na Blooma, a potem odwraca się ku niemu, oswobadzając suknię z pogrzebacza. Niebieska, płynna materia znowu spływa po jej ciele. Bloom stoi, uśmiechając się pożądliwie i kręcąc młynka palcami. Kitty Ricketts ślini środkowy palec i patrząc w lustro, wygładza brwi. Lipoti Virag, basilicogrammate, ześlizguje się raptownie w dół przewodem kominowym i robi dwa kroki w lewo na swych niezgrabnych, różowych szczudłach. Owinięty jest w kilka paltotów i brązowy macintosh, pod którym ściska zwój pergaminu. W lewym jego oku lśnimonoki Cashela Boy te o'Connora Fitzmaurice'a Tisdalla Farrella. Nagłowie ma egipski pszent, a za uszami dwa gęsie pióra.) VIRAG: (Strzela obcasami, kłania się.) Jestem Virag Lipoti z Szombathely. (Kaszele z namysłem, sucho.) Daje się tu dostrzec bezładne nagromadzenie swobodnej nagości, co? Spojrzenie na nią z tyłu ujawniło mimowolnie, że nie nosi ona owych intymnych części garderoby, których jesteś tak oddanym wielbicielem. Mam nadzieję, że zauważyłeś na udzie ślad po zastrzyku? To dobrze. BLOOM: Granpapachi. Ależ...

VIRAG: Ale z drugiej strony, ta numer dwa, której włosy zawdzięczają wiele naszemu plemiennemu wywarowi z jarzębiny, mówię o tej w wiśnioworóżowym kolorze, w białej czapeczce i spacerowym kostiumie, jest zanadto zasznurowana gorsetem sądząc po sposobie siedzenia, jak mi się wydaje. Połknęła kij, można powiedzieć. Popraw mnie, jeżeli się mylę, ale zawsze sądziłem, że akt wykonywany przez płochliwe śmiertelniczki, ukazujące przy tym rąbek swej bielizny, działa na ciebie pobudzająco na mocy swego ekshibicjonizmu. Jednym słowem. Hippogryf. Czy mam słuszość? BLOOM: Jest raczej szczupła.

VIRAG: (Nie bez uprzejmości.) Zupełnie! Dobrze podpatrzone, a te odstające kieszenie jej spódnicy i nieco podwyższony stan mają podsuwać myśli o krągłości bioder. Jest to nabytek, zakupiony na jakiejś okropnej wyprzedaży, po uprzednim oskubaniu jakiegoś dudka. Fałszywa wytworność dla omamienia oka. Zauważ pilność, z jaką zajęto się najdrobniejszymi szczegółami. Nigdy nie ubieraj się jutro w to, co możesz włożyć dzisiaj. Paralaksa! (Nerwowo potrząsa głową.) Czy słyszałeś, jak coś trzasnęło mi w mózgu? Połysylabaksa!

375

BLOOM: (Opiera łokieć w zagłębieniu dłoni i dotyka wskazującym palcem policzka.)

Wydaje się zasmucona.

VIRAG: (Wyszczerza żółte zęby łasicy i przyłożywszy palec do dolnej powieki, robi cynicznie perskie oko, a potem zaczyna ujaść ochryple.) Kant! Wystrzegaj się dziełatek i udanego smutku. Lilia w melinie. Wszystkie one posiadają tę lechtaczkę, którą odkrył kiedyś Rualdus Colombus. Rombniją. Kolombniją. Kameleon. (Uprzejmiej.) A teraz pozwól mi zwrócić twoją uwagę na okaz numer trzy. Gołym okiem można obejrzeć ją prawie całą. Przyjrzyj się masie tych utlenionych warzyw na jej czaszce. A cóż to, ona podryguje! Jest to brzydkie kaczątko tego zgromadzenia, źle wyważona i ma za nisko osadzony kil. BLOOM: (Z żalem.) Gdy się wychodzi, nie zabierając strzelby. VIRAG: Możemy ci służyć wszystkimi rodzajami: miękkimi, średnimi, twardymi. Kto płaci, ten wybiera. Ileż radości mogłaby ci dać każda z tych... BLOOM: Z tych...

VIRAG: (Młaska językiem.) Mniem! Spójrz. Kłęby ma szerokie. Okryta jest godną uwagi warstwą tłuszczu. Gdy się patrzy na jej piersi, poznać od razu, że jest ona ssakiem. Zauważ, że ma z przodu dwie wypukłości bardzo szacownych rozmiarów, skłaniające się ku temu, aby w porze obiadowej wpaść do talerza z zupą. A równocześnie po przeciwnej stronie u dołu ma dwie dodatkowe wypukłości, nabrzmiewające przy obmacywaniu i wskazujące na potężną odbytnicę. Nie pozostawiają one do życzenia niczego poza spoistością. Takie mięsiste części ciała są wynikiem troskliwej pielęgnacji. Gdy sieje tuczy w zamknięciu ich wątroby osiągają mamucie rozmiary. Kulki świeżego chleba z kozieradką i będkmianem, połykane z odmierzonymi dawkami zielonej herbaty, obdarzają je, na czas ich krótkiego istnienia, kolosalnie wzdętymi, naturalnymi poduszczkami. Tego ci potrzeba, co? Obmacywania Garnców Egipskiego Mięsiwa. Tarzania się w nich. Widłaku. (Przez gardziel jego przebiega drżenie.) Klaptrach! Znowu to się zaczyna.

BLOOM: Nie podoba mi się ten jęczmień.

VIRAG: (Unosi brwi.) Powiadają, że trzeba przykładąć złotą obrączkę. Argumentum adfeminam, jak mawialiśmy w dawnym Rzymie i starożytnej Grecji za konsulatu Diplodocusa i Ichthiosaurusa. A na resztę królewskie lekarstwo Ewy. Nie do sprzedania. Tylko

do wynajęcia, Hugonoto. (Znowu wstrząsa nim drżenie.) To wydaje dziwny odgłos. (Pokasfuje zachęcająco.) Ale, być może, jest to tylko kurzajka. Mam nadzieję, że zapamiętasz to, czego cię zechcę nauczyć w tej materii. Pszenna mąka z miodem i gałką muszkatołową.

BLOOM: (Zastanawia się.) Pszenna mąka z widłakiem i sylabaksą. Zrobić z tym próbne doświadczenie. Był to niezwykle nużący dzień z całym korowodem wydarzeń. Zaczekaj. Przypomniało mi się, że krew z kurzajki rozprzestrzenia kurzajki, a ty powiedziałeś...

VIRAG: (Surowo, nos garbi mu się jeszcze bardziej, mruży kąciaki oczu.) Przestań kręcić młynka palcami i pomyśl dobrze. Widzisz, zapomniałeś. Zastosuj mnemote-chnikę. La causa e santa. Tara. Tara. (Na stronie.) Na pewno zapamięta. BLOOM: Zdaje mi się, że wspomniałeś także o rozmarynie czy też o niszczeniu tkanki pasożytniczej siłą woli. A potem, nie, nie to, coś przyszło mi do głowy. Dotknięcie trupiej ręki leczy. Mnemo?

376

VIRAG: (Z podnieceniem.) Tak twierdzą, tak twierdzą. Właśnie tak. Technika. (Energicznie uderza w zwój pergaminu.) Ta księga powie ci, jak zachowywać się we wszystkich opisanych przypadkach. Poradź się indeksu w sprawie chorobliwego lęku wobec akonitu, melancholii w obliczu kwasu solnego i chorobliwej, pulsującej erekcji. Virag będzie mówił o amputacji. Nasz stary przyjaciel lapis. Muszą zostać zagłodzone. Zaduszone końskim włosem, zawiązanym u nasady. Ale przenieśmy nasze rozważania'gdzie indziej, do Bułgarów i Basków. Czy kobiety w męskim przebraniu podobają ci się na pewno, czy nie? (Z suchym chichotem.) Miałeś zamiar przeznaczyć cały rok na studia problemu religii, a w letnich miesiącach 1882 odkryć kwadraturę koła i wygrać ten milion. Cóż za owoc granatu! Od wzniosłości do śmieszności jest tylko jeden krok. Powiedzmy, pidzamy. Albo trykotowe reformy z wstawką w kształcie klina? Albo przyjmijmy te skomplikowane kombinacje, góra i dół z jednego kawałka? (Pieje urągliwie.) Kukurykuuu!

(Bloom przygląda się niepewnie trzem kurwom, słysząc ćmę krążącą nieustannie, później zerka w kierunku przytłumionego fiołkowego światła.)

BLOOM: Pragnąłem wówczas, aby móc postanowić teraz. Nocna koszula nigdy. Stąd to. Ale jutro jest nowy dzień będzie. Przyszłość była jest dzisiaj. Co dziś jest będzie więc jutro, jak dziś było będzie przeszłością wczoraj.

VIRAG: (Pochyla się do jego ucha i chrząka, szepcząc.) Owady żyjące tylko jeden dzień spędzają swe krótkie istnienie w powtarzającym się stosunku, zwabione zapachem gorzej ubarwionych samic, które posiadają srom usytuowany w okolicy grzbietu. Śliczna papużko! (Paple nosowo przez swój żółty, papuzi dziób.) Mniej więcej w roku pięciotysięcznym pięćsetnym pięćdziesiątym naszej ery znane było w Karpatach pewne przysłowie. Jedna łyżka miodu zaciekawi niedźwiedzia bardziej niż pół tuzina baryłek najlepszego octu. Misie

tańczą, gdy pszczoły nie czują. Ale porzućmy to. Możemy podsumować to innym razem. Byliśmy bardzo zadowoleni, my wszyscy inni. (Kasze i, pochyliwszy czoło, pociera nos zagłębieniem dłoni, pogrążony w zadumie.) Odkryjesz, że te nocne owady ciągną do światła. Jest to złudzenie, jeżeli zważy się, że posiadają one złożone, nie mogące się przystosować oczy. W tych wszystkich węzłowych punktach zapytaj siedemnastej księgi moich Podstaw Seksuologii, czyli Namiętności Miłosnej, którą doktor L. B. nazywa najbardziej sensacyjną książką roku. Niektóre z nich, na przykład, poruszają się odruchowo. Zauważ. Jest to jego osobiste słońce. Nocny ptak, nocne słońce, nocne życie. Goń mnie, Karolku! Bzzzzz!

BLOOM: Pszczoła albo wielka mucha onegdaj uderzyła w cień na ścianie oszołomiła siebie potem mnie zablądziła oszołomiona po mojej koszuli w dół dobra robota ja...

VIRAG: (Twarz ma nieruchomą, śmieje się w cieplej, kobiecej tonacji.) Doskonale! Hiszpańska mucha w jego rozporku, czyli musztarda na jego kołku. (Gulgocze chciwie indycznymi koralami.) Indor, indor! Hopaj siup! Gdzie jesteśmy? Sezamie, otwórz się. (Rozwija gwałtownie swój zwój pergaminu i czyta, wodząc błędnym ognikiem nosa w przeciwnym kierunku do liter, które orze pazurem.) Zaczekaj, mój przyjacielu. Przynoszę ci odpowiedź. Zaraz trafimy na ostrzygi z Redbank. Jam jest kucharz doskonały. Te soczyste, nie domknięte skorupiaki mogą nas wspomóc, a także trufle z Perigord. Owe bulwy, przepędzone przez wszystkożernego pana wieprzka, okazywały się niedoścignione w przypadkach niemocy z przyczyn nerwo-

377

wych albo viragitis. Choć woń mają podłą, usztywniają żądlą. (Kiwa głową i papple drwiąco.) Monoki to taka zabawka, szkło optyczne i oprawka.

BLOOM: (Roztargniony.) Optycznie przypadki niedomykania się kobiet wyglądają gorzej. Zawsze otwarty sezam. Rozcięta płeć. Dlatego boją się robactwa i pełzających stworzeń. A przecież Ewa i wąż zaprzeczają temu. Ale to nie jest fakt historyczny. Wyrażna analogia do mego poglądu. Węże są także łakome na kobiece mleko. Pełzną całymi milami przez wszystkożerny las, aby wyssać soczyście jej pierś do sucha. Jak te indyczopocieszne matrony rzymskie, o których czyta się w Elephantu-liasis.

VIRAG: (Wysunął nieco wargi okolone twardymi zmarszczkami, oczy jego są nieruchome, skamieniałe, zamknięte, mówi z zaspiewem monotonnym obcego ludu.) Aby krowy z owymi napęczniałymi wymionami, krowy, o których wiadomo było, że... BLOOM: Zacznę krzyczeć. Przepraszam cię. Ach? Tak. (Recytuje z pamięci.) Dobrowolnie odszukiwały legowisko gada i oddawały swe cycki na łup jego chciwemu ssaniu. Mrówka doi mszyce. (Głęboko). Instynkt rządzi światem. W życiu. W śmierci.

VIRAG: (Przekrzywia głowę, pochyla grzbiet i zgarbione skrzydłaramiona, zerka w kierunku ćmy wyblakłymi, wylupiastymi oczami, wskazuje ją zrogowaciałym pazurem i woła.) Kto to jest Ger Ger? Kto to jest? drogi Gerald? Och, bardzo się obawiam, że może się brzydko poparzyć. Czy jakas oszoba nie przeszkosi jej w tej katastrofie wymachując mit pierwsza klasa serweta stołowa? (Miauczy.) Miau, miau, miau! (Wzdycha, cofa się i opuściwszy dolną szczękę, spogląda z ukosa w dół.) No, no. Wkrótce sobie odpocznie.

Jestem bardzo, bardzo mały, Wiosną latem przez dzień cały W krąg i w krąg jak oszalały. Królem byłem w pełni chwały, Tylko skrzydła mi zostały, Wiatr mnie niesie, wiatr zuchwały, Zły!

(Wpada na fioletową bibułkę abażuru, głośno bijąc skrzydełkami). Krótkie, krótkie, krótkie, krótkie, krótkie, krótkie koszulki.

(Henryk Kwiatek ukazuje się w drzwiach po lewej stronie i dwoma posuwistymi krokami wysuwa się ku przodowi w lewo. Okrywa go ciemny płaszcz iszerokoskrzydłe sombrero z piórem. Niesie intarsjowany drewnem srebrnostruny dulcymer i bambusową fajkę Jacoba z glinianym cybuchem w kształcie kobiecej głowy. Na nogach ma ciemne, aksamitne pończochy i spodnie za kolana, zapięte srebrnymi sprzączkami. Twarz jego jest twarzą romantycznego Zbawiciela, o falistych lokach, cienkiej bródce i wąsiku. Jego wrzecionowate nogi i płaskie stopy należą do tenora Mario, księcia Kandii. Poprawia kryzę mankietów i zwilża wargi, przesuwając po nich lubieżnym językiem.)

HENRYK: (Niskim, melodyjnym głosem, dotykając strun swej gitary.) Znam kwiatek, który rozkwita.

(Wojowniczy Virag zaciska zęby i wlepia wzrok w lampę. Poważny Bloom wpatruje się w szyję Zoe. Henryk galant zwraca swój podwójny podbródek w kierunku fortepianu, i

378

STEFAN: (Do siebie.) Graj z zamkniętymi oczami. Naśladuj tatę. Napycham sobie brzuch obierzynami dla świń. Za wiele tego. Wstanę i odejdę do mojego. Prawdopodobnie, to jest. Stefku, jesteś w gadatliwym nastroju. Muszę odwiedzić starego Deasy albo zadepeszować. Nasze dzisiejsze poranne spotkanie wywarło na mnie wielkie wrażenie. Choć nasze lata. Jutro napiszę wyczerpujący list. Jestem trochę pijany, mówiąc mimochodem. (Znowu dotyka klawiszy.) Teraz nadchodzi akord minorowy. Tak. Ale nie za wiele.

(Almidano Artifoni wyciąga ku niemu rulon nut, poruszając gwałtownie wąsami.)
ARTIFONI: Ci rifletta. Lei rovina tutto. FLORA: Zaśpiewaj nam coś. Starą słodką pieśń miłosną. STEFAN: Brak głosu. Jestem najzupełniej skończonym artystą. Lynch, czy pokazywałem ci ten list o lutni?

FLORA: (Wdzięcząc się.) Ptaszek, który potrafi zaśpiewać, a nie chce. (Bracia syjamscy, Filip Pijany i Filip Trzeźwy, dwaj przełożeni z Oxfordu, ukazują się we framudze okna z maszynkami do strzyżenia trawników. Obaj zamaskowani są twarzą Matthew Arnolda.)

FILIP TRZEŻWY: Przyjm radę głupca. Nie wszystko jest w porządku. Wykalkuluj to sobie ogryzkiem ołówka, mój drogi, młody idioto. Otrzymałeś trzy funty i dwanaście szylingów, dwa banknoty, jednego złotego suwerena, dwie korony, gdyby tylko młodość wiedziała. Mooney en ville. Mooney sur mer, w Mojrze, u Lercheta, w szpitalu przy Holles Street, u Burke'a. Co? Śledzę cię. FILIP PIJANY: (Niecierpliwie.) Ach, bujda, człowieku. Idź do diabła! Oplaciłem moją drogę. Gdybym tylko mógł odkryć, jak to jest z tymi oktavami. Podwojenie jaźni. Któż to wymienił mi jego imię? (Jego maszynka zaczyna mruczeć.) Aha, tak. Zoe mou sas agapo. Mam uczucie, że byłem tu już kiedyś. Kiedy czy to nie z Atkinsonem mam gdzieś jego wizytówkę. Mac ktoś tam. Mam, Unmack. Opowiedział mi o, zaczekaj, Swinburnie, tak czy nie? FLORA: A piosenka?

STEFAN: Duch ochotny, ale ciało mdłe.

FLORA: Czy nie skończyłeś szkoły w Maynooth? Przypominasz mi kogoś, kogo kiedyś znałem.

STEFAN: Już ją skończyłem. (Do siebie.) Co za spryt. FILIP PIJANY I FILIP TRZEŻWY: (Ich maszynki mruczą, wyrzucając fontanny żdźbeł tremy.) Spryt wstyd. Już skończyłem. Już skończyłem. Ale, ale, czy masz tu książkę, tę rzecz, łaskę jesionową? Tak, tam są, tak. Sprytwstyd już skończyłem. Staraj się być w formie. Postępuj jak my.

ZOE: Przedwczoraj w nocy był tu jeden ksiądz i załatwił swój interesik w płaszczu zapiętym na ostatni guzik. Nie musisz się z tym kryć, powiedziałem mu, i tak wiem, że nosisz kołnierzyk przodem do tyłu. VIRAG: Absolutnie logiczne z jego punktu widzenia. Upadek człowieka. (Ochryple, źrenice jego oczu rozszerzają się.) Do diabła z papieżem! Nic nowego pod słońcem. Jam jest Virag, który obnażył seksualne sekrety mnichów i dziewic. Dlaczego zaparłem się Kościoła Rzymskiego. Przeczytaj: Ksiądz, Kobieta i Konfesjonał. Penrose. Rozwydrzona Dziwożona. (Wije się.) Kobieta, ze słodkim zawstydzeniem, odpina swą spódnicę z sitowia i ofiarowuje swą zwilgotniałą yoni lingamowi mężczyzny. Wkrótce mężczyzna obdarza kobietę kawałkami mięsa, upolowanego

379

w dżungli. Kobieta okazuje radość i przyozdabia się różnobarwnymi piórami. Mężczyzna gwałtownie kocha jej yoni swym wielkim, sztywnym lingamem. (Krzyczy.) Coactus volui. Lekkomysłna kobieta zaczyna się włóczyć. Silny mężczyzna chwytą kobietę za przegub. Kobieta piszczy, kasa, pluje. Rozwścieczony mężczyzna bije kobietę w jej tłustą yadganę. (Zaczyna kręcić się w kolko.) Pifpa! Popo! (Nieruchomieje, kicha.) Apsik! (Drapie się w

czubek nosa.) Psik! LYNCH: Mam nadzieję, że zadałaś dobremu księżulkowi pokutę. Dziewięć zdrowasiek za strzał z pastorału.

ZOE: (Wypuszcza nozdrzami kłąb dymu jak mors.) Nie mógł nawiązać łączności. Miał tylko trochę wrażeń, rozumiesz. Na sucho. BLOOM: Biedny człowiek!

ZOE: (Swobodnie.) Biedny, ale tylko z powodu tego, co mu się przydarzyło. BLOOM: Jak to?

VIRAG: (Z diabolicznym grymasem; który rozświetla czarnym blaskiem i wykrzywia jego oblicze, wyciąga chudą szyję. Unosi tępy pysk i wyje.) Verfluchte Goim! On miał ojca, czterdziestu ojców. Nigdy nie istniał. Świński Bóg! Miał dwie lewe nogi. To był Judas lacchias, libijski eunuch, bękart papieża. (Wspiera się na swych umęczonych przednich łapach, zginając sztywno łokcie. Jego oczy, osadzone w czaszce wąskiej jak szyja, patrzą z udręką, gdy ujada pośród oniemiałego świata.) Skurwysyn. Apokalipsa. KITTY: A Mary Shortall poszła do łabaja, bo dostała francy od tego strzelca Jimmy Pidgeona, z którym miała dziecko, a ono nie mogło łykać i zadusiło się na materacyku w konwulsjach, a my wszystkie złożyłyśmy się na pogrzeb. FILIP PIJANY: (Poważnie.) Qui vous a mis dans cette fichue position, Philippe? FILIP TRZEŻWY: (Wesoło.) C'etait le sacre pigeon, Philippe. (Kitty wyciąga szpilkę z kapelusika i odkłada go spokojnie, przyglądając swe farbowane henną włosy. I nigdy chyba piękniejsza, wytworniejsza główka, ozdobiona bardziej ujmującymi lokami, nie spoczywała na ramionach kurwy. Lynch wkłada sobie jej kapelusz. Kitty strąca mu go.)

LYNCH: (Śmieje się.) I pomyśleć, że Mieczników zaszczepiał człekokształtnym małpom tę przyjemność.

FLORA: (Potakuje głową.) Ataksja lokomotoryczna. ZOE: (Wesoło.) Och, gdzie mój słownik.

LYNCH: Trzy panny mądre.

VIRAG: (Wstrząsany gorączkowym dreszczem; masa żółtej ikry przelewa się pieniać przez jego wąskie, epileptyczne wargi.) Sprzedawała lubczyk, biały воск, pomarańczowy kwiat. Centurion rzymski Pantera pokalał ją swymi genitaliami. (Wystawia swój lśniący fosforycznie język skorpiona, rękę trzyma na rozporku.) Mesjasz! Przebił jej błonę. (Z szyderczym, pawianim wrzaskiem podrzuca biodrami i genitaliami, udając plugawy spazm.) Hik! Hek! Kak! Hok! Huk! Kok! Kuk! (Ben Jumbo Dollard, rumiany, tępomuskularny, wlochatonozdrzasty, wielko-brody, kapustouchy, kudlatopierśny, rozczochranogrzywy i tiustocycy, występuje ku przodowi, mając lędźwie i genitalia ciasno opięte czarnymi spodenkami kąpielowymi.)

BEN DOLLARD: (Potrząsając kościanymi kastanietami w wielkich jak łopaty dłoniach, jodłuje jowialnie basbarytonem.) Gdy rozplómienia miłość duszę mą.

(Dziewice: siostra szpitalna Callan i siostra szpitalna Quigley, przedzierają się pomiędzy porządkowymi i przeciskają poprzez sznury, otaczające ring; rzucają się na Dollarda z otwartymi szeroko ramionami.) DZIEWICE: (Wylewnie.) Big Benie! Benie MacChree! GŁOS: Trzymajcie tego faceta w pękających portkach. BEN DOLLARD: (Uderza się po udzie i rzy rozległym śmiechem.) Sam go potrzyмай.

HENRYK: (Pieszcząc na swej piersi odciętą głowę kobietą, mruczy.) Twe serce, moja miła (Dotyka strun swojej lutni.) Gdym ujrzał raz... VIRAG: (Zaczyna przyoblekać się w nową skórę, wypada przy tym moc piór.) Szczury! (Ziewa, ukazując gardziel czarną jak węgiel, a potem zwiera szczęki, uderzając się w podbródek zwojem pergaminu.) Po wygłoszeniu powyższego zabrałem się do odejścia. Do widzenia. Do miłego widzenia. Dreck! (Henryk Kwiatek szybko przyczesuje kieszonkowym grzebyczkiem wąsik i brodę, a potem śliną przygładza włosy. Sterując rapierem sunie ku drzwiom, zawiesiwszy na plecach swą barbarzyńską harfę. Virag osiąga drzwi w dwóch niezgrabnych krokach-podskokach swych szczudeł; ogon ma uniesiony; zręcznie przyklepuje do ściany żółtobiałą papierową ulotkę, przyciskając ją głową.) ULOTKA: K. II. nalepianie wzbronione. Ściśle poufne. Dr Hy Franks. HENRYK: Wszystko już utracone.

(Virag błyskawicznie odkręca sobie głowę i wsadza ją pod pachę.) GŁOWA VIRAGA: Kwak! (Exeunt jeden za drugim.)

STEFAN: (Mówi przez ramię do Zoe.) Wołałabyś pewnie walecznego pastora, który zapoczątkował herezję protestancką. Ale strzeż się psa-mędrca Antystenesa i wspomnij ostatnie chwile Ariusza Herezjarchy. Konanie w kłozecie. LYNCH: Dla niej oni wszyscy to jeden i ten sam Pan Bóg. STEFAN: (Nabożnie.) Wszchemogący Pan wszechrzeczy. FLORA: (Do Stefana.) Głowę dam, że jesteś zwichniętym księdzem. Albo zakonnikiem.

LYNCH: Bo jest. Jest pierworodnym synem grzesznego kardynała i kurwy. STEFAN: Pierworodnym grzechem kardynalnego skurwysyna. (Jego Eminencja Simon Stefan Kardynał Dedalus, Prymas Irlandii, pojawia się w progu, ubrany w czerwoną sutannę, czerwone sandały i czerwone skarpetki. Siedmiu karłowatych małych ministrantów, także w czerwieni, siedem kardynalnych grzechów, podtrzymuje tren jego szaty, zerkając pod nią. Kardynał ma na głowie pomięty, nasunięty na bakier cylinder. Kciuki rozwartych dłoni wsunął pod pachy. Szyję jego otacza różaniec z korków, opadający na pierś i zakończony krzyżemkorkociągiem. Wyjmuje kciuki spod pach i szerokimi, falującymi ruchami wzywa laski z wysokości, a potem obwieszcza, nadawszy się uroczyscie.)

KARDYNAŁ:

Consendo leży schwyтany, Leży w lochu najgłębszym, W kajdany skuty i łańcuchy, Wążące ponad trzy tony.

(Przez chwilę przypatruje się wszystkim obecnym, zamknąwszy prawe oko i wydawszy lewy policzek. Później, nie mogąc pohamować wesołości, zaczyna kiwać się w przód i w tył i śpiewa rozlewnie, hulaszczco, wesoło, podparty pod boki.)

O, biedny chłopczyna, maluśki,

Żó-żó-żó-żó-żółte miał nóżki,

Był tłusty i ciężki i zwinny jak żmija,

Ale jakiś okrutnik cholerny,

By pokropić swe pole lucerny,

Kaczora Nelly Flaherty, kaczek kochanka, zabija.

(Wielka ilość komarów obsiada jego sutannę. Kardynał drapie się skrzyżowanymi rękami po żebrach, robi grymasy i woła.)

Cierpię piekielne katusze. Klnę się na skrzyp skrzypiec i niechaj dzięki będą

Jezusowi za to, że ci mali, śmieszni ludkowie nie są jednomyślni. Gdyby byli, sprowadziliby mnie z oblicza tego pieprzonego globu.

(Przechyliwszy głowę, błogosławi pospiesznie wskazującym i środkowym palcem, rozdaje wielkanocne pocałunki i, zgięty wpół, odchodzi, szurając zabawnie nogami, kołysząc na obie strony kapeluszem i kurcząc się szybko do rozmiaru swych paziów. Karty ministranci idą za nim zygzakiem, chichocząc, zerkając, poszturchując się, strzelając oczyma, rozsyłając pocałunki wielkanocne. Głos jego dobiega z oddalenia, miękkie, miłosierny, męski i melodyjny.)

Zaniesie ci serce me, Zaniesie ci serce me, Balsamiczna woń nocy tej Zaniesie ci serce me.

(Okrągła klamka w drzwiach obraca się.) KLAMKA: Meeeeeee.

ZOE: W tych drzwiach siedzi diabeł.

(Męska postać schodzi po skrzypiących schodach; słyhać, że zdejmuje z wieszaka kapelusz i nieprzemakalny płaszcz. Bloom odruchowo robi krok w przód, przymyka drzwi przechodząc, wyjmując z kieszeni czekoladę i nerwowo częstuje nią Zoe.)

ZOE: (Przelotnie wacha jego włosy.) Cmok. Za dziękuję wszystko się kupuje. Bardzo lubię to, co mi sprawia przyjemność.

BLOOM: (Nadstawia uszu, słysząc głos mężczyzny, rozmawiającego z kurwami na ganku.) A gdyby to był on? Potem? A może dlatego, że nie? Albo może i jedno, i drugie?

ZOE: (Rozdziera srebrny papierek.) Palce wynaleziono przed widelcami. (Odtamuje kawałeczek i gryzie, daje kawałek Kitty Ricketts, a potem odwraca się kocim ruchem w stronę Lyncha.) Czy chcesz tabletkę przeciw francy? (Lynch potakuje. Ona drażni się z nim.) Chcesz teraz, czy zaczekasz, aż ci dadzą? (Lynch otwiera usta, odchyła głowę do tyłu. Zoe przesuwając czekoladę półkolistym ruchem w lewo. Głowa Lyncha idzie za nią. Zoe przesuwając czekoladę w prawo. Lynch idzie za nią wzrokiem.) Łap! (Ciska mu kawałek. Lynch chwyta go zręcznie zębami i przegryza na pół z głośnym chrupnięciem.)

382

KITTY: (Jedząc.) Ten inżynier, z którym byłem na kiermaszu, to ma świetne. Pełne najlepszego likieru. Vice-król tam był z żoną. A jak gazowaliśmy na tych koniach, na karuzeli. Jeszcze mi się w głowie kręci. BLOOM: (W futrze a la Swngali, ręce ma złożone na piersi, na czole kosmyk napoleoński; marszczy brwi jak egzorcysta brzuchomówca i rzuca przeszywające, orle spojrzenie w kierunku drzwi. Później, stojąc sztywno wysuwa naprzód lewą stopę, robi palcami szybki ruch przynaglający i opuszczając prawą dłoń z lewego ramienia, czyni masoński znak mistrza.) Kimkolwiek jesteś, odejdz, odejdz, odejdz, nakazuję ci. (We mgle na zewnątrz rozlega się męskie pokastywanie i odgłos oddalających się kroków. Na twarzy Blooma wyraz odprężenia. Stoi spokojnie, wsunawszy dłoń pod kamizelkę. Zoe częstuje go czekoladą.) BLOOM: (Poważnie.) Dziękuję. ZOE: Rób, co ci każą. Bierz.

(Na schodach daje się słyszeć zdecydowany stuk obcasów damskich.) BLOOM: (Bierze czekoladę.) Środek podniecający? Tak sądziłem. Czy wanilia uspokaja, czy? Mnemo. Przyćmione światło przyćmiewa pamięć. Czerwień wpływa na gruczoły skóry. Barwy oddziałują na charakter kobiet, jeżeli mają one jakiś charakter. Ta czerń zasmuca mnie. Jedz i bądź wesół, nie myśląc o jutrze. (Je.) Wpływają także na poczucie smaku, lilioworóżowy. Ale wiele czasu minęło, odkąd ja. To wydaje mi się zupełnie nowe. Środek podnie. Ten ksiądz. Muszą tu przychodzić. Lepiej późno niż nigdy. Spróbować truflí u Andrewsów. (Drzwi otwierają się. Wchodzi Bella Cohen, tęga bajzelmama. Ubrana jest w trzyćwierciową suknię koloru kości słoniowej, obszytą u dołu ozdobną frędzlą. Chłodzi się, poruszając czarnym, rogowym wachlarzem, podobnie do Minnie Hauck w Carmen. Na lewej dłoni ma obrączki: przytrzymującą i wdowią. Oczy mocno podczernione. Kielkujące wąsy. Oliwkowa twarz ciężka i nieco spocona, nos mięsisty, nozdrza ubarwione pomarańczowo. W uszach wielkie wiszące kolczyki z berylu.) BELLA: Daję słowo! Jestem lepka i spocona, jakby mnie utarzali w błocie. (Przypatruje się obecnym parom. Potem oczy jej zatrzymują się na Bloomie z twardą natarczywością. Wielki wachlarz zapędza fale powietrza ku rozgrzanej

twarzy, szyi i pomiędzy piersi. Jastrzębie oczy lśnią migotliwie.) WACHLARZ: (Poruszając się szybko, potem wolniej.) Żonaty, jak widzę. BLOOM: Tak... Częściowo, gdzieś podziałem... WACHLARZ: (Na pół otwiera się, zamyka.) A pani jest panem. Rządy spódniczki.

BLOOM: (Spuszcza oczy z głupkowatym uśmiechem.) Tak jest, w rzeczywistości. WACHLARZ: (Sklada się zupełnie i wspiera o kolczyk.) Czy zapomniałeś mnie już?

BLOOM: Nak. Tie.

WACHLARZ: (Złożony, wsparty o jej kibić.) Czy o mnie niej śniłeś dawniej? Czy wobec tego ona on ty my wiemy od tego czasu? Czy ja jestem nimi wszystkimi i tymi samymi teraz nami?

(Bella podchodzi i łagodnie uderza go wachlarzem.) BLOOM: (Wzdrygnąwszy się.) Potężna istota. W oczach moich wyczytaj tę ospałość, którą kochają kobiety. WACHLARZ: (Trącąc go lekko.) Spotkaliśmy się. Jesteś mój. Los tak chce.

383

BLOOM: (Zatrwożony.) Rozłożysta niewiasto. Ogromnie pożądam twej władzy nade mną. Jestem wyczerpany, porzucony, już niemłody. Stoję, żeby użyć porównania, przed głównym urzędem pocztowym ludzkiego życia, trzymając w ręce nie nadany list. A na skrzynce pocztowej pisze: za późno. Drzwi i okno otwarte pod kątem prostym tworzą przeciąg, który zgodnie z prawem o spadających ciałach biegnie z prędkością trzydziestu dwóch stóp na sekundę. Przed chwilą uczułem ukłucie ischiasu w jednym z mięśni lewego pośladka. To rodzinne. Biedny, drogi papa, wdowiec, stał się pod jego wpływem prawdziwym barometrem. Wierzył w ciepło ciała zwierzęcego. Jego zimowa kamizelka podbita była kocim futerkiem. Pod koniec życia, pamiętając o królu Dawidzie i Sulamitce, dzielił łożę z Atosem, wiernym i po śmierci. Ślina psia, jak chyba wiesz... (Wzdrygnąwszy się.) Ach!

RICHEL GOULDING: (Obciążony teką, przekracza próg.) Zwodzenie jest pułapką. Najlepsza jakość w Dub. Godna- książęcych nerek i wątroby. WACHLARZ: (Trącąc.) Wszystko ma swój kres. Bądź moim. Teraz. BLOOM: (Niezdycydowanie.) Wszystko teraz? Nie powinienem był się rozstawać z moim talizmanem. Deszcz, wystawienie się na działanie opadającej rosy na skałach nadmorskich to w moim wieku wybryk. Każdy fenomen ma naturalne przyczyny.

WACHLARZ: (Z wolna wskazuje ku dołowi.) Możesz. BLOOM: (Spuszcza oczy i dostrzega jej rozwiązane sznurowadło.) Obserwują nas. WACHLARZ: (Szybko wskazuje ku dołowi.)- Musisz. BLOOM: (Z pożądaniem, z odrazą.) Umiem wiązać w prawdziwy czarny węzeł. Nauczyłem się, kiedy byłem na praktyce w pakowni wysyłkowej u Kelleta. Doświadczona

ręka. Z każdego węzła płynie myśl zwięzła. Pozwól mi. Przez grzeczność. Już raz ukląknę dzisiaj. Ach!

(Bella nieznacznie unosi kraj sukni i chwytając równowagę, opiera o brzeg krzesła pulchne kopyto, obute w trzewik na koturnie; ukazuje przy tym krągłą pędnę w jedwabnej pończosze. Bloom, sztywnonogi, postarzały, pochyla się nad jej kopytem i zaczyna przewlekać sznurowadło delikatnymi palcami.) BLOOM: (Szepcze miłośnie.) Być sprzedawcą butów u Mansfielda, takie było najmielsze marzenie mojej młodości, najdroższa rozkosz słodkiego zapinania guziczków i zasznurowywania na krzyż, aż po kolanka, tych szykownych, wykładanych atlasem bucików z kozłej skóry, tak nieprawdopodobnie małych i należących do pań z Clyde Road. Nawet woskowy, stojący na wystawie model Raymonde odwiedzałem co dnia, aby podziwiać pajęczę pończoszki i palec nogi, gładki, różowy jak łodyga rabarbaru, taki, jaki się nosi w Paryżu. KOPYTO: Wdychaj zapach mojej gorącej, kozłej skóry. Poczuj mój królewski ciężar.

BLOOM: (Przeciągając sznurowadła na krzyż.) Za ciasno? KOPYTO: Jeżeli sfuszerujesz, Wojtusię Pracusię, to tą własną moją nogą podbiję ci twój balonik.

BLOOM: Nie pomylić się w dziurkach, sznurując, jak to zrobiłem tego wieczora na balu dobroczynności. Przynosi nieszczęście. Wsadziłem w złą dziurkę jej... tej osobie, którą wymieniałaś. Tej nocy ona spotkała... Już! (Zawijuje kokardkę. Bella stawia stopę na podłodze. Bloom unosi głowę. Jej szeroka

384

twarz i jej spojrzenie uderzają go między oczy. Oczy mu mętnieją, ciemnieją i tworzą się pod nimi worki, nos grubieje.)

BLOOM: (Bełkocze.) Szanowni panowie, w oczekiwaniu waszych przyszłych zamówień, pozostajemy z szacunkiem...

BELLO: (Patrzy twardym, bazylijszkowym wzrokiem, mówi barytonem.) Haniebny psie!

BLOOM: (W ekstazie.) Cesarzowo!

BELLO: (Obwisają mu ciężkie policzki.) Czcieliu cudzołożnej dupy! BLOOM: (Żałośnie.) Potęgo! BELLO: Gównojadzie!

BLOOM: (Zgina kolana.) Wspaniałość.

BELLO: Padnij! (Uderzają w ramię swym wachlarzem.) Zegnij nogi! Cofnij lewą stopę o krok, a upadniesz. Padasz. Na ręce! BLOOM: (Ma ona oczy na pół przymknięte i uniesione z czcią.) Trufle! (Z rozdzierającym, epileptycznym okrzykiem opada na czworaki, chrząka, sapie, ryje u jego stóp, potem leży, udając nieżywą, mając zamknięte oczy, drgające powieki,

rozpłaszczona na ziemi w postawie najdoskonalszego mistrza.) BELLO: (Ma krótko przycięte włosy, czerwoną grdykę, duży wąs unosi mu się ponad wygolonymi wargami; ubrany jest w góralskie onuce, zieloną kurtkę ze srebrnymi guzikami, tyrolski kapelusz z piórkiem kurki wodnej. Ręce wsunął głęboko w kieszenie spodni; stawia obcas na jej szyi i naciska.) Poczuj całą moją wagę. Kłoń się, niewolna słuگو, przed tronem wspaniałych obcasów twego tyrana, lśniących w swej dumnej wyniosłości.

BLOOM: (Ujarzmiony, beczy.) Przyrzekam wieczyste posłuszeństwo. BELLO: (Wybuch głośnym śmiechem.) Na święty dym kadzideł! Jak mało wiesz o tym, co cię czeka. Jam jest mistrzem, który zadecyduje o twojej nędznej doli i ujarzmi cię! Założę się o kolejkę cocktailing dla wszystkich tu obecnych, że wypoczę z ciebie wszystko, mój stary chłopczyku. Wzywam cię, abyś mi stawiała opór. Jeżeli drżysz w oczekiwaniu tortury obcasa, zniesiesz ją ubrana w kostium gimnastyczny.

(Bloom wczolguje się pod otomanę i zerka spod frędzli.) ZOE: (Rozkłada suknię szerzej tak, żeby ją ukryć.) Nie ma jej tu. BLOOM: (Przymyka oczy.) Nie ma jej tu.

FLORA: (Osłaniają swą suknię.) Ona nie chciała, panie Bello. Ona będzie grzeczna, proszę pana.

KITTY: Niech pan nie będzie dla niej za surowy, panie Bello. Na pewno pan nie będzie przecież, proszę panipana.

BELLO: (Przypochlebnie.) Wyjdź, drogie kaczątko. Chcę z tobą tylko zamienić słówko, kochanie, żeby wprowadzić poprawkę. Tylko parę stów serdecznej rozmowy, moja słodziutka. (Bloom wysuwa bojaźliwie głowę.) No, dobra dziewczynka, dobra, no. (Bello chwyta ją gwałtownie za włosy i wyciąga.) Chcę tylko, dla twojego dobra, dokonać w tobie małej poprawki w miękkim, dobrze ukrytym miejscu. Jak się czuje twój pulchny zadek? Och, zrobimy to delikatnie, kochanie. Przygotuj się. BLOOM: (Mdlejąc.) Nie przebijaj mojej... BELLO: (Z okrucieństwem.) Kółko w nos, obcęgi, bicie w pięty, zawieszanie na haku, knut, który każe ci całować, gdy flety będą grały, jak ongi nubijskim niewol-

385

nikom. Wpadłaś tym razem. Postaram się, żebyś o mnie nie zapomniała przez cały przeciąg twego doczesnego żywota. (Żyły na czole nabrzmiewają mu, twarz kurczy się.) Będę siadywał na twym kanaplecachsiodle każdego ranka, po grzmotnięciu sobie obfitego śniadanka złożonego z płatów tłustej mattersońskiej szynki i butelki portera Guinnessa. (Odbija mu się.) Potem ssać będę znakomite, giełdowe cygarko, czytając Gazetę Koncesjonowanych Dostawców. Bardzo możliwe, że każe cię zarznąć i naszpikować rożenkami w moich stajniach, aby spożywać cię po kawałku z kruchym obwarzankiem, upieczoną na blasze piekarskiej i polaną tłuszczem jak proszę, z ryżem i cytryną albo z

porzeczka. Będzie cię to bolało. (Wykręca jej rękę. Bloom kwiczy i obraca się zadem do góry.) BLOOM: Nie bądź okrutną, nianiu! Nie! BELLO: (Wykręcając.) Jeszcze raz!

BLOOM: (Wrzeszczy.) Ach, to piekło! Każdy nerw mego ciała sprawia mi szalony ból!

BELLO: (Wola.) Dobrze. Klnę się na dupczącego, skaczącego generała, że od sześciu tygodni nie usłyszałem tak dobrej nowiny. No, nie każ mi czekać, ty przeklęta. (Policzkuje ją.)

BLOOM: (Kwili.) Chcesz mnie bić. Poskarżę się... BELLO: Przytrzymajcie go, dziewczęta, póki go nie okraczę. ZOE: Tak. Depcz go. Ja będę deptała. FLORA: Ja będę. Nie bądź taka łapczywa. KITTY: Nie. Ja. Wypożycz mi go.

(Kucharka burdelowa, pani Keogh, pomarszczona, z siwymi włosami na brodzie, ubrana w zapuszczony fartuch, męskie szarozielone skarpetki i chodaki, wysmarowana mąką, ukazuje się w drzwiach, trzymając w obnażonej, czerwonej ręce watek oblepiony surowym ciastem.)

PANI KEOGH: (Dziko.) Czy mogę pomóc? (Przytrzymują i krępują Blooma.) BELLO: (Siada z chrząknięciem na odwróconej na wznak twarzy Blooma, wypuszczając dym z cygara i ściskając czule swą tiustą nogę.) Widzę, że Keating Ciay został wybrany przewodniczącym rady nadzorczej szpitala dla obłąkanych w Richmond. A poza tym, akcje preferencyjne Guinnessa stoją szesnaście i trzy czwarte. Nazwijcie mnie głupcem, bo nie kupiłem tego pakietu, o którym mówili mi Craig i Gard-ner. To takie moje piekielne szczęście, niech je przeklną. A za tego przekłętą fuksa Ulotkę dwadzieścia do jednego. (Ze złością gasi cygaro w uchu Blooma.) Gdzież ta przeklęta, cholerna popielniczka?

BLOOM: (Dźgnięty, przygnieciony zadem.) Och! Och! Potwory! Okrutniku! BELLO: Proś o to co dziesięć minut. Błagaj, módl się o to, jak nie modliłeś się nigdy przedtem. (Podsuwa mu pod nos zaciśniętą w figę pięść i cuchnące cygaro.) Pocałuj to. Oba. Całuj. (Siada okraczając i, ściskając kolana po kawaleryjsku, woła ostro.) Wio! Na koniku na biegunach dojedziemy do biegun! Dosiądę go w wyścigu o nagrodę Eciipse. (Pochyla się w bok i mocno ścisną jądra swego wierzchowca, wrzeszcząc.) Ho! Start! Muszę cię dobrze wytrenować! (Podskakuje na siodle, ujeżdża swego konia na biegunach.) Jedzie, jedzie pan, pan, pan, na koniku sam, sam, sam, a za panem chłop, chłop, chłop, na koniku hop, hop, hop. FLORA: (Odciągając Bello.) Puść mnie na niego teraz. Najeżdżałaś się. Ja prosiłam pierwsza.

386

ZOE: (Odciąga Florę.) Mnie. Mnie. Czy nie skończyłaś z nim jeszcze, pijawko! BLOOM: (Duszac się.) Nie mogę.

BELLO: Nie, jeszcze nie. Zaczekajcie. (Wstrzymuje oddech.) A niech to. Uwaga. Ten czop zaraz wyskoczy. (Odkorkowuje się z tyłu, a potem, z twarzą skręconą wysiłkiem, pierdziglosno.) Chwytaj to! (Zakorkowuje się.) Tak, na Jowisza, szesnaście i trzy czwarte.

BLOOM: ('Zalewa Się potem.) To nie mężczyzna. (Wącha.) Kobieta. BELLO: (Wstaje.) Żadnych więcej powiewów, zimnych ani gorących. Nadeszło to, za czym tęskniłaś. Od tej chwili przestałaś być mężczyzną. Stałaś się moją rzeczą na dobre, oddaną mi, ujarzmioną. A teraz pomyśl o twojej szacie pokutnej. Zostaniesz pozbawiona twego męskiego stroju, czy pojmujesz to, panno Ruby Cohen? i wsuniesz na siebie przez głowę jedwabną, mieniącą się i rozkosznie szeleszczącą suknię, i to prędko.

BLOOM: (Wzdryga się.) Moja pani powiedziała: jedwabną! O, szeleszcząca! drapiąca! Czy muszę ją dotykoniuszkami palców?

BELLO: (Wskazuje swe kurwy.) Jakimi one są teraz, taka i ty będziesz, wyperuczona, podskubana, uperfumowana, upudrowana, z gładko wygolonymi pachami. Zostanie wzięta z ciebie miara krawiecka tuż przy skórze. Zostaniesz z okrutną siłą wtłoczona w sztywny gorset, wykonany z żeberk fiszbinowych obszywanych miękkim gołębioszarym satynowanym drellichem, sięgający do wybrylantowanej miednicy i zakończony lamówką, a kształty twe, krągłejsze jeszcze niż wówczas, gdy znajdowały się na wolności, zostaną wciśnięte w obcisłe suknie, śliczne, dwuuncjo-we hałeczki, falbanki i inne szczególne garderoby, oznaczone, oczywiście, herbem mego domostwa, będzie to prześliczna bielizna, uszyta dla Alicji i pięknie uperfumowana dla Alicji. Alicja będzie się czuła spętana. Marcie i Marii będzie początkowo trochę chłodno w tak cienkim stroju, ale falbanista lekkość koronek wokół twych nagich kolan przypomni ci...

BLOOM: (Czarująca subretka o jaskrawo uróżowanych policzkach, jasnokasz tonowych włosach, wielkich dłoniach, męskim nosie i lubieżnych ustach.) Tylko raz przymierzałem jej rzeczy, taki mały żarcik przy Holles Street. Kiedy źle się nam powodziło, prałem je, żeby zaoszczędzić na pralni. Nosilem wtedy własne koszule na obie strony. Prosta konieczność oszczędzania.

BELLO: (Drwiąco.) Niewielkie robótki, które tak cieszą mamusię, co! a potem w maseczce karnawałowej, za dokładnie zasuniętymi storami, mizdrzyłeś się do lustra, ukazując swe gołe uda i capie wymiona w rozmaitych pozach, pełnych uległości i oddania, co? Ho! Ho! Muszę się śmiać! Ta kupiona z drugiej ręki czarna koszulka pod wieczorową suknię i krótkie, przejrzyste majteczki, rozdarte w szwach na całej długości podczas ostatniego gwałtu, jakiego pozwoliła na sobie dokonać pani Miriam Dandrade, która sprzedała ci je w hotelu Shelbour-ne, co?

BLOOM: Miriam. Czarna koszulka. Dama z półświatka. BELLO: (Wybuch śmiechem.) Jezu Wszechmogący, to aż za śmieszne! Byłeś bardzo przystojną Miriam, gdy przystrzygłeś sobie włoski wokół tylnego wejścia i upadłeś omdlewająco w tej koszulce, kładąc się w poprzek łóżka zupełnie tak samo, jak pani Dandrade w chwili, gdy przystępowali do jej gwałcenia:

porucznik Smythe-Smythe, pan Philip Augustus Blockwell, członek Parlamentu, Signor Laci Daremo, barczys-

387

ty tenor, niebieskooki Bert, windziarz. Henry Fleury, wsławiony pucharem Gordon Bennetta, bogaty pół-mulat Sheridan, wioślarz numer osiem z ósemki starego Trinity, Ponto, jej wspaniały nowofuniandzki pies, i Bobs, księżna wdowa Manorhamilton. (Znowu wybucha śmiechem.) Chryste, kot syjamski by się uśmieiał!

BLOOM: (Drżą jej nerwowo ręce i rysy twarzy.) To Gerald uczynił ze mnie miłośnika gorsetów, gdy grałem kobiecą rolę w naszym szkolnym przedstawieniu sztuki Vice Versa. To mój drogi Gerald. Przejął się tym, urzeczony gorsetem swej siostry. Ostatnio najdroższy Gerald używa różu i złoci sobie powieki. Kult piękna. BELLO: (Ze złośliwą radością w oku.) Piękna! Daj nam odetchnąć! Gdyś zasiadał z kobiecą ostrożnością na wyslizganym tronie ustępowym, unosząc swe pieniste falbanki.

BLOOM: Nauka. Porównywanie rozmaitych uciech, które są udziałem każdej z płci. (Z zapalem.) I, prawdę mówiąc, to jest lepsza pozycja... ponieważ często moczyłem sobie...

BELLO: (Surowo.) Tylko żadnego nieposłuszeństwa. W kącie leżą trociny, przygotowane dla ciebie. Otrzymałeś ściśle instrukcje, prawda? Będziesz to robił na stojąco, mój panie! Nauczę cię, jak się zachowuje genitلمان. Jeśli znajdę choć kropelkę na twych podpaskach. Aha! Klnę się na osła Doranów, że poznasz, jaką jestem czyścioszką. Grzechy twej przeszłości powstają przeciwko tobie. Wiele. Setki.

GRZECZY PRZESZŁOŚCI: (Płatanina głosów'.) Co najmniej zjedna kobietą dokonał obrządku tajemnego małżeństwa w mroku Czarnej Świątyni. Przesyłał w myśli telefoniczne, nie dające się powtórzyć polecenia pannie Dunn, zamieszkałej przy d'ouier Street, wchodząc równocześnie w nieskromny stosunek ze słuchawką w budce telefonicznej. Słowem i czynem zachęcał pewną nocną ladacnicę, aby złożyła kał i inne substancje w małej, nie służącej tym celom budce w pobliżu nie zabudowanych parceli. W pięciu publicznych ustępach wypisał ołówkiem zawiadomienia, w których ofiarowywał swą ślubną małżonkę wszystkim samcom o tęgich członkach. A czy nie spędzał noc po nocy nie opodał przykro woniejącej fabryki witriolu, śledząc zakochane pary, aby dowiedzieć się, co i ile razy będzie mógł zobaczyć. A leżąc w łóżku, ten spasiony dzik, czyż nie pożerał oczyma obrzydliwego kawałka używanego papieru klozetowego, otrzymanego w podarunku od wstrętnej nierządniczy, przekupionej piernikiem i przekazem pocztowym? BELLO: (Gwiżdże głośno.) Powiedz! Które z plugastw, popełnionych przez ciebie w czasie twojej zbrodniczej kariery, było najbardziej obrzydliwe? Wyjaw nam to świństwo w całości. Wyrzygaj je z siebie. Bądź szczery, choć raz. (Nieme, nieludzkie twarze tłoczą się, mizdrzą, znikają, mamrocą, Boolooohuum. Poldy Kogucik, Sznurwadła po pensie, czarownica Cassidy 'ego, ślepy

wyrostek, Larry Nosorożec, ta dziewczyna, ta kobieta, ta kurwa, ta druga, ta...) BLOOM: Nie pytaj mnie: wiara, która nas łączy. Ulica Uciech. Tylko połowę z tego pomyślałem... Przysięgam na wszystko, co mi najświętsze... BELLO: (Stanowczo.) Opowiadaj. Ohydny nędzniku! Chcę wiedzieć. Opowiedz mi coś, co mnie zabawi, coś sprośnego albo dobrą pieprzną bajkę o duchach, albo zarecytuj coś z poezji, szybko, szybko, szybko! Gdzie? Jak? O której? Z iloma? Daję ci trzy sekundy czasu. Raz! Dwa! Trz...!

388

BLOOM: (Mamrocze ulegle.) Ja nos... wetkałem... zatkałem... w zad kałem... BELLO: (Władczo.) Och, milcz, śmierdzielu! Trzymaj język za zębami! Mów, kiedy się do ciebie zwracają.

BLOOM: (Kłania się.) Panie! Pani! Mężogromczyni! (Unosi ramiona. Opadają ozdobne bransolety.) BELLO: (Ironicznie.) Za dnia będziesz moczyła i płukała nasze śmierdzące majtki, także te, które noszone były przez chwilowo niezdrowe damy, myła nasze ustępy z podpiętą kiecką i brudną ścierką uwiązaną u ogona. Czy to nie będzie śliczne? (Wkłada jej na palec pierścion z rubinem.) Otóż to. Tym pierścieniem biorę cię w posiadanie. Mów, dzięk ci, pani. BLOOM: Dzięki ci, pani.

BELLO: Będziesz słała łóżka, przygotowywała moją kąpiel, wypróżniała nocniki we wszystkich pokojach, nie wyłączając piaszczystej zawartości nocnika starej pani Keogh, kucharki. Tak, a także będziesz płukała siedem ich dokładnie albo wychłep-tywała, jakby to był szampan. Pij mnie na gorąco! Hop! Zatańczysz, jak ci zagram, bo inaczej zrobię ci wykład o twoich nieprawościach, panno Ruby, i przetrzępię ci dobrze twój goły tyłek, moja panno, szczotką do włosów. Zostaniesz pouczona o błędach twego żywota. Wieczorem twe nakremowane, wybransoletowane dłonie wsunięte będą w zapinane na czterdzieści trzy guziczki rękawiczki, świeżo wysypane talkiem i o lekko naperfumowanych koniuszkach palców. Za tyle łask dawni rycerze kładli w ofierze życie. (Chichocze.) Moi chłopcy będą bezgranicznie oczarowani, widząc cię tak kobiecą, a pułkownik bardziej niż wszyscy. Gdy przybędą tu dla spędzenia ostatniego kawalerskiego wieczoru przed ślubem, pieścić będą moją najnowszą atrakcję w złotych pantofelkach. Najpierw sam cię wypróbuję. Pewien znany mi z toru wyścigowego pan, o nazwisku Charies Alberta Marsh (leżałem przed chwilą w łóżku z nim i z drugim panem z Biura Paczek i Paczuszek), poszukuje dziewczyny do wszystkiego na każde żądanie. Wypnij pierś. Uśmiechnij się. Opuść ramiona. Jakie oferty? (Wskazuje Blooma.) Ile za to stworzenie, wytresowane przez właściciela, aby aportowało i nosiło koszyk w pysku? (Obnaża ramię i wbija je, aż po łokieć, w pochwę Blooma.) Oto piękne głębiny dla was! Co, chłopcy? Czy usztywnia to was trochę? (Podsuwa ramię podnoś reflektantom.) No, wszyscy na pokład!

REFLEKTANT: Florena.

(Woźny od DUlona dzwoni swym ręcznym dzwoneczkiem.) GŁOS: O szylinga i osiem pensów za wiele. WOŹNY: Dzyń dzyń!

CHARLES ALBERTA MARSH: Musi być dziewczą. Świeży oddech. Schludny. BELLO: (Uderza młotkiem licytacyjnym.) Najmniej dwa funty. To najniższa cena i jest jej wart. Wysoki na czternaście dłoni. Proszę go macać i badać szczegóły. Obracajcie nim. Ta puszką pokryta skóra, te wiotkie mięśnie, to kruche ciało. Gdybym tylko miał tu mój złoty przebijacz. Łatwo się doi. Trzy galony świeżego dziennie. Czystej rasy rozplódówka, gotowa zlegnąć w ciągu godziny. Jego pramatka pobiła rekord, dając tysiąc galonów pełnotłustego mleka w czterdzieści tygodni. Ha, mój klejnocie! Przyjemny wyraz twarzy! Ha! (Wypala swój inicjał C na zadzie Blooma.) Tak! Gwarantowany Cohen! Kto da więcej niż dwa s/ylingi, panowie?

389

CZŁOWIEK O CIEMNYM OBLICZU: (Z udanym obcym akcentem.) Zto wuntów zterlin-ków.

GŁOSY: (Przytłumione.) Dla Kalifa Harun Al Raszyda. BELLO: (Wesoło.) Dobrze. Niechaj wszyscy nadejdą. Kusa, wyzywająco przykrót-ka spódniczka, unosząca się do kolan, aby ukazać rąbek białych pantalonetek, jest potężnym orężem, a przezroczyście pończoszki o szmaragdowych podwiązkach i z długim, prostym szwem, biegnącym w górę za kolano, odwołują się do najlepszych instynktów wielkomiejskiego zblazowańca. Naucz się poruszać drobnymi, przesadnymi kroczkami na czterocalowych obcasach Louis XV, naucz się greckiego pochylenia z wabiącym zadkiem, uda poruszają się płynnie, kolana tulą się skromnie do siebie. Rzuć na nich cały czar swego uroku. Spełniaj wszystkie ich gomoryjskie zachcianki.

BLOOM: (Kryje zarumienioną twarz w zagłębieniu ramienia i wdzięczy się, wkładając palec w usta.) Och, wiem, do czego zmierzasz teraz. BELLO: A do czegoż więcej może się przydać takie impotenckie stworzenie jak ty? (Pochyla się, i zajrzawszy, szturcha grubiańsko wachlarzem w faldy tłuszczu na podbrzuszu Blooma.) Niech stanie! Niech stanie! Kot bez ogona! Co tam masz? A gdzież to się podział twój kudłaty imbryczek, czy może ktoś ci go obciął, mój koguciku? Zaśpiewaj, ptaszku, zaśpiewaj. Jest tak obwisły jak u sześciolatniego chłopczyka, robiącego siusiu za furmanką. Kup sobie wiaderko albo sprzedaj pompkę. (Głośno.) Czy jesteś w stanie spełniać męskie obowiązki? •" BLOOM: Przy Eccies Street...

BELLO: (Sarkastycznie.) Nie chciałbym za nic w świecie urazić twych najświętszych uczuć, ale tam władza w tej chwili męczyzna o krzepkiej żyle. Karty się odwróciły, mój wesoły chłopczyko. Jest to okaz rosnącego, byłego męczyzny. Lepiej by ci było, ty niezdaro, gdybyś miał taki oręż, pokryty węzłami, zgrubieniami i brodawkami. Trafił swym grotem w sam

środek, mogę ci to zdradzić! Stopy przy stopach, kolana przy kolanach, brzuch przy brzuchu, cycki przy piersi! To nie eunuch. Ma kępkę rudych włosów, która sterczy mu spod zada jak krzak janowca. Poczekaj dziewięć miesięcy, chłopcze! Wielkie nieba, ono już tam kopie i kaszle w jej wnętrznościach! To cię doprowadza do szału, prawda? Trafiłem w czułe miejsce. (Pluje ze wzgardą.) Spluwaczko!

BLOOM: Zostałem nieuczciwie potraktowany. Ja... doniosę policji. Sto funtów. Niewymowne. Ja...

BELLO: Żebyś miał, tobyś pchał, ty kulawe kaczątko. Wodospadu chcemy, a nie twego ciurkania.

BLOOM: To mnie doprowadza do szaleństwa! Moll! Zapomniałem! Przebacz! Moll!... My... Nadal...

BELLO: (Bezlitośnie.) Nie, Leopoldzie Bloom, wszystko zmieniło się z woli kobiety od chwili, gdy usnąłeś na wznak w Kotlinie Drzemki i przespałeś noc trwającą lat dwadzieścia. Cofnij się i spójrz. (Dawna Kotlina Drzemki wola ponad pustkowieciem.) KOTLINA DRZEMKI: Rip Van Winkle! Rip Van Winkle! BLOOM: (W podartych mokasynach, niosąc zardzewiałą strzelbę myśliwską, skrada się na palcach, a jego wynędzniałe, kościste, brodate oblicze zerka przez romboidalne

390

szkła, wykrzykuje.) Widzę ją! To ona! Pierwszy wieczór u Mata Diiiona! Ale ta sukienka, ta zieleń! I włosy ma ufarbowane na złoty kolor, a on... BELLO: (Śmieje się szyderczo.) To twoja córka, ty sowo, w towarzystwie studenta z Mullingar.

(Milly Bloom, jasnowłosa, zielonoodziana, smukłobuta, z niebieską szarfą, która szumi na wietrze jak morze, wyrwa się z ramion swego kochanka i wola, a jej młode oczy są szeroko otwarte ze zdumienia.) MILLY: O jej! To Papli! Ale. Och, Papli, jak się postarzałeś! BELLO: Zmienił się, co? Nasze bógwieco, nasz stół do pisania, przy którym nigdy nie pisaliśmy, fotel cioci Hegarty, nasze reprodukcje dawnych mistrzów. Mężczyzna i jego przyjaciele żyją tam w dostatku. Matecznik Rogacza. Czemuż by nie? Powiedz, ile miałeś kobiet? Na swoich płaskich stopach siedłeś za nimi po nie oświetlonych ulicach, podniecając je swymi przytłumionymi chrząknięciami. Co, ty męska kurwo? Niepokalane damulki z koszykami pełnymi warzyw. Spójrz wstecz. Sos dla gąski z gąsiorka, och. BLOOM: Oni... ja...

BELLO: (Ucinając.) Obcasz tych panów przetrą brukselski dywan, który kupiłeś na licytacji u Wrena. Ich bycze zabawy z Molly swawolnicą polegające na poszukiwaniu rozjuszonych pchły w jej majtkach, pozbawią głowy tę małą statuetkę, którą niosłeś w deszcz do domu jako sztukę dla sztuki. Zhańbią tajemnice twojej dolnej szuflady. Wyrwą kartki z twego

podręcznika astronomii, żeby przeczyścić sobie nimi fajki. I będą pluli na twoją kratę przy kominku, kupioną za dziesięć szylingów od Hampton Leedom.

BLOOM: Dziesięć szylingów i sześć pensów. Łajdackie postępowanie. Pozwól mi odejść. Wróć. Dowiodę... GŁOS: Przysięgnij!

(Bloom zaciska pięści i czołga się naprzód, trzymając w zębach nóż myśliwski.) BELLO: Czy jako płacący gość, czy jako najemnik? Za późno. Jak sobie posłałeś swoje mniejlepsze łóżko, tak się w nim wyśpią inni. Twoje epitafium zostało już napisane. Upadłeś, wypadłeś i nie zapominaj o tym, stare ziółko. BLOOM: Sprawiedliwości! Cała Irlandia przeciw jednemu! Czy nikt... (Gryzie kciuk.)

BELLO: Zgiń i bądź przeklęty, jeżeli masz w sobie chociaż jeszcze trochę poczucia godności i przyzwoitości. Mogę ci dać łyknąć rzadkiego, starego wina, które natychmiast wyśle cię do wszystkim diabłów i z powrotem. Napisz testament, w którym pozostawisz nam wszystko, do ostatniego miedziaka. Jeżeli nie masz ani jednego, to, u diabła, postaraj się, ukradnij, zróbuj! Pochowamy cię w krzakach otaczających ustęp, gdzie będziesz spoczywał, zmarły i zaszargany, obok starego Cucka Cohena, mego przybranego siostrzeńca, za którego wysłałam za mąż, a także obok tego pieprzonego, starego podagryka prokurenta i obok sodomity z kluczami w szyi oraz obok dziesięciu czy jedenastu pozostałych moich mężów, nie pamiętam już, jak się te gnidy nazywały, utopionych we wspólnym dole kloacznym. (Wybuch głośnym, flegmistycznym śmiechem.) Będziemy cię nawozić, panie Kwiatku (Piszczysz drwiąco.) Żegnaj, Poldy! Żegnaj, Papli! BLOOM: (Chwyta się za głowę.) Moja siła woli! Pamięć! Grzeszyłem! Cierpią... (Łka bez łez.)

39]

BELLO: (Szyderczo.) Dwidzibeb! Krokodyle łyż! (Bloom, złamany, w gęstym welonie ofiarnym, łka z twarzą zwróconą ku ziemi. Słychać żałobny dzwon. Okryte ciemnymi szalami postaci obrzezanych, odziane w wory pokutne i posypane popiołem, stoją przy ścianie płaczu. M. Shulomowitz, Joseph Goldwater, Mojżesz Herzog, Harris Rosenberg, M. Moisel, J. Citron, Minnie Watchman, O. Mastiansky, Wielebny Leopold Abramowitz, Chazen. Kołysząc ramionami zawodzą chóralnie nad Bloomem zaprzańcem.) OBRZEZANI: (Śpiewają ponurą, gardłową pieśń, obrzucając Blooma nie kwiatami, lecz owocami martwego morza.) Shema Israel Adonai Elohenu Adonai Echad. GŁOSY: (Westchnienia.) Więc odszedł. Ach tak. Tak, rzeczywiście. Bloom? Nigdy o nim nie słyszałem. Nie? Dziwny facet. Oto wdowa. Ach tak? Ach tak. (Z wdowiego stosu unoszą się żywiczne płomienie gorejącego drzewa kamforowego. Kotara żałobnych dymów kadzidlanych zakrywa widok i rozwiewa się. Ze swej dębowej ramy wychodzi nimfa o rozpuszczonych włosach, w stroju zwiewnym o artystycznym herbacianym odcieniu, zstępuje w dół z swej groty, przechodzi pod splecionymi konarami żydębów i zatrzymuje się nad Bloomem.) ŻYDĘBY: (Ich liście szepczą.) Siostra. Nasza siostra. Sza. NIMFA: (Miętko.) Śmiertelniku! (Łagodnie.) Nie,

niechaj ustaną twe łzy! BLOOM: (Galaretowato czołga się naprzód pod konarami, oświetlony padającymi przez nie smugami słońca, pełen dostojeństwa) To położenie. Przypuszczam, że oczekiwano tego ode mnie. Siła przyzwyczajenia. NIMFA: Śmiertelniku! Odnalazłeś mnie w złym towarzystwie podkasanych tancerek, podmiejskich pijaczyn, bokserów, przywódców ludowych, zepsutych, ubranych w cieliste trykoty chłopców z pantomimy i szykownych tancerek shimmy w La Aurora i Karini, spektaklu muzycznym, sensacji stulecia. Zawinięta byłam w tandetną, różową bibułę, cuchnącą naftą. Byłam otoczona zatęchłą sprośnością bywalców klubowych, historyjkami opowiadanymi, by zdeprawować niedoświadczoną młodzież, ogłoszeniami reklamującymi obrazy na przezroczystym papierze, dokładnie obciążone kości do gry, biustonosze z poduszeczkami, artykuły specjalne z wyłącznym prawem produkcji i dlatego trzeba nosić pas rupturowy, poświadczone przez gentlemana z przepukliną. Pożytecznymi radami dla małżonków. BLOOM: (Kładzie na jej kolanach swą żółwią głowę.) Spotkaliśmy się już kiedyś. Na innej planecie.

NIMFA: (Ze smutkiem.) Wyroby gumowe. Nigdy pękł. Gatunek, jaki dostarczamy arystokracji. Gorsety dla mężczyzn. Leczę konwulsje lub zwracam pieniądze. Pisane od serca listy z podziękowaniami za cudowny biustorozwijacz profesora Wald-manna. Obwód moich piersi powiększył się o cztery cale w ciągu trzech tygodni, podaje pani GUS Rublin załączając fotografię. BLOOM: Masz na myśli Foto-Okruchy?

NIMFA: Tak. Zabrałeś mnie stamtąd, oparałeś w złoconą, dębową ramę i powiesiłeś nad swym małżeńskim łóżem. Nie będąc przez nikogo widzianym, ucałowałeś pewnego letniego wieczora cztery miejsca na moim ciele. Rozmiłowanym ołówkiem wycieniowałaś me oczy, piersi i srom.

BLOOM: (Całując z pokorą jej długie włosy.) To twe klasyczne kształty, o piękna nieśmiertelna. Byłem szczęśliwy, mogąc patrzeć na ciebie, wychwalać ciebie, przedmiocie piękna, nieomal modlić się do ciebie.

392

NIMFA: Podczas ciemnych nocy słyszałam, jak wychwalałeś mnie. BLOOM: (Pospiesznie.) Tak, tak. Chcesz powiedzieć, że ja... Sen odkrywa najgorsze cechy każdego z wyjątkiem może dzieci. Wiem, że wypadłem z łóżka, a raczej zostałem wypchnięty. Mówią, że chrapanie można usunąć wyciągiem z liści cola. Jeżeli chodzi o resztę, to istnieje ten angielski wynalazek, którego opis otrzymałem kilka dni temu, omyłkowo zaadresowany. Twierdzi, że umożliwia bezszelestną, bezwoną went. (Wzdycha.) Zawsze tak było. Słabości, na imię ci małżeństwo. NIMFA: (Zatyka uszy palcami.) I słowa. Nie ma ich w moim słowniku. BLOOM: Zrozumiałaś je? ŻYDĘBY:Sza.

NIMFA: (Zakrywa twarz dłonią.) Czegóż nie widziałam w tej sypialni? Ku czemu musiały zniżyć się moje oczy!

BLOOM: (Przepraszająco.) Wiem. Brudna bielizna osobista troskliwie odwrócona na lewą stronę. Nakrętki obluzowały się. Długa podróż morzem z Gibraltaru przed wielu laty.

NIMFA: (Pochyla głowę.) Gorzej! Gorzej!

BLOOM: (Zastanawia się przezornie.) Ta staroświecka nocna szafka. To nie z powodu ciężaru. Ważyła równo siedemdziesiąt kilogramów. Przybyło jej prawie pięć po odłączeniu dziecka od piersi. Było pęknięcie, brak było kleju i rozeszło się. Co? I to nonsensowne naczynie z pomarańczową obwódką, mające tylko jedno ucho. (Słysząc głos wodospadu, opadającego wesolą kaskadą.)

WODOSPAD:

Poulaphouca Poulaphouca Poulaphouca Poulaphouca

ŻYDĘBY: (Splatając swe konary.) Słuchajmy. Szepczmy. Nasza siostra ma słuszość. Wyrośliśmy nad wodospadem Poulaphouca. Rzucaliśmy cień w upalne dni lata.

JOHN WYSE NOLAN: (W głębi, ubrany w mundur Państwowej Irlandzkiej Służby Leśnej, zdejmując kapelusz z piórkiem.) Rozwijajcie się! Rzucajcie cień w upalne dni, o drzewa Irlandii!

ŻYDĘBY: (Szepczą.) Kto przybył do Poulaphouca z wycieczką szkolną? Kto porzucił swych zbierających orzechy kolegów, by szukać naszego cienia? BLOOM: (Wąskopiersny, o spadzistych, watowanych ramionach, wbity w nieokreślonego kroju chłopięce czarnoszare prążkowane ubranko, zbyt małe na niego, w tenisowe pantofle, zawinięte u góry pończochy z szlaczkiem i czerwoną czapkę szkolną z odznaką.) Byłem wtedy kilkunastolatkiem, dorastającym chłopcem. Niewiele wówczas wystarczało, trzęsący się pojazd, pomieszczone wonie garderoby i toalety dla pań, tłum stłoczony ciasno na schodach starego Royalu, gdyż kochają one ścisk, instynkt stada, a ciemny, pociągający teatr wyzwala grzech. Nawet cennik ich bielizny. I do tego upał. Tego lata pokazały się plamy na słońcu. Koniec roku szkolnego. I ciastko ponczowe. Dni halcyońskie. (Dni halcyońskie, chłopcy z gimnazjum ubrani w biało-niebieskie trykotowe koszulki piłkarskie i krótkie spodenki: kawaler Donald Turnbuli, kawaler Abraham Chatter-ton, kawaler Owen Goldberg, kawaler Jack Meredith, kawaler Percy Apjohn, stoją na polance pośród drzew i wrzeszczą do kawalera Leopolda Blooma.)

393

DNI HALCYOŃSKIE: Makrelo! Wróć do nas znowu! Hurra! (Wiwatują.) BLOOM: (Maminsynek, ciepłourękawiczniony, okręcony maminszalikiem, oszołomiony kulami

śnieżnymi, stara się powstać.) Znowu! Mam szesnaście lat! Co za uciecha! Zadzwonimy we wszystkie dzwonki przy Montague Street. (Wydaje słaby radosny okrzyk.) Niech żyją szkolne przyjaźnie! ECHO: Błaźnie!

ŻYDEBY: (Szumiąc.) Ma słuszość nasza siostra. Szepczmy. (Pocałunki wśród szeptów dają się słyszeć w całym lesie. Twarze hamadriad zerkają z pni i spośród liści i pękają, rozwijając się w kwiaty.) Kto sprofanował naszą cienistą ciszę? NIMFA: (Bojaźliwie, zasłaniając oczy palcami.) Tam! Na świeżym powietrzu? ŻYDEBY: (Wskazują konarami w dół.) Tak, siostró. Na naszej dziewiczej murawie. WODOSPAD:

Poulaphouca Poulaphouca Pukapuka Pukapuka.

NIMFA: (Rozczapierza palce.) O! Hańbo!

BLOOM: Byłem przedwcześnie rozwinięty. Młodość. Faunowie. Złożyłem ofiarę bożkowi leśnemu. Kwiaty, które rozkwitają na wiosnę. Był to czas rui. Przyciąganie wskutek włoskowatości jest naturalnym fenomenem. Z pomocą lornetki operowej mego biednego taty zobaczyłem poprzez źle zasunięte story płowowłosą Lotty Ciarke przy jej wieczornej toalecie. Ta mała szelma jadła trawę. Sturlała się w dół po pochyłości nasypu przy moście Rialto, żeby mnie podniecić dzikością swego usposobienia. Wdrapała się na ich pochyłe drzewo, a ja... Święty nie mógłby się temu oprzeć. Demon posiadał mnie. A poza tym, kto widział? (Bob, cielak, co mu jeszcze nogi drżą, wysuwa spomiędzy gałęzi swój przeżuwający biały łeb o wilgotnych nozdrzach.) BOB co MU JESZCZE NOGI DRŻĄ: Ja. Ja widzieć. BLOOM: Po prostu zaspokojenie potrzeby. (Z patosem.) Żadna dziewczyna nie chciała, kiedy szedłem na dziewczynki. Za brzydkie. Nie chciały się bawić... (Wysoko na Ben Howth przesuwają się pośród rododendronów pulchnowymionna, krótkoogoniasta koza i gubi bobki.) KOZA: (Beczy.) Jaaaaaa! Kozaaaaaa!

BLOOM: (Bez czapki, zarumieniony, obsypany kulkami ostu i janowca.) Byliśmy oficjalnie zaręczeni. Okoliczności zmieniają bieg wypadków. (Ze skupioną uwagą spogląda w dół ku wodzie.) Trzydzieści dwie głowy w dół, na sekundę. Nocna zmora dziennikarza. Cierpiący na zawroty głowy Eliasz. Spadł ze skały. Smutny koniec urzędnika drukarni rządowej. (Poprzez srebrnosenne słoneczne powietrze manekin Blooma, zawinięty jak mumia, spada tocząc się ze skały Lwia Głowa w oczekujące purpurowe wody.)

MUMIABLOOMIA: Błbłbłbłbłbłbłchlup?

(Daleko, pośrodku zatoki, pomiędzy latarniami Bailey i Kish, płynie Król Ery-nu, wysyłając z komina w stronę lądu rozszerzający się pióropusz węglowego dymu.)

RADCA NANNETTI: (Samotny na pokładzie, w ciemnym płaszczu z wielbłądziej sierści, : pożółkłą, jastrzębią twarzą, deklamuje wsunawszy dłoń pod kamizelkę.)

Gdy ojczyzna moja zajmie należne jej miejsce pomiędzy narodami ziemi, wówczas. ale nie wcześniej, niechaj zostanie nakreślone moje epitafium. Skon... BLOOM: Czyłem. Uff.

NIMFA: (Wyniośle.) My, nieśmiertelni, jak to dzisiaj zdołałeś zauważyć, nie mamy takiego miejsca i nie rosną nam tam włosy. Jesteśmy kamiennozimni i czyści. Jadamy światło elektryczne. (Wygina swe ciało w lubieżnym przegięciu i wkłada sobie wskazujący palec w usta.) Odezwałeś się do mnie. Słyszałam cię z tyłu. Jak mogłeś więc...?

BLOOM: (Upokorzony, chodzi tam i na powrót po wrzosowisku.) Och, byłem zupełną świnią. Stosowałem także lewatywy. Niecała szklanka gorzko drzewu, do której trzeba dosypać łyżkę soli kamiennej. Wepchnąć jak najgłębiej. Gruszką Hamiltona Longa, przyjaciółką dam.

NIMFA: W mojej obecności. Puszek do pudru. (Rumieni się i dyga.) I cała reszta.

BLOOM: (Przygnębiony.) Tak. Peccavi! Składałem hołd na tym żywym ołtarzu w miejscu, gdzie plecy zmieniają swe imię. (Z nagłym ożywieniem.) Bo czemuż by wytwornie uperfumowana, upierścieniona dłoń, dłoń, która włada...? (Korowód gruchających postaci przesuwają się wężowo wokół pni drzew na rycinie przedstawiającej krajobraz leśny.)

GŁOS KITTY: (W gęstwinie.) Daj nam jedną z tych poduszek. GŁOS FLORY: Łap! (Głuszczy bije niezgrabnie skrzydłami w poszyciu.) GŁOS LYNCHA: (W gęstwinie.) Ho, ho! Gorąca jak ukrop! GŁOS ZOE: (Z gęstwiny.) Przybyła z gorących stron. GŁOS VIRAGA: (Wódz ptasi, pomalowany w niebieskie pasy, ozdobiony piórami, wstępuje w pełnym rynsztunku na ścieżkę wojenną, niosąc oszczep, idzie przez trzeszczące trzciny po szyszkach bukowych i żołędziach.) Gorąco! Gorąco! Strzeżcie się Siedzącego Byka!

BLOOM: To silniejsze niż ja. Ciepłe odbicie jej ciepłych kształtów. Nawet siedzieć w tym miejscu, gdzie siedziała kobieta, a szczególnie z rozwartymi udami, jak gdyby akcentując ostateczną łaskę, a najbardziej szczególnie, gdy uniosła przedtem białe, satynowe poły zakietu. Tak wypełnione kobiecością. To mnie w pełni wypełnia. WODOSPAD:

Philaphalla Poulaphouca Poulaphouca Poulaphouca.

ŻYDEBY: Sza! Siostró, przemów!

NIMFA: (Bezoka, w białym habicie, w kwefie zakonnym i w wielkim, skrzydlatym komecie, mówi miękko, oczy ma zamknięte.) Klasztor Tranquilla. Siostra Agata. Góra Karmel. Zjawy z Knock i Lourdes. Żadnych więcej pożądań. (Pochyla głowę, wzdycha.) Tylko eteryczność. Gdzie słodka i senna mewa nad głębiną wód powiewa.

(Bloom dźwiga się w górę. Tylny guzik jego spodni odlatuje jak z procy.) GUZIK: Bip!

(Dwie zdziury z Coombe tańczą nie opodal pośród deszczu; owinięte są w szale i wrzeszczą ochryple.)

395

ZDZIRY:

Och, Leopold zgubił od majtek szpilkę I nie wie, co zrobić ma, By trzymało się, By trzymało się.

BLOOM: (Chłodno.) Przełamałaś zakłęcie. Ostatnie żdźbło. Gdyby istniało tylko to, co eteryczne, to gdzież byście były, wy wszystkie, postulantki i nowicjuszki? Wstydliwe, lecz uległe jak szczący osioł.

ŻYDĘBY: (Ich srebrzystolistne konary pochylają się, kościste ramiona starzeją się i chwieją się.) Krótkotrwale!

NIMFA: Świętokradztwo! Uczynić zamach na moją cnotę! (Wielka, wilgotna plama ukazuje się na jej szacie.) Zbrukać moją niewinność! Nie jesteś godzien dotknąć sukien czystej kobiety. (Przyciska do siebie swą szatę.) Wstrzymaj się, szatanie. Nie będziesz już wyśpiewywał więcej pieśni miłosnych. Amen. Amen. Amen. Amen. (Wydobywa sztylet i odziana w kolczugę rycerza obranego przez dziewięciu mężnych, zamierza się w kierunku jego lędźwi.) Nekum! BLOOM: (Podrywa się, chwytając jej dłoń.) Hola! Nebrakada! Kocie o dziewięciu istnieniach! Postępuj uczciwie, moja pani! Bez sekatora ogrodniczego! Lis i winogrona, co? Cóż masz przeciw nam, że owijasz się drutem kolczastym? Czy krucyfiks nie jest dostatecznie gruby? (Szarpie jej welon.) Czy trzeba ci świątobliwego przeora, czy może kulawego ogrodnika Brophy'ego, a może posągu woziwody bez sikawki albo dobrej Matki Alfonsus, co, Lisie? NIMFA: (Z okrzykiem ucieka przed nim odarta z welonu, jej gipsowy odlew pęka, a szparami wydobywa się chmura smrodu.) Poli...! BLOOM: (Wola za nią). Jak gdybyście nie raczyły się tym same w dwójnasób. Żadnych wstrząsów ani śliskiego śluzu rozmnażania na twym ciele. Próbowiałem tego. W naszej słabości twoja siła. Ile nam zapłacisz za rozpłód? Ile nam zapłacisz od kija? Czytałem, że opłacasz tancerzy na Riwierze. (Uciekająca nimfa wznosi irlandzką pieśń żałobną.) Hej! Mam za sobą szesnaście lat czarnej, niewolniczej pracy. A czy sąd przysięgłych przyznałby mi jutro chociaż pięć szylingów alimentów, co? Ogłupiaj kogo innego, nie mnie. (Pociąga nosem.) Ale. Cebule. Zgniłe. Siarka. Tłuszcz.

(Postać Belli Cohen stoi przed nim.) BELLA: Następnym razem będzie mnie pan już znał. BLOOM: (Przygląda się jej z zimną krwią). Passee. Baranina przebrana za jagnię. Za wielkie zęby i za dużo zbytecznych włosów. Surowa cebula przed snem poprawiłaby pani cerę. I trzeba masować ten podwójny podbródek. Oczy ma pani tak puste jak oczy tego

wypchanego lisa pani. Mają rozmiary innych pani członków, to wszystko. Nie jestem trójskrzydłą śrubą okrętową.

BELLA: (Pogardliwie.) Nie wyglądasz mocarnie, to fakt. (Jej macierzą pizdogęba ujada.) Fohracht!

BLOOM: (Pogardliwie.) Oczyszczyć sobie najpierw ten środkowy palec bez paznokcia, bo wystygła męskość twego frajera skapuje ci z twego koguciego grzebienia. Weź wiązkę siana i podetrzyj się. BELLA: Znam cię, akwizytorze! Śnięty dorsz!

396

BLOOM: Widziałem go, bajzeltatę! Handlarza francą i ropą! BELLA: (Odwraca się w stronę pianina.) Które z was grało marsza żałobnego z SauW.

ZOE: Ja. Pilnuj swoich bławatków. (Podbiega do pianina i uderza w klawisze skrzyżowanymi dłońmi). Spacer kota po żużlu. (Zerka za siebie.) Co? Kto robi słodkie oczy do moich chłopców? (Ponownie podbiega do stołu.) Co twoje, to moje, co moje, to nie rusz.

(Kitty, zmieszana, oblepia zęby srebrnym papierkiem. Bloom podchodzi do Zoe.) BLOOM: (Łagodnie.) Oddaj mi ten ziemniak, dobrze? ZOE: Fanty to doskonała rzecz, najdoskonalsza rzecz. BLOOM: (Z uczuciem.) Nie przedstawia żadnej wartości, ale to pamiątka po mojej biednej mamie. ZOE:

Kto odbiera to, co dał, Kłopot z tego będzie miał, Bo kto daje i odbiera, Ten się w piekle poniewiera.

BLOOM: Jest z nim związane pewne wspomnienie. Chciałbym go mieć. STEFAN: Mieć albo nie mieć, oto jest pytanie. ZOE: Masz. (Unosi rąbek sukni, ukazując nagie udo i odwija ziemniak, okręcony pończochą.) Ci, którzy chowają, wiedzą, gdzie odnaleźć. BELLA: (Marszczy brwi.) No. To nie fotoplastikon z muzyką. I nie rozbijaj tego pianina. Kto tu płaci?

(Podchodzi do pianoli. Stefan grzebie w kieszeni i wyjąwszy banknot, podaje jej, trzymając go za rozek.)

STEFAN: (Z przesadną uprzejmością.) Tę jedwabną sakiewkę uczyniłem sobie ze świńskiego ucha publiczności. Pani, proszę mi wybaczyć. Jeśli mi będzie wolno. (Wskazuje luźnym gestem Lyncha i Blooma.) W tej grze weźmiemy udział wszyscy, Kinch i Lynch. Dans ce bordel ou tenons nostre etat. LYNCH: (Siedząc przy kominku, wola.) Dedalus! Przekaż jej moje błogosławieństwo.

STEFAN: (Podaje Belli monetę.) Złoto. Już je wzięła. BELLA: (Spogląda na pieniądze, a potem na Zoe, Florę i Kitty.) Czy chcecie mieć trzy dziewczynki? Tu kosztuje po dziesięć szylingów. STEFAN: (Z zachwytem.) Przepraszam stokrotnie. (Znowu gmera w kieszeni, z

której wyciąga dwie korony i podaje jej.) Proszę, brevi memu, wybaczyć mi, mam trochę przytępiony wzrok.

(Bella podchodzi do stołu, by przeliczyć pieniądze, Stefan mówi do siebie monosylabami. Zoe podbiega do stołu. Kitty przechyla się przez ramię Zoe. Lynch wstaje, poprawia czapkę i chwyciwszy Kitty w pasie, przysuwa głowę do ich skupionych głów.)

FLORA: (Z trudem próbuje wstać.) Och! Noga mi usnęła. (Kuśtyka w stronę stołu. Bloom zbliża się.)

BELLA, ZOE, KITTY, LYNCH, BLOOM: (Papłają i spierają się.) Ten gentleman... dziesięć szylingów... płaci za trzech... proszę pozwolić mi wtrącić... ten gentleman

397

płaci osobno... kto ich dotyka?... och... uważaj, kogo szczypiesz... czy zostajecie na noc, czy na krótko?... kto?... proszę mi wybaczyć, ale kłamiesz... ten gentleman zapłacił jak gentleman... pić... już dawno minęła jedenasta...

STEFAN: (Przy pianoli, z gestem obrzydzenia.) Żadnych butelek! Co, jedenasta?

Zagadka.

ZOE: (Unosząc halkę i wsuwając pół suwerena pod pończochę.) Ciężko zarobione na grzbiecie.

LYNCH: (Unosząc Kitty od stołu.) Chodź!

KITTY: Czekaj. (Chwyta dwie korony.)

FLORA; A ja?

LYNCH: Hopla! (Unosi ją, niesie i ciska na otomanę.)

STEFAN:

Lis piał, kogut zwał

Jak szalony,

W błękitnym niebie dzwony

Wybiły jedenastą,

Więc czas to

Najwyższy, niech ta dusza

Biedna z nieba wyrusza.

BLOOM: (Ze spokojem kładzie pół suwerena na stole pomiędzy Bellą i Florą.) Tak. Proszę mi pozwolić. (Unosi banknot funtowy.) Trzy razy dziesięć. Jesteśmy skwitowani.

BELLA: (Z podziwem.) Ale chytrusek z ciebie, stary szpaku. Mogłabym cię ucałować.

ZOE: (Wskazuje.) Co? Głęboki jak studnia. (Lynch opiera Kitty o poręcz otomany i całuje ją. Bloom podchodzi do Stefana trzymając banknot funtowy.) BLOOM: To jest pańskie.

STEFAN: Jak to? Le distrait, czyli roztargniony żebrak. (Znowu zaczyna grzebać w kieszeni i wyciąga garść monet. Jakiś przedmiot upada.) Coś upadło. BLOOM: (Pochyla się, podnosi i podaje mu pudełko zapalek.) To. STEFAN: Zapalki. Dziękuję.

BLOOM: (Spokojnie.) Lepiej niech pan mi da zaopiekować się tą gotówką. Po co przepłacać?

STEFAN: (Podaje mu wszystkie posiadane monety.) Bądź sprawiedliwy, nim staniesz się hojny.

BLOOM: Będę, ale czy to jest rozsądne? (Liczy.) Jeden, siedem, jedenaście i pięć. Sześć. Jedenaście. Nie odpowiadam za to, co pan mógł zgubić. STEFAN: Dlaczego wybiły jedenastą? Proparoxyton. Chwila poprzedzająca następną chwilę, powiada Lessing. Spragniony lis. (Śmieje się głośno.) Grzebie swą babkę. Prawdopodobnie zabił ją.

BLOOM: Tu mam jednego funta, sześć szylingów i jedenaście pensów. Powiedzmy, jednego funta i siedem szylingów. STEFAN: Nic mnie to nie obchodzi. BLOOM: Nie, ale...

398

STEFAN: (Podchodzi do stołu). Poproszę o papierosa. (Lynch ciska papierosa z otomany na stół.) A więc Georgina Johnson umarła i została poślubiona. (Papieros pojawia się na stole. Stefan patrzy nań.) Cud. Salonowe sztuczki. Poślubiona. Hm. (Pociera zapalkę i próbuje nią zapalić papierosa z zagadkową melancholią.) LYNCH: (Przyglądając mu się.) Miałbyś większe szansę zapalenia go, gdybyś przysunął zapalkę bliżej.

STEFAN: (Przesuwa zapalkę do oczu.) Rysie oko. Muszę kupić okulary. Stłukłem je wczoraj. Szesnaście lat temu. Odległość. Oko dostrzega wszystko płasko. (Odsuwa zapalkę, która gaśnie.) Mózg myśli. Blisko: daleko. Nieunikniona modalność widzialnego. (Marszczy się tajemniczo.) Hm, Sfinks. Zwierzę, które ma dwa grzbiety o północy. Poślubiona.

ZOE: Komiwojażer ożenił się z nią i zabrał ją z sobą. FLORA: (Potakuje.) Pan Baranek z Londynu. STEFAN: Baranku londyński, który gładzisz grzechy świata. LYNCH: (Obejmując Kitty na otomanie, intonuje głębokim głosem.) Dona nobis pacem.

(Papieros wysuwa się z palców Stefana. Bloom podnosi go i wrzuca do kominka.) BLOOM: Niech pan już nie pali. Powinien pan coś zjeść. Ten przeklęty pies, którego spotkałem. (Do Zoe.) Czy nie macie tu nic? ZOE: A czy on jest głodny?

STEFAN: (Wyciąga ku niej dłoń, uśmiechając się, i śpiewa na melodię przysięgi krwi w Zmierzchu bogów.)

Hangende Hunger, Fragende Frau, Macht uns alle kaput.

ZOE: (Tragicznie.) Hamlecie, jestem twego ojca ecie-pecie! (Bierze jego dłoń). Błękitnooka ślicznotko, powrócę ci z ręki. (Wskazuje jego czoło.) Ani rozumu, ani zmarszczek. (Liczy.) Dwa, trzy, mars, to odwaga. (Stefan potrząsa głową.) Bezdzienny.

LYNCH: Piorunująca odwaga. Młodzian, który nie umiał drzeć ni dygotać. (Do Zoe.) Kto cię nauczył wróżenia z ręki?

ZOE: (Odwraca się.) Zapytaj moich jaj, których nie mam. (Do Stefana.) Widzę to w twojej twarzy, w oczach jasno. (Pochyla głowę i zastanawia się.) LYNCH: (Śmiejąc się, uderza Kitty dwukrotnie w zadek.) Jasno, jasno! Kijem trzasnął.

(Słychać dwukrotny odgłos uderzającego kija, trumienne wieko pianoli odskakuje w górę i wylatuje z niego jak diabełek na sprężynie łysa, mała, okrągła głowa ojca Dolana.)

OJCIEC DOLAN: Czy któryś z chłopców pragnie chłosty? Stłukł okulary? Leniwy beczynny mały intrygant. Widzę to w twych oczach. (Łagodna, dobrotliwa, rektorska z wyrazem wyrzutu twarz przełożonego Johna Conmee wynurza się z trumny-pianoli.)

PRZEŁOŻONY JOHN CONMEE: Ależ, ojcie Dolanie! Poczekajmy. Jestem pewien, że Stefan jest bardzo dobrym małym chłopcem.

399

ZOE: (Badając dłoń Stefana.) Kobięca dłoń.

STEFAN: Mów dalej. Kłam. Trzymaj mnie. Pieść. Nigdy nie umiałem odczytywać Jego odręcznego pisma, z wyjątkiem zbrodniczego odcisku palca, który pozostawił na łupaczu.

ZOE: Którego dnia urodziłeś się? STEFAN: We czwartek. Dziś.

ZOE: Czwartkowe dziecko zajdzie daleko. (Wodzi palcem po liniach jego dłoni.) Linia losu. Wpływowi przyjaciele. FLORA: (Wskazując.) Wyobraźnia.

ZOE: Wzgórek księżycy. Spotkasz się z... (Rzuca szybkie spojrzenie na jego dłoń.) Nie powiem ci tego, co nie jest ci miłe. A może chcesz wiedzieć? BLOOM: (Rozwiera jej palce i podsuwa swoją dłoń.) Więcej szkody niż pożytku. Tu. Odczytaj moją.

BELLA: Pokaż. (Odwraca dłoń Blooma.) Tak myślałam. Sękaty palec, kobieciarz. ZOE: (Zerkając na dłoń Blooma.) Ruszt. Podróże za morze i ożenek z pieniędzmi. BLOOM: Nieprawda.

ZOE: (Szybko.) O, widzę. Krótki mały palec. Kogut rządzony przez kokoszkę. Czy nieprawda?

(Czarna Liza, ogromna kokoszka wysiadująca w kredowym kole, unosi się, rozwija skrzydła dla i gdacze.)

CZARNA LIZA: Gara. Kok. Kok. Kok.

(Odbiega, drepcząc boczkiem, od swego świeżo złożonego jajka i kołyszając się odchodzi.)

BLOOM: (Wskazuje swą dłoń.) Ta szrama jest wynikiem wypadku. Upadłem i przeciąłem sobie rękę przed dwudziestu dwoma laty. Miałem wtedy szesnaście lat. ZOE: Widzę, jak powiedział ślepiec. Ach, cóż za nowiny? STEFAN: Widzisz? Zmierzają wszystkie ku jednemu wielkiemu celowi. Ja też mam dwadzieścia dwa lata. Szesnaście lat temu ja dwudziestodwulatek upadłem, dwadzieścia dwa lata temu on szesnastolatek spadł ze swego konia na biegunach. (Krzywi się.) Musiałem o coś uderzyć ręką. Muszę pójść do dentysty. Pieniądze? (Zoe szepcze z Florą. Chichoczą. Bloom oswobodzą dłoń i odruchowo pisze na stole pismem pochylonym do tyłu, powoli nakreślając krzywizny liter.) FLORA: Co?

(Dorożka numer trzysta dwadzieścia cztery, ciągniona przez pięknotkę klacz, powożona przez Jamesa Bartona, Hormony Avenue, Donnybrook, przekłusowuje nie opodal. Bujny Boylan i Lenehan kołyszają się, rozwaleni na bocznych siedzeniach. Służący z hotelu Ormond przykucnął z tyłu na osi. Spoza firanek spoglądają smutnie Lydia Douce i Mina Kennedy.)

SŁUŻĄCY: (Podsakując, drwi z nich, gra na nosie kciukiem i przebiera glistowatymi palcami.) Ha, ha, czy róg ci stanął? (Brząz przy zlocie szepczą.) ZOE: (Do Flory.) Mów szeptem. (Znowu szepczą.)

(Bujny Boylan przechyła się przez poręcz pojazdu, piaski kapelusz słomkowy ma nasunięty na bakier, w ustach trzyma czerwony kwiat. Lenehan, w czapce żeglarskiej i białych pantoflach, usłużnie zdejmując długi włos z ramienia Bujnego Boylana.)

400

LENEHAN: Ho! A cóż to trzymam? Czyś zmiatał pajęczynkę z pizdulek? BOYLAN: (Siedząc, uśmiecha się.) Oskubywałem gąskę. LENEHAN: Ciężka całonocna praca.

BOYLAN: (Unosi cztery tępo zakończone paluchy i mruga.) Bujna Kaśka! Jak na załączonej próbce albo zwracamy pieniądze. (Wysuwa wskazujący palec.) Powąchaj to.

LENEHAN: (Wącha rozweselony.) Ach! Homar w majonezie. Ach! ZOE I FLORA: (Śmieją się jednocześnie.) Ha ha ha ha. BOYLAN: (Zeskakuje sprężyscie z pojazdu i woła głośno, aby wszyscy mogli go usłyszeć.) Hallo, Bloom! Czy pani Bloom już wstała? BLOOM: (W pluszowym śliwkowym lokaj skim fraczku, obcisłych spodniach pod kolana, jasnożółtych pończochach i pudrowanej peruce.) Obawiam się, że nie, proszę pana, ostatnie przygotowania...

BOYLAN: (Ciska mu sześciopensówkę.) Masz tu na gin z kropelkami. (Z rozmachem wiesza płaszcz na rogatej głowie Blooma.) Zaprowadź mnie. Mam mały prywatny interesik do twojej żony. Rozumiesz?

BLOOM: Dziękuję panu. Tak jest, proszę pana. Pani Tweedy znajduje się w kąpieli, proszę pana.

MARION: Powinien czuć się wysoce zaszczycony. (Wynurza się z pluskiem z wody.) Raoul, kochanie, podejdź i osusz mnie. Jestem golusienka. Mam tu tylko nowy kapelusz i podróżną gąbkę. BOYLAN: (Z wesołym błyskiem w oku.) Świetnie! BELLA: Co? Co się dzieje? (Zoe szepcze do niej.)

MARION: Niech się przygląda pęta! Rajfur! I niech się biczuje! Napiszę do jakiejś bardzo dzielnej prostytutki albo do Bartholomony, tej kobiety z brodą, aby wygarbowała mu skórę chociaż na cal grubo i odesłała go do mnie z pokwitowaniem opatrzonym pieczęcią. BELLA: (Śmieje się.) Ho ho ho ho.

BOYLAN: (Do Blooma, przez ramię.) Możesz przyłożyć oko do dziurki od klucza i poigrać z sobą, a ja w tym czasie wepchnę jej parę razy. BLOOM: Dziękuję panu. Uczynię tak, proszę pana. Czy mogę zaprosić dwóch mych przyjaciół, aby byli świadkami tego czynu i mogli zrobić zdjęcie? (Podsuwa słoik z maścią.) Czy wazelinę, proszę pana? Kwiat pomarańczowy?... Ciepłą wodę?... KITTY: (Z otomany.) Powiedz nam. Floro. Powiedz nam. Co. (Flora szepcze do niej. Szept stów miłosnych w ustach ustawicznie całowanych, cale usta z ustami stopione, calusta pocalusta.)

MINNA KENNEDY: (Wznosząc oczy.) Och, to musi być jak zapach pelargonii i cudnych brzoskwiń! Och, on po prostu ubóstwia każdy kawałek jej ciała! Szczepieni z sobą! Pokryci pocałunkami!

LYDIA DOUCE: (Rozdziawiając usta.) Mniam mniam. Och, on ją nosi po pokoju, robiąc to! Jedzie na koniku na patyku. Mogłabyś usłyszeć ich w Paryżu i w New Yorku. Jakby kto miał pełne usta truskawek ze śmietaną. KITTY: (Śmieje się.) Hi hi hi.

GŁOS BOYLANA: (Słodki, ochryply, wydobywa się z głębi trzewi.) Ach! Dobrognistokkrokkaszbrasz!

GŁOS MARION: (Ochryply, słodko rośnie jej w gardle.) Och! Takszwapocałum-niewistpiznapizwłost!

BLOOM: (Z dziko rozszerzonymi oczyma obejmuje się własnymi ramionami.) Widać go! Chowa się! Widać go! Rznij ją! Głębiej! Strzelaj! BELLA, ZOE, FLORA, KITTY: Ho ho! Ha ha! Hi hi! LYNCH: (Wskazując.) Zwierciadło natury. (Śmieje się.) Hu hu hu hu hu. (Stefan i Bloom spoglądają w zwierciadło. Ukazuje się w nim bezbrode oblicze Williama Shakespeare'a, zeszytywniałe, sparaliżowane, ukoronowane odbiciem wiszącego w przedpokoju wieszaka z rogów renifera.) SHAKESPEARE: (Z dostojnym brzuchomówstwem.) Poznasz głupiego po głośnym śmiechu jego. (Do Blooma.) Rozmyślałeś, jakbyś sądził, iżes niewidzialny. Spójrz. (Pieje głosem śmiejącego się czarnego kapłona.) Jagogo! Jak mój Hotello przydusza swoją Dyrdymonę. Jagogogo!

BLOOM: (Uśmiecha się tchórzliwie w stronę kurew.) Kiedyż usłyszę ten żart? ZOE: Zanim się dwa razy ożenisz, a raz owdowiejesz. BLOOM: Należy wybaczać omyłki. Nawet wielki Napoleon, gdy dokonywano na nim nagim pomiarów po śmierci...

(Owdowiała pani Dignam, z nosem i policzkami zarumienionymi rozmowami o śmierci, Izami i ciemnym sherry Tunny'ego, przechodzi spiesźnie w żałobnym welonie, z czepeczkiem krzywo nasuniętym, pudrując i różując policzki, wargi i nos: łabędzica ze stadem swych łabędziątek. Spod jej spódnicy wyglądają stare spodnie zmarłego męża i zadarte ku górze buciory numer czterdzieści pięć. Trzyma polisę ubezpieczeniową Szkockich Wdów i wielki parasol, pod którym biegną przy niej jej małe. Patsy podskakujący na jednej krótszej nodze i z rozpiętym kołnierzykiem, wymachuje różańcem kotletów wieprzowych, kwilący Freddy, Susy z twarzą płaczącego sztokfisa, Alicja mocująca się z niemowlęciem. Popycha ich szturchańcami, a jej żałobne welony powiewają wysoko.) FREDDY: Ach, mamó, wleczesz mnie za sobą! SUSY: Mamó, bulion się przelewa!

SHAKESPEARE: (Wparalitycznejfurii.) Szukokamy kokogo pierkowszego morko-dokować!

(Brodąta twarz Martwa Cunninghama przenika przez rysy bezbrodego Shakespeare'a. Wielki parasol kołysze się jak pijany, dzieci rozbiegają się. Pod parasolem pojawia się pani Cunningham w kapeluszu Wesołej Wdówki i w kimonie. Idzie boczkiem, posuwistymi kroczkami, kłaniając się i wdzięcząc japoneczkowato.)

PANI CUNNINGHAM: (Śpiewa.)

Z pereł Azji jam najpiękniejsza.

MARTIN CUNNINGHAM: (Spogląda na nią nieporuszony.) Kolosalne! Pieprzona koszmarna półnotka!

STEFAN: Et exaltabuntur cornua iusti. Królowe legiwały z buhajami. Wspomnijcie Pasifae, dla której rozpusty mój prastaryprapradziadek zbudował pierwszy konfesjonał. Nie zapominajcie o pani Gńssel Steevens ani o świńskim potomstwie rodu Lambert. A Noe był winem pijany. A arka jego stała otworem. BELLA: Nie ma tu nic z tego. Przyszedłeś do niewłaściwego sklepu. LYNCH: Dajcie mu spokój. Wrócił z Paryża.

402

ZOE: (Podbiega do Stefana i chwyta go pod ramię.) Opowiedz! Zrób nam trochę parlewu.

(Stefan wciska kapelusz na głowę i przyskakuje do kominka, gdzie staje wsunawszy falowe w ramiona, wyciągnawszy przed siebie płetwiaste dłonie i mając na twarzy sztuczny uśmiech.)

LYNCH: (Wybijając werbel na otomanie.) Rumm Rumm Rumm Rummmmmmmmm.

STEFAN: (Paple z marionetkowymi podrygami.) Tysiące miejsc gdzie rozrywka i wieczory w towarzystwo piękne panny co sprzedają rękawiczki i inne rzeczy może jej serce browar doskonały modny zakład bardzo ekscentryczny gdzie duża kokot przepiękne ubrane jak księżniczka tańczą kankan i spacerują figlują po parysku specjalność extra zwariowane dla kawalerów zagranicznych tak samo jeżeli mówić zła po angielsku to oprócz tego jak sprytna w sprawach miłosna rozkosz i zmysłowe pożądanie. Panowie wyjątkowo wybredny w sprawy przyjemności odwiedzają niebo i piekło przedstawienie z gromnicami a łyż są srebrne i to bywa w każdą noc. Zupełnie szokująca okropna drwiny ze spraw religijny widziane w całym wszechświat. Wszystkie szykowna pani co przychodzą są pełna skromność potem rozbierają się i piszczy głośno żeby zobaczyć człowiek wampir w rozpusta z zakonnicą bardzo młoda i świeża mająca dessous troublants. (Mlaska głośno językiem.) Ho, la la! Ce pif qu 'U a!

LYNCH: Vive le yampire! KURWY: Brawo! Parlewu!

STEFAN: (Robi miny, odchyła głowę do tyłu, śmieje się głośno, poklepuje się.) Wielka sukces śmiechu. Anioły bardzo do prostytutki podobna i święte apostoły wielka przekłeta oprychy. Demimondaines ładna przystojna migota diamentami i bardzo przyjemne ubrane. A może lepiej podoba się pan co należy do nowoczesna rozkosz i zdeprawowanie starych staruszków? (Wskazuje wokół groteskowymi gestami, na które odpowiadają Lynch i kurwy.) Kauczukowy figury kobieta do przewracania albo wielkość naturalna podglądacze dziewicza nagość bardzo lesbijska całują pięć razy i dziesięć. Wchodzić gentlemeni i zobaczyć w lustro każda pozycja i trapezy i cała ta maszyneria a oprócz tego jeżeli potrzeba to i akt - ogromnie dziki chłopiec od rzeźnika który plugawi w bardzo jeszcze ciepła wątróbka cieleca albo w omlet na brzuchu piece de Shakespeare.

BELLA: (Poklepując się po brzuchu opada na otomaną i wybucha wrzaskliwym śmiechem.) Omlet na... Ho! ho! ho! ho!... Omlet na... STEFAN: (Mizdrząc się.) Kocham ciebie, sir, darling. Ja mówić angielski z tobą dla double entente cordiale. O tak, mon loup. Ile

kosztować? Waterloo. Waterklozet. (Urywa niespodziewanie i unosi wskazujący palec.)
BELLA: (Śmieje się.) Omlet... KURWY: (Śmieją się.) Jeszcze^ Jeszcze! STEFAN: Zważcie, co mówię. Śnił mi się arbut. ZOE: Odjechać za morze i pokochać cudzoziemską damę. LYNCH: Przemierzyć świat, by znaleźć żonę. FLORA: Sny zawsze znaczą coś odwrotnego.

STEFAN: (Wyciągając ramiona.) To było tu. Ulica nierządnic. Na Serpentine Ave-nue wskazał mi ją Belzebub, przysadzistą wdowę. Gdzie rozpostarto czerwony kobierzec?

403

BLOOM: (Podchodząc do Stefana.) Niech pan... STEFAN: Nie. Uleciałem. Moi wrogowie pode mną. I zawsze będą. Świat po wieki. (Wola.) Pater! Wolny! BLOOM: Mówię, niech pan...

STEFAN: On złamie mego ducha, czy tak? O merde alors! (Wola, zakrzywiwszy swe sępie szpony.) Hola! Hillyho!

(Głos Simona Dedalusa, nieco senny, ale pełen gotowości, odpowiada hillyho.) SIMON: W porządku. (Opada niepewnie przez powietrze, wirując, wydając pokrzepiające okrzyki, unosząc się na silnych, rozłożystych skrzydłach myszołowa.) Hej, chłopcze! Czy chcesz zwyciężyć? Hop! Siup! Przestawać z tymi metysami. Nie dopuściłbym ich na odległość oślego wrzasku. Głowa do góry! Nasz sztandar niechaj powiewa! Orzeł szkarłatny ulatujący na srebrzystym polu. Król tarcz Uisteru! hai hop! (U daje głos psa gończego.) Bułbul! Buribibibrurbibl! Hai, chłopcze!

(Liście i puste przestrzenie tapety na ścianie przesuwają się szybko przez wiejski krajobraz. Wypłoszony z kryjówki tfusty lis z uniesioną kitą, pogrzebawszy swą babkę, biegnie szybko ku otwartej przestrzeni, lśniącoci, poszukując wśród liści jamy borsuczej. Sfora psów gończych biegnie za nim z nosami przy ziemi, węsząc zdobycz, poszczekując, poszukując, pożądamy posoki. Łowcy i łowczy-nie z Wara Union pędzą wraz z nimi, rozgrzani pragnieniem mordy. Z Six Mile Point, Flathouse, Ninę Mile Stone dołączają piesi z sękatymi kijami, oszczepami na łososie, lassami, pasterze z batami do zaganiania bydła, niedźwiednicy z bębenkami, toreadorzy ze szpadami, szarzy murzyni wymachujący pochodniami. Tłum wyje, gracze w kości, gracze w orła i reszkę, kuglarze. Złodziejaskowie i kanciarze wyścigowi, zachrypnięci bookmacherzy w spiczastych czapkach czarnoksiężników wrzeszczą ogłuszająco.) TŁUM:

Program wyścigów! Program wyścigów!

Dziesięć do jednego!

Tu pewniaki! Tu pewniaki!

Dziesięć do jednego mniej jeden! Dziesięć do jednego mniej

jeden!

Spróbuj swego szczęścia na skaczącą Jenny!

Dziesięć do jednego mniej jeden!

Stawiajcie tu, chłopcy! Stawiajcie tu!

Stawiam dziesięć do jednego!

Dziesięć do jednego mniej jeden!

(Fuks bez jeźdźca przebiega jak zjawą, mijając celownik mety, grzywę ma spienioną księżycem, oczy jak gwiazdy. Stawka pędzi za nim, stado rozbrykanych wierzchowców. Konie szkielety: Sceptre, Maximum II, Zinfandel, Shotover księcia Westminsteru, Repulse, Ceylon księcia Beaufortu, prix de Paris. Dosiadają ich karły w zardzewiałych zbrojach, podskakujące, podskakujące w siodłach. Ostatni, wśród mżącego kapuśniaczku, na dychawicznym bulonym kucyku Kogucie Północy, faworycie, jedzie Garrett Deasy, dżokejka koloru miodu, zielona kurtka, rękawy w barwie orange, ściąga cugle, trzymając uniesiony, gotów do uderzenia kij hokejowy. Jego kuc,

404

potykający się na obciążonych białymi getrami nogach, kłusuje z wolna po skalistym trakcie.)

ŁOŻE ORANŻYSTÓW: (Szydzą.) Zejdź pan i pchaj pan. Ostatnie okrążenie! Na noc zajedzie pan do domu!

GARRETT DEASY: (Prostuje się, podrapana paznokciami twarz oklejona jest znaczkami pocztowymi, wymachuje kijem hokejowym, a jego niebieskie oczy lśnią w tęczowym blasku świecznika, gdy wierzchowiec biegnie równo szkolnym galopem.) Per vias rectas!

(Z połączonych nosidlami wiader wylewa się na niego i jego stojącego dęba kuca wodospad rosołu na baraninie, w którym tańczą okrągłe jak monety plasterki marchewki, kasza jęczmienna, cebule, rzepa, ziemniaki.) ŁOŻE ZIELONE: Pięknego dnia, sir Johnie! Pięknego dnia waszej szlachetności! (Żołnierz Carr, żołnierz Compton i Cissy Caffrey przechodzą pod oknami, śpiewając niezgodnymi głosami.)

STEFAN: Posłuchajcie! Nasz przyjaciel hałas w ulicy! ZOE: (Unosi rękę.) Przestań!

ŻOŁNIERZ CARR, ŻOŁNIERZ COMPTON I CISSY CAFFREY:

A jednak mam sympatię Dla Yorkshire i jego...

ZOE: To ja. (Klaszcze w ręce.) Tańczmy! Tańczmy! (Podbiega do pianoli.) Kto ma dwa pensy? BLOOM: Kto...?

LYNCH: (Podając jej monety.) Masz.

STEFAN: (Niecierpliwie strzelając palcami.) Prędko! Prędko! Gdzie jest moja różdżka wieszczkarska? (Podbiega do pianina i chwyta swą jesionową laskę, wybijając nogą rytm tripudium.) ZOE: (Pokręca korbkę bębna pianoli.) Już. (Wpuszcza dwa pensy w otwór. Zapalają się złote, różowe i fioletowe światełka. Bęben obraca się pomrukując w rytmie powolnego, pełnego wahań walca. Profesor Goodwin, w peruce zakończonej harcapem przewiązanym kokardą, ubrany w strój dworski i okryty poplamioną szkocką peleryną, zgięty wpół swym niewiarygodnym wiekiem, przecina chwiejnymi krokami pokój, trzepocząc rękami. Siada, maleńki, na stoiku przed pianinem, unosi bezpalce kikuty rąk i uderza nimi w klawiaturę, potakując głową z dziewczęcym wdziękiem, harcapjego peruki podryguje.)

ZOE: (Okręca się wokół własnej osi, postukując obcasami.) Tańczmy. Czy ktoś chce chcieć? Kto zatańczy?

(Pianola, migając światełkami, gra w rytmie walca preludium Moja Miła jest Dziewczyną z Yorkshire. Stefan ciska na stół swą jesionową laskę i obejmuje Zoe wpół. Flora i Bella odsuwają stół w stronę kominka. Stefan, trzymając z przesadną gracją Zoe w ramionach, zaczyna wirować wokół pokoju. Jej rękaw obsuwając się z rozkołysanego ramienia odsłania mięsisty biały kwiat szczepienia. Bloom odsuwa się na bok. Profesor Maginni wsuwa pomiędzy firanki stopę, na której palcach wiruje szybko cylinder. Zręcznym kopnięciem posyła go spiralą na czubek głowy i z wesoło przekrzywionym cylindrem wbiega tyżwiarskim krokiem. Ubrany jest w szarobłękitny

405

frak z klapami o barwie czerwonego wina, fular z kremowego tiulu, zieloną, głęboko wyciętą kamizelkę, wysoki, sztywny kołnierzyk, biały, krawat, jasnoniebieskie obcisłe spodnie, lakierki i kanarkowe rękawiczki. W butonierce zatknęta ma dalię. Kręci w obie strony wirującą trzciną, a potem wsuwa ją pod pachę. Przyklada miękko dłoń do piersi, kłania się, muskając swój kwiat i guziki.) MAGINNI: Poezja ruchu, sztuka rytmicznego ćwiczenia. Nic wspólnego z Madame Leget Byrne albo z Levinstonem. Organizuje się bale maskowe. Lekcje dobrych manier. Układy Katty Lanner. Tak. Przypatrujcie mi się! Moje terpsychoryjskie uzdolnienia. (Wykonując trzy pas menueta, posuwa się ku przodowi, drobiąc przy tym swymi pszczelimi nóżkami.) Tout le monde en avant! Reverence! Tout le monde en place!

(Preludium cichnie. Profesor Goodwin, nadal uderzając bezwładnymi rękami, kurczy się, maleje, a jego poruszająca się peleryna opada, okrywając stołek. Melodia dudni w rytmie

bardziej zdecydowanego walca. Stefan i Zoe wirują swobodnie. Światła zmieniają się, rozbłyskują, przygasają, złote, różowe, fioletowe.)

PIANOLA:

Dwóch młodych chłopców mówiło,

O dziewczynach, dziewczynach, dziewczynach,

Które musieli opuścić...

(Z kąta wybiegają godziny poranne, złotowłose, smukłe, ubrane w jasny dziewczęcy błękit, kibicie mają jak osy, a ręce niewinne. Tańczą zwinnie, kręcąc skakankami. Godziny południa nadbiegają za nimi w bursztynowym złocie. Roześmiane, trzymające się za ręce, błyskając wysokimi grzebieniami, chwytają słońce w drwiące zwierciadła, unosząc ramiona.)

MAGINNI: (Klaszcze w cichourękawicznione dłonie.) Carre! Avant deux! Równy oddychać! Balance!

(Godziny poranne i godziny południa tańczą walca w miejscu, okręcając się, podchodząc do siebie, skłaniając się kształtnie, składając ukłon swym vis a vis. Stojący za nimi kawalerowie zginają w łuk i opuszczają ręce, dotykając dłońmi ich ramion i unosząc je.)

GODZINY: Możesz dotknąć mej... KAWALEROWIE: Czy mogę dotknąć twej? GODZINY: Ach, lecz lekko! KAWALEROWIE: Ach, jak lekko!

PIANOLA:

Moja słodka dziewczyna jest wiotka...

(Zoe i Stefan zataczają odważnie kręgi, kołysząc się cór aż płynnie j. Godziny zmierzchu wynurzają się z długich cieni krajobrazu, pojedyncze, pełne wahania, tęsknookie, policzki mają delikatnie namaszczone cyprią i pokryte lekkim sztucznym rumieńcem. Okrywa je szara gaza, a ich ciemne nietoperze rękawy trzepocą rozwiane powiewem od ładu.)

MAGINNI: Avant huit! Traverse! Salut! Cours de mains! Croise! (Godziny nocy wślizgują się na ostatnie miejsce. Godziny poranka, południa i zmierz-

406

chu cofają się przed nimi. Godziny nocy są zamaskowane, mają we włosach sztylety {potrząsają bransoletami głucho brzmiących dzwonków. Znużone, szepcą pod welonami.)

BRANSOLETY: Hejho! Hejho! ZOE: (Siania się, dotyka dłonią czoła.) Och! MAGINNI: Les tiroirs! Choinę de dames! La corbeille! DOS a dos! (Posuwając się ze'znużeniem arabeską,

tworzą na podłodze wzór tkaniny, tkają ją i rozmotują, dygają, splatają się, wirują.) ZOE: W głowie mi się kręci.

(Wyswobodzą się, opada na krzesło, Stefan obejmuje Florę i zaczyna z nią wirować.)

MAGINNI: Boulangere! Les ronds! Les ponts! Chevaux de bois! Escargots! (Splatając się, cofając, zmieniając ręce, godziny nocy tworzą półkolisty łańcuch ramion pośród mozaiki poruszeń. Stefan i Flora kręcą się niezgrabnie.) MAGINNI: Dansez avec vos dames! Changez de dames! Donnez le petit bouquet a votre dame! Remerciez!

PiANOLA:

Naj, naj, najlepsza, Baraabum!

KITTY: (Podrywa się.) Och, to grali na karuzeli na kiermaszu Mirus! (Podbiega do Stefana, który szorstko odsuwa Florę i obejmuje Kitty. Powietrze przecina ostry wysoki gwizd błotnej cyranki. Trzeszczącatokującaturkoczająca ciężka karuzela Tafta obraca z wolna pokojem wokół pokoju.)

PiANOLA:

Moja miła jest dziewczyną z Yorkshire.

ZOE:

Z Yorkshire, od stóp do głów.

Jazda, wszyscy!

(Obejmuje Florę i tańczy z nią walca.)

STEFAN: Pas seul!

(Wypuszcza wirującą Kitty w ramiona Lyncha, unosi ze stołu swą jesionową laskę i staje pośrodku pokoju. Wszyscy kołują, wirują, wkołowalcobracają się. Bloom-bella, Kitty lynch, Florazoe, jujubowe panny. Stefan z kapeluszem laską zabio skacze pośrodku wysokowierzga wniebowierzga usta zamknięte ręka podparta pod bok z brzękiem szczękiem młotemloskotem hejże dalejże dmijże niebieskie zielone żółte błyski. Karuzela Tafta kręci się z jeźdźcami na drewnianych konikach zwisających na połączanych wężach, fandango jelit podskakujących stóp ziemię odtrącających i znów opadających.)

PiANOLA:

Choć jest to dziewczyna z fabryki I nie chadza w szykownych strojach.

407

(Splecenisplątani szybko szybciej lśniagrzmiamkną lekko i przesuwają się z turkotem w skokkołokrok. Baraabum!) TUTTI: Jeszcze! Bis! Brawo! Jeszcze! SIMON: Pomyśl o rodzinie twojej matki! STEFAN: Taniec śmierci!

(Dzyń świeżo dzyńdzyń brzmi dzwonek służącego, koń, kuc, wół, prosięta, Conmee na Chrystośle i kulawy marynarz z nogą drewnianą o kuli w łodzi skrzyżowane ramiona sznurciągnie spodniepodciąga wytupuje skocztańcuje jeszcze i jeszcze, Baraabum! Na kucach, wieprzach, rozdzwonionych koniach, świniach z Gadara, Corny w trumnie. Rekin stalowy kamienny jednoręczny Nelson, dwie stare figlary poplamione morełami z wózka dziecinnego spadają wrzeszczą. O rany, to jest mistrz. Jaskrawo-niebieski błysk z beczki wieleb. aniol pański Love w dorożce odbywa przejażdżkę Bujny ślepi wpoi zgięci jak sztokfisz cykliści DUly, z bezą strojów szykownych nie nosi. Potem w ostatnim woziepowozie podskakując popłakują jak baryły we dwoje na wybojach oboje vice-król i królowa za niestyukochaną różą sserbacianą z rozporkshi-re. Baraabum!)

(Pary rozpadają się. Stefan wiruje chwiejnie. Pokój wiruje w odwrotnym kierunku. Stefan zamyka oczy i potyka się. Czerwone szyny wybiegają w przestrzeń. Gwiazdy krążą wokół krążących słońc. Lśniące muszki tańczą na ścianie. Stefan staje jak wryty.) STEFAN: Ho!

(Matka Stefana, wychudła, powstaje sztywno spod podłogi, trędowata szara, z wieńcem wyschniętych kwiatów pomarańczowych, okryta podartym ślubnym welonem, twarz ma wyniszczoną i beznosą, pokrytą zieloną pleśnią grobu. Włosy rzadkie {proste. Spogląda na Stefana niebiesko podkrążonymi pustymi oczodołami i otwiera bezzębne usta, wymawiając niedosłyszalne słowo. Chór dziewic i wyznawców śpiewa bezgłośnie.) CHÓR:

Liliata rutiiantium te confessorum... lubilantium te virginum...

(Ze szczytu wieży Buck Mulligan, ubrany w blazeński dwubarwny żółto-brunatny strój i w czapkę trefnisia z opadającym dzwoneczkiem, gapi się na nią z rozdziawionymi ustami, trzymając w ręce dymiącą, rozciętą, posmarowaną masłem pszenną grzanekę.)

BUCK MULLIGAN: Ona ohydnie umarła. A cóż to za szkoda! Mulligan spotyka strapioną matkę. (Unosi oczy w górę.) Płochy Malachi. MATKA: (Z nikłym uśmiechem obłąkania pozagrobowego.) Byłam niegdyś piękną May Goulding. Umarłam.

STEFAN: (Przerażony.) Lemurze, kim jesteś? Co to za diabelska sztuczka? BUCK MULLIGAN: (Potrząsa dzwoneczkiem na czapce.) A cóż to za szyderstwo! Kinch zabił jej psieciało suczeciało. Odwaliła kitę. (Łzy z roztopionego masła skapują z jego oczu na pszenną grzanekę.) Nasza ogromna słodka matka! Epi oinopa ponton.

MATKA: (Zbliża się, posyłając ku niemu lekkie tchnienie wilgotnych popiołów.) Wszyscy muszą przejść przez to, Stefanie. Więcej jest kobiet niż mężczyzn na świecie. Ty także. Nadejdzie czas.

STEFAN: (Dławiąc się lękiem, litością i zgrozą.) Powiedzieli, że zabiłem ciebie, matko. On znieważył twoją pamięć. Rak to zrobił, nie ja. Przeznaczenie. MATKA: (Zielonkawy strumyczek zółci spływa z kącika jej warg.) Śpiewałeś mi tę piosenkę. O serca gorzkiej tajemnicy.

STEFAN: (Żarliwie.) Powiedz mi to słowo, matko, jeżeli już wiesz teraz. To słowo, znane wszystkim ludziom.

MATKA: Kto uratował cię tej nocy, gdy wskoczyłeś z Paddym Lee do pociągu w Dalkey? Kto żałował cię, gdy byłeś smutny pomiędzy obcymi? Modlitwa jest wszechmocna. Modlitwa za cierpiące dusze, zawarta w książce urszulanek, czterdzieści dni odpustu. Kajak się, Stefanie. STEFAN: Wilkołaku! Hieno!

MATKA: Modłę się za ciebie na tamtym moim świecie. Każ Diiiy, żeby ci przyrządzała ten gotowany ryż co wieczór po pracy umysłowej. Lata i lata całe kochałam ciebie, o mój synu, mój pierworodny, gdy nosiłam cię w mym łonie. ZOE: (Wachlując się parawanikiem z kominka.) Topię się. FLORA: (Wskazując Stefana.) Spójrz! Zbladł. BLOOM: (Podchodzi do okna, żeby otworzyć je szerzej.) Zawrót głowy. MATKA: (Z rozżarzonymi oczami.) Kajak się! O ogniu piekielny! STEFAN: (Dyszając.) Trupojadzie! Trupia czaszka i krwawe gnaty! MATKA: (Jej twarz przysuwa się coraz bliżej, tchnąc wonią popiołów.) Strzeż się! (Unosi szerniałe, wyschnięte prawe ramię z wolna ku piersi Stefana, prostuje palce.) Strzeż się! Ręka Boga! (Zielony krab o pełnych nienawiści czerwonych oczach wbija głęboko w serce Stefana swe półkoliste szczypce.) STEFAN: (Duszając się z wściekłości.) Gównu! (Jego rysy wiotczą, szarzeją, starzeją się.)

BLOOM: (Spod okna.) Co?

STEFAN: Ah non, par exemple! Intelktualne wyobrażenie! Bo ja wszystko albo wcale. Non seryiam!

FLORA: Dajcie mu trochę zimnej wody. Zaczekajcie. (Wybiega.) MATKA: (Załamuje powoli ręce, jęcząc rozpaczliwie.) O Najświętsze Serce Jezusowe, zlituj się nad nim! Ustrzeż go od piekła, o Serce Najświętsze! STEFAN: Nie! Nie! Nie! Spróbujcie wszyscy razem złamać mego ducha, jeżeli potraficie! Rzucę sobie was wszystkich do stóp!

MATKA: (Konając, rzezi w agonii.) Zlituj się nad Stefanem, Panie, zrób to dla mnie! Niewypowiedziana była moja udręka, gdy oddawałam ducha z miłością, boleścią i cierpieniem na Górze Kalwarii. STEFAN: Nothung!

(Unosi oburącz laskę i rozbija świecznik. Ostateczny, siny płomień czasu strzela w górę, a w ciemności, która następuje, słychać ruinę całej przestrzeni, brzęk szkła i upadek murów.)

PALNIK GAZOWY: Pffung! BLOOM: Stój!

LYNCH: (Podbiega i chwyta Stefana za rękę.) Hej! Trzymaj się! Nie wpadaj w amok! 409

BELLA: Policja!

(I Stefan porzuca swą laskę, odchyła głowę i ramiona sztywno do tyłu, tupie nogami, a potem ucieka z pokoju wymijając kurwy w drzwiach.) BELLA: (Krzyczy.) Za nim!

(Dwie kurwy podbiegają do drzwi przedpokoju. Lynch, Kitty i Zoe wypadają z pokoju potrącając się wzajemnie. Mówią z podnieceniem. Bloom idzie za nimi, zawraca.)

KURWY: (Stłoczone w drzwiach, wskazują.) Tam. ZOE: (Wskazuje.) Tam. Coś się tam dzieje.

BELLA: Kto płaci za lampę? (Chwyta Blooma za pole.) Hej. Byłeś z nim razem. Lampa jest rozbita.

BLOOM: (Wybiega do przedpokoju, wbiega na powrót.) Jaka lampa, kobieto? KURWA: Rozdarł sobie marynarkę.

BELLA: (Z oczyma twardymi od gniewu i chciwości, wskazuje.) Kto za to zapłaci? Dziesięć szylingów. Jesteś świadkiem.

BLOOM: (Podnosi laskę Stefana.) Ja? Dziesięć szylingów? Czy nie dosyć z niego wyciągnęłaś? Czy nie...

BELLA: (Donośnie.) Tylko bez tych wszystkich waszych wielkich słów tutaj. To nie burdel. To dziesięcioszylingowy dom.

BLOOM: (Dotyka ręką lampy, pociąga za łańcuszek. Po pociągnięciu palnik gazowy oświetla zgnieciony fioletowopurpurowy abażur. Unosi laskę.) Tylko oprawka jest zgnieciona. Oto wszystko, co on... BELLA: (Cofa się i krzyczy.) Jezu! Nie!

BLOOM: (Udając uderzenie.) Chcę pokazać, jak uderzył w papier. Nie ma tu szkody nawet za sześć pensów. Dziesięć szylingów! FLORA: (Wchodzi z kubkiem wody.) Gdzie on jest?

BELLA: Czy chce pan, żebym wezwała policję? BLOOM: Och, wiem. Buldog pilnuje posiadłości. Ale on jest studentem z Trinity. Najlepsi klienci pani przedsiębiorstwa.

Gentlemani, którzy płacą za komorne. (Robi masoński znak.) Wiesz, co mam na myśli? Siostrzeniec vice-kanclerza. Nie pragniesz skandalu.

BELLA: (Z gniewem.) Trinity! Przychodzą tu szaleć po regatach wioślarskich i nic nie płacą. Czy chce pan mną rządzić tutaj? Gdzie on jest? Oskarżę go. Skompromituję go, zrobię to. (Wola.) Zoe! Zoe!

BLOOM: (Nagłaco.) A gdyby to był twój własny syn w Oxfordzie? (Ostrzegawczo.) Wiem.

BELLA: (Osłupiała.) Kim jesteś? Incognito? ZOE: (W progu.) Jakaś awantura tam się odbywa. BLOOM: Co? Gdzie? (Rzuca na stoi szylinga i wola.) To za abażur. Gdzie? Potrzebuję górskiego powierza.

(Wybiega przez przedpokój. Kurwy wskazują. Flora idzie za nim, rozlewając wodę z przechylnego kubka. Na schodkach zbite w gromadkę kurwy mówią jedna przez drugą, wskazując naprawo, gdzie mgła rozproszyła się. Z lewej nadjeżdża dzwoniąca klekocząca dorożka. Zwalnia przed domem. Stojący w drzwiach przedpokoju Bloom dostrzega Corny Keliehera, który wysiada z pojazdu w towarzystwie dwóch milc:ą-

410

cych rozpustników. Odwraca głowę. Bella, stojąc w przedpokoju, popędza swe kurwy. Posyłają one od ust słodkielepkiwiotkie mniammniam pocałunki. Górny Kelieher odpowiada upiornym lubieżnym uśmiechem. Milczący rozpustnicy odwracają się, by zapłacić dorożkarzowi. Zoe i Kitty nadal wskazują w prawo, Bloom szybko przepycha się pomiędzy nimi, nasuwa swój kaptur i opończę kalifa, a potem spieszy w dół po schodkach, odwracając głowę w bok. Jak Harun al Raszyd, incognito, przemyka się z tyłu za milczącymi rozpustnikami i przyspiesza obok sztachet, posuwając się szybkim krokiem leoparda, znaczącego swój trop skrawkami podartych kopert zanurzonych w anyżku. Siad jesionowej laski towarzyszy jego krokom. Sfora ogarów, gnanych przez Dmącego w Róg z Trinity, wymachującego szpicrutą, ubranego w myśliwską czapkę i stare, szare spodnie, ściga go z dala, węsząc za tropem, zbliżając się, ujadając, ziejąc, błędząc, wyrywając się, wywalając języki, gryząc go po nogach, chwytając go za ogon. Idzie, biegnie, zygzakuje, galopuje, położywszy słuchy po sobie. Jest obsypany gradem kamyków, głąbów kapuścianych, pudełek po herbatnikach, jajek, ziemniaków, zdechłych sztokfiszów, kobiecych papucipantofli. Za nim, zwietrzywszy na nowo trop, nagonka galopuje zygzakiem, gęsiego, ścigają go: 65 C i 66 C policjanci nocnego patrolu, John Henry Menton, Wisdom Hely, V. B. DUlon, radny Nannetti, Aleksander Klaucz, Larry o'Rourke, Joe Cuffe, pani o'Dowd, Szczyt Burkę, Ów Bezimienny, pani Riordan, Obywatel, Garryowen, Jakżemutam, Obcatwarz, Facetpodobnydo, Gdzieśgojużwidziałem. Tencobylztym, Chris Callinan, sir Charles Cameron, Benjamin Dollard, Lenehan, Bartell d'Arcy, Joe Hynes, czerwony Murray, redaktor Brayden, T. M. Healy, pan sędzia Fitz-gibbon, John Howard Parnell, wielbny Łosoś

Wpuszce, profesor Joly, pani Breen, Denis Breen, Theodore Purefoy, Mina Purefoy, urzędniczka z okienka pocztowego przy Westland Rów, C. P. M'Coy, przyjaciel Lyonsa, Hopsiup Hol-lohan, człowiek z ulicy, inny człowiek z ulicy, Futbolista, perkatonosy motorniczy, bogata protestancka dama, Davy Byrne, pani Ellen M'Guinness, pani Joe Gallaher, George Lidwell, Jimmy Henry na odciskach, superintendent Laracy, ojciec Cowley, Crofton z biura Generalnego Poborcy, Dań Dawson, chirurg jamy ustnej Bloom ze szczypcami, pani Bob Boran, pani Kennefick, pani Wyse Nolan, John Wyse Nolan, przystojnamężatkaoktórejrozłożystytlekotarlem-sięwtramwajudoClonskea, sprzedawca Słodocy Grzechu, panna Dubedatktóra-dupyda, żony Geralda i Stanislausa Maranów z Roebuck, kierownik od Drimmie'ego, pułkownik Hayes, Mastiansky, Citron, Penrose, Aaron Figizbier, Mojżesz Herzog, Michael E. Geraghty, inspektor Troy, pani Galbraith, policjant z rogu Eccies Street, stary doktor Brady ze stetoskopem, tajemniczy mężczyzna z plaży, wyżeł, pani Miriam Dandrade i wszyscy jej kochankowie.)

NAGONKA: (Łapucaputrzaskuprasku.) To Bloom! Trzymaj Blooma! Łapajbloom! Bloomajłapa! Trzymajzbója! Huź! Ha! Zatrzymajcie go na rogu! (Na rogu Beaver Street Bloom zatrzymuje się, dysząc pod rusztowaniem na skraju gwarnego, skłóconego kłębowniska, nie wiedzącego, co to za huź! ha! zwada i sprzeczka ktokogoizaco wrzeszcząwszyscyrazem.)

STEFAN: (Gestykułując wyszukanie, oddycha głęboko i powoli.) Jesteście moimi gośćmi. Nieproszonymi. Zawdzięczając piątemu z Jerzych i siódmemu z Edwardów. Trzeba winić historię. Zmyślone przez matki pamięci.

411

ŻOŁNIERZ CARR: (Do Cissy Caffrey.) Czy on cię obraził? STEFAN: Zwróciłem się do niej w wołaczu rodzaju żeńskiego. Prawdopodobnie jest rodzaju nijakiego. Przypadek niegenitywny.

GŁOSY: Nie, nie zrobił tego. Dziewczyna kłamie. Był u pani Cohen. Co się tu dzieje? Żołnierze i cywile.

CISSY CAFFREY: Byłam w towarzystwie tych żołnierzy i odeszli ode mnie, żeby się... wiecie co, a ten młody człowiek podbiegł do mnie z tyłu. Ale jestem wierna mężczyźnie, który mi funduje, chociaż jestem tylko kurwą za szylinga.

STEFAN: (Dostrzega głowy Kitty i Lyncha.) Witaj, Syzyfie. (Wskazuje siebie i pozostałych.) Poetyckie. Neopoetyckie. GŁOSY: Ona jest wiernaonajestmężczyźnie.

CISSY CAFFREY: Tak, żebym z nim poszła. A ja z moim przyjacielem żołnierzem.

ŻOŁNIERZ COMPTON: Prosi się, żeby mu dać w mordę, ten wszarz. Walnij go raz, Harry.

ŻOŁNIERZ CARR: (Do Cissy.) Czy on cię obraził, kiedy ja i on poszliśmy się wyszczać?

LORD TENNYSON: (W blezerze o barwach flagi bryty'jkiej i we flanelowych spodniach do krykieta, gołogłowy, z falistą brodą.) Nie im pytać dlaczego. ŻOŁNIERZ COMPTON: Walnij go, Harry.

STEFAN: (Do Żołnierza Comptona.) Nie zna twego nazwiska, ale masz zupełną słuszość. Doktor Swift mówi, że jeden człowiek w zbroi pokona dziesięciu ludzi w koszulach. Koszula jest synekdochą. Pars pro toto. CISSY CAFFREY: (Do zbiegowiska.) Nie, byłam z żołnierzem. STEFAN: (Uprzejmie.) Czemu nie? Dzielny wojskowy chłopak. W moim przekonaniu każda dama, na przykład...

ŻOŁNIERZ CARR: (W czapce na bakier, podchodzi do Stefana.) Powiedz, szefuniu, jak by to było, gdybym cię grzmotnął w szczękę? STEFAN: (Spogląda w niebo.) Jak? Bardzo nieprzyjemnie. Szlachetna sztuka samosądu. Osobiście, nie znoszę działania. (Porusza ręką.) Ręka mnie trochę boli. En fin, ce sont vos oignons. (Do Cissy Caffrey.) Co to za zamieszanie tutaj? O co chodzi dokładnie?

DOLLY GRAY: (Powiewa chusteczką z balkonu dając znak heroiny z Jerycho.) Rahab. Synu kucharki, żegnaj. Wróć szczęśliwie do domu, do swej Doiły. Śnij o dziewczynie, która pozostała, a ona śnić będzie o tobie. (Żołnierze odwracają zamglone oczy.)

BLOOM: (Przepycha się łokciami przez tłum i pociąga energicznie Stefana za rękaw.) Chodźmy, profesorze, stangret czeka.

STEFAN: (Odwraca się.) Co? (Oswobodzą się.) Dlaczego mam nie mówić z nim albo z którąkolwiek inną ludzką istotą, poruszającą się pionowo po powierzchni tej spłaszczonej pomarańczy? (Wskazuje palcem.) Nie boję się stworzenia, do którego mówię, póki patrzę mu w oczy. Utrzymywanie równowagi w pionie. (Zatacza się krok do tyłu.) BLOOM: (Podtrzymując go:) Utrzymuj swoją własną.

412

STEFAN: (Śmieje się głucho.) Mój środek ciężkości przesunął się. Zapomniałem, jak się to robi. Usiądźmy gdzieś i podyskutujmy. Walka o życie jest prawem istnienia. ale nowocześni filoreniści, a szczególnie car i król angielski, wynaleźli arbitraż. (Uderza się w czoło). Ale tu napisano, że muszę zabić kapłana i króla. KURCZĄTKO TRYPRZĄTKO: Czy słyszeliście, co powiedział profesor? On jest profesorem w gimnazjum.

KASIULA PIZDULA! Ja. Ja to słyszałam.

KURCZĄTKO TRYPRZĄTKO: Wymowa jego odznacza się niezwykłym wyszukaniem.

KASIULA PIZDULA: Tak, rzeczywiście. A jednocześnie stosowną ciętością. ŻOŁNIERZ CARR: (Wyrwa się i podchodzi.) Co ty tu gadasz o moim królu? (Edward Siódmy pojawia się pod łukiem sklepienia przejścia. Ubrany jest w biały sweter, na którym wyhaftowano wizerunek Najświętszego Serca z insygniami orderów Podwiązki i Ostu, Złotego Runa, Słonia Danii, regimentów konnych Skinner i Probyn, Członka Wydziału Prawa oraz starożytnego i czcigodnego pułku artylerii w Massachusetts. Ssie czerwoną jujubę. Odziany jest w strój wielkiego doskonałego elekta i najwyższego masona, z kielnią i fartuszkiem opatrzonym napisem madę in Germany. W lewej ręce trzyma wiadro sztukator skie, na którym wielkimi literami wypisano: Defense d'uriner. Pozdrawia go powitalny

ryk.)

EDWARD SIÓDMY: (Powoli, uroczyście, ale niewyraźnie.) Spokój, zupełny spokój. Dla ustalenia tożsamości trzymam w ręce wiadro. Serwus, chłopcy. (Zwraca się ku swym poddanym.) Przybyliśmy tu, aby być świadkami uczciwej, rzetelnej walki i serdecznie życzymy obu mężczyznom jak najlepszego rozstrzygnięcia. Mahak makar a back.

(Ściska dłonie: żołnierza Carra, żołnierza Comptona, Stefana, Blooma i Lyncha. Ogólny entuzjazm. Edward Siódmy z wdziękiem unosi wiadro w podzięce.) ŻOŁNIERZ CARR: (Do Stefana.) Powtórz to.

STEFAN: (Zdenerwowany, przyjacielski, stara się skupić.) Rozumiem twój punkt widzenia, chociaż w tej chwili nie posiadam żadnego króla. To jest epoka patentowanych leków. Trudno tu dyskutować. Ale w tym tkwi sedno. Przypuśćmy, że zginiesz za ojczyznę. (Kładzie dłoń na rękawie żołnierza Carra.) Nie dlatego, abym ci tego życzył. Ale ja powiadam: niech moja ojczyzna zginie za mnie. Dotychczas robiła to. Nie chcę, aby ginęła. Przeklęta śmierć. Niech żyje życie!

EDWARD SIÓDMY: (Unosi się nad stosami pomordowanych w stroju i z aureolą Drwiącego Jezusa, w fosforyzującej twarzy lśni biała jujuba.)

Ma metoda jest nowa i każdego zaskoczy. By przywrócić wzrok ślepcom, ciskam im piaskiem w oczy.

STEFAN: Królowie i jednorożce! (Cofa się o krok.) Odejdźmy gdzieś i wtedy będziemy mogli... Co ta dziewczyna powiedziała?... ŻOŁNIERZ COMPTON: Ej, Harry, daj mu kopniaka w jaja. Daj mu kopa w srakę. BLOOM: (Do żołnierzy, cicho.) On nie wie, co mówi. Łyknął trochę więcej, niż potrzebował dla zdrowia. Absynt, zielonooki potwór. Znam go. To gentleman, poeta. Wszystko jest w porządku.

413

STEFAN: (Potakuje, uśmiecha się, śmieje się.) Gentleman, patriota, uczony i sędzia

samozwańców.

ŻOŁNIERZ CARR: Gównu mnie obchodzi, kim on jest.

ŻOŁNIERZ COMPTON: Gównu nas obchodzi, kim on jest.

STEFAN: Zdaje się, że niepokoję ich. Zielona płachta na byka.

(Kevin Egan z Paryża, w czarnej, hiszpańskiej, obszytej frędzlą koszuli i w kapeluszu karbonariusza, daje znak Stefanowi.)

KEVIN EGAN: H'lo! Bonjour! Ta vieille ogresse z dents jaunes.

(Patrice Egan wyziera z tyłu, jego króliczy pyszczek przeżuwa liść pigwy.)

PATRICE: Socialiste!

DON EMILE PATRIZIO FRANZ RUPERT POPE HENNESSY: (W średniowiecznej]

kolczudze, dwie dzikie gęsi ulatują na jego hełmie, pełen szlachetnego oburzenia wskazuje dłonią w żelaznej rękawicy w stronę żołnierzy.) Werf tych pętaków do stópboden, tych wielkich grand porcos francowatych todos sosem z mięsa polanych.

BLOOM: (Do Stefana.) Chodźmy do domu. Narobi pan sobie kłopotu. STEFAN: (Chwiejąc się.) Nie unikam go. On prowokuje moją inteligencję. KURCZĄTKO TRYPRZĄTKO: Można natychmiast zauważyć, że pochodzi z pa-trycjatu.

JĘDZA: Zielony ponad czerwonym, powiada on. Wolfe Tonę. RAJFURA: Czerwony jest tak dobry jak zielony, i lepszy. Niech żyją żołnierze! Niech żyje król Edward!

OPRYCH: (Śmieje się.) Tak! Ręce do góry przed De Wetem. OBYWATEL: (Okręcony wielkim szmaragdowym szalikiem, trzyma pałkę i woła.)

Niechaj Bóg na niebie

Ześle nam gołębie,

Z zębami ostrymi jak piły,

Dla rozdarcia gardzieli

Tych angielskich śmierdzieli,

Co irlandzkich wodzów powiesiły.

MŁODY BUNTOWNIK: (Z pętlą sznura wokół szyi, oburącz przytrzymuje wypływające wnętrzności.)

Nienawiścią moją nie darzę nikogo, Lecz ojczyzna bardziej niż król jest mi drogą.

RUMBOLD DEMONICZNY CYRULIK: (W towarzystwie dwóch czarnozamaskowanych pomocników, podchodzi z lekkim kuferkiem, który otwiera.) Panie i panowie, oto topór zakupiony przez panią Percy, żeby zabić Mogga. Nóż, którym Yoisin poćwiartował żonę jednego ze swych rodaków i ukrył w piwnicy jej resztki, zawinięte w prześcieradło, a gardło owej niewiasty nieszczęsnej rozcięte było od ucha do ucha. Flakonik zawierający arszenik wydobyty z ciała panny Barrow, który posłał Seddonsa na szubienicę.

(Podciąga gwałtownie sznur, pomocnicy, uczepiwszy się nóg ofiary, ciągną ją ku dołowi, sapiąc: język młodego buntownika wysuwa się gwałtownie.)

414

MŁODY BUNTOWNIK:

Nhie zmhówilem modłhów zha duszhę mhatki mhej.

(Oddaje ducha. Gwałtowna erekcja wisielców przebija jego ubiór skazańca wytryskami spermy opadającymi na kamienie bruku. Pani Bellingham, pani Yelver-ton Barry i czcigodna pani Meryyn Talboys podbiegają, by umoczyć w niej swe chusteczki.)

RUMBOLD: Ja sam jestem tego bliski. (Zdejmuje pętlę.) Sznur, na którym powieszono straszliwego buntownika. Dziesięć szylingów za kawałek, jak to ustalono z Jego Królewską Wysokością. (Daje nura w otwarty brzuch wisielca i wynurza głowę oblepioną skręconymi, dymiącymi wnętrzościami.) Moja bolesna powinność została spełniona. Boże zachowaj króla!

EDWARD SIÓDMY: (Tańczy z wolna, uroczyście, potrząsając wiadrzem, i śpiewa z cichym zadowoleniem.)

W dzień koronacji, w dzień koronacji, Ach, jak nam miło czas upłynie Przy whisky, piwie i przy winie!

ŻOŁNIERZ CARR: No? Co tam gadasz o moim królu? STEFAN: (Unosi ręce.) Och, to jest zbyt monotonne! Nic. On chce mych pieniędzy i mego życia, chociaż na chceniu musi poprzestać, dla jakiegoś swego brutyjskiego imperium. Pieniądzy nie mam. (Bezladnie przeszukuje kieszenie.) Dałem je komuś.

ŻOŁNIERZ CARR: A kto chce twoich pieprzonych pieniędzy? STEFAN: (Stara się odejść.) Czy może mnie ktoś objaśnić, gdzie jest najmniejsza możliwość spotkania tego koniecznego zła? Ca se voit aussi a Paris. Nie, żeby... Ale, na świętego Patryka!...

(Głowy kobiece zlewają się w jedną. Stara Babcia Dziąselko, w czapce jak głowa cukru, pojawia się, siedząca na muchomorze, na jej piersi spoczywa śmiertelny kwiat zarazy ziemniaczanej.)

STEFAN: Aha! Znam cię, babciu! Hamlecie, zemsta! Stara maciora, która pożera swój pomiot!

STARA BABCIA DZIASELKO: (Kiwając się w przód i w tył.) Ukochana Irlandii, córka króla Hiszpanii, alanna. Obcy są w mym domu, okażcie im złe maniery! (Zawodzi żałobnie jak bogini śmierci.) Ochone! Ochone! Perła pastwisk! (Zawodzi.) Spotkałeś biedną starą Irlandię i jaką ją znalazłeś?

STEFAN: Jaką cię znajduję? Do trzech razy sztuka! Gdzież jest trzecia osoba Trójcy Świętej? Soggarth Aroon? Przewielebny Kruk Padlinożerski. CISSY CAFFREY: (Piszczący.) Nie dajcie się im bić! OPRYCH: Nasi mężczyźni wycofali się.

ŻOŁNIERZ CARR: (Szarpiąc pasek.) Ukręcę łeb każdemu wszarzowi, który powie słowo na mojego pierdolonego króla.

BLOOM: (Przerażony.) On nic nie powiedział. Ani słowa. Czyste nieporozumienie. OBYWATEL: Erin go hragh!

415

(Major Tweedy i Obywatel demonstrują sobie nawzajem medale, odznaczenia, trofea wojenne, rany. Obaj salutują ze srogą wrogością.) ŻOŁNIERZ COMPTON: Jazda, Harry. Przywal mu raz w oko. To pro-boer. STEFAN: Rzeczywiście? Odkąd?

BLOOM: (Do czerwonych bluz.) Walczyliśmy za was w Południowej Afryce, irlandzkie oddziały szturmowe. Czy to nie historia? Królewscy Strzelcy Dublińscy. Odznaczeni przez naszego monarchę.

ROBOCIARZ: (Przechodzi obok zataczając się.) O, tak. O, Boże, tak. O, uczyni z ich fTflag ich fffiaki! O! Bum!

(Halabardnicy w hełmach i zbrojach wysuwają ku przodowi las wieczni z nadzianymi na ostrza wnętrznościami. Major Tweedy z wąsami Turka Straszliwego, w niedźwiedziej czapie z kogucim piórem i w pełnym uzbrojeniu, z epoletami, złożonymi oznakami i szarży szabeltasem, z piersią lśniąca od medali, lustruje szeregi. Czyni znak rycerza pielgrzyma zakonu templariuszy.) MAJOR TWEEDY: (Warczy bwkliwie.) Rorke's Drift! Naprzód, gwardio, i na nich! Mahal shalal hashbaz. ŻOŁNIERZ CARR: Załatwię go.

ŻOŁNIERZ COMPTON: (Odsuwa tium.) Uczciwa gra tu będzie. Zrobi krwawą jatkę z tego wszarza.

(Połączone orkiestry grają Garryowen ; Boże zachowaj króla J CISSY CAFFREY: Będą się bili! O mnie! KASIULA PIZDULA: Dzielni i piękni.

KURCZĄTKO TRYPRZĄTKO: Zda mi się, iż ów czarny rycerz między pierwszymi stanąć może.

KASIULA PIZDULA: (Oblewa się ciemnym rumieńcem.) Nie, pani. Obstaję ja za owym kaftanem szkarłatnym i wesołym świętym Jerzym!

STEFAN:

Z nawoływań biegnących z ulicy w ulicę Całuny twe, Irlandio, tkają ladacznice.

ŻOŁNIERZ CARR: (Obluźniając pas, wrzeszczy.) Ukręcę łeb każdemu pierdolonemu bękartowi, który mi powie słowo przeciwko mojemu pieprzonemu pierdolonemu królowi.

BLOOM: (Potrząsa Cissy Caffrey za ramiona.) Odezwij się, ty! Czyś oniemiała?

Jesteś ogniwem łączącym narody i pokolenia. Mów, kobieto, święta życiodawczyno!

CISSY CAFFREY: (Zaniepokojona, chwyta żołnierza Carra za rękaw.) Czy nie jestem z tobą? Czy nie jestem twoją dziewczyną? Cissy jest twoją dziewczyną. (Woła.)

Policja!

STEFAN: (W zachwyceniu, do Cissy Caffrey.)

Białe łapki, sine ryłko I smaczniutkie masz półdupki.

GŁOSY: Policja!

GŁOSY z ODDALI: Dublin płonie! Dublin płonie! Cały w ogniu! Cały w ogniu!

(Płonąca siarka tryska w górę. Przepływają gęste obłoki. Grzmią działa szybko-

416

strzelne. Pandemonium. Oddziały rozwijają szyk bojowy. Galop kopyt. Artyleria. Ochryple rozkazy. Biją dzwony. Oszuści wyścigowi nawołują. Pijacy wrzeszczą. Kurwy piszczą. Syreny wyją. Okrzyki mężnych. Wrzaski konających. Piki szczękają na pancerzach. Złodzieje okradają poległych. Ptaki drapieżne nadlatują znad morza, podrywają się z moczarów, pikują z gniazd na zdobycz, krążą w górze i krzyczą, gęsi morskie, kormorany, sępy, jastrzębie gołębiarze, stonki wędrowne, sokoły, kobuzy, czarne głuszce, orły morskie, mewy, albatrosy, gęsi arktyczne. Sionce północne zaćmiewa się. Ziemia drży. Umarli Dublina, ci z Prospect i ci z Mount Jerome, ubrani w szaty z białych skór owczych i czarne opończe z kozłej skóry, powstają i objawiają się rzeszom. Otchłań otwiera się bezgłośnie. Tom

Rochford, zwycięzca, pojawia się w koszulce i spodenkach sportowych na czele narodowego biegu z przeszkodami i wskakuje do czeluści. Za nim wpada stawka ścigających się biegaczy i skoczków. W dzikich wygibasach zeskakują z krawędzi. Ich ciała zanurzają się. Dziewczęta z fabryk, ubrane w szykowne stroje, ciskają rozpalone do czerwoności baraabomby z Yorkshire. Damy z towarzystwa unoszą sukienki ponad głowy, żeby się uchronić. Roześmiane czarownice w krótkich, czerwonych koszulkach lecą w powietrzu na miotłach. Quakerlyster plaster niszczy pryszczę. Spada deszcz zębów smoczyc. Uzbrojeni bohaterowie wyskakują z rozpadlin. Wymieniają przyjazne hasło rycerzy czerwonego krzyża i staczają pojedynki kawaleryjskimi szablami: Wolfe Tonę z Henry Grattanem, Smith o'Brien z Danielem O'Connelllem, Michael Davitt z Isaakiem Buttem, Justin M'Carthy z Parnellem, Arthur Griffith z Johnem Redmondem, John O'Leary z Learem O'Johnny, Lord Edward Fitzgerald z Lordem Geraldem Fitzedwardem, O'Donoghue z Doliny z Doliną O'Donoghue. Na wyniosłości, pośrodku świata, wznosi się ołtarz polowy świętej Barbary. Czarne świece wyrastają z jego obu rogów:

rogu ewangelii i rogu listów apostoelskich. Z dwóch wysoko umieszczonych strzelnic wieży dwie włócznie blasku padają na spowity dymem kamień ołtarza. Na kamieniu ołtarza leży naga pani Mina Purefoy, bogini nierozsądku, spętana; na jej wzdętym brzuchu stoi kielich. Ojciec Malachi O'Flynn, w długiej halce i włożonym przodem do tyłu ornacie, mając dwie lewe stopy odwrócone tyłem do przodu, odprawia mszę polową. Wielebny Hugh C. Haines Love, M. A., ubrany w prostą sutannę i piasek biret akademicki, głowę i kołnierzyk ma odwrócone tyłem do przodu i trzyma nad głową celebranta otwarty parasol.)

OJCIEC MALACHI o'FLYNN: Introibo ad altare diaboli. WIELEBNY HAINES LOVE: Do diabła, który rozweselił młodość moją. OJCIEC MALACHI o'FLYNN: (Wyjmuje z kielicha i unosi ociekającą krwią hostię.) Corpus Meum.

WIELEBNY HAINES LOVE: (Unosi od tyłu, wysoko w górę, halkę celebranta, odsłaniając szary, nagi, włochaty zadek, w który wetknięta jest marchewka.) Ciało moje. GŁOS WSZYSTKICH POTĘPIONYCH: Ađatw yčągomhcezw Gób Nap, Aiulella! (Z wysokości rozbrzmiewa głos Adonai.)

ADONAI: GÓÓÓÓÓÓÓÓÓÓÓÓÓÓÓÓb!

GŁOS WSZYSTKICH ZBAWIONYCH: Alleluia, Pan Bóg Wszechmogący włada! (Z wysokości rozbrzmiewa głos Adonai.)

ADONAI: BÓÓÓÓÓÓÓÓÓÓÓÓÓÓÓÓg!

(W przeraźliwym dysonansie wieśniacy i mieszczanie stronnictw Orange i Zielonego śpiewają równocześnie Kopnij papieża ;' Co dnia, co dnia śpiewaj Marii.)

ŻOŁNIERZ CARR: (Akcentując z wściekłością.) Wykończę go, tak mi dopomóż pierdolony Chryste! Ukręcę temu pierdolonemu bękartowi tę jebaną przeklętą pierdoloną szyję!

STARA BABCIA DZIAŚEŁKO: (Wsuwając sztylet w dłoń Stefana.) Usuń go, acushia. o8.35 rano będziesz w niebie, a Irlandia będzie wolna. (Modli się.) O dobry Boże, zabierz go!

BLOOM: (Podbiega do Lyncha.) Czy nie może go pan stąd zabrać? LYNCH: On lubi dialektykę, uniwersalny język. Kitty! (Do Blooma.) Niech go pan odciągnie stąd. Mnie nie posłucha. (Odchodzi, ciągnąc Kitty.)

STEFAN: (Wskazuje.) Exit Judas. Et laaueo se suspendit. BLOOM: (Podbiega do Stefana.) Niech pan odejdzie ze mną teraz, zanim stanie się coś gorszego. Tu jest pana laska. STEFAN: Laska, nie. Rozum. To uczta czystego rozumu. CISSY CAFFREY: (Odcinając żołnierza Carra.) Chodź, jesteś zalany. Obraził mnie, ale mu przebaczam. (Krzyczy mu w ucho.) Przebaczam mu za to, że mnie obraził. BLOOM: (Spoza pleców Stefana.) Tak. Odejdźcie. Widzicie przecież, że jest zamroczony.

ŻOŁNIERZ CARR: (Wyrywa się.) Ja go obrażę. (Podbiega do Stefana z wysuniętymi pięściami i uderza go w twarz. Stefan chwieje się, pada, leży ogłuszony. Leży rozciągnięty, twarzą ku niebu, a kapelusz jego toczy się pod mur. Bloom podąża za kapeluszem i podnosi go.) MAJOR TWEEDY: (Głośno.) Na ramię broń! Zaprzestać ognia! Prezentuj broń! WYŻEŁ: (Szczeka wściekle.) Hau hau hau hau hau hau hau hau. TŁUM: Podnieście go! Nie bij leżącego! Powietrza! Kto? Żołnierz go uderzył. To profesor. Czy jest ranny? Nie znęcaj się nad nim. Zemdłał. (Wy żel węsząc na skraju tłumu szczeka głośno.) JĘDZA: Jakie prawo miał ten żołnierz, żeby uderzyć gentlemana, i do tego będącego pod wpływem. Niech idą stąd bić się z Boerami! RAJFURA: Posłuchajcie no jej! Czy żołnierz nie ma prawa iść ze swoją dziewczynką? Dał mu raz, temu tchórzowi.

(Chwytają się nawzajem za włosy, wbijają w siebie pazury i pluja.) WYŻEŁ: (Szczeka.) Hau hau hau. BLOOM: (Odpycha je, głośno.) Cofnąć się, odsunąć się! ŻOŁNIERZ COMPTON: (Szarpiać swego towarzysza.) Hej, zwiewajmy, Harry. Gliny idą! (Dwaj zakapturzeni, rośli policjanci stoją w tłumie.)

PIERWSZY POLICJANT: Co tu się Stało?

ŻOŁNIERZ COMPTON: Byliśmy z tą damą, a on obraził nas i napadł na mojego kumpla. (Wy żel szczeka.) Czyj jest ten pieprzony kundel?

CISSY CAFFREY: (Z nadzieją.) Czy on krwawi?

JAKIŚ CZŁOWIEK: (Unosząc się z kolan.) Nie. Stracił przytomność. Przyjdzie do siebie, w porządku.

BLOOM: (Spogląda ostro na Jakiegoś Człowieka.) Proszę go zostawić mnie. Mogę

łatwo...

418

DRUGI POLICJANT: Kim pan jest? Czy pan go zna?

ŻOŁNIERZ CARR: (Zatacza się w stronę policjantów.) On obraził moją znajomą damę.

BLOOM: (Gniewnie.) Uderzyłeś go bez zaczepki. Jestem świadkiem. Panie policjancie, proszę zapisać jego numer pułkowy.

DRUGI POLICJANT: Nie potrzebuję pańskich instrukcji przy wykonywaniu moich obowiązków.

ŻOŁNIERZ COMPTON: (Odcinając swego towarzysza.) Wypierdalajmy, Harry, bo Bennett wsadzi cię do paki.

ŻOŁNIERZ CARR: (Opierając się, odchodzi.) Niech Bóg zjebie starego Bennetta! To białodupy wszarz! Gównu mnie on obchodzi.

PIERWSZY POLICJANT: (Wyjmując notes.) Jego nazwisko?

BLOOM: (Spozieraając nad głowami zbiegowiska.) Widzę tam jakąś dorożkę. Jeżeli pomoże mi pan przez chwilę, sierżancie...

PIERWSZY POLICJANT: Nazwisko i adres.

(Corny Kelieher, w kapeluszu obwiedzionym krepą i z wieńcem żałobnym w dłoni, pojawia się pośród gapiów.)

BLOOM: (Szybko.) O, opatrnościowy człowiek! (Szepcze.) Syn Simona Dedalusa. Trochę podchmielony. Niech pan sprawi, żeby ci policjanci rozpędzili jakoś tych gapiów.

DRUGI POLICJANT: Dobry wieczór, panie Kelieher.

CORNY KELLEHER: (Do policjantów, zezując.) W porządku. Znam go. Wygrał trochę na wyścigach. Złoty Puchar. Ulotka. (Śmieje się.) Dwadzieścia do jednego.

Czy rozumiecie?

PIERWSZY POLICJANT: (Odwraca się ku gapiom.) Hej, na co się tak wszyscy gapicie?

Rozejść się.

(Tłum rozprasza się z wolna, pomrukując, w zaułku.) CORNY KELLEHER: Niech pan to mnie zostawi, sierżancie. Wszystko będzie w porządku. (Śmiejąc się, potrząsa głową.) Sami byliśmy kiedyś tacy albo gorsi, co? Co?

PIERWSZY POLICJANT: (Śmieje się.) Tak mi się zdaje. CORNY KELLEHER: (Trąca policjanta łokciem.) No, niech pan zetrze swoje nazwisko z tabliczki. (Podśpiewuje, kiwając głową.) Z moim tralala tralala tralala tralala. Co, ech, rozumiecie mnie?

DRUGI POLICJANT: (Wesoło.) Ach, pewnie, że tak. CORNY KELLEHER: (Mrugając.) Chłopcy pozostaną chłopcami. Mam tu niedaleko dorożkę.

DRUGI POLICJANT: Dobrze, panie Kelieher. Dobranoc. CORNY KELLEHER: Dopilnuję tego.

BLOOM: (Ściska kolejno dłonie obu policjantom.) Dziękuję wam bardzo, panowie, bardzo dziękuję. (Bełkoce poufnie.) Nie chcemy żadnego skandalu, rozumiecie. Ojciec jest ogólnie szanowanym, wielce czcigodnym obywatelem. To tylko młodość, która się musi wyszumieć, rozumiecie. PIERWSZY POLICJANT: O, rozumiem, proszę pana. DRUGI POLICJANT: W porządku, proszę pana.

419

PIERWSZY POLICJANT: Tylko w wypadku cielesnych obrażeń musiałbym zaraportować w komisariacie.

BLOOM: (Potakuje gorliwie.) Naturalnie. Zupełnie słusznie. To tylko wasz służbowy obowiązek.

DRUGI POLICJANT: To nasz obowiązek. CORNY KELLEHER: Dobranoc, moi przyjaciele. POLICJANCI: (Salutując równocześnie.) Dobranoc panom. (Odchodzą powolnym, ciężkim krokiem.)

BLOOM: (Oddycha głośno.) Opatrznościowo zjawił się pan na scenie. Czy ma pan dorożkę...?

CORNY KELLEHER: (Śmieje się, wskazując kciukiem przez swe prawe ramię dorożkę stojącą naprzeciw rusztowania.) Dwóch kupców, którzy stawiali nam szampana u Jammeta. Jak książęta, słowo daję. Jeden z nich przegrał dwa funty na wyścigach. Topili swój ból, a potem

zachciało się im pójść na wesołe dziewczynki. Wsadziłem ich więc do dorożki Behana i odwiozłem do nocnego miasteczka.

BLOOM: Szedłem właśnie do domu przez Gardiner Street, kiedy... CORNY KELLEHER: (Śmieje się.) Pewnie, że chcieli, żebym poszedł razem z nimi na dziwki. Nie, na Boga, powiadam im. To nie dla takich starych lisów jak ja i pan. (Śmieje się znowu i łypie okiem bez blasku.) Dzięki Bogu, mamy to w domu, co, ech, rozume mnie pan? Ha! ha! ha!

BLOOM: (Usiłuje się uśmiechnąć.) Hę, hę, hę! Tak. W rzeczywistości odwiedziłem tu mojego starego przyjaciela Yiraga, nie zna go pan (leży biedak już od tygodnia) i wypiliśmy razem, a potem szedłem właśnie do mej chatki... (Koń rży.)

KOŃ: Chachachachachachacha! Chachachachatki! CORNY KELLEHER: To właśnie Behan, nasz woźnica, powiedział mi, kiedy pozostawiliśmy tych dwóch kupców u pani Cohen, więc kazałem mu się zatrzymać i zszedłem, żeby się przypatrzeć. (Śmieje się.) Trzeźwi woźnice karawanów to moja specjalność. Czy mam go podwieźć do domu? Gdzie on mieszka? Gdzieś w Cabra,

co?

BLOOM: Nie. Z tego, co napomknął, wydaje mi się, że w Sandycove.

(Stefan, rozciągnięty, oddycha ku gwiazdom. Corny KeUeher zezuje przeciągle w stronę konia. Bloom w zadumie w dół spogląda.)

CORNY KELLEHER: (Drapie się w kark.) Sandycove! (Pochyla się i wola do Stefana.)

Ech! (Wola znowu.) Ech! Tak czy owak jest pokryty trocinami. Trzeba uważać, żeby mu czego nie świsnęli.

BLOOM: Nie, nie, nie. Mam tu jego pieniądze, kapelusz i laskę.

CORNY KELLEHER: Ach, przejdzie mu to. Żadna kość nie jest złamana. No, pójdę sobie. (Śmieje się.) Mam rendezvous rano. Grzebanie umarłych. Życzę spokojnego powrotu do chatki!

KOŃ: (Rży.) Chachachachatki.

BLOOM: Dobranoc. Zaczekam tu i zabiorę go za kilka...

(Corny KeUeher odchodzi ku dorożce i wskazuje do niej. Podzwania uprzęż końska.)

CORNY KELLEHER: (Z dorożki, stojąc.) Brance. BLOOM: Branoc.

(Woźnica pociąga za lejce i zachęcająco unosi bat. Pojazd i koń cofają się powoli i niezgrabnie, a potem zakręcają. Corny KeUeher siedzi na bocznej ławeczce i kiwa głową na znak rozbawienia sytuacją Blooma. Woźnica przyłącza się do niemej pantomimicznej wesołości, potakując z odleglejszego siedzenia. Bloom potrząsa głową w niemej, wesołej odpowiedzi. Kciukiem i zagłębieniem dłoni Corny KeUeher upewnia, że obaj policjanci pozwolą, aby ten sen trwał w dalszym ciągu, bo nic innego nie pozostaje do zrobienia. Powolnym skinieniem głowy Bloom wyraża swą wdzięczność, gdyż jest to właśnie to, czego Stefan potrzebuje. Pojazd potraladzwania wokół narożnika tralazaulka. Corny KeUeher raz jeszcze tralalupewnia ruchem dłoni. Bloom tralaupewnia ruchem dłoni Corny Keliehe-ra, że jest tralalupewniony. Dzwoniące podkowy i podzwaniająca uprzęż cichną w tralatratalatraloddaleniu. Bloom, trzymając w dłoni ozdobiony festonami trocin kapelusz Stefana i jego jesionową łaskę, stoi niezdecydowanie. Potem pochyla się nad leżącym i potrząsa jego ramieniem.)

BLOOM: Ech! Hej! (Nie ma odpowiedzi, pochyla się jeszcze raz.) Panie Dedalus! (Nie ma odpowiedzi.) Jeśli zawoła się po imieniu. Somnambulik. (Pochyla się znowu i po pewnym wahaniu przysuwa usta do twarzy rozciągniętej na ziemi postaci.) Stefanie! (Nie ma odpowiedzi. Woła jeszcze raz.) Stefanie! STEFAN: (Jęczy.) Kto? Czarna pantera wampir. (Wzdycha i przeciąga się, potem mruczy przytłumionym głosem, przeciągając samogłoski.)

Kto... gna... Fergusa teraz. I przebić... tkaninę leśnych cieni...?

(Obraca się na lewy bok, wzdycha i kuli.)

BLOOM: Poezja. Wykształcony. Szkoda. (Znowu pochyla się i rozpina guziki kamizelki Stefana.) Żeby mógł oddychać. (Strzepuje trociny z ubrania Stefana delikatnymi dłońmi i palcami.) Jeden funt i siedem szylingów. Nie jest ranny w każdym razie. (Nadsłuchuje.) Co? STEFAN: (Mruczy.)

... cienie... lasy. ... biała pierś... zamglona...

(Wyciąga ramiona, znowu wzdycha i kuli się. Bloom stoi wyprostowany trzymając jego jesionową łaskę i kapelusz. W oddali szczeka pies. Bloom zaciska i zwalnia uścisk na lasce. Spogląda w dół, na twarz i ciało Stefana.)

BLOOM: (Rozmawia z nocą.) Twarz przypomina mi jego biedną matkę. W cienistym lesie. Wysoka biała pierś. Zdaje się, że dosłyszałem: Ferguson. Dziewczyna. Jakaś dziewczyna. Najlepsza rzecz, jaka mogłaby mu się przydarzyć... (Mruczy.)... przysięgam, że będę zawsze czcił, zawsze taił, nigdy nie wyjawiał części lub części, sztuki lub sztuk... (Mruczy.) w twardym piasku morza... na odległość rzutu liną od lądu... gdzie fala odpływa... i przypływa...

(Cichy, zamyślony, czujny, stoi na straży z palcami na wargach w postawie tajnego mistrza. Na tle ciemnego muru wylania się powoli postać, baśniowy jedenastoletni chłopiec, odmieniec, porwany po urodzeniu, ubrany w mundurek Eton, szklane buciki i mały hełm z brązu, w dłoni trzyma książkę. Czyta niedosłyszalnie, od prawej do lewej, uśmiechając się, całując kartę.)

BLOOM: (W zachwyceniu, woła bezgłośnie.) Rudi!

RUDI: (Spogląda nie widząc w oczy Blooma i przechodzi czytając, całuje kartę uśmiechając się. Ma delikatną twarzyczkę koloru bzu. Na ubranku lśnią diamentowe i rubinowe guziki. W wolnej lewej dłoni trzyma wysmukłą laseczkę z kości słoniowej, przewiazaną fioletową kokardką. Białe jagniątko wysuwa głowę z kieszonki jego kamizelki.)

III

PRZED PRYZYSTĄPIENIEM DO CZEGOKOLWIEK INNEGO PAN BLOOM OTRZEPAŁ

Stefana z większej części trocin, podał mu kapelusz i jesionową laskę i pokrzepił go ogólnie na duchu w zwykły samarytański sposób, czego Stefan najbardziej potrzebował. Jego (Stefana) umysł nie był, jak to się mówi, zamroczony, lecz nieco zachwiany, więc na wyrażoną przezeń prośbę o jakiś napój czy płyn, którego mógłby się napić, pan Bloom, zważywszy godzinę i fakt, że w okolicy nie było pomp z wodą z Vartry, koniecznych dla ich ablucji, nie mówiąc już o możliwości napicia się, wymyślił sposób, sugerując bez namysłu schronisko dorożkarza, jak je nazywano, o kilka kroków stąd w pobliżu Butt Bridge, gdzie może natrafią na jakieś napoje w rodzaju mleka z wodą sodową albo mineralną. Ale sęk był w tym, jak się tam dostać. Chwilowo sprawiało mu to nieco kłopotu, ale wobec tego, że spadł na niego oczywisty obowiązek podjęcia jakichś kroków w tej sprawie, zaczął zastanawiać się nad właściwymi sposobami i drogami, podczas gdy Stefan zajęty był nieustannym ziewaniem. O ile mógł dostrzec, tamten poblądł nieco, więc przyszło mu do głowy, że byłoby bardzo wskazane uzyskać jakiś pojazd, odpowiadający ich stanowi, obaj byli ok. łap., czyli okłapnięci, zwłaszcza Stefan, zakładając oczywiście, że coś takiego się znajdzie. Tak więc po kilku wstępnych posunięciach, takich mianowicie jak, mimo że zapomniał podnieść swej mydłem pachnącej chusteczki, która niosła tak cenną pomoc w potrzebie, strzepywanie i oczyszczanie, poszli obaj wzdłuż Beaver Street lub, ściślej mówiąc, zaułka o tej nazwie, a po dojściu do kuźni i najwyraźniej cuchnącej okolicy stajen mieszczących powozy do wynajęcia na rogu Montgomery Street ruszyli w lewo i skręcili w Amiens Street, okrążywszy narożnik z knajpą Dana Bergina. Lecz, choć żywił ufność w stosunku do swego przewidywania, nigdzie nie można było dostrzec nawet śladu mistrza kozła oczekującego pasażerów, poza czterokółką przed hotelem North Star, prawdopodobnie wynajętą przez jakichś ludzi, znajdujących się teraz wewnątrz na hulance, i nie było żadnych oznak by drgnęła, choćby na

ćwierć cala, gdy pan Bloom, który nie potrafił bynajmniej wytrawnie gwizdać, spróbował wezwać ją, wydając z siebie dwukrotnie coś w rodzaju gwizdu i wyciągnąwszy nad głową wygięte w łuk ramiona.

Było to kłopotliwe, lecz po rozważeniu sprawy z pomocą zdrowego rozsądku najwyraźniej nie pozostawało nic innego, jak zrobić dobrą minę do złej gry i pójść pieszo, co też zgodnie uczynili. Tak więc, ścinając drogę skośnie obok knajpy Mulleta i Domu Latarnika, który osiągnęli po krótkim czasie, posunęli się dalej, chcąc nie chcąc w kierunku krańcowej stacji kolei żelaznej przy Amiens Street, a panu Bloomowi przeszkadzał bardzo fakt, że jeden z tylnych guzików przy jego spodniach, by sparafrazować uświęcone wiekami przysłowie, odszedł tam, gdzie odchodzą w końcu wszystkie guziki, choć jeśli dokładnie zagłębić się w ducha tej sprawy, bohatersko starał się zlekceważyć ów niefortunny wypadek. Tak więc,

423

ponieważ żaden z nich nigdzie się szczególnie nie spieszył, jak się okazało, a aura była wielce odświeżająca, odkąd przejaśniło się po ostatniej wizycie Jowisza Pluviusa, powlekli się z wolna, wymijając miejsce, gdzie pusty wehikuł stał wyczekując, pozbawiony zarówno dorożkarza jak pasażera. Przypadkowo powracała właśnie tamtędy piaskownica Zjednoczonego Towarzystwa Tramwajów Dublińskich, więc starszy z mężczyzn opowiedział swemu towarzyszowi a propos owego incydentu, jak to naprawdę cudem uniknął śmierci przed niedawnym czasem. Minęli główne wejście dworca kolei żelaznej Great Northern, skąd pociągi wyruszają do Belfastu i gdzie cały ruch był oczywiście wstrzymany e tak późnej godzinie, po czym, wyminąwszy tylne wejście do kostnicy (niezbyt ponętnego miejsca, aby nie rzec przerażającego do pewnego stopnia, najszczególniej nocą), dotarli wreszcie do Dock Tavern, po czym skręcili w Storę Street, wsławioną komisariatem brygady policyjnej C. Pomiędzy tym miejscem a wysokimi, nie oświetlonymi w tej chwili magazynami w Beresford Place, Stefan pomyślał, że należy pomyśleć o Ibsenie, skojarzywszy go jakoś w swym umyśle z zakładem kamieniarskim Bairda w okolicy Talbot Place, pierwszej przecznicy na prawo, podczas gdy jego towarzysz, idący przy nim niby fidus Achates, wdychał z piekielną przyjemnością zapach płynący z miejskiej piekarni Jamesa Rourke, położonej bardzo blisko miejsca, w którym się właśnie znajdowali, naprawdę smakowity zapach chleba naszego powszedniego, spośród wszystkich publicznych potrzeb najpierwszego i najkonieczniejszego. Chleb, podstawa życia, zarób na chleb, O powiedz mi, gdzie chleb świętojański dają? U piekarza Rourke, jak mi powiadają.

En route pan Bloom, który w każdym razie panował nad swym umysłem, teraz zaś bardziej niż kiedykolwiek, był, prawdę mówiąc, obrzydliwie trzeźwy, powiedział do swego milczącego i, nie kładźmy na to zbyt wielkiego nacisku, niezupełnie jeszcze trzeźwego towarzysza kilka słów przestrogi re niebezpieczeństw nocnego miasta, kobiet o złej reputacji, wytwornych kieszonkowców, co, dopuszczalne raz na pewien czas, choć nie jako

czynność nawykowa, stawało się jednak po prostu śmiertelną pułapką dla młodych ludzi w jego wieku, a szczególnie jeśli popadli w nałóg pijaństwa i znajdowali się pod wpływem napoju, chyba że posiadali nieco znajomości juijitsu na każdą okoliczność, gdyż wówczas nawet człowiek powalony na wznak mógł wymierzyć brzydkiego kopniaka, jeśli nie miało się na baczności. Wysoce opatrnościowe było pojawienie się na scenie Corny Keliehera, gdy Stefan popadł w błogą nieświadomość, gdyby nie ten właściwy człowiek na właściwym miejscu, który pojawił się w przedostatniej chwili, koniec mógł być taki, że stałby się kandydatem na pacjenta pogotowia ratunkowego lub, co gorsza, posterunku policji w Bridewell, a następnego ranka stanąłby w sądzie przed panem Tobiasem lub ponieważ ten jest adwokatem, raczej przed starym Wallem, chciał powiedzieć, albo przed Malonym, co po prostu oznaczałoby ruinę dla człowieka, gdyby rozeszło się po mieście. Jako przyczynę podał fakt, że wielu z tych policjantów, których serdecznie nie lubi, było zdecydowanie bezwzględnych w służbie dla Korony i, jak to pan Bloom wyjaśnił, przypominając sobie jeden czy dwa wypadki w komisariacie Brygady "A" przy Cianbrasil Street, krzywoprzysięstwa płynęły z ich ust tak łatwo jak woda z dziurawego garnka. Nigdy ich nie było na miejscu, gdy byli potrzebni, ale zawsze trzymali się spokojnych okolic miasta, na Pembroke Road, na przykład, ci stróże prawa byli zawsze widoczni, a przyczyna tego była jasna, gdyż są płatni za

424

opiekę nad wyższymi klasami społecznymi. Drugą sprawą, którą skomentował, było zaopatrywanie żołnierzy w broń palną lub boczną najrozmaitszego rodzaju, która mogła każdej chwili wypalić lub być użytą, co było równoważne z szczuciem ich na cywilów, gdyby z jakichkolwiek powodów doszło do sprzeczki. Roztrwania-ło się czas, stwierdził bardzo sensownie, a także zdrowie i charakter, a poza tym całe to marnotrawstwo, owe łatwe kobietki z demimonde porwały już wiele funtów, szylingów i pensów, ale największym niebezpieczeństwem z wszystkich jest niezwracanie uwagi na to, z kim się pije, jeśli już jest mowa o tej stale powracającej kwestii napojów wysokowych, on sam może wypić ze smakiem szklaneczkę wybornego starego wina w stosownej porze, gdyż jest to równocześnie pokrzepiające i krwiotwórcze oraz posiada cnoty przeczyszczające (szczególnie dobry burgund, którego był wiernym wyznawcą), lecz nigdy powyżej pewnego punktu, gdzie miał nakreśloną niezmienną linię graniczną, gdyż prowadziłoby to po prostu do najrozmaitszych kłopotów, nie wspominając już o tym, że jest się pozostawionym, praktycznie biorąc, na łasce i niełasce innych. Lecz najbardziej niechętnie skomentował opuszczenie Stefana przez wszystkich jego confreres w pijaństwie poza jednym z nich, co było najjaskrawszą dezercją ze strony jego braci medyków, zważywszy wszystkie okoliczn.

- A owym był Judasz, powiedział Stefan, który do tej pory nie odezwał się ani słowem.

Dyskutując te i podobne tematy, ruszyli prosto jak strzelił, wymijając tyły Urzędu Celnego, i przeszli pod mostem kolei obwodowej, gdzie żelazny kosz wypełniony płonącym koksem przed budką strażnika czy czymś podobnym powstrzymał ich powolny marsz. Stefan z własnej woli przystanął bez szczególnej przyczyny, żeby popatrzeć na stos nieurodzajnych kamieni brukowych, a w świetle wydobywającym się z rozżarzonego koksu mógł tylko dostrzec zarys ciemnej postaci dozorca magistrackiego, który siedział wewnątrz mrocznej budki strażniczej. Zaczął przypominać sobie, że to się już stało albo że ktoś wspominał o tym, że to się stało już przedtem, ale kosztowało go niemało wysiłku, zanim przypomniał sobie, że rozpoznał w tym dozorca Gumleya, dawnego przyjaciela swego ojca. Żeby uniknąć spotkania, przysunął się ku filarom mostu kolejowego.

- Ktoś pana pozdrowił, powiedział pan Bloom.

Jakaś postać średniego wzrostu, najwyraźniej poszukująca zdobyczy, ukryta pod przęsłami, raz jeszcze pozdrowiła go, wołając: Bry wieczór! Stefan, oczywiście, ruszył nieco chwiejnie i zatrzymał się, by oddać pozdrowienie. Pan Bloom dzięki wrodzonej delikatności jak również dzięki trwałemu przekonaniu, że nie należy mieszać się do nie swoich spraw, odszedł kawałek, lecz mimo to pozostał na qui vive z cieniem lekkiego niepokoju, lecz nie trwożąc się w najmniejszym stopniu. Choć byłoby to niezwykle na obszarze Dublina, wiedział jednak, że w żadnym wypadku nie było niemożliwości, aby jakiś desperado, który prawie nie miał z czego żyć, nie mógł z zasadzki sterroryzować spokojnych przechodniów, przykładając im do głowy pistolet w jakimś ustronnym miejscu poza rogatkami miasta, mogą to uczynić także wygłodniali włóczędzy z rodzaju tych, którzy grasują nad brzegami Tamizy, wałęsający się bez celu lub po prostu dezterterzy gotowi czmychnąć z takim łupem, jaki uda im się zdobyć jednym okrutnym skokiem i z zaskoczenia, pieniądze albo życie, pozostawiając cię potem, abyś sobie wyciągnął morał, zakneblowanego i zadławionego.

425

Stefan, gdy zaczepiająca go postać podeszła bliżej, poznał, choć sam nie był w zbyt trzeźwym stanie, oddech Corieya, zalatujący stęchłą żytniówką. Lord John Corley, mówili o nim niektórzy, a jego drzewo genealogiczne było następujące. Był najstarszym z synów niedawno zmarłego inspektora Corieya z brygady "G", który ożenił się z pewną Katheriną Brophy, córką farmera z Louth. Jego dziadek, Patrick Michael Corley z New Ross ożenił się z wdową po pewnym oberżyscie z tamtych stron, której nazwisko panieńskie brzmiało Katherine (także) Talbot. Plotka niosła, choć nie było to potwierdzone, że wywodziła się ona z rodu lordów Talbot de Maľahide, w których posiadłości, naprawdę i bez kwestii pięknej rezydencji, w swym rodzaju wartej obejrzenia, jego matka czy ciotka, czy też jakaś inna krewna posiadała przywilej bycia pomywaczką w kuchni. To właśnie stało się przyczyną, dla której ten względnie młody jeszcze, choć rozpustny człowiek, zwracający się teraz do Stefana, nazywany był przez ludzi mających skłonności do żartów lordem Johnem Corleyem.

Wziąwszy Stefana na stronę opowiedział mu swą zwykłą żalną bajeczkę. Ani ćwierć pensa, żeby zapłacić za nocleg. Wszyscy przyjaciele opuścili go. Co więcej, posprzeczał się z Lenehanem i nazwał go teraz w obecności Stefana nędzną, przekłętą szmatą, okraśnawszy to jeszcze innymi niestosownymi określeniami. Wyrzucili go z pracy i błagał Stefana, żeby mu powiedział, gdzie na litość boską może znaleźć jakąś robotę. Nie, to była córka tej matki pomywaczki w kuchni, która była mleczną siostrą dziedzica rodu, czy też może byli jakoś inaczej spokrewnieni przez matkę, a może te sprawy były równoczesne, jeżeli cała rzecz nie była od początku do końca wymyślona. Tak czy inaczej wpadł na całego.

- Nie prosiłbym cię, tylko że, ciągnął, daję ci moje najświętsze słowo i Bóg widzi, że jestem rozbitkiem.

- Będzie wolna posada jutro albo pojutrze, powiedział mu Stefan, w szkole dla chłopców w Dalkey, dla nauczyciela. U pana Garrett Deasy. Spróbuj. Możesz powołać się na mnie.

- Ach, Boże, odpowiedział Corley, z pewnością nie mógłbym uczyć w szkole, człowieku. Nigdy nie byłem jednym z was, tych bystrych, dodał na pół ze śmiechem. Dwa razy zostałem na drugi rok w powszechniaku u Braci Chrześcijańskich.

- Sam nie mam gdzie spać, poinformował go Stefan.

Corley w pierwszej chwili był gotów podejrzewać, że może to mieć coś wspólnego z wylaniem Stefana z mieszkania za to, że sprowadził z ulicy jakąś pieprzoną kurwę. Przy Mariborough Street był dom noclegowy pani Maloney, lecz był to tylko sześciopensowy nocleg pełen niemiłych typów, ale M'Conachie powiedział mu, że można znaleźć zupełnie uczciwą metę w Brazen Head, gdzieś w okolicy Winetavern Street (co z lekka przypominało jego rozmówcy braciszka Bacona), za szylinga. Głodował także, ale nie chciał o tym wspominać ani jednym słowem.

Choć tego rodzaju wydarzenia miały miejsce każdej nocy albo prawie każdej, jednak uczucia Stefana wzięły nad nim górę w pewnym sensie mimo świadomości, że do najnowszej bujdy Corieya można przykładać równie mało wiary co do poprzednich. Pomimo to *haud ignarus malorum miseris succurrere disco*, etcetera, i tak dalej, jak powiada łaciński poeta, a szczególnie dlatego że trafiał zrządził, iż otrzymywał wypłatę w połowie każdego miesiąca na szesnastego, a ten właśnie był dziś dzień miesiąca, choć, prawdę mówiąc, większa część tego przepadła już. Ale

426

najzabawniejsze było to, że nic nie mogło wybić Corleyowi z głowy, iż opływa on w dostatki i nie ma nic więcej do roboty poza obdarowywaniem potrzebujących - podczas gdy. Pomimo to wsunął rękę do kieszeni, nie z myślą o znalezieniu tam jakiegokolwiek żywności, lecz o tym, że zamiast niej może mu pożyczyć trochę, do wysokości szylinga, tak żeby w każdym razie

mógł jakoś przetrwać i najadł się do syta. Ale rezultat był negatywny, gdyż ku swemu smutkowi przekonał się, że gotówka zniknęła. Kilka pokruszonych sucharków stanowiło jedyny rezultat jego poszukiwań. Starał się przez chwilę jak najusilniej przypomnieć sobie, czy zgubił pieniądze, jak to się mogło łatwo stać, czy pozostawił je, ponieważ w tym ostatnim wypadku nie była to nazbyt miła perspektywa, wręcz przeciwnie. Był w ogóle zbyt wyczerpany, żeby przeprowadzać dokładne poszukiwania, choć starał się przypomnieć sobie, skąd się wzięły sucharki, które pamiętał jak przez mgłę. Kto dokładnie dał mu je i gdzie, czy może kupił? Jednak w innej kieszeni natrafił na coś, co w ciemności wziął za pensy, lecz niesłusznie, jak się okazało.

- To półkoronówki, człowieku, poprawił go Corley. I w rzeczywistości okazało się, że jest tak. Stefan pożyczył mu jedną z nich.

- Dziękuję, odpowiedział Corley. Jesteś gentlemanem. Oddam ci kiedyś. Kto to jest, ten z tobą? Widziałem go kilka razy w Bleeding Horse z tym Boylanem, nalepiaczem afiszów. Mógłbyś wtrącić za mną słówko, żebym mógł się tam wkręcić. Nosiłbym tablicę reklamową, tylko że dziewczyna tam w biurze powiedziała mi, że na trzy tygodnie są już zatłoczeni, człowieku. Boże, trzeba się zapisywać, człowieku, mógłbyś pomyśleć, że to na operę. Zresztą, głównie mnie to obchodzi, żebym tylko dostał jakąś robotę, choćby jako zamiatacz skrzyżowań ulicznych.

Następnie, nie czując się już tak upadłym po otrzymaniu dwóch i pół szylinga, poinformował Stefana o buchalterze u dostawcy okrętowego Fullama, facecie nazwiskiem Bags Comisky, którego, jak twierdził, Stefan dobrze zna, częstym bywalcu tylnej salki u Nagle'a, gdzie przychodził z O' Marą i małym jakaś o nazwisku Tighe. Bądź co bądź, capnęli go przedwczorajszej nocy i skazali na dziesięć szylingów grzywny za pijaństwo, zakłócenie porządku i odmowę pójścia z posterunkowym.

Tymczasem pan Bloom krążył w okolicy stosu kamieni brukowych w pobliżu kosza z płonącym koksem przed budką strażnika Stowarzyszenia, który, najwyraźniej zawzięty na robotę, jak to zdołał zaobserwować, uciął sobie smaczną drzemkę, na własne prywatne konto, podczas gdy Dublin spał. Od czasu do czasu rzucał ciekawym okiem na rozmówcę Stefana, którego ubiór najdalszy był od tego, aby można go było nazwać nieposzlakowanym, wydawało mu się, że widział owego szlachcica już gdzieś, choć nie umiałby szczerze odpowiedzieć gdzie ani nie miał najmniejszego wyobrażenia, kiedy by to być mogło. Będąc osobnikiem zrównoważonym, który mało komu ustępował, gdy chodziło o przenikliwą obserwację, dostrzegł także jego znajdujący się w opłakanym stanie kapelusz i zniszczone ubranie świadczące o chronicznym braku zasobów pieniężnych. Najprawdopodobniej był on jednym z tych pasożytów, lecz jeśli o to chodziło, była to wszędzie tylko kwestia żerowania każdego na każdym ze swych bliźnich, bo w każdej głębi, można to i tak powiedzieć, jest głębsza głębia, a jeśli już o to chodzi, jeśli człowiek z ulicy znalazł się na ławie oskarżonych i otrzymał karę więzienia bez czy też z możliwością zamiany na grzywnę, byłby to biorąc ogólnie mrą avis. Bądź co bądź, ten miał

nieograniczoną ilość zimnej pewności siebie, by zaczepiać ludzi o tej godzinie nocy czy też już poranka. Z pewnością było to szyte bardzo grubą nicią.

Obaj mężczyźni rozstali się i Stefan na nowo przyłączył się do pana Blooma, którego doświadczone oko nie mogło nie dostrzec, że uległ on przypodchlebnym słówkom tamtego darmozjada. Czyniąc aluzję do tego spotkania powiedział, śmiejąc się, to znaczy, Stefan powiedział:

- Znajduje się w niemałych opałach. Poprosił mnie, żebym poprosił pana, żeby pan poprosił kogoś o nazwisku Boylan, kto jest nalepiaczem afiszów, żeby dał mu zajęcie jako obnosicielowi tablic reklamowych.

Po usłyszeniu tej informacji, która najwyraźniej wywołała niewielkie jego zainteresowanie, pan Bloom patrzył przez chwilę niewidzącymi oczyma w kierunku pogłębiarki czerpakowej, ozdobionej szerokosławnym imieniem Eblana, przycumowanej do Nadbrzeża Celnego i najprawdopodobniej zepsutej ponad możliwość naprawy, wreszcie zauważył wymijająco:

- Każdy otrzymuje swoją porcję szczęścia, powiadają. Teraz, kiedy pan o tym wspomniał, wydaje mi się, że twarz jego jest mi znajoma. Ale pozostawmy to na chwilę, z jaką sumą rozstał się pan, jeżeli nie jestem zanadto wścibski?

- Z półkoronówką, odpowiedział Stefan. Myślę, że potrzebował jej, żeby znaleźć gdzieś nocleg.

- Potrzebował, wykrzyknął pan Bloom, nie przejawiając najmniejszego zdziwienia po usłyszeniu tej wiadomości, mogę bez reszty uwierzyć temu stwierdzeniu i gwarantuję, że zawsze jej potrzebuje. Każdemu według potrzeb i każdemu według uczynków. Ale mówiąc o tym tak ogólnie, gdzie, dodał z uśmiechem, pan będzie spał? Spacer do Sandycove nie wchodzi w grę, a nawet gdybyśmy przypuścili, że pan tam zajdzie, nie dostanie się pan do środka po tym, co się stało na dworcu Westland Rów. Po prostu zmęczy się pan nadaremnie idąc tam. Nie chciałbym w najmniejszym stopniu narzucać panu czegokolwiek, ale dlaczego opuścił pan dom swojego ojca?

- Żeby szukać nieszczęścia, brzmiała odpowiedź Stefana.

- Spotkałem pańskiego szanownego ojca ostatnio przy pewnej okazji, odparł dyplomatycznie pan Bloom. Szczerze mówiąc, dziś, a jeśli mam być zupełnie ścisły, to wczoraj. Gdzie on mieszka obecnie? Z rozmowy wywnioskowałem, że się przeprowadził.

- Myślę, że jest gdzieś w Dublinie, odpowiedział Stefan obojętnie. Dlaczego?

- Uzdolniony człowiek, powiedział pan Bloom o panu Dedalusie seniorze, pod wieloma względami, nie tylko pod jednym, i po prostu urodzony raconteur. Szczyci się, i to bardzo słusznie, panem. Mógłby pan może wrócić, zaryzykował, myśląc nadal o owej bardzo niemiłej scenie na dworcu Westland Rów, gdzie stało się zupełnie jasne, że tamci dwaj, to znaczy Mulligan i ten jego przyjaciel angielski turysta, którzy w końcu przechytrzyli swego trzeciego towarzysza, otwarcie starali się, jak gdyby ta cała diabelna stacja do nich należała, zgubić Stefana w zamieszaniu.

Nie padła jednak żadna odpowiedź na tę sugestię, gdyż Stefan był zanadto zajęty wywoływaniem w umyśle obrazu swego domowego ogniska takiego, jakim było, gdy widział je po raz ostatni, z siostrą Diiy siedzącą z rozpuszczonymi włosami przy ogniu i czekającą, aż zagotuje się w pokrytym sadzą imbryku słabe,

428

trynidadzkie kakao z łupin, aby mogła je z nim wypić, wraz z wodą po owsiance zamiast mleka, po piątkowych śledziach, dwa za pensa, które już zjedli, a Maggy, Boody i Katey dostały każda po jajku, gdy tymczasem kot pod wyżymaczką pożerał skorupki od jajek i przypieczone głowy i ości ryb na kwadratowym kawałku papieru pakunkowego, zgodnie z trzecim przykazaniem kościelnym, aby pościć i wstrzymywać się w nakazane dni, a to był właśnie suchy dzień, a jeżeli nie, to może Popielec czy coś podobnego.

- Nie, powtórzył raz jeszcze pan Bloom, nie pokładałbym osobiście zbyt wielkiego zaufania w tym pańskim wesołym towarzyszku, który wnosi element humorystyczny, myślę o doktorze Mulliganie, jako o przewodniku, filozofie i przyjacielu, gdybym był w pańskich butach. Wie on, z której strony mu chlebuś smarują, choć z wszelkim prawdopodobieństwem nigdy nie uzmysłowił sobie, co to znaczy być pozbawionym regularnych posiłków. Oczywiście, nie zauważył pan tak wiele, jak ja zauważyłem, ale nie zaskoczyłoby mnie w najmniejszym stopniu, gdybym dowiedział się, że w jakimś ukrytym celu wsypano do pańskiej szklanki szczyptę tytoniu lub jakiś narkotyk.

Dorozumiewał się jednak z wszystkiego, co o nim słyszał, że doktor Mulligan jest obrotnym wszechstronnym człowiekiem, w żadnym wypadku nie przywiązany wyłącznie do medycyny, który bardzo szybko wysuwał się na czoło w swej dziedzinie, jeśli doniesienia o nim były prawdziwe, rokował nadzieje, że w niezbyt odległej przyszłości będzie cieszył się kwitnącą praktyką, jako wzięty lekarz pobierający wysokie honoraria za oddane przez siebie usługi, a w dodatku do jego pozycji zawodowej to, że uratował od pewnego utonięcia owego człowieka dzięki sztucznej oddychaniu i temu, co nazywają pierwszą pomocą, w Skerries, czy może było to Małahide? było, musi to przyznać, wyjątkowo dzielnym uczynkiem, godnym najwyższej pochwały, tak, że szczerze mówiąc, zupełnie nie wiedział, co mogło się kryć za tym chyba że należało to przypisać zwykłej złośliwości albo zazdrości, czystej i prostej.

- Chyba że to ogranicza się do jednej rzeczy i jest on tym, kogo nazywają złodziejem pańskich myśli, wyrzucił z siebie na chybił trafił.

Powściągliwe spojrzenie, na pół zatroskane, na pół ciekawe, z pewną sympatią, którym obrzucił zasępione w tej chwili rysy Stefana, nie rzuciło powodzi światła, w rzeczywistości nie rzuciło najmniejszego światła na kwestię, czy dawał on się tak brzydko nabierać, jak można było osądzić po dwu czy trzech jego pełnych przygnębienia uwagach, czy też, przeciwnie, widział wszystko na wylot i dla takiej czy innej przyczyny, znanej tylko jemu samemu, pozwalał, żeby sprawy układały się mniej lub bardziej... Druzgocące ubóstwo miało taki skutek, więc mógł nawet więcej niż domyślać się, że choć posiadał tak wysokie kwalifikacje naukowe, doświadczał niemałych trudności, by związać koniec z końcem.

W sąsiedztwie publicznego ustępu dla mężczyzn dostrzegł wózek łodiarza, wokół którego grupka najprawdopodobniej Włochów, pogrążonych w gorącej sprzeczce, wyrzucała z siebie potoczyste określenia w swym żwawym języku, w sposób szczególnie energiczny, gdyż nastąpiło jakieś małe nieporozumienie pomiędzy stronami.

- Putana madonna, che ci dla i quattrini! Ho ragione? Culo rotto!

- Intendiamoci. Mezzo sovrano piu...

- Dice lui, però.

429

- Farabutto! Mortacci sui!

Pan Bloom i Stefan weszli do schroniska dorożkarza, bezpretensjonalnej drewnianej budowli, gdzie uprzednio bywał bardzo rzadko, jeśli był tu w ogóle; pierwszy z nich wyszeptał drugiemu, nim weszli, kilka uwag dotyczących zarządzającego, o którym powiadano, że jest to sławny ongi Kozia Skórka, Fitzharris, Niezwyciężony, choć nie przysięgłby, czy jest to zgodne z faktami, gdyż bardzo być może, że nie było w tym wszystkim nawet śladowej prawdy. W kilka chwil później nasi dwaj noktambulicy usiedli bezpiecznie w zacisznym kąciku, powitani jedynie spojrzeniami zdecydowanie mieszanego zgromadzenia rozbitków, wykolejenców i innych nieokreślonych osobników rodzaju homo, zajętych tam już jedzeniem i piciem urozmaiconym konwersacją, stając się, jak się zdaje, przedmiotem ich nie ukrywanego zainteresowania.

- A teraz, w związku z filiżanką, odważył się zasugerować rozsądnie pan Bloom, by przełamać lody, wydaje mi się, że powinien pan skosztować czegoś w rodzaju treściwej strawy, powiedzmy, bułkę z czymś.

Zgodnie z tym, jego pierwszą czynnością było spokojne i z charakterystyczną dla niego sangfroid zamówienie tych rzeczy. Hoipolloi, złożony z dorożkarzy czy też robotników

portowych, czy kimkolwiek oni byli, po pobieżnej obserwacji odwrócił oczy, najwyraźniej nie usatysfakcjonowany, choć jedno rudobrode nietrzeźwe indywiduum, którego włosy przyprószone już były nieco siwizną, marynarz najprawdopodobniej, wpatrywało się w nich przez pewien czas, nim skierowało swe pełne zadumy spojrzenie ku podłodze.

Pan Bloom, pozwalając sobie na swobodę wynurzeń, lecz posiadając zaledwie pobieżną znajomość języka, o którym była mowa, żeby nie skłamać i mając pewne kłopoty z *yoglio*, rzucił swemu protege uwagę, nie zniżając głosu, apropos gwałtownej sprzeczki ulicznej, nadal rozbrzmiewającej wściekle i gwałtownie:

- Piękny język. To znaczy, chcę powiedzieć, że nadaje się do śpiewu. Dlaczego nie pisze pan swoich wierszy w tym języku? *Bella Poetria!* jest tak melodyjny i pełny. *Belladonna voglio*.

Stefan, który starał się z największym wysiłkiem ziewnąć, jeśli mu się to uda, gdyż odczuwał w tej chwili wszechobejmujące, śmiertelne znużenie, odpowiedział:

- Aby wypełnić ucho słonicy. Wyklócali się o pieniądze.

- Czyżby? zapytał pan Bloom. Oczywiście, ustąpił w zamyśleniu przed wewnętrzną refleksją o tym, że w końcu i tak jest o wiele więcej języków, niż tego wymaga absolutna konieczność, może to być tylko sprawa tego południowego uroku.

Zarządzający schroniskiem wepchnął pomiędzy ich *tete-a-tete* gotującą się, rozkołysaną zawartość filiżanki wyborowego wywaru nazwanego kawą i postawił ją na stole, a z nią słodką bułeczkę, przedpotopową, a przynajmniej takie sprawiającą wrażenie, po czym wycofał się w kierunku lady. Pan Bloom postanowił, że przyjrzy mu się odważnie i dokładnie później tak, aby nie sprawić wrażenia, że... dla tej właśnie przyczyny poprosił Stefana oczyma, żeby zaczął, podczas gdy on sam pełnił honory domu, przysunąwszy nieznacznie ku niemu filiżankę, wypełnioną płynem o tymczasowej nazwie kawa.

- Dźwięki oszukują, powiedział Stefan po przeciągającej się pauzie. Jak imiona, *Cycero*, *Podmore*, *Napoleon*, pan *Goodbody*, *Jezus*, pan *Doyle*. *Shakespea-*

430

*re'*owie byli tak samo pospolici jak *Murphy'*owie. Czymże jest imię?

- Tak, zapewne, zgodził się bez przekonania pan Bloom. Oczywiście. Nasze nazwisko także zostało zmienione, dodał, podsuwając tak zwaną bułeczkę poprzez szerokość stolika.

Rudobrody marynarz, bacznie obserwujący nowo przybyłych, zagadnął Stefana, którego obrał sobie za przedmiot uwagi, pytając bezpośrednio:

- A jakie jest na przykład pana nazwisko?

W ułamku sekundy pan Bloom trącił o but swego towarzysza, ale Stefan, najwyraźniej nie zwracając uwagi na to znaczące dotknięcie z nieoczekiwanego kierunku, odpowiedział:

- Dedalus.

Żeglarz wpatrywał się w niego ociężale parą sennych, podkreślonych workami oczu, trochę zapuchniętych z nadużywania gorzałki, najchętniej dobrej, starej jałowcówki holenderskiej z wodą.

- Zna pan Simona Dedalusa? zapytał wreszcie.

- Słyszałem o nim, powiedział Stefan.

Pan Bloom był przez chwilę zagubiony w morzu domysłów, dostrzegając, że inni także najwyraźniej przysłuchują się.

- To Irlandczyk, stwierdził dzielny marynarz, nadal patrząc w podobny sposób i przytakując. Prawdziwy Irlandczyk.

- Aż za prawdziwy Irlandczyk, odparł Stefan.

Jeśli chodzi o pana Blooma, to nie mógł zupełnie zorientować się, o co chodzi, i właśnie zadawał sobie pytanie, jaki związek może to mieć z, gdy marynarz zwrócił się do pozostałych bywalców schroniska ze słowami:

- Widziałem go, kiedy przez ramię, z pięćdziesięciu jardów potrafił zestrzelić dwa jajka z dwóch butelek. Z lewej ręki nie chybiał nigdy.

Choć przeszkadzało mu nieco chwilami jąkanie, a gesty jego były także nieporadne, jednak zrobił wszystko, co mógł, żeby wyjaśnić.

- Butelka jest, powiedzmy, o tam. Pięćdziesiąt odmierzonych jardów. Jajka stoją na butelkach. Odwodzi kurek przez ramię. Mierzy.

Wykonał pół obrotu całym ciałem, zamknął zupełnie prawe oko, potem wykrzywił rysy w skośnym grymasie i zaczął z nieprzyjemnym wyrazem wpatrywać się w noc na zewnątrz.

- Bum, zawołał raz.

Całe audytorium czekało, przewidując dodatkową detonację, gdyż było tam przecież jeszcze jedno jajko.

- Bum, zawołał po raz drugi.

Gdy drugie jajko zostało najwyraźniej zniszczone, kiwnął głową i przymrużył oko, dodając krwiożerczo:

- Buffalo Bili, gdy strzeli, zabije, I nie chybi nigdy, póki żyje.

Zapanowało milczenie, aż wreszcie pan Bloom, pragnąc być uprzejmym, poczuł, że powinien zapytać go, czy były to zawody strzeleckie w rodzaju tych w Bisley.

- Przepraszam? powiedział marynarz.

431

- Czy to było dawno? ciągnął dalej pan Bloom, nie mrugnawszy nawet okiem.

- No, powiedział marynarz nieco swobodniej, dzięki magicznemu wpływowi diamentu, który tnie diament, mogło to być z dziesięć lat temu. Objechał cały ten świat szeroki z Królewskim Cyrkiem Henglera. Widziałem go w Sztokholmie, kiedy to robił.

- Zdumiewający zbieg okoliczności, zwierzył się szeptem Stefanowi pan Bloom.

- Moje nazwisko jest Murphy, ciągnął dalej marynarz, W. B. Murphy z Carri-galoe. Wie pan, gdzie to jest?

- Queenstown Harbour, odpowiedział Stefan.

- Słusznie, powiedział marynarz. Fort Camden i Fort Carlisle. Stamtąd się wywodzę. Moja mała żoneczka mieszka tam. Wiem, że czeka na mnie. Za Anglię. ojczyznę i piękno. To moja ślubna żona, której nie widziałem już od siedmiu lat, żeglując po świecie.

Pan Bloom łatwo mógł sobie wyobrazić jego pojawienie się na scenie - powrót do przydrożnej rybackiej chatki po wymknięciu się Duchowi Mórz - deszczowa noc z niewidocznym księżycem. Przez cały świat do żony. Na ten popularny temat Alicji Ben Bolt powstała cała masa opowieści: Enoch Arden i Rip van Winkle i czy ktokolwiek z was pamięta Caoca o'Leary, ulubiony i, trzeba dodać, najtrudniejszy fragment do deklamowania, napisany przez tego biednego Johna Caseya, kawałek doskonałej poezji w swoim niewielkim rodzaju. Nigdy o żonie, która porzuciła i powraca, choćby była nie wiem jak oddana nieobecnemu. Twarz w oknie! Pomyśleć o jego zdumieniu, gdy wreszcie dotarł do mety i okropna prawda, dotycząca jego lepszej połowy, zajaśniała przed nim, rujnując jego uczucia. Nie oczekiwałaś mnie, ale przybyłem, żeby pozostać i rozpocząć od nowa. Tam oto siedzi ona, słomiana wdowa, przy tym samym kominku. Jest przekonana, że umarłem. Uśpiony w kotysce głębiny. A tam siedzi wujcio Tłuscioszek albo wujcio Chudzielec, to zależy od gustu, oberżysta spod Korony i Kotwicy, w samej koszuli, i zajada rumsztyk z cebulką. Zabrakło krzesła dla tatusia. Wiuuu! Wicher! Najnowsza pociecha siedzi na jej kolanach, dziecko post mortem. Jedzie, jedzie pan, pan, pan, na koniku sam, sam, sam! Ukorz się przed nieuniknionym. Znieś to z uśmiechem. Pozostaję z wielką miłością twój o złamanym sercu mąż, W. B. Murphy.

Marynarz, który nie wydawał się mieszkańcem Dublina, zwrócił się do jednego z dorożkarzy z prośbą:

- Nie ma pan może kawałka prymki, co?

Zapytany dorożkarz nie miał akurat, ale zarządzający wyjął kostkę prasowanego tytoniu ze swej wiszącej na gwoździu marynarki i upragniony przedmiot został przekazany z rąk do rąk.

- Dziękuję, powiedział marynarz.

Wsunął kawał prymki w gębę, a później, żując i zacinając się trochę, ciągnął:

- Wyłynęliśmy dziś rano o jedenastej. Trójmasztowcem Rosevean z cegłą, z Bridgwater. Zaokrętowałem się, żeby przepłynąć na drugą stronę. Dali mi wypłatę po południu. A to moje zwolnienie, widzicie? W. B. Murphy, starszy marynarz.

Dla potwierdzenia wyciągnął z wewnętrznej kieszeni niezbyt czysto wyglądający, złożony w czworo dokument i podsunął go sąsiadom.

- Musiał pan widzieć ładny kawał świata, powiedział zarządzający opierając się na ladzie.

432

- Pewnie, odpowiedział marynarz, kiedy tak o tym myślę, to opłynąłem co nieco od czasu, kiedy zaciągnąłem się pierwszy raz. Byłem na Morzu Czerwonym. Byłem w Chinach i w Północnej Ameryce i w Południowej Ameryce. Widziałem całą kupę gór lodowych, tych pływających. Byłem w Sztokholmie i na Morzu Czarnym i w Dardanelach pod kapitanem Daltonem, najlepszym z tych pieprzonych facetów, którzy zatapiają statki. Widziałem Rosję. Gospodi pomituuj. Tak się modlą Rosjanie.

- Szkoda gadać, napatrzyłeś się różnych dziwności, wtrącił jeden z dorożkarzy.

- Pewnie, powiedział marynarz przesuwając językiem na pół przeżutą prymkę, i napatrzyłem się różnych różności, dobrych i złych. Widziałem, jak krokodyl odgryzł ramię kotwicy tak, jak ja mogę przegryźć tę prymkę.

Wyjął z ust papkowatą masę i, wsunąwszy ją pomiędzy zęby, ugryzł wściekle.

- Trrrach! O, tak. I widziałem ludojadów w Peru, którzy zjadają zwłoki i wątroby końskie. Spójrzcie tu. Tu są. Jeden przyjaciel przysłał mi.

Wygrzebał pocztówkę z wewnętrznej kieszeni, na swój sposób zdającej się spełniać rolę przechowalni, i popchnął ją wzdłuż stołu. Wydrukowany na niej napis głosił: Choza de Indios. Beni, Bolivia.

Wszyscy skupili uwagę na ukazanej tam scenie, na grupie kobiet-dzikusów w wąskich przepaskach na biodrach, przykucających, przypatrujących się zmrużonymi oczyma,

karmiących piersią, wykrzywających się, śpiących, pośród hordy dzieci (musiało ich tam być chyba ze dwadzieścia), przed prymitywnymi chatkami z trzciny.

- Żują kokę jak dzień długi, dodał gadatliwy majtek. Żołądki jak tarki. Obcinają im sutki, kiedy nie mogą już rodzić dzieci. Można ich tam zobaczyć z gołymi jajami na wierzchu, kiedy żrą surową wątrobę zdechłego konia.

Ta jego pocztówka okazała się ośrodkiem zainteresowania panów żółtodziobów przez kilka minut, jeśli nie dłużej.

- Wiecie, jak ich można odeprzeć? zapytał wesoło.

Ponieważ nikt nie pośpieszył z wyjaśnieniem, mrugnął znacząco, mówiąc:

- Szkło. To ich płoszy. Szkło.

Pan Bloom nie zdradzając najmniejszego zdziwienia, odwrócił po kryjomu pocztówkę, żeby przyjrzeć się zamazanemu częściowo adresowi i znaczkowi pocztowemu. Odczytał, co następuje: Tarjeta Postal. Senor A. Boudin, Galeria Becche, Santiago, Chile. Nie było najwyraźniej żadnej korespondencji, jak na to bacznie zwrócił uwagę. Choć nie wierzył bez zastrzeżeń niesamowitemu opowiadaniu (ani owemu zestrzeliwaniu jajek także, na przekór Wilhelmowi Tellowi i incydentowi Lazarillo - Don Cesar de Bazan, opisanemu w Maritanie, przy której to okazji kula tego pierwszego przeszła kapelusz tego drugiego), odkrywając teraz niezgodność pomiędzy jego nazwiskiem (zakładając, że był on osobą, za którą się podawał, a nie żeglował pod fałszywą banderą, wpisawszy się gdzieś na listę załogi w zupełnej tajemnicy) a fikcyjnym adresatem tej kartki, co sprawiło, iż zaczął żywić pewne podejrzenia w stosunku do naszego bonafides przyjaciela, to jednak wszystko to przywiodło mu na myśl w pewnym sensie jego własny, długo piastowany w umyśle projekt, który zamierzał zrealizować którejś środy albo soboty, mianowicie odbycie podróży do Londynu via łagodnie kołyszące się morze, co nie znaczy, by podróżował bardzo daleko, lecz był w głębi duszy urodzonym łowcą przygód, choć figiel

losu spowodował, że nieustannie pozostawał szczurem lądowym, jeśli nie liczyć wycieczki do Hołyhead, która była jego najdłuższą. Martin Cunningham często mówił, że postara mu się o wolny przejazd za pośrednictwem Egana, ale jakieś takie czy inne diabelskie przeszkody wiekuiście stawały na drodze w zrealizowaniu tego pomysłu. Lecz nawet gdyby przypuścić, że zapłaciłoby się gotówką i złamałoby się serce Boydowi, nie wypadłoby to tak drogo, jeśli tylko kieszeń pozwoli, był to wydatek w wysokości kilku gwinei, zważywszy, że opłata za przejazd do Mullingar, gdzie zamierzał pojechać, wynosiła pięć szylingów i sześć pensów, tam i z powrotem. Podróż taka posłużyłaby zdrowiu ze względu na pokrzepiający ozon i byłaby pod każdym względem przyjemna, a szczególnie dla człowieka, którego

wątroba nie była w porządku, zobaczyłoby się najrozmaitsze miejscowości po drodze, Plymouth, Falmouth, Southampton i tak dalej, a uwieńczeniem wszystkiego byłby bardzo pouczający objazd godnych widzenia miejsc wielkiej metropolii, widok współczesnego Babilonu, gdzie bez wątpienia ujrzałby największe wynalazki w pełnym rozkwicie, wieżę, opactwo, bogactwo Park Lane, z którymi odnowiłby znajomość. Uderzyło go jeszcze przy tym jako niezły pomysł, że mógłby rozejrzeć się na miejscu i przekonać, czy warto podjąć starania o przeprowadzenie tam objazdu koncertowego w lecie, obejmującego najbardziej znane miejscowości uzdrowiskowe, Margate, posiadające kąpielisko dla pań i dla panów, oraz pierwszorzędne źródła wód leczniczych i zdrojowiska, Eastbourne, Scarborough, Margate i tak dalej, piękne Bournemouth, wyspy na Kanale i podobne im perły letniskowe, co mogłoby się okazać wysoce zyskowne. Oczywiście, nie z grupką pokątnych artystów albo prowincjonalnych paniusów uprawiających to po amatorsku, w typie pani C. P. M'Coy - pożycz mi walizkę, dam ci za to darmowy bilet. Nie, coś najwyższej klasy, cały zespół gwiazd Irlandii, Towarzystwo Operowe Tweedy-Flower z jego prawowitą małżonką jako primadonną, kontruderzenie skierowane w Elster Gri-mes i Moody-Manners, byłaby to zupełnie prosta sprawa i miał absolutną pewność, że zakończyłaby się sukcesem, pod warunkiem, że hałaśliwa reklama w lokalnych pismach załatwiana byłaby przez jakiegoś faceta, posiadającego odpowiednią ilość tupetu i umiejącego uruchamiać odpowiednie sprężyny, w ten sposób połączyłoby się przyjemne z pożytecznym. Lecz kto? W tym był właśnie sęk.

Także, choć nie miał jeszcze zupełnej pewności, uderzyło go, że otwiera się wielkie pole do działania w dziedzinie otwierania nowych dróg, aby nadążyć za nowoczesnością apropos drogi Fishguard-Rosslare, która, dyskutowano o tym teraz, ukazała się znowu na lapis w departamentach przegadywania spraw, otoczona zwykłą powodzią biurokracji i guzdrania się zgrzybiałych starych pierników i zakutych łbów. Była to na pewno wielka okazja, żeby z rozmachem i energią wyjść naprzeciw potrzebom podróżującej publiczności, szaremu człowiekowi Brownowi, Robinsonowi i im podobnym.

Było to naprawdę zarówno smutne, jak absurdalne na pierwszy rzut oka i niemałą stanowiło to winę naszego, skorego do chętności społeczeństwa, że szary człowiek, gdy organizm jego naprawdę potrzebował pokrzepienia, był, ze względu na kilka nędznych funtów, odcięty od możliwości zwiedzenia wielkiego świata, na którym żył, natomiast był nieustannie trzymany w zamknięciu od chwili, gdy mój fajtlapa wziął mnie za żonę. Przecież, w końcu, a niech to szlag trafi, mieli oni tych swoich jedenaście beznadziejnie nudnych miesięcy i zasługiwali latem, jeśli

zechcą, na radykalną zmianę venue po harówce, jaką jest życie w mieście, w chwili gdy Pani Natura obleka się w swe najpiękniejsze szaty, używając im ni mniej, ni więcej tylko nowego

życia. Istniały równie doskonałe możliwości spędzenia wakacji na rodzinnej wyspie, uroczę, odmładzające, leśne zakątki, ofiarowujące moc wrażeń i wzmocnienie organizmu, zarówno w samym Dublinie, jak i naokół niego, w jego malowniczych okolicach, nawet w Poulaphouca, do którego prowadził tramwaj parowy, ale także i dalej, z dala od wrzaskliwej ciżby, na przykład w Wicklow, słusznie nazywanym ogrodem Irlandii, idealnej okolicy dla podstarzałych cyklistów, póki nie padnie ono pod naporem fal, a także w dzikim odludziu Donegal, gdzie, jeśli wieści stamtąd były prawdziwe, coup d'oeil był niezwykle wspaniały, chociaż ta ostatnia okolica nie była łatwo dostępna, więc napływ odwiedzających nie był jeszcze w tej chwili taki, jaki mógłby być, zważywszy wyraźne korzyści, jakie można by z niej uzyskać, podczas gdy Howth ze swymi historycznymi i innymi powiązaniem, z Silken Thomasem, Grace o'Malley, Jerzym IV i rododendronami kilkaset stóp nad poziomem morza, było ulubionym miejscem odwiedzin ludzi najrozmaitszych stanów i konduity, szczególnie wiosną, gdyż gościła tam chętnie młodzież, choć i ono zebrało swe żniwo śmierci, gdyż ze skał jego runęło wielu, bądź przypadkiem, bądź z własnej woli, zwykle, mówiąc nawiasem, z lewej jego odnogi, gdyż znajduje się ona tylko o trzy kwadransy drogi od Kolumny. Ponieważ, oczywiście, nowoczesna turystyka jest nadal w powijakach, jeżeli można się tak wyrazić, a wygody pozostawiają wiele do życzenia. Interesującym problemem do zgłębienia wydawało mu się z czystej i prostej ciekawości pytanie, czy to ruch tworzył drogę, czy też było odwrotnie, czy może było to w rzeczywistości obustronne. Odwrócił kartkę i podał ją Stefanowi.

- Widziałem kiedyś Chińczyka, opowiadał dzielny narrator, który miał piguieczki, jakby zrobione z kitu, a kiedy wkładał je do wody, otwierały się, a każda z nich była czym innym. Jedna to był okręt, druga to dom, a trzecia znowu kwiat. Gotuje zupę ze szczurów, dodał apetycznie, taki Chińczyk.

Dostrzegając, być może, powątpiewanie na ich twarzach, obieżyświat ciągnął, trzymając się nadal swych przygód.

- Widziałem człowieka w Trieście, zabitego przez jednego makaroniarza. Nóż w plecy. Nóż, o tak.

Mówiąc, wydobył niebezpiecznie wyglądający nóż sprężynowy, zupełnie zgodny z wyglądem swego właściciela, i uniósł go w pozycji do zadania ciosu.

- Jakies porachunki w burdelu między dwoma przemytnikami. Facet schował się za drzwiami i wyskoczył na niego z tyłu. O, tak. Gotuj się na spotkanie z twoim Stwórcą, powiada. I ciach! Wbił mu to w plecy aż po rękojeść.

Jego ociężałe spojrzenie, sennie błędzące wokół, powstrzymało ich pytania, nawet gdyby chcieli jakieś zadać. To dobry kawałek stali, powtórzył, oglądając swe straszliwe stietto.

Po tym niepokojącym denouement, dostatecznym, aby przerazić najdzielniejszych, zatrzasnął ostrze i ukrył powyżej omawianą broń w swym gabinecie okropnych osobliwości, czyli w kieszeni.

- Umieją się oni doskonale posługiwać białą bronią, ktoś, kto najwyraźniej nie orientował się w niczym, powiedział do wiadomości wszystkich. Dlatego tamci przypuszczali, że tych morderstw w parku, dokonanych przez Niezwyciężonych, dopuścili się jacyś cudzoziemcy, bo użyli noży.

435

Na tę uwagę, wypowiedzianą najwyraźniej w duchu gdzie głupota jest cnotą, pan Bloom i Stefan, każdy na swój sposób, lecz obaj instynktownie, wymienili znaczące spojrzenia, jednak w religijnym milczeniu ścisłego entre nous, i spojrzeli w kierunku, gdzie Kozia Skórka, alias zarządzający, wypuszczał strugi płynu ze swego kociołka. Jego nieodgadniona twarz, która naprawdę była dziełem sztuki i stanowiła sama w sobie doskonale studium, nie dające się ująć opisem, wywoływała teraz wrażenie, że nie pojął ani odrobiny z tego, co się działo. Śmieszne bardzo.

Nastąpiła nieco zbyt długa pauza. Jeden z ludzi, jękając się, czytał urywkami poplamioną kawą gazetę wieczorną, inny kartkę z tubylcami choza de; jeszcze inny zwolnienie wilka morskiego. Pan Bloom, jeśli o nim mowa, trwał pogrążony w zadumie. Dokładnie przypominał sobie wspomniany wypadek, jakby to było wczoraj, a stało się to chyba przed dwudziestu laty, w dniach zamieszek wiejskich i, mówiąc w przenośni, uderzyło w cywilizowany świat jak grom we wczesnych latach osiemdziesiątych, w osiemdziesiątym pierwszym, żeby być ścisłym, kiedy właśnie rozpoczął piętnasty rok.

- Hej, szefie, wtrącił marynarz. Oddaj nam te papiery. Kiedy proście jego uczyniono zadość, porwał je w szpony z głośnym drapnięciem.

- Czy widział pan skałę Gibraltaru? zapytał pan Bloom. Przeżuwając marynarz zrobił grymas, który można było odczytać jako tak, jako może i jako nie.

- Ach, tam także pan zawinął, powiedział pan Bloom, do cypla Europy, myśląc, że tak, i mając nadzieję, że ten korsarz może mieć jakieś wspomnienia z, lecz nie miał, po prostu strzyknął śliną w trociny i poruszył głową, leniwie i z pogardą.

- W którym to mogło być roku? wtrącił pan Bloom. Czy nie pamięta pan statków?

Nasz soi-disant żeglarz żuł w skupieniu przez chwilę żarłocznie, nim odpowiedział.

- Zmęczony jestem tymi wszystkimi skałami w morzu, powiedział, i statkami, i okrętami. Solone mięso przez cały czas.

Zmęczony najwyraźniej, urwał. Wypytyjący go, zrozumiał, że niewiele wyciągnie z tak chytrego starego lisa, zaczął bujać w obłokach snując rozważania o ogromnych obszarach wód na naszym globie. Wystarczy powiedzieć, że jak to ujawniał pobieżny rzut oka na mapę, pokrywają one pełne trzy czwarte powierzchni i w związku z tym pojmował w zupełności, co oznacza określenie: władać falami. Miał sposobność więcej niż raz - co najmniej tuzin razy - blisko North Buli w Dollyrnount widzieć emerytowanego starego wilka morskiego, najwyraźniej zaniedbanego, siadującego stale na murze w pobliżu nie najmilej pachnącego tu morza i wpatrującego się w nie, tak jak ono wpatrywało się w niego, śniącego o młodych lasach i świeżych pastwiskach, jak to ktoś gdzieś śpiewał. I zastanawiał się, dlaczego. Prawdopodobnie chciał odkryć tę tajemnicę, włóczęg się po antypodach i gdzieś tam jeszcze, na powierzchni i pod nią - no, niezupełnie pod nią - wyzywając los. A prawdopodobieństwo było dwadzieścia do zera, że nie ma ono żadnej tajemnicy. Mimo to, bez wchodzenia w minutiae tej sprawy, pozostawał wymowny fakt, że morze trwało tam w całej swej okazałości, więc naturalnym porządkiem rzeczy ktoś jeden czy drugi musiał po nim żeglować i wyzywać opatrność, choć kończyło się po prostu tym, że ludzie zwykle starali się przetrwać tego

436

rodzaju obowiązek na innych, tak jak i ten pomysł z piekłem, jak loterie i ubezpieczenia, które prowadzono na zupełnie podobnej zasadzie, więc dla tej właśnie przyczyny, jeśli nie dla jakiegokolwiek innej, ochotnicze załogi łodzi ratunkowych w dni świąteczne były wielce godną pochwałą instytucją, której całe społeczeństwo bez względu na miejsce zamieszkania, w głębi lądu czy nad brzegiem morza, otrzymując ją w darze, powinno okazywać swoją wdzięczność, tak jak kapitanom portów i wartowniczej służbie nadbrzeżnej, która musiała podnosić żagle i odbiwszy płynąć pośród żywiołów bez względu na porę roku, gdy obowiązek wzywał, Irlandia oczekuje, że każdy i tak dalej, a czasami przeżywali okropne chwile zimą, nie należy też zapominać o irlandzkich pływających latarniach morskich, Kish i innych, mogących każdej chwili wywrócić się dnem do góry, jedną z nich opływał kiedyś dokoła z córką i doświadczył tam bardzo zmiennej, żeby nie powiedzieć burzliwej, pogody.

- Był raz pewien chłopak, który żeglował ze mną na Korsarzu, powiedział stary wilk morski, sam będący korsarzem. Zszedł na brzeg i dostał lekką robotę jako kamerdyner gentlemiana za sześć funtów miesięcznie. To są jego portki, te co mam na sobie, i dał mi też sudwestkę i ten sprężynowiec. Ja tobym znowu chciał mieć taką robotę, żeby golić i czesać. Nienawidzę tłuc się po świecie. A teraz mój syn Danny uciekł na morze, chociaż matka znalazła mu miejsce w sklepie z materiałami w Cork, gdzie mógłby zarobić łatwo pieniądze.

- Ile ma lat? zapytał jeden ze słuchaczy, który, należy to wspomnieć mimochodem, widziany z profilu, odznaczał się odległym podobieństwem do Henry Camp-bella, archiwariusza

miejskiego, który porzucił ciężkie brzemię urzędu, był nie umyty, oczywiście, odziany w przetarte ubranie i posiadał nos pokryty czymś, co podejrzenie przypominało farbę.

- Cóż, odpowiedział marynarz powoli i z zakłopotaniem. Mój syn Danny? Miałby teraz z osiemnaście, tak ja sobie to obliczam.

Mówiąc to, skibereński ojciec rozdarł oburącz swą szarą lub w każdym razie brudną koszulę i podrapał się w pierś, na której dostrzec można było wizerunek, wytatuowany błękitnym chińskim atramentem i mający przedstawiać kotwicę.

- Wszy były w tej koi w Bridgwater, zauważył. Pewne jak słońce. Muszę się wykąpać jutro albo pojutrze. Tych czarnych maluszków to najwięcej nie lubię. Nienawidzę tych wszy. Wypiją z ciebie krew do sucha, oj, wypiją.

Widząc, że wszyscy spoglądają na jego pierś, usłużnie rozsunał koszulę jeszcze szerzej, tak że ponad czczonym od wieków symbolem nadziei i spoczynku żeglarza mogli dostrzec w całej okazałości wizerunek liczby 16 i profil młodego człowieka, wyglądającego raczej posępnie.

- Tatuaż, wyjaśnił pokazujący. To było zrobione, kiedy leżeliśmy bez wiatru przed Odessą na Czarnym Morzu, pod dowództwem kapitana Daltona. Facet o imieniu Antonio zrobił to. A oto on. Grek.

- Czy to bardzo bolało? zapytał ktoś marynarza. Ów czcigodny był jednak gorączkowo zajęty poszukiwaniem na swej. Gniecie je czy...

- Patrzcie tu, powiedział wskazując Antonia. To on, kiedy klnie na bosmana. A teraz to też on, dodał. Ten sam facet, naciągnął skórę palcami, najwyraźniej jakaś szczególna sztuczka, śmieje się teraz z jakiejś gadki.

437

I rzeczywiście, pośmiała twarz młodego człowieka o imieniu Antonio wyglądała teraz, jak gdyby zmuszono ją do uśmiechu, a ów ciekawy efekt wywołał nie ukrywany podziw wszystkich, nie wyłączając Koziej Skórki, który tym razem pochylił się ku przodowi.

- Tak, tak, westchnął marynarz, spoglądając na swą mężną pierś. On też odszedł. Zjadły go później rekiny. Tak, tak.

Wypuścił skórę i profil odzyskał swój uprzedni, zwykły wyraz.

- Zgrabny kawał roboty, powiedział pierwszy poławiacz krabów.

- A po co ten numer? zapytał włączęga numer dwa.

- Zjadły go żywcem? trzeci z nich zapytał marynarza.

- Tak, tak, westchnęła ponownie osobistość wzmiankowana uprzednio, lecz tym razem bardziej pogodnie z czymś w rodzaju półuśmiechu trwającego bardzo krótko i skierowanego do tego, który pytał o numer. To był Grek.

A potem dodał z humorem szubienicznego ptaszka, jeśli wziąć pod uwagę domniemany koniec tamtego: -

- Jest zły jak ów Antonio. Zostawił mnie samonią.

Twarz ulicznicy, lśniąca i wychudła pod czarnym słomkowym kapeluszem, zerknęła z ukosa w drzwi schroniska, najwyraźniej starając się wy badać na własną rękę, czy uda się znaleźć tu ziarno do jej młynka. Pan Bloom, nie wiedząc, w którą stronę spojrzeć, odwrócił się w tejże chwili, wzburzony, lecz pozornie spokojny, i podniósłszy ze stołu różową gazetę, organ Abbey Street, którą dorożkarz, jeśli był on dorożkarzem, odłożył na bok, podniósł ją i spojrział na różowy papier, ale dlaczego różowy? Uczynił tak, gdyż rozpoznał natychmiast w drzwiach tę samą twarz, którą przelotnie widział tego popołudnia na Ormond Quay, należącą do owej na pół zidiociałej kobiety z zaułka, która wiedziała, że ta pani w brązowym kostiumie żyje z panem (pani B.) i błagała go, żeby dał jej bieliznę do prania. I dlaczego do prania, co wydawało się bardziej niejasne niż jasne?

Pana pranie. A jednak uczciwość kazała mu przyznać, że prał brudną spodnią bieliznę swojej żony przy Holles Street, a kobiety chciały prać i prały podobne części męskiej garderoby, oznaczone wypisanymi atramentem do znakowania inicjałami Bewleya i Drapera (to znaczy, jej były tak oznaczone), jeśli naprawdę kochały mężczyznę, trzeba dodać. Kochaj mnie, kochaj moją brudną koszulę. Jednak właśnie wtedy, siedząc jak na rozżarzonych węglach, wolał nie widzieć tej kobiety i odczuł prawdziwą ulgę, kiedy zarządzający dał jej niegrzecznym gestem do zrozumienia, żeby poszła precz. Spoza krawędzi Wieczornego Telegrafu dostrzegł tylko przelotnie jej twarz przy framudze drzwi i szklisty, debilski uśmiech, wskazujący na to, że nie miała wszystkich klepek na miejscu, przyjrzała się z wyraźnym rozbawieniem grupce widzów wokół marynarskiej piersi Nawigatora Murphy'ego i już jej nie było.

- Kanonierka, powiedział zarządzający.

- Nie mogę pojąć, zwierzył się pan Bloom Stefanowi, mówię z medycznego punktu widzenia, jak takie wynędzniałe stworzenie ze szpitala wenerycznego, ociekające chorobą, może być na tyle bezczelne, żeby zaczepiać, a także jak którykolwiek mężczyzna przy zdrowych zmysłach, jeśli ceni choćby w najmniejszym stopniu

swoje zdrowie. Nieszczęsne stworzenie! Przypuszczam, że jakiś mężczyzna jest ostatecznie odpowiedzialny za jej stan. Jednak bez względu na przyczynę tego... Stefan, który nie dostrzegł jej, wzruszył tylko ramionami i zauważył:

- W tym kraju ludzie sprzedają o wiele więcej, niż ona kiedykolwiek miała, i wspaniale im się powodzi. Nie lękajcie się tych, którzy sprzedają ciało, lecz nie mają mocy kupić duszy. Jest ona złym kupcem. Drogo kupuje i tanio sprzedaje.

Starszy mężczyzna, choć w żadnym wypadku nie był starą panną ani świętoszkiem, powiedział, że jest to co najmniej krzyczący skandal, któremu powinno się położyć kres instanter, to głupie gadanie, że kobiety tego pokroju (odrzucając na stronę staropanieńskie przeczulenia na ten temat), będące złem koniecznym, nie powinny zostać zarejestrowane i poddawane badaniom lekarskim przez odpowiednie władze, czego był, jak może szczerze oświadczyć, będąc pater familias, stanowczym zwolennikiem od pierwszej chwili. Ktokolwiek podejmie kroki w tym kierunku, powiedział, i gruntownie przedyskutuje i wyciągnie na światło dzienne, wyświadczy trwałe dobrodziejstwo wszystkim zainteresowanym.

- Pan, jako dobry katolik, zauważył, mówiąc o ciele i duszy, wierzy w duszę. Czy też ma pan na myśli inteligencję, siłę umysłu jako taką, w odróżnieniu od wszelkich przedmiotów znajdujących się na zewnątrz, od stołu, powiedzmy, czy tej filiżanki? Ja sam w to wierzę, ponieważ zostało to wyjaśnione przez ludzi kompetentnych jako drgania szarej substancji. Inaczej nigdy nie mielibyśmy takich wynalazków jak promienie X, na przykład. A pan w to wierzy?

Przyciśnięty tym do muru, Stefan musiał uczynić nadludzki wysiłek pamięci, aby spróbować skoncentrować się i przypomnieć sobie, zanim mógł odpowiedzieć:

- Powiadają mi, opierając się na największych autorytetach, że jest to substancja prosta, a więc niezniszczalna. Byłaby ona nieśmiertelna, jak pojmuję, gdyby nie możliwość unicestwienia jej przez jej Pierwszą Przyczynę, która z tego wszystkiego, co słyszę, jest absolutnie w stanie dodać to do wielkiej liczby innych Swoich psikusów, corruptio per se i corruptioper accidens są przy tym jednakowo wykluczone przez dworską etykietę.

Pan Bloom po zastanowieniu zgodził się z ogólną treścią tej myśli, a choćby mistyczne subtelności w niej zawarte były nieco odległe od jego przyziemnych dociekań, jednak poczuł, że może postawić zarzut słowu prosta, zareplikował więc niezwłocznie.

- Prosta? Nie sądzę, żeby to było właściwe słowo. Oczywiście, przyznaję panu, chcąc ustąpić w jednym punkcie, że zderzamy się z jakąś prostą duszyczką raz na jakiś czas. Ale mnie chodzi o to, żeby powiedzieć, że czym innym jest, na przykład, wymyślenie owych promieni, jak to zrobił Röntgen, albo teleskopu, jak Edison, chociaż wydaje mi się, że to było przed nim, Galileusz jest tym, o kim myślę. To samo da się zastosować do praw, na przykład, tak

rozległego naturalnego fenomenu, jakim jest elektryczność, ale mówić, że wierzy się w nadprzyrodzonego Boga, to zupełnie inna para kaloszy.

- Och, to, zaprotestował Stefan, zostało ostatecznie udowodnione w wielu najlepiej znanych fragmentach Pisma świętego, nie mówiąc o dowodach pośrednich.

W tym zawikłanym punkcie poglądy ich obu, choć biegunowo odległe, zarówno dzięki wykształceniu, jak i wszystkiemu innemu, nie mówiąc o wyraźnej różnicy

439

wieku, zderzyły się.

- Zostało udowodnione? sprzeciwił się bardziej doświadczony z nich obu, trzymając się punktu wyjścia. Nie jestem tego taki pewien. Jest to sprawa poglądów poszczególnych ludzi, a nie wywlekając sekciarskiej strony tego zagadnienia, proszę o wybaczenie, ale nie zgadzam się z panem w tym in toto. Wierzę, jeśli mam panu powiedzieć prawdę, że te wszystkie fragmenty były zwykłymi oszustwami, wpisanymi tam najprawdopodobniej przez mnichów, albo może jest to znowu sprawa podobna do sprawy narodowego poety, niby kto to właściwie napisał, jak z Hamletem i Baconem, a ponieważ zna pan swego Shakespeare'a nieskończenie lepiej niż ja, nie muszę panu oczywiście o tym mówić. Nawiasem mówiąc, czy nie mógłby pan wypić tej kawy? Niech mi pan pozwoli ją zamieszać i proszę wziąć tę bułkę. Wygląda ona jak jedna z cegieł naszego żeglarza. No, ale nikt nie może ofiarować tego, czego nie ma. Niech pan spróbuje kawałek.

- Nie mógłbym, zdołał wydobyć z siebie Stefan, któremu władze umysłowe chwilowo odmówiły dalszych funkcji kierowniczych.

Rozumiejąc przysłowiową jałowość krytyki, pan Bloom starał się dobrze wymieszać cukier, zbity w grudki na dnie, i zamyślił się z uczuciem zbliżonym do rozgoryczenia nad Coffee Palace oraz jego działalnością (wielce popłatną) na rzecz trzeźwości. Z pewnością był to zakład godny szacunku i nie wdając się w żadne tak i nie, można było powiedzieć, że zdziałał morze dobrego. Schroniska, takie jak to, prowadzone na zasadzie bezalkoholowej dla nocnych włóczęgów, koncerty, wieczorki dramatyczne i pożyteczne odczyty (wstęp wolny) wykwalifikowanych osób dla niższych warstw społeczeństwa. Lecz z drugiej strony, zachował jasne i bolesne wspomnienie, że płacili jego żonie, pani Marion Tweedy, która była zaszczytnie spowinowacana z tą instytucją w pewnym okresie, bardzo skromne wynagrodzenie za jej grę na fortepianie. Pomysł polegał na tym, jak był zdecydowanie skłonny uwierzyć, żeby czynić dobro i mieć z tego zysk, nie mając żadnej konkurencji godnej wzmianki. Siarczan miedzi, trucizna, SO⁴ czy coś podobnego w suszonym grochu, pamiętał, że czytał o tym, było to gdzieś w jakiejś taniej jadłodajni, ale nie mógł przypomnieć sobie, kiedy to było ani gdzie. W każdym razie kontrola, lekarska kontrola

wszystkich produktów żywnościowych wydawała mu się konieczniejsza niż kiedykolwiek, i tym prawdopodobnie tłumaczyła się popularność Vi - Kakao doktora Tibble'a, właśnie ze względu na analizę lekarską, której podlegało.

- Niech pan spróbuje od razu, ośmielił się powiedzieć o kawie, gdy została już zamieszana.

Przekonywany, aby w każdym razie spróbował, Stefan uniósł ciężki kubek z brązowej kałuży - rozlewając, gdy go unosił - za uszko i cedząc przełknął łyk odrażającego napoju.

- Lecz ważny jest treściwy posiłek, napominał go jego dobry duch, jestem pedantem na punkcie treściwych posiłków, a jedyną i wyłączną przyczyną nie było w najmniejszym stopniu obżarstwo, lecz jedzenie regularnych posiłków, jako sine quo. non dla porządnego wykonania jakiejkolwiek pracy, umysłowej czy fizycznej. Powinien pan spożywać więcej treściwych posiłków. Poczulby się pan innym człowiekiem.

- Mogę jeść płyny, powiedział Stefan. Ale proszę zrobić mi łaskę i zabrać ten nóż. Nie mogę patrzeć na koniec jego ostrza. Przypomina mi historię Rzymu.

440

Pan Bloom natychmiast uczynił to, o co go proszono, i usunął wspomniany przedmiot, tępy, oprawny w róg, zwykły nóż, nie mający w oczach profana nic szczególnie rzymskiego ani antycznego, a jak zauważył, ostrze jego było najmniej rzucającą się w oczy częścią.

- Opowieści naszego wspólnego przyjaciela bardzo są do niego podobne, zauważył pan Bloom apropos noży, do swego confidante sotto voce. Czy sądzi pan, że są prawdziwe? Mógłby wysnuwać z siebie opowiadki bez końca jak noc długa, i kłamać przy tym jak najęty. Niech pan na niego spojrzy.

A jednak, choć oczy jego były zamglone brakiem snu i morskim powietrzem, życie wypełniały zastępy rzeczy i zbiegów okoliczności straszliwej natury i leżało całkowicie w granicach możliwości, że to wszystko nie było pełnym wymysłem, choć na pierwszy rzut oka niewiele było dogłębnego prawdopodobieństwa w tych wszystkich bujdach, które wyciągał z kuferka, każąc w nie wierzyć jak w ewangelię.

W ciągu całego tego czasu badał i oceniał osobnika siedzącego naprzeciwko i Sherlockholmesował go, od chwili gdy oczy jego spoczęły na nim. Choć człowiek ów dobrze się jeszcze trzymał, posiadając niemało sił żywotnych mimo pewnych skłonności do łysiny, było coś fałszywego w jego powierzchowności, co nasuwało myśl, że został dopiero co wypuszczony z więzienia, i nie trzeba było gwałtownie natężyć wyobraźni, żeby skojarzyć sobie takiego niesamowicie wyglądającego osobnika z bractwem wykonującym katorżnicze prace. Być może, to on osobiście załatwił tego człowieka, przypuściwszy, że to właśnie o swoim przypadku opowiadał, jak to często ludzie robią, przypisując swoje sprawy innym,

więc nazywając rzecz po imieniu, może zabił go i odsiedział cztery albo pięć pięknych latek pod kluczem, żeby już nie wspomnieć o tej osobie Antonio (nie będącej w żadnym stopniu krewnym bohatera dramatu, który nosił identyczne imię i wyskoczył spod pióra naszego narodowego poety), który odpokutował za swe występki w melodramatyczny, powyżej opisany sposób. Z drugiej strony, mógł tylko bluffować, co było słabością godną wybaczenia, ponieważ spotkanie z tak niewątpliwymi frajerami, mieszkańcami Dublina, jak ci dorożkarze wyczekujący nowin zza morza, skusiłoby każdego dawnego żeglarza, żeglującego po morzach i oceanach, aby zaczął zmyślać niestworzone historie o szkunerze Hesperus etcetera. A kiedy zważyło się uczciwie wszystkie słowa i czyny, kłamstwa, które facet sam mówił o sobie, były one prawdopodobnie przysłowiowym piórkiem na szali w porównaniu z ciężarem łgarstw, które inni umieli hurtem ukuć o nim.

- Wie pan, nie mówię, że to wszystko jest czystym wymysłem, podsumował. Czasem, choć nieczęsto, natrafia się na analogiczne sytuacje. Istnieją giganci, ale trzeba ich szukać długo i spotyka się ich rzadko. Marcella, królowa karłów. W tym muzeum figur woskowych przy Henry Street sam widziałem paru Azteków, jak ich nazywają, siedzących na skrzyżowanych nogach. Nie mogliby wyprostować nóg, choćby im pan zapłacił, ponieważ te muskuły, o tu, widzi pan, wskazał na ciele towarzysza ich zarys, ścięgni, czy jak się je nazywa, z tyłu, za prawym kolanem, były zupełnie bezsilne od zbyt długiego siedzenia w tej podkurczonej postawie, a czczono ich jak bogów. Oto nowy przykład prostych duszyczek.

Jednak powracając do przyjaciela Sinbadajego przerażających przygód (przypominał mu on trochę Ludwiga, alias Ledwidge'a, gdy ów okupował deski Gaiety,

441

kiedy Michael Gumm był dyrektorem, w Latającym Holendrze, niesłychany sukces, a zastępy jego wielbicieli napływały w ogromnych ilościach, wszyscy po prostu tłoczyli się, żeby go usłyszeć, chociaż okręty wszelkiego rodzaju, widma czy też odwrotnie, zawsze wychodziły nieco płasko na scenie, tak zresztą jak i pociągi), przyznał, że nie było żadnej wewnętrznej sprzeczności w tym wszystkim. Przeciwnie, ten chwyt z ciosem w plecy całkiem harmonizował z tymi Włochami, choć, szczerze mówiąc, musiał niemniej jednak przyznać, że ci lodziarze i ci przysmażacze ryb, nie wspominając o odmianie przyrządzającej frytki i tym podobne, mieszkający tutaj w małej Italii niedaleko Coombe, byli to trzeźwi, skrzętni, ciężko pracujący ludzie, z wyjątkiem tego, być może, że zanedbali upolować nocą do garnka nieszkodliwe, pożyteczne i należące do kogo innego zwierzątko z rodziny kotów, aby mieć z niego na drugi dzień dobrą, soczystą potrawę z czosnkiem de rigueur i spożyć ją skrycie i, dodał, niedrogo.

- Hiszpanie na przykład, ciągnął, mający podobnie porywczy temperament, gwałtowni jak diabli, lubią ujmować prawo w swoje ręce i w mgnieniu oka przenoszą się na tamten świat przy pomocy tych sztyletów, które noszą za pasem. Spowodowane to jest wielkim upałem,

ogólnie rzecz biorąc, klimatem. Moja żona jest, można powiedzieć. Hiszpanką, to znaczy, w połowie. Faktycznie mogłaby uzyskać hiszpańskie obywatelstwo, gdyby chciała, gdyż urodziła się (formalnie rzecz biorąc) w Hiszpanii, to znaczy, w Gibraltarze. Ma ona typ hiszpański. Bardzo ciemna, prawdziwa brunetka, czarnowłosa. Jeśli o mnie chodzi, wierzę z całą pewnością, że klimat tworzy charakter. Dlatego zapytałem pana, czy pan pisze swoje wiersze po włosku.

- Te temperamenty, tam za drzwiami, wtrącił Stefan, były bardzo porywcze na temat dziesięciu szylingów. Roberta ruba roba sua.

- Tak, oczywiście, zawtórował pan Bloom.

- Poza tym, powiedział Stefan, zagapiony i mówiący bez związku do siebie albo do jakiegoś nieznanego słuchacza nie wiadomo gdzie się znajdującego, mamy zapalczywość Dantego i trójkąt równoramienny. Miss Portinari, w której się zakochał, Leonarda i sań Tommasa Mastino.

- To jest we krwi, zgodził się od razu pan Bloom. Wszyscy oni są obmyci krwią słońca. Zbiegiem okoliczności byłem dzisiaj w muzeum przy Kildare Street na krótko przed naszym spotkaniem, jeśli można je tak nazwać, i właśnie przyglądałem się tym antycznym posągom, które tam są. Wspaniałe proporcje bioder, piersi. Po prostu nie napotyka się kobiet tego rodzaju tutaj. Tu i ówdzie znajdzie się wyjątek. Przystojne, tak, ładne w pospolity sposób, ale ja mówię o kształtach kobiecych. Poza tym mają tak mało smaku w ubiorze, większość z nich, który tak bardzo podnosi wrodzoną urodę kobiety bez względu na to, co kto o tym pomyśli. Pończochy w obwarzanki - może to być, jest to prawdopodobnie moja słabość, ale mimo to jest to rzecz, na którą patrzę z odrazą.

Lecz zaciekawienie z wolna opadło dokoła i inni zaczęli rozmawiać o katastrofach morskich, statkach zagubionych we mgle, zderzeniach z górami lodowymi, o wszelkich tego rodzaju rzeczach. Cumujżagiel, oczywiście, miał swoje do powiedzenia. Okrążył Przylądek Ładnych kilka razy i przetrwał monsun, pewien rodzaj wiatru na Morzu Chińskim, a pośród wszystkich tych niebezpieczeństw na

442

głębinach tylko jedno, stwierdził, stało przy nim zawsze, takich mniej więcej słów użył, święty medalik, który ratował go.

Węc potem rozmowa zdryfowała na ów wrak przy skale Daunta, wrak tej nieszczęsnej norweskiej barki - nikt nie mógł sobie przypomnieć przez chwilę jej nazwy, póki dorożkarz, który naprawdę wyglądał całkiem jak Henry Campbell, nie przypomniał sobie. Palmę, na wybrzeżu Booterstown, o niczym innym nie mówiono w mieście tego roku (Albert William Quill napisał bardzo piękny i oryginalny, wybitny wiersz o tym do Irlandzkiego Timesa),

bałwany rozbiły się nad nią, a na brzegu pośród nawałnicy tłumy i tłumy skamieniałe z przerażenia. Potem ktoś powiedział coś o wypadku s.s. Lady Cairns idącej ze Swansea, na którą wpadła Mona, znajdująca się na przeciwnym kursie, podczas dość mglistej pogody, i poszła ona na dno z wszystkimi na pokładzie. Nie udzielono żadnej pomocy. Jej kapitan, to znaczy Mony, powiedział, że obawiał się, że jego grodzie wodoszczelne nie wytrzymają zderzenia. Ale w jego ładowniach, jak się okazuje, nie było wody.

W tym czasie nastąpił pewien incydent. Ponieważ zaistniała konieczność odpięcia guzika, marynarz opuścił swoje miejsce.

- Pozwól, że przepłynę ci przed dziobem, przyjacielu, powiedział do sąsiada, który właśnie spokojnie zapadał w łagodną drzemkę.

Ruszył powolnymi, ciężkimi, odmierzonymi krokami ku drzwiom, stąpnął ciężko w dół po jednym znajdującym się tam schodku, znalazł się na zewnątrz schroniska i wziął kurs w lewo. Podczas gdy orientował się w swej szerokości geograficznej, pan Bloom, który zauważył, gdy podnosił się on z miejsca, że ma dwie flaszki, najprawdopodobniej okrętowego rumu, wystające pojedynczo z obu kieszeni dla osobistego użytku jego płonącego wnętrza, ujrzał, że wyciąga on jedną z butelek, wyjmując korek, a może wykręca go korkociągami i przyłożywszy butelkę do warg, pociąga z niej długo i z rozkoszą, wydając przy tym gulgoczący odgłos. Niepowstrzymany Bloom, który żywił także mocne podejrzenie, że stary wyjadacz wyszedł, by wykonać manewr zahamowany przeciwdziałaniem w postaci ukazania się kobiety, która jednak zniknęła, jak się zdaje, na dobre, mógł go jeszcze dojrzeć, wyteżając wzrok, gdy należycie odświeżony przez swój bohaterski wyczyn przy beczulce z rumem, spoglądał w górę ku filarom i przęsłom linii obwodowej, jak gdyby nie mogąc się połapać, gdyż oczywiście wszystko zostało tu gruntownie zmienione od czasu jego ostatniej bytności i wielce ulepszone. Jakaś niewidoczna osoba czy osoby skierowały go ku męskiemu ustępowi, jednemu z tych, które komitet oczyszczania miasta wznosił wszędzie, lecz po upływie krótkiego czasu, podczas którego panowała zupełna cisza, żeglarz, najwyraźniej woląc obejść z dala to miejsce, ulżył sobie tuż nie opodal, a po niedługiej chwili odgłos jego wód, spadających i rozpryskujących się o ziemię, najwyraźniej obudził konia dorożkarskiego na postoju.

Kopyto zgrzytnęło, poszukując nowego oparcia po przerwanych śnie, i zadzwoniła uprzęż. Zaniepokojony nieco w swej budce strażniczej przy koszu z żarzącym się koksem, dozorca magistracki - choć obecnie jest zupełnym rozbitkiem i tonie coraz bardziej, jednak to nie kto inny w surowej rzeczywistości, a właśnie wyżej wzmiankowany Gumley, utrzymujący się teraz z parafialnych zasiłków i mający chwilowe zajęcie, zaofiarowane mu według wszelkiego ludzkiego prawdopodo-

bieństwa z humanitarnych pobudek przez Pata Tobina, który znał go niegdyś - poruszył się i zaszurał nogami w swojej budce, zanim ułożył znowu swe członki w objęciach Morfeusza. Naprawdę zdumiewająco marny los, i to w najbardziej złośliwym wydaniu, dla człowieka poważnie skoligaconego i nawykłego w ciągu całego życia do wygod domowych, który miał kiedyś równiutkie sto funtów rocznego dochodu, lecz oczywiście, będąc koronnym osłem, przepuścił je i przetrwonął. I oto gonął już resztkami, on, który tak często umiał postawić całe miasto na rzęsach, nie mając dziś nawet żebraczego szeląga. Pił, nie trzeba chyba o tym wspominać, i raz jeszcze można było wyciągnąć z tego morał, że mógł z łatwością prowadzić wielkie interesy, gdyby - ale jest to wielkie gdyby - zdołał wyleczyć się z tej swojej słabości.

Wszyscy tymczasem głośno lamentowali nad upadkiem irlandzkiej żeglugi przybrzeżnej i pełnomorskiej, gdyż obie stanowiły nierozdzieloną część jednego problemu. Statek Palgrave'a Murphy'ego został spuszczonej na wodę z doku w basenie Aleksandry, było to jedyne wodowanie tego roku. Z pewnością nie brak było portów, ale żaden statek nigdy do nich nie zawijał.

- Tylko wraki i wraki, powiedział zarządzający, który najwyraźniej był au fait.

Chciał jedynie ustalić, dlaczego statek wpadł traach na jedyną skałę w zatoce Galway, gdy projekt portu w Galway został podany do dyskusji przez jakiegoś pana o nazwisku Worthington czy jakoś podobnie, co? Zapytajcie kapitana tego statku, poradził im, ile mu wsunął w łapę rząd brytyjski za robótkę, którą wykonał tego dnia. Kapitan John Lever z Lever Line.

- Czy mam rację, kapitanie? zapytał marynarza, który właśnie powracał po wypiciu na osobności łyżka i po innych działaniach.

Ów czcigodny człowiek, pochwyciwszy w locie ostatnie słowa i sądząc, że to refren piosenki, zaczął ochryple z wielką mocą, choć z wątpliwą muzykalnością, jakiś rodzaj pieśni w rytmie na dwa - lub trzy czwarte. Czujne ucho pana Blooma dosłyszało, że w trakcie tego wypłuł coś, chyba prymkę (co w rzeczywistości miało miejsce); musiał chyba trzymać ją w dłoni, gdy pił i odlewał się, a potem musiała mu smakować nieco kwaskowato po ognistej wodzie, o której była już mowa. Bądź co bądź, wtoczył się do wewnątrz po swej udanej libacji - cum - degustacji, przesycając to soiree atmosferą pijaństwa i wyśpiewując wrzaskliwie na całe gadło jak prawdziwy syn kuchty morskiego:

- Suchary twarde jakby ze złota, Mięso słone jak dupa żony Lota. O, Johnny Lever! Johnny Lever, O!

Po tym wylewie uczuć groźny okaz człowieczeństwa stosownie wkroczył na scenę i osiągnąwszy ponownie swoje miejsce, opadł z rozmachem na przeznaczoną do tego ławę.

Kozia Skórka, jeśli przyjmiemy, że to był on, najwyraźniej będąc tym osobiście zainteresowany, wyciągnął na jaw swe żale i bolączki w formie filipiki, skrywającej słabość

pod pozorem siły; na temat bogactw naturalnych Irlandii czy czegoś w tym rodzaju, którą opisywał w swej długiej dysertacji jako najbogatszy i nie ustępujący

444

żadnemu kraj na tym bożym świecie, nieskończenie przewyższający Anglię, mający węgiel w wielkich ilościach, eksportujący co roku wieprzowinę o wartości sześciu i: milionów funtów, masło i jajka za dziesięć milionów, lecz źródło tych bogactw wysychało, gdyż Anglia nakładała podatki na biedaków, łupiła ich ze skóry i pożerała najlepsze mięso, jakie znajdowało się na rynku, w dalszym ciągu dawał sobie upust w tym samym tonie. W związku z tym rozmowa stała się ogólna i wszyscy zgodzili się, że faktycznie tak jest. Wszystko można wyhodować w Irlandii, stwierdził, a w Cavan pułkownik Everard ma plantację tytoniu. I gdzie znajdziecie bekon równy irlandzkiemu? Lecz dzień zapłaty, stwierdził crescendo, wielce dobitnym głosem - całkowicie monopolizując konwersację - już nadchodzi dla mocarnej Anglii pomimo jej potęgi finansowej, a to z powodu jej zbrodni. Nastąpi upadek, i to największy upadek w historii. Niemcy i ci mali Japończycy będą mieli tu słówko do powiedzenia, upewnił. Boerzy byli początkiem końca. Dwulicowa Anglia chwiała się już, a runie dzięki Irlandii, swej pięcie Achillesowej, po czym wyjaśnił to, opowiedziawszy im o czułym miejscu Achillesa, bohatera greckiego - słuchacze jego pojęli rzecz natychmiast, gdyż całkowicie przykuł ich uwagę, ukazując omawiane ściętno na swym bucie. Jego radą dla każdego Irlandczyka było: pozostań w krainie, w której przyszedłeś na świat, pracuj dla Irlandii i żyj dla Irlandii. Irlandia, powiedział Parnell, nie może się obejść bez choćby jednego ze swych synów.

Cisza, która zapanowała dokoła, podkreśliła kres jego finale. Nieczuły nawigator nieporuszenie wysłuchał tych ponurych wieści.

- Trzeba by się tego narobić, szefie, odparł rozsądnie ów nieoszlifowany diament, rozdrażniony nieco truizmem wypowiedzianym uprzednio.

,1 Z tym zimnym prysznicem w sprawie upadku i tak dalej, zarządzający zgodził

•f, się, lecz pomimo to nadal trwał przy swym głównym założeniu. " - Jakże oddziały są najlepsze w armii? zapytał gniewnie ów osiwiwały w bojach weteran. I kim są najlepsi skoczki i biegacze? A najlepsi admirałowie i generałowie, jakich mamy? Powiedz mi.

- Irlandczycy jak jeden, odpowiedział dorożkarz podobny do Campbella, jeśli nie brać pod uwagę pewnych usterek oblicza.

- To prawda, zgodził się stary matros. Irlandzki katolicki chłop. Jest on kośćcem naszego imperium. Znać Jema Mullinsa?

Zezwalając mu, jak każdemu człowiekowi, na posiadanie swoich prywatnych poglądów, zarządzający dorzucił, że nie dba o żadne imperium, nasze czy jego, i uważa za niegodnego każdego Irlandczyka, który mu się wysługuje. Potem

•• wymienili kilka gniewnych słów i zrobiło się goręcej, a obaj, nie trzeba tego dodawać, apelowali do słuchaczy, którzy obserwowali ów pojedynek z zaciekawieniem poty, póki przeciwnicy nie dali upustu obelgom i nie zaczęli wymierzać sobie wzajemnie ciosów.

Dzięki informacjom napływającym od wielu lat z poufnych źródeł pan Bloom skłonny był raczej do lekceważenia tego poglądu i uważania go za wierutną bzdurę, gdyż bez względu na to, czy należało jej życzyć takiego kresu, był on w pełni świadom faktu, że ich sąsiedzi spoza Kanału raczej ukrywali swą potęgę, niż demonstrowali ją, chyba że byli o wiele większymi głupcami, niż mu się wydawało. Było to zupełnie równoznaczne z owym dziwacznym poglądem pewnych

445

sfer, że za sto milionów lat pokłady węgla siostrzanej wyspy wyczerpią się, bo gdyby nawet okazało się z upływem czasu, że tak babcia wróżyła, to jedyna jego osobista uwaga na ten temat brzmiała następująco: ponieważ całe legiony innych wydarzeń, mających równie wielkie znaczenie dla tej sprawy, mogły nastąpić, zanim to nastąpi, byłoby tymczasem wysoce wskazane starać się wyciągnąć jak największe korzyści z obu tych krajów, nawet jeśli były one biegunowo odległe. Drugim punktem, którego nie należało przeoczyć, były owe miłostki kurew i pedziów, jeśli chciało się to tak określić wulgarnie, przypominały mu one, że żołnierze irlandzcy równie często walczyli po strone Anglii co przeciw niej, a w rzeczywistości częściej za niż przeciw. Lecz dlaczego? A scena rozgrywająca się pomiędzy tymi dwoma, zarządzającym tego miejsca, o którym krążyły pogłoski, że jest on czy był Fitzharrisem, owym sławnym Niezwyciężonym, a tym drugim, najwyraźniej udającym kogo innego, przywodziła mu z konieczności na myśl jota w jotę podobne podstępny, polegające na tym, żeby wkraść się w zaufanie, a można było przypuścić, że wszystko było z góry ukartowane, co on, będąc obserwatorem i badaczem duszy ludzkiej, dostrzegał, choć inni nie zauważali wcale tej gry. A jeśli chodzi o tego dzierżawcę czy też zarządzającego, który prawdopodobnie nie był w ogóle tamtą osobą, on (Bloom) nie mógł powstrzymać się od uczucia, najzupełniej zresztą stosownego, że lepiej było odwracać się do takich ludzi tyłem, chyba że było się w ogóle skończonym idiotą, i należało odmawiać jakiegokolwiek styczności z nimi, przyjmując to jako złotą regułę zarówno w życiu prywatnym, jak i podczas pobytu w ich przestępczych melinach, gdyż zawsze istniała możliwość, że pojawi się kapuś i złoży doniesienie Jej Królewskiej Mości - czy też Jego Królewskiej Mości obecnie - jak ten Denis czy może Peter Carey, a była to ewentualność, którą odrzucał z obrzydzeniem. Niezależnie od tego wszystkiego nie lubił z zasady karier wyrosłych z czynienia zła i występku. A jednak choć nigdy nie piastował w łonie tego rodzaju kryminalnych skłonności w żadnej formie,

odczuwał z pewnością, i nie można było temu zaprzeczyć (choć w głębi duszy pozostawał tym, kim był), pewien rodzaj podziwu dla człowieka, który naprawdę uniósł nóż, zimną stal, z odwagą równą swym politycznym przekonaniom, choć osobiście nigdy nie uczestniczyłby w żadnej takiej sprawie, należącej do tego samego gatunku jak te vendetty miłosne na południu - mieć ją lub wisieć dla niej - gdzie często zdarza się, że mąż po kilku słowach, które oboje wymienili, a dotyczących jej stosunków z tym drugim szczęśliwym śmiertelnikiem (mąż kazał śledzić tę parę) zadawał śmiertelne rany swej ubóstwianej na skutek pozamałżeńskiego liaison, wbijając w nią nóż, aż wreszcie uderzyło go, że Fitz, przezwany Kozia Skórka, powoził tylko pojazdem właściwych sprawców tego oburzającego uczynku i nie był, jeśli go wiarygodnie poinformowano, uczestnikiem zasadzki, co stało się w rzeczywistości argumentem w sądzie, dzięki któremu jakiś luminarz prawa ocalił mu skórę. W każdym razie była to bardzo stara historia, a jeśli chodziło o naszego przyjaciela Koziaetccetera, przeżył on w sposób widomy swoją sławę. Powinien był albo umrzeć w sposób naturalny, albo wysoko na szafocie. Jak aktorki, nieustanne pożegnanie - nieodwołalnie ostatnie przedstawienie, a potem znowu pojawiają się, uśmiechnięte. Nadmiernie rozrzutne, oczywiście, pełne temperamentu, żadnego oszczędzania ani żadnych skłonności tego

446

rodzaju, zwasze tracące rzeczywiste zyski w pogoni za mirażami. Podobne podejrzania żywił w stosunku do pana Johnny Levera, pewnie pozbył się on pewnej ilości swych funtów, szylingów i pensów podczas przechadzek wokół doków i pośród miłej atmosfery tawerny Old Ireland, witaj w Erynie i tak dalej. A jeśli chodzi o innych, słyszał niedawno podobny żargon i opowiedział Stefanowi, jak to zupełnie po prostu, ale skutecznie uciszył tego, który go obraził.

- Poczul się dotknięty tym czy owym, stwierdziła ta wielce skrzywdzona, lecz w sumie zrównoważona osoba, co mi się wymknęło. Nazwał mnie żydem, i to w podnieceniu, obraźliwie. Więc ja, bez odrywania się od jasnych dla każdego faktów, powiedziałem mu, że jego Bóg, mam na myśli Chrystusa, też był żydem jak ja, a także cała jego rodzina, chociaż w rzeczywistości ja nim nie jestem. To go osadziło. Łagodna odpowiedź tłumi gniew. Nie miał ani słowa na swoją obronę, jak to każdy mógł zauważyć. Czy nie mam racji?

Skierował przeciągle nie masz racji spojrzenie na Stefana, pełne bojaźliwej mrocznej dumy z powodu łagodnego oskarżenia, a także prośby, gdyż zaświtało w nim coś, co powiedziało mu w pewien sposób, że nie wszystko jest dokładnie tak, jak...

- Ex quibus, wymamrotał Stefan wymijająco, gdy dwoje ich, a może czworo oczu rozmawiało z sobą, czy imię jego jest Christus czy Bloom, czy jakiegokolwiek inne, secundum carnem.

- Oczywiście, zaczął zastrzegać się pan Bloom, musi pan spojrzeć na tę sprawę z obu punktów widzenia. Trudno jest ustanowić jakiekolwiek mocne i trwałe zasady, gdy w grę wchodzi dobro i zło, ale na pewno istnieje miejsce dla ogólnej poprawy, choć każdy kraj, jak powiadają, a nasz udręczony także, ma rząd, na jaki zasługuje. Ale mało można dostrzec dobrej woli wokół. To bardzo piękne chęć się powszechnie swą wyższością, ale co z powszechną równością? Odrzucam gwałt i nietolerancję o każdej treści i w każdej formie. Nigdy nie osiągają one niczego i niczego nie powstrzymują. Rewolucja musi nadejść w miesięcznych ratach. Jest patentowanym głupstwem, rzucającym się w oczy, nienawidzić ludzi, ponieważ mieszkają za rogiem i mówią innym narzeczem, że się tak wyrażę.

- Pamiętna krwawa bitwa na moście i wojna siedmiominutowa, zgodził się Stefan, pomiędzy aleją Garbazy i targowiskiem Ormond.

- Tak, przystał po namyśle pan Bloom, całkowicie aprobowując tę uwagę, która była przygniatająco słuszna, gdyż cały świat był przygniatająco pełen tego rodzaju rzeczy.

- Po prostu wyjął mi pan te słowa z ust, powiedział. Hokus-pokus sprzecznych dowodów, których bezstronnie nie można by nawet w przybliżeniu...

Te wszystkie nędzne kłótnie, które jego skromnym zdaniem wywoływały tylko złą krew - winien był tu guz wojowniczności czy też jakiś inny gruczoł, a błędem byłoby przypuszczać, że winę ponosi przeczulenie na punkcie honoru lub sztandaru - były w największym stopniu spowodowane kwestią pieniądza, który tkwił za tym wszystkim, chciwość i zawiść, a ludzie nigdy nie wiedzieli, kiedy przestać.

- Oskarżają - powiedział donośnie. Odwrócił się od pozostałych, którzy prawdopodobnie... i pochylił się bliżej, mówiąc tak, aby pozostali... na wypadek, gdyby...

447

- Żydów oskarża się, zwierzył się cicho Stefanowi do ucha, że rujną. Nie ma w tym ani krzty prawdy, mogę odważyć się na to stwierdzenie. Historia - czy nie zdziwi się pan, dowiedziawszy się o tym? - udowadnia w pełni, że Hiszpania zaczęła chylić się ku upadkowi od chwili, gdy inkwizycja wyszczuła żydów stamtąd, a Anglia zaczęła prosperować, gdy Cromwell, niepospolicie zdolny łotr, który pod innymi względami jest odpowiedzialny za bardzo wiele, sprowadził ich. Dlaczego? Ponieważ są oni praktyczni i udowodnili, że to prawda. Nie chcę pozwalać sobie na żadne... ponieważ zna pan podstawowe prace na ten temat, a poza tym, będąc tak ortodoksyjnym, jak pan jest... Lecz w dziedzinie ekonomii, nie tykając religii, książdz oznacza biedę. I znowu niech pan porówna Hiszpanię, jak pan zaobserwował w czasie wojny, z rzutką Ameryką. Turcy to kwestia dogmatu. Bo gdyby nie wierzyli, że pójdą prosto do nieba po śmierci, staraliby się żyć lepiej - a przynajmniej tak mi się wydaje. Oto sztuczka, za pomocą której panowie proboszczowie wyciskają podstępem

forse. Jestem, podsumował z dramatyczną ekspresją, tak dobrym Irlandczykiem jak ta ordynarna osoba, o której opowiadałem panu na wstępie, i chciałbym widzieć każdego, zakonkludował, wszystkie wyznania i klasy pro rata, w posiadaniu odpowiedniego, niezłego dochodu, i to nie skąpego, ale mniej więcej w okolicy 300 funtów rocznie. Oto żywotna kwestia, która powstaje, a jest to wykonalne i prowokowałoby do przyjaźniej szych stosunków pomiędzy człowiekiem i człowiekiem. A przynajmniej taka jest moja idea bez względu na to, ile jest warta. Nazywam ją patriotyzmem. Ubipatria,)ak nauczono nas powierzchownie podczas naszych klasycznych dni w Alma Muter, vita bene. Miejsce gdzie możesz dobrze żyć, taki jest sens tego, jeśli pracujesz.

Ponad swą niesmaczną nędzną namiastką kawy słuchając tego zestawienia spraw ogólnych, Stefan wpatrywał się, lecz w nic określonego. Słyszał, oczywiście, najrozmaitsze rodzaje słów, zmieniających barwy jak te kraby wokół Ringsend rankiem, które zakopywały się szybko w różnobarwny, lecz przecież ten sam piasek, gdzie miały, albo wydawało się, że miały, swój dom gdzieś w głębi. Potem uniósł wzrok i ujrział oczy, które wymawiały albo nie wymawiały słów przez niego słyszanych - jeśli pracujesz.

- Proszę mnie wykreślić, udało mu się zauważyć z myślą o pracy. Oczy zdziwiły się tą uwagą, gdyż jak on, czyli osoba, która była ich posiadaczem

pro tempore, zauważył albo raczej jak głos jego to zrobił: Wszyscy muszą pracować, koniecznie, wspólnie.

- Mam na myśli, oczywiście, pospieszył tamten z wyjaśnieniem, pracę w najszerszym tego słowa znaczeniu. Także prace literackie, nie tylko dla rozgłosu, który dają. Pisanie do gazet, które jest w naszych czasach najszybszym przewodem. To także praca. Ważna praca. Podsumowując tę niewielką ilość wiadomości, którą mam o panu, podsumowując wszystkie pieniądze, które wydano na pańskie wykształcenie, jest pan uprawniony do powetowania tego sobie i naznaczenia swej ceny. Ma pan zupełnie takie samo prawo, by żyć ze swego pióra, rozwijając swe dociekania filozoficzne, jak ma chłop. Co? Obaj należycie do Irlandii, mózg i mięśnie. Jedno i drugie jest równie ważne.

- Przypuszcza pan, odparł Stefan z półuśmiechem, że mógłbym być ważny, ponieważ należę do faubourg Saint-Patrice, nazywanego w skrócie Irlandią.

448

- Posunąłbym się o krok dalej, napomknął pan Bloom.

- Lecz ja przypuszczam, przerwał Stefan, że Irlandia musi być ważna, ponieważ należy do mnie.

- Co należy? zapytał pan Bloom, pochylając się, wyobrażając sobie, że, być może, źle zrozumiał. Proszę mi wybaczyć. Niestety, nie uchwyciłem ostatnich słów. Co pan chciał...?

Stefan, najwyraźniej w złym humorze, powtórzył, odsunąwszy od siebie kubek z kawą, czy jak wolicie ją nazwać, nie nazbyt uprzejmie, dodając:

- Nie możemy zmienić kraju. Więc zmieńmy temat.

Po tej stosownej propozycji pan Bloom, żeby zmienić temat, spuścił oczy, lecz był zakłopotany, gdyż nie wiedział, jaki dokładnie sens nadać tej myśli, która wydawała się bardzo oderwana. Pewien rodzaj przygany wydawał mu się bardziej jasny niż pozostała część. Nie trzeba dodawać, że opary niedawno minionej orgii przemówiły wtedy z pewną wyrazistością w zdumiewająco gorzki sposób, obcy jego zrównoważonemu usposobieniu. Prawdopodobnie życie rodzinne, do którego pan Bloom przywiązywał tak wielką wagę, nie było czymś niezbędnym albo też nie był on zaprzyjaźniony z odpowiednimi ludźmi. Z lekką obawą o siedzącego przed nim młodego człowieka, którego obserwował ukradkiem, badawczo, z uczuciem pewnej konsternacji, przypomniał sobie, że wrócił on właśnie z Paryża, a oczy jego przywiodły mu na myśl jego ojca i siostrę, lecz nie rzuciło to wiele światła na trapiącą go zagadkę, choć kazało myśleć o owych wypadkach, gdy rokujący najlepsze nadzieje kulturalni młodzi ludzie wędli przedwcześnie, zerwani w paku, a nikogo nie można było winić prócz nich samych. Na przykład, był taki jeden przypadek młodego o'Callaghana, na pół zwariowanego dziwaka, pochodzącego z dobrej, choć nie najzamożniejszej rodziny i pełnego szaleńczych wybryków, który w dodatku do swych innych wesołych sprawek, gdy sobie podchmieleł i stawał się udręką dla ogółu, miał zwyczaj ostentacyjnego popisywania się publicznie w ubraniu z papieru pakunkowego (fakt). A potem zwykłe denouement, bo gdy te igraszki stały się zbyt gwałtowne i groźne, po-winęła mu się raz noga i przyjaciele musieli go szybko usunąć gdzieś daleko, po dobitnym ostrzeżeniu danym anonimowo przez inspektora Johna Mallona z Lower Castle Yard, aby nie podpadł pod drugi paragraf poprawki do Ustawy Prawa Kryminalnego, a nazwiska niektórych wezwanych do stawienia się przed sądem zostały zarejestrowane, lecz nie ogłoszone z przyczyn, które są jasne dla każdego, kto ma odrobinę oleju w głowie. Krótko mówiąc, jak dwa razy dwa jest cztery, te liczby sześć szesnaście, których umyślnie nie chciał usłyszeć, Antonio i tak dalej, dżokeje i esteci, i tatuaż, wszystko to było modne w latach siedemdziesiątych albo w okolicach tego okresu, nawet w Izbie Lordów, ponieważ we wczesnej młodości obecnie zasiadający na tronie, a wówczas następca, inni przedstawiciele wyższych dziesięciu tysięcy i inne wysoko postawione osobistości po prostu szli w ślad za głową państwa, zadumał się nad wykroczeniami różnych znakomitości i głów ukoronowanych postępujących sprzecznie z moralnością, jak podczas tej historii w Komwalii przed paroma laty, gdzie pod lśniącą powłoką kryły się sprawy sprzeczne z naturą, które w oczach pani Świętoszki władającej prawem stanowiły rzecz wielce plugawą, lecz nie dlatego, że są oni tacy, jacy są, cokolwiek by tam robili z wyjątkiem głównie kobiet, które zawsze w większym

albo mniejszym stopniu obmacują się wzajemnie, ale przede wszystkim z powodu wszystkich dodatków do nich. Damy, które lubią oryginalną spodnią bieliznę, powinny, a każdy dobrze ubrany mężczyzna musi, usiłować pogłębić tylko przepaść pomiędzy nimi przy pomocy aluzji i tworzy dodatkową prawdziwą podniecie dla nieskromnych uczynków pomiędzy nimi obojgiem, ona jemu odpięła guziki, a on jej rozwiązał, uważaj na szpilkę, podczas gdy dzikus na wyspach ludożerczych, powiedzmy, w temperaturze czterdziestu stopni w cieniu, nie dbają o to w ogóle. A jednak, cofając się do początku, istnieli także inni, którzy o własnych siłach utorowali sobie drogę ku szczytom z najniższych szczybli. Wyłącznie dzięki sile wrodzonego geniuszu. Mózgiem, mój panie.

Dla tej i innych przyczyn poczuł, że jest to ciekawe i nawet jest jego obowiązkiem czekać nadal i skorzystać z nieprzewidzianej sposobności, choć dlaczego miał tak uczynić, tego nie umiałby dokładnie powiedzieć, straciwszy, bo tak rzeczy stały, już kilka szylingów i sam się w rzeczywistości dał nabrać na to. Jednak utrzymywanie znajomości z kimś niezwykłym, kto mógł dostarczyć stawy dla rozmyślań, sownie opłaciłoby każdy niewielki... Podniety intelektualne jako takie od czasu do czasu, jak wyczuwał, stanowiły pierwszorzędną bodziec dla umysłu. Dodać do tego należało przypadkowość tego spotkania, dyskusję, tańce, bójkę, starego wilka morskiego z gatunku tych, którzy dziś są tu, jutro tam, nocnych włóczęgów, całą galaktykę wypadków, wszystko to razem tworzyło miniaturę kameę świata, na którym żyjemy, a szczególnie dlatego że życie tego ułamka żyjącego pod powierzchnią, tj. górników, nurków, czyścicieli kanałów i tak dalej, było ostatnio badane bardzo szczegółowo, jak pod mikroskopem. Aby wykorzystać dogodną chwilę, zastanawiał się, czy mogłoby go spotkać coś zbliżonego do szczęścia pana Philipa Beaufoy, gdyby to spisał. Przypuśćmy, że napisałby coś dotyczącego dnia codziennego (jak to właśnie chciał uczynić) w cenie jednej gwinei za stronę, Moje Doświadczenia, powiedzmy, w schronisku dorożkarza.

Różowe wydanie, nadzwyczajny dodatek sportowy Telegrafu, papier nie umie się rumienić, leżało szczęśliwym trafem tuż obok jego łokcia i gdy zastanawiał się znowu, daleki od zadowolenia, nad krajem, który do niego należał i poprzedzającym to rebusem: statek przybył z Bridgwater, pocztówka zaadresowana była do A. Boudina, zgadnij, ile lat ma kapitan, czy jego przesunęły się bez celu po kolejnych nagłówkach, które stanowiły główny przedmiot jego zainteresowania, wszechobejmujący, prasę naszą powszednią daj nam dzisiaj. W pierwszej chwili odczuł mały wstrząs, ale okazało się, że dotyczy to tylko kogoś o nazwisku H. du Boyes, kto był przedstawicielem maszyn do pisania czy czegoś podobnego. Wielka bitwa Tokio. Miłość po irlandzku 200 funtów szkód. Gordon Bennett. Oszustwo emigracyjne. List Jego Łaskawości Williama f. Ulotka w Ascot przypomina Derby roku 92, gdy fuks kapitana Marshalla Sir Hugo zdobył z wielką przewagą Błękitną Wstęgę. Katastrofa w New Yorku, tysiąc ofiar. Pryszczycza. Pogrzeb zmarłego pana Patricka Dignama.

Więc aby zmienić temat, przeczytał o Dignamie, R.I.P. myśląc, że było to bardzo smutne pożegnanie.

- Dzisiejszego ranka (Hynes musiał to oczywiście zamieścić) szczątki doczesne zmarłego ostatnio pana Patricka Dignama wyprowadzone zostały z miejsca jego

450

zamieszkania pod numerem 9, przy Newbridge Avenue, Sandymount, dla pochowania n- Glasnevin. Zmarły gentleman był w życiu naszego miasta osobistością bardzo znaną i lubianą, a zgon jego, który nastąpił po krótkiej chorobie, stał się wielkim wstrząsem dla obywateli wszystkich klas i pogrążył ich w głębokim żalu. Obrządki pogrzebowe przeprowadzone zostały (na pewno Hynes dostał za to coś od Corny'ego) przez panów H, J. O'Neill & Syn, 164 North Strand Road. W kondukcie obecni byli: Patk. Dignam (syn), Bernard Corrigan (szwagier), John Henry Menton, doradca prawny. Martin Cunningham, John Power eatondph J/8 ador dorador douradora (w tym miejscu musiał wezwać pewnie Monksa, ojca aktualności w sprawie ogłoszenia Klaucza), Thomas Kernan, Simon Dedalus, Stefan Dedalus B. A., Edward J. Lambert, Cornelius Kelieher, Joseph M'C. Hynes, L. Boom, C. P. M'Coy - M'Intosh i wielu innych.

Zirytowany niemało przez L. Boom (jak niedokładnie wydrukowano) i spartaczonym wierszem, lecz równocześnie szalenie rozśmieszony przez C. P. M'Coya i Stefana Dedalusa B. A., którzy, nie trzeba tego dodawać, świecili tam nieobecnością (nie mówiąc już nic o M'Intoshu), L. Boom pokazał to swemu towarzyszowi B. A., zajętemu tłumieniem nowego, na pół nerwowego ziewnięcia, nie zapominając o zwykłym żniwie nonsensownych byków drukarskich.

- Czy to Pierwszy list do Żydów? zapytał, gdy tylko pozwoliła mu na to jego dolna szczęka. Tekst: rozewrzyj pysk twój i włóż weń racicę twoją.

- Tak, zapewne, powiedział pan Bloom (choć początkowo myślał, że tamten robi aluzję do arcybiskupa, póki nie dodał tej przyszczy, z którą nie mógł on mieć żadnego powiązania), ucieszony i uspokojony, gdyż zamieszczenie ogłoszenia u-spokoilo go, lecz nieco oszołomiony, że Myleś Crawford mimo wszystko załatwił tę sprawę.

Gdy tamten czytał stronę drugą. Boom (nadajmy mu chwilowo to nowe błędne nazwisko) poświęcił owych kilka chwil wolnego czasu fragmentarycznemu odczytaniu relacji z trzeciej gonitwy w Ascot, na stronie trzeciej, o nagrodę 1000 suwere-nów, plus 3000 suw. w gotówce dla młodych ogierów i klaczy, 1. Ulotka pana F. Alexandra, gniada klacz pochodząca od ogiera Lotnego, pięciolatka, obciążenie 58 kilogramów, stajnia Thrale, dosiadana przez W. Lane'a, 2. Zinfandel Lorda Howarda de Walden (dżokej M. Cannon), 3. Sceptre pana W. Bassa. Stawiano 5 do 4 na Zinfandela, 20 do 1 na Ulotkę (zewnątrzną). Ulotka i Zinfandel

biegły łeb w łeb. Nie można było przewidzieć wyniku wyścigu, później fuks wyszedł na czoło i uzyskał wielką przewagę, zwyciężając kasztanowatego młodego ogiera lorda Howarda de Walden i gniada klacz pana Bassa Sceptre na dystansie dwu i pół mili. Zwycięski koń był ujeżdżany przez Braine'a, a więc wersja Lenehana w tej sprawie to czyste androny. Zwyciężyła o całą długość. 1000 suw. i 3000 gotówką. Biegł także Maximum II pana J. de Bremonda (francuski koń, o którego dopytywał się uporczywie Bantam Lyons, nie dobiegł on jeszcze, ale spodziewany jest każdej chwili). Różne są sposoby dokonania wyczynu. Odszkodowania miłosne. Ale ten niedopieczony koń Lyonsa nagle zmienił kierunek w swej gorliwości, aby być ostatnim. Oczywiście, hazardzista musiał oddawać się w ręce tego rodzaju przypadków, a jak pokazały wypadki, ten biedny głupiec nie miał po co gratulować sobie swego wyboru, stracone nadzieje. Ostatecznie sprowadzało się to do zgadywania.

451

- Istniały wszelkie przesłanki, że pewnego dnia dojdą do tego, powiedział pan Bloom.

- Kto? powiedział ten drugi, którego, wspomnijmy to mimochodem, bolała ręka.

Pewnego ranka zajrzenie do gazety, powiedział dorożkarz, i przeczytajcie Powrót Parnella. Mógłby się założyć z nimi, o co zechcą. Pewien strzelec du-bliński był tu w schronisku jednej nocy i powiedział, że widział go w Południowej Afryce. Pycha go zabiła. Powinien był popełnić samobójstwo albo przycichnąć na pewien czas po przesłuchaniu w sali 15 Komisji, póki by się znowu nie stał dawnym sobą i nikt nie mógłby go więcej wytykać palcami. Wtedy wszyscy jak jeden człowiek padliby przed nim plackiem, błagając, żeby wrócił, skoro odzyskał już zmysły. Nie umarł, nie. Po prostu zaszył się gdzieś. Trumna, którą przywieźli, była wypełniona kamieniami. Zmienił nazwisko na De Wet i był boerskim generałem. Popełnił błąd walcząc z księżmi. I tak dalej, i tak dalej.

Pomimo wszystko Bloom (prawidłowo teraz nazwany) był raczej zdumiony ich pamięcią, gdyż w dziewięciu wypadkach na dziesięć była ona podobna do beczki z dziegiem i to nie u jednego, lecz u tysięcy, a potem następowało zupełne zapomnienie, gdy przeminęło ze dwadzieścia lat. Wysoce nieprawdopodobne, oczywiście, aby w tych opowiadaniach krył się nawet cień prawdy, ale przypuściwszy, że tak, nawet wówczas powrót byłby wysoce niewskazany, jeśli się wzięło wszystko pod uwagę. Najwyraźniej coś w jego śmierci drażniło ich. Albo zbyt potulnie odwalił kitę na powikłane zapalenie płuc akurat wtedy, kiedy wszystkie jego polityczne zamysły były w przededniu spełnienia, albo wyszło na jaw, że zawdzięczał śmierć lekceważeniu, bo nie zmienił przemoczonych butów i ubrania, i z tego właśnie wywiązało się przeziębienie, a że zaniedbał wezwania specjalisty, pozostał przykuty do swego pokoju, póki w końcu nie umarł pośród ogólnego żalu, nim minęły dwa tygodnie, albo, co było bardzo możliwe, byli oni zasmuceni, dowiedziawszy się, że ta robótka wymknęła im się z rąk. Ponieważ nikt, oczywiście, nie znał jego poruszeń już dawniej, nie było żadnych danych dotyczących miejsc, gdzie mógł się znajdować, a które były

zdecydowanie w rodzaju Alicjo, gdzie jesteś, nawet wówczas, nim zaczął działać pod licznymi pseudonimami, takimi jak Fox albo Stewart, więc uwaga pochodząca od naszego przyjaciela dorożkarza mogła mieścić się w granicach prawdopodobieństwa. Naturalnie, wszystko to musiało go nurtować, jako urodzonego przywódcę, którym zresztą niewątpliwie był, a poza tym posiadał władczą powierzchowność, miał sześć stóp lub co najmniej pięć i dziesięć albo jedenaście cali w samych skarpetkach, podczas gdy panowie Ten-i-Tamten, chociaż nie dorastali tamtemu człowiekowi do pępka, rozsiedli się po nim na grzędzie, mimo że mieli bardzo mało cech dodatnich. Zapewne, było to ilustracją morału: bałwan o glinianych nogach. Dodać jeszcze należało tych siedemdziesięciu dwóch jego zaufanych zwolenników, prowadzących przeciw niemu nagonkę i wzajemnie obrzucających się błotem. Zupełnie tak samo bywa z mordercami. Musisz tam powrócić - przyciąga cię jak gdyby owo nie dające spokoju uczucie - żeby pokazać swemu dublerowi w tytułowej roli, jak ma. Widział go tylko raz i to przy jakże pomyślnej sposobności, gdy przyszli roztrzaskać czcionki w Nieugiętym, a może była to Irlandia Zjednoczona, był to przywilej, którego wspomnienie cenił

452

sobie wysoko, a jeśli chodzi o fakty, to podał mu jego cylinder, który mu strącono, a on powiedział Dziękuję panu, choć był niewątpliwie podniecony, skrywając to pod maską chłodu pomimo tej drobnej niemiłej przygody, jaka przydarzyła mu się pomiędzy ustami a brzegiem pucharu - ale to miał we krwi. Jednak, jeśli chodziło o powrót, musiałbyś mieć wiele szczęścia, żeby nie poszczuli cię terierem natychmiast po ukazaniu się. W dodatku zwykle następowało po tym wiele wahań. 'Tom za, a Dick i Harry przeciw. I pozostawał jeszcze Numer Pierwszy, musiałbyś wystąpić przeciw człowiekowi znajdującemu się u władzy i udowodnić swoją tożsamość jak ten roszczący pretensje w sprawie Tichborne, Roger Charles Tichborne, o ile sobie przypomina, Bella nazywał się ten statek, na którym on, ten spadkobierca, zatonął, jak później udowodniono, a poza tym, był tam jakiś tatuaż wykonany tuszem. Lord Bellew, to on chyba? Mógł bardzo łatwo wyłuskać szczegóły od jakiegoś kumpla na pokładzie statku, a potem, gdy upodobił się do otrzymanego opisu, przedstawił się: Proszę mi wybaczyć, nazwisko moje brzmi: Taki-i-Taki, czy w podobny, zwykły sposób. Bardziej rozsądnym postępowaniem, powiedział pan Bloom do swego sąsiada, niezbyt wylewnego i przypominającego zachowaniem tę sławną osobę, którą właśnie omawiano, byłoby zbadać najpierw teren.

- Ta suka, ta angielska kurwa załatwiła go, wyjaśnił zarządzający meliny. To ona wbiła pierwszy gwóźdź do jego trumny.

- Ale wszystko jedno, fajny kawał baby, powiedział soi-disant archiwariusz miejski Henry Campbell, i przy kości. Widziałem u fryzjera jej portret. Jej mąż był kapitanem albo jakimś oficerem.

- Tak, dodał z rozbawieniem Kozia Skórka. Był, ale bez jaj. Ten dobrowolny przyczynek o humorystycznym charakterze spowodował wiele śmiechu pośród jego entourage. Jeśli chodzi o Blooma, spoglądał on bez cienia uśmiechu w kierunku drzwi i dumiał nad ową historyczną historyjką, która wywołała tyle nadzwyczajnego zaciekawienia w czasie, gdy fakty, co pogorszyło sprawę jeszcze bardziej, zostały podane do wiadomości publicznej wraz ze zwykłymi listami, jakie wymienili, pełnymi słodkich głupstewek. Najpierw było to ściśle platonicz-ne, póki natura nie wtrąciła się i nie nawiązał się pomiędzy nimi stosunek, a później, krok po kroku, sprawy zbliżyły się do punktu kulminacyjnego i rzecz ta dostała się na usta całego miasta, aż wreszcie spadł oszałamiający cios, wieść, którą wielu niechętnych powitało jako bardzo miłą, gdyż byli zdecydowani przyspieszyć jego upadek, choć rzecz cała była publicznie wiadoma od początku, lecz nie w tak sensacyjnych rozmiarach, do jakich się później rozrosła. Ponieważ nazwiska ich zostały połączone, ponieważ on był jej jawnym faworytem, dlaczego miała jeszcze istnieć konieczność ogłaszania o tym wszem wobec i każdemu z osobna z dachów, to znaczy, nazywając fakty po imieniu, o tym, że dzielił on jej łóżko, co zostało ujawnione na ławie świadków pod przysięgą, a zapchana ludźmi sala sądowa zamarała i dosłownie, jak gdyby prąd elektryczny przebiegł przez wszystkich, gdy świadkowie zeznawali, przysięgając, że widzieli tego to i tego dokładnie dnia, gdy schodził po drabinie z mieszkania znajdującego się na piętrze, ubrany w strój nocny, a przedtem wszedł tam w ten sam sposób, a na fakcie tym tygodniki poświęcone sprośnościom zarobiły po prostu stosy pieniędzy. Podczas gdy zwykła prawda wyglądała tak, że była to po prostu sprawa męża nie nadającego się do rzeczy,

453

więc oboje nie mieli z sobą nic wspólnego poza nazwiskiem, a potem pojawił się na scenie prawdziwy mężczyzna, silny aż do granic słabości, padł ofiarą jej syrenich czarów i zapomniał o więzach domowych. Stara to piosenka pławić się w uśmiechach ukochanej osoby. Nie trzeba dodawać, że wyskoczyła przy tym wiekuista kwestia pożycia małżeńskiego. Czy prawdziwa miłość, przypuściwszy, że pojawi się inny facet, może istnieć pomiędzy małżonkami. Choć to absolutnie nie była ich rzecz, że spoglądał na nią z uczuciem i dał się porwać przyptłowowi szaleństwa. W rzeczy samej był on wspaniałym okazem mężczyzny, a spotęgowane to było najwyraźniej także i darami wyższego rzędu, to znaczy, gdy się go porównywało z tym drugim, wojskowym nadliczbowym (który był tylko tym zwykłym, codziennym żegnaj, mój dzielny kapitanie typem indywidualności w lekkich dragonach, 18 pułku huzarów, żeby być ścisłym), i niewątpliwie miał płomienny temperament (to znaczy zmarły przywódca, nie tamten drugi) na swój specjalny sposób, co ona, oczywiście, będąc kobietą, spostrzegła od pierwszego rzutu oka i zrozumiała, że ma on wiele możliwości, by utorować sobie drogę do sławy, co mu się niemal udało, lecz księża i pastrowie jak jeden mąż, dawniej będący jego zagorzałymi zwolennikami, a także ukochani jego wysiedleni dzierżawcy, dla których był mężem opatrnościowym w wiejskich okręgach kraju, krusząc w

ich obronie kopie w sposób, który przekraczał ich najszczerze oczekiwania, upiekli mu jego weselną gąskę, wysypując mu przy okazji rozpalone węgle na głowę w sposób bardzo podobny do owego wierzgnięcia osła z bajki. Gdy spoglądało się na to teraz, jak gdyby w układzie retrospektywnym, wszystko wydawało się snem. A powrót był najgorszą z rzeczy, jaką można było uczynić, ponieważ rozumie się samo przez się, że człowiek czuje się wówczas nie na miejscu, gdyż rzeczy zawsze zmieniają się z upływem czasu. Przecież, zastanowił się, Irishtown Strand, miejscowość, w której nie był przez ładnych parę lat, wyglądała teraz jakoś inaczej, odkąd przeniósł się na północny brzeg. Ale północny czy południowy, był to zawsze ten sam dobrze znany przypadek gorącej namiętności, czystej i prostej, która rozwiązywała worek z wichrami zemsty, i to było dowodem na to, co właśnie mówił, ponieważ ona była też Hiszpanką, zdaje się nawet też w połowie, i należała do typów, które niczego nie robią połowicznie, południowe rzucanie się w wir namiętności, odrzucanie na wiatr najmniejszego żdźbła skromności.

- To właśnie jest dowód na to, o czym mówiłem, powiedział do Stefana, czując ogień w piersi. I jeśli się bardzo nie mylę, ona także była Hiszpanką.

- Córką hiszpańskiego króla, odpowiedział Stefan, dodając jeszcze coś niewyraźnego o żegnajcie mi i adieu hiszpańskie cebule, i że pierwszy ląd nazwano Martwym Człowiekiem, i że z Ramhead do Scilly jest tyle to a tyle...

- Czy była naprawdę? wykrzyknął zdumiony, choć w żadnym wypadku nie zadziwiony Bloom. Nigdy nie słyszałem o tej pogłosce. To możliwe, szczególnie dlatego że mieszkała tam. Tak, w Hiszpanii.

Starając się nie dotykać książki w kieszeni, Słodczy Grze, która przypomniała mu mimochodem o tej przedatowanej książce z biblioteki przy Capel Street, wyjął notes i przewróciwszy pospiesznie jego zawartość, w końcu...

- Czy sądzi pan, jeśli już o tym mowa, powiedział, uważnie wybrawszy wypłowiałą fotografię, którą położył na stole, że posiada ona hiszpański typ?

454

Stefan, do którego było to najwyraźniej adresowane, spuścił oczy ku fotografii ukazującej damę o wielkich proporcjach i mięsistych wdziękach, ukazanych w sposób dość otwarty, jako że była ona w pełnym rozkwicie swej kobiecości, ubrana w wieczorową suknię, ostentacyjnie nisko wyciętą na tę okazję, aby swobodnie ukazać dekolt i więcej niż wyobrażenie piersi; widać było pełne rozchylone wargi i piękne zęby, a stała z upozowaną godnością w pobliżu pianina, na którego pulpicie leżała ballada W starym Madrycie, ładna na swój sposób, a wówczas była najmodniejsza. Jej (tej damy) oczy, ciemne, wielkie, spoglądały na Stefana, gotowe do uśmiechu ku czemuś, co będzie podziwiane, Lafayette z

Westmore-land Street, najpierwszy dubliński artysta fotograf, był odpowiedzialny za estetykę wykonania.

- Pani Bloom, moja żona, prima donna Madam Marion Tweedy, objaśnił Bloom. Wykonane kilka lat temu. W roku 96 albo mniej więcej w tym czasie. Bardzo podobne do niej, takiej jaką wtedy była.

Siedząc obok młodego człowieka, także spoglądał na fotografię damy, będącej teraz jego ślubną małżonką, która, jak napomknął, była uzdolnioną córką majora Briana Tweedy i wykazała już w bardzo młodym wieku godną uwagi biegłość jako śpiewaczka, złożyłwszy pierwszy ukłon publiczności, gdy liczba jej lat wynosiła zaledwie słodkich szesnaście. Jeśli chodzi o twarz, to jest tu ona uderzająco podobna w wyrazie, lecz fotografia nie oddaje sprawiedliwości jej figurze, która zwykle budzi wiele zainteresowania, a w tym stroju nie wyszła najkorzystniej. Mogłaby bez trudu pozować w pełnej gali, nie zagłębiając się zbytnio w pewne wypukłe okągłości... Zagłębiał się, będąc sam trochę artystą w wolnych chwilach, w problemy kobiecego kształtu i ogólnego rozwoju, ponieważ tak się złożyło, że nie dalej niż ostatniego popołudnia oglądał te greckie posągi, doskonale rozwinięte dzieła sztuki, w Muzeum Narodowym. Marmur mógł oddać oryginał, ramiona, plecy, całą tę symetnię. A cała reszta, no cóż, purytanizm. Oddaje, rzeczywiście, a św. Józefa niezastąpione... podczas gdy żadna fotografia nie może, bo po prostu nie jest dziełem sztuki, mówiąc jednym słowem.

Poruszony własnymi słowami, bardzo chciał pójść za dobrym przykładem żeglarza nad żeglarze i pozostawić tę podobiznę na kilka minut, aby przemówiła sama w swoim imieniu, pod pretekstem, że... tak aby tamten mógł spijać jej urodę w samotności, gdyż jej wygląd na scenie był, mówiąc szczerze, sam w sobie czymś zachwycającym, któremu aparat fotograficzny nie mógł w ogóle oddać sprawiedliwości. Ale nie było to zbytnio zgodne z zawodową etykietą, więc, choć była to dość pogodna i miła noc, a jednak zadziwiająco chłodna, zważywszy porę roku, gdyż słońce po burzy... I naprawdę odczuwał pewną potrzebę, aby natychmiast pójść w ślady żeglarza za wezwaniem czegoś w rodzaju wewnętrznego głosu i zaspokoić ewentualną potrzebę przy pomocy wprowadzenia się w ruch. Pomimo to siedział bez ruchu, przyglądając się lekko przybrudzonej fotografii, nieco pomiętej w miejscu, gdzie widoczne były wypukłe okągłości, nie gorsze przecież dzięki temu, i odwrócił zamyślane spojrzenie, aby nie powiększać możliwego zaambarasowania tamtego w czasie studiowania symetrii jej falującego embonpoint. Prawdę mówiąc, lekkie przybrudzenie było tylko dodatkowym czarem, jak w wypadku lekko przybrudzonej bielizny, dobrej jak nowa, o wiele lepszej, prawdę mówiąc, kiedy nie było w niej już krochmalu. Przypuśćmy, że ona wyszła, kiedy on...? Szukałem tej lampy,

o której mówiła mi, że przyszła mu na myśl, lecz tylko jako przelotna zachcianka, ponieważ, a potem wspomniał o porannym skotłowanym łóżku i o książce o Ruby, zawierającej mnie

tam psy chodzą (sic), która musiała spaść dostatecznie stosownie tuż przy rodzinnym nocniku z przeproszeniem Lindleya Murraya.

Cieszyło go na pewno sąsiedztwo tego młodego człowieka, wykształconego, distingue, a na dodatek impulsywnego, zdecydowanie wyżej stojącego niż inni, choć nie przypuszczałbyś, że ma to w sobie... a jednak byś przypuszczał. Poza tym powiedział, że podobizna jest ładna, co, cokolwiek by się mówiło, było prawdą, choć w tej chwili była ona nieco tęższa. I czemu nie? Straszna ilość udawania otaczała tę sprawę, wplatając w to dożywotnią hańbę i zwykłą szpaltę sensacji w gazetach o ciągle tych samych matrymonialnych powikłaniach i z zarzutami złego prowadzenia się z zawodowym graczem w golfa albo ulubionym ostatnio aktorem teatralnym, zamiast zachowywać uczciwość i otwartość w tej całej sprawie. Jak przeznaczone im się było spotkać i jak wywiązała się pomiędzy nimi dwójgim zażyłość, tak że nazwiska ich były publicznie wymawiane razem, przedstawiono w sądzie wraz z listami zawierającymi zwykle cikliwe bzdury i kompromitujące określenia, nie pozostawiające żadnej możliwości wykrętów, aby okazać, że otwarcie zamieszkiwali razem, dwa lub trzy razy w tygodniu, w jakimś dobrze znanym nadmorskim hotelu, a stosunki pomiędzy nimi w ramach zwykłego przebiegu spraw stały się po pewnym czasie intymne. Potem warunkowy wyrok rozwodowy, a Pełnomocnik Korony ma udowodnić, dlaczego nie, a ponieważ nie udaje mu się, warunkowy staje się ostatecznym. Lecz jeśli o to chodziło, tych dwoje popełniających wykroczenie, jak zwykle zajętych prawie wyłącznie sobą, mogło bezpiecznie zdobyć się na ignorowanie tego, jak to zwykle zresztą miało miejsce, póki nie oddano sprawy w ręce doradcy prawnego, który w odpowiednim czasie wypełniał pozew w imieniu strony pokrzywdzonej. Jego, Blooma, spotkało radosne wyróżnienie, kiedy znalazł się tuż obok nie koronowanego króla Erynu we własnej osobie, gdy ta rzecz się wydarzyła w czasie historycznego fracas, kiedy zaufani poplecznicy upadłego wodza - który znany był z tego, że stał przy swoim do ostatka, nawet gdy odziano go w szatę cudzołóstwa - (wodza) w liczbie dziesięciu lub dwunastu albo może było ich nawet więcej wtargnęli do drukarni Nieugiętego, albo nie, to była Zjednoczona Irlandia (co nie było w żadnym wypadku, mówiąc nawiasem, stosowną nazwą), i rozbili kaszty z czcionkami z pomocą młotków czy czegoś w tym rodzaju z powodu obelżywych wypo-cin owych układnych piór pismaków o'Briena przy okazji obrzucania błotem prywatnej moralności byłego trybuna. Choć najwyraźniej był to radykalnie odmieniony człowiek, jednak nadal pozostała mu władcza powierzchowność, a mimo że ubrany jak zwykle niedbale, wywoływał wrażenie osoby zdecydowanej dążącej do celu, co docierało do głębi dusz tych wiecznie wahających się, zanim dostrzegli, ku swemu wielkiemu pomieszaniu, ustawivszy go uprzednio na piedestale, że ich bóstwo ma nogi z gliny, co jednak ona pierwsza pojęła. A że były to wyjątkowo gorące czasy i panował ogólny bałagan, Bloom doznał niewielkiego obrażenia po paskudnym potrąceniu łokciem przez jakiegoś faceta w tłumie, który oczywiście się zgromadził, potrąceniu ułożonym mniej więcej w okolicy żołądka, na szczęście o niezbyt groźnym charakterze. Jego kapelusz (Parnella) został mu nierozmyślnie strącony z głowy, i co należy wyłącznie

do historii, Bloom był człowiekiem, który go podniósł w ścisku, chcąc mu go oddać (i oddał mu go z największą skwapliwością), a on, z gołą głową, zdyszany i odległy w tej chwili myślami o całe mile od tego kapelusza, będąc urodzonym gentlemanem, mającym na względzie dobro kraju, on, który poszedł na to wszystko bardziej dla rozgłosu tej rzeczy niż dla czegokolwiek innego, miał to we krwi, wpojone w dzieciństwie na kolanach matki w formie świadomości tego, czym jest dobre wychowanie, i wyszło to z niego od razu, ponieważ odwrócił się do oddawcy i podziękował mu z doskonałą aplomb, mówiąc Dziękuję panu, choć zupełnie innym tonem niż ozdoba profesji prawniczej, której nakryciu głowy Bloom także przywrócił właściwy wygląd dziś przed południem, historia powtórzyła się z pewną różnicą; po pogrzebie wspólnego przyjaciela, gdy pozostawili go już samego w pełni chwały po posępnym obowiązku złożenia szczątków do grobu.

Z drugiej strony, złościły go w duchu wrzaskliwe dowcipy dorożkarzy i tych innych, którzy zamieniali to wszystko w żart, śmiejąc się niepohamowanie, udając, że rozumieją wszystko, owo dlaczego i owo po co, a w rzeczywistości nie wiedząc nawet, czego chcą, gdyż była to sprawa wyłącznie tych obojga osób, chyba że okazałoby się, że jej prawowity małżonek miał też w tym udział dzięki anonimowemu listowi jakiegoś zwykłego Jasia, który przypadkiem napotkał ich w kulminacyjnym momencie i w pozycji miłosnej, splecionych z sobą ramionami, i chciał skierować uwagę na ich występne poczynania i doprowadzić do awantury domowej i do tego, żeby zbłąkana piękność na kolanach błagała swego pana i władcę o przebaczenie i przyrzekła zerwać ten związek i nie przyjmować już więcej jego wizyt, jeśli tylko pokrzywdzony mąż spojrzy na tę sprawę przez palce i pozwoli, aby to, co minęło, minęło; ze łzami w oczach, choć najprawdopodobniej przymrużając jedno z nich w tym samym czasie, ponieważ miała zapewne jeszcze paru innych. On, należąc osobiście do ludzi sceptycznie nastawionych, wierzył i, mówiąc o tym, bynajmniej nie starał się owijać tego w bawełnę, że mężczyzna lub mężczyźni w liczbie mnogiej zawsze znajdowali się na liście kandydatów wokół pięknej damy, nawet jeśli założy się dla dobra argumentacji, że była ona najlepszą żoną w świecie i że żyła w pełnej zgodzie z mężem, czekając chwili, gdy zaniedba ona swych obowiązków, osądzi, że jest znużona życiem małżeńskim, i zechce znaleźć nieco podniecenia w wytwornej rozpuście, po to, aby nadszkakiwać jej wówczas w nieskromnych zamiarach i aby w ostatecznym wyniku uczucia jej pobiegły ku innemu, co stało się przyczyną wielu liaisons pomiędzy nadal pociągającymi zamężnymi kobietami, zbliżającymi się do czterdziestki, a młodszymi niż one mężczyznami; potwierdza to bez żadnej wątpliwości wiele głośnych wypadków kobiecego zaślepienia.

Po tysiącokroć żałować należało, że młody człowiek, pobłogosławiony taką ilością rozumu, jak to najwyraźniej miało miejsce w wypadku jego sąsiada, mógł trwonić swój cenny czas z rozwiązłymi kobietami, które mogły mu pozostawić prezent w postaci trwającej do końca życia. Jeśli w grę wchodzi pozostawanie w stanie błogosławionej bezzenności, to weźmie on

sobie pewnego dnia żonę, gdy pani Właściwa ukaże się na scenie, ale w interim towarzystwo dam było *conditio sine qua non*, choć żywił jak najpoważniejsze wątpliwości, nie aby chciał w jakikolwiek sposób wybadać Stefana o Pannę Ferguson (będącą najprawdopodobniej tą właśnie gwiazdą przewodnią, która sprowadziła go do Irishtown o tak wczesnej godzinie

457

poranka), lecz pragnąc dowiedzieć się, czy mógłby znaleźć wiele upodobania pławiąc się w idei chłopca zalecającego się do dziewczyny lub w towarzystwie chichoczących afektowanie panienek, nie mających pensa przy nazwisku, dwa lub trzy razy tygodniowo, z koniecznością wstępnego, jakże zwykłego, recytowania komplementów i wspólnych spacerów, co prowadziło do ckliwych afektów miłosnych, kwiatów i czekoladek. Myśl, że mógłby on, bezdomny i pozbawiony rodziny, być obdzieranym ze skóry przez jakąś odnajmującą pokoje gospodynię, gorszą niż jakakolwiek macocha, była naprawdę niedopuszczalna, zważywszy jego wiek. Dziwne rzeczy, które niespodziewanie wyskakiwały z jego umysłu, pociągały starszego mężczyznę, który, mając kilkanaście lat więcej niż on, mógł być niemal jego ojcem. Ale coś treściwego na pewno powinien zjeść, choćby grzane piwo z jajkiem ubitym na nie zafałszowanym pokarmie macierzyńskim albo jeśli nie to, to po prostu gotowane swojskie jajko, mądrzejsze od kury.

- O której godzinie jadł pan obiad? zapytał smukłą sylwetkę i zmęczoną, choć nie pomarszczoną twarz.

- O którejś wczoraj, powiedział Stefan.

- Wczoraj, wykrzyknął Bloom, lecz przypomniał sobie, że jest już jutro, piątek. Ach, ma pan na myśli, że jest już po północy!

- W takim razie przedwczoraj, powiedział Stefan, poprawiając się. Dosłownie oniemiały po usłyszeniu tej wieści, Bloom zastanowił się. Choć nie patrzyli na wszystko tymi samymi oczyma, jednak jakaś analogia z pewnością istniała, jak gdyby oba ich umysły, jeżeli wolno było tak się wyrazić, wędrowały w tym samym kierunku. Będąc w jego wieku, gdy bawił się w politykę, mniej więcej dwadzieścia lat temu, i gdy quasi aspirował do godności posła w parlamencie za dni Buckshot Fostera, miał także, jak to sobie teraz przypominał w retrospekcji (a było to dla niego źródłem żywego zadowolenia), potajemny szacunek dla podobnie skrajnych poglądów. Na przykład gdy kwestia usuniętych dzierżawców, która wówczas była jeszcze w powijakach, nabrała wielkiego znaczenia w umysłach ludzkich, on, choć nie trzeba chyba dodawać, że nie ofiarował na nią nawet miedziaka ani nie zaufała ślepo jej założeniom, gdyż niektóre z nich nie wytrzymałyby próby życia, jednak ogólnie rzecz biorąc, na początku w każdym razie, żywił głęboką sympatię do sprawy uwłaszczenia chłopów, wypowiadając się w duchu nowoczesnych poglądów, ale ze skłonności tej jednak, zdawszy sobie sprawę ze swego błędu, wyleczył się później częściowo, a nawet robiono mu

zarzuty, że posunął się o krok dalej niż Michael Davitt w swych uderzających poglądach, które ongi wpajał zachwalając swój narolępowrócizm, było to jedną z przyczyn, dla których tak mocno oburzyły go insynuacje tak bezczelnie skierowane przeciw niemu na zebraniu klanów u Barney Kiernana, dzięki czemu on, choć często w wielkiej mierze źle rozumiany i najmniej wojowniczy z wszystkich śmiertelnych, trzeba to powtórzyć, porzucił swe zasady po to, żeby dać temu drugiemu (metaforycznie) raz w gębę, choć o ile sprawy dotyczyły się polityki, był aż nazbyt świadom, jakie nieodwracalne szkody przynoszą wysoki propagandowe i objawienie wzajemnej niechęci i jakie nieszczęścia i cierpienia oczekują jako ostateczny skutek tego wszystkiego wspaniałych młodych ludzi przeważnie, zagłada najlepszych, jednym słowem.

Bądź co bądź, rozważywszy wszystkie za i przeciw, a biorąc pod uwagę, że

458

zbliżała się pierwsza, był już najwyższy czas wycofać się na noc. Trudność polegała na tym, że było nieco ryzykowne zabierać go z sobą do domu, gdyż mogły nastąpić pewne ewentualności (ponieważ był tam ktoś, kto czasem nie umiał trzymać na wodzy swoich humorów) i nastałoby piekło na ziemi jak owej nocy, gdy tak niefortunnie sprowadził do domu psa (nieokreślonej rasy) okulałego na jedną łapę, nie żeby te dwa wypadki były identyczne lub odwrotne, choć także skaleczył się wtedy w rękę, przy Ontario Terrace to było, jak bardzo wyraźnie sobie przypominał, mając się na baczności, jeśli się wolno tak wyrazić. Z drugiej strony, było już w ogóle za daleko i za późno, żeby mu zaproponować Sandymount czy Sandycove, tak że był w rozterce, którą z dwu alternatyw... Wszystko wskazywało na to, że wypadało mu wyciągnąć pełną korzyść z tej okazji, kiedy się wzięło wszystko pod uwagę. Jego pierwsze wrażenie powiedziało mu, że jest nieco nieprzystępny i niezbyt wylewny, lecz na swój sposób wywoływało to w nim podziw. Jedno tylko, że mógłby nie podskoczyć z radości, gdyby mu to zaproponować, a co go najbadziej trapiło to fakt, że nie wiedział, jak się do tego zabrać i wyrazić to dokładnie słowami, ale przypuśćmy, że propozycja ta odpowiadałaby mu, wówczas byłoby to dla niego największą przyjemnością, gdyby mu pozwolił użyć sobie nieco pieniędzy albo trochę garderoby, gdyby znalazło się dla niego coś odpowiedniego. Na wszelki wypadek zakończył propozycję, rezygnując chwilowo z uprzednich uściśleń, filiżanki kakao Eppsa i prowizorycznego pośłania na tę noc plus używalność koca albo dwóch i zimowego płaszcza złożonego na pół w charakterze poduszki. Znajdzie się przynajmniej w bezpiecznym miejscu i będzie mu ciepłutko jak u Pana Boga za piecem. Nie dostrzegł w tym wielkiego uszczerbku, oczywiście pod warunkiem, że nie wybuchnie żadna awantura. Trzeba było się ruszyć, ponieważ ta wesoła duszyczka słomiany wdowiec, o którym była już mowa, wydawał się przyklejony do swego miejsca i nie sprawiał wrażenia, że się spieszy do domu w swym ukochanym Queenstown, a najprawdopodobniej u jakiejś burdelmamy w domu publicznym pośród trzymanyh w odosobnieniu piękności opodal Sheriff Street Lower będzie można najłatwiej odnaleźć ową

dwuznaczną osobistość w ciągu najbliższych kilku dni, gdy na zmianę będzie podniecał je (te syreny) sześciostrzałowymi opowiadkami na granicy wytrzymałości ludzkiej i skalkulowanymi po to, żeby zmrozić szpik w kościach a w przerwach będzie miętosił ich obfite wdzięki, tłamsząc je i miotając nimi z werwą, obficie zakrapiając to samogonem przy zwykłym akompaniamencie samochwalstwa na temat, kim to on w rzeczywistości jest, niechaj XX zastąpi mój prawdziwy adres i nazwisko, jak pan Algebra zauważa passim. W tym samym czasie chichotał skrycie na myśl o ciętej odpowiedzi, którą dał bojownikowi o ciało i krew Pańską, że jego Bóg jest żydem. Ludzie mogli się zgodzić z tym, że ugryzie ich wilk, ale naprawdę to wściekało ich ukąszenie owcy. Był to najczulszy punkt tego ściągna Achilleśowego, twój Bóg był żydem, ponieważ jak się wydaje, przeważnie wyobrażają oni sobie, że pochodził on z Carrick-on-Shannon albo gdzieś z hrabstwa Sligo.

- Proponuję, poddał wreszcie nasz bohater po dojrzałym namyśle, wsuwając przy tym roztropnie do kieszeni jej fotografię, że ponieważ jest tu dosyć duszno, powinien pan pójść ze mną i omówić te sprawy. Moje pielesze są bardzo blisko stąd w sąsiedztwie. Nie może pan pić tego. Proszę zaczekać, zapłacę tylko za to.

Najlepszym wyjściem, które wynikało z tych rozważań, było wyjście stąd,

459

a dalej już wiatr sam wpadnie w żagle, skinął ręką, wsuwając przy tym roztropnie do kieszeni fotografię, do zarządzającego tej budy, który zdawał się nie...

- Tak, to będzie najlepsze, zapewnił Stefana, dla którego, jeśli o to chodzi, czy to będzie w Brazen Head, u niego, czy gdzie indziej, było mniej lub więcej...

Najrozmaitsze utopijne plany rozbłyskiwały w jego (Blooma) pracowitym mózgu. Wykształcenie (jakość gwarantowana), literatura, dziennikarstwo, konkursowe perełki, kompetentna, aktualna reklama, uzdrowiska wodolecznicze i objazdy koncertowe angielskich kąpielisk naszpikowanych salami teatralnymi, wszystkie miejsca wyprzedane, duety po włosku z wymową absolutnie jak w oryginale i wielka ilość innych rzeczy, nie ma oczywiście potrzeby włączyć na dach i ogłaszać tej odrobiny szczęśliwego zbiegu okoliczności całemu światu i żonie. Potrzebny był tylko punkt zaczepienia. Gdyż więcej niż podejrzewał, że posiada on głos swego ojca, na którym mógłby oprzeć swe nadzieje, a wszystko wróżyło, że tak jest w istocie, więc byłoby równie dobrze i nie przyniosłoby żadnej szkody, gdyby skierować rozmowę na inny tor, właśnie w tym kierunku, żeby po prostu...

Dorożkarz odczytał z pisma, do którego się przypiął, że były vice-król hrabia Cadogan prezydował podczas obiadu stowarzyszenia dorożkarzy gdzieś w Londynie. Milczenie i jedno czy dwa ziewnięcia towarzyszyły tej podniecającej wiadomości. Później ten stary okaz w kącie, któremu, jak się zdawało, pozostała jeszcze isierka żywotności, odczytał, że sir

Anthony MacDon-nel opuścił Euston, obejmując stanowisko generalnego sekretarza, czy też słowa o podobnym znaczeniu. Tej zajmującej nowinie echo odpowiedziało dłaczego.

- Dajcie nam zerknąć do tej literatury, dziadku, powiedział odwieczny żeglarz, okazując nieco wrodzonej niecierpliwości.

- Na zdrowie, odpowiedział staruszek, do którego się w ten sposób zwrócono. Marynarz wyrwał z futerału zielone okulary, które bardzo powoli założył na nos i za uszy.

- Źle pan widzi? zapytała sympatyczna osobistość o wyglądzie archiwariusza miejskiego.

- No, odpowiedział wędrowiec mórz o tartanowej brodzie, który wyraźnie był po trosze literatem na swój mały sposób, wyglądając na zewnątrz spoza swoich zielonych iluminatorów, jak mógłby je łatwo określić, używam se okularów do czytania. Piasek na Morzu Czerwonym mi to zrobił. Był czas, że mogłem czytać książkę po ciemku, jak się to mówi. Bajki z Tysiąca i Jednej Nocy, to mi się najlepiej podobało, i Czerwoną Jak Róża Jest Ona.

Po czym rozpostarł gazetę pazurami i runął na Bóg jeden wie co, znalezione go topielca czy też na wyczyny Króla K-rykieta, Iremonger z drużyny hrabstwa Notts zarobił sto z czymś punktów, bez wytrącenia drugiego palika, a podczas tego zarządzający (nie dbając zupełnie o Ire) był bardzo zajęty obluzowywaniem sznurowadła w zapewne nowym lub kupionym z drugiej ręki bucie, który najwyraźniej go uciskał, gdyż mamrotał do siebie przeciw człowiekowi, który mu go sprzedał, kimkolwiek on był, podczas gdy pozostali, ci nadal jeszcze niedostatecznie uśpieni, tak że można było ich ocenić po układzie rysów, albo przyglądali mu się po prostu, albo skwitowali to obojętną uwagą.

Żeby skrócić tę przydługą opowieść, Bloom po zlustrowaniu jednym rzutem oka

460

całej sytuacji pierwszy uniósł się z miejsca, aby nie przedłużać pobytu ponad stosowną miarę, lecz najpierw i przede wszystkim dotrzymując obietnicy, że wyrówna rachunek, przedsięwziął roztropnie środki ostrożności i niepostrzeżenie skinął na zarządzającego, dając mu na pożegnanie ledwie dostrzegalny znak, gdy inni tego nie widzieli, a wskutek tego pojawił się rachunek, wynoszący imponującą sumę czterech pensów (którą to sumę złożył niepostrzeżenie w formie czterech miedziaków, dosłownie ostatnich Mohikanów), gdyż przedtem dostrzegł w drukowanym cenniku, wiszącym naprzeciw dla wszystkich, którzy, przybywszy, pragnęliby go odczytać, wypisane wyraźne cyfry, kawa z pensy, wyroby cukiernicze ditto, tym razem godne po dwakroć swej ceny, jak czasem powiadał Wetherup.

- Chodźmy, poradził, żeby zakończyć seance.

Widząc, że podstęp poskutkował i droga była wolna, opuścili schronisko albo raczej budę oraz elitę złożoną z sudwestki i towarzyszy, których nic poniżej trzęsienia ziemi nie mogłoby wyrwać z ich dolcefar niente. Stefan, który zwierzył się, że nadal czuje się nędznie i jest wyczerpany, zatrzymał się przy, na chwilę.. drzwiach, do...

- Jednego nigdy nie mogłem zrozumieć, powiedział pod wpływem nagłego impulsu, żeby wydać się oryginalnym, dlaczego stawiają nocą stoliki do góry nogami, to znaczy, chcę powiedzieć, krzesła do góry nogami i stawiają je na stolikach w kawiarniach.

Na to impromptu niezawodny Bloom odparł bez chwili wahania, mówiąc natychmiast:

- Żeby zamieść rano podłogę.

Mówiąc to, obszedł go zręcznie, zamierzając otwarcie, a równocześnie przepaszając za to, znaleźć się po prawej stronie swego towarzysza, mówiąc nawiasem, był to jego nawyk, to znajdowanie się po prawej stronie, a według klasycznego idiomu:

jego ścięgno Achillesowe. Powietrze nocne stało się teraz prawdziwą ucztą dla płuc, choć Stefan trzymał się trochę słabo na nogach.

- Dobrze panu to (powietrze) robi, powiedział Bloom, mając na myśli równocześnie także i przechadzkę za chwilę. Trzeba tylko iść, a potem poczuje się pan zupełnie innym człowiekiem. To niedaleko. Proszę się wesprzeć na mnie.

W związku z tym wsunął swe lewe ramię pod prawe Stefana i poprowadził go w związku z tym.

- Tak, powiedział niepewnie Stefan, ponieważ pomyślał, że odczuwa dziwne ciało obcego człowieka, które dotykało go, nie umięśnione, galaretowate trochę i tak dalej.

Tak czy owak, minęli budkę strażniczą z jej kamieniami, koszem z koksem etc., gdzie miejski dorywczy pracownik, ex-Gumley, był nadal całkowicie i niepodzielnie pogrążony w objęciach Murphy'ego, jak powiada przypowieść, śniąc o młodych łąkach i świeżych pastwiskach. A apropos trumny wypełnionej kamieniami, porównanie nie było takie najgorsze, gdyż było to w rzeczywistości ukamienowanie przez tych siedemdziesiąt dwa czy też osiemdziesiąt kilka okręgów wyborczych, które zdradziły w chwili rozłamu, a głównie owa wychwalana klasa chłopska, najprawdopodobniej byli to ci sami usunięci dzierżawcy, których osadził na powrót na ich

ziemi.

Więc przeszli do pogwarki o muzyce, formie sztuki, którą Bloom, jako czysty amator, ukochał najbardziej, gdy tak stąpali pod ramię przez Beresford Place. Muzyka Wagnera, choć na pewno potężna na swój sposób, trzeba przyznać, była nieco przyciężka dla Blooma i trudna od razu do uchwycenia, ale muzyka Hugono-tów Mercandantego, Siedmiu ostatnich stów na Krzyżu Meyerbeera i Dwunastej Mszy Mozarta była dla niego po prostu upojeniem, a Gloria w niej była według niego szczytem pierwszorzędnej muzyki jako takiej i wszystko inne dosłownie zapędzała w kozi róg. Nieskończenie przekładał sakralną muzykę Kościoła katolickiego ponad wszystko, co konkurencyjna firma mogła zaoferować w tej dziedzinie, jak na przykład te hymny Moody'ego i Sankeya albo Pozwól mi żyć, bym protestantem Twym mógł być. Nie ustępował także nikomu w podziwie dla Stabat Mater Rossi-niego, dzieła po prostu obfitującego w nieśmiertelne fragmenty, które w wykonaniu żony jego, Madam Marion Tweedy, stało się szlagierem, prawdziwą sensacją, może to powiedzieć bez obawy, i przysporzyło jej nowych laurów w kościele Ojców Jezuitów przy Upper Gardiner Street, odsuwając innych zupełnie w cień, a świątynia była zatłoczona aż po drzwi wyjściowe wirtuozami lub raczej yirtuosi, przybyłymi, aby ją usłyszeć. Panowała jednogłośna opinia, że nikt się z nią nie mógł równać, i wystarczy, jeśli powie się, że działo się to w miejscu poświęconym i że muzyka miała sakralny charakter, a przecież ogólnie domagano się bisowania. Biorąc pod uwagę całokształt, choć najbardziej cenił sobie i stawiał przed innymi lekkie opery w rodzaju Don Giovanniego i Marty, będącej klejnotem w swej dziedzinie, to jednak miał penchant, choć połączoną tylko z powierzchowną znajomością przedmiotu, dla ściślej szkoły klasycznej, dla Mendelssohna na przykład. A skoro już o tym mowa, przyjmując za pewnik, że zna wszystkie te stare ulubione arie, wspomniał par excellence arię Lionella z Marty, M'appari, którą dziwnym zbiegiem okoliczności słyszał lub podsłuchiwał, żeby być bardziej ściśłym, wczoraj, przywilej, który wysoko cenił, z warg szanownego ojca Stefana, odśpiewaną z absolutną doskonałością wykonania, po prostu studium tego kawałka, które spychało wszystkich pozostałych daleko wstecz. Stefan w odpowiedzi na uprzejmie zadane pytanie powiedział, że nie słyszał, i zaczął wychwalać piosenki Shakespeare'a, a przynajmniej z jego lub z nieco późniejszego okresu, lutnistę Dowlanda, który mieszkał przy Fetter Lane w pobliżu Gerarda zielarza i który anno ludendo hausi, Doulandus, zastanawiał się nad zakupem instrumentu od pana Arnolda Dolmetscha, którego Bloom nie bardzo sobie przypominał, choć nazwisko z pewnością wydawało mu się znajome, za sześćdziesiąt pięć gwinei, oraz Farnaby'ego i syna, z ich dux i comes concetti i Byrda (William), który grywał na wirginalu, powiedział, w kaplicy królowej i wszędzie, gdzie tylko nań natrafił, i pewnego Tomkinsa, który komponował drobne utwory i piosenki, i Johna Bulla.

Na jezdni, do której się zbliżali, nadal rozmawiając, za przegrodą z wiszących łańcuchów, koń ciągnący ruchomą wycieraczkę uliczną stąpał po wybrukowanej nawierzchni, przesuwając długie pasmo błota tak, że pośród hałasu wywołanego tym Bloom nie był zupełnie pewien, czy dobrze uchwycił aluzję o sześćdziesięciu pięciu gwineach i Johnie Bullu. Zapytał, czy to ten sam John Bull, który był sławną polityczną osobistością noszącą to miano, gdyż dwa identyczne nazwiska uderzyły go jako uderzający zbieg okoliczności.

W pobliżu łańcuchów koń z wolna skręcił, by zawrócić, co widząc Bloom, który

462

jak zwykle bystro rozglądał się dokoła, pociągnął drugiego łagodnie za rękaw, mówiąc żartobliwie:

- Nasze życie jest w niebezpieczeństwie tej nocy. Strzeżmy się walca parowego.

Więc przystanęli. Bloom spoglądał na głowę konia, nawet w przybliżeniu nie posiadającą wartości sześćdziesięciu pięciu gwinei, która tak niespodziewanie pojawiła się w mroku naprzeciw, że zdawała się zupełnie nowa, o innym układzie kości, a nawet ciała, ale był to ten sam czworonóg, kłębotrzęsy, czarnozady, ogonomachy, zwisogłowy, wysuwający swą tylną nogę ku przodowi, podczas gdy pan tego stworzenia siedział na koźle, zajęty myślami. Takie dobre, biedne bydlę, pożałował, że nie ma przy sobie kawałka cukru, ale, jak rozsądnie pomyślał, nie możesz być przecież przygotowany na wszystkie niespodziewane wypadki, które mogą pojawić się ni stąd ni zowąd. Był to po prostu wielki głupi płochliwy tępy koń, bez jednej myśli o otaczającym świecie. A nawet pies, pomyślał, weźmy tego kundla u Barney Kiernana, gdyby był taki wielki jak ten tu, siałby przerażenie, gdyby stanąć z nim twarzą w twarz. Ale nie stanowiło żadnej winy zwierzęcia, jeśli było zbudowane podobnie jak wielbłąd, okręt pustyni, który przemieniał zjadane winogrona w samogon wewnątrz swego garbu. Dziewięć dziesiątych z nich mogło być trzymany w klatce i oswojonych, żadne nie przewyższało przemyślności człowieka poza pszczołami; wieloryb z wpiętym harpunem, aligator, połaskocz go po grzbiecie, a zrozumie dowcip; kredą wyrysowane koło dla koguta, tygrys, moje orle oko. Te refleksje na czasie na temat dzikich bestii oderwały nieco jego uwagę od słów Stefana, podczas gdy okręt ulicy manewrował, a Stefan ciągnął dalej o tym wysoce interesującym starym...

- O czym to ja mówiłem? Ach tak! Moja żona, stwierdził rzucając się in medias res. z największą przyjemnością zawarłaby znajomość z panem, gdyż jest namiętnie przywiązana do wszelkiego rodzaju muzyki.

Zerknął z ukosa przyjaźnie na profil Stefana, żywy wizerunek jego matki, niezupełnie przypominający zwykłego nicponia, za którym to typem wszystkie one niewątpliwie się uganiały, gdyż, być może, nie był zbudowany w ten sposób.

Ale przypuściwszy, że posiadał dar swego ojca, jak to bardziej niż podejrzewał, otwierało to nowe widnokreśli w jego umyśle, takie jak koncert lady Fingall na rzecz rzemiosła irlandzkiego w ubiegły poniedziałek i arystokracja w ogóle.

Opisywał on teraz wyszukane wariacje w pieśni Tu kończy się młodość Jansa Pietera Sweelincka, Holendra z miasta Amsterdam, gdzie bardzo wiele pięknych dam. Bardziej

jeszcze podobala mu się stara niemiecka pieśń Johannes Jeep o przeczystym morzu i głosach syren, słodkich morderczyń ludzi, która nieco przeraziła Blooma:

Von der Sirenen Listigkeit Tun die Poeten dichten.

Początkowe takty odśpiewał i przetłumaczył extempore. Bloom, potakując, powiedział, że doskonale rozumie, i błagał go na wszystko, żeby ciągnął dalej, co też uczynił.

Tak fenomenalnie piękny tenorowy głos jak ten, ów najrzadszy z darów, który

463

Bloom ocenił należycie już przy pierwszym zasłyszonym tonie, mógł łatwo, jeśli będzie odpowiednio rozwijany przez jakiś ogólnie uznany w sprawach kształcenia głosu autorytet, jak na przykład przez Barracougha, i umiejący na dodatek czytać nuty, stawiać swe warunki tam, gdzie barytonów można było mieć dziesięciu za pensa, i zapewnić swemu szczęśliwemu posiadaczowi w najbliższej już przyszłości entree do modnych domów w najlepszych dzielnicach, do magnatów finansowych, robiących interesy na wielką skalę, i do utytułowanych ludzi, gdzie ze swym tytułem magistra filozofii (potężny dodatkowy plus, na swój sposób) i manierami gentlemiana, co wywarłoby jeszcze lepsze wrażenie, uzyskałby niewątpliwie znaczny sukces, będąc w dodatku obdarzonym mózgiem, który można by także spożytkować do tego celu, i innymi niezbędnymi zaletami, gdyby tylko ubiór jego był odpowiednio pielęgnowany, tak aby sprawniej mógł wśliznąć się w ich łaski, czego, będąc nowicjuszem w sprawach krawieckich subtelności najlepszego towarzystwa, nie mógł rozumieć, gdyż taki drobiazg może stać się twoim wrogiem. W rzeczywistości była to sprawa zaledwie miesięcy i mógł z łatwością wyobrazić go sobie uczestniczącego w ich muzycznych i artystycznych conver-saziones, najlepiej podczas zabaw w sezonie Bożego Narodzenia, powodującego lekkie trzepotanie w gołębich serduszkach płci pięknej i obleganego przez rój dam poszukujących mocnych wrażeń, takie wypadki, jak przypadkowo wiedział, bywały notowane, a faktem jest, że choć nie chciałby być niedyskretny, on sam ongi, gdyby tylko zapragnął tego, mógł z łatwością... Do tego należałoby dodać, oczywiście, wynagrodzenie pieniężne, w żadnym wypadku nie do pogardzenia, równoległe z opłatami za naukę. Nie znaczy to, dodał w nawiasie, że dla brudnego zysku musi on koniecznie obrać karierę śpiewaka operowego jako zawód na jakiś dłuższy okres czasu, lecz niewątpliwie byłby to krok w pożądanym kierunku, a zarówno z punktu widzenia pieniężnego, jak i duchowego nie rzuciłby on żadnego cienia na jego godność, a jakże okazuje się niezmiernie poręczny czek wręczony w chwili, kiedy jest najbardziej potrzebny, gdy nawet najmniejsza pomoc staje się ratunkiem. Poza tym, choć smak ostatnio podupadł w pewnym stopniu, muzyka tak oryginalna jak ta, odbiegająca od utartych szlaków, przyniosłaby natychmiastowe wielkie powodzenie, gdyż zdecydowanie stanowiłaby nowość dla muzycznego świata dublińskiego po zwykłych, wyświechtanych, łatwo wpadających w ucho tenorowych popisach, narzucanych podstępnie łatwowiernej publiczności przez Ivana St Austella, Hiltona St Justa i

ich genus omne. Tak, ani cienia wątpliwości, że miał on, posiadając wszystkie atuty w ręku, kapitał zakładowy, aby wyrobić sobie nazwisko i wielkie poważanie w mieście, gdzie mógłby żądać wysokiego honorarium i dać wielki koncert z przedsprzedażą dla bywalców sali przy King Street, gdyby posiadał mecenasa, jeśli ktoś go będzie chciał, jak się to mówi, kopnąć w górę - ale musiałoby to być jednak wielkie jeśli - z impetem w rodzaju tych, które zmiatają wszystko z drogi, aby zapobiec nieuniknionej zwłoce, która często jest przyczyną upadku zbytnio fetowanych książąt pospólstwa, a poza tym ani na jotę nie powinno go to było odciągnąć od tego drugiego, gdyż będąc panem siebie, będzie miał masę czasu, aby uprawiać w wolnych chwilach literaturę, gdy zechce, bez przeciwstawiania jej swej wokalisty-cznej karierze, ani nie będzie w tym nic uwłaczającego, gdyż w końcu była to tylko jego osobista sprawa. Faktem było, że miał przed sobą otwarte pole do popisu i to

464

była właśnie przyczyna, dla której ten drugi, będący posiadaczem bardzo wrażliwego nosa, umiającego zwęszyć zdobycz o sto mil, uwiesił się go.

A koń właśnie wówczas... a potem, przy sprzyjającej sposobności zamierzał (Bloom zamierzał), bez jakiegokolwiek wtrącania się w jego prywatne sprawy, według zasady, że głupcy wstępują tam, gdzie anioły, doradzić mu, żeby rozluźnił stosunki z pewnym nie wyklutym jeszcze z pączka lekarzem, który, jak zauważył, był skłonny do poniżania go, a nawet w pewnych rozmiarach dla byle jakiego zabawnego pretekstu, korzystając z jego nieobecności, do uwłaczania mu lub jak wolicie to nazwać, co, skromnym Blooma zdaniem, rzucało brzydkie uboczne światło na nieświeatłany charakter owej osoby - gra słów nie zamierzona.

Koń, zakończywszy polewanie, jeśli wolno się tak wyrazić, zatrzymał się i unosząc w górę dumny, rozwiany ogon, dodał jeszcze coś od siebie, co spadło na nawierzchnię, którą szczotka wkrótce miała zamieść i wygładzić, trzy dymiące kule łąjna. Z wolna, trzykrotnie, jedna po drugiej, wysrałje z pełnego podogonia. A jego ludzki woźnica czekał, póki on (ona) nie skończy, cierpliwie na swym wozie bojowym uzbrojonym w kosę.

Wykorzystując to contretemps, Bloom i Stefan weszli ramię w ramię w przerwę pomiędzy łańcuchami, oddzielonymi od siebie słupem, i przekroczywszy pasmo błota ruszyli ku Gardiner Street Lower, podczas gdy Stefan odśpiewał głosem pewniejszym, lecz nie bardziej donośnym, koniec ballady:

Und alle Schiffe brucken.

Woźnica nie odezwał się słowem, dobrym, złym lub obojętnym. Po prostu przyglądał się dwu sylwetkom, siedząc na swym wozie o niskim oparciu, obu w czerni -jednej otyłej, jednej smukłej - idącym w kierunku mostu kolejowego, aby złączył ich ślubem Ojciec Maher. Idąc,

przystawali od czasu do czasu i znowu szli, ciągnąc swe tete a tete (z którego był, oczywiście, zupełnie wyłączony) o syrenach, nieprzyjaciółkach rozumu ludzkiego, mieszając to z innymi tematami podobnej kategorii, uzurpatorami i historycznymi wydarzeniami tego rodzaju, podczas gdy człowiek na wozie ulicznym, a moglibyście równie dobrze powiedzieć na wozie somnambulicznym, który w żadnym wypadku nie mógł ich słyszeć, ponieważ byli zbyt daleko, siedział po prostu na swym koźle w pobliżu krańca Lower Gardiner Street i spoglądał za ich powozem o niskim oparciu.

JAKIE RÓWNOLEGŁE MARSZRUTY OBRALI BLOOM I STEFAN, POWRACAJĄC?

Wyruszywszy równocześnie zwykłym spacerowym krokiem z Beresford Place posuwali się w następującej kolejności: wzdłuż Lower i Middle Gardiner Street i Mountjoy Square, na zachód: później wolniejszym krokiem, obaj skręcili w lewo przez Gardiner's Place i dzięki nieuwadze aż ku odleglejszemu krańcowi Tempie Street, na północ: później, wolniejszym krokiem, z przerwami spowodowanymi przystawaniem, zwrócili się w prawo ku Tempie Street, na północ, aż ku Hardwicke Place. Posunęli się, odmienni, swobodnym spacerowym krokiem przecinając wspólnie okrągły plac przed kościołem Świętego Jerzego, skośnie, gdyż w każdym kole cięciwa łuku jest mniejsza niż łuk, który leży naprzeciw niej.

465

O czym rozprawiał ów duumwirat podczas wędrówki?

O muzyce, literaturze, Irlandii, Dublinie, Paryżu, przyjaźni, kobietach, prostytutce, odżywianiu, wpływie oświetlenia gazowego lub lamp łukowych i żarówek na wzrost sąsiadujących z nimi paraheliotropicznych drzew, o wystawionych na widok śmietniczkach miejskich. Kościele rzymskokatolickim, celibacie duchownych, narodzie irlandzkim, wykształceniu jezuickim, karierach, studiowaniu medycyny, minionym dniu, złowieszczym wpływie dnia poprzedzającego sabat, omdleniu Stefana.

Czy Bloom odkrył wspólne czynniki podobieństwa pomiędzy podobnymi i odmiennymi reakcjami każdego z nich na doświadczenia?

Obaj byli uczuleni raczej na artystyczne wrażenia muzyczne niż na plastyczne lub obrazowe. Obaj stawiali kontynentalny sposób życia ponad wyspiarskim, a miejsce zamieszkania cislantyckie ponad transatlantyckim. Obaj, zahartowani przez wczesną zaprawę w domu i przez odziedziczoną nieustępliwość innowierczego oporu, wyrazili swą niewiarę w wiele uznanych religijnych, narodowych, społecznych i etycznych doktryn. Obaj uznali podniecający i przytępiający na przemian wpływ heteroseksualnego magnetyzmu.

Czy poglądy ich były w pewnych punktach rozbieżne?

Stefan otwarcie nie zgadzał się z poglądami Blooma na temat wagi odżywiania się i konieczności dbania o siebie, podczas gdy Bloom nie zgadzał się skrycie z poglądem Stefana o wiekuistym potwierdzaniu się ducha ludzkiego w literaturze. Bloom zgadzał się potajemnie z poprawką Stefana, dotyczącą anachronizmu zawartego w przesunięciu daty nawrócenia narodu irlandzkiego z druidyzmu na chrześcijaństwo przez Patricka syna Calpornusa, syna Potitusa, syna Odyssusa, przysłanego przez papieża Celestyna I w roku 432 za panowania Leary na rok 260 czy coś około tego, w czasie panowania Cormaca MacArt (f 266 A. D.), który zadławił się w Sletty źle strawionym pokarmem i został pochowany w Rossnaree. Omdlenie, które Bloom przypisał wygłodzeniu, pewnym składnikom chemicznym o rozmaitym stopniu zepsucia i sile działania alkoholu, przyspieszonej wyczerpaniem umysłu i prędkością szybkiego, kolistego ruchu w atmosferze zabawy, Stefan przypisywał ponownemu pojawieniu się porannej chmury (dostrzeżonej przez nich obu z dwu różnych punktów obserwacyjnych, Sandycove i Dublina), początkowo nie większej niż dłoń kobieca.

Czy w jakimś punkcie poglądy ich były jednakowe i negatywne? Jeśli chodzi o wpływ oświetlenia gazowego lub światła elektrycznego na wzrost sąsiadujących paraheliotropicznych drzew.

Czy Bloom dyskutował na podobne tematy podczas nocnych przechadzek w przeszłości?

W 1884 z Owenem Goldbergiem i Cecilem Turnbullem nocą na ulicach głównych pomiędzy Longwood Avenue i Leonard's Corner oraz pomiędzy Leonard's Corner i Synge Street, a także pomiędzy Synge Street i Bloomfield Avenue. W 1885 z Percy'm Apjohnem wieczorami, gdy stali oparci o mur oddzielający willę Gibraltar od Bloomfield House w Crumlin, w baronii Uppercross. W 1886, przy różnych okazjach, z przypadkowymi znajomymi i ewentualnymi nabywcami na progach

466

domów, w frontowych salonikach, w wagonach kolejowych trzeciej klasy na liniach podmiejskich. W 1888, często, z majorem Brianem Tweedy i jego córką panną Marion Tweedy, z obojgiem naraz i każdym z nich z osobna na kanapie w domu Matthew Diiiona w Roundtown. Raz w 1892 i raz w 1893 z Juliusem Mastianskim, w czasie obu tych okazji, w salonie jego (Blooma) domu przy Lombard Street West.

Jaki wniosek dotyczący nieregularności kolejnego występowania dat 1884, 1885, 1886, 1888, 1892, 1893, 1904 nasunął się Bloomowi, nim doszli do miejsca przeznaczenia?

Wniosek, że postępującemu rozszerzaniu się pola jednostkowego rozwoju i doświadczenia towarzyszyło wsteczne ograniczenie przeciwnej im dziedziny stosunków międzyjednostkowych.

W jaki sposób?

Z nieistnienia w istnienie jednostka przychodzi ku wielu i zostaje przyjęta jako jeden: jako istnienie wobec istnienia jest wobec każdego jak każdy wobec każdego:

z istnienia w nieistnienie odszedłszy będzie przez wszystkich dostrzeżona jako nikt.

Jakie były działania Blooma, gdy osiągnęli miejsce przeznaczenia? Na schodach domu czwartego w rzędzie różnorodnych nieparzystych numerów, pod numerem 7 przy Eccies Street, wsunął odruchowo dłoń do tylnej kieszeni

spodni, aby ująć za klucz od zatrzasku.

Czy był on tam?

Był w tej samej kieszeni, lecz w innych spodniach, które nosił poprzedniego dnia.

Dlaczego był podwójnie zirytowany?

Ponieważ zapomniał i ponieważ przypomniał sobie, że dwukrotnie przypominał sobie, żeby nie zapomnieć.

Jakie stały, wobec tego, alternatywy przed tą parą, pozbawioną kluczy bądź z własnej woli (jeden z nich), bądź przez roztargnienie (drugi)? Wejść albo nie wejść. Pukać albo nie pukać.

Decyzja Blooma?

Fortel. Opierając stopy na podmurówce, przelazł przez kratę, nacisnął kapelusz na głowę, chwycił w dwóch miejscach niższy poprzeczny pręt kraty, opuścił stopniowo ciało na całą długość pięciu stóp i dziewięciu i pół cala w odległości dwóch stóp i dziesięciu cali od ziemi, wewnątrz ogrodzenia, i pozwolił swemu ciału opaść swobodnie w przestrzeń, wypuszczając pręty ogrodzenia i kuląc się w oczekiwaniu zderzenia przy upadku.

Czy upadł?

Dzięki ciężarowi swego ciała, wynoszącemu sto pięćdziesiąt osiem funtów wagi amirdupois, jak to maszyna z podziałką, umieszczona dla samoważących się w lokalu Francisa Froedmana, aptekarza i drogerzysty, przy 19 North Frederick Street, stwierdziła w dniu dwunastego maja roku przestępnego tysiąc dziewięćset czwartego ery chrześcijańskiej (ery żydowskiej roku pięć tysięcy sześćset sześćdziesiątego

467

czwartego, ery mahometańskiej roku tysiąc trzysta dwudziestego drugiego), złota liczba 5, epakta 13, cykl słoneczny 9, litery dominikalne C B, wskazówka rzymska 2, okres julijski 6617, MXMIV.

Czy wstał bez obrażeń wywołanych wstrząsem?

Odzyskując na nowo równowagę trwałą, wstał bez obrażeń, choć wstrząśnięty upadkiem, cofnął zamknięcie zatrasku drzwi kuchennych dzięki użyciu siły w stosunku do jego ruchomego skobla, zasadę dźwigni pierwszego stopnia zastosował do jego punktu zawieszenia i uzyskał przez to możliwość opóźnionego dostępu do kuchni przez przylegającą do niej komórkę, zapalił przez potarcie siarkową zapalną, puścił swobodnie łatwopalny gaz węglowy, odkręcając kurek, zapalił wysoki płomień, który dzięki regulowaniu zmniejszył do niewielkiego żarzącego się płomyczka, a wreszcie zapalił przenośną świecę.

W jakiej kolejności Stefan dostrzegał te odrębne obrazy? Wsparty o pręty ogrodzenia dostrzegł przez przezroczyste szyby kuchenne człowieka regulującego płomień gazowy o mocy 14 świec, człowieka zapalającego świecę, człowieka zdejmującego kolejno oba buty, człowieka wychodzącego z kuchni i trzymającego świecę o mocy 1 świecy.

Czy człowiek ów ukazał się ponownie gdzie indziej?

Po upływie czterech minut migotanie jego świecy dało się dostrzec przez półprzeźroczyste półkoliste okno nad drzwiami wejściowymi. Drzwi wejściowe obróciły się stopniowo na zawiasach. W luce wytworzonej przez otwarte drzwi człowiek ukazał się ponownie, bez kapelusza, ze świecą.

Czy Stefan usłuchał jego znaku?

Tak, wchodząc cicho, pomógł mu zamknąć drzwi i założyć na nie łańcuch i cicho poszedł wzdłuż sieni postępując za plecami, bezgłośnie stopami i zapaloną świecą tego człowieka, wyminął oświetloną szczelinę drzwi na lewo, a potem ostrożnie zszedł po kręconych schodach, liczących więcej niż pięć stopni, do kuchni w domu Blooma.

Co uczynił Bloom?

Zgasił świecę ostrym dmuchnięciem na jej płomień, przysunął do paleniska dwa krzesła z surowego drewna o wgłębionych siedzeniach, jedno dla Stefana, ustawione tyłem do okna na podwórze, drugie dla siebie, jeśli zajdzie tego potrzeba, ukląkł na jedno kolano, ułożył w palenisku stos skrzyżowanych patyków żywicznych i rozmaitych kolorowych papierków, a także nieregularne wieloboki najlepszego węgla Abram po dwadzieścia jeden szylingów za tonę ze składu panów Flowera i M'Donald, 14 D'oier Street, podpalił w trzech wystających miejscach papier jedną zapaloną siarkową zapalną, uwalniając w ten sposób potencjalną energię zawartą w opale, dzięki umożliwieniu swobodnego połączenia się cząsteczek węgla i wodoru z tlenem zawartym w powietrzu.

O jakich podobnych widokach pomyślał Stefan?

O innych ludziach, którzy w innym czasie gdzie indziej, przyklękając na jedno kolano, rozniecali dla niego ogień, o bracie Michaelu z infirmerii szkoły Towarzystwa

Jezusowego w Clongowes Wood, Sallins, w hrabstwie Kildare: o ojcu swym, Simonie Dedalusie, w nie umeblowanym pokoju ich pierwszego dublińskiego mieszkania, przy Fitzgibbon Street 13: o swej matce chrzestnej, pannie Kate Morkan w domu jej umierającej siostry panny Julii Morkan przy 15 Usher's Island: o swej matce Mary, żonie Simona Dedalusa, w kuchni pod numerem dwunastym przy North Richmond Street, rano w dniu świętego Franciszka Ksawerego w 1898:

o prefekcie ojcu Butt w amfiteatrze fizycznym uniwersytetu, 16 Stephen's Green North: o swej siostrze Diiy (Delii) w domu jego ojca w Cabra.

Co ujrzał Stefan, gdy odwrócił wzrok od ognia i uniósł oczy na wysokość jednego jarda, kierując je ku przeciwległej ścianie?

Pod rzędem pięciu zwiniętych sprężynowych dzwonków domowych zwisający sznur, rozciągnięty ukośnie pomiędzy dwoma hakami przed niszą stworzoną przez występ komina, i zwisające z niego jedna za drugą przystającymi czworobokami cztery małe kwadratowe chusteczki, złożone i nie przychepione, oraz jedną parę kobiecych szarych pończoch, zakończonych fildekosowym obrzeżeniem dla podwiązek i o stopach w normalnym położeniu, spiętych trzema sterczącymi pionowo drewnianymi uchwytami, dwoma na krańcach i trzecim w punkcie styku.

Co zobaczył Bloom na płycie kuchennej?

Na prawej (mniejszej) fajerce niebiesko emaliowaną patelnię: na lewej (większej) fajerce czarny żelazny imbryk.

Co uczynił Bloom przy płycie kuchennej?

Przesunął patelnię na lewą fajerkę, wstał i zaniósł żelazny imbryk w kierunku zlewu, aby woda mogła popłynąć strumieniem po przekręceniu kranu.

Czy popłynęła?

Tak. Ze zbiornika Roundwood w hrabstwie Wicklow, o pojemności 2400 milionów galonów sześciennych, przesączając się przez podziemny wodociąg głównych przewodów filtrujących jedno- i dwururowych, skonstruowanych zgodnie z początkowym kosztorysem po 5 funtów za jard bieżący i biegnących przez Dargle, Rathdown, Glen of the Downs i Callowhill do dwudziestosześcioakrowego zbiornika w Stiiorgan, leżącego w odległości 22 mil lądowych, a stamtąd, poprzez system odciażających pojemników, po pochyłości o spadku 250 stóp, do granic miasta przy Eustace Bridge, Upper Leeson Street, choć z powodu przeciągającej się letniej suszy i dziennego zużycia 121/2 milionów galonów poziom wody opadł poniżej progu służby zbiornika, dla której to przyczyny inspektor miejski i inżynier dróg wodnych pan

Spencer Harty, Inż. Miej., na skutek instrukcji otrzymanych z komisji wodociągów zabronił używania wody miejskiej w celach innych niż konsumpcyjne (przewidując możliwość wykorzystania nie nadającej się do spożycia wody z Kanałów Wielkiego i Królewskiego jak w 1893), a szczególnie dlatego, że Południowo--Dubliński Przytułek, nie poprzestając na przyznanej mu racji 15 galonów dziennie na biedaka, przepływających ku niemu przez sześciocalowy licznik, został ukarany za roztrwonienie 20 000 galonów w ciągu całej nocy, jak to zostało odczytane na ich liczniku przez rzeczownika prawnego zarządu miejskiego pana Ignatiusa Rice, adwokata, a tym sposobem rzeczony Przytułek działał na szkodę innych

469

odłamów społeczności, płatników podatków, utrzymujących się z własnych kapitałów, wypłacalnych, uczciwych.

Cóż takiego Bloom, miłośnik wody, czerpiący wodę, nosiwoda, powracający do płyty kuchennej, podziwiał w wodzie?

Jej uniwersalność: jej demokratyczną równość i wierność własnej naturze, przejawiającą się w poszukiwaniu swego poziomu: jej rozległość w oceanach na siatce Merkatora: jej niezmierną głębokość w Rowie Sundajskim na Pacyfiku, przekraczającą 8000 sążni: jej nie zaznaję spoczynku fale i cząsteczki w pobliżu powierzchni, odwiedzające kolejno wszystkie miejsca na jej morskich brzegach: niezależność jej fragmentów: zmienność stanów morza: jej hydrostatyczny spokój podczas ciszy: jej hydrokinetyczne wzbieranie podczas kwadrowych i wiosennych przyptywów: jej opadanie po spowodowaniu zniszczeń: jej sterylność w podbiegunowych pokrywach lodowych, arktycznych i antarktycznych: jej klimatyczne i handlowe znaczenie: jej przewagę w stosunku 3_:1 nad suchym lądem na powierzchni globu: jej bezsporną hegemonię w milach kwadratowych, rozciągającą się na całym obszarze poniżej podrównikowego zwrotnika Koziorożca: wielotysiącletnią stałość jej pierwotnego basenu: jej pomarańczowopłowe dno: jej zdolność do rozpuszczania i zatrzymywania w roztworze wszystkich rozpuszczalnych substancji, nie wyłączając milionów ton najcenniejszych metali: jej powolne erozyjne działanie na półwyspy i zapadające się przylądki: jej warstwy osadowe: jej wagę, objętość i gęstość: jej niezakłóconość w lagunach i górskich jeziorach: jej zmianę barw w gorących, umiarkowanych i zimnych strefach: jej ruchome odgałęzienia w wewnątrzlądowych, zawartych w jeziorach strumieniach i w zlewających się pośród oceanu rzekach, wraz z ich dopływami i transoceanicznymi prądami: golfsztromem, północnym i południowym prądem równikowym: jej gwałtowność w trzęsieniach morza, wodotryskach, studniach artezyjskich, wytryskach, rwących potokach, wirach, wezbranych strumieniach, przyptywach rzek, falach dennych, zlewiskach rzek, działach wodnych, gejzerach, kataraktach, lejach, melsztromach, zalewach, potopach, oberwaniach chmur: jej rozległe, wokółziemskie zakrzywienie na widnokręgu, jej skrytość w źródłach i utajoną wilgotność, ujawnianą przez różdż-karskie i

hygrometryczne przyrządy, a przykładowo widoczną w dziurze muru przy Ashtown Gate, w nasyceniu powietrza, w przekropleniu rosy: prostotę jej składu, dwie cząsteczki składowe wodoru i jedna cząsteczka składowa tlenu: jej zalety lecznicze: jej nośność w wodach Morza Martwego: jej wytrwałe przenikanie w rynnach, ściekach, nieszczelnych groblach, przeciekach na okrętach: jej własności oczyszczające, tłumiące pragnienie i ogień, odżywiające roślinność: jej niezawodność jako wzoru i jako doskonałości: jej przemiany, takie, jak para, mgła, chumura, deszcz, gołoledź, śnieg, grad: jej siłę w sztywnych hydrantach: różnorodność jej kształtów w jeziorach i przystaniach i zatokach i zatoczkach i przesmykach i lagunach i atolach i archipelagach i cieśninach i fiordach i ujściach i odnogach morza: jej spoistość w lodowcach, górach lodowych, krze: jej uległość przy pracy w kołach młyńskich, turbinach, dynamach, elektrowniach, bielarniach, garbarniach, międlniach: jej użyteczność w kanałach, rzekach, gdy są spławne, w pływających i suchych dokach: jej potencjalność pochodzącą z ujarzmionych przypływów lub szlaków wodnych, opadających z jednego

470

poziomu na drugi: jej podwodną faunę i florę (anakustyczną, fotofobijną), liczebnie, jeśli nie dosłownie, będącą gospodarzami naszego globu: jej wszechobecne ść jako stanowiącej 90% ludzkiego ciała: szkodliwość jej wyziewów w nadbrzeżnych mokradłach, malarycznych moczarach, stęchłej wodzie po kwiatach, stojących sadzawkach podczas ubywającego księżyca.

Postawiwszy napełniony do połowy imbryk na płonących już węglach, dlaczego powrócił do nadal płynącej wody z kranu?

Aby umyć zabrudzone ręce przy pomocy częściowo zużytego mydła Barringto-na, o cytrynowym zapachu, z przylegającym jeszcze do niego papierkiem (zakupionego przed trzynastoma godzinami za cztery pensy i nie zapłaconego jeszcze), w świeżej, zimnej, wiekuiście niezmienniej, wiekuiście zmiennej wodzie i aby osuszyć twarz i ręce, wycierając je długim czerwono obrzeżonym płóciennym ręcznikiem, przerzuconym przez drewniany, obracający się wałeczek.

Jaką przyczynę podał Stefan, odrzucając propozycję Blooma? Że jest hydrofobem, nienawidzącym częściowego kontaktu przez zamoczenie lub całkowitego przez zanurzenie w zimnej wodzie (ostatnia jego kąpiel miała miejsce w miesiącu październiku ubiegłego roku), że nie lubi podobnych wodzie substancji, takich jak szkło i kryształ, i nie ufa wodnistości myśli i mowy.

Co powstrzymało Blooma przed udzieleniem Stefanowi rad dotyczących higieny i profilaktyki, do których winny być dodane sugestie dotyczące wstępnego zamoczenia głowy i kurczenia mięśni za pomocą nagłego spryskiwania twarzy, szyi oraz okolic piersi i brzucha,

w wypadku kąpieli morskiej lub rzecznej, gdyż kark, żołądek oraz thenar, czyli podeszwa stopy, są najbardziej wrażliwymi na zimno częściami ciała ludzkiego?

Nieporównywalność wodnistości z kapryśną oryginalnością geniuszu.

Od jakich dodatkowych rad dydaktycznych powstrzymał się jeszcze? Dietetycznych: dotyczących kolejno: procentu proteiny i energii kalorycznej

zawartych w bekonie, solonych molwach i maśle, braku tej pierwszej w tym

ostatnim i obfitości tej ostatniej w tym pierwszym.

Jakie cechy gościa wydały się gospodarzowi najbardziej uderzające? Wiara w siebie oraz równa, lecz przeciwstawna zdolność wpadania w zniechęcenie i odzyskiwania wiary w siebie.

Jaki towarzyszący fenomen miał miejsce w naczyniu wypełnionym płynem, dzięki działaniu ognia?

Fenomen wrzenia. Rozdmuchany przez ciągły prąd powietrza wznoszącego się pomiędzy kuchnią a wylotem komina, rozniecony ogień został przekazany przez wiązki podpałki do wielobocznych brył bitumicznego węgla, zawierającego w skompresowanej mineralnej formie skamieliny liściastych mateczników pierwotnego lasu, które z kolei czerpały swą roślinną żywotność ze słońca, pierwotnego źródła ciepła (wypromieniowanego), przekazanego przez wszechobecny światłonośny dia-termiczny eter. Ciepło (przewodzone), rodzaj ruchu wytworzonego przez takie spalanie, było nieustannie i w coraz większym stopniu przekazywane ze źródła

477

ciepłotwórczego do płynu zawartego w naczyniu i wypromieniowywane przez chropawą niewypolerowaną ciemną powierzchnię metalu żelaza, zostając częściowo odbite, częściowo pochłonięte i częściowo przekazane i podnosząc stopniowo temperaturę wody z normalnej do punktu wrzenia, a ów wzrost temperatury można było wyrazić jako wynik zużycia 72 jednostek ciepłych niezbędnych do podgrzania 1 funta wody z 50° do 212° Fahrenheita.

Co obwieściło osiągnięcie tego wzrostu temperatury?

Podwójny półkolisty wytrysk pary wodnej spod pokrywy imbryka po obu stronach równocześnie.

W jakim celu osobistym mógł Bloom zużytkować tak zagotowaną wodę? Aby się ogolić.

Jakie korzyści odniósłby z nocnego golenia się?

Miększa broda: miększy pędzel, gdyby umyślnie pozwolił mu spoczywać na zbitej pianie między dwoma ogoleniami: miększa skóra, gdyby niespodzianie napotkał znajome kobiety w odludnych miejscach o niezwyklej porze: spokojne rozmyślenia o minionym dniu: uczucie, że jest czystszy, gdyby zbudził się po bardziej pokrzepiającym śnie, gdyż poranne hałasy, przeczcucia i zakłócenia, podzwaniająca bańka na mleko, dwukrotne pukanie listonosza, gazeta przeczytana i odczytana po raz drugi, przy namydlaniu, oraz powtórne namydlanie tego samego miejsca szok strzał i myśl, że dziś że ktoś że coś że jak że tak, mogłyby spowodować szybsze tempo golenia i zacięcia się, na które plaster jak alabaster, zwilżony, przykrojony, przyłożony, byłby właśnie tym, co należałoby zrobić.

Dlaczego nieobecność światła drażniła go mniej niż obecność hałasu? Ze względu na niezawodność zmysłu dotyku jego silnej, pełnej, męskiej, kobiecej, biernej, czynnej dłoni.

Jaką umiejętność posiadała (jego dłoń), lecz zrównoważoną jakim przeciwnym wpływem?

Umiejętność operacyjno-chirurgiczną, lecz że żywił niechęć do przelewania ludzkiej krwi nawet wówczas, gdy cel uświęcał środki, wołał w ich naturalnej kolejności helioterapię, psychofizjoterapię, osteopatyczną chirurgię.

Co leżało na widoku na dolnej, środkowej i górnej półce kuchennego kredensu, który Bloom otworzył?

Na dolnej półce pionowo pięć talerzy śniadaniowych, poziomo sześć śniadaniowych talerzyków, na których spoczywały odwrócone dnem do góry filiżanki śniadaniowe, nie odwrócona filiżanka o dwóch uszkach i talerzyk Crown Derby, cztery białe, złoto obrzeżone kieliszki do jajek i otwarta zamszowa portmonetka, ujawniająca monety, głównie miedzaki, oraz słoik z aromatycznymi fioletowymi cukierkami. Na środkowej półce wyszczerbiony kieliszek do jajek, zawierający pieprz, baryłeczka z solą kuchenną, cztery zlepione czarne oliwki w oleistym papierze, pusta puszka po konserwowym mięsie Morela, owalny wiklinowy koszyk, wyłożony łykiem i zawierający jedną gruszkę z Jersey, do połowy wypróżniona butelka białego porto dla chorych Williama Gilbeya & Ski, na pół obdarta ze swej

472

koralloróżowej bibułkowej osłony, paczka rozpuszczalnego kakao Eppsa, pięć uncji wybornej herbaty Annę Lynch, po dwa szylingi za funt, w pomarszczonej torebce ze staniolu, cylindryczny pojemnik zawierający najlepszy krystaliczny cukier w kostkach, dwie cebule, jedna z nich większa, hiszpańska, cała, druga mniejsza, irlandzka, przecięta, mająca dzięki temu większą powierzchnię i bardziej wonna, słoik śmietany z Irlandzkiej Wzorowej Mleczarni, dzbanek z brunatnej gliny zawierający kwaterkę i ćwierć kwaśnego

zafałszowanego mleka, przemienionego dzięki upałowi w wodę, kwaskowatą serwatkę i na pół zakrzepły twaróg, co dodane do ilości odjętej na śniadanie pana Blooma i pani Fleming czyniło razem pół kwarty o ustawowej objętości, czyli tyle, ile początkowo dostarczono, dwa goździki, półpensów-ka i mały półmisek zawierający płat świeżego antrykotu. Na górnej półce bateria słoików konfitur różnej wielkości i zawartości.

Co leżącego na serwetce pośrodku kredensu zajęło jego uwagę? Cztery wielokątne fragmenty dwu podartych szkarłatnych biletów loteryjnych o numerach 887, 886.

Jakie wspomnienia zmarszczyły chwilowo jego brew?

Wspomnienia zbiegów okoliczności, prawdy dziwniejszej niż bajka, wróżących wynik gonitwy o Złoty Puchar, którego oficjalne i ostateczne rezultaty odczytał w późniejszym, różowym wydaniu Wieczornego Telegrafu, w schronisku dorożkarza, nie opodal Butt Bridge.

Gdzie otrzymał poprzednie zapowiedzi wyniku, sprawdzone lub odrzucone? W koncesjonowanym lokalu z wyszynkiem, należącym do Bernarda Kier-nana, przy 8, 9 i 10 Little Britain Street: w koncesjonowanym lokalu z wyszynkiem, należącym do Davida Byrne'a, przy 14 Duke Street: na O'Connell Street Lower, przed lokalem Grahama Lemona, gdy czarnowłosy człowiek wsunął mu w dłoń ulotkę (która za chwilę uleciała) reklamującą Eliasza, odnowiciela kościoła w Syjonie: Na Lincoln Place przed lokalem F. W. Sweny'ego i Ski (z ograniczoną odpowiedzialnością), drogerzystów, gdy Frederick M. (Bantam) Lyons szybko i po kolei poprosił o, przeczytał i zwrócił mu egzemplarz ostatniego wydania Gazety Wolnego Człowieka i Narodowej Prasy, z którą chciał się ulotnić (i która w konsekwencji ulotniła się), ruszył w kierunku wschodniej budowli Tureckich i Gorących Łaźni, 11 Leinster Street, z blaskiem natchnienia lśniącym na obliczu, niosąc w ramionach tajemnicę wyścigu, wygrawerowaną w mowie przepowiedni.

Jakie uspokajające rozmyślenia uśmierzyły jego wzburzenie? Trudności interpretacji, gdyż znaczenie każdego wydarzenia następowało po jego odbyciu się w sposób tak zmienny jak akustyczne echo po wyładowaniu elektrycznym, oraz trudności z drugiej strony w obliczeniu faktycznej straty ze względu na niemożność wyjaśnienia ogólnej ilości możliwych strat wynikających pierwotnie z właściwego wyjaśnienia.

Jego nastrój? Nie zaryzykował, nie oczekiwał, nie był rozczarowany, był zadowolony.

Dlaczego zadowolony?

473

Bo nie spotkała go żadna określona strata. Bo przyniósł określony zysk innym. Światłość poganom.

Jak Bloom przygotowywał kolację dla poganina?

Wsypał do obu filiżanek dwie nieczubate łyżeczki, cztery łącznie, rozpuszczalnego kakao Eppsa i postępując zgodnie ze sposobem użycia wydrukowanym na naklejce, dodał do każdej po określonym czasie, przepisany dla infuzji, przepisane składniki konieczne dla dyfuzji w przepisanej ilości i w przepisany sposób.

Jakie nadobowiązkowe oznaki szczególnej gościnności okazał gospodarz swemu gościowi?

Odstępując swe biesiadne prawo do dwuoszkowej filiżanki, imitacji Crown Derby, otrzymanej w prezencie od jedynej córki Millicent (Milly), zastąpił ją filiżanką identyczną z filiżanką gościa i ulał bardzo wiele gościowi, a sobie o wiele mniej, kleistej śmietany, zarezerwowanej zwykle na śniadanie dla jego żony Marion (Molly).

Czy gość był świadom tych oznak gościnności i czy podziękował za nie? Jego uwaga została skierowana na nie żartobliwie przez gospodarza i przyjął je

poważnie, gdy pili w żartobliwie-poważnym milczeniu masowy produkt Eppsa, owo kakao stworzenia.

Czy były jakieś oznaki gościnności, o których pomyślał, lecz od których powstrzymał się, rezerwując je dla tamtego i dla siebie na przyszłe okazje, dla dokończenia rozpoczętego dzieła?

Zreperowanie rozdarcia długości $1\frac{1}{2}$ cala na prawej stronie marynarki gościa. Podarowanie gościowi jednej z czterech damskich chusteczek, jeśli i gdy upewni się, że są one w stanie nadającym się do zrobienia z nich prezentu.

Kto pił szybciej?

Bloom, mając przewagę dziesięciu sekund w chwili rozpoczęcia i pociągając z wklęsłej powierzchni łyżeczki, wzdłuż której rączki przepływało równomiernie ciepło, trzy łyżki w stosunku do jednego, jaki pociągał siedzący naprzeciw, sześć do dwóch, dziewięć do trzech.

Jaka praca mózgu towarzyszyła tej powtarzającej się czynności? Wnioskując z pomocą oczu, lecz błędnie, że jego milczący towarzysz jest zajęty rozmyślaniem, zastanowił się nad radościami, jakie można uzyskać z literatury raczej pouczającej niż rozrywkowej, ponieważ on sam zwracał się do dzieł Williama Shakespeare'a częściej niż raz, aby znaleźć rozwiązanie zawiłych problemów wymagowanego lub prawdziwego życia.

Czy znalazł to rozwiązanie?

Na przekór uważnemu i powtarzanemu odczytywaniu pewnych klasycznych ustępów z pomocą słownika, uzyskał niedoskonałe przeświadczenie na podstawie tekstu, gdyż odpowiedzi nie odnosiły się do wszystkich spraw.

Jakie linijki kończyły jego pierwszy oryginalny wiersz, napisany przez niego, potencjalnego poetę w wieku lat 11, w 1877, z okazji zaoferowania trzech nagród

474

w wysokości odpowiednio: 10, 5 oraz 2 szylingów i 6 pensów przez tygodnik Koniczyna[^]

Ta ambicja, by mógł Wierszyk mój ujrzeć druk, Każe wierzyć, choć innych jest tłum. , Gdy zgodzicie się z tym, Umieście pod nim To nazwisko, wasz sługa, L. Bloom.

Czy odkrył cztery siły odgradzające go od jego przelotnego gościa? Nazwisko, wiek, rasę, wyznanie.

Jakie anagramy układał ze swego nazwiska w młodości?

Leopold Bloom

Ellpodbomool

Molldopeloob

Bollop doom

Lolo Bloode, M. P.

Jaki akrostych ze skrótu swego imienia posłał on (kinetyczny poeta) pannie Marion Tweedy 14 lutego 1888?

Poeci często sławią w rymie Owej muzyki słodkiej imię, Lecz ja inaczej dziś uczynię. Droższą nad świat i pieśń przy winie Yesteś, bez ciebie świat niech zginie.

Co powstrzymało go od ukończenia szlagierowej piosenki (muzyka R. G. Johnston) o minionych wydarzeniach lub wróżbach na nadchodzące lata, zatytułowanej Gdyby Brian Boru mógł powrócić dziś tu i ujrzał stary Dublin znów, zamówionej przez Michaela Gunna, dzierżawcę Gaiety Theatre, 46, 47, 48, 49 South King Street, która miała być wprowadzona do szóstej sceny, dolina diamentów, przy drugiej wersji przedstawienia (30 stycznia 1893) wielkiej dorocznej pantomimy Sinbad Żeglarz (napisanej przez Greenieafa Whittiera, scenografia George A. Jackson i Cecii Hicks, kostiumy pani i panny Whelan, zaprezentowanej 26 grudnia 1892 w reżyserii R. Sheltona pod osobistym nadzorem pani Michael Gunn, balet pod kierownictwem Jessie Noir, ariekina Thomas Otto) i odśpiewanej przez Nelly Bouverist, pierwszą naiwną?

Po pierwsze, wahanie się pomiędzy wydarzeniami o imperialnym i lokalnym znaczeniu, pomiędzy oczekiwanym diamentowym jubileuszem królowej Wiktorii (urodzonej 1820, koronowanej 1837) i nieoczekiwanym otwarciem nowego miejskiego targowiska rybnego: po

drugie, obawa przed opozycją skrajnych kół w kwestii kolejnych wizyt Ich Królewskich Wysokości księcia i księżny Yorku (prawdziwych) oraz Jego Majestatu Króla Briana Boru (wymagowanego); po trzecie, konflikt pomiędzy etyką zawodową i zawodowym współzawodnictwem dotyczącym wniesionych ostatnio gmachów Grand Lyric Hali przy Bourgh Quay i Theatre Royal przy Hawkins Street: po czwarte,

475

rozterka wywołana współczuciem dla antyintelektualnego, apolitycznego, nieszlagierowego wyrazu oblicza Nelly Bouverist i niepożądane pożądanie wywołane odsłonięciem tejże Nelly Bouverist białych antyintelektualnych, antypolitycznych, antyszlagierowych dessousów, podczas gdy ona (Nelly Bouverist) znajdowała się w nich: po piąte, trudności w wybraniu odpowiedniej muzyki i humorystycznych aluzji z Księgi Żartów dla Każdego (1000 stron i śmiech na każdej stronie): po szóste, rymy homofoniczne i kakofoniczne, związane z nazwiskami nowego burmistrza, Daniela Tallona, nowego szeryfa, Thomasa Pile, i nowego prokuratora generalnego Dunbara Plunket Barton.

Jaki związek istniał pomiędzy ich wiekiem?

Przed szesnastu laty, w 1888, gdy Bloom był w obecnym wieku Stefana, Stefan miał lat 6. Za 16 lat, w 1920, gdy Stefan będzie w obecnym wieku Blooma, Bloom będzie miał 54 lata. W 1936, gdy Bloom będzie miał lat 70, a Stefan 54, stosunek ich wieku, rozpoczęty od proporcji 16 do 6, będzie wynosił $17 \frac{1}{2}$ do $13 \frac{1}{2}$, proporcja ta będzie wzrastała, a nierówność malała, w miarę dowolnego dodawania następnych lat, bo gdyby proporcja istniejąca w 1883 pozostawała nie zmieniona, zakładając, że jest to możliwe, do 1904, gdy Stefan ukończył 22 lata, wówczas Bloom miałby lat 374, a w 1920, gdy Stefan mieć będzie lat 38, tyle, ile ma teraz Bloom, Bloom miałby lat 646, podczas gdy w 1952, gdy Stefan osiągnie maksymalny popotopowy wiek lat 70, Bloom, żyjący i mający lat 1190, byłby urodzony w roku 714 i przekroczyłby o 221 lat maksymalny przedpotopowy wiek, będący udziałem Matuzalema, 969 lat, a gdyby Stefan żył nadal, póki nie osiągnie tego wieku w 3072 A.D., Bloom musiałby pozostawać przy życiu przez 83 300 lat i musiałby urodzić się w roku 81 396 przed narodzeniem Chrystusa.

Jakie wypadki mogą udaremnić to obliczenie?

Zaprzestanie istnienia jednego z nich lub ich obu, rozpoczęcie nowej ery lub nowego kalendarza, zniszczenie świata i, co za tym idzie, wygubienie rodzaju ludzkiego, nieuniknione, lecz nie dające się przewidzieć.

Ile poprzednich spotkań udowodniło ich wcześniejszą znajomość? Dwa. Pierwsze w ogrodzie pełnym bzów przy domu Matthew Diiiona, Villa Medina, Kimmage Road, Roundtown, w 1887, w towarzystwie matki Stefana, Stefan miał wówczas lat 5 i niechętnie

podał rękę na powitanie. Drugie w kawiarni hotelu Breslin podczas deszczowej niedzieli w styczniu 1892, w towarzystwie ojca Stefana i jego wujecznego dziadka, Stefan miał wówczas o 5 lat więcej.

Czy Bloom przyjął wówczas zaproszenie na obiad, wypowiedziane najpierw przez syna, a później potwierdzone przez ojca?

Z wielką wdzięcznością, z pełnym wdzięczności docenieniem, ze szczerą, pełną uznania wdzięcznością, z doceniającym, pełnym wdzięczności, szczerym żalem odmówił.

Czy ich rozmowa na temat tych wspomnień ujawniła trzecie łączące ich ogniwo?

Pani Riordan, niezależna materialnie wdowa, zamieszkiwała w domu rodziców Stefana od 1 września 1888 do 29 grudnia 1891 i zamieszkiwała także w latach

476

1892, 1893, 1894 w hotelu City Arms, będącym własnością Elizabeth o'Dowd, przy 54 Prussia Street, gdzie przez pewną część lat 1893 i 1894 zawiadamiała ona stale Stefana o życiu Blooma, który zamieszkiwał także w tymże hotelu, będąc w owym czasie urzędnikiem zatrudnionym u Josepha Cuffe z 5 Smithfield przy nadzorze nad sprzedażą bydła na sąsiednim Dublińskim Targowisku Bydlęcym przy North Circular Road.

Czy wykazał się wobec niej jakimś szczególnym miłosiernym uczynkiem cielesnym?

Czasem popychał ją w ciepłe letnie wieczory, niedołązną wdowę, niezależną materialnie, choć o środkach ograniczonych, w jej fotelu na powoli obracających się kółkach aż do rogu North Circular Road naprzeciw zakładu pana Gavina Łów, gdzie pozostawała przez pewien czas, lustrując przez jego pozbawioną jednej soczewki lornetkę połową nierozpoznawalnych obywateli w tramwajach, rowery turystyczne, wyekwipowane w napompowane pneumatyczne gumy, dorożki, tandemy, prywatne i wynajęte landa, dwukółki, dwukołowe wózki, zaprzęgnięte w kucyki, i breki przesuwające się z miasta do Phoenix Parku i vice versa.

Dlaczego więc mógł znosić to czuwanie z tak wielkim spokojem? Ponieważ w kwiecie swej młodości często siadywał obserwując przez krążek wypukłego wielobarwnego szkła pełne nieustannych przemian widowisko, jakie stanowił ruch uliczny na zewnątrz, piesi, czworonogi, czterokółki, pojazdy przesuwające się powoli, prędko, równomiernie, naokół naokół krawędzi krągłego wypukłego szkła.

Jakie wyraźne i różne wspomnienia posiadał każdy z nich o niej, nieżyjącej już od lat ośmiu?

Starszy, ojej kartach do bezika i sztonach do gry, ojej skyeterierzeje przypuszczalnej fortunie, lukach w uwadze i początkach kataralnej głuchoty: młodszy, o wypełnionej olejem

rzepakowym lampie przed figurą Niepokalanego Poczęcia, o jej zielonych i kasztanowych motylekach z piór na cześć Charlesa Stewarta Pamella i Michaela Davitta, o jej bibułkach.

Czy istniały jakiekolwiek sposoby odzyskania młodości, którą te wspomnienia, przekazane młodszemu towarzyszowi, uczyniły tym bardziej upragnioną?

Gimnastyka w mieszkaniu, uprawiana dawniej od czasu do czasu, wreszcie zarzucona, opisana w książce Eugene Sandowa Siłą Fizyczna i Jak Ją Uzyskać, przeznaczona zwłaszcza dla ludzi zajętych interesami i zmuszonych do siedzącego przeważnie trybu życia, która, uprawiana ze skupieniem przed lustrem, miała zmuszać do pracy najrozmaitsze grupy mięśni i przynosić w następstwie miłe odprężenie i jakże miłe odrodzenie młodzieńczej zręczności.

Czy w młodym wieku odznaczał się szczególną zręcznością? Choć podnoszenie ciężarów leżało poza zasięgiem jego sił, a zakręcenie pełnego olbrzyma na drążku było poza zasięgiem jego odwagi, jednak będąc uczniem w gimnazjum odznaczył się niechwiejnym i powolnym wykonaniem podciągania się na poręczach, a zawdzięczał to nadzwyczaj rozwiniętym mięśniom brzucha.

477

Czy któryś z nich napomknął otwarcie o dzielącej ich różnicy rasowej? Żaden.

Jakie, jeśli zredukować je do najprostszych form wyrazu, były myśli Blooma o myślach Stefana o Bloomie i myśli Blooma o myślach Stefana o myślach Blooma o Stefanie?

Myślał on, że myślał on, że on jest żydem, podczas gdy on wiedział, że on wiedział, że on wiedział, że nie jest.

Jakie były, jeśli usuniemy bariery nieświadomości, rodowody ich obu? Bloom, jedyne dziecko płci męskiej i transistotny dziedzic Rudolfa Viraga (później Rudolfa Blooma) z Szombathely, Wiednia, Budapesztu, Mediolanu, Londynu i Dublina oraz Ellen Higgins, drugiej córki Juliusa Higginsa (wcześniej Karoły) i Fanny Higgins (z domu Hegarty); Stefan, najstarszy żyjący męski współistotny potomek Simona Dedalusa z Cork i Dublina oraz Mary, córki Richarda Gouldinga i Christiny (z domu Grier).

Czy Bloom i Stefan zostali ochrzczeni, gdzie i przez kogo, przez księdza czy osobę świecką?

Bloom (trzykrotnie) przez wielbnego Gilmera Johnstona M. A. samotnie w protestanckim kościele Świętego Mikołaja za Murami w Coombe; przez Jamesa o'Connora, Philipa Gilligana i Jamesa Fitzpatricka wspólnie pod pompą w wiosce Swords oraz przez wielbnego Charlesa Malone C. C. w kościele pod wezwaniem Trzech Patronów w Rathgar. Stefan (raz) przez wielbnego Charlesa Malone C. C. samotnie w kościele pod wezwaniem Trzech Patronów w Rathgar.

Czy odkryli, że przebieg ich wykształcenia był podobny?

Podstawiając Stefana na miejsce Blooma, Stoom ukończyłby kolejno przedszkole i gimnazjum. Podstawiając Blooma na miejsce Stefana, Blefan ukończyłby kolejno wszystkie klasy gimnazjum, a później zostałby immatrykulowany i ukończyłby rok pierwszy, drugi i ostatni uniwersytetu otrzymując stopień magistra filozofii królewskiego uniwersytetu.

Dlaczego Bloom powstrzymywał się od uwagi, że życie było jego uniwersytetem?

Ze względu na dość płynną niepewność, czy uwaga ta nie została już wypowiedziana przez niego do Stefana lub przez Stefana do niego.

Jaki rodzaj usposobienia reprezentował każdy z nich z osobna? Naukowe. Artystyczne.

Jakie dowody Bloom przytoczył, żeby udowodnić, że ma skłonność do wiedzy stosowanej raczej niż do czystej?

Pewne możliwe wynalazki, o których rozmyślał spoczywając, aby wspomóc trawienie, gdy znajdował się w stanie biernego przesytu, a bodźcem do tego była świadomość ważności wynalazków teraz już zupełnie pospolitych, lecz kiedyś rewolucyjnych, jak na przykład spadochronu aeronautycznego, teleskopu lustrzanego, spiralnego korkociągu, agrałki, syfonu do wody mineralnej, stawidła kanału z wyciągiem korbowym i służą, pompy ssącej.

478

Czy wynalazki te miały przeważnie za cel ulepszenie ogródków dla dzieci? Tak, gdyż czyniły przestarzałymi korkowce, nadymane baloniki, gry hazardowe, proce. Wynalazki te obejmowały astronomiczne kalejdoskopy, ukazujące dwanaście gwiazdozbiorów Zodiaku od Barana po Ryby, miniaturowe mechaniczne planetaria, cyfry na rombów z żelatynki, geometryczne, aby odpowiadały herbatnikom zoologicznym, piłki do gry, będące zarazem globusami, lalki w historycznych kostiumach. •

Jaki jeszcze istniał bodziec dla jego rozmyślań?

Sukces finansowy osiągnięty przez Ephraima Marksa i Charlesa A. Jamesa, przez pierwszego dzięki jednopensowemu bazarowi przez 42 South George's Street, przez drugiego dzięki jego 61/2 pensowemu sklepowi. Wszechświatowemu Bazarowi Drobiazgów Galanterijnych i wystawie figurek woskowych przy 30 Henry Street, wstęp 2 pensy, dzieci 1 pensa; i nieskończone możliwości, dotąd nie wykorzystane, nowoczesnej sztuki ogłoszeniowej, jeśli się skondensowało w trójlite-rowych, monoideowych symbolach o maksymalnej widzialności, pionowych (odgadywanych), poziomych, o maksymalnej czytelności (odczytywanych) i o magnetycznej skuteczności, aby przyciągać mimowolnie uwagę, zainteresować, przekonać, zmusić do decyzji.

Na przykład, jak?

K. 11. Spodnie firmy Kino, po 11 szylingów.

Dom Kluczy. Aleksander J. Klauzcz.

Na przykład, jak nie?

Spójrz na tę długą świecę. Oblicz, kiedy się wypali, a otrzymasz gratisowo jedną parę naszych specjalnych butów z prawdziwej skóry, gwarantowana moc oświetleniowa 1 świeca. Adres: Barciay i Cook, 18 Talbot Street.

Bakcylobój (proszek przeciw insektom).

Najbłyszcz (czernidło do butów).

Wszystkorób (połączone w jednym: scyzoryk o dwóch ostrzach z korkociągiem, pilnikiem do paznokci i przyrządem do czyszczenia fajki).

Jak nigdy nie należy?

Jaki jest dom bez Morela marynaty mięsnej?

Nieszczęsny.

Z nią

Szczęścia przybytkiem on.

Fabrykowane przez George'a Morela, 23 Merchants' Ouay, Dublin, w czte-rouncjowych puszkach, zamieszczane przez radcę Josepha P. Nannettiego, posła do Parlamentu, Rotunda Ward, 19 Hardwicke Street, pod zawiadomieniami o zgonach i rocznicami śmierci. Nazwisko na etykietce brzmi Morela. Morela w puszcze z mięsem, zarejestrowana marką fabryczną. Strzeżcie się naśladownictw. Mięso Morela. Morelmięs. Mięso Morela. Rolomięsol. Somięmo-raio.

Jaki przykład dał, aby Stefan wiedzieć chciał, że oryginalność, choćby z niej radość miał, niekoniecznie musi prowadzić do sukcesu?

479

Powstały w jego wyobraźni i odrzucony projekt oświetlonej platformy, ciągnionej przez zwierzę pociągowe, na której dwie elegancko ubrane dziewczyny miałyby siedzieć zajęte pisaniem.

Jaką scenę na skutek tej sugestii skonstruował Stefan?

Samotny hotel na górskiej przełęczy. Jesień. Zmierzch. Zapalono w kominku. W ciemnym kącie siedzi młody człowiek. Młoda kobieta wchodzi. Niespokojna. Samotna. Siada. Podchodzi do okna. Stoi. Siada. Zmierzch. Namysła się. Na pojedynczej kartce papieru hotelowego pisze. Namysła się. Pisze. Wzdycha. Koła i podkowy. Wybiega. Młody człowiek wychodzi z ciemnego kąta. Bierze pojedynczą kartkę papieru. Przysuwa ją do ognia. Zmierzch. Czyta. Samotny.

Co?

Pochyłym, pionowym i odchylonym ku tyłowi pismem: Hotel Queen's, Hotel Queen's, Hotel Quee...

Jaką scenę na skutek tej sugestii zrekonstruował Bloom?

Hotel Queen's w Ennis, w hrabstwie Ciare, gdzie Rudolph Bloom (Rudolf Virag) zmarł wieczorem 27 czerwca 1886, o nie ustalonej godzinie, na skutek przyjęcia zbyt wielkiej dawki tojadu (akonitu), którą odmierzył sobie sam w formie przeciwnewralgicznego płynu do wcierania, złożonego w dwóch trzecich z akonitu w stanie płynnym i w jednej trzeciej z chloroformu w stanie płynnym (zakupionego przez niego o godzinie 10.20 przed południem w dniu 27 czerwca 1886, w Aptece Centralnej Francisa Dennehy, 17 Church Street, w Ennis), po zakupieniu, choć nie na skutek zakupu, o godzinie 3.15 po południu 27 czerwca 1886 nowego, sztywnego słomkowego kapelusza z płaskim denkiem, w najlepszym gatunku (po zakupieniu, choć nie na skutek zakupu w tymże miejscu i o tejże godzinie wyżej wzmiankowanej trucizny), w magazynie tekstylnym Jamesa Cullena, 4 Main Street, w Ennis.

Czy złożył tę homonimię na karb informacji, zbiegu okoliczności czy też intuicji?

Zbiegu okoliczności.

Czy opisał tę scenę w słowach tak, aby gość mógł ją ujrzeć? Wolał widzieć twarz tego drugiego i słuchać słów tego drugiego, dzięki czemu spełniała się potencjalna narracja i wyzwalał kinetyczny temperament.

Czy dostrzegł tylko drugi zbieg okoliczności w drugiej scenie, opowiedzianej mu i określonej przez opowiadającego jako Widok Palestyny z Góry Nebo, czyli Przypowieść o Morelach?

To, wraz z poprzednią sceną i innymi, nie opowiedzianymi, lecz istniejącymi dzięki skojarzeniom, do których należało dodać eseje na rozmaite tematy czy też maksymy moralne (np. Mój Ulubiony Bohater albo Zwlekanie Jest Złodziejem Czasu), skomponowane podczas lat szkolnych, zawierało, jak mu się wydawało, samo i w połączeniu z poprawką wynikającą z osobistej oceny, pewne możliwości finansowego, społecznego, osobistego i seksualnego powodzenia, czy to specjalnie

zebrane i wybrane jako wzorzec pedagogiczne tematy (czcigodne w stu procentach) dla użytku uczniów wstępnych i młodszych klas, czy też aby służyć w formie drukowanej za wcześniejszym przykładem Philipa Beaufoy lub Doktora Dicka, lub Studium w Błękanie Heblona pismu o zapewnionym nakładzie i wypłacalności albo też aplikowane ustnie jako podnieta intelektualna dla życzliwych słuchaczy, wyrażających milczeniem uznanie dla udatnej opowieści i wróżących z przekonaniem o powodzeniu przedsięwzięcia podczas coraz dłuższych wieczorów, stopniowo narastających po letnim przesileniu w dniu, który nastąpi za dni cztery, ydelicet 21 czerwca (św. Alojzego Gonzagi), wschód słońca 3.33 rano, zachód słońca 8.29 wieczorem.

Jaki problem domowy zajmował często jego umysł w tym samym (jeśli nie większym) stopniu niż jakikolwiek inny? Co robić z naszymi żonami.

Jakie były jego hipotetyczne, osobliwe rozwiązania?

Gry salonowe (domino, halma, pchełki, bierki, bilbokiet, napoleon, eka-rta, bezik, trente et quarante, głuchy telefon, warcaby, szachy lub tryktrak):

wyszywanie, cerowanie, robótki na drutach dla znajdującego się pod patronatem policji stowarzyszenia odziewającego ubogich' duety muzyczne, mandolina i gitara, fortepian i flet, gitara i fortepian: przepisywanie akt albo adresowanie kopert: dwukrotnie w tygodniu odwiedziny w teatrzykach rewio-wych: działalność handlowa, jak np. chłodna mleczarnia lub ciepły sklep z cygarami, gdzie właścicielka uprzejmie rozkazuje i jest najuprzejmiej obsługiwana: potajemne zadowolenie uzyskiwane z erotycznego podniecenia w męskich burdelach, nadzorowanych przez państwo i podlegających kontroli AS, lekarskiej: wizyty towarzyskie w regularnych, niezbyt częstych, z góry o-j|znaczonych odstępach czasu i pod regularnym, częstym, zapobiegawczym H; nadzorem, składane u znajomych pań i przez znajome panie o stwierdzonej stateczności, zamieszkujące w sąsiedztwie: nauka na kursach wieczorowych, specjalnie zaplanowanych tak, aby uczynić ogólne wykształcenie przyjemnym.

Jakie okoliczności niedostatecznego rozwoju umysłowego jego żony skłaniały go ku ostatniemu (dziewiątemu) z wzmiankowanych rozwiązań?

W wolnych chwilach niejednokrotnie pokrywała kartkę papieru znakami i hieroglifami, które, jak twierdziła, były greckimi, irlandzkimi i hebrajskimi charakterami. Pytała nieustannie w różnych odstępach czasu, jak należy właściwie pisać pierwszą wielką literę nazwy miasta w Kanadzie, Quebec. Niewiele pojmowała z zawilości politycznych, krajowych lub równowagi sił, zagranicznej. Podsumowując rachunki, musiała często uciekać się do pomocy palców. Po ukończeniu lakonicznej epistoły porzucała przyrząd do kaligrafowania w enkaustycznym barwniku, wystawiony na żrące działanie koperwasu, zielonego witriolu i galasówek. Niezwykłe wyrazy wielozgłoskowe zagranicznego pochodzenia tłumaczyła fonetycznie lub przez fałszywe analogie, lub przy pomocy jednego i drugiego:

metempsychoza (mnie tam psy chodzą), alias (jako podstępną osobistość wymienioną w Piśmie świętym).

481

Co równoważyło na chwiejnych szalach jej inteligencji te i podobne usterki sądu, dotyczące osób, miejscowości i rzeczy?

Pozornie fałszywa równoległość wszystkich pionowych słupków wszystkich wag, prawdziwa jednak dzięki ich konstrukcji. Przeciwwaga leżąca w jasności jej sądu, dotyczącego jednej osoby, prawdziwa dzięki doświadczeniu.

Jakie czynił próby w celu zlikwidowania tego stanu względnej ignorancji? Rozmaite. Pozostawiając w widocznym miejscu pewną książkę otwartą na pewnej stronie: zakładając, że posiada ona, gdy wzmiankował coś, co chciał jej wyjaśnić, ukrytą wiedzę przedmiotu: przez otwarte wyśmiewanie w jej obecności ignoranckiego potknięcia się jakiejś nieobecnej w danej chwili osoby.

Z jakim powodzeniem spotykały się próby bezpośredniego nauczania? Nie wszystko rozumiała, zwykle część tylko, słuchała z zainteresowaniem i z uwagą, pojmowała ze zdumieniem, z uwagą powtarzała, z większym trudem zapamiętywała, zapominała z łatwością, z wahaniem przypominała sobie, powtarzała powtórnie, błędnie.

Który system okazał się bardziej efektywny? Niebezpośrednie uwagi, implikujące osobiste zainteresowanie.

Na przykład?

Nie lubiła nosić parasolki w czasie deszczu, on lubił kobiety z parasolkami, nie lubiła nosić nowego kapelusza w czasie deszczu, on lubił kobiety w nowych kapeluszach, on kupował jej nowy kapelusz w czasie deszczu, ona nosiła parasolkę i nowy kapelusz.

Przyjmując analogię wynikającą z przypowieści jego gościa, jakie przytoczył przykłady wielkości po powrocie z niewoli babilońskiej?

Trzech poszukiwaczy czystej prawdy: Mojżesza z Egiptu, Mojżesza Majmoni-desza, autora Morę Nebukim (Przewodnik dla Zakłopotanych) i Mojżesza Mendelssohna, ludzi o takiej wielkości, że od Mojżesza (z Egiptu) do Mojżesza (Mendelssohna) nie było nikogo takiego jak Mojżesz (Majmonides).

Co stwierdził Bloom, z zastrzeżeniem, w sprawie czwartego poszukiwacza czystej prawdy, imieniem Arystoteles, wymienionego, za pozwoleniem, przez Stefana?

Że wymieniony poszukiwacz był uczniem filozofa rabinackiego o nie ustalonym imieniu.

Czy zostali wymienieni także inni anapokryficzni, sławetni synowie prawa i dzieci wybranego czy też odrzuconego narodu?

Feliks Bartholdy Mendelssohn (kompozytor), Baruch Spinoza (filozof), Men-doza (pięściarz), Ferdynand Lassalle (reformator, pojedynkujący się).

Jakie fragmenty starohebrajskich i staroirlandzkich wierszy zostały zacytowane z modulacjami głosu i tłumaczeniem tekstu przez gościa gospodarzowi i przez gospodarza gościowi?

Przez Stefana: suil, suit, suilarun, suilgo siocair agus, suit go cuin (idź, idź, idź twą drogą, idź w pokoju, idź ostrożnie).

482

Przez Blooma: Kifeloch harimon raketejch m'baad i'zamatejch (skronie twoje między kędzierzami twymi są jako sztuka jabłka granatowego).

Jak zostało dokonane graficzne porównanie fonetycznych symbolów obu języków dla uzasadnienia ustnego porównania?

Na przedostatniej pustej kartce książki napisanej w podrzędnym literackim stylu, zatytułowanej Słodczy Grzechu (ujawnionej przez Blooma, a przy pomocy pewnych manipulacji tak położonej, że jej tytułowa karta stykała się z powierzchnią stołu), ołówkiem (dostarczonym przez Stefana) Stefan wypisał irlandzkie charaktery dla ge, ha, de, em, proste i przystosowane, Bloom z kolei wypisał hebrajskie znaki gimel, alef, dalet i (w braku mem) zastępczo goph, wyjaśniając ich arytmetyczne wartości jako liczebników porządkowych i głównych, ydelicet 3, 1, 4 i 100.

Czy wiedza posiadana przez każdego z nich o tych językach, wymarłym i odrodzonym, była teoretyczna czy praktyczna?

Teoretyczna, gdyż sprowadzała się do pewnych reguł gramatycznych dotyczących fleksji i składni, nie brała zaś praktycznie pod uwagę słownictwa.

Jakie punkty styczne istniały pomiędzy tymi dwoma językami i ludami, które nimi mówiły?

Obecność dźwięków gardłowych, przydechów odróżniających, wtrąconych i posiłkowych liter w obu językach: ich starożytność, gdyż obu nauczano na równinie Szinar 242 lata po potopie w seminarium założonym przez Feniusa Farsaigha, potomka Noego, protoplasty Izraela, i przodka Hebera i Heremona, którzy zaludnili Irlandię: ich literatury archeologiczne, genealogiczne, hagiograficzne, egzegetyczne, homilektyczne, toponomastyczne, historyczne i religijne, zawierające dzieła rabinów oraz mnichów culdeńskich, Torę, Talmud (Misznę i Ge-marę), Massor, Pięcioksiąg, Księgę Brunatnej

Krowy, Księgę Ballyrnote, Girlandę Howth, Księgę Kelis: ich rozproszenie, prześladowanie, przeżycie i odżycie: izolacja ich synagogałnych i eklezjastycznych obrządków w getcie (opactwo St. Mary) i w Domach Bożych (tawerna Adama i Ewy): zakaz noszenia ich narodowych strojów w ustawach karnych i dekrete o ubiorze żydów: przywrócenie Dawida z Syjonu w ziemi Chanaan i możliwości irlandzkiej autonomii politycznej lub dewolucji.

Część jakiego hymnu odśpiewał Bloom w przewidywaniu tego wielostronnego, nie dającego się etnicznie umniejszyć spełnienia?

Koiod balejwaw pnimah Nefesch, jehudi, homijah.

Dlaczego pieśń została przerwana po zakończeniu pierwszego dystychu? Na skutek defektywnej mnemotechniki.

Jak kantor zrekompensował ten brak? Przez peryfrastyczną wersję całości tekstu.

W jakiej wspólnej dziedzinie badań zbiegały się rozważania ich obu?

483

We wzrastającym uproszczeniu, dającym się prześledzić od egipskich epi-graficznych hieroglifów po grecki i rzymski alfabet i przewidywaniu współczesnej stenografii i telegraficznego kodu w inskrypcjach pisma klinowego (semickiego) i w ukośnym kreskowym, pięciozęberkowym piśmie ogham (celtyckim).

Czy gość zadośćuczynił prośbie gospodarza?

Podwójnie przez załączenie swego podpisu w irlandzkich i łacińskich charakterach.

Jakie były słuchowe wrażenia Stefana?

Usłyszał w głębokiej starożytnej męskiej nieznanej melodii nagromadzenie przeszłości.

Jakie były wzrokowe wyrażenia Blooma? Dostrzegł w żywej młodej męskiej znanej postaci przeznaczoną jej przyszłość.

Jakie były niby równoczesne, wolicjonalne, niby doznania ukrytych osobowości Stefana i Blooma?

Wzrokowe, Stefana: tradycyjny wizerunek hipostazy, odmalowany przez Jo-hannesa Damascenusa, Lentulusa Romanusa i Epiphaniusa Monachusa jako białoskóry nudziarz z włosami ciemnymi jak wino.

Słuchowe, Blooma: tradycyjalny ekstatyczny akcent katastrofy.

Jakie kariery w przyszłości były możliwe dla Blooma w przeszłości i kto mógł być ich przykładem?

W Kościele, rzymskim, anglikańskim lub nonkonformistycznym: przykłady, przewielebny John Conmee S. J. rektor Trinity College, wielebny P. Łosoś, D. D., Dr Alexander J. Dowie. W palestrze angielskiej lub irlandzkiej: przykłady, Seymo-ur Bushe, K. C., Rufus Isaacs, K. C. Na scenie współczesne lub z czasów Shakespe-are'a przykłady: Charles Wyndham, znakomity aktor komediowy, Osmond Tearie (f 1901), interpretator Shakespeare'a.

Czy gospodarz zachęcał swego gościa, aby ten odśpiewał modulowanym głosem dziwną legendę na pokrewny temat?

Upewniając, gdyż z miejsca, w którym rozmawiali, nikt ich nie mógł usłyszeć, ponieważ jest ono odosobnione, upewniony, gdy wypili już uwarzony napój, czyli wodę plus cukier, plus śmietanę, plus kakao, pozwoliwszy opaść na dno składnikom na pół stałym, mechanicznie wymieszanym.

Wyrecytuj pierwszą (major) część tej śpiewanej legendy.

Mały Harry i jego przyjaciele trzej

W piłkę grają, aż miło,

A ta pierwsza piłka, którą Harry rzucił, hej!

Do ogrodu żyda przeskoczyła.

A ta druga piłeczka, którą Harry rzucił, hej!

U żyda wszystkie okna rozbiła.

484

$\text{^gt-Ha}^t M''^{\wedge\wedge} O^{\wedge-\wedge\wedge} \text{tk}^{\wedge\text{efe}} \text{o all t.f,..}^{\wedge}$

$\text{^f=}^{\wedge}$

$t=h$

$l-r\sim$

$$L^t r^>$$

$$Ti$$

$$-----\bullet-$$

$$\bullet-' \Pi'''?$$

^ j.-M- t.aM ttl&. fewy <fa^ f,^ //". ^^, if^^f^

9

^ y^^. Młft. "fe ""i""""\r >€" ni. J"w> 9"^ J^.

CLi> fec VWf JŁĆ.^ la"U UUQ. ha^ Uc^luu ^ (q^tg H^ -4--.--.----.----..^"ł-* • - " -

It^K*. V^, je*** i-^^w o^ • ^9. tnott ft^ ^" UM^"ta" eM. •

Jak syn Rudolfa odebrał tę pierwszą część?

Bez mieszanych uczuć. Uśmiechając się, żyd, słuchał z przyjemnością i patrzył na nie rozbite okno kuchenne.

Wyrecytuj drugą część (minor) legendy.

I wyszła z domu córka żyda,

W zieleń, w zieleni.

..Wróć się o wróć się, chłopcze śliczny mój,

Twa piłka jest w sieni."

„Nie wrócę się, ach, nie wrócę się Bez trzech przyjaciół mych, Bo gdy magister dowie się, Będzie okrutnie zły."

Za liliowobiałą go chwyciła dłoń I przez sień poszła z nim, I do komnaty wiedzie go, Gdzie nie usłyszysz nikt.

I z fałdów szaty wyjęła nóż, I ścięła główkę mu. Nie będzie w piłeczkę grywał już, Bo martwy leży tu.

485

^toMia w. ^t**^ Q"^" <•*<Y• &^ ^ug y" ^u-ttf gitfg*. ""^_^"---~

Jak ojciec Millicent odebrał drugą część?

Z mieszanymi uczuciami. Nie-uśmiechając się, słyszał i widział z zadziwieniem córkę żydowską, całą w zieleni.

Streść komentarz Stefana.

Jeden spośród wszystkich, najmniejszy z wszystkich, jest przeznaczony na ofiarę. Raz przez nieuwagę, a po raz drugi celowo, wyzywa swe przeznaczenie. Przybywa ono, gdy jest osamotniony, i wyzywa go, opornego, a będąc obrazem nadziei i młodości chwyta go, nie stawiającego oporu. Wiedzie go do dziwnego mieszkania, do tajemnej komnaty niewiernego, i tam, nieubłagane, składa go uległego w ofierze.

Dlaczego gospodarz (przeznaczony na ofiarę) zasmucił się? Pragnął, aby opowiadanie o uczynku, opowiedziane o uczynku nie popełnionym przez niego, było nie przez niego opowiedziane.

Dlaczego gospodarz (oporny, uległy) był nieruchomy? Zgodnie z prawem o zachowaniu energii.

Dlaczego gospodarz (potajemny niewierny) milczał?

Ważył możliwe dowody za i przeciw mordowi rytualnemu: zachętę ze strony hierarchii, zabobonność ogółu, rozprzestrzenianie pogłosek, w których zawsze był jakiś okrucuch prawdy, zawiść wobec zamożności, wpływ odwetu, sporadyczne ponowne pojawianie się atawistycznie uwarunkowanej przestępczości, fanatyzm jako okoliczność łagodzącą, hipnotyczną sugestię i somnambulizm.

Na które z tych (jeśli na jakiegokolwiek) umysłowe lub fizyczne zakłócenia nie był on całkowicie uodporniony?

Na hipnotyczną sugestię: raz, budząc się, nie poznał swojej sypialni; więcej niż raz, budząc się, był przez nieokreślony przeciąg czasu niezdolny do poruszenia się lub wydania głosu. Na somnambulizm: raz podczas snu ciało jego powstało i skulone pełzło w kierunku kominka pozbawionego ognia, a osiągnąwszy miejsce przeznaczenia, zwinęło się tam w kłębek i ułożyło się w nocnym ubiorze, nie ogrzane, uśpione.

Czy to ostatnie lub jakiekolwiek inne pokrewne zjawisko objawiło się u któregośkolwiek innego członka jego rodziny?

486

Dwukrotnie, przy Holles Street i Ontario TerraceJego córka Millicent (Milly), w wieku lat 6 i 8, wydała przez sen okrzyk przerażenia i z nieprzytomnym, pustym wyrazem twarzy, odpowiadała na pytania dwóch postaci odzianych w nocne stroje.

Jakie inne wspomnienia o jej dzieciństwie zachował?

15 czerwca 1889. Kapryszące nowo narodzone niemowlę płci żeńskiej, płaczące, by spowodować i zmniejszyć przekrwienie. Dzieciątko przechrzczone imieniem Biedronki, na rączki pieniążki wytrząsa ze skarbonki: i krzyczy, i liczy pensowe guziki łaś, dwa, cii: laleczkę, chłopczyka i marynarza odrzuciła: blondynka narodzona z dwojga ciemnowłosych, miała blond przodków, odległego, ze zgwałcenia, Herr Hauptmanna Hainau z austriackiej armii, i najbliższego, z zapatrzenia, porucznika Mulveya z brytyjskiej marynarki wojennej.

Jakie przejawiały się endemiczne cechy charakterystyczne? Jako przeciwieństwo, ukształtowanie jej nosa i czoła wywodziło się (w prostej

linii) z pewnej linii rasowej, która choć przerywana, będzie biegła w coraz dalszą przyszłość mając coraz większe przerwy.

Jakie wspomnienia zachował o jej wieku dojrzewania?

Odstawiła obręcz i skakankę do kąta. Na Duke's Lawn, poproszona przez angielskiego turystę, odmówiła pozwolenia na wykonanie i zabranie jej fotografii (odmowa bez podania powodów). Na South Circular Road w towarzystwie Elsy Porter, gdy zaczął włączyć się za nimi jakiś ponuro wyglądający osobnik, przeszła połowę Stamer Street i zawróciła gwałtownie (bez podania powodów zawrócenia). W wigilię piętnastej rocznicy swych urodzin napisała list z Mullingar w hrabstwie Westmeath, robiąc krótką aluzję do miejscowego studenta (fakultetu i roku nie podano).

Czy ta pierwsza rozłaka, zwiastująca następną rozłakę, zasmuciła go? Mniej niż przypuszczał, więcej niż miał nadzieję.

Jaka inna rozłaka została przez niego w tym samym czasie przyjęta podobnie, choć inaczej?

Chwilowe odejście jego kotki.

Dlaczego podobnie, dlaczego inaczej?

Podobnie, ponieważ spowodowana została potajemną przyczyną, poszukiwaniem nowego samca (student w Mullingar) lub leczniczego zioła (waleria-ny). Inaczej, ze względu na różne możliwości powrotu, do mieszkańców lub do mieszkania.

Czy w innych aspektach różnice pomiędzy nimi były podobne? W bierności, w oszczędności, w instynkcie tradycji, w niespodziewaności.

Jak na przykład?

Na przykład, gdy pochylała się podtrzymując swe jasne włosy, aby związała je wstążką (jak kot wyginający w łuk szyję). Ponadto, na otwartej powierzchni stawu w Stephen's Green jej pozbawione komentarza splunięcie pomiędzy odwrócone odbicia drzew zakreśliło koncentryczne kręgi wodnych obrączek, które wskazały przez swą uporczywą trwałość miejsce pobytu sennych, zastygłych w bezruchu ryb

487

(jak kot czatujący na myszy). Ponownie, żeby zapamiętać datę, walczące strony, wynik i skutki sławnego starcia zbrojnego, ciągnęła swój warkocz (jak kot myjący uszy). Prócz tego, śmieszna Milly, śniła jej się, że odbyła nie odbytą, nie zapamiętaną rozmowę z koniem, zwierzę miało na imię Józef, i zaofiarowała mu dzban pełen lemoniady, którą on (ono), jak się zdaje, przyjął (por. kot śniący przy kominku). stąd gdy w grę wchodziła bierność, oszczędność, instynkt tradycji, niespodziewaność, ich różnice były podobne.

W jaki sposób zużytkował prezenty 1) sowę, 2) zegar, ofiarowane jako dary ślubne, żeby zainteresować i pouczyć ją?

Jako lekcje o przedmiocie, by wyjaśnić: 1) naturę i obyczaje jajorodnych zwierząt, możliwość lotu powietrznego, pewne nienormalności w widzeniu, pradawny proces balsamizacyjny: 2) zasadę wahadła, ukazaną na przykładzie tarczy na pręcie, kółek zębatych i regulatora, przełożenie na język ludzkich lub społecznych konwencji różnych pozycji ruchomych wskazówek, poruszających się w kierunku obrotów zegara po nieruchomej "tarczy, dokładność powracającego w każdej godzinie momentu każdej godziny, gdy zarówno dłuższa, jak i krótsza wskazówka znajdują się pod tym samym kątem nachylenia do siebie, yidelicet 5 i 5/11 minuty po każdej godzinie co godzina, w postępie arytmetycznym.

W jaki sposób odwdzięczała się?

Pamiętała: na 27 rocznicę jego urodzin dała mu w prezencie śniadaniową, dwuuszkową filiżankę, imitację porcelany Crown Derby. Starła się: w dniu kwartalnych wpływów lub mniej więcej w tym czasie, jeśli poczynił zakupy nie przeznaczone dla niej, okazywała staranie o jego potrzeby, z góry odgadując jego życzenia. Podziwiała: kiedy wyjaśniał jej jakiś

naturalny fenomen, objawiała wówczas natychmiastowe pragnienie posiadania, bez stopniowego przyswajania sobie części jego wiedzy, połowy, ćwierci, tysięcznej części.

Jaką propozycję Bloom diambulista, ojciec Milly somnambulistki, uczynił Stefanowi noktambuliście?

Aby spędził, spoczywając, godziny dzielące czwartek (właściwy) od piątku (rzeczywistego) na zaimprovizowanym posłaniu w pomieszczeniu znajdującym się bezpośrednio ponad kuchnią i bezpośrednio sąsiadującym z sypialnią gospodarza i gospodyni.

Jakie wielorakie korzyści mogłyby wynikać z przedłużenia tej improwizacji?

Dla gościa: zabezpieczenie sobie mieszkania i pracy w zaciszu. Dla gospodarza:

odmłodzenie inteligencji, przyjemność per procura. Dla gospodyni: dezintegracja obsesji, uzyskanie prawidłowej wymowy po włosku.

Dlaczego kilka tymczasowych powiązań między gościem a gospodynią nie wykluczało z konieczności ani nie zostało wykluczone ewentualnością trwałego, zgodnego związku pomiędzy chłopcem a żydowską córką?

Ponieważ droga do córki wiodła przez matkę, droga do matki przez córkę.

Na jakie zadane bez związku wielozgłoskowe pytanie gospodarza dał gość jednosylabową negatywną odpowiedź?

488

Czy znał nie żyjącą już panią Emili Sinico, która zginęła w wypadku na dworcu kolejowym Sydney Paradę 14 października 1903.

Od jakiego, zaledwie rozpoczętego, następnego stwierdzenia powstrzymał się gospodarz?

Od stwierdzenia wyjaśniającego jego nieobecność w czasie pogrzebu pani Mary Dedalus, z domu Goulding, 26 czerwca 1903, w wigilię rocznicy śmierci Rudolpha Blooma (z domu Virag).

Czy propozycja azylu została przyjęta?

Zdecydowanie, bez wyjaśnienia, po przyjacielsku, z wdzięcznością, została odrzucona.

Jaki przelew pieniędzy miał miejsce pomiędzy gospodarzem a gościem? Pierwszy zwrócił drugiemu, bez procentu, sumę (1 f. 7s. 0) jednego funta i siedmiu szylingów, przekazaną uprzednio pierwszemu przez drugiego.

Jakie kontrpropozycje zostały kolejno wysunięte, zaakceptowane, zmodyfikowane, odrzucone, powtórzone w inny sposób, ponownie zaakceptowane, potwierdzone, ponownie potwierdzone?

Aby rozpocząć przygotowany z góry kurs języka włoskiego w miejscu zamieszkania instruktorki. Aby rozpocząć kurs wokalistyki w miejscu zamieszkania instruktorki. Aby zainauguować serię statycznych, półstatycznych i perypatetycznych dialogów intelektualnych w miejscu zamieszkania obu rozmówców (gdyby obaj rozmówcy zamieszkiwali w tym samym miejscu), w restauracji hotelu Okręt przy 6 Lower Abbey Street (właściciele W. i E. Connery), w Irlandzkiej Bibliotece Narodowej, 10 Kildare Street, w Narodowym Szpitalu Położniczym, 29, 30 i 31 Holles Street, w ogrodach publicznych, w sąsiedztwie miejsca kultu religijnego, na skrzyżowaniu dwu lub więcej dróg publicznych, w punkcie przecięcia linii prostej przeciągniętej pomiędzy miejscami ich zamieszkania (gdyby obaj rozmówcy mieszkali w różnych miejscach).

Co uczyniło problematyczną dla Blooma realizację tych wykluczających się nawzajem propozycji?

Nienaprawialność przeszłości: pewnego razu na przedstawieniu cyrku Alberta Henglera w Rotundzie przy Rutland Square w Dublinie wiedziony intuicją, poszukujący ojca pstrokaty clown dotarł opuściwszy arenę aż do miejsca na widowni, gdzie siedział samotny Bloom, i oświadczył rozbawionej publiczności, że jest on (Bloom) jego (clowna) tatusiem. Nieprzewidywalność przyszłości: pewnego razu latem 1898 on (Bloom) o-znaczył florena (2 szyi.) trzema nacięciami na karbowanej krawędzi i wręczył go jako zapłatę rachunku, którą przyjęli J. i T. Davy, kupcy kolonialni, 1 Charlemont Mali, Grand Canal, aby rozpoczął on cyrkulację na fali miejskich finansów i mógł powrócić do niego, pośrednio lub bezpośred-

nio.

Czy clown ów był synem Blooma?

Nie.

489

Czy moneta Blooma powróciła kiedykolwiek? Nigdy.

Dlaczego ponowny zawód miałby go każdorazowo bardziej przygnębiać? Ponieważ w krytycznym momencie zwrotnym istnienia pragnął przyczynić się do poprawy wielu warunków społecznych, będących wytworem nierówności, chciwości i wrogości między narodami.

A więc wierzył, że życie ludzkie można było udoskonalać w nieskończoność, eliminując te warunki?

Pozostawały warunki rodzaju, narzucone przez prawo naturalne, tak różniące się od prawa ludzkiego, jak poszczególne części ciała ludzkiego różnią się od całości:

konieczność niszczenia, aby uzyskać środki spożywcze: bolesny charakter ultyma-tywnych funkcji poszczególnych istnień, cierpienia przy narodzinach i śmierci:

monotonne menstruacje małpich i (przede wszystkim) ludzkich samic, ciągnące się od okresu pokwitania aż do menopauzy: nieuniknione katastrofy na morzach, w kopalniach, w fabrykach: pewne bardzo bolesne choroby i będące ich następstwem operacje chirurgiczne: wrodzony obłąd, dziedziczna przestępczość, dziesiątkujące epidemie, katastrofalne kataklizmy, które czynią z przerażenia podstawę umy-słowości ludzkiej: wstrząsy sejsmiczne, których epicentra znajdują się w gęsto zaludnionych rejonach: fakt życiowego wzrostu poprzez przemiany pełne gwałtownych zaburzeń, od dzieciństwa poprzez wiek dojrzały aż ku schyłkowi.

Dlaczego cofał się przed spekulatywnym rozmyślaniem?

Ponieważ wstawienie innych, łatwiejszych do przyjęcia fenomenów w miejsce trudniejszych do przyjęcia fenomenów, które należało usunąć, było zadaniem dla intelektu wyższego typu.

Czy Stefan współuczestniczył w jego przygnębieniu?

Potwierdził swą ważność jako świadomego racjonalnego zwierzęcia, przesuwającego się sylogistycznie ze znanego w nieznanne, i jako świadomego racjonalnego odczynnika pomiędzy mikro- a makrokosmosem, nieuniknienie wzniesionymi na niepewności próżni.

Czy potwierdzenie to zostało zrozumiane przez Blooma? Nie w słowach. W swej istocie.

Co pocieszyło go w jego niepojmowaniu?

To, że jako sprawny, pozbawiony klucza obywatel przesunął się energicznie z nieznanego w znane poprzez niepewność próżni.

W jakim porządku i z jakim towarzyszącym ceremoniałem został przeprowadzony exodus z domu niewoli do zamieszkałej puszczy?

Zapaloną Świecę w Lichtarzu niósł BLOOM. Kapelusz Diakona na Jesionowej Lasce niósł STEFAN.

Z jaką intonacją secreto jakiego upamiętniającego psalmu?

Co każdy z nich uczynił przy drzwiach wyjściowych? Bloom postawił lichtarz na podłodze. Stefan włożył kapelusz na głowę.

Dla jakiego stworzenia drzwi wyjściowe były drzwiami wejściowymi? Dla kota.

Jaki widok przedstawił się im, gdy najpierw gospodarz, później gość wynurzyli się bezgłośnie, podwójnie ciemni, z mrocznego korytarza w tyle domu w półmrok ogrodu?

Niebiańskie drzewo gwiezdne obwieszane wilgotnymi nocnobłękitnymi owocami.

Jakie medytacje Blooma towarzyszyły demonstracji różnych konstelacji towarzyszowi?

Medytacje o coraz rozleglejszej ewolucji: o księżycu niewidzialnym w rozpoczynającej się pierwszej kwadrze, zbliżającym się do perigeum: o nieskończoności rozpylonej, roziskrzonej, nie skondensowanej mlecznej drogi, dostrzegalnej przy świetle dziennym przez obserwatora umiejscowionego pod niższym wylotem cylindrycznego komina, zagłębionego 5000 stóp pod powierzchnią ziemi w kierunku jej środka: o Syriuszu (Alpha w Canis Major) odległym o 10 lat świetlnych (57.000.000.000.000 mil) i posiadającym objętość 900 razy większą niż nasza planeta: o Arkturusie: precesji punktów równonocnych: o Ońonie z pasem, sześciokrotnym słońcem Theta i mgławicą, w której można by zmieścić 100 naszych systemów słonecznych: o wygasających i rodzących się nowych gwiazdach, takich jak Nova w 1901: o naszym systemie słonecznym, pędzącym w kierunku gwiazdozbioru Herkulesa: o paralaksie, czyli paralaktycznym przesuwaniu się tak zwanych stałych gwiazd, w rzeczywistości wiekuiście poruszających się z niezmiernie odległych eonów ku nieskończeniu odległym przyszłościom, w porównaniu z którymi siedemdziesiąt lat, składających się na przeciętny wiek człowieka, tworzy nieskończenie krótką parentezę.

Czy istniały także medytacje inwersyjne o inwolucji coraz bardziej coraz mniej rozległej?

O eonach okresów geologicznych zapisanych w warstwach ziemi: o mrowiu maleńkich, owadzych istnień organicznych, skrytych w zagłębieniach ziemi, pod ruchomymi kamieniami, w ulach i kopcach, o mikrobach, zarodkach, bakteriach, bakcylach, spermatozoach: o nie dających się obliczyć trylionach bilionów milionów niedostrzegalnych molekuł zawartych, dzięki spoistości molekularnego przyciągania, w główce jednej szpilki: o wszechświecie ludzkiego serum z gwiazdozbiorami czerwonych i białych ciałek, będących także wszechświatami w pustej przestrzeni wypełnionej gwiazdozbiorami innych ciał, a każde z nich w nieprzerwanym następstwie było swym własnym wszechświatem podzielných ciał składowych, ulegających z kolei dalszemu podziałowi na podziały ponownie dzielonych ciał składowych, a dzielne i dzielniki coraz to zmniejszały się nie podzielone, aż wreszcie.

jeśli postęp zostanie doprowadzony dostatecznie daleko, nigdzie, nigdy do niczego się nie dojdzie.

Dlaczego nie opracował tych obliczeń, aby uzyskać dokładniejszy wynik? Ponieważ kilka lat wcześniej, w 1886, gdy zajęty był problemem kwadratury koła, dowiedział się o istnieniu liczby dającej się obliczyć ze względnym stopniem dokładności, a posiadającej taką wielkość i tak wiele cyfr, np. 9. potęga 9 potęgi 9, że uzyskany wynik zająłby 33 gęsto zadrukowane tomy po 100 stron każdy, a nieskończone ryzy i bele bibuły drukarskiej byłyby potrzebne dla zawarcia kompletnego zapisu liczb całkowitych, dziesiątków, setek, tysięcy, dziesiątków tysięcy, setek tysięcy, milionów, dziesiątków milionów, setek milionów, bilionów, a jądro mgławicowe każdej liczby jednocyfrowej w każdej z tych serii zawierało skondensowaną potencjalną możliwość podniesienia do najwyższego kinetycznego przetworzenia każdej potęgi do każdej z jej potęg.

Czy osądził, że problem zamieszkiwania planet i ich satelitów przez jakąś rasę określonego gatunku oraz możliwość społecznego i moralnego odkupienia wzmiankowanej rasy przez odkupiciela jest łatwiejszy do rozwiązania?

Był to inny rodzaj trudności. Świadom tego, że organizm ludzki, normalnie zdolny do wytrzymania ciśnienia atmosferycznego 19 ton, podniesiony na znaczną wysokość w atmosferze ziemskiej, cierpi w arytmetycznym postępie nasilenia w stosunku do tego, jak blisko znajduje się linia demarkacyjna pomiędzy troposferą a stratosferą, na krwotok z nosa, utrudnienie oddychania i zawroty głowy, założył sobie jako roboczą hipotezę, której nieprawdziwości nie można było udowodnić, gdy starał się rozwiązać ten problem, że bardziej przystosowana i inaczej anatomicznie zbudowana rasa istot mogłaby istnieć w inny sposób w marsjańskich, merku-riańskich, wenusjańskich, jowiszowych, saturniańskich, neptuniańskich lub uranij-skich wystarczających jej i równoważnych warunkach, choć szczytowa ludzkość istot stworzonych w najrozmaitszych kształtach z określonymi różnicami, sprowadzającymi się do podobieństwa do całości i do siebie nawzajem, prawdopodobnie tam jak i tu, pozostałaby niezmiennie i nieprzenośnie przywiązana do marności, do marności nad marnościami i wszystkiego, co jest marnością.

A problem możliwego odkupienia? Mniejsze zostało udowodnione przy pomocy większego.

Jakie różne cechy gwiazdozbiorów były kolejno rozważane? Różne barwy znamionujące różny stopień żywotności (biała, żółta, szkarłatna, jasnoczerwona, cynobrowa): ich stopnie jasności: ich wielkości widoczne gołym okiem, aż do 7 włącznie: ich położenie: Woźnica: droga Walsinghama: wóz Dawida: pasma pierścieni Saturna: zagęszczanie się mgławic spiralnych w słońca: wzajemnie zależne obroty podwójnych słońc: niezależne od siebie, równoczesne odkrycia Galileusza, Simona Mariusa, Piazziego, Le Verriera, Herschla, Gallego: próby systematyzacji sześciątów odległości i kwadratów czasu obrotu dokonanego przez Bodego i K-eplera: niemal nieskończona ściślliwość komet warkoczowych, ich rozległe

wyjściowe i powrotne orbity od perihelium do aphelium: gwiazdne pochodzenie meteorów: libijskie powodzie na Marsie, mniej więcej w czasie narodzin

492

młodsze astrologi: coroczne zjawisko deszczu meteorów, mniej więcej w okresie św. Laurentego (męczennika, 10 sierpnia): comiesięczne zjawisko znane jako młody księżyc ze starym księżycem w ramionach: uznany wpływ ciał niebieskich na ludzkie: pojawienie się gwiazdy (1.) wielkości o niezwyklej jasności, widocznej za dnia i w nocy (nowe, jaśniejące słońce, zrodzone ze zderzenia i połączenia się dwu rozjarzonych, nie świecących, byłych słońc), mniej więcej w czasie narodzin Williama Shakesp'eare'a ponad Deltą w rozłożystym, nie zachodzącym nigdy gwiazdozbiornie Kasjopei oraz gwiazdy (2.) wielkości tego samego pochodzenia, lecz o mniejszej jasności, która pojawiła się w i zniknęła z gwiazdozbioru Korona Północy mniej więcej w czasie narodzin Leopolda Blooma, oraz innych gwiazd (przypuszczalnie) tego samego pochodzenia, które (w rzeczywistości lub przypuszczalnie) pojawiły się w i zniknęły z gwiazdozbioru Andromedy mniej więcej w czasie narodzin Stefana Dedalusa oraz w i z gwiazdozbioru Woźnicy w pewną ilość lat po narodzinach i śmierci Rudolpha Blooma juniora oraz w i z innych konstelacji w pewną ilość lat przed i po narodzeniu lub śmierci innych osób: fenomeny towarzyszące zaćmieniom księżyca i słońca od zanurzenia się do wynurzenia, ustanie wiatru, przechodzenie cienia, zamilknięcie skrzydlatych stworzeń, pojawienie się zwierząt nocy i zmroku, uporczywość widmowego światła, ściemnienie wód na ziemi, bladeść istot ludzkich.

Jego (Blooma) logiczny wniosek po rozważeniu sprawy i dopuszczeniu możliwości omyłki?

Że nie było to drzewo niebiańskie, nie była to grota niebiańska, nie było to zwierzę niebiańskie, nie był to człowiek niebiański. Że była to Utopia, ponieważ nie istniała żadna znana metoda poznania nieznanego: że była to nieskończoność, którą równie dobrze można było uznać za skończoną dzięki przypuszczalnej możliwości apozycji jednego lub więcej ciał o takich samych jak i o różnych wielkościach:

ruchomość iluzorycznych kształtów znieruchomiałych w przestrzeni, uruchomionych ponownie w przestworzu: przeszłość, która prawdopodobnie przestała istnieć jako teraźniejszość, zanim jej przyszli widzowie rozpoczęli swe obecne prawdziwe istnienie.

Czy bardziej był przekonany o estetycznej wartości tego widoku? Niewątpliwie, dzięki przykładom ponawianym nieustannie przez poetów, znajdujących się w delirycznym szale przywiązania lub w poniżeniu odepchnięcia, którzy opiewali płomienne przychyłne gwiazdozbiory lub chłód satelity ich planety.

Czy przyjął wobec tego jako artykuł wiary teorię o astrologicznych wpływach na sublunarne katastrofy?

Wydawała mu się tak samo możliwa do udowodnienia jak do zbitcia, a nomenklatura zastosowana w jej scenograficznych mapach jako równie możliwa do przypisania sprawdzalnej intuicji jak też zwodniczej analogii; jezioro snów, morze deszczów, zatoka rosy, ocean obfitości.

Jakie szczególne powinowactwa istnieją, jak mu się wydawało, pomiędzy księżycem a kobietą?

Jego starożytność, która wyprzedzała i przeżywała kolejne pokolenia telluryczne:

493

jego przewaga nocą: jego satelicka zależność: jego odbijanie cudzego światła: jego stałość pośród zmiennych faz, wschodzenie i zachodzenie w z góry oznaczonym czasie, przybywanie i ubywanie, nieunikniona niezmienność wyglądu: jego nieokreślone odpowiedzi na nie zawierające stwierdzeń zapytania: jego władanie nad wodami przyływu i odpływu: jego moc nakazująca kochać, upokarzająca, oblekająca pięknnością, doprowadzająca do oblędu, zachęcająca do występku i wspomagająca występki: spokojna nieodgadnioność jego oblicza: straszliwość jego odosobnionej górującej nieposzlakowanej świetlistej bliskości: jego zwiastowanie burzy i ciszy: jego podniecający blask, jego ruch i jego obecność: przestroga jego kraterów, jego jałowe morza, jego milczenie: jego wspaniałość, gdy jest widoczny: jego przyciąganie, gdy jest niewidoczny.

Jaki widoczny, świetlny znak przyciągnął Blooma, który przyciągnął spojrzenie Stefana?

Na pierwszym piętrze (na tyłach) jego (Blooma) domu światło lampy naftowej ze stożkowym abażurem, którego cień padał na ekran opuszczonej rolety dostarczonej przez Franka o'Hara, producenta zasłon okiennych, karniszy i obrotowych okiennic, 16 Aungier Street.

Jak wyjaśnił obecność tajemniczej osoby, swojej żony Marion (Molly) Bloom, objawioną przez widomy wspaniały znak, lampę?

Za pomocą pośrednich i bezpośrednich słownych aluzji i stwierdzeń: za pomocą tłumionego uczucia i podziwu: za pomocą opisu: za pomocą jąkania się: za pomocą sugestii.

Czy obaj zamilkli później?

Zamilkli, a każdy przypatrywał się drugiemu odbitemu w obu zwierciadłach przeciwległych cielesnych ichjeroniejego wspólnotwarzy.

Czy pozostawali bez ruchu nieskończenie długo?

Na propozycję Stefana, podszeptaną przez Blooma, obaj, najpierw Stefan, później Bloom, oddali mocz w półmroku, stojąc ramię w ramię, a ich moczopłciowe organy były dla nich

nawzajem niewidoczne, dzięki osłonięciu zagiętymi w półkole dłońmi, spojrzenia ich, najpierw Blooma, później Stefana, uniosły się ku świetlistemu i na pół świetlistemu cieniowi.

Podobnie?

Trajektorie ich, najpierw kolejnego, później równoczesnego wytrysku moczu były niejednakowe: Blooma była dłuższa, mniej podrywana, w kształcie niepełnej, rozwidlonej przedostatniej litery alfabetu, a podczas jego pobytu w ostatniej klasie szkoły średniej (1880) posiadał zdolność do wzniesienia jej na największą wysokość, współzawodnicząc z połączonymi siłami całej tej instytucji, czyli 210 uczniami:

Stefana była wyższa, bardziej sycząca, gdyż podczas ostatnich godzin ubiegłego dnia spożycie przez niego moczopędnych napojów wzmocniło ciśnienie panujące w jego pęcherzu.

Jakie różne zagadnienia dotyczące niewidzialnego, słyszalnego, równoległego organu tego drugiego nasunęły się każdemu z nich?

494

Bloomowi: zagadnienia podrażnienia, nabrzmiewania, sztywności, wrażliwości, rozmiarów, aseptyki, twardości. Stefanowi: zagadnienie kapłańskiej nieskazitelności Jezusa Obrzezanego (1 stycznia, święto z obowiązkiem wysłuchania mszy i wstrzymania się od wszelkiej niekoniecznej pracy rąk) i zagadnienie, czy boski napletek, cielesna obrączka ślubna świętego rzymskokatolickiego apostolskiego Kościoła, przechowywany w Calcata, godny był zwykłej hyperdulii czy też latrii czwartego stopnia, przysługującej takim odciętym boskim narośłom jak włosy i paznokcie u nóg.

Jaki znak niebieski został zaobserwowany przez obu równocześnie? Gwiazda przelatująca z wielką, widoczną szybkością przez cały firmament, od

Wegi w Lirze, ponad zenitem, ponad grupą gwiazd w Warkoczu Bereniki i dalej

w stronę zodiakalnego znaku Lwa.

Jak dośrodkowy pozostający umożliwił wyjście odśrodkowego wychodzącemu? Przez wsunięcie trzona chropowatego męskiego klucza w dziurkę ruchomego żeńskiego zamka, dzięki impulsowi nadanemu kabłąkowi klucza przy przekręceniu go w kierunku z prawa w lewo, wyzwoleniu rygla z uchwytu, gwałtownemu pociągnięciu do wewnątrz rozklekotanych, chwiejących się na zawiasach drzwi i utworzeniu szpary dla swobodnego wyjścia i swobodnego wejścia.

Jak pożegnali się ze sobą, rozstając się?

Stojąc pionowo w tychże drzwiach, po dwu stronach ich progu, a linie ich żegnających się rąk spotkały się w jakimś punkcie i utworzyły jakiś kąt, mniejszy niż suma dwóch kątów prostych.

Jaki dźwięk towarzyszył połączeniu się w styczną, a później rozłączeniu ich odpowiednio odśrodkowej i dośrodkowej dłoni?

Głos wybijających nocną godzinę dzwonów kościoła Świętego Jerzego.

Jakie echa tego dźwięku były usłyszane przez nich obu razem i każdego z osobna? Przez Stefana:

Liliata rutiantium. Turma circumdet. lubilantium te virginum. Chorus excipiat.

Przez Blooma:

Hejho, hejho, Hejho, hejho.

Gdzie byli poszczególni członkowie tej grupy, która wraz z Bloomem tego dnia na wezwanie tego dzwonu wyruszyła z Sandymount na południu do Glasnevin na północy?

Martin Cunningham (w łóżku), Jack Power (w łóżku), Simon Dedalus (w łóżku), Tom Kernan (w łóżku), Ned Lambert (w łóżku), Joe Hynes (w łóżku), John Henry Menton (w łóżku), Bernard Corrigan (w łóżku), Patsy Dignam (w łóżku), Paddy Dignam (w grobie).

Samotny Bloom co usłyszał?

495

Podwójny odgłos odchodzących stóp na zniebazrodzonej ziemi, podwójną wibrację drumli w odbijającym echo zaułku.

Samotny Bloom co uczył?

Zimno przestrzeni międzygwiazdnej, tysiące stopni poniżej absolutnego zera Fahrenheita, Celsjusza lub Reaumura: pierwszą zapowiedź nadchodzącego świtu.

Kogo przypomniało mu owo bicie dzwonu, dotyk dłoni, odgłos stóp i dreszcz w samotności?

Towarzyszy zmarłych w różny sposób i w różnych miejscach: Percy Apjohna (poległego w bitwie, Modder River), Philipa Gilligana (gruźlica, szpital przy Jervis Street), Matthew F. Kane'a (przypadkowe utonięcie. Zatoka Dublińska), Philipa Moisela (pyaemia, Heytesbury Street), Michaela Harta (gruźlica, szpital Mater Misericordiae), Patricka Dignama (apopleksja, Sandymount).

Jaki widok jakiego fenomenu skłonił go do pozostania? Zniknięcie trzech ostatnich gwiazd, narastanie świtu, pojawienie się nowej tarczy słonecznej.

Czy kiedykolwiek był świadkiem tych fenomenów?

Raz w 1887 po przeciągającym się przedstawieniu żywych obrazów w domu Lukę Doyle'a w Kimmage wyczekiwał cierpliwie na pojawienie się tego dziennego fenomenu, siedząc na murze z oczyma zwróconymi w kierunku Mizry, wschodu.

Czy zapamiętał początkowe parafenomeny?

Bardziej orzeźwiające powietrze, porannego koguta w oddali, zegary kościelne z różnych miejsc, muzykę ptaków, samotne stąpanie wczesnego wędrowca, widzialne rozszerzanie się blasku niewidzialnego świecącego ciała, pierwsze złote ramię zmartwychwstającego słońca dostrzegalne niziuteńko nad widnokregiem.

Czy pozostał?

W głębokim natchnieniu zawrócił, przecinając ponownie ogród, wchodząc ponownie do korytarza, zamykając ponownie drzwi. Z krótkim westchnieniem ujął ponownie świecę, wszedł ponownie na schody, zbliżył się ponownie do drzwi frontowego pokoju na półpiętrze i wszedł tam ponownie.

Co niespodziewanie powstrzymało jego wejście?

Prawy wklęsły płat skroniowy jego czaszki zetknął się z trwałym drewnianym kantem czegoś, a po nieskończeniu małym, lecz dającym się odczuć ułamku sekundy wrażenie bólu ulokowało się w następstwie poprzednich wrażeń, zostało przekazane i zarejestrowane.

Opisz zmiany przeprowadzone w ustawieniu poszczególnych części umeblowania.

Otomana, obita śliwkowym pluszem, została przesunięta z naprzeciw drzwi do miejsca przy kominku w pobliżu ciasno zwiniętej flagi angielskiej (zmiana, którą często pragnął przeprowadzić): stół wykładany w szachownicę białą-błękitną majo-liką został ustawiony naprzeciw drzwi w miejscu opróżnionym przez śliwkową pluszową otomanę; orzechowy kredens (którego wystający kant powstrzymał

496

chwilowo jego wejście) został przesunięty ze swego położenia przy drzwiach w bardziej korzystne, lecz bardziej niebezpieczne miejsce naprzeciw drzwi: dwa krzesła zostały przesunięte z lewej i prawej strony kominka na miejsce uprzednio zajmowane przez białą-błękitny wykładany majoliką stół.

Opisz je.

Pierwsze: przesadzisty, wyściełany fotel z solidnymi, wysuniętymi ku przodowi poręczami i oparciem cofniętym ukośnie ku tyłowi; po gwałtownym przesunięciu miał on teraz podwiniętą frędzlę kwadratowej narzutki i ukazywał na swym szeroko wyściełonym siedzeniu wyblakłą okolicę środkową; wyblaknięcie to słabło i rozpraszało się po brzegach. Drugie: smukłe krzesło o wygiętych na zewnątrz nogach i połyskliwych krzywiznach prętów, ustawione dokładnie naprzeciw tamtego, od góry po siedzenie zapokostowane na ciemny brąz, natomiast siedzenie było jasnym kręgiem białej, plecionej trzciny.

Jakie znaczenie było przywiązane do tych dwu krzeseł? Znaczenie podobieństwa, ustawienia, symboliki, poszlakowe, świadectw super-manentnych.

Co zajmowało miejsce uprzednio zajmowane przez kredens? Pianino (Cadby) z odkrytą klawiaturą, a na jego zamkniętej trumnie spoczywała para długich żółtych damskich rękawiczek i szmaragdowa popielniczka zawierająca cztery wypalone zapalki, częściowo wypalonego papierosa i dwa poplamione niedopałki papierosów, pulpit jego podtrzymywał nuty w G naturalnym w układzie na głos i fortepian, Starej słodkiej pieśni miłosnej (słowa G. Clifton Bingham, muzyka J. L. Molly, śpiew Madame Antoinette Steriing), otwarte na ostatniej karcie z końcowymi wskazówkami ad libitum, forte, pedał, animato, wytrzymać, pedał, ritirando, koniec.

Z jakimi wrażeniami Bloom obracał się, rozmyślając o tych przedmiotach?

Z napięciem, podnosząc lichtarz: z bólem, czując na swej prawej skroni obrzęk po stłuczeniu: z uwagą, koncentrując spojrzenie na dużym, ciemnym, pasywnym i smukłym, jasnym, aktywnym: z skrzętnością, pochylając się i opuszczając zawiniętą frędzlę narzuty: z rozbawieniem, przypominając sobie Drą Malachi Mulligana schemat barw, zawierający stopniowanie zieleni: z przyjemnością, powtarzając słowa i poprzednią czynność oraz odczuwając różnymi przewodami wewnętrznej wrażliwości następujące i towarzyszące lekkie przyjemne rozpraszanie się stopniowego odbarwienia.

Jego następna czynność?

Z otwartego pudełka stojącego na wykładanym majoliką stole wyjął czarny malutki stożek, wysoki na jeden cal, oparł go na jego okrągłej podstawie, stawiając go na małym cynowym talerzyku, postawił świecę w prawym końcu występu nad kominkiem, wyjął z kamizelki złożoną kartkę prospektu (ilustrowanego), zatytułowanego Agendath Netaim, rozłożył go, zbadał powierzchownie, zwinął w cienki cylindryczny zwitek, zapalił od płomienia świecy, przyłożył po zapaleniu na wierzchołka stożka, trzymał, póki ten ostatni nie znalazł się w stanie rozżarze-

nią, położył zwitek na podstawce lichtarza, umieściwszy jego nie spaloną część w taki sposób, aby ułatwić całkowite spalanie.

Co nastąpiło po tej operacji?

Ścięty stożkowe wierzchołek krateru tego maleńkiego wulkanu wydzielił biegnący pionowo i wijący się węzowo dym, przesycony wonią aromatycznego wschodniego kadzidła.

Jakie homotetyczne przedmioty inne niż lichtarz stały na kominku? Zegar z żyłkowanego marmuru z Connemary, który stanął o godzinie 4.46 rano w dniu 21 marca 1896, prezent ślubny od Matthew Diiona: karłowate drzewko, wykonane jak gdyby z lodu, nakryte przezroczystym kloszem, prezent ślubny od Lukę i Caroline Doyle'ów: wypchana sowa, prezent ślubny od starszego radnego miejskiego Johna Hoopera.

Jaka wymiana spojrzeń miała miejsce pomiędzy tymi trzema przedmiotami i Bloomem?

W lustrzanej powierzchni zwierciadła o złotych ramach, stanowiącego ozdobę kominka, nie ozdobiona tylna strona karłowatego drzewka wpatrywała się w wyprostowany grzbiet wypchanej sowy. Stojący przed zwierciadłem prezent ślubny od starszego radnego miejskiego Johna Hoopera czystym melancholijnym mądrym jasnym nieruchomym litościwym spojrzeniem wpatrywał się w Blooma, podczas gdy Bloom przyćmionym spokojnym głębokim nieruchomym spojrzeniem, w którym była litość, wpatrywał się w prezent ślubny od Lukę i Caroline Doyle'ów.

Jaki złożony, asymetryczny wizerunek w zwierciadle zajął wówczas jego uwagę?

Wizerunek samotnego (ipsorelatywnie) zmiennego (aliorelatywnie) człowieka.

Dlaczego samotnego (ipsorelatywnie)?

Nie miał on siostry ni brata żadnego, Lecz ojciec tamtego był synem dziadka jego.

Dlaczego zmiennego (aliorelatywnie)?

Od dzieciństwa do chwili osiągnięcia wieku dojrzałego przypominał swą rodzicielkę. Od osiągnięcia wieku dojrzałego do starości będzie coraz bardziej przypominał swego rodziciela.

Jakie ostateczne wrażenie wzrokowe zostało mu przekazane przez zwierciadło? Optyczne odbicie na dwu półkach naprzeciw pewnej ilości odwróconych tomów, nieporządknie ustawionych i nie w alfabetycznej kolejności ich lśniących tytułów.

Skataloguj te książki.

Dubliński Przewodnik Adresowy Thoma, 1886.

Dennis Florence M'Carthy, Dzielą poetyckie (z liściem buku o barwie miedzi jako zakładką na s. 5).

Dzielą Shakespeare'a (ciemnoszkarłatny safian, złoto wytłaczane).

498

Użyteczny, Natychmiastowy Kalkulator (brązowe płótno).

Sekretna Historia Dworu Karola II (czerwone płótno, okładka tłoczona).

Przewodnik Dziecięcy (niebieskie płótno).

Gdy Byliśmy Chłopcami przez Williama o'Briena Członka Parlamentu (zielone płótno, nieco wyblakłe, zakładka z koperty na s.217).

Myśli Wybrane Spinozy (skóra o barwie kasztana).

Historia Niebios przez sir Roberta Balia (niebieskie płótno).

Ellisa Trzy Podróże na Madagaskar (brązowe płótno, tytuł zatarty).

Listy Starka-Munro przez A. Conan Doyle'a, własność Biblioteki Publicznej miasta Dublina, 106 Capel Street, wypożyczona 21 maja (wigilia Zielonych Świątek) 1904, do zwrotu 4 czerwca 1904, przetrzymana 13 dni (czarna płócienna okładka, opatrzona białą literowo-cyfrową etykietą).

Wędrówki po Chinach przez "Viatora" (obłożone w brązowy papier, tytuł czerwonym atramentem).

Filozofia Talmudu (broszura).

Lockarta Życie Napoleona (brak okładki, uwagi na marginesach, pomniejszające zwycięstwa, wyolbrzymiające klęski bohatera książki).

Soli wid Haben przez Gustaya Freytaga (czarne, sztywne okładki, gotyckie litery, kupon premiowy z pudełka papierosów jako zakładka na s. 24).

Hoziera Historia Wojny Rosyjsko-Tureckiej (brązowe płótno, 2 tomy, z naklejką nalepioną na odwrocie okładki, Biblioteka Garnizonowa, Governor's Parade Gibraltar).

Laurence Bloomfield w Irlandii przez Williama Allinghama (drugie wydanie, zielone płótno, z odcisniętą złożoną koniczyną, nazwisko poprzedniego właściciela wymazane z pustej kartki przed kartą tytułową).

Podręcznik Astronomii (sztywne okładki, brązowa skóra, odklejająca się, 5 plansz, tekst drukowany antykwą i garmontem, przypisy autora nonparelem, wskazówki na marginesach petitem, nagłówki rozdziałów pismem u punktowym).

Utajone Życie Chrystusa (czarne sztywne okładki).

W Ślad za Słońcem (żółte płótno, brak strony tytułowej, tytuł powtarza się ponad każdą stronicą).

Silą Fizyczna i Jak Ją Zdobyć przez Eugene Sandowa (czerwone płótno).

Krótkie lecz Jasno Wyłożone Zasady Jeometrii napisane po francusku przez F. Ignat. Pardiesa i na angielski przełożone przez Johna Harrisa D. D. Londyn, a drukiem wydane dla R. Knaplocka w Bifhop's Head, MDCCXI, z przeżłaniem dedykowanem jego Czcigodnemu Przyjacielowi Charlesowi Coxowi, fzlachetnie urodzonemu. Posłowi do Parlamentu z wolnego miasta Southwark i mające na wolnej kartce wykaligraflowane stwierdzenie, że książka ta była własnością Michae-la Gallaghera, datę 10 dnia miesiąca maja 1822 i prośbę do osoby, która by ją odnalazła, gdyby kfiążka ta zagubiła fię lub zoftała gdzie zarzucona, aby przywróciła ją Michaelowi Gallagherowi, ftolarzowi, Dufery Gate, Ennifcorthy, hrabftwo Wicklow, naj piękniej fze miejfce na fwiecie.

Jakie rozmyślania zajmowały jego umysł podczas czynności odwracania od-499

wróconych tomów na powrót?

Konieczność zachowywania porządku, miejsce dla wszystkiego i wszystko na swoim miejscu: niedostateczne zrozumienie dla literatury objawiane przez kobiety:

niestosowność jabłka wtłoczonego do kubka i parasolki ociekającej w muszli klozetowej: niebezpieczeństwo związane z ukryciem jakiegokolwiek tajnego dokumentu za, pod i pomiędzy kartkami książki.

Który tom był największy z wszystkich? Hoziera Historia Wojny Rosyjsko-Tureckiej.

Co pomiędzy innymi danymi zawierał drugi tom tego dzieła? Nazwę rozstrzygającej bitwy (zapomnianą), często rozpamiętywaną przez rozstrzygającego oficera, majora Briana Coopera Tweedy (zapamiętanego).

Dlaczego, po pierwsze i po drugie, nie zasięgnął rady wzmiankowanego dzieła?

Po pierwsze, dlatego żeby ćwiczyć mnemotechnikę: po drugie, ponieważ po chwilowej pauzie wywołanej amnezją, gdy zasiadł przy głównym stole, chcąc zajrzeć do wzmiankowanego dzieła, przypomniał sobie, dzięki mnemotechnice, nazwę miejsca, gdzie odbyło się to starcie bitewne, Plewna.

Co sprawiło mu ulgę w owej pozycji siedzącej?

Otwartość, nagość, poza, spokój, młodość, wdzięk, płęć, dyskrecja posążka stojącego pośrodku stołu, wizerunku Narcyza zakupionego na licytacji u P. A. Wrena, 9 Bachelor's Walk.

Co sprawiło, że drażniła go pozycja siedząca?

Tamujący ucisk kołnierzyka (numer 17) i kamizelki (5 guzików), dwóch części ubioru zbytecznych w stroju dorosłego mężczyzny i nie poddających się zmianom objętości rozszerzającej się masy.

Jak uśmierzone zostało podrażnienie?

Zdjął z szyi kołnierzyk, zawierający czarny krawat i składaną spinę, i odłożył go na miejsce po lewej stronie stołu. Rozpiął kolejno w odwrotnym kierunku kamizelkę, spodnie, koszulę i podkoszulek, wzdłuż środkowej linii nieregularnie zarośniętej kręconymi czarnymi włosami schodzącymi się trójkątnie z okolic miednicy ku okręgowi brzucha i w rowek pępkowy, wzdłuż środkowej linii guzków kostnych, aż do punktu przecięcia z szóstym kręgiem piersiowym, a stamtąd rozchodziły się w obie strony pod prostym kątem i kończyły dwoma kręgami opisanymi wokół dwu równoległych punktów, prawego i lewego, na wierzchołkach wypukłości piersiowych. Odpiął kolejno każdy z sześciu mniej jeden guzików szelek przy spodniach, ułożonych parami, z których jedna była niepełna.

Jakie nastąpiły odruchowe działania?

W lewym rejonie, poniżej przepony, ścisnął z palcami ciało otaczające bliznę, która powstała z ukłucia żądłem zadanego 2 tygodnie i 3 dni wcześniej (23 maja 1904) przez pszczołę. Prawą dłoń podrapał nieprecyzyjnie, choć nie czuł swędzenia, różne punkty i powierzchnie swej częściowo odsłoniętej i całkowicie obmytej skóry. Wsunął lewą dłoń w lewą dolną kieszonkę kamizelki i wyciągnął z niej,

500

a później wsunął z powrotem srebrną monetę (1 szyling) włożoną tam (przypuszczalnie) z okazji (17 października 1903) pogrzebu pani Emiły Sinico, Sydney Parade.

Zestaw budżet na 16 czerwca 1904.

Wydatki

Dochody

Gotówką

Prowizja otrzymana z Gazety Człowieka Wolnego

Pożyczka (Stefana Dedalus)...

F.s.p. I Nerka ' o. o. 3

F.s.p. o. 4. 9

l. 7. 6 l. 7. O

l Egzemplarz Gazety Człowieka Wolnego o. o. l

l Kąpiel i napiwek o. l. 6

l Przejazd tramwajem o. o. l

1 In Memoriam Patrick Dig-nam o. 5. O

2 Paszteciki banbury o. o. l

l Lunch o. o. 7

l Odnowienie abonamentu w

bibliotece o. l. O

l Paczka papieru listowego

plus koperty o. o. 2

l Obiad i napiwek o. 2. O

l Przekaz pocztowy i znaczek o. 2. 8

l Przejazd tramwajem o. o. l

l Nóżka wieprzowa o. o. 4

l Ratka barania o. o. 3

l Cake'a tabliczka zwykłej

czekolady o. o. l

Chleb z formy na proszku do

pieczenia o. o. 4

l Kawa i słodka bułka o. o. 4

Pożyczka (Stefan Dedalus)

(zwrot) l. 7. O

pozostało o.17. 5

F. 2.19. 3

F. 2.19.3

Czy ta czynność pozbawiania się ubioru trwała dalej?

Czując łagodny, uporczywy ból w podeszwach stóp, wyciągnął nogę i przekręciwszy stopę bokiem przyjrzał się fałdom, wypukłościom i guzom, spowodowanym przez nacisk stopy podczas powtarzających się wędrówek w wielu różnych kierunkach, później, pochylony, rozwiązał supły sznurowadeł, odhaczył i rozluźnił sznurowadła, zdjął kolejno oba buty po raz drugi, zdjął nieco wilgotną prawą skarpetkę, w której przedniej części koniec wielkiego palca znowu uczynił wyłom, uniósł prawą stopę i odpiąwszy haczyk purpurowej elastycznej podwiązki, zdjął prawą skarpetkę, postawił obnażoną prawą stopę na krawędzi siedzenia krzesła, zaczął dłubać i delikatnie szarpać wystającą część paznokcia wielkiego palca u nogi, uniósł oderwany skrawek ku nozdrzom

507

i wciągnął woń żywego ciała spod paznokcia, a potem z zadowoleniem odrzucił oderwany kawałek paznokcia.

Dlaczego z zadowoleniem?

Ponieważ wdychana woń podobna była do woni innych kawałków paznokci, w których dłubał i które odrywał kawaler Bloom, uczeń przedszkola pani Ellis, cierpliwie, co noc, podczas krótkiej czynności klęknięcia, wieczornej modlitwy i ambitnych marzeń.

W jakiej ostatecznej ambicji zbiegły się teraz wszystkie inne równoczesne i kolejne ambicje?

Nie, aby odziedziczyć prawem pierworództwa, tenuty zobowiązującej do równego podziału własności lub minoratu czy też by otrzymać w wieczystą dzierżawę rozległe dobra o dostatecznej ilości akrów, ćwierćakrów i prętów o ustawowych wymiarach (szacowanych po 42 funty) torfiastych pastwisk otaczających siedzibę baronii z domkiem odźwiernego, z podjazdem dla karet ani, z drugiej strony, aby posiadać dom z tarasami lub willę określaną jako Ruś in Urbe lub Qui si Sana, lecz by kupić na podstawie prywatnej umowy na dziedziczną własność kryty strzechą piętrowy dom mieszkalny w kształcie bungalowu spoglądający na południe, uwieńczony chorągiewką i uziem-nionym piorunochronem, mający ganek okryty pnączami (bluszczem i dzikim winem), drzwi wejściowe oliwkowozielone z piękną politurą jak w karoserii powozu i lśniącymi mosiężnymi okuciami, stiukowy fronton z połączanymi maswerkami u okapu i na szczycie, wznoszący się, jeśli to

możliwe, na łagodnej wyniosłości, z przyjemnym widokiem z balkonu o kamiennej filarkowej balustradzie na nie zajęte teraz i w przyszłości przyległe pastwiska, i stojący pośród 5 do 6 akrów własnego ogrodu w takiej odległości od najbliższej publicznej drogi, aby światła domu tego mogły być widoczne nocą ponad i poprzez przyszyty zgodnie z sztuką ozdobnego strzyżenia grabowy żywopłot, a usytuowany w miejscu, które znajdowałoby się nie mniej niż o jedną ustawową milę od peryferii stolicy, a w granicach czasu nie większych niż pięć minut odległości od tramwaju lub pociągu (np. Dundrum, na południu, lub Sutton, na północy, gdyż obie te miejscowości, jak mówią sprawdzone świadectwa, przypominają bieguny ziemskie tym, że posiadają klimat sprzyjający osobom podatnym na gruźlicę), a nieruchomości ta winna być posiadana na podstawie aktu o dziedzicznym nadawaniu ziemi, jako 999-letnia dzierżawa, całość obejścia winna składać się z 1 salonu z oknem umieszczonym w wykuszu (dwułukowym), z przymocowanym tam na stałe termometrem, z 1 saloniku, 4 sypialni, 2 pokoiów dla służby, kuchni wykładanej kafelkami, z piekarnikiem i wnęką do mycia naczyń, rozległego hallu zabudowanego ściennymi szafami na bieliznę i segmentową biblioteką z palonego dębu zawierającą Encyclopaedia Britannica i New Century Dictionary, z zawieszoną w nim poziomo nie nadającą się już do użytku starożytną bronią, średniowieczną i wschodnią, mieszczącego gong obiadowy, lampę alabastrową w kształcie zwisającej półkuli, ebonitowy telefon automatyczny z książką telefoniczną, ręcznie wykonany kobierzec z Axminster o kremowym tle i kratkowanym obramowaniu, stolik do gry w lu, na kolumie, posiadający nogi zakończone pazurami, kominek z masywną mosiężną kratą i chronometrem z połączanego brązu, gwarantowanym czasomierzem

502

o kurancie naśladowującym kurant katedry, barometr z mapą hydrograficzną, wygodne kanapki, a w narożnikach trójkątne foteliki obite rubinowym pluszem i mające dobre sprężyny oraz zagłębienia pośrodku, trzyczęściowy japoński parawan i spluwaczki (w klubowym stylu, bogata skóra o barwie wina, połysk odnawia się przy minimalnym nakładzie pracy, używając lnianego pokostu i octu), i piramidalny pryzmatyczny zawieszony pośrodku kandelabr, drążek z giętego drewna, a na nim oswojona tak, że siądzie na palcu, papuga (mówiąca rzeczy przyzwoite), tłoczone tapety po 10 szylingów tuzin z poprzecznymi motywami girland czerwonych kwiatów, uwieńczone pasem fryzu u góry, klatkę schodową, która posiadałaby trzy powiązane z sobą ciągi, zakręcające pod kątem prostym, wykonane z polituowanego jasnego dębu, powierzchnia stopni i podstępnie, słupy podpierające poręcz, balustradę i poręcz, a wzdłuż schodów na ścianie idąca w górę boazeria z płytek pokryta woskiem kamforowym, łazienka z zimną i gorącą wodą bieżącą, z wanną i tuszem: waterklozet na półpiętrze, wyposażony w matowe jednotaflowe, owalne okno, siedzenie z podnoszoną automatycznie deską, kinkiet, mosiężny łańcuszek i rączkę do spuszczenia wody, oparcia dla ramion, podnózek i artystyczny oleodruk na wewnętrznej stronie drzwi:

ditto, skromne: pomieszczenia dla służby z osobnymi urządzeniami sanitarno-higienicznymi, dla kucharki, pokojówki i dziewczyny do wszystkiego (uposażenie wzrastające o dwa funty po każdym dwu przepracowanych latach, wraz z corocznym ubezpieczeniem za lata wiernej służby (1 funt), i emerytalnym uposażeniem (opartym na granicy 65 roku życia) po 30 latach pracy), spiżarnia, spiżarka, schowek, lodówka, dodatkowe pomieszczenia, piwnica na węgiel i drzewo z pomieszczeniem na wino (wina musujące i niemusujące) dla znamienitszych gości, gdyby przybyli, zaproszeni na obiad (strój wieczorowy), oświetlenie gazem węglowym w całym budynku.

Jakie dodatkowe atrakcje mogłyby się znajdować na terenie posiadłości? Jako dodatek, kort do gry w tenisa i odbijankę, kępa dobranych krzewów, szklana oranżeria z podzwrotnikowymi palmami, zaopatrzona w najlepsze wyposażenie botaniczne, sztuczna skała z wodotryskiem, ul urządzony na zasadach ludzkich, owalne klomby pośród prostokątnych trawników, wysadzone ekscentrycznymi elipsami szkarłatnych i żółtych tulipanów, błękitnymi cebulicami, krokusami, prymulkami, brodatymi goździkami, groszkiem pachnącym, konwalią (cebulki można otrzymać od sir Jamesa W. Mackey (z ograniczoną odpowiedzialnością) [hurt i detal], sprzedawcy nasion, cebulek i szczepów, właściciela szkółki drzew, przedstawiciela fabryki nawozów chemicznych, 23 Upper Sackville Street), sad, ogródek warzywny i winnica, chronione przeciw bezprawnemu wkraczaniu do nich obwodem muru wysypanego na szczycie tłuczonym szkłem, szopa z kłódką dla wielu zinwentaryzowanych narzędzi.

Jakich?

Sidla na węgorze, wężerze na homary, wędki do łowienia ryb, siekiera, waga pozioma, osetka, walec do ubijania, kosiarka i wiążałka, worek na owies, wysuwana drabina, grabie 10-zębne, drewniaki, roztrzaskałka siana, widły, sekatory do obcinania gałęzi, kubeł do farby, pędzel, graca i tak dalej.

503

Jakie udoskonalenia można by wprowadzić później?

Królikarnia, wybieg dla ptactwa, gołębnik, cieplarnia, 2 hamaki (pana i pani), zegar słoneczny osłonięty i ukryty w krzakach szczodrzenia i bzu, egzotycznie harmonicznie nastrojony japoński dzwonek przy bramie, przytwierdzony do lewego bocznego słupa podtrzymującego skrzydło bramy, pojemna beczka z wodą, maszyna do strzyżenia trawników, wyrzucająca żdźbła z boku i mająca pudełko do zbierania tychże żdźbeł, spryskiwacz trawników zaopatrzony w wąż hydrauliczny.

Jakie ułatwienia komunikacyjne były pożądane?

Gdy w kierunku miasta, częste połączenia kolejowe lub tramwajowe z ich bądź to przystankami na linii, bądź też pętlą końcową. Gdy w kierunku wsi, welocypedy, bezańcuchowy o wolnym kole rower z małą przyczepą z wikliny lub pojazd ciągniony, osiołek przy wiklinowej dwukółce lub zgrabny faeton z pracowitym mocnokopytnym kucem (srokatym wałachem wysokim na 14 dłoni).

Jak by mogła brzmieć nazwa tej budującej się lub wybudowanej już rezydencji? Chatka Blooma. Posiadłość Saint Leopold. K-wiatogród.

Czy Bloom spod numeru 7 przy Eccies Street mógł wyobrazić sobie Blooma z Kwiatogrodu?

W luźnym ubraniu z czystej wełny i czapce z harńsowskiego tweedu, cena 8 szylingów i 6 pensów, w wygodnych ogrodowych trzewikach z elastycznymi wstawkami i z polewaczką, zasadzającego równym rzędem młode jodełki, spryskującego, przycinającego, podpierającego palikami, siejącego trawę, pchającego wyładowane chwastami taczki bez zbytniego przemęczania się o zachodzie słońca pośród woni świeżo skoszonego siana, meliorującego glebę, mnożącego wiedzę, uzyskującego długowieczność.

Jaki program poszukiwań intelektualnych był równocześnie możliwy? Fotografia migawkowa, porównawcze studia nad religiami, nad zależnością

folkloru od różnych miłosnych i zabobonnych praktyk, kontemplacja niebieskich

gwiazdozbiorów.

Jakie lżejsze rozrywki?

Poza domem: ogród i praca w polu, jazda na rowerze po równych bitych drogach, wjazdy na umiarkowane wzniesione pagórki, pływanie w leżących na uboczu zbiornikach bieżących wód i spokojne wiosłowanie po rzece w bezpiecznej płaskodennej łodzi albo w lekkim wywrotnym czółnie z żelazną chwytną kotwicą, na odcinkach wolnych od jazów i bystrych spadków (w okresie snu letniego), wieczorne przechadzki lub objazd wierzchem dla zlustrowania jałowego krajobrazu i kontrastowo miłych dymów z ognisk torfowych rozpalanych przez wieśniaków (okres snu zimowego). W domu rozmowy pośród letniego spokoju o nie rozwikłanych historycznych i kryminalnych zagadkach: lektura nie poskracanych egzotycznych erotycznych arcydzieł: stolarka domowa z pudłem narzędzi, zawierającym młotek, szydło, gwoździe, śrubki, blaszane gwoździki tapicerskie, świder, szczypce, strug z zaokrąglonym przodem i śrubokręt.

Czy mógłby stać się gentlemanem-farmerem, producentem zbóż i hodowcą żywej trzody?

Nie było to niemożliwe, jeśli się posiadało 1 lub 2 superdobre krowy, jeden stóg górskiego siana i potrzebne narzędzia gospodarskie, np. poziomą ubijarkę do masła, maszynę do miazdzenia rzepy etc.

Jakie byłyby jego obywatelskie obowiązki i położenie towarzyskie pośród rodzin ziemiańskich i wiejskiej szlachty?

Zależne od jego umiejętności wspięcia się na kolejne szczeble hierarchicznego porządku: ogrodnik, robotnik rolny, hodowca roślin, hodowca bydła, a w zenicie kariery sędzia lub sędzia pokoju z klejnotem rodzinnym, tarczą herbową i stosowną klasyczną dewizą (*Semper paratus*), zapisaną jak należy w księdze szlachty miejscowej (Bloom, Leopold P., Poseł do Parlamentu, Tajny Radca, Kawaler Orderu Św. Patricka, Doktor Praw honoris causa, Bloonwille, Dundrum) i byłby wymieniany w rubryce wiadomości sądowych i towarzyskich (państwo Leopoldstwo Bloomo-wie opuścili Kingstown udając się do Anglii).

Jaki rodzaj postępowania nakreślił sobie dla tego rodzaju stanowiska? Rodzaj postępowania znajdujący się pomiędzy przesadną łagodnością a nadmierną surowością: w heterogenicznym społeczeństwie złożonym ze sztucznie u-tworzonych klas, nieustannie przegrupowywanym na skutek większych lub mniejszych nierówności społecznych, sprawowanie bezstronnej homogenicznej bezspornej sprawiedliwości, łagodzonej najszerzej pojętymi czynnikami wyrozumiałości, lecz wymiernej co do jednej ćwiarteczki pensa aż do konfiskaty dóbr ruchomych i nieruchomych włącznie na rzecz Korony. Wierny najwyższej ustanowionej władzy w kraju, powodowany wrodzoną miłością prawości, miałby za cel ściśle przestrzeganie porządku publicznego, karanie wielu nadużyć, choć nie wszystkich równocześnie (każda reforma lub ograniczenie musiałyby stać się jedynie wstępnym rozwiązaniem, które ma się mieścić dzięki poszerzeniu w ostatecznym rozwiązaniu), zachowywanie litery prawa (zwyczajowego, pisanego i handlowego) wobec wszystkich pozostających w znowie i wykraczających czynnie przeciw przepisom i zarządzeniom, wobec wszystkich wskrzeszających prawa feudalne (przez przekraczanie granic prywatnych posiadłości i kradzież chrustu), unieważnione dzięki przedawnieniu, wobec wszystkich napuszonych międzynarodowych podżegaczy, wobec wszystkich siewców nienawiści pomiędzy narodami, wobec wszystkich nędznych zatrutowych spokoju domowego, wobec wszystkich gwałcicieli szczęścia ogniska domowego.

Udowodnij, że kochał prawość od najwcześniejszej młodości. Percy'emu Apjohnowi zwierzył się w szkole średniej w 1880 ze swej niewiary w doktrynę Irlandzkiego (protestanckiego) Kościoła (na którego łono ojciec jego, Rudolf Virag, później Rudolph Bloom, nawrócił się z wiary i obrządku izraelskiego w 1865 za pośrednictwem Stowarzyszenia do Rozkrzewiania Chrześcijaństwa wśród żydów) i wyrzekł się jej później na rzecz rzymskiego katolicyzmu w okresie nadchodzącego małżeństwa i z myślą o tym małżeństwie, w 1888. Danielowi Magrane i Francisowi Wadę w 1882 w okresie młodości przyjaźni (zakończonych przedwczesną emigracją tego pierwszego) zalecał podczas wieczornych przecha-

dzek polityczną teorię kolonialnej (np. kanadyjskiej) ekspansji i ewolucyjne teorie Charlesa Darwina, wyłożone w Pochodzeniu człowieka i Pochodzeniu gatunków. W 1885 publicznie wyraził swe przystąpienie do kolektywnego ekonomicznego programu zalecanego przez Jamesa Fintana Lalora, Johna Fishera Murraya, Johna Mitchela, J. F. X. o'Briena i innych, do programu agrarnej polityki Michaela Davitta, do konstytucyjnej agitacji Charlesa Stewarta Parnella (Członek Parlamentu z Cork City), do programu pokoju, ograniczeń i reform Williama Ewarta Gladstone'a (Członek Parlamentu z okręgu Midlothian, Anglia Północna), aby podtrzymać swe polityczne przekonanie, wspiał się na bezpieczne miejsce pośród konarów drzewa na Northumberland Road, chcąc ujrzeć wejście do stolicy (2 lutego 1888) demonstracyjnego pochodu 20000 ludzi z pochodniami, podzielonego na 120 oddziałów poszczególnych cechów rzemieślniczych, niosących 2000 pochodni i eskortujących markiza Riponu i Johna Morleya.

Ile i jak chciał zapłacić za swą wiejską rezydencję?

Zgodnie z projektem Pracowitego Zagranicznego Zaaklimatyzowanego Unarodowionego Przyjacielskiego Subsydiowanego przez Państwo Stowarzyszenia Budowlanego (zarejestrowanego w 1874) co najwyżej 60 funtów rocznie, będących 1/6 pewnego dochodu otrzymanego z obligacji państwowych, dających 5% odsetek zwykłych z kapitału 1200 funtów (wartość zakupu płatna w ciągu 20 lat), z których 1/3 miała być zapłacona w chwili nabycia, a pozostała suma w formie rocznego komornego, czyli 800 funtów plus 2 1/2 procent z nich spłacanych kwartalnie w równych rocznych ratach, póki na skutek wygaśnięcia amortyzowania nie nastąpi zwrot zaliczki danej na zakup, co nastąpi po okresie lat 20, stanowiąc roczne komorne w wysokości 64 funtów, włączywszy w to czynsz z nieruchomości, a tytuły własności pozostaną w posiadaniu zaliczkodawcy lub zaliczkodawców wraz z klauzulą zastrzegającą, przewidującą przymusową sprzedaż, pozbawienie prawa wykupu i wzajemną wypłatę odszkodowania w wypadku przedłużającej się nadmiernej niemożności spłaty na warunkach tu spisanych, jeśli tak się nie stanie, dom mieszkalny wraz z przyległościami stanie się zupełną własnością lokatora w chwili upływu lat zastrzeżonych umową.

Jakie szybkie, lecz niepewne sposoby wzbogacenia się mogły ułatwić natychmiastowe kupno?

Prywatny telegraf bez drutu, który przy pomocy systemu kropek i kresek przekazałby wyniki narodowej nagrody w gonitwie koni (płaskiej lub z płotami) na 1 lub więcej mil i kilkuset jardów, wygranej przez fuksa, za którego płacono by 50 do 1, o godzinie 3 minut 8 po południu w Ascot (czasu Greenwich), a wiadomość ta zostałaby odebrana i dałaby się zużytkować dla poczynienia zakładów w Dublinie o godzinie 2.59 po południu (czasu Dunsink). Niespodziewane znalezienie przedmiotu o wielkiej wartości pieniężnej: drogiego

kamienia, wartościowych czystych lub stemplowanych znaczków pocztowych (7 szylingowy, lila, cięty, Hamburg 1866: 4 pensowy, różowy na błękitnym papierze, ząbkowany. Wielka Brytania 1855: 1 frankowy, ciemnoszary, urzędowy, nacinany, z ukośnym nadrukiem, Luksemburg 1878), starożytnego pierścienia dynastycznego, unikatowego zabytku

506

w niezwykłym ukryciu lub niecodziennych okolicznościach: z powietrza (upuszczony przez lecącego orła), z ognia (pośród zwęglonych zgłiszcz spalonego gmachu). w morzu (pośród pływających resztek odpadków, towarów wyrzuconych za burtę. szczątków wraków), na ziemi (w żołądku jadalnego ptaka). W darze od hiszpańskiego więźnia daleko ukryte skarby w kosztownościach, monetach lub sztabach złota, złożone w wypłacalnym towarzystwie bankowym 100 lat temu na 5% składane odsetki z ogólnej sumy 5.000.000 funt. szt. (pięciu milionów funtów szterlingów). Umowa z nieroztropnym kontrahentem na przesłanie 32 przesyłek jakiegoś wskazanego towaru, płatnego gotówką przy odbiorze, początkowo z dyskontem $1/4$ pensa, z powiększeniem płatności w postępie geometrycznym $2(1/4$ pensa, $1/2$ pensa, 1 pens, 2 pensy, 4 pensy, 8 pensów, 1 szyling i 4 pensy, 2 szylingi i 8 pensów, aż do 32 przesyłki). Przygotowany już system, oparty na badaniach prawa prawdopodobieństwa, dla rozbitcia banku w Monte Carlo. Rozwiązanie odwiecznego problemu kwadratury koła, nagroda rządowa 1.000.000 funtów szterlingów.

Czy rozległe bogactwa były możliwe do zdobycia dzięki przedsięwzięciom przemysłowym?

Użyźnianie dunamów, czyli jałowych, piaszczystych gruntów, zaproponowane w prospekcie Agendath Netaim, Bleibtreustrasse, Berlin, W. 15, dzięki założeniu tam plantacji pomarańczy, pól melonów i ponownemu zalesieniu. Zużytkowanie niepotrzebnego papieru, skóry gryzoni żyjących w kanałach, ludzkiego kału, posiadającego walory chemiczne, w związku z ogromną produkcją pierwszego, wielkiej liczby drugich i niezmiernej ilości trzeciego, jeżeli zważy się, że każda normalna istota ludzka o przeciętnej żywotności i apetycie produkuje rocznie, odrzuciwszy wodniste produkty uboczne, łącznie około 40 kilogramów (przy mieszanej mięsożernej i trawożernej diecie) i pomnoży się to z kolei przez 4.386.035, czyli przez całą ludność Irlandii zgodnie z wynikami spisu ludności w 1901.

Czy istniały bardziej rozległe projekty?

Projekt, który miał zostać sformułowany i przedstawiony do zatwierdzenia członkom portowej komisji do spraw eksploatacji białego węgla (siły hydraulicznej), uzyskiwanego przez hydroelektrownię umieszczoną w miejscu najwyższego przypływu na dublińskiej zaporze albo u szczytu wodospadów w Poulaphouca lub Powerscourt lub też przy zlewiskach głównych dróg wodnych, dla otrzymania ekonomicznej produkcji 500.000 hydrokilowatów elektryczności. Projekt zamknięcia półwyspowej delty North Buli w Dollyrmount i wybudowania na przylądku, przeznaczonym obecnie na pole golfowe i

strzelnicę, asfaltowej esplanady z kasynami, kioskami, budami strzelniczymi, hotelami, pensjonatami, czytelniami, urządzeniami do wspólnych męskich i damskich kąpiei. Projekt użycia psich zaprzęgów i kozich zaprzęgów dla wczesnego dostarczania porannego mleka. Projekt rozwoju irlandzkiego ruchu turystycznego w Dublinie i naokół Dublina przez wprowadzenie poruszanych benzyną łodzi rzecznych, kursujących na drodze wodnej pomiędzy Island Bridge a Ringsend, omnibusów, wąskotorowych podmiejskich kolejek wycieczkowych i parowców dla przybrzeżnej żeglugi [10 szylingów dziennie od osoby, przewodnik (trójjęzyczny) włączony w cenę kosztów]. Projekt odrodzenia pasażerskiej i towarowej komunikacji na drogach wodnych Irlandii, gdy zostaną one

507

oczyszczone z wodorostów. Projekt połączenia Targowiska Bydłęcego (North Circular Road i Prussia Street) z nadbrzeżami (Sheriff Street Lower i East Wali) linią tramwajową równoległą do linii średnicowej położonej (w powiązaniu z liniami kolei Great Southern i Western) pomiędzy Targowiskiem Bydłęcym, węzłem kolejowym Liffey i końcową stacją kolejową linii Midland Great Western, 43 do 45 North Wali w pobliżu krańcowych stacji lub dublińskich odnóg linii kolejowych Great Central Railway, Midland Railway of England, City of Dublin Steam Packet Company, Lancashire Yorkshire Railway Company, Dublin & Glasgow Steam Packet Company, Glasgow Dublin & Londonderry Steam Packet Company (linia Laird), British & Irish Steam Packet Company, Dublin & Morecambe Steamers, London & North Western Railway Company, magazynów Izby Portu i Stoczni Dublińskiej oraz magazynów tranzytowych firmy Palgrave, Murphy & Company, właścicieli parowców i agentów dla parowców z Morza Śródziemnego, Hiszpanii, Portugalii, Francji, Belgii i Holandii, oraz transportu zwierząt, a dodatkowe mile obsługiwane przez Zjednoczone Towarzystwo Tramwajów Dublińskich, z ograniczoną odpowiedzialnością, powinny być opłacane z prowizji hodowców bydła.

Przyjmując tego rodzaju protasis, czy kontrakt zawarty na tak wiele projektów stałby się naturalną i potrzebną apodosiś?

Po otrzymaniu gwarancji równej sumie poszukiwanej i pomocy w postaci darowizny oraz przelewu tytułu własności za życia ofiarodawcy lub dzięki spadkowi po bezbolesnym zgonie ofiarodawcy, znanych finansistów (Bluma Paszy, Roths-childa, Guggenheima, Hirscha, Montefiore, Morgana, Rockefellera), posiadających 6 cyfrowe fortuny, zebrane podczas ich pełnego sukcesów życia, oraz po połączeniu kapitału ze sposobnością, uzyskałoby się konieczne warunki.

Co, ewentualnie, mogłoby mu niezależnie od wyż. wym. dostarczyć takich bogactw?

Niezależne odkrycie żyły złota o niewyczerpanych zasobach.

Dla jakich przyczyn rozmyślał nad projektami tak trudnymi do zrealizowania?

Stanowiło to jeden z jego pewników, że podobne rozmyślanie lub odruchowe opowiadanie samemu sobie o sobie samym, lub też spokojne rozpamiętywanie przeszłości, uprawiane nawykowo przed udaniem się na nocny spoczynek, uśmierza znużenie i wytwarza jako skutek zdrowy spoczynek i odświeżoną żywotność.

Czym to usprawiedliwiał?

Zajmując się fizyką pojął, że z 70 lat, które składały się na całość życia ludzkiego, co najmniej 2/7, czyli 20 lat, przebiega we śnie. Zajmując się filozofią wiedział, że przy końcu życia będącego udziałem kogokolwiek tylko nieskończenie mała część czyichkolwiek pragnień zostaje zrealizowana. Zajmując się fizjologią wierzył w sztuczne przebłagiwanie złowieszczych mocy działających głównie we śnie.

Czego się obawiał?

Popęśnienia morderstwa lub samobójstwa we śnie dzięki odchyleniu się promienia rozsądku, owego niewymiernego i kategorycznego czynnika inteligencji, usytuowanego w zwojach mózgowych.

508

Jakie były zwykle jego ostatnie rozważania?

O jakimś jedynym, wyjątkowym ogłoszeniu, które zmusiłoby przechodniów do zatrzymania się w podziw, o nowym plakacie z odrzuceniem wszelkich zewnętrznych dodatków, zredukowanym do najprostszych i najskuteczniejszych określeń, nie przekraczającym pola zdawkowego spojrzenia i zgodnym z prędkością współczesnego życia.

Co zawierała pierwsza szuflada, którą otworzył kluczem? Zeszyt do pisania w kolorowej okładce, własność Milly (Millicent) Bloom, którego pewne kartki pokryte były schematycznymi rysunkami podpisanymi Papli i ukazującymi wielką, okrągłą głowę z 5 sterczącymi włosami, 2 oczyma z profilu, tęgi, widziany z przodu korpus z 3 wielkimi guzikami, 1 trójkątną stopą: 2 wyblakłe fotografie królowej Aleksandry angielskiej i Maud Bran-scombe, aktorki i zawodowej piękności: świąteczną kartkę Bożonarodzeniową, mającą na swej obrazkowej stronie wizerunek pasożytniczej rośliny, napis Mizpah, datę Boże Narodzenie 1892, nazwiska wysyłających, życzą pan i pani Comerford, werset: Niech to Święto ci udzieli Szczęścia, co cię rozweseli:

kawałek czerwonego, częściowo stopionego laku, uzyskanego z rezerw firmy Hely Lid., 89, 90, 91 Damę Street: pudełko zawierające pozostałości grosza złożonych stalówek typu "J", pochodzące z tego samego źródła w tej samej firmie: stara klepsydra, która odwracała piasek, który ją odwracał: zapieczętowane proroctwo (nigdy nie odpieczętowywane)

napisane przez Leopolda Blooma w 1886 i dotyczące skutków wejścia w życie ustawy z roku 1886 Williama Ewarta Gladstone'a o Samorządzie (która nigdy nie weszła w życie): bilet z kiermaszu N° 2004, pochodzący ze sprzedaży dobroczynnej na św. Kevina, cena 6 pensów. 100 nagród:

dziecinny list, datowany, małe pe poniedziałek, treść: duże pe Papli przecinek duże Jot Jak się masz znak zapytania duże jot Ja mam się bardzo dobrze kropka nowy wiersz podpis z esami floresami duże em Milly bez kropki: broszka z kameą, własność Ellen Bloom (z domu Higgins), zmarłej: 3 listy napisane na maszynie, adresat Henryk Kwiatek, Poste Restante Westland Rów, nadawczyni Martha Clifford, Poste Restante Dolphin's Barn: przeliterowane nazwisko i adres adresatki 3 listów przetransponowane na alfabetyczny kryptogram w bustrofedontycz-nym kropkowanym czterowerszowym zapisie (samogłoski pominięte) N.IGS. (WI.UU.OX) W. OKS. MH) Y.IM: wycinek z angielskiego tygodnika Społeczeństwo Współczesne, temat, kara chłosty w szkołach dla dziewcząt: różowa wstążeczka, która ozdabiała jajko wielkanocne w roku 1899: dwie częściowo odwiniete gumowe prezerwatywy ze zbiorniczkami, zakupione za pośrednictwem poczty w Skrzynce Pocztovej 32, Urząd Pocztowy Charing Cross, London W.C.: 1 paczka składająca się z 1 tuzina czerpanych kopert i cienko liniowanego papieru listowego ze znakiem wodnym, obecnie uszczuplona o 3: trochę monet austro-węgierskich, posortowanych: 2 kupony Królewskiej Uprzywilejowanej Węgierskiej Loterii: słabe szkło powiększające: 2 erotyczne pocztówki, ukazujące a) ustny stosunek pomiędzy nagą senioritą (zaprezentowaną od tyłu w pozycji górującej) i nagim torero (zaprezentowanym z przodu, pozycja spodnia): b) pogwałcenie przez osobę duchowną męską (w pełni ubraną, oczy spuszczone) odbytnicy osoby duchownej żeńskiej (częściowo ubranej, oczy wzniesione), zakupione za pośrednictwem poczty

509

w Skrzynce Pocztovej 32, Urząd Pocztowy Charing Cross, London W.C.: wycinek prasowy z przepisem na odświeżanie starych brązowych butów: 1 pensowy nie stemplowany znaczek bładoniebieski z okresu panowania królowej Wiktorii: karta wymiarów Leopolda Blooma sporządzona przed, podczas i po 2 miesiącach ciągłego używania sprężyn do naciągania systemu Sandowa-Whiteleya (dla mężczyzn 15 szylingów, dla atletów 20 szylingów), mianowicie: pierś 28 cali i 29 1/2 cala, biceps 9 cali i 10 cali, przedramię 8 1/2 cala i 9 cali, udo 10 cali i 12 cali, łydka 11 cali i 12 cali: 1 prospekt Cudotwórcy, największe, najwspanialsze lekarstwo świata na dolegliwości odbytnicy, wprost od Cudotwórcy, Coventry House, South Place, London EC., zaadresowany do pani L. Bloom z krótką dołączoną notatką, rozpoczynającą się od słów: Droga Pani.

Zacytuj treść tekstu, w którym prospekt zachwalał zalety tego taumaturgiczne-go remedium.

Goi i łagodzi podczas twego snu, w wypadku kłopotów z oddawaniem wiatrów wspomaga on naturę jak najpotężniej, zapewniając natychmiastową ulgę w wydalaniu gazów, nie

zanieczyszcza organów płciowych i ułatwia naturalne wypróżnienie, początkowa wpłata w wysokości 7 szylingów i 6 pensów, uczyni z pani nowego człowieka, a życie twoje godnym tej nazwy. Damy znajdują Cudotwórcę szczególnie użytecznym, stanowi on miłą niespodziankę, gdyż odczuwają przemile skutki podobne do owych po zażyciu chłodnego napoju ze świeżego wiosennego źródła w parny letni dzień. Polecajcie go waszym przyjaciółkom i przyjaciołom, wystarcza na przeciąg całego życia. Wsuńcie dłuższy zaokrąglony koniec. Cudotwórca.

Czy dołączono świadectwa?

Liczne. Od duchownego, od oficera brytyjskiej marynarki wojennej, znanego autora, człowieka interesu, pielęgniarki szpitalnej, damy, matki pięciorga, roztargnionego włóczęgi.

Jak kończyło się ostatnie świadectwo, roztargnionego włóczęgi? Co za szkoda, że rząd nie wyposażył naszych chłopców w Cudotwórcę podczas kampanii południowoafrykańskiej! Jakąż ulgę by to stanowiło!

Jaki przedmiot dodał Bloom ze swego zbioru przedmiotów? Czwarty napisany na maszynie list otrzymany przez Henryka Kwiatka (niechaj H.K. będzie L.B.) od Marty Clifford (znajdź M.C.)

Jaka przyjemna myśl towarzyszyła tej czynności?

Myśl, że nie licząc tego listu, jego magnetyczne oblicze, postać i wysłowienie zostały dobrze przyjęte podczas minionego dnia przez mężatkę (panią Josephine Breen, z domu Josie Powell); przez pielęgniarkę pannę Callan (imię nieznane), przez młodą dziewczynę Gertrudę (Gerty, nazwisko nieznane).

Jaka nasuwała się możliwość?

Możliwość wypróbowania siły męskich czarów w najbardziej niedalekiej przyszłości po spożyciu wystawnego posiłku w prywatnym apartamencie w towarzystwie eleganckiej kurtyzany o pięknym ciele, umiarkowanie opłaconej, posiadającej rozmaite umiejętności, damy z pochodzenia.

510

Co zawierała 2. szuflada?

Dokumenty: świadectwo urodzenia Leopolda Pauli Blooma: ubezpieczeniowa polisa w wysokości 500 funtów w Stowarzyszeniu Ubezpieczeniowym Wdów Szkockich na rzecz Millicent (Milly) Bloom, przemieniająca się po 25 latach w polisę procentującą, w wysokości 430 funtów, 462 funtów i 10 szylingów i wreszcie 500 funtów, odpowiednio, po 60 latach lub w chwili śmierci ofiarodawcy, po 65 latach lub po śmierci ofiarodawcy albo także i po

śmierci ofiarodawcy, lub w procentującą polisę (całkowicie spłaconą) w wysokości 299 funtów 10 szylingów wraz z wypłatą gotówkową 133 funtów 10 szylingów na żądanie: książeczka depozytowa wydana przez Ulster Bank, Oddział w College Green, zbilansowana winien/ma na koniec półrocza 31 grudnia 1903, wykazująca na koncie depozytora plus w wysokości:

funtów 18, 14, 6 (osiemnaście funtów, czternaście szylingów i sześć pensów); netto majątku osobistego: zaświadczenie o posiadaniu na własność 900 funtów w 4% (wolnych od opłat skarbowych) kanadyjskich akcjach rządowych; pokwitowania z Komitetu Cmentarzy Katolickich (Glasnevin), dotyczące zakupionej kwatery grobowej: wycinek z prasy miejscowej, dotyczący zmiany nazwiska przy pomocy aktu jednostronnego.

Zacytuj treść tej notatki.

Ja, Rudolph Virag, obecnie zamieszkały pod numerem 52 przy Cianbrasil Street w Dublinie, dawniej w Szombathely w królestwie Węgier, podaję do wiadomości, że od tej chwili będę przy wszystkich okazjach i w każdym czasie znany pod nazwiskiem Rudolph Bloom, które przyjąłem.

Jakie inne przedmioty związane z Rudolphem Bloomem (z domu Yiragiem) znajdowały się w 2. szufladzie?

Niewyraźny dagerotyp Rudolpha Viraga i jego ojca Leopolda Viraga, wykonany w roku 1852 w atelier portretowym ich (w odpowiednim porządku) kuzyna I. i 2. stopnia, Stefana Viraga z Szesfehervar, Węgry. Starożytna księga Hagady, w którą wsunięte rogowe wypukłe okulary zaznaczały werset o dziękczynieniu w rytualnej modlitwie czasu Pessach (Paschy): karta pocztowa z widokiem hotelu Queen's w Ennis, właściciel Rudolph Bloom: koperta zaadresowana Do mojego drogiego syna, Leopolda.

Wspomnienie jakich fragmentów zdań obudziła lektura tych pięciu całkowitych wyrazów?

Jutro minie tydzień od czasu, kiedy otrzymałem ... nie warto być, Leopoldzie... z twoją drogą matką... więcej nie można znieść... do niej... wszystko dla mnie już skończone... bądź dobry dla Atosa, Leopoldzie... mój drogi synu... zawsze... o mnie ... das Herz ... Gott... dein...

Wspomnienie o jakiej istocie ludzkiej, która cierpiała na postępującą melancholię, obudziły te przedmioty w Bloomie?

O starym człowieku, wdowcu, ze zmierzwionymi włosami, w łóżku, z głową zakrytą, wzdychającym: o starym, chorym psie Atosie: o akonicie, do którego uciekał się w coraz większych dawkach granów i skrupułów, jako do środka uśmierzającego nawroty newralgii: o twarzy pośmiertnej siedemdziesięcioletniego człowieka, który popełnił samobójstwo zażywając truciznę.

Dlaczego Bloom odczuł wyrzuty sumienia?

Ponieważ z niecierpliwością lat niedojrzałych traktował ongi bez należnego szacunku pewne wierzenia i praktyki.

Jakie?

Zakaz używania mięsa i mleka podczas jednego posiłku, tygodniowe zebrania swych nieporządných, roztargnionych, żarliwie przyziemnych merkantylnych współekswyznawców eks-ziomków: obrzezanie męskich noworodków: nadprzyrodzony charakter świętych Ksiąg Judaistycznych: niewysłowioność tetragrammaro-nu: świętość sabatu.

Jakimi wydawały mu się teraz te wierzenia i praktyki?

Nie bardziej rozumnymi, niż mu się wydawały wówczas, nie mniej rozumnymi, niż mu się wydawały teraz inne wierzenia i praktyki.

Jakie zachował pierwsze wspomnienie o Rudolphie Bloomie (zmarłym)? Rudolph Bloom (zmarły) opowiadał swemu synowi Leopoldowi (mającemu lat 6) w retrospektywnym porządku o wędrówkach i osiedlaniu się w Dublinie, Londynie, Florencji, Mediolanie, Wiedniu, Budapeszcie, Szombathely, dołączając stwierdzenia pełne satysfakcji (jego dziadek widział Marię Teresę, cesarzową Austrii, królową Węgier), rady handlowe (zatroszczył się o pensy, a funty same się o siebie zatroszczą). Leopold Bloom (mający lat 6) towarzyszył tym opowiadaniom, konsultując nieustannie mapę Europy (polityczną) i sugerując założenie filii interesu w różnych wymienionych powyżej ośrodkach.

Czy czas jednak, lecz w inny sposób zatarł wspomnienie tych wędrówek w opowiadającym i słuchaczu?

W opowiadającym dzięki upływowi lat i na skutek zażywania narkotycznej trucizny: w słuchaczu dzięki upływowi lat i na skutek oderwania od nich umysłu zajętego innymi zastępującymi je sprawami.

Jakie idiosynkrazje opowiadającego były objawami towarzyszącymi am-nezji?

Od czasu do czasu jadał nie zdjawszy uprzednio kapelusza. Od czasu do czasu wypijał łapczywie mus agrestowy z przechylonego talerzyka. Od czasu do czasu usuwał z warg resztki jedzenia przy pomocy oddartego kawałka koperty albo innego znajdującego się pod ręką kawałka papieru.

Jakie dwa fenomeny starzenia się były najczęstsze?

Krótkowzroczne przeliczanie monet palcami: odbijało mu się po najedzeniu do syta.

Jakie przedmioty były częściową pociechą w tych wspomnieniach? Polisa ubezpieczeniowa, książeczka bankowa, zaświadczenie tymczasowe o posiadaniu akcji.

Sprowadź Blooma przy pomocy mnożenia na krzyż ciosów losu, od których chroniły go te zabezpieczenia, i przez usunięcie wszystkich pozytywnych czynników do bezwartościowej ujemnej niewymiernej urojonej liczby.

512

Kolejno, w zstępującym helotycznym porządku: Bieda: domokrażca sprzedający sztuczną biżuterię, inkasent mający odbierać nieściągalne lub wątpliwe długi, poborca podatku na biednych, a w zastępstwie i innych podatków. Żebranina:

bankrut oszust o nic nie znaczących aktywach, płacący 1 szylinga i 4 pensy z 1 funta swego zadłużenia, obnosiciel tablic reklamowych, rozdawca ulotek, nocny włóczęga, przymilny pochlebca, kaleki marynarz, ślepy wyrostek, podstarzały pomocnik komornika, nieproszony gość, pieczeniarsz, psujący innym zabawę, pochlebca, ekscentryczna figura będąca publicznym pośmiewiskiem, siedząca pod dziurawym parasolem na ławce w parku. Skrajne ubóstwo: mieszkaniec Domu Starców (Szpital Królewski) w Kilmainham, pensjonariusz Szpitala Simpsona dla nie posiadających środków utrzymania, trwale okaleczonych reumatyzmem lub ślepotą przyzwoitych staruszków. Nadir nędzy: wiekowy, zniedołężniały, pozbawiony praw obywatelskich, utrzymywany przez społeczeństwo, dogorywający obłąkany nędzarz.

Z jakimi towarzyszącymi poniżeniami?

Antypatyczna obojętność dawniej uprzejmych kobiet, wzgarda ze strony muskularnych mężczyzn, przyjmowanie kawałków chleba, udawane nie-rozpoznawanie ze strony dalszych znajomych, obszczekiwanie przez nie zarejestrowane, bezpańskie, włóczące się psy, obrzucanie przez dzieci pociskami w postaci zgniłych warzyw, posiadającymi wartość niewielką, żadną lub mniejszą niż żadną.

Co mogłoby zapobiec takiemu położeniu? Śmierć (zmiana stanu), wyjazd (zmiana miejsca).

Co byłoby lepsze? To drugie, po linii najmniejszego oporu.

Jakie rozważania czyniły to niezupełnie niemiłym?

Stałe współmieszkanie, przeszkadzające obopólnej tolerancji wobec przywar osobistych. Zwyczaj niezależnego czynienia zakupów, coraz bardziej rozwijający się. Konieczność przeciwdziałania niestałym pobytem ustawicznemu przebywaniu w jednym miejscu.

Jakie względy czyniły to nie tak nonsensownym?

Strony zainteresowane po połączeniu się wzrosły i rozmnożyły się, co gdy się dokonało, a potomstwo zostało narodzone i doprowadzone do stanu dojrzałości, strony, skoro teraz już były rozłączone, byłyby zmuszone do ponownego połączenia się dla wzrostu i rozmnożenia, co było absurdem, lub utworzenia dzięki powtórzonemu zejściu się poprzedniej pary łączących się stron, co było niemożliwością.

Jakie względy czyniły to pożądanym?

Atrakcyjny charakter niektórych miejscowości w Irlandii i za granicą, przedstawionych na ogólnych różnobarwnych mapach geograficznych lub na specjalnych mapach państwowego urzędu kartograficznego przy zastosowaniu skali i podziałki.

513

W Irlandii?

Urwiska Moheru, wietrzne pustkowia Connemary, jezioro Neagh z zatopionym, skamieniałym miastem, Giant's Causeway, Fort Camden i Fort Carli-sle. Złota Dolina Tipperary, wyspy Aran, pastwiska królewskiego Meath, więz Brigidy w Kildare, stocznia Queen's Island w Belfaście, Skok Łososia, jeziora Killarney.

Za granicą?

Cejlon (ze swymi korzennowonnymi ogrodami, dostarczający herbatę Thoma-sowi Kernanowi, przedstawicielowi Pułbrooka, Robertsona i Ski, z Mincing Lane, London E. C., 5 Damę Street, Dublin), Jerozolima, święte miasto (z meczetem Omara i Bramą Damasceńską, cel ostateczny wszelkich marzeń). Cieśnina Gibraltarska (jedynie miejsce narodzin Marion Tweedy), Partenon (zawierający posągi, nagie greckie bóstwa), giełda przy Wali Street (kontrolująca międzynarodowe finanse), Plaża de Toros w La Linea, w Hiszpanii (gdzie o'Hara z Camerons zabił byka), Niagara (której żadna ludzka istota nie przebyła bezkarnie), ziemia Eskimosów (zjadaczy mydła), niedostępna kraina Tybetu (z której żaden nie wraca wędrowiec). Zatoka Neapolitańska (którą zobaczyć oznaczało umrzeć). Morze Martwe.

Pod czym przewodem, idąc za jakimi znakami?

Na morzu, ku północy, nocą, za Gwiazdą Polarną, umiejscowioną w punkcie przecięcia linii prostej z bety do alfy w Wielkiej Niedźwiedzicy, przedłużonej i przeciętej na zewnątrz przy omedze i przeciwprostokątnej trójkąta prostokątnego :

uformowanego z linii wytworzonej z połączenia alfy z omegą oraz linii alfa delta Wielkiej Niedźwiedzicy. Na lądzie, ku południowi, za księżycem dwusferycznym, ujawniającym się w niedoskonałych przemiennych fazach swej lunacji poprzez ' tylną szczelinę w

niedokładnie zapiętej spódnicy otyłej, niedbalej przechadzającej się kobiety, a za słupem obłoku we dnie.

Jakie publiczne ogłoszenie obwieściłoby o jego zniknięciu?

5 funtów nagrody - zgubiono go, zabłądził lub został skradziony ze swego , mieszkania przy 7 Eccies Street gentleman w wieku lat około czterdziestu, wabi się Bloom, Leopold (Poldy), wzrost 5 stóp i 9 1/2 cala, tęgi, cera oliwkowa, do chwili obecnej mogła mu już wyrosnąć broda, ostatni raz widziano go w czarnym ubraniu. Suma powyższa zostanie wypłacona za informację, która doprowadzi do jego odnalezienia.

Jakie uniwersalne dwuimienne imiona stałyby się jego imionami, gdyby był bytem lub niebytem?

Noszone przez każdego lub nie znane nikomu. Wszelkiczłek lub Nieczłek.

Jakie składano by mu hołdy?

Cześć i dary od nieznajomych, przyjaciół Wszelkiegoczłka. Nimfę nieśmiertelną, piękną, oblubienicę Nieczłka.

Czy zniknąwszy nie pojawiłby się ponownie nigdy, nigdzie i w żaden sposób? Wiekuiście tułałby się, własnowolnie, aż po najdalsze granice swej kometalnej orbity, dalej niż stałe gwiazdy, zmienne słońca, planety dostrzegalne jedynie przez teleskop i owe astronomiczne porzucone, zbłąkane okruchy, aż po najdalsze

514

granice przestrzeni, przesuwając się od lądu do lądu, pośród ludów, pośród wydarzeń. Gdzieś usłyszałby niedostrzegalnie, a przyciągany słońcem, niechętnie, usłuchałby wezwania do powrotu. Zniknąwszy z gwiazdozbioru Korony Północnej pojawiłby się jakoś ponownie, odrodzony, ponad deltą w gwiazdozbiorze Cassiopei i po niezliczonych eonach wędrówki powróciłby jako wyobcowany mściciel, niosący sprawiedliwość występny, posępny krzyżowiec, przebudzony ze snu, z zasobami finansowymi (przypuszczalnie) przewyższającymi zasoby Rothschilda lub króla srebra.

Co uczyniłoby taki powrót bezsensownym?

Błędne równanie pomiędzy odejściem i powrotem w czasie przez odwracalną przestrzeń a odejściem i powrotem w przestrzeni przez nieodwracalny czas.

Jaka gra sił, powodujących inercję, czyniła odejście niepożądanym? Późna godzina, skłaniająca do zwłoki: mroki nocy, czyniące niewidzialnym:

niepewność dróg publicznych, grożąca niebezpieczeństwem: konieczność wypoczynku, zapobiegająca poruszaniu się: bliskość zajętego łóżka, zapobiegająca poszukiwaniu: przewidywanie ciepła (ludzkiego) złagodzonego chłodem (pościeli), zapobiegające pożądaniu i czyniące pożądany: figurka Narcyza, dźwięk bez echa, pożądanie pożadające siebie.

Jakie zalety posiadało zajęte łóżko w porównaniu z nie zajęтым? Usunięcie nocnej samotności, wyższa jakość ludzkiego (dojrzała kobieta) ogrzewania nad nieludzkim (butelka z gorącą wodą), podnieta porannego dotyku, oszczędność w prasowaniu, wykonywanym w domu, w wypadku dokładnego złożenia spodni i ułożenia ich wzdłuż pomiędzy materacem sprężynowym (w paski) a materacem wełnianym (jasnobrązowym w kratkę).

Jakie poprzednie kolejne przyczyny, składające się na jego znużenie, a przeczuwane przez niego, nim wstał, rozpamiętywał w milczeniu Bloom, nim wstał?

Przygotowanie śniadania (ofiara całopalenia): parcie w jelitach i dokonanie wypróżnienia (święte świętych): kąpiel (obrzęd Jana): pogrzeb (obrzęd Samuela):

ogłoszenie Aleksandra Klaucza (Urim i Thummin): nieistotny lunch (obrzęd Melkizedecha): odwiedziny w muzeum i w Bibliotece Narodowej (miejsce święte):

polowanie na książki wzdłuż Bedford Rów, Merchants' Arch, Wellington Quay (Simchat Tora): muzyka w hotelu Ormond (Shira Shirim): sprzeczka z zadzierżys-tym troglodytą w lokalu Bernarda Kiernana (całopalenie): pusty okres czasu zawierający jazdę dorożką, pobyt w domu żałoby, odejście (na puszcze): erotyzm ujawniony przez kobiety ekshibicjonizm (obrzęd Onana): przeciągający się poród pani Miny Purefoy (ofiarowanie chleba i wina): odwiedziny w domu rozpusty pani Belli Cohen, 82 Lower Tyrone Street, wynikała po nich burda i przypadkowe zbiegowisko na Beaver Street (Armageddon): nocna przechadzka do i z schroniska dorożkarza, Butt Bridge (zespolecie).

Jaką nasuwającą się zagadkę Bloom, który pragnął powstać z miejsca, by iść, aby zakończyć, gdyż inaczej nie zakończy, rozwiązał mimowolnie?

Przyczynę krótkiego ostrego nieprzewidywanego usłyszanego głośnego poje-

515

dynczego skrzypnięcia wydane przez słoje nieożywionej materii drewnianego stołu.

Jakiej nasuwającej się zagadki Bloom, który powstał, ruszył, zbierając wielobarwne wielokształtne wielorakie części ubrania, starając się świadomie zrozumieć, nie rozwiązał?

Kim był M'Intosh?

Jaką nasuwającą się zagadkę, nad którą z dorywczą stałością rozmyślał od 30 lat, Bloom, uzyskawszy teraz naturalny mrok dzięki zgaszeniu sztucznego oświetlenia, nagle bezgłośnie rozwiązał?

Gdzie był Mojżesz, kiedy świeca zgasła?

Jakie niedoskonałości tego doskonałego dnia Bloom, idący, bezgłośnie, kolejno wyliczył?

Chwilową niemożność uzyskania wznowienia ogłoszenia, otrzymania pewnej ilości herbaty od Thomasa Kernana (przedstawiciela Pułbrooka, Ro-bertsona i Ski, 5 Damę Street, Dublin oraz z Mincing Lane, London, E. C.), stwierdzenia obecności lub braku otworu odbytowego w wypadku hellenskich bóstw żeńskich, uzyskania wejściówki (darmowej lub płatnej) na przedstawienie Lii w wykonaniu pani Bandman Palmer, w Gaiety Theatre, 46, 47, 48, 49 South King Street.

Wizerunek jakiej nieobecnej twarzy Bloom, przystanąwszy, milcząco przywołał z pamięci?

Twarzy jej ojca, zmarłego majora Briana Coopera Tweedy z Królewskich Strzelców Dublińskich, z Gibraltaru i Rehoboth w Dolphin's Barn.

Jakie inne powracające jednakie obrazy były hipotetycznie możliwe? Cofając się, od krańcowej stacji linii kolejowej Great Northern przy Amiens Street ruchem jednostajnie przyspieszonym, wzdłuż linii równoległych spotykających się w nieskończoności, gdyby je przedłużyć: wzdłuż równoległych linii przedłużonych ponownie z nieskończoności, ruchem jednostajnie opóźnionym, do krańcowej stacji linii kolejowej Great Northern, przy Amiens Street, powracając.

Jakie różnorodne części osobistej garderoby kobiecej zostały przez niego dostrzeżone?

Para nowych bezwonných półjedwabnych czarnych damskich pończoch, para nowych fioletowych podwiązek, para zbyt wielkich damskich majtek z indyjskiego muślinu, luźno skrojonych, pachnących opoponaksem, jaśminem i tureckimi papierosami Muratti, z wpiętą długą, lśniąca stalową agraftką zapiętą półkoliście, stanik z batystu obramowany wąską koronką, plisowana w harmonijkę halka z niebieskiej jedwabnej moiretty, wszystkie te przedmioty rozrzucone były bezładnie na powierzchni prostokątnego kufra o czterech listwach, o wzmocnionych narożnikach, okrytego wielobarwnymi naklejkami i posiadającego na przedzie białe inicjały B. C. T. (Brian Cooper Tweedy).

Jakie przedmioty nieosobiste zostały dostrzeżone?

Komoda z jedną nogą nadłamaną, całkowicie pokryta kwadratową kre-tonową narzutą o wzorze w jabłuszka, na której spoczywał czarny damski słomkowy kapelusz. Naczynie

domowego użytku z pomarańczowym szlaczkiem, zakupione u Henry Price'a, sprzedaż koszyków, galanterii, porcelany i artykułów żelaznych, 21, 22, 23 Moore Street, porozstawiane bezładnie na umywalni i na podłodze, składające się z miednicy, mydelniczki i podstawki pod szczotkę (na umywalni, razem), dzbanka i nocnego naczynia (na podłodze, osobno).

Czynności Blooma?

Złożył części garderoby na krzesło, zdjął pozostałe części swojej garderoby, wyjął spod wałka w głowach łóżka złożoną długą białą koszulę nocną, wsunął głowę i ramiona we właściwe otwory koszuli nocnej, przełożył poduszkę z głów łóżka w nogi, zgodnie z tym ułożył pościel i wszedł do łóżka.

Jak?

Z rozważą jak zawsze, gdy wchodził do siedziby (swojej lub cudzej): z ostrożnością, gdyż węzowe spirale sprężyn były stare, a mosiężne nakrętki i węzowo skręcone okratowanie były obłuzowane i drżały pod naciskiem: roztropnie, jak gdyby wstępował w legowisko lub zasadzkę rozpusty lub żmii: lekko, aby jak najmniej zakłócić: z czcią do łoża poczęcia i narodzin, spełnienia małżeństwa i zdrady małżeńskiej, snu i śmierci.

Co napotkały jego członki, gdy wyprostował je stopniowo? Nową czystą bielizną pościelową, dodatkowe wonie, obecność ludzkiego kształtu, kobiecego, jej, odbicie ludzkiego kształtu, męskiego, nie jego, nieco okruszków, nieco strzępków marynowanego mięsa, przygotowanego, które usunął.

Jeśli uśmiechnął się, dlaczego się uśmiechnął?

Na myśl, że każdy, kto wchodzi, wyobraża sobie, że jest pierwszym wchodzącym, podczas gdy zawsze jest ostatnim z poprzedzającej go serii, nawet jeśli jest pierwszym z następnej, każdy wyobraża sobie, że jest pierwszym, ostatnim, jedynym i wyłącznym, podczas gdy nie jest ani pierwszym, ani ostatnim, ani jedynym, ani wyłącznym w serii rozpoczętej w nieskończoności i powtarzającej się w nieskończoność.

Jaka była poprzedzająca seria?

Zakładając, że Mulvey był pierwszym w swej serii, Penrose, Bartell d'Arcy, profesor Goodwin, Julius Mastiansky, John Henry Menton, ojciec Bernard Corri-gan, hodowca na pokazie koni Królewskiego Dublińskiego Stwarzyszenia, Maggot o'Reilly, Matthew Diiion, Yalentine Blake Diiion (lord major Dublina), Christop-her Callinan, Lenehan, włoski kataryniarz, nieznany gentleman w Gaiety Theatre, Benjamin Dollard, Simon Dedalus, Andrew (Szczył) Burkę, Joseph Cuffe, Wisdom Hely, starszy radny John Hooper, Dr Francis Brady, ojciec Sebastian z Mount Argus, czyścibut w Głównym Urzędzie Pocztowym, Hugh E. (Bujny) Boylan i tak dalej, i tak wciąż bez końca.

Jakie były jego myśli na temat ostatniego przedstawiciela tej serii i ostatniego gościa tym łóżku?

577

Myśli o jego tężyznie (szmaciarz), proporcjach cielesnych (plakaciarz), zdolnościach handlowych (kanciarz), wrażliwości (gówniarz).

Dlaczego obserwator zanotował wrażliwość, dodając ją do tężyzny, proporcji cielesnych i zdolności handlowych?

Ponieważ zaobserwował u poprzednich członków tej serii wzrastającą częstotliwość tej samej zmysłowości, przekazywanej najpierw płomiennie z niepokojem, a później ze zrozumieniem, później z pożądaniem, wreszcie ze znużeniem, z przeplatającymi się objawami zrozumienia i przerażenia u obojga płci.

Jakimi antagonistycznymi uczuciami były dotknięte jego następne rozważania? Zawiścią, zazdrością, samozaparciem, opanowaniem.

Zawiścią?

O cielesny i umysłowy męski organizm, szczególnie przystosowany do górującej pozycji przy energicznej ludzkiej kopulacji i do energicznego ruchu na zasadzie tłoka w cylindrze, koniecznego dla pełnego zadowolenia trwałego, lecz nie ostrego pożądania, tkwiącego w cielesnym i umysłowym kobiecym organizmie, pasywnym, lecz nie przytępionym.

Zazdrością?

Ponieważ natura, stała, lecz lotna w swym wolnym stanie, była na zmianę bodźcem i przeciwbodźcem przyciągania. Ponieważ działania pomiędzy bodźcami i przeciwbodźcami zmieniały się nieustannie, rosnąc i malejąc w odwrotnym stosunku, w ustawicznym kolistym rozszerzaniu się i promienistym ponownym wnikanii. Ponieważ kontrolowane rozmyślanie nad płynnością przyciągania wywoływało na żądanie przyływ przyjemności.

Samozaparciem?

Na mocy a) znajomości rozpoczętej we wrześniu 1903 w zakładzie George'a Mesjasza, męskiego krawca i krojczego, 5 Eden Quay, b) gościnności zarówno wyświadczonej jak doświadczanej w naturze, odpłacanej i odwzajemnianej osobiście, c) względnie młodzieńczej podatności na bodźce ambicji i wielkoduszności, dzięki koleżeńskiemu altruizmowi i miłosnemu egoizmowi, d) pozarasowemu przyciąganiu, wewnątrzrasowym zakazom, ponadrasowym przywilejom, e) zbliżającemu się objazdowi koncertowemu na prowincji, wspólnym bieżącym wydatkom, dzieleniu dochodów netto.

Opanowaniem?

Tak naturalnym jak jakiekolwiek, każde naturalne działanie natury, wyrażone lub rozumiane w naturalnej swej naturze przez stworzenia natury i zgodnie z ich, jej i jego naturalnymi naturami o różnej tożsamości. Nie tak zgubnym jak katastrofalne unicestwienie planety na skutek zderzenia z ciemnym słońcem. Mniej karygodnym niż kradzież, napadanie na drogach publicznych, okrucieństwo wobec dzieci i zwierząt, wyłudzenie pieniędzy pod fałszywymi pretekstami, fałszerstwo, przywłaszczenie, sprzeniewierzenie społecznych pieniędzy, nadużycie zaufania społecznego, symulacja choroby, okaleczenie ciała, deprawowanie nieletnich, zniesławienie.

518

szantaż, obraza sądu, podpalenie, zdrada, zbrodnia, bunt na pełnym morzu, wykroczenie, włamanie, wyłamanie się z więzienia, występki przeciw naturze, dezercja z sił zbrojnych na polu walki, krzywoprzysięstwo, kłusownictwo, lichwa, szpiegostwo na rzecz nieprzyjaciół króla, podszywanie się pod cudze nazwisko, napad rabunkowy, zabójstwo, rozmyślne morderstwo z premedytacją. I nie bardziej nienaturalnym niż wszystkie inne zmienione procesy przystosowywania się do zmienionych warunków istnienia, z których wynika wzajemna równowaga pomiędzy organizmem a towarzyszącymi mu okolicznościami, pożywieniem, napojami, nabytymi przyzwyczajeniami, skłonnościami, którym się ulega, poważnymi chorobami. Bardziej niż nieuniknionym, niepowetowanym.

Dlaczego więcej samozaparcia niż zazdrości, mniej zawiści niż opanowania? Ponieważ od pogwałcenia (małżeństwa) do pogwałcenia (cudzołóstwa) nie stało się nic poza gwałceniem (kopulacją), a przecież małżeński gwałciciel małżeńsko zgwałconej nie zaznał gwałtu ze strony cudzołożnego gwałciciela pogwałconej cudzołożnicy.

Jakie zadośćuczynienie, jeśli jakiekolwiek?

Zabójstwo, nigdy, ponieważ dwa zła nie czynią jednego dobra. Walka w pojedynku, nie. Rozwód, nie teraz. Ujawnienie przy pomocy mechanicznego podstępu (automatyczne łóżko) lub indywidualnego zeznania (ukryty naoczny świadek), jeszcze nie. Pozew o odszkodowanie za krzywdę dzięki wpływom w sądownictwie albo symulowanie napaści ze świadectwem obrażeń otrzymanych (zadanych sobie), nie niemożliwe. Jeśli jakiekolwiek, patrzenie przez palce, wprowadzenie współzawodnictwa (materialnego, mająca powodzenie konkurencyjna agencja reklamowa:

moralnego, udany rywalizujący bodziec w zażyłości), poniżenie, wyobcowanie, upokorzenie, separacja chroniąca jedną separowaną stronę przed drugą, chroniąca separatora przed obojgiem.

Dzięki jakim rozmyślaniom on, świadomie przeciwdziałający próżnej niepewności, usprawiedliwiał wobec siebie swoje uczucia?

Z góry ustanowioną kruchością błony dziewiczej, z góry założoną nieuchwytnością tej rzeczy samej w sobie: niezgodnością i dysproporcją pomiędzy samo-przedłużającym się napięciem tego, co chciano czynić, a samoskracającym się odprężeniem po dokonaniu uczynku: mylnie zakładaną słabością kobiety, mus-kularnością mężczyzny: różnorodnością kodeksów etycznych: naturalną gramatyczną przemianą przez odwrócenie szyku, nie zawierającą żadnej zmiany sensu zdania z aorystem czasu przeszłego (rozbieranego gramatycznie jako podmiot męski, jednosylabowy, onomatopeiczny czasownik przechodni z żeńskim dopełnieniem bliższym) ze strony czynnej w odpowiadające jej współzależne zdanie z aorystem czasu przeszłego (rozbieranego gramatycznie jako podmiot żeński, czasownik posiłkowy oraz quasimonosylabowy onomatopeiczny imiesłów czasu przeszłego z dopełniającym czynnikiem męskim) w stronie biernej: ciągle wytwarzanie za-pładniaczy przy pomocy rozmnażania: ciągle wytwarzanie płynu nasiennego przez skraplanie się go: bezwartościowością tryumfu lub protestu, lub zemsty:

marnością tak wychwalanej cnoty: letargiem materii pozbawionej świadomości:

apatią gwiazd.

519

W jakim ostatecznym zadowoleniu zbiegły się te antagonistyczne uczucia i rozmyślania, zredukowane do swych najprostszych form?

W zadowoleniu z wszechobecności, na wschodniej i zachodniej półkuli ziemskiej, na wszystkich zamieszkałych lądach i wyspach, zbadanych i nie zbadanych (na lądzie słońca o północy, na wyspach błogosławionych, na wyspach greckich, w ziemi obiecanej), pokrytych warstwą tłuszczu zadnych półkul żeńskich, miodem i mlekiem pachnących, wydzielających krwiste i nasienne ciepło, przypominających odwieczne rody obfitych wypukłości, nie podlegających kaprysom, wrażeniom i sprzecznościom uczuć, wyrażających niemą niezmienną dojrzałą zwierzęcość.

Widoczne oznaki przedzadowolenia?

Niemal erekcja: niespokojny zwrot ku: stopniowe wznoszenie się: ostrożne odkrywanie: ciche wpatrywanie się.

Później?

Ucałował wonne miękkie miłe miodne melony jej zadu, obie melonomiękkie półkule w ich miłą miodną bruzdę, długim ciemnym nawołującym miodnowonnym pocałunkiem.

Widoczne oznaki pozadowolenia?

Ciche wpatrywanie się: ostrożne zakrywanie: stopniowe opadanie: niespokojne odwrócenie się od: niemal erekcja.

Co nastąpiło po tym cichym działaniu?

Senne wezwanie, mniej senne rozpoznanie, rodzące się podniecenie, katechetyczne zadawanie pytań.

Z jakimi zmianami odpowiedział opowiadający na zadawane pytania? Negatywnymi: nie wspomniał o potajemnej korespondencji pomiędzy Marthą Clifford a Henrykiem Kwiatkiem, o publicznej sprzeczce wewnątrz oraz w okolicy baru z wyszynkiem Bernarda Kiernana i Ski z ograniczoną odpowiedzialnością, przy 8, 9 i 10 Little Britain Street, o erotycznej prowokacji i odpowiedzi na nią wywołanej ekshibicjonizmem Gertrudę (Gerty), nazwisko nieznane. Pozytywnymi: dołączył wzmiankę o występie pani Band-man Palmer w Lii w Gaiety Theatre, 46, 47, 48 i 49 South King Street, zaproszeniu na kolację w hotelu Wynna (Murphy'ego) przy 35, 36 i 37 Lower Abbey Street, o tomie pełnym grzesznych, bezwstydnym wzmianek zatytułowanym Słodczy Grzechu, anonimowym, autor jest światowcem, o chwilowym wstrząsie wywołanym fałszywie obliczonym ruchem po uczcie w trakcie popisu gimnastycznego, którego ofiarą (już zupełnie wrócił do siebie) padł Stefan Dedalus, profesor i autor, najstarszy żyjący syn Simona Dedalusa, bez stałego zatrudnienia, o powietrznym wyczynie dokonanym przez niego (opowiadającego) w obecności świadka, wyżej wzmiankowanego profesora i autora, z szybkością decyzji i gimnastyczną gibkością.

Czy opowiadanie nie było w inny sposób zmienione przez pewne modyfikacje ?

520

Absolutnie nie.

Jakie wydarzenie lub osoba wysunęły się na plan pierwszy w jego opowiadaniu? Stefan Dedalus, profesor i autor.

Jakie ograniczenia aktywności i zawieszenie praw małżeńskich, dotyczące ich obojga, nasunęły się słuchaczce i opowiadającemu podczas tego przerywanego i coraz bardziej lakonicznego opowiadania?

Przez słuchaczkę ograniczenie płodności, jako że małżeństwo zostało zawarte w I kalendarzowy miesiąc po 18 rocznicy jej urodzin (8 września 1870), czyli 8 października, i dopełnione tego samego dnia, a potomek płci żeńskiej narodził się 15 czerwca 1889, gdyż zostało ono dopełnione przedwcześnie w dniu 10 września tegoż roku, a pełny stosunek cielesny z wytryskiem nasienia wewnątrz przyrodzonego narządu kobiecego miał po raz ostatni miejsce 5 tygodni przed, czyli 27 listopada 1893, narodzeniem się w dniu 29 grudnia

1893 drugiego (i jedyne go męskiego) potomka, zmarłego 9 stycznia 1894 w wieku dni 11, pozostawał więc okres 10 lat 5 miesięcy i 18 dni, podczas których stosunki cielesne były niezupełne, bez wytrysku nasienia wewnątrz przyrodzonego narządu kobiecego. Dla opowiadającego, ograniczenie aktywności umysłowej i cielesnej, jako że pełny stosunek umysłowy pomiędzy nim a słuchającą nie miał miejsca od chwili dojrzałości płciowej, stwierdzonej na podstawie krwotoku menstruacyjnego u potomka żeńskiego opowiadającego i słuchającej, w dniu 15 września 1903, pozostawał więc okres 9 miesięcy i 1 dnia, podczas którego na skutek z góry ułożonego naturalnego porozumienia w trakcie nieporozumienia pomiędzy dwiema dojrzałymi kobietami (słuchaczką i potomkiem) zupełna cielesna swoboda działania została określona.

Jak?

Dzięki różnym ponawianym kobiecym zapytaniom dotyczącym męskiego miejsca przeznaczenia, ku któremu, miejsca, gdzie, czasu, kiedy, trwania, dla którego, celu, z którym, w wypadkach chwilowych nieobecności, projektowanych lub dokonanych.

Co poruszało się widocznie ponad niewidocznymi myślami opowiadającego i słuchaczki?

Cień lampy i abażuru na suficie, niestała seria koncentrycznych kręgów o różnych stopniach światła i cienia.

W jakich kierunkach leżeli słuchaczka i opowiadający?

Słuchaczka, południe-wschód-wschód: Opowiadający, północ-zachód-zachód:

na 53. północnym równoleżniku i 6. zachodnim południku, pod kątem 45° do równika ziemskiego.

W jakim stanie spoczynku lub ruchu?

W spoczynku względnym wobec siebie samych i jedno wobec drugiego. W ruchu, gdyż oboje razem i każde z osobna byli niesieni na zachód, ku przodowi i ku tyłowi, zależnie od położenia, dzięki właściwemu wieczystemu ruchowi ziemi po wiekuiście zmiennych szlakach wiekuiście niezmienniej przestrzeni.

521

W jakim położeniu?

Słuchaczka: na pół spoczywając na boku, lewym, z lewą dłońią pod głową, z prawą nogą wyciągniętą w linii prostej i wspartą na nodze lewej, podgiętej, w postawie Gei-Tellus, wypełniona, leżąca, spęczniała od nasienia. Opowiadający:

spoczywając na boku, lewym, lewą i prawą nogą zgiętą, opierając palec wskazujący i kciuk prawej dłoni na wypukłości nosa, w postawie wyrażonej na migawkowym zdjęciu wykonanym przez Percy'ego Apjohna, znudzony mądrzecko, dzieckomąż, w łonie.

Znudzony? W łonie? Wypoczywa. Wędrował.

Sinbadem Żeglarzem i Tinbadem Trąbkarzem i Dzinbadem Dziwkarzem i Win-badem Wolarzem i Ninbadem Nudziarzem i Finbadem Figlarzem i Binbadem Bednarzem i Pinbadem Piekarzem i Minbadem Malarzem i Hinbadem Hafciarzem i Rinbadem Rymarzem i Dinbadem Kuglarzem i Vinbadem Ziellarzem i Linbadem Stolarzem i Xinbadem Pstryksiarzem.

Kiedy?

Gdy szło się do ciemnego łóżka był kwadrat wokół jaja skalnej alki Sinbada Żeglarza pośród nocy łóżka wszystkich alk ze skał Ciemnobada Jutrzenkarza.

Gdzie?

TAK BO NIGDY JESZCZE NIE POPROSIŁ O ŚNIADANIE DO ŁÓŻKA Z DWOMA JAJKAMI

od czasu hotelu City Arms kiedy udawał że leży z chorym gardłem robiąc z siebie księcia żeby zainteresować to stare próchno panią Riordan myślał że mają w kieszeni a nie zostawiła nam ani ćwierć pensa wszystko na msze za nią i jej duszę największa sknera jaka żyła kiedykolwiek i zawsze bała się dać 4 pensy na ten swój spirytus metylowy opowiadała mi o wszystkich swoich dolegliwościach za dużo w niej było tego gadulstwa o polityce i trzęsieniach ziemi i o końcu świata przedtem trochę się zabawmy Boże zbaw ten świat gdyby wszystkie kobiety były do niej podobne przeciw kostiumom kąpielowym i niskim dekoltom oczywiście nikt by nie chciał żeby ona nosiła myślę że była nabożna bo żaden mężczyzna nie popatrzyłby na nią dwa razy obym nigdy nie była taka jak ona cud że nie chciała żebyśmy sobie zakrywały twarze ale z pewnością była osobą wykształconą a jej giedzenie o panu Riordan tu i panu Riordan tam myślę że był szczęśliwy kiedy to wieko odgrodziło go od niej a jej pies ciągle obwąchiwał moje futro i ciągle wspinał się żeby się dostać pod moje halki a szczególnie wtedy jednak lubię w nim to uprzejmy jest dla takich staruszek i kelnerów i żebraków i nie pyszni się z byle czego ale nie zawsze gdyby przydarzyło mu się kiedyś coś poważnego dużo lepiej dla nich kiedy idą do szpitala gdzie wszystko jest czyste ale myślę że musiałabym to mu wmawiać chyba z miesiąc tak a potem mielibyśmy na tapecie pielęgniarkę szpitalną i siedziałyby tam póki by go nie wyrzucili albo siostrę zakonną może jak na tej świńskiej fotografii którą ma nie jest ona siostrą bardziej niż ja tak bo oni są tacy słabi i mazgajowaci kiedy

chorują potrzebują kobiety żeby wyzdrowieć kiedy mu idzie krew z nosa pomyślałabyś że to jest Och jaka tragedia i ten wyraz umieram oczu kiedy zjeżdżaliśmy z South Circular po tym jak sobie skręcił nogę w czasie święta chóru na Sugarloaf Mountain w ten dzień kiedy nosiłam tę suknię panna Stack przynosiła mu kwiaty najgorsze z najstarszych jakie udało jej się znaleźć na dnie koszyka wszystko żeby tylko dostać się do sypialni mężczyzny i ten jej staropanieński głos wyobrażała sobie że on umieYa dla niej już nigdy nie ujrzę twojej twarzyczki chociaż wyglądał bardziej jak mężczyzna kiedy mu ta broda trochę urosła w łóżku ojciec był taki sam poza tym nienawidzę bandażować i odmierzać kiedy się zaciął w wielki palec u nogi brzytwą wtedy kiedy przycinał sobie odciski bał się zakażenia krwi ale żebym to ja była chora wtedy zobaczylibyśmy jaką opiekę tylko że oczywiście kobieta to ukrywa żeby nie robić tych wszystkich kłopotów które oni robią tak zrobił to gdzieś jestem pewna po jego apetycie ale w każdym razie to nie miłość boby nie miał chęci do jedzenia myśląc o niej więc albo to była jedna z tych nocnych kobiet jeśli był tam rzeczywiście a tę bajkę o hotelu to zmyślił tylko masa kłamstw żeby to ukryć Hynes mnie zatrzymał kogo to ja spotkałem ach tak spotkałem czy pamiętasz go Mentona i kogo jeszcze kogo czekaj niech sobie przypomnę tego dużego z bobo-buzią spotkałem jest żonaty od niedawna flirtującego z młodą dziewczyną w Pooles Myriorama i odwróciłem się do niego tyłem kiedy się wymykał chyłkiem wyglądał jakby miał wyrzuty sumienia i co złego w tym ale był na tyle bezczelny że się przystawiał do mnie kiedyś dobrze mu tak niewyparzonej gębie a te jego rybie oczy największy idiota ze wszystkich jakich znałam i to się nazywa adwokat tylko że nie lubię długich awantur w łóżku a jeżeli to nie to to musi to być jakaś dziwka jedna albo druga z którą się zszedł gdzieś albo przygadał ją sobie ukradkiem gdyby go tylko znały tak dobrze jak ja tak bo przedwczoraj gryzmolił coś list kiedy weszłam do frontowego pokoju po zapaliki żeby mu pokazać o śmierci Dignama w gazecie jakby mi coś powiedziało i zakrył to bibułą udając że myśli o interesach więc pewnie to było to do którejś która myśli że znalazła w nim frajera bo wszyscy mężczyźni stają się trochę tacy szczególnie w jego wieku ma już prawie czterdzieści więc gdyby udało się jej wyciągnąć od niego jakieś pieniądze nie ma takiego głupca jak stary głupiec a potem to zwykłe całowanie mojego tyłka było żeby ukryć to nie żeby mnie to obchodziło nawet tyle co zeszłoroczny śnieg z kim to robi albo wiedziałam z góry że tak będzie chociaż nie chciałabym wiedzieć tak długo póki nie robią mi tego oboje pod nosem przez cały czas jak ta flądra Mary którą mieliśmy przy Ontario Terrace wiercąc tym swoim podstępny tyłkiem żeby go podniecić wystarczy tego złego że trzeba wachać na nim zapachy tych malowanych kobiet raz czy dwa razy miałam podejrzenie i kazałam mu podejść bliżej kiedy znalazłam ten długi włos na jego marynarce i bez tego kiedy weszłam do kuchni udawał że pije wodę I kobieta im nie wystarcza oczywiście to wszystko była jego wina psuł służące a potem proponował żeby mogła z nami zjeść przy stole w Boże Narodzenie wyobraźcie sobie O nie dziękuję nie w moim domu kradła mi ziemniaki i ostrygi po 2 szylingi i 6 pensów tuzin wychodząc wyobraźcie sobie żeby się zobaczyć z ciotką zwykły rabunek to był ale byłam pewna że miał z nią coś trzeba na to mnie żeby się domyślić czegoś takiego powiedział nie masz żadnych dowodów że to ona dowody O tak jej ciotka bardzo lubiła ostrygi ale powiedziałam jej co o niej myślę namawiał mnie żebym

wychodziła żeby być z nią sam na sam nie poniżyłabym się do tego żeby ich szpiegować te podwiązki które znalazłam u niej w pokoju kiedy miała wychodne w piątek wystarczyły mi trochę za wiele widziałam jak jej twarz poczerwieniała ze złości kiedy dałam jej tygodniowe wymówienie lepiej się w ogóle bez nich obchodzić sama wysprzątam pokoje szybciej gdyby tylko nie to przeklęte gotowanie i wyrzucanie śmieci ale to jemu przekazałam tak czy inaczej albo ona albo ja opuszczę ten dom nie mogłabym go nawet dotknąć gdybym pomyślała że żył z takim brudnym kłamliwym bezczelnym niechlujem jak ona zaprzeczyła mi w żywe oczy i śpiewała w WC też bo wiedziała że się może rozpanoszyć tak bo przecież nie mógł w żaden sposób tak długo się bez tego obchodzić musi to gdzieś robić a ostatni raz kiedy wszedł mi na tyłek kiedy to było tej nocy kiedy Boylan ścisnął mnie tak za rękę kiedy jechaliśmy wzdłuż Tolki do mojej ręki wślizguje się inna przycisnęłam tylko grzbiet jego dłoni o tak kciukiem żeby oddać ten uścisk śpiewając Młody Księżyc Majowy o miłości lśni bo on wbił sobie w głowę to o sobie i o mnie nie jest taki głupi powiedział będę jadł na mieście i idę do Gaiety ale nie zrobię mu tej przyjemności w żadnym wypadku Bóg widzi że przyniósł mi trochę odmiany nie można ciągle i zawsze nosić tego samego starego kapelusza chyba żebym zapłaciła jakiemuś ładnemu chłopcu żeby to zrobił jeżeli nie mogę tego sama zrobić spodobałabym się młodemu chłopcu zawstydziłabym go trochę gdybym sama z nim była pozwoliłabym mu zobaczyć moje podwiązki te nowe i patrząc na niego zmusiłabym żeby się zaczerwienił uwiodłabym go wiem co chłopcy czują z tym na policzkach robią to trzepanie wyjmując tę rzecz i godzinami pytania i odpowiedzi czy zrobiłabyś to tamto i owo z węglarzem tak z biskupem tak zrobiłabym bo powiedziałam mu o jakimś Diakonie czy może to był Biskup siedział obok mnie w ogrodzie przy Bóżnicy żydowskiej kiedy robiłam na drutach tę wełnianą rzecz nie znał Dublina co to za okolica i tak dalej o pomnikach i wymęczył mnie tymi posągami ośmielałam go pomagałam mu być gorszym niż jest o kim pani myśli proszę mi powiedzieć jego imię o kim proszę powiedzieć o kim o Cesarzu Niemieckim tak proszę sobie wyobrazić że jestem nim pomyśl o nim czy możesz wyczuć że on chce chciał zrobić ze mnie kurwę czego on nigdy nie robi powinien dać sobie z tym spokój w tym wieku po prostu ruina dla każdej kobiety a żadna przyjemność w udawaniu że się to lubi aż on skończy i trzeba to kończyć samej tak czy owak i wargi od tego błędną ale skończyłam z tym raz na zawsze i niech sobie cały świat gada co chce i ludzie to tylko pierwszy raz a potem to już zwykła rzecz robi się to i nie myśli się więcej dlaczego nie można pocałować mężczyzny bez wyjścia przedtem za niego za męża czasami chcesz tego zupełnie dziko kiedy czujesz to tak przyjemnie w całym ciele nie możesz się powstrzymać chciałabym czasem żeby jaki mężczyzna wziął mnie w ramiona przy nim i pocałował nie ma to jak pocałunek długi i gorący do dna duszy prawie cię paraliżuje ale nienawidziłam tego spowiadania się kiedy chodziłam do Ojca Corriganego dotykał mnie ojciec i co to zresztą szkodzi że dotykał gdzie a ja powiedziałam na brzegu kanału jak głupia ale gdzie na twojej osobie moje dziecko na nodze z tyłu czy wysoko tak raczej wysoko to na czym siedzisz tak O

Boże czy nie mógł powiedzieć tylek zwyczajnie i skończyć z tym co to ma wspólnego jedno z drugim i czy robiłaś tamto któredyś to włożył nie pamiętam nie ojciec i zawsze myślę wtedy o prawdziwym ojcu dlaczego chciał to wiedzieć

524

kiedy wypowiadałam się już z tego Bogu miał miłe tłuste zagłębienie dłoni zawsze wilgotne nie przeszkadzałoby mi jej dotknięcie ani jemu ja myślę z tą byczą szyją w tym chomącie ciekawe czy poznał mnie w konfesjonale mogłam widzieć jego twarz on nie mógł mojej oczywiście nie odwrócił się ani razu ani nie zdradził ale miał zaczerwienione oczy kiedy ojciec mu umarł straceni są dla kobiet oczywiście musi być okropne kiedy mężczyzna płacze a co dopiero dla nich samych chciałabym żeby mnie objął ktoś w jego szatach z tym zapachem kadzidła na nim jak papież poza tym nie ma strachu z księdzem jeżeli się jest mężatką jest aż za bardzo ostrożny potem daje pewnie coś J Ś papieżowi jako pokutę ciekawa jestem czy było mu ze mną przyjemnie jedna rzecz która mi się nie spodobała to to klepięcie mnie w tyłek w przedpokoju kiedy odchodził tak poufale chociaż roześmiałam się nie jestem koniem ani osłem prawda przypuszczam że myślał o swoim ojcu ciekawa jestem czy nie śpi czy myśli o mnie czy śni mu się coś czy jestem tam w tym śnie kto mu dał ten kwiat który powiedział że sobie kupił pachniał jakimś napojem nie whisky ani piwem może tą słodką mazią którą przyklejają afisze jakiś alkohol chciałabym pić tak powoli te wytwornie wyglądające zielone i żółte kosztowne trunki które piją ci fircykowie spod teatru w cylindrach spróbowałam kiedyś zanurzając tam palec od tego Amerykanina który miał wiewiórkę rozmawiał o znaczkach z ojcem ze wszystkich sił strzegł się żeby nie usnąć po ostatnim razie kiedy wypiliśmy to porto i zjedliśmy marynowane mięso miało świetny słony smak tak bo czułam się cudownie i zmęczyłam się i usnęłam jak kamień w tej samej chwili kiedy weszłam prosto do łóżka póki ten grzmot mnie nie obudził jakby się świat kończył Boże zlituj się nad nami myślałam że niebo runie na nas żeby nas ukarać i przeżegnałam się i powiedziałam Zdrowaś Mario jak te okropne pioruny w Gibraltarze a potem oni ci powiadają że nie ma Boga a co by można było zrobić gdyby to tak runęło i rozlało się wszędzie nic tylko zrobić akt skruchy ta świeca którą zapaliłam wtedy w kaplicy przy Whitefriars street na miesiąc maj widać że przyniosła szczęście chociaż drwiłby z tego gdyby się dowiedział bo on nigdy nie chodzi do kościoła na mszę albo modlitwy powiada twoja dusza nie masz żadnej duszy w środku tylko szare komórki bo nie wie co to znaczy mieć duszę tak kiedy zapaliłam lampę tak bo chyba musiał spuścić się ze 3 albo 4 razy tym ogromnym wielkim czerwonym bydlakiem którego ma myślałam że mu na tym żyły czy jak się to nazywa pękną chociaż nosa nie ma wcale takiego dużego kiedy rozebrałam się ze wszystkiego a rolety były opuszczone po tych wszystkich godzinach mojego ubierania się i perfumowania i czesania a to sterczało jak kawał drutu albo gruby łom przez cały czas w moją stronę chyba musiał najeść się ostryg myślę że z parę tuzinów bo był przy głosie nigdy w życiu nie poczułam żeby ktoś miał takiego tych rozmiarów żeby cię aż tak wypełnił chyba musiał zjeść później całą

owcę i co to za pomysł żeby nas tworzyć z taką wielką dziurą pośrodku jak Ogier wbija to w ciebie bo przecież to jest wszystko czego chcą od ciebie z tym zażartym złym wyrazem oczu musiałam przymknąć oczy ale nie ma aż tak ogromnego ognia w sobie kiedy kazałam mu wyciągnąć to i skończyć na mnie myśląc jakie to jest wielkie i będzie lepiej na wszelki wypadek gdyby się wszystkiego nie dało wymyć stamtąd porządnie za ostatnim razem pozwoliłam mu to skończyć we mnie to ładnie wymyślone dla kobiet żeby on miał całą przyjemność ale gdyby ktoś mi dał to odczuć wiedzieliby co przeszłam z Milly nikt by nie uwierzył a kiedy

525

zęby jej się przerzynały też a mąż Miny Purefoy ze swymi kelnerskimi bokobrodami nabija ją dzieckiem albo bliźniętami co roku regularnie jak w zegarku ciągle jest wokół niej zapach dzieci i jedno na które mówili wierzcięta czy jakoś tak podobne do murzyna z kudłatą czupryną Jezusku milutki dzieciak jest czarniutki ostatni raz kiedy tam byłam cała ich chmara jedno potykało się o drugie i wrzeszczały że nie można było samej siebie usłyszeć podobno to zdrowe nie uspokoją się póki nie zobaczą nas wzdętych jak słońce albo nie wiem już co przypuścimy że zaryzykowałabym i bym miała jeszcze jedno ale nie z nim ale jestem pewna że gdyby się ożenił miałby ładne silne dziecko ale nie wiem Poldy ma więcej ikry w sobie tak to by było znakomite przypuszczam to spotkanie z Josie Powell i ten pogrzeb i myślenie o mnie i o Boylanie załatwiło go cóż niech sobie myśli co chce teraz jeśli mu to coś pomoże wiem że tam były jakieś umizgi pomiędzy nimi kiedy pojawiłam się na widowni tańczył z nią i siedział z nią na świeżym powietrzu tego wieczora kiedy oblewaliśmy nowe mieszkanie Georginii Simpsons a potem chciał mi to wbić do głowy że to tylko dlatego że nie lubił patrzeć jak zawsze skrobała pietruszkę na tańcach dlatego mieliśmy tę publiczną awanturę o polityce on zaczął nie ja kiedy powiedział o Panu Bogu że był stolarzem w końcu doprowadził mnie do tego że się rozplakałam oczywiście kobieta jest tak wrażliwa na wszystko wściekłam się na siebie później za to że ustąpiłam tylko że wiedziałam że szaleje za mną i powiedział że był On pierwszym socjalistą tak mnie zezłościł bo nie mogłam go zdenerwować ale wie bardzo dużo pomieszanych rzeczy szczególnie o ciele i wnętrznościach często myślałam że warto byłoby się dowiedzieć co mamy w środku z tego lekarza domowego zawsze słyszałam go przemawiającego kiedy pokój był zatłoczony i przyglądałam mu się później udawałam że jestem chłodna wobec niej przez niego bo bywał trochę zazdrosny kiedy pytał do kogo idziesz i powiedziałam do Floey a on mi dał w prezencie poematy lorda Byrona i trzy pary rękawiczek więc to się skończyło mogłabym bardzo łatwo zmusić go żeby się wszystko ułożyło kiedy zechcę wiem jak bym a nawet przypuścimy że znów się z nią zszedł i wychodzi żeby się z nią gdzieś spotkać wiedziałabym gdyby odmówił zjedzenia cebuli znam masę sposobów poprosić go żeby mi odwinął kołnierzyk bluzki albo dotknąć go woalką i rękawiczkami wychodząc i pocałunek posłałby je wszystkie do wszystkich ale niech tam w porządku zobaczymy jeszcze niech sobie do niej

chodzi ona oczywiście byłaby aż za bardzo zachwycona i udawałaby że jest w nim zakochana do szaleństwa co by mnie bardzo nie obeszło poszłabym tylko do niej i zapytała ją czy go kochasz i spojrzałabym jej prosto w oczy nie umiałaby mnie oszukać ale on mógłby sobie wyobrazić że jest i oświadczyłby się w ten swój zawiły sposób jej jak kiedyś mnie chociaż była to diabelnie trudna robota wydusić to z niego ale spodobało mi się to w nim bo pokazało że umiał się trzymać i nie można go było dostać za kiwnięcie palcem już już miał się oświadczyć mi tego wieczora w kuchni kiedy wałkowałam placki kartoflane chcę ci coś powiedzieć ale odstawiłam go wtedy udając że jestem zła bo mam pełne ręce roboty z tą klajstrowatą mąką tak na wszelki wypadek bo poprzedniego wieczora zdradziłam się za bardzo mówiąc o snach więc nie chciałam żeby wiedział więcej niż dla niego zdrowo zawsze obejmowała mnie Josie kiedy tylko on był przy tym mając jego na myśli oczywiście wieszając się 11.1 mnie a kiedy powiedziałam że myję się od dołu i od góry tak daleko jak to tylko

526

możliwe zapytała mnie czy myję to możliwe kobiety zawsze popchają rozmowę w tym kierunku i rąbią twardo kiedy on jest przy tym poznają po jego paskudnych oczach mrugających troszkę kiedy udaje że mu wszystko jedno kiedy powiedzą coś takiego taki jest to go psuje ale nie dziwię się zupełnie bo był bardzo przystojny wtedy starał się wyglądać jak lord Byron o którym powiedziałam że mi się podoba chociaż był za piękny na mężczyznę i był trochę zanim zaręczyliśmy się ale później nie podobało się jej już to tak w tym dniu kiedy dostałam spazmów ze śmiechu i nie mogłam przestać przez te moje szpilki do włosów wypadające jedna po drugiej a miałam wtedy taką masę włosów że zawsze się jest w doskonałym humorze powiedziała tak bo to ją podrażniło bo wiedziała co to znaczy bo opowiedziałam jej dużo o tym co się odbywało pomiędzy nami nie wszystko ale dosyć żeby jej ślinka szła do ust ale to nie moja wina że noga jej nie postąpiła u nas po naszym ślubie ciekawe jaka jest teraz po tym życiu z tym jej zwariowanym mężem twarz jej się wyciągnęła i zmarniała kiedy ją ostatni raz widziałam musiała chyba być zaraz po awanturze z nim bo od razu zauważyłam że chce sprowadzić rozmowę na mężów i mówić o nim żeby go obgadać co to mi ona powiedziała Och tak że czasem kładzie się do łóżka w zabłoconych butach kiedy dostaje tego swojego bzika wyobraźcie sobie kłaść się do łóżka z czymś takim co może cię w każdej chwili zamordować co za człowiek no ale to nie jedyny sposób w jaki ludzie wariują Poldy w każdym razie wyciera nogi na słomiance kiedy wchodzi czy pada czy słońce świeci i zawsze czyści sobie buty a on zawsze zdejmuje kapelusz kiedy wyrusza na ulicę w takim stanie a teraz chodzi w nocnych pantoflach i domaga się 10 000 funtów za jakąś zwariowaną pocztówkę kła pa O Moje Serce czy coś takiego nie udręczyłoby cię na śmierć prawdę mówiąc za głupi jest nawet żeby zdjąć buty i co można mieć za pożytek z takiego mężczyzny wolałabym 20 razy umrzeć niż wyjść za mąż za jeszcze kogoś z tej płci oczywiście nigdy by nie znalazł drugiej takiej kobiety jak ja która by zniosła od niego tyle co ja kochasz mnie to śpij ze mną i on to wie w głębi serca weźmy tę panią Maybrick która otruła męża nie wiem

dlaczego z miłości dla jakiegoś innego mężczyzny tak wydało się że to ona i czy nie była zwykłą zbrodniarką żeby zrobić coś takiego oczywiście niektórzy mężczyźni potrafią być okropnie niezdolni doprowadzają cię do szaleństwa i zawsze mówi się wtedy najgorzej o nas po co nas proszą żebyśmy brały z nimi ślub jeżeli jesteśmy takie złe jak z tego wynika tak bo nie mogą sobie dać rady bez nas biały arszenik wypiła mu do herbaty z lepu na muchy chyba ciekawa jestem dlaczego to się tak nazywa gdybym go zapytała powiedziałby że z greckiego i człowiek jest potem taki sam mądry jak był przedtem musiała chyba kochać do szaleństwa tego drugiego faceta żeby zaryzykować że ją powieszą Och nie dbała o to jeżeli miała taką naturę nie mogła nic na to poradzić a zresztą oni nie są takimi bydlakami żeby powiesić kobietę pewnie że są

każdy z nich jest taki inny Boylan mówiący o kształcie mojej stopy zauważył od razu nawet zanim go przedstawiono kiedy byłam z Poldym w ZPD śmiejąc się i starając się słyszeć kołysałam nogą oboje zamówiliśmy z herbaty i zwykły chleb z masłem i zobaczyłam że się przygląda razem z tymi swoimi dwiema siostrami starymi pannami kiedy wstałam i zapytałam dziewczynę gdzie to jest nie dbam o nic kiedy to już kapie ze mnie a te czarne obcisłe majtki do których kupienia mnie namówił wymagają pół godziny żeby je spuścić i pomoczyłam się cała ciągle ma jakiegoś

527

nowego bzika co drugi tydzień bardzo długo robiłam zostawiłam moje zamszowe rękawiczki na sedesie z tyłu i nigdy ich nie odzyskałam bo je jakaś baba skradła a on chciał żebyś dała ogłoszenie do Irlandzkiego Timesa zgubiono w damskiej umywalni w ZPD przy Dame street znalazca proszony o zwrot dla pani Marion Bloom i zauważyłam że patrzy na moje nogi kiedy wychodziłam przez drzwi obrotowe patrzył kiedy spojrzałam za siebie a potem poszłam tam na herbatę po 2 dniach mając nadzieję ale nie było go ale dlaczego go podnieciły bo skrzyżowałam je kiedy byliśmy w drugiej sali najpierw pomyślał o pantofelkach tych za ciasnych do chodzenia rękę mam ładną tak samo gdybym tylko miała pierścionelek z kamieniem mojego miesiąca ładną akwama-ryną nabiorę go na taki i złotą bransoletkę a moich stóp nie lubię aż tak bardzo ale zmusiłam go żeby z moimi stopami spędził noc po tym sfuszerowanym koncercie Goodwina było tak zimno i wietrznie dobrze że mieliśmy ten rum w domu do zagrzania z korzeniami a ogień nie był jeszcze wygaszony kiedy poprosił mnie żebyś zdjęła pończochy leżąc przed kominkiem na dywanie przy Lombard street też a innym razem to były moje zabłocone buty chciał żebyś w nich deptała po całym końskim łajnie jakie znajdę ale oczywiście on nie jest normalny jak reszta świata którą ja co on takiego powiedział że mogłabym dać 9 punktów for na 10 K-atty Lanner i pobić ją zapytałam go co to znaczy zapomniałam co odpowiedział bo właśnie przechodził człowiek z nadzwyczajnym dodatkiem i ten kędzierzawy z mleczarni Lucana który jest taki uprzejmy myślę że widziałam jego twarz już gdzieś przedtem przyjrzałam mu się kiedy próbowałam masło więc nie spieszyłam się Bartell dArcy też z którego się naśmiewał kiedy

zaczął mnie całować na schodach chóru po tym jak odśpiewałam Ave Maria Gounoda na co czekamy O serce moje ucałuj czoło me i rozstańmy się oboje to jest moja gierka był bardzo ognisty przy tym całym swoim blaszanym głose zachwycał się moimi niskimi tonami zawsze jeżeli mu można wierzyć lubiłam sposób w jaki operował ustami śpiewając wtedy powiedział czy to nie straszne robić to tam w takim miejscu aleja nie widzę w tym niczego takiego straszego opowiem mu o tym któregoś dnia nie teraz i niech się zadziwi tak i zabiorę go tam i pokażę mu dokładnie to miejsce zrobiliśmy to tu i sam zobacz jak ci się nie podoba możesz się udławić myśli że nic się nie może wydarzyć żeby się nie dowiedział nie miał pojęcia o mojej matce dopóki nie zaręczyliśmy się inaczej nigdy nie dostałby mnie tak tanio jak dostał ale on sam był 10 razy gorszy błagając mnie żebym mu dała kawałek odcięty z moich majtek to było tego wieczora kiedy szliśmy przez Kenilworth Square pocałował mnie w oczko rękawiczki i musiałam ją zdjąć zadawał pytania czy wolno dowiedzieć się jakiego kształtu jest moja sypialnia więc pozwoliłam mu ją zatrzymać jak gdybym zapomniała żeby o mnie myślał kiedy zobaczyłam że wsuwają do kieszeni oczywiście jest obłąkany na punkcie majtek to widać wyraźnie zawsze gapi się na te bezwstydnne stworzenia na rowerach z tymi spódniczkami podwiewającymi do pępka nawet wtedy kiedy Milly i ja byłyśmy z nim na jakiejś zabawie na wolnym powietrzu tamta w kremowym muślinie stojąca akurat naprzeciw słońca tak że mógł zobaczyć każdy atom z tego co miała na sobie kiedy zobaczył że idę za nim w deszczu ja go zobaczyłam zanim on mnie zobaczył mimo wszystko stojącego na rogu Harolds Cross Road w płaszczu nieprzemakalnym w pstrym szaliku aby podkreślał jego cerę i w brązowym kapeluszu wyglądał jak chłystek jak zwykle co on tam robił nie miał

528

tam żadnego interesu mogą pójść i dostać cokolwiek zechcą od byle czego co ma na sobie spódnice a my nie mamy prawa zadawać żadnych pytań ale oni chcą wiedzieć gdzie byłaś dokąd idziesz czułam że idzie za mną skradając się z oczyma na mojej szyi trzymał się z dala od domu czuł że się robi trochę za gorąco dla niego więc na pół obróciłam się i przystanęłam a wtedy on zaczął nękać mnie żebym powiedziała tak póki nie zdjęłam rękawiczki powoli przyglądając mu się powiedział że moje ażurowe rękawy są za zimne na deszcz wszystko wymówką żeby zbliżyć rękę do moich majtek do majtek przez cały ten przekłety czas aż mu obiecałam że mu dam parę z mojej lalki żeby mógł nosić w kieszonce kamizelki O Maria Santissima wyglądał jak wielki błazen ociekając deszczem a te wspaniałe jego zęby aż się poczułam głodna na ich widok i błagał mnie żebym uniosła tę pomarańczową plisowaną halkę którą miałam na sobie jak w promienie słoneczne i że nie ma nikogo powiedział że uklęknie w błocie jeżeli ja nie taki wytrzymały i zrobiłby to i zniszczyłby sobie nowy płaszcz nieprzemakalny nigdy nie wiadomo co im strzeli kiedy są sami z tobą zupełnie wściekają się za tym a gdyby ktoś przechodził więc uniosłam ją trochę i dotknęłam jego spodni od zewnątrz w taki sposób jak robiłam Gardnerowi później lewą ręką żeby nie robił jeszcze gorzej bo to było za bardzo na widoku umierałam z ciekawości czy jest obrzezany trząś się

cały jak galareta chcą wszystko robić za prędko i nie ma z tego żadnej przyjemności a ojciec czekał przez cały czas na kolację powiedział mi żebym powiedziała że zostawiłam portmonetkę u rzeźnika i musiałam się wrócić po nią co za Oszust potem napisał do mnie ten list z tymi wszystkimi słowami w nim jak mógł mieć czelność do jakiegokolwiek kobiety on z tymi manierami światowca i takie to było później kłopotliwe kiedy spotkaliśmy się zapytał mnie czy się obraziłam spuściłam powieki oczywiście zobaczył że się nie miał trochę rozumu nie jak ten drugi głupiec Henry Doyle który ciągle coś łamał albo rozdzierał w czasie żywych obrazów nie znoszę ludzi którzy nie mają szczęścia i nawet jeżeli wiedziałam co to znaczy musiałam oczywiście odpowiedzieć że nie dla zachowania pozorów nie rozumiem cię powiedziałam i czy nie zabrzmiało to naturalnie oczywiście tak było napisane na murze w Gibraltarze obok rysunku kobiety razem z tym słowem którego nie mogłam nigdzie znaleźć ale dzieci przyglądały się temu za wcześnie potem pisał list każdego rana czasami dwa dziennie lubiłam jego sposób zalecania się i wiedział jak sobie zjednać kobietę na przykład przysłał mi 8 wielkich maków ponieważ moje były 8 potem jak napisałam tego wieczora kiedy pocałował mnie w serce w Dolphins Barn nie mogłam opisać tego po prostu czujesz jak nikt na świecie ale nigdy nie umiał przytulić tak dobrze jak Gardner mam nadzieję że on przyjdzie w poniedziałek tak jak powiedział o tej samej porze o czwartej nienawidzę ludzi którzy przychodzą o wszystkich porach otwierasz drzwi na dzwonek myślisz że to z warzywami a to ktoś a ty jesteś nie ubrana albo drzwi brudnej rozbabrannej kuchni otwierają się na oścież tego dnia kiedy ten stary dziobaty Goodwin zajrzał w sprawie koncertu na Lombard street a ja właśnie po obiedzie cała czerwona i rozczochrana od gotowania potrawki baraniej proszę na mnie nie patrzeć profesorze musiałam powiedzieć wyglądałam jak straszdyłło tak ale to był prawdziwy gent na swój sposób nikt nie mógł być bardziej godny szacunku nikt komu by można powiedzieć że cię nie ma w domu trzeba wyglądać przez okiennicę jak z tym posłańcem dzisiaj myślałam najpierw że to jakaś jego

wymówka że przysłał porto i brzoskwinie najpierw i właśnie zaczęłam ziewać z nerwów myśląc że on chce ze mnie zrobić idiotkę kiedy poznałam jego tratatatra-tatat przy drzwiach musiał się chyba trochę spóźnić ponieważ było już 1/4 po 3 kiedy zobaczyłam 2 dziewczynki Dedalusa wychodzące ze szkoły nigdy nie wiem która jest godzina nawet ten zegarek który mi dał nigdy zdaje się nie chodzi dobrze chciałabym żeby ktoś się nim zajął kiedy rzuciłam pensa temu marynarzowi kalece za Anglię ojczyznę i piękno kiedy gwizdałam oto dziewczeczka śliczna którą kochać chcę i nie włożyłam nawet czystej koszuli i nie upudrowałam się ani nic od dziś za tydzień mamy jechać do Belfastu to dobrze bo on musi jechać do Ennis rocznica jego ojca jest 27 nie byłoby miło gdyby pojechał przypuśćmy że nasze pokoje w hotelu byłyby obok siebie i gdyby się zaczął wygłupiać w świeżo pościelonym łóżku nie mogłabym mu powiedzieć żeby przestał i nie zawracał mi głowy gdyby on był w sąsiednim pokoju albo może jakiś protestancki duchowny pokasłujący pukający w ścianę

potem na drugi dzień nie uwierzyłby że niczego nie robiliśmy to wszystko bardzo jest dobre dla męża ale nie można oszukiwać kochanka potem jak mu powiedziałam że nigdy nic nie robimy oczywiście nie uwierzył mi nie to lepiej że pojedzie tam gdzie ma jechać poza tym zawsze mu się coś przydarza tamtym razem kiedy pojechaliśmy na koncert Mallova do Maryborough zamówił wrzącą zupę dla nas obojga a potem dzwonił na stacji zadzwonił a on wychodzi na peron rozlewając zupę dokoła i nabierając ją pełną łyżką nie denerwował się wcale a kelner za nim i robi z nas widowisko wrzeszcząc i zamieszanie bo lokomotywa ma zaraz ruszyć ale on nie chciał zapłacić zanim jej nie skończył a dwaj gentlemen w wagonie 3. klasy powiedzieli że miał zupełną słuszość i miał taki uparty jest czasami kiedy sobie jakąś rzecz wbije do głowy dobrze że umiał otworzyć drzwi przedziału scyzorykiem bo zawieźliby nas do Cork myślę że mu to zrobili z zemsty Och uwielbiam wycieczki pociągiem albo powozem z cudownymi miękkimi poduszkami ciekawa jestem czy weźmie I. klasę dla mnie może chce to robić w pociągu jeżeli przekupi konduktora Och przypuszczam że zawsze znajdą się jacyś idioci mężczyźni którzy będą się na nas gapić głupi jak nogi stołowe to był wyjątkowy człowiek ten prosty robotnik który zostawił nas samych w przedziale tego dnia jazdy do Howth chciałabym się czegoś o nim dowiedzieć I albo z tunele a potem musisz wyglądać przez okno tym przyjemniej potem wracać przypuścmy że nigdy bym nie wróciła co by powiedział uciekła z nim to pomaga w wejściu na scenę na ostatnim koncercie śpiewałam w gdzie przeszło rok temu kiedy to było sala św. Teresy Ciarendon street teraz tam śpiewają tylko małe niewypierzone Kathleen Kearney i takie jak ona bo ojciec był w armii a ja śpiewałam roztargnionego włóczkę i nosiłam broszkę z lordem Robertsem miałam mapę tego wszystkiego a Poldy nie był dość irlandzki czy on to załatwił tym razem nie powiedziałabym żeby to przekraczało jego możliwości wciągnął mnie do tego śpiewania Stabat Mater chodząc tu i tam opowiadając że komponuje muzykę do Prowadź Nas Miła Światłości (do czego go namówiłam póki jezuita nie dowiedzieli się że jest masonem) grzmocąc w pianino prowadź Ty mnie odpisane z jakiejś starej opery tak a ostatnio włóczył się z jakimś z Sinner Fein czy jak oni się nazywają wygadując te swoje zwykłe bzdury i nonsensy mówi że ten mały człowieczek którego mi pokazał nie mający szyi jest bardzo inteligentny i że to człowiek przyszłości Griffith czyżby no cóż nie wygląda na to to wszystko co

mogę powiedzieć ale to musiał być on wiedział że jest bojkot nienawidzę każdej wzmianki o polityce po tej wojnie tej Pretorii i Ladysmith i Bloemfontein gdzie Gardner Porucznik Staney G 8 Batalion 2 Pułku East Lancashire na dur brzuszny był to śliczny facet w khaki i akurat o tyle wyższy niż ja ile trzeba pewna jestem że też był dzielny powiedział że jestem śliczna tego wieczora kiedy pocałowaliśmy się na pożegnanie przy słuzie kanału moja irlandzka piękności był blady z podniecenia przez ten wyjazd albo może zobaczyliby nas z drogi nie mógł ustać porządnie a mnie było tak gorąco jak nigdy mogli podpisać ten swój

pokój na samym początku albo żeby ten stary oom Pauł i reszta tych starych Krugerów poszła i walczyła między sobą zamiast wlec to latami zabijając każdego przystojnego mężczyznę jaki się nadarzy dudem brzuszny żeby go chociaż przyzwolicie zastrzelili to by nie było aż takie złe uwielbiam patrzeć na pułk idący na paradzie ten pierwszy raz kiedy widziałam hiszpańską kawalerię w La Roque to było cudowne potem patrzeć przez zatokę z Algeciras na te wszystkie światła na skale jak robaczki świętojańskie albo te niby bitwy na 15 akarach Black Watch w tych ich spódniczkach idący paradnym krokiem obok 10 Huzarów Księcia Walii albo lansjerzy Och lansjerzy są wspaniali albo Dublińscy którzy zdobyli Tugelęgo ojciec zrobił pieniądze na sprzedawaniu koni kawalerii cóż mógłby mi kupić jakiś ładny prezent tam w Belfaście po tym co ja mu dałam mają tam piękną bieliznę albo któreś z tych ładnych kimon muszę kupić kulkę naftalinową na mole taką jak miałam przedtem i trzymać ją w szufladzie razem z nimi to by było podniecające chodzić z nim tam na zakupy i kupować te rzeczy w nowym mieście lepiej zostawić tę obrączkę tutaj trzeba ją przekręcać i przekręcać żeby przepchać przez kostkę palca ale mogliby to rozbębnić po całym tym mieście u siebie w gazetach albo naskarżyć policji na mnie ale pewnie myśleliby że jesteśmy małżeństwem Och niech się wszyscy razem pocałują figę mnie to obchodzi on ma masę pieniędzy i nie jest człowiekiem żonatym więc lepiej żeby ktoś je z niego wyluskał żebym tylko wiedziała czy mnie lubi wyglądałam trochę jak wypłosz oczywiście kiedy spojrzałam z bliska w lusterko pudrując się duże lustro nigdy nie oddaje twojego wyglądu a poza tym po tym piłowaniu mnie przez cały czas tymi wielkimi kośćmi biodrowymi i ciężki jest a ta włochata pierś w taki upał zawsze trzeba się kłaść pod nim wygodniej by mu było wkładać to z tyłu we mnie w taki sposób jak mi to opowiadała pani Mastiansky że jej mąż ją zmuszał jak psy to robią i kazał jej wysuwać język tak daleko jak umiała a taki był cichy i łagodny z tą swoją podzwaniającą cytrą czy można w ogóle zrozumieć mężczyzn co ich bierze piękny był ten materiał z którego miał zrobione to niebieskie ubranie i elegancki krawat i skarpetki z błękitnymi jedwabnymi rzeczami na nich na pewno jest zamożny poznaję po kroju jego ubrań i jego ciężkim zegarku ale był zupełnie jak diabeł przez parę minut kiedy wrócił z dodatkiem nadzwyczajnym drąc bilety klnąc na czym świat stoi bo stracił 20 funtów powiedział na tego fuksa który wygrał a połowę postawił w moim imieniu bo Lenehan mu wskazał i kłął go od ostatnich tego pasożyta pozwalał sobie ze mną po obiedzie Glencree kiedy wracaliśmy telepiąc się długo przez Featherbed Mountain po tym jak lord major przyglądał mi się tymi swoimi paskudnymi oczyma Val Diiion ten wielki gbur pierwszy raz go zauważyłam przy deserze kiedy rozgryzałam orzechy zębami i chciałam móc zebrać każdy okruch tego kurczaka z palców był taki smaczny i przyrumieniony a miękki

jak nie wiem co tylko że nie chciałam zjadać wszystkiego co miałam na talerzu te widelce i noże do ryb były wszystkie z cechowanego srebra też chciałabym mieć ich trochę mogłam łatwo wsunąć kilka do mufki kiedy się bawiłam nimi i zawsze zależeć od nich kiedy chodzi o

pieniądze w restauracji za kęsek który włożysz w gardło jeszcze musisz być wdzięczna a filiżankę nędznej herbaty traktować jako komplement że cię wyróżniono ale świat jest już tak podzielony w każdym razie jeżeli tak ma być dalej chciałabym mieć co najmniej ze dwie nowe koszule to jedno i ale nie wiem jaki rodzaj majtek on lubi chyba żadnych jak przypuszczam czy nie powiedział czegoś takiego tak a połowa dziewcząt w Gibraltarze też ich nigdy nie nosiła gołe jak je Pan Bóg stworzył ta Andaluzyjka śpiewająca swoją Manolę nie robiła wielkiej tajemnicy z tego czego nie miała tak i drugą parę pończoch ze sztucznego jedwabiu po jednym dniu noszenia mają już oczka mogłam je odnieść z powrotem do Lewera i nawymyślać i kazać mu zamienić tę jedną ale nie chcę się denerwować i ryzykować że natknę się na niego i zniszczę całą sprawę i chciałabym jeden z tych przylegających jak skóra gorsetów ogłaszały go jako tani w Damie z klinami na biodrach z gumy elastycznej on odświeżył ten jedyny który mam ale jest nic niewart co tam oni mówili że nadają sylwetce uroczą linię 11 szylingów i 6 pensów zapobiega temu nietwarzowemu szerokiemu wyglądowi z tyłu pod plecami żeby trochę schudnąć mój brzuch jest trochę za wielki muszę skończyć z piwem przy obiedzie a może zaczynam je za bardzo lubić ostatnie które przysłał ORourke było żadne jak woda łatwo robi pieniądze łatwy Larry nazywają go ta nędzna paczka którą przysłał na Boże Narodzenie placek domowy i butelka pomyj którą starał się wtrzyknąć jako bordeaux bo nie mógł nikogo zmusić do wypicia tego Boże oszczędzałby ślinę ze strachu żeby nie umrzeć z pragnienia albo muszę robić trochę tych ćwiczeń z oddychaniem ciekawa jestem czy ten Antytłuszcz jest coś wart można przedobrzyć chude nie są teraz bardzo modne podwiązki mam w każdym razie ta para fioletowych które nosiłam dzisiaj to wszystko co mi kupił z tego czeku który dostał pierwszego Och nie był jeszcze ten płyn do twarzy ostatek skończył mi się wczoraj robił to z moją skórą że była jak nowa powtarzałam mu raz po raz daj to zrobić w tym samym miejscu i nie zapomnij o tym Bóg jeden wie czy zrobił tak po tym wszystkim co mu powiedziałam tak czy owak poznam po butelce jeżeli nie myślę że będę musiała się myć w moich siuszkach jak w bulionie z wołowiny albo z kurczaka z odrobiną tego opoponaksu i fiołków pomyślałam że zaczyna wyglądać szorstko albo trochę staro ta skóra pod spodem jest o wiele delikatniejsza tam gdzie zeszła mi z palca po tym oparzeniu szkoda że cała nie jest taka i te cztery liche chusteczki razem za 6 szylingów pewnie że nie można przepchać się przez ten świat bez elegancji kiedy wszystko idzie w jedzenie i komorne kiedy to dostanę roztrwonię to powiadam ci w pięknym stylu zawsze chcę wrzucić całą garść herbaty do imbryczka odmierzanie i cedzenie a jeżeli nawet kupię sobie parę starych chodaków czy podobają ci się te nowe pantofelki tak ile kosztowały nie mam się w co ubrać brązowy kostium i spódnica i żakiet i ta jedna w czyszczeniu 3 co to znaczy dla jakiegokolwiek kobiety przycinanie tego starego kapelusza i obszywanie na nowo innego mężczyźni nie spojrzą na ciebie a kobiety będą próbowały cię zdeptać bo będą wiedziały że nie masz żadnego mężczyzny a wszystko robi się co dzień droższe a mam jeszcze 4 lata życia do 35 nie mam co ile mam będę miała 33 we wrześniu czy

naprawdę będę miała co Och no cóż spójrz na tę panią Galbraith jest dużo starsza niż ja widziałam ją na ulicy w zeszłym tygodniu jej piękność zaczyna więdnąć to była piękna kobieta wspaniałe włosy do pasa odrzucała je do tyłu jak Kitty OShea na Grantham street I rzecz jaką robiłam każdego rana patrzyłam naprzeciwko żeby zobaczyć ją czesząc ją jakby to kochała i cieszyła się tym bardzo żałowałam że poznałam ją dopiero na dzień przed naszą wyprawą a ta pani Langtry Liii z Jersey książę Walii kochał się w niej przypuszczam że on jest jak pierwszy lepszy tyle tylko że ma tytuł króla wszyscy oni są jednakowi czarnego człowieka chciałabym spróbować piękność aż do ile miała 45 była tam jakaś śmieszna historyjka o zazdrosnym starym mężu o czym to było i o nożu do otwierania ostryg on odjechał nie on kazał jej nosić coś w rodzaju blaszanej rzeczy naokoło a książę Walii tak miał ten nóż do otwierania ostryg to nie może być prawda taka rzecz jak niektóre z tych książek które on mi przynosi dzieła Mistrza Francois kogoś tam który miał być księdzem o dziecku które narodziło się jej z ucha bo jej flaki z dupy wyleciały ładne słowo dla księdza do napisania bo jej z d-yjak gdyby każdy głupiec nie wiedział co to znaczy nienawidzę tego udawania najbardziej ze wszystkich rzeczy kiedy się ma gębę takiego starego łobuza jak on każdy i tak wie że to nieprawda a ta Ruby i Uroczę Tyranki które mi przyniósł tamtą dwa razy przypominam sobie że kiedy doszłam do strony 50 do tej części o tym jak ona go wiesza na haku i biczuje sznurem chyba nie ma nic dla kobiety w całym tym wymyśle że on pije szampana z jej pantofelka po balu jak dzieciątko Jezus w żłobku w Inchicore w ramionach Najświętszej Panny chyba żadna kobieta nie mogłaby mieć takiego wielkiego dziecka wyjętego ze siebie i najpierw myślałam że wyszło jej bokiem bo jak mogła podejść do nocnika kiedy jej się zachciało była przecież bogatą damą i czuła się zaszczycona J.K.M. był w Gibraltarze w roku kiedy się urodziłam założę się że tam też znalazł lilie tam gdzie zasadził drzewko zasadził coś więcej jeszcze wtedy mógł i mnie zasadzić gdyby przyjechał trochę wcześniej nie byłabym tutaj jak jestem powinien cisnąć tego Człowieka Wolnego i tych parę nędznych szylingów które wyciąga stamtąd i iść do biura albo gdzieś gdzie miałby regularną pensję albo do banku albo gdzie mogliby go posadzić na tronie żeby liczył pieniądze przez cały dzień oczywiście woli myszkować po domu tak że nie można się ruszyć żeby go wszędzie nie było jakie masz plany na dzisiaj chciałabym żeby chociaż palił fajkę jak ojciec żeby chociaż mieć zapach mężczyzny albo udaje że się wałęsa za ogłoszeniami kiedy mógł być nadal u pana Cuffe gdyby nie to co zrobił wtedy wysłał mnie żebym spróbowała to załatwić jakoś mogłam zrobić tak żeby go awansowali na kierownika bo raz czy dwa razy dał mi wielką miradę początkowo był sztywny jak kij naprawdę proszę mi wierzyć pani Bloom tylko że czułam się tak paskudnie w tej starej szmacianej sukni że się zupełnie zagubiłam bez dekoltu ale znowu się robią modne kupiłam ją po prostu dlatego żeby mu zrobić przyjemność poznałam po wykończeniu że nic nie jest warta szkoda że zmieniłam zdanie i nie poszłam do Todda i Burnsa jak zapowiedziałam tylko do Lee była zupełnie jak ten sklep resztką z wyprzedaży kupa śmiecia nienawidzę tych bogatych sklepów działają ci na nerwy ale nic mnie tak nie wścieka jak to że on myśli że wie bardzo wiele o kobiecym ubiorze i gotowaniu przyprawiając wszystko czego dopadnie wszystkim co zdejmie z półek gdybym szła za jego radami każdy przeklęty kapelusz czy mi w nim do twarzy tak weź go ten jest

dobry ten jak tort weselny sterczący na całe mile nad głową powiedział że mi w nim dobrze albo ta nakrywka do garnka ta spadająca na plecy jak na szpilkach z powodu tej dziewczyny w sklepie przy Grafton street gdzie miałam nieszczęście go przyprowadzić a ona powiedziała beczelnie jak to one umięją z tym swoim głupim uśmiechem zdaje się że sprawiamy pani za wiele kłopotu a po co ona tam jest jeżeli nie aleja popatrzyłam tak na nią że jej to uciekło z oczu tak a on był bardzo sztywny i nic dziwnego ale zmienił się kiedy spojrzał po raz drugi Poldy uparty jak zwykle jak z tą zupą ale zauważyłam że wpatruje się bardzo uporczywie w moją pierś kiedy wstał żeby otworzyć mi drzwi to było w każdym razie bardzo ładne że odprowadził mnie do drzwi szalenie mi przykro pani Bloom proszę mi wierzyć bez zaznaczania tego znanadto za pierwszym razem potem jak go obrażono a przecież byłam jego żoną a ja tylko na pół uśmiechnęłam się wiem a moja pierś już była za drzwiami kiedy powiedział jest mi niezwykle przykro i jestem pewna że ci było

tak myślę że je usztynił trochę ssąc w ten sposób tak długo że aż mi się pić zachciało nazywał je cyckami nie mogłam się nie śmiać tak w każdym razie sztywne robią się te brodawki przynajmniej przypilnuję żeby tego nie przerywał i będę jadła te jajka ubijane z marsalą żeby przytyły trochę dla niego co to są te wszystkie żyłki i rzeczy ciekawe w jaki sposób to jest zrobione z jednakowe na wypadek bliźniąt mają przedstawiać piękno gdy są umieszczone tak wysoko jak u tych posągów w muzeum jedna z nich udaje że zakrywa to ręką czy są aż tak piękne oczywiście w porównaniu z tym jak wygląda mężczyzna z tymi swoimi dwoma w pękatym worku i tą swoją drugą rzeczą zwisającą albo sterczącą w górę ku tobie jak wieszak nic dziwnego że zakrywają to listkiem kapusty kobieta jest piękna to jest uznane kiedy powiedział że mogłabym pozować nago do obrazu jakiegoś bogatemu facetowi przy Holles street kiedy stracił posadę u Hely'ego a ja sprzedawałam ubrania i rzępoliłam w coffee pałace czy byłabym jak ta kąpiel nimfy gdybym rozpuściła włosy tak tylko że ona jest młodsza a może jestem jak ta marna kurwa na tej hiszpańskiej fotografii którą ma czy nimfy chodzą w ten sposób tak zapytałam go ten wstrętny Cameron Highlander za targowiskiem mięsnym albo ten inny nieszczęśnik z rudą głową za drzewem gdzie był dawniej posąg ryby a kiedy przechodziłam udawał że siusia i wystawił się na mnie żebym to zobaczyła i podniósł tę swoją dziecinną spódniczkę w górę z jednej strony byli przybocznym pułkiem królowej ładna banda dobrze że pułk z Surrey ich złuzował ciągle starają się pokazać ci to za każdym prawie razem kiedy mijałam męski wychodek przy Dworcu Harcourt street żeby sobie tylko wypróbować jakiś jeden albo drugi facet chciał uchwycić moje spojrzenie jakby to był 1 z 7 cudów świata Och a smród tych paskudnych miejsc tego wieczora kiedy wracałam z Poldym po przyjęciu u Comerfordów pomarańcze i lemoniada żeby ci było przyjemnie i wodniście weszłam do 1 z nich było tak gryzące zimno że nie mogłam wytrzymać kiedy to było w 93 kanał był zamrożony tak to było parę miesięcy później szkoda że paru Cameronów nie było tam żeby na mnie popatrzeć kucającą

w tym miejscu dla mężczyzn meadero starałam się to narysować zanim to podarłam jak parówka czy coś takiego dziwię się że tak sobie chodzą i nie boją się że ich ktoś kopnie w to albo uderzy albo coś takiego a to słowo mnie tam psy coś tam a on oczywiście wyskoczył ze słowami że język można na nich połamać o wcieleniu nigdy nie umie nic wytłumaczyć prosto

534

tak żeby dziewczyna mogła zrozumieć a potem idzie i przepala denko w patelni a wszystko dla jego Nerki tu nie tak bardzo jest jeszcze ślad jego zębów tam gdzie chciał mnie ugryźć w brodawkę musiałam krzyknąć czy oni nie są przerażający starają się sprawić ci ból i miałam wielkie piersi pełne mleka przy Milly wystarczyłoby na dwoje jaki był powód tego powiedział że mogłabym dostać funta tygodniowo jaka mamka tak mi wszystko nabrzmiało tego ranka kiedy ten tak delikatnie wyglądający student który zatrzymał się pod N° 28 u Citronów Penrose prawie mnie zobaczył kiedy się myłam przez okno tylko że uniosłam ręcznik do twarzy takie to były te jego studia bolało mnie kiedy ją odłączyli od piersi dopóki nie sprowadził doktora Brady żeby mi dał receptę na Belladonnę musiałam kazać mu je ssać bo były takie twarde powiedział że jest słodsze i gęstsze niż krowie potem chciał mnie doić do herbaty no on przekracza wszystko twierdząc że ktoś powinien go umieścić na pierwszej stronie w gazecie gdybym tylko mogła przypomnieć sobie połowę tych rzeczy i napisać książkę o nich dzieła Mistrza Poldy tak i skóra jest od razu o wiele gładsza o wiele był przy nich przez godzinę jestem pewna bo patrzyłam na zegar jak jakieś niemowlę które miałam przy sobie chcą wszystko brać w usta ci mężczyźni to cała przyjemność jaką mają z kobiety czuję jego usta O Boże muszę się wyprostować jakbym chciała żeby on tu był albo ktoś żebym mogła sobie ulżyć i popłynęła z nim razem czuję się w środku cała jak w ogniu albo żeby mi się to mogło przyśnić kiedy za 2 razem łaskotał mnie palcem od tyłu dochodziłam chyba z 5 minut z nogami owiniętymi naokoło niego musiałam go za to ucisnąć potem O Boże chciałam krzyczeć różne rzeczy pierdolić albo srać albo cokolwiek tylko żeby nie wyglądać brzydko albo te linie z napięcia kto wie jakby je przyjął musisz wyczuć swoje zachowanie z mężczyzną nie są wszyscy tacy jak on dzięki Bogu niektórzy z nich chcą żebyś była bardzo miła przy tym zauważyłam przeciwieństwo on nie mówi kiedy to robi postarałam się mieć to spojrzenie w oczach a włosy miałam trochę w nieładzie od tego przewracania się i miałam język między wargami wysunięty ku niemu ku tej dzikiej bestii czwartek piątek jeden sobota dwa niedziela trzy O Boże nie wytrzymam do poniedziałku

fluuuuufriiiiiii pociąg gdzieś gwizdże jaką siłę mają w sobie te maszyny jak giganci i woda przelewa się w nich i bucha na wszystkie strony jak koniec Starej słodkiej pieśni miłosssssneeeej ci biedni ludzie którzy muszą być przez całą noc poza domem daleko od żon i rodzin piekąc się w tych maszynach duszno dziś było zadowolona jestem że spaliłam połowę tych Wolnychludzi i tych Fotookruchów zostawia rzeczy tak byle gdzie staje się bardzo nieuważny i wyrzuciłam resztkę do WC każę mu jutro pociąć je dla mnie zamiast

żeby leżały tam przez cały następny rok po to żeby dostać za nie parę pensów i słuchać jak pyta gdzie gazeta z zeszłego stycznia i wszystkie te stare palta które zwinęłam i wyrzuciłam z przedpokoju było tam przez nie goręcej niż powinno być ten deszcz był cudowny zaraz po mojej drzemce wydawało mi się że będzie jak w Gibraltarze mój Boże ten upał tam zanim wiatr z Lewantu nadszedł ciemno jak w nocy i blask tej skały stojącej pośród tego jak ogromny gigant w porównaniu z ich Górą z 3 skałami o której myślę że jest taka wielka i wartownicy w czerwieni to tu to tam topole wszyscy rozgrzani do białego moskitiery i zapach wody deszczowej w tych zbiornikach przez cały czas patrzyło się w słońce lejące się z góry na ciebie wyblakła mi od tego ta śliczna sukienka którą

535

przyjaciółka ojca pani Stanhope przysłała mi z B Marche Paris co za wstyd że moja najdroższa Doggerino napisała na czym była bardzo miła jakie jest to jej drugie nazwisko było to tylko kartka pocztowa żeby ci powiedzieć że wysłałam mały prezencik właśnie wzięłam przyjemną gorącą kąpiel i czuję się bardzo czysta jak kotka lubiła to merdacz tak nazywała go merdacz dałby nie wiem co żeby być znowu w Gib i usłyszeć cię śpiewającą w starym Madrycie albo Oczekująca Conco-ne nazywają się te ćwiczenia kupił mi jeden z tych nowych jakieś słowo którego nie mogłam odczytać szali szalenie to zabawne rzeczy ale drą się z najmniejszego powodu ale są śliczne myślę a ty czy też nie zawsze będę wspominała te uroczę herbatki które odbywaliśmy wspólnie i te świetne grzanki z rodzinami i wafelki malinowe które uwielbiam a teraz najdroższa Doggerino napisz na pewno prędko uprzejmie dodała pozdrowienia dla twojego ojca także dla kapitana Grove kochająca cię serdecznie twoja na zzzawsze x x x x x zupełnie nie wyglądała na mężatkę zupełnie jak dziewczynka on był o całe lata starszy niż ona ten jej merdacz bardzo mnie lubił kiedyś przytrzymał drut nogą w dole żebym mogła przejść w czasie walki byków w La Linea kiedy ten matador Gomez dostał bycze ucho ubiory które musimy nosić któż to wymyślił kiedy oczekują od ciebie że podejdziesz na Killiney Hill albo na przykład ten piknik cała jesteś zasznurowana nie możesz palcem kiwnąć w tłumie biec w tym albo odskoczyć z drogi dlatego zlekłam się kiedy ten drugi wściekły stary Byk zaczął szarżować na banderillos z szarfami i tymi z rzeczami w kapeluszach a te bydlęta mężczyźni wrzeszczą bravo toro ale na pewno kobiety były tak samo złe w tych swoich ładnych mantiiias wypruwają wszystkie flaki z tych biednych koni nigdy nie słyszał o niczym podobnym w życiu tak boki zrywał patrząc na mnie kiedy udawałam psa szczekającego w beli lane biedne bydlę i było chore co się z nimi stało pewnie już dawno umarli we z wszystko jak przez mgłę i od razu czuję się taka stara oczywiście ja robiłam te grzanki miałam wszystko dla siebie wtedy i dziewczynę Hester porównywałyśmy nasze włosy moje były gęstsze niż jej pokazała mi jak je układać z tyłu kiedy je upinałam i co to było jeszcze jak robić supełek na nitce tę samą ręką byłyśmy jak kuzynki ile miałam lat wtedy a tej nocy kiedy była burza spałam u niej w łóżku objęła mnie ramionami a rano biłyśmy się poduszkami co za zabawa przyglądał mi się kiedy tylko miał

okazję przy orkiestrze na alei spacerowej w Alamedzie kiedy byłam z ojcem i Kapitanem Grove spojrzałam najpierw na kościół a potem na okna a potem niżej i nasze oczy się spotkały poczułam że coś mnie przeszywa wszędzie jak igły oczy mi tańczyły pamiętam potem kiedy przyjrzałam się sobie w lustrze prawie się nie poznałam zmiana miałam wspaniałą skórę od słońca a to podniecenie jak róża nie zmrużyłam oka tej nocy to nie byłoby ładne ze względu na nią ale mogłam to powstrzymać w porę dała mi Kamień Księżycowy do czytania to było pierwsze co czytałam Wilkie Collinsa East Lynne czytałam i cień Aszlidajaty pani Henry Wood Henry Dunbar przez tę drugą kobietę pożyczyłam mu później z fotografią Mulveya w niej żeby zobaczyć że nie byłam bez i Lord Lytton Eugene Aram dała mi Molly bawn napisaną przez panią Hungerford ze względu na imię nie lubię książek w których jest Molly jak w tamtej którą przyniósł mi o tej z Flandrii to była kurwa ciągle kradła w sklepach co jej w rękę wpadło wełny jedwabie całe jardy i jardy za ciężki jest dla mnie ten koc tak lepiej nie mam nawet jednej przyzwoitej koszuli nocnej ta się cała zwija w wałek pode mną

536

a poza tym on i te jego głupstwa tak lepiej pławiłam się wtedy w upale koszulę miałam mokrą od potu przyklejoną do rowka w tyłku na krześle kiedy wstałam były takie tłusciutkie i twarde kiedy stałam na poduszkach kanapy z uniesioną sukienką żeby zobaczyć i robactwo całe tony w nocy i moskitiery nie mogłam przeczytać nawet linijki Boże jak dawno się to wydaje wieki całe oczywiście nigdy nie powracają i nie napisała na niej adresu może zauważyła że jej merdacz ludzie zawsze odjeżdżali a my nigdy pamiętam ten dzień z falami łodzie z wysokimi dziobami podskakujące i rozkołysany okręt te mundury Oficerów na przepustce na lądzie dostawałam od tego choroby morskiej nie powiedział nic był bardzo poważny miałam na sobie buciki zapinane wysoko na guziczki i spódnica mi powiewała pocałowała mnie sześć albo siedem razy czy nie płakałam tak chyba płakałam albo byłam bliska tego wargi mi się trzęsły kiedy mówiłam do widzenia ona miała Cudowną narzutkę jakiegoś szczególnego rodzaju niebieskiego koloru na sobie na drogę uszytą bardzo dziwnie na jedną stronę i było to wyjątkowo ładne zrobiło się diabelnie nudno kiedy odjechali i prawie że planowałam żeby uciec jak wariatka od tego wszystkiego gdzieś nigdy nam nie jest łatwo tam gdzie jesteśmy ojciec albo ciotka albo małżeństwo czekamy zawsze czekamy żeby go przyyyyyywać ku sooobie czekając a nie mkną jego lotne stopy a te ich przekłute armaty wybuchające i grzmiące wszędzie gdzie popadnie szczególnie w dzień urodzin Królowej i przewracające wszystko na wszystkie strony jeżeli się nie otworzyło okien kiedy generał Ulysses Grant nie wiem kto to mógł być i co zrobił zdaje się że jakiś wielki facet wylądował z okrętu a stary konsul Sprague który był tam już przed potopem ubrany galowo biedak a przecież był w żałobie po synu i ta sama stara pobudka rano i warkot bębnow i ci nieszczęśni diabelni żołnierze łąjący z menażkami zasmradzający okolicę gorzej niż ci starzy żydzi z długimi brodami w tych swoich jarmułkach i w chałatach i odtrąbiono i wystrzał armatni dla

ludzi żeby przechodzili granicę i szef straży idący z tymi swoimi kluczami żeby zamknąć bramy i kobzy i tylko Kapitan Groves i ojciec rozmawiający o Rorkes drift i o Plewnie i o sir Gamecie Wolseleyu i o Gordonie w Khartoumie zapalałam im fajki za każdym razem kiedy wychodzili pijany stary diabeł z tym swoim grogiem na parapecie okna nie pamiętam żeby zostawił kiedyś chociaż kropelkę dłubiący w nosie starający się obmyśleć jakąś nową plugawą historyjkę do opowiedzenia w kąciku ale nigdy się nie zapominał kiedy ja tam byłam wysyłał mnie z pokoju pod byle jakim pozorem mówiąc komplementy a to tylko Bushmills whisky przemawiała przez niego oczywiście ale zachowałby się tak samo wobec każdej kobiety która by się nawinęła myślę że umarł na galopujące pijaństwo całe wieki temu dni biegną jak lata ani listu od żywego ducha z wyjątkiem tych kilku które posłałam sama do siebie z kawałkami papieru w środku tak znudzona byłam czasami mogłabym drapać paznokciami słuchając tego starego jednookiego Araba z tym jego oślim instrumentem śpiewającego swoje hiia hiia ahiaa wkublemęty wobec pani trelówmorelów na pani dhupie to było tak samo głupie jak teraz ze zwieszonymi rękami wyglądałam przez okno czy nie widać jakiegoś miłego faceta nawet naprzeciwno ten student medycyny przy Holles street który wpadł w oko tej pielęgniarki kiedy wkładałam kapelusz i rękawiczki przy oknie żeby pokazać że wychodzę ani znaku chcę powiedzieć czy oni nie są gruboskórni nigdy nie rozumieją tego co im mówisz nawet gdybyś im to wydru-

5 3 7

kowała na wielkim afiszu albo nawet gdybyś im dwa razy podała lewą rękę i ścisnęła ich rękę w swojej i nie poznał mnie też kiedy tak na pół zmarszczyłam się na niego przed kaplicą w Westland Rów gdzie się mieści ta ich wielka inteligencja chciałabym wiedzieć te ich szare komórki mają to wszystko w ogonie jeżeli mnie pytacie o zdanie ci wsiowi cwaniacy w City Arms mieli o wiele mniej inteligencji niż te przekłete byki i krowy których mięso sprzedawali i dzwonek węglarza ten hałaśliwy dziad który starał się mnie oszukać wyjmując z kapelusza nie ten rachunek co za para pazurów i patelnie i garnki i imbryki reperuje czy nie mam żadnych starych butelek dla tego biednego na dzisiaj i żadnych gości ani poczty tylko jego czeki albo jakieś ogłoszenie jak ten cudotwórca którego mu przysłali zaadresowany droga Pani tylko ten jego list i kartka od Milly dziś rano widziałam list do niego ostatni list otrzymałam od Och pani Dwenn i co ją napadło żeby napisać po tylu latach żeby dowiedzieć się o przepis na pisto madrilenio Floey Diiion od czasu jak mi napisała że wyszła za bardzo bogatego architekta jeżeli mam wierzyć wszystkiemu co usłyszę z willą i ośmioma pokojami jej ojciec był strasznie miłym człowiekiem miał prawie siedemdziesiąt lat zawsze w dobrym humorze no panno Tweedy albo panno Gillespie oto pijanino miał też serwis do kawy z kutego srebra na mahoniowym kredensie a potem umarł tak daleko nienawidzę ludzi którzy zawsze mają do opowiedzenia swoją nieszczęsną historyjkę każdy ma swoje własne kłopoty ta biedna Nancy Blake umarła miesiąc temu na zapalenie płuc cóż nie znałam jej aż tak dobrze była przyjaciółką Floey bardziej niż moją to

nu-dziarstwo odpowiadać on zawsze mówi mi nie te rzeczy i bez kropek jakby wygłaszał przemówienie wasza smutna strata wyrazy współczucia i sempatii zawsze robię ten błąd i kuzenka przez e mam nadzieję że napisze do mnie dłuższy list następnym razem jeżeli mnie naprawdę polubi O niech dzięki będą najwyższemu Bogu że mam kogoś kto mi da to czego tak okropnie potrzebowałam wrócił mi trochę życia nie masz żadnych szans tutaj takich jakie miałaś kiedyś chciałam bardzo żeby ktoś napisał do mnie list miłosny ten jego to było niewiele i powiedziałam mu że może pisać co zechce pani zwasze oddany Hugh Boylan w Starym Madrycie głupie kobiety wierzą że miłość to wzdychanie dla mnie to umieranie ale jeżeliby to napisał myślę byłoby w tym trochę prawdy prawda czy nieprawda zajmuje ci to cały dzień i życie masz zawsze coś o czym warto myśleć każdej chwili i widzisz świat naokoło jak nowy mogłabym napisać odpowiedź w łóżku żeby mógł sobie mnie wyobrazić krótko tylko kilka słów nie te długie listy wzdłuż i wszerz Atty Diion wypisywała zwykle do tego faceta który był czymś tam w sądach i który ją rzucił potem z poradnika listowego dla dam kiedy mówiłam jej żeby powiedziała kilka zwyczajnych słów które by mógł sobie tłumaczyć i wykręcać jak by mu się podobało nie działać z pochopną popędlliwością z równą jej otwartością największe szczęście w świecie odpowiedzieć twierdząco na oświadczyzny gentlemana mój Boże nie ma nic innego to wszystko bardzo dobre dla nich ale jeśli się jest kobietą to jak się tylko postarzejemy mogą nas z powodzeniem wyrzucić na śmietnik.

Pierwszy był od Mulveya kiedy leżałam w łóżku tego ranka a pani Rubio przyniosła go razem z kawą i stała tam nie ruszyła się kiedy poprosiłam ją żeby mi podała a ja pokazywałam jej i nie mogłam sobie przypomnieć tego słowa szpilka do włosów żeby nią otworzyć ach horquilla nieusłużna starucha a miała je pod

538

samym nosem z tym swoim kosmykiem fałszywych włosów próżna na punkcie swojej powierzchowności chociaż brzydka jak nie wiem co zbliżała się do 80 albo 100 twarz jedna masa zmarszczek i z całą tą swoją religijnością tyranizująca dlatego bo nigdy nie mogła przeboleć że Atlantycka flota równa się połowie okrętów całego świata i że flaga angielska powiewa nad tymi wszystkimi jej carabineros bo 4 pijanych angielskich marynarzy odebrało im tę całą skałę i dlatego że nie biegałam dostatecznie często na mszę do Santa Maria żeby jej się przypodobać owiniętej tym szalem chyba że był jakiś ślub z tymi wszystkimi jej cudami tych świętych i jej czarną najświętszą panną w srebrnej sukience i słońcem które tańczy trzykrotnie rankiem w Niedzielę Wielkanocną a kiedy ksiądz przechodził z dzwonkiem niosąc Watykan umierającemu zegnała się przed jego Majestad podpisał go wielbiciel o mało nie wyskoczyłam ze skóry chciałam go poderwać kiedy zobaczyłam w wystawie sklepowej że idzie za mną wzdłuż Calle Real potem musnął mnie lekko przechodząc i nigdy nie pomyślałam że napisze umawiając się na spotkanie nosiłam go za stanikiem halki przez cały dzień odczytując po wszystkich dziurach i zakamarkach kiedy ojciec poszedł na inspekcję musztry żeby zgadnąć po piśmie albo mowie znaczków

śpiewałam pamiętam czy wepnę białą różę chciałam przesunąć do przodu ten stary głupi zegar żeby przybliżyć czas on był pierwszym mężczyzną który mnie pocałował pod Mauretańskim murem moim ukochanym moim chłopcem nigdy nie przyszło mi do głowy co to jest pocałunek dopóki nie wsunął mi języka w usta usta miał słodkie młode uniosłam kolano parę razy ku niemu żeby się dowiedzieć jak to jest co mu powiedziałam dla żartu że jestem zaręczona z synem hiszpańskiego arystokraty o nazwisku Don Miguel de la Flora i on uwierzył że mam za niego wyjść za mąż za 3 lata wiele prawdy mówi się żartem róża rozkwiata gdy świta trochę mu powiedziałam prawdziwych rzeczy o sobie żeby sobie wyobraził nie lubił hiszpańskich dziewcząt pewnie któraś go nie chciała podnieciłam go pogniótł mi na piersi wszystkie kwiaty które mi przyniósł nie umiał liczyć pesetów i perragordas póki go nie nauczyłam powiedział że pochodzi z Cappel-quin nad Blackwater ale wtedy to było za krótko dzień przed jego odjazdem maj tak to był maj kiedy urodził się następca tronu hiszpańskiego zawsze jestem wiosną taka chciałam mieć nowego faceta co roku tam na samym szczycie pod armatą na skale obok wieży OHary powiedziałam mu że w nią piorun uderzył i wszystko o tych starych małpach z Barbarii które wysłali do Ciapham bez ogonów biegających tu i tam na widoku jedna drugiej na grzbiecie pani Rubio powiedziała że samice są prawdziwymi skorpionami tej skały kradły kurczęta z farmy Inces i ciskały w ciebie kamieniami jeśli się zbliżyłaś patrzył na mnie miałam na sobie tę białą bluzkę otwartą z przodu żeby go ośmielić na tyle na ile mogłam żeby nie było zanadto otwarcie zaczynały mi się dopiero zaokrąglać powiedziałam że jestem zmęczona położyliśmy się w zagajniku jodłowym w dzikim miejscu myślę że to chyba musi być najwyższa skała jaka istnieje te chodniki i kazamaty i te stare straszliwe urwiska i grota Saint Michaels z tymi sopłami lodu czy jak oni je nazywają zwisającymi i z drabinami o całe buciki miałam zbryzgane błotem pewna jestem że tą drogą małpy odchodzą spodem do Afryki po śmierci okręty w oddali jak okruszynki to był statek do Malty przepływający tak morze i niebo można było tam robić co się chce leżeć tam wiecznie pieścić je od zewnątrz oni kochają się w robieniu tego to ta ich okrągłość pochylałam się nad

5-? y

nim w moim białym kapeluszu ze słomy ryżowej żeby go oswoić lewą stroną twarzy ładniejszą bluzkę miałam otwartą dla jego ostatniego dnia miał na sobie taką przezroczystą trochę koszulę mogłam widzieć jego pierś różową chciał dotykać mojej swoją przez chwilę ale mu nie pozwoliłam był bardzo przygaszony przede wszystkim ze strachu bo nigdy nic nie wiadomo suchoty albo zostawi mnie z dzieckiem embarazada ta stara służąca Ines powiedziała mi że jedna kropelka nawet gdyby się przedostała do środka ciebie po tym wszystkim po tym jak próbowałam z Bananem ale bałam się że się złamie i zagubi się we mnie gdzieś tam tak bo kiedyś wyjęli coś takiego z jakiejś kobiety co było tam przez całe lata obrosnięte solą wapienną oni wszyscy szaleją żeby się dostać tam skąd wyszli można by pomyśleć że nigdy nie mogą dojść dostatecznie wysoko w górę a potem w pewnym sensie

zrywają z tobą aż do następnego razu tak ponieważ tam jest cudowne uczucie przez cały czas takie łagodne jak to skończyliśmy tak O tak dałam mu skończyć w moją chusteczkę udając że nie jestem podniecona ale rozłożyłam nogi nie pozwoliłam mu się dotknąć pod halką miałam spódnice otwierającą się z boku torturowałam go tak że mało życia nie stracił najpierw łaskotałam go uwielbiałam podrywać tego psa w hotelu rrrrsst Hauhauhauhauhau oczy miał zamknięte i ptak przeleciał pod nami był trochę wstydlivy ale lubiłam go za to jak tego ranka kiedy zmusiłam go żeby się zarumienił trochę kiedy znalazłam się na nim tak i rozpięłam mu i wyjęłam mu go i odciągnęłam skórę miał coś w rodzaju oka na końcu wszyscy mężczyźni mają same Guziki pośrodku ze złej strony Molly kochanie nazwał mnie jak on miał na imię Jack Joe Harry Mulvey tak zdaje mi się że był porucznikiem raczej jasnowłosy miał taki roześmiany rodzaj głosu więc byłem u jakmutam wszystko było jakmutam miał wąsiki powiedział że wróci Boże wydaje mi się zupełnie jakby to było wczoraj i gdybym wyszła za mąż to robi to ze mną a ja mu przyrzekłam tak uczciwie że pozwolę mu się zerznąć natychmiast może już umarł albo został zabity albo jest Kapitanem albo admirałem to już prawie 20 lat gdybym powiedziała jodłowy zagajnik wiedziałby gdyby podszedł do mnie z tyłu i położył mi dłonie na oczach zgadnij kto może bym go poznała jeszcze jest młody około 40 może się ożenił z jakąś dziewczyną nad Blackwater i zmienił się zupełnie oni wszyscy się zmieniają nie mają nawet w połowie charakteru jak kobiety niewiele ona wie o tym co wyrabiałam z jej ukochanym mężem zanim mu się nawet śniło o niej w biały dzień w obliczu całego świata można by nawet powiedzieć że mogliby o tym napisać artykuł w Kronice byłam trochę narwana później kiedy strzeliłam z torby po sucharkach od Braci Benady i ona huknęła Boże co za bum wszystkie bekasy i gołębie wrzasnęły wracaliśmy tą samą drogą którą szliśmy przez środkowe wzgórze obchodząc starą wartownię i żydowski cmentarz udając że odczytujemy po hebrajsku na nich chciałam wystrzelić z jego pistoletu powiedział że nie ma ze sobą nie wiedział co sobie o mnie pomyśleć z tą swoją czapką z daszkiem którą przesuwiał na bakier jak tylko mu ją wyprostowałam H M S Całypso huśtałam moim kapeluszem ten stary Biskup który mówił od ołtarza długie kazanie o wyższym posłannictwie kobiety o dziewczętach które jeżdżą teraz na rowerze i noszą czapki z daszkiem i o nowych bufiastych spodenkach do kolan Bloomerach niech mu Bóg ześle rozum a mnie więcej pieniędzy myślę że one się nazywają tak od niego nigdy nie myślałam że będę się nazywała Bloom kiedy wypisywałam to drukowanymi żeby się przekonać jak wygląda na

wizytówce albo wprawiałam się dla rzeźnika i dziękuję bardzo pani Bloom wyglądasz bloomżnierczo mawiała do mnie Josie kiedy wyszłam za niego no ale to lepsze niż Breen czy Brigs czy Figs albo te okropne nazwiska które mają dupę Dupont czy inna jakaś dupa Mulvey też nie takie żeby za nim szaleć ale przypuśćmy że bym się z nim rozwiodła pani Boylan moja matka kimkolwiek była mogła mi dać ładniejsze imię Bóg widzi podobne do

tego pięknego które sama miała Lunita Laredo ile zabawy było kiedy biegaliśmy do Cypla Europy po Willis Road wijące się to z tej to z tamtej strony Jersey trzęsły się i tańczyły mi w bluzce jak te małe teraz u Milly kiedy wbiega na schody uwielbiałam patrzeć w dół na nie podskakiwałam pomiędzy drzewami pieprzowymi i srebrnymi topolami zrywałam liście i ciskałam w niego popłynął do Indii miał napisać te podróże które ci mężczyźni muszą odbywać na koniec świata i z powrotem najmniejsze co im się należy to uścisk albo dwa od kobiety kiedy im się uda wypływają żeby zatonać albo wylecieć w powietrze gdzieś weszłam na windmill hill na płaskowyż tej niedzieli rano z lunetą nieżyjącego Kapitana Rubios taką jak miał wartownik powiedział że spojrzysz raz czy dwa razy z pokładu miałam na sobie tę sukienkę z B Marche Paris i koralowy naszyjnik cieśnina lśniła mogłam widzieć aż po Maroko białą zatokę Tangeru i górę Atlas ze śniegiem na szczycie a cieśnina przezroczysta jak rzeka Harry Molly Kochanie myślałam o nim na morzu przez cały czas po mszy kiedy halka ześliznęła mi się w dół w czasie podniesienia przez całe tygodnie i tygodnie trzymałam chusteczkę pod poduszką bo tam był jego zapach nie było żadnych przyzwoitych perfum do kupienia w tym Gibraltarze tylko tanie peau despagne które wietrzały i pozostawiały na tobie więcej smrodu niż czego innego chciałam dać mu coś na pamiątkę on dał mi ten niezdarny Ciaddagh pierścionelek na szczęście który dałam Gardnerowi kiedy jechał do Południowej Afryki gdzie go ci Boerzy zabili tą swoją wojną i tyfusem ale dobrze im przyleli za to mimo to jakby niósł z sobą nieszczęście jak opał albo perła musiało to być czyste 16 karatowe złoto bo był bardzo ciężki widzę jeszcze jego twarz gładko ogoloną HUUUUUUUUU ten pociąg znowu zawodzący ton kiedyś w drogich umaaaarłych już dniach zbyt dawnych by przymykam oczy wdech wargi wysunięte pocałunek smutne spojrzenie oczy otworzyć fortepian zanim nad światem wzniosły się mgły nienawidzę tego słyszę powraca słodka miłości pieeeeeeeśń wyrzucę pełnym głosem kiedy znów stanę w światłach rampy Kathleen Kearney i ta cała piszcząca banda Panna Ta i Panna Tamta Panna Owa kupa wróbli wypierdków podskakujących wkoło rozmawiających o polityce o której wiedzą tyle samo co mój zadek zrobiłyby wszystko na tym świecie byle się wydać w jakiś sposób interesującymi irlandzkie piękności domowego wypieku a ja jestem córką żołnierza a czyimi wy jesteście szewców i szynkarzy przepraszam bardzo powóz myślałam że pani nazywa się taczka życie by oddały żeby mieć kiedykolwiek szansę pójścia wzdłuż Alamedy u ramienia oficera jak ja w wieczór koncertu orkiestry wojskowej żeby mieć blask moich oczu moje piersi których nie mają namiętność niech Bóg zlituje się nad ich biednymi główkami wiedziałam więcej o mężczyznach i o życiu kiedy miałam 15 lat niż one będą wiedziały mając 50 nie wiedzą jak śpiewać taką pieśń Gard-ner powiedział że żaden mężczyzna nie może spojrzeć na moje usta i zęby kiedy się tak uśmiecham żeby o tym nie pomyśleć bałam się w pierwszej chwili że może się nie spodobać mój akcent taki był angielski wszystko co mi ojciec

pozostawił pomimo tych swoich znaczków mam oczy mojej matki i figurę ale on powiedział że tacy są zarozumiali niektórzy z tych durni a on nie był taki ani trochę przepadał za moimi wargami niech sobie znajdą męża najpierw na którego można popatrzeć i córkę jak moja albo niech zobaczą czy uda im się podniecić takiego sztywnego faceta z forsy który może sobie wybrać którą chce jak Boylan żeby zrobić z nią to 4 albo 5 razy spleciony z nią ramionami a i głos też mogłam być prima donną tylko że wyszłam za niego nadchoodzi miłości daaawnej głęboko nisko podbródek cofnąć ale nie za wiele bo się robi podwójny Gniazdko Miłej Mej jest za długie na bis o tej starej chatce o zmierzchu i komnatkach sklepionych tak zaśpiewam Wiatry które wieją z południa które dał mi po tej hecy na schodach chóru zmienię koronkę na tej czarnej sukni żeby pokazać te moje bulwy i dam do na tak na Boga dam do naprawy ten wielki czarny wachlarz niech pęknie z zawiści dziura mnie swędzi zawsze kiedy o nim myślę czuję że chcę czuję jakiś gaz w sobie lepiej popuścić cicho nie budzić go znowu będzie to robił obślini mnie całą po tym jak umyłam każdy kawałeczek ciała tył brzuch i-boki gdybyśmy mieli chociaż wannę albo żebym miała chociaż swój pokój chciałabym żeby spał sam w jakimś innym łóżku bo z tymi swoimi zimnymi stopami na mnie nie ma miejsca żeby pierdnąć Boże albo poruszyć się chociaż trochę lepiej tak przytrzymać trochę o tak na boku piano cicho słood to ten pociąg tam daleko pianissimo iiii jeszcze jedna pieśń

ulga to gdziekolwiek będziesz gdy porządnie sobie pierdniesz kto wie czy ten kotlet wieprzowy który popiłam filiżanką herbaty był dobry przy tym upale nie nie umiałam nic w nim wywachać jestem pewna że ten dziwnie wyglądający człowiek u rzeźnika jest wielkim łajdakiem mam nadzieję że ta lampa nie kopci miałabym nos pełen sadzy lepiej niż gdyby on zostawił gaz odkręcony przez całą noc nie mogłam się swobodnie odprężyć w łóżku nawet w moim łóżku w Gibraltarze wstawiałam żeby zobaczyć dlaczego jestem taka przekłucie nerwowa na tym punkcie chociaż lubię to zimą jest bardziej towarzysko O Boże było paskudnie zimno tam też tej zimy kiedy miałam może tylko z dziesięć lat ile miałam tak miałam tę wielką lalkę z tymi wszystkimi śmiesznymi sukienkami rozbierałam ją i ubierałam a ten lodowaty wiatr zaczął od tych gór coś tam Nevada sierra nevada stałam przy kominku w tej mojej krótkiej koszulinie którą miałam na sobie żeby się ogrzać uwielbiałam tańczyć w niej po pokoju i pędem z powrotem do łóżka jestem pewna że ten facet naprzeciwno był tam przez cały czas ze światłem zgaszonym latem a ja tylko ubrana we własną skórę hasałam sobie w kółko uwielbiałam wtedy być gołą przy umywalce chlapiąc się i nacierając kremem ale kiedy przychodziło do przedstawienia z nocnikiem gasiłam światło ja także i wtedy było nas 2 muszę się Pożegnać ze snem dziś w nocy mam nadzieję że nie będzie się zadawał z tymi medykami sprowadzą go na złą drogę żeby sobie wyobrażał że jest znowu młody wrócił o 4 nad ranem musi być o ile nie później ale był na tyle wychowany że mnie nie obudził o czym oni mogą pyłkować przez całą noc marnotrawiąc pieniądze i upijając się coraz więcej i więcej czy nie mogliby pić wody a potem każe sobie przynosić jajka i herbatę i łupacza z Findon i gorącą grzanek z masłem wyobrażam sobie co będziemy teraz z nim mieli usiądzie jak król i zacznie grzebać drugim końcem łyżeczki w jajku gdzie on się tego nauczył i

uwielbiam słyszeć go rano kiedy spada w górę po schodach a filiżanki grzechoczą mu na tacy a potem bawić się z kotką ociera się o ciebie dla własnej przyjemności

542

ciekawa jestem czy ma pchły jest zła jak kobieta ciągle liże się i wylizuje sobie ale nienawidzę ich pazurów ciekawa jestem czy one widzą coś czego my nie widzimy wpatrując się tak jak ona to robi kiedy siedzi na szczycie schodów tak długo i słucha jak ja zawsze czekając co za złodziejka tę piękną świeżą płastugę którą kupiłam myślę że kupię kawał ryby jutro może dzisiaj czy to piątek tak z galaretką migdałową i dżemem z czarnych porzeczek jak dawniej nie te 2 funtowe puszki mieszanej śliwki z jabłkami z Londynu i Newcastle Williams i Woods wystarcza na dwa razy dłużej nienawidzę węgorza z powodu ości sztokfisz tak wezmę ładny kawałek sztokfisz zawsze biorę dosyć na 3 zapominam tak czy owak chora już jestem od tego mięsa od Buckleya kotlety z polędwicy i udziec wołowy i rozbratel i karczek barani i podróbki cielęce sama nazwa wystarczy albo piknik przypuśćmy że dalibyśmy wszyscy po 5 szylingów i albo pozwolić mu zapłacić i zaprosić jakąś drugą kobietę dla niego kogo panią Fleming i wyjechać do furry glen albo na poziomki zobaczylibyśmy że najpierw bada kopyta wszystkich koni jak to robi z listami nie tam nie z Boylanem tak z mieszanymi kanapkami cielęcina na zimno i szynka są tam małe domki w dole nad brzegami specjalnie ale on mówi że tam jest gorąco jak w piekle nie w święto bankowe w każdym razie nienawidzę tego tłumu Maryś flejtuchów wyjeżdżających na cały dzień poniedziałek Zielonych Świątek to też przekłety dzień nic dziwnego że go ta pszczoła ugryzła lepiej nad morze ale nigdy w życiu już nie wejdę z nim do łodzi po tym jaki był w Bray opowiadał wynajmującym łodzie że umie wiosłować gdyby go ktoś zapytał czy umie pojechać w gonitwie z przeszkodami o złoty puchar powiedziałby że tak a potem trochę się wzburzyło a to stare pudło zaczęło się przekrzywiać i cały ciężar szedł na moją stronę kazał mi ciągnąć to w prawo to w lewo a fale zalewały nas i dno też przeciekało a jemu wiosło wyslizgiwało się ciągle z dulki łaska boska że nie potopiliśmy się wszyscy on oczywiście umie pływać ja nie nie ma żadnego niebezpieczeństwa zachowaj spokój w tych flanelowych spodniach z przyjemnością zdarłabym je z niego strzępek po strzępku na oczach wszystkich ludzi i dała mu to co ten nazywa ubiczowaniem ażby szerniał i zsiniał dobrze by mu zrobiło najlepiej w świecie gdyby nie ten długonosy facet nie wiem kto to jest z tym innym piękniśm Burke'em z hotelu City Arms był tam pętając się na przystani jak zwykle tam gdzie nie był potrzebny gdyby wybuchła awantura twarz że rzygać się chce nie znosiliśmy się to l pociecha ciekawa jestem co za książkę mi przyniósł Słodyczne Grzechu przez gentlemiana światowca pewnie jakiś drugi taki pan de Kock myślę że ludzie dali mu to przezwisko bo chodził z tą swoją rurą od jednej kobiety do drugiej nie mogłam nawet zmienić swoich nowych białych bucików zupełnie zniszczone słoń wodą a ten kapelusz który miałam z tym piórem cały wydęty i poszarpany od wiatru cóż to było za utrapienie i irytacja bo zapach morza podniecił mnie oczywiście sardynki i leszcze w zatoce Ka-talańskiej z tyłu za skałą

wszystkie były srebrne i śliczne w koszach rybaków stary Luigi miał prawie sto lat mówili że pochodził z Genui i ten wysoki stary facet z kolczykami nie lubię mężczyzn na których się trzeba wspinać żeby się do nich dostać przypuszczam że wszyscy już dawno umarli i zgnili poza tym nie lubię być sama w tym wielkim baraku tutaj nocą myślę że jakoś muszę się z tym pogodzić nie wniosłam tu szczypty soli kiedy wprowadzaliśmy się w tym całym zamieszaniu muzyczną akademię chciał założyć w salonie na parterze z mosiężną tabliczką

543

albo prywatny hotel Bloomów tak zaproponował zrujnowałby się zupełnie w taki sam sposób jak jego ojciec tam w Ennisjak z tym wszystkim co opowiadał mojemu ojcu że robi i mnie ale ja go przejrzałam na wskroś opowiadał mi o pięknych miejscowościach gdzie moglibyśmy pojechać na miodowy miesiąc Wenecja przy blasku księżyca z gondolami i jezioro Como którego widoczek miał wycięty z jakiejś gazety i o mandolinach i latarniach Och jak ładnie powiedziałam cokolwiek mi się podobało miał wykonać natychmiast o ile nie prędszej chcesz być moim panem idź za mną z moim dzbanem powinien dostać medal z kartofla z kapuścianą obwódką za te wszystkie projekty które wymyśla a potem zostawia nas tu przez cały dzień nigdy nie wiesz czy jakiś stary żebrak przy drzwiach proszący o kawałek chleba z tą swoją długą bajeczką nie jest włóczęgą i nie wsunie ci nogi między drzwi żebyś nie mogła zamknąć jak na tym obrazku ten zatwardziały kryminalista tak go nazwali w Wiadomościach Tygodnia Lloyda 20 lat więzienia potem wychodzi i morduje staruszkę dla pieniędzy wyobraźcie sobie jego biedną żonę albo matkę albo kim tam ona jest taka twarz że uciekałybyś na koniec świata od niej nie spoczęłabym póki bym nie zarygłowała wszystkich drzwi i okien żeby się upewnić ale to jeszcze gorzej być tak zamkniętą jak w więzieniu albo w domu wariatów powinni ich wszystkich rozstrzeliwać albo chłostać dziewięciornieżmiennym biczem taki wielki bydlak który zaatakował biedną staruszkę żeby ją zamordować w łóżku ścinałabym ich tak bym robiła nie żeby był z niego jakiś pożytek ale zawsze lepszy niż nic tej nocy kiedy byłam pewna że słyszę włamywaczy w kuchni a on zszedł na dół w samej koszuli ze świecą i z pogrzebaczem jakby szukał myszy blady jak papier przerażony do nieprzytomności robił tyle hałasu ile mógł na cześć tych włamywaczy niewiele tam jest co by się dało ukraść Bóg świadkiem ale chodzi o to uczucie a szczególnie teraz kiedy Milli jest daleko co to za pomysł że wysiał dziewczynkę tam żeby się uczyła robić fotografie ze względu na jego dziadka zamiast posłać ją do akademii Skerry gdzie musiałaby się uczyć nie jak ja która byłam tylko w szkole ale on by zrobił taką rzecz tak czy inaczej ze względu na mnie i Boylana dlatego to zrobił jestem pewna to ten sposób w jaki knuje i planuje wszystko nie miałam żadnej swobody z nią w domu ostatnio chyba żebyś zarygłowała najpierw drzwi napędziła mi stracha wchodząc bez pukania bo zastawiłam drzwi krzesłem kiedy myłam tam sobie na dole rękawiczką działała mi na nerwy a później robi księżniczkę z siebie przez cały dzień wsadzić ją tylko do szklanej kuli żeby przed nią parami defilowali gdyby wiedział że odłamała rękę tej tandetnej figurce z tą całą swoją

szorstkością i roztrzepaniem zanim wyjechała i wezwała tego małego chłopca Włocha który mi ją tak zreperował że nie widać spojenia za 2 szylingi nie chciała nawet odlewać wody z gotowanych ziemniaków dla mnie oczywiście ma słuszość żeby sobie nie niszczyć rąk zauważyłam że ostatnio zawsze z nią rozmawiał przy stole wyjaśniając te rzeczy-w gazecie a ona udawała że rozumie przebiegła oczywiście to ma po nim i pomagał jej wkładać płaszcz ale jakby się jej przydarzyło coś złego mnie by powiedziała nie jemu nie może on powiedzieć że ja udaję prawda jestem za uczciwa jeżeli chodzi o ścisłość przypuszczam że myśli że jestem wykończona i odłożona na półkę otóż nie jestem nie nic podobnego zobaczmy zobaczmy ona już daleko zaszła w flircie z dwoma synami Toma Devansa udaje mnie gwizdząc z tymi szelmami dziewczynami Mur-raya wołają ją proszę pani czy Milly może wyjść bardzo jest poszukiwana

544

żeby z niej wyciągnąć co się da wieczorami jeździła po Nelson street na rowerze Harry Devansa może to i dobrze że posłał ją tam gdzie jest zaczęła już przekraczać granicę chciała chodzić na to lodowisko i palić te ich papierosy przez nos wywacha-łam to na jej sukience kiedy odgryzłam nitkę z guzika który przyszyłam jej na dole żakietu nie mogła ukryć wiele przede mną mogę ci powiedzieć tylko że nie powinnam była go jej przyszywać na niej to przynosi rozłękę a ten ostatni plumpudding też się rozpadł na 2 połowy widać że zawsze to się sprawdza żeby nie wiem co mówili język też ma odrobinę za długi jak na mój gust masz bluzkę z za głębokim dekoltem powiada do mnie przyganiał kocioł garnkowi i musiałam jej powiedzieć żeby nie zadzierała tak wysoko nóg siedząc na widoku na parapecie przed wszystkimi ludźmi przechodzącymi wszyscy patrzą na nią jak na mnie kiedy byłam w jej wieku oczywiście każdy stary gałgan dobrze na tobie leży wtedy i wielka z niej niedotykalska na swój sposób na Jedynej Drodze w Theatre royal odsuń nogę nienawidzę kiedy ludzie mnie dotykają przerażona śmiertelnie że mogłabym jej pognieść plisy na spódniczce dużo tego dotykania musi się odbywać w tłoku po ciemku zawsze starają się ocierać o ciebie na parterze ten facet z parteru w Gaiety na Trilby z Beerbohm Tree nigdy już tam nie pójde i nie dam się tam gnieść dla żadnej Trilby i jej gołego zadka co dwie minuty trącał mnie tam i odwracał głowę myślę że jest trochę trącony widziałam go później starał się zbliżyć do dwóch wytwornie ubranych pań przed wystawą Switzera ta sama gierka poznałam go od razu twarz i wszystko ale on mnie nie pamiętał a ona nawet nie chciała żebym ją pocałowała w Broadstone odchodząc cóż mam nadzieję że znajdzie sobie kogoś kto będzie tak przy niej tańczył jak ja kiedy leżała ze świnką i spuchniętymi migdałkami gdzie jest to gdzie tamto oczywiście nie może jeszcze odczuwać niczego głęboko ja nigdy tego porządnie nie odczułam póki nie skończyłam 22 mniej więcej zawsze to gdzieś szło w inne miejsce tylko te zwykłe dziewczęce bzdury i chichoty ta Conny Connolly pisząca do niej białym atramentem na czarnym papierze zapieczętowanym woskiem chociaż klaskała kiedy kurtyna opadła bo był taki przystojny a potem mieliśmy Martina Harveya na śniadanie obiad i kolację

pomyślałam sobie potem że to chyba musi być prawdziwa miłość jeżeli mężczyzna oddaje za nią życie w ten sposób za nic przypuszczam że zostało bardzo niewielu takich mężczyzn ciężko w to uwierzyć chyba żeby mi się naprawdę to przydarzyło większość z nich nie ma nawet odrobiny miłości w naturze a znaleźć takich dwoje w naszych czasach wypełnionych sobą nawzajem którzy czuliby tak samo jak ty czujesz zwykle mają trochę niedobrze w głowie jego ojciec też musiał być trochę dziwakiem żeby się otruć z żalu po niej albo mimo to biedny staruszek przypuszczam że czuł się zagubiony zawsze rozkochana w moich rzeczach w tych paru starych gałganach które mam chciała upiąć sobie włosy mając 15 mój puder też tylko by jej zniszczył skórę ma jeszcze czas na to wszystko później całe życie oczywiście jest niespokojna wiedząc że jest ładna z tymi jej wargami tak czerwonymi szkoda że nie zostaną takie ja też byłam ale nie ma sensu iść z tym na jarmark odpowiedziała mi jak straganiarka kiedy poprosiłam ją żeby poszła po parę funtów ziemniaków tego dnia kiedy spotkaliśmy panią Joe Gailaher na wyścigach klusaków i udała że nas nie widzi z tej swojej dwukółki z Fierrym tym adwokatem nie byliśmy dostatecznie wielcy dla niej póki nie dałam jej 2 razy porządnie w ucho masz to za odpowiadanie mi w ten sposób a to za

545

twoją bezczelność tak mnie zirytowała tym sprzeciwianiem się ja też byłam w złym humorze bo skąd się wziął jakiś chwast w herbacie albo może to było przez to że poprzedniej nocy nie spałam to przez ten ser który zjadłam i mówiłam jej sto razy żeby nie zostawiała noży skrzyżowanych w ten sposób bo nie ma nikogo kto by jej rozkazywał sama tak powiedziała no jeżeli on jej nie chce karać ja będę to był ostatni raz kiedy odkręciła ten swój kran ze łzami ja byłam zupełnie taka sama nie będą się mną wysługiwali w domu to jego wina oczywiście ma nas tu dwie jak niewolnice zamiast przyjąć już dawno jakąś kobietę czy będę jeszcze kiedyś miała porządną służącą oczywiście wtedy musiałyby go widzieć przychodzącego musiałabym ją wtajemniczyć albo by się zemściła czy to nie utrapienie z nimi ta stara pani Fleming trzeba za nią chodzić i wkładać jej rzeczy do rąk kicha i pierdzi do garnków cóż oczywiście jest stara nie może na to poradzić dobrze że znalazłam tę starą zgniłą śmierdzącą ścierkę do garnków która wpadła za kredens wiedziałam że coś się dzieje i otworzyłam okno żeby wypuścić zapach przyprowadza przyjaciół żeby ich przyjmować jak tej nocy kiedy wrócił do domu z psem jak ci się to podoba który mógł być wściekły a szczególnie tego syna Simona Dedalusa jego ojciec wszędzie szuka dziury z tymi okularami w tym cylindrze na meczu cricketowym i wielką dziurą w skarpetce jedna rzecz naśmiewała się z drugiej a jego syn który dostał te wszystkie nagrody za co by nie było w szkole średniej wyobraźcie sobie przełazi przez sztachety gdyby go widział ktoś kto nas zna dziwnie że sobie nie wydarł w tych wspaniałych pogrzebowych spodniach wielkiej dziury jak gdyby mu było mało tej którą mu dała natura sprowadził go do odrapanej brudnej kuchni i czy on ma dobrze w głowie pytam szkoda że to nie był dzień prania para moich starych majtek mogła tam wisieć na sznurze na pokaz ale co go to obchodzi z odciskiem od żelazka który ten stary

głupi tłumok mi wypalił na nich a on mógł pomyśleć że to co innego i nie wytopiła wcale tego tłuszczu który jej kazałam a teraz zaczyna być taka beznadziejna jak dawniej przez tego sparaliżowanego męża któremu jest coraz gorzej zawsze jest z nimi coś nie w porządku choroba albo muszą iść na operację albo jeżeli nie to to będzie pijaństwo i on ją bije muszę upolować znowu kogoś innego każdego dnia kiedy wstaję wyskakuje coś nowego słodki Boże słodki Boże no cóż kiedy wyciągnę się wreszcie w grobie przypuszczam że będę miała trochę spokoju chciałabym wstać na minutę jeżeli jestem czekaj O Jezu czekaj tak przyszło to na mnie tak no czy nie spadłoby to na ciebie jak dopust oczywiście całe to pchanie rycie i oranie które wyprawiał we mnie i co ja teraz zrobię piątek sobota niedziela czy to nie może człowiekowi udręczyć duszy chyba że on to lubi Bóg świadkiem że zawsze jest z nami coś nie w porządku 5 dni co 3 albo 4 tygodnie zwykła comiesięczna wyprzedaż towaru czy to nie jest po prostu ohydne tamtego wieczora przyszło na mnie tak samo ten jeden jedyny raz kiedy byliśmy w łóżu którą Michael Gunn dał mi żeby zobaczyć panią Kendal i jej męża w Gaiety za coś co mi ułatwił z ubezpieczeniem u Drim-mie'ego byłam zupełnie nieprzytomna ale nie chciałam się poddawać kiedy ten wytworny gentleman gapił się na mnie przez lornetkę a on siedział przy mnie po drugiej stronie gadając o Spinozie i jego duszy która umarła myślę że miliony lat temu uśmiechałam się najlepiej jak umiałam cała upaprana pochylając się do przodu jak gdybym była zainteresowana bo musiałam to odsiedzieć do ostatniej kwestii nie zapomnę tej żony Scarliego w pośpiechu to miała

546

być bardzo rozwiązała sztuka o cudzołóstwie ten idiota na galerii wygwizdał tę kobietę cudzołożnica wrzeszczał przypuszczam że poszedł potem i miał kobietę w sąsiednim zaułku i przegonił ją wkoło po uliczkach na zapleczu żeby sobie to odbić chciałabym żeby miał to co ja miałam założyć się że wtedy beczałby kotka ma lepiej niż my czy mamy w sobie za wiele krwi czy co Och cierpliwości wylewa się to ze mnie jak morze w każdym razie nie wpędził mnie w ciążę chociaż ma takiego dużego nie chciałabym zniszczyć czystej pościeli czysta bielizna którą nosiłam też to przyspieszyła a niech to diabli niech to diabli a oni zawsze chcą zobaczyć płamę na łóżku żeby przekonać się że byłaś dziewczicą przed nimi to cały ich kłopot i tacy są głupi mogłabyś być wdową albo 40 razy rozwódką i kleks z czerwonego atramentu wystarczyłby albo sok z czarnych jagód nie jest za fioletowy O Jezusku muszę wstać i wybabrać się z tych och słodczy grzechu kto to wymyślił tę sprawę dla kobiet oprócz ubierania i gotowania i dzieci to przekłete stare łóżko też dzwoni jak diabli przypuszczam że musieli nas słyszeć po drugiej stronie parku aż zaproponowałam żeby położyć kołdrę na podłodze i podłożyłam sobie poduszkę pod tyłek ciekawa jestem czy przyjemniej jest za dnia myślę że tak spokojnie myślę że zetnę sobie te wszystkie włosy parzą mnie tam mogłabym wyglądać jak młodziuteńka dziewczynka ale by go zatkało następnym razem kiedy by mi zadął spódnice wiele bym dała żeby widzieć jego twarz gdzie ten mój nocnik przepadł spokojnie boję się jak ognia że pęknie pode mną po tej starej komodzie ciekawa jestem czy

byłam za ciężka kiedy siadłam mu na kolanach kazałam mu naumyślnie usiąść na fotelu kiedy zdjęłam tylko bluzkę i spódnicę w drugim pokoju był tak zajęty tam gdzie nie powinien że nawet mnie nie poczuł mam nadzieję że miałam słodki oddech po tych cukierkach całuskowych spokojnie Boże pamiętam że kiedyś mogłam to posłać prostym strumieniem ze świstem prawie jak mężczyzna spokojnie Boże jak głośno mam nadzieję że są bąbelki na tym bo to przynosi pieniędzy trzosik od jakiegoś faceta muszę sobie to naperfumować rano nie zapomnieć założyć się że nigdy nie widział ładniejszej pary ud niż te spójrz jakie białe najładniejsze miejsce jest o tam pomiędzy ten kawałek tu jaki miękki jak brzoskwinia spokojnie Boże nie przeszkadzałoby mi gdybym była mężczyzną i weszła na śliczną kobietę O Boże co za hałas robisz jak ta Lilia z Jersey spokojnie O jakże wody spływają w Lahore

kto wie czy nie mam czegoś tam w środku a może mi coś rośnie tam bo dostaję tej rzeczy co tydzień kiedy to było ostatni raz Zielone Świątki tak tylko 3 tygodnie mniej więcej powinnam pójść do lekarza tylko że to by było jak wtedy zanim wyszłam za niego kiedy to białe ze mnie wychodziło i Floey zmusiła mnie żebym poszła do tego starego wyschniętego jak patyk Dr Col-linsa od chorób kobiecych na Pembroke road pani vagina nazwał to przypuszczam że w ten sposób dostał te wszystkie złocone lustra i dywany przypodchlebiając się tym wszystkim bogaczkom przy Stephens green które przybiegały do niego z każdym małym fintifiuszkiem jej vagina i jej kochinchina mają pieniądze oczywiście więc są w porządku nie wyszłabym za niego nawet gdyby był ostatnim człowiekiem na ziemi poza tym jest coś dziwnego w ich dzieciach ciągle obwąchujących te brudne suki ze wszystkich stron pytał mnie czy to co zrobiłam miało niemiły zapach a co chciał żebym robiła poza tą jedną rzeczą może złoto co za pytanie gdybym wysmarowała mu tym całą tę jego starą pomarszczoną gębę i załączyła wszystkie moje komplemędy przypuszczam

547

żeby wiedział wtedy i czy wydała pani łatwo co pomyślałam że mówi o służących po sposobie w jaki to powiedział to bardzo ładny pomysł mówiąc nawiasem tylko że ja lubię wsuwać się tak głęboko w dziurę jak potrafię i pociągać za łańcuszek potem i to uderza jak igielki i szpileczki chłodne ale jest w tym coś przypuszczam zawsze poznawałam z tego u Milly czy ma robaki czy nie kiedy była dzieckiem ale mimo wszystko płaci mu się za to ile to wyniesie panie doktorze jedną gwineę proszę i zapytał mnie czy często miewam upławy gdzie ci staruszkowie znajdują te wszystkie słowa sami mogą coś spławić mając taki krótki wzrok patrzył na mnie trochę z boku jak kogut i jemu też bym nie zawierzyła na tyle żeby miał mi dawać chloroform albo Bóg wie co jeszcze ale spodobał mi się kiedy usiadł żeby to napisać marszcząc czoło tak surowo nos miał taki inteligentny bądź przekłety ty kłamliwy języku Och cokolwiek wszystko jedno kto z wyjątkiem idioty był dostatecznie sprytny żeby to wytropić oczywiście to wszystko pochodziło z myślenia o nim i o jego szalonych zwariowanych listach moja Najcenniejsza wszystko co ma związek z twoim wspianiałym

Ciałem wszystko podkreślone co z niego pochodzi jest czymś tak pięknym i radością na wieki coś co odpisał z jakiej nonsensownej książki zawsze sama sobie robię to 4 albo 5 razy dziennie czasami a jemu powiedziałam że nie czy jest Pani pewna O tak powiedziałam jestem zupełnie pewna w sposób który zamknął mu usta wiedziałam co potem powie to tylko przyrodzona słabość podniecał mnie nie wiem dlaczego od pierwszego wieczora kiedy się spotkaliśmy mieszkalam wtedy w Rehoboth terrace staliśmy gapiąc się na siebie chyba przez 10 minut jak gdybyśmy się już gdzieś spotkali przypuszczam że to ze względu na to że jestem żydówką podobna jestem do matki bawiły mnie rzeczy które mówił z takim leniwym półśmieszkami a wszyscy Doyle'owie mówili że będzie kandydował do Parlamentu Och czy nie jestem urodzoną idiotką że wierzyłam tej całej jego paplaninie o samorządzie i lidze ziemskiej posłał mi tę nudną pieśń z Hugonotów żebym ją zaśpiewała po francusku żeby było bardziej wytwornie O beau pays de la Touraine której nie zaśpiewałam ani razu wyjaśniał i plótl koszałki opałki o religii i prześladowaniu nie pozwoli ci się niczym cieszyć w zwykły sposób a potem czy mógłby jako wielką uprzejmość przy 1 okazji przy Brighton square wpadł do mojej sypialni udając że zabrudził sobie ręce atramentem i chce go zmyć mydłem Albion z siarki i mleka którego używałam a było jeszcze zawinięte w papierek taki przezroczysty Och uśmiełam się z niego nieprzytomnie tego dnia lepiej żebym nie robiła sobie z tego całonocnego posiedzenia na tym interesie powinni robić nocniki naturalnej wielkości żeby kobieta mogła usiąść na nim porządnie on klęka żeby to zrobić myślę że w całym stworzeniu nie ma drugiego człowieka z jego zwyczajami wystarczy popatrzeć jak śpi w nogach łóżka jak może bez twardego wałka dobrze że nie kopie bo mógłby mi wszystkie zęby powybijając oddycha z ręką na nosie jak ten indyjski bóg którego mi pokazał kiedy mnie zabrał żebym go obejrzała pewnej deszczowej niedzieli do muzeum przy Kildare street cały żółty w fartuszkach leżał na boku na ręce i dziesięć palców u nóg mu odstawało powiedział że to była większa religia niż żydowska i Pana Naszego razem wzięte wszędzie w Azji naśladował go tak jak naśladuje każdego pewnie on też sypiał w nogach łóżka a te wielkie kwadratowe stopy trzymał żonie w ustach niech diabli wezmą tę śmierdzącą rzecz wszystko jedno gdzie są te podpaski ach tak wiem mam nadzieję że ta stara szafa nie będzie

548

skrzypiała ach wiedziałam że będzie śpi twardo dobrze się gdzieś bawił ale musiała mu dać bardzo wiele za jego pieniądze oczywiście musi płacić za to od niej Och cóż to za utrapiona rzecz mam nadzieję że będą mieli coś lepszego dla nas na tamtym świecie musimy się podwijać niech nas Bóg ma w swojej opiece na dzisiejszą noc wystarczy to niezgrabne podzwaniające stare łóżko zawsze przypomina mi starego Cohena przypuszczam że musiał się w nim dość często drapać a on myśli że ojciec kupił je od Lorda Napiera to które tak podziwiałam kiedy byłam małą dziewczynką bo tak mu powiedziałam spokojnie Och lubię moje łóżko Boże znowu tak samo źle jak zawsze po 16 latach w ilu domach już mieszkaliśmy razem Raymond terrace i Ontario terrace i Lombard street i Holles street a on chodzi i

gwizdże za każdym razem kiedy uciekamy tych swoich hugonotów albo żabi marsz udając że pomaga ludziom z tymi czterema patykami na krzyż które mamy jako meble a potem hotel City Arms gorzej i gorzej jak powiada Warden Dały to czarujące miejsce na półpiętrze zawsze ktoś się tam modlił w środku i zostawiali wszystkie swoje smrody po sobie zawsze wiedziałam kto tam był ostatni za każdym razem jak się już zaczęło układać coś się przydarzało albo on w coś wdepnął u Thoma i u Hely'ego i u pana Cuffe i u Drimmie'ego albo chcą go zamknąć do więzienia za te jego przedawnione bilety loteryjne które miały być naszym zbawieniem albo idzie i zachowuje się bezczelnie niedługo zobaczymy go w domu wywalonego z Człowieka Wolnego też jak z pozostałych przez tych Sinner Fein albo masonów wtedy zobaczymy czy ten malutki człowieczek którego mi pokazał pętającego się po deszczu samotnie przy Coadys lane bardzo go pocieszy chociaż mówi że to taki zdolny i szczerzy Irlandczyk pewnie sądzi po szczerości portek które widziałam na nim czekaj to dzwon z kościoła Jerzego czekaj trzy kwadransy godzina czekaj 2 godzina no oto piękna godzina nocy żeby sobie wracać do domu i wspinać się na ogrodzenie gdyby go ktoś zobaczył wybiję mu to małe przyzwyczajonko jutro z głowy najpierw przyjrę się jego koszuli żeby zobaczyć albo zobaczę czy ma tę prezerwatywę jeszcze w swoim notesie przypuszczam że on myśli że nie znam przewrotnych mężczyzn całe ich 20 kieszeni nie wystarcza na ich kłamstwa więc dlaczego my im mamy mówić nawet jeżeli to prawda to ci nie uwierzą a potem otuleni ciepło w łóżeczku jak dzieci w Arcydziele Arystokraty które przyniósł mi kiedyś jakbyśmy nie mieli tego dosyć w prawdziwym życiu bez jakiegoś starego Arystokraty czy jak on się nazywa żeby obrzydzał ci to jeszcze więcej tymi paskudnymi obrazkami dzieci z dwoma głowami i bez nóg to jest właśnie plugastwo o którym ciągle marzą i nie mają nic więcej w tych swoich pustych głowach powinno im się podawać powolne trucizny połowie przynajmniej z nich a potem podaj mu herbatę i grzankę posmarowaną masłem z obu stron i świeżutkie jajka przypuszczam że już jestem niczym od czasu kiedy nie pozwoliłam mu się lizać na Holles Street którejs nocy mężczyzna tyran jak zawsze a przede wszystkim spał na podłodze przez pół nocy nago w ten sposób jak to robili żydzi kiedy umarł im ktoś z rodziny i nie chciał w ogóle jeść śniadania ani nie odezwał się słowem chcąc żeby się z nim cackać więc pomyślałam sobie że wytrzymałam go dosyć na jeden raz i pozwoliłam mu ale on to wszystko źle robi myśli tylko o swojej przyjemności język ma zanadto płaski albo nie wiem już sama co zapomina że my wtedy ja nie każę mu to zrobić jeszcze raz jeżeli nie będzie uważał i zamknę go na dole żeby spał w piwnicy na węglu z karaluchami i ciekawa jestem

czy to ona Josie była nieprzytomna z radości kiedy jej dałam moje stare łachy to taki urodzony kłamca nie nigdy by się nie odważył z mężatką dlatego chce żebym ja i Boylan chociaż jeśli o nią chodzi to jej Denisjak nazywa ten obraz nędzy i rozpaczy trudno by go nazwać mężem tak to jakaś suka z którą się zszedł nawet kiedy byłam z nim i z Milly na

wyścigach uniwersyteckich ten trębacz z dziecinnym kapturkiem na czubku łba wpuścił nas od tyłu puszczał oko do tych dwóch dziwek na obchodzie tam i z powrotem starałam się mrugnąć do niego najpierw ale bez żadnego skutku oczywiście i tak właśnie rozchodzą mu się pieniądze oto owoce pana Paddy Digna-ma tak wszyscy byli bardzo wspaniali na tym wspaniałym pogrzebie w gazecie którą Boylan przyniósł gdyby widzieli pogrzeb prawdziwego oficera to by było coś odwrócona broń przytłumione bębny biedny koń idący z tyłu w czerni L Boom i Tom Kernan ten mały baryłkowaty pijaczyna który odgryzł sobie język spadając z męskiego WC pijany w jakiejś takiej czy innej knajpie i Martin Cunningham i dwóch Dedalusów i mąż Fanny MCoy tej główki białej kapusty chudego stworzenia z zezem w oku starającego .się śpiewać moje pieśni musiałyby się narodzić od nowa a ta jej stara zielona suknia z niskim dekoltem bo nie może pociągać ich w żaden inny sposób jak kapanina w deszczowy dzień widzę to teraz wszystko wyraźnie i oni to nazywają przyjaźnią najpierw zabijają a potem grzebią jeden drugiego a wszyscy mają żony i rodziny w domu szczególnie ten Jack Power utrzymujący barmankę oczywiście jego żona jest ciągle chora albo ma być zaraz chora albo właśnie się jej trochę polepszyło a on jest jeszcze przystojnym mężczyzną chociaż już trochę siwieje nad uszami piękna to paczka oni wszyscy no cóż nie dostaną znowu mojego męża w swoje szpony jeżeli będę mogła temu zapobiec żeby się wyśmiewali z niego za jego plecami wiem dobrze kiedy zaczyna pleść te swoje idiotyzmy dlatego tylko że ma on dosyć rozumu żeby nie wlać każdego pensa którego zarobi w ich grdyki i dba o swoją żonę i rodzinę nicponie biedny Paddy Dignam wszystko jedno trochę mi go żal co robi jego żona z 5 dzieci chyba że był ubezpieczony śmieszny mały bączek zawsze wciśnięty w kąt jakiejś knajpy a ona albo syn czekający Jasiu Kochasiu wróć do domu błagamy welon żałobny nie poprawi jej wyglądu ale one są bardzo twarzowe jeżeli się jest przystojną co mężczyźni czy nie był on tak był na obiedzie w Glencree i Ben Dollard ten bas baryłton tego wieczora kiedy pożyczył frak żeby zaśpiewać na Holles street wcisnął się i wepchnął w nie i śmiał się całą gębą jak u lalki albo jak dupka dziecinna dobrze obita czy nie wyglądał jak kopnięty w jaja pewnie że to musiało być widowisko na scenie wyobraźcie sobie zapłacić 5 szylingów za zarezerwowane miejsca po to żeby zobaczyć go a Simon Dedalus też zawsze zjawiał się pół na gazie i śpiewał drugą zwrotkę najpierw stara miłość jest nową jedna z tych które tak słodko śpiewał dziewczyna na konarze głogu też był zawsze za tym żeby poflirtować kiedy śpiewałam Maritanę z nim w prywatnej operze u Freddy Mayersa miał uroczy cudowny głos Febe kochana pożegnam cię zawsze śpiewał to nie jak Bartel dArcy bo żegnam cię oczywiście miał wielki dar głosu więc nie było w tym żadnej sztuki spływał po tobie jak ciepły prysznic O Maritano me dzikie kwiecie śpiewaliśmy wspaniale chociaż to było trochę za wysoko na mój rejestr nawet przetransponowane i był żonaty w tym czasie z May Goulding ale czasem mówił albo robił coś co psuło wszystko teraz jest wdowcem ciekawa jestem jaki jest jego syn on mówi że jest

autorem i będzie profesorem uniwersytetu języka włoskiego i mam u niego brać lekcje i do czego on znowu teraz zmierza pokazując mu moją fotografię niedobrze na niej wyszłam powinnam była ją mieć zrobioną w udrapowanej która nigdy nie wygląda niemodnie ale wyglądałam na niej młodo dziwię się że mu jej w ogóle nie dał w prezencie i mnie też ostatecznie dlaczego nie widziałam go jadącego na dworzec K-ingsbridge z ojcem i matką byłam w żałobie to już 11 lat tak on by miał 11 lat ale co za sens było wkładać żałobę po czymś co nie było ani tym ani owym oczywiście on nalegał on by włożył żałobę po kocie jak przypuszczam to już mężczyzna teraz wtedy był niewinnym chłopcem i uroczym małym człowieczkiem w tym swoim ubranku jak mały lord Fauntleroy i z lokami jak książętko na scenie kiedy zobaczyłam go u Mata Diiiona też mnie polubił przypominam sobie oni wszyscy mnie lubią czekaj na Boga tak czekaj tak przytrzymaj wyszedł w kartach dzisiaj rano kiedy stawiałam związek z młodym nieznajomym ani ciemnym ani jasnym którego spotkałaś już przedtem myślałam że to oznacza jego ale z niego już nie kurczaczek ani nieznajomy poza tym moja twarz była zwrócona w przeciwną stronę jaka była 7 karta za tamtą 10 pikową podróż lądem potem był list w drodze i też 3 damy i 8 karo awans towarzyski tak zaczekaj wszystko to wyszło a 2 czerwone 8 to nowe stroje popatrzcie na to a czy nie śniło mi się coś też tak było coś o poezji mam nadzieję że nie ma długich tłustych włosów opadających na oczy albo stojących jak u czerwonoskórego Indianina dlaczego oni tak chodzą tylko po to żeby się z nich i ich poezji naśmiewali zawsze lubiałam poezję kiedy byłam dziewczyną najpierw myślałam że on jest poetą jak Byron a tu ani uncji z tego w jego utworach myślałam że jest zupełnie inny ciekawa jestem czy jest za młody on ma około zaraz 88 wyszłam za mąż w 88 Milly skończyła 15 wczoraj 89 w jakim wieku on był wtedy u Diiiona 5 albo 6 około 88 przypuszczam że ma 20 albo więcej nie jestem dla niego za stara jeżeli ma 23 albo 24 mam nadzieję że nie jest z tych zadzierających nosa studentów uniwersytetu bo inaczej nie siedziałby tam na dole w tej obdrapanej kuchni z nim pijąc kakao Eppsa i nie rozmawiałby oczywiście on udawał że to wszystko rozumie pewnie powiedział mu że skończył Trinity college jest bardzo młody jak na profesora mam nadzieję że nie jest takim profesorem jakim Goodwin był był dyplomowanym profesorem whisky James Jameson wszyscy oni piszą w swoich wierszach o jakiejś kobiecie cóż przypuszczam że nie znajdzie wielu takich jak ja gdzie cicho o miłości wzdycha lekka gitara gdzie poezja jest w powietrzu w błękicie morza i w księżycu lśniącym tak cudnie kiedy się wracało nocnym statkiem z Tarify latarni morskiej na cyplu Europy tak gitara na której grał ten facet miała tyle wyrazu czy nigdy tam nie powrócę same nowe twarze dwoje oczu patrzących kraty zakrywały zaśpiewam mu to to moje oczy jeżeli jest chociaż trochę poetą dwoje oczu tak ciemno lśniących jak gwiazdy miłości czy to nie piękne słowa jak gwiazdy młodej miłości to będzie coś nowego Bóg świadkiem mieć inteligentną osobę z którą można porozmawiać o sobie a nie tylko ciągle słuchać go o ogłoszeniu Billy Prescottta i o ogłoszeniu Klaucza i o ogłoszeniu Tomcia Niech go Diabli a potem niech tylko się im coś popsuje w interesach my musimy cierpieć jestem pewna że jest bardzo dystyngowany chciałabym spotkać takiego mężczyznę który Boże nie tylko ciągle tych innych hołotę poza tym jest młody ci świetni młodzi ludzie których widziałam na plaży w Margate kąpiących się u podnóża skały stojących w słońcu nago jak

bogowie albo coś a potem skaczący do morza głową w dół dlaczego wszyscy mężczyźni nie są tacy byłoby trochę pociechy dla kobiety jak ta piękna mała figurka którą kupił mogłabym na nią patrzeć przez cały dzień kręcone włosy i unosi palec żebyś posłuchała oto prawdziwe piękno i poezja dla ciebie często czułam że chcę go całego całować i tego jego cudnego młodego kutasika tam tak po prostu nie miałabym nic przeciw temu żeby go wziąć w usta gdyby nikt nie patrzył i gdyby poprosił żeby go ssać taki był czysty i biały ze swoją chłopięcą twarzyczką a zrobiłabym to w 1/2 minuty nawet jeżeli trochę bym połknęła to co tylko jakby kleik albo rosa nie ma żadnego niebezpieczeństwa poza tym byłby taki czysty w porównaniu z tymi świniami mężczyznami przypuszczam że ani im się śni żeby kiedyś umyć go nawet i koło Wielkiej Nocy większości z nich ale z tego kobiecie podobno wyrastają wąsy jestem pewna że będzie cudownie jeżeli tylko w moim wieku uda mi się zaprzyjaźnić z młodym przystojnym poetą postawię je rano i rzecz i zobaczę czy wyjdzie karta czego pragniesz albo spróbuję dobrać parę do damy i zobaczę czy on wyjdzie będę czytała i studiowała wszystko co mi pod rękę wpadnie albo pouczę się trochę na pamięć gdybym tylko wiedziała kogo on lubi żeby nie myślał że jestem głupia jeżeli myśli że wszystkie kobiety są jednakowe a ja nauczę go tego drugiego zmuszę go żeby czuł to w całym sobie póki nie będzie na pół zemdlony pode mną wtedy napisze o mnie kochanka i przyjaciółka publicznie też z naszymi z fotografiami we wszystkich pismach kiedy stanie się sławny Och ale co ja z nim wtedy zrobię

nie to nie jest sposób czy on nie ma żadnych manier ani żadnej subtelności ani niczego w naturze klepiąc tak w tyłek jak mnie w zadek ponieważ nie nazwałam go Hugh ignorant który nie odróżnia poezji od kapusty to się otrzymuje za nieosadze-nie ich na właściwym miejscu zdejmować buty i spodnie tu na krześle przy mnie tak bezczelnie nie prosząc nawet o pozwolenie i wystawiać się na widok w tym półko-szulku jaki oni noszą żeby być podziwianym jak ksiądz albo rzeźnik albo ci starzy hipokryci w czasach Juliusza Cezara oczywiście on ma rację w pewien sposób że spędza czas wesoło pewnie można by równie dobrze leżeć w łóżku z czym ze lwem Boże myślę że umiałby coś więcej powiedzieć stary Lew umiałby na pewno Och myślę że to może dlatego że były takie pulchne i kuszące w tej mojej haleczce że nie mógł się oprzeć mnie samą podniecają czasem mężczyznom jest dobrze cała przyjemność z ciała kobiecego jest po ich stronie jesteśmy takie okrągłe i białe dla nich zawsze chciałam być jednym z nich dla odmiany tylko po to żeby spróbować tą rzeczą którą mają jak pęcznieje na tobie taką twardą i jednocześnie taką miękką kiedy jej dotykasz mój wujo John ma długi trzon słyszałam jak ci ulicznicy mówili kiedy przechodziłam obok Marrowbone lane a ciocia Agata to ta rzecz kosmata bo było ciemno i wiedzieli że dziewczyna przechodzi nie zaczerwieniłam się dlaczego miałam się zaczerwienić to tylko natura i on wkłada ten swój długi trzon w tę rzecz kosmatą cioci Agaty itd itd i okazuje się że to ma znaczyć wsadzanie kija do miotły i znowu mężczyźni mają

wszystko mogą sobie przebierać i wybierać kogo chcą mężatkę albo wesołą wdówkę albo dziewczynę zależnie od swoich rozmaitych gustów jak w tych domach za Irish street ale my mamy być zawsze zakute w kajdany ale nie uda się zakuć mnie nie ma żadnej przeklętej obawy o to jak raz zacznę powiadam wam to z powodu zazdrości głupiego męża dlatego nie możemy wszyscy pozostać przyjaciółmi w tych sprawach zamiast się kłócić jej mąż odkrył to co robili z sobą

552

no pewnie a jeżeli odkrył to czy może zakryć jest coronado tak czy owak cokolwiek potem zrobi albo znowu rzuca się w drugą zwariowaną ostateczność z powodu żony w Pięknych Tyrankach oczywiście mężczyzna nie pomyśli nawet 2 razy o mężu czy żonie także chce kobiety i otrzymuje ją a do czegoż innego jeszcze dano nam te wszystkie powaby chciałabym wiedzieć nie mogę przecież na to nic poradzić jeżeli jestem jeszcze młoda prawda to cud że nie jestem jeszcze przed czasem starą pomarszczoną j[^]dzą żyjąc z nim takim zimnym nigdy mnie nie przytuli chyba czasem kiedy śpi i to ściska nie ten koniec mojej osoby nie wiedząc o tym jak przypuszczam kogo obejmuje każdego mężczyznę który całuje kobietę w zadek wyrzuciłabym na śmietnik całowałby nas wszędzie gdzie nie należy tam gdzie nie mam ani l atomu żadnego rodzaju wyrazu tylko te 2 kawały smalcu prędzej bym niżbym miała to zrobić mężczyźnie tfu brudne bydlęta sama myśl wystarczy całuję twoje stopy seniorito w tym jest jakiś sens czy nie pocałował drzwi w naszym przedpokoju tak pocałował co za wariat nikt nie rozumie jego pokręconych myśli tylko ja ale oczywiście kobieta chce być przytulana nawet 20 razy dziennie jeżeli ma wyglądać młodo wszystko jedno przez kogo byle tylko kochać kogoś albo być przez kogoś kochaną jeżeli człowieka którego kocha nie ma w pobliżu Panie Boże czasami myślałam że pójdę na nadbrzeże któregoś ciemnego wieczora gdzie by mnie nikt nie poznał i poderwę sobie marynarza z morza który by był na to napalony i nie dbał ani trochę o to czyja jestem tylko zrobiłby to gdzieś w bramie albo któregoś z tych dziko wyglądających Cyganów w Rathfarnham rozbili obóz niedaleko pralni w Bloomfield żeby próbować kraść nasze rzeczy jeśli się im uda posłałam tam swoje tylko kilka razy dla nazwy wzorowa pralnia odsyłali mi ciągle i ciągle z powrotem jakieś stare pończochy albo tego wyglądającego jak oprych faceta z pięknymi oczyma ostrugującego patyk żeby mnie zaatakował i zerznął mnie w nocy pod murem bez słowa albo mordercę kogokolwiek to samo co robią ci wytworni gentlemeni w cylindrach ten adwokat który mieszka gdzieś tu w okolicy widziałam go jak wychodził z Hardwicke lane tego wieczora kiedy zaprosił nas na kolację rybną z okazji wygrania zakładu o jakiś mecz bokserski oczywiście to dla mnie ją postawił poznałam go po getrach i chodzie a kiedy odwróciłam się po chwili zobaczyłam tylko że szła za nim kobieta wychodziła stamtąd jakaś ohydna prostytutka potem on wraca do żony tylko że jak myślę połowa tych marynarzy gnije od choroby Och ruszże te twoje wielkie zwłoki odsuń się na miłość boską posłuchajcie go te wiatry niech westchnienie me przyniosą ci może sobie spać i wzdychać wielki Iluzjonista

Don Poldo de la Flora gdyby wiedział jak dziś wyszedł w kartach miałby o co wzdychać za ciemnego mężczyznę w kłopotcie pomiędzy 2 i 7 w więzieniu bo Bóg jeden wie co on robi o czym ja nie wiem a ja mam tłuc się po kuchni i przygotowywać jego lordowskiej mości śniadanie podczas kiedy on będzie leżał zawinięty jak mumia na pewno będę widzieliście mnie kiedy biegnącą chciałabym się przy tym zobaczyć okazuj im troskliwość a będą cię traktowali jak ścierkę nie dbam o to co kto może sobie powiedzieć byłoby o wiele lepiej gdyby świat był rządzony przez kobiety nie widziałbyś kobiet idących na wojnę i zabijających jedna drugą i zarzynających się a czy widzisz kiedyś kobiety zataczające się po pijanemu jak oni albo przegrywające wszystko co do pensa na konia tak bo kobieta cokolwiek robi wie kiedy przestać nie byłoby ich wcale na świecie gdyby nie my nie wiedzą co to znaczy być kobietą

55.?

i matką jak mogliby wiedzieć gdzie by się oni wszyscy znaleźli gdyby każdy z nich nie miał matki która by ich przypilnowała a ja tego nigdy nie miałam i dlatego jak myślę zdziaczał teraz i uciekł od swoich książek i studiów i nie mieszka w domu ze względu na te zwykłe awantury domowe jak myślę cóż szkoda że ci którzy mają takiego świetnego syna nie są zadowoleni a ja nie mam żadnego czy on był niezdolny do zrobienia go to nie była moja wina zrobiliśmy to kiedy przyglądałam się dwóm psom naraz wsadził jej w zadek z tyłu pośrodku pustej ulicy to mi odebrało serce do wszystkiego jak myślę nie powinnam go była pochować w tym małym wełnianym żakieciku który zrobiłam na drutach chociaż tak płakałam ale dać to jakiemuś biednemu dziecku ale wiedziałam dobrze że nie będę już miała następnego to była też nasza I śmierć nigdy już nie byliśmy tacy sami później Och nie będę się wpędzała w smutki myśląc o tym ciekawa jestem dlaczego nie chciał zostać dziś w nocy czułam przez cały czas że to kogoś obcego przyprowadził zamiast chodzić po mieście spotykając Bóg wie kogo prostytutki i rzezimieszków jego biedna matka nie byłaby z tego zadowolona to znaczy gdyby żyła żeby się marnował tak może na całe życie ale to piękna godzina cicha uwielbiam wracać tak po tańcach nocne powietrze mają przyjaciół mogą z kimś porozmawiać my nikogo albo on chce kogoś kogo nie osiągnie albo jest to jakaś kobieta gotowa wbić w ciebie nóż nienawidzę tego w kobietach nic dziwnego że oni nas tak traktują jesteśmy bandą okropnych kurew myślę że to te wszystkie kłopoty które mamy robimy nas takimi kłótliwymi ja nie jestem taka mógłby z łatwością przespać się tam na kanapie w drugim pokoju przypuszczam że się wstydził jak chłopiec jest jeszcze bardzo młody ledwie 20 mnie w przyległym pokoju słyszałyby mnie na nocniku arrah nic by się nie stało Dedalus ciekawe zupełnie jak te nazwiska w Gibraltarze Delapaz Delagraccia mieli tam diabelnie dziwne nazwiska ojciec Vial piana z Santa Maria który dał mi różaniec Rosales y O'Reilly w Calle las Siete Re-vueltas i Pisisimbo i pani Opsika przy Governor street Och co za nazwisko poszłabym i utopiłabym się w pierwszej rzece gdybym miała takie nazwisko jak ona O mój a te wszystkie kawałeczki ulic Paradise ramp i Bedlam ramp i Rodgers ramp i

Crutchetts ramp i schody diabelskiej Dziury no mało w tym mojej winy że jestem taka postrzelona wiem że trochę jestem klnę się na Boga że nie czuję się ani o dzień starsza niż wtedy ciekawa jestem czy dałabym sobie radę z odrobiną hiszpańskiego como esta usted muy bien gracias y usted widzis nie zapomniałam jeszcze wszystkiego myślałam że tak tylko jeżeli chodzi o gramatykę rzeczownik to nazwa każdej osoby miejsca albo rzeczy szkoda że nigdy nie spróbowałam przeczytać tej powieści którą ta złoźnica pani Rubio pożyczyła mi napisanej przez Valera z pytańnikami do góry nogami w dwie strony zawsze wiedziałam że wyjedziemy w końcu mogę mu powiedzieć po hiszpańsku a on może mi powiedzieć po włosku wtedy zobaczy że nie jestem taka ignorantka jaka szkoda że nie został jestem pewna że biedaczek był śmiertelnie zmęczony i bardzo potrzebował się porządnie przespać mogłabym mu przynieść śniadanie do łóżka z kawałkiem grzanki byleby nie musiała tego robić na nożu bo przynosi nieszczęście z rzeżuchą gdyby kobieta ją roznosiła na sprzedaż z czymś dobrym i smacznym parę oliwek jest w kuchni mógłby je lubić nigdy nie mogłam na nie patrzeć w Abrines mogłabym zrobić criada pokój wygląda w porządku od czasu jak go przestawiłam widzis coś mi mówiło przez cały czas będą musiała się

554

przedstawić nie zna mnie wcale bardzo śmieszne by to było jestem jego żoną albo udaję że byliśmy z nim w Hiszpanii a on na pół przebudzony nie mając zielonego pojęcia gdzie jest dos hueyos estrellados señor Boże jakie postrzelone rzeczy mi czasem do głowy przychodzą to by było bardzo fajne żeby przypuścmy został u nas dlaczego nie jest pusty pokój na górze i łóżko Milly w tylnym pokoju mógłby robić swoje studia i pisanie przy stole przy tej odrobinie gryzmolenia którą on przy nim robi a jeżeli będzie chciał sobie czytać w łóżku rano jak ja to jeżeli on robi śniadanie dla 1 może zrobić i dla 2 jestem pewna że nie wezmę lokatorów z ulicy dla niego jeżeli wynajmuje taki dom zajezdny jak ten okropnie bym chciała długo porozmawiać z inteligentną wykształconą osobą musiałabym mieć parę ładnych czerwonych pantofelków takich jakie ci Turcy w fezach sprzedawali albo żółtych i ładny półprzeźroczysty poranny szlafrok którego bardzo mi brak albo brzoskwiniowy kaftanik jak ten który był dawno temu u Walpole'a tylko 8 szylingów i 6 pensów czy może 18 i 6 dam mu jeszcze jedną szansę wstanę rano chora już jestem od tego starego łóżka Cohena i mogłabym pójść na targ zobaczyć te wszystkie warzywa kapusty pomidory i marchewki i wszystkie rodzaje wspaniałych owoców które tam przynoszą takie śliczne i takie świeże kto wie kto byłby 1 człowiekiem którego bym spotkała szukają tego rano powiadała Mamy Dillon szukają i nocą też takie to było jej chodzenie na mszę jakbym miała teraz ochotę na wielką soczystą gruszkę żeby mi się rozpuściła w ustach jak wtedy kiedy miałam zachcianki wtedy mogę mu cisnąć te jego jajka i herbatę do tej filiżanki z dwoma uchami którą mu dała żeby mu się jeszcze bardziej usta rozciągnęły myślę że lubiłby też moją śmietankę wiem co zrobię będę chodziła po domu raczej wesoła nie za bardzo podśpiewując trochę od czasu do czasu mi fa pięta Masetto a potem zacznę się ubierać do wyjścia presto non son piu forte włożę na

siebie moją najlepszą koszulę i majtki niech się napatrzy dobrze żeby mu ten jego kijek stanął dam mu znać jeżeli to jest to czego chciał że jego żona jest spierdolona tak i to diabelnie dobrze spierdolona aż po szyję prawie nie przez niego 5 albo 6 razy pod rząd tu jest ślad jego spermy na czystym prześcieradła nie chciało mi się nawet wyprasować tego to powinno go ucieszyć jeżeli mi nie wierzysz dotknij mojego brzucha chyba żeby tak zrobiła żeby mu stanął i wsadziła go sobie mam wielką ochotę opowiedzieć mu dokładnie po kawałku i zmusić go żeby to sobie zrobił przede mną zasłużył sobie na to wszystko jego własna wina jeżeli jestem cudzołożnicą jak to stworzenie na galerii powiedziało O zbyt wiele o tym jeżeli to cała krzywda którą kiedykolwiek zrobiliśmy w tej dolinie łez Bóg świadkiem że to niewiele a czy nie robią tego wszyscy tylko że to ukrywają bo przypuszczam że kobieta po to jest przecież inaczej On by nas takimi nie stworzył takimi pociągającymi dla mężczyzn wtedy jeżeli zechce mnie pocałować w tyłek spuszcze majtki i wypnę mu ją w twarz wielką jak żywą może wsunąć mi język na 7 mil w dziurę a potem powiem mu że potrzebuję 1 funta albo może 30 szylingów powiem mu że chcę kupić bieliznę wtedy jeżeli da mi to dobrze nie będzie mu od tego gorzej nie chcę wyzyskać tego z niego jak inne kobiety mogłam sobie często wypisać sama piękny czek i podpisać jego imieniem a na nim kilka funtów bo parę razy zapomniał zamknąć jej poza tym on tego nie wyda pozwolę mu to zrobić na sobie z tyłu pod warunkiem że nie popaskudzi mi całych moich dobrych majtek Och myślę że nie ma na to rady będę udawała obojętną 1 albo 2 pytania poznam po odpowiedziach

555

kiedy jest taki nie umie niczego ukryć znam każdy zakąteczek w nim ścisnę dobrze tyłek i powiem parę tłustych słów wachaj dupę albo liź moje gówno albo pierwszą zwariowaną rzecz jaka przyjdzie mi do głowy potem wspomnę o tak Och zaczekaj synku teraz moja kolej nadchodzi będę bardzo wesola i przyjacielska przy tym Och ale zapomniałam o tej krwawej zarazie tfu nie wiadomo śmiać się czy płakać jesteśmy taką mieszaniną jak groch z kapustą będę musiała włożyć stare rzeczy tym lepiej będzie ostrzej on nie zauważy czy zrobił to czy nie to dosyć dobre dla ciebie byle jaki stary łach a potem zetrę go z siebie jakby nigdy nic te jego wydzieliny potem wyjdę niech się gapi w sufit gdzie ona teraz poszła sprawić żeby mnie chciał to jedyny sposób kwadrans po co za nieziemska godzina przypuszczam że w Chinach właśnie wstają i czeszą te swoje warkocze na dzień zaraz zakonnice będą dzwoniły na anioł pański nie mają nikogo kto by przychodził i niszczył im sen chyba że jakiś jeden czy drugi ksiądz na nocne nabożeństwo budzik u sąsiadów nastawiony na pierwsze pianie koguta klekocze że mało sobie mózgu nie wybije ze łba spróbuję się zdrzemnąć 1 2 3 4 5 co to za rodzaj kwiatów który wymyślili jak gwiazdy tapety przy Lombard street były o wiele ładniejsze ten fartuch który od niego dostałam był podobny ale go nosiłam tylko dwa razy lepiej obniżyć tę lampę i spróbować od nowa żeby mogła rano wstać pójdę do Lambesa tam obok Figizbiera i każę nam przesłać trochę kwiatów żeby rozstawić wszędzie na wypadek gdyby go przyprowadził do domu jutro dzisiaj chcę powiedzieć nie nie piątek

pechowy dzień najpierw muszę trochę posprzątać wszędzie w domu wydaje mi się że kurz w nim rośnie podczas mojego snu potem możemy mieć muzykę i papierosy mogę mu akompaniować najpierw muszę oczyścić klawisze pianina mlekiem co włożę czy będę nosiła białą różę czy te bajeczne ciastka od Liptona uwielbiam zapach wielkiego bogatego sklepu po 7 1/2 pensa za funt albo te drugie z czereśniami i różowym lukrem 11 pensów za 2 funty oczywiście jakaś ładna roślinka na środku stołu dostanę ją taniej czekaj gdzie to jest widziałam je nie tak dawno kocham kwiaty chciałabym żeby cały dom tonął w różach Boże na niebie nie ma nic jak natura dzikie góry potem morze i wzburzone fale potem cudowna wieś z zagonami owsa i pszenicy i najrozmaitszymi rzeczami i całe to piękne bydło chodzące sobie które gdybyś zobaczyła lepiej by ci było na sercu widzieć rzeki i jeziora i kwiaty rozmaitych kształtów i zapachów i kolorów wystrzelające nawet z rowów pierwiosnki i fiołki to jest natura a na tych co mówią że nie ma Boga nie machnęłabym nawet ręką z całym ich wykształceniem dlaczego nie pójdą i nie stworzą czegoś często pytałam go ci ateści czy jak oni się nazywają najpierw niech zmyją z siebie całe to błoto a potem wyją o księdza kiedy umierają a dlaczego dlatego że boją się piekła bo mają nieczyste sumienie ach tak znam ich dobrze kto był pierwszą osobą we wszechświecie zanim był ktoś kto zrobił to wszystko kto ach tego oni nie wiedzą ani ja nie wiem więc widzisz jak to jest równie dobrze mogliby chcieć powstrzymać jutro rano słońce od wzejścia słońce świeci dla ciebie powiedział tego dnia kiedy leżeliśmy pomiędzy rododendronami na szczycie Howth był w szarym tweedowym ubraniu i w słomkowym kapeluszu tego dnia kiedy doprowadziłam go do tego że mi się oświadczył tak najpierw wyjęłam sobie z ust kawałek ciastka z kminkiem dałam mu i był to rok przestępny taki jak teraz 16 lat temu mój Boże po tym długim pocałunku prawie nie mogłam oddychać tak powiedział że jestem kwiatem górskim tak to prawda wszystkie

556

jesteśmy kwiatami ciało kobiece tak to była jedyna prawdziwa rzecz jaką powiedział w życiu i słońce świeci dla ciebie dzisiaj tak to dlatego go polubiłam bo zobaczyłam że on rozumie albo czuje czym jest kobieta i wiedziałam że zawsze będę mogła go omotać i dawałam mu całą przyjemność jaką mogłam podprowadzając go aż wreszcie poprosił mnie żebym powiedziała tak i nie chciałam najpierw odpowiedzieć tylko patrzyłam na morze i na niebo i myślałam o tylu rzeczach o których on nie wiedział o Mulveyu i o panu Stanhope i o Hester i o ojcu i o starym kapitanie Groves i o marynarzach grających w wszystkie ptaki lecą i w salonowca i w zmywanie naczyń jak to nazywali na nadbrzeżu i o wartowniku przed domem gubernatora z tą rzeczą naokoło swego białego hełmu biedaczynie na pół upieczonym i o hiszpańskich dziewczynach śmiejących się w tych swoich szalach i z tymi swoimi wysokimi grzebieniami i o porannych wyprzedazach z Grekami i żydami i Arabami i sam diabeł wie jeszcze z kim ze wszystkich krańców Europy i o Duke street i targu drobiu gdzie wszystko gdacze przed Larby Sharonem i o biednych osiołkach potykających się na pół uśpionych i o tych niewyraźnych facetach w opończach śpiących w cieniu na stopniach i o wielkich kołach

tych wózków o bykach i o starym zamku mającym tysiące lat tak i o tych przystojnych Maurach całych w bieli i w turbanach jak królowie proszących cię żebyś usiadła w tych ich malutkich sklepikach i o Rondzie ze starymi oknami posadas zerkające oczy kryła krata aby kochanek jej ucałować mógł żelazo i o winiarniach na pół otwartych w nocy i o kastanietach i o nocy kiedy spóźnił się na statek w Algeciras a strażnik chodził sobie pogodny z latarnią i o Och o tym strasznym prądzie głęboko w dole Och i o morzu o morzu szkarłatnym czasami jak ogień i o wspaniałych zachodach słońca i o drzewach figowych w ogrodach Alamedy tak i o tych wszystkich dziwnych uliczkach i różowych i niebieskich i żółtych domach i o ogrodach różanych i o jaśminie i o pelarganiach i o kaktusach i o Gibraltarze gdzie jako dziewczyna byłam Kwiatem górskim tak kiedy wpięłam różę we włosy jak to robiły andaluzyjskie dziewczyny a może lepiej mieć czerwoną tak i o tym jak całował mnie pod Mauretańskim murem i pomyślałam coś może być tak samo dobrze on jak inny i wtedy poprosiłam go oczyma żeby poprosił znowu tak a wtedy on poprosił mnie czy ja tak powiem tak mój kwiecie górski i najpierw objęłam go ramionami tak i przyciągnęłam go w dół ku sobie tak że mógł uczuć moje piersi pachnące tak a serce biło mu jak szalone i tak powiedziałam tak chcę Tak.

Triest Zurich Paris. 1914